

Wilbur Smith

Monsun

Dedykuję tę książkę mojej żonie Danielle Antomette, której miłość od lat jest dla mnie niczym monsun, prawdziwy i niezmienny, nadający memu życiu kierunek

Trzej chłopcy wspinali się stromym wąwozem, biegnącym na tyłach kaplicy. Tu nie mógł ich zauważyć nikt z dworu ani ze stajni. Tom, jako najstarszy, jak zwykle szedł przodem, ale najmłodszy brat deptał mu po piętach, a kiedy przystanęli przy pierwszym zakolu strumienia za wioską, podjął dyskusję na nowo.

- Dlaczego ja zawsze muszę być kotem? Dlaczego nie mogę się też zabawić, Tom?
- Bo jesteś najmniejszy - odparł brat lordowskim tonem.

Przyglądał się uważnie małej osadzie, widocznej w prześwicie wąwozu. Z komina kuźni unosił się dym, na podwórku wdowy Evans łopotało na wietrze pranie, ale poza tym nie widział oznak życia. Była pełnia żniw; o tej porze dnia większość mężczyzn pracowała na polach ojca, a kobiety albo im pomagały, albo miały jakieś zajęcie we dworze.

Tom uśmiechnął się z satysfakcją, myśląc o nadchodzących wydarzeniach.

- Nikt nas nie zauważył - powiedział. A więc nikt nie doniesie na nich ojcu.

- To niesprawiedliwe. - Doriana nie tak łatwo było odwieść od tematu dyskusji. Z opadającymi na czoło miedziano-złotymi lokami wyglądał jak zagniewany cherubin.

- Nigdy mi na nic nie pozwalasz.

- A kto ci pozwolił w zeszłym tygodniu puszczać swojego sokoła? - Natarł na niego Tom. - Kto ci wczoraj dał wystrzelić z muszkietu? Kto ci pozwolił posterować kutrem?

- No tak, ale...

1

1

- Żadne tam ale - przerwał mu Tom. - Kto tu jest w końcu kapitanem, co?

- Ty, Tom. - Widząc groźne spojrzenie brata, Dorian opuścił wzrok. - Ale ja...

- Możesz iść z Tomem zamiast mnie, jeśli chcesz - po raz pierwszy cichym głosem odezwał się Guy. - Ja mogę być kotem.

- Mogę, Guy? Naprawdę się zgadzasz?! - wykrzyknął radośnie Dorian. Kiedy się uśmiechał, jego uroda jaśniała w całej pełni, jak słońce, które właśnie wyjrzało zza chmur.

- Nie, nie zgadzam się - rzucił ostro Tom, odwracając się raptownie do swego bliźniaka. - Dorry to jeszcze dzieciuch. Nie może iść z nami. Ma siedzieć na dachu i koniec!

- Nie jestem żaden dzieciuch! - zaprotestował ze złością chłopiec. - Mam prawie jedenaście lat!

- Skoro nie jesteś, to pokaż nam swoje włosy na jajkach - rzucił mu wyzwanie Tom. Odkąd sam mógł pochwalić się pierwszym zarostem, uważał to za probierz męskości.

Dorian zignorował zaczepkę; nie mógł przeciwstawić imponującemu owłosieniu brata choćby marnego rudego puszku. Spróbował z innej beczki.

- Tylko bym sobie popatrzył, nic więcej - powiedział błagalnym tonem.

- Oczywiście. Popatrzysz sobie, ale z dachu. - Tom uciał dalszą dyskusję. - Chodźcie, bo się spóźnimy! - Zaczął się wspinać stromym jarem.

Obaj bracia poszli za jego przykładem, ociągając się... każdy z innej przyczyny.

- Przecież nikt nie przyjdzie - próbował jeszcze Dorian. - Wszyscy pracują.

Nawet my powinniśmy pomagać w polu.

- Może przyjdzie Czarny Billy - rzucił Tom przez ramię.

Dźwięk tego imienia uciszył nawet Dorian. Czarny Billy był najstarszym z braci Courtneyów. Jego matkę, etiopską księżniczkę, sir Hal Courtney przywiózł ze swojej pierwszej wyprawy na tajemniczy kontynent afrykański. Oprócz żony z królewskiego rodu stał się wówczas właścicielem olbrzymich skarbów, zdobytych w walkach z Holendrami i poganami. Dzięki tej fortunie podwoił niemal obszar rodowych włości, a Courtneyowie dołączyli do najbogatszych posiadaczy ziemskich w hrabstwie Devon. Mogli się odtąd równać nawet z Grenvil-le'ami.

10

William Courtney, dla młodszych braci Czarny Billy, kończył niedługo dwadzieścia cztery lata; był o osiem lat starszy od bliźniaków. Inteligentny i bezwzględny,

przystojny na swój mroczny, wilczy sposób, dawał młodszym Courtneyom wszelkie powody ku temu, żeby się go bali i nienawidzili zarazem. Jego imię przejęło Doriana dreszczem i ostatnie pół mili wspinał się w milczeniu.

W końcu opuścili łożysko strumienia i przystanęli na krawędzi jaru, pod wielkim dębem, w którym wiosną uwiła gniazdo samica błotniaka. Tom usiadł i oparł się o pień drzewa, by złapać oddech.

- Jeżeli wiatr się utrzyma, rano możemy popływać na kutrze - powiedział, ściągając z głowy czapkę i ocierając rękawem pot z czoła. Czapkę zdobiło pióro krzyżówki, pierwszego ptaka, którego upolował jego sokół.

Rozejrzał się po okolicy. Rozpościerał się stąd widok na niemal połowę posiadłości Courtneyów - piętnaście tysięcy akrów łagodnych wzgórz i stromych wąwozów, lasów, pastwisk i pól uprawnych, rozciągających się aż po klifowe wybrzeże i graniczących z przedmieściami Plymouth. Tom nie podziwiał zbyt długo znanego mu doskonale krajobrazu.

- Pójdę zobaczyć, czy droga wolna - oznajmił, wstając. Nisko pochylony, podbiegł do otaczającego kaplicę kamiennego muru i wyjrzał zza niego ostrożnie.

Kaplicę zbudował jego pradziadek. Sir Charles Courtney dochrapał się szlachectwa w służbie Dobrej Królowej Elżbiety, gdy jako jeden z jej kapitanów wyróżnił się w walkach przeciwko armadzie Filipa hiszpańskiego. Święty przybytek kazał wznieść przed z górą stu laty na chwałę Boga i dla upamiętnienia działań floty angielskiej pod Calais. Podczas tej bitwy, która przyniosła mu tytuł lordowski, liczne hiszpańskie ga-leony stanęły w płomieniach i zostały wyrzucone na brzeg, a pozostałe rozpierzchły się w sztormach, które admirał Drake nazwał "Wichrami Boga".

Kaplica, zgrabny ośmioboczny budynek z szarego kamienia, zwieńczona była wysoką iglicą, którą przy dobrej widoczności dało się dostrzec aż z Plymouth, oddalonego o piętnaście mil. Tom, przeskoczywszy zwinnie mur, przemknął przez sad jabłoniowy pod okute żelazem dębowe drzwi budowli. Uchylił je odrobinę i nadstawił ucha. Panowała nieprzenikniona cisza. Wśliznął się do środka i podszedł do wewnętrznych drzwi.

11

Zajrzał do nawy. Wnętrze skąpane było w tężowym świetle słońca, przesączającym się przez wysokie witrażowe okna. Te nad ołtarzem przedstawiały flotę Anglii w bitwie przeciwko Hiszpanom. Na płonące hiszpańskie statki spozierał z góry łaskawym okiem sam Bóg Ojciec.

Witraże nad głównym wejściem polecił wykonać ojciec Toma. Tym razem Anglicy zmusili do kapitulacji nie tylko Holendrów, lecz także hordy muzułmanów. Bitwie przyglądał się sir Henry, ze wzniesionym do góry mieczem i etiopską księżniczką u boku. Oboje odziani byli w półpancerze, a na ich tarczach widniał *croix patte* Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala.

Kaplica była pusta. Przygotowania do ślubu Czarnego Bil-ly'ego, planowanego na przyszłą sobotę, jeszcze się nie rozpoczęły. Tom mógł wykorzystać to miejsce do swoich celów. Podbiegł z powrotem do drzwi wejściowych, wytknął głowę na dwór i włożywszy dwa palce do ust, zagwizdał przeciągle. Bracia natychmiast przeskoczyli mur i podbiegli do niego.

- Na górę, Dorry! - rozkazał Tom, a kiedy spostrzegł, że najmłodszy z Courtneyów zamierza znów protestować, postąpił groźnie krok ku niemu.

Dorian jęknął płacząco, lecz zniknął posłusznie na schodach.

- Czy już przyszła? - zapytał Guy lekko drżącym głosem.

- Jeszcze nie. Ale ma czas.

Tom przeszedł przez nawę i zniknął na pogrążonych w ciemności schodkach prowadzących do krypty. Znalazłszy się na dole, odpiął klapę skórzanej torby, wiszącej obok sztyletu u jego pasa. Wyciągnął ciężki żelazny klucz, ściągnięty rano z gabinetu ojca, i otworzył kutą w żelazie kratę. Uchyliła się ze zgrzytem zawiasów. Chłopak bez chwili namysłu wszedł do mrocznego pomieszczenia, w którym w kamiennych sarkofagach spoczywało jakże wielu jego przodków. Guy nieco niepewnie podążył za nim. Towarzystwo zmarłych zawsze budziło w nim lekki niepokój i wolał stać tuż przy wejściu.

Na poziomie ziemi znajdowały się tu wysokie okienka, przez które wpadało słabe światło, nadające wnętrzu atmosferę tajemniczości. Pod kolistą ścianą krypty

stały kamienne i marmurowe trumny. Było ich szesnaście i we wszystkich leżeli Courtneyowie - poczynając od pradziadka Charlesa - oraz ich liczne żony. Guy instynktownie spojrzął ku trumnie zawierającej doczesne

12

szczątki jego matki. Stała między dwoma innymi sarkofagami zmarłych żon ojca. Na jej wieku znajdował się reliefowy wizerunek nieboszczki. Była bardzo piękna, pomyślał chłopiec, jak biała lilia.

Nie było mu dane widzieć jej za życia ani posać jej piersi: trwający trzy dni poród bliźniąt okazał się ponad siły dla tak delikatnej kobiety. Umarła z wpływu krwi i z wyczerpania kilka godzin po tym, gdy chłopiec wydał z siebie krzyk nowo narodzonego. Chłopców niańczyły liczne mamki, a potem także macocha - matka Doriany.

Podszedł do marmurowej trumny i klękawszy u jej wezgłowia, przeczytał inskrypcję: "Tu spoczywa Margaret Courtney, ukochana druga żona sir Henry'ego Courtney, matka Thomasa i Guya, która odeszła z tego świata 2 maja 1667 roku. Bezpieczna w sercu Chrystusa". Guy zamknął oczy i zaczął się modlić.

- Ona cię i tak nie słyszy - rzucił szorstko Tom.

- A właśnie, że tak - odparł Guy, nie podnosząc głowy i nie otwierając oczu.

Tom przestał się nim interesować i poszedł wzdłuż rzędu trumien. Na prawo leżała matka Doriany, ostatnia żona ich ojca. Zaledwie trzy lata temu kuter, na którym płynęła, wyrócił się u wejścia do zatoki i przypływ poniósł ją na otwarte morze. Hal próbował ją ratować, lecz prąd był zbyt silny i omal nie porwał i jego. Morze zaniósło oboje do smaganej wiatrem zatoczki pięć mil w dół wybrzeża, Elizabeth jednak już nie żyła, a Hal był niemal u kresu sił.

Tom czuł, jak gdzieś w głębi jego istoty wzbiera płacz; kochał Elizabeth tak mocno, jak nie mógł kochać własnej matki, której nie dane mu było poznać.

Odkaszlnął i przetarł oczy, starając się powstrzymać łzy, zanim Guy dostrzeże tę dziecięcą słabość. Chociaż Hal ożenił się z Elizabeth głównie po to, żeby zapewnić matczyną opiekę swym osieroconym synom, wkrótce pokochali ją wszyscy, tak jak kochali Dorianę, od dnia w którym go urodziła. Wszyscy, z wyjątkiem oczywiście Czarnego Billy'ego. William Courtney nie kochał nikogo poza ojcem i był zazdrosny o niego niczym tygrys o swe młode. Elizabeth chroniła chłopców przed jego mściwym zainteresowaniem, ale odkąd zabrało ją morze, po^estafraJaez obrony.

- Nie powinnaś była/\$&' opusztKać - rzekł cicho Tom i zerknął zmieszany na Qmya^^^ed%Ak był zbyt pogrążony

13

w modlitwie, żeby go usłyszeć. Tom przeszedł do sarkofagu stojącego za trumną ich rodzonej matki. Spoczywała w nim Judith, etiopska księżniczka i matka Czarnego Billy'ego. Wykuty w marmurze wizerunek na wieku trumny ukazywał atrakcyjną kobietę o dzikich, niemal jastrzębich rysach twarzy, które odziedziczył po niej syn. Była w półzbroi, jak przystało na osobę prowadzącą wojska przeciwko poganom. U pasa miała miecz, a na jej piersi spoczywał hełm i tarcza ozdobiona krzyżem koptyjskim, symbolem Chrystusa starszym nawet od instytucji Rzymu. Głowę miała odkrytą, a gęste kędziory wieńczyły ją niczym korona. Przyglądając się Judith, Tom poczuł, jak wzbiera w nim nienawiść do jej syna. - Szkoda, że cię ten koń nie zrzucił, zanim powiłaś swój pomiot - powiedział tym razem głośno.

Guy wstał z klęczek i podszedł do niego.

- Nie wolno mówić źle o zmarłych, bo to przynosi nieszczęście - ostrzegł brata.

- A co mi ona robi? Przecież już nie żyje - wzruszył ramionami Tom.

Guy wziął go pod ramię i poprowadził do następnego sarkofagu. Obaj wiedzieli, że jest pusty, a wieko nie zapieczętowane.

- "Sir Francis Courtney, urodzony szóstego stycznia tysiąc sześćset szesnastego roku w hrabstwie Devon. Rycerz Zakonu Podwiązki oraz Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala. Nawigator i Żeglarz. Odkrywca i Żołnierz. Ojciec Henry'ego i Mężny Szlachcic - przeczytał na głos Guy. - Niesłusznie oskarżony o piractwo przez nikczemnych osadników holenderskich na Przylądku Dobrej Nadziei i okrutnie przez nich zgładzony piętnastego lipca tysiąc sześćset sześćdziesiątego ósmego roku. Choć jego śmiertelne szczątki spoczywają na odległym i dzikim wybrzeżu Afryki, pamięć o nim żyć będzie zawsze w sercu jego syna Henry'ego Courtney i w

sercach wszystkich dzielnych i wiernych marynarzy, przemierzających ocean pod jego dowództwem".

- Po co ojciec postawił tu tę pustą trumnę? - mruknął pod nosem Tom.

- Chyba zamierza pewnego dnia sprowadzić szczątki dziadka - odparł Guy. Tom zerknął na niego kosym okiem.

- Powiedział ci o tym? - Czuł zazdrość na myśl, że być

14

może bratu powiedziano o czymś, a jemu, choć starszemu, nie. Wszyscy chłopcy darzyli ojca prawdziwym uwielbieniem.

- Nie, nie powiedział - przyznał Guy. - Ale ja bym to zrobił dla mojego ojca. Tom stracił zainteresowanie rozmową i przeszedł na środek pomieszczenia, którego posadzkę tworzyła dziwna mozaika barwnych granitów i marmurów, układających się w kolisty wzór. W czterech punktach koła stały miedziane kotły, które wypełniano pradawnymi żywiołami ognia, ziemi, wody i powietrza podczas konwentu Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala. Odbывał się on zawsze przy pełni księżyca w czasie letniego zrównania dnia z nocą. Sir Henry Courtney był Nawigatorem Zakonu, tak jak przedtem jego ojciec i d/iad.

W centrum kopuły kaplicy znajdował się otwór. Budynek skonstruowano tak pomysłowo, że przez ów prześwit wpadało do wnętrza światło księżyca w pełni, oświetlając mozaikę i ułożone w niej z czarnego marmuru zawołanie zakonu: In Arcadia habito. Żaden z chłopców nie pojał jeszcze głębszego znaczenia tej herbowej dewizy.

Tom stanął na czarnych gotyckich literach, położył rękę na sercu i zaczął recytować słowa liturgii, według której także i on miał zostać pewnego dnia wprowadzony do zakonu: "Oto dogmaty, w które wierzę, których będę bronił do ostatniej kropli krwi. Wierzę w jednego Boga w Trójcy jedynego, w wiecznego Ojca, wiecznego Syna i wiecznego Ducha Świętego".

- Amen! - zawołał półgłosem Guy. Obaj studiowali pilnie katechizm zakonu i znali na pamięć wszystkie odpowiedzi.

- "Wierzę we wspólnotę Kościoła Anglii i w prawa jego boskiego pomazańca, obrońcy wiary, Wilhelma Trzeciego, Króla Anglii, Szkocji, Francji i Irlandii".

- Amen - powtórzył Guy. Któregoś dnia także i oni zostaną powołani do tego prześwieczonego zakonu, staną w świetle księżyca i z przejęciem złożą te śluby.

- "Będę stał na straży Kościoła Anglii i walczył z nieprzyjaciółmi Wilhelma, mojego pana i suwerena...". - Tom recytował dalej podniosłym tonem, w którym nie było już niemal nic dziecięcego. Przerwał mu cichy gwizd, dobiegający z otworu w kopule.

- To Dorry! - zawołał nerwowo Guy. - Ktoś idzie! Zamarli obaj w bezruchu, czekając na drugi przenikliwy

15

gwizd, oznaczający alarm i niebezpieczeństwo. Lecz kolejnego ostrzeżenia nie było.

- Ona! - Tom uśmiechnął się szeroko do brata. - Już się bałem, że nie przyjdzie. Guy nie podzielał jego radości.

- Tom, mnie się to wcale nie podoba - powiedział, drapiąc się nerwowo po karku.

- No to na reję z tobą, Guyu Courtneyu - zakpił z niego brat. - Nie dowiesz się, co dobre, dopóki nie spróbujesz.

Usłyszeli szelest tkaniny, odgłos lekkich kroków na kamiennych schodach i do krypty wbiegła dziewczyna. Przystanęła w drzwiach, zdyszana, z policzkami pałającymi rumieńcem od biegu pod górę.

- Czy nikt nie zauważył, że wychodzisz, Mary? - zapytał Tom.

- Zupełnie nikt, paniczu - pokręciła głową Mary. - Zażerali się polewką i nic nie widzieli. - W jej głosie pobrzmiwał lokalny, irlandzki akcent, lecz jego ton był lekki i miły dla ucha.

Była dziewczyną dobrze zbudowaną, o kształtach wydatnych zarówno z przodu, jak i z tyłu. Starsza od chłopców, raczej dwudziesto- niż piętnastoletnia, cerę miała bez skazy i gładką jak sławna śmietanka z Devonu, a jej ładną pucołowatą twarz okalała gęstwa ciemnych kędziorów. Wargi miała różowe, miękkie i wilgotne, a w oczach zdradzających znajomość życia kryła się przebiegłość.

- Czy jesteś pewna, Mary, że panicz Billy cię nie widział? - dopytywał się Tom. Pokręciła głową, kędziory zatańczyły.

- Nie widział. Nim wyszłam, zajrzałam do biblioteki. Siedzi z nosem w książkach jak zawsze.

Położyła drobne dłonie na biodrach. Choć szorstkie i poczerwieniałe od pracy w pomywalni, niemal obejmowały wąską talię. Bliźniacy śledzili wzrokiem jej ruchy i wpatrywali się w zgrabne ciało. Halki i poszarpane spódnice sięgały jej do połowy pulchnych łydek, a nogi, chociaż bose i brudne, w kostkach były smukłe. Zauważyła ich spojrzenia i wyraz twarzy i uśmiechnęła się w poczuciu władzy, jaką miała nad nimi.

Sięgnęła do stanika i zaczęła się bawić jego wstażkami. Obie pary oczu śledziły jej ręce, gdy ścisnęła piersi, tak że napały na przytrzymujące je wiązanie.

16

d- Obiecałeś mi za to sześciopensówkę - przypomniała Tomowi, wytrącając go z transu.

- Obiecałem, Mary - skinął głową. - Sześciopensówka za nas obu, Guya i mnie. Odrzuciła głowę do tyłu i pokazała mu różowy język.

- Szczwany z siebie młodzieniec, paniczu Tomie. Miało być sześć pensów za każdego, razem pół szylinga.

- Nie bądź głupia, Mary. - Tom sięgnął do sakiewki u pasa i wyjął srebrną monetę. Podrzucił ją w powietrze. Zalśniła w świetle, a chłopak złapał ją i podsunął ku dziewczynie na otwartej dłoni. - Cała srebrna sześciopensówka, zobacz.

Pokręciła głową i pociągnęła za kokardę stanika.

- Szylinga - powtórzyła. Przód stanika rozchylił się o cal. Obaj chłopcy utkwili wzrok w białym pasku skóry, kontrastującym mocno z opalonymi i piegowatymi ramionami. - Szylinga albo dla was figa z makiem! - Wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością. Przy tym ruchu jedna pierś obnażyła się niemal do połowy; sam czubek pozostał ukryty, lecz rubinowa otoczka sutka wyjrzała wstydliwie znad postrzępionego brzegu bluzki. Chłopcom odjęło mowę.

- Myszy ci język odgryzły? - rzuciła butnie Mary. - Chyba nic tu po mnie. - Zawróciła ku schodom, kręcąc okrągłym tyłeczkiem.

- Zaczekaj! - krzyknął Tom zduszonym głosem. - Niech będzie szyling, Mary, moja ty śliczna.

- Wpierw mi go pokaż, paniczu Tomie - obejrzała się przez piegowate ramię, podczas gdy chłopak grzebał pośpiesznie w sakiewce.

- Masz, Mary. - Wyciągnął ku niej monetę, a dziewczyna podeszła doń powoli, kołysząc biodrami, tak jak to podejrzała u dziewcząt z doków Plymouth.

Wyjęła monetę z jego dłoni.

- Podobam ci się, paniczu Tomie? - zapytała.

- Jesteś najładniejszą dziewczyną w całej Anglii - odrzekł żarliwie i z pełnym przekonaniem.

Sięgnął do wielkiej, krągłej piersi, która uwolniła się już całkiem ze stanika. Mary z chichotem odtrąciła jego rękę.

- Panicz Guy chyba miał być pierwszy? - spojrzała ponad ramieniem Toma. - Jeszcze tego nie robiłeś, prawda, paniczu Guyu?

17

Chłopiec przełknął z wysiłkiem, lecz słowa utkwili mu w gardle. Opuścił wzrok i zaczerwienił się.

- To jego pierwszy raz - potwierdził Tom. - Niech będzie pierwszy. Ja po nim. Mary podeszła do młodszego z bliźniaków i wzięła go za rękę.

- Nie bój się - powiedziała z uśmiechem, mrużąc oczy. - Nic złego ci nie zrobię, paniczu Guyu.

Pociągnęła go ku ciemnemu kątowi krypty. Przycisnęła się do niego i poczuł jej zapach. Nie kapała się najpewniej co najmniej od miesiąca i biła od niej potężna woń kuchni, w której pracowała, woń topionego tłuszczu i dymu z bierwion, a także zapach gotujących się homarów i koński odór własnego potu.

Guy poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

- Nie! - wrzasnął, odpychając od siebie dziewczynę. - Ja nie chcę... nie mogę...

- Był już bliski łez. - Ty idź pierwszy, Tom.

- Wziąłem ją specjalnie dla ciebie - odparł szorstko jego brat. - Kiedy poczujesz, jak to jest, będziesz za tym szalał. Mogę się założyć.

- Proszę, Tom, nie każ mi tego robić - błagał Guy drżącym głosem, oglądając się rozpaczliwie ku schodom. - Chodźmy do domu, bo ojciec się dowie.
- Dałem jej naszego szylinga - próbował mu przemówić do rozsądku Tom. - Chcesz go zmarnować?

Mary ponownie chwyciła młodszego z bliźniaków za rękę.

- No, chodźże! - Pociągnęła go do siebie. - Bądź grzecznym chłopcem. Wpadłeś mi w oko, uczciwie mówię. Chłopczyk z ciebie jak ta lala, słowo!

- Najpierw Tom! - powtórzył Guy, niemal już oszalały ze strachu.

- No to dobrze! - odepchnęła go zniecierpliwiona i odwróciła się do Toma. -

Niech ci panicz Tom pokaże, jak się to robi. Był tam już dość razy, żeby trafić choćby i na ślepo. - Chwyciła Toma za ramię i pociągnęła ku najbliższemu sarkofagowi. Tak się złożyło, że była to akurat trumna sir Charlesa, bohatera spod Calais. Mary oparła się o nią plecami. - Nie tylko u mnie był - zachichotała w twarz chłopakowi - ale też i u Mabel, i u Jill, chyba że kłamią obie, i u połowy dziewczuch z wioski. Tak powiadają. Niezły ogierek z ciebie, paniczu Tomie! - Sięgnęła do jego bryczesów i pociągnęła ich wiązanie,

18

djednocześnie stając na palcach i przywierając ustami do jego ust.

Tom pchnął ją z powrotem na sarkofag. Usiłował powiedzieć coś do brata i wywracał oczami w jego stronę, lecz kneblowały go miękkie, wilgotne wargi Mary i jej długi koci język, który wpychała mu głęboko w usta.

Wreszcie uwolnił się i łapiąc haustami powietrze, z podbródkiem mokrym i lśniącym od jej śliny, wyszczerzył się w uśmiechu do Guya.

- Teraz pokażę ci najrozkoszniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek zobaczysz w życiu, choćbyś żył nawet sto lat - oznajmił.

Mary wciąż opierała się o kamienną trumnę. Tom pochylił się i wprawnymi palcami rozwiązał tasiemki jej spódnicy, która zsunęła się w dół i ułożyła wokół kostek dziewczyny. Pod spodem była naga, a jej gładkie i białe ciało wyglądało jak uformowane z najlepszego wosku. Przyglądali mu się wszyscy troje; bliźniacy w oszołomieniu, Mary z odcieniem dumy. Po długiej chwili ciszy, przerywanej jedynie urywanym oddechem Toma, Mary obiema rękami ściągnęła bluzkę przez głowę i rzuciła ją na trumnę. Odwróciła twarz, by spojrzeć na Guya.

- Nie chcesz ich? - zapytała, ujmując każdą ze swych pulchnych, białych piersi w jedną dłoń. - Na pewno? - drażniła go, a chłopak stał oniemiały i wstrząśnięty. Następnie przejechała powoli palcami w dół swego śmietankowego ciała, mijając głęboką jamę pępka. Kopnięciem odsunęła spódnice i rozstawiła szeroko nogi, nie odrywając spojrzenia od twarzy Guya. - Chybaś nigdy jeszcze nie widział takiego kociątka, co, paniczu? - zapytała go. Kręczone włoski zaszeleściły cicho pod jej palcami.

Chłopak wydał z siebie zduszony jęk, a Mary zaśmiała się triumfalnie.

- Za późno, paniczu Guyu! - urągała mu. - Szansa przepadła. Musisz teraz poczekać na swoją kolej!

Tom tymczasem opuścił już spodnie do kostek. Mary położyła mu ręce na ramionach i wybiwszy się lekko, wskoczyła na niego, oplatając ciasno ramionami wokół karku, a nogami w pasie. Na szyi miała sznur tanich szklanych paciorków, który dostał się pomiędzy ich ciała. Sznurek pękł i kaskada lśniących perełek potoczyła się na kamienną podłogę. Nawet tego nie zauważyli.

19

Guy patrzył z dziwną mieszaniną przerażenia i fascynacji w oczach, jak jego brat bliźniak przyciska dziewczynę do kamiennego wieka sarkofagu pradziadka, jak ją szturcha i popycha całym ciałem, z twarzą czerwoną z wysiłku, a dziewczyna odpowiada pchnięciami bioder. Nagle zaczęła wydawać krótkie miauknięcia, z każdą chwilą głośniejsze i bardziej przenikliwe, aż przeszły w skowyt.

Guy chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł. Patrzył więc dalej, wystraszony i podniecony jednocześnie, jak jego brat odrzuca głowę w tył, otwiera szeroko usta i wydobywa z siebie straszliwy, pełen bóleści krzyk.

Zabiła go! - pomyślał. Co teraz powiem ojcu? Twarz Toma mocno poczerwieniała i lśniła od potu.

- Tom, nic ci nie jest? - Słowa same wymknęły mu się z ust, nie potrafił ich powstrzymać.

Tom spojrział na niego i wykrzywił się w uśmiechu.

- Nigdy nie czułem się lepiej - odparł. Pozwolił Mary stanąć na podłodze i odsunął się, a ona znów oparła się plecami o trumnę. - Teraz twoja kolej - wydyszał. - Wykorzystaj swoją sześciopensówkę, chłopcze!

Mary także dyszała ciężko, ale parsknęła urywanym śmiechem.

- Daj mi tylko minutkę, żebym złapała, dech, a potem pokażę ci taki galop, że zapamiętasz do końca życia, paniczu Guyu - oznajmiła.

Nagle ze świetlika w kopule krypty posłyszeli dwa ostre gwizdnięcia. Guy aż podskoczył, ze strachu i ulgi jednocześnie. Nie było żadnych wątpliwości, że tym razem ostrzeżenie jest poważne.

- To kot! - zawołał. - Ktoś nadchodzi! Tom, przeskakując z nogi na nogę, naciągał już bryczesy i wiązał je w pasie.

- Znikaj, Mary - rzucił.

Dziewczyna na czworakach usiłowała pozbierać rozsypane paciorki.

- Zostaw to! - krzyknął Tom, lecz zignorowała jego polecenie. Na jej nagich pośladkach odcisnęła się różowymi paskami krawędź sarkofagu. Chłopak miał wrażenie, że może wręcz odczytać odbitą na białej skórze inskrypcję i miał ochotę się roześmiać. Zamiast tego jednak chwycił za ramię Guya. - Uciekamy! To może być ojciec!

Ta myśl dodała im skrzydeł i popędzili w górę schodami, potracając się nawzajem w pośpiechu.

20

Kiedy wydostali się na dwór, znaleźli Doriana w gęstym bluszczu porastającym mury świątynki.

- Kto to, Dorry? - wydyszał Tom.

- Czarny Billy! - pisnął Dorian. - Wyjechał ze stajni na Sułtanie i jedzie ścieżką pod górę. Będzie tu lada chwila.

Tom wyrzucił z siebie najpotężniejsze ze znanych mu przekleństw, którego nauczył się od Dużego Daniela Fishera, bosmana ojca.

- Nie może nas tu złapać. Chodźcie! - zawołał.

Cała trójka popędziła pod ogrodzenie. Tom podsadził Dorianą, a potem wraz z Guyem przeskoczyli na drugą stronę i pomogli zleźć najmłodszemu.

- Cisza, jeden z drugim! - Tom aż parsknął z podniecenia i zadowolenia.

- Co się stało? - popiskiwał Dorian. - Widziałem, jak Mary wchodziła. Zrobiłeś to z nią, Guy?

- Nawet nie wiesz co, a się pytasz - próbował wykręcić się od odpowiedzi młodszy bliźniak.

- Pewnie, że wiem - odparł z oburzeniem Dorian. - Widziałem, jak psy to robią, i barany, i koguty, i byk Herkules, o tak. - Stał na czworakach i przedstawił niesamowitą imitację aktu, bodąc i pompując biodrami, wywiesiwszy język w kąciku ust i wywróciwszy straszliwie oczy. - Robiłeś to z Mary, Guy?

Twarz Guya oblała się rumieńcem.

- Przestań w tej chwili, Dodanie Courtney! Słyszysz! - wykrzyknął.

Tom jednak, zachwycony, parsknął rubasznym śmiechem, wciskając twarz młodszego brata w dłoń.

- Ty zbereźna małpko. Stawiam gwineę, że uwinąłbyś się z tym lepiej niż Guy, obrośnięty czy nie.

- Pozwolisz mi spróbować następnym razem, Tom? - poprosił Dorian stłumionym głosem, twarz miał bowiem przy samej ziemi.

- Pozwolę ci, jak będziesz miał czym spróbować - odparł Tom i puścił go. W tym momencie usłyszeli odgłos końskich kopyt na drodze.

- Cisza - polecił Tom, powstrzymując chichot.

Przypadli do ziemi, starając się powściągnąć uciechę i uspokoić oddechy.

Nasłuchiwali, jak jeździec zbliża się galopem do kaplicy, a potem, ściągawszy cugle, podjeżdża powoli po chrzęszczącym żwirze do jej wrót.

21

- Nie wychylać się - szepnął Tom do braci, sam jednak, zdjawszy czapkę z piórem, ostrożnie wyjrzał ponad kamiennym ogrodzeniem.

William Courtney siedział na Sułtanie. Był znakomitym jeźdźcą; panowanie nad koniem przychodziło mu z naturalną swobodą; być może był to instynkt odziedziczony wraz z afrykańską krwią po matce. Wysoki i smukły, jak zawsze odziany był od stóp do głów na czarno. Dlatego właśnie, pominawszy już barwę

jego skóry i włosów, przyrodni bracia nadali mu przydomek, którego zresztą szczerze nienawidził. Choć był tym razem z gołą głową, najczęściej chodził w kapeluszu z szerokim rondem, ozdobionym pękiem strusich piór. Czarne miał nawet wysokie buty, a także siodło i uprzęż konia. Sułtan był karym ogierem, wyczesanym tak, że jego hebanowa sierść aż lśniła w bladym słońcu. Jeździec i jego rumak prezentowali się imponująco.

Oczywiste było, że przyjechał sprawdzić, jak postępują przygotowania do zaślubin. Ślub zaplanowano tutaj, a nie w kaplicy domowej panny młodej, ponieważ miały po nim nastąpić jeszcze inne ważne ceremonie. Ich obrządek wymagał, by odbywały się w Świątyni Nawigatorów.

William zatrzymał się przy głównych wrotach kaplicy i pochyliwszy się nisko w siodle, zajrzał do wnętrza. Potem się wyprostował i objechawszy powoli budynek, zbliżył się do drzwi zakrystii. Rozejrzał się uważnie i jego spojrzenie pobiegło wprost ku Tomowi. Chłopak zamarł. Powinien być teraz razem z innymi chłopcami u ujścia rzeki i pomagać załodze Simona przy sieciach na łososia. Wędrowni robotnicy, których William najał do żniw, karmieni byli niemal wyłącznie łososiem. Połowy były obfite, więc nie kosztował wiele, ale żniwiarze protestowali przeciwko tak jednostajnej diecie.

Konary jabłoni musiały zasłonić Toma przed bystrym wzrokiem brata, Billy bowiem zsiadł z konia i przywiązał go do żelaznego pierścienia przy drzwiach. Tom utwierdził się w przekonaniu, że brat przyjechał do kaplicy sprawdzić, jak jest przygotowana do ceremonii ślubnej. Zaręczony był ze średnią córką Grenville'ów. Ich związek zapowiadał się wspaniale, a Henry Courtney przez ponad rok negocjował z Johnem Grenville'em, hrabią Exeter, wysokość posagu. Czarny Billy aż się ślini, żeby jej wreszcie dopaść, pomyślał Tom drwiaco, przyglądając się, jak brat przystaje na schodach

22

dkaplicy, by ciężką, obciążoną ołowiem szpicrutą, z którą się nie rozstawał, otrzepać ze swych lśniących czarnych butów kurz. Nim zniknął w środku, William jeszcze raz spojrzął w jego stronę. Cery nie miał bynajmniej czarnej, lecz jasnobursz-tynową. Wyglądał raczej na Hiszpana czy Włocha niż Af-rykanina. Włosy jednak miał kruczoczarne, gęste i błyszczące, zaczesane gładko do tyłu i związane czarną wstążką w kucyk. Ze swym wąskim i prostym etiopskim nosem i skrzącymi się oczami drapieżcy wyglądał niewątpliwie przystojnie, choć groźnie. Ekscytacja i poruszenie, jaką na widok starszego brata okazywały młode panny, budziły w Tomie zazdrość. William zniknął we wnętrzu zakrystii i Tom się wyprostował.

- Poszedł sobie - szepnął do braci. - Chodźcie. Wracajmy do... - Nim skończył zdanie, w kaplicy rozległ się krzyk.

- To Mary! - wykrzyknął Tom. - Myślałem, że uciekła, ale ta mała ślicznotka jeszcze tam jest!

- Czarny Billy ją złapał! - jęknął Guy.

- Ależ będzie kabała! - rzekł Dorian z uciechą i zerwał się na równe nogi, żeby móc lepiej widzieć spodziewane atrakcje. - Jak myślisz, Tom, co on teraz zrobi?

- Nie wiem i nie będziemy czekali, żeby to zobaczyć - odparł Tom, lecz nim zdążył poprowadzić ich rejteradę w dół stromej wzgórza, z drzwi zakrystii wypadła Mary. Nawet z oddalenia widać było, że jest śmiertelnie przerażona. Pędziła, jakby goniła ją sfora wilków. Za moment wybiegł na dwór także William i puścił się za nią w pogoń.

- Wracaj, ty mała wy włóko!

Jego głos dobiegał wyraźnie aż do kryjówki chłopców. Mary jednak się nie zatrzymała, ale podkasawszy wyżej spódnicę, pobiegła jeszcze szybciej. Kierowała się wprost na nich.

William tymczasem odwiązał Sułtana i wskoczywszy lekko na siodło, puścił konia pełnym galopem za dziewczyną. Po chwili bez trudu zajęchał jej drogę i z uniesioną w górę szpicrutą zakrzyknął:

- Stój natychmiast, ty mała plugawa kurewko! Niezłe z ciebie ziółko. Powiedz mi w tej chwili, co tam robiła. - Zamachnął się na nią, lecz Mary zdołała odskoczyć.

- Nie umkniesz mi, suko - znów z zimnym, okrutnym uśmiechem zagroził jej drogę.

- Proszę, nie, paniczu Williamie! - wrzasnęła dziewczyna,

on jednak ponownie zamachnął się szpicrutą, która przecięła ze świstem powietrze. Dziewczyna uchyliła się zwinnie, niczym osaczone zwierzę, i puściła się biegiem, klucząc pomiędzy jabłoniemi, z powrotem ku kaplicy, a William za nią.

- Uciekajmy! - szepnął Guy. - Teraz mamy szansę.

Skoczył na równe nogi i popędził na oślep w dół zbocza. Dorian poszedł w jego ślady, lecz Tom się nie ruszył spod muru. Patrzył w niemym przerażeniu, jak Billy dogania dziewczynę i unosi się nad nią w strzemionach.

- Już ja cię nauczę słuchać, kiedy mówię, że masz się zatrzymać! - zawołał, uderzając szpicrutą.

Tym razem trafił ją między łopatki. Mary, wrzasnąwszy przeraźliwie z bólu i przestachu, padła na trawę.

Na odgłos jej krzyku Tom poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa i zacisnął zęby.

- Nie rób tego! - powiedział na głos, ale starszy brat go nie słyszał. Zeskoczył z konia i stanął nad Mary.

- Co zamierzałaś tu zmalować, ty ladaco? - zapytał.

Dziewczyna leżała w kłębowisku spódnic i bosych nóg.

Uderzył ją ponownie, celując w wykrzywioną płaczem twarz. Ona zasłoniła się odruchowo ręką i przyjęła cios na przedramię. Na białej skórze wykwitła szkarłatna pręga, Mary zakwiliła i zwinęła się z bólu.

- Błagam, nie rób mi krzywdy, paniczu Williamie - prosiła z płaczem.

- Będę cię tłukł aż do krwi, dopóki mi nie wytłumaczysz, co robiłaś w kaplicy, podczas gdy twoje miejsce jest w pomy-walni, przy tłustych garnkach i patelniach. - William uśmiechał się z satysfakcją, wyraźnie rozbawiony.

- Nie robiłam niczego złego, sir. - Mary opuściła ręce, składając je w błagalnym geście, i nie zdążyła już się zasłonić przed kolejnym smagnięciem szpicruty, które trafiło ją w twarz. Dziewczyna zawyła, a po jej zapuchniętym policzku popłynęła krew. - Proszę mnie już nie bić.

Ukryła poranioną twarz w dłoniach i przetoczyła się po ziemi, byle tylko dalej od niego, lecz podwinęła się jej przy tym spódnica. Widząc, że nic pod spodem nie ma, William uśmiechnął się jeszcze szerzej i z upodobaniem przeciągnął teraz szpicrutą po jej nagich pośladkach.

- Co chciałaś ukraść, suko? Po coś tam polazła? Uderzył ją ponownie i kolejna czerwona pręga wykwitła na

24

jej udach. Krzyk Mary smagnał uszy Toma nie mniej boleśnie niż cięcie szpicruty ciało dziewczyny.

- Zostaw ją, Billy, niech cię diabli! - Wyrwało mu się w nagłym odruchu odpowiedzialności i litości nad katowaną służącą. Nie zastanawiając się nawet, co robi, przeskoczył mur i popędził jej na odsiecz.

William nie słyszał, jak nadbiega. Pochłonęła go niespodziewana przyjemność, jakiej doświadczał, wymierzając karę tej nieposłusznej dziewczce. Widok czerwonych smug na jej białej skórze, dziki pisk bólu, zwierzęca woń jej niemytego ciała, wszystko to przejmowało go podnieceniem.

- Po coś tu przyszła?! - ryknął. - Powiesz wreszcie, czy mam ci to wyrwać z gęby batem? - Ledwie powstrzymał się od śmiechu, gdy szpicruta zostawiła następny szkarłatny pasek na nagich ramionach dziewczyny i ujrzał, jak mięśnie pod delikatną skórą kurczą się w udręce.

Tom runął na niego od tyłu. Jak na swój wiek był chłopakiem słusznej postury, niewiele niższym i lżejszym od starszego brata. Sił dodawała mu nienawiść i wściekłość z powodu niesprawiedliwości, której właśnie był świadkiem, a także wspomnienie niezliczonych razów i obelg, jakie wraz z braćmi musiał znosić ze strony Billy'ego. Tym razem na jego korzyść działał też element kompletnego zaskoczenia.

Rąbnął Williama w krzyż akurat w chwili, gdy ten balansował na jednej nodze, próbując kopniakami ustawić sobie Mary do następnego cięcia szpicrutą. Billy poleciał do przodu z taką siłą, że potknawszy się o swą ofiarę, runął na ziemię i przetoczywszy się, wyrzwał głową w pień najbliższego drzewa. Upadał tam i pozostał bez ruchu, zamroczony.

Tom pochylił się nad rozdygotaną i zanoszącą się od płaczu dziewczyną i pomógł jej wstać.

- Uciekaj! Najszybciej jak potrafisz! - Pchnął ją, lecz Mary nie trzeba było popędzać. Pobiegła ścieżką, nie przestając zawodzić, a Tom odwrócił się, by przyjąć teraz na siebie gniew brata.

William siedział na trawie, niepewny jeszcze tego, czyj cios go znokautował. Pomacał się po głowie, wsuwając dwa palce pod pasmo ciemnych włosów, a gdy je wyciągnął, ujrzał krew płynącą z rany powstałej wskutek zderzenia z drzewem. Potrząsnął głową i dźwignął się na nogi. Zauważył w końcu Toma.

- To ty - rzekł miękko, niemal miłym głosem. - Powinienem być się domyślić twojej ręki w tym diabelstwie.

- Ona nic nie zrobiła. - Tom był wciąż zbyt wzburzony, żeby zacząć żałować swego odruchu. - Mogłeś ją srodze poranić.

- Tak jest - zgodził się William. - To właśnie miałem zamiar zrobić. Zasłużyła sobie aż nadto. - Schylił się, by podnieść z ziemi szpicrutę. - Ale skoro uciekła, wypada mi teraz poranić ciebie i wypełnię ten obowiązek z największą przyjemnością.

Smagnął powietrze ciężką szpicrutą w lewo i w prawo z groźnym poświstem.

- Powiedz mi teraz, braciszku, w co się tu bawiliście, ty i ta mała kurewka. Czyżby to było coś plugawego, o czym powinien dowiedzieć się ojciec? Powiedz po dobroci, nim będę musiał ci przyłożyć.

- Prędzej spotkamy się w piekle - odparł Tom, używając jednego z ulubionych powiedzonek ojca.

Pomimo butnej postawy zdażył już pożałować rycerskiego odruchu, który go popchnął do tej konfrontacji. Element zaskoczenia został już wykorzystany i chłopak wiedział, że stoi na kompletnie straconej pozycji. Umiejętności brata nie ograniczały się do studiowania ksiąg. W Cambridge walczył w zapasach, w barwach Kolegium Królewskiego, a to sport, w którym dozwolone było wszystko prócz posługiwania się bronią. Ubiegłej wiosny Tom widział na jarmarku w Exmouth, jak William rozłożył na łopatki miejscowego osiłka, chłopca krzepkiego jak wół, doprowadziwszy go przedtem kopniakami i ciosami pięści niemal do utraty przytomności.

Zastanawiał się, czy po prostu nie spróbować ucieczki. William jednak miał długie, mocne nogi i nawet w butach do konnej jazdy dogoniłby go na przestrzeni stu jardów. To na nic. Przyjął więc postawę do walki, uniósłszy zaciśnięte pięści, tak jak go uczył Duży Daniel.

William roześmiał mu się w twarz.

- Na świętego Piotra i wszystkich świętych, kogucik chce się bić!

Rzucił szpicrutę na ziemię, lecz ręce trzymał zwieszane luźno, zbliżając się do Toma leniwym krokiem. Nagle wyrzucił w przód prawe ramię, zupełnie bez ostrzeżenia, i Tomowi ledwie się udało uskoczyć do tyłu. Pięść przeciwnika zawadziła jednak

26

o jego wargę, która natychmiast opuchła. Usta chłopaka wypełnił lepki smak krwi, a jego zęby pokryły się czerwienią, jakby się najadł malin.

- No i proszę! Pierwsza jucha się polała. Zaraz utoczmy więcej, masz na to moje słowo. Zanim skończymy sprawę, uzbiera się z beczułka. - William zamarkował cios prawą, a kiedy Tom zrobił unik, wypuścił lewego haka, celując w głowę. Tom zablokował uderzenie zgodnie z naukami Dużego Daniela. William wyszczerzył się w uśmiechu. - Małpeczka nauczyła się paru sztuczek - mruknął tylko, lecz jego przymrużone oczy zdradziły, że się tego nie spodziewał.

Znowu rozpoczął prawą, a Tom znów zrobił niski unik, a następnie oburącz zamknął ramię przeciwnika w desperackim uścisku. Ten instynktownie szarpnął się do tyłu, Tom zaś, miast stawiać opór, wykorzystał energię, by doń przyskoczyć, kopiąc na oślep. Billy stracił na moment równowagę i jeden z kopniaków Toma trafił go prosto w krocze. Aż zgiał się wpół i chwyciwszy się obiema dłońmi za urażone miejsce, jęknął z bólu. Tom zakręcił się na pięcie i ruszył pędem ścieżką w stronę domu.

Widząc jego ucieczkę, William zmusił się do zignorowania bólu i ruszył w pogoń, choć jego smagła twarz wykrzywił grymas udręki. Uraz spowolnił ruchy, lecz mimo to nieubłagane krok za krokiem Billy doganiał brata.

Ten zaś, usłyszawszy za sobą tupot, obejrzał się przez ramię i stracił kolejny jard. Słyszał ciężki oddech swego prześladowcy i wydawało mu się, że niemal czuje na karku jego powiew. Wiedział już, że nie ucieknie Williamowi. Rzucił się więc na ziemię i zwinął w ciasny kłębek.

William znajdował się już tak blisko i biegł tak szybko, że nie był w stanie się zatrzymać. Żeby uniknąć zderzenia z Tomem, mógł go jedynie przeskoczyć. Przyszło mu to z łatwością, Tom jednak odwrócił się pośrodku błotnistej ścieżki na grzbiet i chwycił go za kostkę. Siłę uchwytu wzmocnił strach i Czarny Billy runął jak długi na twarz. Przez moment był zupełnie bezradny i Tom, zerwawszy się na równe nogi, miał się już rzucić do ucieczki, gdy nagle gniew i nienawiść zaćmiły mu rozsądek.

Kiedy ujrzał rozciągniętego w błocie Czarnego Billy'ego, pokusa okazała się zbyt silna: po raz pierwszy w życiu starszy brat znalazł się na jego łasce. Tom zamachnął się z całej siły prawą nogą i kopnął. Trafił leżącego w policzek tuż przy uchu,

27

lecz efekt okazał się inny od oczekiwanego. William wydał z siebie wściekły ryk i chwycił Toma za nogę obiema rękami. Z ciężkim sieknięciem posłał chłopaka w paprocie przy ścieżce, po czym dzwignął się na nogi i rzucił na niego, nim ten zdołał się pozbierać.

Usiadłszy mu na piersi, przycisnął jego nadgarstki do ziemi tuż przy głowie. Tom nie mógł się poruszyć i ledwie oddychał, gdyż ciężar napastnika gruchotał mu żebra. William wciąż dyszał i sapał, lecz powoli uspokajał oddech i w końcu na jego twarz powrócił grymas uśmiechu.

- Zapłacisz mi za tę zabawę, szczeniaku. Zapłacisz ciężką monetą, przyrzekam ci to - wymamrotał. - Zaraz z tobą skończę, niech no tylko złapię dech. - Z jego podbródka kapały na twarz Toma krople potu.

- Nienawidzę cię! - rzucił mu prosto w twarz młodszy brat. - Nienawidzimy cię; moi bracia, cała służba, każdy kto cię choć trochę zna... wszyscy cię nienawidzą!

William puścił nagle jego nadgarstki i trzasnął go ze złością na odlew w twarz wierzchem dłoni.

- Od lat usiłuję nauczyć cię dobrych manier - rzekł cicho - ale ty jesteś wyjątkowo tępy.

Oczy Toma wypełniły łzy bólu, lecz mimo to zdołał zgromadzić w ustach dość śliny, by pluć w śniadą twarz nad sobą. Ślina pociekła po policzku Williama, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Dopadnę cię, Czarny Billy! - wydusił z siebie pełnym udręki szeptem Tom. - Pewnego dnia cię dopadnę.

- Nie sądzę - pokręcił głową starszy brat i uśmiechnął się złośliwie. - Czyżbyś nie słyszał nigdy o primogeniturze, mały małpiszonie? - Ponownie wymierzył chłopakowi potężny policzek.

Wzrok Toma stał się szklisty, a w jednej z dziurek w nosie pojawiła się krew.

- Odpowiedz, braciszku. - William trzasnął go drugą ręką w bok głowy. - Wiesz, co to jest? No, gadaj, laleczko!

Czarny Billy zadał kolejny cios lewą ręką, potem znów prawą i uderzenia nabrały rytmu. Prask, prawą. Prask, lewą. Głowa Toma toczyła się bezwładnie w tę i z powrotem i chłopak szybko tracił przytomność.

- Primogenitura - prask! - to jest - prask! - prawo - prask! - pierwородnego - prask!

Następne uderzenie padło zza pleców Williama. Dorian,

28

który zawrócił ścieżką pod górę, zobaczył, co się dzieje z jego ulubionym starszym bratem, a ciosy spadające na głowę Toma zabolowały go niemal tak samo, jakby to on obrywał. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni. Na skraju ścieżki walało się sporo odłamanych gałęzi. Pochwycił jedną z nich, grubą jak własny przegub i długą jak ręka, i zakradł się do Williama od tyłu. Przytomnie postarał się nie zdradzić swoich zamiarów przedwcześnie, lecz w milczeniu zamachnął się kijem najwyżej jak mógł. Zebrał się w sobie, przymierzył i wreszcie rąbnął Billy'ego w czubek głowy z taką siłą, że gałąź pękła na dwoje.

William złapał się oburącz za obolały łeb i stoczył z piersi Toma. Zobaczył Doriana i dobył z siebie wściekły ryk.

- Co za śmierdząca zgraja! - wrzasnął, dźwigając się niepewnie na nogi. - I ten najmłodszy kundel też!

- Zostaw mojego brata! - zawołał Dorian, pobladły z przerażenia.

- Uciekaj, Dorry! - wychrypiał na pół przytomnie Tom, który leżał wciąż w paprociach, nie mając siły się podnieść. - On cię zabije, uciekaj!

Dorian jednak nie podał tyłów.

- Zostaw Toma w spokoju - powtórzył. - William postąpił krok ku niemu.

- Wiesz przecież, Dorry, że twoja matka była kurwą - rzekł z uśmiechem i zrobił następny krok, odrywając ręce od bolącej głowy. - To znaczy, że ty jesteś małym skur-wysynkiem.

Dorian nie był całkiem pewien, co to jest kurwa, odparł jednak ze złością:

- Nie wolno ci tak mówić o mojej mamie. - Mimowolnie cofnął się o krok, gdyż William był coraz bliżej.

- Dwidziś mamusi - zadrwił Czarny Billy. - No cóż, dwidziusiu, twoja mamusia kurwa już leży w grobie.

- Nie mów tak! Nienawidzę cię, Williamie Courtneyu! - zawołał Dorian ze łzami w oczach.

- Ciebie też trzeba będzie nauczyć manier, dwidziusiu Dorry. - Dłonie Williama zacisnęły się na karku najmłodszego brata i z łatwością uniosły wierzgającego dzieciaka w powietrze. - Maniery uczynią z ciebie człowieka - oznajmił i przycisnął go do pnia czerwonego buka, pod którym stali. - Musisz się ich nauczyć, Dorry.

Nacisnął oboma kciukami tchawicę chłopca, obserwując

29

ważnie, jak jego twarz obrzmiewa i purpurowieje. Nogi Doriana kopały bezradnie pień, paznokciami drapał dłonie prześladowcy, pozostawiając na nich czerwone pręgi, lecz nie wy dobył z siebie dźwięku.

- Jadowite żmije - rzekł William. - Oto, czym jesteście, gniazdem żmij. Będę musiał was wyplenić.

Tom wygramolił się wreszcie z paproci i podpełzł do starszego brata.

- Proszę, Billy - objął go za nogi - zostaw Dorry'ego. Uderz mnie. Nie rób mu krzywdy; on nie chciał!

William odrzucił go kopnięciem, wciąż przyciskając Doriana do drzewa. Stopy dzieciaka tańczyły pół jarda nad ziemią.

- Szacunek, Dorry, oto czego się musisz nauczyć. - Zwolnił ucisk palców, pozwalając swej ofierze zaczerpnąć powietrza, i przydusił ją znowu. Dorian walczył w milczeniu, choć coraz gwałtowniej.

- Weź mnie! - błagał Tom. - Puść Dorry'ego, on już ma dość. - Udało mu się wstać i opierając się o pień drzewa, szarpał brata za rękaw.

- Plunąłeś mi w twarz - odparł ponuro William - a ta mała żmija chciała mi rozwalić łeb. Teraz sobie popatrz, jak się dusi.

- William! - rozległ się nagle z boku inny głos, ochrypliły z gniewu. - Co ty wyprawiasz, do diabła ciężkiego! - Coś trzepnęło Billy'ego w poprzek wyprostowanych ramion i puściwszy chłopca w błoto, ujrzał przed sobą twarz ojca. Hal Courtney uderzył najstarszego syna po rękach pochwą miecza, żeby go zmusić do oderwania się od Doriana, a teraz bliski był zwałenia go tą samą bronią z nóg.

- Czyś ty oszalał? Co chciałeś zrobić Dorianowi? - zapytał drżącym z wściekłości głosem.

- Musiałem go... to była tylko zabawa, ojczy. Wyglupialiśmy się. - Złość Williama cudownym sposobem gdzieś się ulotniła, wydawał się całkiem opanowany. - Nic mu się złego nie stało. Żartowałem tylko.

- Dzieciak jest na wpół uduszony - warknął Hal. Przyklękawszy na jedno kolano, podniósł najmłodszego syna z błota i przycisnął czułym gestem do piersi. Dorian wtulił twarz w jego kark i krztusząc się, chwycił ze szlochaniem powietrze. Na miękkiej skórze jego szyi wyraźnie czerwieniły ślady palców oprawcy, a twarz miał całą usmarowaną łzami. Hal Courtney spojrział na Williama. - Nie pierwszy raz roz-

30

mawiamy o złym traktowaniu przez ciebie młodszych braci - rzekł po chwili. - I, na Boga, Williamie, porozmawiamy sobie jeszcze o tym dziś wieczór po kolacji, w bibliotece. A teraz zgiń mi z oczu, zanim stracę panowanie nad sobą.

- Tak, sir - powiedział William pokornie i ruszył ścieżką z powrotem do kaplicy. Na odchodnym rzucił jednak Tomowi spojrzenie nie pozostawiające wątpliwości, że nie uważa sprawy między nimi za załatwioną.

- A tobie co się stało, Tom? - zapytał teraz Hal.

- Nic, ojcie - odparł honorowo chłopak. - Nic takiego. - Otarł rękawem krwawiący nos. Gdyby opowiedział, co się naprawdę wydarzyło, byłoby to pogwałcenie jego własnego kodeksu honorowego, a tego nie chciał robić nawet wobec tak znienawidzonego przeciwnika, jakim był Czarny Billy.

- Dlaczego więc nos ci krwawi, a twarz masz spuchniętą i czerwoną niczym dojrzałe jabłko? - Hal mówił tonem gburowatym, lecz spokojnym: chciał sprawdzić chłopaka.

- Przewróciłem się - oświadczył Tom.

- To prawda, że czasami jest z ciebie prawdziwa łamaga, Tom. Czy jednak jesteś pewien, że ci ktoś w tym nie pomógł?

- Jeżeli nawet tak, to jest to sprawa między nim i mną, sir. - Tom wyprostował się dziarsko, by ukryć ból i urazy.

- No dobrze, chłopcy, chodźmy do domu - rzekł Hal, obejmując go ramieniem, a drugą ręką klepiąc Doriana w pierś. Poprowadził ich na skraj lasu, gdzie przywiązał konia. Zanim wskoczył na siodło, posadził Doriana na końskim karku, a potem wsunął stopy w strzemiona i podał rękę Tomowi, pomagając mu usiąść z tyłu. Starszy syn objął ojca ramionami w pasie i przytulił swą napuchniętą, posiniaczoną twarz do jego pleców. Uwielbiał ciepło i zapach ojcowskiego ciała, jego twardość i siłę. Przy nim czuł się bezpieczny od wszelkiego zła. Zbierało mu się na płacz, lecz zdołał się powstrzymać.

- Nie jesteś dzieckiem - szepnął do siebie. - Dorry'emu przystoi płacz, ale tobie nie.

- Gdzie jest Guy? - zapytał ojciec, nie odwracając głowy. "Uciekł", miał już na końcu języka Tom, pohamował się jednak w porę; to byłoby niełojalne.

- Poszedł chyba do domu, sir - odpowiedział. Hal jechał dalej w milczeniu, czując przytulone do siebie dwa ciepłe ciała. Cierpiał z powodu bólu, który oni czuli, lecz

31

jednocześnie nękała go gniewna świadomość własnej bezsilności. Nie pierwszy raz wciągnięty został w ten zadawniony konflikt między braćmi zrodzonymi przez trzy jego żony. Zdawał sobie sprawę, że w tych zmaganiach najmniejsze szansę ma najmłodszy, a ich rezultat może być tylko jeden.

Na myśl o tym jego twarz przybrała posępny wyraz. Hal Courtney miał czterdzieści dwa lata - William urodził się, gdy nie miał jeszcze dwudziestu - każdy przejaw konfliktu pomiędzy czterema synami powodował jednak, że czuł się stary i przygnieciony koniecznością ciągłego baczenia na nich. Problem polegał na tym, że Williama kochał równie mocno, jeśli nie mocniej, niż nawet małego Doriana. William był bowiem jego pierworodnym, synem Judith Nazet, porywczej, pięknej wojowniczką z serca Afryki, do której pałał uczuciem namiętnym i oszałamiającym. Kiedy zginęła pod kopytami własnego dzikiego ogiera, pozostawiła w jego życiu bolesną pustkę. Tej wyrwy przez wiele lat nie mogło wypełnić nic poza pięknym potomkiem, jakiego mu pozostawiła.

Hal wychowywał syna sam; pragnął, żeby był twardy, zaradny i inteligentny. I Billy miał te wszystkie cechy, a nawet jeszcze więcej. Było w nim także coś z dzikości i okrucieństwa mrocznego, tajemniczego kontynentu, z którego pochodził; coś, czego nie dawało się poskromić. Hal bał się tego, lecz jednocześnie tak naprawdę wcale nie pragnął niczego zmieniać. Sam był człowiekiem twardym i bezwzględny, jakże więc mógłby zwalczać te cechy u własnego pierworodnego?

- Ojcie, co to znaczy "primogenitalia"? - zapytał nagle Tom, głosem stłumionym przez płaszcz Hala.

- Gdzie to słyszałeś? - zapytał Hal. Pytanie tak bardzo współbrzmiało z jego własnymi myślami, że aż przeszedł go dreszcz.

- Ktoś to powiedział - mruknął Tom. - Nie pamiętam już kto.

Hal doskonale wiedział, kto to mógł być, nie naciskał jednak chłopca, który już dość tego dnia wycierpiał. Zamiast tego chciał mu udzielić uczciwej odpowiedzi, gdyż Tom dorósł już do tego. Nadszedł czas, żeby dowiedział się, jakie próby czekają go w życiu jako młodszego syna.

- Primogenitura, Tom - poprawił go - to znaczy prawo pierworodnego.

32

- Billy'ego - powiedział cicho Tom.

- Tak jest, Billy'ego - potwierdził uczciwie Hal. - Według prawa angielskiego jest on moim bezpośrednim następcą i sprawuje władzę nad młodszymi braćmi.

- Nad nami - rzekł Tom z nutą goryczy w głosie.

- Tak, nad wami trzema. Kiedy ja odejdę, cały majątek przechodzi na niego.

- To znaczy, kiedy umrzesz - z nieodpartą logiką wtrącił Dorian.

- Zgadza się, Dorry; kiedy umrę.

- Ja nie chcę, żebyś umierał - zakwilił Dorian głosem wciąż ochrypłym z powodu urażonej krtani. - Obiecuj mi, że nigdy nie umrzesz, ojcze!

- Chciałbym, chłopcze, ale to niemożliwe. Każdy musi kiedyś umrzeć.

Dorian zamilkł na chwilę.

- Ale nie jutro? - zapytał w końcu.

- Nie, nie jutro - zaśmiał się Hal. - Mam zamiar żyć jeszcze przez wiele długich lat, jeśli się da. Ale któregoś dnia i tak się to stanie. Zawsze tak jest. -

Wiedział, jakie pytanie teraz usłyszy.

- A wtedy Billy zostanie sir Williamem - rzekł Tom. - To chciałeś nam powiedzieć, prawda?

- Tak. William otrzyma tytuł baroneta, ale to nie wszystko. Dostanie również całą resztę.

- Całą resztę? Nie rozumiem. - Tom podniósł głowę znad pleców ojca. - Mówisz o High Weald? O domu i całej naszej ziemi?

- Tak jest. To wszystko stanie się własnością Billy'ego. Cała posiadłość, dom, pola i pieniądze.

- To nie jest w porządku! - zawołał z wyrzutem Dorian. - Dlaczego Tom i Guy też nie mogą trochę dostać? Oni są lepsi niż Billy; to niesprawiedliwe!

- Może i niesprawiedliwe, ale tak stanowią prawa tego kraju.

- Ale to nie jest w porządku - upierał się Dorian. - Billy jest wstrętny!

- Jeżeli będziesz szedł przez życie, oczekując tylko uczciwości i sprawiedliwości, spotka cię wiele przykrych rozczarowań, mój chłopcze - odparł łagodnie Hal i przytulił syna. Chciałbym móc sprawić, żeby ciebie to ominęło, pomyślał.

33

- Kiedy umrzesz, Billy nie pozwoli nam zostać w High Weald - skonstatował ponuro Tom. - Każe nam się wynosić.

- Tego nie możesz być pewien - zaprotestował Hal.

- Mogę, ojcze - odrzekł Tom z przekonaniem. - Powiedział mi to i wiem, że mówił poważnie.

- Pójdziesz własną drogą, Tom. Dlatego musisz być twardy i zaradny. Dlatego też czasami bywam dla ciebie surowy, i to o wiele bardziej, niż kiedykolwiek byłem dla Williama. Musisz nauczyć się radzić sobie, kiedy mnie już nie będzie. - Hal zamilkł na chwilę. Byli jeszcze dziećmi, czy potrafi im to zrozumiale wyłożyć? Musi spróbować, był im winien to wyjaśnienie. - Primogenitura, prawo pierworodnego, służy zachowaniu wielkości Anglii - rzekł. - Gdyby za każdym razem, kiedy ktoś umiera, dzielono jego ziemię między wszystkie dzieci, wkrótce cały kraj składałby się z małych, bezużytecznych poletek, niezdolnych wyżywić nawet jednej rodziny. Stalibyśmy się narodem chłopów i nędzarzy.

- Ale co my mamy zrobić? - zapytał Tom. - Ci, którzy nic nie dostaną?

- Stoi przed wami otworem wojsko, marynarka i Kościół. Możecie wyruszyć w świat jako kupcy lub osadnicy i powrócić z jego najdalszych zakątków, z samych rubieży oceanu, przywożąc skarby i bogactwa większe nawet od tego, co odziedziczy po mnie William.

Przez dłuższą chwilę rozważali jego słowa w zupełnym milczeniu.

- Zostanę żeglarszem, jak ty, ojcze - oznajmił w końcu Tom. - Popłynę aż na krańce najdalszych mórz, tak jak ty to zrobiłeś.

- A ja z tobą, Tom - powiedział Dorian.

Siedząc w pierwszej ławce rodzinnej kaplicy, Hal Courtney miał wszelkie powody ku temu, żeby odczuwać zadowolenie z siebie i świata. Przyglądał się czekającemu przed ołtarzem najstarszemu synowi, podczas gdy organy wypełniały niewielką świątynię radosnymi tonami. W stroju weselnym William prezentował się niezwykle przystojnie i dziarsko. Na tę wyjątkową okazję porzucił swoją nieodłączną posępną czerń. Miał na sobie kaftan z zielonego aksamitu, wyszywany w złote jelenie, z kołnierzykiem z najdelikatniejszej flamandzkiej ko-

34

ronki. Pochwa jego miecza wysadzana była krwawnikami i lazurytami. Większość obecnych w kaplicy kobiet wpatrywała się w Williama, a młodsze z nich, chichocząc, wymieniały szeptem uwagi na jego temat.

Trudno by było wymarzyć sobie lepszego syna, skonstatował w myśli Hal. William sprawdził się zarówno w sportach, jak i w nauce. Jego wychowawca z Cambridge chwalał pracowitość i pojętność swego podopiecznego, który był także między pierwszymi w zapasach, jeździe konnej i sokolnictwie. Kiedy po studiach wrócił do High Weald, dowiódł również swoich zdolności jako administrator i przedsiębiorca. Hal stopniowo dawał mu coraz większą swobodę w prowadzeniu majątku i kopalń cyny, aż w końcu mógł niemal całkiem się wycofać z bieżącego zawiadywania rodzinnymi interesami. Jeśli coś w ogóle niepokoiło go w tym wszystkim, to chyba tylko nadmierna twardość Williama wobec kontrahentów i zbyt bezwzględne traktowanie przezeń pracowników. Zdarzyło się nieraz, że któryś z górników poniósł śmierć na przodku w kopalni, choć można było temu zapobiec, poświęcając nieco więcej uwagi ich bezpieczeństwu i wydając trochę pieniędzy na umocnienie szybów czy dodatkowe stemple. W ciągu ostatnich trzech lat dochody z kopalń i z ziemi niemal się podwoiły i był to wystarczający dowód kompetencji Williama.

A teraz czekał go ten przeświatny związek małżeński. Oczywiście Hal popchnął go lekko w stronę lady Alice Grenville, lecz William po krótkich zalotach zdołał jej sam tak zawrócić w głowie, że przekonała swego ojca o stosowności ich małżeństwa, choć początkowo miał pewne wątpliwości. Bądź co bądź, William Courtney był dlań człowiekiem z gminu.

Hal spojrział na hrabiego, który siedział we frontowej ławie po drugiej stronie nawy. John Grenville, starszy od niego o dziesięć lat, był mężczyzną chudym i pospolicie ubranym, co nie licowało z pozycją jednego z najpotężniejszych właścicieli ziemskich w Anglii. Jego ciemne oczy osadzone były głęboko w pokrytej niezdrową bladością twarzy. Pochwycił teraz spojrzenie Hala i skłonił się lekko, obojętnie, bez wrogości czy sympatii, choć kiedy spierali się co do wysokości posagu Alice, padło między nimi wiele ostrych słów.

W rezultacie żona wniosła Williamowi w wianie tytuł do ponad tysiączakowych farm w Gainesbury oraz czynne kopalnie cyny we wschodnim i południowym Rushwold.

Popyt na cynę

35

był w ostatnich latach wręcz nienasycony i Rushwold znakomicie uzupełniło zasoby surowca, których wydobyciem tak sprawnie zarządzał już wcześniej William.

Większa liczba kopalń poza zwiększeniem wydobycia przynosiła także obniżenie kosztów transportu drogocennej rudy na powierzchnię. Nie był to jeszcze cały posag Alice. Ostatnią jego część, której wydźwignienie od Grenville'a ucieszyło Hala chyba najbardziej, stanowił pakiet udziałów w Angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej; dwanaście tysięcy akcji z pełnym prawem głosu. Hal już był jednym z głównych udziałowców i dyrektorów kompanii, dodatkowe akcje zwiększały jednak wagę jego głosu i czyniły go jednym z najbardziej wpływowych członków zarządu po jego przewodniczącym Nicolasi Childsie.

Miał więc wszelkie powody ku temu, by czuć się w pełni ukontentowany. Czymże w takim razie było owo dziwne uczucie, zakłócające jego satysfakcję, drażniące niczym pyłek w oku? Czasami, kiedy jechał samotnie urwistym wybrzeżem, wpatrując się w zimne i szare morze, powracał pamięcią do ciepłych, lazurowych wód Oceanu Indyjskiego. Kiedy wypuszczał sokoła, coraz częściej zdarzało mu się śledzić wzrokiem gwałtowne uderzenia jego skrzydeł na tle nieba i przypominać sobie jednocześnie błękitniejszy i wyższy nieboskłon Afryki. Bywało, że wieczorami wyciągał z półek swoje stare mapy i ślęczał nad nimi całymi godzinami,

odczytując uwagi naniesione własną ręką przed dwudziestu laty i marząc o błękitnych górach Afryki, o jej białych plażach i potężnych rzekach. Kiedyś, całkiem niedawno, obudził się w środku nocy spocony i oszołomiony. Sen był taki wyraźny, tak żywo przeżywał w nim ponownie tamte tragiczne wydarzenia. Ona znów była u jego boku, piękna złocista dziewczyna, jego pierwsza prawdziwa miłość. Kolejny raz umierała w jego ramionach. "Umrę wraz z tobą, najdroższa" - mówił znowu, czując, jak przy tych słowach pęka mu serce.

"Nie -jej słodki głos słabł coraz bardziej. - Ty pójdiesz dalej. Szłam z tobą, póki mi pozwolono. Ale ciebie opatrzność przeznaczyła do rzeczy wielkich... Będziesz żył. Będziesz miał wielu silnych synów, a ich potomkowie zaludnią ten kontynent i uczynią go swoim". Hal przymknął powieki i pochylił głowę jakby w modlitwie, żeby nikt ze zgromadzonych nie spostrzegł łzy w kącie jego oka. Po chwili otworzył oczy i objął spo-

36

jrzeniem synów, których mu tyle lat temu przepowiedziała ukochana.

Tom z budowy ciała i z charakteru przypominał ojca najbardziej. Grubokościsty, silny na swój wiek, miał oko i dłoń wojownika. Był niespokojnym duchem, szybko nudziły go rutynowe czynności i wszelkie zadania wymagające długiego skupienia i skrupulatności. Nie był mołem książkowym, ale bynajmniej nie brakowało mu inteligencji i pomysłowości. Z wyglądu sympatyczny, był jednak niezbyt przystojny, usta i nos miał bowiem za duże. Cała twarz z mocno zarysowaną szczęką znamionowała siłę i stanowczość. Był impulsywny, czasem wręcz nierozważny i niemal nie znał strachu, a śmiałość nie zawsze wychodziła mu na dobre. Najświeższe siniaki na jego twarzy mieniły się różnymi odcieniami żółci i brudnej purpury. To było dla Toma typowe: postawić się komuś starszemu i dwa razy silniejszemu od siebie, nie zważając na konsekwencje.

Hal oczywiście dowiedział się prawdy o całym zajściu w lesie pod kaplicą. William powiedział mu o Mary, służebnej z pomy-walni, a od niej usłyszał wyznanie zupełnie niemal bezładne i przerywane gorzkim szlochaniem.

- Jestem uczciwą dziewczyną, sir, Bóg mi świadkiem. Nic nie ukradłam, to nieprawda, co panicz William mówi. To były tylko żarty, nic takiego. A potem panicz William przyszedł do kaplicy i mówił takie brzydkie rzeczy na mnie i mnie bił. - Roniąc obficie łzy, Mary podkasła spódnicę, by mu pokazać rozplamione ślady szpicruty na udach.

- Zakryj się, dziewucho - rzekł pośpiesznie Hal.

Wiedział, co sądzić ojej niewinności. Dostrzegł ją już wcześniej, choć zwykle nie bardzo się interesował kobietami, których dwa tuziny z górą pracowały w głównym dworskim budynku. Miała zuchwałe spojrzenie, a zmysłowe zaokrąglenia jej pośladków i biustu też trudno było przeoczyć.

- Panicz Tom próbował go powstrzymać, bo panicz William byłby mnie chyba zabił - ciągnęła. - Z panicza Toma to dobry chłopak. On nic złego nie zrobił.

A więc Tom już próbował zakosztować tego smakowitego ciałka, pomyślał Hal. Ale to nic, to chłopakowi nie zaszkodzi. Dziewczyna zapewne gruntownie go przeszkoliła w tej starej grze, a kiedy William ich nakrył, Tom stanął w jej obronie. Odruch godzien pochwały, lecz samo działanie nieroztropne:

37

obiekt tej rycerskiej donkiszoterii ledwie zasługiwał na tak zawziętą lojalność. Hal odesłał Mary do kuchni i zamienił na osobności słowo z rzadcą, który w ciągu dwóch dni znalazł dziewczynie inne zatrudnienie. Została kelnerką w gospodzie Royal Oak w Ply-mouth i po cichu zniknęła z High Weald. Hal nie chciał za dziewięć miesięcy zobaczyć jej u swych kuchennych drzwi z zawiniątkiem u piersi. Westchnął cicho. Niedługo także i Tomowi będzie musiał znaleźć inne zatrudnienie. Chłopak nie mógł już dłużej przebywać w domu. Był prawie mężczyzną. Niedawno Aboli zaczął go uczyć władania szpadą - Hal zwlekał z tym, aż jego syn nabrał dostatecznej siły w rękach, widywał już bowiem mło-dziaków zmarnowanych przez to, że zaczęli fechtować zbyt wcześnie. Sama myśl o tym, że Tom w kolejnym przypływie wściekłości mógłby wyzwąć do walki Williama, przejmowała go dreszczem: Billy był świetnym szermierzem. W Cambridge ciężko zranił kolegę pchnięciem pod żebra. Była to sprawa honorowa, lecz Hal musiał użyć wszystkich swych wpływów i poświęcić sakiewkę złotych gwinei, żeby ją wyciszyć. Pojedynkowanie się było legalne, choć niechętnie tolerowane; gdyby

chłopak zginął, nawet Hal nie byłby w stanie uchronić syna przed konsekwencjami. Sama myśl o tym, że dwaj jego synowie mogliby próbować rozstrzygnięcia waśni za pomocą broni, była nie do zniesienia; jeżeli jednak ich szybko nie rozdzielili, mogła się stać rzeczywistością. Musi więc znaleźć Tomowi wolną koję na jednym ze statków Kompanii Johna, jak nazywano pieszczotliwie Angielską Kompanię Wschodnioindyjską. Tom poczuł na sobie spojrzenie ojca i odwzajemnił je uśmiechem tak szczerym i niewinnym, że Hal musiał odwrócić głowę. Guy siedział obok swego brata bliźniaka. To był kolejny problem, lecz zupełnie innego rodzaju, zadumał się Hal. Choć w rodzie Courtneyów bliźnięta trafiały się często, niemal w każdym pokoleniu, Tom i Guy zupełnie nie byli do siebie podobni. Różnili się we wszystkim.

Guy był z nich dwóch zdecydowanie przystojniejszy: miał delikatne, niemal kobiece rysy i zgrabne ciało, któremu brakowało jednak siły fizycznej i energii Toma. Z natury ostrożny, można by rzec bojaźliwy, był jednak bystry i inteligentny; potrafił przyłożyć się do najbardziej nawet monottonnych i powtarzających się zajęć z pełną koncentracją.

38

Hal nie żywił dość powszechnej wśród szlachty pogardy wobec kupców i lichwiarzy i nie wzdragał się przed zachęcaniem jednego z synów do pójścia w tym kierunku. Uznał, że dla Guya taki wybór byłby najodpowiedniejszy; trudno go było sobie wyobrazić jako żołnierza lub żeglarza. Zmarszczył brwi. W Kompanii Johna istniały liczne możliwości pracy w charakterze urzędników i sekretarzy. Te bezpieczne i pewne zajęcia dawały okazję szybkiego awansu, szczególnie bystremu, przedsiębiorczemu chłopakowi, którego ojciec był jednym z dyrektorów firmy. W przyszłym tygodniu musi o tym porozmawiać z Childsem.

Hal zamierzał wyruszyć do Londynu nazajutrz z samego rana, gdy tylko zaślubiny Williama z lady Alice oczekają się szczęśliwego finału, a majątek Courtneyów powiększy się o jej posag. Konie stały w gotowości; Duży Daniel z Abolim mogli je zaprząć i przygotować powóz do drogi w ciągu godziny. Nawet przy najszybszych koniach podróż do Londynu zabierze mu jednak co najmniej pięć dni, a cokwartalne zebranie zarządu Kompanii wyznaczono na pierwszy dzień następnego miesiąca. Muszę zabrać chłopców ze sobą, uświadomił sobie nagle. To niespodziewane postanowienie stanowiło miarę jego zatroskania. Prowokowałby opatrność, pozostawiając ich w High Weald z Williamem jako jedynym panem posiadłości, gdy sam nie mógłby pełnić roli mediatora i obrońcy. Nawet Dorian lepiej niech pojedzie z nami, zdecydował.

Spojrzał z lubością na najmłodszego syna, który usadowił się na twardej dębowej ławie tuż przy nim. W odpowiedzi otrzymał promienny, pełen uwielbienia uśmiech i Dorian przysunął się bliżej. Dotknięcie jego dziecięcego ciała dziwnie poruszyło Hala. Położył od niechcienia dłoń na ramieniu najmłodszego syna. Za wcześnie jeszcze prorokować, co z niego wyrośnie, pomyślał. Wyglądało na to, że miał najlepsze cechy pozostałych, lecz bez ich słabych punktów. Z pełną oceną należało się jednak na razie powstrzymać.

Z rozmyślań wyrwały go dramatyczne tony organów. Popłynęły pierwsze dźwięki marsza weselnego. Wśród zebranych podniósł się szum. Wszyscy odwrócili się ku wejściu do kaplicy i wyciągnęli szyje, chcąc dojrzeć wchodzącą pannę młodą. Choć słońce stało jeszcze poniżej wierzchołków drzew i tylko pojedyncze promienie docierały do najwyższych szczytów i wie-

39

Ś 1

życzek zamku, wyruszających do Londynu zegnało całe domostwo, poczawszy od Williama i jego żony, ekonoma Bena Greena i zarządcy domu Evana, a skończywszy na najpośled-niejszych pomocach kuchennych i parobkach.

Ustawili się wszyscy według starszeństwa na wielkich schodach przed głównym wejściem; najniższa ranga czeladź stała równym szeregiem na wielkim trawniku. Duży Daniel z Abolim siedzieli już na koźle powozu, a z końskich pysków unosiły się w porannym chłódzie obłoki pary.

Hal uściskał krótko Williama. Lady Alice, zaróżowiona i promieniejąca szczęściem i miłością, wisiła u ramienia męża, wpatrując się weń z uwielbieniem. Młodszy synowie zgodnie z poleceniem ojca stanęli za nim, by po kolei i bez uśmiechu

uścisnąć dłoń najstarszego, a potem, pokrzykując z podniecenia, popędzić do czekającego powozu.

- Czy mogę pojechać na koźle z Abolim i Dużym Danielem? - poprosił Tom.

Ojciec skinął przyzwalająco głową.

- A ja? - przyskoczył do niego Dorian.

- Ty pojedziesz w środku, ze mną i panem Walshem - odparł Hal.

Pan Walsh był guwernerem chłopców i Doriana czekały cztery dni w zamknięciu z nim i jego książkami do łaciny, francuskiego i arytmetyki.

- Proszę, ojczy, dlaczego ja nie mogę? - nalegał chłopiec, po czym natychmiast sam sobie udzielił odpowiedzi: - Wiem, bo ja jestem najmłodszy.

- Chodź, Dorry. - Guy wziął go za rękę i wciągnął do wnętrza powozu. - Pomogę ci w lekcjach.

Gdy tylko Aboli strzelił z bata, a powóz szarpnął i ruszył z miejsca, chrzęszcząc po żwirze kołami w żelaznych obręczach, wszelkie trudy i niesprawiedliwości młodzieńczego wieku zostały natychmiast zapomniane. Guy i Dorian wychylali się z okna, machając do swych ulubieńców wśród służby i żegnając ich okrzykami, dopóki pojazd nie skręcił na rozstajach i High Weald nie zniknęło im z oczu.

Tom, nie posiadając się z radości, siedział na koźle między dwoma mężczyznami, których darzył wyjątkową sympatią. Duży Daniel był człowiekiem wielkiej i ciężkiej postury, z grzywą srebrnych włosów, sterczącą spod trójgraniastego kapelusza. Nie miał już ani jednego zęba i gdy przeżuwał, jego ogorzała

40

twarz układała się w fałdy niczym kowalski miech. Było powszechnie wiadomo, że mimo podeszłego wieku jest najsilniejszym mężczyzną w Devonshire. Tom widział na własne oczy, jak podniósł w powietrze opornego konia i trzymał go tak, nogami do góry, żeby kowal mógł zmieni mu podkowy. Daniel był bosmanem na statkach sir Francis Courtneya, a kiedy dziadek Toma zginał z rąk Holendrów, pozostał na służbie u jego syna. Żeglował z Halem po południowych morzach i walczył u jego boku przeciwko poganom i Holendrom, przeciwko piratom i renegatom wszelkiej maści. Nianczył Williama i obu bliźniaków, nosił ich na barana i kołysał łagodnie do snu w swych wielkich łapach. Potrafił opowiadać najcudowniejsze historie, jakie mógł sobie wymarzyć mały chłopiec. Umiał budować modele żaglowców, tak wspaniale realistyczne w każdym szczególe, że miało się wrażenie, iż lada chwila popłyną ku horyzontowi na spotkanie przygody, oczywiście z Tomem na pokładzie. Dysponował też niezwykle interesującym repertuarem przekleństw i powiedzonek, które Tom ćwiczył jedynie w towarzystwie Guya i Doriana, albowiem powtarzanie ich w obecności Williama lub ojca czy w ogóle któregoś z dorosłych groziło ściągnięciem na siebie natychmiastowej kary. Tom kochał Dużego Daniela z całego serca.

Poza najbliższą rodziną jeszcze tylko jednego człowieka kochał nawet bardziej. Był nim Aboli, siedzący teraz po jego prawej stronie i trzymający w swych dużych czarnych dłoniach lejce.

- Możesz trzymać rusznicę. - Wręczając straszliwą broń Tomowi, Aboli wiedział doskonale, jaką przyjemność mu to sprawi. Dzwonowato zakończona lufa rusznicy miotała podwójną garść siejącego zniszczenia śrutu z ogromną siłą. - Jeśliby nas próbował zatrzymać jakiś rozbójnik, nakarm go obficie, Klebe.

Tom czuł się oszołomiony tym zaszczytnym obowiązkiem i siedząc wyprężony dumnie między mężczyznami, modlił się w duchu, by nadarzyła się okazja do posłużenia się ciężką strzelbą.

Aboli nazywał go imieniem, które sam mu nadał. Klebe w języku z afrykańskiej dżungli znaczyło "jastrząb" i Tom uwielbiał ten przydomek. Murzyn uczył go języka lasów, ponieważ, jak wyjaśnił, "tam zaprowadzi cię kiedyś twoje przeznaczenie. Przepowiedziała to dawno temu mądra i piękna

41

kobieta. Afryka czeka na ciebie. A ja, Aboli, muszę cię przygotować na ten dzień, gdy pierwszy raz postawisz stopę na jej ziemi".

Aboli był księciem swego plemienia. Świadectwem jego królewskiej krwi były rytualne nacięcia, pokrywające czarną twarz spiralnymi bliznami. Posługiwał się z wprawą każdą bronią, jaka trafiła w jego ręce, od afrykańskiego kija bojowego po rapier z najprzedniejszej toledańskiej stali. Jako że bliźniacy osiągnęli już

odpowiedni wiek, Hal powierzył Abolemu zadanie nauczania ich fechtunku. Jego samego, a potem Williama Murzyn także zaczynał ćwiczyć w tej sztuce, gdy byli w wieku Toma i Guya. Pragnął wykształcić braci na biegłych szermierzy. Tom przykładał się do szpady z taką samą naturalnością, jak przedtem jego ojciec i przyrodni brat, Abolego martwiło jednak, że Guy nie wykazuje podobnego zapału i talentu.

- Jak myślisz, ile lat ma Aboli? - zapytał kiedyś Toma Dorian.

Ten zaś odpowiedział mu z całą mądrością przynależną starszemu bratu:

- Jest starszy nawet od ojca. Ma z pewnością sto lat, jeśli nie więcej!

Okrągła jak kula armatnia głowa Abolego była zupełnie pozbawiona włosów, których siwizna mogłaby zdradzić jego wiek, i choć zmarszczki na twarzy przeplatały się z bliznami, tak że trudno je było od siebie oddzielić, ciało miał szczupłe i muskularne, a skórę gładką i lśniąca niczym polerowany obsydian. Nikt, włącznie z nim samym, nie znał wieku Abolego. Jego opowieści natomiast fascynowały bardziej od najlepszych nawet historii Dużego Daniela. Opowiadał o olbrzymach i pigmejach, o puszczech pełnych zadziwiających zwierząt, o wielkich małpach, które mogły rozerwać człowieka na pół, jakby był konikiem polnym, o stworzeniach z szyjami tak długimi, że zjadały liście z wierzchołków najwyższych drzew, o pustyniach, na których błyszcząły w słońcu diamenty rozmiarów jabłek, o górach zbudowanych ze szczerego złota.

- Pewnego dnia tam pojedą! - oznajmił podekscytowany Tom po usłyszeniu kolejnej z tych magicznych opowieści. - Pojedziesz ze mną, Aboli?

- Tak, Klebe. Nadejdzie taki dzień, że pozeglujemy razem do Afryki - obiecał mu wtedy Murzyn. Powóz trząsał i podskakiwał na nierównej powierzchni, roz-

42

bryzgując kałuże błota, a wciśnięty między dwóch mężczyzn Tom usiłował powściągnąć swoje podniecenie i niecierpliwość. Kiedy dotarli do rozstajów dróg przed Plymouth, ujrzeli szubienicę z wiszącym na niej szkieletem, wciąż ubranym w kaftan, bryczesy i buty z cholewami.

- W niedzielę będzie już miesiąc, jak tu wisi. - Duży Daniel uchylił kapelusza przed wyszczerzonym upiornie rzezimieszkiem, którego czaszkę niemal do szczętu objadły kruki. - Szczęśliwej drogi, Johnie Warkingu - rzekł ironicznie. - A pozdrów tam ode mnie czarta!

Zamiast jechać dalej w stronę Plymouth, Aboli skierował konie na szeroki, uczęszczany trakt ku wschodowi, do Sout-hampton i Londynu.

Do Londynu, największego miasta na świecie. Gdy w pięć dni później znaleźli się dwadzieścia mil od jego przedmieść, ujrzeli na horyzoncie dym. Wisiał w powietrzu, przenikając się z chmurami, niczym rozległa, mroczna kurzawa nad polem bitwy. Droga prowadziła wzdłuż brzegów Tamizy, szerokiej i ruchliwej, na której trwała nieustanna krzątania małych łodzi, barek, stateczków dostawczych i galarów wyładowanych po brzegi tarcicą, kamieniem budowlanym, workami ziarna i ryczącym bydłem, skrzyniami, belami i bekami, wszelkim handlowym dobrem kraju. Ruch na rzece stawał się gęstszy, w miarę jak zbliżali się do londyńskiego portu, gdzie stały na kotwicy duże żaglowce. Zaczęli też mijać pierwsze domy, otoczone jeszcze polami i ogrodami.

W nozdrza uderzył ich zapach miasta, a dym nad ich głowami gęstniał, przesłaniając słońce. Z każdego komina buchał ciemny opar, zasnuwając niebo. Woń miasta stawała się coraz mocniejsza. Składał się na nią odór surowych bydlęcych skór i nowych tkanin w belach, smród gnijącego mięsa, ludzi i koni, szczurów i kurcząt, siarczany swąd palących się węgla i fetor ścieków oraz wiele innych, dziwnych i intrygujących zapachów. Woda w rzece zbrązowiała, a na gościńcu zaczęły się tłoczyć furmanki i karoce, dyliżanse i dwukółki. Rozległe pola ustąpiły miejsca niekończącym się rzędom budynków z kamienia i cegły, stojących dach przy dachu. Boczne ulice pomiędzy nimi zwęziły się do szerokości jednego powozu. Rzekę całkiem już prawie zasłoniły składy i magazyny, które rozsiadły się na obu jej brzegach.

Aboli manewrował powozem pośród strumienia innych

43

pojazdów, przerzucając się żartobliwymi obelgami z ich woźnicami. Siedzący przy nim Tom nie mógł się temu wszystkiemu napatrzeć. Rozglądał się gorączkowo, strzelając spojrzeniem i wykręcając głowę na wszystkie strony, i paplał jak

podniecona wiewiórka. Hal Courtney poddał się w końcu błaganiom Doriana i pozwolił mu wdrapać się na dach powozu, gdzie usiadł za Tomem, wtórując mu okrzykami i wybuchami śmiechu.

Wreszcie wjechali na wysoki kamienny most, tak masywny, że wody Tamizy podnosiły się u jego filarów i spływały pomiędzy nimi w brunatnych wirach. Skrajem mostu biegły przez całą jego długość rzędy straganów, zza których obdarci handlarze zachwalali przechodniom swoje towary.

- Świeże homary, kochasiu. Żywe ostrzygi, żywe sercaki!

- Piwo! Mocne i słodkie. Upijesz się za pensa; za dwa zalejesz w trupa!

Tom spostrzegł męczącą, wymiotującego obficie przez poręcz mostu, i pijaną dziewczkę, która, podkasawszy obdarte spódnice, przykucnęła, sikając do rynsztoka. Wśród ciżby wyróżniały się olśniewające mundury oficerów gwardii króla Wilhelma, którzy, powróciwszy z wojny, przechadzali się pod rękę z urodziwymi dziewczętami w czepkach.

Na rzece kotwiczyły okręty wojenne i Tom z podnieceniem pokazywał je towarzyszom.

- A jakże - Duży Daniel splunął na bok tytoniowym sokiem - to stary Dreadnought, siedemdziesiąt cztery działa. Był pod Medway. A tam stoi Cambridge - wymieniał okryte chwałą nazwy, a chłopiec aż dygotał z przejęcia.

- Patrzcie tam! - zakrzyknął. - To musi być katedra Świętego Pawła - rozpoznał kościół z ilustracji w podręcznikach. Kopuła była ukończona dopiero w połowie, otwarta ku niebu i opleciona pajęczyną rusztowań.

Guy usłyszał go i wystawiwszy głowę przez okno powozu, zawołał:

- Nowa katedra Świętego Pawła, ściślej mówiąc. Stara została całkowicie zniszczona podczas Wielkiego Pożaru. Architektem jest mistrz Wren, a kopuła będzie miała prawie trzysta sześćdziesiąt pięć stóp wysokości...

Uwagę siedzących na koźle zdążyło już jednak przykuć coś innego.

- Co się stało z tamtymi domami? - Dorian pokazał

44

poczerniałe od sadzy ruiny, sterczące gdzieś między nowszymi budynkami.

- Spaliły się w Wielkim Pożarze Londynu - wyjaśnił Tom. - Widzisz murarzy przy pracy.

Zjechali z mostu w ruchliwe ulice śródmieścia. Napór pojazdów i tłumu był tutaj jeszcze potężniejszy.

- Byłem tu przed pożarem - oznajmił Duży Daniel. - Was, smarki, jeszcze nie było wtedy na świecie. Ulice były o połowę węższe niż teraz, a ludzie wylewali nocniki prosto do rynsztoka. - Ku zachwytowi chłopców pograżył się w wielce plastycznym opisie warunków panujących w mieście przed dwudziestoma zaledwie laty.

Czasem mijali otwarte powozy z siedzącymi w nich wytwornymi dżentelmenami, ubranymi według najnowszej mody. Towarzyszące im damy, całe w jasnych jedwabiach i satynach, były tak piękne, że Tom przyglądał im się w oszołomieniu, przekonany, że to nie istoty ludzkie, lecz niemal anioły.

Niektóre z kobiet w oknach mijanych domów nie wydawały się jednak aż tak święte. Jedna upatrzyła sobie Abolego i skrzek-liwym głosem posłała mu zaproszenie.

- Co ona ci chce pokazać, Aboli? - Oczy Doriana rozszerzyły się ze zdumienia.

Duży Daniel zmierzwił jego płomiennorudą czuprynę.

- Lepiej, żebyś się nigdy tego nie dowiedział, paniczku Dorry, bo jak się już dowiesz, nigdy nie zaznasz spokoju.

Dotarli wreszcie do oberży Plough i powóz z turkotem kół po kocich łbach zajechał przed jej główne wejście. Oberżysta wyszedł im na spotkanie.

- Witamy, sir Hal! - zawołał, kłaniając się po wielekroć i zacierając dłonie z zachwytu. - Spodziewaliśmy się was dopiero jutro.

- Droga okazała się lepsza, niż przypuszczałem. Jesteśmy więc przed czasem - rzekł Hal i wysiadł zeszytniały z karocy. - Podaj nam dzban lekkiego piwa, żebyśmy mogli opłukać gardła z kurzu - poleciał i wszedłszy do głównej sali oberży, opadł ciężko na jedno z krzesel.

- Przygotowałem ten sam pokój, co zwykle, sir Hal, i osobny dla pańskich chłopców.

- To dobrze. Niech się twoi parobkowie zajmą końmi i znajdź też jakąś izbę dla moich służących.

45

' - Jest dla pana wiadomość od lorda Childsa, sir Hal. Kazał się powiadomić natychmiast, gdy tylko się pan zjawi.

- I co, powiadomiłeś go? - Hal spojrzał nań ostro.

Nicolas Childs był prezesem rady dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej, rządził nią jednak jak własnym folwarkiem. Dysponował olbrzymim majątkiem i wpływami w stolicy i na królewskim dworze. Głównym udziałowcem kompanii była Korona, toteż Childs cieszył się łaskami samego panującego. Nie był człowiekiem, którego można by lekceważyć.

- Posłaniec przed chwilą wyruszył, sir - odparł oberżysta. Hal pociągnął łyk z kufła i beknął dyskretnie, przysłoniwszy usta dłonią.

- Pokaż mi teraz pokoje - powiedział.

Wstał i ruszył schodami na piętro, prowadzony przez gospodarza, który co kilka stopni przystawał, kłaniając mu się nisko. Hal z aprobatą ocenił kwatery. Sam miał obszerny pokój z osobną jadalnią, dla chłopców przeznaczono pokój naprzeciwko, a pan Walsh dostał sąsiedni. Jego sypialnia miała także służyć jako sala lekcyjna, Halowi bowiem zależało, żeby synowie nie opuścili ani dnia nauki.

- Czy możemy pójść obejrzeć miasto, ojczy? - zapytał błagalnie Tom.

Hal spojrzał na Walsha.

- Czy odrobili lekcje, które im pan zadał na podróż?

- Panicz Guy w rzeczy samej. Ale ci dwaj... - Walsh mówił sztywnym, afektowanym tonem.

- Dopóki nie wykonacie zadań zleconych wam przez pana Walsha - zgromił chłopców wzrokiem Hal - aż będzie z was w pełni zadowolony, nie wolno wam postawić choćby stopy na dworze. - Gdy się odwrócił, Tom za plecami Walsha pokazał gubernatorowi język.

Posłaniec wrócił od Nicolasa Childsa, zanim jeszcze Aboli i Duży Daniel uwinęli się z rozładowaniem ciężkich skórzanych kufrów, umocowanych na dachu powozu. Odziany w liberię goniec skłonił się i wręczył Courtneyowi zapieczętowany arkusz pergaminu. Hal dał mu miedziaka i przełamał kciukiem pieczęć kompanii. Wiadomość napisał sekretarz prezesa: "Lord Childs oczekuje przyjemności ujrzenia pana na kolacji o ósmej dziś wieczór w Bombay House". Poniżej widniał dopisek ozdobnym charakterem Childsa: "Będzie jeszcze tylko Oswald Hyde. N.C.".

Hal gwizdnął cicho. Kameralna kolacja jedynie ze starym

46

i z kanclerzem Jego Królewskiej Mości Wilhelma III Orań-skiego... to było coś.

- Ciekawe rzeczy się zapowiadają - mruknął z uśmiechem i poczuł w żyłach przyjemny dreszcz podniecenia.

Aboli z Dużym Danielem oczyścili powóz z błota i wyszczotkowali konie, by ich skóra zalśniła znów niczym polerowany metal. Hal w tym czasie mógł się wykapać, a pokojówka odświeżyła jego ubranie. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy trzeba było wyruszyć na spotkanie z Childsem.

Bombay House stał wśród rozległych ogrodów otoczonych wysokim murem, o rzut kamieniem od Inns of Court, czterech korporacji prawniczych, nadających przywileje adwokackie. Od siedziby zarządu Kompanii Wschodnioindyjskiej przy Leadenhall Street dzieliło go kilka minut pieszej przechadzki. Wrót z kutego żelaza strzegli strażnicy, którzy wpuścili ich natychmiast, gdy Aboli zaanonsował swego pana. Przed podwójnymi drzwiami budynku czekało trzech lokajów; wprowadzili Hala do środka, odebrawszy od niego kapelusz i płaszcz. Następnie majordomus poprowadził go przez amfiladę wielkich sal, pełnych luster i ogromnych olejnych obrazów, przedstawiających statki, bitwy i egzotyczne krajobrazy. Pomieszczenia oświetlał istny las świec w kryształowych kandelabrach, a także złocone lampki oliwne, trzymane przez posagi nimf i Murzynów.

Potem wielkie oficjalne sale ustąpiły miejsca skromniejszym pomieszczeniom i Hal zorientował się, że są w prywatnej części ogromnego budynku, w pobliżu kuchni i kwater służby. Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami tak niepozornymi, że można było w ogóle je przeoczyć. Zarządca zastukał do nich jeden raz swoją łaską.

- Wejść! - huknął ze środka znajomy głos i Hal, pochyliwszy się w niskim wejściu, znalazł się w niewielkim, lecz bogato dekorowanym gabinecie. Wykładane boazerią ściany obwieszane były arabskimi i indyjskimi gobelinami, a miejsca w pomieszczeniu ledwie starczało dla dużego stołu zastawionego podgrzewanymi srebrnymi półmiskami i złożonymi wazami, z których płynęły smakowite wonie i obiecujące smugi pary.

- Punktualny jak zawsze - pochwalił Hala lord Childs.

47

Siedział u szczytu stołu, wypełniając sobą spore, wyściełane krzesło. - Wybacz, Courtney, że nie wstaję na powitanie. Znów ta przeklęta podagra - rzekł, pokazując na obandażowaną stopę, spoczywającą na stołku. - Poznałeś już oczywiście Oswalda.

- Istotnie miałem ten zaszczyt. - Hal skłonił się kanclerzowi. - Dobry wieczór, Wasza Lordowska Mość. Spotkaliśmy się zeszłego roku w sierpniu, w domu pana Samuela Pepysa.

- Dobry wieczór, sir Henry. Doskonale pamiętam to nasze spotkanie - uśmiechnął się lord Hyde i skłonił się lekko, nie wstając z miejsca. - Ludzi pańskiego pokroju niełatwo się zapomina.

Słyszając te słowa, Hal uznał, że wieczór zapowiada się pomyślnie. Childs wskazał mu swobodnym gestem krzesło obok siebie.

- Siadaj, musimy porozmawiać. Zdejmij kaftan i perukę, rozsiądź się wygodnie - powiedział, po czym, zerknąwszy na gęste, ciemne włosy Courtney, z lekka tylko przetykane siwizną, dorzucił: - Oczywiście ty nie nosisz peruki i całkiem rozsądnie, do kroćset. My, nieszczęśnicy z miasta, wszyscy jesteśmy niewolnikami mody.

Obaj z Hyde'em byli krótko ostrzyżeni; siedzieli w samych tylko koszulach, poluźnwszy kołnierzyki. Childs miał pod szyją serwetkę, zaczęli bowiem jeść, nie czekając na Hala. Sądząc po górze pustych muszli przed nim, prezes zdażył już pochłonąć kilka tuzinów ostryg. Hal ściągnął kaftan i oddawszy go lokajowi, zajął swoje miejsce.

- Co wybierasz, Courtney, reńskie czy maderę? - zapytał Childs, skinąwszy na służącego, by napełnił szklaneczkę Hala.

Ten wybrał białe wino reńskie. Wiedział z doświadczenia, że wieczór będzie długi, madera zaś, zwodniczo słodka, mocno uderzała do głowy. Kiedy podano mu wino, a na talerzu przed nim pojawiła się góra colchesterskich ostryg, Childs odprawił służbę, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Niemal od razu podjęli bolesną kwestię wojny w Irlandii. Usunięty z tronu król Jakub II przypląnął tam z Francji, by stworzyć armię z popierających go katolików, i atakował teraz siły wierne Koronie. Oswald Hyde utyskiwał na koszty kampanii, Childs z kolei radował się udaną obroną Londonderry i Enniskillen przez wojska króla Wilhelma.

- Możecie być pewni, że kiedy tylko król rozprawi się

48

z Irlandczykami, znów zwróci całą swą uwagę ku Francji - rzekł Hyde, wysysając kolejną ostrygę, z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, który był mu właściwy z natury. - Znów będę musiał zwrócić się do parlamentu o finanse.

Choć mieszkał na wsi, Hal Courtney dobrze się orientował w sprawach państwa, miał bowiem w stolicy licznych przyjaciół, z którymi regularnie wymieniał korespondencję. Nadażał więc swobodnie za biegiem myśli wyrażanych w dyskusji, a nawet wtrącał do niej sensowne uwagi.

- Nie mamy w tej kwestii zbyt wielkiego wyboru - rzekł. - Skoro Ludwik najechał na Palatynat, zgodnie z postanowieniami traktatu wiedeńskiego musieliśmy mu się przeciwstawić. - Wyraził opinię, którą jego współbiesiadnicy podzielali, i widział, że słuchają go z aprobatą, chociaż Hyde nie przestawał biadolić nad wysokimi kosztami wojny na kontynencie.

- Zgadza się, wojna z Francją jest nieunikniona, ale, na Boga, nie spłaciliśmy jeszcze tej z Holendrami, nie mówiąc już o kosztach pożaru - perorował. - Czarny Chłopiec i Jamie zadłużyli nas we wszystkich chyba bankach Europy.

Przezwisek Czarny Chłopiec odnosiło się do króla Karola II Stuarta, "Wesołego Monarchy". Jamie był to Jakub II, jego następca, który po trzech zaledwie latach rządów musiał uciekać do Francji za sprawą swego nadmiernie objawianego katolicyzmu. Do objęcia tronu angielskiego wezwano wówczas Wilhelma, namiestnika

Niderlandów, czwartego w kolejności sukcesji. Wilhelm był mężem Marii, córki Jakuba, dzięki czemu ich wspólne roszczenia do tronu zyskiwały solidną podstawę. Poza tym oboje byli oczywiście zagorzałymi protestantami.

Kiedy już poradzono sobie z ostrygami, Childs wezwał służbę, by wniosła kolejne dania. Rzucił się na solę z Dover, jak na najgorszego wroga, a potem przeszli do jagnięciny i wołowiny, splukując mięso trzema różnymi zupami ze złoconych waz. Mdlawe reńskie zastąpione zostało smacznym czerwonym bordo.

Hal pociągał z kieliszka oszczędnie, ponieważ rozmowa była istotnie fascynująca i dawała mu możliwość wglądu w splątane struktury władzy i polityki światowej, do czego rzadko miał okazję. Nie chciał, by najprzedniejsze nawet wino zmąciło mu jasność myśli. Poruszali najróżniejsze tematy: od koronacji Piotra I na cara Rosji po najazd Francuzów na Kanadę; od masakry ich osadników, dokonanej przez Irokezów, po rebelię sikhów przeciwko władzy mogola Aurangzeba w Indiach.

49

Ta ostatnia kwestia doprowadziła ich do podjęcia tematu, będącego rzeczywistym powodem spotkania: spraw i majątku Angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Hal wyczuł, że nastawienie rozmówców do niego wyraźnie się zmieniło. Ich spojrzenia nabrały przebiegłości i przyglądali mu się badawczo.

- Jak mi wiadomo, jest pan jednym ze znaczniejszych udziałowców Kompanii, sir Henry - zaczął niewinnym tonem lord Hyde.

- Tak się szczęśliwie ułożyło, że w latach siedemdziesiątych, kiedy wróciłem ze Wschodu, istotnie udało mi się nabyć pewną liczbę akcji - odrzekł skromnie Hal.

- Od tej pory, jeśli tylko fortuna sprzyja, staram się od czasu do czasu powiększać te zasoby.

Childs zbył jego okrągłą odpowiedź machnięciem ręki.

- Cały świat słyszał o bohaterskich wyczynach twoich i twego ojca podczas wojny z Holendrami i później, Courtney. Wiadomo też, że te twoje zasoby powiększyły się znacząco dzięki łupom wojennym i wyprawom handlowym na wyspy korzenne i do wschodnich wybrzeży Afryki. - Zwrócił się teraz do kanclerza. - Udziały sir Henry'ego w Kompanii wynoszą cztery i pół procenta, nie licząc wiana Alice Grenville, z którą dopiero co ożenił się jego syn - spuentował rzeczowo.

Hyde przeliczał to w myśli na brzęcząca monetę; widać było, że jest pod wrażeniem.

- Dowiedział pan swojej dzielności i zaradności jako kapitan na morzu - mruknął - a także jako roztropany inwestor. Bez wątplenia należały się panu te zyski. - Świdrował Hala spojrzeniem; było jasne, że dochodzą wreszcie do sedna sprawy. - Co więcej, pański osobisty interes jest wielce zbieżny z naszym - ciągnął kanclerz cichym głosem, czochrając swe krótkie sztywne włosy z głośnym chrobotem. - Wszyscy tu jesteśmy udziałowcami, a Korona jest z nich największym. Dlatego ostatnie wieści ze Wschodnich Indii uderzyły nas tak boleśnie.

Hal poczuł w piersi nagły skurcz lęku. Wyprostował się na krześle i wymamrotał z napięciem w głosie:

- Wybaczcie, panowie, lecz przybyłem do Londynu zaledwie dziś rano i nie słyszałem jeszcze o niczym.

- To szczęściarz z siebie, bo wieści nie są dobre - stęknął Childs, podnosząc do ust ociekający krwią kęs befsztyka.

50

Przeżuł go, przełknął i popiwszy potężnym łykiem wina, ciągnął. - Dwa tygodnie temu w naszych dokach zakotwiczył należący do Kompanii Yeoman of York.

Sześćdziesiąt dwa dni wcześniej wypłynął z Bombaju z ładunkiem bawełny i koszenili oraz przesyłkami od Geralda Aungiera, gubernatora kolonii. - Childs zmarszczył brwi i pokręcił powoli głową, jakby się wzdragał przed tym, co miał powiedzieć. - Straciliśmy dwa statki, Courtney. Minotaura i Albion Spring.

Hal odchylił się gwałtownie na oparcie krzesła, jak uderzony obuchem w głowę.

- To przecież duma naszej floty! - zawołał.

To było wprost nie do uwierzenia. Statki wschodnioindyjskie, jednostki majestatyczne i okazałe, były arystokracją oceanów. Zbudowano je z myślą nie tylko o transporcie towarów, stanowiły symbole prestiżu potężnej i kwitnącej kompanii oraz angielskiej Korony, pod której banderą pływały.

- Rozbiły się? - próbował zgadywać Hal. Tak wielka strata musiała wstrząsnąć nawet potężną kompanią, taką jak Wschodnioindyjska. Już zatonięcie jednego

statku było poważnym ciosem. Dwóch zaś - prawdziwą katastrofą finansowa, biorąc pod uwagę wartość towarów, sięgającą najpewniej setek tysięcy funtów. - Gdzie się rozbiły? - zapytał. - Koło Przylądka Igielnego? Na rafach Maskarenów?

- Nie rozbiły się - rzekł Childs posępnie.

- A więc?

- Piraci - odparł prezes. - Korsarze.

- Jest pan pewien? Skąd to wiadomo? - Statki Kompanii budowano jako jednostki szybkie i potężnie uzbrojone, z myślą o takiej właśnie ewentualności. Zdobyć taki statek mógł tylko jakiś silny okręt wojenny. Kiedy wiadomość się rozniesie, akcje Kompanii stracą na wartości, a jego własna lokata pomniejszona zostanie o tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy funtów.

- Oba spóźniały się już o kilka miesięcy i nie mieliśmy o nich żadnych wiadomości - wyjaśnił Childs. - Wygląda jednak na to, że z Minotaura udało się uciec jednemu marynarzowi. Spędził samotnie na morzu czterdzieści dni, uczepiony jakiejś belki, zaspokajając pragnienie wodą deszczową i żywiąc się surowymi rybami, aż w końcu prądy wyrzuciły go na dzikie wybrzeże afrykańskie. Szedł wzdłuż brzegu kilka tygodni i dotarł do Lobito, kolonii Portugalczyków. Tam zdołał się zaokrętować na siup pływający do Bombaju. Opowiedział o wszystkim

51

gubernatorowi Aungierowi, a ten wyprawił go do nas na pokładzie żaglowca Yeoman of York.

- Gdzie jest ten marynarz? - zainteresował się Hal. - Czy dokładnie go wypytaliście? Czy można mu wierzyć? Childs uniósł dłoń, by powstrzymać ten potok pytań.

- Jest w bezpiecznym miejscu i pod dobrą opieką, nie chcemy bowiem, by włóczył się po ulicach i opowiadał swoją historię w każdej tawernie. - Hal skinął głową, to brzmiało sensownie. - Rozmawiałem z nim długo - ciągnął Childs - i wygląda na rozsądnego, twardego i zaradnego żeglarza, jeżeli mówi prawdę, a sądzę, że tak.

- I co się według niego wydarzyło?

- Najogólniej mówiąc, Minotaur napotkał w pobliżu Madagaskaru mały arabski dhow, będący w opałach, i uratował jego dwunastoosobową załogę, nim tamten zatonął. Już pierwszej nocy ocaleni rozbitkowie zdołali opanować nasz statek podczas środkowej wachty. Mieli ukrytą broń i poderżnęli gardła wszystkim oficerom. Oczywiście załoga Minotaura poradziłaby sobie bez trudu z odzyskaniem statku z rąk garstki piratów, gdyby nie to, że z ciemności, najwyraźniej na dany sygnał, wyroiło się mnóstwo pirackich łódek, a ci na pokładzie nie dopuścili marynarzy do dział i podjęcia obrony, aż w końcu było już za późno.

- Jak się udało uciec temu marynarzowi?

- Większość ludzi z Minotaura zabito, lecz ten człowiek... nazywa się Wilson... przekonał kapitana piratów, że chce do nich przystać i zaprowadzi ich do kolejnych zdobyczy. Przy pierwszej sposobności wysliznął się przez furkę ładunkową, z drewnianą baryłką jako pływakiem. - Childs otworzył srebrną szkatułkę i wyciągnął z niej podłużny brązowy przedmiot, przypominający kawałek kory. - Liście tytoniowe zwinięte w rurkę - oznajmił. - Hiszpańskie, z ich kolonii w Ameryce. Nazywają to cygarem. Bardziej przypadły mi do gustu niż fajka. Chcecie spróbować? Pokażę wam, jak się je przygotowuje. - Odprawił cały rytuał obwąchiwania ciemnego zwitka tytoniu i przycinania go u jednego końca. Hal przyjął cygaro i powąchał je podejrzliwie. Aromat okazał się zadziwiająco przyjemny. Idąc za przykładem Childsa, przypalił cygaro od płonącej świecy. Pociągnął ostrożnie i odkrył, że pomimo podenerwowania usłyszanymi wiadomościami, cygaro smakuje mu lepiej niż najlepsza fajka.

52

Po kilku chwilach obaj jego rozmówcy smakowali swoje cygara. Pozwoliło to Halowi zastanowić się nad tym, co usłyszał od Childsa.

- Powiedział pan, że przepadły dwa statki - przypomniał prezesowi.

- Zgadza się. Albion Spring zaledwie kilka tygodni przed Minotaurem - odrzekł tamten. - Opanowany przez tę samą bandę podrzynaczy gardeł.

- Skąd to wiadomo?

- Kapitan piratów przechwalał się swymi wyczynami przed Wilsonem.

Po długiej chwili milczenia Hal zapytał:

- Co pan zamierza przedsięwziąć w tej sprawie, lordzie Childs? - Puls zabił mu szybciej, zauważył bowiem, że dwaj mężczyźni porozumieli się wzrokiem. Po raz pierwszy przemknęło mu przez głowę podejrzenie, w jakim celu zaproszono go na to kameralne spotkanie.

Childs otarł usta z tłuszczu wierzchem dłoni i spojrział na Hala, przymrużywszy konspiracyjnie oko.

- Zamierzamy posłać kogoś, żeby rozprawił się z tym piratem. Jangiri... tak brzmi imię tego zbója.

- I kogo poślecie? - zapytał Hal, znając już odpowiedź.

- To chyba oczywiste, że ciebie, Courtney.

- Ależ ja mieszkam teraz na wsi, zostałem rolnikiem.

- Zaledwie przed paroma laty - wtracił się Hyde. - Przedtem był pan jednym z najznakomitszych żeglarzy na morzach wschodnich i południowych.

Hal milczał. Oczywiście było to prawdą. Ci dwaj wiedzieli o nim wszystko. Z pewnością potrafiliby wyliczyć wszelkie jego wyprawy, Hyde zaś miał w swych archiwach zapisy należności w gotówce i cennym towarze, wniesione przez niego do skarbu Korony.

- Panowie, ja mam przecież rodzinę, sprawuję opiekę nad czterema synami, i to bez kobiety, z którą mógłbym dzielić tę odpowiedzialność. Dlatego właśnie nie wyruszam już na morze.

- Tak, Courtney, wiem, dlaczego porzuciłeś żeglowanie, i głęboko ci współczuję z powodu utraty żony. Z drugiej strony jednak, nawet twój najmłodszy syn osiągnął już zdaje się wiek, w którym ty sam wyruszyłeś w pierwszą podróż. Nie ma powodu, dla którego nie mógłbyś znaleźć koi dla każdego ze

53

swych potomków na jakimś dobrze wyposażonym, wygodnym statku.

To także było prawdą. Childs najwyraźniej dopracował swój plan w najdrobniejszych szczegółach, lecz Hal postanowił, że lordowi nie pójdzie tak łatwo.

- Nie mogę porzucić obowiązków w High Weald - oświadczył. - Bez sprawnej administracji mój majątek może obrócić się w ruinę.

- Drogi sir Henry - rzekł Hyde z uśmiechem. - Mój syn studiował w Merton College z pańskim Williamem. W dalszym ciągu są przyjaciółmi i regularnie pisują do siebie. Z tego, co mi wiadomo, zarząd pańskimi włościami spoczywa obecnie niemal wyłącznie na barkach najstarszego syna, pan zaś większość czasu spędza na sokolnictwie, polowaniu, czytaniu ksiąg i wspomnianiu tego, co pan przeżył ze starymi towarzyszami żeglugi.

Twarz Hala oblała się rumieńcem gniewu. Czyżby tak właśnie William oceniał jego wartość i wkład w prowadzenie High Weald i kopalń?

- Jeśli nie rozprawimy się szybko z tym typem Jangirim, wszyscy pójdziemy z torbami - dodał Childs. - Jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty, Courtney, i dobrze o tym wiesz.

- Zwalczanie piractwa należy do zadań marynarki królewskiej - bronił się uparcie Hal.

- W istocie - zgodził się Hyde. - Jednakże przed końcem roku na pewno znajdziemy się w stanie wojny z Francją i flota wojenna będzie miała pilniejsze sprawy do załatwienia. Zanim Admiralicji przyjdzie do głowy przywrócić porządek na odległych krańcach globu, upłynie ładne parę lat, a my nie możemy czekać tak długo. Jangiri już ma pod swoim dowództwem dwa potężne statki. Czy można mieć pewność, że za rok czy dwa nie urosnie w siłę na tyle, że porwie się na zaatakowanie Bombaju albo naszych faktorii na wschodnim wybrzeżu Indii? Jeśli mu się powiedzie, pańskie udziały w kompanii niewiele będą warte.

Hal wiercił się niespokojnie na krześle, obracając w palcach nóżkę kieliszka. W skrytości ducha czekał przecież na coś takiego przez wszystkie te lata nudy i bezczynności. Krew krążyła mu szybciej w żyłach, a umysł zaprzętały myśli, które przemykały i powracały niczym koliber fruujący z kwiatu na kwiat w poszukiwaniu słodkiego żeru.

- Nie mam okrętu - rzekł w końcu. Po powrocie do Devon sprzedał Golden Bough. Żaglowiec był już sterany

54

w podróżach, kadłub miał mocno stoczony przez świdraki. - Musiałbym dostać jednostkę o sile równej lub przewyższającej potęgę Minotaura i Albion Spring. - Mogę zaproponować ci eskadrę złożoną z dwóch wspaniałych żaglowców - odparował bez trudu Childs. - Twoim okrętem flagowym byłby zupełnie nowy Seraph, najlepszy żaglowiec, jaki kompania kiedykolwiek zwodowała. Ma trzydzieści sześć dział i jest szybki jak rybitwa. Właśnie kończą go wyposażać w stoczni deptfordzkiej. Powinien być gotów do wyjścia w morze przed końcem miesiąca.

- A drugi? - dopytywał się Hal.

- Yeoman of York, ten, który przywiózł wieści z Bombaju. Do końca tego tygodnia ma być wyremontowany. Także trzydzieści sześć dział. Pływa pod kapitanem Edwardem Andersonem, znamenitym żeglarzem.

- Znam go dobrze - skinął głową Hal. - Ale pod którym zwierzchnictwem miałbym żeglować? - Starał się stawiać opór jak najdłużej.

- Jutro do południa - obiecał Hyde - wyposażę pana w pełnomocnictwo podpisane własnoręcznie przez Jego Królewską Mość, upoważniające do wytropienia i zniszczenia bądź przejęcia w formie zdobyczy wojennej statków i całej własności korsarzy.

- Na jakich warunkach? - Hal skupił teraz całą uwagę na słowach kanclerza.

- Jedna trzecia dla Korony, jedna trzecia dla Kompanii Wschodnioindyjskiej i jedna trzecia dla pana i załogi - zaproponował Hyde.

- Jeślibym miał popłynąć, a nie jest wcale pewne, czy się zdecyduję - rzekł Hal

- będę się domagał połowy dla siebie i moich ludzi.

- To jednak prawda - mruknął nieszczęśliwy Hyde. - Twardo się z panem pertraktuje, sir Henry. Przedyskutujemy to, kiedy pan przyjmie pełnomocnictwo.

- I chciałbym otrzymać prawo handlu na własny rachunek podczas wyprawy - dodał Hal.

Jedna z żelaznych zasad Kompanii Wschodnioindyjskiej głosiła, że jej kapitanom nie wolno zajmować się handlem na własną rękę, jako że groziło to konfliktem interesów i lojalności. Childs aż pociemniał na twarzy, a policzki zadrgały mu z oburzenia.

55

r

- W żadnym wypadku nie mogę przystać na taki warunek - oznajmił stanowczo. - Byłby to bardzo niebezpieczny precedens. - Zorientował się natychmiast, że Hal zastawił na niego pułapkę, a on dał się w nią łatwo wciągnąć.

- Dobrze więc - rzekł Hal spokojnie. - Będę się stosował do tego prawa, jeśli dostanę połowę łupów.

Childs aż parsknął śliną w obliczu tej bezczelności, Hyde jednak uśmiechnął się posępnie.

- No i złapał cię, Nicolas - rzekł. - Jedno albo drugie, co wybierasz? Połowę łupów czy prawo handlowania?

Childs zastanawiał się gorączkowo. Udział w łupach mógł znacznie przewyższyć zyski z ewentualnego handlu u wybrzeży Afryki i Azji, jeśli nawet prowadziłyby go żeglarz tak wytrawny i przebiegły. Prawo handlu było mimo wszystko świętością i przysługiwało wyłącznie kompanii.

- Zgoda - rzekł w końcu. - Połowa łupów, ale zero dochodów z handlu.

Hal się nachmurzył, lecz w głębi duszy był zadowolony. Skinął głową z przesadnym ociąganiem.

- Potrzebuję tygodnia na zastanowienie się - rzekł.

- Nie mamy tyle czasu - sprzeciwił się Hyde. - Musimy mieć pańską zgodę jeszcze dziś wieczór, sir Henry. Jego Królewska Mość zażąda ode mnie odpowiedzi na porannym posiedzeniu gabinetu.

- Żeby móc przyjąć pełnomocnictwo, muszę rozważyć wiele istotnych kwestii - odparł Hal, odchylając się na oparcie krzesła i zaplatając stanowczym gestem ręce na piersi. Ociągał się celowo, w nadziei, że wydusi z nich jeszcze jakieś ustępstwa.

- Henry Courtney, baron Dartmouth - mruknął niespodziewanie Hyde. - To chyba nieźle brzmi, prawda?

Hal rozplótł ręce i wyprostował się raptownie, zaskoczony do tego stopnia, że nie potrafił ukryć ekscytacji. Godność para Anglii! Nigdy dotąd nie poważił się

nawet pomyśleć o tym. Była to jedna z niewielu rzeczy na tym świecie, której jeszcze pragnął.

- Kpi pan sobie ze mnie, sir? - wymamrotał. - Proszę wyrazić się jaśniej.
- Proszę przyjąć pełnomocnictwo bez dalszej zwłoki i dostarczyć nam głowę tego zbója Jangiriego w beczce z marynatą, a ma pan moje solenne przyrzeczenie, że tytuł i przynależne mu włości będą pańskie. I co pan na to, sir Hal?

Twarz Hala rozjaśniła się w uśmiechu. Był człowiekiem

56

z gminu, choć najwyższej rangi; kolejny szczebel drabiny oznaczał dołączenie do prawdziwej arystokracji i wejście do Izby Lordów.

- To pan się twardo targuje, milordzie - powiedział. - Nie potrafię dłużej się opierać ani pańskiej ofercie, ani własnemu poczuciu obowiązku. - Podniósł kieliszek, a obaj rozmówcy poszli za jego przykładem. - Za pomyślne wiatry i udane łowy! - wznosił toast.

- Za lśniące złoto i sławę! - przepił do niego Hyde i wszyscy trzej wychylili kieliszki do dna.

Kiedy je odstawili, kanclerz otarł usta serwetką i zapytał:

- Nie był pan jeszcze przedstawiony na dworze, prawda, sir Henry? - Hal pokręcił głową i Hyde mówił dalej: - Skoro ma pan pewnego dnia zostać parem, musimy to załatwić przed pańskim wyjazdem z Londynu. O drugiej po południu w najbliższy piątek w pałacu Świętego Jakuba. Król wydaje pożegnalne przyjęcie przed wyruszeniem do Irlandii, gdzie poprowadzi kampanię przeciwko swemu teściowi. Przyślę umyślnego do pańskiej oberży... pokaże panu drogę.

Alfred Wilson zaskoczył Hala. Sądząc po nazwisku, spodziewał się rosłego angielskiego majtka z yorkshirskim akcentem. Na jego prośbę Childs zwolnił Wilsona z miejsca, w którym go ukrywał, i kazał mu się stawić w gospodzie. Stał teraz na środku salonu, mnąc w smukłych śniadych dłoniach marynarską czapkę.

- Czy jesteś Anglikiem? - zapytał go na wstępie Cour-tney.

- Mój ojciec pochodził z Bristolu, sir - odparł Wilson z respektem, odgarniając z czoła grzywę gęstych czarnych włosów.

- Ale matka nie? - zgadywał Hal.

- Była Hinduską, muzułmanką, sir. - Marynarz miał ciemną skórę, ciemniejszą nawet niż Czarny Billy, i był równie jak on przystojny.

- Czy mówisz jej językiem?

- Tak, sir, umiem też w nim pisać. Matka pochodziła z wysokiego rodu, za przeproszeniem Waszej Miłości.

- To po angielsku też pewnie potrafisz pisać? - Wilson z wyglądu przypadł Halowi bardzo do gustu, a jeśli historia

57

jego ucieczki od Jangiriego opierała się na prawdzie, był w istocie człowiekiem sprytnym i zaradnym.

- Tak jest, sir.

Zadziwiło to Hala, gdyż większość znanych mu marynarzy była analfabetami. Zastanawiał się przez chwilę.

- Czy mówisz jeszcze w jakimś innym języku? - zapytał.

- Tylko po arabsku, sir - Wilson wzruszył ramionami, jakby zawstydzony.

- No, no, coraz lepiej - uśmiechnął się Hal i przeszedł na arabski, żeby go sprawdzić. Nauczył się tego języka od swej pierwszej żony Judith, a potem osiągnął w nim biegłość podczas licznych wypraw wzdłuż wybrzeży Afryki i Arabii.

- Gdzie się nauczyłeś? - zapytał. Po latach przerwy wymawianie gardłowych tonów arabszczyzny przychodziło mu z pewnym wysiłkiem.

- Pływałem przez wiele lat z arabskimi załogami jako zwykły majtek. - Wilson mówił szybko i płynnie.

- W jakiej randze żeglowałeś na Minotaurzel

- Mam patent podoficerski, sir.

Hal był zachwycony. Tylko najbystrzejsi zostawali podoficerami w tak młodym wieku. Muszę go mieć, postanowił.

- Chcę, żebyś mi opowiedział dokładnie o przejęciu Mino-taura. A przede wszystkim interesuje mnie Jangiri.

- Za pozwoleniem, kapitanie, ale to musi trochę potrwać.

- Mamy przed sobą cały dzień, Wilson. Siadaj. - Courtney wskazał mu ławę pod ścianą, a widząc jego wahanie, dorzucił: - Skoro mówisz, że to musi potrwać, to usiądź wygodnie i przechodź do rzeczy.

Rozmawiali przez ponad cztery godziny. Pan Walsh, nauczyciel, siedział przy stole i na polecenie Hala wszystko notował. Wilson mówił składowo i bez emocji, dopóki nie doszedł do scen mordowania swoich towarzyszy przez piratów. Wówczas głos zaczął mu się załamywać i Hal ze zdumieniem dostrzegł w jego oczach łzy. Kazał więc podać dzban piwa, żeby marynarz mógł przeplukać gardło i odzyskać panowanie nad sobą. Wilson jednak odsunął kufel.

- Nie pijam alkoholu, sir.

Hal nie posiadał się z zadowolenia. Pijaństwo było przekleństwem większości żeglarzy.

- Nigdy? - zapytał.

- Nigdy, sir. Moja matka, rozumie pan.

58

- Ale jesteś chrześcijaninem?

- To prawda. Nie zapomniałem jednak nauk matki.

- Rozumiem - odparł Hal. Na Boga, przydałby mi się ktoś taki, pomyślał. To prawdziwy skarb pośród marynarzy. Wtem przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl: w czasie podróży Wilson mógłby uczyć chłopców arabskiego. Byłby im przydatny na ładzie.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Hal miał już w głowie jasny obraz tego, co wydarzyło się na Minotaurze, a także wyrobioną opinię na temat młodego Wilsona.

- Chcę, żebyś wszystko sobie jeszcze raz przypomniał, marynarzu - rzekł. - Jeśli cokolwiek przeoczyłeś, choćby jakiś drobny szczegół, przyjdź do mnie ponownie i powiedz mi o tym.

- Tak jest, kapitanie - Wilson zebrał się do odejścia. - Gdzie pana szukać? Hal się zawahał.

- Mam nadzieję, że potrafisz trzymać język za zębami? - zapytał, a kiedy tamten skinął głową, dodał: - Wiem, że kazano ci milczeć na temat Minotaura. Jeżeli dasz mi słowo, że w dalszym ciągu powstrzymasz się od rozprowadzania o swoich przygodach, mógłbyś dołączyć do mojej załogi. Szukam właśnie dobrych oficerów wachtowych. Czy zamustrujesz na mój okręt, chłopcze?

- Słyszałem wiele o panu, kapitanie Courtney - odparł Wilson z nieśmiałym uśmiechem. - Widzi pan, mój wuj żeglował pod pańskim ojcem na Lady Edwinie, a potem z panem na Golden Bough. Opowiadał mi o tym.

- Kto jest tym wujem?

- Nazywa się Ned Tyler, kapitanie.

- Ned Tyler! - zakrzyknął Hal. Nie miał od niego wieści od ponad pięciu lat. - Gdzie on teraz przebywa?

- Gospodaruje na farmie pod Bristolem. Kupił ją sobie za pieniądze z łupów zdobytych pod pańskim dowództwem, sir.

Ned Tyler był jednym z najlepszych marynarzy, z jakimi kiedykolwiek Halowi zdarzyło się pływać, i zdumiało go nie po raz pierwszy, jak mały i blisko ze sobą powiązany jest żeglarski świat.

- Więc co ty na to, Wilson? Zaciągniesz się na Ser cipka! - zapytał.

- Bardzo bym chciał pożeglować z panem, kapitanie Courtney - odparł młodzieniec.

59

Jego deklaracja sprawiła Halowi wyraźną przyjemność.

- W takim razie zgłoś się do mojego bosmana, do Dużego Daniela Fishera. Niech ci znajdzie jakieś lokum do czasu, kiedy się przeniesiemy na statek. A potem poświęć swą biegłość w pisaniu, układając list do wuja Neda. Niech zamiast doić krowy i przerzucać gnój włoży marynarskie buty i zjawi się tu jak najrychlej. Będę go potrzebował.

Kiedy na wąskich, drewnianych schodach ucichły kroki Wilsona, Hal podszedł do małego okna, wychodzącego na brukowane podwórze oberży. Stał tam i przyglądał się, jak Aboli udziela chłopcom lekcji fechtunku. Guy z Dorianem przysiedli na stercie siana. Młodszy z bliźniaków chyba właśnie zakończył trening, świadczył o tym rumieniec na jego twarzy i plamy potu na koszuli. Dorian gratulował mu, poklepując po plecach.

Murzyn przeciwczył z Tomem wszystkie sześć parad, a także pełny repertuar cięć i sztychów. Wreszcie, gdy chłopak już się lekko spocił, Aboli stanął przed nim i wyzwiał go do walki.

- Broń się, Klebe!

Kilka razy starli się bez większego przekonania; widać było, że Aboli celowo dostosowuje się do możliwości Toma. Mimo to jego uczeń był już zmęczony i wyraźnie zwolnił, kiedy Murzyn zakrzyknął:

- Ostatni raz, Klebe. Tym razem zamierzam cię trafić.

Twarz Toma stężała i ustawił się w czwartej zasłonie, z szpicem szpady ku górze, starając się z oczu Abolego wyczytać jego zamiary, nim tamten ruszy do ataku. Dotknęli się klingami i Murzyn wysunął się do przodu, zaczynając prawą stopą z wdziękiem tancerza. Zrobiwszy fintę, po zasłonie i ripoście Toma wycofał się i skontrolował z szybkością żmii. Tom próbował prawidłowo się zasłonić niską czwartą paradą, lecz jego dłoni wciąż brakowało tempa. Rozległ się brzęk stali o stal i klinga Abolego zatrzymała się o cal od prześwitującego spod białej koszuli sutka przeciwnika.

- Szybciej, Klebe, jak jastrząb! - napomniął go.

Tom zebrał się w sobie i zauważył, że przeciwnik za bardzo odchylił nadgarstek i jego broń nieco zeszała z linii, dzięki czemu pojawiła się luka, pozwalająca ciąć go w prawe ramię.

60

dChoć zły i nachmurzony z powodu porażki, chłopak nie przeoczył danej mu sposobności.

Nawet z okna na piętrze Hal dostrzegł, jak jego syn popełnia błąd, sygnalizując swój zamiar lekkim uniesieniem podbródka. "Nie, Tom, nie!" - szepnął. Nauczyciel podstawił swemu uczniowi pod nos przynętę, na którą jakże często łapał Hala, gdy ten był w wieku Toma. Wytrawnie oceniwszy dystans, Aboli ustawił się tak, żeby być minimalnie poza zasięgiem klingi przeciwnika; przy próbie cięcia w ramię chłopak znów zostałby potraktowany sztychem.

Hal aż podskoczył z zadowolenia, ujrawszy, że jego syn wykonuje podwójny krok i fintę na ramię, po czym ze zwinnością małpy i niezwykłą jak na swój wiek siłą nadgarstka zmienia kąt natarcia i tnie w biodro Abolego. "Prawie go miałeś!" - westchnął. Aboli zaś z najwyższym wysiłkiem sparował kolicie i odrzucił głownię z powrotem do linii starcia.

Murzyn cofnął się o krok i przerwał zwanie. Pokręcił ze zdumieniem głową, aż z jego łysej czaszki prysnęły krople potu, i uśmiechnął się szeroko, błyskając białą zębów.

- Dobrze, Klebe. Nigdy nie przyjmuj zaproszenia przeciwnika. Brawo! Prawie udało ci się mnie dopaść - rzekł, obejmując Toma ramieniem. - Wystarczy na dziś. Pan Walsh czeka, musisz teraz wziąć do ręki pióro zamiast szpady.

- Jeszcze tylko raz, Aboli - poprosił chłopiec. - Teraz dobrze wymierzę i na pewno cię trafię. Murzyn jednak pchnął go lekko ku drzwiom gospody.

- Aboli doskonale nad tym panuje - rzekł Hal do siebie z aprobatą. - Nie zmusza ich do wysiłku ponad wiek i możliwości. - Pomacał białawą bliznę na swoim prawym uchu i uśmiechnął się ponuro. - Niedaleki jest już jednak dzień, kiedy utoczy parę kropelek malinowego soku z panicza Toma, tak jak niegdyś ze mnie, i nieco utemperuje wysokie mniemanie chłopca o własnych umiejętnościach.

Otworzył skrzydło okna i wychylił się na podwórze.

- Aboli, gdzie jest Duży Daniel? - zawołał. Murzyn otarł przedramieniem pot z czoła.

- Pracował przy powozie, a potem poszedł gdzieś z tym nowym chłopakiem, Wilsonem.

- Znajdź go i przyprowadź do mnie. Mam dla was obu nowinę. Po półgodzinie, gdy obaj mężczyźni wsunęli się do jego

61

pokoju, Hal podniósł głowę znad leżącego na biurku dokumentu.

- Siadajcie - wskazał im ławę pod ścianą. Usiedli posłusznie, przypominając dwóch przerośniętych uczniów w oczekiwaniu na burę. - Zamieniłem ostatnio słówko z Mabel. - Hal wybrał na pierwszy ogień Dużego Daniela. - Mówi, że nie wytrzyma kolejnej zimy z tobą, tłukącym się po mieszkaniu jak niedźwiedź w klatce. Błagała mnie, żebym cię gdzieś zabrał, i to jak najdalej.

Duży Daniel zachnął się zdumiony. Mabel to jego żona, szefowa kuchni w High Weald, pulchna, wesoła kobieta o rumianych policzkach.

- Kto jej pozwolił... - zaczął gniewnie, lecz zaraz uśmiechnął się szeroko, zauważwszy iskierki w oczach Hala. Ten zaś zwrócił się do Abolego.

- A co do ciebie, czarny diable, to burmistrz Plymouth poinformował mnie właśnie, że w mieście rodzą się na potęgę łyse dzieci o czekoladowej karnacji i wszyscy żonaci mężczyźni ładują już muszkiety. Ciebie też trzeba będzie gdzieś wywieźć

Aboli zatrzęsł się od śmiechu.

- Dokąd się udajemy, Gundwane? - zapytał, używając przydomka, którym ochrzcił Hala jeszcze jako chłopca, a który w języku dżungli oznaczał leśnego szczura. Dziś posługiwał się mm rzadko, jedynie w chwilach wielkiego afektu.

- Na południe - odparł Courtney. - Poza Przylądek Dobrej Nadziei, na morza, które tak dobrze znasz.

- I co tam będziemy robić?

- Musimy znaleźć człowieka imieniem Jangiri.

- A kiedy go już znajdziemy? - dopytywał się Aboli.

- Zabijemy go, a jego łupy staną się naszymi. Murzyn zastanawiał się przez chwilę.

- Podoba mi się to - rzekł w końcu.

- Na jakim żaglowcu? - zapytał Duży Daniel.

- ~Na.Sera.phie. To wschodnioindyjczyk, prosto ze stoczni. Trzydzieści sześć dział, szybki i zwinny jak łasica.

- Co to znaczy Seraph

- Seraph, serafin, to jedna z najwyższych rang aniołów w niebie.

- O, to wypisz wymaluj ja, od A do Z! - Duży Daniel obnażył w szerokim uśmiechu swe różowe dziąsła. Był oczywiście analfabeta, a litery znał tylko ze słyszenia, toteż Hala

62

szczerze rozbawiła jego facecja. - Kiedy będziemy mogli go obejrzeć? - chciał wiedzieć bosman.

- Jutro z samego rana. Niech powóz będzie gotowy po pierwszym brzasku. Do stoczni w Deptford jest kawał drogi. - Mężczyźni zerwali się do odejścia, lecz Hal powstrzymał ich gestem dłoni. - Mamy jeszcze sporo roboty - rzekł. - Przede wszystkim trzeba skompletować załogę.

Obaj natychmiast spowaźnieli. Znalezienie odpowiednich marynarzy na nową jednostkę było niełatwym zadaniem.

Hal podniósł leżący na stole papier. Był to afisz z ogłoszeniem, które ułożył poprzedniego wieczora i posłał przez Walsh'a do drukarni przy Cannon Street. Miał właśnie przed sobą próbne odbitki.

UDZIAŁ W ŁUPACH! WIELKIE PIENIĄDZE DO ZDOBYCIA!

głosił tłustym czarnym drukiem nagłówek. Tekst poniżej wydrukowano mniejszą czcionką, był jednak nie mniej krzyżący i obrazowy, upstrzony wykrzyknikami i wersalikami.

KAPITAN SIR HAL COURTNEY, Bohater wojen z Holendrami, Mistrz żeglarski i Sławny Nawigator, Zdobywca holenderskich galeonów Standvastigheid i Heerlige Nacht. Na swych Legendarnych żaglowcach, Lady Edwina i Golden Bough, odbył liczne wyprawy do Afryki i Wysp Korzennych w Indiach, walczył zwycięsko z nieprzyjaciółmi Jego Królewskiej Mości, zdobywając WIELKIE BOGACTWA i NAGRODY, teraz ma wolne koje dla ludzi Uczciwych i Zacznych na swoim nowym okręcie Seraph, wschodnioindyjczyku o trzydziestu sześciu działach, Wielkiej Sile i Szybkości, wyposażonym i zaopatrzonym z dbałością o Wygodę i Zadowolenie oficerów i załogi. Dzielni marynarze, którym ŁASKAWY LOS pozwolił żeglować pod KAPITANEM COURTNEYEM podczas jego poprzednich wojaży, otrzymali UDZIAŁ W ŁUPACH o wartości 200 funtów na głowę.

KAPITAN COURTNEY, zaopatrzony w LIST KAPER-SKI JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI WILHELMA III (NIECH BÓG MA GO W SWEJ OPIECE!), pożegluje na OCEAN INDYJSKI w poszukiwaniu nieprzyjaciół JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI, ku ich wielkiej konfuzji i znisz-

63

czeniu, a także pozyskaniu BOGATYCH TROFEÓW! Połowa łupów podzielona zostanie między oficerów i ZAŁOGĘ!

WSZYSTKICH DZIELNYCH MARYNARZY, poszukujących zatrudnienia oraz fortuny, zaprasza się serdecznie na dzban dobrego piwa z DUŻYM DANIELEM FISHE-REM, pierwszym oficerem na Seraphie, w oberży PLOUGH na TAILORS LANE.

Aboli przeczytał ogłoszenie na głos, na użytek Dużego Daniela, który utrzymywał zawsze, że ma zbyt kiepski wzrok do tej czynności, lecz potrafił dostrzec pojedynczą mewę na horyzoncie i bez najmniejszego problemu rzeźbił miniaturowe detale na swych modelach statków.

Kiedy Murzyn skończył, bosman wyszczerzył się w uśmiechu.

- To zbyt dobra okazja, żeby ją przegapić - rzekł - a ten sławny kapitan to człowiek w sam raz dla mnie. Do czorta, chyba postawię krzyżyk na jego liście załogowej.

Kiedy pan Walsh wrócił z drukarni, uginając się pod brzemieniem ciężkiego stosu afiszów, Hal polecił Dorianowi i bliźniakom, żeby pomogli Abolemu i Dużemu Danielowi umieścić ogłoszenie na wszystkich rogach ulic oraz drzwiach tawern i burdeli nad rzeką i w okolicy doków.

Aboli zatrzymał powóz na ubitym placu deptfordzkiej stoczni. Hal wysiadł szybko i przeszedł na skraj nabrzeża, gdzie czekali na niego Duży Daniel z Alfem. Na rzece tłoczno było od jednostek wszelkich klas i rodzajów - od dostawczych łodzi po pierwszą klasę weteranów wojen. Niektóre miały tylko gołe kadłuby, inne zaś, w pełnym morskim takielunku, z podniesionymi rejami i postawionymi żaglami, sunęły w dół rzeki ku Gravesend i wyjściu na kanał lub halsowały powoli pod prąd i przeciwny wiatr w kierunku Blackwell.

Pomimo tej mnogości wszystkiego, co pływa, trudno było przeoczyć Serapha lub pomylić go z inną jednostką i spojrzenie Hala od razu powędrowało ku niemu. Stał na kotwicy poza głównym nurtem rzeki, otoczony galarami, a na jego pokładzie roilo się od cieśli i żaglomistrzów. Z pokładu łodzi dostawczej wciągnięto właśnie na pokład wielką beczkę z wodą i opuszczono ją do luku na rufie.

64

- Śliczności! - szepnął Hal, przyglądając się żaglowcowi z niemal zmysłową przyjemnością, jakby to była naga kobieta. Choć nie zamocowano jeszcze rei, maszty miały eleganckie nachylenie i bez trudu mógł sobie wyobrazić rozległy obłok żagli, jakie zdolne były unieść.

Kadłub był rezultatem szczęśliwego kompromisu. Jego szerokość i głębokość pozwalały pomieścić ciężki ładunek i komplet dział, jak przystało na uzbrojoną jednostkę handlową. Jednocześnie zaś delikatna linia dziobu i kształtna rufa obiecywały szybkość i zwrotność przy każdym wietrze.

- Popłynię tak ostro, jak sobie zażyczysz, kapitanie, i pożeg-luje nawet przy pierdnięciu rusałki - mruknął stojący przy Courtneyu Duży Daniel. Sam fakt, iż odezwał się niepytany, świadczył o tym, że i on był oczarowany widokiem.

Seraph wykończony był wspaniale, odpowiednio do prestiżu Kompanii Wschodnioindyjskiej, której miał być chlubą. Choć otaczające go galary częściowo przesłaniały widok, kolory lśniły żywo w bladym jesiennym słońcu. Cały był w błękitach i złoceniach, bogato rzeźbione galeryjki kasztelu zdobiły postaci cherubinów i serafinów, a figurą dziobową, zgodnie z imieniem żaglowca, był także anioł - z rozpostartymi skrzydłami i twarzą dziecka. Otwory działowe, podkreślone złotymi obramieniami, układały się w przyjemny dla oka szachownicowy wzór, podkreślający siłę ognia jednostki.

- Wezwijcie skif! - polecił Hal, a kiedy łódź podpłynęła do śliskich kamiennych schodków, wskoczył na nią zgrabnie i przeszedł na rufę.

- Zawieź nas na Serapha - polecił Duży Daniel starcowi siedzącemu przy rumplu. Skif cuchnął niczym ściek i jego pokład był zabrudzony nieczystościami.

Prawdopodobnie nocą służył do wywozu odchodów i pomyj ze statków kotwiczących na Tamizie; za dnia jednak transportował warzywa i ludzi.

- Pan to pewnie kapitan Courtney, nowy dowódca Serapha - zagadnął drżącym głosem przewoźnik. - Widziałem ogłoszenie w pubie.

- W rzeczy samej - potwierdził Duży Daniel; Hal był tak zajęty studiowaniem nowego obiektu swych uczuć, że nie usłyszał pytania.

- Mam dwóch silnych chłopaków, w sam raz by pasowali do waszej załogi - mówił dalej stary.

65

- Przyślij ich do mnie - mruknął Duży Daniel.

W ciągu trzech dni od rozwieszenia afiszów mieli już prawie całą załogę. Nie było potrzeby wyprawiać się do więzienia i przekupywać naczelnika, żeby im dostarczył na pokład więźniów w łańcuchach. Wręcz przeciwnie, Duży Daniel mógł do woli przebierać wśród tłumu szukających zajęcia marynarzy, którzy oblegali gospodę. Miejsce na statkach Kompanii było w wysokiej cenie; warunki na nich panujące i wynagrodzenie przewyższały o niebo te oferowane przez królewską flotę wojenną. Każdy szlifbruk w porcie i każdy marynarz schodzący akurat na ląd wiedział doskonale, że gdy rozpocznie się wojna z Francją, naganiacze z marynarki przetrząsać będą wszystkie porty Brytanii i zaciągać na pokład okrętów każdego, kogo uda im się dopaść. Dużo przeczniej było więc skorzystać z okazji teraz i wypłynąć na morze, zanim hycle rozpoczną swoją budzącą zgrozę robotę. Mistrz skutniczy obserwujący ich z tylnego pokładu Serapha domyślił się, kim jest wysoki szlachcic stojący na rufie skifu, i kiedy Hal wspiał się na statek po drabinie, czekał już na gości przy relingu.

- Ephraim Greene, do usług, kapitanie - powitał Court-neya.

- Proszę pokazać mi statek, jeśli łaska, panie Greene - rzekł Hal.

Jego spojrzenie lustrowało Serapha od szczytu grotmasztu do zakamarków pokładu. Ruszył natychmiast na rufę, a skutnik drobił obok, starając się dotrzymać mu kroku. Obejrzelni statek od zęz aż po najwyższe reje, a Hal wydawał zwięzłe instrukcje Dużemu Danielowi, gdy zauważył konieczność choćby najdrobniejszych poprawek. Daniel przekazywał z kolei te uwagi Wilsonowi, który zapisywał je w oprawnej w skórę księdze. Ci dwaj już zaczęli stanowić całkiem zgrany zespół. Potem Aboli zawiózł Hala z powrotem do oberży, lecz Duży Daniel z Wilsonem zostali na pokładzie wśród stert tarcicy i trocin, tobołów, worków z nowymi żaglami i potężnych zwojów konopnych lin, zalegających międzypokład Serapha. Musieli sobie znaleźć tymczasowe kwatery na statku, gdyż przed wyruszeniem na morze rzadko już mieli schodzić na ląd.

- Przyjadę jutro - obiecał Courtney Danielowi. - Będę potrzebował wykazu zaopatrzenia, jakie już mamy na po-

66
kładzie. Dostaniesz go od mistrza Greene'a. Zrób także spis wszystkiego, czego nam jeszcze brakuje.

- Tak jest, kapitanie.

- Potem sporządzimy manifest ładunku i przystąpimy do trzymowania.

- Tak jest, kapitanie.

- A w wolnych chwilach zacznij popędzać trochę mistrza Greene'a, żebyśmy zdążyli wyjść na morze przed pierwszymi przymrozkami. - Popołudniami już zrywał się od północnego wschodu kaśliwy wietrzyk, niosący ze sobą mroźną woń i robotnicy na otwartym pokładzie kulili się pod jego smagnięciami. - W taki wieczór jak dzisiejszy wydaje mi się, że słyszę, jak ciepłe wiatry południa szepczą moje imię - rzucił Hal na odchodnym i wsiadł do powozu.

- A ja już prawie czuję gorący kurz Afryki, niesiony monsunem - dopowiedział Duży Daniel z uśmiechem.

Kiedy powóz wtoczył się wreszcie na brukowane podwórze gospody, było już dobrze po zmroku, lecz wszyscy trzej młodzi Courtneyowie wybiegli z oświetlonej głównej sali oberży na spotkanie Hala, zanim jeszcze zdążył wysiąść, a potem poszli za nim schodami do salonu na piętrze.

Hal zawołał na gospodarza, żeby mu przyniósł cynowy dzban grzanego wina z korzeniami, po czym zdjął kaftan i opadł na krzesło z wysokim oparciem, spoglądając w trzy twarze wpatrujące się w niego z przejęciem.

- Czemu zawdzięczam zaszczyt tej deputacji, panowie? - zapytał z poważną miną, dostosowując się do ich nastroju.

Dwie głowy zwróciły się w stronę Toma, pełniącego zwyczajowo rolę ich rzecznika. - Chcieliśmy się zaciągnąć na statek u Dużego Daniela - wyjaśnił starszy z bliźniaków - ale odesłał nas do ciebie.

- Którą macie klasę marynarską i jakie doświadczenie? - drażnił ich Hal.

- Nie mamy żadnej poza zapałem w sercu i chęcią do nauki - przyznał Tom.

- To wystarczy w wypadku Toma i Guya - rzekł Hal. - Dostaniecie stanowiska służących kapitana i gwineę miesięcznego wynagrodzenia. - Ich twarze rozjaśniły się niczym słońce,

67

lecz Hal dodał natychmiast: - Dorian jest jednak jeszcze za młody. Będzie musiał zostać w High Weald.

Zapadło podszyte grozą milczenie, a bliźniacy spojrzeli z posępnymi minami na Doriana. Najmłodszemu z Courtne-yów ledwie udało się powstrzymać od wybuchnięcia płaczem.

- Kto się będzie mną opiekował, kiedy Tom i Guy wyjadą? - zapytał.

- Podczas mojej nieobecności panem High Weald będzie twój starszy brat William; pan Walsh również zostanie, żeby dopilnować twojej nauki.

- William mnie nienawidzi - rzekł Dorian drżącym głosem.

- Zbyt surowo go oceniasz. Ma twardą rękę, ale cię kocha - przekonywał go Hal.

- Chciał mnie zabić, a kiedy ciebie nie będzie, na pewno znowu spróbuje. Pan Walsh go nie powstrzyma.

Hal zaczął kręcić przecząco głową, lecz przed oczami stanęła mu żywo scena w lesie pod kaplicą i wyraz twarzy Williama, gdy ścisnął chłopca za gardło. Po raz pierwszy zaczął dopuszczać do siebie niemiłą myśl, że stanowcze stwierdzenie Doriana nie jest być może wcale dalekie od prawdy.

- W takim razie ja mogę zostać i zająć się Dorianem - rzekł nagle Tom ze ściągniętą i pobladłą twarzą.

Hal doskonale rozumiał, ile kosztowało syna złożenie takiej deklaracji. Całe życie Toma obracało się wokół myśli o wypłynięciu kiedyś na ocean, a jednak zdobył się na rezygnację ze swego marzenia. Tak bezprzykładne poświęcenie poruszyło ojcowskie serce do głębi.

- Jeżeli nie chcesz zostać w High Weald, Dorianie, mogę cię zawieźć do Canterbury, do wuja Johna. To przecież brat twojej matki i kocha cię niemal tak mocno jak ja.

- Skoro mnie naprawdę kochasz, ojczu, to zabierz mnie ze sobą. Inaczej wolę, żeby mnie William zatłukł na śmierć.

Dorian mówił z przekonaniem i determinacją niezwykłą jak na swój wiek.

Zaskoczyło to Hala, gdyż nie spodziewał się tak stanowczego oporu.

- Tom ma rację - przyłączył się do rozmowy Guy. - Nie możemy opuścić Doriana. Zostaniemy z nim obaj.

Lojalność Guya wywarła na ojcu największe wrażenie. Niemal się nie zdarzało, żeby młodszy z bliźniaków zajmował

68

w jakiejś sprawie tak zdecydowane stanowisko; gdy to już jednak uczynił, nie działały na niego ani prośby, ani groźby.

Hal zmarszczył srogo brwi, lecz jego umysł pracował gorączkowo. Czy wolno mu było zabrać na wyprawę, grożącą z pewnością strasznymi niebezpieczeństwami, takie dziecko? Popatrzył na bliźniaków. W końcu przecież jego ojciec też zabrał go w morską podróż po śmierci matki, a był wówczas tylko rok czy dwa starszy od Doriana. Jego zdecydowanie słabło coraz bardziej.

Zaczął się zastanawiać, jakim niebezpieczeństwem przyjdzie im bez wątpienia stawić czoło. Wyobraził sobie małe i kształtne ciało Dorian, naszpikowane drzazgami, wyrwanymi z drewnianego kadłuba przez armatnią kulę. Albo wyrzucone gdzieś na dzikie i bezludne afrykańskie wybrzeże i pożarte przez hieny lub inne ohydne bestie. Spojrzał na syna, na jego rudozłocistą głowę, tak niewinną i śliczną jak rzeźbiony serafin na dziobie żaglowca, którego dopiero co oglądał. Słowa odmowy znów zaczęły mu się cisnąć na usta. W tym momencie jednak Tom położył opiekuńczym gestem dłoń na ramieniu młodszego brata. Była w tym geście spokojna godność, miłość i poczucie obowiązku i Hal poczuł, jak niemal już wypowiedziana kwestia więźnie mu w gardle. Odetchnął głęboko.

- Zastanowię się nad tym - rzekł w końcu chrapliwie. - A teraz zmykajcie. Dość już z wami kłopotów jak na jeden dzień.

Wycofali się ku drzwiom, a na odchodnym powiedzieli jeszcze zgodnym chórem:

- Dobranoc, ojczu.

Kiedy wrócili do swojej sypialni, Tom ujął Dorian za ramiona.

- Tylko nie płacz, Dorry - przestrzegł go. - Wiesz przecież, że kiedy mówi, że się zastanowi, to oznacza zgodę. Ale nie wolno ci płakać. Skoro masz popłynąć na morze ze mną i Guyem, musisz się zachowywać jak mężczyzna. Rozumiesz?

Dorian przełknął i pokiwał żwawo głową, czując, że się rozszlocha, gdy tylko otworzy usta.

Przed bramą pałacu Świętego Jakuba ustawił się wzdłuż Mallu długi rząd powozów. Budynek, przypominający zamek - zabawkę z licznymi wieżami i blankami, wzniesiony został przez

69

króla Henryka VIII i w dalszym ciągu służył kolejnym panującym. Kiedy podjechali wreszcie do wrót, do powozu podeszło dwóch lokajów w liberjach, żeby otworzyć przed Halem drzwiczki, a przysłany przez lorda Hyde'a sekretarz poprowadził go przez dziedziniec.

Przy wejściu na schody, wiodące na Długą Galerię, stali strażnicy z pikami, w hełmach i półzbrojach. Sekretarz pokazał im przepustkę i pozwolili im przejść, a w chwilę później lokaj tubalnym głosem zaanonsował:

- Kapitan sir Henry Courtney!

Straż uniosła lśniące piki w salucie i Hal ruszył po schodach za ambasadorem Hiszpanii i jego świtą. Kiedy znalazł się na górze, zobaczył, że całą galerię wypełnia tłum znamienitych dżentelmenów, prezentujących taką kolekcję mundurów, orderów, trójgraniastych kapeluszy i peruk, że poczuł się jak wieśniak z głębokiej prowincji. Rozejrzał się za sekretarzem, który go przyprowadził, lecz ten idiota jak na złość gdzieś zniknął i Hal zupełnie nie wiedział, jak ma się teraz zachować.

Nie miał jednak powodu, by czuć się tu nie na miejscu. Sam bowiem był wystrojony w ubranie z bordowego aksamitu, uszyte specjalnie na tę okazję, a klamry przy jego butach były z litego srebra. Na piersi miał order Rycerza Nawigatora Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala, który przedtem należał do jego ojca i dziadka. Była to wspaniała ozdoba: na masywnym złotym łańcuchu wisiał złoty lew Albionu z rubinowymi oczami, trzymający w pazurach glob ziemski z mrugającymi powyżej gwiazdami z diamentów. Dorównywała ona splendorem każdemu z licznych orderów i medali, pyszniących się tego wieczora na piersiach królewskich gości. U biodra Hala, w inkrustowanej złotem pochwie, wisiała szpada z Neptunem, ozdobiona połyskującym błękitnym szafirem, wielkim jak kurcze jajo.

- Cieszę się, że pan przyszedł, sir Hal - usłyszał w tym momencie tuż przy uchu głos Hyde'a. Kanclerz ujął go przyjacielskim gestem pod łokieć. - Nie marnujmy tu więcej czasu, niż potrzeba. To tylko zgromadzenie pawi przechwalających się swymi ogonami, ale warto, by poświęcił pan chwilę, żeby poznać niektórych z nich. Przedstawię pana admirałowi Shove-lowi. Ma zostać zarządcą nowej stoczni marynarki królewskiej w Devonport. A tam stoi lord Ailesham, którego też dobrze jest znać... może naprawdę niejedno załatwić.

70

Oswald Hyde poprowadził go wzdłuż galerii, zręcznie przepychając się przez ludzką ciżbę. Na widok kanclerza grupki gości rozstępowały się zapraszająco, a gdy przedstawiał Hala, wszyscy przyglądali mu się bacznie, traktując go jako znaczącą osobę tylko dlatego, że był protegowanym Hyde'a. Ten zaś powoli sterował ku drzwiom na końcu pomieszczenia, a kiedy się tam znaleźli, ustawili się tak, żeby spojrzenie każdego, kto nimi wyjdzie, najpierw padło na nich.

- Jego Królewska Mość podpisał wczoraj pańskie pełnomocnictwo, kapitanie Courtney - mruknął Hyde Halowi do ucha, po czym wyciągnął z rękawa zwój pergaminu. Dokument był związany czerwoną wstążką i zabezpieczony woskowym odciskiem Wielkiej Pieczęci Anglii z dewizą Honi soit qui mai y pense. - Strzeż go dobrze - przykazał i wsunął mu go w dłoń.

- Proszę się nie obawiać - zapewnił go Courtney. Ten skrawek pergaminu mógł dla niego oznaczać olbrzymie bogactwa i tytuł para.

W tym momencie wzdłuż galerii zapanowało ożywienie i wszyscy odwrócili się ku drzwiom. Kiedy się otworzyły, wyszedł z nich Wilhelm III, król Anglii i namiestnik Niderlandów. Jego małe, zgrabne stopy obute były w pantofle ozdobione perłami i złotym filigranem. Obecni pochyłili się w zgodnym pokłonie.

Hal wiedział oczywiście o ułomności monarchy, lecz zobaczenie jej na własne oczy zaszokowało go. Król Anglii był niewiele wyższy od Doriana, na plecach miał garb, wypychający szkarłatno-błękitny płaszcz Orderu Podwiązki niemal ponad jego ptasią głowę, a ciężki złoty łańcuch odznaczenia zdawał się ciągnąć go jeszcze bardziej ku ziemi. Stojąca u jego boku królowa Maria II wydawała się w porównaniu z mężem bardzo postawna, choć była tylko smukłym, dwudziestoletnim dziewczęciem.

Król dostrzegł Hyde'a natychmiast i skinał nań, by się zbliżył. Kanclerz pokłonił się nisko, zamiatając kapeluszem podłogę. Hal, trzymając się dwa kroki z tyłu, poszedł za jego przykładem. Monarcha spojrział na niego ponad ramieniem Hyde'a.

- Możesz przedstawić swego przyjaciela - powiedział z ciężkim holenderskim akcentem. Głos miał głęboki i donośny, nie pasujący zupełnie do dziecięcej postaci.

- Wasza Królewska Mość, oto sir Henry Courtney.

- Ach tak. Ten żeglarz - rzekł król, podając Halowi dłoń

71

do ucałowania. Wilhelm miał długi, haczykowaty nos, lecz szeroko rozstawione oczy patrzyły bystro i inteligentnie.

Hal, zaskoczony, że go tak szybko skojarzono, odezwał się płynnie po holendersku:

- Pragnę zapewnić Waszą Królewską Mość o mojej lojalności i oddaniu.

- Gdzie się nauczyłeś tak dobrze tego języka? - zapytał król, przyglądając mu się bacznie.

- Spędziłem kilka lat na Przylądku Dobrej Nadziei, Wasza Królewska Mość - odparł Courtney.

Zastanawiał się, czy król wie o jego pobycie w holenderskim więzieniu. Iskierki rozbawienia w oczach Wilhelma zdradziły mu, że tak; pewnie poinformował go o tym Hyde. Dziwnie się czuł, uświadamiając sobie, że ten oto król Anglii był kiedyś jego zawziętym wrogiem i walczył jako żołnierz z licznymi angielskimi generałami, zgromadzonymi teraz w długiej galerii, żeby mu złożyć wyrazy szacunku i wierności.

- Spodziewam się otrzymać wkrótce dobre wieści od ciebie, mój kapitanie - rzekł człowieczek, a królowa pozdrowiła Hala skinieniem głowy.

On zaś ukłonił się ponownie i królewska para ruszyła dalej. Prezentacja była skończona.

- Sir Hal, proszę za mną - powiedział Hyde, prowadząc go dyskretnie do bocznego wyjścia. - Dobrze wypadło. Król ma znakomitą pamięć. Na pewno pana nie zapomni, gdy przyjdzie czas, by się upomnieć o nagrodę. Te schody wyprowadzą pana na dziedziniec - pokazał ręką. - Do zobaczenia, kapitanie Courtney. Nie spotkamy się już przed pańskim wyruszeniem na morze, lecz ja także będę oczekiwał pomyślnych wieści o pańskich poczynaniach w krajach Orientu.

Oba statki płynęły razem w dół rzeki. Seraph prowadził, a Yeoman of York trzymał się dwa kable za nim. Na pokładzie pierwszego z żaglowców wciąż znajdowali się robotnicy ze stoczni. Nie zdołali wykończyć jednostki w przyrzeczonej terminie, ale Hal zdecydował się wyruszyć.

- Odeślę pańskich ludzi na ląd w Plymouth - oznajmił Greene'owi - jeżeli zakończą prace, kiedy tam dopłyniemy. Jeżeli zaś nie, wrzucę ich do Zatoki Biskajskiej i niech płyną do domu wpław.

72

Operowanie żaglowcem wciąż jeszcze nie szło im gładko; załoga dopiero się do niego przyzwyczajała. Stojąc na rufie, Hal widział, jak szybko i sprawnie stawiają żagle marynarze Yeomana. Jego kapitan Edward Andersen zapewne też przyglądał się Seraphowi i Courtney aż się zaczerwienił ze wstydu na myśl o nieudolności własnych ludzi. Poprzysiągł sobie w duchu, że to się zmieni, zanim osiągną Przylądek Dobrej Nadziei.

Gdy wyszli na otwarte wody kanału, wiatr zmienił kierunek i wzmógł się, przechodząc w jesienną zawieruchę. Słońce się skryło za chmurami, a morze wzburzyło i nabrało posępnej zielonej barwy. Noc zapadła szybko i załogi jednostek straciły kontakt wzrokowy jeszcze przed minięciem Dover.

Przez kilka dni Seraph zmagał się z przeciwnym wiatrem, wreszcie jednak minęli wyspę Wight i okazało się, że Yeoman jest tylko o milę przed nimi i idzie tym samym halsem.

- Doskonale! - Hal pokiwał głową i złożył lunetę.

Do tej pory wstrzymywał się z oceną umiejętności Andersena. Kapitan Yeomana był krzepkim yorkshirczykiem o czerwonej twarzy, posępnym i małowódnym. Wyglądało na to, że niechętnie pogodził się ze zwierchnictwem Hala nad sobą. Te pierwsze dni

wyprawy pokazały jednak, że na pewno można było polegać na jego talentach żeglarskich.

Hal wrócił myślą do Serapha. Sprawność jego załogi w tych trudnych warunkach poprawiała się z dnia na dzień, ludzie pracowali ochoczo i z animuszem. Zaoferował najlepszym godziwe wynagrodzenie, dokładając z własnej kieszeni do stawek wyznaczonych przez Kompanię.

W tym momencie jego trzech synowie wybiegli zejściówką spod pokładu, skończywszy lekcje z panem Walshem. Podekscytowani i rozbrykani, nie wykazywali najmniejszych oznak choroby morskiej mimo niemal sztormowej pogody. Aboli zaopatrzył ich w odpowiednie do żeglugi stroje jeszcze w Londynie, gdzie sklepików z ekwipunkiem marynarskim było bez liku. Wyglądali dużo lepiej niż Hal, kiedy po raz pierwszy wyprawił się z ojcem na morze. Sir Francis był zdania, że syna nie należy rozpuszczać. Hal pamiętał doskonale swoje szerokie spodnie z surowego płótna i usmarowaną smołą kurtkę, sztywną od kryształków soli; ubiór, który obcierał go do krwi pod pachami i między udami. Uśmiechnął się posępnie na wspomnienie wypchanego wilgotną słomą siennika, który dzielił

73

z Abolim, sypiając na otwartym pokładzie wśród zwykłych marynarzy. Posiłki jadł, siedząc na gołych deskach pod osłoną jednego z dział, a za sztucce do gulaszu i twardych sucharów służyły mu własne palce i sztylet. Załatwiał się do skórzanego wiadra na dziobie, a kąpeli nie zażył ani razu od początku do końca podróży. Wielkiej krzywdy mi to nie wyrządziło, pomyślał, ale i pożytku było z tego niewiele. Młodego człowieka nie trzeba wcale traktować jak bydłęcia, żeby wychować go na dobrego żeglarza.

Inna sprawa, że okoliczności tej pierwszej podróży z ojcem też były inne niż dzisiaj. Stara Lady Edwina była o połowę mniejsza od Serapha i nawet kabina sir Francis'a, w porównaniu z kapitańską kajutą Hala, miała rozmiary psiej budy. Hal kazał robotnikom odgrodzić część własnej kwatery, niewiele większą od dużej szafy, i umocować tam trzy wąskie półki jako koje dla chłopców.

Pan Walsh został także wciągnięty na listę załogi, jako urzędnik kapitański, mimo protestów nauczyciela, że nie jest przecież marynarzem. Miał on kontynuować lekcje z chłopcami, odbywając je we własnej małej kajucie.

Hal obserwował z aprobatą, jak Duży Daniel zabiera się za rozkrzyczanych i rozbawionych chłopców, gdy tylko pojawili się na pokładzie, i posyła ich od razu do przewidzianych dla nich obowiązków. Bliźniacy zostali rozdzieleni; Tomowi przypadła wachta na sterburcie, a Guyowi na przeciwnej. Zwykle nie mieli na siebie wzajemnie zbyt dobrego wpływu. Obecność Guya zachęcała często Toma do popisywania się, a z kolei jego błazeństwa wprawiały brata w rozdrażnienie. Doriana przydzielono do kuchni, miał pomagać kucharzowi w przygotowywaniu śniadania.

Hal obawiał się, żeby Duży Daniel nie kazał chłopcom od razu stawiać żagli, tak się jednak nie stało; czas na to miał przyjść, kiedy ich nogi się wzmocnią, a oni sami nauczą się dobrze utrzymywać równowagę podczas przechyłów. Na razie mieli pomagać przy żaglach na pokładzie.

Wiedząc, że może zostawić synów pod czujnym okiem olbrzymia, Hal mógł się spokojnie zająć kwestiami związanymi z prowadzeniem żaglowca. Przemierzał więc pokład tam i z powrotem, starając się wyczuć ruchy kadłuba, zorientować się w jego reakcjach na każdą zmianę kierunku i ustawienia żagli. Trochę za bardzo nurkuje dziobem, ocenił, widząc przewalającą

74

dsię przez pokład zieloną falę, spływającą następnie lukami odpływowymi. Już od kilku dni przemyśliwał, jak zmienić ułożenie ładunku, szczególnie ciężkich beczek z wodą, żeby dodać statkowi śmigłości. Da się chyba wydusić z niego jeszcze ze dwa węzły, ocenił. Childs wysłał go wprawdzie na wyprawę niemal wojenną, niemniej jednak Kompanię Wschodnioindyjską interesował zawsze przede wszystkim zysk, toteż ładownię Serapha zapełniały najrozmaitsze towary, które miał dostarczyć do factorii w Bombaju.

Część umysłu Hala zaprzątnięta więc była ładunkiem i sterownością statku; jednocześnie jednak przyglądał się załodze. Brakowało mu oficerów wachtowych. Dlatego właśnie zdecydował się zawinąć do Plymouth, zamiast żeglować od razu ku wyspie Ushant u wybrzeży Francji i poprzez Zatokę Biskajską na południe do

wybrzuszenia kontynentu afrykańskiego, a potem dalej do Przylądka Dobrej Nadziei. Plymouth było ich portem macierzystym, a Duży Daniel i Aboli znali w mieście i okolicy niemal każdego mężczyznę, kobietę i dziecko.

- Mogę zapełnić listę wacht najlepszymi ludźmi w Anglii w jeden dzień, gdy tylko zejdziemy na ląd - przechwalał się Duży Daniel, a Hal wiedział, że to prawda.

- Wuj Ned także przysłał wiadomość, że będzie tam na nas czekał - oznajmił Wilson ku satysfakcji Hala, któremu szczerze zależało, żeby mieć Neda Tylera na pokładzie.

Poza koniecznością uzupełnienia załogi był jeszcze inny powód, dla którego nadkładali drogi. W Londynie praktycznie nie można było zaopatrzyć się w proch i kule. Walki w Irlandii już doprowadziły do braków amunicji, a mając w perspektywie wojnę z Francuzami, Admiralicja przejmowała do swoich zapasów każdy gram prochu i każdy nabój. Fabrykom amunicji nakazano wręcz przekazywanie całej produkcji państwu.

Hal zaś miał w Plymouth własny magazyn, wypełniony po dach baryłkami z prochem i żelaznymi kulami. Zgromadził je, przygotowując się do ostatniej wyprawy na Golden Bough, z której zmuszony był zrezygnować, gdy zmarła matka Doriana, zostawiając go z małym dzieckiem. Choć zapas leżał tam już od kilku lat, był to proch nowego typu i Hal liczył na to, że jeszcze nie zwietrzał.

Ostatnim powodem zatrzymania się w Plymouth była konieczność zabrania na pokład pasażerów, których Childs kazał Courtneyowi przewieźć do factorii Kompanii na Bombay

75

Island. Mieli oni oczekiwać w porcie. Prezes nie poinformował go, ilu ich będzie, i Hal miał nadzieję, że niewielu. Kwatery były w wysokiej cenie nawet na żaglowcu takim jak Seraph i kilku z jego oficerów czekała rezygnacja z własnych kajut na rzecz gości.

Wszystkie te sprawy tak zaprzętały uwagę Hala, że miał wrażenie, iż wyjątkowo szybko znaleźli się na wysokości wyspy Wight. Później okrążyli Gara Point i minawszy Drake's Island, ujrzeli zatokę Plymouth. Na brzegu już zgromadził się tłumek gapiów, którzy dostrzegli nadpływające dwa piękne żaglowce i chcieli popatrzeć, jak cumują.

- Widzi pan ten siwy łeb, świecący niczym latarnia morska, sir? - mruknął Duży Daniel, stając obok Hala i wskazując brodą ku nabrzeżu. - Trudno go nie dostrzec, co?

- Dobry Boże, toż to mistrz Ned - zaśmiał się Hal.

- A ten obok to Will Carter - dodał Daniel. - Widocznie Ned go namówił. Dobry chłop z tego Willa. On jako trzeci i Ned jako mat, to już chyba ma pan komplet wachtowych, kapitanie.

Gdy tylko przybili do nabrzeża, Ned Tyler wkroczył na pokład jako pierwszy i Hal musiał się powstrzymać, by nie wziąć go w ramiona.

- Cieszę się, że pana widzę, panie Tyler - powiedział tylko.

- Tak jest - zgodził się Ned. - Ładny stateczek pan przyprowadził, kapitanie Courtney, ale trochę za bardzo pochyla się na dziób, a żagle mu łopoczą niczym pranie na sznurze.

- Liczę na to, że się tym zajmiesz, Ned. Zgadzasz się? - rzekł Hal.

Ned z ponurą miną pokiwał głową.

- A jakże, kapitanie.

Pomimo trudnej drogi Aboli także już zdążył przyprowadzić powóz z Londynu i czekał na nich w porcie, nie wyprzęgnawszy nawet koni. Hal kazał Dużemu Danielowi wziąć się do ładowania prochu i amunicji z magazynu, a także wynieść na keję wszystkie beczki z wodą, żeby można je było załadować ponownie, tym razem z większą dbałością o zwinność statku. Potem zawołał chłopców i poszedł do czekającego powozu.

Z całej trójki tylko Guy podążył za ojcem posłusznie, nawet z pewną ulgą. Tom z Dorianem zeszli dopiero po wyczerpaniu wszystkich opóźniających opuszczenie statku wybiegów, łącznie

76

z przeciągającymi się pożegnaniem z każdym z osobna członkiem załogi, z którym zdążyli się już zaprzyjaźnić. Oswoili się z życiem na pokładzie, jakby żegluge

mieli we krwi. Tak zresztą przecież było, pomyślał Hal i uśmiechnął się pod wąsem.

- Chodźcie już wreszcie - ponaglił ich. - Jutro możecie wrócić, żeby pomóc Dużemu Danielowi przy załadunku. - I kiedy wdrapali się obaj na kozioł, natychmiast rzucił do Abolego: - Do High Weald.

Niedługo potem przejechali przez bramę w kamiennym murze, wyznaczającym granice posiadłości, i Tom, spojrzawszy przed siebie, ujrzał samotnego jeźdźcę, przemierzającego krótkim galopem wrzosowisko, by spotkać się z powozem u stóp wzgórza. Trudno było nie poznać wysokiej postaci, odzianej w czerń, nadjeżdżającej na czarnym ogierze od strony szybów cynowych w East Rushwold. Dorian także spostrzegł Czarnego Billy'ego i przysunął się bliżej do Toma, jakby szukając ochrony. Obaj chłopcy nie odezwali się słowem.

Jeździec dotarł do żywopłotu, poderwał konia do skoku, aż uniosła się w górę czarna peleryna Billy'ego, po czym wylądowali swobodnie po drugiej stronie i ruszyli drogą na spotkanie zbliżającego się powozu.

William w ogóle nie zwrócił uwagi na Abolego i dwóch swoich braci na koźle, lecz zrównał się z oknem powozu i zawołał:

- Co za spotkanie, ojczy! Witaj w High Weald. Brakowało nam tu ciebie.

Hal wychylił się z okna, z uśmiechem zadowolenia na twarzy, i obaj mężczyźni pograżyli się od razu w ożywionej konwersacji. William zdał ojcu sprawę ze wszystkiego, co wydarzyło się podczas jego nieobecności, skupiając się szczególnie na pracy kopalń i plonach ziarna po żniwach.

Zbliżali się już do ostatniego wzgórza przed wielkim domem, kiedy William zakrzyknął nagle ze strapioną miną:

- Ach, byłbym zapomniał! Przyjechali twoi goście z Brighton. Już od dwóch dni wypatrują twojego przybycia.

- Moi goście? - Hal nie rozumiał.

William wskazał szpicrutą w stronę odległych sylwetek na trawniku przed domem. Stał tam potężnej postury mężczyzna z dwiema trzymającymi go pod ramię kobietami, a dwie dziewczynki w kolorowych fartuszkach biegły już w stronę powozu, popiskując z ekscytacji.

77

- Dziewczynki! - zawołał z pogardą Dorian. - Małe dziewczynki!

- Duża też. - Bystre oko Toma zatrzymało się na smuklejszej z dwóch dam u boku postawnego dżentelmena. - I to jaka ładna.

- Lepiej się pilnuj, Klebe - mruknął Aboli. - Ostatnim razem wpadłeś w niezły pasztet.

Tom jednak zachowywał się niczym pies myśliwski, który zwęszył trop.

- A cóż to za jedni? - zapytał Hal z irytacją. Pochłaniały go całkowicie sprawy związane z przygotowaniem statku do długiej wyprawy i nie miał ochoty zajmować się nieproszonymi gośćmi.

- Niejaki pan Beatty ze swoją trzodą - odparł William. - Sądziłem, że się ich spodziewasz, ojczy. Czyż nie tak? W przeciwnym wypadku mogę ich zaraz odprawić.

- A niech to diabli! - zreflektował się Hal. - Przecież to pewnie są pasażerowie, których mam zabrać na pokład Serapha. Beatty jest nowym zarządcą faktorii Kompanii Wschodnioindyjskiej w Bombaju. Ale Childs nic mi nie powiedział, że będę wiozł całą rodzinę. Toż to utrapienie. Cztery kobiety! I gdzie ja, u diabła ciężkiego, mam dla nich wszystkich znaleźć miejsce?

Wysiadając z powozu, by powitać gości, Hal starał się jednak ukryć rozdrażnienie.

- Sir Beatty, jestem kapitan Henry Courtney, do usług - przedstawił się. - Lord Childs wyrażał się o panu bardzo pochlebnie. Ufam, że podróż do Devon miał pan przyjemną?

W istocie spodziewał się, że pasażerowie znajdą sobie kwaterę w mieście, zamiast przyjeżdżać wprost do High Weald; zrobił jednak dobrą minę do złej gry i przywitał się z kolei z żoną Beatty'ego. Była to kobieta o obfitych kształtach, podobnie jak jej mąż, siadywali bowiem razem do obiadu od ponad dwudziestu lat. Twarz miała rumianą i okrągłą jak piłka, lecz spod jej czepka wymykały się kręcone dziewczęce loczki. Dygnęła przed Halem z wdziękiem słońcy.

- Bardzo mi miło, madame - rzekł z kurtuazją i ucałował jej dłoń.

Matrona zachichotała.

- Pozwoli pan, że przedstawię moją starszą córkę Caroli-ne - powiedziała. Orientowała się doskonale, że sir Henry Courtney jest nie

78

tylko jednym z najbogatszych ludzi w Devon i wielkim właścicielem ziemskim, lecz także wdowcem. Caroline kończyła niedługo szesnaście lat i była śliczna. Różnica wieku między nimi wynosiła więc około dwudziestu pięciu lat, oszacowała, tyle samo, co między nią i Beattym. Podczas wielomiesięcznej wspólnej podróży będą mieli mnóstwo czasu, żeby ich przyjaźń mogła dojrzeć, a marzenia przecież czasami się spełniają.

Hal skinał dziewczynie głową, a ona odpowiedziała uroczym dygnięciem; nie miał jednak zamiaru całować jej w rękę. Spojrzał na dwie młodsze dziewczynki, podskakujące i tańczące wokół rodziców niczym dwa rozświergotane wróble.

- A kim są te dwie młode damy? - zapytał ojcowskim tonem.

- Ja jestem Agnes!

- A ja Sarah! - usłyszał w odpowiedzi.

Zanim zdążyli pokonać schody i przekroczyć frontowe drzwi High Weald, miał już u każdego ramienia jedną z dziewczynek, a obie trajkotały i wdzięczyły się, rywalizując o jego zainteresowanie.

- Zawsze marzyłem o córce - rzekł cicho Aboli, przyglądając się z sympatią swemu panu - a doczekał się bandy piekiel-ników.

- To tylko baby - stwierdził wyniośle Dorian.

Tom milczał. Nie odzywał się od chwili, kiedy znalazł się na tyle blisko Caroline, żeby móc przyjrzeć się jej dokładnie. Od tego momentu znajdował się w stanie zupełnego osłupienia.

Dziewczyna wchodziła po schodach w towarzystwie Guya, ale u ich szczytu przystanąła i obejrzała się. Ich oczy się spotkały.

Była najpiękniejszą istotą, jaką Tom potrafił sobie wyobrazić. Wzrostu Guya, ramiona jednak miała węższe, a talię gibką i cienką jak osa. Spod falujących przy każdym kroku spódnic i halek wysuwały się zgrabne stopy w małych pantofelkach. Z bufiastych rękawów jej sukni wychylały się nieskazitelnie białe ramiona, a włosy dziewczyny stanowiły lśniącą masę związanych wysoko loków i wstążek. Śliczną twarz zdobiły pełne różowe usta i duże fiołkowe oczy. Spojrzała właściwie poprzez niego, bez wyrazu na nieruchomej, pozbawionej uśmiechu twarzy, prawie tak, jakby w ogóle go nie dostrzegała, jakby nie istniał. Potem odwróciła się i weszła z innymi do budynku. Tom, nie zdając sobie z tego sprawy,

79

przez cały ten czas wstrzymywał oddech, a teraz wypuścił go z głośnym poświstem. Aboli pokręcił z wolną głową. Nic nie uszło jego uwagi. To będzie naprawdę długa i niebezpieczna podróż, pomyślał.

Seraph stał przy kei przez sześć dni. Tyle czasu zabrało robotnikom wykończenie go, choć Duży Daniel z Nedem Tylerem poganiiali ich, jak mogli. Dopiero kiedy został sklejonny ostatni wpust i wbity ostatni klin, pozwolono im wsiadć do pocztowego dyliżansu, który miał ich zawieźć z powrotem do Deptford. W tym czasie ładunek, zaopatrzenie i uzbrojenie usunięto z ładowni, a potem rozmieszczono w nowym porządku, podczas gdy Hal z zacumowanego na środku zatoki barkasu kontrolował przegłębienie. W geście dobrej woli Edward Ander-son, kapitan Yeomana, przysłał mu także swoją załogę do pomocy przy ciężkich pracach. Ned Tyler tymczasem przewiózł wszystkie żagle do produkującego je warsztatu. Sprawdzący dokładnie każdy ścieg i szew, kazał przeszyć ponownie wszystkie, które uznał za zbyt słabe. Potem dopilnował, żeby zapakowano je w odpowiednio oznakowane płócienne worki i złożono w podręcznych magazynkach.

Kiedy skończył z żaglami, kazał rozłożyć na nabrzeżu całe zapasowe omasztowanie, a po inspekcji załadować je z powrotem jeszcze przed głównym ładunkiem. Tom trzymał się go przez cały czas, chciwie chłonąc każdy okrucz żeglarskiej wiedzy, jaki zdołał od niego wydobyć.

Hal osobiście wypił po łyku wody z każdej beczki przed wniesieniem jej na pokład, by się upewnić, że jest słodka i nadaje się do spożycia. Potem kazał otworzyć co trzecią beczkę z marynatami, a lekarzowi okrętowemu, doktorowi Reynoldsowi, polecił sprawdzić, czy solona wieprzowina i wołowina, suchary i mąka są najlepszego gatunku. Wiedzieli wszyscy aż za dobrze, że nim dopłyną do

Przyłądka Dobrej Nadziei, w wodzie wytworzy się zielonkawa zawiesina, a suchary pokruszą się i pojawią się w nich wołki zbożowe. Halowi zależało jednak, żeby mieć zaopatrzenie najwyższej jakości, a marynarze, widząc jego pieczołowitość, pogadywali między sobą z aprobatą.

- Niewielu kapitanom chciałoby się tak starać. Niejeden

80

d*sy* ^^

M

odkupiłby jeszcze od Admiralicji stare mięso, żeby tylko zaoszczędzić gwineę czy dwie.

Duży Daniel ze swymi kanonierami obejrzał baryłki z prochem, by się upewnić, że nie skawalił się pod wpływem wilgoci. Następnie wyczyścili wszystkie sto pięćdziesiąt muszkietów i sprawdzili, czy krzemienie dobrze siedzą w zamkach i puszczają mocny snop iskier przy wystrzale. Wytoczono też działa i naoliwiono ich lawety. Wysoko na bocianich gniazdach i na skraju nadbudówki osadzono obrotowe falkonety, które dawały dobre pole ostrzału zbliżającego się statku i mogły zasypać jego pokład gradem kartaczy. Kowal z pomocnikami naostrzyli kordy i topory i umieścili je z powrotem na podręcznych stelażach, gotowe w każdej chwili do użytku.

Hal mozolił się także nad planem stanowisk bojowych, wyznaczając każdemu marynarzowi jego miejsce podczas bitwy, a potem zabrał się do wyszukania kwater dla gości. Wreszcie postanowił wyprowadzić chłopców z ich nowo zbudowanej kabiny i umieścić tam trzy siostry Beatty. Trzeci oficer Will Carter musiał odstąpić swą malutkąabinę panu Beatty'emu i jego żonie. Hal aż się zaśmiał pod wasem, wyobraziwszy sobie te dwa opasłe cielska na wspólnej koi o szerokości jakichś dwóch stóp.

Przesiedział w kabinie rufowej Serapha całe godziny z dowódcą Yeomana, ustalając system sygnałów, którymi mieli się porozumiewać na morzu. Przed czterdziestu laty trzech "morskich generałów" w parlamencie, Blake, Deane i Monck, opracowało nowe zasady sygnalizacji, za pomocą flag i żagli za dnia, a latarni i dział w nocy. Hal miał egzemplarz ich "Instrukcji lepszego dowodzenia flotą podczas walki" i na tej podstawie uzgodnili z Andersenem własny zestaw sygnałów, z użyciem pięciu flag i czterech latarni. Znaczenie flag zależało od kombinacji ich barw i pozycji na olinowaniu. Latarnie zaś miały być nocą rozwieszane na grotmaszcie i grotrei w rzędach pionowych i poziomych lub w czworobokach i trójkątach.

Dogadawszy się co do sygnałów, ustalili także plan spotkań na morzu, na wypadek gdyby oba statki straciły ze sobą kontakt z powodu kiepskiej widoczności lub w ogniu walki. Pod koniec tych wielogodzinnych dyskusji Hal był już pewien, że dobrze poznał Andersena i że może mu zaufać jako odpowiedzialnemu towarzyszowi wyprawy.

Po tygodniu od zawinięcia do Plymouth byli nareszcie w pełni

81

gotowi do żeglugi. Ostatniego dnia William wydał z tej okazji wspaniałą ucztę pożegnalną w High Weald.

Caroline posadzono przy długim stole w jadalni między Wil-liamem i Guyem. Tom siedział naprzeciwko niej, lecz szerokość stołu nie pozwalała mu na swobodną rozmowę. To zresztą i tak nie miało dlań znaczenia, ponieważ po raz pierwszy chyba w życiu nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Jadł niewiele, ledwie skubnąwszy homara i soli, swych ulubionych potraw. Niemal nie był w stanie oderwać wzroku od ślicznej twarzy dziewczyny.

Guy natomiast odkrył szybko, iż Caroline jest miłośniczką muzyki i to od razu wytworzyło między nimi zażyłość. Guy uczył się pod okiem pana Walsha gry na harfie i modnej od pewnego czasu cytrze. Tom natomiast nie wykazywał zamięłowania do instrumentów, swym śpiewem zaś, zdaniem gubernera, mógł co najwyżej płoszyć konie na pastwisku.

Podczas pobytu w Londynie pan Walsh zabrał Guya i Do-riana na koncert. Tom dostał wówczas "nagłych bólów brzucha" i nie mógł pójść, czego teraz gorzko żałował. Caroline bowiem niemal w ekstazie słuchała opowieści Guya o tym wieczorze, gdy opisywał jej ze szczegółami muzykę i prześwietne londyńskie

towarzystwo. Pamiętał nawet, jak wyglądały stroje i klejnoty dam. Spojrzenie wielkich fiołkowych oczu cały czas utkwione było w jego twarzy. Tom usiłował odwrócić jej uwagę od brata opowieścią o ich wizycie w szpitalu dla wariatów w Moorfields, gdzie oglądli obłąkańców, wystawionych na widok publiczny w żelaznych klatkach.

- Kiedy rzuciłem w jednego kamieniem, wziął własne łajno z podłogi i cisnął we mnie - relacjonował z upodobaniem. - Na szczęście spudłował i trafił w Guya. Różane wargi Caroline skrzywiły się z niesmakiem, jakby poczuła odór tego pocisku. Zmierzyła Toma bazylijszkowym spojrzeniem, aż się zająknął, po czym wróciła do rozmowy z Guyem.

Dorian siedział sztywno między młodszymi panienkami przy końcu stołu. Agnes i Sarah ukryte przed wzrokiem rodziców, dzięki kwiatom w srebrnych wazach i wysokim kandelabrom, szeptały i chichotały między sobą podczas całego posiłku, 82

wymieniając się idiotycznymi żarcikami, które wydawały im się tak zabawne, że musiały sobie wtykać serwetki do ust, żeby powstrzymać napady wesołości. Chłopiec aż skręcał się z zażenowania, myśląc z przerażeniem o tym, że któryś z lokajów opowie o jego udręce służbie, a wówczas nawet chłopcy stajenni, z którymi żył w wielkiej przyjaźni, odtrąca go z pogardą jako ciamajdę.

U szczytu stołu Hal z Williamem oraz pan Beatty i kapitan Anderson pochłonięci byli dyskusją na temat króla.

- Bóg mi świadkiem, że mnie nie uszczęśliwił Holender na tronie Anglii, lecz ten mały człowiek w czarnych aksamitach okazał się prawdziwym wojownikiem - stwierdził Beatty.

- Jest także wielkim przeciwnikiem papieża i nie kocha Francuzów - dodał Hal.

- Już tylko tym zaskarbił sobie moją lojalność. Przekonałem się jednak, że ma również bystre oko i umysł. Sądzę, że dobry będzie z niego monarcha.

Alice Courtney, świeżo poślubiona żona Williama, siedziała obok Hala milcząca i blada. Nie patrzyła w ogóle na męża, co kontrastowało z jej wcześniejszym zachowaniem, pełnym miłości i oddania. U dołu jej policzka widniała czerwona pręga, którą usiłowała zamaskować warstwą pudru ryżowego i zakryć puklem swych ciemnych włosów. Na paplaninę pani Beatty odpowiadała monosylabami.

Pod koniec biesiady William wstał i zadzwonił srebrną łyżeczką w kieliszek. Zapadła cisza.

- Jako ten, którego obowiązkiem jest pozostać w domu, podczas gdy reszta mojej rodziny udaje się z wyprawą do dalekich krajów... - zaczął, a Tom natychmiast skrył się przed jego i ojca wzrokiem za bukietem kwiatów i wsunął palec do ust, udając, że wymiotuje. Doriana tak to rozbawiło, że aż krztusił się od śmiechu, chowając swą rudą głowę pod stół. Caroline posłała Tomowi wyniosłe spojrzenie, po czym odwróciła się, żeby na niego nie patrzeć. William, nie zważając na te dodatkowe efekty, ciągnął: - Wiem, ojcze, że, tak jak tyle razy przedtem, powrócisz do nas okryty jeszcze większą sławą, z ładowniami pełnymi bogatych trofeów. Będę wyglądał tego dnia z utęsknieniem. Chcę, żebyś wiedział, że podczas twej nieobecności będę zajmował się rodzinnymi sprawami tu, w Anglii, z nieustającą troską i starannością.

Hal odchylił się na oparcie krzesła i z półprzymkniętymi oczami kiwał z uśmiechem głową, wysłuchując górnolotnych

83

pochwał i życzeń pomyślności pod swoim adresem. Kiedy jednak William wymienił w swej przemowie imiona trójki przyrodnych braci, poczuł ukłucie wątpliwości: ten poryw uczuć był przesadny.

Otworzył oczy i ujrzał wzrok Williama utkwiony w Tomie siedzącym przy drugim końcu stołu. Zimne spojrzenie ciemnych oczu kontrastowało z ciepłym wypowiedzi, świadcząc dobitnie o nieszczerości mówcy. William wyczuł, że ojciec przygląda mu się badawczo, i zerknął ku Halowi, starając się zniwelować złe wrażenie. Na jego twarz powrócił wyraz tkliwości i smutku z powodu rychłego wyjazdu ukochanych bliskich.

To, co zobaczył w oczach najstarszego syna, wywołało w Halu cały splot skojarzeń i wypełniło go złymi przeczuciami; nagłym przeświadczeniem, że oto po raz ostatni siedzi przy wspólnym stole ze wszystkimi synami.

Wiatry ślepego losu popychają nas daleko od siebie, każdego innym kursem, pomyślał. Niektórzy nigdy już nie zobaczą High Weald. Poczul przyływ smutku tak głębokiego, że nie potrafił się z niego otrząsnąć i musiał się zmusić do uśmiechu, gdy powstał, by odpowiedzieć na toast Williama:

- Niech Bóg wam sprzyja i pomyślnych wiatrów!

William siedział na Sułtanie, swym czarnym ogierze, u samego krańca falochronu. Uniesionym w górę kapeluszem salutował dwóm żaglowcom wychodzącym z portu. Hal stanął przy relingu i odwzajemnił pozdrowienie, a potem odwrócił się, żeby rozkazać sternikowi wykonać zwrot i przez rozlewisko Ply-mouth Sound wyjść na pełne morze.

- Jakim kursem na Ushant, panie Tyler? - zapytał, kiedy minęli Penlee Point i zielone wzgórza Anglii zostały za rufą.

Ned stał przy kole sterowym, które na tym nowoczesnym żaglowcu zastąpiło dawny rumpel. Był to wspaniały wynalazek. Posługując się rumpel, sternik mógł zmieniać odchylenie steru o pięć stopni od osi, za pomocą koła natomiast o siedemdziesiąt, co dawało nieporównanie większe możliwości manewrowania statkiem.

- Wiatr jest stały, kapitanie. Południowo-zachodni ku południowemu - odpowiedział Ned. Wiedział, że jest to tylko formalne pytanie, Hal bowiem przed opuszczeniem kabiny dokładnie przyjrzał się mapie.

84

- Zaznacz to! - przypomniał mu Courtney i Ned włożył zatyczkę do otworu na krawędzi kolistej deski z różą wiatrów. Co pół godziny dodawano kolejną zatyczkę, dzięki czemu pod koniec wachty można było dokładnie obliczyć główny kurs i pozycję statku.

Hal przeszedł ku rufie, przyglądając się żaglom, wypełnionym wiatrem wiejącym od lewej burty. Wszystkie były pięknie naprężone i Seraph dosłownie frunął, przeskakując z fali na fale. Jego kapitan poczuł dziką radość. Jej intensywność zaskoczyła go; wydawało mu się dotąd, że jest już za stary, żeby aż tak się cieszyć nowym statkiem i obietnicą przygody. Z pewnym wysiłkiem udało mu się utrzymać powagę i dostojny krok, lecz Duży Daniel, stojący przy nadbudówce, pochwyił jego spojrzenie. Żaden się nawet nie uśmiechnął, lecz doskonale rozumieli nawzajem swoje uczucia.

Pasażerowie stali na śródkręciu, przy samym relingu. Kobiety musiały przytrzymywać rękami czepki, a ich suknie łopotały i wydymały się na wietrze. Kiedy jednak Seraph zostawił za sobą ład i poczuł w pełni napór morza, okrzyki podniecenia zaczęły cichnąć i panie jedna po drugiej zniknęły pod pokładem. Została tylko Caroline, towarzysząc ojcu.

Przez cały dzień i kilka następnych siła wiatru wciąż się wzmagala. Oba żaglowce szły pełną szybkością, lecz któregoś wieczora rozpętał się niemal sztorm i Hal był zmuszony skrócić żagle. Po zapadnięciu zmroku obie jednostki wywiesiły na grotmasztach latarnie dla utrzymania kontaktu, a zaraz o świcie Ned zjawił się w kabinie kapitana, by go poinformować, że Yeoman jest dwie mile za nimi, a z lewej burty zbliżają się światła wyspy Ushant.

Nim minęło południe, opłynęli Ushant i puścili się na sztormowe wody Zatoki Biskajskiej, która natychmiast potwierdziła swą złą sławę. Przez cały następny tydzień załoga miała niezłą zaprawę w obsłudze żagli i operowaniu statkiem na wzburzonych falach i przy ostrym wietrze. Spośród pań jedynie na Caroline nie robiło to wrażenia i brała codziennie udział wraz z chłopcami w lekcjach prowadzonych przez pana Walsha w jego ciasnej kabinie. Odzywała się niewiele, a do Toma wcale, ignorując jego najdowcipniejsze nawet dykteryjki i żarty. Odmówiła, kiedy zaoferował jej pomoc w rozwiązywaniu zadań, chociaż matematyka i języki obce były naprawdę jego mocnymi

85

stronami. Nie chciała też uczestniczyć w lekcjach arabskiego, którego przez godzinę dziennie uczył chłopców Alf Wilson.

Podczas przekraczania Zatoki Biskajskiej Guya dopadła choroba morska. Hala niepokoiło bardzo, że jeden z jego synów tak mocno odczuwa skutki kołysania statku. Kazał jednak położyć siennik w kącie swojej kabiny i Guy leżał na nim błady, jęcząc, jakby miał zaraz umrzeć, i niezdolny do przełknięcia czegokolwiek poza łykiem wody z kubka podsuniętego mu przez Abolego.

Pani Beatty wraz z młodszymi córkami była w nie lepszej kondycji. Wszystkie trzy nie opuszczały w ogóle kabin, a doktor Reynolds z pomocą Caroline doglądał ich niemal przez całe dni. Było przy tym mnóstwo bieganiny z nocnikami i wylewania ich zawartości za burtę, a kwaśny odór wymiocin przenikał do wszystkich kwater na rufie.

Hal wytyczył kurs daleko na zachód od wybrzeża, żeby uniknąć wejścia nocą na mieliznę w pobliżu Madery i Wysp Kanaryjskich, a także w nadziei trafienia na pomyślniejsze warunki do żeglugi, gdy wpłyną w końcu w strefę bezwietrzną. Dopiero jednak kiedy zbliżyli się do trzydziestego piątego równoleżnika, sto mil na wschód od Madery, wiatr zaczął się uspokajać. Dzięki temu Hal mógł zarządzić przeprowadzenie napraw żagli i takielunku, uszkodzonych podczas sztormowej pogody, a także przeciwiczyć załogę w innych operacjach poza ciągłym stawianiem i spuszczeniem żagli. Marynarze mogli wreszcie wysuszyć ubrania i zawilgocone sienniki, a kucharz rozpalić ogień i podawać ciepłe posiłki. Na całym statku zapanował nowy duch.

Po kilku dniach na pokładzie pojawiła się nawet pani Beatty z córkami, a ich początkowe wymizerowanie i apatyczność ustąpiły wkrótce lepszemu samopoczuciu. Niezadługo Agnes i Sarah stały się utrapieniem wszystkich. Szczególnie upodobały sobie Toma, którego darzyły uwielbieniem godnym bohatera. Chcąc uwolnić się od ich umizgów, chłopak uprosił Abolego, żeby pozwolił mu wejść na reje bez zgody ojca, której zapewne by nie uzyskał.

Wyszedłszy na pokład przed zmianą wachty, Hal ujrzał Toma na rei trzydzieści stóp nad pokładem. Oparty mocno bosymi stopami o belkę pomagał w refowaniu topsła. Hal zamarł w pół kroku i zadarłszy do góry głowę, szukał w myśli odpowiedniego polecenia, które, nie zdradzając jego niepokoju,

86

sprowadziłoby syna na pokład. Odwróciwszy się ku sterowi, zobaczył, że wpatrują się weń wszyscy oficerowie, toteż zamiast się odezwać podszedł niespiesznym krokiem do Abolego, który stał przy relingu.

- Pamiętam, jak ty sam po raz pierwszy wspiałeś się na grotmaszt, Gundwane - rzekł cicho Murzyn. - To było na wzburzonym morzu za Przylądkiem Igielnym. Zrobiłeś to tylko dlatego, że zabroniłem ci wchodzić powyżej głównych want. Byłeś wtedy o dwa lata młodszy niż Klebe dzisiaj, ale z ciebie zawsze był rozrabiaka. - Aboli pokręcił z dezaprobatą głową i splunął za burtę. - Twój ojciec, sir Francis, chciał cię wychłostać. Powinienem być mu na to pozwolić. Hal doskonale pamiętał to wydarzenie. Zaczęło się wszystko od chłopięcej przekory, a skończyło skrajnym przerażeniem, kiedy wczepiony w maszt patrzył na zmieniający się sto stóp niżej widok: obraz pokładu co chwila ustępował spienionej zieleni fal, podczas gdy statek chwiał się i podskakiwał, ciągnąc za sobą biały kilwater. Czy Tom faktycznie był o dwa lata starszy niż on tamtego dnia? Reja, której się trzymał, z pewnością znajdowała się poniżej połowy masztu.

- Obaj widywaliśmy już upadki z dolnej rei - mruknął. - Można sobie przy tym pogruchotać kości i zginać tak samo, jak spadając z samej góry.

- Klebe nie spadnie. Wspina się jak małpa - wyszczerzył się nagle w uśmiechu Murzyn. - Ma to chyba we krwi.

Hal zignorował docinek i wrócił do swojej kabiny pod pozorem zrobienia zapisu w dzienniku, lecz w istocie dlatego, iż nie mógł już dłużej patrzeć na syna wiszącego na takielunku. Przez resztę przedpołudnia oczekiwał straszliwego odgłosu ciała uderzającego o deski pokładu nad jego głową lub krzyku "człowiek za burtą!". Kiedy wreszcie usłyszał stukanie do drzwi i promieniejący z dumy Tom wsunął do kajuty głowę, żeby przekazać mu wiadomość od oficera wachtowego, Hal westchnął z ulgą i przytulił syna do piersi.

Wpłynęli w strefę ciszy i statek stanął nieruchomo, z obwisłymi żaglami, a pod nawisem rufy nie widać było choćby zmarszczki czy wiru na wodzie. W połowie poranka Hal siedział w kapitańskiej kabine z Dużym Danielem, Nedom Tylerem i Alfem Wilsonem, wysłuchując po raz kolejny opowieści tego ostatniego o przechwyceniu Minotaura przez piratów. Chciał uzmysłowić dokładnie swym oficerom, czego się mogą spodzie-

87

wać, a także poznać ich opinie w kwestii najlepszego sposobu sprowokowania Jangiriego do bitwy i odnalezienia portu, będącego jego bazą wypadową. Nagle Hal przerwał w połowie zdania i nadstawił ucha. Na pokładzie powyżej działa się coś niezwykłego, słychać było kroki, jakieś głosy i śmiechy.

- Wybaczcie, panowie - rzekł i wyszedł zejściówką na górę.

Rozejrzał się szybko. Na pokład wylegli chyba wszyscy marynarze nie zajęci akurat pracą. Wszystkie głowy zadarte były ku górze, wpatrzone w grotmaszt. Wzrok Hala powędrował za ich spojrzeniem.

Tom rozsiadł się wygodnie okrakiem na grotrei i okrzykami dodawał odwagi Dorianowi.

- No chodź, Dorry. Nie patrz w dół!

Dorian wisiał na wantach poniżej. Przez jedną straszną chwilę Halowi się wydawało, że chłopiec utkwiał w miejscu, osiemdziesiąt stóp nad pokładem. Dorian jednak zmienił pozycję. Wspiął się o krok wyżej, potem znalazł uchwyt dla ręki wśród lin nad głową i znów ruszył w górę.

- Dobrze, Dorry! Jeszcze raz to samo!

Złość Hala na Toma spotęgował lęk o życie najmłodszego syna. Powinienem był stłuc go na kwaśne jabłko już po pierwszym wyskoku. Przeszedł do steru i zdjął z haka tubę głosową. Zanim jednak zdążył zbliżyć ją do ust i ryknąć na chłopców, stanął przy nim Aboli.

- Nie postąpisz mądrze, jeśli ich teraz przestraszysz, Gund-wane. Dorian musi to zrobić z namysłem i w skupieniu.

Hal opuścił tubę i patrzył z zapartym tchem, jak Dorian pełźnie po wantach coraz wyżej.

- Dlaczego im na to pozwoliłeś, Aboli? - zapytał z gniewem.

- Nie pytali mnie o zgodę.

- Nawet gdyby, to i tak byś im pozwolił - odparł Hal oskarżycielskim tonem.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - wzruszył ramionami Murzyn. - Każdy chłopiec zmienia się w mężczyznę w odpowiednim dla niego czasie i na swój własny sposób. On się nie boi - dodał, patrząc na wiszącego wysoko na linach Doriana.

- Skąd to możesz wiedzieć? - warknął Hal, wciąż przejęty lękiem.

- Przyjrzyj się, jak trzyma głowę. Jak znajduje oparcie dla rąk i nóg.

Hal nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że Murzyn ma rację. Tchórz wczepia się kurczowo w olinowanie, zamyka oczy, ręce mu się trzęsą i niemal czuć od niego woń przerażenia. Dorian natomiast poruszał się z zadartą w górę głową, patrząc przed siebie. Na pokładzie była już cała załoga i wszyscy obserwowali go w milczeniu i napięciu.

- Już prawie jesteś, Dorry! - zawołał Tom, wyciągając doń rękę.

Chłopiec jednak zignorował pomoc i z widocznym wysiłkiem wciągnął się sam na reję koło starszego brata. Odczekał chwilę dla złapania tchu, po czym odrzucił głowę i wydał z siebie przeciągły okrzyk triumfu. Tom objął go opiekuńczym gestem za ramiona i uściskał mocno. Nawet z samego dołu widać było, że ich twarze promieniają radością. Marynarze ryknęli chórem na wiwat, a Dorian zerwał z głowy czapkę i pomachał do nich. Tom i on stali się ulubieńcami całej załogi.

- Był już gotów, żeby to zrobić - powiedział Aboli - i udowodnił to.

- Na Boga, przecież to jeszcze dziecko! Zabronię mu wchodzić na samą górę! - wybuchnął Hal.

- Dorian nie jest już dzieckiem. Patrzysz na to oczami ojca. Niedługo może dojść do walki, a obaj dobrze wiemy, że podczas bitwy najbezpieczniejszym miejscem na statku jest bocianie gniazdo.

Była to oczywiście prawda. Stanowisko bojowe Hala, kiedy był w tym wieku, znajdowało się właśnie wysoko na maszcie, ponieważ ogień wroga skierowany był przede wszystkim na kadłub, a jeśli doszłoby do abordażu, nie był tam narażony na zranienie.

Nazajutrz Hal wprowadził poprawki do rozkładu stanowisk, wyznaczając Tomowi z Dorianem miejsce w bocianim gnieździe na grotmaszcie. Nie był tylko pewien, co zrobić z Guyem, który czuł się bezpiecznie jedynie na głównym pokładzie. Może przydzielę go do pomocy lekarzowi w izbie chorych, pomyślał w końcu. Chociaż właściwie nie wiadomo, jak zareaguje na widok krwi.

Wiatr bawił się z nimi w ciuciubabkę, zamierając zupełnie na wiele długich dni; morze zmieniało się w oleistą gładź. Statek smażył się w upale. Robiło się duszno, a pot wylewał się

89

każdym porem ich skóry. Na pokładzie wszyscy szukali osłony przed słońcem w cieniu żagli. Potem nagle na horyzoncie gładką powierzchnię wody przecinała kreska cienka niczym drapnięcie kota, żagle wypełniały się lekkim tchnieniem bryzy i znów płynęli przez dzień lub godzinę.

Kiedy statek stał martwy pośrodku morza, Hal przygotowywał ludzi do przyszłej bitwy. Posyłał ich do dział i urządził zawody; walczyli o to, która wachta najszybciej załaduje, wystrzeli i przeładuje. Ćwiczyli strzelanie z muszkietów, a za cel służyła im wyrzucona za burtę pusta beczka. Potem wydał wszystkim kordy i polecił Abolemu i Dużemu Danielowi prowadzić szkolenie. Podczas ćwiczeń z kordami Tom stawał do treningu razem ze swoją wachtą i nieraz się zdarzało, że Duży Daniel kazał mu demonstrować resztkę prawidłowy styl walki.

Hal miał na pokładzie ludzi starannie wybranych - prawie każdy z nich był już w boju i posługiwał się wprawnie pistoletem, kordem, bronią drzewcową czy toporem, a także potrafił obsługiwać dział. Po upływie dwóch czy trzech tygodni był już pewny, że ma na pokładzie najlepiej przygotowaną do walki załogę, jaką kiedykolwiek dowodził. Wyróżniała ich pewna wspólna cecha, którą trudno mu było ściśle zdefiniować; określił ją w końcu jako zapał. Byli jak gończe psy, które wpadły na trop zwierzyny, i wiedział, że z takimi ludźmi może stanąć do każdej bitwy.

Madera i Wyspy Kanaryjskie pozostały wreszcie daleko za nimi, płynęli jednak coraz wolniej, zapuszczali się bowiem coraz głębiej w strefę bezwietrzną. Stali w bezruchu całymi dniami, żagle wisiały bez życia, a morze wokół, lśniące jak szklana tafla, wyglądało jakby rozlano na nim oliwę. Martwą powierzchnię maciły jedynie kępy sargasów i wyskakujące czasem z wody latające ryby. Słońce prażyło okrutnie i bezlitośnie.

Hal wiedział, jak łatwo załoga może popaść w apatię na tych szerokościach, wysysających z człowieka cały animusz i energię. Starał się więc jak mógł, żeby im nie dać ugrzęznąć w nudzie i przygnębieniu. Codziennie po zakończeniu ćwiczeń wojskowych organizował sztafety wacht, ścigających się po wantach na samą górę i z powrotem. Brali w nich udział nawet Dorian z Tomem, wywołując piski zachwytu ze strony Bachorów Beatty, jak ten ostatni ochrzcił Agnes i Sarah.

90

Cieślom kazano zamocować w szalupach ławki wioślarskie. Łodzie opuszczono na wodę i marynarze z Serapha stawali do wyścigów przeciwko załodze Yeomana, na dystansie dwóch okrążeń wokół dryfujących żaglowców. Nagrodą była czerwona wstążka i dodatkowy przydział rumu dla zwycięzców. Pierwsze zawody zakończyły się zawiązaniem czerwonej wstęgi na buk-szprycie Serapha, a później ta honorowa odznaka przechodziła z rąk do rąk wśród załóg obu żaglowców.

Aby uczcić pierwsze zwycięstwo, Hal zaprosił Edwarda Andersena z Yeomana na obiad wydany w kapitańskiej kabinie na rufie. Zaproszeni zostali także pasażerowie, a po namyśle dołączył do listy gości również synów. Dwóch z nich przygotowało dla uświetnienia uroczystości recital muzyczny zaproponowany przez pana Walsha. Nauczyciel miał zagrać na flecie, Guy na cytrze, a Dorian, który miał świetny głos, zaśpiewać.

Hal podał najlepsze bordo, a podczas całego obiadu panował nastrój hałaśliwej wesołości. Goście ledwie zmieścili się przy stole i właściwie nie było jak się ruszyć. Kiedy więc Hal poprosił w końcu o ciszę i dał panu Walshowi znak, żeby zaczynał, Tom został zepchnięty do kąta i usiadł na stołku za rzeźbionym parawanem, dzielącym salon od sypialni ojca. Muzyka mało go obchodziła, za to był teraz niemal całkowicie zasłonięty przed wzrokiem obecnych.

Walsh z Guyem zaczęli od starych, popularnych melodii, łącznie z „Greensleeves” i „Spanish Ladies”, wprawiając w zachwyt wszystkich prócz Toma, którego ten występ tak nudził, że zaczął wycinać swoje inicjały w drewnianej ramie parawanu. - A teraz zaśpiewają nam panna Caroline Beatty i panicz Dorian Courtney - zapowiedział Walsh.

Caroline wstała i przepchnąwszy się z trudem przez ciasno stłoczoną publiczność, znalazła się na końcu salonu, tuż obok miejsca Toma. Posłała mu jedno ze swych

zimnych spojrzeń, po czym odwróciła się i opierając biodrem o krawędź parawanu, stanęła twarzą do Doriana, wciśniętego pod ścianę naprzeciwko.

Zaczęli arią Purcella. Głos Caroline, choć nieco zbyt afektowany, był jednak przyjemny i czysty; Dorian śpiewał z naturalnym w jego wieku entuzjazmem. Słodkie tony pieśni płynące z ust chłopca o twarzy cherubina wyciskały słuchaczom łzy z oczu.

Tymczasem Toma aż skręcało, tak bardzo pragnął się wydo-

91

stać z dusznej, ciasnej kabiny i wyjść na otwarty pokład, gdzie siedząc pod rozgwieżdżonym niebem za którymś z dział, wysłuchiwałby opowieści Abolego lub Dużego Daniela o dzikich ładach i dalekich morzach, do których płynęli. Znalazł się jednak w pułapce.

Nagle spostrzegł, że Caroline, biorąc wysoką nutę, wspięła się na palce, przez co jej spódnica podsunęła się do góry, odsłaniając kostki i fragment łydek. Nuda natychmiast gdzieś się ulotniła. Kształtne stopy dziewczyny ukryte były w lekkich pantofelkach, a jej zgrabne kostki przechodziły ślicznym łukiem w wypukłość łydek. Niemal odruchowo dłoń Toma wysunęła się z kieszeni i sięgnęła ku toczzonej pęcinie w niebieskiej pończoszce.

Czyś ty oszalał? - zgromił się zaraz w myślach, z pewnym wysiłkiem wycofując rękę. - Jeżeli tylko jej dotkniesz, zrobi taką awanturę, że się nie pozbierasz. Rozejrzał się zmieszany. Caroline stała tuż przed nim, tak blisko, że zasłaniała go całkowicie przed wzrokiem reszty towarzystwa. Wiedział, że oczy wszystkich są zwrócone na Doriana. Wahał się jednak i uznał w końcu, że będzie bezpieczniej schować dłoń z powrotem do kieszeni. W tym momencie poczuł, że Caroline pachnie. Przez woń wieprzowych skwarek i kapusty, wyziewy wina i dym z cygara ojca przedarł się do jego nozdrzy ciepły zapach dziewczęcego ciała. Serce Toma zamarło, a w głębi brzucha odezwał się bolesny skurcz pożądania. Ledwie zdołał stłumić jęk cisnący mu się na usta.

Pochylił się do przodu i, najdelikatniej jak potrafił, musnął palcami jedną z kostek w przejrzystych niebieskich pończochach. Natychmiast odsunął rękę i wyprostował się z niewinną miną, na wypadek gdyby się obejrzała.

Caroline zaczęła śpiewać wraz z Dorianem, nie tracąc tempa. Tom był zdumiony jej brakiem reakcji. Znowu wyciągnął dłoń i lekko dotknął dwoma palcami nogi dziewczyny. Nie odsunęła stopy, a jej głos pozostał czysty i słodki. Tom pogłaskał kostkę, a potem powoli objął ją palcami. Była tak drobna i kobieca, że poczuł narastający ucisk w piersi. Niebieskie pończochy miały gładką, jedwabistą fakturę. Bardzo powoli, z przerwami, przesunął palcami po łydce, delektując się jej zaokrągleniem i ciepłem, aż dotarł do końca pończochy i dotknął podtrzymującej ją

92

pod kolanem wstażki. Tu się zatrzymał i w tym samym momencie dwa dźwięczne młode głosy umilkły, pieśń dobiegła końca.

Przez chwilę panowała cisza, po czym rozległy się burzliwe oklaski i okrzyki:

- Brawo! Encore! Zaśpiewajcie coś jeszcze!

- Nie powinniśmy się narzucać pannie Beatty. Już okazała nam aż nadto życzliwości - Tom usłyszał głos ojca. Ciemne loki Caroline zatańczyły na jej plecach.

- Nie czuję się przymuszana, sir Henry, zapewniam pana. Cieszymy się, że się panu podobało i z przyjemnością zaśpiewamy jeszcze raz. Może "My Love She Lives in Durham Town", Dodanie?

- Może być - zgodził się niezbyt entuzjastycznie chłopiec.

Caroline otworzyła swoje ładnie wykrojone usta i popłynęły pierwsze tony pieśni. Tom nie cofnął ręki i jego palce przekradły się teraz nad pończochę, pieszcząc gładką skórę za kolanem. Dziewczyna śpiewała, a jej głosowi jakby przybyło mocy i uczucia. Pan Walsh, przygrywający na flecie, kołysał z aprobatą głową, zadowolony z występu swej podopiecznej.

Tom pogładził najpierw jedno kolano, potem drugie. Uniósł ostrożnie skraj sukni i patrzył na połyskujące ciało, jakże ciepłe i delikatne pod jego dotykiem.

Pewien już teraz, że dziewczyna go nie wyda, nabierał śmiałości.

Przesunął dłoń wyżej, muskając nią udo, i poczuł, jak Caroline zadrżała. Jej głos brzmiał jednak pewnie i nie uroniła ani jednego słowa pieśni. Ze swego

miejsca Tom widział tylko but ojca, stukający do rytmu o podłogę. Świadomość, że Hal jest tak blisko i poczucie niebezpieczeństwa wzmogły jeszcze podniecenie chłopca. Drżącymi palcami dotarł wreszcie do miejsca, gdzie zaczynały się krągłe i jędrne pośladki Caroline. Pod halkami nie miała niczego i sunąc po łuku jej tyłeczka, znalazł po chwili szczelinę oddzielającą jedną półkulę ciepłego ciała od drugiej. Spróbował wsunąć palce między uda dziewczyny, były jednak mocno zaciśnięte; każdy mięsień obu nóg miała napięty i twardy jak skała. Szczelina okazała się niedostępna, zrezygnował więc z dalszych prób i zamiast tego otoczył dłonią jej zgrabny, jędrny pośladek i lekko ścisnął.

Caroline wzięła wysoką nutę na końcu frazy i nieco zmieniła pozycję, rozsuwając drobne stopy w pantofelkach i wypychając tyłeczek w jego stronę. Jej uda się rozchyliły i gdy spróbował

93

znowu, poczuł pod palcami jedwabiste futerko. Poruszyła się ponownie, jakby chciała ułatwić mu zadanie i pokierować jego ruchami. Mary z pomywalni nauczyła go już, jak odnajdować magiczną wypustkę kobiecego ciała, toteż odszukał ją bez trudu. Caroline kołysała się teraz w rytm muzyki, poruszając biodrami w przód i w tył. Wzrok miała roziskrzony, na policzki wystąpił jej rumieniec. Pani Beatty pomyślała sobie, że córka jeszcze nigdy nie wyglądała tak czarująco i ślicznie, a gdy ujrzała wyraz zachwytu w oczach obecnych mężczyzn, jej serce przepełniła matczyna duma.

Pieśń zbliżała się do końca i nawet Dorian musiał się nieco wysilić, żeby wydobyć całe piękno z ostatnich, wysokich i dźwięcznych tonów, które zdawały się wypełniać całą kabinę, a potem jakby zawisły w powietrzu, wibrując wciąż, choć pieśń już umilkła. Caroline rozpostarła swe barwne spódnice niczym płatki przepięknej tropikalnej orchidei i pochyliła się w pokłonie tak niskim, że czołem niemal dotknęła podłogi.

Mężczyźni zerwali się z miejsc i pochylając głowy pod ciężkimi belkami sufitu, nagrodzili ją głośnymi oklaskami. Kiedy dziewczyna uniosła głowę, jej wargi drżały, a po policzkach toczyły się łzy wzruszenia i emocji. Pani Beatty przypadła do niej i uściskała córkę impulsywnie.

- Och, kochanie, to było niezmiernie piękne! - zawołała. - Śpiewałaś jak anioł. Jesteś wyczerpana. Napij się trochę wina, to cię odświeży.

Caroline, pośród gratulacji i okrzyków zachwytu, wróciła na swoje krzesło. Zwykle milcząca i zamknięta w sobie, wydawała się teraz odmieniona, włączając się wesoło do rozmowy. Kiedy w końcu pani Beatty oznajmiła, że czas zostawić panów z ich fajkami, cygarami i szklaneczkami porto i udać się na spoczynek, podażyła skromnie za matką. Powiedziała dobranoc i wyszła z kabiny, nie spojrzawszy nawet w stronę Toma.

On zaś siedział na stołku w swoim kącie, gapiąc się w sufit z miną znudzona i obojętna. Obie ręce wciskał jednak głęboko w kieszenie, ściskając się mocno, by nikt nie zauważył, co mu urosło w bryczesach.

Tej nocy chyba w ogóle nie spał. Leżał na sienniku między Dorianem i Guyem, słuchając chrapania, pojękiwań i mam-

94

rotania marynarzy, śpiących na pokładzie działowym. W wyobraźni przeżywał ponownie każdy szczegół zdarzenia w kabinie kapitańskiej, każde dotknięcie i poruszenie, zapach i brzmienie głosu dziewczyny nie przerywającej śpiewu, podczas gdy on ją pieścił, śliską miękkość jej najbardziej sekretnych zakamarków i ich ciepło. Nie mógł się doczekać nadejścia dnia, kiedy znajdzie się znów z Caroline w kajucie pana Walsh. Chociaż wiedział, że będą wszyscy ślęczeli nad swymi tabliczkami, słuchając potwornie nudnych monologów gubernera, tęsknił za jednym choćby spojrzeniem lub dotknięciem, które by potwierdziło doniosłe znaczenie tego, co zaszło między nimi.

Kiedy zjawiała się w końcu w kajucie nauczyciela, poprzedzana przez swe piszczące siostry, zignorowała zupełnie Toma, zwracając się od razu do pana Walsh.

- Na moim miejscu mam za mało światła - oznajmiła. - Męczą mi się oczy. Czy mogłabym usiąść obok Guya?

- Oczywiście, moja panienko - zgodził się natychmiast Walsh, sam nieobojętny na wdzięki Caroline. - Trzeba było mi wcześniej powiedzieć, że niewygodnie ci koło Toma.

Guy posunął się skwapliwie na ławce, by jej zrobić miejsce. Tom natomiast, czując, że dostał po nosie, usiłował przyciągnąć uwagę dziewczyny, wpatrując się w nią natarczywie ponad stołem. Caroline jednak skoncentrowała się całkowicie na swej tabliczce i nie podnosiła głowy.

Dziwne zachowanie Toma zwróciło wreszcie uwagę pana Walsh.

- Czy cierpisz na chorobę morską? - zapytał.

- Ja? Czuję się doskonale, sir - odparł chłopak, zatrwożony i obrażony takim przypuszczeniem.

- W takim razie powtórz, o czym mówiłem.

Tom zrobił zamyśloną minę i potarł dłonią podbródek, jednocześnie kopiąc pod stołem Doriana w kostkę. Ten natychmiast lojalnie pośpieszył mu z pomocą.

- Mówił pan, że tautologia to... - zaczął.

- Dziękuję, Dorianie - przerwał mu nauczyciel - ale pytałem twojego brata, a nie ciebie. - Spojrzał na Toma z dezaprobatą. Sprawiało mu przykrość, kiedy zdolny uczeń nie wykorzystywał należycie swego potencjału. - Skoro już się namyśliłeś, Thomasie, może oświecisz nas co do znaczenia tego słowa.

95

- Tautologia to niepotrzebne powtórzenie znaczenia, zawartego już we wcześniejszym słowie lub zdaniu - odparł Tom.

Walsh wyglądał na rozczarowanego. Miał nadzieję obnażyć ignorancję chłopaka i upokorzyć go w obecności innych uczniów.

- Zdziwiasz mnie swoją erudycją - rzekł sucho. - Popisz się nią teraz, podając nam jakiś przykład tautologii. Tom myślał przez chwilę.

- Pedantyczny pedagog? - zaproponował. - Nudny nauczyciel?

Dorian parsknął krótkim śmiechem i nawet Guy uśmiechnął się pod nosem. Bachory Beatty me pojęły z tego ani słowa, ujrawszy jednak, jak Walsh czerwienieje na twarzy, a Tom zaplata ręce na piersi z triumfalnym uśmiechem, zrozumiały, że ich idol znów jest górą, i zachichotały zachwycone. Tylko Caroline pisała coś na tabliczce, nie podnosząc nawet głowy.

Tom był zupełnie zbity z tropu i urażony. Zupełnie jakby nic się między nimi nie wydarzyło. Skoro nie poruszyła jej jego słowna potyczka z panem Walshem, próbował innych sposobów, by zwrócić uwagę dziewczyny. Kiedy wychodziła na pokład, dokonywał cudów zręczności i odwagi, popisując się nowo zdobytymi umiejętnościami. Naśladując wyczyny starszych marynarzy, biegał po rei z rękami nad głową, by zająć swoje miejsce na wyblinkach, albo zjeżdżał w dół po sztagu bezanmasztu bez zatrzymania, aż szorstka konopna lina raniła mu dłonie i lądował, grzmocąc bosymi stopami o pokład, tuż przed dziewczyną. Ona jednak odwracała się, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

Natomiast wobec Guya i Dorian, a nawet pana Walsh, była jak do rany przyłoż. Tom, kompletnie pozbawiony słuchu, był wyłączony ze wspólnego muzykowania, a Caroline wydawała się znajdować wyjątkową przyjemność w ćwiczeniach z Guyem. Szeptali coś ciągle między sobą nawet podczas lekcji, a nauczyciel o dziwo nie bardzo starał się ich uciszać. Za którymś razem Tom zaprotestował.

- Rozwiązuję zadanie z trygonometrii i zupełnie nie mogę się skupić, bo ciągle gadacie! Na twarzy Walsh pojawił się mściwy uśmiešek.

- Jakoś nie słyhać, żeby twój mózg wykonywał szczególnie

96

wyężoną pracę, paniczku Thomasie - rzekł - nawet w momentach zupełnej ciszy. Caroline wybuchnęła na te słowa perlistym śmiechem, opierając się na ramieniu Guya, jakby chciała podzielić się z nim swą wesołością. Tomowi zaś posłała szydercze spojrzenie.

Ponieważ Dorian z Tomem odziedziczyli po ojcu bystry wzrok, posyłano ich często razem na bocianie gniazdo, żeby obserwowali horyzont. Starszy z braci bardzo polubił te długie godziny wysoko na maszcie; na pełnym ludzi statku było to jedyne miejsce, gdzie mógł zażyć samotności. Dorian nauczył się nie paplać zbyt wiele i spędzali wspólnie ten czas w milczeniu, nie rozpraszając się nawzajem, każdy pogrążony we własnych myślach i marzeniach.

Świat fantazji Toma skupiał się kiedyś wokół bitew i sławy, nieznanymi lądów i okalających je wielkich oceanów. Chłopak snuł opowieści o słoniach, wielorybach i olbrzymich małpach mieszkających wśród zamglonych gór, o wszystkim, o czym słyszał od Dużego Daniela i Abolego. Teraz jednak marzył tylko o Caroline. O jej

ciepłym miękkim ciele, którego dane mu było dotknąć, lecz nie zobaczyć. O jej oczach... zwróconych ku niemu z miłością i oddaniem. O robieniu z nią tych cudownych rzeczy, które robił z Mary i innymi dziewczętami z wioski. Wydawało mu się jednak świętokradztwem samo umieszczenie tych pospolitych stworzeń w tym samym marzeniu, w którym bohaterką była boska Caroline.

Wyobrażał sobie, jak ją ratuje z napadniętego przez piratów, płonącego statku, wyskakując za burtę z dziewczyną w ramionach, i jak płynie z nią na śnieżnobiałą plażę jakiejś tropikalnej wyspy, gdzie byłiby tylko we dwoje. Sami! Ten właśnie problem powracał do niego w każdym marzeniu. Jak znaleźć się z nią sam na sam. Choćby nawet Seraph żeglował na koniec świata z nią na pokładzie, nigdy nie mogli być na statku sami.

Rozpaczliwie próbował wymyślić jakieś miejsce, gdzie mogliby spędzić choćby kilka minut z dala od ciekawskich oczu - gdyby w ogóle udało mu się ją tam zwabić. Co, jak dobrze wiedział, wydawało się mało prawdopodobne.

Była oczywiście ładownia; luk uszczelniono jednak łątami i opatrzono pieczęciami Kompanii Wschodnioindyjskiej. W kabinach na rufie - nawet tych największych - roiło się zawsze od ludzi i nie było tam szansy na prywatność. Przez liche przepierzenia słychać było każde słowo z ciągłych kłótni trzech

97

sióstr, a w kajucie stać prosto mogła tylko jedna, gdy przebywały w niej razem; kiedy się przebierały, dwie musiały leżeć na kojach. Znalezienie miejsca, gdzie mógłby pobyc sam na sam z Caroline i wylać na nią całą swoją miłość lub pogłębić znajomość rozkoszy jej ciała, było niemożliwe. Wyobrażnia jednak nie dawała mu spokoju.

Wieczorami, jeśli pogoda była sprzyjająca, Tom z Dorianem brali miski z jedzeniem na dziób, gdzie jedli, siedząc po turecku na deskach, czasami w towarzystwie Abolego lub Dużego Daniela. Potem wyciągali się na plecach i wpatrywali w nocne niebo.

Duży Daniel pykał z glinianej fajki i pokazywał im, jak zmienia się firmament, w miarę jak zapuszczają się coraz bardziej na południe. Zwracał im uwagę na wielki Krzyż Południa, z każdym dniem wschodzący coraz wyżej nad horyzontem, a potem na Obłoki Magellana, wiszące pod nim niczym anielska aureola.

Aboli znał plemienne legendy na temat każdej z konstelacji, a Duży Daniel śmiał się z niego:

- A idźże, ty czarny poganinie. Ja im opowiem po chrześcijańsku, jak to jest naprawdę. Orion to wielki myśliwy, a nie jakiś dzikus z buszu!

Aboli jednak ignorował te zaczepki. Opowiedział im właśnie legendę o głupim myśliwym, który wystrzelił wszystkie swoje strzały w stado zebra - tu wskazał grupę gwiazd w Pasie Oriona - i nie miał się czym bronić, kiedy zaatakował go lew Syriusz. Z powodu swej lekkomyślności myśliwy wylądował w brzuchu lwa.

- Taki finał na pewno bardziej podoba się słuchaczom - zakończył zadowolony z siebie.

- I lwu także - dorzucił Duży Daniel, po czym wystukał fajkę i wstał. - Mam robotę do zrobienia na tym statku, nie tak jak niektórzy - oznajmił i poszedł sprawdzić, co się dzieje na rufie.

Przez jakiś czas leżeli w milczeniu. Dorian zwinął się na deskach jak szczenię i niemal natychmiast zasnął. Aboli westchnął z zadowoleniem i przemówił cicho w języku dżungli, którym posługiwali się często, gdy byli tylko we dwóch.

- Ten głupi myśliwy mógłby się nauczyć wielu rzeczy, gdyby pożył dłużej.

- Opowiedz mi o nich - poprosił Tom w tym samym języku.

98

- Czasami nie jest dobrze gonić zebra i strzelać do niej na oślep z dystansu.

- Co masz na myśli, Aboli? - zapytał Tom, siadając i obejmując kolana ramionami, wyczuł bowiem drugie dno w tej historii.

- Głupiemu myśliwemu brakuje sprytu i przebiegłości. Im bardziej stara się dogonić zwierzynę, tym szybciej ona ucieka. Ci, którzy go widzą, wołają: "Co robisz, głupcze!" i wyśmiewają się z jego bezowocnych wysiłków.

Tom zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że każda z historii Abolego miała ukryty sens. Nagle dotarło do niego znaczenie morału i poruszył się niespokojnie.

- Naigrawasz się ze mnie, Aboli? - zapytał.

- Nigdy bym tego nie zrobił, Klebe. Ale mnie drażni, kiedy to robią mali ludzie.
- Czy dałem im jakiś powód, żeby się ze mnie śmiali?
- Za bardzo się starasz dopaść zwierzynę. Wszyscy już wiedzą, za czym się uganiasz.
- Mówisz o Caroline? - głos Toma zniżył się do szeptu. - To tak bardzo widać?
- Chyba nie muszę ci tłumaczyć - odparł Murzyn. - Lepiej mi powiedz, co cię tak do niej ciągnie.
- Jest taka piękna... - zaczął Tom.
- Brzydka nie jest, to fakt - uśmiechnął się Aboli. - Ale szalejesz za nią dlatego, że nie zwraca na ciebie uwagi.
- Nie rozumiem.
- Gonisz ją, bo ucieka. A ona ucieka, bo ją gonisz.
- Co mam zrobić?
- To, co by zrobił mądry myśliwy. Zaczaić się u wodopoju. Niech zwierzyna sama wpadnie w sidła.

Do tej pory Tom korzystał z każdej okazji, żeby zostać po lekcjach w kabinie pana Walsh'a jak najdłużej, w nadziei, że Caroline okaże w końcu, że jest nim zainteresowana. Ojciec życzył sobie, żeby chłopcy uczyli się codziennie przez trzy godziny, zanim podejmą swe obowiązki na pokładzie. Nawet Hal uznał, że trzy godziny z panem Walsh'em to aż nadto, a jednak od jakiegoś czasu Tom dzielnie je wydłużał, chcąc spędzić choć kilka minut więcej z obiektem swego uwielbienia. Po nocnej rozmowie z Abolim wszystko się zmieniło. Podczas

99

lekcji zmuszał się do milczenia i przybierał nieodgadniony wyraz twarzy, odzywając się do pana Walsh'a tylko, gdy było to konieczne. Kiedy okrętowy dzwon obwieszczał zmianę wachty, natychmiast pakował książki i nawet w połowie pracy nad skomplikowanym zadaniem matematycznym wstawał od stołu.

- Proszę mi wybaczyć, panie Walsh, ale wzywają mnie obowiązki - mówił i wychodził z kabiny, nie spojrzawszy nawet na Caroline.

Wieczorami, gdy wszystkie panny Beatty wychodziły z matką na obowiązkowy spacer na świeżym powietrzu po pokładzie, Tom starał się znaleźć sobie jakąś robotę jak najdalej od nich, jeśli pozwalały mu na to ciasne przestrzenie statku.

Mijały dni, a dziewczyna nie dawała po sobie poznać, że zauważyła zmianę w jego zachowaniu. Pewnego poranka jednak, w trakcie lekcji, Tom mimowolnie uniósł głowę znad swej tabliczki i spostrzegł, że Caroline przygląda mu się kątem oka. Natychmiast opuściła wzrok, lecz nie zdołała ukryć rumieńca na twarzy. Poczul ukłucie satysfakcji. Po raz pierwszy przyłapał ją na tym, że na niego patrzy.

System Abolego zaczął się sprawdzać w praktyce.

Od tej pory determinacja Toma wzrosła i z każdym dniem było mu łatwiej ignorować Caroline, podobnie jak kiedyś ona ignorowała jego. Przez dwa tygodnie sytuacja tkwiła w martwym punkcie, aż w końcu w zachowaniu dziewczyny pojawiła się subtelna zmiana. W czasie porannych lekcji zaczęła być bardziej rozmowna, kierując swe wypowiedzi oczywiście tylko do Guya i Walsh'a, głównie jednak do tego pierwszego. Szeptali coś do siebie, a ona reagowała przesadną wesołością nawet na jego najbardziej głupkowate odezwania. Tom zachowywał ponure milczenie i nie patrzył na nich, chociaż jej śmiech poruszał go do głębi.

Pewnego razu, po wyjściu z kabiny Walsh'a, kiedy stanęli u stóp zejściówki, Caroline zawołała irytująco teatralnym tonem:

- Och, jakie te schodki są strome! Mogę wziąć cię pod ramię, Guy? - Wsparła się na nim, wpatrzona w jego roześmianą buzię, Tom natomiast przemknął obok nich z obojętnym wyrazem twarzy.

Tak się składało, że obowiązki Guya na statku pozwalały mu spacerować z dziewczynkami i ich matką po pokładzie lub spędzać czas na długich rozmowach z panem Beattym w jego

100

kabinie. Oboje państwo Beatty najwyraźniej bardzo go polubili. W dalszym ciągu nie wykazywał ochoty do wyprawienia się na bocianie gniazdo, nawet gdy Tom kpił sobie z niego, i to w obecności Caroline. Tom zaś sam był zdziwiony, że nie odczuwa do brata niechęci z powodu jego bojaźliwości. W gruncie rzeczy był nawet zadowolony, że nie musi czuwać nad bliźniakiem na niebezpiecznej wysokości pod szczytem masztu. Wystarczyło mu to, że miał pod opieką Dorian'a, chociaż

najmłodszy z Courtneyów poruszał się już po wantach tak szybko i zwinnie, że wkrótce nie miał z tym żadnego problemu.

Historia z Caroline po raz pierwszy objawiła wyraźnie, że drogi bliźniaków zaczęły się stopniowo rozchodzić. Coraz rzadziej przebywali razem, a gdy ze sobą rozmawiali, wymiana zdań była zwięzła i ostrożna. Zupełnie nie przypominało to tak niedawnych przecież czasów, kiedy dzielili się każdą myślą i marzeniem i pocieszali nawzajem w obliczu drobnych życiowych niepowodzeń i niesprawiedliwości.

Po kolacji Hal zapraszał często gości na partyjkę wista w kabinie na rufie. Sam był wytrawnym graczem i zaszczepił to upodobanie Tomowi. Ze swym talentem do matematyki chłopak doskonale opanował subtelności rozgrywki i bywało, że partnerował ojcu przeciwko panu Beatty'emu i Walshowi. Angażowali się w grę poważnie i niejednokrotnie szło wręcz na noże. Po każdej rundzie dyskutowano i analizowano jej przebieg, gdy tymczasem przy drugim stole Guy z panią Beatty i dziewczynkami wśród chichotów i pisków oddawali się dziecinny grom w rodzaju "wojny" czy "dupy biskupa". Guy nie wykazywał ani upodobania, ani zdolności do zawiłych rozgrywek wista.

Pewnego razu Tom stanął przed koniecznością zrobienia pięciu kierów. Wiedział od początku, że ma do wyboru dwie wykluczające się wzajemnie rozgrywki. Mógł założyć, że pan Beatty ma singlową damę kier i impasować ją albo liczyć na równy rozkład atutów. Rozważał przez chwilę prawdopodobieństwo obu tych sytuacji, lecz rozpraszały go okrzyki i dziewczęce piski przy drugim stole. Po chwili namysłu zdecydował się na impas. Ojciec, widząc początek rozgrywki, zmarszczył brwi, a potem, ku rozczarowaniu Toma, okazało się, iż dama istotnie jest singlowa, tyle że u pana Walsh, który z uśmiechem triumfu zgarnął lewą. Zdeprymowany pomyłką, Tom źle rozegrał trefle i runda skończyła się dlań katastrofą.

101

Ojciec nie miał dla niego litości.

- Powinieneś być wiedzieć z licytacji pana Walsh, że ma siedem trefli, a jego rzzutka do twojego króla potwierdziła przecież niekorzystny rozkład - ofuknął go.

Chłopak wiercił się niespokojnie na krześle. Zobaczył, że przy drugim stole wszelkie wygłupy umilkły i wszyscy słuchają pilnie, jak ojciec go beszta. Caroline i Guy patrzyli na niego, niemal stykając się głowami. W spojrzeniu brata dostrzegł złośliwą satysfakcję, której tam nigdy przedtem nie było. Guyowi najwyraźniej jego upokorzenie sprawiało radość.

Nagle opanowało Toma przemożne poczucie winy. Po raz pierwszy w życiu stanął w obliczu konstatacji, że właściwie nie za bardzo lubi swojego bliźniaka. Guy odwrócił głowę i mrugnął do Caroline, która położyła swą drobną białą dłoń na jego ramieniu, a drugą przysłoniła usta i szepnęła coś chłopcu do ucha. Patrzyła przy tym kpiącym wzrokiem wprost na Toma. Jego zaś zaszokowało kolejne odkrycie: nie tylko nie lubił Guya. Wręcz życzył mu źle.

Całymi dniami walczył potem z poczuciem winy. Hal uczył ich zawsze, że lojalność w rodzinie jest rzeczą świętą. "Razem przeciwko światu", powtarzał często. Tom poczuł, że po raz kolejny nie sprostał oczekiwaniom ojca.

Niespodziewanie jednak zaczęło wyglądać na to, że jego emocje są być może usprawiedliwione. Początkowo miał tylko niejasne przeczucie czegoś o wielkim znaczeniu. Kiedyś zauważył ojca i pana Beatty'ego rozmawiających z ożywieniem na nadbudówce; widział z daleka, że Hal jest bardzo niezadowolony. Podczas kolejnych kilku dni obaj mężczyźni spędzili sporo czasu zamknięci w kabinie kapitańskiej. Na jedno z tych spotkań Hal kazał Dorianowi zawołać Guya.

- Co mówili? - chciał wiedzieć Tom, gdy tylko Dorian wrócił.

- Nie wiem.

- Trzeba było posłuchać pod drzwiami - mruknął Tom, którego aż skręcało z ciekawości.

- Bałem się - przyznał chłopiec. - Gdyby mnie ojciec przyłapał, kazałby mnie przeciągnąć pod kilem.

Dopiero niedawno usłyszał o tej straszliwej metodzie wymierzania kary i bardzo go te wiadomości zafascynowały.

102

Guy całymi dniami żył w lęku przed ponownym wezwaniem go do kabiny na rufie. Pomagał akurat w magazynie Nedowi Tylerowi, otwierając baryłki z czarnym, ziarnistym prochem i sprawdzając, czy nie zamókł, kiedy odnalazł go Dorian.

- Ojciec chce cię zobaczyć w swojej kajucie - oznajmił chłopiec, podniecony faktem, że powierzono mu tak ważną misję.

Guy wyprostował się i otrzepał dłonie z prochu.

- Lepiej się pośpiesz - przestrzegł go Dorian. - Ma znów tę swoją minę w rodzaju "śmierć niewiernym".

Kiedy przekroczył próg kabiny, przekonał się, że Dorian niewiele przesadził w opisie nastroju ojca. Hal, z rękami założonymi do tyłu, wyglądał przez okno na rufę. Gdy się odwrócił, kucyk na jego plecach drgnął nerwowo, niczym ogon rozgniewanego lwa, lecz w spojrzeniu ojca chłopak nie dostrzegł wyłącznie gniewu. Raczej zatroskanie i może nawet konsternację.

- Rozmawiałem dość długo z panem Beattyem - rzekł Hal, wskazując na niego głową. Beatty siedział przy stole, sztywny i poważny. Na głowie miał perukę, co świadczyło o wadze spotkania. Hal milczał przez chwilę, jak gdyby to, co chciał powiedzieć, przejmowało go takim niesmakiem, iż wolałby w ogóle nie używać słów.

- Mam podstawy, by sądzić, że poczyniłeś pewne plany na przyszłość, nie konsultując ich ze mną jako głową rodziny - rzekł w końcu.

- Wybacz mi, ojcze, ale ja nie chcę być żeglarzem - wybałał Guy, wielce nieszczęśliwy.

Hal mimowolnie aż się cofnął, jak gdyby jego syn oznajmił właśnie, że nie wierzy w Boga.

- Courtneyowie wypływają na morze nieprzerwanie od dwustu lat - powiedział. - Jesteśmy żeglarzami od zawsze.

- Ja tego nienawidzę - Guyowi zaczął drżeć głos. - Nienawidzę tych smrodów i ciasnoty na statku. Kiedy nie widzę ład, czuję się chory i nieszczęśliwy.

Znowu zapadła cisza, którą przerwał Hal.

- Tom i Dorian pokochali swoje dziedzictwo. Z całą pewnością czekają ich wspaniałe przygody i wielkie bogactwa. Miałem nadzieję, że i tobie ofiaruję kiedyś własny statek. Widzę jednak, że szkoda tu każdego słowa.

Guy zwiesił głowę.

103

- Nie będę nigdy szczęśliwy z dala od ład - oznajmił załamany.

- Szczęśliwy! - Hal obiecał sobie trzymać swój temperament na wodzy, lecz pełne pogardy słowa same cisnęły mu się na usta. - A co ma do tego szczęście? Człowiek powinien podążać ścieżką dla niego przeznaczoną. Wypełniać swoje obowiązki wobec Boga i króla i czynić to, co należy, a nie to, co mu sprawia przyjemność. - Czuł, jak wzbiera w nim oburzenie i gniew. - Na Boga, chłopcze, cóż by to był za świat, gdyby każdy kierował się tylko własnymi upodobaniami? Kto orałby pola i zbierał plony, gdyby dać wszystkim prawo mówienia: "Ja nie chcę tego robić"? Na tym świecie każdy człowiek może znaleźć swoje miejsce, lecz każdy człowiek powinien to swoje miejsce znać. - Przerwał, widząc wyraz determinacji na twarzy syna. Odwrócił się do okna i wyjrzał na ocean i błękitny nieboskłon poznaczony przez zachodzące słońce złotymi pasemkami. Oddychał głęboko, a mimo to dopiero po kilku długich minutach zdołał w pełni zapanować nad swymi uczuciami.

Kiedy znów spojrział na syna, twarz miał nieruchomą.

- Dobrze więc - oznajmił. - Być może jestem zbyt pobłażliwy, ale nie będę cię do niczego zmuszał, choć Bóg mi świadkiem, że miałem taki zamiar. Masz szczęście, że pan Beatty ma o tobie dobre mniemanie mimo twego egoistycznego postępowania.

- Hal opadł ciężko na zydel i przysunął do siebie dokument leżący na stole przed Beattyem.

- Wiesz już, że pan Beatty zaproponował ci terminowanie na stanowisku pisarza w naszej szacownej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Okazał szczodrość, jeśli idzie o wynagrodzenie i warunki zatrudnienia. Jeżeli zdecydujesz się skorzystać z tej propozycji, twoja praca w kompanii rozpocznie się natychmiast. Zostaniesz przeze mnie zwolniony ze swych obowiązków członka załogi tego statku i podejmiesz obowiązki asystenta pana Beatty'ego, a potem będziesz mu towarzyszyć do faktorii w Bombaju. Czy zrozumiałeś?

- Tak, ojcze - wymamrotał Guy.

- Czy tego właśnie pragniesz? - Hali pochylił się ku synowi i spojrzał mu prosto w oczy, mając jeszcze nadzieję usłyszeć zaprzeczenie.
- Tak, ojczu. Tego właśnie pragnę.
Hal westchnął ciężko, lecz cały gniew już go opuścił.
- Dobrze więc. Będę się modlił za ciebie i za słuszną
104

twojej decyzji. Od tej pory twój los nie zależy już ode mnie. - Podsunął w stronę syna pergamin z umową terminu. - Podpisz to, a ja poświadczę.
Następnie Hal osuszył oba atramentowe podpisy piaskiem, po czym, zdmuchnąwszy go, wręczył dokument Beatty'emu.
- Poinformuję o nowej sytuacji oficerów i twoich braci. Nie mam najmniejszej wątpliwości, jak ocenią to twoje postanowienie.
Tom i Dorian Courtneyowie siedzieli w ciemności na dziobie wraz z Abolim i Dużym Danielem i dyskutowali o decyzji Guya, roztrząsając ją w najdrobniejszych szczegółach.
- Jak on mógł nas tak opuścić? Przecież przysięgaliśmy, że zawsze będziemy trzymać się razem, czyż nie, Tom? - emocjonował się Dorian.
- Guy często ma chorobę morską - unikał bezpośredniej odpowiedzi starszy z braci. - Boi się morza, boi się wejść na wanty. Nigdy by z niego nie było prawdziwego żeglarsza. - Tomowi jakoś trudno było czuć się zmartwionym z powodu takiego obrotu rzeczy.
Dorian chyba to wyczuł, próbował bowiem znaleźć pocieszenie u starszych towarzyszy.
- Powinien z nami zostać, prawda, Aboli? - zapytał.
- Przez dżunglę prowadzi wiele różnych dróg - zadudnił basem Murzyn. - Gdyby każdy chciał iść tą samą, nie zmieścilibyśmy się wszyscy.
- Ale to Guy! - Dorian był bliski łez. - On nie miał prawa nas opuścić! Ty mnie nigdy nie opuścisz, prawda, Tom? - zwrócił się znowu do brata.
- Oczywiście, że nie - odrzekł burkliwie Tom.
- Obiecujesz? - Po policzku chłopca potoczyła się pojedyncza łza, migocząc w świetle gwiazd.
- Nie wolno ci płakać - upomniał go Tom.
- Nie płaczę. Tylko wiatr mnie szczypie w oczy - Dorian otarł łzę rękawem. - Obiecaj mi, Tom.
- Przecież obiecałem.
- Nie, nie tak. Przysięgnij na śmierć i życie - nalegał.
Tom z ciężkim westchnieniem wyciągnął szkocki sztylet z pochwy u pasa. Uniósł wąskie ostrze, aż zalśniło w księżycowej poświacie.
105

- Biorę Boga, Abolego i Dużego Daniela za świadków - powiedział, po czym przeciął sobie sztyletem skórę na kciuku i wszyscy ujrzeli krew, czarna jak smoła w tym srebrzystym świetle. Następnie wsunął sztylet do pochwy i wolną ręką przyciągnął twarz Dorianą blisko do swojej. Patrząc dzieciakowi poważnie prosto w oczy, nasmarował zakrwawionym kciukiem krzyż na jego czole. - Przysięgam na śmierć i życie, że nigdy cię nie opuszczę, Dorianie - powiedział z namaszczeniem. - A teraz przestań beczeć.
W związku z postanowieniem Guya trzeba było zmienić rozkład wacht. Większość jego obowiązków na pokładzie przejął Tom, dodając je do tych, które już miał. Ned Tyler i Duży Daniel mogli się teraz w swych lekcjach nawigacji, strzelania i operowania żaglami skoncentrować na dwóch adeptach, zamiast na trzech. Rozkład dnia Toma, już przedtem dość napięty, wypełnił się do ostatnich granic. Natomiast nowe obowiązki wydawały się Guyowi nietrudne i przyjemne. Po codziennej porcji nauki z panem Walshem, kiedy Dorian z Tomem śpieszyli do swojej roboty na rejach, on spędzał czas na pisaniu listów i sprawozdań dla pana Beatty'ego albo studiował wydawnictwa Kompanii, włącznie z "Instrukcją dla rekrutów w służbie szacownej Angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej". Potem mógł poczytać coś pani Beatty lub pograć w karty z jej córkami. Żadną z tych czynności nie zdobywał sobie serca starszego bliźniaka, który obserwował czasem z wantów, jak spaceruje, dowcipkując z paniami, po nadbudówce, co zastrzeżone było dotąd tylko dla oficerów i gości statku.

Seraph przekroczył równik, czemu towarzyszył jak zwykle wesoły obrzęd "chrztu morskiego", inicjacji dla wszystkich, którzy robili to po raz pierwszy. Musieli złożyć hołd Neptunowi, bogowi mórz, w którego wcielił się Aboli. Odziany w niesamowity kostium ze szmat, z brodą z rozplecionych kawałków lin, sprawiał imponujące wrażenie.

Obszary morskiej ciszy zostawili na północ od równika. Oba statki, wyzwolone z uścisku martwoty, wpłynęły wreszcie na południowy szlak handlowy. Ocean zmienił swój charakter. Jego wody, przedtem ospałe i posępne, zaiskrzyły się życiem. Powietrze nabrało rzeźkości, niebo znaczyły podobne do koń-

106

skich ogonów cirrusy, pędzone wiatrem. Marynarzom wyraźnie poprawił się humor i na statku zapanował niemal nastrój wesołości.

Hal wyznaczył kurs południowo-zachodni i szli baksztagiem na środek oceanu, właściwie bliżej wybrzeży Ameryki Południowej niż kontynentu afrykańskiego. To, co tracili na dystansie, zyskiwali na szybkości dzięki korzystnemu wiatrowi. Tom razem z Nedom i działomistrzami sprawdzali co dziesięć dni zapasy w magazynie. Zaznajomienie się z rodzajami i właściwościami czarnego prochu stanowiło jeden z elementów szkolenia w sztuce artylerii. Chłopiec poznawał jego składniki - głównie siarkę, węgiel drzewny i saletrę - metody ich bezpiecznego mieszania i składowania, a także zapobiegania nagrzaniu się lub zawilgoceniu prochu, co mogło prowadzić do jego skawalenia i problemów z odpaleniem dział. Przy każdej sposobności Ned przestrzegał go przed kontaktem z otwartym ogniem lub spowodowaniem iskry w magazynie prochu, czym mógłby spowodować wysadzenie całego statku w powietrze.

Podczas przygotowań do bitwy baryłki otwierano i przesypywano do jedwabnych woreczków, mieszczących starannie odważoną porcję na jeden wystrzał. Ładunek ubijano następnie głęboko w lufie, kładziono nań kawałek tkaniny i dopiero kulę. Woreczki donosili na pokład działowy pomocnicy, zwani chłopcami prochowymi. Pewna liczba takich ładunków zawsze leżała w gotowości na stelażu, na wszelki wypadek, nawet wtedy, gdy nie spodziewano się walki. Cienki jedwab nie chronił jednak prochu przed zawilgoceniem, toteż woreczki te sprawdzano i przepakowywano regularnie.

Pracy Toma i Neda w magazynie prochu rzadko towarzyszyły zwykle między nimi żarciki i krotochwile. Pomieszczenie, oświetlone tylko jedną lampą, pogrążone było w półmroku i panowała tu niemal kościelna cisza. Tom brał od Neda jedwabne woreczki i układał je starannie na niskiej półce. Były twarde i gładkie w dotyku.

Mogłaby być z tego wygodna koja, pomyślał. I nagle ujrzał w wyobraźni Caroline, wyciągniętą na jedwabnych woreczkach... naga. Jęknął cicho.

- Co się stało, paniczu Tom? - spojrzał na niego pytająco Ned.

- Nic, nic. Coś sobie pomyślałem.

107

- Bujanie w obłokach lepiej zostaw swemu bliźniakowi. On się do tego nadaje - poradził mu rzeczowo marynarz. - A ty się nadajesz do roboty, więc się nią zajmij.

Tom wrócił do układania woreczków, lecz teraz myśli w jego głowie kłębiły się jak oszalałe. Magazyn prochu był jedynym pomieszczeniem, którego przez dziesięć dni pod rząd nikt nie odwiedzał. Można tu było przebywać samemu bez obawy, że ktoś wejdzie. Miejsce, którego tak długo szukał; tak oczywiste, że w ogóle nie przyszło mu do głowy. Spojrzał na klucze wiszące u pasa Neda. Było ich kilka: od schowków z bronią, od składowiska z ekwipunkiem marynarskim, od magazynu żywności i... od prochni.

Kiedy skończyli, Tom ustawił się tak, by widzieć, który z kluczy bosman włoży do masywnego zamka zabezpieczającego ciężkie dębowe drzwi. Był dość charakterystyczny, odróżniało go od innych pióro w kształcie korony. Usiłował gorączkowo wymyślić jakiś sposób dobrania się do całego pęku i zdjęcia z kółka tego jednego, tak mu potrzebnego klucza. Był to jednak daremny trud. Całe pokolenie żeglarzy biedziły się już przed nim nad podobnym problemem: jak zwędzić klucz od magazynu z rumem.

Tej nocy, gdy leżał na sienniku, przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Aż usiadł na posłaniu - przecież musi być gdzieś na pokładzie zapasowy komplet kluczy. A

jeśli jest, to w jednym tylko miejscu: w kabinie kapitana. Albo w skrzyni pod jego koją, albo w którejś z szuflad biurka, doszedł do wniosku. Przez resztę nocy prawie nie zmrużył oka. Nawet przy swej uprzywilejowanej pozycji najstarszego syna dowódcy Serapha nie mógł się kręcić po kapitańskiej kabinie wedle upodobania, a miejsca pobytu Hala były zupełnie nieprzewidywalne. Nigdy nie można było mieć pewności, że właśnie opuścił swoją kwatery na dłużej. A kiedy go nie było, steward zajmował się zwykle ścieleniem koi albo sprzątaniem czy naprawą kapitańskiej garderoby. Tego, że mógłby się tam zakraść, kiedy ojciec zaśnie, Tom nie brał w ogóle pod uwagę. Wiedział, że Hal ma czujny sen - przekonał się o tym kiedyś na własnej skórze. Hala niełatwo było wyprowadzić w pole.

Przez cały tydzień rozważał różne pomysły, a potem odrzucił te, które uznał za mało praktyczne. Przyszedł mu do głowy plan przedostania się do kabiny od strony galerii rufowej. Musiałby w tym celu zaryzykować opuszczenie się tam po zewnętrznej stronie kadłuba, wyczekawszy na moment, kiedy

108

kapitan zarządzi generalną zmianę kursu. Obie wachty znalazłyby się wówczas na pokładzie, a ojciec byłby całkowicie pochłonięty wydawaniem komend.

Wystarczyłoby tylko wymyślić jakąś wymówkę i zniknąć.

Minęło jednak kolejne dziesięć dni, a zmiana kursu nie nastąpiła. Wiał stały wiatr od południowego wschodu i Seraph wciąż szedł prawym halsiem. Tom nie miał możliwości wprowadzenia swego szaleńczego planu w życie.

A potem sposobność nadarzyła się sama, tak niebywale korzystna, że aż poczuł ukłucie zabobonnego lęku. Siedział właśnie przy forkasztelu razem z innymi marynarzami ze swojej wachty, ciesząc się chwilą odpoczynku, kiedy kapitan Serapha podniósł głowę znad kompasu i przywołał go skinieniem. Tom zerwał się na nogi i podbiegł do ojca.

- Skocz, chłopcze, do mojej kajuty - powiedział Hal. - W górnej szufladzie biurka powinien być mój czarny notatnik. Przynies mi go.

- Rozkaz, kapitanie! - Tomowi prawie zakręciło się w głowie, ale po chwili pędził już do zejściówki.

- Hej, zaczekaj! - Głos ojca osadził chłopaka w miejscu; serce podeszło mu niemal do gardła. No tak, za łatwo poszło, pomyślał. - Jeżeli go nie będzie w górnej szufladzie, to poszukaj w innych! - usłyszał tylko i po sekundzie był już na dole.

Notatnik leżał w górnej szufladzie, tak jak powiedział Hal. Tom szybko przeszukał pozostałe, drżąc, żeby któraś nie okazała się zamknięta. Otwierały się jednak bez problemu, a kiedy wysunął ostatnią, usłyszał brzęk czegoś metalowego, co przesunęło się po dnie szuflady. Znow poczuł ucisk w sercu. Zapasowe klucze leżały pod egzemplarzem almanachu i tablicami nawigacyjnymi. Złapał je co żywo, rozpoznając natychmiast charakterystyczny kształt korony na kluczu do magazynu prochu. Nim zabrał się do dzieła, nasłuchiwał przez chwilę, czy nikt nie nadchodzi, a potem zdjął klucz z pierścienia i schował do kieszeni. Zamknął zapięcie z powrotem i odłożywszy cały pęk na dno szuflady, przykrył go almanachem.

Kiedy wracał na pokład, klucz ciążył mu w kieszeni niczym kula armatnia. Musi go gdzieś dobrze ukryć, postanowił. Szansę na to, że ojciec nie zauważy kradzieży, były spore, dopóki nie zapodzieje się gdzieś oryginał, co było raczej nieprawdopodobne. Lecz noszenie cennej zdobyczy przy sobie tak czy inaczej groziło wpadką.

109

Tej nocy obudził go jak zwykle dźwięk okrętowego dzwonu, obwieszczającego równo o północy początek wachty. Odczekał jeszcze godzinę i cicho podniósł się z siennika.

- Dokąd idziesz? - usłyszał nagle szept Guya, który, jak się okazało, też nie spał.

Tomowi serce zamarło w piersi.

- Do wychodka - odparł szeptem. - Śpij.

Postanowił natychmiast, że musi zadbać o inne rozlokowanie legowisk. Tymczasem ruszył w stronę dziobu, ale gdy tylko zniknął z pola widzenia brata, zawrócił i ześliznął się po zejściówce na dolny pokład.

Przy obecnym ustawieniu do wiatru na żaglowcu nigdy nie było całkiem cicho. Drewniane poszycie skrzypiało i jęczało, co jakiś czas rozlegał się głośny jak wystrzał z pistoletu trzask któregoś spojenia, a napierające na statek fale szemrały lub uderzały głucho o kadłub.

Na niższym pokładzie nie było światła, Tom jednak poruszał się pewnie i raz tylko zawadził o przegrodę. Wszelkie hałasy stapiały się zresztą z innymi odgłosami statku.

Przy rufowej zejściówce wisiała pod sufitem pojedyncza latarnia, rzucając poblask na główny korytarz. Pod drzwiami kajuty ojca zobaczył smugę światła. Prześliznął się obok nich, a potem na chwilę zatrzymał przy małym pomieszczeniu, w którym spały trzy siostry. Niczego nie usłyszał i ruszył dalej. Magazyn prochu znajdował się jeszcze niżej, tuż obok miejsca, w którym grotmaszt opierał się na nadstępcę. Tom zsunął się po drewnianych schodkach w całkowitą ciemność najniższego pokładu i podszedł pod drzwi magazynu. Uklęknął przy nich i po omacku wsunął klucz do zamka. Mechanizm był oporny i trzeba było użyć siły, żeby ustąpił, lecz w końcu drzwi się otworzyły. Chłopak stał w ciemnym otworze i wdychał ostrą woń czarnego proszku. Choć czuł, że osiągnął wiele, rozumiał, że ma przed sobą jeszcze niejedną przeszkodę. Najciszej jak mógł zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Potem wymacał nad nadprożem szparę między belkami i wsunął tam klucz oraz hubkę z krzesiwem, którą też ze sobą przyniósł. Tą samą drogą wrócił na pokład i cicho ułożył się na legowisku. Guy poruszył się niespokojnie. W dalszym ciągu nie spał, lecz nie próbowali rozmawiać i wkrótce obaj zapadli w sen.

110

Jak dotąd wszystko układało się po myśli Toma do tego stopnia, że nazajutrz rano opadło go nieprzyjemne przecucie, iż to się może zmienić. W zachowaniu Caroline nic nie wskazywało na to, by jego plany wobec niej miały się zacząć realizować. Powoli tracił ducha. Rozmyślał nad ryzykiem, jakie poniósł do tej pory, i zastanawiał się, co go jeszcze w związku z tym czekało. Kilkakrotnie bliski już był podrzucenia klucza z powrotem do szuflady w kapitańskim biurku i rezygnacji z szalonego planu. Wystarczyło jednak, żeby rzucił ukradkiem okiem na Caroline, gdy pogrążona była w nauce, by ujrzeć łuk jej policzka, wydęte w skupieniu różowe wargi, miękkość przedramienia wysuwającego się z bufiastego rękawa sukni, skórę ozłoconą lekko tropikalnym słońcem i pokrytą rzadkim meszkiem niczym brzoskwinia...

Muszę z nią być sam na sam, choćby przez minutę, postanawiał wtedy na nowo. Jestem gotów na każde ryzyko, powtarzał sobie w duchu. Brakowało mu jednak zdecydowania, żeby tę odważną decyzję wprowadzić w czyn. I wahałby się tak w nieskończoność, gdyby dziewczyna w końcu sama go nie popchnęła do postawienia następnego kroku.

Tego dnia po zakończeniu lekcji wybiegła z kabiny Walsh'a przed Tomem, lecz gdy stanęła już na zejściówce, nauczyciel zawołał:

- Ach, panno Caroline, byłbym zapomniał. Czy zobaczymy cię dziś wieczór na próbie muzycznej?

Odwróciła się, żeby mu odpowiedzieć. Zrobiła to tak niespodziewanie, że idący za nią Tom nie zdołał uniknąć zderzenia. Gdy na nią wpadł, straciła niemal równowagę, zdążyła się jednak złapać jego ręki, a chłopak podtrzymał ją w talii. Znajdowali się w tym momencie poza zasięgiem wzroku pana Walsh'a i młodszych chłopców.

Caroline nie próbowała się wcale wyswobodzić z uścisku Toma. Zamiast tego pochyliła się ku niemu i napała biodrami na jego biodra, patrząc mu prosto w oczy z chytrym, porozumiewawczym wyrazem twarzy. W tej jednej chwili cały jego świat uległ przemianie. Kontakt był przelotny, za moment dziewczyna stała już w drzwiach kabiny gubernera, mówiąc do niego:

- Ależ oczywiście. Pogoda dziś taka piękna, że moglibyśmy się spotkać na pokładzie, nie sądzi pan?

111

- Znakomity pomysł - odparł skwapliwie Walsh. - Niech będzie o szóstej, dobrze? - zapytał. Wciąż posługiwał się miarą czasu właściwą szczyrom lądowym.

Ned Tyler stał obok Toma przy kole sterowym. Chłopak starał się utrzymać Serapha sunącego w poprzek oceanu na kursie południowo-zachodnim ku południowi.

- Trzymaj! - burknął Ned, gdy Tom pozwolił statkowi odpaść o rumb. Przy postawionych wszystkich żaglach, wypełnionych dwudziestoma pięcioma węzłami wiatru, przypominało to ujarzmianie dzikiego ogiera.

- Popatrz tylko na kilwater - rzekł Ned z przyganą w głosie. Tom posłusznie spojrzął za rufę. - Jak para węży w miodowym miesiącu. Obaj wiedzieli, że to niesprawiedliwa ocena; mniej więcej kabel za statkiem znać było w jego pienistym śladzie ledwie dostrzegalne odchylenie. Instruktorzy Toma nie stosowali jednak wobec niego taryfy ulgowej i przez następne dziesięć minut Seraph ciał błękitne wody bruzdą prostą jak klinga rapieru.

- Bardzo dobrze, paniczku - pokiwał głową Ned. - A teraz żagle, jeśli łaska, od topu grotmasztu.

- Grotbramsel, grotmarsel... - Tom wymieniał nazwy żagli bez zająknięcia i pomyłki, jednocześnie nie pozwalając dziobowi statku na najmniejsze odchylenie od kursu.

Z kwater na rufie wyłoniło się w tym momencie trio muzyków. Guy prócz własnej cytry niósł śpiewnik Caroline. Walsh, z fletem zatkniętym w tylną kieszeń spodni, dźwigał w jednej ręce stołek dziewczyny, a drugą przytrzymywał na głowie perukę. Cała grupka zajęła swoje stałe miejsce przy relingu po zawietrznej, gdzie chroniona była przed najsilniejszymi porywami wiatru.

Tom usiłował się skupić na sterowaniu i odpowiadać na pytania Neda, a zarazem nie przegapić momentu, gdy Caroline otworzy śpiewnik i znajdzie karteczkę, która wsunął do książki.

- Żagle bezanmasztu proszę, od góry - powiedział Ned.

- Sterbramsel - odpowiedział chłopak i przerwał. Caroline już zabierała się do śpiewania; Walsh podał jej książkę.

112

- Dalej - ponaglił go Ned.

- Stermarsel - odrzekł Tom i znów zamilkł.

Caroline otworzyła książkę i zmarszczyła brwi. Czytała coś między stronicami. Wydawało mu się przez chwilę, że zbladła, lecz nagle podniosła głowę i z przeciwnego końca pokładu spojrzała mu prosto w oczy.

- Bezan - powiedział Tom i odwzajemnił spojrzenie.

W jej oczach znów pojawił się ów zagadkowy, szelmowski wyraz, a kiedy odrzuciła głowę, ciemne loki zatańczyły na wietrze. Wyjęła z książki skrawek papieru ryżowego, na którym tak pracowicie wypisał swoją wiadomość, zmięła go w kulkę i wyrzuciła pogardliwym gestem za burtę. Porwał go wiatr i poniósł daleko, a potem cisnął pomiędzy pieniające się fale. Tom dostał najwyraźniej kolejnego kosza; poczuł, jak jego świat drży w posadach.

- Trzymaj na wiatr! - rzucił ostro Ned. Chłopak wzdrygnął się zawstydzony: sflaczałe żagle stanowiły niezbity dowód, że pozwolił odpaść statkowi ku zawietrznej.

Choć przekonany, że wszystko przepadło, Tom zastanawiał się, nie śpiąc przez całą pierwszą wachtę i oczekując północy, czy mimo wszystko nie znajdzie jakiegoś pretekstu, żeby zaryzykować i stawić się na wyznaczone przez siebie spotkanie. Odmowa Caroline wydawała się kategoryczna; był jednak pewien, że intymne igraszki w kabinie ojca podobały jej się nie mniej niż jemu. Przelotny kontakt ich ciał przed kajutą Walsha potwierdził zaś ponad wszelką wątpliwość, że dziewczyna nie jest niechętna następnej przygodzie.

Nie taka z niej znowu wielka dama, na jaką wygląda, rozmyślał gniewnie. Pod tymi wszystkimi wymyślnymi spódnicami podoba jej się to tak samo jak Mary i innym dziewczętom z wioski. Stawiam gwineę przeciwko garści końskiego łajna, że potrafi się bawić w "schować krasnala" nie gorzej od najlepszych z nich.

Już wcześniej przeniósł swój siennik do niszy za jednym z dział, żeby Guy ani Dorian nie widzieli, kiedy i dokąd chadza nocami. Godziny wachty wlokły się w nieskończoność. Raz czy drugi przysnął, zaraz jednak się budził, drżący z niecierpliwości i trawiony wątpliwościami.

Gdy na pokładzie ponad jego legowiskiem rozległo się siedem

113

dzwonów pierwszej wachty, nie był już w stanie czekać ani chwili dłużej. Wysunął się spod koca i podkraść do zejściówki, wstrzymując oddech w nadziei, że nie zagadnie go któryś z młodszych braci.

Znowu przystanął obok kajuty, w której sypiały dziewczęta, i przyłożył ucho do drzwi. Niczego nie usłyszał i przez moment kusiło go, żeby zapukać lekko w drewno i sprawdzić, czy Caroline nie śpi. Zdrowy rozsądek jednak przeważył i Tom ruszył dalej. Po chwili ześliznął się na dolny pokład.

Ku jego wielkiej uldze klucz był tam, gdzie go schował; hubka z krzesiwem również. Otworzył drzwi, wsunął się do magazynu i zdjawszy z haka lampę, wyniósł ją na korytarz, zamykając dokładnie drzwi za sobą, żeby przypadkowa iskra z krzesiwa nie padła na drobiny prochu rozsypane po podłodze.

Wyjął ze schowka hubkę i przykucnąwszy na pokładzie, zastanawiał się nad ryzykiem, jakie niosło ze sobą krzesanie iskier na ciemnym statku. Chodziło już nie tyle o niebezpieczeństwo eksplozji, ile o to, że światło mogło przyciągnąć czyjaś uwagę. Kajuta ojca znajdowała się tuż przy zejściówce, sąsiadując przez ścianę z kwaterą państwa Beatty. Mogli cierpieć na bezsenność lub wyjść na pokład za potrzebą. Również oficer wachtowy mógł zapuścić się na dół podczas obchodu, zwabiony dziwną iluminacją.

Tom był jednak całkowicie pewien, że Caroline zabrakłoby zarówno odwagi, jak i orientacji, żeby odnaleźć drogę do magazynu w kompletnych ciemnościach. Musiał ją do tego choć odrobinę zachęcić.

Pochylił się nad hubką, zasłaniając ją sobą, i uderzył stalą o krzesiwo. Strzelił oślepiający snop błękitnych iskier i hubka złapała ogień. Z bijącym mocno sercem Tom podniósł osłonę lampy, podpalił knot i osłonił go dłońmi, żeby nie zgasł. Potem założył osłonę, która przyciemniała światło, lecz jednocześnie stanowiła swoiste zabezpieczenie przed kontaktem prochu z ogniem. Wsunawszy klucz i hubkę z krzesiwem do kryjówki, wniósł latarnię z powrotem do magazynu i odwiesił na miejsce.

Wycofał się teraz z magazynu, przytykając drzwi tak, że przedostawała się przez nie zaledwie smużka światła, zbyt nikła, by przypadkowo przyciągnąć czyjaś uwagę, wystarczająca jednak dla zachęcenia wahającej się dziewczyny do zapuszczenia się w czeluście dolnego pokładu.

Tom przykucnął przy drzwiach, gotów je zamknąć w razie

114

najmniejszych oznak niebezpieczeństwa. Nie docierał tu odgłos dzwonu, toteż wkrótce stracił poczucie czasu.

Już nie przyjdzie, uznał w końcu po upłynięciu, jak mu się wydawało, kilku ładnych godzin. Chciał już wstać, lecz jakoś nie mógł zmusić się do odejścia. Jeszcze trochę, postanowił, opierając się z powrotem o deski grodzi. Musiał chyba przysnąć, bo najpierw powiadomiła go ojej nadejściu woń ciała, ów koci zapach młodej dziewczyny, a potem dopiero usłyszał szurgot bosych stóp po pokładzie, gdzieś bardzo blisko.

Zerwał się na równe nogi, a z ust dziewczyny, gdy go ujrzała przed sobą w ciemności, wyrwał się okrzyk przerażenia.

- To ja, to ja - szepnął rozpaczliwie, przyciskając ją do siebie. - Nie bój się. Przyłgnęła doń z zadziwiającą siłą.

- Przestraszyłeś mnie. - Drżała na całym ciele, tulił ją więc do piersi, głaszcząc po włosach. Były rozpuszczone; gęste i sprężyste, sięgały jej do połowy pleców.

- Już dobrze. Jesteś bezpieczna - uspokajał ją.

W przyćmionym świetle zdołał dostrzec, że Caroline ma na sobie tylko nocną koszulę z jasnej bawełny. Zawiązana pod szyją, opadała jej aż do kostek.

- Nie powinnam była tu przychodzić - szepnęła z twarzą wtuloną w jego pierś.

- O, tak, powinnas! - odparł. - Czekałem tak długo. Tak bardzo chciałem, żebyś przyszła. - Zdumiewało go, jaka jest drobna i jakie ciepło bije od jej ciała.

Przytulił ją mocniej. - Już dobrze, Caroline. Jesteśmy bezpieczni.

Przesunął ręką po jej plecach. Pod cienką bawełną nie miała niczego. Czuł każdą wypukłość i wklęsłość jej ciała.

- Ale co będzie, jeżeli mój ojciec... - mówiła niemal bez tchu, głosem podszytym lękiem.

- Nic nie mów - przerwał jej. - Chodź ze mną. - Wciągnął ją szybko do magazynu i zamknął drzwi. - Tutaj na pewno nikt nas nie znajdzie.

Przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował w czubek głowy. Jej włosy wydzielaly aromatyczną woń. Przeszala już drzeć i podniósłszy głowę, spojrzala mu w twarz. Jej oczy w przyćmionym świetle latarni były wielkie i błyszczące. - Nie rób mi nic złego - poprosiła nagle. - Nie skrzywdzisz mnie? Sama myśl o czymś podobnym przejęła go trwoga.

115

- Och, moja kochana. Nigdy bym nie mógł tak postąpić. - Słowa ukojenia płynęły z jego ust naturalnie i przekonująco. - Ja ciebie kocham; kocham cię od chwili, kiedy moje oczy po raz pierwszy ujrzaly twoją piękną twarz. - Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, że obdarzony jest elokwencją, tak ważną dla kochanków. Nie wiedział także, jak dobrze mu się ów dar przysłuży w nadchodzących latach. - Kochałem cię nawet wtedy, gdy traktowałaś mnie z tą straszną obojętnością. - Talię miała tak smukłą, że mógł ją niemal otoczyć dłońmi. Przytulił dziewczynę mocniej i poczuł ciepło jej brzucha na swoim.

- Nie chciałam być dla ciebie niedobra - odrzekła żalostliwie. - Pragnęłam być z tobą, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać od złośliwości.

- Wiem. Nie musisz się tłumaczyć - zapewnił ją, okrywając pocałunkami jej policzki, czoło i oczy, aż w końcu znalazł usta. Wargi Caroline, najpierw mocno zaciśnięte, powoli zaczęły się rozchyłać, niczym płatki jakiegoś egzotycznego kwiatu; gorące, wilgotne i pełne nektaru przyprawiającego go niemal o zawrót głowy. Pragnął spijać go do końca, wyssać całą jej istotę przez te usta. - Jesteśmy tu bezpieczni - zapewnił ją ponownie. - Nikt tutaj nie zagląda. - Szeptał uspokajające słowa, odwracając uwagę dziewczyny i jednocześnie przesuwając się wraz z nią ku rzędom jedwabnych woreczków z prochem. - Jesteś taka piękna. - Przechylił ją do tyłu. - Myślałem o tobie dzień i noc. Rozluźniła się i pozwoliła położyć się na materacu z jedwabiu i prochu. Głowę odrzuciła do tyłu, a on całował jej szyję, równocześnie delikatnie poluźniając wiązanie koszuli. Instynkt podpowiadał mu, że powinien posuwać się powoli, żeby dziewczyna mogła udawać sama przed sobą, iż nic się nie dzieje.

- Twoje włosy są jak jedwab i pachną różami - szeptał, a jego palce działały szybko i zwinnie.

Jedna pierś Caroline wysunęła się ponad koszulę. Ciało dziewczyny zeszywniało.

- Nie powinniśmy tego robić - wydyszała. - Musisz przestać. Proszę.

Pierś miała bardzo białą i dużo większą, niż się spodziewał. Nie próbował jej dotknąć, choć ocierała się miękko o jego policzek. Trzymał dziewczynę mocno, szepcząc jej do ucha zapewnienia i pochlebstwa, aż w końcu rozluźniła się znowu

116

i jedna jej ręka powędrowała na tył jego głowy. Schwyciła go za kucyk i ciągnęła tak mocno, że oczy zaczęły mu łzawić z bólu, ale nie zwracał na to uwagi. Caroline, niemal nieświadoma tego, co robi, kierowała teraz ruchem głowy Toma, ciągnąc go za włosy. Miękka, ciepła pierś przylgnęła do jego twarzy i przez chwilę nie mógł oddychać, zaraz jednak otworzył usta i zaczął ssać sutek. Był sprężysty i twardy. Mary lubiła, jak to robił; nazywała tę pieśczęotę "karmieniem dzidziusia".

Z gardła Caroline wydobył się cichy pomruk. Próbowała kołysać go delikatnie, jakby był niemowlęciem. Zamknęła oczy, a na jej ustach igrał lekki uśmieszek. Tom ssal ją rytmicznie.

- Dotknij mnie - szepnęła tak cicho, że nie dosłyszał, o co jej chodzi. -

Dotknij mnie - powtórzyła. - Tak jak wtedy. - Koszula podeszła jej do góry, odsłaniając uda. Dziewczyna rozchyliła kolana. Sięgnął w dół i usłyszał jej pomruk. - Tak, właśnie tak.

Zaczęła podrzucać biodrami, jakby siedziała na kłusującym koniu. Już po kilku chwilach jej plecy wygięły się i poczuł, jak napina się każdy mięsień jej drobnego ciała.

Niczym naciągnięty łuk, przemknęło przez głowę Tomowi... tuż przed wypuszczeniem strzały.

Nagle zadrżała i wydawszy głośny okrzyk, który go przestraszył, opadła bezwładnie na posłanie, jak martwa. Tom przeraził się nie na żarty. Spojrzawszy na jej twarz, przekonał się jednak, że jest zaróżowiona. Caroline miała zamknięte oczy, a na jej górnej wardze błyszczaly jak rosa krople potu.

Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Raptem wyrwała się z jego objęć i otwartą dłonią trzasnęła go z głośnym piaskiem w policzek.

- Nienawidzę cię! - wychrypiała ze złością. - To twoja wina, że tutaj przyszedłem! Nie masz prawa dotykać mnie w ten sposób! To wszystko twoja wina! - Nagle wybuchnęła płaczem.

Tom odsunął się od niej zaskoczony, nim jednak doszedł do siebie, Caroline zerwała się na równe nogi. Zgarnawszy koszulę pod szyję, pchnęła drzwi magazynu i plaskając bosymi stopami o podłogę, wybiegła na korytarz.

Upłynęła dobra chwila, nim Tom zdołał wreszcie w pełni otrząsnąć się z szoku. Wciąż jeszcze zamroczony, zgasił lampę i zamknął za sobą starannie drzwi magazynu. Później będzie musiał znaleźć jakąś okazję, żeby włożyć klucz do biurka ojca,

117

ale nie było z tym pośpiechu. Na razie nic nie wskazywało na to, że zniknięcie klucza zostało zauważone. Noszenie go przy sobie nie było jednak bezpieczne, toteż wsunął go z powrotem do kryjówki nad drzwiami.

Kiedy przekradał się pod drzwiami Caroline, poczuł, że wrze z oburzenia i złości. Naszła go wielka ochota, żeby wyciągnąć dziewczynę z kajuty i dać upust przepełniającym go uczuciom. Zdołał się jakoś opanować i wrócić do swego legowiska na pokładzie działowym.

Guy już na niego czekał, zaczajony za jedną z lawet... jak milczący ciemny duch.

- Gdzie byłeś? - zapytał natarczywym szeptem.

- Nigdzie. - Na skutek zaskoczenia ta idiotyczna odpowiedź sama wyrwała się Tomowi z ust. - Na dziobie.

- Nie było cię dwie godziny, od siedmiu dzwonów na pierwszą wachtę - stwierdził ponuro Guy. - Chyba zapełniłeś całe wiadro. Cud, że w ogóle coś z ciebie zostało.

- Spacerowałem po pokładzie. - Tom próbował coś wymyślić, lecz zaraz zrezygnował. - A zresztą, nie muszę ci się tłumaczyć. Nie jesteś moim stróżem. - Rzucił się na posłanie i zwinął w kłębek, naciągając koc na głowę.

Głupia mała sekutnica, pomyślał rozgoryczony. Wcale bym się nie zmartwił, gdyby wypadła za burtę i pożarły ją rekiny.

Seraph posuwał się na południowy zachód. Ani razu podczas gwiazdzistych nocy nie byli zmuszeni spuszczać żagli. Codziennie w południe Tom stawiał się na nadbudówce wraz z oficerami, by za pomocą kwadrantu Davisa, który dostał w prezencie od ojca, wyznaczyć najwyższe położenie słońca i obliczyć pozycję statku. Hal i Ned Tyler wykonywali niezależne pomiary, a potem porównywano wyniki. Jeden z tych dni chłopak miał zapamiętać na długo. Skończył właśnie skomplikowane obliczenia i podniósł głowę znad swojej tabliczki.

- A więc, sir? - zapytał Hal z pobłażliwym uśmiechem.

- Dwadzieścia dwa stopnie szesnaście minut i trzydzieści osiem sekund szerokości południowej - odpowiedział niepewnie Tom. - Według moich wyliczeń powinniśmy się znajdować zaledwie kilka mil od zrotnika Koziorożca.

Hal zmarszczył groźnie brwi i spojrzał na Neda.

118

- Czy mamy tu do czynienia z poważnym błędem, panie macie? - zapytał.

- W rzeczy samej, kapitanie. Pomylił się co najmniej o dziesięć sekund.

- Ja uznaję za granicę błędu piętnaście sekund. - Twarz Hala złagodniała. - Wywieszamy go na kotbelce czy nie?

- Nie tym razem - twarz Neda rozjaśnił rzadko u niego widywany uśmiech.

Różnica pomiędzy trzema kalkulacjami sprowadzała się do kilku mil morskich, co w zestawieniu z bezkresem oceanu było niczym. Nie sposób było dowiedzieć, który z nich trzech określił położenie najdokładniej.

- Dobra robota, chłopcze - Hal zmierzwił czuprynę syna. - Może jeszcze będzie z ciebie żeglarz.

Radość, jaka ogarnęła Toma po usłyszeniu tych słów, towarzyszyła mu do końca dnia.

Kiedy Seraph przekroczył zrotnik Koziorożca, nastąpiła raptowna zmiana pogody. Wpłynęli w deszczowy rejon południowego Atlantyku i niebo ponad nimi zasnuło się aż po horyzont ciemnymi, wiszącymi nisko chmurami, których olbrzymie spleśzczone

czoło przypominało kształtem kowadło Wul-kana, bóstwa ognia i kowalstwa. Mroczne czeluście chmur rozjaśniały co rusz błyskawice, a huk piorunów rozlegał się jak uderzenia boskiego młota.

Hal polecił spuszczać żagle i przekazał sygnał sunącemu za jego rufą Yeomanowi, aby utrzymywał z nim kontakt wzrokowy.

Słońce ukryte za wałem sztormowych chmur pozoczyło je krwawo i nagle na oba żaglowce lunęły strugi ulewy. Woda dudniła o deski pokładu tak głośno, że marynarze nie słyszeli siebie nawzajem, a przez wodną kurtynę nie było widać przeciwległej burty. Luki odpływowe nie nadażały z odprowadzaniem deszczówki, która sięgała sternikowi aż po kolana. Wszyscy brykali w tym oceanie słodkiej wody jak małe dzieci. Wystawiali do góry twarze z otwartymi szeroko ustami i pili ją, aż pęczniały im brzuchy, zrzucali z siebie ubrania i zmywając z ciała sól, ochlapywali się nawzajem ze śmiechem.

Hal nie próbował ich powstrzymywać. Sól wgryzła się wszystkim mocno w skórę, niektórzy mieli pod pachami i w kroczu ropiejące bąble, toteż splukanie z ciała żrących kryształków przynosiło im prawdziwą ulgę. Kazał natychmiast napełnić

119 puste beczki na wodę. Majtkowie zbierali deszczówkę do wiader i przed wieczorem wszystkie pojemniki wypełnione zostały po brzegi.

Deszcz padał przez całą noc i następny dzień. Kiedy wreszcie trzeciego dnia ponad wysokim wałem ci *nur i upstrzoną pianistymi grzywaczami wodną głuszą pokazało się słońce, Yeomana nie było w zasięgu wzroku. Hal po;łał Toma z Doria-nem na bocianie gniazdo, wiedział bowiem, że ich młode oczy są najbystrzejsze na całym statku. Siedzieli tam niemal do wieczora, lecz nie udało im się na niespokojnym horyzoncie dojrzeć choćby skrawka żagla.

- Nie zobaczymy go przed rzuceniem kotwicy na Przylądka Dobrej Nadziei - wyraził swą opinię Ned, a Hal w skrytości ducha przyznał mu rację.

Szansa na to, że dwa żaglowce spotkają się ponownie na smaganym wiatrami bezmiarze oceanu, była zaiste bliska zeru. Nie martwiło go to zbyt, gdyż przewidzieli z Andersenem również i tę okoliczność. Wyznaczyli sobie spotkanie w Zatoce Stołowej i od tej chwili każdy z żaglowców musiał po prostu dotrzeć tam na własną rękę.

Pięćdziesiątego dnia od wyjścia z Plymouth kapitan Serapha zarządził zmianę kursu i popłynęli teraz prawym halssem. Według jego wyliczeń znajdowali się niecałe tysiąc mil od wybrzeży Ameryki Południowej. Mając do dyspozycji kwadrant i tablice nawigacyjne, Hal mógł wyznaczyć szerokość geograficzną z dokładnością do dwudziestu mil. Natomiast określenie długości stanowiło nie tyle naukę ścisłą, ile znany tylko wtajemniczonym rytuał, oparty na studiowaniu tego, co wskazywały zatyczki na róży wiatrów, połączony z domysłami i ekstrapolacją dystansu przebytego przez statek według określonego kursu.

Hal wiedział doskonale, że mógł się w swoich wyliczeniach pomylić nawet o kilkaset mil. Jeśli chciał przybić do Przylądka Dobrej Nadziei, powinien teraz żeglować zgodnie z kierunkiem pasatów aż do trzydziestego drugiego stopnia szerokości południowej, a potem trzymać kurs wschodni, dopóki nie ujrzy charakterystycznego płaskowyzu, znaczącego południowy kraniec Afryki. Czekał ich zatem najpocowniejszy i najbardziej męczący etap podróży, z wiatrem wiejącym niemal od dziobu i koniecznością zmiany halsu co kilka godzin.

Żeby się ustrzec przed nieświadomym żeglowaniem na Ocean Indyjski, z pominięciem Przylądka Dobrej Nadziei, musiał

120

wyznaczyć kurs tak, by celować w dzikie afrykańskie wybrzeże kilka mil na północ od krańca kontynentu. Wiązało się to z niebezpieczeństwem dopłynięcia do ładu w ciemnościach nocy lub w gęstej mgle, tak często spowijającej tamte brzegi. Zdradzieckie wodf wokół Przylądka Dobrej Nadziei stały się już cmentarzem dla niejednego wspaniałego żaglowca. Mając to na uwadze, Hal wdzięczny był losowi, że w odpowiedniej chwili będzie mógł posłać na bocianie gniazdo swoich synów, dysponujących orlim wzrokiem.

Myśląc o Tomie i Dorianie, musiał przyznać w duchu, że cieszą go ich postępy w arabskim. Guy zrezygnował z lekcji, jako że w Bombaju ten język nie na wiele by mu się przydał, ale ci dwaj każdego popołudnia siadywali z Alfem Wilsonem na forkasztelu i trajkotali po arabsku niczym papugi. Kiedy spróbował ich

sprawdzić, okazało się, że konwersują z nim niemal jak równy z równym. Biegła znajomość arabskiego mogła sprawić, że będą bardzo przydatni na Fever Coast. To dobra strategia znać język wroga, pomyślał Hal.

Od Ushant nie widzieli innego statku poza Yeomanem, ocean jednak nie był wcale jałowym pustkowiem. Niezwykłe i cudowne widoki co rusz zaskakiwały i wprawiały w zachwyt Toma i Doriana, tkwiących godzinami ramię przy ramieniu w bocianim gnieździe wysoko nad pokładem.

Pewnego dnia wśród rozległej wodnej głuszy pojawił się pojedynczy albatros.

Okrażał statek z rozpostartymi szeroko skrzydłami, wzbijając się i opadając na powietrznych prądach. Sunął chwilami ślizgowym lotem tak nisko nad grzywami fal, że niemal się w nich zanurzał. Dotrzymywał statkowi towarzystwa przez wiele dni. Żaden z chłopców nie widział jeszcze nigdy tak ogromnego ptaka. Momentami sunął bardzo blisko ich beczkowatej grzędy pod szczytem masztu, nie machając nawet skrzydłami, lecz tylko delikatnie muskając powietrze czarnymi piórami na ich końcach. Ptak, którego rozpiętość skrzydeł przekraczała może nawet czterokrotnie długość ręki chłopców, zachwycał szczególnie Doriana.

- Mollymawk! - wołał na niego, używając marynarskiego przezwiska, oznaczającego "głupią mewę", a wywiedzionego od ufnej i przyjaznej natury albatrosa.

Chłopiec wyłudzał od kucharza resztki jedzenia i rzucał je krążącemu ptakowi. Albatros bardzo szybko go zaakceptował i okazywał mu zaufanie, przylatując na gwizd lub okrzyk.

121

Żeglował niemal na wyciągnięcie ręki, wisząc nieruchomo w powietrzu i chwytając łąkowie rzucane mu kaski.

Trzeciego dnia Dorian, trzymany za pasek przez Toma, wychylił się z bocianiego gniazda najdalej jak się dało, ściskając w wyciągniętej ręce kawałek solonej słoniny. Mollymawk przyjrzał mu się wzrokiem starego mędrca, przechylił się na nieruchomych skrzydłach i wyjął poczęstunek z dłoni chłopca delikatnym ruchem swego potężnego zakrzywionego dzioba, którym mógł łatwo urwać człowiekowi palec. Dorian zagwizdał triumfalnie i klasnął w dłonie, a siostry Beatty, śledzące z pokładu próby zwabienia ptaka, aż zapiszczały z zachwytu. Kiedy pod koniec wachty chłopcy zeszli na dół, Caroline ucałowała Doriana na oczach oficerów i marynarzy.

- Dziewczyny są miękkie - powiedział potem Tomowi, gdy byli sami na pokładzie działowym, bardzo realistycznie naśladując odruch wymiotowania.

Podczas kolejnych kilku dni Mollymawk coraz bardziej oswajał się i zaprzyjaźniał z chłopcem.

- Czy myślisz, że on mnie kocha, Tom? Czy mógłbym go sobie zatrzymać na zawsze?

- dopytywał się Dorian.

Ósmego dnia jednak, gdy wspięli się na bocianie gniazdo, ptak się nie pojawił. Choć Dorian przywoływał go gwizdaniem przez cały dzień, albatros zniknął na dobre i o zachodzie słońca chłopiec nie zdołał się już powstrzymać od płaczu.

- Ależ z ciebie jeszcze dzieciuch - powiedział Tom i trzymał brata w objęciach, dopóki nie przestał szlochać.

Nazajutrz po zniknięciu Mollymawka Tom zajął swoje stałe miejsce na ławce pod grodzią w kabinie pana Walsha. Kiedy trzy panienki, jak zwykle spóźnione, przybyły wreszcie na naukę, oparł się pokusie spoglądania w kierunku Caroline. Wciąż dusił w sobie gniew na myśl o tym, jak go potraktowała tej nocy w magazynie. Sarah Beatty, która darzyła Toma niezmiennym uwielbieniem i zasypywała drobnymi upominkami, tym razem na oczach wszystkich wręczyła mu zakładkę do książki w formie papierowej róży. Tom, czerwony ze wstydu, burknął coś w rodzaju podziękowania, a za plecami dziewczynki Dorian udatnie naśladował kołysanie dzidziusia w ramionach. Tom kopnął go pod stołem w goleń i wyciągnął spod blatu swoje książki i tabliczkę.

Gdy na nią spojrział, spostrzegł, że ktoś wymazał równanie

122

algebraiczne, z którym się zmagał poprzedniego dnia. Miał już oskarżyć o tę zbrodnię Doriana, gdy zauważył, że przestępca zastąpił jego kredowe zawijasy jedną krótką linijką ozdobnej kaligrafii: "Dziś w nocy o tej samej porze".

Aż go zamurowało. Charakter pisma nie pozostawiał wątpliwości co do autora.

Dorian i młodsze dziewczynki wciąż jeszcze bazgrali nierówno i po dziecinnie,

Guy zaś pisał pozbawionymi finezji wołami. Choć w dalszym ciągu nienawidził Caroline z głębi serca, Tom poznałby jej rękę zawsze i w każdych okolicznościach. Wtem zauważył, że Guy zapuszcza żurawia ponad stołem, usiłując przeczytać zdanie z jego tabliczki. Przechylił ją więc i zasłoniwszy przed wzrokiem brata, zamazał kredowe litery kciukiem.

Teraz już nie potrafił się powstrzymać przed spoglądaniem na Caroline. Pozornie wydawała się jak zawsze nie dostrzegać jego obecności, zagłębiona w lekturze zbioru wierszy, który pożyczył jej pan Walsh. Musiała jednak poczuć jego wzrok na sobie, bo koniuszek jej ucha, wystający wśród kręconych loków spod czepka, powoli pokrył się ciemniejszym odcieniem różu. To niezwykle zjawisko przykuło uwagę chłopca do tego stopnia, że zapomniał o swej nienawiści i wpatrywał się w dziewczynę jak urzeczony.

- Paniczu Thomasie, czy ukończyłeś zadanie, które ci wczoraj podyktowałem? - Walsh zaskoczył go i Tom spojrział na niego zawstydzony.

- Tak... to znaczy... nie; nie całkiem...

Przez resztę lekcji siedział jak na rozżarzonych węglach. W pewnej chwili postanowił odrzucić propozycję schadzki i nazajutrz roześmiać się Caroline prosto w twarz. W ramach ćwiczenia zaśmiał się pogardliwie na głos, zapominając, gdzie się znajduje, a wszyscy obecni przerwali pracę i spojrzeli nań zgodnie ze zdziwionymi minami.

- Czy może zechcesz podzielić się z nami jakimś klejnotem swej erudycji i dowcipu, Thomasie? - zapytał sarkastycznie pan Walsh.

- Nie, sir. Tylko o czymś sobie pomyślałem.

- Aha. Tak właśnie mi się zdawało, że słyszę zgrzytanie trybów w twojej głowie. Nie zakłócajmy jednak tego jakże rzadkiego zjawiska. Proszę sobie nie przerywać, sir.

Przez resztę dnia uczucia Toma do Caroline oscylowały między uwielbieniem i wściekłą nienawiścią. Później, znalazłszy

123

się wysoko w bocianim gnieździe, widział już tylko, że fale mają barwę fiołkowoniebieską, jak jej oczy. Dorian musiał mu zwrócić uwagę na błądy pióropusz na horyzoncie, gdzie wieloryb wyrzucił właśnie w górę strugę wody, lecz nawet wtedy Tom spojrział na to bez większego zainteresowania.

Kiedy w południe stanął obok ojca, żeby dokonać codziennych obserwacji za pomocą kwadrantu, przypomniał sobie miękka białą pierś przyciśniętą do swojej twarzy i popadł w głębokie zamyślenie.

Ojciec wyjął mu z rąk tabliczkę i odczytawszy rezultat obliczeń, zwrócił się do Neda:

- Gratulacje, panie Tyler. Ubiegłej nocy musiałeś zawrócić statek z powrotem na półkulę północną. Trzeba posłać kogoś na top, bo lada chwila będziemy przybijać do brzegów Ameryki.

Podczas obiadu Tom nie miał zupełnie apetytu, toteż oddał swój kawałek solonej wołowiny Dorianowi, którego zapał do jedzenia stał się już legendarny. Chłopiec porwał mięso skwapliwie i skonsumował je tak szybko, że Tom nie zdążył się nawet rozmyślić. Kiedy wreszcie przyciemniono przed nocą latarnie na pokładzie działałowym, leżał, nie zmrużywszy oka, w swym kącie za lawetą i w nieskończoność przebiegał myślą poczynione przez siebie przygotowania.

Klucz od magazynu i hubka z krzesiwem wciąż były tam, gdzie je schował, w szparze nad drzwiami. Przedtem wyczekiwał okazji podrzucenia klucza do biurka ojca, lecz żadna się nie nadarzyła. Teraz był za to głęboko wdzięczny losowi. Zdecydował już, że kocha Caroline ponad wszystko na świecie i nie zawahałby się oddać za nią życia.

O siódmym dzwonie pierwszej wachty zsunął się z legowiska i sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. W przyćmionym świetle latarni zobaczył potężne ciało Abolego i skulone przy nim dwa mniejsze ciemne kształty śpiących braci. Przekraczając rozrzucone bezładnie ciała chrapiących marynarzy, dotarł bez przeszkód do zejściówki.

W kabinie kapitańskiej znowu paliło się światło i Tom zastanawiał się, co każe ojcu nie spać aż tak długo. Przemknął się dalej i jak zwykle nie mógł się powstrzymać od nasłuchiwania pod drzwiami dziewczynek. Wydawało mu się, że

słyszysz za przepierzeniem ich oddechy, a w pewnej chwili któraś z młodszych sióstr wymamrotała coś przez sen. Dotarliście wreszcie do

124

drzwi magazynu, wyjął z kryjówki klucz i wszedł do środka po lampę, a zaświeciwszy ją, umieścił z powrotem pod sufitem.

Był tak podminowany, że podskakiwał przy każdym nietypowym odgłosie płynącego statku, szurgocie szczura w zęzach czy stuknięciu o takielunek luźnego końca liny. Skulony pod drzwiami magazynu, obserwował zejściówkę. Tym razem nie przysnął, spostrzegł więc bosc stopy Caroline, gdy tylko z wahaniem postawiła je na szczeblach. Zagwizdał cichutko, żeby jej dodać otuchy.

Zatrzymała się i spojrzała na niego, a potem szybko zeszła na dół. Pośpieszył jej na spotkanie, a dziewczyna padła mu w ramiona i przytuliła się mocno.

- Chcę ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro, że cię uderzyłam - szepnęła. - Nienawidziłam się za to przez cały ten czas.

Tom nie mógł wydobyć z siebie słowa. Caroline uniosła twarz ku jego twarzy. W przyćmionym świetle korytarza widział jedynie bladą plamę, lecz pochylił się, żeby ją pocałować. W tej samej chwili przysunęła się bliżej i pierwszym pocałunkiem trafił w jej brew, a drugim w czubek nosa. Przy trzecim ich usta się spotkały.

Dziewczyna odsunęła się pierwsza.

- Nie tutaj - szepnęła. - Ktoś może przyjść.

Wziął ją za rękę i poprowadził do magazynu, a ona poszła za nim z ochotą. Bez namysłu położyła się na łożu z woreczków z prochem i pociągnęła go ku sobie. Usta miała już otwarte do pocałunku i poczuł między wargami koniuszek jej języka, trzepoczący jak skrzydła ćmy przy płomieniu świecy. Wessał go do środka. Nie przerywając pocałunku, pociągnęła za wiązanie jego koszuli, a potem wsunęła w rozcięcie chłodną małą dłoń i zaczęła pieścić jego pierś.

- Jesteś owłosiony - zdziwiła się. - Chcę zobaczyć. - Podciągnęła koszulę do góry. - Jakie miękkie; jak jedwab.

Przytuliła do jego piersi twarz. Jej oddech grzał go i łaskotał, podniecając w sposób, jakiego dotąd nie doświadczył. Ogarnęło go poczucie, że musi się pośpieszyć, jak gdyby dziewczyna w każdej chwili mogła mu zniknąć sprzed oczu. Chciał rozwiązać jej koszulę, palce miał jednak tak niezdarne, że nie mógł trafić na koniec wstążki.

- Zostaw - odepchnęła jego dłoń. - Ja sama.

125

Uświadomił sobie, że zachowuje się inaczej niż podczas poprzedniego spotkania w magazynie; była zdecydowana i pewna siebie. Zachowywała się bardziej jak Mary i inne dziewczęta, z którymi miał do czynienia w High Weald. Nabrał przekonania, że intuicja go nie myliła: Caroline robiła to już wcześniej i znała się na rzeczy nie gorzej, a może i lepiej od niego. Ta świadomość dodała mu bodźca do działania. Nie było już powodu, żeby się dłużej hamować.

Ona tymczasem uklękła i jednym ruchem ściągnęła koszulę przez głowę. Była teraz naga, jak ją Pan Bóg stworzył, Tom jednak widział tylko jej piersi. Duże, krągłe i białe, połyskiwały niczym dwie wielkie perły, wisząc nad jego twarzą w półmroku. Sięgnął ku nim i jego dłonie wypełniły się ich miękką obfitością.

- Nie tak mocno. Nie bądź taki gwałtowny - napomniała go. Przez chwilę pozwalała mu robić to, co chciał, a potem szepnęła: - Dotknij mnie! Dotknij mnie tam, tak jak przedtem.

Uczył zadość jej prośbie, a Caroline zamknęła oczy i leżała nieruchomo. Tom, zsunawszy bryczesy do kolan, wsuwał się na nią powoli, żeby jej nie spłoszyć. Nagle zaczęła się podnosić, próbując usiąść.

- Czemu przestałeś? - zapytała, kierując wzrok ku swoim biodrom. - Co robisz? Nie, nie rób tego! - Próbowała wywinąć się spod niego, lecz było już za późno. Tom był cięższy i silniejszy od niej, nie była w stanie go zrzucić.

- Nie skrzywdzę cię - obiecał.

Napierała jeszcze bezskutecznie na jego barki, lecz w końcu się poddała. Przestała walczyć i rozluźniła się, reagując na jego namiętne pieszczoty. Całe napięcie ustąpiło, dziewczyna przymknęła oczy i zaczęła wydawać głębokie gardłowe pomruki zadowolenia.

Nagle jej ciało znowu zadrżało konwulsyjnie i cicho krzyknęła.

- Co robisz? Proszę, nie! Och, Tom, co ty mi robisz?

Podjęła walkę na nowo, on jednak trzymał ją mocno przy sobie i po chwili leżała już spokojnie w jego ramionach. A potem oboje zaczęli poruszać się w jednym rytmie, tak odwiecznym jak sama ludzkość.

Gdy dużo później leżeli nieruchomo obok siebie, na ich ciałach obsychał chłodny pot, a oddechy uspokajały się stopniowo, aż w końcu znowu mogli mówić.

- Już późno. Agnes i Sarah niedługo się obudzą. Muszę iść - szepnęła Caroline, sięgając po koszulę.

126

- Przyjdiesz znowu? - zapytał.

- Być może. - Włożyła koszulę przez głowę i zawiązała wstążkę pod szyją.

- Jutrzejszej nocy? - nalegał Tom.

- Być może - powtórzyła i zsunawszy się z posłania, podeszła do drzwi.

Nasłuchiwała chwilę i wyjrzała przez szparę, a potem uchyliła drzwi na tyle, żeby móc się prześliznąć, i zniknęła w ciemności.

Seraph opuszczał powoli sterfę podzwrotnikową i przemieszczał się ku południowi. Za dnia zrobiło się chłodniej i po duszącym upale tropików mogli się rozkoszować słodkim i rześkim wiatrem z południowego wschodu. W tym umiarkowanym klimacie morze aż kipiało życiem, zielone od skupisk kryla i planktonu. Z topu można było dostrzec ciemne ławice tuńczyków; niekończący się strumień wielkich ryb, z łatwością wyprzedzających statek w swej tajemniczej peregrynacji przez ocean. Wreszcie pewnego dnia namiar na słońce wykazał, że dotarli już dostatecznie daleko na południe. Na trzydziestym drugim stopniu szerokości południowej Hal kazał więc wykonać zwrot, rozpoczynający ostatni etap podróży żaglowca, ku Przylądkowi Dobrej Nadziei.

Świadomość, że jest to już końcowy odcinek drogi, i myśl o tym, że wkrótce przybija do brzegu, przyniosła mu ulgę. Zaledwie dzień wcześniej doktor Reynolds poinformował go o pierwszych przypadkach szkorbutu wśród załogi. To tajemnicze schorzenie było przekleństwem każdego kapitana udającego się w długą morską podróż. Po sześciu tygodniach na statku pojawiał się wywołujący chorobę gnilny wyziew, który mógł powalić załogę bez wyraźnej przyczyny i zniecka.

Tych dwóch chorych to dopiero początek, pomyślał Hal. Marynarze pokazali lekarzowi opuchnięte, krwawiące dziąsła i ciemne wybroczyny na brzuchach. Nie wiadomo, co powodowało tę zarazę, nie znano też przyczyny, dzięki której ustępowała ona w cudowny sposób, a jej ofiary dochodziły do zdrowia, gdy tylko statek dopływał do portu.

- Oby to było niedługo, Panie Boże! - pomodlił się Hal, spoglądając na pusty wschodni horyzont.

Teraz, w bliskości lądu, przyłączyły się do nich stadka

127

delfinów. Sunęły na fali dziobowej i nurkowały w tę i z powrotem pod kilem, wynurzając po drugiej stronie swe lśniące czarne grzbiety. Bijąc płaskimi ogonami, wyskakiwały wysoko ponad powierzchnię i z przyklepionym do pysków uśmiechem przyglądały się bystrym okiem marynarzom na rejach.

Te wody oceanu okazały się światem wielkich waleni. Bywały dni, że z bocianiego gniazda widzieli wszędzie jak okiem sięgnąć białe fontanny wody. Wielkie jak góra morskie ssaki, dłuższe czasami niż kadłub Serapha, pławiły się i baraszkowały na powierzchni, a niektóre przepływały tak blisko statku, że chłopcy widzieli wyraźnie skorupiaki i wodorosty oblepiające ich cielska, zupełnie jakby to były skaliste rafy, a nie żywe stworzenia.

- Każdy taki ma w sobie ze dwadzieścia ton oleju - wyjaśnił Tomowi Duży Daniel, kiedy oparciu o bukszpryt obserwowali jednego z olbrzymów, jak się wynurza o kabel przed statkiem, wznosząc do góry potężny rozdwojony ogon.

- Ten ogon ma chyba większą rozpiętość od naszego beza-na - nie mógł wyjść z podziwu Tom.

- Powiadają, że to największe zwierzęta wśród wszelkiego stworzenia - pokiwał głową Duży Daniel. - Przy dziesięciu funtach za tonę takiego oleju moglibyśmy więcej zarobić, polując na wieloryby niż na piratów.

- Ale jak można w ogóle zabić takiego olbrzymia? - zastanawiał się Tom. - To tak, jakby człowiek chciał zabić góre.

- To niebezpieczna robota, ale są tacy, co to potrafią. Najlepszych wielorybników mają Holendrzy.

- Chciałbym kiedyś spróbować - powiedział Tom. - Chciałbym zostać wielkim myśliwym.

- Tam, dokąd płyniemy, będziesz mógł polować do woli, chłopie - odparł Duży Daniel, wyciągając rękę ku stendze bukszprytu, unoszącej się i opadającej w poprzek horyzontu. - To ziemia, na której aż się roi od dzikich zwierząt. Niektóre słonie mają kły dłuższe niż ty cały. Może twoje życzenie się spełni. Podniecenie Toma rosło z każdym kolejnym dniem. Po południowych namiarach siedł z ojcem do kapitańskiej kajuty, by się przyglądać, jak Hal nanosi pozycję statku na mapę. Linia znacząca drogę Serapha przybliżała się coraz bardziej do granic wielkiego kontynentu o kształcie przypominającym końską głowę.

128

Każdy dzień przynosił Tomowi tyle ekscytujących wydarzeń i gorączkowej krzątaniny, że z nadejściem nocy powinien padać ze zmęczenia. Najczęściej zresztą udawało mu się przespać kilka godzin do północy, lecz pod koniec pierwszej wachty zawsze się budził ożywiony pragnieniem i opuszczał legowisko. Nie musiał już błagać i przypochlebiać się; Caroline co noc pojawiała się w magazynie z własnej woli. Odkrył, że zmieniła się w istną tygrysykę. Porzuciwszy wahanie i wstyd, dorównywała mu w gwałtowności swej pasji, dając upust namiętności zarówno głosem, jak i szalonymi wybrykami. Często miał na własnym ciele dowody ich schadzek - podrapane długimi paznokciami plecy i pogryzione wargi.

Stopniowo stał się jednak nieostrożny w swym niecierpliwym dążeniu do spotkania się z nią codziennie i kilka razy był bliski wpadki. Pewnej nocy, kiedy przechodził obok kabiny państwa Beatty, drzwi otworzyły się nagle i wyszła z nich matka Caroline. Tom ledwie zdążył nasunąć na oczy czapkę i mijając panią Beatty ościężałym krokiem, mruknąć chrapliwie:

- Siedem dzwonów na pierwszą wachtę; wszystko w porządku. - Na szczęście korytarz pogrążony był w półmroku, a on dorównywał już wzrostem wielu marynarzom.

- Dziękuję, dobry człowieku. - Kobieta, spłoszona faktem, że zobaczono ją w samej koszuli, wycofała się czym prędzej do kabiny, jakby to ona w czymś zawiniła.

Wielokrotnie miał wrażenie, że ktoś go śledzi, gdy opuszcza pokład działowy. Raz był prawie pewien, że usłyszał kroki na zejściówce za sobą, lecz kiedy wrócił, nikogo tam nie było. Innym razem, gdy opuszczał dolny pokład, dobiegł go tupot marynarskich butów po schodkach z nadbudówki. Ledwie zdążył się przyczaić w jakimś kącie, kiedy pod drzwiami kabiny ojca pojawił się Ned Tyler. Mat zapukał i z wnętrza rozległ się głos Hala.

- O co chodzi?

- Tu Ned Tyler, kapitanie. Wiatr się wzmaga. Może nam połamać maszty, jeżeli nie zwolnimy. Proszę o pozwolenie zwinięcia sztaksli i zrefowania grota.

- Zaraz tam przyjdę, Ned - odpowiedział Hal.

W chwilę później wypadł z kabiny, wciągając po drodze marynarską kurtkę.

Wbiegając na trap, minął o kilka stóp kryjówkę Toma.

Chłopak dotarł do swego posłania akurat w chwili, gdy

129

rozległ się bosmański gwizdek i Duży Daniel donośnym głosem zawołał:

- Załoga do zwijania żagli!

Musiał udawać, że przeciera zaspiane oczy, po czym włączył się w strumień zbudzonych w środku nocy marynarzy.

Bliskość niebezpieczeństwa nie niepokoiła Toma, nie przejmowała lękiem.

Przeciwnie, dodawała nocnym wyprawom pieprzyka. Jego krok stał się zawadiacki jak u młodego koguta, a Aboli, widząc to, kręcił głową z uśmiechem:

- Patrzcie, jakiego mamy zucha!

Któregoś ranka, gdy ustawiono Serapha tak, by siedł lewym halsiem i jego poruszenia złagodniały, unosił się bowiem i opadał na długich atlantyckich falach, Tom był wśród majtków schodzących z masztów po przestawieniu żagli.

Nagle, bez żadnej innej przyczyny poza junacką zuchowatością, wyprostował się na rei na całą swoją wysokość i odtańczył "Skoczne dudy".

Obserwując jego samobójcze hołubce, wszyscy obecni na pokładzie zamarli z przerażenia. Tom zaś, czterdzieści stóp nad pokładem, wykonał dwie pełne figury, a trzecią częściowo, na bosaka, z jedną ręką na biodrze, a drugą uniesioną nad głowę. Następnie skoczył na wanty i zjechał po linie na sam dół. Starczyło mu wprawdzie rozwagi, by się upewnić, że ojca nie ma akurat na pokładzie, ale przed upływem dnia Hal i tak się dowiedział o jego wyczynie i wezwał go do siebie.

- Wytłumacz mi, dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego i nieodpowiedzialnego? - zapytał surowo.

- Dlatego, że John Tudwell dał mi do zrozumienia, iż się nie odważę - odpowiedział Tom, jak gdyby to wyjaśniało wszystko.

I może rzeczywiście tak było, pomyślał Hal, przyglądając się twarzy syna. Ku swemu zaskoczeniu uzmysłowił sobie, że stoi przed nim mężczyzna, nie chłopiec. Podczas zaledwie kilku miesięcy rejsu Tom zmeźniał i dojrzał, zmieniając się nie do poznania. Mięśnie stwardniały mu od pracy, barki nabrały masywności od ciągłego wysiłku przy wspinaniu się po wantach i stawianiu żagli przy ostrym wietrze, a ręce wzmocniły się w codziennych ćwiczeniach szermierczych z Abolim. Podczas przechyłów statku na wielkich atlantyckich falach balansował ze zwinnością kota.

Było w nim jednak coś jeszcze, coś, czego Hal nie był w stanie w pełni ogarnąć myślą. Od dawna wiedział, że Tom dojrzewa

130

najszybciej ze wszystkich jego synów, i choć próbował powściągać jego najdziksze wybryki, nie chciał w nim pętać ducha awanturniczej śmiałości. W skrytości podziwiał odwagę syna i dumny był z jego zdecydowania w działaniu. Teraz jednak uświadomił sobie, że wydarzyło się coś, co uszło jego uwagi. Miał przed sobą dorosłego, patrzącego mu śmiało w twarz mężczyznę.

- No cóż - rzekł w końcu - udowodniłeś już Johnowi Tudwellowi, że się mylił, prawda, synu? Nie ma więc chyba potrzeby, byś dalej tańczył na rejach.

- Nie ma, ojcze - zgodził się skwapliwie Tom. - Chyba że znowu ktoś mi zarzuci, że nie mam do tego ikry.

Jego szeroki uśmiech był tak zaraźliwy, że Hal poczuł, jak kąciki ust same podchodzą mu do góry.

- Wynoś mi się stąd! - Pchnął syna ku drzwiom kajuty. - Nie ma sensu dyskutować z dzikusiem.

Guy siedział na swoim stałym miejscu w kabinie pana Walsh, obok Caroline. Twarz miał poblada i przez cały poranek niewiele się odzywał, odpowiadając na pytania nauczyciela jedynie monosylabami. Wzrok wlepił w książkę, nie patrząc na Tonię i Caroline, nawet gdy odpowiadali wszyscy z lekcji zadanych przez Walsh.

Caroline zauważyła w końcu zmianę w jego zachowaniu.

- Czy jesteś niedysponowany, Guy? - zapytała szeptem. - Masz znów chorobę morską?

- Czuję się doskonale - odparł chłopiec, nie mogąc się przełamać, by spojrzeć jej w oczy. - Nie musisz się mną przejmować - dorzucił, zniżając głos. - Już nigdy!

Od chwili gdy kilka tygodni wcześniej podpisał umowę z Beatty, zapewniając sobie pracę w bombajskiej faktorii, Guy żył w świecie własnej imaginacji. Przekonany był, że przy swoich rodzinnych powiązaniach i pod opieką ojca Caroline szybko awansuje w służbie dla Kompanii Wschodnioindyjskiej. Państwo Beatty będą go traktowali jak członka rodziny, a Caroline będzie stale u jego boku. Wyobrażał sobie, jak spędza w jej towarzystwie całe dni w tropikalnym raj. Jak jeżdżą konno wśród palmowych gajów. Jak wieczorami oddają się muzykowaniu, wspólnemu czytaniu poezji i urządzaniu pikników w rodzinnym gronie. Jak spacerują po białych plażach, trzy-

131

mając się za ręce, i wymieniają czyste, niewinne pocałunki. Za kilka lat, jako dwudziestolatek i wysoki urzędnik Kompanii, będzie gotowy do ożenku. Lecz teraz te wszystkie marzenia legły w gruzach.

Kiedy próbował myśleć o nikczemnych postępках, które odkrył, jego umysł cofał się przed tym niczym spłoszony koń. Trzęsły mu się dłonie, a w głowie szumiała krew. Nie mógł już wytrzymać ani chwili dłużej w ciasnej kabinie z dwojgiem

ludzi, do których czuł nienawiść tak silną, iż samego go to zdumiewało. Wstał raptownie od stołu.

- Panie Walsh, proszę o wybaczenie. Nie czuję się dobrze. Muszę wyjść na pokład. Może świeże powietrze...

Nie czekając na pozwolenie, dobrnął do drzwi i pomknął zejściówką na górę. Pobiegnął na dziób i uchwyciwszy się fału, wystawił twarz do wiatru. Cierpiał bezgranicznie, a resztę swego życia wyobrażał sobie jako niekończącą się martwą pustynię.

- Chcę umrzeć! - zawołał głośno i spojrzał za burtę. Woda miała piękny zielony odcień. Tam w dole będzie tak spokojnie, pomyślał. Przekroczył reling i balansował na zewnątrz, uczeplony jedną ręką wantów. - To takie łatwe - powiedział do siebie. - Raz, dwa i po wszystkim. - Zaczął wychylać się coraz bardziej ponad spienioną falą dziobową.

Nagle ktoś złapał jego wolną rękę w potężnym uścisku i chłopiec prawie stracił równowagę.

- Niczego tam nie zgubiłeś, Mbili - usłyszał basowe dudnienie Abolego. - I pływak z ciebie kiepski.

- Zostaw mnie! - zawołał Guy z goryczą w głosie. - Dlaczego się zawsze wtrącasz, Aboli? Ja tylko chcę umrzeć.

- Kiedyś to twoje życzenie się spełni; to jedno jest pewne w tym życiu - zapewnił go Murzyn. - Ale nie dziś, Mbili. - Imię, które nadał Guyowi, znaczyło w języku dżungli "Ten Drugi". Pociągnął chłopca łagodnie za rękę.

Guy na próżno usiłował się opierać olbrzymiej sile.

- Zostaw mnie, Aboli, proszę.

- Ludzie na ciebie patrzą - rzekł cicho Murzyn. Guy się rozejrzał i spostrzegł, że niektórzy z marynarzy przerwali pracę i przyglądają się z ciekawością ich pantomimie. - Skończ z tymi głupstwami, bo przynosisz wstyd ojcu i mnie także - dodał Aboli.

Guy skapitulował i zeskoczył niezgrabnie na pokład. Aboli puścił jego nadgarstek.

132

- Porozmawiajmy - zaproponował.

- Nie chcę rozmawiać. Ani z tobą, ani z nikim innym.

- No to pomilczymy sobie razem - odrzekł Aboli i poprowadził go do zawietrznej burty.

Usiedli w kącie, schowani przed wiatrem i wzrokiem marynarzy z wachty. Obecność Abolego, cichego i spokojnego jak góra, dodawała chłopcu otuchy. Murzyn nie patrzył na Guya ani go nie dotykał, po prostu był. Upływała tak minuta za minutą, aż wreszcie Guy nie wytrzymał.

- Ja ją tak bardzo kocham, Aboli! - wykrzyknął z rozpaczą. - Aż mi coś w brzuchu trzepocze!

No tak! - pomyślał ze smutkiem Murzyn. Wreszcie dowiedział się całej prawdy.

Klebe nie zadbał o zacieranie śladów. Goni za tą dzierlatką jak młody ogier za żrebicą, przewracając płoty. Aż dziw, że Mbili nie zorientował się wcześniej.

- Wiem, Mbili - odrzekł. - Ja też kiedyś kochałem.

- I co ja mam teraz zrobić? - zapytał bezradnie Guy.

- Choćby to nie wiem jak bolało, nie zabije cię, a pewnego dnia, szybciej niżbyś się spodziewał, zapomnisz o całym cierpieniu.

- Nigdy nie zapomnę - odparł z głębokim przekonaniem Guy. - I nigdy nie przestanę jej kochać.

Hal Courtney usłyszał okrętowy dzwon, wybijający początek środkowej wachty.

- Północ - mruknął do siebie.

Podparł plecy zaciśniętymi pięściami i przeciągnął się. Siedział przy biurku już od wielu godzin; bolał go kark i piekły oczy. Wstał i przyciąwszy knot lampy oświetlającej leżące przed nim papiery, opadł z powrotem na ciężkie dębowe krzesło i wrócił do pracy.

Miał przed sobą plany konstrukcyjne Serapha. Przez chwilę studiował rozkład pokładu działowego, po czym odłożył plan na bok i przyjrzał się 7 kolei widokowi burty od zewnątrz.

- Będziemy musieli ukryć furty działowe, żeby wyglądać jak nieuzbrojony statek handlowy - mruknął. - Czyli trzeba będzie pozdejnować pokrywy na dolnym

pokładzie. - Nagle przerwał te rozważania, usłyszawszy delikatne skrobanie do drzwi kajuty. - Kto tam? - zawołał, zmarszczywszy brwi.

Pogoda była sprzyjająca, wiatr łagodny i stały. Nie spodzie-

133

wał się, że coś mu zakłóci spokój. Nikt nie odpowiedział na jego pytanie i po chwili zbył je burknięciem. Pewnie szczur albo coś mi się zdawało, pomyślał i wrócił do swoich rysunków.

Skrobanie jednak się powtórzyło. Tym razem odsunął z irytacją krzesło i podszedł do drzwi, pochylając się pod niskimi belkami sufitu. Wyjrząwszy na zewnątrz, zobaczył jakąś postać stojącą w nieśmiałej pozie i dopiero po chwili rozpoznał w niej swego syna.

- Guy? - Pochylił się i przyjrzał chłopcu z bliska. - Co tutaj robisz o tej porze? Wejdziesz, chłopcze.

Guy przestąpił próg kabiny i zamknął za sobą drzwi. Ściągnął z głowy czapkę. Twarz miał bladą, był wyraźnie podenerwowany.

- Ojciec, muszę ci coś powiedzieć - wybałał, mnąc czapkę w dłoniach.

- Co takiego, synu? Mów, nie bój się - zachęcił go Hal.

- Ktoś jest w magazynie prochu - wyrzucił z siebie Guy. - Drzwi są uchylone i widać światło.

- Co takiego? - W głosie Hala pobrzmiwał niepokój. - W magazynie? Światło? - Przez głowę przemykały mu różne straszne domysły.

- Tak jest, sir.

Hal obrócił się na pięcie i przyskoczył do biurka. Szarpnięciem otworzył górną szufladę i wyjął drewnianą kasetkę z pistoletami. Wyciągnął z niej dwulufowy pistolet skałkowy, sprawdził szybko panewkę i zamek i wetknął broń za pas. Drugi pistolet wziął do ręki.

- Zaraz się przekonamy - burknął z ponurą miną, zdejmując z haka lampę. - Chodź ze mną, Guy, tylko bez hałasu. Musimy zaskoczyć drani, kimkolwiek są. - Uchylił drzwi i wysunęli się na korytarz. - Zamknij je po cichu - polecił i podszedł do szczytu zejściówki. Spojrzał w ciemności dolnego pokładu, lecz nie zobaczył najmniejszego blasku. Odwrócił się do syna. - Jesteś pewien? - zapytał.

- Tak, ojciec.

Hal zaczął lekko schodzić po trapie, zatrzymując się i nasłuchując na każdym schodku. Znalazłszy się na dole, znów przystanął. Dopiero wtedy dojrzał słaby poblask światła wokół drzwi magazynu.

- Rzeczywiście! - szepnął, odwodząc oba kurki trzymanego w dłoni pistoletu. - Zobaczymy teraz, co tam się wyprawia.

134

Ruszył przed siebie, chowając lampę za plecami, by zakryć płomień. Guy szedł za nim krok w krok.

Znalazłszy się pod drzwiami, Hal przyłożył ucho do grubych dębowych desek. Powoli wśród innych odgłosów statku zaczął ze zdziwieniem odróżniać zagadkowe dźwięki: ciche okrzyki i jęki, szelesty i głuchoe odgłosy, których źródła nie potrafił się domyślić.

Spróbował nacisnąć klamkę. Ustąpiła bez oporu. Naparł ramieniem i drzwi, chrobocząc cicho o framugę, otworzyły się. Stał w progu pomieszczenia, unosząc lampę wysoko ponad głowę. Przez chwilę nie był zdolny do jakiegokolwiek ruchu. Scena, którą przed sobą ujrzał, tak dalece odbiegała od jego oczekiwań, że nie do końca zrozumiał, co widzi.

Pomieszczenie oprócz jego lampy oświetlała latarnia wisząca nad stelażami z prochem. U swoich stóp zobaczył porozrzucane części przyodziewku, a na jedwabnych woreczkach z prochem leżące ludzkie postacie. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że są nagie. Z niedowierzaniem patrzył na błyszczącą w świetle lamp biel ich skóry. Na ciemne kobiece loki, splecione kończyny, otwarte czerwone usta, drobne stopy wierzgające spazmatycznie ku sufitowi, smukłe ręce, wczepione we włosy mężczyzny, którego głowa kryła się między udami kobiety, tłukącej w uniesieniu pośladkami i plecami o materac z woreczków.

Oboje byli zupełnie nieświadomi czegokolwiek poza sobą. Nie zaalarmowało ich nawet światło padające z lampy Hala. Dziewczyna miała zaciśnięte powieki i twarz tak wykrzywioną w grymasie rozkoszy, że jej nie rozpoznał.

Stał tam jak wmurowany i ocknął się dopiero, kiedy Guy spróbował przepchnąć się obok niego. Zablokował mu wejście i całym ciałem zasłonił scenę w magazynie.

- Do tyłu, Guy! - rzucił ostro.

Jego głos przedarł się przez zasłonę namiętności, spowijająca leżąca parę.

Kobieta otworzyła oczy i utkwiała w Halu przerażone, niedowierzające spojrzenie, a jej powieki rozchyłały się z wolna niczym płatki rozkwitającego fiołka. Usta dziewczyny wykrzywił niemy krzyk rozpacz. Przekręciła się na bok i w świetle lampy mignęły jej białe, krągłe piersi. Szarpała oburącz ciemne włosy na wciśniętej między swoje uda głowie, lecz nie mogła jej poruszyć.

- Tom! - zawołał wreszcie Hal, odzyskując głos. Mięśnie barczystych pleców chłopaka skurczyły się konwul-

135

syjnie pod wpływem szoku, jakby w nie wbito sztylet. Tom podniósł głowę i spojrzał na ojca. Na chwilę, która zdawała się wiecznością, zamarli wszyscy w bezruchu.

Twarz Toma nabiegła krwią... jak po długim biegu lub zapaśniczym pojedynku. Patrzył na Hala niepewnie, zamroczony niczym pijak.

- Na Boga, dziewucho, zakryj się - warknął Hal. Z niemałym wysiłkiem zdołał oderwać wzrok od jej nagiego ciała i poczuł przypływ zawstydy.

Po tych słowach Caroline odepchnęła od siebie Toma obiema nogami i zsunawszy się z materaca, chwyciła nocną koszulę, przyciskając ją do piersi i usiłując zakryć swoją nagość. Klęczała u stóp Hala niczym dzikie zwierzątko, pochwycone w sidła. Ten odwrócił się do niej plecami i ujrzał, że Guy zapuszcza żurawia ponad jego ramieniem, próbując dojrzeć, co się dzieje w magazynie. Wypchnął go szybko na korytarz.

- Wracaj do łóżka! - warknął. - To nie twoja sprawa. - Słyszac jad w jego głosie, Guy odskoczył do tyłu. - I nie mów nikomu, co tu widziałeś. Jeżeli piśniesz choć słowo, obedrę cię ze skóry.

Guy wycofał się powoli i z ociąganiem w stronę trapu, a Hal wrócił do magazynu. Caroline zdążyła już włożyć koszulę, zakrywając ją teraz aż do kostek, i stała przed nim ze zwieszoną głową. Opadające gęste loki zasłaniały jej twarz.

Wyglądała jak mała, niewinna dziewczynka... którą, czart mi świadkiem, w żadnym razie nie jest - pomyślał posepnie Hal i spojrzał na syna. Tom podskakiwał na jednej nodze, usiłując trafić drugą w nogawkę bryczesów. Z jego twarzy zniknął zupełnie właściwy mu wyraz junackiej zadziorności. Podciągnął spodnie i zapiawszy pasek, stał w upokorzeniu obok dziewczyny. Żadne nie miało śmiałości spojrzeć Halowi w oczy.

- Panienko Caroline, proszę natychmiast udać się do swojej kajuty! - rozkazał ostrym tonem.

- Tak, kapitanie - wyszeptała pokornie.

- Mogę tylko dodać, że jestem zniesmaczony tym, co zobaczyłem. Nie spodziewałbym się takiego postępu po damie o twojej pozycji. - Mówiac te słowa, czuł się jednak trochę śmieszny. Jakby to tylko ludziom niskiego stanu wypadało dosiadać bestii o dwóch grzbietach, ofuknął się w duchu,

136

szukając w myśli jakiejś mniej idiotycznej przygany. - Co powie ojciec panienki, kiedy się o tym dowie? - rzekł w końcu.

Dziewczyna spojrzała nań z przerażeniem tak wielkim, że przyćmiło zupełnie jej urodę.

- Niech pan mu nic nie mówi! - zakrzyknęła, przypadając niespodzianie do jego nóg i podejmując pod kolana. - Błagam, niech pan mu nie mówi, kapitanie! Zrobię wszystko, co pan każe, tylko proszę mnie nie wydać!

- Wstańże, dziewczyno - rzekł Hal speszony i pomógł jej się podnieść. Czuł, że gniew już zeń opada i odczuwanie oburzenia przychodzi mu z pewnym wysiłkiem. - Proszę iść do kabiny i czekać, aż po panienkę przyślę.

- Nie powie pan nic ojcu? - zapytała Caroline błagalnym tonem. Po twarzy płynęły jej łzy.

- Niczego nie mogę obiecać - odparł Hal. - Z pewnością kazałby cię wychłostać, lecz w pełni zasłużyłaś na to.

Wyprowadził ją za drzwi i pchnął w stronę trapu. Po chwili usłyszał, jak cicho otwierają się i zamykają drzwi kabiny.

Hal wrócił do Toma i usiłował spiorunować go wzrokiem, czuł jednak, że płomień oburzenia gaśnie w nim z każdą upływającą chwilą. Trudno mu było nie przypomnieć sobie innego chłopaka i innej dziewczyny, w ciemnej kabinie, wśród tych samych południowych mór. Miał wtedy tyle lat, co Tom, a kobieta z Holandii, która przeprowadziła go przez próg męskości, była o pięć lat starsza. Ze swymi złotymi włosami i niewinną twarzą przypominała anioła, ale o ciele rozpustnicy i charakterze córki szatana. Zamrugał, otrząsając się ze wspomnień sprzed dwudziestu pięciu lat, i stwierdził, że Tom wciąż stoi przed nim ze skruszona miną.

- Panna Beatty jest gościem na tym statku, a tym samym znajduje się pod moja, jako kapitana, opieką - zaczął. - Okryłeś więc wstydem i siebie, i mnie.

- Bardzo mi przykro, ojcze.

- Nie wydaje mi się. - Hal przyjrzał się jego twarzy i spostrzegł, jak chłopak walczy, by ukryć prawdę.

- Chciałem powiedzieć: przykro mi, że przyniosłem wstyd tobie - poprawił się Tom. - Skoro jednak wiemy o tym tylko my, nie ma powodu, by ten wstyd stał się sprawą publiczną, sir.

Halowi aż dech zaparło na tak bezczelne odezwanie się syna, po chwili jednak musiał przyznać rację jego błyskotliwej logice.

137

- Jesteś barbarzyńcą, sir - powiedział, myśląc równocześnie: tak jak ja sam i każdy młody byczek w jego wieku.

- Będę się starał poprawić - obiecał Tom.

Hal przyglądał mu się bacznie. Sam nigdy by się nie odważył odezwać w ten sposób do własnego ojca. Sir Francis budził w nim wręcz przerażenie. Ten chłopak natomiast nie bał się go w ogóle - szanował go i być może podziwiał, na pewno go kochał, lecz gdy tak stali twarzą w twarz, nie czuł strachu. Czy nie sprostalem moim obowiązkom? - zastanawiał się. Czy powinienem wzbudzać w nim lęk? Nie, dobrze jest tak, jak jest. Wychowałem go na prawdziwego mężczyznę.

- Ojcze - przemówił Tom z ledwie słyszalnym drżeniem w głosie - chętnie poddam się każdej karze, jaką uznasz za odpowiednią. Jeżeli jednak powiadomisz o wszystkim rodziców Caroline, sprowadzisz na nią niełaskę i zrujnujesz jej życie. Nie zasłużyła sobie na coś takiego z naszej strony.

- Zgadzam się z tobą - przyznał z ociąganiem Hal. - Czy możesz się zobowiązać, że nigdy już nie znajdziesz się z nią sam na sam, dopóki przebywa na moim statku?

- Obiecuję ci to - rzekł Tom, unosząc prawą dłoń. - Przysięgam.

- Wobec tego nie będziemy już o tym wspominać i nic nie powiem panu Beatty.

- Dziękuję, sir.

Nagrodą dla Hala był wyraz wdzięczności, jaki zobaczył w oczach syna; musiał zakaszczeć, by ukryć skurcz wzruszenia. Rozejrzał się szybko, w poszukiwaniu jakiegoś pretekstu do zamknięcia tematu.

- Jak się dostałeś do magazynu? - zapytał w końcu.

- Pożyczyłem klucz z twojego biurka - przyznał otwarcie Tom.

- Pożyczyłeś?

- Tak, sir. Zamierzałem go zwrócić, kiedy to się skończy.

- A więc nie będzie ci już potrzebny, zapewniam cię - rzekł srogim tonem Hal.

Chłopak posłusznie podszedł do drzwi i wyciągnął klucz z kryjówki.

- Zamknij magazyn - polecił mu ojciec i wyciągnął rękę. - I oddaj mi go. - Tom wykonał polecenie i położył klucz na jego dłoni. - Chyba wystarczy jak na tę jedną noc - stwierdził Hal. - Wracaj na swoje posłanie.

138

- Dobranoc, ojcze. Naprawdę bardzo mi przykro, że stałem się przyczyną twego strapienia.

Hal odprowadził go wzrokiem do trapu i uśmiechnął się smutno pod wąsem. Może powinienem był poprowadzić tę słowną potyczkę z większym zdecydowaniem, pomyślał. Lecz diabli tylko wiedzą, jak to robić.

Guy oczekiwał niecierpliwie awantury, jaka jego zdaniem musiała nastąpić po wyjawieniu przez niego tajemnicy grzesznej pary. Spodziewał się, że pan Beatty wymierzy córce srogą karę, może nawet każe ją wybatożyć, jak dziewczkę kuchenną przyłapaną na kradzieży. Że Caroline, obrzucana obelgami przez matkę i siostry,

stanie się takim wyrzutkiem ich małej społeczności, iż pozostanie jej tylko on... jedyny pocieszyciel.

Wyobrażał sobie, jak przychodzi do niego błagać o wybaczenie za sprzeniewierzenie się czystej, prawej miłości, którą ją obdarzył. Zdając się całkowicie na jego łaskę, przysięgnie, że jeśli jej wybaczy, do końca życia będzie mu okazywała swą wdzięczność. Myśl o tym napawała go otuchą i stanowiła zadośćuczynienie za straszliwe męki, jakie cierpiał od owej nocy, gdy po raz pierwszy zakradł się za Tomem na dolny pokład i ujrzał, jakimi bezceństwami się tam zajmuje.

Żywił także nadzieję, że ojciec każe na oczach całej załogi przywiązać Toma do masztu i publicznie wychłostać, choć w głębi duszy wiedział, że w tym wypadku liczy na zbyt wiele. Hal mógłby jednak przynajmniej zmusić Toma do przeproszenia państwa Beatty i zabronić mu na zawsze rozmów i kontaktów z Caroline i całą jej rodziną. Tom stałby się pariasem na statku. Być może ojciec kazałby mu nawet zejść z Serapha na Przylądku Dobrej Nadziei i wrócić do Anglii, gdzie czekała go tyrania Czarnego Billy'ego w High Weald.

Guy czekał więc podekscytowany, kiedy to wszystko lub choćby tylko część z tych rzeczy zacznie się wydarzać. Jego strapienie pogłębiało się jednak z każdym dniem, bo trzęsienie ziemi nie następowało -jak gdyby cała jego uczuciowa udreka i pomieszanie poszły na marne.

Caroline co prawda przez kilka dni chodziła milcząca i zamknięta w sobie i podskakiwała na każdy odgłos kroków za drzwiami kabiny Walsh'a, gdy tam siedzieli, mozoląc się nad lekcjami. Basowy głos ojca, dobiegający z pokładu, powodował,

139

że na jej twarzy pojawiał się wyraz przestachu i w ogóle nie patrzyła na Toma, wlepiając przez cały czas wzrok w książkę. Guy, nie bez odrobiny satysfakcji, spostrzegł, że kiedy spacerowała po pokładzie z matką i siostrami, w momencie pojawienia się Toma natychmiast pod jakimś pretekstem schodziła do swojej kajuty i spędzała tam samotnie całe godziny.

Trwało to wszystko niecały tydzień, po czym dziewczynie nagle wróciła jej dawna poza i śmiałość w obejściu. Policzki jej się zaróżowiły, śmiała się, żartując z panem Walshem, a podczas muzycznych występów śpiewała w duetach z Do-rianem pięknie jak zawsze. Guy przez pewien czas w ogóle nie brał udziału w tych wieczorach i udając złe samopoczucie, leżał nieszczęśliwy na sienniku, nasłuchując odległych dźwięków muzyki z pokładu poniżej. W końcu jednak dał się przekonać Walshowi i przyłączył się do nich ze swą cytrą, choć jego postawa i mina podczas gry były zaiste tragiczne.

Tom natomiast zdawał się w ogóle nie okazywać wyrzutów sumienia z powodu swego perfidnego wiarołomstwa. Przez krótki czas nie odzywał się wprawdzie do Caroline i nie starał się przyciągnąć jej uwagi, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. To tylko jedna z jego sztuczek, wiedział doskonale Guy. A potem któregoś dnia przyłapał ich na próbie nawiązania kontaktu.

Caroline upuściła na podłogę kredę i zanim Guy zdążył ją podnieść, zaczęła jej szukać pod stołem. Przechylił pokładu przesunął kredę bliżej Toma, który pochwycił ją i z błazeńską galanterią podał dziewczynie, wykorzystując tę sposobność, by zajrzeć jej w dekolt. Caroline, trzepocząc rzesami, odwróciła się, skrywając twarz przed wzrokiem nauczyciela, i pokazała Tomowi język. W tym geście nie było jednak niczego dziecinnego; był sugestywny i zapraszający, pełen ukrytego erotyzmu. Tom odpowiedział nań pożądanym uśmiechem i puścił do dziewczyny oko. Śliczna buzia Caroline oblekła się rumieńcem, a Guy poczuł się tak, jakby go ktoś trzasnęła pięścią między oczy.

Dumał nad tym przez resztę dnia, zdołał jednak wykon-cypować tylko jeden sposób pokazania jej, jak bardzo go zraniła, jak zawiodła pokładane w niej zaufanie i zniszczyła jego życie. Postanowił przesiaść się dalej od niej na lekcjach.

Nazajutrz, nie pytając o pozwolenie, zamiast zająć miejsce na

140

ławie obok Caroline, usiadł na niskim, niewygodnym stołku w kącie.

Taktyka ta przyniosła rezultat zgoła nieoczekiwany. Pan Walsh, odnotowawszy tę zmianę jednym spojrzeniem, zwrócił się do Guya z pytaniem:

- Dlaczego się przesiadłeś?

- Tutaj będzie mi wygodniej - odparł posepnie Guy, nie podnosząc głowy.
- W takim razie - Walsh spojrział na jego brata - Tom niechaj zajmie miejsce obok panny Caroline. W ten sposób będą miał go na oku.
Toma nie trzeba było prosić dwa razy i już do końca dnia nauki Guy był zmuszony przyglądać się grze, jaka się rozpoczęła między tamtymi dwójkiem. Pochylając się nad zadaniem, Tom najpierw ukradkiem przysunął pod stołem swój wielki marynarski bucior do satynowego pantofelka dziewczyny. Caroline uśmiechnęła się, jakby do czegoś, co właśnie przeczytała, ale nie odsunęła nogi.
Niedługo potem starszy z bliźniaków napisał coś na tabliczce i kiedy Walsh zajęty był poprawianiem rachunków Doria-na, pokazał to Caroline. Ona zaś, przeczytawszy wiadomość, zaczerwieniła się i potrząsnęła gniewnie lokami. Jej oczy jednak mówiły co innego. Po chwili sama napisała coś na swojej tabliczce i podsunęła Tomowi do przeczytania. Ten wyszczerzył zęby jak grubianin, za którego zresztą Guy go uważał.
Pożerała go wściekła zazdrość, czuł się jednak zupełnie bezradny. Musiał przyglądać się ich flirtowi i przekomarzaniu, a nienawiść wrzała w nim tak mocno, że bał się, iż za chwilę eksploduje. Nękały go obrazy straszliwych scen w magazynie prochu. Potężna postać ojca przesłoniła mu wprawdzie większość tego koszmaru, rozgrywającego się w kiepskim świetle, wciąż jednak miał przed oczami biel jej ciała i skręcał się w udręce na wspomnienie krągłych kształtów dziewczyny, jednocześnie nienawidząc jej i konając z pragnienia. Znow ujrzał w wyobraźni swego brata i jego niewypowiedziane ohydny postępek, plugawiący tę nieskazitelnie czystą i piękną istotę. Tom wydał mu się świnią, brudnym wieprzem chrząka-jącym z lubością przy pełnym korycie. Guy szukał w myśli najgorszych znanych sobie słów na wyrażenie głębi swego obrzydzenia, lecz wszystkie były za słabe, by w pełni oddać jego

141

uczucia. Nienawidzę go, myślał gorączkowo; najchętniej bym go zabił. Natychmiast poczuł ukłucie winy, które jednak zaraz zniknęło, ustępując miejsca dzikiej radości.

Oczywiście. Muszę go zabić. Tylko to już mu teraz pozostało.

1.1

Guy wyczekiwał odpowiedniej okazji. Nazajutrz około południa spacerował po forkasztelu z panem Beattyem, podczas gdy oficerowie wachtowi, wraz z Halem i Tomem, dokonywali pomiarów za pomocą kwadrantów.

Beatty objaśniał mu szczegółowo zasady prowadzenia interesów Kompanii na Wschodzie.

- Mamy dwie faktorie na wybrzeżu Majsuru. Czy wiesz, gdzie to jest, Courtney? - zapytał.

- Oczywiście, sir. - Guy dokładnie przestudiował stos książek i dokumentów poleconych mu przez pryncypała. - Majsur rozciąga się między Ghatami Wschodnimi a Wybrzeżem Koromandelskim w południowo-wschodnich Indiach. Jest to jeden z najbogatszych regionów handlowych Orientu - wyrecytował starannie.

- Widzę, że traktujesz swe obowiązki poważnie - pokiwał głową Beatty.

Guy usiłował skupić się na rozmowie, jego uwagę wciąż jednak przyciągała grupka na nadbudówce. Widział, jak rozprawiają, pochyleni nad różą wiatrów, a potem Tom napisał coś na tabliczce i pokazał ojcu.

- Dobra robota, chłopie - głos Hala był słyszalny nawet pod wiatr. - Naniosę twoje wyliczenia na mapę.

Ta pochwała rozdrażniła Guya i wzmocniła jego postanowienie.

Hal po raz ostatni obszedł statek, taksując bystrym spojrzeniem naprężenie żagli i zatrzymując się przy szafce kompasowej, aby sprawdzić kurs. Wysoki i barczysty, o regularnych rysach twarzy i gęstych ciemnych włosach związanych na karku, robił imponujące wrażenie. Guy czuł się zdeprymowany perspektywą stanięcia przed ojcem twarzą w twarz. Hal tymczasem przekazał dowodzenie dowódcy wachty i zniknął w luku prowadzącym do kabiny na rufie.

- Zechce mi pan wybaczyć, sir - zwrócił się Guy do Beatty'ego. - Mam niecierpiącą zwłoki sprawę do omówienia z moim ojcem.

142

- Oczywiście - odprawił go skinieniem dłoni tamten. - Zaczekam tutaj na ciebie. Będziemy kontynuować naszą wielce zajmującą konwersację.

Guy zapukał do drzwi kabiny kapitańskiej i usłyszawszy gromkie "Wejść!", wsunął się do środka. Hal uniósł głowę znad dziennika okrętowego, w którym zapisywał pozycję Sera-pha, i trzymając nad stronicą gęsie pióro, zapytał:

- Tak, chłopcze, o co chodzi? Guy nabrał głęboko powietrza.

- Chciałbym wyzwąć Toma na pojedynek. Hal starannie umieścił pióro w kałamarzu i nim odezwał się znowu, pocierał przez chwilę dłonią podbródek.

- Aż jakiego to powodu? - zapytał.

- Wiesz przecież, ojcze; byłeś tam. Samo mówienie o tym napawa mnie obrzydzeniem. Tom poważnie obraził pannę Caroline Beatty.

- Aha! - westchnął Hal. - Więc o to chodzi. - Przyglądając się ściągniętej twarzy syna, myślał jednocześnie: jeżeli tę małą wywłokę obrażało to, co robiła w magazynie, leżąc na plecach, zaiste okazywała to w bardzo oryginalny sposób. - A kim ona jest dla ciebie? - zapytał w końcu.

- Ja ją kocham, ojcze - odpowiedział po prostu Guy, z chwytającą za serce godnością, która zaskoczyła Hala. Zdołał jednak w porę powściągnąć pobłaźliwy uśmiech.

- A czy ta dama jest świadoma twoich uczuć?

- Nie wiem - przyznał chłopak.

- Nie ujawniłeś, co do niej czujesz? Nie jesteś z nią zaręczony? Nie prosiłeś pana Beatty'ego o rękę Caroline?

- Nie, ojcze, jeszcze nie. Mam dopiero szesnaście lat... - głos Guya zaczął drżeć.

- Wobec tego obawiam się, że zabierasz się do rzeczy odrobinę za późno. - Hal mówił łagodnym tonem, sam bowiem dobrze jeszcze pamiętał udręki młodzieńczej miłości. - Co, wzięwszy pod uwagę okoliczności, będzie najpewniej z korzyścią dla ciebie.

- Nie bardzo rozumiem, sir. - Guy wyprostował się sztywno.

Teraz będę musiał zrobić z siebie kołtuna, pomyślał Hal, nie bez rozbawienia.

- Mówiąc wprost, skoro już w tak bolesny sposób przekonałeś się o, nazwijmy to, upodobaniach panny Beatty, chciałbyś

143

być może przyjrzeć się swemu uczuciu na nowo? Czy ta dziewczyna jest warta tak szlachetnej miłości, jaką ją darzysz? Czy twój brat nie wyświadczył ci w gruncie rzeczy przysługi, uświadamiając ci, choć brutalnie, jej prawdziwą naturę? - Chciał dodać: "Chyba rozumiesz, że panna Caroline to mała ladacznica", lecz powściągnął język. Nie chciałbym przecież, pomyślał, zostać wyzwany na pojedynek przez własnego syna.

- Tom ją do tego zmusił - upierał się z ponurą determinacją Guy. - Dlatego muszę go wyzwąć.

- Czy zaciągnął ją do magazynu wbrew jej woli?

- Może i nie, ale ją tam zwabił. Uwiódł ją.

- Jeżeli wyzwiesz Toma, wszyscy na statku dowiedzą się przecież, co zaszło między mm a tą pannicą. Czy chciałbyś, żeby pan Beatty dowiedział się o jej nierozważnym wybryku? Czy chcesz ją skazać na cierpienie z powodu kary i popadnięcie w ojcowską niełaskę?

Guy nieco stracił rezon i Hal szedł dalej za ciosem.

- Jedyнным powodem, dla którego nie okazałem większej surowości twemu bratu, była chęć uratowania reputacji i życiowych perspektyw tej młodej... damy. A teraz ty chcesz ją wydać?

- Chcę tylko walczyć z Tomem. Nikt nie musi wiedzieć, dlaczego to robię.

- Dobrze więc - poddał się Hal. - Skoro jesteś tak bardzo zdeterminowany i nie mogę ci tego w żaden sposób wybić z głowy, to bij się z nim. Urządzimy pojedynek w zapasach...

- Nie, ojcze - przerwał mu Guy. - Ty nie rozumiesz. Chcę wyzwąć Toma na pojedynek na pistolety. Twarz Hala stężała.

- Co ty za bzdury wygadujesz, chłopcze? Przecież to twój brat.

- Ja go nienawidzę. - Ton głosu Guya świadczył o sile jego uczucia.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to do Toma, jako wyzwanego, będzie należało prawo wyboru broni? Z pewnością wybierze szpady. Chcesz się z nim zmierzyć w szermierce? Ja sam chyba bym nie chciał. Aboh zrobił z niego fechmistrza, który

dotrzyma pola każdemu. Nie przetrwasz nawet minuty, upokorzy cię albo zabije - Hal usiłował uświadomić synowi okrutną prawdę.

- Nie dbam o to; chcę z nim walczyć i już!

144

Hal stracił wreszcie panowanie nad sobą. Plasnął otwartą dłonią w biurko tak mocno, że krople atramentu bryznęły z kałamarza na rozłożony dziennik.

- Dość już tego! - zakrzyknął. - Próbowałem ci przemówić do rozumu. A teraz po prostu ci tego zabraniam. Na tym statku nie będzie żadnego pojedynkowania się, a już na pewno nie między moimi synami. Jeżeli usłyszę jeszcze słowo na ten temat, każę cię zakuć w łańcuchy w ładowni i kiedy tylko dobijemy do Przylądka Dobrej Nadziei, zostaniesz odesłany do Anglii. Zrozumiałeś mnie, chłopcze?

Pod wpływem siły gniewu ojca Guy aż się skurczył. Nieczęsto widywał go tak wściekłym. Próbował jednak jeszcze nie oddawać pola.

- Ale, ojczec...

- Ani słowa! - ryknął Hal. - Słyszałeś, co powiedziałem; sprawa jest zamknięta. A teraz wracaj do swoich obowiązków. Nie chcę dłużej słuchać tych bredni.

Seraph przedzierał się ku wschodowi, halsując pracowicie. Powoli zmieniał się kolor i charakter oceanu. Rozbiegane na wszystkie strony formacje grzywaczy ustąpiły miejsca zwartym szeregom wielkich fal, armii gigantów, maszerującej w bitewnym szyku ku lądowi, wciąż jeszcze skrytemu za widnokrzem.

- Martwe fale od przylądka - powiedział do Toma i Do-riana Ned Tyler, wskazując zamglony horyzont. - Zimne wody spotykają się z ciepłym powietrzem Afryki. Nazywają to miejsce Przylądkiem Dobrej Nadziei, ale niektórzy zważają je Morzem Mgieł, a jeszcze inni Przylądkiem Burz.

Wśród załogi i pasażerów, tak długo nie oglądających ziemi, z każdym dniem narastało podniecenie. Z odległego jeszcze kontynentu przyleciały im na spotkanie ptaki: długie formacje białych głupek o nakrapianych czernią żółtych sztykach, krzyżące ochryple mowy o śnieżnobiałych piersiach i czarnych płaszczach i małe petrele, rozbryzgujące powierzchnię wody płetwiastymi stopkami.

Potem ujrzeli pierwsze ciemne kępy dryfujących wodorostów, oderwanych od skał przez sztormowe fale i niesionych przez prądy. Ich długie łodygi i pęki liści falowały w chłodnej zielonej wodzie niczym macki jakichś bezkształtnych ośmiornic. Na powierzchni kotłowały się olbrzymie ławice sardyńkowatych

145

rybek, zapewniając obfitość pożywienia stadom fok o lśniących futrach, które baraszkowały wśród fal i wodnistymi oczyma, z wąsami nastroszonymi jak u kota, przyglądały się ludziom na pokładzie.

Hal wydawał teraz co wieczór rozkaz refowania żagli i Seraph z trudem pokonywał pełen wirów prąd. O pierwszym brzasku wysyłał zaś Toma z Dorianem na top, starając się upewnić, czy jakaś skała lub rafa nie rozetnie nagle statkowi podbrzusza. Gdy miał już pewność, że droga wolna, natychmiast luzowano refy i stawiano wszystkie żagle.

W połowie poranka siedemdziesiątego trzeciego dnia od wyjścia z Plymouth Dorian wskazał starszemu bratu dziwną chmurę, stojącą nieruchomo nad horyzontem, podczas gdy inne całymi stadami ścigały się z wiatrem po niebie. Obaj przypatrywali się jej przez dłuższą chwilę, aż nagle zamigotała i otworzyła się, a pod nią pojawiła się ostra błękitna linia, prosta jak cięcie szpada.

- Ziemia! - wyszeptał Tom.

- Czy to możliwe? - Dorian jeszcze nie był pewien.

- Tak, tak! - zawołał Tom już pełnym głosem. - To ziemia. Skoczył na równe nogi w chwiejącym się bocianim gnieździe i wyciągnął przed siebie drżącą z emocji rękę. - Ziemia! - krzyknął ile sił w płucach. - Ziemia na horyzoncie!

Pokład w dole natychmiast się ożywił. Marynarze z wachty rzucili się ku olinowaniu i wkrótce wszystkie wanty i reje oblepione były ludźmi wiszącymi na nich niczym kiście winogron, śmiejącymi się i krzyżącymi w wielkim podnieceniu. Hal Courtney wybiegł z kabiny na rufie w samej koszuli i ściskając pod pachą mosiężny tubus lunety, dołączył do siedzących w bocianim gnieździe synów.

Wspinał się zwinnie i szybko, nie zatrzymawszy się ani razu, dopóki nie znalazł się na górze. Tom zauważył nie bez dumy, że mimo tego wysiłku oddech ojca jest równy i spokojny.

Kapitan Serapha przyłożył lunetę do oka i przyjrzał się błękitnemu kształtowi. Odróżniał już pierwsze szczeliny i uskoki urwistych zboczy.

- No, paniczu Thomasie. Po raz pierwszy w życiu dostrzegłeś ziemię na horyzoncie - rzekł uroczyście, podając lunetę Tomowi. - Czy widzisz, co to jest? - Przykucnął między synami, obejmując każdego z nich ramieniem.

146

- To góra! - zakrzyknął Tom. - Wielka góra z płaskim wierzchołkiem.

- Góra Stołowa - potwierdził ojciec. Tom jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielkiej dokonali sztuki. Po siedemdziesięciu z górą dniami żeglugi po otwartych morzach Hal po mistrzowski wyprowadził statek na trzydziesty czwarty stopień szerokości południowej. - Przyjrzyjcie się dobrze temu skrawkowi ładu - powiedział do synów. Opanowało go dziwne przecucie, jak gdyby rozchyliły się na moment zasłony skrywające ich przyszłość. - Tam znajduje się wasze przeznaczenie.

- Moje też, ojczy? - pisał Dorian.

- Was obu. Przywiódł was tutaj Los.

Chłopcy milczeli, jakby po pełnych pasji słowach ojca odebrało im na chwilę mowę.

Wszyscy trzej siedzieli nieruchomo w bocianim gnieździe, podczas gdy słońce sięgało powoli zenitu.

- Dziś nie musimy robić namiarów - zaśmiał się Hal. - Zostawimy to Nedowi Tylerowi i Wilsonowi. Wiemy przecież, gdzie jesteśmy, czyż nie?

Słońce zaczęło się obniżać, a Seraph pruł dziarsko fale, zmagając się z południowo-wschodnim wiatrem. Powoli zbliżał się do celu, a płaska jak stół góra wyłaniała się majestatycznie ponad oceanem, aż w końcu zdawała się wypełniać całe niebo. Mogli już u stóp stromego skalistego klifu dostrzec białe plamy ludzkich siedzib.

- Tam jest ten fort, który pomagaliśmy budować - pokazał im Hal. - Aboli, Duży Daniel, Ned Tyler i ja.

- Opowiedz nam o tym! - poprosił Dorian.

- Opowiadałem wam już tysiąc razy - opierał się Hal.

- Nie szkodzi, ojczy - poparł prośbę brata Tom. - Chcemy usłyszeć jeszcze raz.

Siedzieli więc wśród takielunku, a Hal opowiadał im kolejny raz o swych przygodach wojennych sprzed dwudziestu pięciu lat. Cała załoga statku jego ojca została wówczas pojmana przez Holendrów i przywieziona w kajdanach na Przylądek Dobrej Nadziei. Sir Francisa Courtneya torturowano, by zmusić go do ujawnienia miejsca, gdzie ukrył skarby zabrane ze zdobytych przez siebie holenderskich galeonów. Kiedy nie ugiął się nawet w obliczu najokrutniej szych cierpień, zadawanych mu przez oprawców, Holendrzy zawlekli go na plac do musztry i stracili w publicznej egzekucji.

147

Hala wraz z resztą załogi skazano na ciężkie roboty przy wznoszeniu murów holenderskiego fortu. Harowali tam jak woły przez trzy długie lata, zanim w końcu udało im się zorganizować ucieczkę.

- A więc to na tej właśnie górze pochowaliście dziadka Francisa? - zapytał Tom.

- Czy wiesz, gdzie się znajduje jego grób, ojczy?

- Aboli wie. To on wykradł ciało dziadka z szubienicy i w jasną księżycową noc pochował je w sekretnym miejscu gdzieś na zboczach góry.

Tom milczał przez chwilę, myśląc o pustym sarkofagu w kaplicy na wzgórzu ponad High Weald, z wyrytym na wieku nazwiskiem dziadka. Domyślał się, co planuje ojciec, lecz nie zamierzał się z tym ujawniać, dopóki nie nadejdzie stosowny moment.

Seraph przepływał obok skalistej wysepki, strzegącej wejścia do zatoki u stóp Góry Stołowej. Jej nazwa, Robben Island, pochodziła od holenderskiego słowa robben, foka. Na skalistych brzegach istotnie lśniły w słońcu ciała całego mnóstwa tych zwierząt. Wody zatoki były natomiast czarne od wodorostów.

- Muszę zejść na pokład, dopilnować cumowania - powiedział Hal.

- Ścigamy się na sam dół! - zawołał Dorian i skoczył na liny.

Tom dał mu fory, a potem rzucił się w pościg. Ich stopy zatańczyły na wyblinkach i opadali coraz niżej, jakby to był swobodny lot. Tom wkrótce zmniejszył dystans

między nimi, ale nad samym pokładem zwolnił, pozwalając, by Dorian stanął na deskach jako pierwszy.

- Wygrałem, wygrałem! - triumfował chłopiec. Tom zmierzwił jego lśniące miedziane loki.

- Już się tak nie ciesz - powiedział, popychając go żartobliwie.

Spojrzał ku grupce osób stojących na dziobie Serapha. Byli to państwo Beatty ze swymi trzema córkami; towarzyszył im Guy. Podekscytowani, pokazywali sobie różne interesujące miejsca słynnego przylądka, po Przylądku Igielnym najbardziej na południe wysuniętego punktu Afryki.

- Tę białą chmurę nad wierzchołkiem góry miejscowi nazywają "obrusem" - objaśniał ze znanstwem Guy. - A to wzgórze na południe od osady nazywa się Lwia Głowa. Widzi-

148

cię, jaki ma kształt? - Jak zwykle przestudiował odpowiednie książki i wyuczył się wszystkich szczegółów na pamięć.

- Może byś sobie wszedł na top, Guy - zawołał do niego Tom, nie bez uszczypliwości w głosie. - Stamtąd miałbyś dużo lepszy widok!

Brat zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- Dziękuję bardzo. Tu jest mi całkiem dobrze - odparł, przysuwając się do Caroline i odwracając się do Toma plecami.

- Nie ma się czego bać - zapewnił go Tom. - Nic ci tam nie grozi.

- Śmiesz nazywać mnie tchórzem? - naskoczył na niego Guy. Twarz nabiegła mu krwią, a głos aż się łamał z oburzenia.

- Ja tego nie powiedziałem - parsknął śmiechem Tom i obróciwszy się na pięcie, ruszył do steru. - Ale myśl sobie, co chcesz - rzucił jeszcze przez ramię.

Guy, obezwładniony poczuciem upokorzenia, posłał za nim nienawistne spojrzenie. Tom podał w wątpliwość jego odwagę i potraktował z takim lekceważeniem na oczach państwa Beatty i Caroline! Nagle coś strzeliło mu do głowy i nim się sam zorientował, co robi, pognał za starszym bliźniakiem.

- Tom, uważaj! - wrzasnął Dorian, lecz było już za późno.

Starszy z braci odwrócił się i chciał zasłonić, lecz Guy runął na niego w pełnym pędzie całym swym ciężarem, kiedy Tom akurat miał jedną stopę w powietrzu. Impet uderzenia cisnął nim o okrężnicę tak mocno, że odebrało mu dech w płucach.

Guy skoczył mu na plecy i założył blokadę na szyję. Wszyscy trzej trenowali regularnie zapasy pod okiem Dużego Daniela i Guy, choć powolny i niezbyt zręczny w tym sporcie, znał wszystkie chwytów i rzuty. Trzymając głowę Toma w morderczym uścisku, wykorzystywał wszystko, czego zdołał się nauczyć. Zebrał się w sobie i wbijając kolano w plecy brata, oparł jedno ramię w zgięciu drugiego i założył dźwignię. Zaciskając Tomowi tchawicę, napierał jednocześnie na jego kręgosłup z taką siłą, że w każdej chwili mógł pęknąć. Tom rzucał się po pokładzie, wbijając desperacko palce w rękę napastnika. Słabnąc coraz bardziej, walczył z szeroko otwartymi ustami o każdy łyk powietrza.

Marynarze zbiegli się podziwiać wdowisko i tupaniem oraz okrzykami dopingowali walczących. Nagle ponad tym hałasem dał się słyszeć tubalny głos:

- Rzut w tył, Klebe!

149

Tom zareagował natychmiast. Zamiast opierać się chwytowi, całą swą siłę i ciężar włożył w wykonanie przewrotu do tyłu. Guy poleciał nagle na plecy i musiał zwolnić uścisk, by zamortyzować siłę upadku, gdyż w przeciwnym razie pogruchotałby sobie żebra.

Tom odwrócił się w powietrzu jak kot i znalazł się na przeciwniku, zanim jeszcze dotknęli podłogi. Kiedy runęli obaj na deski, wbił oba łokcie i kolana w pierś i brzuch Guya.

Ten wrzasnął piskliwie i chciał się zwinąć w kłębek, żeby osłonić żołądek, Tom jednak już siedział na nim, przygniatając go do ziemi. Zacisnął pięść i zamachnął się szeroko, by grzmotnąć napastnika w twarz.

- Tom, nie!

To był głos ojca. Chłopak zamarł w bezruchu i z jego oczu powoli zaczął ustępować wyraz dzikiego gniewu. Opuścił rękę i wstał.

- Następnym razem - powiedział, patrząc z pogardą na Guya - nie wywiniesz się tak łatwo.

Odwrócił się, a jego brat, dźwignawszy się na nogi, zgięty w pół, oparł się o jedno z dział. Gapie zaczęli się rozchodzić, rozczarowani przerwaniem widowiska w najciekawszym momencie.

- Tom! - zawołał nagle Guy i jego brat się obejrzał. - Tom, przepraszam. Podajmy sobie ręce. Bądźmy znów przyjaciółmi! - Postąpił w stronę bliźniaka ze skruszoną miną i wyciągniętą prawą dłonią.

Tom odwrócił się do niego z uśmiechem i podał mu rękę.

- Nawet nie wiem, dlaczego w ogóle się biliśmy - powiedział.

- Ale ja wiem - odparł Guy i żalony wyraz jego twarzy w jednej chwili ustąpił miejsca jadowitej nienawiści.

Z szybkością żmii wyciągnął z pochwy u pasa sztylet, sześć-ciocalowe ostrze ze lśniącej stali z cienkim jak igła czubkiem. Uniósł je na wysokość pępka Toma i pchnął mocno, jednocześnie ciągnąc go z całej siły za prawą rękę, żeby mocniej nabić na nóż.

- Nienawidzę cię! - wrzasnął do brata, parszcząc śliną. - Zabiję cię za to, co zrobiłeś!

Oczy Toma rozszerzyły się z przerażenia. Próbował odskoczyć, lecz czubek sztyletu zahaczył o jego bok, rozcinając koszulę i tnąc ciało płytką bruzdą. Trysnęła krew, płamiąc białą bawełną i spływając mu po nodze.

150

- Zabiłeś go! - krzyknęła przeraźliwym głosem Caroline.

Wśród marynarzy podniosła się wrzawa i popędzili z powrotem, by nie przegapić dalszego ciągu bójki.

Guy wiedział, że spartaczył cios, i wykonywał teraz rozpaczliwe cięcia w stronę twarzy i piersi Toma. Ten jednak wywijał się i uskakiwał przed nimi, aż w pewnej chwili niespodziewanie przyskoczył do napastnika i nasadą lewej dłoni trzasnął go w podbródek. Głowa Guya odskoczyła w tył i puścił prawą rękę Toma ze śmiertelnego uścisku.

Zatoczył się pod burtę. Z kącika ust sączyła mu się krew, gdyż przygryzł sobie język. Wciąż ścisnął w ręce sztylet.

- I tak cię zabiję - warknął do brata. - Zabiję cię, ty brudna świni!

Tom próbował rozmasować sobie jedną ręką obolałe gardło, drugą jednak już wyciągał z pochwy swój własny sztylet.

- Mocny jesteś w gębie, bracie - rzekł ponuro. - Zobaczymy teraz, jak się uporasz z tym zabijaniem, o którym tyle gadasz.

Ruszył na Guya, zaczynając prawą stopą, na palcach, a uniesiony sztylet chwiał się w jego dłoni niczym tańcząca kobra. Oczy utkwili w twarzy przeciwnika. Guy zaczął się wycofywać.

Hal postąpił ku nim szybko i otwierał już usta, żeby kazać im przestać, ale nim wy dobył z siebie głos, poczuł na ramieniu silny uścisk Abolego.

- Nie, Gundwane - rzucił Murzyn niegłośnie, lecz z naciskiem. Wśród ryków mężczyzn i pisków kobiet usłyszał go tylko Hal. - Nie próbuj nigdy rozdzielać walczących psów. Pomożesz tylko któremuś zyskać przewagę.

- Na Boga, Aboli, przecież to moi synowie!

- Nie są już dziećmi, Gundwane. To mężczyźni. Więc traktuj ich jak mężczyzn.

Tom skoczył do przodu. Opuściwszy nisko ostrze, markował cios w brzuch Guya. Hal walczył w życiu wiele razy i wiedział, że taką zimną determinację we wzroku najgroźniejszych szermierzy można wyczytać tylko wtedy, gdy zamierzają zadać śmierć. Wiedział, że jego syn nie widzi już przed sobą brata, lecz wroga, którego musi unicestwić. Stał się zabójcą i Hal poczuł strach, jaki rzadko odczuwał o samego siebie. Bał się o Guya, wiedział jednak, że Aboli ma rację. W tej chwili nie mógł już tego przerwać. Nie mógł powstrzymać Toma, tak jak nie da się powstrzymać polującego lamparta.

151

Rozcięty bok starszego z bliźniaków wciąż krwawił. Z rozdartej koszuli wyzierał pas białego ciała, z raną niczym rozchylone w uśmiechu usta, z których ciekła strużka czerwieni. Krew skapywała na pokład i do butów chłopaka, które wydawały mokry płask przy każdym jego kroku. Tom jednak nie zwracał uwagi na ranę; skupił wzrok na człowieku, który mu ją zadał.

Guy wstał, trzymając się relingu. Lewą ręką macał dębowe belki za plecami, a kiedy uświadomił sobie, że znalazł się w pułapce, wyraz dzikiej wściekłości w

jego oczach ustąpił miejsca przerażeniu. Obejrzał się szybko, szukając jakiejś drogi ucieczki. Wtem jego palce natrafiły na jedną z pik, umieszczonych na hakach pod okrężnicą. Lęk z jego twarzy zniknął jak rozproszona przez słońce mgła. Porzucił sztylet i z uradowaną miną chwycił za drzewce piki. Na widok ciężkiej broni o ostrzu z hartowanej stali Tom cofnął się o krok.

- Teraz zobaczymy - triumfował Guy z uśmiechem, przypominającym krwawą szramę. Opuścił pikę i ruszył do natarcia.

Tom uskoczył w tył, a Guy zamachnął się długim drzewcem, pozostając całkowicie poza zasięgiem sztyletu. Guy natarł powtórnie, Tom zaś puścił swą broń i rzucił się najpierw w bok, żeby uniknąć lśniącego stalowego grota, a potem przyskoczył do Guya z flanki i zanim tamten zdążył zareagować, chwycił za dębowe drzewce. Przepychali się w tę i z powrotem po pokładzie, wyrwijąc sobie pikę, jęcząc i krwawiąc, mamrocząc nieartykułowane obelgi i przekleństwa. Wreszcie Tomowi udało się przyprzeć Guya do burty i stanęli w zwarciu, twarzą w twarz i piersią w pierś; pika tkwiła w poprzek między nimi.

Tom powoli unosił drzewce coraz wyżej, aż znalazło się na poziomie krtani brata, a potem napał na nie z całej siły. Plecy Guya wygięły się w łuk; pchany dębowym drągiem przechylał się coraz bardziej za burtę. W oczach znów miał przerażenie - słyszał już chlupot fal o kadłub w dole, a jego stopy zaczęły z wolna odrywać się od pokładu. Wiedział, że za chwilę wypadnie i że pływak z niego żaden, gdyż woda napawała go lękiem.

Tom zaparł się mocno stopami o deski, lecz stał w kałuży własnej krwi, śliskiej jak oliwa. Jedna noga omsknęła mu się do tyłu i padł na pokład jak długi. Guy był wolny. Powłókł się do wantów fokmasztu i łapiąc ciężko oddech, uczepił się lin i obejrzał przez ramię.

152

Tom zerwał się już na nogi i schyliwszy się po sztylet, ruszył na brata jak szarżujący lampart.

- Zatrzymajcie go! - wrzasnął Guy z przerażeniem. - Każcie mu przestać!

Nikt go jednak nie posłuchał. Marynarze wśród ogłuszającego zgwieńku patrzyli w dzikim podnieceniu, jak Tom zbliża się do przeciwnika ze sztyletem w dłoni i obłędem w oczach.

Guy odwrócił się do want. Strach dodał mu sił i chłopak zaczął wspinać się po takielunku. Tom zwolnił tylko na chwilę, żeby włożyć nóż w zęby, po czym ruszył za nim.

Publika na pokładzie zadarła do góry głowy. Nikt dotąd nie oglądał Guya na wantach i nawet Hala zaskoczyła szybkość, z jaką się poruszał. Tom doganiał go wprawdzie, lecz powoli.

Guy dotarł do rei i wdrapał się na nią. Spojrzał w dół i poczuł, że kręci mu się w głowie. Zaraz jednak zobaczył twarz Toma wbiegającego po wyblinkach jak kot. Ujrzał bezlitosny grymas na jego twarzy i nasiąkniętą krwią koszulę. Popatrzył desperacko ponad głowę, ale widok odległego topu odebrał mu resztki odwagi. Wiedział, że z każdym krokiem brat będzie zyskiwał nad nim przewagę. Pozostała mu tylko jedna droga ucieczki. Zaczął pełznąć w udręce ku krańcowi rei. Słyszał już oddech Toma i ten dźwięk popychał go do przodu. Nie odważył się spojrzeć w pieniające się zielone fale daleko pod sobą. Szlochając ze strachu, pełził dalej, aż dotarł do końca obłej belki. Obejrzał się przez ramię.

Jego prześladowca był za nim o krok. Guy, zupełnie bezradny, znalazł się w pułapce. Tom siadł wyprostowany na kołyszącej się rei i wyjął sztylet z zębów. Cały zbryzgany krwią, wyglądał upiornie. Twarz miał pobladła, ściągnięta gniewem; broń lśniła groźnie w jego dłoni.

- Błagam, Tom - zakwilił płacząco młodszy z bliźniaków. - Nie chciałem cię zranić.

Obiema dłońmi zasłonił twarz i natychmiast stracił swą niepewną równowagę. Przez chwilę się chwiał, młóćąc szaleńczo rękami i przechylając coraz bardziej w tył, aż w końcu z potwornym krzykiem poleciał na dół. Spadał bezwładnie, koziołkując w powietrzu, a gdy uderzył w wodę, poszedł od razu głęboko pod powierzchnię.

Tom siedział zeszywniały na rei. Cała wściekłość wyparowała z niego błyskawicznie i patrzył w dół, przerażony tym, co

153

spowodował. Guy zniknął; wśród zieleni fal nie było po nim śladu, w pienistym paśmie wody za rufą nie ukazała się głowa.

On nie umie pływać! Straszliwa prawda dotarła do Toma z taką siłą, że aż się zachwiał. Zabiłem własnego brata! Skojarzenie uczynku z biblijnym Kainem przeraziło go jeszcze bardziej. Zerwał się na równe nogi i stojąc na rei, wpatrywał się w kilwater. Nagle zobaczył Guya na powierzchni. Młócił bezładnie rękami, a jego płaczliwe wołanie brzmiało z oddali jak krzyki rannej mewy. Z pokładu dobiegł do uszu Toma ryk ojca wydającego rozkazy.

- Zwrot do wiatru! Spuścić łódź! Człowiek za burta!

Nim statek zdążył zareagować na ster i ustawić się dziobem do wiatru, Tom zebrał się w sobie i skoczył z rei. Głową w dół, z wyciągniętymi przed siebie rękami i wyprostowanymi nogami. Wszedł czysto pomiędzy fale, zanurzając się tak głęboko, że ciemne wody zamknęły się nad nim, przygniatając pierś. Zrobił obrót i ruszył ku powierzchni. Wystrzelił ponad wodę, wynurzając się aż po pas i łapiąc ze świstem oddech. Statek już go minął, wykonując zwrot.

Tom spojrział wzdłuż spienionego śladu i nie zobaczył niczego. Mimo to zaczął płynąć ze wszystkich sił, młóćcąc ramionami wodę i niemal nie czując szczypania płytkiej rany w boku, w którą zaczęła się wżerać sól. Próbując się zorientować, gdzie mniej więcej widział ostatnio głowę brata, zatrzymał się i wisząc pionowo w wodzie, rozglądał dookoła. Ani śladu Guya.

O Boże, jeżeli on utonie, to już nigdy... - nie kończąc tej myśli, wziął potężny wdech i zgiąwszy się wpół, bijąc stopami w niebo, wśliznął się gładko pod wodę. Otworzył szeroko oczy, lecz widział jedynie zieleń, przetykaną słonecznymi smugami. Płynął w dół, aż płuca zaczęły domagać się powietrza. Musi zawrócić, nabrać oddechu.

Wtem dojrzał coś pod sobą, biel z błękitem, koszulę i kurtkę Guya, obracające się bezładnie, jak część wraku. Czuł ból w piersi, ale zanurkował jeszcze niżej, aż dotknął ramienia brata. Chwycił go za kołnierz kurtki i zawrócił ku powierzchni. Choć kopał wodę z całych sił, opór ciągniętego ciała spowalniał wynurzanie się. Sekundy rozciągały się w nieskończoność. Płuca Toma płonęły, pragnienie oddechu odbierało moc nogom. Chwył na kołnierzu kurtki osłabł i Guy zaczął się wyslizgiwać.

154

Zieleń wypełniła Tomowi głowę i nie widział już niczego prócz rozbłysków światła w mroku.

Bądź silny! - krzyknął bezgłośnie do siebie, zmuszając palce do zaciśnięcia się na kurtce Guya, a nogi do poruszania się.

Pojaśniało, zielona zaćma ustąpiła i nagle głowa Toma wyskoczyła ponad powierzchnię, do słońca i powietrza. Wciągnął je głęboko, wypełniając płuca aż do bólu. Kolejny oddech, słodki niczym miód, przeniknął całe jego ciało, przywracając mu siłę. Sięgnął pod siebie, złapał Guya za włosy i wyciągnął jego głowę nad wodę.

Guy był już topielcem. Nie dawał znaku życia. Oczy miał otwarte, martwo wpatrzone w przestrzeń, a twarz wosko-woblada.

- Oddychaj! Na miłość boską, oddychaj, Guy! - wrzasnął Tom w tę nieruchomą białą twarz.

Otoczył ramionami pierś brata i mocno ścisnął. Nauczył się tej sztuczki od Abolego i wiedział, że skutkuje. Mieszanka zastalego powietrza z płuc Guya, morskiej wody i wymiocin chlusnęła Tomowi w twarz. Rozluźnił uścisk i pierś brata rozprężyła się. Płuca topielca zassały pierwszy oddech. Jeszcze dwukrotnie Tom wyciskał z niego wodę, walcząc o utrzymanie jego twarzy nad powierzchnią. Po trzecim wdechu Guy zakaszał i otworzył oczy. Oślepiiony mrugał przez dłuższą chwilę i w końcu jego wzrok się zogniskował. Próbował już oddychać samodzielnie, choć szło mu to z trudem i co parę sekund wstrząsał nim paroksyzm kaszlu. Wreszcie oprzytomniał.

- Nienawidzę cię - wychrypiał Tomowi w twarz. - Wciąż cię nienawidzę i zawsze będę cię nienawidził!

- Ale dlaczego, Guy, dlaczego?

- Lepiej by było dla ciebie, żebym się utopił, bo któregoś dnia i tak cię zabiję.

- Dlaczego? - powtórzył Tom.

- Ty wiesz dlaczego - wydyszał Guy. - Wiesz doskonale. Żaden z nich nie usłyszał zbliżającego się barkasu i nagle usłyszeli w pobliżu głos ojca:

- Trzymać się, chłopcy, już do was płyniemy!

Załoga szalupy wiosłowała co sił, a Hal sterował, żeby znaleźć się jak najbliżej nich. Na jego rozkaz marynarze odłożyli wiosła; silne ręce pochwyciły obu młodych Courtneyów i wciągnęły ich do łodzi.

155

Kiedy wciągnięto Guya na pokład Serapha, przy burcie czekał już doktor Reynolds. Tom stał na pokładzie u boku ojca i patrzył, dziwnie przygnębiony, jak pomocnicy medyka znoszą brata pod pokład.

- On mnie nienawidzi, ojciec - powiedział zgaszonym głosem.

- Pokaż no mi tę ranę, chłopcze - burknął w odpowiedzi Hal.

Tom spojrział bez większego zainteresowania na szramę. Morska woda niemal całkiem powstrzymała krwawienie.

- To nic takiego - rzekł. - Takie tam skaleczenie. On mnie nienawidzi - powtórzył, patrząc w twarz ojca. - To były jego pierwsze słowa, jak tylko go wyciągnąłem. Co ja mam teraz zrobić?

- Przejdzie mu - odparł Hal, odsuwając połą koszuli, by przyjrzeć się ranie. - Zapomni i przebaczy ci.

- Nie przebaczy - pokręcił głową Tom. - Powiedział, że zawsze będzie mnie nienawidził. To przecież mój brat. Co ja mam zrobić? Pomóż mi, ojciec.

Hal nie miał na to odpowiedzi. Znał aż nazbyt dobrze upór i nieustępliwość młodszego z bliźniaków; te cechy były zarazem jego siłą i słabością. Wiedział, że Tom ma rację. Guy mu nigdy nie przebaczy.

Był to najpiękniejszy z brzegów, do których Hal kiedykolwiek przybijał. Góra wznosiła się ku niebu jak mur, a nad jej omiatanym wiatrem wierzchołkiem zbierały się, niczym pianka na kipiącym mleku, miękkie chmury mieniące się odcieniami perłowego różu, pożyczonego od zachodzącego słońca. Pod skalistymi blankami zieleniły się na zboczach lasy, a białe plaże obrzeżone były lukrem przyboju.

Uroda tych wybrzeży powinna wprawiać Hala w zachwyt, a jednak powracały doń tłumnie wspomnienia podszyte grozą i bólem. Z tej odległości widział już wyraźnie mury twierdzy; z jej krenelażu spozierały na niego, jak puste oczodoły, czarne otwory armatnich luf. W lochach pod tymi fortyfikacjami spędził trzy okrutne przyłaskowe zimy. Pamięć o tym przejęła jego ciało chłodem, a po kręgosłupie przebiegł mu dreszcz. To na tych murach pracował w znoju, zdzierając sobie skórę z dłoni i padając ze zmęczenia. Na rusztowaniach wokół

156

twierdzy był świadkiem śmierci wielu dzielnych ludzi i to tutaj właśnie dokonała się w nim trudna przemiana z chłopca w mężczyznę.

Przyłożył do oka lunetę, by przyjrzeć się stojącym na kotwicy statkom.

Zaskoczyła go ich liczba. Naliczył dwadzieścia trzy żaglowce, przeważnie holenderskie. Wypatrzył wśród nich jeden angielski, z wyglądu

wschodnioindyjczyk... jak Seraph, lecz ku jego rozczarowaniu nie był to Yeoman of York. Ich towarzysza wyprawy nie było w porcie.

Nie odrywając lunety od oka, przesunął ją po wodach zatoki w stronę lądu. Jego spojrzenie zatrzymało się na placu apelowym u stóp zamkowych murów. Wspomnienie egzekucji ojca napłynęło do niego ze wszystkimi straszliwymi szczegółami. Musiał je siłą wypchnąć z umysłu, żeby się w pełni skoncentrować na kotwiczeniu Serapha.

- Staniemy poza zasięgiem armat z fortu, panie Tyler - wydał Nedowi rozkaz, którego nie było potrzeby uzasadniać.

Mat wiedział, o co chodzi, a poważny wyraz jego twarzy, gdy wyciągał ster i kazał zwijać żagle, świadczył o tym, że i on także przeżywa na nowo te straszne chwile.

Kotwica plasnęła w wodę, ochlapując pokład dziobowy i ciągnąc łańcuch przez kluzę. Seraph zatrzymał się raptownie i wykonawszy wdzięczny piruet, ustawił się dziobem do wiatru, po czym znieruchomiał, zmieniając się z pełnego życia morskiego stwora w istotę piękną i spokojną jak siedzący na wodzie łąbędź.

Marynarze stanęli rzędami na nagich rejach i zawiśli na wantach. Wpatrzeni w ład, wymieniali głośnie komentarze i pytania, obserwując zbliżające się do statku łódzie handlowe.

Ludzie morza nazywali ten piękny przylądek Tawerną Oceanów. Skolonizowano go przed pięćdziesięciu laty, by służył jako baza zaopatrzeniowa dla Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, toteż łódzie załadowane były wszelkim dobrem, o jakim mogła marzyć załoga po trzech miesiącach nieprzerwanej żeglugi.

Hal Courtney wezwał do siebie oficerów.

- Bacz dobrze, żeby na pokład nie dostały się mocniejsze trunki - zwrócił się do Alfa Wilsona. - Handlarze rumem będą próbowali go przemycić przez furty działowe. Jeżeli cię przechytrzą, przed nocą połowa załogi będzie rzygać z opilstwa.

157

- Rozkaz, kapitanie - zsalutował czwarty oficer. Jako abstynent dobrze nadawał się do tej roboty.

- Aboli, ustaw przy burtach ludzi z muszkietami i pistoletami. Nie możemy wpuszczać na pokład tych obwiesi, bo nam ogołocą statek, a kurwy zaczną uprawiać swoje rzemiosło na pokładzie działowym. Nie chcę, żeby znowu poszły w ruch... - niemal już wypowiedział słowo "sztylety", ale się zreflektował. Wolał nie przypominać marynarzom o konflikcie między bliźniakami.

- Panie Fisher, zajmiesz się handlowaniem, masz do tego smykałkę. - Wiedział, że Duży Daniel umie się ostro targować i sprawdzi dokładnie świeżość owoców i warzyw dostarczonych na pokład. - Pan Walsh ci pomoże, będzie wypłacał należności dostawcom. - Walsh, obok swych obowiązków nauczyciela, pełnił także funkcję pisarza i kasjera.

Kiedy oficerowie rozeszli się do wyznaczonych zadań, Hal stanął przy relingu i spojrzał w dół, na gromadzące się wzdłuż burty łódzie. Piętrzyły się na nich stopy świeżych produktów: ziemniaków oblepionych jeszcze ziemią, zielonej kapusty, jabłek, fig i dyni, oskubanych kurczaków i baranich udźców. Ależ załoga będzie dziś miała wyżerkę, pomyślał, sam czując pod językiem ślinę na widok takiej obfitości. Pod koniec długiego rejsu każdego marynarza ogarniało nieprzeparte pragnienie zjedzenia czegoś świeżego. Niektórzy majtkowie już wychylali się przez burtę i rozpoczynali targi. Ci, którzy dysponowali gotówką, chcieli płacić nawet po pół pensa za jednego ziemniaka; cenę zupełnie niedorzeczną. Rozgorączkowani i zachłanni, oczyszczali białe bulwy z ziemi, ocierając je o kurtki niczym jabłka i z wielkim ukontentowaniem pożerali na surowo kwaskowaty miąższ.

Obok Hala stanął doktor Reynolds.

- Jaka to ulga znaleźć się znowu w porcie, kapitanie - powiedział. - Mamy już na pokładzie dwadzieścia sześć przypadków szkorbutu, ale nim wypłyniemy w morze, wszyscy zostaną uleczeni. To istny cud i tajemnica, a jednak powietrze z ładunku leczy nawet najciężej dotkniętych, którzy stracili zęby i ledwie trzymają się na nogach. - Podał Halowi dojrzałe jabłko. - Ukradłem kilka z zapasów pana Walsha. Hal wgrzył się w owoc i aż zmrużył z rozkoszy oczy.

- Jadło bogów - powiedział z ustami wypełnionymi sokiem spływającym mu jak słodki olejek do gardła. - Mój

158

ojciec zawsze twierdził, że to brak świeżej żywności jest przyczyną szkorbutu - dodał.

Reynolds uśmiechnął się z pobłażaniem i ugryzł potężny kęs jabłka.

- No cóż, kapitanie, nie chciałbym krytykować pańskiego świątobliwego ojca, którego cały świat zna jako człowieka wielkich zasług i ogromnej zacności, lecz suchary i solona wołowina z pewnością są wystarczającą strawą dla każdego żeglarza. - Reynolds pokiwał mądrze głową. - Słyszysz się ostatnimi czasy cudaczne teorie od ludzi nieszkolonych w sztukach medycznych, to prawda. Ale fakt jest faktem: to morskie powietrze powoduje szkorbut, nic innego.

- Jak się miewają moi synowie, doktorze? - zmienił zrećznie temat Hal.

- Thomas to silny młody byczek, a rana na całe szczęście nie była głęboka i wyrządziła mu niewielką szkodę. Zaszycem ją katgutem i niebawem powinna się zagoić; to znaczy, jeżeli się nie wda gangrena.

- A co z Guyem?

- Kazałem mu się położyć na koi w pańskiej kajucie, kapitanie. Płuca miał zalane słoną wodą, a to czasami psuje płyny w ciele. Ale i on za kilka dni powinien czuć się niezgorzej, biorąc pod uwagę takie nurkowanie.

- Jestem panu wielce zobowiązany, doktorze - rzekł Hal.

Nagle na śródokręciu podniósł się jakiś szum. Aboli chwycił za ramię jednego z hotentockich chłopców, który wspiał się na pokład po drabince, dzwigając skrzynkę owoców.

- Hej, ładny chłoptasiu - zaczepił go. - Czy ty aby jesteś chłopakiem?

Jego ofiara miała sercowatego kształtu twarz, nieskazitelną złocistą cerę i skośne azjatyckie oczy. Na prowokację Abolego odpowiedziała potokiem piskliwych obelg, wypowiedzianych w dziwnym, mlaskającym języku, usiłując się wyrwać z uścisku jego wielkiego łapska. Murzyn ze śmiechem zerwał chłopakowi czapkę z głowy i gęsta grzywa czarnych włosów opadła mu aż na ramiona. Następnie jedną ręką podniósł ofiarę do góry, a drugą ściągnął jej bryczesy aż do kolan.

Wśród marynarzy podniósł się ryk zachwytu, ujrzeni bowiem pulchne żółte pośladki i kształtne uda, między którymi gnieździł się ciemny puszysty trójkąt, znak kobiecości. Wisząc w powietrzu, dziewczyna obsypała gradem uderzeń łysą czaszkę Mu-

159

rzyna, a kiedy to nie zrobiło na nim wrażenia, usiłowała długimi paznokciami dosięgnąć jego oczu, wierzgając przy tym szaleńczo nogami.

Aboli podszedł do relingu i zrzucił ją za burtę ruchem tak lekkim, jakby to była zbłąkana kotka. Jej towarzysze wciągnęli ją do łodzi. Ociekając wodą i podciągając bryczesy, wciąż miotała przekleństwa pod adresem rozbawionych marynarzy.

Hal odwrócił się, by ukryć uśmiech, i poszedł do grotmasztu, gdzie zgromadziła się cała rodzina Beattych, rozprawiając z ożywieniem o widokach na nieznanym im wcześniej lądzie. Uchylił przed paniami kapelusza, a pani Beatty rozpromieniła się z zadowolenia. Caroline natomiast unikała jego wzroku. Od pamiętnej nocy w magazynie zawsze na jego widok robiła zawstydzoną minę.

- Będziemy stali na kotwicy przez wiele dni, może nawet tygodni - zwrócił się Hal do ojca rodziny. - Muszę zaczekać na Yeomana i załatwić wiele innych spraw. Z pewnością zechce pan zabrać damy na brzeg, żeby mogły odpocząć trochę od ciasnoty statku i rozprostować nogi. Jestem przekonany, że w mieście znajdą państwo wygodne kwatery.

- Cóż za wspaniałe pomysły, sir! - ucieszył się Beatty. - Dla pana to z pewnością nic takiego, sir Hal, ale my, ludzie ładu, w tych zamkniętych przestrzeniach na pokładzie czujemy się nieswojo.

- Poślę z wami Guya - rzekł Hal, kiwając głową. - Będzie pan miał swojego sekretarza pod ręką. - Zadowolony był, że udało mu się osiągnąć dwa cele naraz: po pierwsze rozdzielić Guya i Toma, po drugie odseparować Toma od Caroline. Obie te sytuacje mogły w każdej chwili wybuchnąć jak baryłka prochu. - Każę zawieźć państwa na brzeg, jak tylko marynarze spuszczą nasze łodzie, choć dzisiaj może być już na to za późno - dodał, patrząc na zachodzące słońce. - Pewnie będziecie chcieli spakować kufry i udać się na ląd jutro rano.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, kapitanie - skłonił się Beatty.

- Czy, jeśli nadarzy się sposobność, byłby pan tak dobry i złożył grzecznościową wizytę gubernatorowi? - zapytał Hal. - To Holender, nazywa się van der Stel, Simon van der Stel. Ja będę bardzo zajęty przygotowaniem Serapha do dalszej podróży; wyświadczyłby mi pan wielką przysługę, podejmując się tego zadania w imieniu moim i Kompanii.

160

- Z największą przyjemnością - ukłonił się powtórnie tamten.

Od czasów kiedy Hal wraz ze swoją załogą uciekł z więzienia w lochach, minęło ponad dwadzieścia lat i niemożliwe było, żeby ktoś z kolonistów go rozpoznał, wciąż jednak ciążył na nim wyrok dożywocia. Podczas ucieczki zmuszeni byli zabić wielu strażników i ścigających ich żołnierzy. Była to wprawdzie samoobrona, ale Holendrzy mogli widzieć sprawę w innym świetle. Gdyby go rozpoznano, mógłby zostać doprowadzony przed holenderski trybunał i stanąć przed perspektywą ponownego osadzenia w lochu albo nawet zapłacenia za swoje czyny szubienicą, tak

jak ojciec. W tej sytuacji oficjalna wizyta u gubernatora nie byłaby dobrym posunięciem. Beatty nadawał się do tego w sam raz.

Hal potrzebował także informacji, które można było zdobyć tylko na lądzie. Na przylądek zawijały wszystkie statki wracające z Orientu, niezależnie od ich bandery. Portowe tawerny i burdele stanowiły najbogatsze i najłatwiej dostępne źródło wiedzy. Pożegnał więc uprzejmie rodzinę Beattych i zawołał do siebie Abolego z Dużym Danielem.

- Jak tylko się ściemni, płyniemy na brzeg - oznajmił im. - Przygotujcie barkas. Do pełni brakowało czterech dni. Kiedy płynęli do plaży po drżącej smudze księżycowego światła, góra majaczyła przed nimi wielka i ciemna, z muśniętymi srebrną poświatą rozpadlinami i urwiskami. Hal siedział na rufie między Danielem i Abolim. Wszyscy trzej mieli na głowach kapelusze i okutani byli w peleryny, pod którymi skrywali pistolety i miecze. Uzbrojeni byli także wioślarze, dwunastu doborowych ludzi pod dowództwem Wilsona.

Wyniosła ich na brzeg wielka atlantycka fala, która rozlała się po piasku z szumem spienionego grzebienia. Gdy tylko woda zaczęła się cofać, marynarze odciągnęli barkas poza linię przyboju.

- Miej ludzi na oku, Alf - ostrzegł Wilsona Hal. - Nie pozwól im się nigdzie wypuszczać w poszukiwaniu napitku i kobiet. Kto wie, czy nie będziemy musieli odbijać w pośpiechu.

Brnęli przez piasek plaży, dopóki nie natrafili na ubitą ścieżkę, prowadzącą do skupiska domów u podnóża fortu.

161

W niektórych oknach widać było poblask lamp, a kiedy podeszli bliżej, do ich uszu dotarły dźwięki muzyki, śpiewy i pijackie okrzyki.

- Niewiele się tu zmieniło od naszej ostatniej wizyty - mruknął Aboli.

- Pohandlować można jak przedtem - zgodził się Duży Daniel, przystając przy drzwiach pierwszej tawerny na obrzeżach osady.

Światło w środku było słabe, a chmura tytoniowego dymu tak gęsta, że przez dobrą chwilę musieli przyzwyczajać wzrok. Pomieszczenie wypełniał tłum ciemnych postaci oraz odór spoconych ciał, kwaśnego dymu z fajek i kiepskiego alkoholu. Panował tu ogłuszający gwar, a kiedy stanęli w drzwiach, wytoczył się przez nie pijany marynarz. Dobrnął do skraju plaży i padłszy na kolana, zwymiotował głośno i obficie, a potem przewrócił się i legł z twarzą w kałuży własnych wymiocin. Trzej mężczyźni przekroczyli próg tawerny i przepchnęli się przez ciżbę do kąta sali, gdzie za stołem na kobyłkach zaległ na ławie kolejny nieprzytomny pijak. Duży Daniel podniósł go jak śpiące niemowlę i ułożył delikatnie na klepisku. Aboli zmiotł ze stołu cynowe kufle i talerze z niedojedzonymi resztkami, a Hal zajął miejsce na ławie w rogu, żeby mieć na oku cały lokal i jego klientów. Byli to przeważnie żeglarze, choć dostrzegł także paru żołnierzy z zamkowego garnizonu, w niebieskich kurtkach z krzyżującym się na piersi białym pasem. Nasłuchiwał przez chwilę ich rozmów, lecz jego ucho wychwyciło jedynie bełkotliwe pijackie przechwałki, pomieszane z przekleństwami i głupawym śmiechem.

- Holendrzy - mruknął Aboli, siadając na ławie obok swego kapitana.

Słuchali przez chwilę razem. Niderlandzkiego nauczyli się podczas trzech lat niewoli, było to bowiem dla nich kwestią przetrwania.

Przy sąsiednim stole siedziało pięciu chwacko wyglądających marynarzy, którzy wydawali się mniej pijani od innych, lecz z powodu ogólnej wrzawy przekrzykiwali się tak jak wszyscy. Hal nadstawił ucha, ale nie usłyszał niczego ciekawego.

Hoten-tocka posługaczka przyniosła im kufle pianistego piwa.

Duży Daniel spróbował go i skrzywił się z niesmakiem.

162

- Szczynty! Prosto od świni, jeszcze ciepłe! - oznajmił, lecz upił zaraz kolejny haust.

Hal nie tknął nawet kufla, usłyszał bowiem, jak Holender przy stole obok mówi do pozostałych:

- Będziemy mieli szczęście, jeżeli nasz przeklęty konwój w ogóle wypłynie z tego zapluskwionego portu.

Wzmianka o konwoju zaintrygowała Hala. Statki handlowe zwykle żeglowały samotnie. Jedynie podczas wojny lub w obliczu innych niebezpieczeństw formowały

konwoje, udając się pod opiekę okrętów uzbrojonych w działa. Pochylił się, by lepiej słyszeć dalszy ciąg rozmowy.

- Ja, to prawda. Nie będę płakał, jeśli już nigdy nie rzucimy kotwicy w tym gnieździe czarnych kurew i hotentockich złodziei. Wydałem prawie wszystko do ostatniego guldena, a mam z tego tylko wrzody na głowie i poobcierana pytę.

- Na mój gust kapitan powinien zaryzykować i wyjść w morze samotnie. Niech piekło pochłonie tego Jangiriego i jego pogańską załogę! Die Luipard dotrzyma pola każdemu z tych synów proroka. Nie musimy tu czekać w nieskończoność, aż van Rutyers będzie gotowy nas niańczyć.

Na dźwięk imienia Jangiri serce Hala zabiło szybciej. Usłyszał je po raz pierwszy od wyjścia z gabinetu Nicolasa Childsa.

- Kto to ten van Rutyers? - zapytał półgłosem Duży Daniel, pociągając z kufła kolejny łyk swojej trucizny.

- Admirał holenderski, dowódca Floty Oceanu Indyjskiego - wyjaśnił Hal. - Stacjonuje w holenderskiej faktorii w Dżakarcie. - Rzucił na blat srebrnego szylinga. - Postawże im dzban piwa, Danielu, i posłuchaj, co jeszcze mają do powiedzenia - polecił.

Gdy jednak Duży Daniel wstał z miejsca, ujrzał tuż przed sobą kobietę. Stała, podparwszy się pod boki, i spoglądała na niego z uwodzicielskim uśmiechem, w którym brak było zaledwie kilku zębów.

- Choć ze mną na zaplecze, ty wielki byku - zwróciła się do Daniela - a dostaniesz ode mnie coś, czego jeszcze nigdy nie miałeś.

- A co tam masz, kochaniutka? - Duży Daniel obnażył w szerokim uśmiechu swoje nagie dżiasła. - Może trąd?

Hal obrzucił prostytutkę szybkim spojrzeniem i uznał, że będzie lepszym źródłem informacji niż pijani holenderscy majtkowie.

163

- Wstydz się, mistrzu Danielu - powiedział. - Nie potrafisz rozpoznać damy, kiedy ją spotykasz?

Kobieta zerknęła zalotnie na Hala, szacując krój i materiał jego płaszcza oraz srebrne guzy przy kamizelce.

- Siadajcie, pani - zaprosił ją do stołu. Zachichotała i wdzięcząc się jak dziewczyna, odgarnęła z twarzy rzadkie szare włosy. Palce miała brudne, a pod połamanymi paznokciami widniały czarne obwódki. - Przynieście damie coś do przepłukania gardła, Duży Danielu. Najlepiej szklaneczkę dżinu. Nie, nie bądźmy sknerami. Przynieś od razu całą butelkę.

Kobieta otrzepała niechlujne spódnice i przysiadła na ławie naprzeciwko Hala.

- Z pana to istny książę, a niech mnie - spojrzała mu w twarz. - Przystojny jak sam diabeł, nie ma co.

- Jak masz na imię, ślicznotko? - zapytał Hal.

- Mevrouw Maakenberg - odrzekła. - Ale możesz mi mówić Hannah.

Wrócił Duży Daniel, niosąc kwadratową butelkę dżinu i kubek. Nalał do pełna. Hannah podniosła naczynie, odginając mały palec i pociągnęła po damsku. Czując na języku moc białego trunku, nawet się nie skrzywiła.

- A więc Hannah - Hal uśmiechnął się do niej, a ona zaczęła się wiercić pod jego spojrzeniem jak pogłaskane szczenię. - Pewnie nic z tego, co dzieje się na przyładku, nie ujdzie twojej uwagi, co?

- Jak ja coś powiem, to prawda jak amen w pacierzu - znów zaprezentowała swój szczerbaty uśmiech. - Chce się pan czegoś dowiedzieć, sir, wystarczy spytać starą Hannah.

Okazało się, że to istotnie nie przechwałki. Przez następną godzinę Hal nie ruszył się z miejsca, słuchając jej opowieści. Odkrył, że za wypacykowaną ochrą twarzą i zmaconymi dżinem kaprawymi oczami kryją się pozostałości całkiem bystrego niegdyś umysłu.

Hannah знаła seksualne upodobania i zwyczaje wszystkich chyba mieszkańców osady, od gubernatora van der Stela do portowych tragarzy i woźniców. Potrafiła wymienić ceny wszystkich produktów na rynku, od ziemniaków po mampoer, ognistą brzoskwińową brandy, pędzoną przez obywateli. Wiedziała, kto ma na sprzedaż niewolników i jakiej zapłaty żądają za nich właściciele, a na jaką się zgodzą. Znała daty wpłynięcia do

164

portu wszystkich stojących w zatoce statków, nazwiska kapitanów, ładunek i nazwy portów, do których zawijały po drodze. Potrafiła zrelacjonować przebieg rejsu każdego z żaglowców, z wyliczeniem trudności i niebezpieczeństw, z jakimi przyszło mu się zmierzyć.

- Powiedz mi, Hannah - zapytał w końcu Hal - dlaczego stoi w zatoce tak wiele statków VOC? - Skrót ten oznaczał Yerenigde Oostindische Compagnie, holenderską Zjednoczoną Kompanię Wschodnioindyjską.

- Wszystkie wypłyną niedługo do Dżakarty. Gubernator van der Stel nakazał, żeby statki żeglujące na wschód płynęły w konwojach, pod ochroną okrętów wojennych.

- Dlaczego wydał takie zarządzenie?

- Za sprawą Jangiriego. Słyszeliście o Jangirim, prawda?

- Nie - pokręcił głową Hal. - Kto to jest?

- Każe na siebie mówić Miecz Proroka. Ale to tylko cholerny pirat, gorszy niż sam Franky Courtney, i tyle.

Hal z Abolim wymienili spojrzenia. Obu ich zaskoczyło, że imię sir Francisa zostało rzucone przez prostytutkę z takim lekceważeniem i że wyczyny ojca Hala są wciąż tak dobrze pamiętane w tej części świata.

Hannah nie zauważyła ich reakcji. Łyknęła dzinu i roześmiała się chrapliwie.

- Przez ostatnie pół roku zaginęły na Oceanie Indyjskim trzy statki VOC - poinformowała ich. - Każdy wie, że to robota Jangiriego. Powiadają, że Kompania straciła już przez niego milion guldenów. - Jej oczy zapłonęły z zadziwienia. - Milion guldenów! Nie wiedziałam nawet, że jest tyle pieniędzy na świecie. - Wtem nachyliła się przez stół, wpatrując się z napięciem w swego rozmówcę. Jej oddech cuchnął jak stos łajna, lecz Hal nie odsunął się w obawie, że mogłaby się obrazić. - Ty mi kogoś przypominasz - stwierdziła z zastanowieniem. - Czy byłeś już kiedyś na Przylądku Dobrej Nadziei? Ja nigdy nie zapominam twarzy.

Hal pokręcił głową, a Duży Daniel wtrącił się ze śmiechem:

- A może, paniusiu, lepiej byś go rozpoznała, gdyby ci pokazał swojego ptaka? Znaczą się, lepiej niż po twarzy?

Hal zgromił go spojrzeniem, lecz Hannah, która zdążyła już do tego czasu opróżnić połowę butelki, zarechotała:

- Za taki widok zapłaciłabym i milion guldenów! - Łyp-

165

nęła z ukosa na Hala. - Chcesz pójść z Hannah do pokoju? Jesteś taki piękny, że dałabym ci za darmo!

- Następnym razem - obiecał jej Hal.

- Ja ciebie znam - upierała się. - Kiedy się tak uśmiechasz, to jestem nawet pewna. Ale to wróci. Nigdy nie zapominam twarzy.

- Powiedz mi jeszcze coś o Jangirim - próbował odwrócić jej uwagę Courtney, lecz kobieta już traciła wigor. Nalała sobie dzinu i podniosła pustą butelkę.

- Wszyscy, których kochałam, zostawili mnie i odeszli - powiedziała, a do oczu napłynęły jej łzy. - Nawet ta butelczyna nie chce ze mną zostać.

- Jangiri - przypomniał jej Hal. - Opowiedz mi o nim.

- To przekłety muzułmański pirat. Pali żywcem chrześcijańskich żeglarzy tylko po to, żeby usłyszeć ich krzyki.

- Skąd on pochodzi? Ile statków ma pod swoją komendą? Czy są uzbrojone?

- Pewien mój przyjaciel był na fregacie, którą gonił Jangiri, ale jej nie złapał - wybełkotała. - To śliczny chłopczyk. Chce się ze mną ożenić i zabierze mnie do Amsterdamu.

- Jangiri? - zapytał Duży Daniel.

- Nie on, ty durna pało - zjeżyła się Hannah - tylko mój chłopak. Zapomniałam, jak się nazywa, ale chciał się ze mną ożenić. Widział Jangiriego. Miał szczęście, że udało mu się uciec przed tym pogańskim krwiożercą.

- Kiedy to było, Hannah? Kiedy twój chłopak uciekał przed Jangirim?

- Będzie ze dwa miesiące. Koło wyspy Madagaskar, tam gdzie Fever Coast.

- Jakimi siłami dysponował Jangiri? - dopytywał się Hal.

- Dużo statków - odrzekła niepewnie Hannah. - Flota wojenna. Ale mój chłopak im uciekł.

Język już się jej plątał i Courtney zrozumiał, że niewiele z niej wydobędzie. Zadał jednak ostatnie pytanie.

- Czy wiesz, którędy płyną konwoje VOC do Dżakarty?

- Na południe - odparła. - Daleko na południe, tak mówią. Chcą płynąć jak najdalej od Madagaskaru. Tani się czai ten plugawy bezbożnik.
- A kiedy wyjdzie w morze następny? Hannah już odpłynęła w alkoholowy opar.
- Jangiri to diabeł - szepnęła. - To antychryst i każdy

166

porządny chrześcijanin powinien się go bać. - Jej głowa opadała powoli, aż w końcu wylądowała twarzą na stole w kałuży dżinu.
Duży Daniel, chwyciwszy ją za tłuste szare włosy, podniósł głowę prostytutki do góry i spojrzał w jej oczy.

- Dama nas opuściła - oznajmił, pozwalając głowie opaść z trzaskiem na stół. Kobieta zsunęła się z ławy i legła na podłodze, głośno chrapiąc. Hal wyjął z sakiewki u pasa srebrną dziesięciogul-denówkę i wsunął monetę za stanik Hannah.
- Nie zarobiłaby tyle z nogami do góry, choćby i do końca świata - mruknął Duży Daniel.

- Zapracowała na to - odparł Hal, wstając. - Lepszego języka nie zasięgnąłbyś nawet u samego admirała van Rutyersa.

Alf Wilson czekał na nich na plaży z barkasem gotowym do odpłynięcia. Przez całą drogę powrotną na Serapha Hal siedział w milczeniu, przeżywając wiadomości zasłyszane od Hannah i obmyślając plan dalszego działania. Kiedy wspiał się na pokład po sznurowej drabince, wiedział już, co musi zrobić.

To, co nam wczoraj opowiedziała przyjaciółka Dużego Daniela, pomogło w wyjaśnieniu przynajmniej niektórych spraw - powiedział Hal, patrząc po skupionych twarzach oficerów, stłoczonych w kapitańskiej kabinie. - Po pierwsze, Jangiri ma swoją norę gdzieś w tych okolicach. - Pochyliwszy się nad rozpostartą na blacie mapą, postukał palcem w kontur Madagaskaru. - Stąd może bez trudu kontrolować szlaki handlowe na południu i wschodzie.

- Znaleźć tę jego bazę wypadową to będzie prawdziwa sztuka - mruknął Aboli. - Nie musi przecież siedzieć na żadnej z dużych wysp. Są tam setki niniejszych wysepek, rozsianych na dwóch tysiącach kabli, od wybrzeża Omanu na Morzu Arabskim aż po Maskareny na południu.

- Masz rację - skinął głową Hal. - W dodatku wielu z tych wysp nie znamy, gdyż nie zostały nawet nazwane i nie ma ich na żadnej mapie. I przez sto lat nie opłynęlibyśmy i nie sprawdzili wszystkich. - Rozejrzał się po ich twarzach. - Skoro nie da się znaleźć Jangiriego, to co możemy zrobić?

- Niech on znajdzie nas - rzekł Ned Tyler. Hal skinął głową.

167

- Trzeba go wywabić z jego matecznika. Podsunać mu jakąś przynętę. Najlepszym do tego miejscem jest obszar wokół Fever Coast. Będziemy musieli krążyć demonstracyjnie przy brzegach Afryki, między Madagaskarem i Zanzibarem. - Usłyszał pomruk akceptacji.

- Możecie być pewni, że on ma swoich agentów we wszystkich portach Oceanu Indyjskiego - powiedział Duży Daniel. - Powiadają go o każdym wartościowym łupie, jaki pojawia się na tych wodach. W każdym razie ja bym tak robił, gdybym był takim pogańskim piratem.

- To prawda - odwrócił się do niego Hal. - Będziemy zawijać do każdego portu i rozsiewać pogłoski o naszych bogactwach i kiepskim uzbrojeniu.

- Dwa bojowe wschodnioindyjski z trzydziestoma sześcioma działami na pokładzie? - zaśmiał się Ned Tyler. - To dość, żeby poskromić każdego pirata.

- Jeden - rzekł Hal i uśmiechnął się, widząc ich pytające spojrzenia. - Zamierzam odesłać Yeomana do Bombaju, jak tylko się tu pokaże. Zabierze pasażerów oraz ładunek, jakiego uda się nam pozbyć z naszych ładowni. A my popłyniemy na Fever Coast.

- Tak czy inaczej Seraph to silny statek - zauważył Alf Wilson. - Piraci będą się go bali.

*- Zanim wyjdziemy w morze, nie będzie już tak wyglądał. - Hal rozłożył na stole plany żaglowca, nad którymi przemyślał, odkąd przekroczyli równik. - Koń trojański, moi panowie, oto co przygotowujemy na powitanie Jangiriego.

Stłoczyli się wokół biurka, a gdy zaczęli rozumieć, co ma na myśli, rozległy się pomruki aprobaty, posypały komentarze i propozycje.

- Musimy go przerobić na pełen skarbów, nieruchawy i nieuzbrojony statek handlowy. Najpierw furty działowe...

Następnego ranka Hal kazał się obwieźć łodzią wokół stojącego na kotwicy żaglowca. Zabrał ze sobą Neda i dwóch cieśli i objaśniał im po kolei zmiany, jakie zamierzał wprowadzić w wyglądzie Serapha.

- Całą snycerkę i złocenia zostawimy - powiedział, wskazując na piękne, bogate rzeźbienia rufy i dziobu. - Wygląda z nimi trochę dekadentcko, jak paradny galar lorda Mayora.

- Raczej jak francuski burdel - prychnął pogardliwie Duży Daniel.

168

- Poza tym lord Childs zirytowałby się niezmiernie, gdybyśmy uszkodzili jego mały majstersztyk - dorzucił Hal i wskazał na burty Serapha. - Przede wszystkim musimy zadbać o furty działowe. - Obramienia otworów działowych wyłożone były płatkowym złotem, zdobiąc kadłub przyjemną dla oka szachownicą, lecz jednocześnie podkreślając bojowy charakter statku. - Zaczniјcie pracę od nich - polecił cieślom. - Trzeba ukryć spojenia pokryw. Zaklejcie je smołą i przemaalujcie, żeby pasowały kolorem do kadłuba.

Przez kolejną godzinę oglądali dokładnie statek z barkasu, planując różne drobniejsze retusze w sylwetce Serapha, nadające mu niegroźny wygląd.

Kiedy wracali na pokład, Hal zwrócił się do Dużego Daniela:

- Kazałem zakotwiczyć tak daleko od brzegu nie tylko po to, by stać poza zasięgiem dział z fortu. Chciałem też uniknąć ciekawskich spojrzeń z ładu. - Skinął głową w stronę flotylli łodzi i łódek otaczającej statek. - Jak tylko rozpoczną się prace, musisz ich wszystkich stąd przegonić. Skoro zakładamy, że agenci Jangiriego są w każdym porcie, powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski. Nie chcę, żeby te ciekawskie oczka widziały, co robimy, a potem męli o tym ozorami. Znalazłszy się w kajucie, Hal napisał list do pana Beatty'ego\ podając adres jego kwatery w mieście. Oznajmił w nim, że cała rodzina odbędzie dalszą podróż do Bombaju na pokładzie Yeomana, kiedy ten zjawi się w zatoce. Będzie im towarzyszył Guy. Hal wolał załatwić tę sprawę na piśmie, żeby nie musieć się wdawać w niepotrzebne dyskusje i spory.

- Znakomicie! - mruknął pod nosem, osuszając atrament piaskiem. - W ten sposób ukróćmy przy okazji miłosne i pięściarskie zapędy panicza Thomasa. - Opatrzywszy list swoją pieczęcią, wezwał Dużego Daniela i kazał mu go dostarczyć na brzeg.

- I co, nie widać Yeomana! - zapytał, gdy tylko oficer wsunął głowę do \kabiny.

- Na razie nie, kapitanie.

- Przekaż oficerowi wachtowemu, że ma mnie zawiadomić, jak tylko zobaczą jego top na horyzoncie.

Powtórzył to polecenie już któryś z kolei raz, toteż Duży Daniel wznosił oczy ku niebu i ściągnął usta, podkreślając tym

169

gestem swoją anielską cierpliwość. Hal uśmiechnął się pod wąsem. Daniel mógł sobie pozwolić na taką poufałość.

Mężczyzna stał na szubienicy w jasnym słońcu poranka. Był to właściwie młodzieniec najwyżej osiemnastoletni. Bardzo przystojny, a Hannah Maakenberg uwielbiała takich. Wysoki, o prostych kończynach, miał długie do ramion, falujące włosy, czarne jak skrzydło kruka. Wydawał się przerażony i podniecało ją to, podobnie jak podniecało tłum gapiów. Byli tu wszyscy chyba mężczyźni, kobiety i dzieci z osady. Obywatele i gospodynie domowe, niewolnicy i Hotentoci. W doskonałych nastrojach, rozkrzyczani i rozbawieni. Przyprawiono nawet malutkie dzieci, które pod wpływem tej spontanicznej wesołości ganiały się z piskiem pomiędzy nogami dorosłych.

Obok Hannah stała żona któregoś z wolnych obywateli, pulchna kobieta o dobrotliwym wyglądzie, w przyprószonym mąką fartuchu. Musiała dopiero co piec chleb w domu. Jej spódnicy uczepliła się córeczka, aniołkowata dziewczynka z kciukiem w buzi, przyglądająca się skazańcowi szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

- To jej pierwsza egzekucja - wyjaśniła matka. - Jest trochę nieswoja i boi się tłumu.

Więzień miał ręce skute za plecami. Był bosy, odziany w postrzępioną marynarską kurtkę. Na środek szubienicy wyszedł sędzia, żeby odczytać oskarżenie i wyrok. Tłum zakołysał się wyczekująco.

- Usłyszycie teraz werdykt Sądu Kolonii na Przylądku Dobrej Nadziei. Z łaski Boga i władzy nadanej mi na mocy Karty Stanów Generalnych Republiki Holandii...
- zaczął urzędnik.
- Szkoda czasu! - zawołał jakiś obywatel z tylnych rzędów. - Niech nam chłopina zatańczy na sznurze!
- ...uznaje się Hendrika Martinusa Ockersa za winnego zbrodni morderstwa...
- Byłam tam - pochwaliła się z dumą Hannah swojej sąsiadce. - Wszystko widziałam. Nawet wzięli mnie do sądu na świadka, a jakże!
Na tamtej zrobiło to odpowiednie wrażenie.
- Dlaczego to uczynił? - zapytała.
- A dlaczego oni to zawsze robią? - wzruszyła ramionami

170

Hannah. - To zarzygane pijaczyny. - Pamiętała dobrze dwie ciemne sylwetki, krążące wokół siebie z długimi nożami, połyskującymi w niesamowitym świetle latarni, dwa koślawe cienie na ścianach tawerny, okrzyki i tupanie gapiów.
- A jak to zrobił?
- Nożem, kochaniutka. Całkiem był szybki jak na to, ile przedtem wypił. Niczym pantera, mówię ci. - Wykonała gest cięcia. - O tak, przez środek brzucha. Rozplątał tamtego jak rybę. Wszystkie flaki mu wypadły, zaplątał się nogami i padł na twarz.
- Ooch! - Gospodyni aż się zatrzęsała z przerażenia i fascynacji. - To istne zwierzęta, ci marynarze.
- Nie tylko marynarze - Hannah pokiwała z afektacją głową. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami.
- Święte słowa - zgodziła się kobieta. Podniosła dziewczynkę i posadziła sobie na ramionach. - Siedź tam, Lieve-ling - powiedziała. - Będiesz lepiej widzieć. Sędzia dotarł tymczasem do końca sentencji:
- Wzmiankowany Hendrik Martinus Ockers zostaje niniejszym skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok będzie wykonany publicznie na placu apelowym twierdzy o godzinie dziesiątej przed południem dnia trzeciego września.
Po tych słowach zszedł ciężko po schodkach, a strażnik pomógł mu pokonać ostatnie stopnie. Do skazańca zbliżył się kat i nałożył mu na głowę czarny płócienny worek.
- Nienawidzę, jak to robią - burknęła Hannah. - Lubię patrzeć na ich twarze, jak już zawisną. Stają się takie purpurowe i pokrzywione.
- Powolny Jan nigdy nie zakrywał im twarzy - przytaknęła jej rozmówczyni.
- Ach, pamiętasz Powolnego Jana? To był artysta!
- Nie zapomnę, jak wieszał sir Franky'ego, tego angielskiego pirata. To dopiero było widowisko.
- Ja też to pamiętam, jakby to było wczoraj - oznajmiła Hannah. - Pracował nad nim dobre pół godziny, zanim go ściał... - Przerwała nagle, gdyż jakaś inna myśl dobijała się do jej pamięci. Coś związanego z piratami i tym ładnym chłopcem na szubienicy. Potrzęsnęła z irytacją głową; alkohol zaciemniał jej umysł.
Kat przełożył pętlę przez głowę skazańca i zaciągnął ją pod lewym uchem. Chłopak zaczął się trząść. Hannah była zła, że

171

nie może teraz zobaczyć jego twarzy. Ta scena coś jej przypominała.
Kat cofnął się i podniósł ciężki drewniany pobijak. Zamachnął się i rąbnął w przytrzymujący zapadnię klin. Więzień krzyknął żałościwie:
- Miej litość, na Boga!
Gapie zarechotały. Kat zamachnął się powtórnie i klin został wybity. Zapadnia otworzyła się z trzaskiem i skazaniec poleciał w dół. Zawisł na końcu liny, tak że było go widać tylko do pasa. Szyja mu się wyciągnęła, głowa przekrzywiła na bok. Hannah usłyszała, jak z suchym trzaśnięciem pęka kręgosłup, i znów poczuła rozczarowanie. Powolny Jan na pewno lepiej by obliczył, skazaniec wierzgałby i szarpał się w męczarniach przez długie minuty, a życie uchodziłoby z niego powoli. Ten kat to zupełny prostak bez wyczucia. Dla Hannah wszystko się skończyło zbyt szybko. Ciało wisielca zadrżało konwulsyjnie kilka razy i znieruchomiało z nienaturalnie wygiętą szyją, kręcąc się w kółko.
Odwróciła się zde gustowana. Nagle zamarła w bezruchu. Wspomnienie, którego tak długo nie mogła pochwycić, wróciło do niej w jednej chwili.

- Chłopak pirata! - powiedziała na głos. - Sir Franky... To jego syn. Nigdy nie zapominał twarzy. Wiedziała, że go skądś znam!

- Co ty mówisz? - zapytała kobieta z dzieckiem na ramionach. - Syn Franky'ego? Kto jest synem Franky'ego?

Hannah nie zamierzała jej odpowiadać. Odeszła szybko, zachowując swój sekret dla siebie, dygocząc z ekscytacji. W jej głowie tłoczyły się wspomnienia sprzed dwudziestu lat. Widziała proces angielskich piratów; była wtedy młoda i piękna, pozwoliła jednemu ze strażników użyć sobie odrobinę za darmo i wpuścił ją na salę sądową. Oglądała całą rozprawę z ławki w tylnych rzędach. To było lepsze niż teatr czy nawet jarmark.

Ujrzała znów chłopaka, syna Franky'ego, skutego z nim łańcuchem i stojącego u jego boku, podczas gdy stary gubernator van de Yelde skazywał kapitana na śmierć, a jego załogę na dożywotnie ciężkie roboty przy murach twierdzy. Jak on miał na imię? Kiedy zamknęła oczy, zobaczyła twarz syna Franky'ego tak wyraźnie, jakby przed nią stał.

- Henry! - wykrzyknęła. - Henry Courtney! Trzy lata później piraci, pod wodzą tegoż Henry'ego Court-neya, zdołali się wydostać z zamkowych lochów. Hannah nigdy

172

nie zapomni odgłosów walki, krzyków i ognia z muszkietów, a potem eksplozji, od której zatrzęsała się ziemia i wzbił w niebo potężny słup dymu i pyłu, kiedy te angielskie łotry wysadziły w powietrze magazyn prochu pod zamkiem. Widziała na własne oczy, jak uprowadzona przez nich karoca wyjechała pędem za bramę twierdzy i zniknęła na drodze prowadzącej w dzikie ostępy. Chociaż żołnierze z garnizonu ścigali ich aż do gór na północy, udało im się umknąć.

Potem na targu i we wszystkich portowych tawernach rozwieszono za nimi listy gończe.

- Dziesięć tysięcy guldenów! - przypomniała sobie. - Dawali dziesięć tysięcy. - Próbowała wyobrazić sobie tak olbrzymią sumę pieniędzy. - Gdybym je miała, mogłabym wrócić do Amsterdamu i żyć jak wielka pani do końca moich dni.

Po chwili jednak jej animusz osłabł. Czy po tylu latach nagroda wciąż była aktualna? Hannah opuściła głowę, zrozpaczona, że wspaniała fortuna wymyka jej się z rąk. Powiem Annetjie, niech się dowie od swojego chłopaka w twierdzy, postanowiła. Annetjie była jedną z młodszych i ładniejszych kurew pracujących w tawernach przyładka. Wśród jej stałych klientów był jeden z urzędników gubernatora, w żargonie ich profesji jej "kociołek". Hannah zebrała spódnice i pobiegła na nabrzeże; wiedziała, że Annetjie ma pokój w Die Malmok, jednej z najpopularniejszych wśród żeglarzy tawern, której nazwa pochodziła od wędrownego albatrosa.

Miała szczęście: Annetjie nie zwlokła się jeszcze z brudnego siennika w swojej klitce na poddaszu tawerny. W pokoju wisiał odór potu i rozpusty. Dziewczyna usiadła na posłaniu; gęste czarne loki miała potargane, a oczy półprzytomne od snu.

- Czyś oszalała? Po co mnie budzisz o tej porze? - ofuknęła gniewnie koleżankę.

Hannah przycupnęła na materacu i opowiedziała jej wszystko jednym tchem.

Annetjie usiadła, wycierając zaschniętą ropę z kącików oczu. W miarę jak słuchała, wyraz jej twarzy się zmieniał.

- Ile? - zapytała z niedowierzaniem. Natychmiast zwlokła się z posłania i zaczęła zbierać rozrzucone po podłodze części swego ubioru. - Na którym statku przypłynął ten kereH - dopytywała się, wkładając koszulę przez głowę i zakrywając kołyszące się białe piersi.

173

Hannah nie umiała na to odpowiedzieć. W zatoce stało na kotwicy ponad dwadzieścia statków i nie miała pojęcia, na którym znajduje się ważna zdobycz. Nagle jej twarz się rozjaśniła. Henry Courtney był piratem z Anglii, a wśród flotylli w porcie były tylko dwa angielskie żaglowce. Musiał być na jednym z nich.

- To już moje zmartwienie, Lieveling - powiedziała dziewczynie. - Ty się tylko dowiedz, czy dają jeszcze tę nagrodę i co zrobić, żeby ją otrzymać.

Musieli odczekać piętnaście dni, zanim wreszcie w Zatoce Stołowej pojawił się Yeoman of York i rzucił kotwicę nie dalej niż kabel za rufą Serapha. Edward

Andersen natychmiast przypłynął łodzią i wszedłszy na pokład, przywitał Hala słowami:

- Ledwie was rozpoznałem, sir Henry. Seraph to teraz zupełnie inny żaglowiec.

- To znaczy, że osiągnąłem swój cel. - Courtney ujął go pod ramię i poprowadził do zejściówki. - Dlaczego tak późno? - zapytał.

- Mieliśmy przeciwny wiatr, odkąd straciliśmy was z oczu - odparł gderliwie Andersen. - Ale jestem szczęśliwy, że wreszcie się spotkaliśmy.

- Nie na długo - rzekł Hal, wskazując mu, żeby usiadł, i nalewając wina. - Jak tylko załadujecie prowiant i oczyścicie statek, posyłam was do Bombaju, a Seraph popłynie wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu tego mużułmańskiego zbira.

- Nie tego się spodziewałem - Andersen aż parsknął winem, widząc, jak oddala się od niego szansa na udział w łupach. - Mam dobrze uzbrojony statek, a moja załoga...

- O to właśnie chodzi - przerwał mu Hal. - Z informacji, jakie udało mi się tutaj zebrać, wynika, że najlepszym sposobem na odnalezienie Jangiriego będzie zwabienie go na jakąś przynętę. Dwa uzbrojone żaglowce raczej go odstraszą, niż wyciągną z kryjóWKI.

- Ach, więc to dlatego zmieniliście wygląd Serapha\ - zrozumiał wreszcie Andersen. Hal skinął głową.

- Poza tym mamy pasażerów, pilną pocztę i ładunek do Bombaju. Pan Beatty zatrzymał się na kwaterze w mieście

174

i czeka, aż go pan zabierze do Indii, kapitanie Andersen. Korzystne wiatry nie utrzymają się już długo. Kiedy pogoda się zmieni i zacznie wiać w drugą stronę, trudno wam będzie przejść Ocean Indyjski.

- Rozumiem pańską argumentację, kapitanie Courtney - westchnął tamten - chociaż niewielka to dla mnie pociecha. W rzeczy samej, przykra mi jest myśl o tym, że mamy się znów rozdzielić.

- Zanim dotrzecie do Bombaju, monsun zmieni kierunek. Opróżnicie ładownie i będziecie mogli złapać wiatr od lądu. To przyspieszy waszą podróż powrotną do Fever Coast, gdzie Seraph już będzie na was czekał.

- Zejdzie nam na tym kilka miesięcy - zauważył ponuro Andersen.

Hala ucieszył bojowy duch współtowarzysza wyprawy. Większość kapitanów Kompanii byłaby zachwycona, mogąc uniknąć niebezpieczeństwa, i zadowalała się spokojnym życiem na statku handlowym. Próbował zmniejszyć gorzyc Andersena.

- Zanim się znów spotkamy - powiedział - powinienem już dysponować lepszymi informacjami o Jangirim. Może uda nam się wytropić jego matecznik. Może pan być pewny, kapitanie, że potrzeba będzie siły obu naszych statków, żeby go stamtąd wykurzyć. Z pewnością nie podejmę się tego przedsięwzięcia bez pomocy Yeomana i jego dzielnej załogi, sir.

Anderson nieco się rozchmurzył.

- W takim razie muszę jak najszybciej przygotować statek do dalszej podróży. - Dopił wino i wstał. - Niezwłocznie udam się na brzeg, aby powiadomić pana Beatty'ego, że wkrótce musi się przenieść z rodziną na Yeomana.

- Poślę z panem mojego oficera, Daniela Fishera; zna drogę do kwatery Beattych. Chętnie sam bym panu towarzyszył, lecz z różnych powodów byłoby to niewskazane.

- Hal odprowadził Andersena aż na pokład. Przystanęli przy relin-gu. - Każę załadować pocztę i towary przeznaczone dla gubernatora Aungiera i dostarczę je na Yeomana jutro rano. Za trzy dni zamierzam podnieść kotwicę i zacząć polowanie na Jangiriego.

- Moi ludzie będą gotowi do przejęcia ładunku. Z Bożą pomocą i my także powinniśmy wyjść w morze za jakieś dziesięć dni.

- Jeżeli sprawi mi pan tę przyjemność i przyjmie moje

175

zaproszenie na jutrzejszy obiad na moim żaglowcu, moglibyśmy przy tej okazji omówić szczegóły naszych planów.

Uścisnęli sobie dłonie. Schodząc na swój barkas, Anderson wydawał się znacznie pogodniejszy niż na początku rozmowy. Towarzyszył mu Duży Daniel.

Hannah siedziała na wierzchołku jednej z wysokich wydm wznoszących się nad plażą, skąd widać było całą flotyllę statków kotwiczących w zatoce. Była w towarzystwie Annetjie i Jana Oliphanta.

Jan Oliphant był jej synem z nieprawego łoża. Jego ojciec nazywał się Xia Nka i był potężnym wodzem Hotentotów. Przed trzydziestoma laty, jako śliczna złotowłosa dziewczyna, Hannah przyjęła od niego podarek w postaci pięknego kaross ze skóry czerwonego szakala w zamian za noc jej usług. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska surowo zabraniała związków między białymi kobietami i kolorowymi mężczyznami, Hannah jednak nie przejmowała się nigdy głupimi prawami, stanowionymi w Amsterdamie przez siedemnastu starców.

Chociaż Jan Oliphant z rysów twarzy i koloru skóry wdał się w ojca, dumny był ze swego europejskiego pochodzenia. Płynnie mówił po holendersku, nosił rapier i muszkiet i ubierał się jak wolny obywatel. Nazwisko Oliphant zyskał sobie w związku ze swą profesją. Polował na słonie; był słynnym myśliwym, człowiekiem twardym i niebezpiecznym. Na mocy dekretu VOC holenderskim mieszkańcom kolonii nie wolno było oddalać się poza jej granice. Jan Oliphant dzięki hotentockiemu pochodzeniu nie podlegał tym ograniczeniom. Mógł wychodzić do woli, zapuszczać się w pozbawioną ścieżek dzicz za górami i wracać z drogocennymi kłami słoniowymi, które sprzedawał na miejscowym targu.

Śniade oblicze Jana było straszliwie pokiereszowane. Nos miał skrzywiony, a usta poprzecinane lśniącymi białawymi bliznami, które zaczynały się pod wełnistą czupryną, a kończyły na podbródku. Jego połamana szczeka wykrzywiła się tak, że usta miał stale otwarte jakby w okropnym uśmiechu. Podczas jednej ze swych pierwszych wypraw w głąb interioru zaatakowała go hiena, kiedy spał przy ognisku. Zwierzę chwyciło go swymi potężnymi szczękami za twarz.

176

Tylko ktoś o sile i posturze Jana Oliphanta mógł przetrwać taki atak. Bestia powlokła go w ciemność, zwisającego u jej piersi jak mysz w pysku kota. Nie przejęła się okrzykami i kamieniami ciskanymi przez towarzyszy Jana. Swe długie żółte kły zatopiła w jego twarzy tak głęboko, że strzaskała mu szczękę, a nos i usta miał zupełnie zatkane i nie mógł oddychać.

Jan zdołał wyciągnąć nóż z pochwy u pasa, a drugą ręką wymacać pod pierś zwierzęcia przerwę między żebrami. Poczul bicie jej serca. Starannie przystawił do tego miejsca czubek noża i jednym silnym pchnięciem zabił stwora.

Przykucnąwszy teraz na wydmie między obiema kobietami, głosem zniekształconym przez uszkodzony nos i skrzywioną szczękę zapytał matkę:

- Czy jesteś pewna, że to ten sam człowiek?

- Mój synu, ja nigdy nie zapomnę twarzy - odparła zawzięcie Hannah.

- Dziesięć tysięcy guldenów, powiadasz? - Jan parsknął śmiechem. - Żaden człowiek, żywy czy martwy, nie jest wart takiej sumy.

- Ale to prawda - wtrąciła porywczo Annetjie. - Nagroda wciąż czeka. Rozmawiałam z moim kochaniem w forcie. Mówi, że VOC jest gotowa wypłacić całą sumę. - Uśmiechnęła się półgębkiem. - Zapłacą za żywego lub martwego, jeżeli tylko udowodnimy, że to naprawdę Henry Courtney.

- Niech w takim razie posła na jego statek żołnierzy, żeby go schwytali - powiedział Jan.

- Ty durniu, przecież jeżeli go aresztują, nie zobaczymy z nagrody ani grosza - odparła z pogardą Annetjie. - Musimy go złapać sami.

- A może on już odpłynął?

- Nie! - Hannah z przekonaniem pokręciła głową. - Nie, Lieveling. Żaden angielski statek nie podniósł żagli w ciągu ostatnich trzech dni. Jeszcze jeden przypłynął, ale żaden nie wyszedł w morze. Spójrz! - pokazała na zatokę. - Stoją tam wszystkie.

Morze pocętkowane było białymi kędzierzawymi falami. Żaglowce tańczyły przy wtórze wiatru wdzięcznego menueta, kołysząc się i podskakując na uwięzi, a ich bandery i proporce rozwijały się i powiewały w migotliwej tęczy. Hannah znała nazwy wszystkich statków. Wymieniała je po kolei, aż doszła

177

do dwóch angielskich, stojących tak daleko, że nie dało się rozróżnić ich kolorów.

- Ten to Seraph, a tamten z tyłu, bliżej Robben Island... to Yeoman of York - kaleczyła angielskie nazwy swym ciężkim akcentem. Nagle zmrużyła oczy. - Z Serapha opuszczają łódź. Może los nam sprzyja i nasz pirat nią przypłynie.

- Dotarcie do plaży zajmie mu dobre pół godziny. Mamy mnóstwo czasu. - Jan Oliphant wyciągnął się na plecach w słońcu i potarł dłonią wybrzuszenie w kroczu. - Coś mnie tu strasznie swędzi. Chodź, Annetjie, podrap mnie. Dziewczyna odsunęła się bojaźliwie.

- Wiesz przecież, że prawo Kompanii zabrania nam, białym damom, doić takich czarnych bękartów jak ty.

- Nie doniosę na ciebie do gubernatora - zaśmiał się Jan, ocierając rękawem strużkę śliny, cieknącą mu po brodzie ze zniekształconych ust. - Chociaż słyszałem, że i on nie gardzi odrobiną ciemnego mięska. Moja matka będzie nas pilnować.

- Nie ufam ci, Janie Oliphancie. Ostatnim razem mnie oszukałeś. Pokaż najpierw pieniądze - wykręcała się Annetjie.

- Myślałem, że się kochamy, Annetjie. - Jan uniósł się na łokciu i ścisnął jedną z jej pulchnych piersi. - Jak już będziemy mieli te dziesięć tysięcy, to może się nawet z tobą ożenię.

- Ożenisz? - Roześmiała się skrzekliwie. - Wstydzilibym się nawet pokazać z tobą na ulicy, ty szkaradna małpo. Jan wyszczerzył zęby.

- Nie mówimy przecież o spacerowaniu po ulicy. - Złapał ją w pasie i pocałował w usta. - No, chodź, kluseczko, mamy mnóstwo czasu, zanim ten barkas przybije do plaży.

- Dwa guldeny - upierała się Annetjie. - To specjalna cena dla moich najlepszych kochasiów.

- Masz tu pół florena - wsunął jej monetę między piersi. Annetjie sięgnęła do jego krocza i pomasowała je, czując, jak jej pęcznieje pod dłonią.

- Floren albo będziesz musiał go studzić w morzu - oznajmiła.

Jan prychnął przez zdeformowany nos i starłszy znów ślinę z brody, wyszczerzył z sakiewki drugą monetę. Annetjie wzięła ją i odrzuciła głowę, odgarniając z czoła splecione wiatrem czarne loki. Wstała, a Jan wziął ją na ręce i zniósł w dolinę pomiędzy wydhami.

178

Hannah przyglądała im się bez większego zainteresowania. Martwiła się o swój udział w nagrodzie. Jan Oliphant był jej synem, lecz nie żywiła złudzeń co do tego, że spróbuje ją wystawić do wiatru przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Musiała sprawić, żeby pieniądze trafiły najpierw do jej rąk, chociaż wiedziała, że Annetjie i Jan jej także nie ufają. Dumiała nad tym, przyglądając się, jak jej syn tryka dziewczynę, plas-kając głośno brzuchem o jej brzuch. Parskał i okrzykami zachęcał sam siebie do większego wysiłku.

- Ja! Ja! Jak huragan! Jak tryskający Lewiatan! Jak ojciec wszystkich słoni pędzący przez dżunglę! Ja! Oto nadchodzi Jan Oliphant! - Wydał z siebie ostatni ryk, zsunął się z dziewczyny i legł obok niej na piasku.

Annetjie wstała i wyglądziwszy spódnice, spojrzała na niego z pogardą.

- Raczej jak złota rybka puszczająca babelki, niż jak wieloryb ze swoją fontanną! - parsknęła i wdrapała się z powrotem na wydmę, by usiąść obok Hannah. Łódź z Serapha zbliżała się już do brzegu. Wspięła się właśnie na wierzchołek grzywacza, z wiosłami na przemian błyszczącymi w słońcu i znikającymi w wodzie.

- Widzisz ludzi na rufie? - zapytała podekscytowana Hannah. Annetjie ocieniła oczy dłonią.

- Ja, widzę dwóch.

- Ten z tyłu - pokazała jej towarzyszka - był tamtej nocy z Henrym Courtneyem. To oficerowie, mówię ci.

Wielki mężczyzna wstał i krzyknął coś do wiosłarzy. Wszyscy naraz wciągnęli wiosła i postawili je na sztorc, niczym kawaleryjskie lance. Po chwili barkas wśliznął się na piasek plaży i znieruchomiał.

- Duży jest, sukinsyn - zauważyła Annetjie.

- To on, na pewno.

Duży Daniel z kapitanem Andersenem wysiedli z łodzi i ruszyli plażą w stronę osady.

- Pójdę pogadać z wiosłarzami - zaofiarowała się Annetjie. - Dowiem się, na którym statku jest nasz chłoptaś i czy to naprawdę syn tego pirata Franky'ego.

Hannah i Jan Oliphant patrzyli, jak idzie niespiesznie w stronę łodzi. Marynarze spostrzegli ją i powitali okrzykami, trącając się łokciami i szczerząc zęby w wyczekujących uśmiechach.

179

- Annetjie będzie odbierać dla nas tę nagrodę - zwróciła się Hannah do syna.

- Ja. Myślałem o tym samym. Na pewno od tego swojego kochasia.

Dziewczyna śmiała się i przekomarzała z marynarzami. Potem skinęła głową i poprowadziła jednego z nich ku zagajnikowi ciemnozielonych mlekowców na skraju plaży.

- Ile jej obiecałaś z nagrody? - zapytał Jan Oliphant.

- Połowę.

- Połowę? - Zaszokowała go taka rozrzutność. - To za dużo.

Pierwszy z marynarzy wyłonił się z zagajnika, zawiązując sznurek bryczesów, a koledzy powitali go ironicznym wiwatem. Z łodzi wyskoczył drugi i pobiegł ku drzewom, odprowadzany gwizdami i oklaskami.

- Ja, to za dużo - zgodziła się Hannah. - To chciwa suka. Tylko spójrz, obsłuży wszystkie te angielskie świny po kolei.

- Ja, wzięła ode mnie dwa guldeny. Chciwa dziwka. Będziemy musieli się jej pozbyć. - Jan wzruszył filozoficznie ramionami.

- Masz rację, mój synu. Zasłużyła na to. Ale dopiero jak odbierze nagrodę. Czekali cierpliwie, grzejąc się w słońcu i gawędząc od niechcienia o wielkiej fortunie, która wkrótce miała stać się ich własnością. Obserwowali procesję angielskich marynarzy, znikających kolejno w zagajniku. Po kilku minutach wracali, odpowiadając z zakłopotaniem na przyjacielskie drwiny i pohukiwania towarzyszy.

- Mówiłam ci, że obsłuży wszystkich, co do jednego - stwierdziła Hannah z udawaną dezaprobatą w głosie, kiedy ostatni z majtków wrócił do łodzi.

Po kilku minutach pomiędzy drzew wyszła Annetjie, strzepując piasek z włosów i ubrania. Dobrze się do niej, w którym czekali Jan i Hannah i z zadowoloną miną kłapnęła obok nich.

- No i co? - niecierpliwiała się Hannah.

- Kapitan angielskiego wschodnioindyjczyka, Serapha, to sir Henry Courtney - oznajmiła z dumą Annetjie.

- A na dowód tego masz osobne świadectwo każdego z ośmiu jego marynarzy - rzekła z przekąsem jej koleżanka po fachu.

180

Dziewczyna, zupełnie tym nie zrażona, ciągnęła:

- Ten Henry Courtney to bardzo bogaty angielski pan. Ma w Anglii wielkie posiadłości.

- Jako zakładnik byłby jeszcze więcej wart niż ta nagroda - powiedział z uśmiechem Jan Oliphant. - Jak tylko pojawi się na brzegu, będę już czekał na niego z moimi obwiesiami,

- Nie waż się na takie ryzyko - zaniepokoiła się Hannah. - Nie próbuj chwycić go dla okupu. Wygląda mi na śliską rybkę. Złap go, utnij mu łeb i zanieś do VOC. Bierz nagrodę i zapomnij o okupie.

- Żywy lub martwy? - zapytał Jan Annetjie.

- Ja, mówiłam przecież.

- Matka ma rację. Martwa ryba nie wyśliźnie się nam z ręki. Ryba bez łba - rozmarzył się Jan.

Ładunek przeznaczony do Bombaju przetransportowano z Se-rapha na Yeomana. Beczki po wyszorowaniu napełniono wodą ze strumienia spływającego meandrami ze zboczy Góry Stołowej. Uzupełniono zapasy oliwy do lamp, soli, mąki, sucharów i innych suchych produktów, które wyczerpały się podczas długiego rejsu na południe. Hal ponownie wyrównał trym statku, by jak najlepiej wykorzystać jego możliwości. Załódze dopisywało zdrowie i humory; marynarze objedzeni świeżymi warzywami, owocami i mięsem byli zadowoleni z życia, a dwudziestu sześciu chorych na skorbut szybko doszło do zdrowia w kwaterach na ładzie. Wrócili na statek rozradowani i skorzy do dalszej żeglugi.

- Wychodzimy jutro o świcie - poinformował Hal kapitana Andersona. - Wy też się postarajcie, żeby Yeoman był jak najszybciej gotowy do drogi.

- Nie ma obawy - zapewnił go Andersen. - Oczekuję naszego spotkania w dniu pierwszego grudnia.
- Będę miał dla was godziwe zajęcie - zapewnił go Courtney. - Jest jeszcze jedna sprawa, w której zmuszony jestem poprosić pana o pomoc.
- Wystarczy powiedzieć o co chodzi, sir.
- Dziś wieczór wybieram się na ląd. Muszę załatwić coś dla mnie bardzo ważnego.
- Proszę wybaczyć impertynencję, sir Henry, ale to nie jest

181

ładre. Sam pan mi się zwierzył, a ja swoją drogą sprawdziłem to dyskretnie u Holendrów. Tutejsze władze mają z panem niezadowolone porachunki. Jeżeli wpadnie pan w ich łapy, nie wyniknie z tego nic dobrego.

- Wdzięczny jestem za pańską troskę, sir, ale tej sprawy nie mogę zaniechać. Kiedy już ją załatwię, przekażę panu małą skrzynkę z prośbą o zabranie do Bombaju i będę wielce zobowiązany, jeżeli pierwszym statkiem opuszczającym ten port odeśle ją pan do mego najstarszego syna w Anglii.

- Może pan na mnie całkowicie polegać, sir Henry. Zrobię to.

Tom i Dorian obserwowali z rosnącym podnieceniem przygotowania do wyprawy na ląd. Rozmawiali o tym już od kilku dni. Kiedy Hal dokonał wyboru ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć, i wydał im ekwipunek i broń, ciekawość chłopców sięgnęła zenitu.

Zebrawszy się na odwagę, zakradli się pod kajutę ojca podczas jednego z jego sekretnych zebrań z oficerami. Dorian stanął na czatach przy zejściówce, a Tom przyłożył ucho do drzwi i podsłuchiwał. Usłyszał głos Hala.

- Panie Tyler, będziesz dowodził statkiem podczas mojej nieobecności. Może się okazać, że Holendrzy zaczną nam deptać po piętach i będzie nam się nieco śpieszyło z powrotem, toteż załoga łodzi powinna na nas czekać na plaży w pogotowiu i pod bronią. Pan zaś musi być gotów w każdej chwili pośpieszyć nam z pomocą, a kiedy tylko znajdziemy się na pokładzie, podnieść kotwicę i postawić żagle; nawet w środku nocy.

Tom z Dorianem wrócili na pokład i wspiawszy się na maszt, usiedli ramię przy ramieniu w bocianim gnieździe. Było to najlepsze miejsce na statku, jeśli się chciało uniknąć ciekawskich uszu.

- To będzie dziś wieczorem... słyszałem, jak ojciec wydawał rozkazy. Wyprawia się na brzeg z uzbrojonym oddziałem - poinformował Tom młodszego brata. - No to teraz już wiemy, do czego mu ta skrzynia, prawda?

- Wiemy? - zdziwił się Dorian.

Patrzyli, jak marynarze pod okiem Dużego Daniela wynoszą tajemnicze pudło z ładowni. Rozmiarów niedużej marynarskiej skrzynki, wykonane było z politurowanego drewna teko-

182

wego, pięknie łączonego w jaskółczy ogon, i miało przykręcane wieko.

- Oczywiście - odparł z ważną miną Tom. - Ojciec chce zabrać ciało dziadka Francisa z miejsca, gdzie je ukrył Aboli. Dorian od razu się ożywił.

- Czy pozwoli nam pójść z sobą?

Tom podniósł czapkę i podrapał się z powątpiewaniem w głowę.

- Chyba się nie boisz go zapytać, Tom? - nalegał chłopiec. Wiedział, że to najlepszy sposób na to, żeby brat postąpił po jego myśli.

- Pewnie, że nie - oburzył się Tom. Musiał jednak wykrzesać z siebie całą swoją odwagę, żeby ponownie wyprawić się do kabiny na rufie.

- Ja będę mówił - szepnął do Doriana i zapukał do drzwi.

- Wejść! - zawołał bezceremonialnie ojciec, a ujrawszy, kto przyszedł, powiedział: - Och, to wy. Na pewno macie bardzo ważną sprawę, chłopcy, ale dziś nie mam czasu się nią zająć. Musicie przyjść kiedy indziej... najlepiej jutro. Obaj młodzi Courtneyowie mieli w rękach czapki, lecz zacięty wyraz ich twarzy mówił, że nie ustąpią tak łatwo. Tom wskazał na stojącą na środku podłogi skrzynię z lękowego drewna.

- My wiemy, ojczu, że wyprawiasz się dziś w nocy na ląd, żeby zabrać ciało dziadka Francisa. To jest trumna na jego szczątki, przywiozłeś ją z domu.

Hal czyścił właśnie parę pistoletów leżących przed nim na biurku. Wcisnął do luf długi wycior i wyciągał starą kulę, przybitkę i proch, by je zastąpić nowymi.

Podniósłszy głowę znad tej roboty, przyjrzał się ich poważnym twarzom i westchnął ciężko.

- Nakryliście mnie - mruknął. - Nie ma sensu zaprzeczać.

- Chcemy iść z tobą - oznajmił Tom.

Hal spojrział nań zaskoczony, po czym wrócił do przerwanej pracy. Starannie odmierzył ładunek prochu z prochownicy, wsypał go do lufy i mocno ubił. Potem z blaszanego pudełka wyjął małą szmatkę i owinał nią półuncjowy ołowiany pocisk. Taki najlepiej wypełniał lufę. Jego pistolety były piękną bronią, wykonaną przez George'a Truelocka z Londynu. Kolbę miały z drewna orzecha włoskiego o zawiłym wzorze słoików.

- Twoja rana jeszcze się nie zagoiła - powiedział, nie podnosząc głowy.

183

- Jest już całkiem czysta - zaprotestował Tom, dotykając boku. - To było tylko skaleczenie, nic więcej.

Hal udawał, że podziwia zamki dwulufowej broni. Były inkrustowane, a ośmiokątne lufy - gwintowane. Wprawiało to lecący pocisk w ruch obrotowy i, w porównaniu z lufami gładkimi, zwiększało precyzję strzału. Hal wiedział, że z odległości dwudziestu kroków trafi w cel wielkości swego kciuka za każdym strzałem, jeśli oczywiście nie stracił dawnej zręczności. Wepchnął kulę małym drewnianym pobończykiem i podsypał prochu na panewkę.

- Jeśli nawet, to i tak nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - stwierdził.

- To przecież nasz dziadek, jesteśmy jego rodziną - nalegał Tom. - Mamy obowiązek być tam z tobą.

Starannie dobierał słowa, które już wcześniej sobie przygotował. Wiedział, że kwestie rodziny i obowiązku ojciec traktuje niezwykle poważnie. I istotnie, zareagował teraz po jego myśli. Odłożył załadowany pistolet, wstał i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę z założonymi do tyhurękami, wpatrując się w ład. Wreszcie przemówił.

- Może i masz rację, Tom. Wyrosłeś już bardzo i potrafisz walczyć - rzekł, odwracając się do chłopców.

- Dziękuję, ojcze. - Tom, rozpromieniony, nie posiadał się z radości. Dorian czekał w napięciu na dalsze słowa ojca.

- Ale ty musisz zostać, Dorianie. Jesteś za młody. - Hal usiłował złagodzić cios dobrotliwym uśmiechem. - Nie chcemy cię jeszcze stracić.

Chłopiec był zdruzgotany odmową. Twarz miał ściągniętą, oczy pełne łez. Tom szturchnął go mocno i szepnął półgębkiem:

- Nie becz. Nie bądź dzieciuchem.

Dorian zebrał się w sobie i z wielkim wysiłkiem powstrzymał płacz.

- Nie jestem dzieciuchem. - Był dzielny i tragiczny zarazem.

To piękny chłopak, pomyślał Hal, przyglądając się twarzy syna. Skórę Doriana ozłociło słońce tropików, a jego loki lśniły w słonecznym świetle niczym miedziana przędza. Podobieństwo do matki było uderzające. Hal poczuł, jak jego zdecydowanie słabnie.

- Nie jestem dzieckiem - powtórzył chłopiec. - Pozwól mi tego dowieść, ojcze.

184

- No dobrze. - Hal nie potrafił się dłużej opierać, choć wiedział, że postępuje niemądrze. - Możesz iść z nami.

Twarz Doriana pokraśniała z radości, lecz jego ojciec od razu pośpieszył z zastrzeżeniem.

- Ale tylko na plażę. Będziesz tam czekał z Alfem Wilso-nem i wioślarzami. - Powstrzymał protest syna uniesieniem dłoni. - Wystarczy już. Koniec dyskusji. Tom, zgłoś się do Dużego Daniela po pistolet i kord.

Zeszli do barkasu godzinę przed zachodem słońca. W głąb ładu miało się zapuścić czterech ludzi - Hal, Aboli, Duży Daniel i Tom. Każdy z nich niósł hubkę z krzesiwem i latarnię, a pod ciemną marynarską peleryną ukrywał kord i parę pistoletów. Aboli niósł dodatkowo duży skórzany worek, który poskładał i zawiązał sobie wokół pasa.

Gdy tylko usadowili się na ławkach, Alf Wilson dał rozkaz odpłynięcia. Załoga wiosłowała długimi pociągnięciami i powoli zbliżali się do plaży. Na dziobie i rufie łodzi zamontowano falkonety o długich lufach, niewielkie, lecz mordercze

działa, załadowane kartaczami. Pod nogami wiosłarzy leżały w pogotowiu na dnie łodzi piki i kordy.

Nikt się nie odzywał; wiosła zanurzały się i przesuwały bezdźwięcznie i słychać było jedynie kapanie wody z ich piór. Alf Wilson wyciszył dulki, owijając je szmatami. Tom z Doria-nem wymieniali w milczeniu uśmiechy zachwytu. Właśnie się zaczęła jedna z tych przygód, o których tak marzyli i rozprawiali w gorączkowym oczekiwaniu podczas długich godzin w bocianim gnieździe.

Hannah Maakenberg leżała w zagajniku mlekowców ponad plażą. Czatowała tam od rana do wieczora już trzeci dzień, obserwując daleką sylwetkę Serapha kołyszącego się na kotwi -cowisku. Trzykrotnie widziała łodzie odbijające od burty statku i przyglądała im się przez długą mosiężną lunetę, pożyczoną od Jana Oliphanta. I za każdym razem spotykało ją rozczarowanie: na pokładzie nie było Henry'ego Courtneya.

Zaczęła już tracić nadzieję. Może Annetjie miała rację i on nigdy nie zejdzie na ląd. Jan także szybko stracił zainteresowanie tymi łowami. Przez pierwsze dwa dni trwał na posterunku razem z nią, w końcu jednak zrezygnował i poszedł do swoich ludzi, przesiadujących w pijackich spelunach.

Hannah patrzyła teraz na pływający barkas, ledwie widoczny na tle ciemniejącej wody, i z trudem hamowała podniecenie.

^ 185

- Czekał do zmroku, tak jak ostatnim razem, żeby go nikt nie rozpoznał - mruknęła, utrzymując łódź w kręgu okularu.

Wreszcie dziób barkasu dotknął piasku i serce starej prostytutki zabiło żwawiej z podniecenia. Na zachodnim niebie dogasały ostatnie już blaski światła. Wysoka postać zeskoczyła na plażę i rozejrzała się czujnie po wydmach i rzadkich zaroślach. Prze/ sekundę mężczyzna patrzył wprost na kryjówkę Hannah. Resztką światła padła na jego twarz, nie pozostawiając wątpliwości co do tożsamości przybysza. Potem poblask zgasł i nawet przez lunetę łódź z jej załogą wyglądała już tylko jak ciemniejsza górką na tle bieli piasku.

- To on! - wyszeptała Hannah. - Wiedziałam, że przyjdzie.

Wyteńczyła wzrok, widząc małą grupkę, która odłączyła się od łodzi i ruszyła między stosami wyrzuconego przez wodę drewna zalegającego linię przypływu. Szli w stronę jej kryjówki. Złożyła lunetę i schowała się za pnem drzewa.

Mężczyźni szli w milczeniu. Wkrótce znaleźli się tak blisko niej, że była pewna, iż ją zauważą. Oni jednak poszli dalej, chrzęszcząc butami po piasku i mijając ją w takiej odległości, że mogłaby któregoś złapać za nogę. Podniosła wzrok i zobaczyła twarz Hala Courtneya. Potem cała grupka zniknęła w buszu, zmierzając w głąb lądu.

Dała im jeszcze kilka minut na oddalenie się i zerwawszy się na nogi, pobiegła w stronę miasta. Serce przepełniała jej radość i zawołała na głos:

- Mam go! Taka góra pieniędzy! Będę bogata!

Szli w ciasnej grupce; Aboli prowadził. Ominęli osadę szerokim łukiem i nie spotkali żywej duszy, przechodząc nawet przez drogę biegnącą u podnóża góry ku Salt River i rozrzuconym z rzadka farmom Constantii. Raz zwietrzył ich jakiś pies i zaniósł się histerycznym ujadaniem, nikogo to jednak nie zaalarmowało. Zaczęli wspinaczkę po zboczu, pochyleni z powodu stromizny. Busz zgęstniał, lecz Aboli instynktownie wynajdywał ścieżki wydeptane przez zwierzyne, prowadząc ich cały czas pod górę. Drzewa zasłoniły światło gwiazd i Hal z Dużym Danielem potykali się raz po raz. Młode oczy Toma widziały ostrzej i chłopak pewną stopą maszerował przez mrok. Aboli, wy-

186

chowany w dżungli, poruszał się cicho jak pantera. Nagle wyszli na połąć nagiej skały, znajdującej się wysoko ponad osadą.

- Odpoczniemy tutaj - powiedział Hal.

Tom usiadł na jednym z głazów pokrytych porostami, zaskoczony, że weszli aż tak wysoko. Gwiazdy w srebrzystych zwojach migotały niezwykle blisko, oszałamiając swoją nieskończoną mnogością. Przy tym wspaniałym widoku punkciki żółtego światła w oknach domów wydawały się czymś bardzo marnym.

Tom napił się ze skórzanego bukłaka, który podał mu Aboli, lecz obaj milczeli.

Noc jednak nie była cicha. Po lesie wokół przemykały drobne stworzenia, pohukiwały i skrzeczały nocne ptaki. Z dołu dobiegał ohydny chichot hien

penetrujących góry śmieci i odchodów za holenderską osadą. Od tego dźwięku Tomowi jeżyły się włosy na karku i musiał powściągnąć odruch przysunięcia się bliżej do masywnej postaci Murzyna.

Nagle uderzył go w twarz ciepły podmuch wiatru. Podniósł głowę i ujrzał, że gwiazdy znikają szybko za ciężkim zwałem chmur, sunącym od morza.

- Idzie burza - mruknął Aboli i zaraz smagnał ich następny poryw, w przeciwieństwie do pierwszego lodowato zimny. Tom zadrżał i okutał się ciasniej peleryną.

- Musimy się pośpieszyć - powiedział Hal - żeby nas nie dopadła.

Wstali bez słowa i ruszyli w noc ciemną od chmur i głośną od wiatru. Nad ich głowami trzeszczały i stukały gałęzie drzew.

Przedzierając się przez busz za wysoką postacią Murzyna, Tom zastanawiał się, czy ktokolwiek znajdzie wśród nocy w tym ciemnym lesie drogę do tajemnego miejsca. Aboli widział je ostatni raz przed dwudziestu laty.

Wreszcie, gdy wydawało się już, że zmitrężyli pół nocy, Aboli zatrzymał się pod pionową ścianą skalną, której szczyt ginał gdzieś w mroku ponad ich głowami. Hal i Duży Daniel głośno dyszeli po długiej wspinaczce. Aboli był z nich najstarszy, lecz tylko on i Tom wciąż oddychali bez trudu.

Murzyn uklęknął i postawił na płaskim kawałku skały latarnię. Otworzył ją i wyjął hubkę z krzesiwem. Uderzył stałą o krzemień i kiedy hubka zajęła się od snopu iskier, przysunął płomień do knota. Potem, unosząc wysoko lampę, ruszył wzdłuż urwiska, świecąc na upstrzoną porostami skałę.

187

Kiedy natrafił na wąską rozpadlinę, mruknął z zadowoleniem. Wsunął się do niej, z ledwością przeciskając przez szczelinę szerokie bary. Niezbyt głęboką rozpadlinę blokowały splątane liany i zwisająca roślinność. Aboli ścinał je kordem, a kiedy dotarł do końca, ukląkł.

- Trzymaj lampę, Klebe.

Podał latarnię Tomowi, który zobaczył w jej świetle, że przejście założone jest głazami. Murzyn gołymi rękoma podważył jeden z nich i podał go Dużemu Danielowi. Pracowali w milczeniu, powoli odsłaniając wejście do naturalnego skalnego tunelu. Kiedy skończyli, Aboli odwrócił się do Hala.

- Wypada chyba, żebyście tylko wy z Tomem weszli do miejsca spoczynku twojego ojca - rzekł cicho. - My z Dużym Danielem zaczekamy tutaj.

Zdjął z pasa skórzany wór i podał go Halowi, a potem zapalił knoty pozostałych trzech lamp, skinał na Daniela i odeszli na bok, pozostawiając obu Courtneyom dopełnienie świętego obowiązku. Hal z Tomem stali przez chwilę w ciszy, smagani sztormowym wiatrem, w którym poły ich peleryn trzepotały niczym skrzydła sępów. Światło lamp rzucało na skalną ścianę niesamowite cienie.

- Chodź, chłopcze.

Hal poprowadził syna do rozpadliny, a potem opadł na czworaki, by wpełznąć do tunelu. Tom podał mu latarnię i poszedł w jego ślady. Odgłosy burzy przycichły za ich plecami, a tunel nagle otworzył się w jaskinię. Hal wstał, dotykając niemal głową skalnego sufitu.

Tom stanął obok niego, mrużąc oczy w żółtym świetle. Byli w grobowcu przepojonym zapachem kurzu i odwieczności. Nagły przypływ nabożnego lęku odebrał Tomowi dech i chłopak poczuł, że drżą mu dłonie.

Na drugim końcu groty zobaczył naturalną skalną platformę. Przykucnięty na niej człowiek wpatrywał się w niego wielkimi pustymi oczodołami. Tom odskoczył odruchowo, tłumiąc narastający w gardle szloch.

- Spokojnie, chłopcze.

Hal wziął go za rękę i poprowadził, krok za krokiem, ku siedzącej postaci. W miarę jak się zbliżali, migotliwe światło odsłaniało jej szczegóły. Głowa okazała się czaszką.

Tom wiedział, że Holendrzy ścięli dziadkowi głowę, widocznie więc Aboli umieścił ją z powrotem na karku. Z kości zwisały jeszcze strzępy wysuszonej skóry, jak martwa kora na pniu

188

eukaliptusa. Z tyłu nagiej czaszki wisiały długie ciemne włosy, z miłością uczesane i ułożone.

Zadrzał. Puste oczy dziadka zdawały się zaglądać na samo dno jego duszy. Cofnął się znowu, lecz ojciec przytrzymał go za ramię i ofuknął łagodnie.

- To był dobry człowiek. Dzielny człowiek o wielkim sercu. Nie ma powodu się go bać.

Zwłoki były owinięte w zwierzęcą skórę o czarnym włosiu. Obzarta już miejscami przez robaki, wyglądała jak zarażona trądem. Hal wiedział, że kat poćwiartował ciało, rąbiąc je brutalnie toporem na szubienicy. Aboli poskładał pieczołowicie poszczególne części i zaszył w skórze świeżo upolowanego bawołu. Na ziemi pod platformą widniały pozostałości małego rytualnego ogniska: krąg popiołu i zwęglone patyki.

- Pomódlmy się - rzekł Hal, ciągnąc Toma, by ukląkł wraz z nim na kamiennej podłodze jaskini.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie... - zaczął Hal, a Tom złożywszy dłonie na wysokości oczu, przyłączył się do recytacji. W miarę jak wypowiadał słowa modlitwy, jego głos nabierał pewności. - ...Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Modląc się, jednocześnie przyglądał się przez palce dziwnym przedmiotom ułożonym na platformie. Zrozumiał, że to ofiary umieszczone tu przez Abolego, kiedy przygotowywał ciało dziadka do wiecznego spoczynku.

Był tam drewniany krucyfiks, oprawiony w macicę perłową, i były wygładzone przez morze kamyki, połyskujące lekko w świetle latarni. Był topornie wykonany model trójmasztowego statku z nazwą Lady Edwina wyryta na podstawce, a obok drewniany łuk i nóż. Tom uświadomił sobie, że to symbole sił, które kierowały życiem jego dziadka. Jeden Bóg, dzielny statek i oręż wojownika. Aboli dobrał swoje ostatnie podarunki starannie i z miłością.

Skończywszy modlitwę, klęczeli przez chwilę w milczeniu. Wreszcie Hal podniósł głowę i otworzył oczy. Przemówił cicho do owiniętego w skórę kościotrupa:

- Ojciec, przybyłem, żeby cię zabrać do domu, do High Weald.

Położył na ziemi worek i zwrócił się do Toma:

- Otwórz go i trzymaj.

Uklękawszy przy ciele ojca, wziął" je w ramiona. Było zaskakująco lekkie.

Szkielet zatrzeszczał, odpadło od niego kilka pasemek włosów i skrawków skóry. Po tak długim czasie nie czuć było woni rozkładu, unosił się tylko zapach kurzu i grzyba.

Hal wsunął zwłoki do worka, stopami do przodu, aż wystawała tylko sędziwa trupia głowa. Pogłaskał resztki długich włosów, czarnych z pasemkami siwizny, a Tom, widząc ten gest, uzmysłowił sobie, jak wielką wyraża miłość i szacunek.

- Kochałeś go - powiedział. Hal podniósł głowę.

- Gdybyś go znał, ty także byś go kochał.

- Wiem, jak bardzo kocham ciebie - odparł Tom - więc mogę to sobie wyobrazić.

Objął syna ramieniem i przytulił go w krótkim, lecz mocnym uścisku.

- Módl się do Boga, żebyś nigdy nie musiał spełniać tak ponurego obowiązku dla mnie - rzekł, po czym zamknął worek nad głową Francisa Courtneya, zawiązał mocno rzemień i wstał. - Musimy iść, Tom, nim burza rozpęta się na dobre. - Podniósł ostrożnie worek i zarzucił na ramię. Potem pochylił się i wpełził do tunelu wyjściowego.

Aboli czekał na nich na zewnątrz. Zrobił gest, jakby chciał uwolnić Hala od ciężaru, ten jednak pokręcił głową.

- Ja go poniosę, Aboli. Prowadź na dół.

Zejście okazało się dużo trudniejsze niż wspinaczka. W ciemności, w ryczącym wietrze, nietrudno było o przegapienie ścieżki i upadek w przepaść albo skręcenie nogi na piarżystym zboczu. Aboli jednak prowadził ich bezbłędnie przez noc i w końcu Tom poczuł, że stromizna łagodnieje, a skała i osuwiska ustępują miejsca najpierw ubitej ziemi, a potem chrzęszczącemu piaskowi plaży.

Chmury przecięła jaskrawobłękitna błyskawica i na sekundę noc zamieniła się w jasny dzień. Ujrzeli na chwilę powierzchnię zatoki - wzburzoną przez wicher i białą pianą, tryskającą w niebo bielą. Ciemność zamknęła się z powrotem. Ogłuszająca kaskada huków spadł na nich odgłos grzmotu.

- Barkas jest na miejscu! - zawołał Hal z ulgą, przekrzykując wiatr. Miał jeszcze w oczach nieruchomą sylwetkę łodzi, która mignęła mu w rozbłysku światła. - Zawołaj do nich, Aboli!

- Seraph! - ryknął Murzyn w mrok.

Po chwili wśród odgłosów sztormu usłyszeli słaby odzew:

190

- Ahoj!

Rozpoznali głos Alfa Wilsona i zaczęli zsuwać się po wydmie w jego kierunku. Brzemie Hala, tak lekkie na początku, teraz przyginało go do ziemi, lecz nie chciał się go pozbyć. Zeszli na plażę zwartą grupką. Aboli podniósł przesłone lampy i mrok przed nimi rozjaśniło nikłe światło.

- Do kordów! - zakrzyknął nagle, widząc, że otoczeni są przez ciemne postacie. Nie wiedział jeszcze czy ludzi, czy zwierząt. - Brońcie się!

Cała czwórka wyszarpnęła spod płaszczy broń, instynktownie ustawiając się plecami do siebie i formując naszpikowany ostrą stałą krąg.

Nisko wiszące chmury rozerwał znów oślepiający błysk gromu, zalewając jasnością plażę i smagane wichurą fale. W jego blasku ujrzeli watahę groźnych postaci, szarżujących wprost na nich. Błysnęły nagie ostrza i ręce wznoszące pałki i dzidy. Na sekundę ukazały się także twarze napastników; byli to sami Hotentoci, ani jednego Holendra.

Tom zobaczył, że jeden z nich zamierza go zaatakować, i przeszył go skurcz zabobonnego strachu. Ohydny wygląd tamtego przywodził na myśl senny koszmar.

Wokół przerażającej twarzy wiły się niczym węże długie warkoczyki czarnych włosów, szerokie nozdrza i purpurowe wargi przecinała sina blizna, zdeformowane, wykrzywione usta ociekały śliną, a oczy rzucały dzikie błyski.

Zanim wróciła ciemność, Tom zdążył dostrzec uniesiony nad głową rapier napastnika i przewidując kierunek cięcia, skręcił ramiona i zrobił unik.

Usłyszał świst klingi tuż obok ucha i głośne sieknięcie świadczące o sile, jaką tamten włożył w cios.

Natychmiast przypomniał sobie wszystkie nauki Abolego. Zaripostował gładko, wykonując wypad w stronę, skąd słyszał ciężki oddech. Poczul, jak jego broń zagłębia się w żywą tkankę, i przestraszył się tego odczucia, doświadczył go bowiem po raz pierwszy w życiu. Ofiara wrzasnęła z bólu i w miejsce lęku pojawiła się w sercu Toma dzika satysfakcja. Odskoczył i stawiając szybkie kocie kroki, zaatakował na oślep jeszcze raz. Znów poczul, że trafił - najpierw miękkie wejście ostrza w ciało, a potem zderzenie czubka broni z kością. Usłyszał wycie napastnika i po raz pierwszy ogarnęła go barbarzyńska radość bitewnego podniecenia.

Z nieba runęła kolejna błyskawica. Tom ujrzał, że Hotentot

191

zatacza się do tyłu, puszcza rapier na piasek i zakrywa obiema dłońmi zdeformowaną twarz. Policzek miał rozcięty aż do kości, a czarna jak smoła krew lała mu się strumieniem po brodzie i rozbrygiwała na piersi.

W tym samym błysku Tom zdołał dostrzec, że ojciec i Aboli zabili już swoich przeciwników. Jeden kopał w konwulsjach piasek, drugi zwinął się w kłębek i trzymając obiema rękami rozplątany brzuch, otworzył usta w niemym krzyku agonii. Duży Daniel jeszcze walczył, krzyżując klingę z wysokim, żylastym, półnagim Hotentotem o skórze czarnej i lśniącej jak u węgorza. Reszta napastników wycofywała się jednak, zdeprymowana animuszem garstki broniących się marynarzy. Ciemność zapadła znowu, jak trzaśnięcie drzwiami. Tom poczul na ramieniu rękę Abolego i usłyszał tuż przy uchu jego głos:

- Do łodzi, Klebe. Trzymaj się mnie.

Pobiegli po grząskim piasku, wpadając na siebie nawzajem.

- Czy Tom jest z nami? - W głosie Hala brzmiał lęk o syna.

- Jestem, ojcie - uspokoił go chłopak.

- Bogu dzięki! Danny?

- Tutaj! - Duży Daniel zdążył już zabić swego przeciwnika, bo jego głos dobiegał z bliska i wyraźnie.

- Seraph! - ryknął Hal. - Do mnie!

- Seraph! - usłyszeli odzew Alfa Wilsona, a kolejna błyskawica wydobyła z mroku całą scenę.

Ich czwórkę dzieliło jeszcze około stu kroków od łodzi czekającej na brzegu rozszalałego morza. Ośmiu marynarzy pod wodzą Alfa biegło ku nim, żeby przyłączyć się do walki. Dzierżyli w dłoniach piki, kordy i topory do abordażu.

Banda Hotentotów zdołała się jednak pozbierać po porażce i ruszyła w pościg za oddziałkiem Hala.

Tom obejrzał się przez ramię. Mężczyzna, którego zranił, odzyskał siły i prowadził całą grupę. Choć jego twarz zmieniła się w krwawą maskę, wymachiwał rapierem i dobywał z siebie bojowy okrzyk w dziwnym języku. Zapamiętał sobie chyba Toma, pędził bowiem wprost ku niemu.

Chłopak próbował policzyć, ilu ich mogło być. Dziewięciu czy dziesięciu, uznał, nim jednak zdążył się upewnić, znów ogarnęły ich ciemności. Ojciec z Alfem pokrzykiwali do siebie, żeby nie stracić kontaktu, i wkrótce obie grupy się połączyły.

192

- Brońcie się! Formować szyk! - rozkazał natychmiast Hal.

Nawet w ciemnościach potrafili sprawnie wykonać manewr ćwiczony po tylekroć na pokładzie. Stojąc ramię przy ramieniu, przygotowali się na przyjęcie ataku, który spadł na nich z nocnego mroku jak sztormowa fala. Rozległ się łoskot i szcęk metalu o metal, w niebo wzbily się okrzyki i przekleństwa walczących mężczyzn. Znowu pojawiły się zygzaki błyskawicy.

Z zagajnika mlekowców wyłoniła się Hannah z piętnastoma ludźmi. Gdy noc zaczęła im się dłużyć, a sztorm odbierać siły, opuścili miejsce, w którym zrobili zasadzkę. Znalazłszy w lasku osłonę przed wichurą, posnęli na ziemi i obudzili ich dopiero krzyki i odgłosy walki. Chwycili broń i wypadli teraz całą czeredą na plażę.

W świetle błyskawicy ujrzeli niedaleko pustego barkasu obie grupy walczących. Ich siły były mniej więcej wyrównane. Hannah widziała wyraźnie postać Henry'ego Courtneya. Walczył na czele swoich ludzi, zwrócony twarzą ku niej. Zamachnął się właśnie kordem i wbił go z góry w czaszkę jednego z Hoten-totów.

- Dis hom! - zaskrzeczała. - To on! Dziesięć tysięcy nagrody! Kom kerels!

Chodźcie, chłopcy!

Uniosła nad głowę widły, w które się uzbroiła, i popędziła w dół wydmy. Na wahających się jeszcze mężczyzn jej przykład podzielał jak ostroga. Ruszyli za nią hurmem, wśród wycia i wrzasków.

Dorian był w łodzi zupełnie sam. Kiedy wybuchła bitwa, spał zwinięty w kłębek na pokładzie, teraz jednak, w pełni rozbudzony, przemknął na dziób i klęknął za falkonetem. W świetle błyskawicy zobaczył ojca, Toma i resztę marynarzy, osaczonych przez wrogów, i spostrzegł biegnących z góry kolejnych napastników. Podczas ćwiczeń bojowych na Seraphie Aboli pokazywał Tomowi, jak się obraca działko, jak się z niego celuje i odpala. Przyglądał się temu chciwie, błagając, by pozwolono mu spróbować. I zawsze słyszał zniechęconą odpowiedź:

- Jesteś jeszcze za mały. Jak podrośniesz.

Teraz wreszcie miał szansę, której mu odmawiano. A ojciec z Tomem potrzebowali jego pomocy. Sięgnął po wolnotłący lont, umieszczony w kubie z piaskiem pod falkonetem. Alf Wilson podpalił go i trzymał pod ręką na wszelki wypadek.

193

Dorian chwycił lont w jedną rękę, a drugą złapał za długi sznur z tyłu działa i obrócił je w kierunku rozwrzeszczanej hordy Hotentotów, zbiegającej z wydmy. Spojrzał wzdłuż lufy, jednak w ciemności nie widział ani celownika, ani choćby śladu celu, w który zamierzał trafić.

Nagle nad jego głową huknął piorun i plażę zalało jaskrawe światło. Dorian zobaczył ich dokładnie na wprost lufy, prowadzonych przez wiedźmę, którą znał z mitologii: straszliwą kobiecą postać wymachującą widłami. Jej długie szare włosy targał wiatr, wielkie białe wymiona kołysały się i wyskakiwały ze stanika, a w spustoszonej przez czas i rozpustę twarzy ziały otwarte do krzyku usta. Dorian wcisnął lont do otworu zapłonowego.

Z wylotu lufy buchnął długi na dwadzieścia stóp płomień i ponad plażą śmignął ładunek żelaznych kul, każda wielkości ludzkiego oka. Dystans był w sam raz dla optymalnego roz-prysku kartacza. Hannah przyjęła na siebie główny impet strzału: kilka kul strzaskało jej pierś, jedna trafiła w środek czoła, ścinając szczyt czaszki jak skorupkę jajka. Padła na plecy, a obok niej legło sześciu z jej zbirów. Pozostali ślaniali się na nogach, zdezorientowani i ogłuszeni podmuchem eksplozji. Trzech z dzikim wyciem umknęło pod osłonę zagajnika, reszta kręciła się bezradnie w kółko, krwawiąc i potykając się o martwych towarzyszy.

Wiatr rzucił płonąca przybitkę z falkonetu na długi wał wyschniętego drewna, gromadzonego przez fale u szczytu plaży. Buchnęły jasne płomienie, tryskające niebieskimi iskrami z kryształków soli. Podsycane podmuchami wiatru, oświetliły całą scenerię migotliwym, chwiejnym światłem.

Walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. Choć ludzie Hala, pracując zawzięcie pikami i klingami, zdołali wyeliminować wielu nieprzyjaciół, tamci wciąż mieli liczebną przewagę. Hal walczył przeciwko trzem napastnikom, krążącym wokół niego jak hieny podchodzące czarnogrzywego lwa. Walczył o życie i nie mógł sobie pozwolić nawet na rzut oka w stronę syna.

Jan Oliphant tymczasem, dysząc żądzą zemsty za rozcięty policzek, ruszył na Toma, bluzgając wściekle przekleństwami i tnąc na oślep rapierem. Tom ustępował pola potężnemu Hotentotowi, przewyższającemu go wzrostem, siłą i zasięgiem

194
ramion. W tych decydujących momentach zdany był tylko na siebie; nie mógł liczyć na pomoc Abolego, Dużego Daniela ani nawet własnego ojca. Tej nocy jego męska dojrzałość miała objawić się w pełni albo miał paść trupem na nasiąkniętym krwią piasku. Bał się, lecz strach nie paraliżował jego działań. Dodawał raczej siły ramieniu i przegubowi ręki dzierżącej broń. Chłopak odnalazł w swym wnętrzu coś, czego istnienia dotąd nie podejrzewał.

Naturalnie poddał się wdzięcznemu rytmowi szermierczej walki, latami wpajanemu przez Abolego. Kiedy płonące drewno zapewniło plaży odpowiednią iluminację, odzyskał stopniowo pewność siebie. Czuł w dłoni stal i uzmysłowił sobie, że jego brutalny przeciwnik to nie prawdziwy szermierz, lecz zwykły awanturник, mimo że młócił bronią z ogromną siłą, niepowstrzymany jak kamienna lawina. Tom nie popełnił błędu, próbując się jej przeciwstawić. Starał się raczej przewidywać kolejne wściekle cięcia napastnika, zanim zostały wykonane. Jan Oliphant sygnalizował swe zamiary bez żadnej subtelności; mówiły o nich jego gorejące oczy i wykrzywiona, usmarowana krwią twarz, zdradzało je ustawienie jego stóp i zamach ramienia szykującego się do ciosu.

Kiedy klinga przeciwnika opadała ze świstem na jego głowę, odbijał ją lekko ostrzem, nie usiłując zablokować, lecz tylko zmieniając jej tor, tak że chybiała celu o kilka cali. Za każdym razem wściekłość Jana Oliphanta narastała, aż w końcu przepełniła go całkiem. Bandyta uniósł rapier oburącz nad głowę i rzucił się wprost na Tonię, rycząc jak rozjuszony byk. Nie pomyślał zupełnie o tym, żeby się przygotować na kontrę i cały jego korpus był zupełnie odsłonięty. Hal unieszkodliwił jednego z przeciwników, trafiając go w bark. Mężczyzna wrzasnął i zatoczył się do tyłu, wypuszczając z ręki broń. Dwaj pozostali Hotentoci stracili ducha i cofnęli się. Hal zyskał chwilę, by w migotliwym blasku płomieni rozeznac się w sytuacji.

Zobaczył Toma zmagającego się z potężnym hersztem Ho-tentotów i serce zamarło mu w piersi. Gdy Jan Oliphant rozpoczął swoją szarżę, Hal był za daleko, żeby pośpieszyć synowi z odsieczą. W ostatniej chwili powstrzymał więc rozpaczliwy okrzyk ostrzegawczy, który w tym momencie tylko rozproszyłby syna.

195

Tom był blady jak piasek u ich stóp, twarz jednak stężała mu w wyrazie determinacji, a oczy błyszczały w napięciu bez śladu lęku i spoglądały uważnie na przeciwnika. Hal oczekiwał, że chłopak wycofa się, nim atakujący go potwór runie nań z pełnym impetem. Ustawienie ramion i ciała wskazywało na taki właśnie zamiar. Nagle wyrzucił lewą stopę do przodu i błyskawicznym fleszem, niczym wypuszczona z łuku strzała, wykonał pchnięcie w krtani Jana Oliphanta. Wielki mężczyzna nie zdążył opuścić zasłony ani uskokzyć przed ciosem. Szpic ostrza trafił go dokładnie we wgłębienie nad mostkiem, cal ponad miejscem, gdzie spotykają się kości obojczyka. Ostrze wbiło się głęboko w gardło Jana Oliphanta i odnalazłszy złączenie dwóch kręgów, rozdzieliło je gładko. Klinga przeszła dalej, aż wysunęła się na długość stopy u nasady karku, usmarowana krwią.

Z bezwładnej ręki Jana Oliphanta wypadł uniesiony rapier; mężczyzna rozpostarł szeroko ramiona i stał przez moment na tle płomieni jak czarny krucyfiks. Potem runął na piasek, padając na wznak. Klinga Toma wyskoczyła z gardła zabitego i z przedziurawionej krtani Jana Oliphanta wydobyło się głośne westchnienie, wypchnięte z płuc siłą upadku. Towarzyszyła mu fontanna różowej piany.

Na długą chwilę wszyscy na plaży zamarli w bezruchu, wpatrując się w groteskowe zwłoki. Zaraz jednak Hotentot stojący najbliżej Hala zawył rozpaczliwie, odwrócił się i pobiegł w górę wydmy. Reszta natychmiast dołączyła doń w panicznej ucieczce, zostawiając zabitych i rannych tam, gdzie padli.

Tom stał bez ruchu, patrząc na uśmierconego przez siebie człowieka. Twarz miał poszarzała i drżał pod wpływem szoku oraz powstrzymywanego dotąd przerażenia i wściekłości. Hal podszedł do niego szybko i objął ramieniem.

- Dobra walka, chłopcze - powiedział, ściskając syna.

- Ja go zabiłem! - wyszeptał Tom z niedowierzaniem.

- Zanim on zabił ciebie - dopowiedział Hal i rozglądając się wśród swoich ludzi, zapytał: - Który wystrzelił z falkonetu? To nam uratowało życie!

- Nie ja.

- Ja też nie.

Wszystkie głowy zwróciły się ku barkasowi i spojrzały na małą postać stojącą samotnie na dziobie.

- Chyba nie ty, Dodanie? - zawołał zdumiony Hal. . '

196

- Ja, ojciec. - Chłopiec podniósł do góry dymiący jeszcze lont.

- Nieodrodne kocięta starego lwa - rzekł cicho Aboli. - Ale musimy się stąd wynosić, zanim się zjawia żołnierze z garnizonu. Wystrzał i ogień na pewno już ich zaalarmowały. - Wskazał na stos płonącego drewna.

- Czy straciliśmy kogoś? - zapytał Hal.

- Widziałem, jak padał Dick Foster! - odkrzyknął Alf Wilson. Klęknął przy marynarzu, w którego piersi ziała straszliwa rana, i przytknął palce do tętnicy szyjnej. - Nie żyje - oznajmił po chwili.

- Jeszcze ktoś? - zapytał Hal.

- Nie, tylko ten jeden.

Kapitan Serapha poczuł przypływ ulgi. Mogło być o wiele gorzej; mógł stracić syna albo bliskiego przyjaciela.

- Dobrze. Zabierzcie Dicka do łodzi - polecił, podnosząc skórzany wór ze szczątkami ojca. - Urządzimy mu chrześcijański pogrzeb, jak wyjdziemy na morze.

- A co zrobimy z tymi śmieciami? - Duży Daniel kopnął jednego z rannych i Hotentot jęknął. - Powinniśmy popod-rzynać im gardła.

- Zostawcie ich. Szkoda czasu.

Przyjrząwszy się swoim ludziom, Hal stwierdził, że połowa z nich ma płytkie rany i skaleczenia, żaden jednak nawet się nie poskarżył. To dobra, twarda załoga, pomyślał z satysfakcją. Na pewno stawia dzielnie czoło Jangiriemu i każdemu innemu nieprzyjacielowi.

- Do łodzi! - rozkazał.

Czterech marynarzy podniosło ciało Dicka Fostera i z należyтым szacunkiem ułożyło na pokładzie. Hal umieścił obok niego skórzany wór i wskoczył na rufę, by zająć miejsce przy sterze. Majtkowie bez trudu zepchnęli barkas na wodę.

Pierwsza fala podrzuciła dziób wysoko; wszyscy wskoczyli błyskawicznie do łodzi i chwycili za wiosła.

- Wiosłuj! - krzyknął Hal. Kolejna sztormowa fala runęła przez dziób na pokład, zalewając ich po kolana. - Wiosłuj! - ponaglił i barkas wspiał się pod niemożliwym kątem po zboczu kolejnego grzywacza. Znalazłszy się na jego wierzchołku, zawisł na moment, po czym runął w wodną dolinę.

- Wiosłuj! - ryknął znów Hal i wydostali się wreszcie z przyboju.

197

Fale wciąż były wysokie, lecz już nie takie strome, żeby mogły ich przewrócić. Połowa ludzi rzuciła się do wylewania wody, podczas gdy reszta wiosłowała co sił ku Seraphowi.

- Dorian! - zawołał Hal do syna. - Usiądź przy mnie! - Rozpostarł swoją pelerynę niczym skrzydło, którym otoczył opiekuńczo chłopca, i przytulił go. - Kto cię nauczył strzelać z falkonetu?

- Tom mi pokazał - odparł niepewnie chłopiec. - Czy źle zrobiłem?

- Spisałeś się bardzo dobrze. - Hal przytulił syna jeszcze mocniej. - Bóg mi świadkiem, że trudno było lepiej.

Hal zaniósł skórzany wór do kajuty na rufie. Obaj synowie podążyli za nim, w ubraniach ociekających morską wodą. Seraph, chłostany bezlitosnym sztormem,

kołysał się na wszystkie strony. Hal położył worek z drogocenną zawartością na podłodze obok trumny. Śruby wieka były już poluzowane, toteż odkręcił je w kilka sekund. Odstawiwszy wieko na bok, ostrożnie umieścił skórzany worek w skrzyni; musiał go trochę poprzekręcać i zgiać, żeby się zmieścił. Wolne przestrzenie uszczelnił pakułami, żeby zapobiec wstrząsom i pokruszeniu się szkieletu podczas długiej podróży. Tom pomógł mu nałożyć pokrywę, a potem wyjął z dłoni ojca śrubokręt.

- Pozwól mi na ten zaszczyt, ojciec - powiedział.

- Zasłużyłeś na to - zgodził się Hal. - Obaj zasłużyliście. Niech Dorian ci pomoże.

Podał młodszemu synowi drugi śrubokręt i patrzył, jak chłopcy przykręcają wieko. - Urządzimy dziadkowi chrześcijański pogrzeb, kiedy go już złożymy w sarkofagu w High Weald. Czeka na niego od dwudziestu lat - powiedział, zastanawiając się jednocześnie, czy wszyscy jego synowie będą przy tym obecni. Zaraz jednak pozbył się tej ponurej myśli.

Chłopcy skończyli pracę.

- Dziękuję - rzekł i kazał im iść się przebrać w suche ubrania. - I sprawdźcie, czy przy tej obrzydliwej pogodzie kucharz ma ogień pod piecem i może wam dać coś ciepłego do zjedzenia i wypicia - dorzucił.

Przy drzwiach zatrzymał jeszcze Doriana.

- Już nigdy nie będziemy cię nazywać dzieciuchem -

198

oświadczył. - Pokazałeś dzisiaj, że dorównujesz mężczyznom we wszystkim oprócz wzrostu. Uratowałeś nam życie.

Chłopiec uśmiechnął się promiennie. Nawet z przyklepionymi do twarzy mokrymi włosami był tak piękny, że Hal aż poczuł ucisk w sercu.

Po chwili usłyszał, jak obaj rozprawiają z ożywieniem w malutkiej kajucie za ścianą, zwolnionej przez siostry Beatty. Potem na korytarzu rozległ się głośny tupot, kiedy pobiegli molestować kucharza o ciepłą strawę.

Hal zapalił dwie świece i postawił je na trumnie. Następnie uklęknął na podłodze i rozpoczął długie czuwanie. Momentami modlił się na głos o spokój duszy ojca i odpuszczenie jego grzechów. Raz czy drugi przemówił do niego cicho, wspominając wspólnie przeżyte wydarzenia i przeżywając na nowo straszliwe chwile agonii sir Francisa. Chociaż noc ciągnęła się długo, a on był wyczerpany i zmarznięty, skończył dopiero wtedy, kiedy do okien kabiny zajrzał szary od burzy świt. Wówczas wstał i wyszedł na pokład.

- Dzień dobry, panie Tyler - zawołał, przekrzykując wiatr. - Niech obie wachty wezmą się za przygotowanie statku do wyjścia.

Marynarze rozeszli się po rozkołysanym pokładzie i wkrótce ludzie na forkasztelu obracali już kabestanem, podnosząc ze szczękiem zapadek kotwice. Inni ruszyli na wanty i rozpoczęli pracę przy żaglach.

Hal wydał rozkaz postawienia na chwilę foka, żeby szarpnięcie statku pomogło wyciągnąć kotwicę z piaszczystego dna. Kiedy puściła, żagiel opuszczono. Słuchał teraz odgłosów zapadek kabestanu: brzdęk, drugi brzdęk, długa chwila ciszy i znów brzdęk, brzdęk, coraz szybciej i szybciej, aż dźwięk przeszedł w terkotanie i kotwica się wynurzyła, a jej łańcuch wysunął niemal cały przez kluzę.

- Sztaksle staw! - ryknął i gdy ruszyli, natychmiast pochwyciła ich wichura.

Seraph wierzgnął z ochotą, a kiedy przestawiono ster, obrócił się na pięcie i bryknął naprzód. Majtkowie na wantach wydali spontaniczny okrzyk radości. Chwilę później z bocianiego gniazda rozległ się głos Toma:

- Hej, na pokładzie! Widzę łódź!

- Z której strony? - zawołał Hal.

- Odbija od plaży. Już są dwie; nie, trzy!

199

Hal podszedł do zawietrznego relingu i spojrział przez lunetę. Posępne szare morze upstrzone było białymi grzywaczami. Po niebie sunął wał nisko wiszących chmur, zasłaniając wierzchołek Góry Stołowej. Dostrzegł trzy barkasy, które zmagając się z wiatrem i przybojem, sunęły z wolna ku Seraphowi, wzbijając dziobami fontanny wody.

- Goście, kapitanie - rzucił Ned, stając obok niego. Hal burknął potakująco i poprawił ostrość lunety. Dostrzegał już holenderskie mundury i błyski bagnatów.

- Nie sędzę, żeby nam mieli do powiedzenia cokolwiek, co chcielibyśmy usłyszeć, panie Tyler.

Złożył z trzaskiem przyrząd. Goniło ich wojsko z fortu, zaalarmowane nocną potyczką. Odwróciwszy się plecami do płynącej daleko w tyle flotylli, wydał z uśmiechem kolejny rozkaz.

- Proszę minąć Yeomana blisko po zawietrznej, panie Tyler.

Kiedy znaleźli się pół kabla od Yeomana, Seraph zwolnił. Spuszczono na wodę łódź i załadowano na nią tekową skrzynię. Potem na tańczący przy burcie barkas zszedł po drabince Hal. Zajął miejsce przy sterze i kazał płynąć do stojącego na kotwicy bliźniaczego żaglowca. Kapitan Anderson czekał już przy jego burcie. Hal wstał i pozdrowił go gestem.

- Mam dla was ładunek! - zawołał.

- Jestem gotów go przyjąć! - odkrzyknął tamten. Jego marynarze opuścili z grotrei talię. Barkas wsunął się pod hak i ludzie Hala sprawnie podwiesili do niego skrzynię.

- Podnosić! - krzyknął i po chwili trumna była już na pokładzie Yeomana. - Jestem panu wielce zobowiązany, sir! - zawołał, zadzierając do góry głowę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir! - odpowiedział Anderson. - Życzę pomyślnych wiatrów. - Dotknął w salucie rónda trójgraniastego kapelusza.

- Do następnego spotkania - rzucił Hal.

Wtem przy relingu pojawił się Guy. Wyglądał blado, jakby zaczęła, go już dopadać morska choroba. Uśmiechał się jednak dzielnie, wymachując czapką.

- Szczęśliwej drogi, ojczcie. Do zobaczenia w Bombaju! - zawołał.

- Szczęśliwej drogi i do zobaczenia! - pożegnał go Hal, czując ukiucie bólu z powodu tego rozstania.

Czemuż to los nie traktuje nas wszystkich łaskawiej, pomyś-

200

lał. Uśmiechał się jednak do syna, próbując dodać mu odwagi, przekazać swoją miłość i natchnąć nadzieją. Po chwili musiał się skupić na przeprowadzeniu barkasu z powrotem pod burtę Serapha.

Chociaż grotmaszt kiwał się w przód i w tył jak wahadło i wspinanie się na reje przy tym wietrze przejmowało trwogą, Dorian dotarł bezpiecznie do Toma na bocianie gniazdo. Widzieli stąd dokładnie pokład zakotwiczonego Yeomana. Mijali go tak blisko, że można było dojrzeć wyraz twarzy żegnających ich pasażerów i załogi.

- Tam jest Guy! - Dorian zerwał z głowy czapkę i pozdrowił brata. - Guy! Ahoj, Guy!

Guy podniósł głowę i spojrział na nich, ręce jednak trzymał za plecami, a jego zaciętej twarzy nie rozjaśnił uśmiech.

- Dlaczego mi nie odpowiedział? - poskarżył się Dorian. - Przecież nic mu nie zrobiłem.

- Nie przejmuj się, Dorry. To mnie nienawidzi, nie ciebie - odparł Tom, odwzajemniając zimne spojrzenie bliźniaka.

Obok Guya stała w ciasnej grupce rodzina Beattych. Przed kilkoma dniami przenieśli się wszyscy na pokład Yeomana z kwater na lądzie, by płynąć dalej do Bombaju. Caroline stanęła nieco z boku i Tom od razu ją zauważył. W tym otoczeniu stanowiła przyjemny widok; jej spódnice i halki igrały z wiatrem, jedną ręką przytrzymywała czepek na głowie, ciemne loki tańczyły po policzkach, oczy iskrzyły się, wpatrzone w odpływający żaglowiec.

- Caroline! - wrzasnął Tom. - Tutaj! Ahoj!

Miał diabła za skórą i bardziej niż z innych powodów wołał ją po to, żeby podrażnić brata. Dziewczyna podniosła wzrok i dostrzegła go w bocianim gnieździe. Wykonawszy taneczny dyg, pomachała mu ręką.

- Tom! - Wiatr porywał słowa, lecz bystre oczy chłopaka potrafiły czytać z jej ust. - Pomyślnych wiatrów!

Usłyszawszy głos Caroline, Guy odwrócił się i podszedł do niej. Stał tuż obok i choć nie dotykał dziewczyny, przybrawszy pozę posiadacza, wpatrywał się wojowniczo w Toma.

Seraph postawił więcej żagli i w ostrym przechyle pomknął z wiatrem. Postacie na pokładzie Yeomana zmalowały, a potem zniknęły im z oczu. Patrzyli za bliźniaczym

statkiem, dopóki jego kształt nie zniknął im z oczu, zagubiony na horyzoncie pod ciemną sylwetką góry i wysokim wałem posępnych chmur.

201

1 1

- Zostaliśmy tylko ty i ja - stwierdził Dorian ze smutkiem. Tom się nie odezwał. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie zapomniałeś chyba przysięgi, którą mi złożyłeś? - dopominał się młodszy brat. - Że nigdy mnie nie opuścisz?

- Nie zapomniałem.

- To było na śmierć i życie - przypomniał mu Dorian. - Najsilniejsza przysięga.

- Wiem. Nigdy o niej nie zapomnę - odparł Tom, pocierając malutką białą bliznę na opuszku kciuka.

Po opuszczeniu Zatoki Stołowej przez dwadzieścia trzy dni żeglugi nie zobaczyli lądu ani słońca. Dopadła ich deszczowa nawałnica tak silna, że wydawało się, iż to sam ocean odwrócił się do góry dnem i runął na pokład. Ulewa ciągnęła się bez przerwy dniami i nocami. W tych warunkach Hal musiał nawigować na wycucie, korzystając jedynie z kompasu i codziennych szacunków przebytego dystansu.

- To było zawsze takie spokojne, słoneczne morze - zauważył Aboli, zerkając na kłębiące się na niebie chmury. - Demony wodne poprzewracały wszystko do góry nogami.

- Tam dalej na wschodzie jest jakieś zamieszanie - zgodził się Ned Tyler. - Wiatr się kręci nad nami w kółko; ciągle zmienia kierunek.

- Trafiliśmy już na takie wiatry - przypomniał im Duży Daniel. - Obracają się jak dziecięcy bąk. Słyszałem, że się je spotyka na tych szerokościach o tej porze roku. Ale nie jesteśmy w centrum... - przerwał na widok olbrzymiej fali, przerastającej wszystkie pozostałe.

Sunęła na Serapha z ociążałą godnością, a była tak wysoka, że statek wydawał się przy niej karłem - jej wierzchołek sięgał górnej rei fokmasztu. Dolina między tą a poprzednią falą miała dobrze ponad kabel szerokości.

Hal opuścił swoje stanowisko przy zawietrznym relingu i szybko podszedł do steru.

- Wyostrzyć o dwa rumby - rozkazał cicho. - Tak trzymać! - rzucił, kiedy fala przeszła, a statek przez długą chwilę nurkował ostro w dolinę.

Ludzie stojący wokół steru wstrzymali oddech, a potem chórem go wypuścili, gdy Seraph wyrzucił dziób do góry.

202

- Pan Fisher ma rację. - Hal skinął głową Dużemu Danielowi. - Te sztormy rozprzestrzeniają się od swego centrum na setki mil morskich. Suną przez cały ocean, od krańca do krańca. Ale dziękować Bogu, nie znajdujemy się w centrum. Wiatr jest tam tak silny, że mógłby nam złamać grotmaszt, nawet gdybyśmy nie powiesili na nim skrawka żagla.

- Na Maskarenach widziałem - dodał Duży Daniel - jak taki szatański wiatr wyrwał z korzeniami całe palmy i niósł je nad oceanem, jakby to były dziecięce latawce.

- Módlmy się o słońce - Ned Tyler spojrział na zasnułe chmurami niebo - żebyśmy mogli chociaż ustalić pozycję.

- Poprowadziłem statek szerokim łukiem - Hal rzucił okiem na różę wiatrów i spojrział ku zachodowi. - Przypuszczam, że znajdujemy się dobre dwieście mil od kontynentu afrykańskiego, więc nie ma jeszcze powodu do niepokoju.

- Jednakże Madagaskar to jedna z największych wysp na świecie, dziesięć razy większa od Irlandii. I leży na naszym kursie. Trzeba uważać. - Ned mówił cicho, żeby nie usłyszał go sternik. Nie należało niepokoić załogi omawianiem w jej obecności pułapek nawigacji.

Nagle usłyszeli okrzyk z bocianiego gniazda.

- Hej, na pokładzie! Coś płynie! Na lewej burcie od dziobu! Grupa oficerów spojrzała na morze, a Hal krzyknął przez tubę:

- Hej, na topie! Co to może być?

- Wygląda jak złamany maszt albo... - obserwator przerwał i zaraz dodał podekscytowany: - Nie! To mała łódź, prawie zatopiona. Widzę ludzi!

Hal pośpieszył na dziób i wskoczywszy na bukszpryt, zawołał:

- Tak, na Boga! Wyglądają na rozbitków. Żyją, jeden się poruszył. Przygotować się do spuszczenia szalupy.

temu pretekst, którego potrzebował. Kiedy szczegóły planu ułożyły się mu już w głowie, zwołał do kapitańskiej kabiny oficerów. Zebrali się wokół rozłożonej na biurku mapy.

- Wiecie wszyscy doskonale, że od dwustu lat ośrodkiem całego handlu na Wybrzeżu Malarycznym jest to miejsce - wskazał na kilka wysepki u brzegów Afryki. - Zanzibar. Logika więc nakazuje rozpocząć poszukiwania Jangiriego właśnie stamtąd.

Pokiwali z aprobatą głowami. Każdy z nich żeglował już po tych morzach. Wiedzieli, że trzy wysepki Zanzibaru położone są idealnie w stosunku do Indii, Morza Czerwonego i Zatoki Perskiej i oddalone zaledwie o kilka kabli od kontynentu. Leżały w paśmie monsunów, które zmieniały kierunek wraz ze zmianą pór roku. Monsun południowo-wschodni sprzyjał podróży z Indii do Afryki, a północno-zachodni wspomagał żeglugę w drodze powrotnej. Ponadto Zanzibar miał bezpieczny port na wyspie Unguja i nawet w apogeum pory deszczowej był stosunkowo wolny od budzącej grozę malarycznej zarazy, która zmieniała kontynent afrykański w śmiertelną pułapkę. Od pierwszych wieków islamu był portem przeładunkowym Afryki i Oceanu Indyjskiego oraz rynkiem, na którym zaopatrywano

205
się w afrykańskie produkty: niewolników, złoto, kość słoniową i gumożywicę, cenione pachnidło.

- Kiedy byłem u piratów w niewoli, często rozmawiali o Zanzibarze - przemówił nieśmiało Alf Wilson. - Wynioskowałem, że odwiedzają port regularnie, żeby spieniężyć część łupów i sprzedać jeńców na targu niewolników, a także zaopatrzyć statki.

- Czy można domniemywać, że Jangiri ma tam swoją główną bazę wypadową? - zapytał Hal.

- Nie, kapitanie - odparł z przekonaniem Alf. - Nie sędzę, żeby chciał podlegać władzy sułtana Omanu. Kryjówkę ma gdzieś indziej, a do Zanzibaru zawija tylko pohandlować.

- Od samego początku tej wyprawy zamierzałem wpłynąć do Zanzibaru - Hal zaczął objaśniać swój plan. - Nie miałem jednak pojęcia, jak wytłumaczyć obecność uzbrojonego angielskiego statku na tych wodach, tak daleko od szlaku handlowego między Przylądkiem Dobrej Nadziei i Indiami. - Spojrzał na słuchających w napięciu oficerów. Ned Tyler i Duży Daniel kiwali głowami. - Gdybyśmy popłynęli do Zanzibaru ot, tak sobie, wkrótce po całym wybrzeżu rozeszłaby się wieść, że pojawili się łowcy piratów i Jangiri nie wystawiłby głowy ze swojej nory. Nie mając wiarygodnego pretekstu do znalezienia się w tej okolicy, nigdy nie zdołalibyśmy zwabić go w pułapkę. Takiego pretekstu dostarczył nam sztorm, a rozbitkowie dopowiedzieli resztę. Patrzyli na niego z ciekawości.

- Jaką historię zamierzasz opowiedzieć konsulowi Zanzibaru, kapitanie? - zapytał Ned.

- Powiem mu, że byliśmy częścią konwoju, w którym szedł nieszczęsny Nile. Opowiem o cennych towarach, jakie mamy w ładowni. Wymyślę skarby tak bajeczne, że kiedy wieść o nich dotrze do uszu Jangiriego, zaślini się cały z pożądania. - Marynarze wybuchnęli śmiechem, zachwyceni tym obrazem. - Dostaliśmy się w samo serce sztormu - kontynuował Hal - i oberwaliśmy nie gorzej niż Nile. - Spojrzał na Neda Tylera. - Ukryliśmy już większość naszego uzbrojenia, a teraz chciałbym, żeby pozdejmowano część rej i omasztowania. Nasz takielunek i kadłub powinny wyglądać dla obserwatora z brzegu jak sponiewierane ostrym sztormem. Da się to zrobić, panie Tyler?

206

- Jak najbardziej, kapitanie - odparł z upodobaniem Ned.

- To nam pozwoli wytłumaczyć naszą obecność na zan-zibarskich szlakach, a tymczasem szpiedzy i handlowe dhow poniosą informację o naszym położeniu aż po samą Dżidde. Zanim z powrotem wyjdziemy w morze, korsarze i zbójce z całego wybrzeża będą ciągnąć do nas jak osy do garnka miodu.

Prace nad przemianą Serapha rozpoczęły się natychmiast mimo wysokiej fali. Ned bardzo się przejął zadaniem wyznaczonym mu przez Hala. Jego cieśle farbami o różnych kolorach robili plamy i zacieki na kadłubie. Kazał też rozłożyć na pokładzie stare żagle z rejsu przez Atlantyk, poszarpać je i pobrudzić.

Przeznaczone do zdjęcia reje i części masztów wybrał w taki sposób, żeby nie osłabić zbyt mocno zdolności statku do żeglugi. Marynarze mieli je usunąć, gdy tylko na horyzoncie pokaże się ląd. Seraph miał dowieźć się do portu w Zanzibarze w oplakany, budzący litość stanie.

Po trzech dniach niebo zaczęło się przejaśniać i choć ocean wciąż był wzburzony, zza chmur wyjrzało tropikalne słońce. Hal stwierdził z satysfakcją, że załoga odzyskała ducha i oddaje się swym obowiązkom z sercem i animuszem. W południe po raz pierwszy od kilku tygodni mógł dokonać namiaru na słońce. Stwierdził, że statek znajduje się na dwunastym równoleżniku szerokości południowej, dwieście pięćdziesiąt mil dalej na północ, niż wynikało z dotychczasowych szacunków.

- Powinniśmy dojść do Madagaskaru w ciągu tygodnia, zależnie od tego jak daleko dotarliśmy na wschód - mruknął, zapisując nową pozycję w dzienniku. Kazał zmienić kurs na zachodni, w kierunku wyspy i kontynentu.

O bliskości lądu ostrzegły ich ptaki, jak zawsze. Były to gatunki dotąd Tomowi i Dorianowi nieznanne. Ujrzeni rybołówki o upierzeniu tak białym jak szron w grudniowy poranek w High Weald i długoogoniaste ptaki tropikalne, wiszące w powietrzu ponad ławicami małych ryb, od których ciemniała powierzchnia morza. W bliskości wyspy napotkali fregaty o łotrowskim wyglądem: czarne jak sam szatan, o szkarłatnych gardłach, unosiły się na wstępujących prądach monsunu, zasadzając się na stada mew powracające z łownych wypadów. Chłopcy obserwowali, jak szybują po zdobycz ze skrzydłami ułożonymi w kształcie wpółzamkniętego kozika. Fregaty odbierały swym

207

ofiarom ciężko zdobyte owoce ich pracy, wrywając im częściowo strawione ryby prosto z wola.

Ocean zmienił barwę, nabierając żółtawego odcienia. Chłopcy spytali o to Abolego.

- To deszcze i sztorm tak zmąciły wody w rzekach na kontynencie, że z dna wzbił się muł, który teraz wlewa się do morza - wyjaśnił im. - Jesteśmy już bardzo blisko lądu.

Następnego ranka, gdy na wschodnim niebie rozgorzał świt, zabarwiając widnokrąg czerwienią ognistych opali i płatków róż, ujrzeni z topu daleko przed dziobem błękitną falistą linię przecinającą horyzont.

- Ziemia! - poniosły się przez cały statek radosne okrzyki.

Hal dobrze znał te wyspy i gdy się rozwidniło, sam się wspiał na wanty, skąd mógł rozpoznać góry północnego krańca Madagaskaru, wyłaniające się coraz wyżej ponad ocean.

Przez cały dzień wachty pracowały ciężko przy zdejmowaniu górnych części masztów, by nadać Seraphowi wygląd uszkodzonego przez sztorm. Bez górnych żagli statek stał się narowisty i krnąbrny; gdy szedł ostrym bajdewindem, nie chciał płynąć więcej niż osiem rumbów do wiatru. Pasat wiał im jednak teraz w plecy, toteż Hal mógł rozwinąć wszystkie żagle i obrać kurs wprost na ląd. Udało im się zakończyć pracę przed napotkaniem pierwszych łodzi rybackich, które mogły donieść o ich wpłynięciu na te wody i opisać wygląd Serapha.

Nazajutrz w południe dziesięć kabli po lewej burcie mieli już Cap d'Ambre, północny kraniec Madagaskaru. Hal ustalił pozycję według niego i obrał kurs przez Kanał Mozambicki ku Zanzibarowi. Te wewnętrzne wody upiększały liczne malownicze wysepki i Seraph kluczył między nimi, czasem przechodząc tak blisko, że widać było sylwetki półnagich tubylców machających do nich z białych plaż. Majtkowie wspinali się na reje i odmachiwali pożądliwie, próbując odgadnąć płeć malutkich postaci na brzegu.

Powierzchnia morza upstrzona była poza tym białymi żaglami najróżniejszych stateczków handlowych i dhow rybackich. Kiedy mijały Serapha, wykrzykiwano z ich pokładów pytania w arabskim i innych nierozpoznawalnych językach. Ku zachwytowi żeglarzy w niektórych łodziach znajdowały się kobiety. Podniosły się sprośne okrzyki:

- Na Boga, widzę stąd jej cycki! Brązowe jak para wielkanocnych zajęcy prosto z pieca.

208

- Zlizałbym z nich cały lukier, niech mnie kule biją!

- Powiedz, że się ze mną ożenisz, pogańska ślicznotko, a wyskoczę za burtę w jednej chwili!

Po tym ostatnim zawołaniu jednego z marynarzy jego kompan dorzucił:

- One nie znają słowa "ożenić". Powiedz jej tylko dżiga-dżig, to od razu zrozumie. - Perlisty kobiecy śmiech, który doleciał ich z arabskiego dhow, potwierdził słuszość tej rady.

Hal widział przez lunetę połamane palmy i zniszczoną roślinność na mijanych wysepkach. Na powierzchni morza unosiło się mnóstwo śmieci i szczątków różnych przedmiotów. Wszystko to potwierdzało przejście sztormu i uwiarygodniało historię, która miała uzasadnić ich obecność na tych wodach, gdy zawiną do Zanzibaru.

- Jeżeli nie spotkamy się najpierw z Jangirim - skwitował sucho Ned Tyler. - Narobiliśmy już tutaj takiego szumu, że wieść o naszym przybyciu na pewno nas wyprzedziła.

Hal zdawał sobie sprawę, że Jangiri może przedwcześnie zastawić pułapkę, znajdowali się bowiem na jego macierzystych wodach. Kazał podwoić czujność. Obserwatorów na topie ostrzeżono o niebezpieczeństwie, a załoga przez cały czas trwała w pogotowiu. Ponieważ działa zostały ukryte, nie mógł prowadzić prób artyleryjskich; szermierkę i strzelanie z muszkietów ćwiczone jednak bez przerwy. Te środki ostrożności okazały się na szczęście zbyt skuteczne, gdyż nie spotkali żadnego większego statku i w ciągu dziesięciu dni znaleźli się u wybrzeży Afryki.

Od opuszczenia Przylądka Dobrej Nadziei Tom z Dorianem po raz pierwszy ujrzeli znów kontynent. Kiedy tylko mogli wykręcić się od ślęczenia nad książkami w kabinie Walsh, od lekcji arabskiego z Alfem Wilsonem i od innych obowiązków, wspinali się na top i godzinami rozprawiali o tajemniczym lądzie, o jego cudownościach i przygodach, które obiecywał. Seraph sunął wzdłuż brzegu na północ, czasami bardzo blisko przylądków i raf koralowych, i chłopcy wypatrywali niesamowitych stworzeń i dzikich czarnych plemion. Afryka jednak wydawała się bezkresna, tajemnicza i opustoszała.

Wreszcie ujrzeli przed dziobem Unguję. W archipelagu były jeszcze dwie mniejsze wyspy: Pemba i Latham. Kiedy jednak wśród żeglarzy mówiło się o Zanzibarze, mieli zwykle na myśli tylko tę jedną. Wieńczył ją potężny fort. Zbudowany z białych bloków koralowej skały, błyszczał w słońcu jak góra lodowa.

209

Blanki miał naszpikowane ciężkimi armatami. Hal wziął kurs na wejście do starożytnego portu.

Stało tu całe mnóstwo skośnie ożaglowanych statków i łodzi, zakotwiczonych w całkowitym bezładzie. Niektóre z oceanicznych dhow, należących do kupców z Indii, Maskatu i Morza Czerwonego, dorównywały niemal wielkością Seraphowi. Nie sposób jednak było stwierdzić, które z nich są pirackie. Prawdopodobnie wszystkie, uśmiechnął się Hal pod wąsem i skupił całą swoją uwagę na bezpiecznym zakotwiczeniu Serapha. Zasalutował banderami przedstawicielowi sułtana w forcie i kazał rzucić kotwicę poza zasięgiem przypadkowego strzału z murów twierdzy. Przekonał się już dawno, że nawet najbardziej serdecznym i przyjaznym afrykańskim możnowładcom nie należy ufać do końca.

Gdy tylko statek stanął na uwięzi, ruszył ku niemu rój łódek. Oferowały na sprzedaż towary mogące zaspokoić wszelkie potrzeby i zachcianki marynarzy: od zielonych orzechów kokosowych, po wiązki narkotycznych liści bhangu; od kolców jeżozwierza napełnionych złotym pyłem, po cielesne usługi młodych niewolnic i niewolników.

- Pilnuj, żeby się ta hołota nie przedostała na pokład - ostrzegł Hal Dużego Daniela. - I żeby naszym kochanym chłopcom nie przyszło do głowy wyprawić się na brzeg po butelczynę albo inne uciechy. Mam zamiar odwiedzić tutejszego konsula, chociaż nie przypuszczam, żeby to był ten sam człowiek, któregośmy spotkali dwadzieścia lat temu. Jakże się on nazywał?

- Chyba Grey, kapitanie.

- Masz rację, Danny. Pan William Grey. Obwieś jakich mało; to równie pewne jak to, że włos mu nie spadł z głowy.

Hal wybrał się na brzeg z Abolim i niewielkim oddziałkiem pięciu uzbrojonych marynarzy. Wysiedli z barkasu na kamiennym nabrzeżu pod białymi murami twierdzy.

Aboli poprowadził ich przez ciżbę handlarzy i przechodniów ku labiryntowi uliczek tak wąskich, że mogło tu iść obok siebie najwyżej trzech ludzi. Z biegnących w stronę morza otwartych rynsztoków unosił się niesamowity smród - Anglikom żołądki pochodziły do gardła. Straszliwe gorąco, niezakłócone najłżejszym powiewem, sprawiało, że już po przejściu kilkudziesięciu kroków koszule mieli całe mokre od potu. Wśród budynków zdarzały się dwupiętrowe, żaden jednak nie miał całkiem prostych ścian - wybrzuszały się i pochylały ku sobie, niemal stykając się

210

szczytami. Górne balkony przesłonięte były wymyślnymi kratami; wyglądały zza nich pozbawione twarzy postacie w czado-rach, mieszkanki zenana, wydzielonych kwater dla kobiet.

Pora monsunu przyciągnęła do portu handlarzy żywym towarem z najdalszych zakątków wschodniego wybrzeża Afryki. Aboli poprowadził współtowarzyszy przez główny targ niewolników. Był to ogromny suk na otwartym powietrzu, ocieniony jednak zagajnikiem figowców o poskręcanych pniach i grubym, ciemnym listowiu. Pod rozłożystymi konarami drzew siedziały całe zastępy przeznaczonych na sprzedaż ludzi. Hal wiedział, że nie zdejmowano im kajdan od chwili pochwycenia w głębi afrykańskiego interioru i przez całą pełną udręki podróż wzdłuż wybrzeża na niewolniczych pokładach dhow. Na czołach niektórych mężczyzn widniało wypalone piętno, jeszcze różowe i nie do końca zagojone. Taki znak świadczył o tym, że niewolnik został wykastrowany i przeznaczony jest na sprzedaż do Chin. Zgodnie z dekretem cesarza, nie wolno było sprowadzać do tego kraju czarnych niewolników zdolnych do płodzenia dzieci, gdyż zagrażało to czystości rasy chińskiej. Cena kastratów była podwójna ze względu na spore straty spowodowane brutalnym zabiegiem i kauteryzacją.

Kupcy ze stojących w porcie statków sprawdzali oferowany towar i targowali się z właścicielami niewolników, odzianymi w turbany i długie do kostek szaty. Hal przepchnął się między nimi i wszedł w labirynt uliczek po drugiej stronie suku. Chociaż od ich ostatniej wizyty minęło dwadzieścia lat, bezbłędnie doszli do ciężkich wrót z afrykańskiego mahoniu, otwierających się na hałaśliwą ulicę. Nabijane żelaznymi ćwiekami drzwi zdobił bogato rzeźbiony ornament z cytatami z Koranu, bez przedstawień ludzkich i zwierzęcych - byłoby to bowiem poczytane za bałwochwalstwo. Na odgłos dzwonka pojawił się w nich niewolnik w długiej czarnej szacie i turbanie.

- Salam alejkum - skłonił się na powitanie, dotykając piersi i ust. - Mój pan wie już o waszym przybyciu i z niecierpliwością oczekuje wizyty. - Mężczyzna spojrzał na towarzyszy Hala. - Na pańskich ludzi czeka poczęstunek - oznajmił i klasnął w dłonie.

Pojawił się inny służący, który zabrał gdzieś marynarzy. Hala zaś poprowadzono na dziedziniec z fontanną, gdzie słodka woń kwitnących hibiskusów zagłuszała nieco smród z ulicy.

211

Przez dłuższą chwilę nie poznawał monstrualnej postaci, pólężącej na stosie poduszek w cieniu fontanny. Przyglądał się jej niepewnie, aż w końcu w rozlanej tłustej twarzy dostrzegł pozostałości rysów człowieka, którego kiedyś znał.

- Salam alejkum - przywitał go William Grey, konsul Jego Królewskiej Mości w sułtanacie Zanzibaru.

Hal chciał już odpowiedzieć w tym samym języku, lecz w porę się powstrzymał. Wolał nie ujawniać, że mówi płynnie po arabsku.

- Obawiam się, że nie rozumiem ani słowa z tej pogańskiej mowy, sir. Powiedziano mi, że jest pan Anglikiem. Czy mówi pan w języku chrześcijan? - zapytał.

- Proszę wybaczyć, sir. To kwestia nawyku. - Grey uśmiechnął się przymilnie. - Jestem William Grey. Konsul Jego Królewskiej Mości w sułtanacie omańskim.

Przepraszam, że nie wstaję na powitanie. - Pokazał z dezaprobatą na swoje zrujnowane ciało i opuchnięte słoniowate nogi, pokryte ciekącymi wrzodami. Hal rozpoznał skutki puchliny wodnej. - Zechce pan usiąść, kapitanie. Spodziewałem się pańskich odwiedzin, odkąd doniesiono mi o waszym przybyciu do Zanzibaru.

- Dzień dobry, sir. Kapitan John Black, do usług. - Hal pamiętał, że Grey był odstępca od wiary, który nawrócił się na islam. Podejrzewał, że ta zmiana

wynikała bardziej z przyczyn ekonomicznych i kalkulacji finansowych niż z przekonań religijnych.

Grey najwyraźniej go nie poznał i bezpieczniej było, żeby tak pozostało. Hal liczył na to, przedstawiając się konsulowi fałszywym nazwiskiem, gdyż było bardzo ważne, żeby piraci nie znali jego tożsamości. Przed dwudziestoma laty zyskał arabski przydomek El Tazar, Barakuda, z powodu swych wyczynów na polu walki. Siał wówczas przerażenie wśród islamskiej floty podczas wojny etiopskiej w Rogu Afryki. Skoro miał skusić Jangiriego do zaatakowania Serapha, wrogowie nie powinni wiedzieć, z kim przyjdzie im się zmierzyć.

Usiadł na podsuniętych mu poduszkach. Niewolnica postawiła przed nimi tacę z dwoma srebrnymi naparstkami kawy. Druga przyniosła wysoki srebrny dzbanek na specjalnym palenisku z węgla drzewnego. Obie były młode i smukłe, o gibkich taliach. Grey musiał zapłacić za każdą przynajmniej dwieście rupii. Hal pamiętał, że konsul zgromadził wielką

212

fortunę na handlu niewolnikami oraz sprzedaży licencji i koncesji sułtana. Podczas ich ostatniego spotkania próbował zainteresować go swoimi usługami. Można się było domyślać, że jego łajdacka działalność na tym się nie kończy. Hal nie miał żadnych złudzeń co do uczciwości i moralności tego człowieka i nie wykluczał nawet możliwości, że może on działać w zмовie z Jangirim i jego zbirami.

Jedna z czarnych dziewcząt uklękła przed Greyem i napełniła obie filiżanki czarnym gorzkim płynem, gęstym jak miód. Konsul od niechcienia pogłodził jej ramię, tak jak się głaszczce domowego kota. Złote pierścienie na jego dłoni zatopione były głęboko w pulchnym cieple obrzmiałych białych palców.

- Czy miał pan dobrą podróż, kapitanie?

- Nie obyło się bez przygód, sir - odparł Hal. Grey znał już na pewno ze szczegółami stan, w jakim zawiął do portu Seraph, i teraz chciał to tylko potwierdzić. - Po opuszczeniu Bombaju w konwoju z dwoma innymi statkami szacownej Kompanii Wschodnioindyjskiej osaczeni zostaliśmy przez straszliwy sztorm w pobliżu Madagaskaru. Jeden z żaglowców poszedł na dno wraz z całą załogą. My przetrwaliśmy burzę, ale z poważnie uszkodzonym kadłubem i takielunkiem. To główny powód, dla którego zmuszony byłem zawinąć do Zanzibaru, chociaż początkowo nie było to moim zamiarem.

- Przykro mi słyszeć o takim nieszczęściu - pokiwał współczująco głową konsul - jestem jednak rad, że pan i pański piękny statek zaszczyliciliście nas swoją wizytą. Modlę się, bym mógł wam służyć pomocą i zaopatrzyć we wszystko, czego potrzebujecie.

Hal skłonił się przed nim na siedząco, myśląc jednocześnie: bez wątpienia po wyśrubowanych cenach i z wysoką marżą. Zdumiało go piętno, jakie na Greyu odcisnął czas i choroby. Podczas ich poprzedniego spotkania był młody i pełen animuszu; teraz miał łysą głowę, siwą brodę i zmętniałe, kaprawe oczy. Czuć było od niego powiew śmierci.

- Dziękuję, sir. Jestem wdzięczny za pańską propozycję, przede wszystkim z tego powodu, że wiozę ładunek o wyjątkowej wartości i szczególnym politycznym znaczeniu dla Jego Królewskiej Mości.

Potężne cielsko Greya poruszyło się, a w jego wodnistych oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Jako przedstawiciel Jego Królewskiej Mości w tej części

213

świata - wymamrotał - czy mógłbym poznać naturę tej przesyłki?

Hal na te słowa wciągnął głośno powietrze i opuściwszy wzrok, zaczął przyglądać się ozdobnej rybie pływającej w fontannie. Potarł w zamyśleniu skroń i odprawił cały rytuał zastanawiania się nad sugestią konsula.

- Jeśli w ogóle ktokolwiek powinien to wiedzieć - rzekł wreszcie z westchnieniem - to jest nim z pewnością ambasador króla. - Ociągał się jeszcze przez chwilę, a potem, udając, że się wreszcie zdecydował, zniżył głos i powiedział konspiracyjnym tonem: - Powierzono mi przewiezienie do Anglii podarunku od Wielkiego Mogoła Indii, Aurangzeba, dla króla Wilhelma z okazji jego koronacji. Grey uniósł się nieco na łokciu i wlepił wzrok w twarz Hala. Jego oczy rozgorzały z wolna wyrazem pożądlivosti. Próbował go ukryć, jednak myśl o

królewskim podarunku jednego władcy dla drugiego napełniała go niemal religijna czcią.

Dynastię Mogołów Wielkich zapoczątkował Babur, bezpośredni potomek po mieczu Timura i po kądzieli Dżyngis-chana. Jego ojciec, Szahdżahan, zbudował legendarne mauzoleum Tadż Mahal dla upamiętnienia najukochańszej ze swych żon. Imperium Mogołów było najpotężniejszym i najbogatszym państwem Orientu. Prezent od tak wielkiego władcy musiał mieć przeogromną wartość.

Hal zniżył głos do szeptu.

- Gubernator Bombaju, który pośredniczył w przekazaniu daru, poinformował mnie, że składa się on z dwudziestu szmaragdów o doskonałym blasku, każdy wielkości owocu granatu.

Grey wciągnął głośno powietrze, z trudem łapiąc oddech.

- Gubernator Aungier - ciągnął Hal - zwierzył mi się, że wartość tych klejnotów wynosi pięć lakhów. Pół miliona rupii.

Grey usiłował usiąść, lecz był to dla niego zbyt wielki wysiłek. Opadł więc z powrotem na poduszki, wpatrując się w Hala bez słowa. Pół miliona rupii to było prawie sto tysięcy funtów; fortuna trudna do ogarnięcia rozumem.

- W rzeczy samej, kapitanie Black, to przesyłka najwyższej wagi - wydusił wreszcie. - Proszę być pewnym, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc panu w naprawie statku i ponownym wyjściu na morze.

- Dziękuję, sir.

214

- Ile czasu zabierze wam reperacja statku? - zapytał podekscytowany Grey. - Kiedy spodziewa się pan wyruszyć w dalszą podróż, kapitanie?

- Z pańską pomocą, sir, powinienem być gotów w ciągu miesiąca.

Konsul milczał przez chwilę, najwyraźniej kalkulując coś w myślach. Na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi. Wszystko to w oczach Hala świadczyło niezbicie, że współpracuje on ściśle z korsarzami.

Grey posłał mu lepki, przymilny uśmiech.

- Zniszczenia zapewne są większe, niż to wynika z pobieżnej obserwacji - powiedział.

Potwierdziło to przekonanie Hala, że musiał z dachu rezydencji przyglądać się Seraphowi przez lunetę.

- Postaram się oczywiście wypłynąć szybciej - rzekł - lecz statek mocno przecieka i podejrzewam, że kadłub mógł zostać uszkodzony poniżej linii wodnej. Dwa, trzy tygodnie to w każdym razie minimum.

- Dobrze! - oznajmił Grey. - Mam nadzieję, że pański statek będzie po tym czasie zdolny do dalszej żeglugi.

Hal skłonił się uprzejmie, myśląc jednocześnie: I jeśli się nie mylę, masz także nadzieję, że do tego czasu zdążysz się dogadać ze swoim współnikiem Jangirim, żeby zgotował nam gorące przyjęcie, gdy tylko wyjdziemy znów na Kanał Mozambicki.

Grey gestem nakazał niewolnicy napełnić ponownie filiżanki.

- Poza zaopatrzeniem dla statku, mam także do zaoferowania rzeczy, które przyniosą korzyść panu osobiście, kapitanie - powiedział. - Po przybyciu do Anglii ich wartość wzrośnie trzy-, a nawet czterokrotnie. Czy jest pan zainteresowany, sir?

- Mimo dekretu Kompanii, zabraniającego prywatnego handlu, jestem zdania, że każdy ma prawo zbierać owoce własnej pracy i zaradności - odparł Hal.

- Myślę dokładnie tak samo! - Grey pokiwał głową z entuzjazmem. - Mam w swoich barakach z tuzin niewolników o klasie rzadko widywanej na targu. - Pochylił się i puścił do Hala oko w sposób tak obleśny, że ten z ledwością powstrzymał się od okazania obrzydzenia. - W rzeczy samej mógłbym się nawet zastanowić nad rozstaniem z którymś z moich specjalnych skarbów. - Pogłaskał po głowie klęcząca przed nim niewolnicę i z miłosnym uśmiechem powiedział do

215

niej po arabsku: - Uśmiechnij się do tej niewiernej świni! - Dziewczyna zerknęła na Hala z ukosa i obnażyła małe białe zęby w nieśmiałym uśmiechu. - Czyż to nie ślicznotka? - zapytał Grey. - Na Przylądku Dobrej Nadziei można za taką wziąć ze sto pięćdziesiąt funtów. Mogę ją panu sprzedać, po znajomości oczywiście, za siedemdziesiąt. - Pogłaskał ją znowu. - Pokaż niewiernemu cycki - rozkazał po

arabsku. Dziewczyna się zawahała. - Pokazuj albo każę cię wychłostać. Niewolnica była jeszcze dzieckiem, najwyżej szesnastolatką; uniosła jednak rąbek bluzki i obnażyła jedną brązową, na wpół rozwiniętą pierś, z sutkiem jak czarna perła. Jednocześnie opuściła wstydliwie głowę.

- Jej intymne miejsca są równie doskonałe, gdyby miał pan ochotę sprawdzić, kapitanie - zapewnił go Grey.

- Jest piękna. Niestety nie miałbym dla niej miejsca na pokładzie - rzekł stanowczo Hal i dziewczyna zakryła pierś. Greya ta odmowa zupełnie nie zraziła. - Mam pewną ilość gumożywicy, najlepszej jakości - powiedział. - Zapewniam pana, że jest wielce poszukiwana. Nie sposób na niej godziwie nie zarobić.

Hal zdawał sobie sprawę, że jeśli ma pozostać w przyjaznych stosunkach z konsulem, dobrze będzie przystać chociaż na jedną z jego propozycji. Zaczął się więc targować o dziesięć koszy aromatycznej żywicy, o łącznej wadze stu pięćdziesięciu funtów.

Niewolnicy Greya wnieśli kosze i ustawili je rzędem na środku dziedzińca, by mógł obejrzeć zawartość. Wiedział, że cenna gumożywica pochodzi z drzew w afrykańskich górach. Ich pnie głęboko nacinano, a wyciekający sok twardniał w zetknięciu z powietrzem. Po czterech miesiącach w miejscach nacięć tworzyły się duże kuliste nacieki, które zdrapywano. Ten pierwszy zbiór dawał żywicę o półprzeźroczystym zielonym odcieniu, świadczącym o jej najwyższej jakości. Przekonawszy się, że oferowany towar ma tę cechę, Hal skinął z aprobatą głową. Jego kompetencja zrobiła na Greyu wrażenie.

- Widzę, kapitanie, że jest pan dżentelmenem wybornie znającym się na rzeczy - stwierdził. - Na rynku Zanzibaru pojawiła się ostatnio para kłów słoniowych, jakich nie widziałem jeszcze, odkąd przyjechałem na wyspę dwadzieścia pięć lat temu. Sądzę, że dżentelmen o pańskiej klasie będzie w stanie docenić w pełni ich wartość.

216

Klasnął w dłonie i pięciu muskularnych niewolników, którzy czekali niewątpliwie na rozkaz, wniosło na dziedzińiec jeden z kłów, uginając się pod jego ciężarem.

- Dziesięć stóp długości! - zawołał z dumą Grey. - Dwieście pięćdziesiąt funtów wagi!

Był to istotnie niewiarygodny, wygięty łukowato pał z czystej kości słoniowej. Ten koniec, który tkwił w czaszce słonia, był kremowobiały, resztę zaś pokrywały żółto-brunatne plamy z soku wielkich drzew, z których zwierzę rwało liście i zdzierało korę. Gdy niewolnicy położyli obok drugi kieł, trudno je było od siebie odróżnić, tak doskonałą stanowiły parę.

Słonie - stwory o grubej pomarszczonej skórze - fascynowały Hala, odkąd po raz pierwszy ujrzał ich stado na dzikim afrykańskim wybrzeżu. Był wtedy chłopcem w wieku Toma. Poglaskał jeden z kłów. Miał wrażenie, że dotyka samego serca tego ogromnego, niezbadanego kontynentu. Wiedział, że musi kupić te kły za każdą cenę. Grey spostrzegł pożądanie w jego oczach i targował się twardo. Ta zachcianka kosztowała Hala więcej niż tuzin młodych niewolnic.

Później, kiedy kły leżały już na pokładzie Serapha, lśniąc niczym bursztyn w promieniach słońca, doszedł do wniosku, że był to udany zakup. Gdy dożyje sędziwego wieku i jego kości przeniknie chłód starości, w samym środku angielskiej zimy wyciągnie tylko rękę, by dotknąć swojej Afryki i przeniesie się w jednej chwili do miejsc i czasów, w których był młody. Poczuje w piersi całą cudowność i żar tego ładu.

Stał, przyglądając się wspaniałym okazom z niemal nabożną czcią. U jego obu boków stanęli synowie. Nawet Dorian milczał oszołomiony - ten sam czar zauroczył wszystkich trzech. Wreszcie ledwie słyszalnym głosem przemówił Tom.

- Ależ są ogromne - szepnął. - Któregoś dnia chciałbym upolować takiego stwora jak ten, który je nosił.

Hal uczynił z naprawy Serapha długie przedstawienie. Chciał, żeby wiadomość o jego zawinięciu do Zanzibaru rozniosła się po wyspach i zdążyła dotrzeć do uszu Jangiriego, gdziekolwiek się ukrywał. Potem piracki watażka będzie potrzebował czasu, żeby zgromadzić odpowiednie siły i rozmieścić je w zasadzce na wodach kanału. Było pewne, że nawet Jangiri nie zdecyduje się zaatakować statku stojącego w porcie. Hal był przecież gościem

217

sułtana i korzystał z jego opieki. Znał nauki Proroka i wiedział, że w świecie muzułmańskim na gospodarzu ciąży honorowy obowiązek, którego sułtan nie pozwoliłby zlekceważyć żadnemu ze swych poddanych. Jednakże kiedy statek znajdzie się na morzu, stanie się legalną zdobyczą, a sułtan najpewniej przyjmie swoją część łupu bez mrugnięcia okiem.

Innym czynnikiem, który Hal musiał brać pod uwagę, był spodziewany czas przybycia na umówione spotkanie Yeomana of York pod dowództwem Andersena. Najchętniej zmierzyliby się z Jangirim jeden na jednego na otwartym morzu, wiedział jednak, że baza korsarzy, jeżeli ją odnajdzie, może być mocno ufortyfikowana i uzbrojona. A do przeprowadzenia oblężenia i szturm przyda się dodatkowy statek i jego marynarze.

Jeżeli Edward Andersen opuścił Przylądek Dobrej Nadziei w tydzień po Seraphie, najpewniej ominęło go apogeum sztormu, a późniejsze silne wiatry mogły przyspieszyć jego żeglugę do Bombaju. Zbliżała się pora deszczowa i wkrótce monsun miał zmienić kierunek, co pomoże Yeomanowi w drodze powrotnej do Afryki. Niemniej jednak do ich spotkania miało jeszcze upłynąć wiele tygodni. Nie było więc powodu do pośpiechu.

Załoga Serapha zaczęła w leniwym tempie wciągać górne reje i części omasztowania i mocować je na swoich miejscach, cieśle natomiast pozorowali długie naprawy kadłuba i malowali go na nowo.

Tydzień po wizycie u brytyjskiego konsula Hal posłał na brzeg Abolego, by zakupił to i owo na suku. Wieczorem zaś wezwał do siebie Toma i Doriana. Obaj chłopcy molestowali go, by wolno im było uczestniczyć w każdej wyprawie z Serapha na brzeg. Ich temperament, zbyt długo nie znajdujący ujścia, skłonił ich już do kilku nierozważnych wybryków, lepiej więc było dać im się wy szumieć poza ciasną przestrzenią statku.

- Aboli i ja wybieramy się dziś wieczorem do miasta, posłuchać plotek na ulicach i targowiskach. Potrzebuję dwóch młodych niewolników do pomocy - powiedział po arabsku i z uśmiechem skostatował, że Tom wykorzystał okazję, by się popisać swoją znajomością tego języka.

- Czcigodny ojcze, będzie to dla mnie wielki zaszczyt móc towarzyszyć ci w tej wyprawie - odparł chłopiec.

Hal skorygował błędy w jego wypowiedzi, ale zadowolili go postępy syna. Nie mógłby jeszcze uchodzić za mieszkańca

218

Arabii, lecz porozumiałby się z każdym. Spojrzał z kolei na Doriana.

- Co ma do powiedzenia w tej kwestii mój najmłodszy syn? - zapytał.

Dorian skłonił się z szacunkiem.

- Ukochany ojcze, moja wdzięczność z powodu twej dobroci tryska jak słodka woda z pustynnej fontanny - odpowiedział.

- No coś takiego! Spłodziłem prawdziwego poetę! - zaśmiał się Hal. Arabski Dorian był dużo lepszy niż jego brata. Jego zasób słownictwa budził podziw i chłopiec posługiwał się nim odpowiednio do okoliczności, w sposób właściwy rodowitym mieszkańcom Arabii. - Aboli kupił dla was ubrania - dodał Hal. - Po kolacji bądźcie zaraz gotowi do wyjścia.

Sam włożył długą do kostek szatę i sandały nabyte przez Abolego. Przewiązał się szerokim pasem ze złotego filigranu, a w zawieszanej na brzuchu pochwie miał sztylet z rzeźbioną rękojeścią z rogu nosorożca, lśniąca jak żółty agat. Ten strój uzupełnił kamizelą wyszywaną złotogłowie i srebrem, a głowę okrył czarnym turbanem. Z gęstymi czarnymi wąsami, orlim nosem i skórą opaloną na kolor tekowego drewna wyglądał jak zamożny kapitan dhow, handlarz niewolników lub rozbójnik z Morza Czerwonego. Na wszelki wypadek wetknął także za pas pod kamizelką parę dwulufowych pistoletów.

Obaj chłopcy też mieli pociemniałe od słońca twarze i nie trzeba było ich barwić. Czupryny schowali pod turbanami. Świetliście zielone oczy Doriana odbijały do jego miedziano-złotej skóry, lecz taką jasną cerę i oczy miało wiele plemion z Patanu w północnych Indiach.

O zmroku wsiedli do barkasu. Zamiast przybijać do nabrzeża w porcie, Hal skierował łódź poza obręb falochronu i wylądował na spokojnej plaży milę od miasta. Zostawił barkas pod opieką Dużego Daniela i cała czwórka ruszyła wydeptanym traktem do portu.

Miasto nie miało murów obronnych. Wąskie ulice były nieoświetlone, jeśli nie liczyć poblasku lamp z niektórych okien, przemierzali je więc, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Kiedy dotarli do głównego bazaru, okazało się, że większość straganów i sklepików jest jeszcze otwarta. Hal wybrał sklep z dywanami, który wpadł mu w oko, gdy szedł do konsula. Było tu wiele dywanów o naprawdę pięknych wzorach i fak-

219

turze. Właściciel, nazwiskiem Salim bin-Talf, powitał go wylewnie, usadowił na dywanie z połyskliwego jedwabiu i poczęstował mocną słodką kawą z dodatkiem kardamonu. Aboli z dwoma młodymi niewolnikami usiadł z tyłu. Wszyscy trzej, zgodnie z poleceniem Hala, utrzymywali przez cały wieczór pełne szacunku milczenie.

- Jakie przynosisz wieści, efendi! - zadał Courtneyowi rytualne pytanie bin-Talf.

- Wieści są dobre - odparł Hal. Udzieliliby tej zwyczajowej odpowiedzi, gdyby nawet obrabowano go właśnie z całego majątku, zgwałcono wszystkie żony, najstarszy syn zaś zmarł od ukąszenia węża. - A co u ciebie?

- U mnie też wszystko dobrze.

Sączyli drobnymi łykami kawę. W trakcie rozmowy dołączyło do nich trzech czy czterech przyjaciół lub krewnych bin-Talfa, zwabionych obecnością obcego.

Powoli, z poszanowaniem dobrych obyczajów i zasad, zadawano kolejne pytania, zbliżając się do konkretów.

- Nie mówisz jak człowiek z północy, efendf! - rozpoznali jego akcent.

- Przybyłem z Morvi w Gudżaracie, w imperium Wielkiego Mogoła. Mój statek stoi w porcie. - Hal przyjrzał się z pokładu Serapha kilku pełnomorskim dhow i mógł teraz zaspokoić ciekawość słuchaczy odpowiednim opisem. - Mam zamiar kupić kilku niewolników i pohandlować na bazarach Zanzibaru i Łamu.

- A jak się sprawy mają w twoim kraju?

- Plemiona Marathów i sikhowie podnieśli bunt przeciwko imperatorowi, ale z bożą pomocą zostaną pokonani.

- Łaska Boga!

- W porze żeglugi jego starszy syn Asaf Khan przypłynie na pielgrzymkę do Mekki z setką statków.

- Chwalmy Boga!

- Jest tylko jeden Bóg.

Wszystkie te informacje Hal zebrał na Przylądku Dobrej Nadziei, lecz ich prawdziwość uwiarygodniła go w oczach bin-Talfa i jego zauszników. Rozluźnili się wyraźnie i stali się bardziej przyjacielscy. Rozmowa potoczyła się swobodniej. Hal targował się łagodnie o wspaniałą jedwabny dywan z Persji, a gdy zapłacił złotymi mohurami, monetami o wartości piętnastu rupii każda, otwartość handlarzy objawiła się w pełni.

- Czy widziałeś ten angielski statek w porcie? - zapytał

220

kuzyn bin-Talfa. - Ten o czarnym kadłubie, zakotwiczony przy krańcu falochronu?

- Mój statek stoi blisko tego Anglika. Chyba jest uszkodzony, bo załoga pracuje na masztach.

- Podobno dostał się w ten wielki sztorm w ubiegłym miesiącu.

- I nam także przyszło się z nim zmierzyć, lecz dzięki łasce Boga przetrwaliśmy ten atak.

- Bogu niech będą dzięki!

- Powiadają, że Anglik płynie z twoich stron, z Bombaju w królestwie Wielkiego Mogoła. - Bin-Talf zniżył głos i rozejrzał się, by się upewnić, czy nikt ich nie szpieguje. - Wiezie olbrzymie skarby dla króla Franków * od Wielkiego Mogoła.

- Słyszałem o tych skarbach. - Hal z trudem powściągnął uśmiech. - Mówiono o nich wiele, gdy opuszczałem Allaha-bad. - On też zniżył głos. - Podobno to diamenty warte dwadzieścia lakhów.

- Nie, nie! - szepnął podekscytowany kuzyn handlarza. - Słyszałem, że to szmaragdy i że są warte pięćdziesiąt lakhów. Mówią, że Wielki Mogoł całkiem opróżnił swój skarbiec.

- W istocie, to chyba największy skarb, jaki świat dotąd widział! - Hal aż otworzył usta z podziwu. - A teraz jest tak blisko nas. Chciałbym, by moje oczy spoczęły kiedyś na takim skarbie.

Zamilkli wszyscy, rozważając perspektywę, jaką niosły ze sobą te słowa. Na samą myśl o niej w ich oczach pojawiły się zachłanne błyski.

- A ja chciałbym, żeby spoczęły na nim moje ręce - rzekł w końcu bin-Talf. - Choćby tylko po to, żeby mieć co opowiadać wnukom.

- Al-Auf już by cię zaraz pozbawił tych klejnotów, kuzynie - zaśmiał się złośliwie jego krewniak. Roześmiali się wszyscy, a któryś dorzucił:

- I ręk także by cię pozbawił.

- Na Boga, to czysta prawda.

- Prawda, prawda! - Śmiali się teraz bez opamiętania.

- Kim jest ten Zły, o którym mówicie? - zapytał niewinnie Hal, takie bowiem było znaczenie imienia al-Auf.

* Nazwa nadana na Bliskim Wschodzie przybyszom z Europy w okresie wojen krzyżowych, stosowana jeszcze w czasach nowożytnych.

221

- Jesteś żeglarzem i nie słyszałeś o nim? - zdumiał się bin-Talf. - Sądziłem, że każdy marynarz drży ze strachu na sam dźwięk tego imienia.

- Jestem tylko ignorantem z dalekiego kraju - przyznał skromnie Hal.

- Musallim bin-Jangiri, postrach niewiernych i Miecz Islamu. To właśnie jest al-Auf; to właśnie jest Zły.

Serce Hala zabiło szybciej, lecz zachowując neutralny wyraz twarzy, pocierał w zamyśleniu brodę.

- Al-Auf jest więc korsarzem? - zapytał.

- To ojciec i matka wszystkich korsarzy - odparł z uśmiechem bin-Talf.

- Wygląda na to, że lepiej go unikać. Gdzie jednak mógłby znaleźć al-Aufa człówek na tyle głupi, żeby go w ogóle szukać?

Bin-Talf zachichotał i długo wciągał dym z nargile. Woda w butli z wydrażonego kokosa zabulgotała i z ust palącego wydobył się pachnący piżmem dym bhangu.

- Masz rację, efendi. Tylko szaleniEC chciałby go szukać. Gdybyś jednak potrafił wytropić szlak rekina w oceanie, będziesz wiedział, jak znaleźć jego statek.

Jeżeli wiesz, gdzie rodzi się morska mgła, uda ci się wypatrzeć cień jego czarnych żagli.

- To chyba dżin, duch oceanu, a nie człówek z krwi i kości - stwierdził Hal.

- To człówek w rzeczy samej. Widziałem go na własne oczy - pochwalił się kuzyn.

- Gdzie go widziałeś? Jak wygląda?

- To było w Łamu. W porcie stał jego żaglowiec. Widziałem Złego na pokładzie. Ma dumną postawę i śmiałe oko dawnych bohaterów. To potężny człowiek; aż strach na niego patrzeć.

- Jaki ma statek? - Hal wiedział, że każdy opis wyglądu Jangiriego będzie mocno podkoloryzowany z powodu przerażenia, jakie budził. Lepiej było zapytać o jego statek.

- Dziwna rzecz, ale to nie dhow, jakby się można spodziewać. To statek frankijski, o wielu żaglach - odparł kuzyn gospodarza. - Tylko że są one czarne.

- Taki jak ten angielski żaglowiec w porcie?

- Tak, tak! Taki sam, tylko dużo większy i ma więcej armat. To musi być Minotaur, domyślił się Hal.

- Ile ich jest? - dopytywał się.

- Mnóstwo! Może setka - zaryzykował kuzyn. Widać

222

było, że nie zna się na statkach i to pytanie niewiele dlań znaczy. - Jeżeli ten Anglik spotka kiedykolwiek Złego, to niech niewierny błaga o litość Allaha, bo al-Auf mu jej na pewno nie okaże.

Wkrótce Hal się pożegnał i cała czwórka opuściła sklep. Kiedy płynęli z powrotem na Serapha, siedział sam przy sterze i przysłuchiwał się, jak chłopcy z ożywieniem relacjonują Dużemu Danielowi i Alfowi szczegóły wycieczki do portu.

Sam także był zadowolony z wyprawy. O domniemanym skarbie Wielkiego Mogoła wspominał tylko konsulowi Greyowi, a jednak już rozprawiano o tym na suku.

Wiadomość musiała też dotrzeć do uszu korsarzy.

Seraph zmarudził jeszcze trzy tygodnie na kotwicy, lecz wreszcie Hal udał się z pożegnalną wizytą do konsula. Po wymianie wstępnych uprzejmości i komplementów poinformował go:

- Skończyłem naprawy na statku i jestem gotów do wyjścia w morze.

- Kiedy zamierza pan wypłynąć, kapitanie? - Grey dźwignął swoje wielkie cielsko do pozycji siedzącej i spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Za trzy dni, wraz z porannym odpływem.

- Chociaż goszczenie pana w moim domu to dla mnie wielki honor, sir, rozumiem pańskie pragnienie podjęcia przerwanej podróży. Szczególnie, że wiezie pan tak cenny ładunek. Mogę panu tylko życzyć szczęśliwej drogi i pomyślnych wiatrów. Konsul wyraźnie nie był już zainteresowany opóźnieniem rejsu Serapha; wręcz przeciwnie, nie mógł się doczekać jego wyjścia w morze. Dla Hala znaczyło to tylko jedno. Jangiri - al-Auf - otrzymał już wiadomość i może nawet zdążył się zacząć na wodach Kanału Mozambickiego.

Ostatnie trzy dni w Zanzibarze spędzili na przygotowaniach do bitwy. Marynarze pod nadzorem Dużego Daniela załadowali na nowo wszystkie działa, a jedwabne woreczki z magazynu zostały co do jednego napełnione prochem i rozmieszczone na stanowiskach bojowych. Aboli dopilnował wymiany krzemieni w muszkietach i pistoletach oraz ich załadowania. Obrotowe ośki wirowały, sypiąc iskrami i ostrząc kordy, a szpice pik ostrzono ręcznie. Wszystkie te czynności wykonywano w ukry-

223

ciu, tak by nie dostrzegło ich oko szpiegów, obserwujących statek z nabrzeża czy murów fortu.

Hal wypatrywał wszelkich nietypowych poruszeń łodzi zgromadzonych w obrębie falochronów. Miał wrażenie, że od ostatniej rozmowy z Greyem znacznie wzrosła liczba małych dhow, kursujących między kanałem i portem. Sporo z nich przepływało blisko Serapha, a ich załoga wychylała się przez burty, żeby się lepiej przyjrzeć wielkiemu żaglowcowi. Można by to uznać za przejaw naturalnej ciekawości, Hal jednak był przekonany, że wieść o ich rychłym wypłynięciu dotarła już do zainteresowanych uszu, gdzieś tam w nieznanej dali.

Podczas ostatniej nocy w Zanzibarze rozszalała się burza z piorunami. Grzmoty przetaczały się z hukiem po nieboskłonie niczym ogromne głazy, a błyskawice zmieniały noc w dzień. Marynarze na pokładzie działowym musieli porozumiewać się krzykiem.

Po północy chmury się rozpierzchnyły i na niebie rozbłysły miriady migoczących gwiazd, odbijając się w wodach portu. Zrobiło się tak spokojnie i cicho, że Hal, leżąc bezsennie na koi, słyszał śpiew arabskiego marynarza pełniącego wachtę na którymś z pobliskich dhow.

Bóg jest Wielki.

Człowiek jak morska piana na szlaku monsunu.

Plejady miej nad głową,

a Gwiazdę Zaranną w oku.

Tylko Bóg zna ocean do końca.

Tylko Bóg trwa po wsze czasy.

Gdy zapowiedź jutrzeńki rozjaśniła wschodnie niebo, przyćmiewając gwiazdy, Hal wstał i wyszedł na pokład. Od lądu nadlatywała w ciepłych podmuchach bryza, a Seraph szarpał się lekko na uwięzi, skory do wyruszenia w rejs. Hal skinął głową Nedowi Tylerowi, który wezwał obie wachty do stawiania żagli.

Marynarze wylegli na wanty. Żagle rozwijały się, falując i łopocząc, aż wypełniły się wiatrem. Seraph przysiadł na rufie, kierując dziób w stronę wyjścia z portu. Stanąwszy przy rufowym relingu, Hal ujrzał, że cztery dhow również podniosły kotwice, rozwinęły pojedyncze łaćnińskie żagle i płyną za nimi.

- Może po prostu tak jak my zamierzali wyjść w morze

224

wraz z początkiem odpływu - mruknął Ned, który także przyglądał się łodziom.

- Wszystko jest możliwe, panie Tyler - zgodził się Hal. - Nawet to, że konsul Grey jest uczciwym człowiekiem.

- To by chyba była lekka przesada, kapitanie - odparł poważnie Ned.

Hal podniósł wzrok na wysokie mury fortu, połyskujące perłowo w świetle świtu, i wydał pomruk zaciekawienia. Na szczycie wschodniej wieży dostrzegł rozbłysk

Alf Wilson nagle gwizdnął przeciągle, a jego smagła twarz rozjaśniła się wyrazem szatańskiej uciechy.

- Ten wysoki z brodą, tam na dziobie - wskazał Halowi jednego z rozbitków. - Ja go znam. Na Boga, ależ to będzie rozkosz spotkać go znowu. Dowodził tą bandą podrzynaczy gardeł, która dostała się na Minotaura za pomocą dokładnie takiego samego fortelu.

- Proszę się cofnąć, panie Wilson - ostrzegł go cicho Hal - bo i on może cię rozpoznać. Niech najpierw znajdzie się na pokładzie.

Barkas zacumował do burty Serapha. Pierwszy z uratowanych wspiał się po sznurowej drabinie i zeskoczywszy na pokład, padł na kolana, bijąc głową o deski. Woda z jego przemoczonego, długiego burnusa utworzyła pod nim kałużę.

- Niech Allah i wszyscy jego święci pobłogosławią ten statek. Wasze miłosierdzie i dobroć zapisane zostaną w złotej księdze...

- No, dość już tego, chłopie - przerwał jego tyradę Duży Daniel i pomógł mu wstać.

Marynarze natychmiast przyparli zaskoczonego Araba do burty i otoczyli ciasnym kręgiem. Następny na pokładzie pojawił się wysoki brodac. Rozpostarł ręce, a jego chuda postać oblepiła mokra szata.

- Jakże pomyślny to dzień - rozpoczął górnolotnym tonem. - Moje dzieci i wnuki...

- Salam alejkum, Rachid - powitał go Alf Wilson. - Moje oczy z utęsknieniem wyczekiwały dnia, kiedy znów ujrzę twoje piękne oblicze.

Rachid spoglądał nań skonsternowany. Alf postąpił z uśmiechem krok ku niemu i Arab go rozpoznał. Rozejrzał się z dzikim przerażeniem w oczach, szukając drogi ucieczki, i skoczył ku burcie. Alf pochwycił go w powietrzu i rzucił na pokład. Przycisnąwszy go kolanem w krzyżu, przystawił mu do szyi swój szkocki sztylet.

- Błagam cię, o ukochany przez Proroka, daj mi tylko pretekst, żebym mógł ci poderżnąć gardło.

Ukłuł go mocno, a Arab zakwicział, skręcając się w jego uścisku. Alf obszukał wolną ręką jego mokrą szatę i wyciągnął spod niej morderczo zakrzywiony sztylet. Przyłożył ostrze do ucha Rachida i jednym ruchem uciął gładko jego płatek. Na brodę jeńca spłynęła strużka krwi.

227

- No proszę, jaki ostry - rzekł z zadowoleniem Alf. - To chyba ten sam nóż, którym odciąłeś nos mojemu staremu towarzyszkowi żeglugi Benowi Brownowi i zamordowałeś John-niego Waite'a.

Rachid szlochał i błagał o litość.

- Bóg mi świadkiem, jestem niewinny. Pomyliłeś mnie z kimś innym. Jestem tylko biednym rybakiem - zawodził.

Resztę rzekomych rozbitków wyciągnięto na pokład i stali teraz, zupełnie zdezorientowani, w ciasnej grupce otoczonej kręgiem lśniących kordów. Alf szarpnął jęczącego i płaszcącego się Rachida do pozycji stojącej i pchnął go w stronę pojmanych.

- Jeżeli któryś z was będzie próbował uciekać albo wyciągnąć broń, którą kryjecie pod szatami, moi ludzie mają rozkaz uciąć mu głowę - ostrzegł ich Hal, po czym zwrócił się do Neda: - Niech statek rusza w dalszą drogę, panie Tyler. Kiedy Seraph złapał wiatr w żagle i skierował się w dół kanału, Hal warknął do więźniów:

- Rozbierać się, wszyscy! Obnażyć te niemyte ciała! Rozległy się okrzyki protestu.

- Efendi, to się nie godzi. Nagość okryje nas hańbą w oczach Boga!

Hal wyciągnął zza pasa jeden z pistoletów i odwiódłszy kurek, przystawił lufę do głowy Rachida.

- Zdejmuj ubranie! Zadziw nas rozmiarami swego obrzezanego kutasa, tak jakbyś sprawiał uciechę hurysom w rajskich ogrodach, do których cię zaraz poślę!

Rachid z ociąganiem ściągnął z siebie mokrą suknię, zostając w przepasce na biodrach.

- Wszystko! - rozkazał Hal.

Arabowie za przykładem swego herszta zaczęli się także rozbierać. Składali ubrania na pokładzie z przesadną starannością, by to, co skryli w fałdach szat,

nie stuknęło o deski. Wreszcie zbili się w żalosne stadko, zakrywając dłońmi intymne miejsca i zapewniając jękliwie o swej niewinności.

- Przeszukajcie te szmaty! - rozkazał Hal, wskazując na kupę porzuconych ubrań. Aboli z Dużym Danielem sprawdzili każdą sztukę po kolei, gromadząc pokaźną kolekcję sztyletów. Kiedy skończyli, na pokładzie piętrzył się stos broni.

- Rachid! - Hal wyłuskał z grupy przywódcę, który z płaczem padł przed nim na kolana. Łzy mieszały się z krwią

228

spływającą z okaleczonego ucha. - Jaki jest plan al-Aufa? Jakim sygnałem mieliście go powiadomić, że przejęliście panowanie nad moim statkiem?

- Nie rozumiem cię, efendi. Nie znam nikogo o takim imieniu. Zlituj się nad biednym rybakim! Jeżeli mnie zabraknie, moje biedne dziatki umrą z głodu!

- Allah Miłościwy zaopiekuje się twoimi nieszczęsnymi sierotami - zapewnił go Hal, lustrując wzrokiem przerażonych jeńców. - Ten! - wybrał bandytę o

nikczemnym wyglądem. Miał twarz pokrytą bliznami i pusty oczodół. Aboli

wyciągnął mężczyznę z grupy i otoczywszy jego szyję grubym łańcuchem, zapiał go szeklą. - Pytam jeszcze raz - zwrócił się Hal do Rachida, obnażając zęby. - Jaki to sygnał?

- Na Boga, efendi, ja nie znam żadnego al-Aufa. Nic nie wiem o żadnym sygnale!

Hal skinął głową na Abolego. Murzyn podniósł zakutego w łańcuch Araba, jakby to było dziecko, i podszedł do relingu, a potem dzwignął go wysoko nad głowę i cisnął do morza. Mężczyzna zniknął natychmiast pod wodą, wciągnięty pod powierzchnię ciężarem łańcucha. Większość ludzi na pokładzie zamarła w przerażonym milczeniu; nawet angielscy marynarze. Żaden z nich nie przypuszczał, że ich kapitan może okazać się tak bezwzględny. Z grupy nagich jeńców podniosło się ciche zawołanie i wszyscy, jak jeden mąż, padli na kolana, ze złożonymi dłońmi błagając o darowanie im życia.

- Sygnał? - zapytał cicho Hal, patrząc Rachidowi prosto w oczy.

- Przywołuję Boga na świadka, że nie wiem nic o żadnym sygnale - odpowiedział Arab.

- Bierz go - rzucił Hal do Abolego.

Murzyn złapał mężczyznę za ranne ucho i powlókł do relingu. Rzuciwszy go na deski pokładu, postawił mu swoją wielką nagą stopę między łopatkami i owinał szyję łańcuchem. Potem podniósł Araba bez trudu nad głowę.

- Rzuć go rekinom - rozkazał Hal - choć nawet i one dostaną niestrawności od takiej padliny.

- Powiem ci! - zawył Rachid, wierzgając w powietrzu nogami. - Każ tylko temu czarnemu szatanowi mnie puścić, a powiem wszystko!

- Trzymaj go nad burta - powiedział Hal.

229

Aboli zmienił chwyt i przewiesił Araba przez burta, trzymając za kostki nóg nad spienioną falą dziobową Serapha.

- Mów - zadudnił cichym basem - bo mi się ręce męczą. Nie utrzymam cię już długo.

- Dwa światła - zaskrzeczał Rachid. - Dwie czerwone latarnie na topie. To sygnał dla al-Aufa, że statek jest nasz.

Aboli wciągnął go na pokład i rzucił na deski. Mężczyzna rozpląszczył się u ich stóp.

- Jakim kursem miałeś popłynąć? Gdzie mieliście się spotkać? - pytał Hal.

- Miałem trzymać się blisko ładu i sterować na południe, w stronę Ras Ibn Khum. Hal wiedział, że to arabska nazwa jednego z większych przyładków, wrzynających się w kanał.

- Zakuć ich wszystkich w łańcuchy i zamknąć na forkaś-telu. Niech straż nie spuszcza ich z oka. Jeśliby któryś próbował ucieczki, zastrzelić - rozkazał po arabsku na użytek jeńców.

Kiedy żarzące się słońce zapadło w morze, Hal kazał skrócić żagle i odsunąć się od wybrzeża, jak uczyniłby każdy przezorny kapitan, mając brzeg tak blisko po zawietrznej. Płynęli powoli na południe. Raz czy dwa podczas tych wczesnych godzin nocy obserwatorzy na topie dostrzegli słabe światła latarń dhow, śledzących Serapha.

Al-Auf, gdziekolwiek czaił się na Minotaurze, zapewne oczekiwał, że jego ludzie opanują statek, kiedy załoga zaśnie. Dlatego Hal zszedł do drugiego dzwonu środkowej wachty i dopiero o drugiej nad ranem kazał wywiesić na dziobie i na grotmaszcie dwie czerwone latarnie. Jarzyły się w mroku niczym oczy smoka. Potem rozkazał Abolemu i dwudziestu wybranym marynarzom poprzebierać się w mokre jeszcze szaty pojmany Arabów. Sam poszedł do swojej kabiny i szybko przebrał się w strój, który miał na sobie podczas nocnego wypadu do Zanzibaru. Kiedy wrócił na pokład, Seraph sunął cicho przez czarne wody. Księżyc zaszedł i ciemny kontur ładu, oblamowany perłową linią fosforyzującego przyboju, zniknął w mroku.

Hal przeszedł się po pokładzie i porozmawiał z każdym oddziałkiem marynarzy przyczajonych wzdłuż burt.

- Zaczął się niebezpieczny czas - ostrzegał ich półgłó-

230

sem. - Bądźcie czujni. Mogą się na nas rzucić, zanim zdążymy ich zauważyć. Dwie godziny przed świtem, w najczarniejszą część nocy, posłał po chłopców. Kiedy stawili się przy sterze, Tom tryskał podnieceniem, lecz Dorian, wciąż zaspany, ziewał i przecierał oczy.

- Chcę, żebyście obaj zajęli stanowiska bojowe na topie fokmasztu - oznajmił Hal stanowczo. - Jeżeli statek podejmie walkę, macie tam zostać, choćby się nie wiem co działo na pokładzie. Zrozumiano?

- Tak, ojczu. - Na twarzy Toma, oświetlonej nikłą poświatą szafki kompasowej, pojawił się wyraz napięcia.

- Jesteś odpowiedzialny za brata, Tom - powiedział Hal, jak zwykle w takich razach. - Dorianie, masz wypełniać wszystkie jego polecenia.

- Tak jest, ojczu.

- Ja będę bardzo zajęty. Nie będę mógł mieć na was baczenia. Chcę mieć pewność, że obaj jesteście bezpieczni na górze.

Odprowadził ich do fokmasztu. Położył im w ciemności dłonie na ramionach i uściskał mocno.

- Bóg was kocha, chłopcy, i ja też. Nie musicie koniecznie być bohaterami. Po prostu trzymajcie się jak najdalej od kłopotów. - Patrzył, jak wdrapują się po wantach i znikają w mroku, a potem wrócił na swoje stanowisko na kwarterdeku. O świetle znowu się rozpadało, co przedłużyło noc. Równy ze wschodem słońca deszczowe chmury się jednak rozeszły i z dramatyczną raptownością nastał jasny dzień. Kapryśne prądy wąskiego kanału zniosły nocą Serapha w pobliże brzegów kontynentu.

Widoczna dwie mile za sterburta Afryka obrzeżona była białymi plażami, a w płytkich szmaragdowych lagunach połyskiwały obnażone kły raf koralowych. Na wprost przed nimi leżał wielorybi grzbiet przyładka Ras Ibn Khum, wrzynającego się daleko w wody kanału. Hal kazał zmienić kurs, by go ominąć.

Flota dhow śledzących Serapha, podążająca za światłem jego latarni, pod osłoną nocy zbliżyła się znacznie do żaglowca. Prowadzący statek, na oko stutonowy i zapchany ludźmi, płynął niecały kabel za jego rufą. Kiedy Seraph wyłonił się nagle w całej okazałości z mroku nocy, jak za dotknięciem

231

czarodziejskiej różdżki, załoga dhow zaczęła wiwatować i strzelać w powietrze - najwyraźniej przekonana, że żaglowiec jest już w rękach al-Aufa. Ku niebu wzbily się obłoczki dymu, a ponad lekko wzburzonym morzem poniósł się odgłos wystrzałów i okrzyki tańczących i machających rękami Arabów.

- Pozdrówcie ich, chłopcy - rzucił Hal do swych marynarzy po arabsku.

Zaczęli machać radośnie do ludzi w dhow, a ich obszerne burnusy łopotwały przy podskokach w porannej bryzie. Seraph nie zmniejszył prędkości i tamci płynęli wciąż kabel za nim.

Hal spojrział ku przyładkowi, szacując bezpieczny dystans od ładu. Nagle zamarło w nim serce i skrócił się oddech. Zza zielonego cypla wyskoczył żaglowiec podobny do Serapha, tyle że jego kwadratowe żagle były czarne.

Piracki żaglowiec musiał stać na kotwicy w zatoce za przyładkiem, czekając na nich w zasadzce i znając ich poruszenia dzięki sygnałom dymnym z ładu. Teraz szarżował naprzeciw nich, pędząc przed sobą spienioną wysoko falę dziobową. Towarzystwo mu stado kilkunastu dhow.

Do Hala podbiegł Alf Wilson.

- To stary Minotauń - zawołał z podnieceniem w ciemnych oczach. - Poznałbym go wszędzie, kapitanie.

- Dziękuję, panie Wilson. Tego się właśnie domyślałem - odparł Hal z kamiennym wyrazem twarzy i spojrzął na Ne-da. - Trzymać ten kurs, panie Tyler.

Dwa wielkie żaglowce szybko zmniejszyły dzielący je dystans. Hal przyjrzał się Minotaurowi przez lunetę. Od porwania go przez piratów nie minęły jeszcze dwa lata, lecz od razu rzucił mu się w oczy opłakany stan żagli i takielunku. Żaden angielski kapitan nie dopuściłby do takich zaniedbań. W dodatku statkiem sterowano nieumiejętnie. Najwyraźniej marynarze, przyzwyczajeni do łańciskiego ożaglowania, nie radzili sobie ze skomplikowanymi operacjami stawiania kilku pięter kwadratowych żagli. Marsie Minotaura wyostrzono za bardzo do łopotu, a grotżagiel napięto niestarannie; czarne płótno falowało i drżało jakby tknięte paraliżem. Po dryfowaniu statku Hal się domyślił, że jego dno musi być nadgniłe i grubo obrosnięte wodorostami.

Mrowie piratów tłoczyło się bezładnie przy burtach i na wantach żaglowca, wymachując bronią w szale radości. Hal oszacował, że jest ich kilka setek, i na samą myśl o wlewającej się na pokład Serapha dzikiej hordzie przeszedł go zimny

232

dreszcz. Nie zrobił jednak niczego, co mogłoby zaalarmować korsarzy.

Poprzebierani angielscy marynarze kontynuowali swą szaleńczą powitalną pantomimę.

Minotaur miał dwadzieścia pięć dział na każdej burcie i siłą salwy burtowej przewyższał Serapha niemal dwukrotnie. Gdyby nim sprawnie dowodzone, Anglicy nie byłiby dla niego przeciwnikiem. Miejmy nadzieję, że armatami posługują się równie zręcznie jak ożaglowaniem, pomyślał Hal. Oba statki sunęły dziobami wprost na siebie i wydawało się, że nie unikną kolizji. Towarzyszące Minotaurowi łodzie ciągnęły za nim w niezbor-nym stadku niczym kaczęta za matką.

Byli już tak blisko siebie, że można było dostrzec rzeźbę dziobową korsarzy, mitologicznego pół człowieka, pół byka z rogami na głowie. Hal zdołał odczytać nazwę statku na dziobie, choć złota farba zblakła i poodpadała, przeżarta solą. Zlustrował przez lunetę pokład wroga. Od razu zauważył wysoką postać w czarnej szacie, stojącą z dala od hałastry przy burtach. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że ma przed sobą al-Aufa, Złego. Jak to opisał go kuzyn handlarza dywanów? "Ma dumną postawę i śmiałe oko dawnych bohaterów. To potężny człowiek; aż strach na niego patrzeć". Niewiele przesadził, pomyślał ponuro Hal.

Zielony turban al-Aufa zwinięty był wysoko, a spinający go klejnot błyszczał nad czołem pirata w skośnych promieniach wschodzącego słońca. Szerokie ramiona znamionowały siłę mięśni, a fałdy szaty okrywały ciało zwinne i o zgrabnych proporcjach, jak u wielkiego drapieżnika. Długa, lśniąca od oliwy broda rozwidlała się i oba jej końce powiewały aż za plecami Araba. Statki zbliżyły się już na tyle, że można było rozróżnić rysy twarzy Jangiriego: ciemne oczy pod krzaczastymi czarnymi brwiami, orli nos i kreskę ust, wąską jak cięcie mieczem. Była to twarz tak okrutna, jak bezlitosna arabska pustynia, która ją wyrzeźbiła. Hal spostrzegł, że furty działowe Minotaura są otwarte i działa wytoczone na stanowiska. Mgiełka niebieskiego dymu wirująca nad pokładem odpowiedziała mu, że wszystkie wolno tłące się lonty wroga są podpalone, a działowi czekają na rozkaz odpalenia kolubryn. Al-Auf był zbyt przebiegły, żeby uwierzyć samemu tylko świadectwu czerwonych latarń wywieszonych na maszcie Serapha.

Oczy Hala zwęziły się, gdy dystans dzielący żaglowce zmalał

233

do kabla, a Zły najwyraźniej nie zamierzał ustąpić mu drogi. Część marynarzy na dziobie pirata przestała wiwatować i patrzyła niepewnie po sobie.

- Wytoczyć działa! - rozkazał.

Czekał z tym do ostatniej chwili i teraz jego polecenie przebiegało z ust do ust na niższy pokład. Na statku rozległ się huk uderzeń ciężkich młotów. Wybito kliny, a potem nastąpiła seria trzasków, gdy wyłamano pokrywy otworów działowych i wreszcie dało się słyszeć dudnienie przetaczanych dział. Z ziejących w burcie dziur wychynęły czarne lufy kolubryn Serapha. Hal wyobraził sobie konsternację na pokładzie Mino-taura, gdy nieprzyjaciel zobaczył niewinnie wyglądający statek

handlowy przeistaczający się w mgnieniu oka w niebezpiecznego, zbrojnego przeciwnika.

Al-Auf zareagował natychmiast. Zawołał do sternika, lecz jego rozkaz zagłuszył wiatr i okrzyki własnej załogi. Minotaur zwrócił się dziobem ostrzej do wiatru. Był to źle pomyślany manewr, obliczony na uniknięcie zderzenia i niedopuszczenie do nadziania się na kule z dział Serpaha.

- Niezbyt mądra decyzja. Lepiej byś zrobił, odpowiadając strzałem na strzał - mruknął Hal z zadowoleniem i kazał trzymać kurs. - Panie Fisher! - ryknął. - Mam zamiar przejść mu przed dziobem! Strzelać, jak dojdziemy!

Duży Daniel przeszedł do pierwszego działa na sterburcie. Sprawdził ustawienie ciężkiej kolubryny i obniżył jej lufę, wyciągając klin. Strzał w dół z tak bliskiej odległości musiał przejść przez trzewia Minotaura.

Nieprzemyślany zwrot spowodował, że Minotaur znacznie zwolnił. Znalazł się w okowach wiatru dmącego w jego żagle prosto od dzioba i nie mógł wykonać zwrotu w żadną stronę, niemal stanął w miejscu.

- Rumb do nawietrznej! - rzucił Hal sternikowi.

Seraph odwrócił się lekko w stronę Minotaura i zaczął przepływać przed jego dziobem tak blisko, że niemal zawadził o wystający bukszpryt. Działa piratów nie mogły strzelać pod takim kątem, natomiast wszystkie kolubryny Serapha celowały kolejno w dziób wrogiego statku. Duży Daniel przytknął zapalony lont do panewki pierwszej armaty, która wystrzeliła z ogłuszającym hukiem i odskoczyła, napinając przytrzymujące ją rzemienie. Długi pióropusz dymu dosięgnął Minotaura i pocisk wyrwał z jego poszycia obłok furkoczących szczap.

234

Ten jeden strzał przedziurawił Minotaura na wylot. Kula przeszła przez jego pokład działowy, gdzie stali przy kolubrynach obsługujący je marynarze. Ich krzyk i jęki dotarły aż na pokład Serapha. Duży Daniel przeszedł do drugiego działa i sprawdził jego ustawienie. Żaglowiec przesunął się statecznie przed taplającym się w wodzie Minotaurem, aż lufa kolubryny znalazła się dokładnie naprzeciwko celu. Huknął kolejny strzał, podnosząc obłok ognia i dymu. Żelazna kula przeryła dziób pirata, a wiatr poniosł w powietrze wrzaski rannych i umierających marynarzy.

Działa Serapha strzelały jedno po drugim, a bezradny Mino-taur, chwiejąc się i drżąc pod nawałą kul, nie mógł odpowiedzieć na nie ogniem. Hal dostrzegł wśród zdjętych paniką piratów zielony turban al-Aufa. Jangiri próbował zapędzić swoich ludzi do obrócenia rej, żeby jego statek mógł złapać wiatr w żagle i odsunąć się od straszliwych ciosów, które przeorywały kadłub od dziobu aż po rufę.

Marynarze Serapha, stojący na rejach, ostrzeliwali nieprzyjaciela z muszkietów. Te niezbyt precyzyjne strzelby o gładkich lufach trafiały za każdym razem w gęstą ciżbę piratów, potęgując i tak już dzikie zamieszanie. Ogłuszający huk kolubryn rozbrzmiewał na przemian z ostrzejszym trzaskiem falkonetów, zasypujących pokład wroga gradem kartaczy. Hal spojrział ku szczytowi fokmasztu, by sprawdzić, czy synowie są bezpieczni. Tom był zajęty ładowaniem falkonetu, a głowa Doriana poruszała się obok niego zżywieniem. Wydawało się, że można niemal usłyszeć ponad zgiełkiem bitwy jego podniecony wysoki głos.

Wszystkie działa z prawej burty Serapha wypaliły kolejno ku bezradnemu Minotaurowi, siejąc straszliwe zniszczenie. Z furt działowych pirata i z jego luków odpływowych ciekły strumienie krwi, obryzgując czerwienią burty.

- Ustawimy się wzdłuż niego - ostrzegł Hal Neda Tylera, gdy wystrzeliło ostatnie działo i statek minął już swą ofiarę. W ciszy, która potem zapadła, rozległ się rozkaz: - Salwą burtową jeszcze raz w niego i przygotować się do abordażu pod osłoną dymu!

Marynarze krzyknęli na wiwat, wymachując bronią sieczną - pikami, kordami i toporami. Piraci wciąż przewyższali ich liczebnie, lecz Hal pokładał zaufanie w wyszkoleniu i bojowym duchu załogi, licząc na to, że popłoch wśród Arabów pomoże mu zająć statek przy pierwszym ataku.

235

Sternik wykonał rozkaz i żaglowiec obrócił się zgrabnie. Oba statki znalazły się burtami naprzeciw siebie. A jednak manewr poniosł Serapha szerokim łukiem i odległość między nimi była większa niż zasięg strzału z muszkietu. Hal kazał zwinąć główne żagle i wypchnąć forbramsel na wiatr, żeby skrócić drogę i

szybciej zbliżyć się do Minotaura. Jeden z małych dhow, płynących za nieprzyjacielskim statkiem, znalazł się nagle tuż przed dziobem Serapha i nie był już w stanie uniknąć kolizji. Jego załoga patrzyła z przerażeniem na sunący w jej stronę wielki żaglowiec. Część Arabów rzuciła się do morza, innych zatrzymał w miejscu strach. Statek uderzył w łódź, zgruchotał ją i wepchnął pod wodę tak szybko, że krzyki arabskiej załogi natychmiast umilkły.

Seraph nabrał szybkości i sunął za Minotaurem. Nieprzyjaciel złapał nareszcie wiatr w żagle i ustawiał się już w przeciwnym halsie.

Mieli do niego jeszcze ze sto jardów, pół strzału z muszkietu. Hal widział, jak Jangiri zapędza swoich ludzi na stanowiska bojowe gniewnymi krzykami i pięściami. Odezwało się kilka ciężkich dział pirata. Niektóre kule minęły Serapha o pięćdziesiąt jardów, skacząc po falach jak w dziecięcej zabawie w puszczanie kaczek. Kilka przeleciało przez jego takielunek wysoko nad pokładem i któryś sztag pękł z trzaskiem. Statek parł jednak niezmordowanie ku nieprzyjacielowi. Minotaur nabierał szybkości powoli, większość z jego żagli drżała wciąż i furkotała na wietrze. Reje żaglowców prawie już stykały się ze sobą.

- Przygotować haki! - zawołał Hal i spojrzął na marynarzy stojących na ławach wantowych. Rozkręcali już nad głowami ciężkie haki abordażowe, żeby je cisnąć nad wąskim pasem wody i zaczepić o burty wroga.

Hal spostrzegł, że Jangiri porzucił daremne wysiłki zagrzania swoich ludzi do walki. Zamiast tego sam podbiegł do jednego z porzuconych przez obsługę dział. Na jego brodatej twarzy nie było widać cienia strachu, gdy z wiadra z żarzacyimi się węglami wyciągnął lont i spojrzął na Serapha. Na widok Hala wąskie usta rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. Hal poczuł w tym momencie, że żaden z nich nie zapomni nigdy drugiego. Al-Auf przytknął dymiący i skwierczący lont do panewki działa. Nie miał czasu dobrze wycelować i był to właściwie desperacki gest oporu, rzut kośćmi w ryzykownej grze bitwy.

236

Ciężka żelazna kula, ciągnąc za sobą smugę ognia i dymu, przeszła okrężnicę Serapha, rozerwała dwóch angielskich marynarzy na krwawe strzępy i wbiła się w podstawę fokmasztu. Maszt zadrżał i zachwiał się, a potem zaczął się przewracać. Sztagi i wanty zrywały się, strzelając jak z bicia, drewno pękało z trzaskiem i wielki słup kładł się coraz szybciej na burtę.

Hal patrzył, jak na jego oczach zwinny bojowy żaglowiec zmienia się w okaleczoną skorupę. I nagle ujrzał dwie ludzkie sylwetki wyrzucone z bocianiego gniazda niczym kamyki z procy. Przez chwilę rysowały się na tle szarych deszczowych chmur, a potem runęły do wody.

- Tom! - ryknął Hal z rozpaczą. - Dorian! O mój Boże!

Tom patrzył z góry na pokład Minotaura i stłoczoną na nim bandę Arabów w turbanach i kolorowych szatach. Przekręcił falkonet, celując prawie pionowo w dół. Żeby go odpalić, musiał przewiesić się przez krawędź bocianiego gniazda.

- Strzelaj! - wrzeszczał obok niego Dorian. - Strzelaj, Tom!

Tom widział wyraźnie straszliwe zniszczenia, spowodowane na Minotaurze przez kolubryny Serapha. Okrężnica statku była strzaskana, a odłamany bukszpryt zwiślał w płataninie żagli i lin za burtą. Jedno z dział, trafione bezpośrednio, wyskoczyło z lawety i przygniotło ciężką lufą dwóch kanonierów.

Pokład pokryty był zabitymi i rannymi, a pozostali marynarze ślizgali się na poczerwieniałych od krwi deskach i potykali o martwe ciała towarzyszy, uciekając w panice w kąt statku, najdalszy od morderczych baterii Serapha.

- Strzelaj! - Dorian walił kułakiem w ramię brata. - Dlaczego nie strzelasz?

Tom czekał na odpowiedni moment. Wiedział, że w niewygodnej pozycji na bocianim gnieździe przeładowanie długo-lufego działa potrwa co najmniej pięć minut, a gdy falkonet będzie pusty, może stracić szansę na dobry strzał.

"Zawsze wyczekaj na właściwy moment", kładł mu do głowy Duży Daniel. "Nie wal na długi dystans. Strzelaj z bliska i wykorzystaj dobrze każdy strzał".

Przy przeciwległej burcie Minotaura kłębił się tłum postaci. Część marynarzy wspięła się na reling, szykując się do skoku w morze i licząc na wyłowienie przez któryś z dhow. Woleli to

237

niż salwę z dział Serapha, a potem starcie oko w oko z watahą niewiernych diabłów, którzy wyroją się na pokład po abordażu. Arabowie przepychali się jeden

przez drugiego, walcząc o dostęp do relingu. Z wykrzywionymi strachem twarzami oglądali się na górujące nad nimi żagle Serapha.

Tom wymierzył starannie w sam środek tej ciżby i odpalił. Wiatr rzucił mu w twarz dym i tłące się strzępy przybitki, przez co na kilka sekund stracił widoczność. Gdy dym się rozwiął, zobaczył wielką dziurę, wyrwaną przez kartacz w oszalałym tłumie nieprzyjaciół. Kilkunastu Arabów padło na deski, zwijając się w konwulsjach i brocząc krwią.

- Dobry strzał! - pisnął Dorian. - Ale dobry strzał!

- Pomóż mi przeładować - polecił mu Tom, przechylając lufę falkonetu tak, że celowała w niebo.

Dorian nabrał ze skórzanej prochnicy porcję prochu i wsypał do ziejącego czernią otworu, a Tom wepchnął przybitkę z pakuł.

Wtem maszt się zachwiał, a impet wystrzelonej przez al-Aufa kuli wprawił go w drżenie. Tom puścił wycior i chwycił się brzegu bocianiego gniazda. Drugim ramieniem objął Dorianą i trzymał go przy sobie.

- Tom, co się dzieje? - krzyknął przerażony chłopiec i wczepił się mocno w brata.

- Trzymaj się, Dorry! - Tom usiłował stłumić własny lęk. Maszt zakołysał się i zaczął przechylać, aż zobaczyli pod sobą przetaczające się fale. - Przewracamy się, Dorry. Nie puszczaj mnie!

Maszt osuwał się niespiesznie w dół. Chłopcom przesłonił wszystko jęk rozdieranego drewna, trzask i świst rozpadającego się takielunku i pękających lin. Nurkowali wraz z bocianim gniazdem coraz szybciej ku powierzchni morza, aż zapierało im dech w piersiach.

- Już nie utrzymam! - krzyknął Tom z rozpaczą.

Wciąż wczepieni w siebie, wypadli z płóciennego kosza i polecili przez płataninę lin i rej, pikując w dół, aż runęli w wodę i zniknęli głęboko w zielonych odmętach.

Siła uderzenia oderwała Dorianą od Toma. Jeszcze głęboko pod powierzchnią starszy z braci otworzył oczy i wynurzając się, macał na oślep w wodzie. Kiedy wypłynął i zaczerpnął tchu, myślał już tylko o Dorianie. Szczypiącymi od soli oczami wypatrywał go na powierzchni.

238

- Dorry! - wykrztusił. - Gdzie jesteś?!

Strzaskany maszt Serapha leżał na boku z okropnie skotłowanymi żaglami.

Zanurzone częściowo w wodzie, działały jak dryfkotwa, ściągając statek z kursu, przez co Minotaur oddalał się od niego coraz szybciej. Tom zaplatał się w kłębowisko lin i płótna i zaczął walczyć, by się z niego uwolnić. Zdołał zrzucić linę, która owinęła mu się wokół nóg, i chwyciwszy się ułamka omasztowania, podciągnął się wyżej, by lepiej widzieć.

- Dorry! - zawołał piskliwym, nabrzmiałym trwogą głosem.

W tejże chwili trzydzieści stóp od niego wynurzyła się nad powierzchnię głowa brata. Krztusił się i wykaszliwał wodę. Obracający się statek odsuwał ich coraz dalej od siebie.

- Trzymaj się, Dorry! - krzyknął Tom. - Płynę do ciebie! - Odepchnął się od belki i puścił kraulem w kierunku brata. Natychmiast jednak lina znów oplatała mu się wokół nóg.

- Tom! - Dorian spostrzegł go i wyciągnął rękę. - Ratuj mnie! Błagam! Tom!

- Już płynę, Dorry! - Tom walczył z krępującą mu nogi liną, lecz przypominało to próbę wyrwania się z lepkich macek ośmiornicy.

Nad głową Dorianą załamała się fala i znów zniknął pod wodą, a kiedy się wynurzył, był już dwadzieścia stóp dalej. Młóćąc szaleńczo rękami, usiłował utrzymać głowę nad powierzchnią.

- Płyn, Dorry! - ryknął Tom. - Tak jak cię uczyłem! - Chłopiec go usłyszał i opanował trochę swoje bezładne ruchy. - Kop, Dorry! - zawołał znowu Tom. - Pracuj rękami!

Dorian zaczął lepiej utrzymywać się na wodzie, lecz niósł go prąd, a Toma odciągała owinięta wokół nóg lina, przyczepiona do złamanego kawałka masztu. Zanurkował, wymacał linę i próbował ją odplatać. Ruch fal sprawiał jednak, że pętla zaciskała się coraz bardziej i chociaż szarpał szorstkie konopie

krwawiącymi palcami, nie chciała ustąpić. Musiał nabrać powietrza i wychynać na powierzchnię.

Odetchnął łapczywie, zamrugał i rozejrzał się za Dorianem. Chłopiec był już sto jardów od niego. Jego twarz była jasną plamą, lecz głos niósł się wyraźnie.

- Tom, ratuj mnie! - zawodził.

W tym momencie fala przerzuciła odłamek masztu i Tom znów został wciągnięty pod powierzchnię, tym razem tak

239

J

głęboko, że w uszach poczuł świdrujący, przeszywający czaszkę ból. Szarpał za linę, zdzierając sobie skórę z palców i wyłamując paznokcie. Płuca, domagające się oddechu, paliły go niemiłosiernie, ale walczył uporczywie, choć opuszczały go siły. Robiło mu się ciemno przed oczami i funkcjonował już tylko siłą woli. Nie poddam się, wmawiał w siebie. Nie mogę się utopić. Dorry mnie potrzebuje. Wtem poczuł, że chwytają go silne ręce, a kiedy udało mu się otworzyć oczy i odpędzić mrok, zobaczył tuż przed sobą twarz Abolego. Murzyn patrzył na niego, a niesamowite tatuaże na głowie nadawały mu wygląd jakiegoś straszliwego morskiego potwora. W zębach trzymał nóż, a z kącików ust tryskały mu srebrzyste bąbelki powietrza.

Aboli widział, jak obaj chłopcy wpadają do morza ze strzaskanym masztem i bez wahania opuścił swoje stanowisko bojowe. Zanim przedostał się przez pokład do dziobowego relingu, Dorian zniósł już pięćdziesiąt jardów od burty Serapha. Murzyn z rozpaczliwym pośpiechem zrzucił z siebie arabską szatę i turban, zostając tylko w bryczesach. Przez chwilę balansował na relingu, próbując się zorientować, który z chłopców jest w większych opałach.

Dorian wydawał się utrzymywać na wodzie dość sprawnie, lecz prąd znosił go ku flocie arabskich dhow. Tom jednak znalazł się w pułapce wśród skłębionego ożaglowania i płataniny lin. Aboli wahał się, rozdarty miłością i poczuciem obowiązku wobec obu chłopców. Nie wiedział, którego wybrać.

Nagle jeden z fragmentów masztu pękł z głośnym trzaskiem i przekreślił się w wodzie. Tom został wciągnięty pod powierzchnię. Aboli rzucił ostatecznie zdesperowane spojrzenie na głowę Doriana, dryfującą coraz dalej od statku, po czym wsunawszy sobie w zęby nóż, skoczył do morza. Wypłynął blisko miejsca, gdzie widział Toma, i natychmiast zanurkował powtórnie. Chwytając się lin, wciągał się głębiej i rozglądał bacznie, choć woda zmacona była wirami i chmurami bąbelków powietrza.

Wreszcie zobaczył Toma w zielonej mgłę pod sobą. Chłopiec ledwie się ruszał, bliski utonięcia, a wokół nóg owinęła mu się niczym pyton żółta lina. Aboli chwycił go za ramiona i patrząc w twarz, ścisnął mocno, by dodać mu otuchy. Potem wyjął spomiędzy zębów nóż i chwycił za linę. Nie ciał jej jednak na oślep, gdyż ostry jak brzytwa kord mógł łatwo poranić gołe nogi chłopca. Ostrożnie przecinał jeden zwój po drugim, aż

240

odpadł ostatni kwałek sznura i Tom był wolny. Aboli chwycił go pod pachy i ruszył ku powierzchni. Gdy wypłynęli razem, Murzyn od razu spojrzął w oczy chłopca, szukając w nich znaku życia, a same łapiąc powietrze, przy czym jego szeroka pierś unosiła się i opadała niczym miech kowalski. Tom nagle zaniósł się kaszlem i, wymiotując morską wodą, zaczął walczyć o oddech. Aboli wtaszczył go na pływający obok maszt i pomagał dojść do siebie, klepiąc otwartą dłońią po plecach. Wreszcie chłopiec wciągnął ze świstem pierwszy łyk powietrza.

Murzyn rozejrzał się za Dorianem. Powierzchnię morza zasnuwały kłęby dymu, sunącego gęstą chmurą ku lądowi. Działa huczały jeszcze nierównym chórem, cichnącym w miarę jak oba statki oddalały się od siebie.

Minotaur odpłynął już na dobre pół mili i postawiwszy wszystkie żagle, sunął na północ. Piraci nie próbowali wykorzystać przewagi, jaką dawało im okalecznie Serapha, i nie atakowali go, mimo że nie był zdolny wykonać żadnego manewru. Woleli umknąć w bezpieczne miejsce.

Aboli spostrzegł, że trzy mniejsze dhow trzymają się za Seraphem w bezpiecznej odległości, niczym szakale za rannym lwem. Gdyby się okazało, że statek jest zdolny do pościgu, mogły natychmiast czmychnąć na płytkie wody laguny i schronić się wśród raf, gdzie tak potężny żaglowiec nie miał dostępu. Seraph jednak,

unieruchomiony przez wiszącą za burta płataninę płótna, lin i belek, nie mógł pochwycić wiatru w żagle i dryfował powoli w stronę niebezpiecznych koralowych wysepek.

Na pokładzie grupa marynarzy pod wodzą Dużego Daniela oczyszczała już siekierami dziób statku z rumowiska po przewróconym maszcie. Aboli próbował wołać do nich o pomoc, był jednak za daleko i zagłuszał go łoskot toporów rąbiących belki. Nagle zobaczył, że za burta Serapha zwiesza się jeden z barkasów. Łódź szybko opadła na powierzchnię morza i wiosłarze natychmiast skierowali ją ku miejscu, gdzie unosili się na wodzie Murzyn z Tomem. Aboli ujrzał zdumiony, że przy sterze siedzi Hal. Przekazał widocznie dowodzenie statkiem Nedowi Tylerowi, a sam ruszył na ratunek synom. Kiedy podpłynął bliżej, wstał i zawołał:

- Gdzie jest Dorian? Na miłość Boga, czy go widziałeś?

Aboli dyszał jeszcze ciężko i nie mógł odpowiedzieć, lecz szalupa już podpłynęła i marynarze wciągnęli ich na pokład.

241

Ułożyli Toma na deskach i skoczyli z powrotem do wiosła. Tom próbował usiąść i Aboli z uczuciem ulgi pochylił się, by mu pomóc, a Hal tymczasem powtórzył pytanie.

- Na Boga, Aboli, gdzie jest Dorian?

Murzyn bez słowa wskazał ku obłokom dymu. Hal wskoczył na ławkę i przysłonił dłonią oczy przed niskim porannym słońcem.

- Jest! - zakrzyknął z ulgą i ryknął do wiosłarzy: - Wiosłować, chłopcy! Wiosłować ile pary w płucach!

Pod uderzeniami długich wiosła barkas nabrał szybkości i sunął w stronę miejsca, gdzie ćwierć mili dalej podskakiwała na wodzie maleńka kropka.

Ten niespodziewany, błyskawiczny wypad z Serapha na morze nie pozostał niezauważony przez ludzi na pokładzie jednego z dhow, skradających się wokół statku. Arabowie pokazywali sobie z ożywieniem głowę Doriana na wodzie i krzyczeli coś do siebie. Sternik dhow wykonał ostry zwrot i łódź zmieniła kurs. Jej załoga obróciła pojedynczy skośny żagiel i dhow ruszył szybko w stronę chłopca, podejmując wyścig z barkasem.

- Wiosłuj! - ryknął Hal, uświadomiwszy sobie zagrożenie.

Aboli zostawił leżącego Toma i odepchnawszy jednego z wiosłarzy, zajął jego miejsce. Naparł na wiosło całym swoim ciężarem, a jego mięśnie zagrały pod skórą z wysiłku.

- Wiosłuj, wszyscy razem! - narzucił rytm i łódź skoczyła naprzód, tnąc dziobem fale i obryzgując wodą naprężone grzbiety załogi.

Nagle wyższa od innych fala uniosła chłopca w górę. Spostrzegłszy zbliżającą się łódź, pomachał ręką. Nie rozróżniali jeszcze rysów jego twarzy, lecz było jasne, że nie zauważył dhow zbliżającego się doń z przeciwnego kierunku.

- Płyn, synu! - krzyknął Hal. - Płyn do nas!

Dorian go jednak nie słyszał. Ponownie machnął słabo ręką i było oczywiste, że traci siły. Poranna bryza dmuchała słabo, toteż barkas płynął szybciej od dhow; ale ten drugi miał do pokonania mniejszy dystans.

- Prześcigniemy ich, chłopcy! - zawołał Hal z przekonaniem. - Wyłowimy go pierwsi!

Poczuł na twarzy powiew wiatru, który na chwilę ustał, a potem wrócił, silniejszy i bardziej zdecydowany. Przyciemnił powierzchnię morza, przemknął nad głową Doriana i napiął żagiel dhow, który wypełnił się jak skórzany bukłak winem.

242

Arabska łódź pochyliła się i skoczyła naprzód, aż zabieliła się jej fala dziobowa.

Dorian widocznie usłyszał okrzyki zbliżających się Arabów, odwrócił bowiem głowę i zaczął płynąć. Młócił wodę rękami, usiłując oddalić się od dhow w stronę barkasu z Serapha, ale lekko wzburzone morze i zmęczenie ograniczały znacznie szybkość jego ruchów.

Przerażony Hal spróbował oszacować odległość obu łodzi od chłopca i ich szybkość. Wyglądało na to, że barkas przegra ten wyścig.

- Wiosłuj! - krzyknął zrozpaczony. - Sto złotych gwinei, jeśli będziemy pierwsi! Wiosłuj, na Boga!

W arabskiej łodzi znajdowało się co najmniej dwudziestu ludzi. Niezgrabna, o postrzępionych żaglach, miała obłazący z farby kadłub z brudnymi zaciekami w miejscach, gdzie załoga załatwiała się do morza przez burtę. Jeden z Arabów podniósł muszkiet o długiej lufie i wycelował w barkas. Przystarzała broń wypuła obłok dymu, kula świsnęła Halowi koło ucha, on jednak nawet się nie uchylił.

Aboli napierał na długie wiosło z taką siłą, że nabiegłe krwią oczy aż wychodziły mu z orbit i wytatuowana twarz wykrzywiła się z wysiłku w okropnym grymasie. Wiosło gięło się w jego rękach niczym gałąź, a woda opływała z cichym sykiem dziób, ciągnąc za łodzią prosty jak strzała kilwater.

Dhow jednak wciąż był szybszy. Hal uzmysłowił sobie, że nie zdąży, i poczuł w piersi lodowate ukłucie strachu. Kiedy arabska łódź zrównała się z Dorianem, barkas był jeszcze sto jardów od niego. Kapitan dhow ustawił go pod wiatr, zatrzymując się tylko na moment, który wystarczył, by pięciu jego ludzi wychyliło się przez burtę i pochwyciło chłopca.

Wyciągnęli go, choć się wyrwał i kopał. Jego ubranie ociekało wodą, a rozpaczliwe krzyki wwiercały się Halowi w mózg. Wyjął spod kurtki pistolet i zrozpaczony wycelował w Arabów. Wiedział jednak, że to daremne, jeszcze nim Aboli zdążył warknąć:

- Nie, Gundwane! Mógłbyś trafić dzieciaka.

Hal opuścił broń i patrzył, jak Arabowie wciągają jego syna na pokład, a kapitan dhow ustawia go z powrotem tak, by płynął bejdewindem. Łaciński żagiel wydał się z piaskiem i łódź odpłynęła, zadziwiająco sprawnie wyostrzywszy i nabrawszy szybkości. Pomknęła w stronę ładu, a jej załoga zegnała

243

Anglików wyzwiskami i drwinami. Kilku wystrzeliło ze strzelb; w wodę wokół barkasu piasnęły kule.

Marynarze Hala oparli się na wiosłach, dysząc z wysiłku i ociekając potem. Wszyscy patrzyli w głuchym milczeniu za uciekającym dhow, zdruzgotani utratą przemiłego dziecka, które było ulubieńcem całej załogi.

Wtem dwóch Arabów podniosło wyrwijającego się Dorianą wysoko w powietrze, żeby angielscy marynarze widzieli go wyraźnie. Inny wyszarpnął z pochwy u pasa zakrzywiony sztylet i uniósł nad głową, aż ostrze zalśniło w słońcu. Potem chwycił Dorianą za brodę i odchylił jego głowę w tył, jak rzeźnemu zwierzęciu. Z rozmysłem przytknął ostrze do gardła chłopca i trzymał tak, szczerząc do towarzyszy zęby w okrutnym uśmiechu.

Hal czuł, że jakaś część jego jestestwa kurczy się i obumiera. Z ust wyrwał mu się mimowolnie błagalny szept:

- Panie, modlę się do Ciebie, oszczędź mojego chłopca. Zrobię wszystko, czego zażadasz, ale oszczędź mi go.

Dorian wciąż miotał się w uścisku Arabów i nagle spadła mu z głowy marynarska czapka. Jego długie do ramion, miedziano-złote loki zalśniły w słońcu.

Zaskoczony bandyta oderwał nóż od szyi chłopca. We wrogiej łodzi zapanowało poruszenie, wszyscy stłoczyli się wokół Dorianą, krzycząc i wymachując rękami. Potem zniknął Halowi z oczu, atrójkątny żagiel dhow zmalował w oddali.

Był już dwie mile od nich, gdy Hal otrząsnął się na tyle, by wydać rozkaz powrotu na dryfującego Serapha. Przez całą drogę jednak oglądał się za siebie.

Dhow, śladem maleńkiej sylwetki Minotaura, kierował się na północ.

- Tam ich poszukam - szepnął Hal. - I nie spocznę, dopóki nie odnajdę.

Na pokładzie Serapha marynarze pracowali desperacko, by uratować statek. Wysilek pomógł Halowi przetrwać pierwsze okropne godziny po stracie syna. Ciągący się za burtą połamany fokmaszt, żagle i takielunek działały jak gigantyczna kotwica i uniemożliwiały sterowanie. Hal kazał postawić wszystkie żagle na ocalałych masztach, żeby utrzymać statek z dala od wybrzeży, lecz czynności te jedynie opóźniały wpadnięcie na rafy, co wydawało się po prostu nieuniknione.

244

Dziesięciu ludzi z toporami, w tym Duży Daniel i Aboli, opuściło się za burtę, żeby poodrąbywać spletaną masę płótna i lin. Była to niebezpieczna praca, gdyż każda uwolniona lina zmieniała naprężenia całości i maszt obracał się i wierzgał, grożąc ludziom wpadnięciem do morza.

Dryfowali coraz bliżej raf. Seraph walczył z potężnym oporem pokierowanego takielunku, a Hal biegał od jednej burty do drugiej, sprawdzając dystans od ładunku i wskazując marynarzom, które sploty lin mają rozciąć, żeby uwolnić statek. Żaglowiec walczył o życie, a zielony garb przyładka Ras Ibn Khum wznosił się coraz wyżej i bliżej po zawietrznej burcie. Fale odbijały się od kadłuba, który sunął niezmiennie w stronę czarnych koralowych kłków, czekających, by wyrwać zeń wnętrzności.

W końcu jednak złamany maszt trzymał się już tylko na jednej, dziesięciocalowej konopnej linii forsztagu. Powróż, mocno napięty i sztywny jak żelazny drag, ociekał wodą ze skręconych ciasno splotów. Duży Daniel odesłał wszystkich marynarzy na pokład, a sam balansował na podrzucanym przez fale wierzchołku masztu. Zebrawszy się w sobie, uniósł siekierę nad głowę i spuścił ją na naprężoną linę. Wymierzył tak starannie, że nie przeciął całkowicie liny skręconej z wielu sznurów i puściło tylko kilka pasm.

Pozostałe zaczęły pękać jeden po drugim, strzelając jak z bicza, i maszt przekręcił się ociężale pod stopami Daniela, który zdążył jednak wdrapać się po pochyłym drzewcu i przeskoczyć na pokład. Wreszcie sterczący nad burta ułamany koniec fokmasztu osunął się ze zgrzytem w wodę i uwolnił statek.

Seraph zareagował natychmiast. Mocno przechylony pokład wyprostował się i żaglowiec odpowiedział wdzięcznie na poruszenie sterem. Dziób zaczął zataczać łuk i odsuwać się od czyhającej na statek pułapki, jaką stanowił przyładek. Hal podszedł szybko do zawietrznego relingu i przyglądał się, jak porzucony maszt dryfuje w stronę raf. Starał się zapamiętać obszar, w którym drag musiał wylądować na brzegu. Potem zajął się doprowadzeniem Serapha do miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie zakotwiczyć.

Manewrując odpowiednio żaglami na dwóch ocalałych masztach i małym maszcie na bukszprycie oraz zmieniając nieznacznie położenie steru, doprowadził okaleczony statek do zatoki za

245

cyplem przyładka Ras Ibn Khum. Gdy ją zobaczył, zrozumiał od razu, dlaczego al-Auf wybrał to miejsce na zasadzkę.

Zatoka była niemal zamknięta. Jej głębokie wody połyskiwały w słońcu błękitem lapis-lazuli. Wysoki grzbiet przyładka chronił ją przed monsunem, a przejrzysta woda pozwalała dojrzeć dziesięć sażni pod statkiem gładkie piaszczyste dno.

- Przygotować się do rzucenia kotwicy, panie Tyler.

Gdy wydał rozkaz i łańcuch kotwiczny zaczął sunąć przez kluzę, poczuł przypływ rozpacz, która czaiła się przez ostatnie kilka strasznych godzin, żeby go dopaść i przygniótłszy czarnym ciężarem, wydusić zeń całą życiową energię. Nie mógł już myśleć o niczym innym poza Dorianem. Obraz dziecięcego ciała w łapach arabskich korsarzy, z przystawionym do gardła nożem, wrył się w jego pamięć tak mocno, że miał go już nigdy nie zapomnieć. Smutek zupełnie go obezwładnił, wysysając wszelką siłę z członków i dech z piersi. Pragnął zapomnienia i zatracenia w tej żalości, chciał zamknąć się w swojej kabinie i poddać całkowicie rozpacz.

Stal samotnie na kwarterdeku. Oficerowie i cała załoga obchodzili go z daleka, nie ważąc się nawet spojrzeć w jego stronę. Ze swoistym wyczuciem twardych, nieokrzesanych mężczyzn zostawili go sam na sam z jego udręką. Hal wpatrywał się w pusty północny widnokrąg. Błękitne wody kanału iskrzyły się wesoło w słońcu, nie było jednak na nich ani skrawka żagla. Dorian odpłynął w dal. Kapitan Serpaha nie był w stanie zmusić się nawet do przemyślenia następnego kroku i wydania jakiegokolwiek rozkazu czekającym w milczeniu marynarzom.

Aboli podszedł w końcu do niego i ujął za ramię.

- Gundwane, później będzie na to czas. Jeżeli chcesz ocalić syna, musisz przygotować statek do drogi. - Rzucił okiem na kikut fokmasztu, strzaskany armatnią kulą. - Ty rozpaczasz, a dzień tymczasem mija. Wydaj rozkaz.

Hal spojrział nań niewidzącym wzrokiem palacza bhangu.

- To jeszcze takie dziecko, Aboli. Po prostu małe dziecko - powiedział.

- Wydaj rozkaz, Gundwane.

- Jestem zmęczony. Strasznie zmęczony.

- Nieważne, jak to boli; nie możesz teraz odpoczywać - rzekł cicho Murzyn. -

Musisz wydać rozkaz.

Hal otrząsnął się z wysiłkiem i wreszcie podniósł głowę.

- Panie Tyler! Spuścić pinasy i mniejsze łodzie. - Słowa

246

formowały się na jego ustach opornie, jakby przemawiał w obcym języku.

- Rozkaz, kapitanie - odpowiedział Ned z wyraźną ulgą. Hal poczuł, jak wracają mu siły i determinacja. W miarę jak mówił, jego głos nabierał mocy.

- Łodzie popłyną po nasz fokmaszt. Cieśle tymczasem niech wyrównają ten kikut, żebyśmy mogli osadzić maszt na nowo. Żaglomistrze mają wyciągnąć zapasowe żagle i liny i przygotować się do założenia takielunku. - Wypowiadając kolejne polecenia, spojrzął na słońce. Minęło już zenit. - Niech marynarze zjedzą posiłek wachtami. Dopóki nie wyrzucimy statku, nie będzie czasu ani na jedzenie, ani odpoczynek.

Hal usiadł za sterem pierwszej pinasy i poprowadził całą flotyllę wokół przylądka. Dwie wielkie łodzie zostały zmontowane z wiezionych w ładowni części. Były otwarte, długie na dwadzieścia pięć stóp, lecz dostatecznie szerokie, by zachować stabilność nawet na otwartym morzu i wykonać zadanie, do którego zamierzał ich użyć.

Gdy okrążyli cypel przylądka, w odległości dwóch mil spostrzegli od razu fokmaszt Serapha. Owinięty w biel żagli, odcinał się wyraźnie na tle czarnego koralu raf, na które wyrzuciło go morze. Kiedy podpłynęli bliżej, okazało się, że uwolnienie długiego sosnowego słupa nie będzie lekką pracą. Płótno i liny zaplątały się między ostrymi kłami rafy, a nadbiegające od kanału brzuchate fale rozbijały się o nią i tworzyły wokół drzewca wiry spienionej wody.

Alf Wilson przeprowadził jedną z łodzi przez przesmyk na spokojniejsze wody laguny. Od tej strony łatwiej było marynarzom, zaopatrzonym w noże i siekiery, przedostać się na rafę. Zalewani spienionymi falami uczepili się uwięzionego masztu.

Jednocześnie pięciu najsilniejszych pływaków z Dużym Danielem i Abolim przepłynęło z łodzi na rafę wplaw, ciągnąc za sobą uwiązane w pasie cienkie sznury. Rzucili ich końce marynarzom przy maszcie i odpłynęli z powrotem do łodzi.

Za pomocą sznurów przeciągnięto na rafę cięższe i grubsze liny, które umocowano do masztu. Następnie mniejsze łodzie podjęły próbę ściągnięcia z koralowej wysepki ciężkiego, sześć-dziesięciostopowego sosnowego pala.

Załoga każdej łodzi była podwojona i oba zespoły pracowały na zmianę. Kiedy liny się napięły, wszyscy mocno nacisnęli na wiosła. Ludzie z siekierami siekli kłębowisko lin i żagli, wple-

247

cione pomiędzy ostre koralowe kolce i igły, usiłując uwolnić maszt z uścisku rafy. Pióra wiosła młóciły wodę i łodzie z całych sił ciągnęły uparte brzemie. Maszt uniósł się i przesunął o parę jardów. Marynarze wydali triumfalny okrzyk, lecz słup z powrotem osiadł na rafie i całą harówkę trzeba było zacząć na nowo. Rafa powoli wypuszczała zdobycz, ale wiosłarze musieli się zmieniać jeszcze trzykrotnie, nim wreszcie maszt stoczył się do wody i można go było odciągnąć na głębie.

Alf Wilson wyłowił swoich ludzi, wciąż uczepionych pływającego teraz masztu.

Wielu poraniło sobie ręce i nogi o bezlitosne zęby rafy. Hal wiedział, że te rany będą ropiały, gdyż koral był niemal tak trujący jak jad węża.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Hal zmienił znów wiosłarzy i łodzie ruszyły w długą drogę wokół przylądka. Ciągnięty ciężar powodował, że niemal stały w miejscu. Marynarze wysilali się na próżno, ich spieczone słońcem grzbiety i ramiona przypominały surowy befsztyk, a pot ciekący z ciał tworzył kałuże pod ławeczkami. Łodzie pełzły mozolnie wzdłuż rafy, lecz kiedy skierowały się ku cypłowi przylądka Ras Ibn Khum, chwycił je w szpony przeciwny prąd przybrzeżny i nie puszczął.

Podczas gdy się z nim zmagali, słońce zaczęło tonać w morzu. Byli już bliscy wyczerpania, udręczone mięśnie bolały, oczy zachodziły mgłą z wysiłku, ale nikt nie ustawał. Gdyby przestali wiosłować, prąd zniósłby ich błyskawicznie z powrotem na rafę. Chcąc podbudować swoich ludzi, Hal ściągnął kurtkę i koszulę i także siadł do wiosła. Plecy i ręce miał nienawykłe do takiej pracy, toteż już po godzinie był otępieły z bólu, a drzewce wiosła ociekało krwią z jego otartych

dłoni. Udręka ciała i hipnotyczny rytm wiosłowania odwracały jednak jego uwagę od znacznie większego bólu po stracie syna.

Tuż przed północą zaczął się odpływ i prąd pracował teraz na ich korzyść. Okrążyli cypel i wpłynęli do zatoki. Wreszcie ujrzeni Serapha stojącego spokojnie na kotwicy na cichych wodach, nakrapianych refleksami gwiazd. Kiedy już umocowali pływający maszt u burty, niewielu miało siłę wspiać się po drabince na pokład. Zasypiali na dnie łodzi, zanim jeszcze ich głowy zdążyły dotknąć desek.

Hal zmusił się wysiłkiem woli do wejścia na górę. Ned czekał na niego przy relingu. Gdy zobaczył, w jakim stanie jest

248

kapitan, w oczach starego wilka morskiego pojawił się wyraz szacunku.

- Zaraz zawołam lekarza, żeby pana opatrzył, sir. Podeszedł do drabinki, by pomóc Halowi zejść, ten jednak go odsunął.

- Gdzie jest Tom? - zapytał chrapliwie. - Gdzie mój syn?

Ned spojrział w górę, a Hal, podążając za jego wzrokiem, dostrzegł wysoko na rei grotmasztu malutką samotną postać.

- Siedzi tam, odkąd rzuciliśmy kotwicę - powiedział Ned.

- Proszę dać ludziom po kapce rumu do śniadania, panie Tyler - rzekł Hal - ale niech wstaną o pierwszym brzasku. Bóg świadkiem, że zasłużyli na odpoczynek, ale nie mogę im na to pozwolić, dopóki Serpah nie będzie gotów do żeglugi.

Choć każdy muskuł w jego ciele domagał się snu i aż chwiał się na nogach ze znużenia, Hal podeszedł do want i rozpoczął długą wspinaczkę na maszt.

Kiedy dotarł do grotrei, Tom zrobił mu miejsce i siedzieli razem w milczeniu.

Rozpacz, którą udawało mu się tłumić przez cały dzień, opadła go znowu, odpędzając całe zmęczenie i piekąc w piersi jak płonąca żagiew. Objął Tonią ramieniem, szukając w tym geście ukojenia nie tylko dla syna, lecz także dla siebie.

Tom oparł się o niego, lecz nie rozmawiali. Nad nimi przesuwwały się po swej majestatycznej orbicie gwiazdy, a gdy Plejady skryły się za przylądkiem, Tom zaczął cicho płakać. Jego silnym młodym ciałem targał dojmujący ból. Hal przytulił go mocno, a chłopiec przemówił wreszcie łamiącym się i znękany głosem.

- To moja wina, ojczy - wyszeptał.

- To niczyja wina, Tom.

- Powinienem był go uratować. Przerzekłem mu to, złożyłem przysięgę na śmierć i życie.

- Nie, Tom, to nie twoja wina. Nikt z nas nie mógł temu zapobiec - odparł Hal. Jeżeli ktokolwiek jest winny, to tylko ja, pomyślał ponuro. Mogłem zostawić Doriana w domu w High Weald. Był na to wszystko za młody. Do końca życia będę żałował, że tak nie postąpiłem.

- Musimy znaleźć Doriana, ojczy. - Głos Toma nabrał siły. - On tam gdzieś przecież jest. Aboli mówi, że go nie

249

zabija, tylko będą chcieli sprzedać jako niewolnika. Musimy go odszukać.

- Tak, synu. Znajdziemy go.

- Musimy teraz złożyć przysięgę. - Tom spojrział ojcu w twarz, posępna w świetle gwiazd, o oczach niczym ciemne jamy i ustach twardych jak wyryte w marmurze. Poszukał jego dłoni. Była lepka od współzaschniętej krwi.

- Ty ją wypowiedz za nas obu - rzekł Hal i Tom wznosił ich splecione dłonie ku rozgwieżdżonemu niebu.

- Usłysz naszą przysięgę, Boże - powiedział. - Przysięgamy, że nie spoczniemy i nie ustaniemy, dopóki nie znajdziemy Doriana, choćbyśmy mieli szukać go po całym świecie.

- Amen! - szepnął Hal, tłumiąc napływające do oczu łzy.

Cieśle ścięli poszarpany kikut złamanego fokmasztu, opiłowując go i obrabiając dłutami, tak że stanowił teraz cokół, na którym można było osadzić sosnowy pał na nowo. Jednocześnie sam maszt zaholowano na brzeg, gdzie uformowano u jego podstawy wpust. Pracowali przez cały dzień i wieczorem przy świetle latarni. W Hala jakby diabeł wstąpił; nie oszczędzał nikogo, a szczególnie samego siebie.

Razem z Nedom Tylerem obserwował pływy w zatoce i badał piaszczystą plażę. Było to miejsce idealne do ich celów, a przyptyw sięgał dwóch i pół sążnia. Kiedy maszt był już gotowy do osadzenia na cokole, przy wysokiej wodzie przyciągnęli Serapha do brzegu i przywiązali grubymi linami do drzew.

Po ustąpieniu przyptywu żaglowiec osiadł wysoko na piasku. Za pomocą lin przechylili go na bok pod kątem trzydziestu stopni. Musieli się pośpieszyć, gdyż po sześciu godzinach, z kolejnym przyptywem, Seraph miał znowu stanąć na wodzie. Posługując się systemem bloków i talii, wbili stary maszt w wydrażony cokół, przebijając go w poprzek żelaznymi drągami, zanurzonymi przedtem we wrzącej smole. Hal przy okazji przeprowadził inspekcję dna, sprawdzając, czy nie ma w nim śladów świdraków, które na tych ciepłych wodach potrafiły przeżreć kadłub na wylot. Szkodniki te miały długość ludzkiej dłoni i grubość kciuka. Wierciły swoje dziury tak blisko jedna drugiej, że pozostawała między nimi tylko cienka warstwa drewna. Dotknięty taką zarazą statek mógł na wzburzonym

250

morzu łatwo stracić dno. Hal z ulgą skonstatował, że warstwa smoły i płótna, którą został zabezpieczony kadłub, nie tylko uchroniła go przed świdrakami, lecz zapobiegła także przyczepianiu się wodorostów mogących znacznie spowolnić Serapha. Statek był właściwie czysty i można było nie tracić czasu na zeszkrobywanie nielicznych przyrośniętych do dna skorupiaków.

Gdy tylko przyptyw podniósł Serapha z piasku, odciągnęli go z powrotem na głębszą wodę. Złącze fokmasztu było jeszcze zbyt słabe, żeby wytrzymać obciążenie żaglami przy silnym wietrze, lecz cieśle pracowali nad jego wzmocnieniem. Najpierw obili miejsce złączenia nakładkami z twardego drewna, a potem otoczyli całość pętlami z mokrej konopnej liny, posługując się kabestanem. Po wyschnięciu lina była twarda jak żelazo. Wtedy szef cieśli poprosił Hala na inspekcję.

- To złącze jest silniejsze niż sam maszt - obwieścił z dumą. - Kiedy się jeszcze dołoży sztagi i wanty, będziesz mógł zrobić ze statkiem, co zechcesz, kapitanie. Nawet pod wszystkimi żaglami przy pełnym wietrze nie złamie się w tym miejscu.

- Zuch z ciebie - pochwalił go Hal. - Możecie umocować nowe reje i resztę omasztowania.

Gdy już to wykonano i Seraph kołysał się na kotwicy ze wszystkimi żaglami gotowymi do postawienia, Ned Tyler w towarzystwie pozostałych oficerów pojawił się przed Halem na kwarterdeku i złożył oficjalny raport.

- Statek sklarowany, gotów do żeglugi, sir.

- Bardzo dobrze, panie Tyler.

Ned się zawahał, ale w końcu zebrał się na odwagę.

- Za pozwoleniem, kapitanie, dokąd popłyniemy? Czy poda mi pan kurs?

- Mam nadzieję, że podam ci go już wkrótce - zapewnił go Hal ponuro. Od porwania Dodana nikt nie widział uśmiechu na jego twarzy. - Wprowadzić więźniów na pokład.

Arabskich jeńców przyprowadzono na forkasztel, skutych kajdanami za nogi, w samych tylko przepaskach biodrowych. Wyszli bezładnym stadem, pobrzękując łańcuchami i mrużąc oczy przed słońcem.

Hal zignorował ich i podszedł do relingu. Spojrzał na wodę przy burcie. Była tak czysta, że widział pełzające po piaszczystym dnie szkarłupnie i krążące wokół kadłuba ławice małych rybek. Nagle spod dna Serapha wychynał ciemny kształt

251

wielkości barkasu. Grzbiet miał poznaczony ciemniejszymi pasami, a jego ogon poruszał się w leniwym rytmie.

Statek stał na kotwicy już tyle czasu, że wyrzucane za burtę odpadki z kuchni zdały przyciągnąć uwagę rekinów tygrysich, żerujących na głębszych wodach za rafą. Potwór odwrócił się i machnąwszy ogonem, zniknął znów pod statkiem. Hal poczuł dreszcz na plecach. Rekin tygrysi był na tych tropikalnych morzach najstraszniejszym nocnym koszmarem marynar/y.

Odszedł od burty i ruszył powoli wzdłuż szeregu jeńców. Nareszcie miał przed sobą cel, mógł się wyładować. Spoglądał w oblicza korsarzy, całą siłą woli utrzymując na wodzy gniew i zachowując obojętny wyraz twarzy. Rachid stał na

samym końcu, z głową owiniętą zakrwawionym gałganem. Courtney zatrzymał się przed nim.

- Jaka jest kara za piractwo? - zapytał niemal szeptem, wciąż powściągając gniew. - Co mówi Koran o mordercach i gwałcicielach? Powiedz mi coś o prawie szarijatu. Objasnij nauki islamu.

Rachid nie był w stanie spojrzeć mu w oczy. Drżał cały jak w gorączce, a po policzkach i brodzie ściekał mu pot. Wiedział już, na jaką bezwzględność stać tego frankijskiego diabła, który go zdołał pojmać.

- Czyż Prorok nie powiedział, jaki powinien być los mordercy? Czy nie kazał wydać zabójcy w ręce ojca ofiary? - pytał dalej Hal. - Czy nie nakazał nam, byśmy nie mieli litości dla tych, którzy mają na rękach krew niewiniatek? Arab padł na kolana, próbując pocałować Hala w stopę.

- Litości, wielki panie! Oddaję moją podłą duszę w twoje ręce!

Hal odrzucił go kopniakiem jak kundla i przeszedł znów wzdłuż szeregu.

- Prorok powiada, że karą za morderstwo jest śmierć. A wy wszyscy jesteście mordercami złapanymi na gorącym uczynku podczas aktu piractwa. Ja zaś jestem sługą króla Anglii, wyposażonym przez Jego Królewską Mość w pełnomocnictwo do oczyszczenia tych mórz z takiego śmiecia. - Obejrzał się na Neda Tylera. - Panie Tyler, zamocować na rejach linę dla każdego z tych szubrawców - rozkazał i z założonymi do tyłu rękami przyglądał się, jak majtkowie wchodzą z powrozami na wanty i przewlekają je przez bloki.

- Gotowi do wymierzenia kary - zameldował Ned, gdy

252

koniec każdej zakończonej pętla liny znalazł się w rękach jednego marynarza.

- Tego łotra zostawcie na koniec. - Hal wskazał głową Rachida, wciąż czołgającego się u jego stóp. - Resztę powiesić.

Zakutym w łańcuchy Arabom, wyrrywającym się i błagającym Allaha o zmiłowanie, przełożono przez głowy pętle i zaciągnięto je na szyjach. Następnie ludzie przy linach wszyscy razem przystąpili do wykonania rozkazu. Wybijając bosymi stopami rytm, z zaśpiewem jak przy stawianiu grota, wciągali wierzgających piratów trójkami i czwórkami na reje. Stopniowo krzyki Arabów ucichły. Wisieli niczym kiść jakichś dziwacznych owoców, z przekrzywionymi głowami i obrzmiałymi językami wywieszonymi z rozdziawionych ust.

Na pokładzie został tylko Rachid. Hal stanął nad nim.

- Twoje zbiry miały lekką śmierć - powiedział. - Ale ty odebrałeś mi najmłodszego syna. Nie będziesz miał tyle szczęścia, chyba że mi wyjawisz to, co chcę wiedzieć.

- Wszystko, co będzie w mojej mocy, efendi - zaskomlał Arab. - Tylko zapytaj.

- Chcę wiedzieć, gdzie mam szukać al-Aufa i mojego syna?

- Tego nie wiem, efendi. - Arab potrząsał głową tak gwałtownie, że łzy z jego oczu rozprysnęły się jak woda z grzbietu psa.

Hal podniósł go z klęczek, wykręcił jedną rękę za plecy i zaciągnął do relingu.

- Spójrz tylko na to! - syknął jeńcowi w poharatane ucho. - Popatrz, co cię czeka. - Rachid wydał z siebie przenikliwy skowyt. Rekin sunął cicho w przejrzystej toni, kołysząc się lekko, tak że widać było każdy szczegół groteskowo spłaszczonej głowy. Łypnął na nich jednym podobnym do świńskiego. - Gdzie znajdę al-Aufa? Gdzie ma swój macierzysty port? Jeśli mi powiesz, umrzesz szybko i pójdziesz do swojego Boga w jednym kawałku zamiast przez paszczę tego potwora w dole.

- Nie wiem, efendi - zakwilił Rachid. - Niewielu ludzi wie, gdzie Zły ma swoją twierdzę. Ja jestem tylko biednym rybakim.

- Aboli! - zawołał Hal i Murzyn podszedł do nich z końcówką ostatniej liny. - Głową w dół!

Aboli przyklęknął i sprawnie przywiązał powrót do kajdan na nogach więźnia.

253

- Ciągnąć! - rzucił do marynarzy.

Arab został uniesiony w powietrze i zawisł do góry nogami, kołysząc się jak wahadło ponad burta.

- Gdzie jest al-Auf? - krzyknął do niego Hal. - Gdzie mam szukać syna?

- Nie wiem. Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę! - wrzeszczał Rachid.

- Opuścić! - rozkazał Hal i pirat znalazł się tuż nad powierzchnią morza. - Dość!

Głowa Rachida zatrzymała się stopę od wody. Usiłował ją wykręcić, by spojrzeć na Hala przechylonego przez reling.

- Nie wiem, przysięgam na wszystkie świętości! - krzyknął. - Nie wiem, gdzie jest twój syn! Hal skinął głową Abolemu.

- Nakarmić bestię - rzucił.

Murzyn wziął wiadro z kuchennymi odpadkami, stojące w pogotowiu przy burcie.

Wyrzucił zawartość do morza i w wodę posypały się rybie łby i wnętrzności.

Ławica małych ryb natychmiast pojawiła się na uczcie, macąc wodę w szaleńczej żądzy. Aboli rzucił im jeszcze jedną porcję.

Po chwili pod żerującą ławicą pojawił się groźny cień. Z głębin wynurzył się majestatycznie pręgowany grzbiet. Ryby się rozproszyły, a potwór wychynał ku powierzchni i otworzył paszczę, w której zmieściłby się tułów człowieka. Obnażywszy rzędy kłów, chwycił odpadki, burząc powierzchnię morza, chociaż znajdował się jeszcze dość głęboko w wodzie.

- Nie przejdiesz przez bramy rajy z ciałem pokiereszowanym przez tak ohydny i nieczystą rybę! - zawołał do Araba Hal.

Pirat miotał się bezradnie na końcu powrozu.

- Nie, litości! Nie wiem! Litości, wielki panie! - kwiczał przerażony.

- Na dół! - Hal skinął na ludzi przy linie. Opuścili Rachida, zanurzając tylko jego głowę i ramiona. - Trzymajcie go tak.

Arab szarpał się, walcząc o życie. Wielki rekin zauważył ruch w wodzie i okrzykił to miejsce, wypływając ostrożnie coraz wyżej. Spazmatyczne ruchy Rachida spowolniały i bliski był utopienia.

- Wyciągnąć! - dał znak Hal i głowa Araba wyłoniła się nad powierzchnią.

254

Zakrawawiony bandaż spadł mu z głowy, mokre długie włosy wisiały w wodzie jak wodorosty. Usiłując złapać oddech, wił się i miotał na końcu sznura.

- Mów! - ryknął Hal. - Mów mi o moim synu!

Serce miał niczym lód, bez krzty litości czy współczucia. Rekin wyczuł krew i ruszył ku górze. Wielka paszcza znów się rozwarła i pochwyciła szmatę. Nurkując, wielka ryba trzepnęła ogonem, który śmignął nad powierzchnią wody i chlasnął wiszącego mężczyznę mocno w głowę. Rachid kwiknął z przerażenia i zakolysał się na powrozie.

- Mów! - popędzał go Hal. - Gadaj wszystko, co wiesz!

- Nie mogę powiedzieć, bo nie wiem! - zawył Rachid, a Hal skinął na marynarzy.

Tym razem zanurzyli jeńca po pas. Rekin obrócił się zadziwiająco szybko i zwinnie jak na tak wielkie stworzenie i ruszył ku powierzchni, potężniejąc w oczach.

- Wyciągnąć! - rzucił ostro Hal.

Majtkowie szarpnęli linę i Arab wynurzył się z wody w ostatniej chwili przed zatrześnięciem się potężnych szczęk, które minęły jego głowę o kilka cali.

- Jeszcze nie jest za późno! - zawołał Hal na tyle głośno, by jego słowa dotarły do sparaliżowanego strachem i osłabionego pirata. - Powiedz i zakończ swoją mękę.

- Nie wiem, gdzie można znaleźć al-Aufa, ale znam człowieka, który to wie - wykrztusił Rachid łamiącym się, chrapliwym głosem.

- Jak się nazywa?

- Nazywa się Grey, efendi, mieszka w Zanzibarze. To on powiedział nam o wielkim skarbie, który wiesz na swoim statku.

- Na dół! - rozkazał Hal.

Opuścili Rachida, a rekin ruszył mu na spotkanie. Tym razem Hal nie zamierzał wyciągać jeńca, który stracił już dla niego wartość. Wymierzył mu karę bez mrugnięcia okiem, przyglądając się obojętnie, jak głowa Araba znika w paszczy bestii aż po ramiona.

Rekin uwiesił się na ofierze, bijąc ogonem na wszystkie strony i wyginając olbrzymie cielsko. Zagłębiał potężne kły w zdobyczy, przegryzając mięso i kości. Ciężar i siła wielkiej ryby i gwałtowność jej ruchów poderwały w górę marynarzy trzymających linę.

255

A potem szczęki rekina się spotkały, oddzielając gładko głowę Rachida od tułowia. Ryba się cofnęła, pozostawiając okaleczone ciało na powierzchni. Krew z rozerwanej szyi zasnuła wodę czerwonym całunem.

Hal dobył szpady i jednym cięciem uwolnił linę. Bezgłowy korpus zaczął tonać, obracając się do góry nogami. Rekin powrócił i niczym piesek przyjmujący z ręki pana smaczny kęs chwycił ciało delikatnie w zęby i odpłynął z nim na głębie. Hal się odwrócił od relingu.

- Za godzinę zmiana pływu, panie Tyler - stwierdził i spojrzął na wisielców. - Pozbądźcie się tego ścierwa ze statku. Wyrzucicie za burtę. Płyniemy do Zanzibaru; ruszamy wraz z odpływem.

Postawiwszy wszystkie żagle, okrzykli przylądek Ras Ibn Khum i poszli ostrym baksztagiem.

- Kurs północno-północno-wschodni, panie Tyler - powiedział Hal. - Przy tym wietrze powinniśmy osiągnąć szerokość Zanzibaru jutro przed zachodem.

Hal nie chciał, by wieść o jego powrocie szybko się rozeszła, toteż przez noc pozostał na wodach kanału i wprowadził Serapha do portu o pierwszym brzasku. Zasalutował twierdzy banderami, a kiedy tylko kotwica wbiła się w piaszczyste dno, kazał opuścić z burty łódź. Potem zabrał z kajuty parę dwulufowych pistoletów i zatknął je sobie za pas.

Gdy znalazł się na korytarzu, Tom już na niego czekał. Na głowie miał czapkę, u pasa szpadę w pochwie, a na bosych zazwyczaj nogach marynarskie buty.

- Chcę iść z tobą, sir - powiedział. Hal się zawahał, gdyż nie wykluczał potyczki na brzegu, Tom jednak dodał szybko: - Złożyliśmy przysięgę wspólnie, ojcze.

- No to chodź. - Hal wbiegł po trapie na górę. - Niech statek będzie gotów do żeglugi w każdej chwili - rzucił do Neda Tylera i zszedł do szalupy wraz z Tomem i dwunastoma marynarzami.

Kiedy przybili do nabrzeża, zostawił w łodzi Alfa Wilsona z czterema ludźmi.

- Czekajcie na wodzie i nie przy samej kei - zwrócił się do Alfa - lecz bądźcie w pogotowiu i w razie czego szybko po nas

256

podpłyńcie. A ty prowadź do domu konsula - polecił z kolei Abolemu. - Idźmy zwawo i trzymać się razem.

Przemierzali wąskie, puste o tej porze uliczki szybkim krokiem, dwójkami, z bronią w pogotowiu. Kiedy dotarli pod bramę domu Greya, Hal skinął na Abolego, a ten załomotał w rzeźbione wrota drzewcem piki. Odgłos uderzeń poniósł się po milczącym domostwie. Po krótkiej chwili usłyszeli szurgot kroków po drugiej stronie, drzwi się uchyliły i zobaczyli pomarszczone oblicze starej niewolnicy. Na widok uzbrojonych ludzi jej twarz się zmarszczyła jeszcze bardziej z konsternacji i kobieta chciała zatrzaskać wrota z powrotem. Aboli jednak zablokował je ramieniem.

- Nie musisz się niczego obawiać, mateczko - zapewnił ją łagodnie Hal. - Gdzie twój pan?

- Nie śmiem powiedzieć - szepnęła kobieta; jej wzrok powędrował ku kamiennym schodom, prowadzącym z dziedzińca na wyższe piętra domu.

- Zamknij drzwi na zasuwę - polecił Hal Abolemu - i niech dwóch ludzi zostanie na straży.

Ruszył schodami, przeskakując po dwa stopnie, aż dotarł do drugiego piętra. Tu się zatrzymał i rozejrzał po dużym pomieszczeniu, w którym się znalazł.

Udekorowane było orientalnymi gobelinami i stały w nim ciężkie ciemne meble, intarsjowane macią perłową i kością słoniową. Hal znał typowy rozkład takich domów. Na samej górze były kwatery kobiet, a to był główny salon. Na jego końcu znajdowało się wejście do pokoi gospodarza, za rzeźbionym parawanem z hebanu i kości słoniowej. Wsunął się bezgłośnie do pomieszczenia za parawanem. Podłogę zaścielały tu jedwabne poduszki, a na środku stało na niskim stoliku nargile i kilka misek z resztkami jedzenia. W powietrzu unosiła się zawiesina zakisłego dymu z bhangu, zmieszana z charakterystycznym piżmowym odorem choroby Greya. Hal wszedł za kolejny parawan i znalazł się w jeszcze mniejszym pokoju. Połowę jego powierzchni zajmowało niskie łóżko. To, co na nim ujrzał, zaskoczyło go i kazało zatrzymać się w drzwiach. Była to platanina ciał i kończyn, brązowych i białych. Po chwili dopiero uświadomił sobie, co widzi. Konsul Grey leżał na

plecach z szeroko rozpostartymi obrzmiałymi kończynami i wielkim brzuchem sterczącym w górę, jak gdyby był w ostatnim miesiącu ciąży. Piers porośnięta miał czarnym

257

i gęstym jak u zwierzęcia kędzierzawym włosom, a jego zdeformowane członki poznaczone były czerwienią otwartych wrzodów, stygmatów choroby. Unoszący się w pokoju odór żółtej ropy był tak silny, że Halowi zbierało się na wymioty. Dwie młode niewolnice klęczały nad nim, jedna nad twarzą, druga okraciem nad podbrzuszem. Jedna z nich podniosła głowę i ujrawszy Hala, krzyknęła przeraźliwie. Obie zerwały się na równe nogi i uciekły z pokoju, znikając za kolejnym parawanem niczym spłoszone gazy. Grey pozostał rozwalony na łóżku. Przekreślił się na bok i dźwignął na łokciu.

- To pan! - zakrzyknął, wybałuszając na Hala oczy. - Nie spodziewałem się... - przerwał nagle i pozostał tak z otwartymi ustami...

- Doskonale wiem, czego się spodziewałeś, sir - powiedział Hal. - I przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Nie ma pan prawa nachodzić mnie we własnym domu. - Grey wierzchem dłoni otarł z twarzy soki dziewczyny. Jego zaskoczenie ustąpiło miejsca wściekłości. - Mam uzbrojonych strażników - warknął. - Zaraz ich zawołam. - Otworzył usta do krzyku, lecz Hal natychmiast przystawił mu do grdyki szpic szpady. Konsul oklapł jak przebity balon i próbował odsunąć się od ostrza.

- Proszę się okryć. - Hal podniósł z podłogi jedwabny szlafrok i rzucił mężczyźnie. - Widok tych wrzodów napawa mnie obrzydzeniem.

Grey niezgrabnie włożył na siebie szatę. Zdawał się odzyskiwać nieco rezon i równowagę.

- Nie zamierzałem panu grozić - uśmiechnął się pojednawczo - ale przestraszyłeś mnie, sir, wchodząc w tak kłopotliwym dla mnie momencie. - Puścił lubieżnie oko.

- Poza tym spodziewałem się, że jesteście już w połowie drogi do Przyładka Dobrej Nadziei.

- Ponownie proszę o wybaczenie - rzekł Hal. - Nie byłem z panem szczery, konsulu Grey. Nie jestem kupcem ani podwładnym Kompanii Wschodnioindyjskiej. Naprawdę nazywam się Henry Courtney i jestem sługą Jego Królewskiej Mości Wilhelma Orańskiego.

- Wszyscy służyliśmy królowi - odparł Grey pełnym uszanowania tonem, a jego twarz przybrała świętoszkowaty wyraz.

258

Zsunął się z krawędzi łoża i z ogromnym wysiłkiem stanął na nogi.

Hal przystawił czubek szpady do jego rozdętego brzuszyska i łagodnie pchnął konsula z powrotem na łóżko.

- Proszę się modlić bez skrępowania - powiedział uprzejmie. - Kiedy powiadam, że jestem sługą króla, mam na myśli to, że otrzymałem królewskie pełnomocnictwo.

Wyposaża mnie ono między innymi w prawo przeprowadzania doraźnych procesów sądowych i dokonywania egzekucji osób pochwyconych podczas aktu piractwa na otwartym morzu i szlakach oceanicznych lub udzielających piratom pomocy i opieki. - Wyciągnął zza pazuchy zwinięty pergamin. - Życzy pan sobie przeczytać, konsulu?

- Z pewnością jest tak, jak pan powiedział. - Grey mówił lekkim tonem i z pozorną pewnością siebie, jego skóra jednak przybrała chorobliwy odcień sepii. - Niemniej nie bardzo widzę, jaki to ma związek z moją osobą.

- Błagam o pozwolenie wytłumaczenia tego panu. - Hal wsunął pergamin pod kurtkę.

- Mój statek nie wiezie żadnego skarbu. A pan jest jedyną osobą, której wyjawilem, że wiezie. To miał być sprawdzian pańskiej uczciwości. Przynęta, służąca pochwyconiu pirata znanego pod imieniem al-Auf.

Grey wpatrywał się weń szeroko otwartymi oczami, a po jego czole i brodzie toczyły się kropelki potu.

- Wyjawilem ci także, panie, datę mojego wypłynięcia z Zanzibaru i trasę, jaką zamierzałem obrać. Al-Auf nie mógłby czekać w zasadzce na mej drodze, nie mając tej informacji. Otrzymał zaś dokładne wskazówki, które mogły pochodzić tylko od jednej jedynej osoby. - Hal szturchnął lekko ostrzem pierś konsula. - Od ciebie, sir.

- To nieprawda! - wybełkotał Grey gorączkowo. - Jestem lojalnym sługą króla i człowiekiem honoru!

- Jeśli chcesz jeszcze jakiegoś dowodu, to wydał cię jeden z ludzi al-Aufa. Jesteś w zмовie z piratem, konsulu. Jesteś winien udzielania pomocy wrogom króla i współdziałania z nimi. Nie ma potrzeby więcej nad tym dyskutować. Skazuję cię na śmierć przez powieszenie. Aboli!

Murzyn stanął u boku Hala. Na widok jego groźnie wykrzywionej i pokrytej tatuażami twarzy Grey, kwiknąwszy z przerażenia, przetoczył się na drugi koniec łoża niczym wyrzucona na brzeg meduza.

7S9

- Przygotuj sznur do egzekucji.

Aboli miał zwój liny na ramieniu. Podszedł do okna, wysokiego od podłogi do sufitu, i kopniakiem otworzył rzeźbione okiennice. Wyjrzał na dziedziniec, gdzie szemrała i pluskała fontanna, wyrzucił pętlę, która opadła do połowy ściany, po czym przywiązał sznur do środkowej części framugi.

- Za długa lina dla takiej beki smalcu - powiedział. - Jak spadnie, pętla oderwie mu głowę jak kurczakowi. - Chrzaknął i pokręcił z niesmakiem głową. - Wszystko się ubrudzi.

- Nie przesadzajmy z tą czystością - rzekł Hal. - Nałóż mu pętlę.

Grey wrzasnął i zaczął niezadarnie gramolić się z łożka.

- Na Boga, Courtney, nie możesz mi tego zrobić! - zawołał.

- Chyba mogę. Zaraz sprawdzimy to w praktyce.

- Jestem Anglikiem! Żądam uczciwego procesu w angielskim sądzie!

- Proces właśnie się odbył - oznajmił Hal. - Panie Fisher, proszę pomóc w przygotowaniu skazanego do egzekucji!

- Rozkaz, kapitanie.

Duży Daniel wszedł wraz ze swymi ludźmi do pokoju. Otoczyli siedzącego na łożku konsula.

- Ja jestem chory! - wybełkotał Grey.

- Mamy doskonałe lekarstwo na wszystkie twoje dolegliwości - rzekł spokojnie

Duży Daniel, po czym przetoczył Greya na brzuch i związał mu sznurem ręce za plecami. Jego ludzie dźwignęli konsula z łożka i zawlekli pod okno.

Aboli przełożył mu pętlę przez głowę. Odwrócili Greya twarzą do Hala. Musieli go podtrzymywać, gdyż opuchnięte nogi nie mogły udźwignąć ciężaru wielkiego cielska.

- Niech cię pocieszy wieść, że twój sojusznik Musallim bin-Jangiri, znany także jako al-Auf, wyśliznął się z pułapki, jaką na niego zastawiłem - powiedział Hal, siadając na skraju łożka. - Rozpłynął się gdzieś na oceanie. Przypuszczamy, że schował się w swoim mateczniku, żeby wylizać się z ran, które udało nam się zadać.

- Nic o tym nie wiem. - Grey zwisał na ramionach marynarzy, trzęsąc się ze strachu. - Musi mi pan uwierzyć, sir Henry!

- Problem w tym - ciągnął Hal, ignorując go - że Złemu udało się porwać mojego najmłodszego syna. Z pewnością rozumiesz, konsulu, że dla jego uratowania zrobię wszystko. A moim zdaniem wiesz, gdzie go mogę znaleźć. - Wyciągnął

260

rękę ze szpadą i dotknął ostrzem szyi Greya. - Niech teraz stoi o własnych siłach - rzucił do marynarzy. Odstąpili na krok.

- Błagam, sir Henry! - Grey zachwiał się w otwartym oknie. - Jestem starym człowiekiem!

- I złym jak szatan - zgodził się Hal, przyciskając ostrze nieco silniej do gardła konsula. Ze skaleczenia spłynęła kropla krwi, plamiąc czubek grawerowanej klingi z tolekańskiej stali. - Gdzie znajdę al-Aufa... i mojego syna?

Spod szaty Greya wydobył się bulgoczący odgłos i po obrzmiałych nogach spłynęły płynne odchody konsula, brunatne jak tytoniowy sok, tworząc kałużę u jego stóp.

W małym, nagrzanym pokoju rozszedł się obrzydliwy smród, lecz Hal nawet nie mrugnął okiem.

- Gdzie mam szukać syna? - powtórzył.

- Kwiat Morza! - wychrypiał Grey. - Flor de la Mar, stary portugalski fort na wyspie. To kryjówka al-Aufa.

- Muszę ci uświadomić, sir, że informacja, którą w tej chwili ujawniłeś, potwierdza twoją winę ponad wszelką wątpliwość.

Z wolna wzmacniał nacisk ostrza na grdykę Greya. Konsul próbował się temu oprzeć, wyginając plecy w łuk, podczas gdy jego stopy przesuwają się po śliskiej kałuży kału, aż pięty dotarły do krawędzi okna. Chwiał się przez chwilę, a potem wydał z siebie rozpaczliwy skowyt i runął w dół na plecy. Lina sunęła za nim, aż z głuchym odgłosem napięła się i znieruchomiła pod ciężarem ciała.

Hal poprowadził swoich ludzi z powrotem na dziedziniec. Przystanął przed wiszącym nieruchomo, rozdętym cielskiem. Grey wisiał nad sadzawką, w której pływały ryby. Hal wyciągnął zza pazuchy dokument, który sporządził poprzedniej nocy.

- Zawieś mu to na szyi - polecił, wręczając go Abolemu.

Aboli wskoczył na czaszę fontanny i przełożył sznurek przez głowę wisielca. Pergamin rozwinął się na piersi Greya. Proklamacja napisana była po angielsku i arabsku.

Osądzony i uznany za winnego współdziałania z korsarzem znanym jako ał-Auf w procedurze piractwa na otwartych wodach, William Grey został skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonany został przeze mnie, Henry 'ego Courtney, na mocy pełnomocnictwa udzielonego mi przez Jego Królewską Mość Wilhelma III Orańskiego.

261

Tom stanął obok ojca i przeczytał na głos tekst arabski. Kiedy skończył, zapytał:

- Podpisałeś się El Tazar, to znaczy Barakuda. Dlaczego?

- To imię nadali mi muzułmanie, gdy po raz pierwszy żeglowałem po tych wodach - odparł Hal, znów myśląc z troską o tym, że może ktoś tak młody jak jego syn nie powinien oglądać takich ponurych scen. Zaraz jednak przypomniał sobie, że Tom ma prawie osiemnaście lat i z jego ręki zginął do tej pory więcej niż jeden człowiek. Nie był już dzieckiem, a wychowanie i trening przygotowały go do tego rodzaju sytuacji. - Nasze dzieło tutaj zostało dokonane - rzekł cicho. - Wracamy na statek. - Odwrócił się do wysokich, rzeźbionych wrót, a Duży Daniel kazał je otworzyć marynarzom stojącym na straży.

Za bramą zobaczyli starą niewolnicę, która wpuściła ich do siedziby konsula. Za nią tłoczyli się na ulicy gwardziści Greya. Było ich kilkunastu, uzbrojonych w strzelby i zakrzywione bułaty. Gdy wrota się otwarły, cała ta banda zbirów postąpiła do przodu.

- Spójrzcie tylko, co ci niewierni uczynili z naszym panem! - wrzasnęła piskliwym głosem starucha, ujrzawszy wiszącego Greya. - Zbrodniarze! - Rozdziawiwszy bezzębne usta, wydała wysoki zawodzący okrzyk, jakim arabskie kobiety doprowadzają swych mężczyzn do morderczego szału.

- Allahu akbar! - ryknął przywódca strażników. - Bóg jest wielki!

Przyłożył do ramienia długi muszkiet i wypalił w grupę angielskich marynarzy. Kula trafiła jednego z ludzi Hala w środek twarzy, strzaskała mu szczękę i wwierciła się głęboko w czaszkę. Padł, nie wydawszy nawet krzyku. Hal podniósł w lewej ręce jeden z dwulufowych pistoletów i strzelił.

Trafił herszta gwardzistów prosto w prawe oko. Gałka oczna rozbryznięła się i po policzku mężczyzny spłynęła strużka szklistej mazi. Hal strzelił z drugiej lufy w Araba, który pojawił się za zabitym. Tym razem trafił w środek czoła. Martwy gwardzista runął do tyłu na swych towarzyszy, zbijając jednego z nóg.

- Na nich, chłopcy! - krzyknął Hal i jego marynarze wylegli na ulicę w zwartej grupie.

- Seraph! - wznieśli bojowy okrzyk, napierając na postacie odziane w długie burnusy.

262

Żadnemu z nieprzyjaciół nie udało się w tej ciżbie podnieść muszkietu i musieli się cofnąć przed gęstym szpalerem marynarskich kordów. Padło jeszcze trzech z nich i ludzie Hala znaleźli się na ulicy, gdzie było więcej miejsca na wyciągnięcie długiej broni.

Hal trzymał już w lewej dłoni drugi pistolet. Oszczędzał jednak kule i zamiast strzelać, ciał szpada kolejnego Araba, który stanął mu na drodze. Potem

rozejrzał się za Tomem i znalazł go tuż za sobą. Spozstrzegł, że uniesiona wysoko broń syna zachlapana jest krwią. On także zaliczył trafienie.

- Brawo, chłopcze - rzucił Hal. - Trzymaj się mnie. - Ruszył na pozostałych Arabów, ci jednak, ujrawszy, jaki los spotkał ich towarzyszy z pierwszej linii i stanawszy oko w oko z oddziałem nacierających szaleńczo białych, złamali szyk i rzucili się do ucieczki.

- Zostawcie ich! - zawołał Hal. - Wracać do łodzi.

- A co z Bobbym? - zapytał Duży Daniel, wskazując na zabitego marynarza, leżącego wśród ciał zasieczonych na śmierć Arabów.

- Weźcie go - rozkazał Hal. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie widzieli, że pozostawił któregoś z nich na polu bitwy. Powinni mieć pewność, że nigdy ich nie opuści, rannych ani martwych. - Kiedy wyjdziemy znów na morze, urządzimy mu przyzwoity pogrzeb.

Duży Daniel pochylił się i Aboli pomógł mu zarzucić na ramię zwłoki Bobby'ego. Następnie dwaj olbrzymi, z obnażonymi kordami w dłoniach, poprowadzili oddział wąskimi uliczkami ku nabrzeżu. O tak wczesnej porze spotkali niewielu mieszkańców miasta, a ci, którzy widzieli, jak nadchodzą, chowali się w wąskie przejścia i za drzwi domów. Bez przeszkód dotarli do portu. Alf Wilson, gdy tylko ich zobaczył, przybił do brzegu.

Kiedy płynęli z powrotem na Serapha, kilku śmiałków wyskoczyło z ukrycia, strzelając do nich z muszkietów ponad wodami zatoki i wyrzaskując obelgi. Odległość jednak była już zbyt duża i żadna z kul nie doleciała nawet do ich łodzi. Ned Tyler czekał już na pokładzie. Łańcuch kotwiczny był wybrany i tuzin marynarzy stał w gotowości przy kabestanie. Gdy tylko powracający zeskoczyli z burty i wciągnięto szalupę, Ned wydał rozkaz podjęcia kotwicy i postawienia żagli.

Kiedy się odwrócili, sunąc ku wyjściu z portu, ponad za-

263

chodnią wieżą twierdzy pokazała się na maszcie zielona flaga sułtana i w stronę statku zaczęła strzelać bateria dział.

Nawet gołym okiem widać było z pokładu biało odzianych artylerzystów, uwijających się gorączkowo przy kolubrynach. Hal przez lunetę widział też, jak wielkie panuje wśród nich zamieszanie. Gdy ładowali działa po strzale i wytaczali je z powrotem na pozycje, nie próbowali nawet korygować celu. Jeden z podeksycytowanych artylerzystów odpalił swoją wielką kolubrynę, nie czekając, aż jego towarzysze dotoczą ją na miejsce. Ciśnięta odrzutem do tyłu, pogruchołała im kości i pourywała kończyny. Mimo że Seraph odpłynął już na dwa kable od ład, straszliwe wrzaski masakrowanych Arabów słychać było aż tutaj.

Hal ujrzał, jak nadlatuje ku nim olbrzymia kamienna kula. Wystrzeliła w niebo z blanku fortu i zawisła nieruchomo u szczytu swej trajektorii, po czym opadła łukiem ku statkowi. Przez chwilę myślał, że ich dosięgnie, ale runęła w morze obok burty, wyrzucając fontannę wody tak wysoko, że ochlapała do kolan jego buty.

- Musimy odpowiedzieć na tak gorące pożegnanie - rzucił do Neda Tylera bez cienia uśmiechu. - Proszę zasałutować uprzejmie sułtanowi naszą banderą, panie Tyler. A potem kurs na południe.

Nienaniesiona - mruknął Hal, ślęcząc nad rozłożoną na biurku mapą. - Ale dałbym głowę, że już słyszałem kiedyś tę nazwę. Flor de la Mar; Kwiat Morza. Taką nazwę może mieć jedynie któryś ze starych portugalskich portów, tak jak powiedział Grey. - Wypytał już wszystkich oficerów i kazał im zasięgnąć języka u marynarzy, nikt jednak nie słyszał o Kwiecie Morza.

Obok mapy leżał stos ośmiu grubych ksiąg oprawionych w czarną cielęcą skórę. Te księgi były w majątku Hala jedną z najbardziej ukochanych przezeń rzeczy. Wybrał jedną, rozchylił sztywne, kruche stronicę i wpatrywał się przez chwilę w piękne, płynne pismo i atramentowe rysunki, pokrywające obie strony kart. Te litery były mu tak bliskie, że stanowiły niemal część jego istoty. Stawiał je bowiem jego ojciec sir Francis Courtney. Księgi dziennika pokładowego stanowiły część schedy po ojcu. W tych ośmiu tomach zawarta była historia trzydziestu lat żeglugi po oceanach całego globu; były

264

zbiorem doświadczeń i wiedzy całego życia sławnego żeglarza. Miały dla Hala taką wartość, zarówno rzeczową jak i uczuciową, że nie pozbyłby się ich za żadne skarby świata.

Niemal ze złości przewracał kartki, szukając nazwy, którą musiał kiedyś, dawno temu, na nich zobaczyć. Szukał chaotycznie, gdyż co jakiś czas przykuwały jego uwagę cenne spostrzeżenia i wspaniałe rysunki dalekich portów i egzotycznych krajobrazów, portrety ludzi, ptaków i ryb, zauważonych bystrym okiem ojca i wiernie odtworzonych jego zręczną dłonią.

Nie znalazłszy niczego w pierwszym tomie, odłożył go i wybrał kolejny, oznaczony na okładce: Ocean Indyjski. Anno Domini 1632 do 1641. Szperał już w księgach tak długo, że musiał dolać oliwy do lampy. I nagle nazwa wyskoczyła spomiędzy kartek ku jego zaczerwienionym, obolałym oczom i z piersi wyrwało mu się głębokie westchnienie ulgi. Pod szkicem krajobrazu, widzianego z pokładu statku, widniał napis: Isla Flor de la Mar. Rysunek niewatpliwie przedstawiał wyspę. Pod nim narysowano różę wiatrów i podano skalę odległości. Długość wyspy, mierzona z północy na południe, wynosiła pięć mil morskich. Poniżej zanotowana była jej pozycja: 11 stopni 25 minut szer.połudn.; 47 stopni 32 minuty dług. wsch. oraz mniejszymi literami: Znana muzułmanom jako Dar al-Szajtan, Port Diabła.

Hal wrócił do mapy i za pomocą linijki i kompasu naniósł współrzędne podane przez ojca. Choć obliczenie długości geograficznej, nawet przez sir Francisa, należało traktować z rezerwą, stwierdził, że wyspa musi znajdować się mniej więcej sto pięćdziesiąt mil morskich na północ od archipelagu Komo-rów. Na jego własnej mapie widniało w tym miejscu tylko otwarte morze. Wrócił znów do zapisów w dzienniku. Stary żeglarz poświęcił opisowi portu całą stronicę. Hal zaczął czytać i natychmiast pogrążył się w lekturze po uszy.

O wyspie tej wspominał po raz pierwszy Affonse de Albuquerque w roku 1508, kiedy przygotowywał się do podbicia miast arabskich na Wybrzeżu Malarycznym we wschodniej części kontynentu Afryki. Była to jego baza wypadowa do ataków na Zanzibar i Dar es-Salaam.

Hal pokiwał głową. Wiedział, że współcześni Albuquerque nazywali go Wielkim, natomiast Arabowie mówili o nim al-Szajtan, Diabeł, z powodu jego podbojów na Oceanie Indyjskim. On to właśnie, bardziej nawet niż Tristao da Cunha, przyczynił się do utrwalenia panowania portugalskiego na

265

Wybrzeżu Malarycznym i w Zatoce Perskiej. Jego statki jako pierwsze spenetrowały też arabski bastion Morza Czerwonego. Hal czytał dalej notatki ojca:

Albuquerque wybudował sporą twierdzę na północnym cyplu wyspy, używając do tego ociosanych bloków skał koralowych i zatrudniając do najcięższych robót muzułmańskich jeńców. Wyposażył ją w armaty zdobyte przy podboju Ormuzu i Adenu. Nazwał wyspę imieniem swojego okrętu flagowego, Flor de la Mar. Kilka lat potem, w roku 1508, statek ten rozbił się na rafach koralowych w pobliżu Goi, a sam Albuquerque stracił olbrzymią fortunę, którą zgromadził podczas kampanii na Oceanie Indyjskim. Dzięki udanym wypadom na kontynent Afryki porzucił następnie swą bazę na wyspie i jego siedzibą stał się Zanzibar. Twierdzy na Flor de la Mar pozwolono popaść w ruinę.

Zawinałem tu 2 listopada roku 1637. Wyspa ma pięć i ćwierć mili morskiej w najszerszym miejscu. Wschodnia jej strona zwrócona jest ku morzu i wystawiona na działanie wiatrów; nie można tu bezpiecznie zakotwiczyć statku. Zatoka na krańcu północno-zachodnim natomiast jest spokojna i dobrze strzeżona przez rafy. Dno ma piaszczyste, mocno trzymające kotwicę. W rafie jest przesmyk prowadzący tuż pod murami twierdzy, toteż każdy wchodzący do zatoki statek mógł znaleźć się pod ciężkim ostrzałem z portugalskich dział na blankach.

Na środku karty sir Francis wyrysował dokładną mapę zatoki i fortu, ukazującą przesmyk pomiędzy rafami oraz różne odległości i ukształtowanie dna. "Dzięki, ojczco", mruknął Hal wzruszony i dalej zagłębiał się w tekst.

Udałem się na brzeg i odkryłem, iż mury twierdzy przetrwały w dobrym stanie niemal półtora stulecia. Mają mocną konstrukcję i mogą się oprzeć każdej sile, z wyjątkiem nowoczesnych machin oblężniczych. Brązowe kolubryny tkwią w otworach strzelniczych, lecz metal znacznie skorodował z powodu działania morskiej soli. Urządzenia i cysterny do gromadzenia deszczówki wciąż działają i wodą z nich napełniłmy nasze beczki. Na południowym cyplu gnieździ się ogromna kolonia

morskiego ptactwa. Podczas dnia wielka liczba tych ptaków unosiła się ponad wyspą ciemną chmurą, widoczną na wiele mil z morza. Chóralny skrzek tego stada był taki głośny, że ranił uszy i przy tępał zmysły. Mięso tych stworzeń jest tłuste i silnie przesiąknięte rybim odorem, jednak po nasoleniu i uwędzeniu staje się jadalne. Wysiałem marynarzy, by pozbierali ich jaja. Wrócili z dziesięcioma pełnymi koszami i cała załoga godziwie

266

się nimi posiliła. W zatoce jest poza tym mnogość ryb i ostryg. Zabawiliśmy tu dziesięć dni, gromadząc szczodre dary natury, by uzupełnić zapasy statku.

Wyruszyliśmy na morze 12 listopada, kierując się ku Bab al-Mandab u wrót Morza Czerwonego.

Hal zamknął dziennik z taką czcią, jakby zamykał rodzinną Biblię, którą w pewnym sensie ta księga była. Przyjrzał się mapie i naniósł na nią starannie pozycję wyspy zapisaną przez ojca. Następnie wyznaczył kurs od obecnej pozycji Serapha na południowym krańcu kanału.

Kiedy wrócił na pokład, słońce opadło już nad sam horyzont, okryte całunem purpurowej morskiej mgiełki, dzięki czemu mógł patrzeć na jego czerwony krąg gołym okiem. Z nadejściem zmierzchu monsun przycichł, był jednak na tyle silny, by móc naprężyć wszystkie żagle, pełne jak piersi karmiącej kobiety.

- Panie Tyler, proszę tak ostro do wiatru, jak się da przy tym halsie - rzucił ponuro. - Oстрым bejdewindem.

- Jest ostrym bejdewindem, kapitanie - sternik dotknął palcami czapki.

Hal zostawił go przy sterze i poszedł ku dziobowi, spoglądając w górę na reje fokmasztu. Tom, który wszedł na bocianie gniazdo zaraz po wyjściu z Zanzibaru, wciąż tam siedział. Hal czuł to samo co on, nie zamierzał jednak przyłączać się do syna. Tym razem także chciał być sam.

Stanąwszy na trzonie bukszprytu, chwycił się forsztagu, spoglądając daleko w morze, które przybrało już barwę przejrziałych śliwek. Seraph co jakiś czas przecinał dziobem grzbiet większej fali, bryzgając drobinami wody na twarz swego kapitana. Nie ocierał jej nawet, pozwalając formować się małym strużkom ściekającym po brodzie na pierś.

Kontynent afrykański rozpląnął się za nimi we mglistym zmierzchu. Przed dziobem także nie było widać ładunku. Otaczał ich ocean, ciemny i bezkresny. Czy można mieć nadzieję, że w tym bezkresie uda się odnaleźć jednego małego chłopca? - rozmyślał Hal.

- Tak, znajdę go, choćbym miał szukać do końca życia - odpowiedział sam sobie szeptem. - I niech się nie spodziewa litości nikt, kto stanie mi na przeszkodzie.

Dhow służył do transportu niewolników. Przewoził swój szczęśny ładunek z kontynentu na rynki Zanzibaru po drugiej

me-

267

stronie kanału. Cuchnął wydzielinami ludzkiego ciała i udręka człowieka ducha. Ten zgniły miazmat unosił się nad łodzią przez cały czas; przesiąknięte nim były włosy i odzienie wszystkich na pokładzie. Dorian wciągał go do płuc z każdym oddechem i miał wrażenie, że odór zżera mu duszę.

Leżał zakuty w łańcuchy na dolnym pokładzie. Żelazne kajdany przełożono przez grubą belkę i zamknięto nitami, na nogach miał ręcznie kute klamry. Długa, niska ładownia mogła pomieścić stu więźniów, lecz teraz był w niej sam. Przykucnął na jednej z wręg, starając się trzymać nogi z dala od zęb chlupoczących przy każdym przechyle i podskoku kadłuba. Zalegały w nich rybnie łuski i rozmokła kopra - pozostałości dodatkowego ładunku przewożonego na dhow.

Mniej więcej co godzina otwierała się kłapa nad jego głową i któryś z Arabów przyglądał mu się wielce podekscytowany. Czasami podawano mu na dół miskę ryżu z kawałkami ryby albo zielony orzech kokosowy z odciętym wierzchem. Sok kokosowy był słodki i lekko musował, toteż Dorian pił go chętnie. Nie był jednak w stanie tknąć ryby suszonej na słońcu i nadgniłej.

Pominąwszy kajdany i panujący w pomieszczeniu smród, arabscy strażnicy okazali mu wszelkie względy. Wręcz widać było, że dbają o jego dobre samopoczucie, starając się, by mu nie brakowało picia i jedzenia.

Podczas minionych dwóch dni kapitan dhow czterokrotnie schodził do ładowni i stawał nad chłopcem, przyglądając mu się uważnie, z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Był to wysoki mężczyzna o ospowatym obliczu i orlim nosie. To on właśnie trzymał Doriana w powietrzu z przystawionym do gardła nożem. Za pierwszym razem próbował go wypytywać: "Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Czy wierzysz w jedyne Boga? Co robiłeś na statku niewiernych?". Kapitan miał dziwny akcent i wymawiał niektóre słowa inaczej, niż uczył Doriana Alf Wilson, ale chłopiec rozumiał go bez trudu i gdyby chciał, mógłby odpowiedzieć. Opuścił jednak głowę na piersi, nie chcąc patrzeć na Araba. Pragnął rozpaczliwie wyładować na nim swój strach i wściekłość. Korciło go, żeby ujawnić, iż jest synem potężnego i bogatego człowieka, czuł jednak, że popełniłby wielkie głupstwo. Miał ochotę krzyknąć: "Mój ojciec niedługo mnie znajdzie, wtedy nie będzie miał litości dla ciebie ani twoich zbirów!". Zamiast tego zagryzał tylko usta, powstrzymując się siłą od ujawnienia, że zna arabski.

268

Arab porzucił wreszcie próby uzyskania od Doriana odpowiedzi na swoje pytania. Usiadł obok niego i wziął w dłoń garść jego gęstych loków, bawiąc się nimi niemal z miłością. Ku zaskoczeniu chłopca, kapitan zaczął szeptać słowa modlitwy:

- Bóg jest wielki. Nie ma Boga poza Bogiem, a Mahomet jest jego Prorokiem.

Podczas następnych wizyt w ładowni Arab nie próbował już wypytywać Doriana. Za każdym razem jednak odprawiał ten sam rytuał pieszczotliwego głaskania go po włosach i mamrotania modlitw.

Podczas ostatniej bytności wyciągnął nagle sztylet z pochwy u pasa. Dorian, którego czujność uspiły poprzednie spotkania, był zaszokowany, gdy ostra klinga błysnęła mu tuż przed twarzą. Zdołał powstrzymać się od krzyku, lecz odruchowo skulił się ze strachu.

Gnębiciel obnażył w straszliwym uśmiechu swoje pociemniałe i krzywe zęby, co w jego mniemaniu miało uspokoić chłopca, odciął mu jeden długi kędziór miedzianozłotych włosów i schował sztylet z powrotem do pochwy.

Jego zachowanie zaskoczyło Doriana, lecz w ciemnej i cuchnącej ładowni miał aż nadto czasu, żeby się nad nim zastanowić. Uzmysłowił sobie, że materia i barwa jego włosów, która tak zafascynowała Arabów, musiała mieć dla nich jakieś szczególne znaczenie. Kiedy go wyciągnęli z morza, był przekonany, że wyładowują na nim swą wściekłość. Miał jeszcze żywo w pamięci dotyk noża na gardle, a na szyi czuł pod palcami zaschnięte skaleczenia.

Dopiero kiedy spadła mu z głowy czapka i długie włosy rozsypały się na wietrze, arabski kapitan odsunął nóż od jego krtani. W tych strasznych chwilach Dorian nie zwracał uwagi na jazgot głośniejszej sprzeczki między nieprzyjaciółmi. Pamiętał jednak, że zanim zamknęli go pod pokładem, każdy z nich starał się choć na moment dotknąć lub pogłaskać jego włosy. Teraz przypomniał sobie jak przez mgłę fragmenty ich ożywionej konwersacji.

Wielu mówiło coś o "proroctwie", a niektórzy wymieniali jakieś imię, najwyraźniej darzone przez nich wielką czcią, wołali bowiem "Niech Allah obdarzy go łaską", za każdym razem, gdy któryś je wymienił. W uszach Doriana imię to brzmiało "Taimtain".

269

Osamotniony i wystraszony, siedział w ciemnej śmierdzącej ładowni i myślał o ojcu i Tomie. Tęsknił za nimi tak bardzo, że serce omal nie pękło mu w piersi. Co jakiś czas podrzemywał trochę, lecz budził się, gdy tylko dhow podskoczył na większej fali, grożąc mu wpadnięciem do zęzy. Orientował się w upływie dni i nocy dzięki temu, że otwierano klapę, żeby mu podać jedzenie i dzięki odwiedzinom kapitana piratów. Dwunastego dnia po porwaniu zdjęto mu z nóg żelazne łańcuchy i został wyciągnięty na pokład. Po długim przebywaniu w półmroku ładowni musiał sobie zasłonić oczy przed słońcem. Dopiero po wielu minutach przyzwyczał się do jasności i mógł się rozejrzeć, wciąż jeszcze mrużąc powieki. Ujrzał, że otaczają go kręgiem marynarze dhow. Tym razem pilnie słuchał, o czym rozmawiają.

- Zaiste jest to część proroctwa, chwała niech będzie Bogu.

- Nie może tak być, skoro al-Amhara nie mówi językiem Proroka.

Dorian zrozumiał, że al-Amhara, czyli Czerwony, oznacza jego osobę.

- Strzeż się bluźnierczych słów, Izmaelu. Nie twoja to rzecz osądzać, czy to jest dziecko z prorocstwa, czy też nie.

- Działania boskie są niezbadane i zaiste cudowne - dorzucił któryś, a wszyscy zawołali chórem: - Chwała niech będzie Bogu!

Dorian spojrzął poza krąg brodatych twarzy ku dziobowi stateczku. Wiatr pędził przed nim fale o srebrzystych grzbietach, a na horyzoncie widniała nienaturalnego kształtu ciemna chmura. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że do oczu nabiegły mu łzy. Wyglądała jak wirujący i kłębiący się obłok dymu i w końcu jego bystre młode oczy wychwyciły pod nią nikłe zarysy palm, a chmura okazała się olbrzymim stadem morskiego ptactwa.

Mniejsze stadka, po dziesięć, dwadzieścia ptaków, prze-fruwały obok łodzi, zdążając ku wielkiemu zgromadzeniu. Dorian chciał się lepiej przyjrzeć wszystkiemu, a zarazem sprawdzić, na ile może sobie pozwolić w obecności swoich gnębicieli. Ruszył więc w stronę dziobu i krąg Arabów rozstał się przed nim. Cofali się z szacunkiem, jakby się bali go powstrzymać. Któryś musnął dłonią jego włosy, lecz chłopiec go zignorował.

- Pilnujcie dzieciaka - zawołał od rumpla kapitan. - Nie może nam się wymknąć.
270

- Ach, Jusufie - odpowiedział mu ktoś - czyżby al-Amhara był tak błogosławiony, że potrafi latać jak archanioł Gabriel?

Wszyscy się roześmiali, żaden jednak nie ruszył się, by zatrzymać więźnia.

Poszedł więc dalej i stanął dopiero przy krępym maszcie dhow.

Kształty palm pod ptasim obłokiem robiły się coraz wyraźniejsze, a potem Dorian dostrzegł zarys przylądka, należącego najwyraźniej do niewielkiej wyspy. Gdy podpłynęli bliżej, zabieliły się w słońcu mury zbudowane z koralowych bloków. Później zobaczył działa na blankach fortu i wreszcie flotyllę statków kotwiczących w zatoce za rafą.

- Minotaur! - zawołał nagle, rozpoznając sylwetkę i wysokie maszty żaglowca, z którym tak niedawno potykał się Seraph.

Przy swej niezwykłej śmigłości musiał on przybyć do portu na długo przed malutkim dhow. Stał na środku zatoki z gołymi rejami, a kiedy znaleźli się bliżej, Dorian mógł ocenić szkody wyrządzone nieprzyjacielowi przez kolubryny Serapha. Wreszcie odczytał nową nazwę, wymalowaną po arabsku na dziobie: Oddech Allaha.

Minotaur nie był jedynym w porcie statkiem z ożaglowaniem rejowym. Było ich jeszcze trzy; jeden większy od niego i dwa mniejsze. Dorian domyślił się, że muszą to być żaglowce zdobyte przez korsarzy podczas napadów na handlowe konwoje z Europy. Cztery takie statki, wyładowane cennymi towarami, stanowiły olbrzymi łup. Nic dziwnego, że imię al-Aufa budziło grozę jak ocean długi i szeroki.

Te rozmyślenia przerwał mu okrzyk Jusufa:

- Podchodzimy!

O pokład zabębniły bosc stopy Arabów, załoga rzuciła się do przestawienia skośnego żagla. Długa reję przerzucono na przeciwną stronę masztu, żagiel wypełnił się wiatrem i dhow poszedł prawym halsiem. Kapitan skierował go w wąski przesmyk pomiędzy rafami strzegącymi wejścia do zatoki.

- Zamknijcie al-Amharę w kajucie na dziobie. Schowajcie go przed wzrokiem gapiów na murach! - zawołał Jusuf.

Dwóch mężczyzn ujęło Doriana łagodnie pod ręce i poprowadziło do małej kabiny na pokładzie dziobowym. Drzwi zamknięto na zasuwę, lecz w ścianach były okienka, przez które miał doskonały widok na zatokę.

271

Przesmyk zakręcał ostro pośród raf, a potem biegł tuż pod murami twierdzy.

Dorian przyjrzał się działom wystającym z otworów strzelniczych i spostrzegł za nimi brunatne twarze artylerzystów. Ponad zwieńczeniem muru snuł się niebieski dym z wolno tłących lontów. Obsada garnizonu zaczęła okrzykami pozdrawiać załogę dhow, a ta odpowiadała ochoczo. Rzucili kotwicę w pobliżu rufy Oddechu Allaha i marynarze wezwali jeden ze skifów leżących na plaży u stóp fortu. Przypłynął z trzema wioślarzami i przywiązano go u burty dhow. Wśród załogi rozpoczęła się sprzeczka, którą Dorian słyszał wyraźnie przez cienkie ścianki kajuty. Kłócili się o to, kto z nich ma towarzyszyć kapitanowi i al-Amharze na brzeg. Jusuf zakończył spór, wyznaczając trzech ludzi, którzy przeszli na skif jako jego

eskorta. Następnie zjawił się w kabinie Doriana, obnażając w okropnym, fałszywym uśmiechu swe poźółkłe zęby.

- Popłyniemy teraz spotkać się z al-Aufem - oznajmił. Dorian spoglądał nań, jakby nic nie rozumiał, i Arab pokazał mu gestami, o co chodzi.

- Musimy zakryć twoje piękne włosy - rzekł. - Chcę je pokazać al-Aufowi znieńcka.

Z kołka za drzwiami zdjął szarą szatę i kazał chłopcu ją nałożyć. Chociaż cuchnęła skisłym potem i zgniłymi rybami, Dorian wykonał polecenie. Jusuf nasunął mu na głowę kaptur burnusa, zakrywając włosy i ocieniając twarz, a potem ujął chłopca pod ramię i sprowadził do skifu.

Zawieziono ich na brzeg. Kiedy wysiedli, zachrzęścił im pod stopami biały koralowy piasek. Trzej Arabowie otoczyli Doriana i Jusuf poprowadził wszystkich przez palmowy zagajnik do murów twierdzy. W środku palmowego gaju znajdował się niewielki cmentarz. Niektóre z grobowców wyglądały na bardzo stare; z ich ścian odpadał kawałami wapienny tynk. U szczytu sarkofagów widniały resztki połamanych chrześcijańskich krzyży. Na końcu cmentarza znajdowały się nowsze groby, jeszcze nie wymurowane. Każdy oznaczony był białą flagą na słupku, z wypisanymi po arabsku modlitwami i sentencjami. Chorągiewki powiewały w porywach monsunu. Poszli dalej wijącą się wśród drzew ścieżką i nagle dotarli do kolejnej polany. Zaskoczony i przerażony Dorian stanął jak wryty: na trójnogach z surowych belek wisiały tu nagie ludzkie ciała. W tym miejscu najwyraźniej dokonywano egzekucji.

272

Niektórzy jeszcze żyli. Usiłowali oddychać i poruszali się, wykrzywając z bólu twarze. Jeden nagle wyprężył się sztywno, a potem znowu obwił w krępujących go więzach. Większość jednak była martwa, i to od wielu dni. Ich twarze stężały w straszliwych grymasach agonii, brzuchy mieli rozdęte od gazów, a skórę poparzoną do żywego przez słońce. Wszyscy, zarówno żywi, jak i martwi, byli wcześniej torturowani. Dorian zauważył zwłoki z osmalonymi kikutami zamiast dłoni i stóp. Inni mieli puste oczodoły i widać było, że wypalono im oczy rozżarzonym żelazem. Niektórym obcięto języki, a w ich szeroko rozwartych ustach roiły się błękitne muchy. Żywi błagali chrapliwymi głosami o łyk wody albo wzywali imię Boga. Jeden z umierających wbił w Doriana spojrzenie wybałuszonych ciemnych oczu, powtarzając monotonnym szeptem:

- Bóg jest wielki; Bóg jest wielki. - Język miał poczerniały i opuchnięty z pragnienia i jego słowa były ledwo słyszalne.

Któryś ze strażników chłopca roześmiał się i zboczył ze ścieżki.

- Imię Allaha na twoich wargach to bluźnierstwo! - zawołał, patrząc na konającego i wyciągając zza pasa zakrzywiony sztylet. Chwyciwszy jedną ręką skurczone genitalia skazańca, odciął je jednym ruchem i wepchnął mu do ust. - To cię uciszy! - zachichotał.

Wisielec nie okazał nawet bólu; jego niewyobrażalna udręka już dawno pozbawiła go uczucia.

- Czy ty zawsze musisz pajacować, Izmael? - napomniał go cierpko Jusuf. - Chodź już, nie mamy czasu na twoje błazeństwa.

Strażnicy Doriana powlekli go dalej i wkrótce dotarli do muru na tyłach twierdzy. Były tu otwarte wrota, w których cieniu przysiadło kilku wartowników. Obok nich stały oparte o ścianę muszkiety.

Tom zawsze przypominał Dorianowi, żeby uważnie się rozglądał w nowym otoczeniu i starał zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Kaptur nie zasłaniał mu oczu, toteż od razu spostrzegł, że brama twierdzy jest już wiekowa i przegniła, a jej zawiasy przeżarte rdzą. Sam mur jednakże był gruby i solidny; oparłby się pociskom z najcięższych nawet kolubryn.

Strażnicy powitali kapitana dhow jak starego znajomego. Nie wstając, wymienili z nim zwyczajowe, kwieciste słowa powitania i przepuścili całą grupę do środka.

Weszli na dziedzi-

273

nieć fortu i Dorian znowu rozejrzał się uważnie. Zauważył, że część budowli jest bardzo stara; koralowe bloki wykruszyły się tutaj i miejscami rozpadły. Widać jednak było, że ubytki są uzupełniane: na schodach prowadzących na obwarowania uwijała się grupa murarzy. Stare dachy zastąpiono solidną strzechą z liści palmowych, jeszcze nie do końca wyschnięta. Chłopiec oszacował, że pod ścianami

dziedzińca odpoczywają w cieniu ze dwie setki ludzi. Niektórzy rozłożyli na ziemi swoje dywaniki modlitewne i wyciągnęli się na nich. Inni w małych grupkach grali w kości lub popalali nargile, czyścili muszkiety i ostrzyli noże albo po prostu gawędzili. Część pozdrawiała przybyłych tradycyjnym Salam alejkum, na co strażnicy chłopca odpowiadali: Alejkum ja salam.

Na środku obszernego podwórca stała szopa o otwartych ścianach, kryta strzechą. Paliły się pod nią ogniska, przy których uwijały się kobiety w czadorach: piekły chleb na żelaznych patelniach albo mieszały coś w trójnogich kociołkach ustawionych nad paleniskami. Kiedy przybysze je mijali, podnosiły głowy, lecz oczy miały skryte za zasłonami i nie odzywały się na powitanie.

Do zewnętrznych murów twierdzy przylegały zamknięte pomieszczenia. Ich drzwi wychodziły na dziedziniec. Po części musiały to być magazyny, prochownie i zbrojownie, wejść bowiem pilnowali uzbrojeni wartownicy.

- Zaczekajcie tu na mnie - powiedział do swoich ludzi Jusuf. - Może uda wam się wyżebrać jakieś jedzenie od kobiet i napełnić puste żołądki. - Ujął Dorian mocno za ramię i poprowadził do drzwi w centralnej części fortyfikacji. Zastąpiło im drogę dwóch wartowników.

- Czego tu szukasz, Jusuf? - zapytał ostrym tonem jeden z nich. - Co cię sprowadza bez wezwania pod drzwi Musallima bin-Jangiriego?

Spierali się przez jakiś czas. Jusuf upierał się, że ma prawo wejść, a wartownicy udowadniali mu, że mogą do tego nie dopuścić. W końcu ten pierwszy wzruszył ramionami.

- Wybrałeś niewłaściwą porę, Jusuf - oznajmił. - Nasz pan skazał już dziś na śmierć dwóch ludzi. Teraz naradza się z handlarzami z kontynentu. Ale ty zawsze lubiłeś pływać wśród rekinów, taki już z ciebie lekkomyślny człowiek. Wejdz... na własne ryzyko. - Mężczyzna opuścił broń i usunął się na bok z kpiącym uśmiechem.

274

Jusuf ścisnął mocniej ramię Dorian, lecz dłoń mu drżała. Wszedł wraz z chłopcem do pomieszczenia i syknął mu do ucha:

- Na dół! Kładź się na ziemię!

Dorian jak zwykle udał, że nie rozumie, i opierał się naciskowi kapitana, pchającego go ku ziemi. Zmagali się tak przez chwilę w proggu, aż w końcu Jusuf zwolnił uścisk, pozwalając mu stać, a sam poczołgał się ku grupce czterech mężczyzn siedzących w końcu pokoju.

Chłopiec, starając się uśmierzyć swój niepokój, rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego ściany, choć zbudowane z surowych bloków skalnych, przykryto barwnymi dywanami o przyjemnych wzorach. Na czystej, lecz gołej podłodze stał tylko niski stolik, wokół którego siedzieli na poduszkach czterej ludzie. Przyglądali się z wyraźną pogardą pełznącemu Jusufowi, który bez przerwy recytował wiernopoddańcza litanię: „O Wielki Panie! Ulubieńcu Allaha! Mieczu Islamu! Pogromco niewiernych! Niech pokój będzie z tobą!”.

Dorian poznał mężczyznę siedzącego twarzą do niego. Ostatnio widział go na kwarterdeku Minotaura i wiedział, że tej twarzy nie zapomni nigdy.

Wyglądała pod zielonym turbanem jak wyciosana z drewna tekowego lub jakiegoś innego trudnego do obróbki materiału. Skóra na niej była tak napięta, że kości policzkowe wydawały się niemal ją przebijać. Mężczyzna miał wysoko osadzone, równe brwi i wąski kościsty nos. Długą do pasa brodę rozczesał starannie na dwa rozwidlające się pasma i ufarbował henną na odcień imbirowy, spod którego przebijały jednak nitki siwizny. Jego usta, okolone obwisłymi wąsami, zaciśnięte były w wąską kreskę.

Te usta pozbawione niemal warg rozchyliły się teraz i wydobył się z nich miękki melodyjny głos, którego brzmieniu zadawało kłam okrutne spojrzenie czarnych jak smoła oczu.

- Pewnie masz jakiś szczególny powód, dla którego zakłócasz naszą naradę - powiedział al-Auf.

- Potężny panie, jestem kawałkiem wielbłądziego gówna, schnącym w słonecznym blasku twego oblicza. - Jusuf trzy razy dotknął czołem kamiennej podłogi.

- To prawda - zgodził się al-Auf.

- Mam dla ciebie wielki skarb, Ulubieńcu Proroka. - Jusuf podniósł głowę, wskazując nią Dorian.

- Niewolnik? - zapytał Jangiri. - Zapełniam niewol-
275

nikami wszystkie rynki tego świata, a ty mi przyprowadzasz jeszcze jednego?

- To chłopiec - dodał Jusuf.

- Nie jestem pederastą - powiedział al-Auf. - Przedkładam dzban z miodem nad worek gówna.

- Chłopiec - mamrotał nerwowo Jusuf - ale nie taki jak wszyscy. - Jeszcze raz dotknął czołem ziemi. - To złoty chłopiec, ale cenniejszy nawet niż złoto.

- Mówisz zagadkami, ty synu parszywej dzikiej świni.

- Błagam o pozwolenie na ukazanie tego skarbu twoim łaskawym oczom, o potężny. Przekonasz się wówczas, że mówię prawdę.

Al-Auf skinął głową i pogładził się po ufarbowanej brodzie.

- Tylko szybko. Nudzą mnie już te twoje bzdury.

Jusuf wstał z podłogi, wciąż jednak pozostawał zgięty wpół, z opuszczoną na znak wielkiego szacunku głową. Wziął Dorianą za rękę i pociągnął do przodu. Był spocony ze strachu.

- Rób, co ci każe - rzucił wściekle szeptem, usiłując pokryć tym własne przerażenie - albo zostaniesz wykastrowany i oddam cię moim marynarzom jako kurwę.

Zaciągnął chłopca na środek pomieszczenia i stanął za jego plecami.

- Wielki panie Musallimie bin-Jangiri, pokażę ci coś, czego nie widziałeś jeszcze nigdy dotąd! - Przerwał na chwilę dla efektu, a potem jednym ruchem ściągnął z głowy Dorianą kaptur. - Oto jest! Korona Proroka, o której mówi przepowiednia!

Czterej mężczyźni wpatrywali się w Dorianą w niemym zdumieniu. Chłopiec zdążył już jednak przywyknąć do takiej reakcji każdego Araba, który go ujrzał po raz pierwszy.

- Ufarbowałeś mu włosy henną - rzekł w końcu al-Auf- tak jak ja brodę. - Głos jednak miał niepewny, a oczy wytrzeszczone.

- Nie, panie. - Jusuf odzyskiwał stopniowo pewność siebie. Zaprzeczył al-Aufowi wprost, co było wykroczeniem, za które niejeden już zginął. - To sam Bóg dał barwę jego włosom, tak jak to zrobił z włosami Mahometa, swego jedyne Proroka.

- Chwała niech będzie Bogu - wymamrotali automatycznie pozostali.

- Przyprowadź go tutaj! - rozkazał al-Auf.

276

Jusuf chwycił Dorianą za ramię i niemal przewrócił w swej gorliwości w spełnianiu woli władcy.

- Delikatnie! - napomniął go Jangiri. - Obchodź się z nim ostrożnie.

Ta reprimenda uradowała Jusufa, oznaczała bowiem, że al-Auf nie odrzucił z góry prawdziwości jego twierdzeń. Łagodniej pchnął Dorianą do przodu i zmusił do uklęknienia przez hersztem piratów.

- Jestem Anglikiem - powiedział Dorian nieco drżącym, dziecięcym głosem, starając się, by zabrzmiał mocno. - Trzymaj te swoje zakrwawione łapska z daleka ode mnie.

- Ma jeszcze mleko pod nosem, ale serce czarnogrzywe-go lwa - z aprobatą pokiwał głową Jangiri. - Ale co on mówi? - Żaden z obecnych nie wiedział i pirat spojrział na Dorianą. - Czy mówisz po arabsku, maleńki?

Chłopiec miał już na końcu języka gniewną odpowiedź w mowie swych gnębicieli, zdołał się jednak pohamować.

- Idź do diabła i pozdrów go ode mnie, kiedy się znajdziesz w piekle - odparł po angielsku, powtarzając jedno z powiedzonek ojca. Poczul, że wraca mu odwaga i próbował wstać z klęczek, ale Jusuf trzymał go mocno.

- Nie mówi po arabsku - rzekł al-Auf z nutą rozczarowania w głosie. - To była część proroctwa świętego Taimtaima, niech jego imię błogosławione będzie po wsze czasy.

- Może się nauczyć - zasugerował Jusuf skwapliwie. - Jeśli zostawisz go przy mnie, w ciągu miesiąca będzie recytował z pamięci cały Koran.

- To nie to samo - pokręcił głową al-Auf. - Proroctwo mówi, że dziecko, które wyjdzie z morza, będzie miało głowę okrytą jak Prorok i przemówi w jego języku. Dorian powoli zaczynał uświadamiać sobie rzecz trudną do uwierzenia: żaden z Arabów nie widział jeszcze nigdy rudych włosów. Zrozumiał, że traktują je jak

jakiś święty symbol religijny, ponieważ włosy tego samego koloru miał Mahomet. Przypominał sobie jak przez mgłę, że wspominał o tym Alf Wilson, kiedy im opowiadał o wierzeniach muzułmanów. Al-Auf najwyraźniej ufarbował sobie brodę właśnie dlatego, żeby kojarzyć się swoim ludziom z Prorokiem.

- Być może tylko ufarbowano jego włosy jakimś nieznanym sposobem - rzekł posępnie Jangiri. - Jeśli tak jest - warknął do Jusufa - i ty, i dzieciak wyładujecie na polu egzekucyjnym.

277

Ta przerażająca perspektywa sprawiła, że serce podeszło Dorianowi do gardła. Pamięć o udręczonych ludzkich wrakach wiszących na trójnogach w gaju palmowym przyprawiała go o mdłości.

Jusuf padł na kolana, bełkocząc o swej niewinności i usiłując pocałować al-Aufa w stopę. Pirat odtrącił go kopnięciem i zawołał:

- Poślijcie po Ben Abrama, medyka.

Niebawem zjawił się w pokoju stary dostojny Arab i złożył przed Jangirim głęboki ukłon. Miał srebrzystą brodę i brwi, skórę białą jak skorupka jajka, a oczy bystre i inteligentne. Nawet al-Auf odnosił się do niego z szacunkiem.

- Zbadaj tego frankijskiego chłopaczka, czcigodny wujku - polecił pirat. - Sprawdź, czy jego włosy są prawdziwe, czy ufarbowane. I czy jest zdrowy i dobrze zbudowany.

Lekarz łagodnym, choć stanowczym gestem położył dłoń na głowie Doriana, który zeszywniał cały, lecz poddał się niechętnie jego dotknięciu. Ben Abram rozcierał przez chwilę jedwabisty lok chłopca między palcami, wydając przy tym krótkie cmoknięcia, a potem rozdzielił włosy i przyjrzał się skórze głowy.

Odwrócił ją do światła padającego z wysokich, zakratowanych okien, a następnie obwąchał, starając się wyczuć zapach jakichś substancji chemicznych lub ziół.

- Pięćdziesiąt lat już jestem lekarzem, lecz jeszcze nigdy nie widziałem takich włosów ani u mężczyzny, ani kobiety. Słyszałem jednak, że na północy wśród Partów żyją ludzie tak owłosieni.

- A więc nie są ufarbowane. - Al-Auf poprawił się na poduszkach, nagle na nowo zainteresowany Dorianem.

- To kolor naturalny - potwierdził medyk.

- A co powiesz o jego ciele?

- Zaraz zobaczymy. Każcie mu się rozebrać.

- Dziecko nie mówi językiem Proroka. Musisz mu sam zdjąć odzienie.

Mimo że Jusuf trzymał Doriana z całych sił, nie udało im się go rozebrać.

Walczył jak kot, któremu ktoś próbuje wepchnąć głowę do wody, drapał, gryzł i kopał, aż w końcu musieli wezwać na pomoc wartowników spod drzwi. Wreszcie stanął przed medykiem nagi. Gwardziści Jangiriego trzymali go mocno za ręce, żeby się nie mógł zasłonić.

278

- Spójrzcie na barwę jego skóry - zachwycił się Ben Abram. - Jak najprzedniejszy biały jedwab, gładka jak sierść ogierów sułtana. Absolutnie bez skazy. Pasuje doskonale do czerwieni włosów i potwierdza to, co powiedziałem wcześniej... ich kolor jest naturalny.

Al-Auf pokiwał głową.

- Sprawdź resztę.

- Trzymajcie mocno - rzucił Ben Abram do gwardzistów. Z jego nadgarstka sączyła się krew po ugryzieniu Doriana. Wyciągnął ostrożnie rękę i zaczął obmacywać małe genitalia chłopca. - Jądra nie zstąpiły jeszcze do moszny, lecz są nienaruszone - stwierdził, biorąc w palce dziecięcego penisa. - Jak widzicie, nie został jeszcze obrzezany, ale... - Odciągnął napletek, spod którego wyjrzała mała różowa główka.

Upokorzenie i wstyd Doriana sięgnęły zenitu. Zapomniawszy o swym postanowieniu, wrzasnął po arabsku:

- Ty pogański wieprzu! Zabierz te swoje brudne łapska z mojego kutasa albo, jak mi Bóg miły, zabiję cię gołymi rękami!

Al-Auf aż podskoczył na poduszkach, a jego ściągnięta twarz przybrała wyraz zdumienia i religijnej czci.

- Przemówił! Proroctwo wypełnione! - zakrzyknął.

- Allah jest litościwy! Niech pochwalone będzie jego imię! - przyłączyli się do niego pozostali Arabowie. - Oto prorocstwo świętego Taimtaima!

Pokład! - zawołał z bocianiego gniazda Tom, przyłożywszy do ust zwinięte w trąbkę dłonie. - Żagiel!

- Gdzie? - odkrzyknął Ned Tyler.

- Z lewej burty, odległość dwa kable!

Okrzyki dotarły do siedzącego w kajucie Hala, który zerwał się na nogi, wrzucając pióro do kałamarza tak raptownie, że kilka kropeł atramentu upadło na mapę. Osuszył je szybko i wybiegł na pokład w samej koszuli.

- Hej, tam na topie! Co to jest? - zawołał.

- Nieduża łódź z łacińskim żaglem - popłynęła na dół odpowiedź Toma. - O, zobaczyli nas! Zawraca.

- Widocznie z powodu nieczystego sumienia. - Duży Daniel stanął obok nich przy sterze.

- Albo ostrożności - dorzucił Ned.

279

- Stawiam gwineę przeciw garści łąjna, że płynie z nory Jangiriego - stwierdził Daniel.

- Przekonamy się - rzekł Hal. - Panie Tyler, proszę postawić wszystkie żagle i kurs na tę łódź.

Nieduży dhow zawrócił pod wiatr i z trudem torował sobie drogę przez smagane ostrymi podmuchami fale. Wielki rejowy żaglowiec doganiał go bez trudu i w ciągu pół godziny łódź znalazła się w całości w polu widzenia Serapha.

- Ostrzec ją działem, panie Fisher - rozkazał Hal.

Duży Daniel pośpieszył do baterii dziobowej i po kilku minutach usłyszeli huk kolubryny. Hal ujrzał przez lunetę fontannę spienionej wody, która wzbiła się z morza w odległości pół kabla od burty dhow.

- Nawet niewierny powinien zrozumieć wiadomość w tym języku - mruknął kapitan Serapha i po chwili przekonał się, że ma racje. Dhow poddał się przeznaczeniu, rzucił jedyny żagiel i dryfował z wiatrem.

- Przygotować uzbrojony oddział do wejścia na łódź - rozkazał Hal, kiedy zbliżyli się do dhow.

Duży Daniel z kilkoma uzbrojonymi marynarzami wsiadł do barkasu i po chwili dobił do burty dhow, przeskoczył ją i zniknął w małej ładowni. Jego ludzie tymczasem opanowali pokład, trzymając arabską załogę w szachu za pomocą obnażonych kordów. Po kilku minutach Duży Daniel wyszedł spod pokładu i zawołał ku Seraphowi:

- Cały wyładowany jedwabiem, kapitanie! Bele ostemplowane znakami Kompanii.

- Piracki łup, jak mi Bóg miły. - Na obliczu Hala po raz pierwszy od wielu dni pojawił się uśmiech. - Zostaw Wilsona z pięcioma ludźmi do obsługi łodzi, a kapitana i załogę przyprowadzić do mnie pod strażą.

Daniel wprowadził wystraszonych i skonsternowanych Arabów na Serapha. Alf Wilson podniósł żagiel dhow i podążył śladem statku, który powrócił na poprzedni kurs. Arabski kapitan odpowiadał na pytania bez szczególnej zachęty.

- Jestem Abdulla Wazari z Laniu; uczciwy kupiec - zaklinał się.

- A gdzież to zakupiłeś swój ładunek, Wazari? - zapytał Hal.

- Zapłaciłem godziwie i w dobrej wierze, Allah świadkiem - odparł wymijająco Arab.

280

- Nie zauważyłeś tylko, że bele jedwabiu w twojej ładowni mają pieczęcie angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej?

- Nie jestem złodziejem. Nie ukradłem ich, lecz nabyłem uczciwie, za pieniądze.

- Kto ci je sprzedał, o Wazari, Najuczciwszy z Kupców? I gdzie?

- Człowiek zwany Musallim bin-Jangiri. Skąd miałem wiedzieć, że to własność angielskiej Kompanii?

- Wystarczyło popatrzeć - rzucił oschłym tonem Hal po angielsku i przeszedłszy znów na arabski, zapytał: - Gdzie spotkałeś się z Jangirim?

- Na wyspie Dar al-Szajtan.

- Gdzie ona leży? Kiedy ją opuściłeś?

- Wypłynęliśmy wczoraj z porannym wiatrem. - Arab wzruszył ramionami. - Przebyliśmy pewnie z pięćdziesiąt kabli.

Ta informacja zgadzała się z danymi z dziennika pokładowego sir Francisa. Hal odwrócił się i przechadzając po pokładzie, przemyślał nad sytuacją. Wyglądało na to, że al-Auf handlował na Flor de la Mar całkiem otwarcie, sprzedając pirackie łupy. Arabscy kupcy znad całego zachodniego morza prawdopodobnie przybywali do niego tłumnie, pragnąc wypełnić ładownie kradzionym towarem po wyjątkowo korzystnych cenach.

- Widziałeś samego Jangiriego, nie któregoś z jego przybocznych? - zwrócił się znów do Wazariego.

- Widziałem go. Powrócił właśnie ze strasznej bitwy z okrętem-niewiernych. Statek Jangiriego stoi w zatoce, zniszczony, aż żal patrzeć... - Wazari przerwał nagle; powoli docierało do jego świadomości, że stoi na pokładzie tego właśnie okrętu niewiernych, o którym opowiada. Jego twarz przybrała przebiegły wyraz.

- Czy Jangiri mówił coś o jeńcach, których pojmał podczas tej potyczki? - zapytał Hal. Arab pokręcił głową. - Nie chwalił się ani nie podsłuchałeś, że jego ludzie wzięli do niewoli frankijskie dziecko? Chłopca liczącego sobie jedenaście wiosen? - Hal starał się, żeby jego pytania brzmiały niewinnie, zauważył jednak w oczach Wazariego iskierkę zainteresowania, którą ten natychmiast, jak przystało na sprytnego kupca, zamaskował.

- Jestem już stary i pamięć mnie zawodzi - powiedział

281

Arab. - Być może mógłby ją wzmocnić jakiś twój uprzejmy gest, kapitanie, lub przejaw gościnności...

- Jaki gest?

- Taki, że mi pozwolisz odpłynąć z moim statkiem, nie niepokojąc nas już więcej. Okaż swą dobroć, a twoje imię zostanie zapisane w naszej pamięci złotymi zgłoskami.

- Uprzejmość za uprzejmość - rzekł Hal. - Ty okaż dobrą wolę, Wazari, a może i ja także będę dobry dla ciebie. Czy przebywając u Jangiriego, znanego także jako al-Auf, słyszałeś o frankijskim dziecku?

Arab skubał z wahaniem brodę, udając zamyślenie. W końcu powiedział z westchnieniem:

- Ach, tak, coś mi się chyba przypomina...

- Co takiego? - rzucił ostro Hal, odruchowo kładąc dłoń na rękoności sztyletu. Gest ten nie uszedł uwagi kupca.

- Pamiętam, że przed dwoma dniami Jangiri oferował mi kupno niewolnika. Frankijskie dziecko, znające jednak mowę Proroka.

- I czemuś go nie kupił? - Hal przysunął się do Araba tak blisko, że poczuł jego oddech i woń suszonych na słońcu ryb, które niedawno musiał konsumować.

Wazari parsknął śmiechem.

- Chciał za niego lakh rupii! Lakh rupii za jednego chłopca!

- To okup za księcia, a nie cena za niewolnika - przyznał Hal. - Czy oglądałeś to dziecko?

- Za jeden lakh? - zdumiał się Wazari. - Powiedział, że muszę najpierw pokazać mu złoto. Ja jestem ubogim kupcem i powiedziałem o tym Jangiriemu. Skąd wziąłbym tyle pieniędzy?

- Jak sądzisz, czemu zażądał aż takiej ceny? - chciał wiedzieć Hal.

- Al-Auf twierdzi, że dziecko jest spełnieniem proroctwa Taimtaima - odparł Wazari.

- Nie słyszałem o czymś takim.

- Święty przepowiedział, że z morza wyjdzie dziecko o dziwnym kolorze włosów.

- Jaki to kolor?

- Czerwony - odrzekł kupiec. - Jak Czerwona Korona Proroka. Jangiri mówi, że dziecko ma włosy o barwie zachodzącego słońca.

Hal poczuł, że serce omal nie wyskakuje mu z piersi i nagle

282

wraca doń życie. Odwrócił się, żeby kupiec nie widział jego twarzy, i podszedł do relingu. Stał tam przez dłuższą chwilę, pozwalając, by wiatr targał mu włosy. Potem zaczesał je do tyłu dłońmi i spojrział znów na Wazariego.

- Istotnie okazałeś dobrą wolę - powiedział, a gdy odwrócił się do Neda Tylera, na twarzy miał uśmiech. - Niechaj ten człowiek i jego załoga wrócą na swój dhow. Pozwólcie im odpłynąć.

- Odpłynąć? - zapytał zaskoczony Ned. - Za przeproszeniem, kapitanie, a co z jedwabiem, który zrabowali?

- Niech go sobie zabiorą. - Hal roześmiał się głośno. Wszyscy marynarze w pobliżu wpatrywali się weń szeroko otwartymi oczami, gdyż nie słyszeli tego śmiechu już od wielu dni. - To niewielkie wynagrodzenie za to, co ja dostałem od niego.

- Co pan dostał, sir? - zapytał Ned. - Chociaż to oczywiście nie moja sprawa...
- Nadzieję - odrzekł Hal. - Ten człowiek dał mi nadzieję.

Zapadła noc. Pinasa sunęła cicho wokół południowego krańca Flor de la Mar. Księżyc miał wzejść dopiero za godzinę i panowała zupełna ciemność. Hal szacował odległość od brzegu dzięki fosforescencji przyboju załamującego się na plaży. Opuścił żagle, mimo że kazał ufarbować je na czarno, bo w żadnym razie nie mógł dopuścić, żeby zobaczono łódź z wybrzeża.

Aby nie obudzić czujności al-Aufa, trzymał za dnia Serapha za linią horyzontu. Statek podpłynął bliżej wyspy dopiero po zachodzie słońca, żeby opuścić na wodę pinasę, a teraz czekał na nich w odległości dwóch mil od lądu. Hal ustalił z Nedom Tylerem sposób sygnalizacji za pomocą rac. W razie niebezpieczeństwa Serpah miał podpłynąć i zabrać ich na pokład. Jak dotąd nic podejrzanego się nie wydarzyło, a południowy cypel wyspy wyglądał na wyludniony. Widzieli jednak wcześniej, światło lamp i ognisk, kiedy mijali Flor de la Mar od północy. Jeżeli szkice sir Francisa były poprawne, Hal spodziewał się znaleźć za cyplem osłoniętą zatoczkę, do której zamierzał wpłynąć. Na łodzi miał dwudziestu marynarzy, ale na brzeg zamierzał zabrać tylko kilku. Nie planował zaatakowania twierdzy ani statków zakotwiczonych w porcie. Był to wypad zwiadowczy; chciał zorientować się, jaką siłą dysponuje Jangiri,

283

i ewentualnie ustalić, gdzie przetrzymuje Dorianą. Hal miał nadzieję, że uda im się przedostać na brzeg i nie zaalarmować garnizonu ani nie pozostawić śladów swojej obecności.

Usłyszał plusk ołowianego ciężarka i po chwili od dziobu dobiegł go szept Dużego Daniela.

- Cztery sążnie.

Daniel sondował dno osobiście, nie chcąc powierzyć tego ważnego zadania nikomu innemu. Dno podnosiło się szybko. Pod łodzią przeszła spora fala, unosząc ich na swym grzbiecie. Hal żałował, że nie może posłużyć się światłem; słyszał już szum przyboju na plaży.

- Przygotować się, chłopcy - rzucił cicho do wioślarzy, a kiedy poczuł, że następna fala unosi rufę pinasy, rozkazał: - Postawić w dryf!

Łódź wspięła się na falę i skoczyła do przodu. Hal utrzymywał ją na grzbiecie fali drobnymi poruszeniami rumpla. Woda burzyła się wokół nich, ale pinasa sunęła gładko wśród piany i nagle wylądowała na piasku.

Trzech ludzi wskoczyło do głębokiej po pas wody i trzymając w górze pistolety, wydostało się na brzeg. Następnie Duży Daniel odprowadził łódź poza linię przyboju, gdzie oczekiwać miał ich powrotu.

Zatrzymali się za linią zasięgu przypływu.

- Aboli, zostaw tutaj race - powiedział Hal i Murzyn położył na ziemi ciężki pakunek owinięty w płótno. - Miejmy nadzieję, że nie będziemy z nich korzystać. Sprawdźmy teraz pistolety.

Rozległy się metaliczne trzaski i pstryknięcia. Aboli z Tomem podsypali suchego prochu na panewki swych pistoletów, gdyż było możliwe, że nieco zawilgły, gdy podpływali do brzegu w spienionym przyboju. Celowo nie zabrali ze sobą muszkietów, które były ciężkie, niewygodne do niesienia i niezbyt przydatne w nocy.

- Wszystko w porządku, Tom? - zapytał Hal, znów dręcząc się wątpliwościami z powodu zabrania syna na niebezpieczną wyprawę.

- W porządku - szepnął Tom.

Hal żałował już nieraz, że złożył przysięgę razem z nim. Jego syn powoływał się na ten fakt za każdym razem, kiedy próbował uchronić go przed niebezpieczeństwem. I teraz także nie mógł mu zabronić udziału w nocnej wycieczce. Usiłował uśmierzyć

284

niepokój konstatacją, że młode oczy Toma, widzącego w ciemności dużo lepiej niż on czy Aboli, mogą im się bardzo tej nocy przydać.

- Prowadź - polecił synowi.

Ruszyli gęsiego; Hal szedł w środku, a Aboli zamykał pochód. Teren był tu otwarty, bez zarośli i morskich traw, musieli jednak bardzo uważać, by iść dokładnie po śladach Toma. Koralewy piasek pokrywały bowiem gniazda morskich ptaków, i to tak gęsto, że ledwie znajdowali miejsce na postawienie nogi. Czarne upierzenie ptaków czyniło je dosłownie niewidzialnymi. Gdakały i skrzeczały gniewnie na przechodzących ludzi, ale ich głosy ginęły w ogólnym gwarze olbrzymiej kolonii. Niektóre dziobały idących w nagie kostki, boleśnie i aż do krwi, lecz na szczęście nie podnosiły wielkiego krzyku i cała trójka dotarła w końcu do palmowego gaju na końcu plaży.

Tom szedł teraz szybciej, trzymając się w cieniu palm, ale nie wchodząc głębiej w lasek. Po półgodzinie zatrzymał się i kiedy Hal się z nim zrównał, pokazał przed siebie:

- Tam jest zatoka. Widzę statki stojące na kotwicy, ale nie jestem pewien, który z nich to Minotaur.

Oczy Hala nie potrafiły przebić ciemności. Wazari jednak zapewnił go, że Minotaur stał w porcie zaledwie przed czterema dniami, a biorąc pod uwagę szkody wyrządzone mu przez Serapha, raczej nie był jeszcze zdolny do żeglugi.

- Wkrótce wszędzie księżyc - szepnął. - Będziemy mogli się upewnić. Na razie podprowadź nas bliżej.

Szli dalej pod palmami. Ziemia usłana była palmowymi liśćmi, trzeszczącymi sucho pod ich stopami, i musieli zdać się na Toma, który starał się, żeby robili jak najmniej hałasu. Hal zmarszczył nos, czując zapach jada gotowanego na ogniskach i inne mniej przyjemne wonie pirackiego obozowiska: odór gnijących rybich odpadków, śmieci i pomyj oraz odkrytych górak odchodów. W pewnej chwili przystanął, czując wyraźny smród rozkładających się ludzkich ciał. Zbyt wiele widział pól bitewnych, by go pomylić z jakimkolwiek innym. Od razu przypomniał mu się Dorian i musiał siłą pozbyć się myśli o tym, jaki bezbronny w rękach wroga jest jego syn. Poszli powoli dalej.

Między drzewami mignęło światło, a kiedy się znów zatrzymali, usłyszeli nikły pomruk wielu głosów. Ktoś zaczął intonować muzułmańską modlitwę, gdzieś rąbano drewno na

285

opał. Mieszało się z tymi odgłosami trzeszczenie i postukiwanie masztów i rei oraz brzęk kotwicznych łańcuchów w kluzach. Kiedy dotarli do skraju zagajnika, dostrzegli przed sobą ciemne zakole portowej zatoki.

- Tam stoi Minotaur - szepnął Tom. - Trudno go nie poznać.

Dla Hala był to jednak tylko ciemniejszy kształt w mroku.

- Zaraz powinien wejść księżyc - powiedział.

Usiedli wszyscy w oczekiwaniu.

I wreszcie się pokazał, promieniejąc srebrzyście i wydobywając z ciemności kształty statków. Hal dostrzegł reje Minotaura na tle rozgwieżdżonego nieba, a potem spostrzegł, że w zatoce stoją jeszcze trzy inne rejowe żaglowce, o czym wspominał Wazari. Wszystkie zostały zdobyte przez al-Aufa na Europejczykach.

- Tom, zostajesz tutaj - szepnął Hal.

- Ojcie... - zaprotestował chłopak.

- Bez dyskusji - rzucił Hal stanowczo. - Spisałeś się doskonale, ale teraz nie będziesz niepotrzebnie ryzykować. Zostaniesz tutaj, dopóki nie wrócimy.

- Ależ ojcie... - Tom był zrozpaczony. Hal zignorował jego błagania.

- Gdyby coś się stało, gdybyśmy zostali rozdzieleni, wracaj na brzeg i wezwij pinasę.

- A dokąd wy idziecie? - chciał wiedzieć Tom.

- Aboli i ja pójdziemy przyjrzeć się bliżej tym statkom. W niczym nam tam nie pomożesz.

- Chciałbym... - nie ustępował Tom, lecz Hal przerwał mu ostro.

- Dość tego! Spotkamy się w tym miejscu. Chodź, Aboli.

Obaj mężczyźni wstali cicho i po chwili zniknęli w mroku, zostawiając Toma samego na skraju lasku. Nie bał się, był zbyt wściekły. Oszukano go, potraktowano jak dzieciaka, chociaż już dowiedział tyle razy, że nim nie jest.

- Przecież złożyłem przysięgę - mruknął pod nosem. - Nie będę tutaj siedział, skoro mogę spróbować pomóc Dor-ry'emu. - Złamanie wyraźnego zakazu ojca wymagało jednak nie lada odwagi. W końcu Tom wstał niepewnie. - To mój obowiązek - upewnił sam siebie w podjętym postanowieniu.

Nie udał się śladami Hala i Abolego, lecz oddalił się od plaży w przeciwną stronę. Ojciec pokazał mu mapę wyspy i zrobione

286

przed pięćdziesięciu laty przez dziadka szkice fortu, orientował się więc w terenie całkiem nieźle.

Księżyc stał już ponad drzewami i Tom poruszał się szybko. Dostrzegł w oddali blade odbicie światła na murach i kiedy skierował się w tę stronę, trafił na prowadzącą do fortu ścieżkę. Czuł coraz silniejszy odór rozkładających się ludzkich ciał i kiedy w końcu wyszedł na leśną polanę, stanął jak wryty. Przed sobą miał pole pełne trupów. Na koślawych trójno-gich szubienicach wisiały ludzkie ciała, niesamowite i straszne w świetle księżyca. Przeszył go dreszcz zabobonnego przerażenia. Nie potrafił się zmusić do marszu pomiędzy zwłokami, zaczął więc okrażać polanę skrajem lasku. Miał szczęście, że to zrobił, bo gdy był w połowie drogi, od strony twierdzy nadeszła ścieżką grupa mężczyzn w burnusach. Gdyby nie ruszył skrajem lasu, wpadłby prosto na nich.

Kiedy przeszli, Tom, trzymając się cienia, dotarł w kilka minut pod grube mury, srebrzyste w świetle księżyca. Ochłonął już z gniewu i czuł się teraz całkiem samotny i bezbronny. Wiedział, że najlepiej byłoby przyznać się przed sobą, że postąpił głupio, i wrócić na miejsce spotkania, zanim ojciec odkryje, że go tam nie ma. Po chwili jednak obiecał sobie, że to nie potrwa długo, i pozbył się wątpliwości. Zaczął ostrożnie okrażać budowlę, aż znalazł się naprzeciwko głównej bramy. Wrota były otwarte, lecz w przejściu spostrzegł skulonych wartowników. Wyglądali na śpiących, ale nie mógł ryzykować podejścia bliżej.

Ukryty w mroku, zastanawiał się, co zrobić. W świetle pochodni płonących pod łukiem bramy drewniane wrota wyglądały na masywne i trudne do sforsowania. W końcu postanowił pójść po własnych śladach z powrotem. Od wschodniej strony koralowe bloki jaśniały wyraźnie w księżycowym świetle i Tom zauważył, że miejscami mur niszczeje, a część zewnętrznej okładziny wykruszyła się zupełnie. Mur atakowała dżungla; dzikie liany pięły się po nim jak monstrualne czarne pytony, a w spoiny bloków wdzierały się korzenie drzew.

Tomowi przyszedł do głowy szaleńczy pomysł przedostania się przez mur i poszukania Doriana w forcie. Rozważał go, gdy nagle usłyszał ciche kasznięcie. Schował się za pień palmy, próbując ustalić, skąd pochodzi ów odgłos. Po chwili dojrzał ponad szczytem muru sylwetkę mężczyzny w turbanie i domyślił się, że na blankach wystawione zostały warty. Gdy uzmysłowił sobie, jak bliski był wpakowania się w poważną kabałę, serce

287

aż podskoczyło mu w piersi. Skradając się ostrożnie, ruszył w stronę północno-zachodniego narożnika twierdzy.

Okrzywszy go, spostrzegł, że w górnej części muru znajdują się otwory strzelnicze, tak wąskie, że przecisnęłoby się przez nie chyba tylko dziecko. Większość z tych szpar była ciemna, z niektórych jednak wydobywało się przyćmione żółte światło lamp oliwnych. Musiały się tam znajdować pokoje albo cele.

Tom przyglądał się im w zadumie. Za którymś z tych okienek mógł być Dorian. Wyobraził sobie smutek i osamotnienie chłopca leżącego na wyrku w niewolniczej celi i przejęty głęboką miłością do brata, dzielił z nim te uczucia. Nagle, niemal mimo woli, usta Toma wydęły się i zaczął gwizdać pierwsze takty "Hiszpańskich dziewczyn".

Żegnajcie nam dziś, hiszpańskie dziewczyny, żegnajcie nam dziś, marzenia ze snów...

Zamarł bez ruchu i czekał na jakiś odzew. Niczego jednak nie usłyszał. Po chwili wstał i przeniósłszy się trochę dalej, znowu zagwizdał melodię i nasłuchiwał. Wtem zauważył kątem oka jakiś ruch. Za jednym z okienek ktoś poruszył lampą, zmienił się kąt padania cienia. Serce zabiło mu mocniej i podczołgał się bliżej. Miał już zagwizdać ponownie, gdy na tle poświaty pojawiła się w okienku ciemna

głowa. Ktoś wyjrzał na zewnątrz, lecz nie było widać jego twarzy. I nagle poniósł się w noc słodki głos:

Ku brzegom angielskim już ruszać nam pora, lecz kiedyś na pewno "wrócimy tu znów.

"Dorry!" - omal nie wrzasnął Tom; zdołał się jednak powstrzymać, zanim otworzył usta. Porzuciwszy osłonę zagajnika, podpełzł do muru i zobaczył poskręcana lianę, pnącą się po koralowych blokach w pobliżu okienka, w którym tkwiła głowa Doriana. Chwycił lianę i wypróbował jej wytrzymałość. Ręce trzęsły mu się z podniecenia, lecz liana była mocna i dobrze wczepiona w spoiny muru. Odpiął pas z kordem, położył go wraz z pistoletem na trawie i ruszył w górę.

Mięśnie miał zahartowane i przyzwyczajone do wysiłku na wantach, toteż wspinał się z małpią zwinnością. Znalazłszy się na poziomie okienka, wychylił się w jego stronę i szepnął:

288

- Dorry!

Odpowiedź padła natychmiast.

- Tom! Och, wiedziałem, że przyjdiesz! Wiedziałem, że dotrzymasz przysięgi!

- Cii, Dorry. Nie tak głośno. Czy możesz wyjść przez okno?

- Nie, przykuli mnie do ściany.

- Nie płacz, Dorry, bo cię usłyszą.

- Nie płaczę - chlipnął żałośnie Dorian, zasłaniając sobie usta obiema dłońmi.

- Czy ja bym się zmieścił w tym okienku? - zapytał Tom. - Mógłbym wejść i cię uwolnić.

- Nie wiem, Tom. Jest malutkie, a ty taki duży...

- A co mi tam, spróbuję.

Tom sięgnął ku odnodze liany, biegnącej w stronę okna. Ugięła się pod jego ciężarem, zdołał jednak ostrożnie dotrzeć do końca. Wciąż jeszcze był trzy stopy od otworu, wisząc dwadzieścia stóp nad ziemią. Puścił się jedną ręką i wyciągnął ją ku parapełowi okienka.

- Tom, uważaj!

Znalazł szczelinę w murze, dającą dobry uchwyt, i drugą ręką też puścił pnącze. Zawisł nad ziemią na prawej ręce, szukając gorączkowo zaczepienia dla lewej. Palcami stóp drapał koralową ścianę, lecz nie znajdowały oparcia.

- Tutaj! - Dorian wysunął przez okienko obie ręce. - Złap się mnie!

Tom z ulgą splótł ręce z dłońmi brata w marynarskim "małpim chwycie". Jego ciężar pociągnął mniejszego chłopca do przodu, tak że utkwiał barkami w wąskim otworze. Tom natychmiast zrozumiał, że skoro jest on za mały dla drobnego Dorian, to jego własne ramiona, szerokie i mocno umięśnione od pracy przy żaglach, w żaden sposób nie przecisną się przez okienko. Znalazł się w pułapce. Nie mógł wejść do środka, a liana wisiała trzy stopy od niego, niemal poza zasięgiem lewej ręki.

- Nic z tego, Dorry - wydyszał, z twarzą tuż przy twarzy brata. - Będziemy musieli przyjść po ciebie jeszcze raz.

- Nie zostawiaj mnie tutaj, Tom. - W głosie Dorian pojawiła się histeryczna nuta.

- Posłuchaj. Seraph stoi niedaleko wyspy; wszyscy tu są... ojciec, Aboli, Duży Daniel i ja. Wrócimy po ciebie bardzo szybko.

289

1

- Tom!

- Ciszej, Dorry! Przysięgam ci, że wrócimy. Tom usiłował dosięgnąć pnącza, lecz młodszy brat uczeplił się jego drugiej ręki.

- Nie zostawiaj mnie, Tom! - krzyknął rozpaczliwie.

- Puść, Dorry! Przecież spadnę!

Nagle z korony murów usłyszeli okrzyk po arabsku.

- Co tam się dzieje? Kto tam jest?

- To straż, Dorry! Puść mnie w tej chwili! - Tom podniósł głowę i ujrzał na tle rozgwieżdżonego nieba zarys dwóch sylwetek zwróconych w jego stronę. Wisiał rozciągnięty na ścianie, z jedną ręką niepewnie uczeploną liany, a drugą uwięzioną w uścisku brata. Spostrzegł, że jeden z mężczyzn ściąga z ramienia muszkiet i celuje wprost w niego. - Puszczaj, Dorry! - krzyknął i odepchnawszy

się obiema nogami od ściany, poleciał w tył dokładnie w chwili, gdy huknął strzał i z lufy muszkietu bluznął język ognia.

Kula świsnęła mu koło głowy, lecz leciał już jak kamień w dół, z żołądkiem podchodzącym do gardła, i po sekundzie runął na ziemię z siłą, która niemal go ogłuszyła. Uszło zeń całe powietrze i przez chwilę leżał nieruchomo, usiłując napełnić płuca.

Kolejny strzał wyrwał go z odrętwienia. Zerwał się na równe nogi, ze świstem wciągając powietrze. Chciał się z powrotem ukryć w lasku, lecz kiedy postawił na ziemi lewą nogę, przeszył go ból, jak po użądleniu przez gigantycznego szerszenia.

Zmusił się do biegu, nie zważając na ból. Chwycił po drodze z ziemi swój kord i pistolet i podskakując na jednej nodze, dotarł pod osłonę drzew. Słyszał rozdzierające krzyki Doriana, przenikliwe i nieskończenie smutne, w których wyraźnie rozpoznawał tylko swoje imię. Były dlań większą udręką niż obolała kostka.

Zanim zdążył pokonać sto jardów, krzyki i strzały obudziły już cały piracki garnizon. Tom przystanął, opierając się o pień drzewa, i zapinając pas, zastanawiał się gorączkowo, co robić dalej. Wiedział, że bez pomocy nie zdoła dotrzeć z powrotem do łodzi. Miał nadzieję, że ojciec i Aboli, zaalarmowani hałasem, będą próbowali go odszukać. W ciemności nocy wydawało się to płoną nadzieją.

Nie było mu jednak dane podjąć żadnej decyzji, nagle bowiem palmowy zagajnik zaroił się od ludzi. Pokrzykiwali do siebie

290

i co parę chwil podnosił się ogień z ich muszkietów, kiedy strzelali na oślep do leśnych cieni.

- Co to? Co się dzieje? - Nadbiegali też od strony plaży, odcinając Tomowi drogę odwrotu.

- To Frank, niewierny. Widziałem jego twarz.

- Gdzie jest?

- Ucieka w stronę zatoki.

- Skąd się tu wziął? Nie widziałem statku niewiernych.

Głosy zbliżały się, słyszał trzask gałęzi i tupot biegnących. Oderwał się od pnia i pokuśtykał naprzód. Nie przeszedł nawet pięćdziesięciu jardów, gdy niedaleko za jego plecami rozległ się okrzyk:

- Tam jest! Nie dajcie mu uciec!

Huknął strzał i Tom usłyszał, jak kula wbija się w pień palmy tuż za nim.

Postawił ranną nogę na ziemi i puścił się biegiem.

Ból i wysiłek były tak wielkie, że pot zalewał mu oczy, niemal go oślepiając.

Nie zatrzymywał się jednak, choć każdy krok był dlań udręką wybuchająca w głowie jaskrawymi rozbłyskami. Prześladowcy się zbliżali, widział już migoczące między drzewami białe burnusy.

Ominął kępę krzaków zbyt gęstą, żeby się przez nią przedrzeć, i kiedy znalazł się za nią, nagle coś chwyciło go od tyłu i powaliło na ziemię. Próbował uderzyć prześladowcę, ten jednak trzymał go za nadgarstki z żelazną siłą, wgniatając całym ciężarem w miękką ziemię.

- Tom - usłyszał głos ojca - nie walcz! Nie ruszaj się. - Poczul przypływ

ogromnej ulgi. - Jesteś ranny? - pytał natarczywie Hal. - Dlaczego kulejesz?

- Upadłem, chyba mam złamaną kostkę. Odgłosy pościgu były już bardzo blisko.

- Widzieliście go? - zawołał któryś z Arabów. - Którędy pobiegł?

- Chyba tamtędy - odkrzyknął inny. Byli coraz bliżej. Nagle rozległ się bas Abolego, ukrytego głębiej w kępie krzaków.

- Chłopak nie da rady uciekać. Ja ich odciągnę, to wam da szansę dotarcia do łodzi.

Murzyn wstał i skoczył w ciemność. Kiedy oddalił się od nich trochę, usłyszeli jego krzyki po arabsku:

- Tam jest! Biegnie na drugi koniec wyspy! Odetnijcie mu drogę!

291

> Wystrzelił z pistoletu i pomknął przez las. Natychmiast poniósł się za nim zgiełk głosów i wystrzałów.

- Tam pobiegł!

- Tędy, trzeba mu odciąć drogę!

Hal wcisnął twarz Toma w warstwę zeschniętych liści.

- Nie ruszaj się!

Mimo że kroki dudniły tuż przy jego głowie, chłopak nie podniósł jej. Usłyszał, jak pościg oddala się w stronę wschodniego brzegu wyspy, a okrzyki Abolego stopniowo cichną. W końcu wszystko się uspokoiło i Hal zwolnił uścisk na karku Toma.

- Która to noga? - zapytał głosem pozbawionym współczucia.

Tom usiadł, stękając z bólu.

- Ta.

Ojciec przesunął palcami po jego kostce.

- Opuściłeś swój posterunek - rzucił oskarżycielskim tonem. - Mogliśmy wszyscy zginać przez ciebie. Przez twoją ośłą głupotę Aboli jest teraz w wielkim niebezpieczeństwie.

- Bardzo mi przykro, ojcze. Po prostu musiałem to zrobić - wyjęczał Tom i dodał szybko: - Znalazłem Dorry'ego.

Dłoń Hala zamarła w bezruchu. Spojrzał na Toma z twarzą pobladłą od księżycowej poświaty.

- Gdzie on jest? - zapytał.

- W twierdzy. Rozmawiałem z nim przez okno.

- Mój Boże! - wyszeptał Hal, czując, jak opuszcza go gniew. - I co z nim?

- Jest bardzo przestraszony, ale nic złego mu nie zrobili. Przykuli go do ściany celi, w północno-zachodnim skrzydle. Hal zastanawiał się przez moment.

- W tej chwili nic nie możemy dla niego zrobić. Musimy wrócić na statek. -

Ścisnął mocno ramię Toma. - Dobrze się spisałeś, Tom, ale nigdy już nie okazuj mi nieposłuszeństwa. Kostka ci puchnie bardzo szybko, musimy wrócić na plażę. - Wstał i pomógł się podnieść Tomowi. - Oprzyj się na mnie. Idziemy.

Przedostanie się do południowego cypla wyspy zajęło im całą resztę krótkiej nocy. Mimo straszliwego bólu nogi, Tom zamartwiał się o Abolego. Zatrzymywali się co pół godziny i nasłuchiwali, czy się nie zbliżyła albo czy nie powraca pościg, lecz wokół panowała cisza.

292

Kiedy dotarli wreszcie do ptasiej kolonii na wybrzeżu, księżyc opadał już nad kontynent. Kostka Toma opuchła jak świński pęcherz i ojciec musiał go na wpół nieść, na wpół wlec po ziemi.

Rozdeptywali z trzaskiem ptasie jajka i wokół nich podniosła się czarna chmura skrzeczących wściekle stworzeń. Próbowały ich dziobać w głowy, lecz obaj mieli czapki.

- Zakryj oczy - rzucił Hal, odpędzając ptaki rękami. - Mają dzioby jak noże.

- Ludzie al-Aufa usłyszą ten rejwach z drugiego końca wyspy.

Wreszcie przez kakofonię ptasich głosów dobiegł do ich uszu poszum przyboju.

Dobrnęli do brzegu i Hal spostrzegł na piasku pakunek z racami.

- Dzięki ci, Panie - stęknął. Obaj byli niemal u kresu sił. Nagle wykrzyknął: - Uwaga! To zasadzka!

Z ciemności wychynęła ogromna czarna postać. Hal puścił Toma i dobył szpady.

- Czemu tak długo, Gundwane? Za godzinę świt - rozległ się z mroku głos Abolego.

- Aboli! Niechże cię bogi kochają!

- Pinasa czeka zaraz za liną przyboju - rzekł Murzyn, podnosząc Toma z ziemi, jakby był niemowlęciem. - Nie strzelaj racy; piraci mogą zauważyć. Żwawo, pora stąd zmykać.

Gwizdnął ostro i przeciągle, tylko raz, a z łodzi odpowiedział mu podobny gwizd.

Usłyszeli trzeszczenie wiosł w dulkach; Duży Daniel płynął, żeby ich zabrać.

Seraph sunął w stronę lądu w bezksiężycową noc. Od szczęśliwego powrotu Hala i Toma z wypadu na wyspę minęły dwie doby. Żaglowiec przebył w ciszy ostatnią milę i na rozkaz Hala sternik odwrócił go do wiatru, by stanąć w dryf. Hal podszedł do nawietrznego relingu i nasłuchiwał uważnie. Szum przyboju u brzegów Flor de la Mar był nikły, lecz łatwy do rozpoznania.

- Jesteśmy jakaś milę od wybrzeża - potwierdził jego przypuszczenie Ned Tyler.

- Spuścić łodzi - rozkazał kapitan Serapha. - Panie Tyler, zostawiam statek pod pańską komendą. Proszę trzymać tę pozycję i czekać na nasz sygnał.

- Rozkaz, kapitanie. I powodzenia, sir.

Wyciągnięto z ładowni łodzie i po kolei spuszczone na wodę.

293

Uzbrojeni marynarze posiadali do nich szybko i bez hałasu zajęli miejsca przy wiosłach.

Kiedy Hal jako ostatni podszedł do drabinki, czekał tam na niego Tom. Opierał się na drewnianej kuli, zrobionej dlań przez cieślę.

- Dałbym sobie odciąć tę przeklętą nogę, ojczy, gdybym tylko mógł dzięki temu pójść z tobą.

Chłopak ze złością stuknął kulą w pokład. Doktor Reynolds stwierdził, że chociaż kość nie została złamana, nie będzie mógł swobodnie chodzić przez wiele tygodni.

- Przydałoby się nam twoje silne ramię i bystre oko, Tom - odparł jego ojciec. Wybaczył już synowi niesubordynację, która ich wszystkich naraziła na takie niebezpieczeństwo.

- Znajdziesz Dorry'ego?

- Wiesz przecież, że zamierzamy zaatakować tylko statki. Po tamtej nocy Jangiri z pewnością się domyślił, że krążymy gdzieś w pobliżu, i jego ludzie muszą być w stałym pogotowiu. Bez przewagi, jaką dałoby nam zaskoczenie, nie mamy szans na zdobycie fortu.

- Ojczy, sama myśl o tym, co oni mogą robić z Dorrym, doprowadza mnie do szaleństwa.

- I nas wszystkich też, ale jeżeli uda nam się zniszczyć statki al-Aufa, zamkniemy go na wyspie jak w pułapce. Wtedy poczekamy na Yeomana i razem z ludźmi kapitana Andersena zaatakujemy twierdzę. Do tego czasu musimy uzbroić się w cierpliwość.

- Modlę się do Boga, żeby Yeoman wrócił jak najprędzej.

- Módl się, synu. To jeszcze nikomu nie zaszkodziło. A my tymczasem wzmocnimy siłę twoich modlitw odrobiną stali i prochu - rzekł Hal ponuro i zszedł do pinasy.

Odbili od burt Serapha; łódź Hala prowadziła. Duży Daniel dowodził drugą pinasą, a dwoma mniejszymi barkasami Alf Wilson. Za ich plecami wielki statek nabierał wiatru w skrócone żagle, przygotowując się do długiego krążenia w oczekiwaniu na ich powrót.

Sunęli w stronę wyspy. Dulki łodzi zostały wyciszone i wszystkie załogi przestrzegały ściśle nakazu całkowitego milczenia. Hal nawigował z pomocą kompasu, co pewien czas przerywając wiosłowanie, żeby posłuchać przyboju. Za każdym razem szum był wyraźniejszy i w końcu marynarz stojący na dziobie pokazał przed siebie. Hal skoczył na równe nogi i gołym okiem dostrzegł

294

blaski ognisk płonących w obozowisku u stóp twierdzy. Zrozumiał, że prąd zniósł ich ku południowi. Kazał natychmiast zmienić kurs, by powrócić naprzeciwko wejścia do skrytej za rafami zatoczki.

Napięcie panujące wśród załogi było niemal namacalne. Dla zaprawionych w bojach marynarzy uprowadzenie statku wroga ze strzeżonego portu miało w sobie szczególnie uwodzicielską moc. Wkładanie głowy do paszczy lwa stanowiło specjalność Anglików, wynalazek żeglarzy, takich jak: Drake, Frobisher i Hawkins.

Halowi wystarczyło ludzi na obsadzenie tylko dwóch z zauważonych w zatoce żaglowców. Razem z Abolim przyjrzał się im dokładnie z plaży i w świetle księżyca dokonali wyboru. Najważniejszy był oczywiście Minotaur. Chociaż korsarze bardzo go zaniedbali, a potem odniósł poważne obrażenia w krótkiej potyczce z Seraphem, był to wciąż statek o wielkiej wartości - według szacunków Hala w Londynie wyceniono by go na dziesięć tysięcy funtów. Nie wiedział, czy w ładowniach statku pozostał jeszcze jakiś towar, ale i to było możliwe.

Drugim z wybranych statków był Holender, najpewniej zrabowany VOC. Zbudowany w stylu charakterystycznym dla stoczni rotterdamkiej, o przysadzistym dnie, wart był prawdopodobnie tyle samo co Minotaur. Gdyby udało się je oba wykraść, zarobili by dwadzieścia tysięcy w jedną noc.

Hal nachylił się do najbliższego z wiosłarzy i powiedział półgłosem do jego ucha:

- Jeśli się nam powiedzie, każdy zarobi po dwadzieścia funtów. Podaj dalej.

Marynarz zarechotał radośnie i odwrócił się na ławeczce, by przekazać informacje towarzyszom.

Nic tak nie pobudza krwiożerczości angielskiego marynarza jak zapach złota, pomyślał Hal, uśmiechając się pod wąsem w ciemności. Żałował tylko, że nie da rady wyprowadzić pozostałych dwóch żaglowców. Jeszcze dwa rejowce i kilkanaście dhow najróżniejszej wielkości, a mieliby sakiewki wypełnione aż miło; będą jednak musieli zadowolić się widokiem dymu z ich pożarów.

Kiedy znaleźli się w pobliżu przesmyku w rafach, łodzie ustawiły się gęsiego. Za chwilę cała wyprawa mogła się zakończyć katastrofą, jeszcze nim się na dobre rozpoczęła. Musiał ich wszystkich przeprowadzić, kierując się tylko mapą ojca i swoim marynarskim instynktem.

295

Stał na ławce i wyciągnął szyję. Przyjrzał się uważnie linii przyboju, tłukącego o poszarpane, mordercze zęby rafy, starając się dostrzec ciemniejszą plamę głębszej wody u wejścia do przesmyku.

- Rzucić sondę - rozkazał i usłyszał plusk ołowianego ciężarka, rzucanego z dziobu.

- Nie ma gruntu - dobiegł go po chwili stłumiony okrzyk marynarza.

Dno jeszcze nie zaczęło się podnosić. Nagle od dziobu znów posłyszał cichy okrzyk i spojrzał przed siebie. Zobaczył duży dhow, sunący kanałem w ich kierunku, z trójkątnym żaglem jaśniejącym w świetle księżyca. Długi kilwater łodzi lśnił za rufą, a jej kurs musiał się nieuchronnie przeciąć z kursem pierwszej pinasy.

Przez moment czuł przemożną pokusę zaatakowania stateczku. Dhow był dość duży i z całą pewnością wyładowany po brzegi kradzionym towarem kupionym od al-Aufa. Zaskoczony i bezbronny, mógł zostać opanowany w ciągu zaledwie minut i wystarcząoby pięciu ludzi, żeby go odprowadzić do Serapha.

Zawahał się jednak. Jeśliby wszystko poszło gładko, to w marynarskich sakiewkach przybyłoby złota. Jeżeli napotkają opór i dojdzie do walki, może to zaalarmować piratów w forcie.

Miał tylko kilka sekund na podjęcie decyzji. Spojrzawszy poza zbliżający się dhow, dostrzegł w zatoce nagie maszty Minotaura, sterczące dumnie w nocne niebo. Lepiej ich przepuszczę, podjął brzemienną w skutki decyzję i wydał rozkaz załodze:

- Zatrzymać łódź.

Marynarze przestali wiosłować i ciągnąc wiosła po powierzchni, wyhamowali pęd łodzi, aż legła cicho w ciemnych wodach. Pozostałe poszły za jej przykładem.

Dhow pokonał ostatni zakręt przesmyku i zaczął ich mijać, nie niepokoiony przez nikogo. Czujka na dziobie zauważyła pinasę i pozdrowiła ich po arabsku.

- Co to za łódź?

- Rybacy z nocnym połowem. - Hal zniżył głos, żeby nie usłyszano go na brzegu. - A wy?

- Dhow księcia Abd Muhammada al-Malika.

- Płynicie z Allahem! - zawołał Hal za statkiem, który odchodził już ku zachodowi i niedługo zniknął im z oczu na ciemnej równinie morza. - Odbijać! - rzucił i długie wiosła

296

zaczęły pracować równym rytmem, unosząc się i opadając, i ociekając wodą z piór. Sterował prosto w miejsce, z którego wypłynął arabski stateczek.

- Dziesięć sążni. - Sonda sięgnęła dna. Mapa sir Francisza znów okazała się dokładna, o czym świadczyło zresztą przejście dhow. Popłynęli między skałami, mając po obu stronach rozbijające się o rafę fale.

- Pięć sążni. - Byli już w gardzieli przesmyku.

- Rzucić pierwszą boję - rozkazał Hal. Marynarz na dziobie wyrzucił za burtę linę z ciężarkiem, na której drugim końcu przywiązano pomalowaną na biało beczkę. Hal zobaczył, jak podskakuje na falach za rufą łodzi. Będzie dla niego znakiem, gdy poprowadzi tędy Minotaura. Odwrócił się i zerknął z ukosa na mury twierdzy, bielejące w księżycowej poświacie, łącząc je w myśli linią z ostrogą rafy. - Teraz - mruknął pod nosem i skierował pinasę w ostry zakręt. Inne łodzie podażyły jego śladem.

- Cztery sążnie.

- Za blisko skał. - Hal skorygował kurs, by trzymać się dokładnie środka kanału. Nagle usłyszał znów zatrwożony głos marynarza na dziobie.

- Dwa sążnie!

Ujrzał na wprost przed łodzią ciemny zarys rafy, czyhającej na nich niczym jakiś potwór. Skręcił raptownie rumpel, w ostatniej chwili omijając niebezpieczną przeszkodę. Niemal przegapił wejście do zatoki!

- Siedem sążni! - W głosie marynarza czuło się ulgę.

Przeszli przez paszczę rafy i znaleźli się na otwartych wodach laguny, gdzie stały niczego się nie spodziewające nieprzyjacielskie statki.

- Rzucić drugą boję - zawołał cicho Hal i biała baryłka wyładowała na środku wejścia do kanału. Obejrzał się przez ramię. Pozostałe łodzie płynęły za nim, rozchodząc się wachlarzem.

Każdej przydzielił konkretne zadanie. On sam miał opanować Minotaura. Duży Daniel z załogą następnej pinasy mieli się zająć holenderskim żaglowcem, a marynarze z barkasów powinni zaatakować i spalić pozostałe statki i łodzie w porcie. Skierował się ku wielkiemu wschodnioindyjczykowi, zakotwiczonemu w najgłębszym miejscu, dokładnie naprzeciwko twierdzy.

297

Zaraz się przekonamy, jaką ma czujną wartość, pomyślał, oczekując lada chwila wszczęcia na statku alarmu. Minotaur stał jednak cichy i ciemny. Dopłynęli bez przeszkód pod jego rufę.

Aboli pierwszy wspiał się na pokład. Trzymając w ręku topór o dwóch ostrzach, zeskoczył z okrężnicy niemal bezgłośnie i pobiegł przed siebie. W połowie pokładu ujrzał wartownika gramolącego się niepewnie na nogi w miejscu, gdzie zasnął pod burta. Arab, otrząsając się ze snu, zakrzyknął:

- Ktoś ty? Nie znam cię! - sięgnął po muszkiet, oparty o burte.

- Idź z Bogiem - powiedział Aboli i zamachnął się półkoliście toporem.

Trafił pirata w środek szyi, przecinając ją gładko. Odcięta głowaoczyła się po piersi na pokład, a korpus stał jeszcze przez chwilę prosto, po czym runął na wznak. Z płuc zabitego uszło powietrze, wyrzucając z otwartej krtani krwawą pianę.

Aboli przeskoczył trupa i kilkoma długimi susami dopadł do łańcucha kotwicznego, mocno naprężonego w kluzie. Obejrzał się przez ramię. Hal już stał przy sterze. Reszta niewielkiej obsady Minotaura została wyeliminowana bez hałasu; zwłoki w długich burnusach leżały na pokładzie. Marynarze Serapha wspinali się już po wantach i obsadzali reje. Minotaur, zbudowany w tej samej stoczni co Seraph, miał niemal identyczny takielunek i załoga radziła sobie z nim bez trudu.

Kiedy grotżagiel rozwinął się niczym skrzydła motyla uwolnionego z poczwarki, Aboli zamachnął się toporem obiema rękami i jednym szybkim uderzeniem rozrąbał łańcuch, który pękł z głośnym brzdękiem.

Nocna bryza pchnęła dziób Minotaura ku zawietrznej, po chwili jednak ster i rozpościerające się kolejne żagle skorygowały jego ustawienie. Hal przekręcił koło sterowe całkiem ku prawej burcie i statek poddał się wiatrowi miękko jak kochanka.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na rozejrzenie się po zatoce. Na pokładzie holenderskiego żaglowca jeszcze walczone, słychać było nikły szczech marynarskich kordów o zakrzywione ostrza bułatów; rozległ się słaby krzyk człowieka trafionego prosto w serce. A potem zaczęły się rozwijać żagle i statek odwrócił się ku wyjściu z zatoki.

W tej samej chwili Hal ujrzał rozbłysk światła, które przybierało na sile, aż objęło cały pokład Minotaura. Widział wyraźnie twarz Abolego, śpieszącego pokładem w stronę steru. Odwrócił

298

się i zobaczył, że żaglowiec najbliżej nich stoi w ogniu. Ludzie Alfa Wilsona wdarli się na jego pokład, wyrznięli w pień załogę i podpalili ładownię i takielunek nasączonymi smołą pochodniami.

Płomienie objęły już kadłub i maszty. Ogień wspinał się po linach, jakby to były lonty, znacząc ciemne niebo pomarańczowymi smugami. Dotarłszy do zwiniętych na rejach żagli, wybuchnął potężną ścianą falującego światła, wyższą od palm na plaży.

Ludzie Alfa przeskoczyli z powrotem do barkasu i powiosłowali co sił do następnego statku. Ujrawszy ich, arabska załoga zrezygnowała od razu z oporu. Piraci posłali w ich stronę kilka nie mierzonych strzałów z muszkietów, a potem porzucili broń i wyskoczywszy za burtę, popłynęli do brzegu. W płomieniach stawały kolejne łodzie, aż na kotwiczowisku zrobiło się jasno jak w dzień. Światła i cienie igrały na murach fortu i w końcu odezwała się z blanek pierwsza kolubryna. Hal nie zauważył, gdzie padła kula, zajęty był bowiem obracaniem Minotaura i kierowaniem go do wylotu kanału. W świetle płomieni widział wyraźnie boję znaczącą wejście; było tak jasno, że dostrzegał nawet zarys rafy pod wodą.

- Do zwrotu przez sztag! - ryknął i rozpoczął delikatny manewr przeprowadzania statku przez ciasny przesmyk.

Nie było tutaj miejsca na pomyłkę. Jeden fałszywy ruch i mogli wylądować na plaży albo roztrzaskać się o koralowe skały. Holowana za statkiem pinasa dodatkowo utrudniała zadanie. Musiał o niej pamiętać szczególnie na zakręcie. Minotaur sunął prosto ku twierdzy. W świetle ognia widać było arabskich kanonierów, uwijających się przy działach. Dwa z nich zdażyły wystrzelić, zanim minęli boję, i nagle na powierzchni grotżagla pojawił się wyraźny okrągły otwór. Hal uświadomił sobie, że Arabowie w ogóle nie celują; wszystkie pociski leciały za wysoko. Obejrzał się przez ramię. Holenderski żaglowiec pod Dużym Danielem płynął zaledwie kabel za nimi, także holując pinasę. Nie chcieli pozostawić wrogowi choćby nagrody pocieszenia.

Tymczasem w głębi zatoki barkasy skończyły już dzieło zniszczenia: wszystkie nieprzyjacielskie łodzie stały w ogniu. Na jednym z większych żaglowców przepaliła się lina kotwiczna i dryfował ku plaży niczym ruchome ognisko. Po chwili ogień dosięgnął magazynu prochu i statek z ogłuszającym hukem

299

wyleciał w powietrze. Jego grotmaszt, ciśnięty siłą wybuchu w powietrze jak oszczep, spadł na jeden z mniejszych dhow i przebił jego pokład, wyrwijac dno. Łódź stanęła dęba i natychmiast poszła pod wodę. Podmuch eksplozji przewrócił dwa najbliższe dhow, a wzbudzona przezeń fala popędziła przez kotwiczowisko. Hal szukał wzrokiem obu barkasów, obawiając się, żeby one także nie ucierpiały od wybuchu. Spostrzegł je wreszcie; podskakiwały na wzburzonych wodach zatoki, lecz ich załoga pracowała szaleńczo wiosłami i sunęły szybko w ślad za Minoturem. Mógł teraz skupić całą uwagę na przeprowadzeniu statku przez kanał. Zostawiwszy boję z prawej burty, wpłynął w gardziel przesmyku, mijając z bliska baterie dział na murach twierdzy. Miał trochę czasu do wejścia w zakręt i zadarł głowę do góry, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Część kanonierów uświadomiła sobie swój błąd i opuszczali teraz lufy kolubryn mocno w dół, aż napinały się podtrzymujące je popręgi.

- Przygotować się! - rozkazał swej niewielkiej załodze. Każdy z marynarzy musiał wykonywać pracę za trzech, lecz gdy obrócił sterem i zakrzyknął: - Do zwrotu! - przyskoczyli do żagla z ochotą. Minotaur zakręcił zgrabnie, sunąc pomiędzy groźnie sterczącymi ramionami rafy, czyhającymi z obu stron, by go pochwycić. Hal obejrzał się za siebie. Duży Daniel szedł dokładnie po kilwaterze Minotaura i pokonał zakręt równie gładko jak on. - Dzielny chłopak! - pochwalił go mruknięciem.

Działa na murach twierdzy grzmiały teraz wściekle. Za statkiem kłębił się gęsty dym, przecinany błyskami wystrzałów. Arabowie celowali niżej i w pewnej chwili kula wzbiła fontannę wody pod sklepieniem rufy Minotaura.

Hal zaśmiał się złośliwie. Po wzięciu zakrętu statek oddalał się od twierdzy w linii prostej i pociski padały teraz za nisko. Zanim kanonierzy to zrozumieją, upłynie znowu trochę czasu, a wtedy powinni już wyjść z kanału i znaleźć się na otwartym morzu.

- Przygotować się do zwrotu! - krzyknął ponownie, ujrawszy pierwszą boję, tańczącą w świetle płomieni dokładnie przed dziobem.

Jeden z marynarzy przebiegał blisko niego, śpiesząc na stanowisko przy żaglu. Kiedy mijał Hala, przypadkowa kula

300

z fortu dosięgła statku. Podmuch powietrza nieomal zwalił Hala z nóg i musiał się obiema rękami przytrzymać koła sterowego. Kamienna kula, ciągnąca za sobą

gryząca woń prochu, który nadał jej pęd, trafiła marynarza w plecy. Jego ciało zostało rozerwane na strzępy, a z roztrzaskanej czaszki chlusnął Halowi prosto w twarz ciepły jak budyń mózg nieszczęśnika. Hal zakrzuszył się i odskoczył z obrzydzeniem do tyłu, tracąc orientację. Na chwilę przestał panować nad sterem i niewiele brakowało, by źle wykonał zwrot. Natychmiast jednak zebrał się w sobie i starszy rękawem z twarzy złotawą masę, krzyknął, czując na ustach ohydny smak:

- Puścić żagle!

Zakręcił mocno sterem i Minotaur, o włos minawszy rafę, wyskoczył na otwarte wody, witając uniesieniem dzioba pierwszą dużą falę. Mając już skały za sobą, Hal spojrzał z niepokojem za rufę, by sprawdzić, jak poradził sobie Duży Daniel. Okazało się, że dużo zgrabniej od niego. Holenderski żaglowiec obrócił swój przysadzisty tyłek, pochylił się nieco pod uderzeniem wiatru i ze spokojną godnością matrony podążającej za swą płochą i zwinniejszą córką wytoczył się śladem Minotaur a na głębie otwartego morza.

- Przeszliśmy - rzekł z ulgą Hal do siebie i zaraz podniósł głos w triumfalnym okrzyku: - Udało się, chłopcy! Krzyknijcież na wiwat!

Pohukiwali i ryczeli radośnie jak bawoły, a z holendra odpowiedziały im podobne wiwaty. Wioślarze na barkasach zaczęli podskakiwać i tańczyć na ławeczkach z takim animuszem, że omal nie wyrócili łodzi. Towarzyszyły im pełne rezygnacji stęknienia kolubryn twierdzy i odblask pożaru, słabnący w miarę, jak oddalali się na spotkanie Serapha.

O świcie eskadra statków Hala została postawiona w dryf pod żaglami dziesięć mil na południowy zachód od Flor de la Mar. Gdy ponad horyzontem pokazał się rąbek słońca, Hal wyszedł na pokład, zmieniawszy tylko koszulę i przełknawszy w pośpiechu parę kęsów śniadania.

W blasku jutrzzenki zniszczenia Minotaura ukazywały się bardzo wyraźnie. Statek był wyeksploatowany i zapuszczony, żagle miał wypłowiałe i postrzępione, kadłub brudny i potrzaskany. Stał na wodzie wysoki i lekki, ładownie bowiem miał

301
zupełnie puste. Magazyn amunicji był jednak wypełniony po brzegi, a baryłki z prochem wyglądały na dobrze zabezpieczone. Zapas ten miał im się bardzo przydać przy ostatecznym ataku na twierdzę Jangiriego.

Pomimo opłakanego wyglądu angielskiemu żaglowcowi można było przy niewielkim wkładzie pracy przywrócić dawną świetność, toteż Hal nie zmienił opinii co do jego wartości. W dalszym ciągu szacował ją na dziesięć tysięcy funtów, a jego osobisty udział miał wynieść trzy tysiące. Uśmiechnął się z zadowoleniem i przesunął oko lunety na drugi z łupów zdobytych ubiegłej nocy.

Nie było wątpliwości, że jest to jednostka VOC. Odczytał nazwę wypisaną na belce dziobowej złotymi literami: Die Lam. Po angielsku Lamb, czyli "Baranek". Hal uznał, że odpowiada ona wyglądowi statku. Prezentował się poczciwie i przyćmiewane, lecz jego solidna, fachowo wykonana konstrukcja cieszyła marynarskie oko. Wyglądał na nowo zbudowany i znajdował się w rękach korsarzy na tyle krótko, że nie zdążyli go zdewastować. Ładowni jeszcze nie otworzyli, ale głębokie zanurzenie statku wskazywało, że wiezione przezeń towary wciąż znajdowały się na swoim miejscu.

- Proszę spuścić barkas, panie Tyler - rzekł Hal, zamykając lunetę. - Zamierzam odwiedzić pana Fishera na Lambie i przekonać się, co też za łup nam się dostał. Duży Daniel powitał go na pokładzie holendra szerokim, bezzębny uśmiechem.

- Gratulacje, kapitanie. To istna ślicznotka.

- To ja gratuluje, panie Fisher. Spisałeś się ze swymi zbójami tak, że lepiej nie można. - Uśmiechnął się do marynarzy otaczających ciasnym kręgiem bosmana. - Kiedy zejdziecie na ląd w Plymouth, wasze sakiewki będą pękać od złota. - Powitali to stwierdzenie radosnymi okrzykami. - Ilu z twoich odważnych chłopaków zginęło? - zapytał Hal, zniżając głos jak zwykle, kiedy mówiło się o śmierci.

- Ani jeden, chwalić Boga - odparł głośno Duży Daniel. - Ale młodemu Peterowi odstrzelili palec. Pokaż kapitanowi, chłopcze.

Żeglarz uniósł kikut, owinięty zakrwawionym gałganem.

- Dorzucę złotą gwineę do twojej działki - obiecał mu Hal - żeby złagodzić ból.

- Za taką cenę oddałbym chętnie cztery pozostałe, kapita-

302

nie - powiedział marynarz i wszyscy wrócili na swoje stanowiska, zarykując się ze śmiechu.

Duży Daniel poprowadził Hala do fokmasztu.

- Znaleźliśmy ich zakutych w łańcuchy - powiedział, wskazując zbitych w gromadkę ludzi w obdartych łachmanach. - Tylu ich /ostało z holenderskiej załogi: dwudziestu trzech ślicznych serojadków. Wszyscy mieli być sprzedani jako niewolnicy.

Hal przyjrzał im się szybko. Byli wychudzeni, lecz nie wycieńczeni, i pomimo śladów kajdan na przegubach i kostkach oraz pręg na plecach od uderzeń arabskiego bicia kiboko wyglądali dość zdrowo. Podobnie jak ich statek, nie przebywali w niewoli dość długo, żeby poważnie ucierpieć.

- To wasz szczęśliwy dzień, Jongens - powitał ich po holendersku. - Jesteście znowu wolnymi ludźmi. - Twarze Holendrów się rozjaśniły. Hal nie posiadał się z radości. Potrzebował teraz każdej dodatkowej pary rąk do obsługi dwóch zdobycznych żaglowców. - Czy zaciągniecie się do mnie na resztę rejsu? Płacę gwineę miesięcznie plus udział w łupach. - Ich szerokie uśmiechy mówiły same za siebie; zyskał dwudziestu trzech nowych marynarzy. - Czy są wśród was oficerowie? - zapytał.

- Nie, Mijner - odparł najśmielszy z nich, - Kapitana van Orde i wszystkich oficerów zamordowała ta pogańska hołota. Ja byłem sternikiem.

- Zatrzymasz swój stopień - powiedział Hal. - Wszyscy ci ludzie są teraz pod twoją komendą. - Pozostawiając ich w zwartej grupie, nie musiał się przejmować kwestią języka. Duży Daniel zaś nauczył się holenderskiego w ciągu trzech lat niewoli na Przylądku Dobrej Nadziei.

- To twoje baranki, panie Fisher - zwrócił się więc do niego. - Niech postawią znaczki na liście załogowej i proszę im wydać czyste odzienie z magazynu. - Przekonajmy się teraz, co nam się trafiło. - Ruszył do trapu prowadzącego pod pokład.

Kajuta kapitana została splądrowana przez piratów; jego biurko stało otworem, z wyłamanymi szufladami. Korsarze zrabowali wszystko, co wartościowe, a podłogę zaścielały podarte książki i papiery. Część nadawała się jeszcze do odczytania i Halowi udało się odzyskać z tej sterty śmieci dziennik pokładowy i manifest statku. Spojrzawszy nań, wydał przeciągły gwizd zaskoczenia i satysfakcji.

303

- Na Boga, jeśli to wszystko jeszcze jest w ładowni, to mamy w rękach prawdziwe skarby. - Chciał już pokazać manifest Dużemu Danielowi, przypomniał sobie jednak, że bosman nie umie czytać i jest drażliwy na tym punkcie. - Herbata z Chin, panie Fisher - przeczytał więc na głos. - Jest tego tyle, że można by zasypać wszystkie herbaciarnie w Londynie. - Roześmiał się na wspomnienie napisu, jaki widział nad jednym z takich przybytków w stolicy: "Onże Doskonały i przez Dochtorów zalecany Napitek Herbata z Chin".

- Czy to coś warte, kapitanie? - Duży Daniel wyglądał na przybitego informacją.

- Warte? - parsknął śmiechem Hal. - Najpewniej więcej niż sztaby srebra o tej samej wadze, Danny. - Przebiegł wzrokiem dokument, szukając podsumowania. - Dla ścisłości powiem ci, że zapłacono za tę herbatę dokładnie dwadzieścia trzy tysiące sześćset dziewięćdziesiąt dwa guldeny na kei w Dżakarcie. W Londynie dostaniemy dwa razy tyle. W zaokrągleniu jakieś trzydzieści tysięcy gwinei. Więcej niż za sam statek.

W południe Hal wezwał wszystkich oficerów do swej kajuty na rufie, by wydać im nowe dyspozycje.

- Będziemy musieli pracować do granic wytrzymałości, żeby przy tej obsadzie żeglować na trzech statkach - oznajmił, gdy zgromadzili się wokół stołu. - Minotaura i Lamba wysyłam ze szczątkowymi załogami na Glorietty, gdzie spotkają się z Yeomanem. Pan Fisher poprowadzi Lamba i obejmie komendę nad konwojem. - Skinął głową Dużemu Danielowi, myśląc jednocześnie: na Boga, ależ mi go będzie brakowało. - Panie Wilson, pan obejmie Minotaura. - Alf Wilson potwierdził skinieniem ciemnej jak u Cygana głowy. - Wielka Glorietta leży dwieście trzydzieści mil morskich stąd ku południowi. To nie tak daleko. Na południowym krańcu wyspy można bezpiecznie rzucić kotwicę, jest tam też potok ze słodką wodą. Zostawię na Minotaurze cieśli, aby dokonali niezbędnych napraw. Chcę, żeby w pełni odzyskał swoją poprzednią dzielność. To najważniejsza sprawa, Danielu.

- Tak jest, kapitanie.

- Wedle moich obliczeń Yeoman powinien stawić się na spotkanie w ciągu trzech tygodni, licząc od dzisiejszego dnia. Gdy tylko przybędzie, zostawicie Lamba z niewielką załogą na

304

Glorietcie, a Minotaur i kapitan Andersen niech wróca tutaj, żebyśmy mogli ostatecznie rozprawić się z piratami.

- Rozumiem, sir - odparł Duży Daniel. - Kiedy mamy wyruszyć?

- Jak tylko będziecie gotowi, panie Fisher. Kto wie, czy kapitan Anderson już tam nie czeka na nas. Dorian jest w niewoli na Flor de la Mar i szkoda każdego dnia. Ja zostanę tutaj, żeby blokować al-Aufa na wyspie.

Stojąc samotnie na kwarterdeku Serapha w czerwonych blaskach zachodu, Hal obserwował, jak Minotaur z Lambem podnoszą kotwice i odpływają na południe. Kiedy sylwetki dwóch żaglowców zmały w oddali i pochłonęły je w końcu cienie zapadającego zmierzchu, Hal wydał rozkaz przeprowadzenia Serapha z powrotem na stanowisko u brzegów Flor de la Mar.

W pierwszych promieniach jutrzeńki predefilowali przed wejściem do przesmyku, poza zasięgiem kolubryn z twierdzy. Ich celem było ostrzeżenie al-Aufa, że został zablokowany, a także dokładniejsze przyjrzenie się samej wyspie. Przez lunetę widać było wyraźnie zamieszanie w pirackim obozowisku. Większość Arabów porzuciła swoje chatki i szałas, sklecone naprędce wśród palm, i schroniła się za murami fortu. Wielkie drewniane wrota twierdzy zamknięto, zanim wszyscy zdążyli przez nie przejść. Pozostawieni na zewnątrz łomotali w bramę pięściami i kolbami muszkietów. Hal z satysfakcją stwierdził, że zupełnie brak im dyscypliny. Niedostatki wykształcenia objawiły się zresztą po chwili w ich nieudolnym obchodzeniu się z działami.

Ponad krawędzią muru widział głowy w turbanach, śpieszące ku kołubrynom. Huknął pierwszy strzał i kula wpadła do morza w połowie odległości między Seraphem i brzegiem. Skoczyła kilka razy po powierzchni i poszła na dno, mniej więcej pół kabla od żaglowca.

Potem dołączyła się reszta baterii i wkrótce mury twierdzy spowite były gęstym dymem, a między statkiem i wyspą wyrastały niczym dziwny las fontanny wody. Hal przecenił siłę pirackich armat, gdyż Seraph pozostawał sporo poza ich zasięgiem. Skupił teraz uwagę na zatoce. Nie stał tam ani jeden statek; nie widział nawet najmniejszego rybackiego dhow. Nocny atak wytrzebił je do cna. Powierzchnię wody i plażę do linii przy-

305

plywu zaścielały zwęglone szczątki wraków. Kadłub trójmasz-towca, wywrócony na bok i ze spalonymi masztami, także spoczywał wysoko na piasku.

- Już nigdy nie popłynię - skonstatował z satysfakcją Ned Tyler. - Uwięziliśmy szczura w jego norze, kapitanie.

- Musimy go stamtąd wykurzyć - rzekł Hal. - Niech Tom tu przyjdzie.

Chłopak ześliznął się po baksztagu fokmasztu i przykuśtykał do ojca. Dochodził do zdrowia szybciej, niż przewidywał to doktor Reynolds. Hal przyglądał mu się bacznie, gdy szedł po pokładzie. Tom przewyższał już wzrostem większość marynarzy na statku, miał szerokie bary i silne ręce szermierza. Jego włosy nie widziały nożyczek, odkąd wyszli z Plymouth, i wisiały związane w gruby koński ogon na plecach, ciemne i kędzierzawe. Hal niedawno sprezentował mu brzytwę, toteż jego policzki były gładkie i ciemne od opalenizny. Miał nos Courtneyów i ich bystre, zielone oczy. Udany chłopak, musiał przyznać w duchu Hal. Po utracie Doriana jego ojcowskie uczucia jeszcze przybrały na sile i musiał powstrzymać przypływ sentymentu, który go nagle ogarnął na widok starszego syna.

Wręczył Tomowi lunetę i polecił gburowato:

- Pokaż mi dokładnie, w którym miejscu wszedłeś na mur i gdzie jest okienko Dorianiana.

Obaj spojrzeli ponad wodą ku wyspie. Ostrzał artyleryjski wciąż trwał i gęsta chmura armatniego dymu opierała się nawet silnym podmuchom monsunu.

- Północno-zachodni narożnik - pokazał ręką Tom. - Widzisz te trzy wyższe palmy, ojczcze? Dokładnie naprzeciwko nich jest szczyrba w murze, z której wyrastają krzaki. Pierwsze okienko na lewo od nich. Tak mi się zdaje, chociaż całkowitej pewności nie mam.

Hal wziął od niego lunetę i przyjrzał się przez nią fortyfikacjom. Wschodzące słońce padało ukośnie na mury twierdzy i szpary strzelniczych okienek kontrastowały ostro z bielą koralu. Odnalazł okienko, o którym mówił Tom, i nagle ogarnęło go niemal obezwładniające poczucie straszliwej straty.

- Gdybyś mi pozwolił wyprawić się jeszcze raz na wyspę, z Abolim i kilkoma ludźmi... - zaczął z zapałem Tom, lecz Hal przerwał mu, kręcąc stanowczo głową.

- Nie ma mowy, Tom. - Stracił już jednego syna i nie zamierzał ryzykować ponownie.

306

- Ja wiem dokładnie, gdzie przebywa Dorry - nie ustępował Tom. - Tam jest mnóstwo możliwości, aby się łatwo wdrapać na mury.

- Przecież oni już tam na takich czekają.

- Ale nie możemy tak siedzieć i nic nie robić - powiedział z pasją Tom, podnosząc głos. - Bóg jeden wie, co oni tam zrobią z Dorrym, jeśli go nie wyrwiemy z łap tych bezbożników!

- Pójdziemy, kiedy będziemy pewni sukcesu. Al-Auf na pewno nie pozwoli skrzywdzić Doriana. Wygląda na to, że chroni go jakieś religijne proroctwo, jest dla nich jakby muzułmańskim świętym.

- Nie rozumiem. Proroctwo na temat Dorry'ego? Skąd to wiesz, ojczu?

- Powiedział mi Wazari, ten kupiec, którego złapaliśmy. Sprawily to włosy Doriana. Według legendy Prorok Mahomet miał rude włosy. To wielka rzadkość wśród ludów Wschodu; darzą tu takich ludzi zabobonnym szacunkiem.

- Nie możemy liczyć na to, że Dorry'ego uratuje kolor włosów!

- Dość tego, Tom. Wracaj na stanowisko. - Łagodna twarz Hala przeczyła jego groźnemu tonowi. Musiał się niemal siłą powstrzymać, żeby nie ulec naleganiom syna.

Statek oddalił się już od fortu i huk dział powoli cichł, a wiatr rozwiewał dym. Hal kazał zmienić hals; okrążyli północny cypel wyspy, chcąc zatoczyć wokół niej pełny krąg. Uważnie lustrował jej brzegi, starając się zapamiętać każdy szczegół. Płynęli tak blisko skał, jak na to pozwalało bezpieczeństwo żeglugi. Hal sporządził dokładną kopię mapy sir Francisa i rozłożył ją teraz przy szafce kompasowej. Obok notatek, poczynionych ręką ojca przed pięćdziesięciu laty, naniósł własne obserwacje. Marynarz na dziobie sondował ołowianym ciężarkiem dno, a w pewnej chwili ze statku spuszczone łódź, która pod dowództwem Abolego popłynęła, by zbadać widniejące między rafami przejście. Jednak gdy barkas znalazł się w lagunie, z palmowego lasu na brzegu wyskoczyła setka lub więcej Arabów i zasypała łódź gradem kul z muszkietów. Jeden z wioślarzy został ranny w ramię i Aboli musiał umykać szybko na otwarte wody.

Zanim okrążyli wyspę, Hal zaznaczył na mapie kilkanaście miejsc, gdzie można było wysadzić oddział na brzeg. Kiedy

307

znaleźli się znów naprzeciw twierdzy, kazał zwinąć żagle i dokładnie przyjrzał się szczegółom umocnień oraz innych budowli wzniesionych przez Arabów pod murami.

Próbował również oszacować, ilu ludzi ma pod swoją komendą Jangiri. Doszedł w końcu do wniosku, że co najmniej tysiąc, choć zdawał sobie sprawę, że może ich być równie dobrze dwa tysiące.

Co parę chwil jego luneta zaczynała jak gdyby żyć własnym życiem i kierowała się ku otworowi w murze, który wskazał mu Tom.

- Nim zobaczymy tu Andersena, trzeba się przygotować na długie i uciążliwe oczekiwanie - rzekł ponuro, na wpół do siebie, na wpół do marynarzy.

Wszyscy zabrali się do wypełniania swoich monottonnych obowiązków na stojącym w blokadzie żaglowcu.

Hal starał się utrzymać w nich animusz, urządzając ćwiczenia w strzelaniu z muszkietów i dział, lecz mimo to dni wlokły się w nieskończoność. Podczas czterech następnych tygodni tę monotonię przerywało tylko pojawianie się od zachodu łodzi zdążających ku Flor de la Mar. Seraph stawiał wówczas wszystkie żagle i z wiejącym od rufy monsunem pędził, by przeciąć im drogę.

Stanowiły łatwą zdobycz i marynarze opanowywali je bez strat. Czwartą z zatrzymanych łodzi okazał się piękny dhow, długości stu trzydziestu stóp, niewiele mniejszy od samego Serapha. Zadziwiająco szybki, salwował się wspaniałą

ucieczką, a jego przerażona załoga dawała z siebie wszystko. Tymczasem zapadł zmierzch i niemal zgubili go z oczu. Hal jednak odgadł zamiary arabskiego kapitana i w ciemności pożeglował z powrotem w pobliże wyspy. Przed świtem dhow usiłował przekraść się do zatoki Flor de la Mar i wówczas udało im się go dopaść, zaledwie pół mili przed wejściem do przesmyku. Arabska załoga stawiała zacięty opór, zabijając jednego z marynarzy i raniąc trzech, ale w końcu ludzie Hala opanowali nieprzyjacielski pokład. Dhow okazał się własnością księcia Abd Muhammada al-Malika.

Samego księcia nie było na pokładzie, lecz jego kabina wyglądała niczym sala tronowa orientального władcy. Hal kazał zdjąć ze ścian dywany i wraz z meblami przenieść do własnej kajuty.

Imię Muhammad al-Malik słyszał już wcześniej. Pamiętał, jak owej nocy, kiedy uprowadzili Minotaura i Lamba z zatoki,

308

zatrzymali wcześniej handlowy dhow i jak kazał go puścić wolno razem z ładunkiem. Tamta łódź też była własnością księcia i teraz, w obliczu jego ogromnego bogactwa, Hal zwątpił w słuszność swej ówczesnej decyzji.

Kazał powiesić na topie linę z pętlą dyndającą tuż nad głową kapitana arabskiej łodzi i stanąwszy przed nim, przesłuchiwał go szczegółowo.

- To prawda, efendi. - Nieszczęśnik drżał o życie i odpowiadał skwapliwie. - Al-Malik to potężny i bogaty człowiek. Jest młodszym bratem kalifa Maskatu. Jego flota liczy ponad sto handlowych łodzi. Pływają do wszystkich portów Afryki i Indii oraz na ziemi Proroka. Mój dhow zawija regularnie do Dar al-Szajtan, żeby pohandlować z Jangirim.

- Wiesz chyba doskonale, że al-Auf to korsarz, a każdy towar, który od niego kupujesz, został ukradziony z chrześcijańskiego statku. Żeby je zdobyć, Jangiri musiał zamordować wielu niewinnych marynarzy, a tych, którzy przeżyli, sprzedał jako niewolników.

- Wiem tylko tyle, że mój pan posyła mnie, bym handlował z Jangirim, gdyż oferuje bardzo korzystne ceny na swoje towary. A skąd je bierze, to już nie moja sprawa ani mego księcia.

- Przekonasz się zaraz, że twoja - rzekł cierpko Hal. - Kupując od piratów kradzione towary, dzielisz z nimi winę po równi. Przeszukać statek - zwrócił się do Abolego.

Trzy dhow, które pochycili wcześniej, także płynęły na Flor de la Mar z zamiarem handlu z Jangirim. Wieść o wspaniałych okazjach, jakie trafiają się na wyspie, rozeszła się już najwidoczniej od Zatoki Perskiej po Wybrzeże Koromandelskie. Na arabskich łodziach znaleźli stopy monet i złota, przeznaczonych dla korsarza.

- Zobaczymy, czy ten łotr też się przyczyni do pokrycia kosztów blokady, która musimy tutaj utrzymywać - powiedział Hal.

Spacerował po pokładzie, a jego marynarze plądrowali dhow i w ciągu pół godziny znaleźli schowek, w którym kapitan ukrył szkatuły z pieniędzmi. Arab wyrwał sobie włosy z brody i szarpał burnus, widząc, jak ludzie Hala wyciągają na pokład wszystkie cztery skrzynki. Były tak ciężkie, że nie dało się ich nieść.

- Litości, efendi - jęknął kapitan. - To nie jest moja

309

własność, tylko mego księcia. - Padł na kolana u stóp Hala. - Jeżeli je zabierzesz, skaże mnie na śmierć.

- Na co w istocie zasłużyłeś - rzekł beznamietnie Hal, po czym zapytał Abolego:

- Czy znaleźliście coś w ładowni?

- Pusta, Gundwane.

- Dobrze. Zabierzcie zdobycz na Serapha. - Hal odwrócił się z powrotem do zawodzącego kapitana dhow. - Te szkatuły to cena wolności, twojej i statku. Przekaż jednak swojemu panu ostrzeżenie, że jest to tylko część ceny, jaką mu przyjdzie zapłacić, jeżeli jeszcze kiedykolwiek będzie na tyle głupi, żeby handlować z piratami. A teraz odejdz z Bogiem, któremu możesz podziękować za swe uwolnienie.

Patrzył potem z pokładu Serapha, jak dhow pomyka z wiatrem w stronę kontynentu. Wreszcie zszedł do swojej kajuty, gdzie Aboli ustawił zdobyte skrzynki pod ścianą.

- Otwórz je - polecił.

Murzyn podważył wieka skrzynek łomem.

Już trzy poprzednie dhow stanowiły bogaty łup, lecz okazał się on niczym w porównaniu do tego, co objawiło się ich oczom, gdy odskoczyły wieka.

Monety popakowane były w małe płócienne woreczki. Hal rozciął jeden sztyletem i na blat biurka spłynął migotliwy strumień złota. Od razu zauważył, że większość stanowiły złote mohury. Na każdym widniał odcisk trzech gór i słonia, symboli imperium Wielkiego Mogoła. Były też inne: złote dinary muzułmańskich sułtanów, pokryte religijnymi inskrypcjami, a nawet kilka starożytnych perskich tetradrachm, których wartość nominalna dalece przewyższała wartość samego kruszcu.

- Dziesięciu ludzi nie przeliczyłoby tego skarbu w ciągu tygodnia - stwierdził Hal. - Lepiej go zważmy. Każ panu Walshowi przynieść tu wagę i niech weźmie dwóch ludzi do pomocy.

Walsh pracował pilnie przez resztę dnia i pół nocy i w końcu' pojawił się przed Halem z rezultatami obliczeń.

- Statkiem tak huśta, że trudno dokładnie zważyć - oznajmił afektowanym tonem. - Szalki mego przyrządu nie pozostają nigdy w równowadze.

- Nie będziemy szli do sądu z powodu uncji czy dwóch - uspokoił go Hal. - Proszę mi podać, ile wyszło. Na razie poprzestaniemy na tym, a zważymy wszystko dokładnie w urzędzie probierczym w Londynie.

310

- Waga złota wynosi dokładnie, a raczej niedokładnie, sześćset pięć funtów - Walsh zachichotał z własnego dowcipu, a Hal tymczasem wpatrywał się weń zdumiony.

Nie spodziewał się aż tyle. Na Boga, przecież to prawie lakh rupii, olbrzymia fortuna w dowolnej walucie. Do tego należało dodać złote i srebrne monety, zabrane z trzech innych dhow. Wszystko to znacznie przewyższało wartość dwóch dużych żaglowców zdobytych w zatoce.

- Lakh rupii! - wykrzyknął zachwycony i spojrzał na cztery otwarte szkatuły, stojące pod ścianą kabiny. W sumie tej było coś szczególnego i usiłował sobie przypomnieć, co to mogło być. Lakh rupii! - uzmysłowił sobie wreszcie. To przecież cena, jaką według Wazariego wyznaczył al-Auf za rudowłose dziecko z przepowiedni, swego niewolnika. Cena za głowę Doriana!

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej prawdopodobne mu się to wydawało. Radość, jaką sprawiła mu ta myśl, dalece przekraczała przyjemność ze zdobycia samego złota. Skoro al-Malik posyłał Jangiriemu pieniądze za Dorianą, znaczyło to, że chłopiec jest wciąż na wyspie, zamkniętej przez Serapha w blokadzie.

- Dziękuję, panie Walsh. Doskonale się pan spisał - pochwalił nauczyciela.

- Nigdy nie przypuszczałem, że widok takiego bogactwa może się okazać tak obrzydliwy - odparł Walsh, wyobraziwszy sobie, że musiałyby to wszystko przeliczać jeszcze raz.

Hal wrócił na pokład, by kontynuować swe niekończące się czuwanie.

- Błagam cię, Boże, żeby Andersen niedługo się zjawił - szepnął, wpatrując się w roziskrzony błękit wody u brzegów szmaragdowej wyspy, obwiedzionej biela koralowych piasków. - Albo przynajmniej daj mi siłę, bym wytrwał.

Minął kolejny tydzień. Wreszcie któregoś świetlistego poranka, gdy morze lśniło oleściami pod palącymi promieniami słońca i falowało w powolnym rytmie, jakby kochało się samo ze sobą w dusznym gorącu, rozległ się z topu radosny okrzyk Toma:

- Żagiel!

Nie mając cierpliwości, żeby czekać na dalsze meldunki, Hal wspiał się szybko na wanty i wcisnął do bocianiego gniazda, obok syna.

- Tam - wskazał chłopak ku południowi i Hal przez dłuższą chwilę sądził, że Tom się pomylił, horyzont bowiem

311

wydawał się pusty. Wreszcie dojrzał maleńką kreseczkę, która natychmiast zmknęła. Skierował w to miejsce lunetę i nagle zobaczył maleńki biały trójkącik.

- Mas/ rację - zwrócił się uradowany do syna. - To rejowy statek.

- Dwa - poprawił go Tom. - Dwa żaglowce. To może być tylko Yeoman z Minotaurem.

- Popłyniemy im na spotkanie.

Dalekie żaglowce szybko zmieniły się w Yeomana i Mino-taura. Hal przyglądał im się podekscytowany przez lunetę i ledwie rozpoznał tego drugiego. W ciągu krótkiego czasu, jaki miał na remont statku, Duży Daniel dokonał prawdziwego cudu. Minotaur jaśniał blaskiem nowej farby i nawet z bliższej odległości nie było śladu zniszczeń dokonanych przez działa Serapha. Yeoman jednak wyglądał na steranego długą włóczęgą po morzach; jego kadłub i takielunek świadczyły o tym dobitnie.

Hal powitał oba statki salutem flagowym. Kiedy się zrównali, wszystkie trzy jednostki zrzuciły żagle i z Yeomana opuszczono łódź. Rumiana twarz Andersena świeciła na jej rufie niczym lampa sygnałowa i po kilku minutach kapitan, wspiawszy się po drabinie z zadziwiającą przy swej tuszy zwinnością, ścisnął dłoń Hala.

- Słyszałem już od pana Fishera, jak ciężko pan pracował podczas mojej nieobecności, sir Henry, i jakie wielkie zdobyliście bogactwa. - Z tonu i wyrazu twarzy gościa przebijał wyraźny żal, gdyż do udziału w łupach uprawnione były tylko te statki, które podczas ich zdobywania znajdowały się w zasięgu wzroku.

- Mam pilne zatrudnienie dla pańskiego statku, sir. i gwarantuję, że czekają pana jeszcze większe skarby - zapewnił go Hal, uznając, że byłoby zbyt okrucieństwem wspominać w tym momencie o złocie znalezionym na dhow al-Malika. - Proszę do mojej kajuty.

Kiedy usiedli, steward nalał każdemu po szklaneczkę madery i zostawił ich samych.

- Przywiozłem listy dla pana, sir Henry, od pana Beatty'ego i od pańskiego syna Guya - oznajmił Anderson, wyjmując zza pazuchy kurtki owinięty w płótno pakiecik.

Hal odłożył przesyłkę na bok, pragnąc się z nią zapoznać w samotności.

312

- Jak się miewa Guy?

Pytanie było zdawkowe, mieli bowiem do załatwienia pilniejsze sprawy. Niemniej odpowiedź Andersena zaskoczyła go kompletnie.

- Gdy go ostatnio widziałem, był w dobrym zdrowiu, o ile mi jednak wiadomo, zamierza wkrótce się ożenić.

- Dobry Boże! Przecież to ledwie osiemnastolatek! - zakrzyknął gniewnie Hal. - Nie konsultował się ze mną w tej kwestii, musi pan być w błędzie, sir!

- Zapewniam pana, że to nie pomyłka, sir Henry. - Anderson poczerwieniał na twarzy jeszcze bardziej i poruszył się niespokojnie na krześle.

- Kim jest ta kobieta? - chciał wiedzieć Hal. - Zapewne Bombaj nie obfituje zbyt wiele w młode damy. - Zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo przemierzać kajutę, złoścąc się dodatkowo z powodu jej ciasnoty, powiększonej jeszcze przez sprzęty zabrane z dhow al-Malika.

- Poinformowano mnie, że wybranką jest panna Caroline Beatty. - Edward Anderson wyciągnął z kieszeni chustkę o jaskrawych barwach i otarł nią twarz z potu, po czym mówił dalej zakłopotanym tonem. - Wypada mi dodać, że zawarciu tego małżeństwa towarzyszył pewien pośpiech. W rzeczy samej, syn pański miał wziąć ślub w dzień czy dwa po moim wypłynięciu z Bombaju. Dziś jest więc już z pewnością człowiekiem żonatym.

Hal zatrzymał się jak wryty, uświadomiwszy sobie nagle okrutną prawdę.

- Tom! - zawołał głośno.

- Nie Tom, sir Henry. To Guy - poprawił go Anderson.

- Proszę wybaczyć, myślałem na głos - przeprosił go Hal. Szok odsunął jego umysł od pilniejszych spraw, lecz gość przypomniał mu o nich swą następną wypowiedzią.

- Pan Fisher przekazał mi straszliwą wieść o pochwyceniu pańskiego najmłodszego syna przez korsarzy. Współczuję panu głęboko, sir Henry.

- Dziękuję, kapitanie Anderson. Liczę bardzo na pańską pomoc w uwolnieniu mojego chłopca.

- Mój statek i załoga są do pańskiej dyspozycji. To się rozumie samo przez się.

- Przejdźmy wobec tego do naszych projektów.

Hal miał wiele tygodni na skonstruowanie planu ostatecznego

313

szturmu na Flor de la Mar i teraz wyłożył go kapitanowi Yeomana z detalami. Resztę dnia spędzili zamknięci w kabinie na rufie Serapha, omawiając każdy szczegół kampanii, od systemu sygnalizacji flagowej między statkami oraz z oddziałami na brzegu, po przydział konkretnych ludzi do poszczególnych zadań i zakres obowiązków każdego z oficerów. Strawili też dobrą godzinę nad przygotowaną przez Hala mapą. Zanim Andersen był gotów do powrotu na swój statek, zdażyło zajść słońce.

- Proszę mieć na uwadze, co panu powiedziałem, kapitanie - rzekł na koniec Hal.
- Al-Auf waruje na tej wyspie dobre kilka lat. Przez cały ten czas arabscy kupcy ze wszystkich zakątków oceanu zlatywali się do niego jak muchy do kupy łajna, przywożąc ogromne pieniądze, by płacić mu za niewolników i zrabowane dobra. Łupy, które udało nam się zdobyć przed pańskim przybyciem, są drobnostką w porównaniu z tym, co musi się znajdować w jego twierdzy. Przypuszczam, że znajdziemy na Flor de la Mar skarby większe od zgromadzonych przez Drake'a czy Hawkinsa podczas wypraw całego ich życia.

Niebieskie oczy Andersena zmrużyły się na samą myśl o tym, więc Hal ciągnął, by pobudzić jeszcze jego zapał.

- Za udział w tej wyprawie czeka pana z pewnością tytuł szlachecki, kapitanie. Użyję wszystkich moich wpływów w naszej czcigodnej Kompanii, żeby pan go otrzymał. Za swoją część łupów będzie pan mógł kupić piękną posiadłość wiejską i mieszkać tam spokojnie do końca życia, nie będąc już nigdy zmuszonym do wyjścia w morze.

Podali sobie dłonie.

- Do jutra zatem! - Twarz Andersona rozjaśniła się w szerokim uśmiechu, a uścisk jego dłoni był serdeczny.

- Proszę ostrzec swoich ludzi, że w twierdzy trzymany jest mój syn - rzekł Hal ostrzejszym tonem. - Nie chciałbym, żeby w ogniu walki popełniono jakąś pomyłkę. Hal wydał rozkaz powrotu na miejsce blokady i wrócił do kabiny. Rozerwał płócienny pakunek z listami i rozpoznałszy na jednej ze złożonych kart pełne zawijasów pismo Gu-ya, odłożył ją na bok. Najpierw zapoznał się z listem od Beatty'ego, a czytając go, coraz bardziej się zasępnął.

314

W Rezydencji

Bombaj

6 dzień listopada <'

Sir Henry,

Przyjemność, jaką odczuwam, zwracając się do pana, zmacona jest niestety okolicznościami, które uczyniły ten list niezbędnym. Nie owijając w bawełnę, stwierdzę od razu, iż moja córka Caroline jest brzemienna. Doktor Goodwin, medyk naszej faktorii w Bombaju, wyliczył, że czas trwania ciąży w przybliżeniu wynosi cztery miesiące. Data poczęcia przypada więc na okres, kiedyśmy całą rodziną zamieszkiwali na Przylądku Dobrej Nadziei. Jak pan zapewne pamięta, gościł tam z nami pański syn Guy.

Z przyjemnością informuję, że syn pana zachował się w tej kwestii, jak przystało na dżentelmena. Przyznał się do ojcostwa dziecka i poprosił mnie o pozwolenie poślubienia mojej córki. Jako że Guy ukończył już lat siedemnaście, w świetle prawa jest zdolny do zawarcia małżeństwa. Moja córka Caroline w najbliższy piątek kończy osiemnaście lat, a zatem wiek obojga młodych ludzi nie stanowi przeszkody.

Uznaliśmy wraz z panią Beatty, że będzie rzeczą sensowną zgodzić się na to małżeństwo, i ustaliliśmy datę ślubu na piątek, dzień urodzin mojej córki. Tak więc rzecz cała doprowadzona jest zapewne do finału w chwili, gdy trzyma pan w ręce niniejszą epistołę.

Wyposażyłem córkę moją w wiano o wysokości 500 funtów, a Kompania przydzieliła do dyspozycji młodej parze dom w kwaterach wojskowych. Dzięki temu najpilniejsze ich potrzeby zostaną zaspokojone. Nie wątpię, że uzna pan za wskazane wspomóc swego syna podobną sumą, która uzupełni jego gażę, a także użyje pan wszystkich swoich wpływów w radzie dyrektorów Kompanii, by jego kariera przebiegała pomyślnie. Odnosnie do tej ostatniej sprawy mogę poinformować pana, sir Henry, iż Guy jest już dobrze obeznany ze swymi obowiązkami i jego wysiłki zostały ocenione przychylnie przez samego gubernatora Aungiera.

Z wyrazami najgłębszego szacunku, do których przyłącza się również moja małżonka Beatty

315

Hal zgniółł papier w dłoni i rzucił gniewne spojrzenie na nieotwarty jeszcze list od Guya.

- A to idiota! - zawołał na głos. - Przyznał się do pisklęcia ustrzelonego z muszkietu Toma. Co, na miłość boską, opętało tego chłopaka?

Podarł list Beatty'ego na strzępy i wyrzucił je przez okno, patrząc, jak odfruwają w ślad za statkiem. Potem z ciężkim westchnieniem zabrał się do dalszej lektury.

List Guya nie wnosił niczego nowego do sprawy, poza wyrażeniem przez syna ekstatycznej radości z powodu szczęścia, jakie go spotkało w postaci zdobycia ręki pięknej panny Caroline.

- Znalazłeś diament, który wykopał wcześniej twój braciszek - mruknął Hal z niesmakiem. Przez moment chciał posłać po starszego z bliźniaków, by go poinformować o owocu jego starań i wyładować na nim niezadowolenie. Zrezygnował jednak z tego i tylko westchnął ponownie.

- I co by mi z tego przyszło? - zapytał sam siebie. - Co się stało, to się nie odstanie. Skoro wszyscy są zadowoleni, to w porządku, choć najwyraźniej panny młodej nikt o zdanie nie pytał.

Zmiał list od syna w kulkę i cisnął ją za okno. Przez chwilę podskakiwała na fali kilwateru, aż nasiąkła wodą i zniknęła pod powierzchnią.

W tejże chwili rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i dobiegł zza nich głos marynarza:

- Proszę wybaczyć, kapitanie. Pan Tyler posyła wyrazy uszanowania, a przed nami Flor de la Mar.

Rodzinne problemy natychmiast zatoneły na dnie umysłu Hala, podobnie jak list od Guya pod wodą. Zapiął pas z bronią i wybiegł na pokład.

Seraph poprowadził Minotaura przesmykiem wiodącym do pirackiej laguny. Pierwszym statkiem dowodził Ned Tyler, Hala bowiem nie było na pokładzie. Znalazłszy się odpowiednio blisko, oba wielkie żaglowce rozpoczęły nieprzerwany ostrzał arabskich pozycji w palmowym lesie i na murach twierdzy. Miesiące ćwiczeń, jakie mieli za sobą kanonierzy, nie poszły na marne i chociaż brakowało ludzi do obsługi wszystkich dział, ich ogień był ostry i skuteczny. Licząc na

316

nieudolność Arabów, Ned Tyler prowadził statek z dala od raf i choć przez cały czas byli w zasięgu pirackich kolubryn, działa Serapha odłupywały potężne kawały koralowych fortyfikacji, siejąc popłoch wśród obrońców, którzy odpowiadali chaotycznie i niecelnie. Kilka kamiennych kul padło wprawdzie na tyle blisko, że obryzgały pokład statku wodą, większość jednak lądowała daleko w morzu.

Kiedy pirackie obozowisko w palmowym gaju znalazło się w zasięgu strzału z muszkietu z obu statków, marynarze skoncentrowali część ognia na krytych strzechach chatkach i szałasach. Działa ładowano kartaczami. Ołowiane kule rozpryskiwały się wśród tłumu mężczyzn i kobiet, szukających osłony pod murami twierdzy. Za uciekającą ciżbą kładł się pokos brązowych ciał, niczym łań zboża za żniwiarzami.

Po pierwszym przejściu statki kolejno zmieniły hals i zawróciwszy tak blisko rafy, jak się dało, kontynuowały ostrzał. Arabscy kanonierzy zdążyli już nieco ochłonać z pierwszego zaskoczenia i ich pociski padały dużo bliżej Serapha.

Jeden strzaskał burtę na pokładzie działowym, obcinając obie nogi pomocnikowi działomistrza, donoszącemu woreczki z prochem z magazynu.

Ned spojrział na beznogi tułów chłopaka, skręcający się z bólu w kałuży krwi niedaleko steru. Majtek krzyczał rozdzierająco, wzywając matkę. Obie arterie udowe miał rozerwane i krew tryskała z nich jak z otwartego kranu, a nikt nie mógł opuścić swego stanowiska, by mu pomóc. Ned w ogóle nie brał pod uwagę myśli o wycofaniu się poza zasięg dział w celu umknięcia większych strat. Hal prosił go, by stanął jak najbliżej brzegu i angażował baterie twierdzy, trzymając Arabów w szachu tak długo, jak to się okaże możliwe. Ned nie zamierzał uchylać się od tego zadania, choć opłakiwał w duchu śmierć choćby tylko jednego ze swych dzielnych marynarzy.

Hal był na drugim krańcu wyspy i słyszał doskonale huk regularnie prowadzonego ostrzału.

- Dzielny chłop! - pochwalił determinację Neda, ocierając rękawem pot z czoła, po czym dalej nadzorował lądowanie na brzegu marynarzy z Yeomana of York. Wpływali łodziami do małej zatoczki, którą odkrył wśród raf wiele tygodni temu. Cztery wypełnione ludźmi pinasy były tak mocno zanurzone, że mogli prawie dosięgnąć rękami wody za burta.

317

Gdy kil kolejnej łodzi zaczynał szorować po piasku, majtkowie wyskakiwali do ciepłej wody laguny i brnąć po kolana, wybiegali na brzeg. Duży Daniel i Alf Wilson uformowali ich w kolumnę i poprowadzili pod osłoną palmowego lasu w głąb wyspy.

Nawet z marynarzami Yeomana, użyczonymi mu przez kapitana Andersena, Hal dysponował ledwie czterema setkami ludzi, którzy mieli stawić czoło hordom al-Aufa na lądzie. Liczba piratów mogła nawet przekraczać dwa tysiące, na razie jednak nieprzyjaciel nie próbował ich powstrzymać.

Wyglądało na to, że ciężki ostrzał artyleryjski z Serpaha i Minotaura przyniósł pożądany efekt i wszyscy obrońcy wyspy umknęli, by schronić się w forcie. Na ląd wysiadła załoga ostatniej pinasy, obładowana muszkietami, pojemnikami z prochem i butelkami z wodą, jako że walka w takim upale ogromnie wzmagала pragnienie.

Hal spoglądał przez chwilę w ślad za łodziami powracającymi do Yeomana zakotwiczonego pół mili od rafy, po czym dołączył do ostatniej z maszerujących kolumn.

Marsz odbywał się według ściśle ustalonego porządku. Duży Daniel wysłał przodem zwiadowców, którzy mieli ich ostrzec przed ewentualną zasadzką, a obu stron kolumny strzegli ludzie z przygotowanymi do strzału muszkietami. Hal osobiście dowodził główną częścią oddziału.

Do północnego narożnika twierdzy mieli z zatoczki około trzech mil. Hal narzucił ostre tempo i niemal biegli truchtem po miękkim piaszczystym podłożu. Nie przeszli jeszcze mili, kiedy w lesie przed sobą usłyszeli strzały z muszkietów i jakieś dzikie wrzaski. Hal pobiegł przodem, przerażony tym, co może tam zastać. Obawiał się, że Duży Daniel mógł wpaść w zasadzkę. Zobaczył dziewięciu martwych Arabów, rozciągniętych po obu stronach ścieżki stratowanej przez marynarzy. Odgłosy walki cichły w głębi zagajnika i reszta Arabów uciekała w stronę fortu przed wściekłym pościgiem ludzi Dużego Daniela. Z przeciwnego krańca wyspy wciąż dochodził do ich uszu huk wystrzałów i ponad wierzchołkami drzew mogli już dostrzec kłęby armatniego dymu.

- Ned Tyler nie daje synom Proroka nawet czasu na modlitwę - mruknął Hal. Pot spływał mu po twarzy na brodę i moczył koszulę tak obficie, jak gdyby stał pod wodospadem.

Od pewnego już czasu do jego nozdrzy docierał zgniły odór, który stopniowo stawał się nie do zniesienia w dusznym gorącu

318

lasku. Nagle wybiegli na otwartą przestrzeń i Hal zatrzymał się tak raptownie, że idący z tyłu wpadli na niego.

Mimo pośpiechu i czekającej ich walki przerażający widok placu egzekucji wstrząsnął wszystkimi do głębi. Poczerniałe na słońcu zwłoki rozděły się groteskowo od wypełniających je gazów. Niektóre już wybuchły niczym przejrzałe owoce, a wszystkie pokryte były lśniącem całunem żerujących błękitnych much. Hal nie zdołał się powstrzymać przed dokładniejszym przyjrzeniem się trupom... w poszukiwaniu mniejszego ciała o rudych włosach. Nie znalazłszy go, poczuł w dole brzucha przypływ głębokiej ulgi i zmusił się do dalszego marszu między wisielcami, starając się ignorować gęste chmury much, ocierające się mu o twarz. Na drugim końcu polany czekali na niego Tom z Abolim.

- Możemy już iść? - zawołał Tom, gdy Hala dzieliło od nich jeszcze trzydzieści kroków.

I on, i Aboli oraz trzej towarzyszący im marynarze ubrani byli w arabskie burnusy, a na głowach mieli turbany. Twarz Toma zastygła w wyrazie determinacji i zniecierpliwienia; w ręce trzymał obnażoną szpadę. Hal jak zwykle poczuł ukłucie żalu, że znowu uległ prośbom syna i zgodził się na jego udział w wyprawie. Przekonał go jednak argument, że Tom był wśród atakujących jedynym,

który wspiał się na mury fortu i wiedział, którędy może je pokonać mały oddział gotowych na wszystko ludzi. Tylko on wiedział, gdzie przetrzymują Dorianą. Przebrana za piratów piątka marynarzy miała za zadanie dotrzeć do niego i uchronić przed skutkami rzezi, jaka musiała towarzyszyć szturmowaniu twierdzy. Hal chwycił za ramię Abolego i syknął mu do ucha:

- Miej Toma cały czas na oku, żeby nie zrobił czegoś głupiego. Osłaniaj go.

Aboli spojrział na niego swymi oczami w kolorze dymu, nie racząc nawet odpowiedzieć. Hal marudził dalej:

- Nie pozwól mu wchodzić na mury, dopóki nie odciągniemy ich wszystkich, co do jednego, na wschodnią stronę.

- Zajmij się swoją robotą, Gundwane - szepnął wreszcie zniecierpliwiony Murzyn - a ja się zajmę swoją.

- No to do dzieła - Hal pchnął go lekko i patrzył, jak mały oddział z Abolim i Tomem na czele oddala się biegiem przez lasek, by okrążyć twierdzę.

Kiedy zniknęli, spojrział na blanki, górujące ponad drzewami.

319

Z zadartą głową nasłuchiwał odgłosów kanonady. Chociaż wokół kłębił się armatni dym i w gardle czuł gryzący odór, huk wystrzałów powoli cichł. Ned wyprowadzał już Serapha z Mi-notaurem na spokojniejsze wody.

Obejrząwszy się za siebie, stwierdził, że kolumna marynarzy mimo uciążliwości przedzierania się przez las już go dogoniła... z kilkoma tylko maruderami na końcu. Poprowadził oddział do skraju zagajnika, gdzie czekał Duży Daniel ze swymi zwiadowcami.

Od wysokich na pięćdziesiąt stóp murów twierdzy dzieliło ich sto pięćdziesiąt kroków po otwartym terenie. Wielkie wrota były zamknięte na głucho; ich mahoniowe belki wzmocniono żelaznymi sztabami. Na blankach w zasięgu wzroku nie było widać obrońców. Najwyraźniej wszyscy przenieśli się na zachodnią flankę, tę od morza. Kiedy ucichły ostatnie strzały, usłyszeli dalekie, słabe okrzyki Arabów, radujących się z odpłynięcia bojowych żaglowców.

- Na razie mamy przewagę - Hal zwrócił się do Dużego Daniela. - Musimy się jednak pośpieszyć, jeżeli chcemy wykorzystać element zaskoczenia.

Za ich plecami wciąż gromadzili się marynarze, przygięci pod ciężarem ekwipunku. Spoceni i zdyszani, siadali na ziemi, wyciągali flaszki z wodą i chleptali ją łąpczywie. Hal przeszedł się między nimi, zagrzewając do działania i posyłając na pozycje wzdłuż linii lasu.

- Opuścić głowy, nie pokazywać się. Sprawdzić panewki, ale niech nikt nie strzela, dopóki nie wydam rozkazu - przestrzegali ich.

Drużyny dźwigające pięć ciężkich baryłek z prochem wlokły się na końcu, lecz wreszcie także i one dotarły na skraj lasu. Każdą z pięćdziesięciofuntowych beczulek niosło na kiju dwóch majtków. Złożyli je na ziemi, a Hal z Dużym Danielem zabrali się do przygotowania detonatorów. Hal ucinał lonty wolno tłące tak krótkie, jak tylko się dało bez obawy o życie. Była to zawsze kwestia pewnego ryzyka, gdyż dwa takie same kawałki nie tliły się nigdy w tym samym tempie. Każdy z lontów detonujących ostukali ręką kordu, żeby równiej rozprowadzić piorunian, po czym wetknęli ich końce w otwór po szpuncie każdej baryłki. Nie było czasu na dokładne sprawdzenie wszystkiego. Gdyby któryś z detonatorów zawiódł, pozostawały jeszcze cztery, żeby spowodować wybuch.

320

- Gotowi? - zapytał Hal, skończywszy pracę.

- Jak wszyscy diabli - rzucił Duży Daniel, uszczelniając ostatni lont garścią miękkiego paku.

- Podpalamy lonty wolno tłące - rozkazał Hal.

Bosman uderzył stalą o krzemień i hubka się zajęła. Przytykali kolejno płomień do krótkich odcinków palnego sznura, patrząc, jak zaczynają się tlić i dymić.

- Podnieść baryłki!

Pięciu rosłych marynarzy, wybranych ze względu na swą krzepkość, podeszło do beczulek z prochem. Za nimi ustawili się zmiennicy, na wypadek gdyby ci pierwsi padli pod ogniem pirackich muszkietów.

Hal wyciągnął szpadę z pochwy i wyjrzał ostrożnie zza drzew. Na murach wciąż nie było widać Arabów. Wziął głęboki oddech i zebrał się w sobie, szepnął:

- Za mną, chłopcy. Tylko cichutko!

W zupełnym milczeniu wybiegli na otwarty teren. Przy każdym kroku bosa stopy tragarzy grzęzły w piasku, pokonywali jednak dystans dość szybko i byli już w pobliżu bramy, kiedy usłyszeli z blask ostrzegawczy okrzyk i strzał z muszkietu. Hal ujrzał ponad kamiennym parapetem głowę w turbanie i dymiącą lufę, wycelowaną wprost w nich. Z tej bliskiej odległości kula trafiła jednego z marynarzy w środek nagiej piersi. Padł jak długi, z rozpostartymi szeroko ramionami, a baryłka potoczyła się po ziemi.

Duży Daniel biegł krok za nim i podniósł ją tak lekko, jakby to była kula do kręgli. Trzymając beczkę pod pachą, przeskoczył martwego marynarza i jako pierwszy dotarł pod wrota twierdzy. Rzucił ładunek, ponagając pozostałych.

- Szybciej! Dawać je tutaj!

Gdy pierwszy z biegnących znalazł się przy nim, stękając z wysiłku, Daniel uwolnił go od ciężaru.

- Wracaj do lasu! - zawołał, stawiając baryłkę obok poprzedniej. - Brawo, chłopie - rzekł do następnego i umieścił jego ładunek na dwóch pierwszych, budując piramidkę.

Na blankach fortu roiło się już od wrzeszczących Arabów, którzy gradem kul z muszkietów zasypywali marynarzy biegnących pod osłonę lasu. Kolejny z nich został trafiony i padł, jęcząc, na ziemię, a strzały pragnących go dobić piratów wzbijały wokół niego fontanny piasku. Majtkowie ukryci za

321

drzewami odpowiedzieli ogniem i na klęczących pod masywną bramą posypał się deszcz odłamków z koralowego muru.

Obok Dużego Daniela klęknął Hal, który umieścił właśnie piątą baryłkę na szczycie stosu. Dmuchnął na kopcący się lont, który trzymał w ręce. Koniec sznura rozjarzył się czerwienią.

- Zmykaj, Danny - powiedział. - Ja już się wszystkim zajmę.

- Za przeproszeniem, kapitanie - odparł Duży Daniel, ściskając w dłoni lont - ale pomogę ci z ochotą pocałować córkę szatana.

Przytknął tłący się lont do detonatora kolejnej baryłki. Hal, nie tracąc czasu na dyskusję, zaczął robić to samo. Bez pośpiechu podpalili wszystkie detonatory, upewniając się, że płoną równo.

Tymczasem na mury ponad nimi wyległa już chyba połowa garnizonu. Arabowie ostrzeliwali nieprzerwanym ogniem ścianę lasu. Cztery setki angielskich marynarzy, wykrzykując obelgi pod ich adresem, odpowiadało gęstą kanonadą. Hal i Duży Daniel, chronieni dotąd od kul przez nawis muru, po wybiegnięciu na otwartą przestrzeń musieli stać się łatwym celem. Hal zerknął po raz ostatni na błyskawicznie spalające się detonatory. Z otworów beczulek wystawał nie więcej niż cal każdego z nich.

- Chyba czas się stąd zabierać - powiedział, wstając.

- Nie ma powodu z tym zwlekać, kapitanie - Duży Daniel wyszczerzył w uśmiechu swe bezzębne usta. Ramię przy ramieniu skoczyli w stronę lasu.

Krzyki na murach natychmiast przybrały na sile i wszystkie arabskie muszkiety wzięły sobie na cel dwóch biegnących Anglików. Ciężkie ołowiane pociski świstały im wokół głów i ryły grząską ziemię pod stopami. Marynarze zza drzew zagrzewali ich do większego wysiłku, ostrzeliwując wściekle Arabów na murach.

- Seraph! - krzyczeli. - Biegnij, Danielu! Szybciej, kapitanie!

Dla Hala czas jakby stanął w miejscu. Miał wrażenie, że znalazł się pod wodą; każdy krok włókł się w nieskończoność. Ściana lasu w ogóle się nie zbliżała, a powietrze wokół siekło gęsty grad pocisków.

Duży Daniel został trafiony, i to nie jedną, ale dwiema kulami naraz. Pierwsza utkwiała pod kolanem, łamiąc kość.

Noga złożyła się pod bosmanem jak ciesielska miarka. Drugi pocisk wszedł w biodro i strzaskał szyjkę kości udowej. Potężny mężczyzna padł na piasek z obydwoma nogami podwiniętymi pod siebie i całkowicie niezdolnymi do jakiegokolwiek ruchu. Hal przebiegł jeszcze cztery kroki, nim się zorientował, że jest sam. Zatrzymał się i obejrzał za siebie.

- Uciekaj! - krzyknął Duży Daniel. - Mnie i tak nie pomożesz. Straciłem obie nogi. - Padając, runął twarzą w piasek, który zalepiał mu oczy i usta.

Hal obrócił się na pięcie i podbiegł do niego poprzez burzę ognia.

- Nie, nie! - ryknął Duży Daniel, plując piaskiem zmieszany z śliną. - Wracaj, idioto! Uciekaj!

Hal był już przy nim i próbował dźwignąć za ramiona, zaskoczył go jednak ciężar potężnego tułowia. Z przestrzelonymi obiema nogami bosman nie mógł mu w niczym pomóc. Hal wziął głęboki oddech i poprawiwszy chwyt, spróbował ponownie. Tym razem udało mu się podnieść górną część ciała rannego i wcisnąć ramię pod jego pachę.

- To na nic - wydyszał mu do ucha Daniel, cierpiąc straszliwie; strzaskane kości w jego biodrze ocierały się o siebie. - Uciekaj, ratuj się sam!

Halowi brakło tchu na odpowiadanie, zebrał więc resztkę sił i spróbował wstać, napinając wszystkie mięśnie i ścięgnął do granic wytrzymałości. Od wysiłku pociemniało mu w oczach i zawirowały w nich świetliste kręgi. Powoli jednak wielki korpus Dużego Daniela oderwał się od ziemi, z prawym ramieniem przerzuconym przez plecy Hala. Przez długą chwilę stali wczepieni w siebie, niezdolni uczynić kolejnego ruchu.

- Jesteś szalony - wymamrotał Duży Daniel do ucha swego kapitana. - Zaraz wybuchnie...

Wysoko ponad nimi jeden z arabskich muszkieterów na murach wsypał do lufy swojej broni garść prochu i przykrył go przybitką. Kulę trzymał w zębach. Był to nieregularny kawałek miękkiej żelaznej surówki, obrobiony ręcznie, żeby pasował do lufy. Arab wypluł pocisk w otwór muszkietu i długim drewnianym wyciorem upchnął go głębiej. Potem odwrócił strzelbę i oparł ją o kamienny parapet. Drżącymi palcami podsypał prochu na panewkę i odciągnawszy kurek, złożył się do strzału.

Kiedy przyłożył kolbę do ramienia i spojrział wzdłuż długiej, okutej mosiądzem lufy, zobaczył, że na otwartej przestrzeni

323

r

gramoli się niezdarnie dwóch niewiernych, wczepionych w siebie niczym kochankowie.

Wycelowował starannie w przytulone do siebie głowy i mocno pociągnął za oporny spust. Kurek opadł i skrzesał snop iskier, podpalając proch na panewce. Ukazał się obłoczek białego dymu i przez chwilę wydawało się, że muszkiet nie wypali, lecz zaraz z ogłuszającym hukiem podskoczył w rękach strzelca, a siła odrzutu poderwała lufę do góry.

Żelazna, bryłka zaczęła koziołkować w powietrzu, lecąc z furkotem ku miejscu, gdzie Hal z Dużym Danielem usiłowali brnąć przez piasek. Wycelowana została w głowę Hala, ale jej tor zmienił się na tyle, że niemal go minęła. Trafiała jednak w kostkę jego lewej stopy, rozrywając piętę i gruchocząc delikatne kości śródstopia.

Hal padł pod ciężarem Dużego Daniela, jakby mu ktoś podstawił nogę. Leżeli obok siebie na piasku, niezdolni wykonać żadnego ruchu.

- Uciekaj, na miłość boską! - krzyknął Daniel. - Zaraz wybuchną baryłki!

- Nie mogę! - wybełkotał Hal z twarzą wykrzywioną bólem. - Trafili mnie, nie mogę chodzić.

Duży Daniel dźwignął się na łokciu i spojrział na nogę Hala. Zorientował się od razu, że rana istotnie nie pozwala mu wstać. Zerknął ku piramidzie beczulek z prochem, ustawionej pod bramą zaledwie trzydzieści jardów od nich. Jeden z lontów płonął już przy samym otworze, proch musiał zaraz eksplodować.

Daniel chwycił Hala w niedźwiedzi uścisk i wtoczył się na niego, wciskając mu twarz w ziemię i osłaniając własnym wielkim ciałem.

- Złaż ze mnie, niech cię diabli! - Hal usiłował go zrzucić, lecz w tym momencie baryłka u dołu piramidy eksplodowała. Niemal jednocześnie wybuchły cztery pozostałe.

Dwieście pięćdziesiąt funtów czarnego prochu wybuchło z siłą trzęsienia ziemi, wrywając ciężkie wrota z zawiasów i ciskając odłamkami belek na dziedziniec twierdzy. Kamienny łuk się zawalił; na ziemię runęła lawina koralowych brył. Zapadający się mur pociągnął za sobą kilkunastu Arabów, grzebiąc ich pod rumowiskiem.

W niebo wystrzelił słup dymu i pyłu, wysoki na dwieście stóp, łącząc się z wiszącą nisko burzową chmurą. Potężny

podmuch eksplozji dotarł do ściany lasu, łamiąc gałęzie drzew i gnąc korony palm z siłą huraganu.

Duży Daniel i Hal leżeli na drodze fali uderzeniowej. Przetoczyła się nad nimi chmura pyłu i gruzu, wysysając powietrze z płuc i wbijając ich w piasek niczym kopyta pędzących bawołów. Hal poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Bębenki w uszach niemal mu popękały i stracił na chwilę kontakt z rzeczywistością, osuwając się w czarną przestrzeń, z wybuchającymi w głowie gwiazdami.

Powoli zaczął wracać z tego mrocznego miejsca. W uszach wciąż dzwonił mu potworny huk eksplozji, lecz docierały już do niego, jakby z bardzo daleka, okrzyki marynarzy, którzy wypadli hurmą z lasu, pędząc ku rozwalonym wrotom. Wspinali się jeden za drugim po rumowisku koralowych bloków i przedzierając się przez pył i dym, wbiegali na dziedziniec fortu. Z kordami w dłoniach, z językami wywieszonymi niczym u gończych psów, które zwietrzyły zwierzynę, runęli na zdeorientowanych Arabów, rozpoczynając dziką orgię bitewnej chuci.

Hal, oślepiiony pyłem, usiłował usiąść, lecz nie pozwalał mu na to olbrzymi ciężar, miażdżący pierś i wciskający go w ziemię. Kaszłac i krztusząc się, mrugał łzawiącymi oczami, żeby usunąć z nich piasek. Choć szarpał przygniatające go bezwładne ciało, nie miał dość siły, by się spod niego wydostać.

Powoli zaczynał widzieć wyraźniej, a huk dzwonów w jego głowie zamienił się w brzęczenie roju pszczół. Zobaczył nad sobą twarz Dużego Daniela. Szeroko otwarte oczy bosmana wpatrywały się weń uporczywie. Jego głowa pod wpływem ruchów Hala przetaczała się z boku na bok, z otwartych bezzębnych ust wysunął się język, a ciepła mieszanina śliny i krwi ściekała Halowi na twarz.

Okropieństwo tego widoku podziało nań jak kłująca ostroga i wyteżywszy wszystkie siły, zdołał się wreszcie uwolnić od ciężaru. Usiadł chwiejnie i spojrzął na Dużego Daniela. Osłaniając go, Daniel przyjął na siebie cały impet eksplozji. Podmuch zerwał z niego ubranie i bosman leżał całkiem nagi, jedynie w butach i pasie z bronią. Wychłostane ostrym piaskiem plecy i pośladki czerwieniły się jak świeżo oprawiona tusza. Nagie ciało poranione było odłamkami gruzu, a z otwartych ran wyzierała gdzieś tam biel żeber.

- Danny? - zawołał Hal. - Danny, słyszysz mnie?

325

Pytanie nie miało sensu, zrodziło się w głowie otumanionej jeszcze wybuchem. Spróbował przysunąć się bliżej rannego, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Spojrzął na nie. Była to jedyna część jego ciała, której nie osłoniło ciało Dużego Daniela. Z obu nóg podmuch zerwał bryczesy. Hal ujrzał krwawą mięsna miazgę, jakby przemieloną przez żelazne tryby obracającego się kabestanu. Sterczały z niej białe odłamki kości. Nie czuł jednak bólu, toteż jego umysł odmawiał przyjęcia do wiadomości świadectwa oczu. Nie chciał uwierzyć, że mógł stracić obydwie nogi. Nie chciał w ogóle patrzeć na to straszliwe dzieło zniszczenia.

Podciągnął się do Dużego Daniela na łokciach, wlokąc za sobą bezwładne kończyny. Legł na piasku obok wielkiego ciała przyjaciela, tuląc je w ramionach i kołysząc lekko, tak jak Danny kołysał niegdyś do snu jego dzieci.

- Wszystko będzie dobrze - szeptał. - Wyjdziemy z tego razem, jak zawsze.

Wszystko będzie dobrze, Danny.

Nie zdawał sobie sprawy, że płacze, dopóki nie zobaczył własnych łez, kapiących na odwróconą ku niebu twarz bosmana. Ciepłe krople, jak tropikalny deszcz, spłukiwały ziarenka białego piasku z szeroko otwartych oczu towarzysza.

Tak znalazł ich doktor Reynolds, który wraz z dwoma pomocnikami wybiegł z lasu za atakującymi marynarzami.

- Zajmijcie się najpierw Danny - wyszeptał Hal.

- Nim już zajmuje się dobry Bóg - odrzekł łagodnie medyk.

Położyli Hala na noszach i ponieśli pod osłonę drzew.

Tom obejrzał się na zatokę. Z miejsca, gdzie leżeli na grzbiecie wielkiej białej wydmy, widział obydwu żaglowce. Były już milę od raf; prowadził zgrabny Seraph, a za nim sunął Minotaur, budzący lęk i respekt swymi czarnymi żaglami. Statki kolejno wykonały zwrot i zawróciły, ustawiając się z powrotem w blo-] kadzie u wylotu przesmyku.

Tom uklęknął na jednym kolanie i spojrział ponad wydumą na oddalone o dwieście kroków ściany fortu. Gęsty armatni dym już się rozwiewał, gnany monsunem ku morzu. Na blankach roiło się od głów, pod turbanami i keffija widział brodate smagłe twarze. Obrońcy potrząsali triumfalnie muszkietami i podskakiwali radośnie. Tom słyszał podekscytowany gwar

326

ich głosów. Do jego uszu docierały pojedyncze obelżywe zdania wykrzykiwane pod adresem angielskich statków.

- Niechaj Bóg zaczerni twarz niewiernego!

- Bóg jest wielki! Zesłał nam zwycięstwo! Tom zaczął wstawać.

- Coś poszło nie tak - powiedział. - Powinni już wysadzić bramę.

- Spokojnie, Klebe - rzucił Aboli, chwytając go za przegub i pociągając ku sobie. - Czekanie jest czasami największą udręką bitwy.

Wtem usłyszeli z przeciwległej flanki murów ogień muszkietów. Głowy wszystkich Arabów także zwróciły się w tamtą stronę, a ich krzyki i wiwaty ucichły.

- Niewierny atakuje bramę! - rozległ się arabski głos i cały tabun obrońców rzucił się w kierunku strzałów.

Nawet kanonierzy porzucili swe działa i pobiegli stawić czoło nowemu zagrożeniu. Blanki opustoszały i Tom znów chciał zerwać się na nogi.

- Teraz mamy szansę! Za mną! - krzyknął.

- Cierpliwości, Klebe - Aboli ponownie ściągnął go na dół. Tom usiłował wyrwać się z jego uchwytu.

- Nie możemy już dłużej czekać! Musimy wydostać Dor-ry'ego!

- Nawet ty nie dasz rady w pojedynkę przeciwko tysiącowi nieprzyjaciół - pokręcił głową Murzyn.

Tom patrzył w stronę okienka w murze, za którym, jak pamiętał, uwięziony był Dorian.

- Powinien mieć dość rozumu, żeby dać nam jakiś sygnał, pokazać, gdzie jest.

Pomachać koszulą albo cokolwiek - powiedział podenerwowanym głosem. Zaraz jednak usprawiedliwił brata. - Ale to przecież jeszcze dzieciak, nie zawsze wie, co robi.

Odgłosy strzelaniny z drugiego krańca twierdzy przybrały na sile, przechodząc we wściekłą kanonadę.

- Słyszysz, Klebe? - uspokajał go Aboli. - Ojciec z Dużym Danielem już pewnie kładą ładunki pod bramą. To nie potrwa długo.

I rzeczywiście, po krótkiej chwili powietrze rozdarł straszliwy huk eksplozji, niemal ich ogłuszając. W niebo strzelił potężny słup dymu i pyłu, rozpościerając się w skłębioną chmurę.

Fruwały w niej kawałki skał i płonące drzazgi, ciągnące za sobą ciemne smugi. Tom zobaczył, jak ciężkie brązowe działo wylatuje sto stóp w górę. Jeszcze wyżej ciśnięte zostały ludzkie ciała, oderwane kończyny oraz fragmenty ciężkich belek. Tom nie zdołał dojsć do siebie po wybuchu, a Aboli pędził już przez otwartą przestrzeń, dzielącą ich od murów. Chłopak skoczył za nim, lecz długie fałdy burnusa utrudniały mu bieg i dogonił przyjaciela dopiero pod samą ścianą.

Aboli klęknął i zrobił siodełko z dłoni. Tom, nie zatrzymując się, natychmiast na nim stanął i Murzyn podniósł go wysoko, by mógł dosięgnąć gałęzi karłowatego figowca, wczepionego korzeniami w spojenia ściany. Wspinał się zwinnie jak małpa; nie przeszkadzała mu ani objajająca się o nogi broń, ani ucisk pary pistoletów za pasem. Aboli z trzema marynarzami podążyli jego śladem. Tom chwycił się rozpadliny w wykruszonej skale i przerzucił nogi ponad parapetem blank.

Ujrzał przed sobą zaskoczoną brunatną twarz. Jeden z Arabów pozostał na swoim stanowisku mimo wrzawy przy atakowanej bramie. Z okrzykiem przestrachu odskoczył do tyłu przed Tomem i podniósł muszkiet. Zagięty kurek zahaczył jednak o fałdy jego szaty i zanim go wyplatał, z pochwy u pasa Toma wyfrunęła niczym ptak jego szpada. Cięcie trafiło w szyję, przerywając struny głosowe i krtań. Następny krzyk Araba był już niemy. Mężczyzna zatoczył się i runął na wznak na kamienny dziedziniec.

Podczas gdy Aboli z marynarzami gramolili się na blanki, Tom szybkim rzutem oka zlustrował całą budowlę. Wśród kłębow dymu dostrzegł na dziedzińcu niewyraźne postacie Arabów, uciekających od ruin bramy. Obrońcy na murach, wyjąc z

przerażenia i przepychając się jeden przez drugiego, także usiłowali znaleźć się jak najdalej od dymiącego gruzowiska.

Potem przez roztrzaskane wrota wlała się do wnętrza twierdzy falanga wrzeszczących dziko angielskich marynarzy. Część wspięła się po rampach na fortyfikacje, atakując piratów na blankach. Padło kilka strzałów z muszkietów, jeden z marynarzy runął z muru, a potem obie strony starły się, tworząc kłębowisko krzyczących, siekących kordami i walczących wręcz ludzi.

Tom szukał wzrokiem ojca. Wzrost Hala i jego ciemna broda pozwalały go zawsze łatwo dostrzec nawet w największym zamieszaniu. Tym razem go nie dojrzał, lecz nie miał czasu na dłuższe rozglądanie się.

- Tędy! - zawołał, prowadząc swój oddziałek ku rampie najdalszej od bramy. Arabskie stroje dobrze ich maskowały i żaden z mijanych obrońców nie próbował ich zatrzymać. Tom pognął na platformę biegnącą w połowie wysokości muru. Prowadziło stąd do wnętrza budowli łukowato sklepione przejście.

Pilnowali go dwaj wartownicy. Jeden z nich, spostrzegłszy jasne oczy Toma i jego europejskie rysy, uniósł nad głowę bułat.

- Ferenghi! - zakrzyknął i zamachnął się zakrzywioną szablą, tnąc prosto w jego głowę.

Tom uchylił się i odpowiedział wysokim pchnięciem dokładnie po linii starcia, zanurzając klingę w piersi Araba. Kiedy ją wycofał, z przebitej piersi przeciwnika uszło ze świstem powietrze. Mężczyzna padł na kolana. Aboli zabił tymczasem równie błyskawicznie drugiego z gwardzistów. Przeskoczywszy ich zwłoki, wbiegli do ciemnego, wąskiego korytarza.

- Dorry! - krzyczał co sił w płucach Tom. - Gdzie jesteś? - Zrzucił z głowy kaptur szaty i turban. Nie potrzebował już przebrania i chciał, żeby brat łatwo go rozpoznał. - Do-rian! - zawołał ponownie, a jego głos poniósł się echem w głąb korytarza. Odpowiedział mu chór bezładnych okrzyków w różnych językach. Po obu stronach przejścia ciągnęły się cele. Pierwotne drzwi do nich musiały już się rozpaść, gdyż zastąpiono je topornymi konstrukcjami z nieheblowanych desek. Tom zobaczył między szparami blade brodate twarze i wyciągnięte w błagalnym geście szponiaste dłonie. Uświadomił sobie, że to na pewno więźniowie ze statków, zagrabionych przez al-Aufa. Jego brat musiał znajdować się między nimi. W Toma wstąpiła nadzieja.

- Dorian!

- Jezus cię kocha, sir. Modliliśmy się o twoje przybycie - odpowiedział mu po angielsku jakiś głos.

Aboli podniósł ciężką zasuwę i drzwi stanęły otworem. Z ciasnej kamiennej celi wylegli na korytarz więźniowie. Tom ugrzązł pośród tłumu cuchnących postaci w łańchmanach i musiał przedzierać się siłą, żeby zajrzeć do następnych cel.

- Dorian! - ryknął, przekrzykując harmider. Usiłował się zorientować, gdzie jest pomieszczenie, w którym ostatnio widział brata, lecz nie było to łatwe.

329

Chwycił za ramiona jednego z uwolnionych i potrząsając nim, krzyknął mu w twarz: - Czy jest tu gdzieś biały chłopiec, z rudymi włosami?

Mężczyzna spojrział nań jak na obłąkanego i wyrwawszy się, dołączył do cizby więźniów, wylewającej się na dziedziniec. Tom dotarł do ostatniej celi na końcu korytarza. Jej drzwi były uchylone. Wszedł do małego pokoiku o kamiennych ścianach. Był pusty. Pod ścianą leżał materac z zeschniętych liści palmowych, lecz innych mebli nie było. Przez okienko w ścianie sączyło się światło słoneczne. Tom podbiegł do okienka i zobaczył fragment zatoki, a dalej dwa stojące na morzu żaglowce.

- To musi być tutaj - mruknął. Wskoczył na schodek pod oknem i wysunął głowę na zewnątrz. Po murze, niemal na wyciągnięcie ręki, pięła się liana. - To w tej celi trzymali Dorian. Ale gdzie on się podział?

Zeskoczył ze schodka i rozejrzał się po pustym pomieszczeniu. Z kamiennych bloków spoglądały wmurowane w nie żelazne pierścienie do mocowania łańcuchów. Ściany pokryte były napisami wydrapanymi w miękkiej koralowej skale. Odczytał portugalskie nazwiska i datę sprzed stu lat; zmurszały napis porośnięty był mchem i pleśnią. Obok widniała nowsza inskrypcja po arabsku. Był to tekst religijny, werset z sury siedemnastej Koranu. Tom znał go, gdyż Alf Wilson kazał

mu kiedyś nauczyć się tego cytatu na pamięć: "Wysławia Go siedem niebios i ziemia oraz ci, którzy się tam znajdują. I nie ma żadnej rzeczy, która by nie głosiła jego chwały". Poniżej wydrapano coś jeszcze, sprzączką od pasa albo innym kawałkiem metalu. Koślawe, dziecinne litery układały się w słowa: DORIAN COURTNEY.

- Był tutaj! - zakrzyknął Tom. - Aboli, Dorry tutaj był! W drzwiach pojawiła się masywna ciemna sylwetka.

- Ale gdzie jest teraz, Klebe?

- Znajdziemy go.

Tom zerwał z siebie fałdzisty burnus, który krępował mu ruchy. Cisnął go pod ścianę. Pobiegli obaj korytarzem i wypadli na dwór. Na dziedzińcu poniżej i na blankach murów wciąż trwała bitwa, lecz na pierwszy rzut oka widać było, że piraci zostali rozgromieni. Uciekali całymi setkami przez roztrzaskaną bramę, porzucając broń i szukając schronienia w lesie. Inni znaleźli się w pułapce wewnątrz murów. Wielu błagało na kolanach o życie, inni woleli skakać z blanków niż nadziać się na

330

angielskie kordy. Lecieli z wrzaskiem na ziemię, a białe burnusy wydymały się wokół nich jak balony.

Niektórzy jednak wciąż stawiali opór. Na wschodnim bastionie broniła się grupa kilkunastu Arabów, krzyczących wojowniczo Allahu akbar! Allah jest wielki!

Anglicy runęli na nich hurmą, na oczach Toma posiekali kordami i zrzucili zwłoki z muru.

Tom rozglądał się gorączkowo w tym ludzkim kłębowisku, wypatrując drobnej postaci z ognistą czupryną, lecz nie dostrzegł nigdzie ani śladu brata. Po platformie biegła w jego stronę kobieta. Ciemny czador zsunął się jej z głowy i widać było, że to niemal dziecko. Długie czarne włosy powiewały wokół przerażonej twarzy, a spod poczernionych antymonowym proszkiem powiek patrzyły oczy łani, ściganej przez gończe psy. Pędziło za nią ze śmiechem i okrzykami podniecenia czterech marynarzy. Koszule mieli poplamione krwią zabitych przez siebie Arabów, a twarze rozplamione żądzą.

Dopadli ją przy schodach i przewrócili na ziemię. Trzech przyciskało dziewczynę do kamiennych płyt i choć się wyrywała, podciągnęli do góry jej suknię, obnażając smukłe brązowe kończyny i gładki brzuch. Czwarty marynarz rozwiązał bryczesy i położył się na Arabce.

- Nasmaruj dla nas jej różową szparcę! - zagrzewali go do dzieła kamraci.

Tom jeszcze nigdy nie widział czegoś równie okropnego. Jako nowicjusz Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala nauczony został, że wojna jest czymś szlachetnym, a prawdziwy wojownik zachowuje się godnie. Rzucił się, by interweniować, lecz Aboli przytrzymał go w żelaznym uścisku.

- Zostaw ich, Klebe. To prawo zwycięzców. Nasza sprawa to Bomvu. - Nazwał Dorian przydomkiem, w języku dżungli znaczącym "Czerwony".

- Nie powinniśmy im pozwalać... - wybuchnął Tom.

- I tak ich nie powstrzymasz - przerwał mu Murzyn. - Najwyżej cię zabiją, jeśli tylko spróbujesz. Lepiej poszukajmy Bomvu.

Dziewczyna łkała żałośnie, lecz Aboli pociągnął Toma za sobą. Zeszli na poziom dziedzińca.

W tej jego części znajdował się prawdziwy labirynt starych murów i wejść. Niektóre z nich stały otworem, lecz wiele drzwi było zamkniętych ciężkimi sztabami, a okna pomieszczeń

331

zasłonięte okiennicami. Gdzieś tutaj mógł być Dorian. Tom wiedział, że jego młodszy brat czuje się zagubiony i przerażony. Musieli go odnaleźć, zanim w ogniu walki i plądrowania stanie mu się jakaś krzywda.

- Poszukaj z tamtej strony - zawołał do Abolego, wskazując na zadaszony taras. - Ja sprawdzę tutaj.

Nie patrząc, czy Aboli wykonał jego polecenie, podbiegł do najbliższych drzwi. Były zamknięte. Naparł na nie barkiem, a potem odsunął się i wymierzył kopniaka w masywny żelazny zamek. Drzwi nie ustąpiły ani trochę. Tom rozejrzał się i spostrzegł jednego z marynarzy Serapha, przebiegającego obok z toporem w jednej

ręce i pistoletem w drugiej. Ramiona miał po łokcie we krwi, a na jego twarzy malował się wyraz uniesienia wywołanego walką.

- Charley! - wrzasnął za nim chłopak i poprzez zasłonę bitewnego szału mężczyzna usłyszał go. - Wyłam te drzwi!

Marynarz roześmiał się, słysząc zaproszenie do dalszego niszczenia.

- Odsuń się, Tommy, drogi chłopcze - rzucił i dwoma potężnymi ciosami siekiery przerąbał deski drzwi.

Tom kopniakami wywalił resztę i wskoczył do wnętrza. Znalazł się w płataninie małych pokoi i korytarzyków. Pobiegł przed siebie, zaglądając po drodze do każdego pomieszczenia. Kwatery najwyraźniej zostały porzucone przez mieszkańców w pośpiechu; wszędzie walały się skłębione ubrania i pościel.

Nagle nad głową usłyszał głośny łomot. Spojrzał na rozchwierutane schody na końcu korytarza. Brzmiało to tak, jakby ktoś usiłował się wydostać z zamkniętego pomieszczenia. Może to Dorian! Serce waliło mu jak młotem. Bez zastanowienia popędził schodami w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Dotarł na piętro i ujrzał otwarte ciężkie drzwi z wielkim żelaznym kluczem w zamku. Wbiegł do długiego wąskiego pokoju, pogrążonego w półmroku z powodu zamkniętych okiennic.

- Dorry! - zawołał, rozglądając się błyskawicznie.

Od razu widać było, że to nie więzienna cela. Pod jedną ze ścian stał szereg małych drewnianych skrzynek, podobnych do tych, w których dhow księcia al-Malika wiozł okup za Doriana. Tom uznał, że musi to być jeden ze skarbców al-Aufa, być może ten, w którym korsarz trzymał najcenniejsze łupy.

332

Cztery skrzynki miały otwarte wieka. Pomimo troski o brata ich zawartość przykuła uwagę Toma. Spostrzegł typowe arabskie sakiewki; podniósł jedną i zważył w dłoni. Ciężar i kształt monet nie budził najmniejszej wątpliwości. - Złoto - wyszeptał.

Wtem zauważył obok skrzynek skórzaną sakwę do przy-traczania u końskiego siodła, wypełnioną w połowie woreczkami ze złotym bilonem. Prawdopodobnie przerwał pakowanie komuś, kto zamierzał umknąć ze zdobytej twierdzy. Łoskot, który przedtem usłyszał, był odgłosem otwieranych skrzynek.

Ten człowiek musiał tu być. W chwili gdy sobie to uzmysłowił, Tom usłyszał za plecami szurgot skradających się stóp. Zelektryzowany tym dźwiękiem odwrócił się błyskawicznie do drzwi.

Usłyszawszy kroki Toma na schodach, al-Auf ukrył się za otwartymi drzwiami.

Chłopak poznał go natychmiast, pamiętał bowiem herszta piratów z pokładu Minotaura podczas walki z Seraphem. Był wyższy, niż sądził, choć z gołą głową, bez turbanu. Jego głęboko osadzone ciemne oczy patrzyły dziko i drapieźnie, jak u sępa. Gęste czarne włosy, tłuste i przetykane srebrem, opadały mu na ramiona, płacząc się z kędziorami brody. Ze ściągniętymi w grymasie wściekłości ustami podniósł w lewej ręce pistolet, celując w głowę Toma.

Przez mgnienie oka chłopak wpatrywał się w czarny otwór lufy i w bystre oko Jangiriego, biorące go na cel. Potem z metalicznym trzaskiem, niemal ogłuszającym w ciasnym pokoju, kurek opadł na panewkę, wzbijając biały obłoczek dymu. Tom mrugnął odruchowo, czekając na kulę, która roztrzaska mu twarz. Lecz pocisk nie nadleciał. Pistolet nie wypalił.

Dym i błysk iskry na panewce oślepił na moment Jangiriego i Tom wykorzystał tę chwilkę na przebycie dzielącej ich przestrzeni. Broń pirata miała dwie lufy i jego palec zaciskał się już na drugim spuszcie. Chłopak wiedział, że szczęście nie może mu dopisać powtórnie i druga kula musi go zabić.

Błyskawicznie ciął szpadą w rękę z pistoletem. Ostrze przejechało po wewnętrznej stronie przegubu pirata, otwierając żyły pod brunatną skórą i przerywając ścięgna. Pistolet wypadł z pozbawionych czucia palców. Upadł na ziemię kolbą do dołu i druga lufa wypaliła z ogłuszającym hukiem, a kula roztrzaskała jedną z drewnianych skrzynek ze złotem. Al-Auf cofnął się, chwytając za rękonożec bułata, wiszącego na wysadzonym

333

III

klejnotami pasie. Wyszarpnął klingę z pochwy w sam czas, by zdążyć sparować pchnięcie Toma, wymierzone w jego mostek.

Tom nie spodziewał się, że przeciwnik jest tak szybki. Zmyliły go siwe pasemka we włosach i brodzie herszta piratów. Jangiri był zwinny niczym lampart i władał orężem z siłą godną mężczyzny o połowę młodszego. Gdy chłopak zbierał się w sobie po ripoście, al-Auf ukląkł na jedno kolano i spróbował ciąć go po kostkach nóg. Cios ten mógł okuliwić Toma na dobre. Ponieważ nie zdążyłby się cofnąć, podskoczył w górę i krzywe ostrze śmignęło o cal pod podeszwami jego butów. Jeszcze w powietrzu zamierzył się w głowę Araba, ten jednak wysliznął się spod ciosu jak wąż umykający pod skałę. Na kamiennej podłodze utworzyła się jednak kałuża krwi, wciąż ciekącej z jego rozciętego przegubu. Tom zablokował ripostę, a Jangiri natychmiast skontrolował, mierząc w jego brzuch. Tom uskokzył w tył i cios nie doszedł celu. Krażyli, patrząc sobie nawzajem w oczy i usiłując z nich wyczytać zamiar przeciwnika. Klingi ich broni zderzały się ze zgrzytem, szukając słabego punktu.

Tom pośliznął się na krwi i w chwili gdy łapał równowagę, al-Auf wystrzelił jak strzała z kuszy, celując znów nisko, w biodro. Tom odparował i zmusił go do wycofania się. Zaczynał wyczuwać przeciwnika. Był szybki i zwinny, a wiek nie osłabił mu siły dłoni. W razie długiego starcia jego doświadczenie powinno wziąć górę. Tom wiedział, że musi postawić na rozstrzygnięcie siłowe.

Przechylił się na mocniejszą stronę Araba, flirtując z nim i otwierając się na sekundę. Kiedy al-Auf przyjął zaproszenie i znów ciął nisko, Tom zablokował jego klingę i doprowadził do zwania. Prawie się dotykali piersiami, trzymając skrzyżowaną broń na wysokości oczu. Tom włożył w to całą moc swych barczystych, młodzieńczych ramion i al-Auf ustąpił o krok. Widać było, że razem z krwią, ciekącą z otwartych żył lewego przegubu, uchodzi zeń powoli siła. Tom naparł powtórnie i okazało się, że korsarz wcale nie osłabił tak bardzo, jak udawał. Wycofał się tak raptownie, że chłopak poleciał do przodu, nie czując oporu. Arab znów zaatakował dołem. Tom powinien był to przewidzieć, zdążył już bowiem poznać swego przeciwnika na tyle, by strzec się jego niskich wypadów. Tylko graniczająca z cudem szybkość i kocia zwinność pozwoliły mu wykonać unik. Ostrze przeciwnika zawadziło o jego udo,

334

drozcinając bryczesy i zostawiając płytkie skaleczenie na sprężystym umięśnionej nodze.

Rana nie była groźna, al-Auf zaś pod koniec swego wypadu musiał się maksymalnie wyciągnąć. Gdy rozpaczliwie starał się wycofać, Tom zgarnął jego klingę i zmusił go do kręcenia młyńca. Oba ostrza wirowały wspólnie, zgrzytając rozdzierającym tonem stała o stal. Nerwy przeciwników napięte były jak postronki, w dłoniach wibrowały im rękojeści broni.

Tomowi udało się wreszcie przekształcić starcie w próbę sił, gdyż al-Auf nie miał odwagi wycofać się ze zwania. Żeby to uczynić, musiałyby otworzyć gardę, a wiedział, że riposta chłopaka będzie szybka jak błyskawica. Było to klasyczne przedłużone zwanie, jakiego uczył Toma Aboli. "Dzięki tej sztuce Gundwane zabił Schreudera - powtarzał mu. - A był z tego Holendra wielki fehmistrz, najlepszy, jakiego widziałem, oczywiście po twoim ojcu".

Tom skoncentrował cały napór na nadgarstku i Jangiri odstąpił o krok. Klingi krażyły bez ustanku; po brunatnym, zmarszczonym z wysiłku czole Araba spływały strumyczki potu, zalewające mu oczy i kapiące z brody. Tom triumfował, czując, że przeciwnik słabnie. Rana Jangiriego obficie krwawiła, usta wykrzywiły się w straszliwym grymasie desperacji, a w oczach pojawiło się widmo rychłej śmierci. Tom zmienił nagle ustawienie nadgarstka, szpic jego szpady śmignął o cal od oczu al-Aufa i herszt korsarzy się poddał. Wbrew swojej woli rozluźnił uścisk na głowicy bułata i ten wysliznął mu się z ręki. Tom jednym szybkim skrzętem nadgarstka odrzucił broń przeciwnika daleko pod ścianę, gdzie padła z brzękiem na kamienną posadzkę.

Al-Auf chciał się rzucić ku drzwiom, Tom jednak już trzymał czubek szpady pod jego brodą i zmusił go do cofnięcia się pod ścianę. Chłopak oddychał ciężko i trwało chwilę, nim mógł przemówić.

- Jest tylko jedna rzecz, która może ci uratować życie - powiedział urywanym głosem. Al-Auf zmrużył oczy, zdumiony, że ten młody niewierny mówi doń płynnie po arabsku. - Oddaj mi frankijskiego chłopca, którego trzymasz w niewoli.

Jangiri patrzył nań szeroko otwartymi oczami. Zraniony przegub przyciskał do piersi, usiłując drugą ręką powstrzymać krwawienie.

- Odpowiadaj - ponaglił go Tom, naciskając mocniej

335

czubkiem szpady krtań pirata. - Mów, ty chwaście ze spleśniałego nasienia. Oddaj mi chłopca, a ujdiesz z życiem.

- Nie wiem, o jakim dziecku mówisz - odparł Arab, krzywiąc się pod ukłuciem stali.

- Wiesz doskonale. O tym z czerwonymi włosami - zbył jego zaprzeczenie Tom. Al-Auf wydał usta w pogardliwym uśmiešku.

- Po co ci al-Amhara? - zapytał z błyskiem nienawiści w oczach. - Czy to twój kochaś?

Dłoń Toma trzymająca szpadę aż zadrżała z gniewu pod wpływem tej obelgi.

- Al-Amhara to mój brat - odpowiedział.

- No to się spóźniłeś - zarechotał Jangiri. - Jest już tam, gdzie go nigdy nie znajdziesz.

Tom poczuł się tak, jakby na jego piersi zacisnęła się żelazna obręcz. Oddychał ciężko. Dorian zniknął.

- Kłamiesz - w zdenerwowaniu zniekształcał arabską wymowę. - Wiem, że jest gdzieś tutaj. Widziałem brata na własne oczy. I znajdę go.

- Dzieciaka nie ma na wyspie, szukaj sobie do woli - zaśmiał się al-Auf.

Tom pohamował ten chorobliwy śmiech ruchem szpady. Patrzył w ciemne oczy Araba, a w głowie miał mętlik.

- Nie! Ukryłeś gdzieś mojego brata. Okłamujesz mnie.

Postawa Jangiriego podpowiadała mu jednak, że tamten mówi prawdę. Czuł, że stracił Dorry'ego. Puste miejsce pozostałe w jego sercu po zniknięciu brata zaczęła wypełniać czarna rozpacz.

Oderwał ostrze od szyi Jangiriego i odwrócił się. Ruszył ku drzwiom, zdecydowany przetrząsnąć każdy zakątek wyspy, choćby tylko dla spokoju sumienia.

Al-Aufa tak zaskoczył jego gest, że przez moment stał jak wmurowany. Po chwili jednak jego zdrowa ręka opadła na rękojeść sztyletu w pochwie ze złotego filigranu u pasa. Lśniące ostrze zadzwieczało lekko, gdy je wyciągał.

Tom nie pograżył się jeszcze w rozpacz na tyle, by zignorować ostrzegawczy szmer. Zaczął się odwracać. Al-Auf pokonywał skokami dzielącą ich przestrzeń, wznosząc sztylet nad głowę, by ugodzić przeciwnika w plecy.

Ten zdradziecki atak zamienił żal Toma w furję. Rzucił się ku napastnikowi, mierząc szpicem klingi w środek jego

336

piersi. Szpada omsknęła się po żebrze Araba, przebiła serce i płuco i z drzeniem rękojeści zatrzymała się na kręgosłupie.

Al-Auf skamieniał, sztylet wyleciał mu z dłoni i stuknął o podłogę, nienawiść w czarnych oczach zgasła. Tom oparł obutą stopę na jego piersi i pchnął go do tyłu, uwalniając poczerwieniałą klingę.

Arab opadł na kolana i głowa zwisła mu w dół. Szał Toma jeszcze się nie wypalił.

Uniósł broń wysoko nad głowę i ciał z góry, wkładając w cios całą siłę ramion i nadgarstków, aż ostrze świsnęło w powietrzu. Opadło u nasady karku Jangiriego.

Jego głowa odskoczyła od chlustającej krwią szyi i pacnąwszy z mięsistym odgłosem o podłogę, potoczyła się do stóp Courtney'a.

Tom spojrzał na twarz pirata. Ciemne oczy Araba rozgorzały na chwilę, szeroko otwarte. Wargi się rozchyliły, jakby chciał coś powiedzieć. Za moment jednak powieki zatrzepotały, blask w oczach zgasł, a szczeka opadła bezwładnie.

- Załatwione, i to w jakim stylu! - zawołał od drzwi Aboli.

Wszedł do pokoju i zdjął z siebie arabską szatę. Następnie rozpostarł ją na podłodze i podniósł odciętą głowę, chwytając ją za włosy.

Tom przyglądał się, jak Murzyn zawija głowę w tkaninę. Nie czuł emocji ani skrupułów, widząc przesączającą się przez materiał krew. Aboli wstał i zarzucił sobie ponure brzemie na ramię.

- Zaniesiemy ją twojemu ojcu - rzekł. - Będzie dlań warta tytułu baroneta, kiedy zaprezentuje ją zarządcom szacownej Kompanii w Londynie.

Tom siedł za nim korytarzem, z obnażoną szpadą w dłoni, poruszając się jak lunatyk. Nie czuł cienia ulgi. Przygniatała go druzgocząca świadomość, że na zawsze stracił Doriana.

Chłopak przepychał się wśród ciżby marynarzy, przewalającej się po wnętrzu twierdzy. Zanosili się rubasznym śmiechem, wymieniając żartobliwe obelgi i plądrując jedno pomieszczenie po drugim.

Wszyscy Arabowie zostali rozebrani do naga. Majtkowie przekonali się już przecież, jak sprytnie jeńcy potrafią ukryć broń w obszernych fałdach burnusów. Kazali się obnażyć nawet kobietom. Na środku podwórca piętrzył się stos zdobyczego

337

oręża. Obok, na rozpostartym na ziemi żaglu, zgromadzono sakiewki mężczyzn i kobiece ozdoby ze złota i drogich kamieni.

Zrewidowanych odprowadzano pod północny mur dziedzińca, gdzie klęczał już tłum nagich brunatnych postaci. Strzegli ich roześmiani marynarze z kordami i odbezpieczonymi pistoletami w rękach.

Tom podszedł do pierwszego rzędu klęczących i wybrał starego Araba. Mimo nagości starszy mężczyzna miał godny wyraz twarzy, szlachetne rysy i inteligentne spojrzenie.

- Jak się zowiecie, starcze? - zapytał chłopak, siląc się na uprzejmy ton. Arab zdumiał się, słysząc ojczytą mowę, lecz odpowiedział na spokojne pytanie Toma.

- Nazywam się Ben Abram.

- Wyglądasz jak uczony mąż albo duchowny - pochlebił mu młody Courtney.

- Jestem medykiem.

- Na wyspie znajdował się pewien chłopiec, pojmany przez al-Aufa. Miał trzynaście lat i rude włosy. Czy go widziałeś?

- Wiem, o kim mówisz - odparł starzec i w Toma wstąpił nagle nowy duch.

- To mój brat - powiedział. - Czy wiesz, gdzie go ukryto? Czy jest tutaj? - dopytywał się natarczywie. Stary lekarz pokręcił jednak głową.

- Nie ma go. Al-Auf sprzedał go jako niewolnika.

Tom otrzymał w końcu potwierdzenie przechwałek Jan-giriego. Przez chwilę wydawało mu się, że nie jest w stanie przewyciężyć bólu, jaki mu to sprawiło.

- Kiedy to się stało? - zapytał w końcu. - Jak się nazywa człowiek, który kupił mojego brata?

Ben Abram ponownie pokręcił głową, lecz jego oczy unikały wzroku pytającego i pojawił się w nich wyraz czujności.

- Nie wiem - odparł cichym głosem.

Tom był przekonany, że stary kłamie, i jego dłoń powędrowała odruchowo do głowicy szpady. Zamierzał wydusić zeń zeznanie siłą. Widząc jednak jego zaciętą minę i stanowcze spojrzenie, poczuł intuicyjnie, że tą metodą niczego odeń nie wydobędzie.

Żeby zyskać czas do namysłu, zaczął rozglądać się po wnętrzu fortecy. Pod murami leżały trupy arabskich obrońców, a między

338

nimi zwijali się na ziemi jęczący z bólu ranni. Zawołał jednego ze sterników, który dowodził angielskimi wartownikami.

- Ten człowiek jest lekarzem - oznajmił. - Zwróćcie mu ubranie i niech opatrzy rannych nieprzyjaciół.

- Tak jest, panie Courtney. - Mężczyzna dotknął dłonią czoła.

Tom zwrócił się znów do Ben Abrama.

- Twoi ludzie potrzebują pomocy. Możesz im jej udzielić.

- Niechaj Allah wynagrodzi cię za twe współczucie - rzekł starzec. Wstał i odział się w burnus, rzucony mu przez sternika, po czym pośpieszył do pierwszego z ciężko rannych, leżącego pod rampą.

Tom musiał teraz znaleźć ojca i przekazać mu straszne wieści o najmłodszym synu. Rozejrzał się uważnie, a potem ruszył ku bramie. Po drodze rozpytywał każdego z napotkanych członków załogi Serapha.

- Czy widziałeś kapitana? Gdzie on może być?

Żaden z nich nie znał odpowiedzi i chłopak zaczął się martwić nie na żarty.

Nagle przy zrujnowanej bramie spostrzegł kapitana Andersena. Czerwony na twarzy,

ryczał na swoich majtków, usiłując zorganizować ich w grupy, które by w metodyczny sposób zaczęły przenosić na wybrzeże pirackie skarby, odkryte w licznych magazynach. Niektórzy z nich już uginali się pod ciężarem baryłek i skrzynek, niesionych w jedno miejsce za murami, skąd miały być przetransportowane na plażę i załadowane na statki.

Tom przepchnął się ku Andersenowi. Gdy ten go wreszcie zauważył, jego twarz nagle, ku zaskoczeniu chłopaka, wyraźnie złagodniała.

- Zabiłem al-Aufa! - zawołał Tom, przekrzykując zgiełk. - Aboli niesie jego głowę. - Pokazał na wysoką czarną postać z przerzuconym przez ramię tobołkiem.

- Matko Święta! - Kapitan Yeomana był pod wrażeniem. - Świetna robota! A już się zastanawiałem, czy łotr nam nie umknął. Ta głowa będzie warta w Londynie lakh rupii, jak nic.

- Za tamtymi drzwiami na końcu kruzganka są schody, które prowadzą do pokoju pełnego skrzynek ze złotem. Bóg jeden tylko wie, ile go zgromadził Jangiri. Sądzę, kapitanie Anderson, że dobrze będzie postawić tam na straży godnego zaufania oficera, zanim nasi chłopcy dobiorą się do tych skarbów.

339

Andersen krzyknął na swego bosmana i wydał mu odpowiednie rozkazy. Oficer odszedł z pięcioma wybranymi przez siebie ludźmi. Tom mógł wreszcie zadać pytanie, które od dłuższej chwili paliło go w język:

- Czy widział pan mego ojca, kapitanie? Szukam go i nie mogę znaleźć. Powinien przecież tu być i pomagać panu w dowodzeniu ludźmi.

Andersen opuścił wzrok; na jego twarzy ekscytacja ustąpiła miejsca litości.

- Oberwał, chłopcze. Widziałem, że padł po wybuchu baryłek z prochem pod bramą. Złe przeczucia Toma wypełniły się treścią. Poczul, jak chwyta go za serce lodowata dłoń strachu.

- Gdzie on jest, sir? - zapytał drżącym głosem.

- Ostatni raz widziałem go po drugiej stronie bramy. - W głosie Andersena brzmiało szczere współczucie. - Strasznie mi przykro to mówić, chłopcze, ale wygląda na to, że sir Hal prawie na pewno zginął.

Tom zostawił go i puścił się biegiem, zapomniawszy na moment nawet o Dorianie. Wdrapał się na blokującą bramę rumowisko i ujrzawszy na otwartym polu jakieś ciało, podbiegł do niego i opadł na kolana. Zwłoki były obnażone i straszliwie pokiereszowane. Spod obdartej skóry wyzierało żywe mięso. Tom nie był pewien, czyjego trupa ma przed sobą. Odwrócił delikatnie rozbitą głowę twarzą do góry.

- Danny - wyszeptał i poczuł, że zbiera mu się na płacz.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo kochał tego człowieka. Zamrugał, by powstrzymać łzy. Śmierć, oglądana z tak bliska, była gorsza niż nocne koszmary. Otwarte, wytrzeszczone oczy Dużego Daniela obsiadła chmara niebieskich much. Tom odegnał je i przymknął powieki zmarłego. Wstał niepewnie i ujrzał, że stoi przy nim Aboli.

- Gdzie jest ojciec? - zapytał. - Anderson powiedział, że był tutaj.

Na skraju lasu leżało około trzydziestu zabitych piratów, których marynarze dopadli podczas ucieczki. Teraz sprawdzali jednego po drugim, czy nie udaje nieżywego - co było ulubioną sztuczką Arabów - a także ogołacali ich ze wszelkich kosztowności. Nigdzie jednak nie widać było ciała, które mogłoby być trupem Hala Courtneya.

- Nie ma go tutaj - rzekł Aboli. - Na pewno go zabrali.

340

Tom podbiegł do jednego z marynarzy, kucającego przy martwym Arabie. Nie znał go, widocznie był z Yeomana.

- Czy widziałeś sir Henry'ego, kapitana Serapha! - zapytał, chwytając go za ramię.

- A jakże, chłopcze - odparł majtek. - Mocno oberwał. Zabrali go łapiduchy - pokazał w stronę zatoki garścią pełną złotych biżuterii.

Ponad drzewami widać było maszty całej eskadry. Gdy tylko na murach twierdzy wywieszono flagi oznaczające jej zdobycie, wszystkie trzy statki wpłynęły do zatoki. Tom pobiegł ścieżką przez zagajnik. Wypadł na plażę, a krok za nim Aboli. Spojrzał na wielkie żaglowce, zakotwiczone na spokojnych wodach laguny.

Pomiędzy nimi a plażą krążyła już chmara łodzi, wożąc na brzeg marynarzy, uwolnionych od swych obowiązków. Tom spostrzegł barkas z Serapha i zawołał, gdy tylko łódź dotknęła kilem piasku:

- Gdzie kapitan?

- Jest na pokładzie, paniczu Tomie - odkrzyknął sternik.

- Muszę być przy nim. Zawieźcie mnie na statek.

- Ma się rozumieć, paniczu. Wskakuj do łodzi.

Gdy barkas przybił do burty, Tom wspiał się po drabince jako pierwszy, a zaraz za nim Aboli. Na pokładzie zastali tylko garstkę marynarzy. Zgromadzeni przy relingu, wpatrywali się tęsknie w krzątanicę na wyspie, rwąc się do walki i plądrowania.

- Gdzie jest kapitan? - rzucił w biegu Tom.

- Zanieśli go do kajuty.

Chłopak skoczył do zejściówki, lecz pod drzwiami kabiny na rufie stanął jak wmurowany; dobiegł go głośny jęk, który poniósł się echem po pustym statku. Ręka Toma, wyciągnięta do klamki, zawisała w powietrzu. Nie mógł się zdobyć na otwarcie drzwi, przerażony tym, co może za nimi zobaczyć. Aboli zrobił to za niego. Zajrzeli do kajuty.

Pod oknem, gdzie było najlepsze światło, położono drewnianą kratę. Na niej leżał Hal, nad którym pochylał się doktor Reynolds w czarnym kitlu, roboczym stroju chirurga. Gruby wełniany fartuch pozieleniał ze starości i był sztywny od zaschniętej krwi. Medyk pocił się obficie w ciasnej kajucie. Ujrzawszy Toma, zawołał:

- Doskonale! Chodźże, chłopcze, nie stój tak z rozdziawioną gębą! Przyda mi się para silnych rąk.

341

Lekarz podwinał rękawy do łokci. Tom podszedł na ołowianych nogach do legowiska i spojrzał na poranione ciało ojca. Kabinę wypełniała ostra woń alkoholu. Jeden z pomocników medyka wlewał Halowi siłą do ust rum z butelki, w trzech czwartych już pustej. Trunek ściekał rannemu po policzkach i wsiąkał we włosy. Hal krztusił się i chociaż na wpół przytomny, próbował odwrócić głowę.

Tom wyrwał mężczyźnie butelkę z ręki.

- Ostrożnie, durna pało, przecież go dusisz! - zakrzyknął.

- Musi się napić, żeby nie czuć bólu - zaprotestował tamten.

Tom nie odpowiedział, lecz uniósł ojcu głowę, delikatnie jak niemowlęciu.

Podsunał mu butelkę i poił powoli, czekając, aż przełknie każdy łyk.

Spojrzał na poranione nogi. Reynolds nałożył na obu w połowie ud skórzane opaski, skręcone mocno, by powstrzymać krwawienie; mimo to krew wciąż ciekła.

Pod kratownicą postawili wiadro, do którego spływała. Rytmiczne kap-kap brzmiało w uszach Toma jak tykanie zegara, odmierzającego sekundy życia ojca.

Reynolds ukończył przygotowania i z płóciennej lekarskiej torby wyjął skalpel z trzonkiem z kości słoniowej. Tom pobladł; widok straszliwych okaleczeń aż przyćmił mu zmysły.

Wybuch poszarpał ciało, nadając mu barwę siekanej wątróbki. Krwawa masa pokryta była piaskiem i okruchami skały, jak wystrzelonym z rusznicy śrutem. Sterczały z niej, niczym groty strzał, białe odłamki kości.

Reynolds obmacał nogi. Pod jego dłońmi były miękkie i bez życia. Wydał usta i pokręcił ponuro głową.

- Trzeba je będzie uciąć... obie. Nie dam rady ich uratować - oznajmił.

- Nie! - jęknął Tom. - Nie wolno ci tego robić! Jak mógłby potem jeździć konno albo dowodzić statkiem? Zabraniam!

- W takim razie umrze. Nogi mu zgniją i gangrena zabije go w tydzień albo trochę szybciej, jeżeli będzie miał to szczęście. - Medyk skinał na pomocników. - Trzymajcie go!

Aboli podszedł bliżej i dojctor skinał także na niego.

- Ty też, przyda nam się ktoś silny. Chirurg sprawdził opuszkami kciuka ostrość skalpela, który wyglądał w oczach Toma raczej jak rzeźnicki nóż. Na ostrzu,

342

w miejscach, których nie obmyto dokładnie z krwi, widniały plamki rdzy.

- Paniczu Tomie, trzymaj mu głowę. - Reynolds podał mu drewniany klin. - Wsadź mu to między zęby. Musi mieć co gryźć, gdy go dopadnie ból, inaczej połamie sobie zęby.

Zmoczył gąbkę w misce z gorącą wodą i oczyścił trochę lewą nogę Hala z brudu i krwi, żeby widzieć, gdzie wykonać pierwsze cięcie. Następnie skręcił mocniej opaskę i przejechał ostrzem skalpela po naprężonej skórze. Tom, wciskający klin między zęby ojca, poczuł, jak jego ciało drży i wygina się w łuk, a wszystkie mięśnie i ścięgna napinają się niczym cięciwa.

Z krtani Hala wydobył się okropny krzyk. Ranny zagryzł klin, aż zatrzeszczało drewno. Tom starał się utrzymać nieruchomo jego głowę, szarpiącą się na boki, lecz ojciec walczył z siłą szaleńca.

- Trzymajcie go! - warknął Reynolds, tnąc głębiej.

Aboli i pomocnicy z trudem powstrzymywali potężne konwulsje Hala. Usłyszeli tarcie stali o kość. Doktor odłożył skalpel i wyciągnął z torby kłębek czarnego katgut. Zaczął zawiązywać końce otwartych żył, które mimo opaski cały czas mocno krwawiły. Strumyczki krwi spływały do wiadra pod kratą. Tom wprost nie mógł uwierzyć, że człowiek ma jej w sobie aż tyle.

Reynolds wyciągnął teraz piłę i sprawdził ostrość jej zębów. Lewą dłonią uchwycił operowaną nogę niczym stolarz belkę, umieścił brzeszczot w głębokim rozcięciu i zaczął piłować.

Stalowe zęby zazgrzytały przeraźliwie o kość. Hal, choć trzymało go czterech mężczyzn, zgiał się wpół i jego tułów znalazł się w pozycji siedzącej. Głowę odrzucił do tyłu, ścięgna na szyi i barkach napięły mu się jak postronki i wystąpiły spod ociekającej potem skóry. Z rozdziawionych ust wydobył się kolejny straszliwy wrzask, który poniósł się echem w najdalsze zakamarki statku. Zaraz jednak jego wyprężone ciało oklapło i padło bezwładnie na leże.

- Dzięki ci za to, Panie Boże - mruknął Reynolds. - Teraz musimy się pośpieszyć, zanim się znowu ocknie.

Wykonał jeszcze trzy ruchy piłą i kość się rozdzieliła. Chirurg ponownie wziął do ręki skalpel.

- Zostawię mu dużo ciała, żeby kość była dobrze okryta - oznajmił, kilkoma wprawnymi cięciami kształtując mięso od spodu kikuta.

343

Amputowana noga wreszcie odpadła. Tom aż stracił dech. Jeden z pomocników odrzucił ją na bok i legła na podłodze kajuty jak świeżo wyłowiony wątlusz na pokładzie rybackiej łodzi, kurcząc się lekko, w miarę jak obumierały nerwy. Doktor przewłókł kawałek katgut przez oczko igły do żagli i obłożył kikut pozostawionym pościem ciała. Pomrukując gardłowo, zaczął zaszywać nogę drobnymi, zgrabnymi szwami. Z rany wystawały końcówki nici, którymi zawiązał przedtem żyły.

W końcu wstał i przekrzywiwszy na bok głowę, przyjrzał się swemu dziełu, niczym hafciarka kawałkowi robótki.

- Ładnie - stwierdził. - Bardzo ładnie, jeżeli nawet to tylko moja opinia. - Z jego ust wydobył się gdaczący dźwięk, świadczący o zadowoleniu. Zaszyty kikut przypominał Tomowi głowę noworodka... okrągłą, łysą i zakrwawioną. - Zobaczmy teraz, co z tą drugą. - Reynolds skinął na pomocnika.

Mężczyzna chwycił drugą nogę Hala za kostkę i wyprostował ją. Ból dotarł do rannego poprzez zasłoną nieświadomości. Zajęczał przejmująco i poruszył się słabo, lecz już go trzymali.

Medyk zbadał dokładnie nogę, zaczynając od uda poniżej opaski i obmacując ją aż do kolana i dalej. Silne krępe palce chirurga wbijały się głęboko w ciało w poszukiwaniu złamań.

- Nie jest tak źle - powiedział w końcu. - Sądzę, że można zaryzykować cięcie znacznie niżej. Ocalimy kolano. Dorobi się drewnianą nogę i może nawet będzie mógł chodzić o kulach.

Do oszołomionego tym wszystkim Toma dotarła nagle świadomość, że jego ojciec, który był zawsze pełnym wigoru ośrodkiem życia całej rodziny, mógłby już nigdy nie chodzić. Myśl o tym była jeszcze trudniejsza do zniesienia niż straszliwe sceny, których był właśnie świadkiem.

Reynolds wziął zakrwawiony skalpel i wykonał pierwsze cięcie na drugiej nodze. Hal szarpał się i krzyczał pod śliskimi od potu dłońmi Toma, rozgryzając drewniany klin na drzazgi.

Chłopak stękał i dyszał ciężko z wysiłku, starając się utrzymać głowę ojca i jednocześnie walcząc z falami nudności, które go ogarnęły na widok drugiej odpiłowanej nogi, kiedy upadła obok legowiska na pochłapaną krwią podłogę. Tym razem Halowi nie dane było błogosławieństwo utraty przytomności. Musiał wytrzymać straszliwą udrękę cięcia i piłowania. Tom obserwował z przerażeniem, ale i nie bez dumy, jak jego ojciec

344

zmaga się dzielnie z cierpieniem. Poddawał się tylko w momentach najstraszliwszego bólu, lecz nawet wtedy starał się zdusić w sobie krzyk. Wreszcie operacja dobiegła końca i Tom pochylił się nad Halem, szepcząc mu do ucha:

- Już koniec, ojcie. Już po wszystkim.

Wprost trudno było uwierzyć w to, że Hal go usłyszał i zrozumiał. Usiłował się uśmiechnąć, ale był to okropny uśmiech. Wargi ułożyły mu się w słowo "dziękuję", lecz z udręczonej krtani nie wydobył się głos. Napływające do oczu łzy na chwilę przesłoniły Tomowi widok. Pohamował je jednak i nagle pocałował ojca w usta, czego nie robił, odkąd sięgał pamięcią. Hal nie próbował nawet odwrócić głowy, żeby uniknąć tej pieśczoły.

Ned Tyler podbiegł do Toma, gdy tylko zobaczył go wychodzącego spod pokładu.

- I co z nim? - zapytał.

- Żyje - odparł chłopak. Zorientował się natychmiast, jak bardzo zatroskany o swego kapitana jest ten twardy żeglarz, i zdjęła go litość. - Trzyma się jakoś - dodał. - Co z tego będzie, okaże się za kilka dni. Doktor powiedział, że musi teraz odpoczywać.

- Dzięki ci, Boże, choć za to - rzekł Ned i spojrzał na Toma wyczekująco.

Młody Courtney nie rozumiał w pierwszej chwili, o co chodzi, zaraz jednak uświadomił sobie, że Ned spodziewa się odeń wydania rozkazu. Wzdragał się przed tym, czując się zbyt zmęczony i niepewny, by przyjąć na swe barki tak wielką odpowiedzialność. W końcu jednak się przemógł i zebrał w sobie.

- Najważniejsze teraz, to odszukać naszych rannych - powiedział. - Niech doktor Reynolds się nimi zajmie.

- Tak jest, panie Courtney. - Ned z wyraźną ulgą zabrał się do wypełniania polecenia.

Jak łatwo to wszystko się stało, zdumiał się Tom w duchu. Nagle nie był już paniczem, lecz panem Courtneyem. Dowodzenie przechodziło nań z natury rzeczy, jako na syna Hala. Nie skończył jeszcze osiemnastu lat i nie miał oficcerskiego patentu, ale Seraph nie był okrętem wojennym. Chłopak zaś

345

dowiódł już niejednokrotnie, że ma głowę na karku i nadzwyczaj dzielnie spisuje się w walce. Oficerowie i majtkowie darzyli go sympatią. Nie było nad czym się zastanawiać. Skoro jego kapitańskie prawo zaakceptował sam Ned Tyler, uczynić to musiała cała załoga.

Zastanawiał się, co kazałby mu teraz zrobić ojciec. Instynktownie pragnął znaleźć się znów przy jego łóżku i opiekować się nim, dopóki się nie wzmocni. Wiedział jednak, że doktor Reynolds z pomocnikami poradzi sobie dużo lepiej w doprowadzeniu Hala do zdrowia.

Zdecydował się szybko. Kazał Nedowi zabezpieczyć statek i dopilnować codziennych rutynowych czynności na pokładzie, a potem powiedział:

- Zostawiam Serapha w twoich rękach, panie Tyler. - Słowa, wypowiedane po tylekroć przez ojca, płynęły gładko z jego ust. - Udaję się na brzeg, objąć tam dowodzenie.

- Tak jest, sir - odparł Ned.

Tom wrócił do twierdzy, z Abolim u swego boku. Zaprowadzono tam już jaki taki ład, lecz Andersen ze swymi ludźmi zajmował się głównie plądrowaniem kolejnych magazynów. Na środku dziedzińca piętrzył się stos skrzynek i pakunków, do którego biegający bezładnie marynarze Yeomana wciąż dokładali nowe zdobycze.

- Kapitanie Anderson! - zawołał Tom, przekrzykując zgiełk. - W lesie są ze trzy albo cztery setki nieprzyjaciół, wielu z nich ma broń. Trzeba obsadzić blanki, by zabezpieczyć się przed kontratakami.

Anderson spojrzał nań, jakby nie rozumiejąc. Tom jednak ciągnął stanowczo:

- Proszę zlecić któremuś z pańskich oficerów dowodzenie artylerią fortu. Niech załaduje działa kartaczami i wyceluje w skraj lasu.

Twarz Andersena, już i tak purpurowa, nabiegła krwią jeszcze bardziej.

Znajdujący się w pobliżu marynarze jeden po drugim przerywali swoje zajęcia i z rozdziawionymi ze zdumienia ustami przyglądali się całej scenie.

- Potem niech pańscy ludzie zabarykadują porządnie bramę - kontynuował Tom. Był wzrostu Andersena i wytrzymał jego pałające spojrzenie bez mrugnienia okiem.

346

Kapitan wpatrywał się weń jeszcze przez dłuższą chwilę i wydawało się, że zaraz odmówi wykonania poleceń młodziaka. W końcu odwrócił wzrok i spojrzał na rozwaloną bramę i swoich puszczonej zupełnie samopas marynarzy, nieprzygotowanych na jakikolwiek atak. Żaden rozsądnie myślący człowiek nie mógłby w tej sytuacji zaprzeczyć, że Tom ma rację.

- Panie McNaughton! - ryknął kapitan głosem przesadnie tubalnym, choć jego mat stał pięć kroków dalej. - Pięćdziesięciu ludzi do budowy barykady w bramie, a setka do obsadzenia armat. Załadować kartaczami i trzymać cel na przedpole twierdzy. - Odwrócił się z powrotem do Toma.

- Zostały nam najwyżej dwie godziny do zapadnięcia zmroku - powiedział chłopak.

- Wykurzymy uciekinierów z lasu jutro o pierwszym brzasku. - Spojrzał na szeregi nagich jeńców, klęczących na ziemi. - Dla zwykłej ludzkiej przyzwoitości proszę tych ludzi przydziać i dać im wody. Potem zamknijemy ich w celach. Ilu naszych odniosło rany?

- Nie jestem pewien - odparł ze skruszoną miną Andersen. Czerwień powoli odpłynęła z jego twarzy.

- Niech pański pisarz sporządzi zestawienie rannych i zabitych - polecił Tom. - Rannych proszę jak najszybciej przetransportować na nasze statki, gdzie zajmą się nimi medycy.

Tom rozejrzał się szybko. Ben Abram, arabski lekarz, opatrywał rannych korsarzy. Ktoś rozsądny przydzielił mu do pomocy czterech jeńców.

- Jutro musimy pogrzebać naszych zabitych, nim zaczną zatruwać powietrze - powiedział. - Muzułmanie mają swój własny obrządek chowania zmarłych i chcą uszanować ich tradycję, chociaż to piraci.

Pracował z pomocą Andersena jeszcze długo po zachodzie słońca. Przy świetle pochodni zdołali wreszcie zaprowadzić porządek wśród marynarzy. Fort został zabezpieczony przed napaścią, a zdobyte łupy umieszczone pod ścisłą strażą. Pod koniec Tom słał się na nogach ze zmęczenia. Piekła go płytka rana na udzie, zadana przez al-Aufa i bolały wszystkie mięśnie.

- Już jest bezpiecznie, Klebe. O wszystko zadaliśmy. Możesz spokojnie odpocząć - usłyszał słowa wypowiedziane przez Abolego, który nagle zjawił się u jego boku.

- Jest jeszcze jedna sprawa, która nie może czekać do jutra - odparł chłopak i poprowadził go za bramę do miejsca,

347

gdzie leżał Duży Daniel. Zawinęli jego wielkie ciało w płachtę płótna żaglowego i kazali marynarzom zanieść je na noszach na plażę.

Dopiero po północy Tom zwlókł się po zejściówce do kabiny kapitańskiej Serapha. Przy koi Hala czuwał jeden z pomocników Reynoldsa.

- Zastąpię cię - powiedział Tom i gdy mężczyzna odszedł, położył się przy łóżku ojca na gołej podłodze.

Jęki chorego budziły go tej nocy dwukrotnie. Raz podał mu wodę, o którą prosił, a potem podsunął cynowy nocnik. Widząc ojca tak bezradnego, niemal jak niemowlę, czuł przygnębienie i zakłopotanie. A jednak przyćmiewała te uczucia radość z faktu, że może mu być pomocny.

Obudził się sam przed świtem. Przez jedną straszną chwilę wydawało mu się, że ojciec umarł. Dotknął jego policzka; był ciepły. Przystawił mu do ust stalowe lustro do golenia i z ulgą stwierdził, że zamgliło się parą oddechu. Ojciec cuchnął wprawdzie kwaśnym odorem alkoholu, ale żył.

Tom najchętniej byłby z nim został, wiedział jednak, że Hal nie tego by od niego oczekiwał. Zostawił go więc pod opieką ludzi Reynoldsa, a sam jeszcze przed wschodem słońca powrócił z Abolim na wyspę.

Czekało go tam mnóstwo roboty. Najpierw polecił panu Walshowi, by przy pomocy pisarza z Yeomana zinwentaryzował i policzył skarby zdobyte na piratach. Andersen kierował pakowaniem tych rzeczy i pieczętowaniem skrzyń. Przenoszono je następnie na plażę, gdzie pilnował ich zaufany oficer z uzbrojonymi wartownikami.

Potem Tom posłał po Ben Abrama. Starzec wyglądał na wyczerpanego, jakby w ogóle nie spał tej nocy.

- Wiem, że wasz zwyczaj nakazuje grzebać umarłych przed zachodem słońca w dzień po śmierci - rzekł do Araba.

- Znasz nasze zwyczaje tak dobrze jak mowę - odparł lekarz, kiwając głową.

- Ilu ich macie?

Ben Abram westchnął z ponurą miną.

- Trzystu czterdziestu trzech, z tego co zdołałem policzyć.

- Jeżeli zaręczysz mi słowem, że wszystko będzie w porządku, zwolnię pięćdziesięciu waszych ludzi do kopania grobów - obiecał mu Tom. << -

348

Ben Abram wybrał na miejsce pochówku odległy kąt starego muzułmańskiego cmentarza i zapędził swoich ludzi do pracy. Miękką piaszczystą glebę kopało się łatwo i szybko. Do południa Arabowie zdążyli przenieść na cmentarz wszystkie zwłoki, poowijane w płachty czystej bawełnianej tkaniny. Bezgłowe ciało al-Aufa umieszczono na środku długiego rzędu trupów, leżących w płytkim wykopie, po czym zasypano wszystkie ziemią. Ben Abram odmówił modlitwy za umarłych, a potem odszukał Toma na plaży.

- Modlę się do Allaha o błogosławieństwo dla ciebie za twe współczucie - oznajmił starzec. - Gdyby nie twoje litościwe serce, żaden ze zmarłych nie mógłby przekroczyć bram raju. Oby pewnego dnia człowiek, który zabije ciebie, potraktował twe ciało z tym samym uważaniem.

- Dziękuję, stary ojcze - odparł ponuro Tom. - Lecz moja litość dotyczy tylko zmarłych. Żywi będą musieli odpowiedzieć za swe zbrodnie.

Zostawił Araba i poszedł do miejsca, gdzie czekało nań trzystu pięćdziesięciu marynarzy pod dowództwem Abolego i Alfa Wilsona; w ich liczbie Holendrzy, uwolnieni z kazamat Jangiriego.

- Musimy teraz wyłapać tych, którzy uciekli z fortu do lasu - rozkazał.

Postanowił zaprząć do pomocy wiejący w niezmiennym kierunku monsun. Podzielił marynarzy na małe grupy, które miały za zadanie podłożyć ogień w wielu miejscach u wschodniego krańca palmowego gaju. Roślinność zajęła się szybko; płomienie sunęły z głośnym poszumem po suchym poszyciu, popędzane wiatrem. Ukryci w lesie Arabowie musieli uciekać przed pożarem.

Kiedy wybiegli na otwartą przestrzeń, niewielu miało ochotę do walki. Rzucali broń i błagali o litość. Marynarze odprowadzali ich do pojmanych towarzyszy i przed wieczorem niemal wszyscy uciekinierzy zostali osadzeni w twierdzy.

- Jedyne źródło słodkiej wody na wyspie to cysterny z deszczówką w forcie - powiedział Tom do Andersena, gdy o zachodzie słońca spotkali się na plaży. - Jeśli któremuś udało się ująć obławie, będzie się musiał poddać jutro do południa albo umrzeć z pragnienia.

Kapitan Yeomana przyglądał się uważnie chłopcu, który tak błyskawicznie przeistoczył się w mężczyznę. Tom miał twarz

349

poczerniałą od sadzy, a koszulę poplamioną krwią, niektórzy z Arabów bowiem woleli podjąć walkę, niż liczyć na wątpliwe miłosierdzie ferenghi. Pomimo bitewnego /męczenia młody Courtney trzymał się prosto, a w jego głosie pobrzmiwała nowa, stanowcza nuta. Andersen przekonał się już, że ludzie wykonują bez wahania rozkazy młodzieńca. Mój Boże, pomyślał, szczeniak w ciągu jednej nocy stał się bojowym psem. Nosi się i wygląda jak własny ojciec. Nie chciałbym chyba stanąć na drodze żadnemu z nich.

Nie kwestionując już swej podległości, kapitan Yeomana złożył raport:

- Pisarze ukończyli przeliczanie łupów. Ręczę, że rezultat zaskoczy pana tak samo jak mnie. Wartość samego tylko złota sięga trzech lakhów, według ostrożnych szacunków.

- Proszę kazać podzielić je na cztery równe części - powiedział Tom. - Każdą należy umieścić w zaniknięciu na jednym z naszych statków, włącznie z Lambem.

- Jak sądzę, sir Henry wolałby mieć całość pod swoją pieczę - Andersen wyglądał na zaskoczonego tą decyzją.

- Kapitanie Andersen, czeka nas długa podróż z powrotem do Anglii. Możemy się spodziewać jeszcze wielu niebezpieczeństw i niespodzianek, choćby ze strony pogody. Co będzie, jeśli zrzadzeniem złego losu stracimy akurat ten statek, na którym będzie całe złoto? Dzieląc je, ryzykujemy wtedy utratę tylko czwartej jego części.

Czemuż, u diabła, sam nie wpadłem na ten pomysł? - zastanawiał się kapitan Yeomana, po czym powiedział z wahaniem:

- Masz rzeczywiście głowę na karku... - niemal nazwał Toma "chłopcem" - ...panie Courtney. Zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

- Mamy dwudziestu sześciu rannych, z tego pięciu ciężko - kontynuował Tom. - Niech cieśle wybudują dla nich przewiewne i wygodne schronienie na brzegu i wyposażą je w prycze. Co do zabitych zaś - chłopak spojrział na osiem owiniętych w płótno ciał, leżących w cieniu drzew - niech ich przewiozą na Minotaura. Urządzimy im porządny morski pogrzeb. Minotaur pożegluje na pełne morze jutro o pierwszym brzasku. Czy będzie pan tak dobry i poprowadzi ten obrządek, kapitanie?

- Będzie to dla mnie zaszczyt, sir.

350

- Dziękuję. Każę teraz panu Walshowi wydać z ładowni beczkę brandy. Aboli zamarynuje w niej głowę al-Aufa.

Kiedy Tom wszedł do kabiny na rufie, Hal poruszył się niespokojnie na pryczy i zapytał szeptem:

- Czy to ty, mój synu?

Chłopak natychmiast uklęknął przy nim.

- Ojcze, jak to wspaniale, że jesteś już z nami. Leżałeś bez przytomności przez całe trzy dni.

- Trzy dni, tak długo? Opowiedz mi, co się przez ten czas wydarzyło.

- Zwyciężyliśmy, ojcze. Dzięki twojemu poświęceniu zdobyliśmy fort. Al-Auf nie żyje. Aboli marynuje jego głowę w beczce brandy. Zdobyliśmy olbrzymie łupy.

- A Dorian? - zapytał Hal.

Tom poczuł, jak cała radość go opuszcza. Spojrział w twarz ojca. Była tak blada, jakby ją posypano mąką, a pod oczami widniały czerwone półksiężyce.

- Doriana tu nie ma - wyszeptał nie głośniej od Hala.

Ten zamknął oczy i Tomowi wydawało się, że znowu zemdlał. Przez długą chwilę panowało milczenie, potem chłopak zebrał się do odejścia. Hal jednak otworzył oczy i powtórzył pytanie:

- Gdzie on jest? Gdzie jest mój syn?

- Jangiri sprzedał go w niewolę. Ale nie wiem komu. Pewne jest tylko, że musi być gdzieś na kontynencie.

Hal wyteżył się, by usiąść, lecz nie miał siły podnieść z siennika choćby ramion.

- Pomóż mi, Tom - powiedział. - Pomóż mi wstać, muszę wyjść na pokład. Trzeba przygotować statek i popłynąć szukać Doriana.

Tom wyciągnął rękę, by go powstrzymać, myśląc jednocześnie: on nic nie wie. Ogarnął go smutek tak głęboki, że aż obezwładniający. Jakże mam mu o tym powiedzieć?

- Dalejże, chłopcze. Pomóż mi usiąść. Jestem słaby jak nowo narodzony żrebak.

- Ojcze, nie możesz chodzić. Obcięli ci nogi.

- Nie gadaj bzdur, Tom. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Hal był już tak podenerwowany, że chłopak obawiał się, żeby sobie nie zrobił jakiejś krzywdy. Doktor Reynolds prze-

351

strzegł go, że każdy gwałtowniejszy ruch rannego może naruszyć arterie i wywołać ponowne krwawienie. Muszę go przekonać, dla jego własnego dobra. Tom pochylił się nad Halem i odchylił lekką bawełnianą narzutę, którą był przykryty.

- Wybacz mi, ojczu. Muszę ci to pokazać. - Podłożył ostrożnie ramię pod plecy rannego i uniósł go na tyle, by mógł zobaczyć dolną połowę swego ciała. Skrócone kończyny wyglądały groteskowo. Leżały bezwładnie, spowite w grube zwoje bandaży pokrytych brudnobrazo-wymi plamami zaschniętej krwi. Hal wpatrywał się w nie przez długą chwilę, a potem opadł z powrotem na poduszki. Tom znowu miał wrażenie, że ojciec stracił przytomność. Zaraz jednak zobaczył, że spomiędzy jego mocno zaciśniętych powiek wypływają łzy. Widok płaczącego ojca był niemożliwy do zniesienia. Chłopak zrozumiał, że musi go teraz zostawić samego, by mógł dojść do ładu z własnym przeznaczeniem. Przykrył kołdrą okropnie okaleczone ciało i na palcach wycofał się z kajuty, zamykając jak najciszej drzwi. Gdy wyszedł na pokład, u burty Serapha czekał już barkas gotowy przewieźć go na Minotaura.

Na kwarterdeku bratniego statku kapitan Anderson rozmawiał cicho z Alfem Wilsonem. Tom spojrzął na osiem ciał zawiniętych w żaglowe płótno. Każde leżało na osobnych drewnianych marach, a w nogach wszystkich całunów zaszyto armatnią kulę. Rozpoznał zwłoki Dużego Daniela, wyróżniające się potężnymi rozmiarami. Pozostali wyglądali przy nim jak karły.

- Panie Wilson, proszę ruszać w drogę. Kurs na przesmyk, jeśli łaska - zwrócił się do Alfa.

Czerń żagli Minotaura dobrze współgrała z ponurym celem ich eskapady. Opuściwszy wyspę, statek skierował się na zachód. Woda pod jego kilem stopniowo zmieniała barwę - od turkusowej zieleni płycizn do głębokiego fioletu morskiej głębi.

- Zwrot do wiatru, bardzo proszę, panie Wilson. Minotaur ustawił się pod wiatr i Edward Anderson zaczął recytować górnolotne słowa pogrzebowej liturgii.

- Z otchłani zawezwałem cię do siebie...

Wiatr wtórował mu żałośliwie w olinowaniu, a Tom stał z odkrytą głową przy grotmaszcie, rozpamiętując, ilu bliskich stracił w ciągu ostatnich niewielu dni. Brata, przyjaciela i - prawie - ojca.

352

- Powierzamy zatem ich ciała głębiom oceanu...

U wezłowia mar stali marynarze. Po tych słowach wszyscy unisono podnieśli jeden ich koniec i owinięte w kir ciała ześliznęły się za burtę, nurkując w morze stopami w dół. Ciężkie żelazne kule natychmiast pociągnęły je w głębinę.

Alf Wilson skinął na działomistrzów, by oddali salut. Huknęły kolubryny, w powietrze wystrzeliły smugi srebrzystego dymu.

- Żegnaj, Duży Danielu. Żegnaj, stary druhu - szepnął Tom.

Wieczorem siedział przy łożu ojca i cichym głosem opowiadał mu o wydarzeniach tego dnia. Nie był właściwie pewien, czy jego słowa docierają w pełni do chorego, Hal bowiem nic nie mówił i zdawał się popadać co jakiś czas w omdlenie. Snując swą opowieść, Tom czuł się jednak bliższy ojcu duchem. Pomagało mu to uśmierzyć poczucie osamotnienia, którego doświadczał jako dowódca, niosąc to uciążliwe brzemie po raz pierwszy w życiu.

Gdy zamilkł i wstał, zamierzając udać się na swe legowisko na pokładzie, Hal poszukał jego dłoni i ścisnął ją słabo.

- Dobry z ciebie chłopak, Tom - wyszeptał. - Chyba najlepszy ze wszystkich. Chciałbym tylko... - przerwał, pozwalając dłoni Toma wyśliznąć się ze swojej, głowa osunęła mu się na ramię i cicho zachrapał. Syn nie dowiedział się, jakie było pragnienie ojca.

Kolejne dni przynosiły zauważalną, choć nieznaczną jeszcze poprawę stanu zdrowia Hala. Potrafił już skupić się przez kilka minut na relacjach Toma i rzadziej popadał w omdlenie.

Po tygodniu chłopak mógł już pytać go o radę i otrzymywał rzeczowe odpowiedzi. Doktor Reynolds jednak, zapytany, kiedy rekonwalescent wzmocni się na tyle, żeby zniósł powrotny rejs do Anglii, pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Szwy będą mógł usunąć za trzy dni, to jest w dwa tygodnie po operacji - powiedział. - Jeżeli nawet pozeglujemy dopiero za miesiąc od dziś, wciąż będzie to dla niego poważne ryzyko. Szczególnie przy niełaskawej pogodzie. Żeby był

całkiem bezpieczny, powinniśmy odczekać przynajmniej dwa miesiące. Tyle mu trzeba na powrót do sił.

353

Tom odszukał Andersena, który zajęty był rozmieszczaniem na statkach ciężkiego ładunku łupów. Były to głównie przyprawy i tkaniny, wśród nich przepiękne chińskie jedwabie.

- Kapitanie, skonsultowałem z ojcem sprawę arabskich jeńców - oznajmił.

- Mam nadzieję, że nie przyszedł wam do głowy pomysł puszczenia ich wolno. To piraci, bez dwóch zdań. Są winni śmierci setek uczciwych marynarzy.

- Nigdy byśmy nie przystali na takie rozwiązanie - uśmierzył jego obawy Tom. - Poza wszystkim byłoby to po prostu niebezpieczne. Ta banda rekinów znowu zaczęłaby grasować po morskich szlakach.

- Rad jestem, że to słyszę - rzekł Andersen. - Ich los powinien się wypełnić na końcu sznura.

- Według ostatnich obliczeń mamy pięciuset trzydziestu pięciu jeńców, kapitanie - odparł Tom. - Potrzeba by nam było mnóstwo sznura i nie starczyłoby nam rej do wieszania takiej masy ludzi.

Andersen rozważał logistyczne aspekty egzekucji, pykając fajkę.

- Z drugiej strony, każdy z nich wart będzie na targu niewolników co najmniej trzydzieści funtów - kontynuował młody Courtney.

Anderson wytrzeszczył nań swe jasnoniebieskie oczy. Coś takiego nie przyszło mu w ogóle do głowy.

- Bóg mi świadkiem, że zasłużyli na to - rzekł w końcu. - Lecz nie możemy ich sprzedać w Zanzibarze. Sułtan nigdy się nie zgodzi, żeby na jego targach handlowano muzułmanami; to by nas kosztowało kolejną wojnę.

- Holendrzy natomiast nie będą mieli takich zastrzeżeń - zauważył Tom. - Bez przerwy poszukują dobrych niewolników do pracy na plantacjach cynamonu na Cejlonie.

- Masz rację, panie Courtney - zachichotał zachwycony Anderson. - To wprawdzie pięć tysięcy mil w obie strony, lecz wiatry mamy sprzyjające, a przy trzydziestu funtach za głowę opłaci się nadłożyć taki szmat drogi. - Przeliczył szybko w myśli. - Na niebiosy, toż to prawie szesnaście tysięcy funtów jak obszył! - Milczał przez chwilę, licząc, ile sam z tego będzie miał, a potem dodał z uśmiechem: - W magazynach al-Aufa jest dość niewolniczych łańcuchów, żeby wyposa-

354

żyć w nie wszystkich jego ludzi. To się nazywa sprawiedliwość, nie ma co!

_ Doktor Reynolds uważa, że ojciec wydobrzeje najwcześniej za dwa miesiące. Do tego czasu nigdzie nie popłyniemy. Proponuję, by załadował pan jeńców na Yeomana i dostarczył wszystkich do Colombo. Sprzeda pan ich holenderskiemu gubernatorowi kolonii i wróci do nas. Ja tymczasem pošlę zdobyty dhow na Glorietty, żeby przyprowadził Lamba. Potem wrócimy do Anglii w konwoju czterech statków. Przy sprzyjającym wietrze i z bożą pomocą możemy rzucić kotwicę w Ply-mouth przed Bożym Narodzeniem.

Nazajutrz zaczęli ładować pojmany Arabów na statek. Do zakuwania ich w kajdany zatrudniono kowali ze wszystkich trzech żaglowców. Więźniów łączono łańcuchami w dziesięcioosobowe grupy, które pędzono na wybrzeże.

Tom odwiedził z Reynoldsem polowy lazaret, zaimprovizowany pod dachem z palmowych liści na skraju zagajnika. Starał się dodać otuchy rannym marynarzom i trochę ich rozweselić. Dwóch zmarło już na skutek gangreny, czterech jednak wyzdrowiało na tyle, że mogli wrócić do swych obowiązków na statku. Doktor rokował, że pozostali szybko dołączą do tych ostatnich.

Po opuszczeniu szpitala Tom przyglądał się przez pewien czas jeńcom prowadzonym w kajdanach do czekających na plaży barkasów. Czuł mimo wszystko skrupuły, że skazuje ich na życie w niewoli. Holendrzy raczej nie słynęli z łagodności w traktowaniu więźniów. Sam nasłuchiwał się dość na ten temat od ojca, Dużego Daniela i Abolego, którzy spędzili trzy lata w holenderskich kazamaty na Przylądku Dobrej Nadziei. Pocieszała go myśl, że nie podjął tej decyzji sam. Nakaz przewiezienia jeńców na Cejlon sporządził i podpisał Hal, upoważniony do tego królewskim pełnomocnictwem. Andersona cieszyła z kolei perspektywa pokaźnego zysku ze sprzedaży. Bądź co bądź Arabowie byli naprawdę okrutnymi

korsarzami. Na myśl o Donanie, któremu zgotowali równie ponury los, wszelkie współczucie dla nich opuściło Toma.

Wynegocjował jednak ze starszymi mężczyznami, by oszczędzono kobiety i dzieci z fortu. Było tych nieszczęsnych istot Pięćdziesiąt siedem, wśród nich kilkumiesięczne niemowlęta, wiele z arabskich kobiet było w stanie brzemiennym.

Wzruszyło

355

go, że pięć z nich wolało towarzyszyć swym mężom w niewolę, niż znieść rozłąkę z nimi. Pozostałe zamierzał odesłać do Zanzibaru przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Zbierał się już do odejścia, gdy wpadła mu w oko znajoma twarz i srebrna broda Ben Abrarna.

- Przyrowadźcie tego człowieka do mnie - rozkazał strażnikom.

Odczepili kajdany starca od łańcucha i zaciągnęli go przed oblicze kapitana.

- Niechże was kiła zeżre - ofuknął ich Tom. - To stary człowiek i powinniście go traktować z większym uważaniem. - Jak to się stało, że ktoś taki jak ty zadał się z Jangi-rim? - zwrócił się z kolei do Ben Abrarna.

Ten wzruszył ramionami.

- Chorzy są wszędzie, nawet między korsarzami - odparł. - Jeżeli ktoś przychodzi do mnie się leczyć, nie pytam go o jego cnoty i występki.

- Czy to znaczy, że traktowałeś niewiernych niewolników al-Aufa na równi z prawdziwymi wyznawcami Allaha? - zdumiał się Tom.

- Oczywiście. Taka jest wola Współczującego.

- Zajmowałeś się więc moim bratem? Pocieszałeś go?

- Twój mały braciszek to czarujący chłopiec - odparł lekarz. - Robiłem dla niego, co było w mojej mocy. Allah jedynie wie, że chciałbym móc zrobić więcej. Tom wahał się przez chwilę, zamierzał bowiem zmienić decyzję podjętą wspólnie z ojcem i Andersenem. Zaraz jednak przemógł wątpliwości.

- Zasłużyłeś tym sobie na wolność - oznajmił starcowi. - Odeślę cię do Zanzibaru wraz z kobietami i dziećmi. - Zawołał na strażników. - Niech go kowale rozkują! Potem przyrowadźcie go z powrotem do mnie. Nie popłynię na Cejlon z resztą tych obwiesiów.

Kiedy Ben Abram powrócił, Tom kazał mu się zgłosić do pomocy Reynoldsowi w polowym szpitalu.

O świcie wyszedł na morze Yeoman, obciążony ludzkim ładunkiem. Tom obserwował go z plaży, aż jego żagle zniknęły za wschodnim horyzontem. Wiedział, że niełatwa podróż przez Ocean Indyjski do Colombo i powrót na Flor de la Mar potrwać na pewno dłużej niż dwa miesiące, jak to optymistycznie wyliczył Andersen.

356

- Dłuższe czekanie to więcej czasu na dojście do zdrowia dla ojca - mruknął do siebie, składając lunetę i kierując się w stronę barkasu.

Zamknawszy za sobą drzwi kabiny na rufie, Tom od razu zorientował się, że z Halem jest dużo gorzej niż kilka godzin temu, gdy odeń wychodził.

Pomieszczenie wypełniał kwaśny odór choroby. Twarz Hala okrywał niezdrowy rumieniec i chory rzucał się w gorączce, znowu majacząc.

- Szczury po mnie chodzą. Czarne szczury, włochate jak... - przerwał i z krzykiem strzepnął z siebie wyimaginowane stwory.

Tom zaniepokoił się nie na żarty. Kazał natychmiast posłać łódź na brzeg po Reynoldsa.

Pochylił się nad ojcem i dotknął jego twarzy. Paliła takim gorącem, że odruchowo cofnął dłoń. Aboli przyniósł miskę zimnej wody. Odsunęli kołdrę, obnażając wycieńczone ciało. Gdy ukazały się zmaltretowane nogi, buchnął od nich odór zgnilizny. Tom aż zakaszłał.

- Niech doktor się pośpieszy! - ryknął.

Usłyszał, jak jego rozkaz przekazywany jest z pokładu do zbliżającej się łodzi. Tymczasem wraz z Abolim obmyli ciało chorego zimną wodą, a następnie zawinęli je w mokre prześcieradła, żeby obniżyć gorączkę. Wreszcie usłyszeli z ulgą kroki Reynoldsa na zejściówce i po chwili medyk znalazł się przy łożu Hala. Odwinął natychmiast bandaże i smród zgnilizny wypełnił ciasną kabinę do granic wytrzymałości.

Tom zajrzał doktorowi przez ramię i z przerażeniem spojrzął na obnażone kikuty. Były obrzmiałe i czerwone. Czarne katgutowe ścięgi niemal niknęły w napuchniętym ciele.

- Ojejej - mruknął Reynolds i pochyliwszy się nad kończynami, obwąchał rany niczym koneser, próbujący wyczuć bukiet przedniego wina. - Dojrzały bardzo ładnie. Mogę nareszcie usunąć szwy. - Podwinął rękawy i kazał przynieść miskę. - Trzymaj ją pod kikutem - polecił Tomowi. - A ty trzymaj kapitana - zwrócił się z kolei do Abolego. Wielki czarny mężczyzna przykucnął u wezglowia Hala i objął go łagodnie swymi potężnymi ramionami.

Chirurg uchwycił mocno koniec nici, zwisający spomiędzy

357

karminowych brzegów gojącej się rany, i pociągnął. Hal ze-sztywniał i krzyknął wniebogłosy. Pot wystąpił mu na czoło biała rosa. Katgut jednak wyszedł z rany gładko, ciągnąc za sobą nić zielonkawożółtej ropy, skapującej jak gęsta śmietanka do miski pod łóżem. Hal opadł na poduszki, wtracony znów przez ból w omdlenie.

Reynolds wziął naczynie z rąk Toma i ponownie obwąchał obrzydliwą substancję.

- Znakomicie! - Pokiwał z zadowoleniem głową. - Całkiem niegroźna, ani śladu zgorzeli.

Podczas gdy Tom klęczał u jego boku, doktor powyciągał kolejno z rozognionego, opuchniętego ciała wszystkie nici. Na końcu każdej z nich wisiała zaschnięta końcówka zawiązanej nią arterii krwionośnej. Wrzucił wszystko do miski.

Skończywszy, zabandażował kikuty na nowo długimi pasami czystej bawełny.

- Czy nie powinno się najpierw ich obmyć? - zapytał nieśmiało Tom, lecz Reynolds pokręcił stanowczo głową.

- Muszą się goić w ropie - wyjaśnił. - Bezpieczniej jest pozostawić cały proces w rękach natury. - Pokiwał z zadowoleniem głową. - Szansa twojego ojca na przeżycie znacznie wzrosła. Za kilka dni będę mógł pozdejmować główne szwy, te, którymi zszyłem skórę wokół kikutów.

Tej nocy Hal spał dużo spokojniej, a rano okazało się, że gorączka opadła, a zaognienie ran się zmniejszyło.

Po trzech dniach Reynolds usunął pozostałe szwy. Poprzecinał katgut nożycami, a potem wyciągnął kawałki nici peseta z kości słoniowej.

Po tygodniu Hal mógł już siedzieć, oparty plecami o poduszki. Wysłuchiwał ze zrozumieniem i zainteresowaniem relacji Toma o podejmowanych przezeń działaniach.

- Ten zdobyczy dhow posłałem na Glorietty, żeby przyprowadził Lamba - opowiadał chłopak. - Najdalej za dwa tygodnie powinien do nas dołączyć.

- Będę spokojniejszy, kiedy już znajdzie się pod strażą naszych dział - pokiwał głową starszy z Courtneyów. - Stoi tam całkiem bez opieki, z ładownią pełną herbaty. To bardzo łatwy kasek dla korsarzy.

Szacunki Toma sprawdziły się. Dokładnie po czternastu dniach zwinny dhow i stateczny Lamb wpłynęły przesmykiem do laguny i rzuciły kotwicę na Flor de la Mar.

358

Tom kazał przyprowadzić do siebie Mustafę, kapitana dhow, oraz załogę. Po zdobyciu wyspy zamknięto ich wraz z piratami w celach twierdzy. Kiedy się przed nim stawili, padli natychmiast na kolana, przekonani, że nadeszła godzina ich egzekucji.

- Nie sądzę, żebyście byli winni aktów piractwa - uśmierzył ich obawy młody Courtney.

- Allah mi świadkiem, że to, co mówisz, jest czystą prawdą, dostojny panie - zgodził się skwapliwie Mustafa, bijąc głową o piasek. Kiedy ją uniósł, miał czoło oblepione białymi ziarenkami, jak ciastko cukrem.

- Zamierzam was uwolnić - zapewnił go Tom. - Pod jednym wszakże warunkiem.

Musicie zabrać do Zanzibaru pasażerów. Ich przywódca to człowiek uczciwy i syn Proroka, podobnie jak ty, Mustafo. Poza nim będą to same kobiety i dzieci, które znajdowały się w siedzibie al-Aufa, gdyśmy ją zdobyli.

- Niechże cię Allah błogosławi, o mądry, zacny i współczujący panie. - Mustafa padł ponownie na kolana. Po jego twarzy toczyły się łzy radości.

- Jednakże - powstrzymał ten pokaz wdzięczności Tom - nie mam najmniejszej wątpliwości, że przybyłeś tu pohandlować z al-Aufem, będąc w pełni świadomy, iż oferowane przezeń towary to piracki łup, unurzany we krwi niewinnych żeglarzy. - Wzywam Boga na świadka, że nie miałem o tym pojęcia! - zakrzyknął dramatycznie Arab.

Tom przechylił na bok głowę i nasłuchiwał przez chwilę w stronę nieba, po czym rzekł oschłym tonem:

- Bóg nie odpowiedział na twoje wezwanie. Obciążam cię wobec tego grzywną w wysokości sześćdziesięciu pięciu tysięcy złotych dinarów. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności jest to dokładnie suma, którą znaleźliśmy w skrzyniach na twoim żaglowcu.

Mustafa podniósł lament z powodu tak straszliwej niesprawiedliwości, Tom jednak zignorował go i zwrócił się do strażników:

- Puśćcie ich wolno. Oddajcie łódź i niech odpłyną. Zabiorą do Zanzibaru kobiety i dzieci. Popłynie z nimi Ben Abram, arabski medyk. Przedtem jednak przyślijcie go jeszcze raz do mnie.

Kiedy pojawił się Ben Abram, Tom przeszedł z nim na sam

359

kraniec długiej, białej plaży, by mogli tę pożegnalną rozmowę odbyć w cztery oczy.

- Mustafa, kapitan dhow, zgodził się zabrać was wszystkich do Zanzibaru - oznajmił starcowi, wskazując na stojący na wodach laguny stateczek. - Kobiety i dzieci z garnizonu już przewożone są na pokład.

Przyglądali się obaj, jak kobiety wsiadają z barkasów na dhow, tuląc do piersi mniejsze dzieci lub żałosne tobołki z resztkami swojej własności.

Ben Abram pokiwał poważnie głową.

- Przyjmij wyrazy mojej wdzięczności - rzekł - lecz wiedz, że Allah wynagrodzi cię za twe czyny naprawdę sowiecie. Jesteś jeszcze młody, wyrośniesz jednak na człowieka o wielkiej władzy. Widziałem, jak walczyłeś. Ktoś, kto potrafił pokonać al-Aufa, zaiste jest prawdziwym wojownikiem. - Milczał przez chwilę, rozpamiętując ten szermierczy wyczyn. - Sposób, w jaki postąpiłeś ze słabszymi od siebie, z wdowami i sierotami, znamionuje człowieka wielkiego, u którego siła idzie w parze ze współczuciem.

- Ty także jesteś mężem wielkiego serca - odparł Tom. - Obserwowałem, jak opiekujesz się rannymi i chorymi, nawet tymi, którzy nie podążają za naukami Proroka.

- Bóg jest wielki - oświadczył Ben Abram. - W jego oczach każdy tak samo zasługuje na miłosierdzie.

- I dlatego, czcigodny starcze, musisz wyjawić mi teraz wiadomości o moim bracie, trzymane dotąd przede mną w tajemnicy.

Ben Abram zachnął się i przez dłuższą chwilę wpatrywał groźnie w oczy Toma. Ten jednak wytrzymał jego spojrzenie i Arab opuścił wzrok.

- Jestem pewien, że znasz imię człowieka, który kupił mojego brata od Jangiriego - powiedział stanowczym tonem chłopak. - Znasz je, nieprawdaż?

Ben Abram w milczeniu gładził się po brodzie, spoglądając ku morzu. Wreszcie, westchnąwszy ciężko, przemówił.

- To prawda. Znam jego imię, lecz jest to człowiek potężny, królewskiego rodu. Nie mogę go wydać. Dlatego właśnie zataiłem to przed tobą, chociaż współczuję ci z powodu straty.

Tom milczał, pozwalając starcowi zmagać się w spokoju z własnym sumieniem i poczuciem lojalności. W końcu stary lekarz powiedział:

360

- Ty już poznałeś jego nazwisko. - Tom spojrział nań zdumiony. - Pochwyciliście jeden z jego dhow - odpowiedział mu Ben Abram.

Na twarzy Toma pojawił się wyraz zrozumienia.

- Al-Malik! - wykrzyknął. - Księżę Abd Muhammad al-Malik?

- Ja nie wypowiedziałem tego imienia - odparł starzec. - Nie zdradziłem mojego księcia.

- Lakh rupii, który znaleźliśmy na dhow Mustafy, musiał być w takim razie zapłatą za mojego brata, tak jak podejrzewaliśmy? - zapytał Tom.

- Nie mogę powiedzieć, że to prawda. - Srebrzysta broda starca zafalowała, gdy kręcił głową. - Nie mogę też jednak stwierdzić, że to fałsz.

- Ojciec i ja przypuszczaliśmy, że tak to właśnie może wyglądać. Nie rozumieliśmy tylko, jak to możliwe, żeby Dorian został zabrany z Flor de la Mar, zanim Jangiri otrzymał całą zapłatę. Nie przypuszczam, żeby zaufał komukolwiek, skoro w grę wchodził niewolnik o tak wielkiej wartości.

- Książę to najpotężniejszy władca w całej Arabii, poza swym starszym bratem, którym jest sam kalif. Al-Malik nie potrafi nawet zliczyć swych statków i złota, żołnierzy i wielbłądów, niewolników i żon. Jego sława sięga szerokiego Nilu i pustyni na północy, królestwa Wielkiego Mogoła na wschodzie, niedostępnych puszcz na zachodzie i kraju Monamatapy na południu.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że al-Auf zaufałyby mu w kwestii długu, nawet gdyby to był lakh rupii? - naciskał Tom.

- Chcę przez to powiedzieć, że al-Auf nie ufał nikomu na świecie oprócz jednego człowieka. Księcia Abd Muhammada al-Malika.

- Kiedy opuścisz wyspę, Ben Abramie, czy zamierzasz powrócić do Łamu, gdzie al-Malik ma swój pałac?

- Tak, wracam do Łamu - potwierdził starzec.

- A więc jest szansa, że znów zobaczysz mego brata?

- Wszystko w rękach Boga.

- Jeżeli Bóg okaże się łaskawy, czy zgodzisz się przekazać Dorianowi wiadomość ode mnie?

- Twój brat to chłopiec wielkiej odwagi i bardzo piękny - stary lekarz uśmiechnął się na to wspomnienie. - Nazywałem

361

go moim małym lwiątkiem. Ponieważ okazałeś mi wielką dobroć, a także z powodu uczuć, jakie sam żywię do tego dziecka, zgadzam się przekazać mu twoją wiadomość.

- Powiedz więc memu bratu, że dochowani przysięgi na śmierć i życie, którą mu złożyłem. Nie zapomnę o niej nigdy, nawet na łożu śmierci.

Dorian siedział na sienniku, rzuconym na kamienną podłogę. Powietrze docierało do jego celi tylko przez wąskie strzelnicze okienko w ścianie naprzeciw. Powiew monsunu pozwalał mu jako tako oddychać w dusznej celi i znosić jej gorąco. Słyszał głosy innych więźniów, zamkniętych w celach biegnących wzdłuż długiego korytarza. Szmer ich rozmów przerywał czasami krzyk wyrzaskujących obelgi arabskich strażników i odgłosy sprzeczek między uwięzionymi. Zachowywali się jak psy zamknięte w klatkach zbyt ciasnych dla tak wielkiej ich liczby. Okrutny upał sprawiał, że u agresywnych z natury marynarzy budziły się mordercze instynkty. Zaledwie wczoraj słyszał jakąś straszną kłótnię w celi za ścianą. Jeden z więźniów udusił tam drugiego, przy akompaniamencie złośliwego rechotu pozostałych. Dorian zadrzał na to wspomnienie i oddał się z powrotem zajęciu, którym próbował zagłuszyć nudę niewoli. Żelaznym ogniwem łańcucha wydrapywał na ścianie swoje imię. Na miękkich koralowych blokach widniały już liczne inskrypcje, pozostawione przez jego poprzedników.

- Może któregoś dnia Tom to przeczyta i dowie się o moim losie - szepnął do siebie, ryjąc pracowicie w kamieniu.

Jego gnębiciele przykuli go łańcuchem do ściany zaledwie dzień wcześniej. Zaraz po uwięzieniu miał swobodę ruchów, lecz wczoraj został złapany na próbie wydostania się z celi przez wąskie okienko. Nie przeraziła go nawet trzydziestostopowa ściana w dole i zdołał już precyzyjnie górną połowę ciała na zewnątrz, kiedy do celi wpadli strażnicy i ściągnęli go za nogi z powrotem. Wyrwał im się jak ryba złapana na haczyk.

- Al-Auf ukarze nas bez litości, jeżeli coś się stanie temu szczeniakowi niewiernych - wołali. - Przynieście kajdany. - Kowal musiał zmniejszyć żelazne opaski do rozmiarów kostek Dorian. - Tylko uważajcie, żeby go nie gniotły. Al-Auf zabije każdego, kto uszkodziłby tę białą skórę albo czerwone włosy.

362

Poza zakuciem w kajdany traktowali go jednak z uwaganiem i szacunkiem. Co rano, mimo protestów chłopca, dwie kobiety w czadorach prowadziły go na dziedziniec. Rozbierały tam do naga, namaszczały olejkami ciało, a potem kąpały w deszczówce. Na Seraphie Dorian nie kąpał się całymi miesiącami. Na taką ekstrawagancję

brakowało tam po prostu wody, a poza tym każdy marynarz wiedział doskonale, że zbyt częste ablucje zmywają ze skóry naturalną warstewkę tłuszczu, co jest szkodliwe dla zdrowia. Muzułmanie natomiast przywiązywali do kwestii osobistej czystości nadmierną wagę - Dorian zaobserwował, że myją się pięć razy dziennie, przed przystąpieniem do rytualnych modłów. Choć więc niepokoił się trochę o swe zdrowie, musiał pogodzić się z tą codzienną wodną torturą. Była to zresztą jakaś odmiana w monotonnym życiu więźnia i z każdym dniem chłopiec znajdował w sobie coraz mniej ochoty, by się jej przeciwstawiać.

Czasami, bez większego przekonania, próbował ugryźć którąś z kobiet w rękę, szczególnie gdy zabierały się za intymne partie jego anatomii. Wkrótce jednak nauczyły się tego unikać i wywijaly się jego atakom z krzykiem i śmiechem. Wydziwialy w nieskończoność nad jego włosami, głaszcząc je, szczotkując i skręcając w grube lśniące pasma. Zamiast obdartych marynarskich łachmanów dały mu czystą białą szatę do kostek.

Dbaly o niego pod każdym względem. Siennik z palmowych liści nakryły pięknie wyprawioną baranią skórą. Przyniosły jedwabną poduszkę pod głowę i oliwną lampkę, rozświetlającą długie godziny nocy. Pod ręką miał zawsze dzban świeżej wody, którą chłodziło parowanie przez porowate ścianki naczynia. Karmiony był trzy razy dziennie i chociaż początkowo postanowił zagłodzić się na śmierć - choćby tylko na złość swym ciemnozielonym - aromatyczna woń jedzenia stanowiła dla apetytu młodego organizmu pokusę zbyt wielką, by mógł się jej oprzeć. Najtrudniejsza do zniesienia była samotność. Wiedział jednak, że powinien być wdzięczny losowi, iż go nie umieszczono w którejś z zatłoczonych, wieloosobowych cel. Ojciec i Tom wytłumaczyli mu, jakie niebezpieczeństwa czyhają na ładnego małego chłopca, jeśli się znajdzie na łasce zdeprawowanych i występnych mężczyzn.

Łańcuch miał na tyle długi, że mógł się wspinać na schodek Pod oknem i wyglądać na świat, lecz jednocześnie na tyle krutki, że uniemożliwiał mu kolejną próbę ucieczki. Gdy nie

363

pracował nad ryciem napisów w skale, całymi godzinami wyglądał na lagunę, gdzie kotwiczyła flota Jangiriego. Wpatrywał się też często w daleki błękitny horyzont, w nadziei, że ujrzy tam któregoś dnia białe topsle Serapha.

- Tom po mnie przypłynie - przekonywał sam siebie codziennie o świcie, przepatrując rozjaśniający się widnokrąg.

O zmierzchu wpatrywał się w dal, dopóki nie przesłonił jej fiolet i purpura zmierzchu, dodając sobie otuchy tymi samymi słowami: "Tom mi obiecał, a on zawsze dotrzymuje słowa. Jutro już na pewno przypłynie. Na pewno".

Co kilka dni prowadzono go do Ben Abrama. Muzułmański lekarz nazywał Doriana swoim małym "Lewkiem" i przydomek ten przylgnał doń na dobre. Strażnicy poznali jego temperament na własnej skórze, podobnie jak posługujące chłopcu kobiety. Zostawiali go pod okiem starca z wyraźną ulgą. Medyk badał go dokładnie, od czubka płomiennej czupryny po palce stóp, szukając śladów złego traktowania lub braku dbałości o małego więźnia.

Ben Abram zwracał szczególną uwagę na to, żeby kajdany nie zostawiały odcisków na białej skórze chłopca, żeby był dobrze nakarmiony i czysty.

- Czy traktują cię należycie, mój czerwony Lewku? - pytał.

- Nie. Biją codziennie - odpowiadał Dorian buńczucznie. - I przypalają mnie gorącym żelazem.

- Czy karmią cię odpowiednio? - Ben Abram uśmiechał się dobrotliwie, słysząc to oczywiste kłamstwo.

- Dają mi do jedzenia robaki i szcurze szczyny do picia.

- Wyraźnie służy ci ta dieta - kiwał głową Ben Abram. - Muszę jej też spróbować.

- Włosy mi wypadają - oznajmił mu któregoś dnia Dorian. - Niedługo będę całkiem łysy, a wtedy al-Auf pošle cię na plac egzekucji.

Młody więzień doskonale zdawał sobie sprawę ze szczególnego znaczenia, jakie muzulmanie przypisują jego włosom. A jednak starzec dał się nabrać na sztuczkę z łysieniem zaledwie raz; za drugim zmierzwił tylko bujną czuprynę chłopca i powiedział:

- Chodź ze mną, mój łysy Lewku.

Wziął Doriana za rękę, a ten wyjątkowo nie próbował się wyrwać. Doskwierająca mu samotność, którą tak bardzo starał się ukrywać, sprawiała, że przyciągał go ten starzec

364

o gołębiu sercu. Towarzyszył mu więc posłusznie do komnaty audiencyjnej, gdzie czekał na nich al-Auf.

Te spotkania, podczas których pokazywano chłopca potencjalnym kupcom, miały już swoisty rytuał. W czasie gdy Arabowie targowali się i spierali, oglądając jego włosy i obnażone ciało, Dorian stał sztywno wyprężony, piorunując ich wzrokiem, w którym płonęła teatralna furia i nienawiść. W myśli układał sobie najbardziej plugawie przekleństwa, na jakie pozwalała mu coraz bieglejsza znajomość arabskiego.

Wreszcie negocjacje docierały do momentu, kiedy kupiec pytał:

- Czy dzieciak rzeczywiście mówi językiem Proroka? Al-Auf zwracał się wówczas do Doriana:

- Powiedz coś, dzieciaku.

Dorian zbierał się w sobie i prezentował swoją najnowszą słowną kompozycję.

- Oby Allah sprawił, że ci szernieje twarz i zgniją zęby w twojej przeklętej gębie. Albo:

- Oby twoje trzewia wypełniły się robactwem i oby wyschło mleko w wymionach wszystkich kóz, które pojmiesz za żony.

Po serii takich obelg potencjalny kupiec popadał zwykle w konsternację, Ben Abram zaś, odprowadzając Doriana do celi, napominał go z udawanym oburzeniem:

- Gdzie taki piękny chłopiec jak ty nauczył się tak plugawych słów?! - Oczy starca, otoczone siateczką zmarszczek, mrugały przy tym wesoło.

Podczas swojej ostatniej wizyty w sali audiencyjnej młody niewolnik od razu jednak wyczuł, że coś się zmieniło w atmosferze spotkania. Tym razem nie prezentowano go jakiemuś prostackiemu kapitanowi ani tłustemu kupcowi. Ujrzał przed sobą księcia.

Mężczyzna siedział na środku pomieszczenia, na grubym miękkim kobiercu i jedwabnych poduszkach. Był wyprostowany, a postawę miał iście królewska. Chociaż otaczało go kilkunastu dworzan w wiernopoddańczych pozach, nie miał w sobie nic z aroganckiego władcy. Zachowywał się z wielko-Pańską godnością, imponując swą prezencją. W Biblii, którą oglądał w High Weald, Dorian widział kiedyś wizerunek świętego Piotra, opoki Kościoła. Człowiek, którego ujrzał teraz, tak bardzo przypominał tamten obrazek, że chłopiec doszedł

365

do wniosku, iż musi to być ta sama osoba. Ogarnęła go religijna bojaźń.

- Powitaj wielkiego księcia al-Malika - nakazał mu Jan-giri, gdy chłopiec stanął, niezdolny wykrztusić słowa, przed tą żywą inkarnacją Chrystusowego apostoła. Al-Auf niepokoił się najwyraźniej, jak wypadnie to powitanie w wykonaniu młodego więźnia, gdyż skubał nerwowo brodę. - Okaż księciu uszanowanie albo każę cię wybatożyć - ponaglił go.

Dorian wiedział doskonale, że jest to czcza groźba. Al-Auf nie oszpeciłby jego ciała, gdyż obniżyłby w ten sposób wartość niewolnika.

- Powiedz księciu salami - zawołał zdenerwowany korsarz.

Dorian stał tylko i wpatrywał się w gościa jak w obraz. Jego buntowniczy duch zupełnie się gdzieś rozplątał w obecności tego człowieka. Zupełnie nieświadomie złożył przed nim pełen uszanowania ukłon.

Zaskoczyło to al-Aufa, który postanowił wykorzystać tę niespodziewaną sposobność. Wstąpiła weń nadzieja, że chłopiec tym razem powstrzyma się od uwag na temat ożenku z kozami czy gnijących zębów.

- Przemów do wielmożnego księcia! Powitaj go w języku Proroka! - rozkazał ponownie.

Nie namyślając się nawet nad tym, Dorian przypomniał sobie ćwiczenie, które zadał im Alf Wilson, kiedy ślęczeli nad arabskim na pokładzie rufowym Serapha podczas długich godzin flauty. Próbował im wtedy objaśnić podobieństwa między islamem a chrześcijaństwem. Słodkim dźwięcznym głosem chłopiec wyrecytował z pamięci werset z Koranu: "Ja jestem tylko człowiekiem śmiertelnym, podobnym do was. Zostało mi objawione, że Bóg wasz jest Bogiem Jedynym. Przeto kto się

spodziewa spotkać swego Pana, niech pełni pobożne dzieła i niech nie dodaje żadnego współtowarzysza, kiedy oddaje cześć swojemu Panu".

Z piersi wszystkich obecnych wyrwało się pełne zdumienia westchnienie. Nawet książe pochylał się do przodu i spojrzał urzeczony w zielone oczy młodego niewolnika.

Doriana zachwyciła sensacja, jaką wywołał. Uwielbiał przedstawienia teatralne, urządzone przez pana Walsha w High Weald i na pokładzie statku, kiedy to grał najczęściej role kobiece. Dziś jednak niewątpliwie dał swój najlepszy występ. W długiej ciszy, która zapadła, książe odwrócił się powoli do

366

mężczyzny siedzącego tuż za nim. Dorian poznał po jego stroju, że to mułła, muzułmański odpowiednik księdza.

- Objaśnij nam słowa dziecka - rozkazał władca.

- To wers sto dziesiąty z sury osiemnastej - przyznał z wahaniem mułła. Jego okrągła, błyszcząca twarz świadczyła o życiu w dobrobycie, a obfity brzuch wylewał się na podolek. Miał rzadką kozia bródkę, ufarbowaną henną na bladurudy kolor. - Chłopiec przytoczył wers dokładnie, lecz nawet papugę można nauczyć powtarzania słów, których znaczenia nie rozumie.

Książę odwrócił się znów do Doriana.

- Co według ciebie znaczą "pobożne dzieła"? - zapytał. Alf Wilson objaśnił to chłopcom, toteż Dorian odpowiedział bez wahania:

- To oddawanie należytego szacunku Bogu, unikanie wielbienia bożków i ludzi uznanych za świątobliwych, a także sił natury i szczególnie samego siebie.

- Czy to są słowa papugi? - zwrócił się al-Malik do swego mułły. Świątobliwy mąż wyglądał na skonfundowanego.

- Nie, mój panie - przyznał. - To zaiste słowa mądrości.

- Ile masz lat, chłopcze? - Książę wbił w Doriana przenikliwe spojrzenie swych ciemnych oczu.

- Dwanaście, już niedługo skończę trzynasty rok - odparł z dumą więzień.

- Czy wyznajesz islam?

- Wolalbym, żeby mi nos odpadł od trądu, niż być muzułmaninem. Wierzę w Jezusa Chrystusa.

To porywcze zaprzeczenie nie wzbudziło jednak gniewu księcia ani mułły. Sami sprzeciwiliby się propozycji odstępstwa od swej wiary równie gwałtownie.

- Podejdź tu do mnie - rozkazał przyjaznym tonem książe i Dorian zbliżył się do niego. Mężczyzna wyciągnął rękę i ujął w dłoń pukiel świeżo umytych lśniących włosów chłopca. Ten pozwolił mu na to badanie z zadziwiającą u siebie cierpliwością - Z całą pewnością tak właśnie wyglądały włosy Proroka - rzekł cicho al-Malik.

- Chwalmy Boga - podniósł się chór głosów.

- Możesz go już odesłać - powiedział książe do Jangirie-go. •- Widziałem dość, musimy porozmawiać. Ben Abram ujął dłoń Doriana i ruszył z nim do drzwi.

367

- Strzeżcie go dobrze - rzucił za nimi książe - ale obchodźcie się z nim łagodnie.

Stary lekarz dotknął swych warg i serca w geście posłuszeństwa i szacunku i poprowadził młodego więźnia do celi.

Słudzy al-Aufa wnieśli dzbanki ze świeżo zaparzoną kawą. Podczas gdy jeden z nich napełnił maleńką filiżankę księcia, wykonaną ze szczerzego złota, drugi napełnił jego nargile.

Pertraktacje w sprawie tak poważnego zakupu nie mogły toczyć się zbyt pośpiesznie. Obaj mężczyźni dochodzili więc do porozumienia powoli i stopniowo, wymieniając ze sobą kwieciste, poetycko brzmiące zdania i robiąc długie, brzemienne w znaczenie pauzy. Al-Auf podwoił cenę wyjściową do dwóch lakhów, żeby dać sobie możliwość manewru, a potem stopniowo pozwolił księciu ją zbić do jednego lakha, który od początku był jego celem.

Dobili targu dopiero długo po zmroku, przy świetle oliwnych lamp i wśród kłębow aromatycznego dymu z fajek.

- Nie podróżuję z taką ilością złota na pokładzie - oznajmił al-Malik. - Jutro rano zabiorę dziecko ze sobą, a kiedy tylko przypłyniemy do Łamu, poślę do

ciebie szybki dhow. Dostaniesz swój lakh rupii jeszcze przed wschodem księżyca. Masz na to moje święte słowo.

- Jak sobie życzysz, wielki książę - odparł herszt piratów, z lekkim tylko wahaniem w głosie.

- Odejdź teraz, gdyż zrobiło się późno i chcę się pomodlić.

Al-Auf natychmiast wstał. Gościowi o tak wysokiej pozycji ustąpił własne mieszkanie, uważał bowiem to za zaszczyt. Wycofał się do drzwi, przyklękając raz po raz po drodze.

- Oby nawiedziły twe sny najpiękniejsze hurysy z rajy, o czcigodny książę. Oby twemu przebudzeniu towarzyszyła woń fiołków, o potężny. Oby twoje modlitwy mknęły jak strzały o złotych grotach, prosto do uszu Allaha, o ulubieńcu Proroka.

li!

Dorian nie mógł zasnąć. Uniesienie, w jakie wprawiło go spotkanie z księciem, dawno się gdzieś ulotniło. Znowu czuł się samotny i wylękniony. Wiedział, że jego los niebawem ponownie się odmieni, że rzuci go na mroczne i niepewne wody. Choć nienawidził swojej obecnej okropnej sytuacji, zdążył już do niej

368

w pewnej mierze przywyknąć; nauczył się poza tym znajdować niewielką pociechę w kontaktach ze starym doktorem, którego autentycznie polubił. Twarz Ben Abrama była twarzą przyjaciela i Dorian czuł, że starzec troszczy się o niego z dobroci serca. Dopóki pozostawał na wyspie, mógł mieć także nadzieję, że ojciec z Tomem zdołają go jakoś odnaleźć i uwolnić. Jeśli natomiast zabierze go ze sobą ten budzący lęk książę, szansa na to, że go odnajdą, znacznie się oddali.

Bał się tak bardzo, że nie mógł się zdobyć na zgaszenie lampy, chociaż przyciągała do celi moskity. Wolał się drapać, niż leżeć samotnie w ciemności.

Za oknem słyszał cichy szmer palmowego gaju; liście stukały o siebie lekko w podmuchach niestrudzonego wiejącego monsunu. Objął się ramionami i słuchał żałośliwego zawodzenia wiatru, walcząc z pokusą rozplakania się na dobre.

Nagle dobiegł do jego uszu inny odgłos, z początku tak nikły, że zaledwie się przedarł przez zasłonę nieszczęścia. Ucichł i znowu powrócił, silniejszy i wyraźniejszy. Dorian usiadł i sięgnął po lampę, niemal ją wypuszczając z drżącej dłoni.

Powlókł się, ciągnąc za sobą łańcuch, pod okno. Postawił lampę na parapecie i nasłuchiwał. Nie pomylił się, na skraju lasu ktoś cicho gwizdał. Chłopiec rozpoznał melodię i serce skoczyło mu z radości do gardła.

To Tom! Niemal wykrzyczał to na głos, napinając łańcuch, by dosięgnąć okienka. Chciał zaśpiewać następne linijki piosenki, ale głos mu się łamał z ekscytacji, a wargi odmawiały posłuszeństwa. Zebrał się w sobie i spróbował ponownie, nie za głośno, żeby nie zaalarmować strażników na końcu korytarza i wart strzegących blanków twierdzy.

Ku brzegom angielskim już ruszać nam pora, lecz kiedyś na pewno wrócimy tu znowu. Gwizdanie w ciemnościach nocy już się nie powtórzyło. Dorian wyteńczył słuch, niczego jednak nie usłyszał. Chciał zawołać, ale bał się wszcząć alarm, zagryzł więc usta, choć język palił go jak kawał rozżarzonego węgla.

Nagle w pobliżu okienka posłyszał jakiś szurgot, a po chwili głos Toma:

- Dorry!

- Tom! Och, wiedziałem, że przyjdziesz! Wiedziałem, że dotrzymasz przysięgi!

369

- Cii, Dorry. Nie tak głośno. Czy możesz wyjść przez okno?

- Nie, przykuli mnie do ściany.

- Nie płacz, Dorry, bo cię usłyszą.

- Nie płaczę. - Dorian wepchnął sobie do ust zaciśnięty kułak, by powstrzymać szloch.

- Czy ja bym się zmieścił w tym okienku? - zapytał Tom. - Mógłbym wejść i cię uwolnić.

- Nie wiem, Tom. Jest malutkie, a ty taki duży... W prześwicie okna pojawiła się głowa Toma.

- Tutaj! - Dorian stłumił łkanie i wysunął przez okienko obie ręce. - Złap się mnie!

Tom próbował się precyzyjnie przez wąski otwór, lecz w końcu musiał zrezygnować.

- Nic z tego, Dorry - wydyszał. Ich twarze niemal się stykały. - Będziemy musieli przyjść po ciebie jeszcze raz.

- Nie zostawiaj mnie tutaj, Tom! - zawołał Dorian błagalnie.

- Posłuchaj. Seraph stoi niedaleko wyspy; wszyscy tu są... ojciec, Aboli, Duży Daniel i ja. Wrócimy po ciebie bardzo szybko.

- Tom!

- Ciszej, Dorry! Przysięgam ci, że wrócimy.

- Nie zostawiaj mnie, Tom! - krzyknął rozpaczliwie chłopiec. Brat go opuszczał! Wczepił się rękami w jego ramię, usiłując zatrzymać.

- Puść, Dorry! Przecież spadnę!

Nagle z murów usłyszeli okrzyk po arabsku.

- Co tam się dzieje? Kto tam jest?

- To straż, Dorry! Puść mnie w tej chwili!

Tom wyszarpnął gwałtownie rękę z uchwytu Dorian, a jednocześnie z korony murów, tuż nad ich głowami, huknął strzał z muszkietu. Chłopiec był pewien, że brat został trafiony. Usłyszał, jak jego ciało ześliznęło się po murze, a potem z okropnym głuchym odgłosem grzmotnęło o ziemię.

- Nie! Boże, proszę! Nie! - krzyknął Dorian. Chciał wystawić za okno głowę, żeby zobaczyć, czy Tom naprawdę został zabity, lecz łańcuch był za krótki.

Na blankach podniósł się chór okrzyków i wściekła kanonada z muszkietów.

Zamieszanie ogarnęło cały garnizon. Wrotce krzyki rozległy się także u stóp muru pod okienkiem celi Dorian.

370

- Nikogo tu nie ma! - zawołał ktoś do straży na murach.

- Na pewno go trafiłem! - odkrzyknął wartownik. - Musi tam gdzieś być!

- Nie ma nikogo. Ale znać, gdzie upadł!

- Pewnie uciekł do lasu!

- Jak wyglądał?

- To Frank, niewierny! Księżyc go oświecił; widziałem białą twarz!

Głosy ucichły w głębi lasu. Potem ponownie rozległy się tam krzyki i wystrzały; słychać było ludzi przedzierających się przez zarośla. Wreszcie wszystko powoli się oddaliło i zapadła cisza.

Dorian stał przy okienku aż po kres nocy, wypatrując i nasłuchując. W końcu zgasła w nim ostatnia iskierka nadziei. Kiedy lagunę i otwarte morze rozjaśnił nareszcie szary świt, w zasięgu wzroku nie było Serapha. Dopiero wtedy chłopiec powlókł się na swoje legowisko. Jego płacz stłumiła jedwabna poduszka, w którą powoli wsiąkały łzy rozpacz.

Przyszli po niego w południe. Obie opiekunki Dorian uderzyły w płacz, zrozpaczone perspektywą utraty swej uprzywilejowanej pozycji, a strażnik, który zdejmował mu kajdany z nóg, rzekł burkliwie:

- Żegnaj z Bogiem, małpeczko. Nie będzie się z kogo śmiać, jak ciebie zabraknie. Ben Abram zaprowadził go do al-Aufa. Pirat stał w gniewnej pozycji; rękami się podparł pod boki, a broda aż mu się trzęsała ze złości.

- A cóż to za frankijskie psy weszły nocą koło twojej nory, szczeniaczku? - zapytał natarczywym tonem.

- Nie mam pojęcia. - Choć pogrążony w rozpacz i poczuciu osamotnienia, Dorian znalazł w sobie dość siły, by się mu postawić. Nie wydałby Toma piratom nawet w obliczu zagrożenia. - Spałem i nie słyszałem niczego. Może to szatan zesłał ci piekielne sny.

- Dłużej nie ścierpię twojej bezczelności. - Al-Auf postąpił krok ku niemu. - Odpowiadaj, ty szatańskie nasienie. Kto był przy oknie twojej celi? Straż słyszała, jak z nim rozmawiałeś.

Dorian spoglądał nań w milczeniu, lecz pod językiem już gromadził ślinę.

371

- Czekam! - rzucił groźnie korsarz, przysuwając twarz do twarzy chłopca.

- Już nie musisz - odparł Dorian i splunął prosto w oblicze al-Aufa.

Ten się cofnął raptownie, zaskoczony, a po chwili jego rysy wykrzywił grymas wściekłości. Zza pasa wyrwał zakrzywiony sztylet.

- Nigdy w życiu już tego nie zrobisz - wycedził - zaraz ci wyrwę to niewierne serce.

Wzniósł nóż do ciosu, lecz w tejże chwili przyskoczył doń Ben Abram, zaskakująco zwinny i szybki jak na swoje lata. Chwycił al-Aufa za nadgarstek. Choć był za słaby, żeby powstrzymać uderzenie, udało mu się odsunąć ostrze od piersi Doriana. Czubek sztyletu smagnął tylko rękaw białej szaty, rozcinając ją gładko. Al-Auf stracił nieco równowagę po tym niespodziewanym ataku i zatoczył się do tyłu. Pogardliwym gestem pchnął starca na ziemię.

- Zapłacisz za to, stary błaznie - warknął, przechodząc nad leżącym.

- Panie, nie rób krzywdy temu dziecku. Pamiętaj o prorocztwie i o złości - błagał Ben Abram, uczepiwszy się skraju szaty korsarza. Ten się zawahał, poruszony tymi słowami. - Czy chcesz stracić lakh rupii? - ciągnął starzec. - Jeśli zabijesz chłopca, święty Taimtaim ześle na ciebie klątwę!

Al-Auf stał nieruchomo, niepewny, co robić dalej. Usta miał zaciśnięte, a sztylet w jego dłoni drżał nerwowo. Wpatrywał się w Doriana z taką nienawiścią, że odwaga chłopca stopniała do cna i aż się skulił pod ścianą.

- Plwocina niewiernego jest gorsza od świńskiej krwi! - wydyszał pirat. - On mnie pohańbił!

Znowu zaczął w nim wzbierać gniew. Ruszył ku Dorianowi, lecz w tejże chwili rozległ się od wejścia rozkazujący donośny głos. Al-auf znieruchomiał w pół kroku.

- Stój! Rzuć ten nóż! Czyś oszalał?

W drzwiach się pojawiła wysoka postać księcia al-Malika. Zbudzony krzykami i zamieszaniem, pośpieszył ze swej kwatery zobaczyć, co się dzieje. Al-Auf upuścił sztylet na posadzkę i padł w pokłonie na kamienne płyty.

- Wybacz mi, o szlachetny księżę - wybełkotał. - Szatan na moment odebrał mi rozum.

372

- Powiniennem cię posłać na twój własny plac straceń - rzekł zimno al-Malik.

- Jestem pyłem u twych stóp - zakwilił korsarz.

- To dziecko nie należy już do ciebie. Teraz to moja własność.

- Odpokutuję swoją głupotę, jak tylko sobie zażyczysz, wielki panie, tylko nie kieruj już przeciwko mnie swego gniewu.

Księżę nie zaprzętał już sobie głowy odpowiedzią. Zwrócił się teraz do Ben Abrama.

- Zaprowadź chłopca do laguny i ulokuj na pokładzie mojego dhow. Kapitan oczekuje waszego przybycia. Niedługo do was dołączę. Wyjdziemy w morze z przypływem, jeszcze tej nocy.

Ben Abram wziął Dorianą za rękę i poprowadził na brzeg zatoki. Towarzyszyło im dwóch gwardzistów księcia. Chłopiec był blady. Zaciskał mocno zęby, usiłując utrzymać dziarską minę, i nie odzywał się przez całą drogę. Przemówił dopiero na plaży, gdzie czekał skif mający zawieźć go na statek.

- Proszę, jedź ze mną - zwrócił się błagalnie do starego doktora.

- Nie mogę - pokręcił głową Ben Abram.

- Chociaż tylko na pokład, proszę. Jesteś moim jedynym przyjacielem na całym świecie!

- No dobrze, ale tylko na dhowi wracam. - Starzec wszedł na pokład skifu.

Dorian usiadł tuż przy nim.

- Co teraz ze mną będzie? - zapytał szeptem.

- Stanie się wedle woli Boga, mój mały Lewku - odparł łagodnie Ben Abram.

- Czy mi coś zrobią? Czy sprzedadzą mnie jeszcze komuś innemu?

- Księżę zatrzyma cię przy sobie na zawsze, jestem tego pewien.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Dorian położył głowę na ramieniu opiekuna.

- Sprawia to prorocztwo Taimtaima. Księżę cię nigdy nie zostawi; jesteś dla niego zbyt cenny.

- Co mówi to prorocztwo? - Dorian wyprostował się, patrząc starcowi w oczy. - Wszyscy o tym gadają, ale nikt mi nie powiedział, o co chodzi.

- Nie czas teraz na wyjaśnienia. - Ben Abram przygarnął go znów do siebie. -

Pewnego dnia dowiesz się wszystkiego.

- Chcę wiedzieć teraz!

373

- To byłoby dla ciebie niebezpieczne. Musisz się uzbroić w cierpliwość, Lewku.

Skif dobił do burty dhow. Marynarze się wychylili ku chłopcu, żeby go wciągnąć na pokład.

- Ja nie chcę tam jechać! - Dorian przylgnął całym ciałem do swego opiekuna.

- To wola Boga. - Starzec delikatnie rozprostował jego palce.

Po chwili chłopiec stał już przy burcie dhow.

- Zostań ze mną jeszcze trochę! - zawołał błagalnie, wychylając się przez reling.

Ben Abram nie potrafił się oprzeć jego prośbie.

- Dobrze, zostanę z tobą, dopóki nie odpłyniesz - rzekł i poszedł za Dorianem do przygotowanej dlań małej kajuty. Kiedy usiedli obok siebie na sienniku, medyk sięgnął do woreczka u pasa. - Wypij to - powiedział, podając chłopcu flakonik z zielonego szkła.

- Co to jest?

- Coś, co uśmierzy ból rozstania i pomoże ci zasnąć. Dorian wypił zawartość buteleczki i się skrzywił.

- Obrzydliwe.

- Jak szcurze szczyzny? - uśmiechnął się Ben Abram. Chłopiec wybuchnął śmiechem, graniczącym niemal z płaczem, i przytulił się do niego mocno.

- Połóż się teraz. - Doktor pchnął go łagodnie na materac.

Przez chwilę jeszcze cicho rozmawiali, a potem powieki Doriana zaczęły opadać.

Po nieprzespanej nocy znużenie i narkotyk wreszcie go zmogły.

Ben Abram po raz ostatni pogłaskał go po głowie.

- Jedź z Bogiem, dziecino - szepnął i wyszedł na pokład.

Obudził chłopca tupot nóg po pokładzie i ruchy kadłuba. Dhow ruszał w morze. Ben Abram zniknął. Zamiast niego przycupnęła na skraju siennika kobieta. W czarnej szacie i kwefie wyglądała jak siedzący na żerdzi sokół.

Dorian wstał i niepewnym krokiem powlókł się do okienka kabiny. Na zewnątrz panował mrok, tylko na wodzie laguny tańczyły refleksy gwiazd. Słodkie powietrze nocy orzeźwiło go i pomogło zebrać myśli. Chciał wyjść na pokład, lecz kiedy się zbliżył do drzwi, Arabka zagroziła mu drogę.

374

1

- Nie wolno ci stąd wychodzić, dopóki nie wezwie cię księżę - oznajmiła.

Dorian próbował się spierać z nią przez chwilę, zaraz jednak porzucił ten próżny trud i wrócił do okienka. Dhow wpłynął do kanału. Przed oczami chłopca przesunęły się białe mury twierdzy, a potem pokład się zakołysał pod jego stopami i wyszli na otwarte morze. Statek wykonał zwrot na zachód i wyspa zniknęła z zasięgu wzroku. Dorian wrócił na siennik.

Kobieta w czerni podeszła do okienka i zasłoniła je ciężką drewnianą okiennicą.

Równocześnie z pokładu rozległ się okrzyk czujki na dziobie:

- Co to za łódź? Dorian aż podskoczył.

- Rybacy z nocnym połowem - padła odpowiedź. Chociaż szum morza i ściany kajuty ją stłumiły, serce stanęło chłopcu w gardle, tłukąc się z podniecenia jak oszalące.

- Ojciec! - wydyszał.

Mimo że Hal odpowiedział po arabsku, rozpoznał jego głos natychmiast. Rzucił się do okienka, chcąc je otworzyć, ale strażniczka zdołała go pochwycić.

- Ojciec! - wrzasnął, usiłując się wyrwać z jej uścisku. Była jednak silnej budowy, o wielkich piersiach i potężnym miękkim brzuchu. Tusza nie odebrała jej zwinności i bez trudu rzuciła chłopca z powrotem na siennik.

- Puszczaj! - krzyknął po angielsku. - To mój ojciec! Muszę go zawołać! Arabka przygniotła go do materaca całym swoim ciężarem.

- Nie wolno ci stąd wychodzić - stęknęła. - To rozkaz księcia.

Dorian próbował się wyrwać, lecz zaraz znieruchomiał. W mroku nocy znów usłyszał głos Hala.

- A wy? - Dźwięk wyraźnie słabł; łodzie oddalały się szybko od siebie.

- Dhow księcia Abd Muhammada al-Malika - odkrzyknął wyraźnym donośnym głosem marynarz na dziobie.

- Płynicie z Allahem! - Okrzyk Hala był już w uszach chłopca tylko szeptem.

- Ojczy! - wrzasnął co sił w płucach. Arabka jednak przygniatała mu pierś, tłumiąc wołanie. - Ojczy wróć! To ja! Twój syn Dorry! - krzyczał zrozpaczony, wiedząc doskonale,

375

że jego zduszony głos nie wydostanie się nawet poza ściany kajuty.

Nagle mu się udało gwałtownym ruchem przekreślić tułów i wysliznąć spod cielska strażniczki. Zanim się dźwignęła na nogi, zdążył dopaść wyjścia. Kobieta rzuciła się w jego stronę, chwytając za kołnierz burnusa w chwili, gdy otwierał drzwi. Szarpnął się tak mocno, że kawałek materiału został w jej ręce. Był wolny. Skoczył na zejściówkę. Kobieta była tuż za nim.

- Zatrzymać go! Łapać niewiernego! - wrzasnęła przeraźliwie.

U szczytu trapu stał arabski marynarz. Rozpostarł ręce, zagrządzając Dorianowi drogę. Ten jednak padł na ziemię i z szybkością łasicy prześliznął się między nogami prześladowcy. Popędził ku rufie.

Dostrzegł za nią ciemny kształt łodzi, oddalający się szybko w stronę wyspy. Z poruszających się rytmicznie wiosł kapały fosforyzujące krople. Na rufie stała samotna postać. Wiedział, że to Hal.

- Nie zostawiaj mnie! - Jego okrzyk był słaby i rozwiął się w nocnej bryzie.

Chłopiec się wspiał na reling, gotów skoczyć w ciemne odmęty, lecz nagle na jego kostce zacisnęła się silna dłoń, która ściągnęła go na dół. Po chwili leżał na pokładzie, przytrzymywany przez kilku arabskich marynarzy. Choć kopał, wierzgał i gryzł, zanieśli go z powrotem do kabiny.

- Gdybyś wskoczył do morza, wrzuciliby także i mnie - poskarżyła się jego tłusta opiekunka. - Jak możesz być taki okrutny dla biednej kobiety?

Pukała i złościła się, a potem kazała marynarzom poprosić kapitana, żeby wystawił przed drzwiami kabiny dwóch wartowników. Sama sprawdziła dokładnie okiennicę i zamknięcie drzwi, żeby zapobiec kolejnej próbie ucieczki chłopca.

Dorian był jednak tak zrozpaczony i wyczerpany, że zasnął natychmiast, jakby się wciąż znajdował pod wpływem narkotyku.

Kobieta w czerni zbudziła go dopiero nazajutrz koło południa.

- Książę czeka na ciebie - oznajmiła - i będzie zły na starą Tahi, jeżeli ujrzy cię brudnego i cuchnącego jak młode kozłę.

376

Chłopiec znów musiał się poddać rytuałowi mycia, czesania i namaszczenia wonnymi olejkami. Potem poprowadzono go do pawilonu na pokładzie dziobowym dhow.

Był to duży płócienny namiot, którego ściany podwinięto, żeby rześki powiew monsunu chłodził wewnątrz. Pozostawiono tylko sufit, by dawał osłonę przed spiekotą słońca stojącego w zenicie nad ich głowami. Pokład pod namiotem wyłożono jedwabnymi dywanami. Książę spoczywał na podwyższeniu, oparty o liczne poduszki, a u jego stóp siedział po turecku mułła i inni członkowie świty. Pograżeni byli w ożywionej dyskusji, lecz kiedy chłopiec stanął wraz z Tahi przed al--Malikiem, ten uciszył wszystkich gestem.

Kobieta skłoniła się przed władcą. Widząc, że Dorian nie idzie za jej przykładem, pociągnęła go za kostkę.

- Okaż szacunek księciu! - syknęła. - Bo każe cię wy-chłostać!

Dorian zdecydowany był jej nie posłuchać i z zaciętym wyrazem twarzy spojrział al-Malikowi prosto w oczy. Po kilku sekundach poczuł jednak, że jego determinacja słabnie, i opuścił wzrok. Odkrył, że nie potrafi okazać zuchwalstwa potężnemu władcy. Uczyniwszy gest szacunku, wyciągnął się w pokłonie na ziemi, szepcząc:

- Salam alejkum, panie.

Al-Malik zachował kamienne oblicze, choć w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki uśmiechu.

- I pokój z tobą, al-Amharo - rzekł, pokazując mu poduszkę tuż przy podium, po swojej prawej ręce. - Usiądź tutaj, żebym cię mógł powstrzymać przed skokiem za burtę, jeśli znowu będziesz miał cafard, atak szaleństwa.

Dorian posłuchał bez sprzeciwu. Mężczyźni przestali się nim interesować, powracając do przerwanej rozmowy. Chłopiec przez chwilę próbował podążyć za jej tokiem, mówili jednak bardzo szybko i używali formalnego stylu, toteż jego umiejętności poddane zostały poważnej próbie. W konwersacji padało mnóstwo różnych nazw i nazwisk, zupełnie mu nieznanymi. Jediną nazwą, którą rozpoznał,

było Łamu. Próbując się zorientować w swoim położeniu, wyobraził sobie mapę wybrzeża na wysokości Zanzibaru, nad którą ślęczał wielokrotnie podczas lekcji nawigacji z Nedom Tylerem.

Łamu leżało kilkaset kabli na północ od Zanzibaru, na nieco mniejszej wyspie. Jak pamiętał z zapisków w dzienniku ojca,

377

stanowiło kolejny duży port oraz siedzibę władców imperium omańskiego.

Z kierunku wiatru i kąta padania słońca wywnioskował, że statek idzie kursem północno-zachodnim. To mogło oznaczać, że Łamu jest prawdopodobnie jego portem docelowym. Zastanawiał się, jaki go czeka los, kiedy tam przybędzie. Wykręciwszy głowę do tyłu, spojrzał za rufę dhow.

Flor de la Mar nie było już na horyzoncie. W ciągu nocy musieli się znacznie od niej oddalić i stracić wszelki kontakt z Seraphem, ojcem i Tomem. Kiedy to sobie uzmysłowił, poczuł znów gryzącą rozpacz; postanowił jednak się nie poddawać temu uczuciu. Zamiast tego spróbował znów podążyć za tokiem dyskusji Arabów. Ojciec na pewno chciałby, żebym wszystko zapamiętał i mu powtórzył; to mu się może przydać do obmyślenia własnych planów - powiedział sobie w myśli. W tym samym momencie muśla wstał i przeszedł na dziób statku. Po chwili rozległo się stamtąd wezwanie do modlitwy, śpiewane wysokim wibrującym głosem. Książę i jego dworacy przerwali rozmowę i rozpoczęli przygotowania do południowych modłów. Niewolnicy wnieśli dzbany z czystą wodą do mycia.

Sternik pokazał im ręką północ, gdzie leżała Mekka, święte miasto islamu.

Wszyscy na pokładzie, z wyjątkiem tylko tych, którzy utrzymywali statek na kursie, zwrócili się twarzą w tamtą stronę.

Jak jeden mąż, podążając za błagalnymi zaśpiewami duchownego, oddali się teraz rytuałowi klękania, wyciągania się w pokłonie na ziemi i wstawania, powierzając się woli Allaha i okazując mu swoje uwielbienie.

Dorian po raz pierwszy w życiu zetknął się z tak gwałtownymi przejawami religijnej żarliwości. Moc ceremonii, choć w niej nie uczestniczył, poruszyła go do głębi. Podobnego wzruszenia nie czuł ani razu podczas niedzielnej mszy w kaplicy w High Weald. Sam nie wiedząc kiedy, przyłączył się do modlitewnych śpiewów z ochotą, jakiej nigdy nie wzbudził w nim żaden angielski ksiądz. Wzniósł spojrzenie ku górze, ku bezmiernej błękitnej czaszy afrykańskiego nieba, po której monsun pędził szeregi obłoków. W religijnym uniesieniu wyobraził sobie, że pośród srebrzystych chmur dostrzega brodę samego Boga i jego budzącą grozę twarz, ułożoną ze skłębionych kształtów.

378

dKsiążę Abd Muhammad al-Malik po ostatnim pokłonie podniósł się z podłogi i stał nieruchomo na skraju podwyższenia, z rękami złożonymi na piersi, wpatrzony w stronę świętego miasta w wyrazie najwyższego oddania swemu Panu. Dorian się przyglądał jego brodatej twarzy, myśląc, że mógłby tak wyglądać sam Bóg: szlachetny i groźny, a jednak jakże dobrotliwy.

Dhow żeglował z monsunem; jego wielki łaćniński żagiel wypełnił się wiatrem i naprężył jak bukłak pełen wody. Jedyne bom statku, wykonany z kilku połączonych ze sobą kawałków jakiegoś tropikalnego drzewa, był niemal tak gruby jak człowiek w pasie i dłuższy niż sama łódź. W poziomie utrzymywał go główny fał, biegnący od szczytu krępego masztu. Gdy dhow pokonywał kolejne fale, bom się kołysał w przód i w tył ponad pokładem, a władcza postać księcia, stojącego na skraju podwyższenia, znajdowała się na przemian to w jego cieniu, to w pełnym blasku tropikalnego słońca. Arabski sternik się zdekoncentrował na moment i dziób łodzi zwrócił się za bardzo do wiatru. Łaćniński żagiel szarpnął i zatrzeszczał złowieszczo.

Dorian wiedział od Neda Tylera, że skośne żagle się zachowują chimerycznie i przy silniejszym wietrze bywają niestabilne. Poczuł, jak kadłub statku reaguje nerwowo na toporną rękę sternika.

Kącikiem oka zauważył także, że się zmienił cień rzucony przez żagiel na pokład przed podestem. Spojrzał natychmiast na olinowanie. Główny fał zaczynał właśnie się strzępić i pękać tuż pod ciężkim drewnianym blokiem. Powrozy, z których go skrecono, puszczały kolejno i lina rozplatała się niczym kopu-lujące w gnieździe węże. Dorian patrzył przerażony, przez kilka cennych sekund niezdolny do

działania ani krzyku. Widział, jak manewrowano bomem przy zwrotach, i zdawał sobie sprawę, jak ważny jest fał dla łaćńskiego ożaglowania. Wpatrzony wciąż w czubek masztu, podnosił się z podłogi. Ostatnie włókno fału pękło z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu. Ciężkie, niemal półtonowe drzewce bomu zaczęło opadać ku pokładowi niczym katowski miecz, ciągnąc za sobą płachtę rozdzieranego żagla. Książę, pogrążony w religijnym transie, stał nieruchomo, nieświadom niebezpieczeństwa. Dorian rzucił się przed siebie, celując barkiem pod kolana mężczyzny. Al-Malik, kompletnie zaskoczony, stracił równowagę i przewrócił się twarzą w dół, spadając z podwyższenia.

379

Rozrzucone po pokładzie dywany i poduszki złagodziły upadek, a drobne ciało Doriana wylądowało na jego plecach. Za nimi bom strzaskał właśnie dach niskiej nadbudówki, zmieniając ją w stos połamanych desek. Złącze bomu z masztem pękło i koniec wielkiego drzewca śmignął w dół, nabierając szybkości. Wbił się w drewniane podium dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stał książę, i runął na pokład, wywalając wielką dziurę w drewnianym poszyciu.

Łaćński żagiel opadł jak sflaczały balon, zakrywając przedni pokład i ludzi znajdujących się na nim sztywnym płóciennym całunem. Zachowanie dhow uległo drastycznej przemianie. Uwolniony od naporu wiatru na żagiel, odwrócił się bokiem do fali i zaczął kołysać gwałtownie w podmuchach monsunu.

Przez dłuższą chwilę na pokładzie panowała cisza, przerywana jedynie stukotem luźnych części takielunku. Potem się podniósł chóralny wrzask przerażonych marynarzy i okrzyki rannych. Dwóch, którzy stali za nadbudówką, zginęło na miejscu. Inni zostali straszliwie pokiereszowani; bom potrzaskał im kości i połamał kończyny. Ich żałosne krzyki porywał wiatr.

Na rozkaz kapitana dhow część załogi rzuciła się na pokład dziobowy, żeby odgrzebać leżących tam ludzi spod stosu płótna i spleatanych lin.

- Szukajcie księcia! - ryknął kapitan, lękając się o własne życie, gdyby się okazało, że jego pan i władca został ranny albo, niech Allah broni, zabity przez ciężkie drzewce.

Marynarze błyskawicznie porozcinali żagiel i przy akompaniamencie okrzyków ulgi i dziękczynnych modłów do Allaha wydobyli księcia spod zwałów płótna.

Al-Malik wstał. Nie zwracając uwagi na zamieszanie i okrzyki wdzięczności za jego ocalenie, natychmiast spojrział ku pozostałościom podium. Koniec bomu rozerwał nawet drogocenny jedwabny dywanik modlitewny, na którym przed kilkoma minutami klęczał.

- Bogu niech będą dzięki, że jesteś cały, panie! - zawołał mułła, podbiegając do księcia. - Allah osłonił cię swym opiekuńczym skrzydłem, jesteś bowiem wybrańcem Proroka!

Książę odepchnął jego wyciągnięte ręce i zapytał:

- Gdzie dziecko?

Marynarze natychmiast rozpoczęli kolejne gorączkowe poszukiwania pod górą lin i płótna. Wreszcie wyciągnęli Doriana, całego i żywego, i postawili go przed władcą.

380

- Czy nic ci się nie stało, maleńki? - zapytał al-Malik.

Dorian z uśmiechem zachwytu przyglądał się otaczającemu ich zniszczeniu. Nie czuł takiej radości od czasu, gdy ostatni raz widział Toma.

- Czuję się świetnie, sir - w podnieceniu przeszedł na angielski. - Ale pański statek to teraz kupa śmiecia.

Tom wiedział, że musi czymś zająć marynarzy podczas tygodni oczekiwania na powrót Andersena z Cejlonu. Bezczytność powodowała, że ludziom przychodziły do głowy głupie pomysły, stawali się niebezpieczni dla innych i dla samych siebie. Młody kapitan Serapha zdawał sobie również sprawę z tego, że dla własnego dobra i spokoju duszy musi poszukać ukojenia w ciężkiej pracy. Inaczej bowiem spędzałby całe dni na rozmyślaniu o losach Doriana lub zamartwianiu się ranami ojca i pogarszającym się stanem jego zdrowia. Czuł się wewnętrznie rozdarty z powodu konfliktu wynikającego z lojalności wobec ojca i wobec brata.

Z jednej strony wiedział, że kiedy tylko Hal nabierze sił, powinien zawieźć go do Anglii, gdzie mógłby odpoczywać w spokoju High Weald, doglądany przez

najlepszych lekarzy i wierną służbę. Z drugiej strony oznaczałoby to pozostawienie Doriana własnemu losowi, jako niewolnika w zupełnie obcym dlań świecie. Przysięga złożona młodszemu bratu z nieprzepartą siłą pchała go ku temu straszemu lądowi zwanemu Afryką.

Pomocy w rozwiązaniu tego dylematu próbował szukać u Abolego.

- Gdyby się ojciec zgodził oddać mi pod komendę Mino-taura z niewielką, dobrze wyszkoloną załogą, mógłbym razem z tobą poszukać Doriana. Wiem, gdzie trzeba zacząć. W Laniu!

- No, a co z ojcem, Klebe? Chcesz go opuścić akurat teraz, kiedy cię potrzebuje najbardziej? Jak byś się czuł, gdyby gdzieś w tych dalekich stronach - Murzyn pokazał na zachód, ku skrytemu za widnokregiem tajemniczemu kontynentowi - dotarła do ciebie wieść, że Hal nie żyje i że być może zdołałbyś go uratować, gdybyś przy nim został?

- Nawet tak nie mów, Aboli! - zgromił go Tom. Po chwili jednak westchnął niepewnie i dodał łagodniejszym tonem: - Może zanim wróci Andersen, ojciec wydobrzeje na tyle, że

381

będzie mógł popłynąć bez naszej opieki. Zaczekam z podjęciem decyzji aż do tego czasu. Tymczasem jednak musimy przygotować Minotaura na wszelkie ewentualności. Pomimo całej pracy, którą wykonano już na statku, wciąż nosił on ślady niefrasobliwego traktowania przez piratów. Szczególnie zagrożony był kadłub zaatakowany przez świdraki, przekleństwo tropikalnych mórz. Jeszcze tego samego dnia Tom kazał położyć statek na boku. Nie robił tego nigdy przedtem i musiał się zdać na doświadczenie Neda Tylera i Alfa Wilsona. Minotaura opróżniono z towaru i ciężkiego sprzętu, łącznie z działami i baryłkami z wodą. Wszystko przetransportowano na brzeg i złożono w zaimprovizowanym szałasie ze strzechą z liści palmowych. Kolubrynami otoczono obóz dla obrony. Odciążony statek ustawiono w porze przypływu równoległe do brzegu.

Przez bloki u szczytu wszystkich trzech masztów przeciągnięto mocne liny, przymocowane do najgrubszych palm na brzegu.

Kiedy zaczęli go przechylać, pod kilem Minotaura były trzy sąźnie wody.

Dwudziestu majtków przy każdym kabestanie, wraz z tymi na brzegu, ciągnęło i wysilało się, rytmicznie pokrzykując, aż w końcu statek się położył mocno na lewą burtę, niemal na krawędzi zatonięcia. Ukazało się dno kadłuba i jednocześnie zaczął się odpływ. Minotaur osiadł łagodnie na piasku i zanim woda zdążyła całkowicie ustąpić, Tom z Nedom Tylerem rozpoczęli inspekcję poszycia. Żaglowiec pływał po afrykańskich wodach od czterech lat, toteż spód miał obrosnięty wodorostami i skorupiakami. Choć pogarszały one jego zwrotność i szybkość, nie stanowiły większego zagrożenia. Kiedy jednak obaj mężczyźni oczyścili fragment dna, znaleźli coś, czego się obawiali najbardziej: kadłub poniżej linii wodnej poryty był świdrakami. Tom wsunął cały palec do jednego z otworów i poczuł, jak mały kurczy się pod jego dotykiem. Miejscami drewno poszycia wyglądało jak szwajcarski ser.

Cieśle tymczasem przygotowali już w kociołkach na plaży wrzącą smołę. Ned napełnił warzachew bulgoczącą substancją i zalał nią jeden z otworów. Wypełzło z niego, wijąc się w konwulsjach, ohydne stworzenie. Miało grubość palca, a kiedy Tom chwycił je za część głowową i przytrzymał w wyciągniętej ręce, czerwone robakowate ciało zwisało na długość dłoni.

382

_ Staruszek nigdy nie zdołałby wrócić do domu z tą plugawą załogą na pokładzie - rzekł Ned. - Przy pierwszym silniejszym sztormie kadłub rozleciałby się na kawałki.

Tom z wyrazem obrzydzenia na twarzy odrzucił podsmażonego maźła daleko w wodę. Zakotłowało się tam od srebrzystych rybek, które się rzuciły na nieoczekiwany poczęstunek.

Cieśle z pomocnikami wzięli się do oczyszczania kadłuba i pracowali, dopóki przypływ nie zmusił ich do powrotu na wysoki brzeg. Przez pięć kolejnych odpływów zeszkrobywali z poszycia wodorosty i skorupiaki, a następnie usunęli świdraki i wypełnili otwory smołą z pakułami. Niektóre części były tak przeżarte i nadgniłe, że trzeba je było zastąpić nowymi. Po oczyszczeniu dno statku

zamalowano warstwą smoły, którą pokryto mieszaniną smoły z łożem i ponownie dwukrotnie wysmołowano. Wreszcie Ned z Tomem uznali, że wystarczy. Przy kolejnym przypływie Minotaur został ściągnięty na wodę i odwrócony rufą do przodu. Potem zaciągnięto go w to samo miejsce przy brzegu i cały proces powtórzono, tym razem odsłaniając lewą burtę.

Gdy statek stanął wreszcie z odnowionym dnem na kotwicy, marynarze się wspięli na maszty i pozdejmowali wszystkie reje. Każdą sprawdzono dokładnie i po naprawieniu osłabionych miejsc umocowano z powrotem. Potem przyszła kolej na liny i żagle. Sporą część lin wymieniono na nowe konopne powrozy, wyciągnięte z magazynów Serapha. Stare czarne żagle Mino-taura, wielokrotnie łatane przez marynarzy al-Aufa, były już w strzępach. Tom zdecydował, że wszystkie zostaną wymienione. Ned wydobyl z ładowni Serapha płachty nowego płótna i żaglomistrze, siedząc rzędami na pokładzie, przykroili je odpowiednio, dopasowując do takielunku Minotaura.

Dolne pokłady statku były w równie opłakanym stanie jak kadłub. Roilo się tam od robactwa i szcurów i unosił się ohydny fetor. Ned sporządził straszliwą miksturę z prochu strzelniczego, siarki i kwasu siarkowego. Garnki z tą żrącą substancją porozstawiano w różnych miejscach pod pokładem i podpalono ją. Kiedy gryzący dym zaczął wypełniać pomieszczenia, marynarze umknęli na świeże powietrze. Zamknęli wszystkie kłapy prowadzące na dół i pozatykali inne otwory w pokładzie, żeby trujący opar mógł się rozprzestrzenić po najdalszych zakamarkach kadłuba.

383

Wkrótce przez kluzy kotwiczne i szpary pod furtami działowymi wyroił się w panicznej ucieczce tłum szcurów. Niektóre były rozmiarów królika. Płynęły szaleńczo ku plaży, a załoga się zabawiała strzelaniem do nich z pistoletów i muszkietów, zakładając się o trafienia.

Kiedy już kadłub i takielunek zostały doprowadzone do porządku, Tom się zajął malowaniem statku. Stara farba spłowiła już i łuszczyła się płatami. Z burt wywieszono ławeczki na linach i ekipy malarzy, oczyściwszy kadłub piaskiem, pomalowały go trzykrotnie oslepiającą bielą aż po linię wodną. W przypływie twórczego zapału Tom kazał pomalować obramienia otworów działowych wesołym błękitem, a także pozłocić na nowo figurę dziobową i snyderkę galerii rufowej. Po sześciu tygodniach takiej wytężonej pracy Minotaur wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł ze stoczni. Jego piękna sylwetka i eleganckie linie prezentowały się w całej okazałości.

Na twarzy Hala Courtneya, przyglądającego się statkowi przez okno w kabinie Serapha, pojawił się nikły uśmiech uznania.

- Na Boga, jest piękny jak panna młoda w dzień weselny - powiedział do Toma. - Brawo, chłopcze. Podniosłeś wartość tego statku o co najmniej pięć tysięcy funtów.

Słowa ojca dodały Tomowi odwagi, by poprosić o oddanie mu Minotaura pod samodzielne dowództwo. Hal słuchał go w skupieniu. W końcu pokręcił głową.

- Straciłem już jednego syna - powiedział cichym głosem. - Naprawdę nie przeżyłbym utraty następnego, Tom.

- Ale ja złożyłem Dorry'emu przysięgę na śmierć i życie, ojczu.

Oczy Hala zasnuły się cieniem bólu, dotkliwszego jeszcze niż ten, jakiego doświadczył, gdy amputowano mu nogi.

- Wiem, synu, wiem - szepnął. - Minotaur nie jest moją własnością. Nie ja nim dysponuję, tylko Kompania. Ale nawet to nie stanowiłoby przeszkody, jeślibym tylko uznał, że pomożemy w ten sposób Dorianowi. Nie mogę cię jednak wystawić na niebezpieczeństwo, dając ci statek z niekompletną załogą.

Tom już otwierał usta, żeby wytoczyć kolejny argument, lecz Hal się uniósł na skotłowanej pościeli i położył mu rękę na ramieniu.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - rzekł chrapliwie. Koścista dłoń na barku Toma ważyła mniej niż skrzydło ptaka. - Nie

384

puszczę cię samego. Książę al-Malik to potężny władca. Dysponuje wielką armią i setkami statków. W pojedynkę nie zdziałałbyś niczego.

- Ale ojczu... - zaczął znów Tom, lecz Hal go powstrzymał.

- Posłuchaj wreszcie, Tom. Musimy zakończyć tę podróż razem. Ja mam obowiązki wobec króla i wobec ludzi, którzy obdarzyli mnie zaufaniem. Kiedy się z nich wywiążę, postaram się wprowadzić ciebie do zakonu. Zostaniesz rycerzem Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala, z wszelkimi przysługującymi tej pozycji możliwościami. Będziesz miał prawo zwrócić się o pomoc do współbraci w zakonie, takich jak lord Childs i kanclerz Hyde.

- To potrwa co najmniej rok! - Tom poczuł wręcz fizyczny ból na myśl o tej perspektywie. - Co ja mówię, dwa albo nawet i trzy lata!

- Nie osiągniemy niczego, wyprawiając się bez przygotowania przeciwko potężnemu władcy w obcym kraju. Kraju, którego nie znamy i gdzie nikt nie opowie się po naszej stronie.

- Trzy lata! - powtórzył Tom. - Co się w tym czasie może stać z Dorianem?

- W tym czasie ja na pewno wydobreję. - Hal spojrział na swe żałośnie okaleczone kończyny. - Pożeglujemy razem, ty i ja, na ratunek Dorianowi. Będziemy dysponować całą flotyllą doskonałych statków, obsadzonych dobrze wyszkolonymi ludźmi. Wierz mi, synu, to najlepsze, co możemy zrobić dla Dorry'ego i dla samych siebie.

Tom się wpatrywał w ojca w osłupieniu. Hal Courtney, od czasu kiedy został ranny, zmienił się w starego, słabego człowieka o siwiejącej brodzie i niesprawnym ciele. Czyżby naprawdę wierzył, że będzie jeszcze kiedykolwiek zdolny do dowodzenia statkami i udziału w walce? Zdaniem Toma były to płonne nadzieje. Do oczu napłynęły mu łzy, zdołał je jednak powstrzymać.

- Zaufaj mi, synu - mruknął Hal. - Daję ci moje słowo. Czy dasz mi także swoje?

- Dobrze, ojciec - Tom musiał zebrać całą swoją odwagę, by złożyć tę obietnicę; nie potrafił przeciwstawić się Halowi. - Daję ci moje słowo.

- Dziękuję, Tom. - Dłoń chorego zsunęła się z ramienia syna, broda opadła mu na pierś. Hal zamknął oczy. Oddychał tak cicho, że w nagłym przypiływie paniki Tomowi się wydało,

385

że go stracił. Zaraz jednak spostrzegł, że pierś rannego unosi się w łagodnym rytmie.

Odsunął się od posłania ojca i po cichutku, by nie zakłócić jego snu, wyszedł z kapitańskiej kajuty.

Monsun ustał. Przez kilka tygodni trwali w drętym uścisku wielkiej morskiej ciszy oddzielającej od siebie dwie pory roku. Wreszcie liście palm zadygotały, a na nieboskłon powróciły chmury maszerujące karnymi szeregami, tym razem na północny wschód.

- Te dwa potężne wiatry to największy cud na całym oceanie - powiedział Alf Wilson. Siedzieli z Tomem na pokładzie dziobowym Serapha. Alf mówił po arabsku, gdyż Hal nalegał, żeby codziennie ćwiczyli ten język. Tom wiedział zresztą, że będzie mu on bardzo przydatny, kiedy rozpocznie poszukiwanie Doriana. - Od listopada do kwietnia wieją z północnego wschodu; Arabowie nazywają je kaskazi - ciągnął Alf. - Potem od kwietnia do listopada zmieniają kierunek na południowo-wschodni i wówczas się nazywają kusi.

To właśnie kusi przywiódł z powrotem na Flor de la Mar kapitana Andersena na Yeomanie of York, o poranku pewnego wietrznego dnia. Załogi stojących w lagunie statków zgromadziły się na rejach i przy burtach, witając przybyłych wiwatami. Andersen przeprowadził swój statek przesmykiem i rzucił kotwicę w pobliżu Serapha. Yeoman jeszcze na dobre nie znieruchomiał na uwięzi, gdy Tom już wysłał barkas po jego kapitana.

Edward Anderson wspiał się po drabince, wyraźnie zadowolony ze swoich dokonań; najpierw jednak zapytał o zdrowie Hala.

- Ojciec jest z każdym dniem silniejszy - skłamał bez mrugnięcia okiem Tom. - Dziękuję za pańską troskę, kapitanie.

Zaprowadził gościa do kajuty na rufie. Przedtem się postarał, żeby łożo chorego obleczono czystą pościelą, a Hal został ostrzyżony i uczesany przez pielęgniarza. Kapitan Serapha spoczywał w pozycji półsiedzącej, oparty o zagłówek, i wyglądał lepiej, niż się czuł.

- Dziękuję Bogu, znajdując pana w tak świetnej formie, sir Henry - powitał go Anderson, siadając na krześle przy łożu rannego.

386

Tom poczęstował obu lampką madery. _ Czy życzysz sobie zostać z kapitanem Andersenem sam na sam, ojczy? - zapytał, wręczając mu kielich o kręczonej nóżce.

_ Oczywiście, że nie - odrzekł szybko Hal i zwrócił się do "ościa. - Mój syn objął komendę nad statkiem na czas mojej niedyspozycji.

Tom patrzył nań jak urzeczony. Jego awans po raz pierwszy uzyskał oficjalne potwierdzenie.

Andersen jednak nie okazał zdziwienia.

- Nie przyniósł panu ujmy, sir Henry - powiedział.

- To tyle, co do wydarzeń na wyspie - rzekł Hal. Spróbował usiąść wyżej, jednak ukłucie bólu kazało mu opaść z powrotem na poduszki. - Z ciekawością oczekuję relacji o pańskich dokonaniach od czasu naszego rozstania.

- Mam same dobre wieści - odparł bez skrępowania Andersen. - Podróż na Cejlon przebiegła bez zakłóceń; straciliśmy zaledwie kilku jeńców. W Colombo gubernator van Groote przyjął nas z otwartymi rękami, wielce skory do handlu. Okazało się, że przybyliśmy w sam czas, gdyż epidemia kiły poważnie przetrzebiła szeregi jego niewolników. Szczęśliwym trafem dowiedziałem się o tym jeszcze przed rozpoczęciem targów, dzięki czemu udało mi się wynegocjować całkiem godziwą cenę.

- Ile?

- Trzydzieści siedem funtów za sztukę - promieniał z dumy dowódca Yeomana.

- Serdeczne gratulacje, kapitanie Andersen - wyciągnął doń rękę Hal. - To znacznie więcej, niż oczekiwaliśmy.

- Na tym nie koniec dobrych wieści - zaśmiał się gość. - Plaga syfilisu oraz wyczyny al-Aufa na tych wodach sprawiły, że Cejlończycy nie byli w stanie wyekspediować do Europy większości swych zbiorów cynamonu z ostatnich dwóch lat. Ich magazyny dosłownie pękały w szwach. - Andersen łypnął chytrze okiem. - Zamiast więc wziąć od van Groota weksel wystawiony na bank w Amsterdamie, przyjąłem zapłatę za niewolników w laskach cynamonu, po bardzo korzystnej cenie. Jestem przekonany, że gdy zacumujemy w londyńskich dokach, zarobimy na tym podwójnie.

; Zaiste muszę pochwalić pański zdrowy rozsądek i bystrą orientację. -

Informacje Andersena najwyraźniej wielce ura-

387

dowały Hala. Tom nie widział go tak ożywionym i rozmownym od czasu nieszczęsnej amputacji. - Wiatr trzyma stały kierunek ku Przylądkowi Dobrej Nadziei.

Wyjdziemy w morze, kiedy tylko pański statek będzie gotowy do drogi, kapitanie. Czy szybko to nastąpi?

- Kilku z moich marynarzy ma szkorbut - odparł gość - lecz w porcie szybko wyzdrowieją. Odnowimy zapas wody i orzechów kokosowych i przed upływem tygodnia możemy wyruszać.

Cztery dni później cała flotylla podniosła kotwicę i wyszła przesmykiem na otwarte morze. Statki postawiły wszystkie robocze żagle i skierowały się na południe, by przejść Kanałem Mozambickim i opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei. Przez kilka pierwszych tygodni pogoda się nie zmieniała i wiał sprzyjający wiatr. Świeże morskie powietrze i łagodne kołysanie Serapha wyraźnie wpływały na poprawę kondycji Hala. Co dzień poświęcał nieco czasu na odpytywanie Toma z przepisów rytualnych Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala, przygotowując go do wstąpienia w stan rycerski. Postępy syna sprawiały mu ogromną przyjemność.

Po tygodniu Tom kazał ustawić na zawietrznej stronie kwarterdeku pryczę, na której Hal mógł cieszyć się znowu wiatrem i słońcem. Młody Courtney, choć przejął w pełni dowodzenie statkiem, starał się co dzień spędzić trochę czasu z ojcem. W ciągu tych dni zbliżyli się do siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Częstym tematem ich rozmów był oczywiście Dorian i plany wydostania go z niewoli. Dyskutowali też o Guyu i jego małżeństwie z Caroline Beatty. Ku zaskoczeniu Toma, ojciec potraktował go jak dorosłego, pytając wprost:

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to dziecko równie dobrze może być twoje jak i Guya?

- Przyznaję, że przyszło mi to do głowy - odpowiedź chłopaka była tak samo bezpośrednia jak pytanie.

- Obawiam się, że zrobiłeś sobie wroga z własnego brata, Tom. Uważaj na Guya. On nie wybacza i potrafi nienawidzić z całego serca.
- Nie sądzę, byśmy się mieli jeszcze spotkać w życiu - odparł młodzieniec. - On mieszka w Indiach, a ja... no cóż, ja będę na najdalszych krańcach oceanu.
- Los lubi płatać nam figle, synu. Ocean może się okazać mniej rozległy, niż przypuszczasz. <

388

dFlotylla parła na południe i na czterdziestym trzecim stopniu szerokości zmieniła kurs na zachodni, zdążając wprost ku Przylądkowi Dobrej Nadziei. Wkrótce ujrzeni spienioną biel przyboju bijącego o afrykańskie wybrzeże. Hal wezwał Toma do swojej kajuty i pokazał mu wpis w dzienniku, przypieczęto-wujacy promocję.

- Jest to nie tylko świadectwo mego zaufania do ciebie, Synll - powiedział. - Ten wpis oznacza także, że masz prawo do udziału w łupach, przysługującego oficerom. To może wynieść nawet tysiąc funtów.

- Dziękuję, ojcze.

- Uczyniłbym dla ciebie znacznie więcej, ale nie leży to w mojej mocy. William jest moim pierworodnym; wiesz już, co to oznacza. Cały majątek przypadnie jemu.

- Nie martw się o mnie, ojcze. Sam znajdę swoje miejsce na tym świecie.

- W to nie wątpię - uśmiechnął się Hal, ściskając ramię syna. Od opuszczenia Flor de la Mar wyraźnie przybyło mu sił. Tom czuł mocny uchwyt jego dłoni, a słońce dodało policzkom ojca kolorów. - Chyba dlatego, że okrażyliśmy przylądek i zdążamy już ku północy, moje myśli wciąż biegną ku High Weald. Proszę, nie żyw nienawiści do swego starszego brata, Tom.

- To nie ja go nienawidzę, to Czarny Billy nienawidzi mnie, ojcze.

- Ten pogardliwy przydomek zdradza twoje prawdziwe uczucia względem niego. Kiedy mnie już zabraknie, William jako głowa rodu będzie miał prawo oczekiwać od ciebie szacunku i lojalności.

- Przecież ty sam, ojcze, uczyłeś mnie, że na szacunek i lojalność trzeba sobie zapracować, a nie domagać się ich z góry - odparł chłopak.

Rzucili kotwicę w sporym oddaleniu od holenderskiej osady na Przylądku Dobrej Nadziei. Odnowili zapasy wody, świeżych jarzyn i mięsa, unikając wszelkich kontaktów z tamtejszą administracją. Po tygodniu pożeglowali dalej ku północy. W miarę jak wypływali coraz dalej na wody Atlantyku, zmieniały się warunki panujące na oceanie, a wraz z nimi stan zdrowia Hala Courtneya.

Sunęły na nim ogromne martwe fale od przylądka; wysokie, szare wały wodne, przedzielone głębokimi dolinami. Nękały

389

ich dniem i nocą. Woda przelewała się ponad dziobem statków, zdzierając z pokładu słabiej umocowane deski. Wiatr wył jak zgraja, głodnych wilków. Morze szturmowało niezmordowanie i bezlitośnie. Hal z każdym dniem słabł. Pewnego sztormowego poranka, odwiedziwszy go w kajucie, Tom zastał ojca w gorączce, spoconego. W nozdrzach zakreślił go znajomy odór rozkładu. Odkrywszy kołdrę, ujrzał na prześcieradle nie pozostawiające żadnej wątpliwości żółtawe smugi ropy.

Zawołał do marynarzy na wachcie, żeby przysłali na dół Reynoldsa. Medyk zjawił się natychmiast. Kiedy odwinał bandaże z lewej nogi Hala, jego łagodna twarz ściągnęła się w wyrazie przerażenia. Kikut był strasznie opuchnięty. Brzegi niedawno zagojonej rany poczerwieniały i zaczynały się rozdzielać; z ich krańców ciekły strużki ropy.

- Obawiam się, że to zgorzel, sir Henry. - Doktor powąchał ropę i skrzywił się.
- Nie podoba mi się ten zapach, zwiastuje gangrenę. Muszę natychmiast otworzyć ranę.

Tom przytrzymał skręcającego się z bólu Hala za barki, a medyk zagłębił w świeżej bliźnie ostrze skalpela. Kiedy je wyciągnął, z rany trysnęła struga żółtej ropy, zabarwionej krwią. Płyn pokrył całe dno miski, trzymanej pod kikutem przez pomocnika lekarza.

- Chyba trafiliśmy na źródło całego zła - rzekł Reynolds, zadowolony z ilości i barwy wydzieliny. - Puścimy teraz krew, żeby obniżyć gorączkę.

Skinął na pielęgniarkę, który podwinał rękaw koszuli chorego i opasał jego ramię rzemieniem. Zacisnął opaskę i pod bladą skórą w zgięciu łokcia Hala wystąpiły

błękitne sznury żył. Reynolds otarł zabrudzony ropą skalpel o skraj fartucha i wypróbował kciukiem ostrze. Następnie przebił nabrzmiałą arterię i patrzył, jak świeża, ciemna krew spływa do miski, mieszając się z ropą.

- Pinta powinna wystarczyć - mruknął. - Chyba się pozbyliśmy tych miazmatów. Choć nie wypada chwalić samego siebie, sądzę, że lepszemu przykładowi medycznego rzemiosła nie zobaczycie nigdzie... stąd aż do Plymouth.

W ciągu kolejnych tygodni żegluga stan Hala ulegał ciągłym wahaniom. Chory całymi dniami leżał bezwładnie na pryczy, zdawałoby się bliski śmierci. Potem nagle wracały mu siły. Gdy przekroczyli równik, Tom mógł go znowu ulokować na pokładzie, by zażył słońca i powietrza. Ojciec rozprawiał z oży-

390

wieniem o domu, tęskniąc do zielonych pól i dzikich wrzosowisk High Weald.

Wspominał książki i dokumenty ze swej biblioteki.

- Są tam wszystkie dzienniki pokładowe z wypraw twojego dziadka, Tom - oznajmił.

- Mogę przekazać ci je na własność, ponieważ jesteś żeglarzem, a dla Williama i tak nie przedstawiają żadnej wartości.

Myśl o sir Francisie znowu zasnuła jego oblicze smutkiem.

- Ciało dziadka już będzie na nas czekać w High Weald - powiedział. - Anderson wysłał je do Anglii z Bombaju. Pochowamy je w sarkofagu w naszej kaplicy. Na pewno się ucieszy, że wreszcie wrócił do domu, podobnie jak ja. - Twarz Hala zmieniła się w tragiczną maskę. - Tom, czy zadbasz o to, żeby i dla mnie znalazło się miejsce w krypcie? Chciałbym móc spocząć u boku ojca i kobiet, które kochałem. Twoja matka... - przerwał, nie mogąc mówić dalej.

- Ojczy, do tego dnia jeszcze daleko - przekonywał go Tom z nutą rozpaczony w głosie. - Mamy zadanie do wypełnienia. Przysięgliśmy to sobie nawzajem. Musimy odnaleźć Doriana. Trzeba, byś wrócił do zdrowia i sił!

- Oczywiście, masz rację. - Hal z widocznym wysiłkiem starał się otrząsnąć z nastroju rozpaczony i wątplenia. - Płacz i narzekania nie zdadzą się nam na nic.

- Kazałem cieślom przysposobić dla ciebie nowe nogi, z twardej angielskiej dębiny - ożywił się chłopak. - Staniesz o własnych siłach, nim zawiniemy do Plymouth.

Poleciał zawołać głównego cieślę. Krępy Walijszyk przyniósł ze sobą dwie drewniane protezy, jeszcze nie całkiem ociosane, by je zaprezentować Halowi. Wraz z Tomem odegrali całe przedstawienie, przymierzając je i dopasowując do kikutów.

Ranny zdawał się żywo w tym uczestniczyć, śmiejąc się i wymyślając facecje.

- Jakby w nich zamontować kompas i chorągiewkę, mógłbym się nimi posługiwać przy nawigacji - żartował. Gdy cieśla sobie poszedł, ponury nastrój jednak powrócił.

- Z tymi rejami zamiast nóg nigdy już nie będę w pełni sprawny - powiedział. - Tom, obawiam się, że będziesz musiał sam wyprawić się po Doriana. - Uniósł dłoń, by uciszyć protesty syna. - Nie martw się, dotrzymam słowa. Możesz liczyć na każdą pomoc, jakiej będę w stanie ci udzielić.

Dwa tygodnie później statek stał nieruchomo w bezwietrznej strefie Morza Sargassowego, na trzydziestym stopniu szerokości

391

północnej i sześćdziesiątym długości zachodniej. Kiedy wśród wilgotnego bezruchu Tom zszedł do kabiny ojca, zastał go skurczonego na pryczy. Skóra na twarzy Hala była pożółkła i napięta jak pergamin. Przypominała oblicze egipskiej mumii, przywiezionej przez któregoś z protoplastów rodu z wyprawy do Aleksandrii i wyeksponowanej w gablocie pod jedną ze ścian biblioteki w High Weald. Tom wezwał Reynoldsa i zostawił ojca pod jego pieczęcią. Nie mogąc znieść ponurego widoku, wybiegł na pokład.

- Czy ta przeklęta podróż nigdy się nie skończy? - jęknął, oddychając zastałym, ciepłym powietrzem. - Jeżeli wkrótce nie dowieziemy go do domu, może już nigdy nie ujrzeć High Weald. Niech zacznie wreszcie wiać!

Podbiegł do want grotmasztu i wspiał się na samą górę, nie zatrzymując się ani na moment, póki nie dotarł do salingu. Trzymając się takielunku, spojrział ku północnemu widnokręgowi, zasnutemu morską mgiełką. Wyciągnął z pochwy u pasa krótki szkocki sztylet i wbił go w drzewce masztu. Zamierzał go tam zostawić. Aboli powiedział mu kiedyś, że jest to sposób na przełamanie morskiej ciszy.

Zaczął gwizdać pod nosem "Hiszpańskie dziewczyny", ale za bardzo przypominały mu Doriana i zmienił melodię na "Zielone rękawy".

Przez cały ranek gwizdał piosenkę w nadziei na przywołanie wiatru. Kiedy słońce stanęło w zenicie, spojrzął za rufę. Powierzchnia morza była gładka jak zwierciadło, poznaczona jedynie żółtawymi kępami sargassowych wodorostów. Wtem dostrzegł ponad krańcem lśniącej płaszczyzny ciemnoniebieską kreskę, sunącą szybko w ich stronę.

- Pokład! - krzyknął. - Szkwiał od rufy!

Zobaczył małe figurki marynarzy z wachty pokładowej wspinające się na olinowanie, żeby postawić żagle. Wkrótce szkwiał pochwycił wszystkie cztery statki i pognał całą flotyllę na północ. Prowadził Seraph, za nim podążał Yeoman, dalej Mino-taur, a stateczny Lamb płynął na końcu. Od tego momentu wiało bez ustanku od zachodu, a wiatr nie słabł nawet nocą. Tom pozostawił swój sztylet wbity w top masztu.

Kiedy minęli wyspę Scilly na południowy zachód od Anglii, ujrzeli pierwszy od dwóch miesięcy obcy żagiel. Była to mała łódź rybacka z trzyosobową załogą.

- Jakie wieści? - zawołał do rybaków Tom. - Nie wiemy, co się dzieje od trzech lat!

392

- Wojna! - padła odpowiedź. - Wojna z Francuzami!

Tom wezwał na pokład Serapha Edwarda Andersena i pozostałych kapitanów, by odbyć z nimi zaimprovizowaną naradę wojenną. Byłoby prawdziwą tragedią, gdyby, wracając po trzech latach z niebezpiecznej wyprawy, padli łupem francuskich kaprów tak niedaleko domu. Zebrali się wszyscy w kabinie Hala, który miał jeden ze swych lepszych dni i żywo uczestniczył w dyskusji.

- Musimy zdecydować - oznajmił Tom. - Albo rzucamy kotwicę w Plymouth, albo pójdziemy kanałem do ujścia Tamizy.

Anderson się opowiedział za Plymouth, ale Ned Tyler i Alf Wilson woleli płynąć do Londynu. Kiedy już każdy wyraził swoją opinię, głos zabrał młody kapitan Serapha.

- Jeśli dotrzemy do londyńskich doków, będziemy mogli złożyć nasz ładunek wprost do magazynów Kompanii. W ciągu kilku dni towary znajdą się na aukcji. - Spojrzął na ojca, licząc na jego poparcie. Hal skinął głową i Tom mówił dalej. - Jeżeli zaś wejdziemy do Plymouth, możemy tam ugrzęznąć, Bóg wie na jak długo. Jestem za tym, żebyśmy podjęli francuską rękawicę i pozęglowali kanałem na północ.

- Tom ma rację. Im szybciej sprzedamy łupy, tym będę spokojniejszy - rzekł Hal. Zarządzili na statkach stan pełnego pogotowia. Podwoiwszy czujki na masztach, z gotowymi do strzału działami, pozęglowali ku ujściu Tamizy. Dwukrotnie w ciągu następnych dni zauważyli w oddali dziwne statki bez rozpoznawczych bander, wyglądające jednak z francuska. Za każdym razem Tom dawał sygnał flagowy do zwarcia szyku i obcy odpływali na wschód, ku leżącemu tuż za horyzontem wybrzeżu Francji.

Dwie godziny przed świtem dostrzegli światło latarni morskiej w North Foreland, a koło południa minęli Sheerness. W pełnym świetle letniego popołudnia cztery żaglowce zacumowały przy nabrzeżu Kompanii Wschodnioindyjskiej. Jeszcze przed opuszczeniem trapu Tom zawołał do agenta Kompanii, który czekał na kei, by ich powitać:

- Proszę zawiadomić lorda Childsa, że przywieźliśmy olbrzymie łupy. Niech się tu zjawi jak najrychlej!

Powóz Childsa, poprzedzany przez torujących mu drogę dwóch jeźdźców, wtoczył się w pełnym galopie przez bramę portu godzinę przed północą. Stangret zatrzymał karocę tuż przy krawędzi nabrzeża. Childs niemal wypadł z jej drzwiczek,

393

nie czekając nawet, aż pojazd stanie na dobre. Wspiał się po trapie na Serapha, z poczerwieniałą z ekscytacji twarzą, przekrzywioną peruką i otwartymi z wysiłku ustami.

- Coś ty za jeden? - warknął do Toma. - Gdzie jest sir Henry?

- Milordzie, jestem Thomas Courtney, syn Henry'ego.

- Gdzie twój ojciec, chłopcze?

- Czeka na pana w swojej kajucie, sir.

Childs rozejrzał się i zapytał, wskazując na Minotaura:

- Co to za statek? Wygląda mi na wschodnioindyjczyka, ale go sobie nie przypominam.

- To stary Minotaur, sir, tylko niedawno odmalowany - odparł młody Courtney.

- Minotaur! Odzyskaliście go z łap korsarzy? - Nie czekając na odpowiedź, prezes Kompanii zadał kolejne pytanie: - A ten na końcu?

- To nasza zdobycz, sir. Holender z ładownią pełną chińskiej herbaty.

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece, młodzieńcze. Jesteś zwiastunem samych dobrych nowin. Prowadź mnie teraz do ojca.

Hal siedział na swoim kapitańskim krześle. Pled na kolanach skrywał jego kalectwo. Na głowie miał perukę, a odziany był w błękitną kurtkę ze złota, wysadzaną klejnotami odznaką Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala. Twarz miał pobladła, a oczy zapadnięte i podkrążone, trzymał się jednak prosto i dumnie.

- Witam na pokładzie, milordzie - rzekł do Childsa. - Proszę wybaczyć, że nie wstaję, lecz jestem trochę niedysponowany.

- To ja pana witam w rzeczy samej, sir Henry - uścisnął mu dłoń przybysz. - Z niecierpliwością czekam na relację z udanej wyprawy. Widziałem już dwa zdobyczne statki przy kei, a pański syn powiedział mi co nieco o innych trofeach.

- Zechce pan usiąść - wskazał mu krzesło Hal. - Wysłuchanie raportu potrwa dobrą chwilę. Sporządziłem go również na piśmie, ale chcę panu opowiedzieć o naszej ekspedycji osobiście. Najpierw jednak szklaneczka wina. - Skinał na Toma, żeby napełnił kieliszki, czekające już na srebrnej tacy.

Następnie Hal rozpoczął swoją opowieść. Childs pochylił się na krzesło i słuchał go z uwagą, w głębokim milczeniu, co jakiś

394

czas tylko zadając pytanie. Kiedy kapitan Serapha skończył czytanie długiego manifestu, wyszczególniającego cały ładunek czterech żaglowców, zamilkł na dłuższą chwilę, zmęczony tym wysiłkiem. Gość wziął dokument z jego rąk i przejrzał go dokładnie jeszcze raz. Jego oczy pałały zachłannością. Wreszcie podniósł wzrok i powiedział:

- Od wybuchu wojny z Francuzami ceny tych wszystkich artykułów niemal się podwoiły. Wliczając w to dwa zdobyczne żaglowce, wartość uzyskanych przez pana trofeów sięga prawdopodobnie około pół miliona funtów. Rada Kompanii będzie panu więcej niż wdzięczna, sir Henry. Wolno mi też, jak sądzę, dodać w imieniu Jego Królewskiej Mości, że Korona z pewnością dotrzyma danej panu obietnicy. Przed końcem tego tygodnia stanie się pan Henrym Courtneyem, baronem Dartmoor. - Childs uniósł kielich w toaście. - Wiedziałem, wysyłając pana na tę wyprawę, że stawiam na właściwego człowieka. Piję za pańskie zdrowie i pomyślność, sir.

- Dziękuję, milordzie. Rad jestem, że pana usatysfakcjonowałem.

- A któż tu mówi o satysfakcji! - roześmiał się głośno Childs. - Nie ma takich słów, którymi zdołałbym wyrazić moje zadowolenie, podziw i oszołomienie pańską odwagą i roztropnością. - Gość wyciągnął rękę, chcąc klepnąć Hala poufałym gestem w kolano. Na jego twarzy pojawił się nagle komiczny wyraz zupełnego osłupienia. Opuścił wzrok i pomacał puste miejsce pod pledem.

- Sir Henry, jestem zdruzgotany! - wykrztusił. - Boże przenajświętszy! Pańskie nogi! Stracił pan obie nogi!

- W rzeczy samej, milordzie - uśmiechnął się słabo Hal. - Trzeba było zapłacić za to wszystko pewną cenę. My, żeglarze, nazywamy to rachunkiem od rzeźnika.

- Musimy pana natychmiast zabrać z tego statku! Będzie pan moim gościem w Bombay House, dopóki pan nie wydobrzeje - zawołał Childs, do głębi poruszony. - Moja karoca czeka na nabrzeżu; wezwę najlepszych medyków z całego Londynu. Klnę się na honor, że nie zabraknie panu niczego, sir Henry!

Natychmiast po rozlokowaniu się w Bombay House Hal wysłał list do Williama, informując go o przybliżonej wartości zdoby-

395

tych łupów i swojej bliskiej nobilitacji. Potrwało tydzień, zanim wiadomość dotarła do High Weald.

Jeszcze z listem w dłoni William kazał osiodłać konia i w godzinę później wypadł szaleńczym galopem na gościniec do Londynu. Pędził tak szybko, jak na to pozwoliły wierzchowce, zmieniane w gospodach po drodze. Po pięciu dniach od wyruszenia z High Weald wjechał na dziedziniec Bombay House, w samym środku

szalejącej ulewy. Zostawił konia stajennym i w ociekającym wodą płaszczu, ubłocony po pas, wkroczył głównym wejściem do budynku, roztrącając majordomusa i lokaja, usiłujących zastąpić mu drogę.

- Jestem najstarszym synem sir Henry'ego Courtneya - oznajmił. - Żadam, by mnie zaprowadzono do niego bezzwłocznie.

Na dźwięk sławnego nazwiska w holu pojawił się jeden z sekretarzy. Imię Courtneyów w ciągu ostatnich dni zawojowało całe miasto. We wszystkich gazetach opisywano szczegółowo wyczyny seniora rodu na Oceanie Indyjskim. Część z tych relacji była całkowicie wyssana z palca, ale tak czy inaczej cała historia przyćmiła nawet wieści o angielskim zwycięstwie pod Namur. Nazwisko Courtney odmieniano na wszystkie sposoby w każdej mordowni w mieście i na każdym zgromadzeniu towarzyskiej śmietanki. Hal stał się żywą legendą.

Atmosferę podgrzewały jeszcze rozdawane na ulicach ulotki ogłaszające rychłą aukcję towarów i łupów z wyprawy, mającej się odbyć w siedzibie Kompanii Wschodnioindyjskiej na Lea-denhall Street. Opisywano ją jako "Sprzedaż Najwspanialszych Trofeów, jakie zdobyto kiedykolwiek na Nieprzyjacielu podczas Morskiej Wyprawy!".

Już w kilka dni po zawinięciu do portu flotylli Hala akcje Zjednoczonej Kompanii Kupców Angielskich Handlujących z Indiami Wschodnimi - jak brzmiała oficjalna, acz nieco pompatyczna nazwa spółki - zyskały na wartości ponad piętnaście procent. W ciągu ostatnich pięciu lat Kompania wypłacała roczną dywidendę w wysokości dwudziestu pięciu procent zysków i wieść o dysponowaniu przez nią tak olbrzymim skarbem wywindowała cenę udziałów do niebywałej wysokości.

- Dzięki Bogu, że pan wreszcie przybył, sir - powitał Williama sekretarz. - Ojciec dopytuje się o pana codziennie. Chodźmy do niego.

396

Urzędnik poprowadził Williama szerokim łukiem schodów z marmuru. Kiedy dotarli na półpiętro, młody Courtney zatrzymał się raptownie pod wielkim portretem pradziadka lorda Childsa, pędzla Holbeina, i wbił spojrzenie w dwóch mężczyzn schodzących właśnie z góry. Okrutne rysy jego twarzy stężały, w oczach pojawił się gniewny błysk.

- Cóż za spotkanie, drogi braciszku - zwrócił się do młodszego z mężczyzn. - Widać moje modlitwy nie zostały wysłuchane, wróciłeś bowiem, by znów mnie nękać jak zaraza. Ty i ten twój wielki dzikus - skinął ku Abolemu.

Tom stanął przed Williamem. Był teraz o cal wyższy od starszego brata.

Zlustrował go spojrzeniem, od zabłoconych butów po arogancką, posępną twarz, i odparł z zimnym uśmiechem:

- Jestem głęboko poruszony wyrazami twego głębokiego afektu, bracie. Przyjmij zapewnienie, że odwzajemniam te uczucia w całej pełni.

William, choć nie okazał tego po sobie, był zaskoczony przemianą, jaka zaszła w Tomie w ciągu trzech minionych lat. Młodszy brat wyrósł, zmężniał i nabrał pewności siebie. Stał się człowiekiem, z którym należało się liczyć.

- Nie wątpię, że nadarzy nam się jeszcze sposobność kontynuowania tej miłej rozmowy - rzekł, skinąwszy głową w lekceważącym geście pożegnania. - Teraz jednak muszę dopełnić, jako pierworodny, obowiązku spotkania się z ojcem.

Tom zignorował wzmiankę o starszeństwie Williama, choć go zabolala. Skłonił się lekko i zrobił mu przejście.

- Zawsze do usług, bracie - powiedział.

William minął go i nie oglądając się za siebie, poszedł na górę. Kiedy znaleźli się w długiej galerii portretów, sekretarz zaprowadził go na koniec korytarza i zastukał trzcinową laseczką w podwójne drzwi. Otworzyły się natychmiast i William wszedł do bogato urządzonej sypialni. Na środku stało na podwyższeniu łóżko z baldachimem. Zgromadziło się przy nim czterech odzianych na czarno medyków, których profesję zdradzały plamy zaschniętej krwi na ubraniach. Na widok przybysza odstepili od posłania chorego.

Ujrawszy leżącą na poduszkach postać, William stanął jak wryty. Pamiętał krzepkiego, pełnego życia mężczyznę, którego żegnał na nabrzeżu w Plymouth.

Wydawało się niemożliwe,

397

żeby ten siwobrody starzec o ogolonej głowie i naznaczonych cierpieniem rysach był tą samą osobą.

- Modliłem się o twoje rychłe przybycie - wyszeptał Hal. - Chodźże, ucałuj mnie, synu.

William drgnął i podszedł do posłania. Klękawszy, pocałował ojca w poblady policzek.

- Dziękuję Bogu, że cię zachował przy życiu, ojcze - powiedział - i że tak szybko dochodzisz do zdrowia. - Szczera twarz i radosny uśmiech młodego Courtneya skrywały jego rzeczywiste uczucia. On umiera, pomyślał William. Majątek jest już prawie mój, nie wyłączając tych legendarnych łupów, które nazbierał na swojej złodziejskiej wyprawie. - Tuszę, że czujesz się równie dobrze, jak wyglądasz - dodał, ujmując wychudłą zimną dłoń spoczywającą na kołdrze. Na Chrystusa, pomyślał, jeżeli stary korsarz umrze przed inwestyturą, przypadnie mój tytuł barona. Nawet smak tej wielkiej fortuny, którą zrabował poganom, zaprawiony będzie goryczą, jeżeli nie założę lordowskiego pasa.

- Wspaniały z ciebie i kochający syn, Williamie, lecz nie oplakuj mnie przedwcześnie - rzekł Hal. - Nawet tych czterech łapiduchów - wskazał stojących za łóżkiem lekarzy - nie zdoła mnie tak łatwo wyprawić na tamten świat. - Usiłował roześmiać się beztrąsko, lecz jego śmiech poniósł się po pokoju żalonym echem, a żaden z medyków nawet się nie uśmiechnął.

- Moją miłość do ciebie porównać można tylko z dumą, którą odczuwam z powodu chwały, jaką się okryłeś, ojcze. Kiedy to zajmiesz należne ci miejsce w Izbie Lordów?

- Już za kilka dni - odparł Hal. - Jako najstarszy syn będziesz mi towarzyszył przy odbieraniu tych honorów.

- Sir Henry! - wtrącił się jeden z lekarzy. - W naszym przekonaniu wizyta w Izbie Lordów przy obecnym stanie pańskiego zdrowia nie będzie najmądrzejszym posunięciem. Jesteśmy bardzo zatroskani...

William zerwał się na równe nogi i napadł na medyka, nim ten zdołał wyliczyć do końca swe obawy.

- Bzdury gadasz, człowieku - ofuknął go. - Każdy głupiec potrafiłby dostrzec, że mój ojciec ma dość sił, by odpowiedzieć na zaszczytne zaproszenie swego króla. Będę mu towarzyszył przez cały ten czas i osobiście dopatrzę, żeby mu nie zbywało na niczym.

398

Pięć dni później słudzy znieśli Hala po schodach w lektyce. Podekscytowany William nie odstępował go na krok. Przed głównym wejściem stał w świetle pochodni powóz lorda Childsa w otoczeniu konnej eskorty. Tom i Aboli trzymali się na uboczu.

Lokaje postawili lektykę obok karocy i przez chwilę panowała konsternacja, jakby nikt nie miał pojęcia, co robić dalej. Zaraz jednak przyskoczył do lektyki Tom, przepychając się przed starszym bratem. Zanim lekarze zdążyli powiedzieć słowo, wziął okaleczonego ojca w ramiona i wsiadł z nim do powozu.

- Ojcze, to jest niemądre - szepnął, sadowiac Hala na ławeczce i okrywając go pledem. - Ta eskapada może nadwątlić twoje siły.

- Król może w każdej chwili wyruszyć na kontynent, by dalej prowadzić wojnę.

Nikt nie wie, kiedy powróci znów do Anglii - odparł Hal.

- W takim razie Aboli i ja powinniśmy pojechać z tobą - prosił Tom. - Tylko że William nam zabronił.

- William zaopiekuje się mną należycie. - Hal poprawił na ramionach futrzane okrycie. - Ty musisz zostać tutaj z panem Walshem, by dopilnować naszych spraw w domu aukcyjnym. Naprawdę liczę na ciebie w tej kwestii, Tom.

Młodszy z Courtneyów wiedział doskonale, że tak naprawdę ojciec odmówił mu, żeby uniknąć konfrontacji między braćmi.

- Jak sobie życzysz, ojcze - odparł z rezygnacją.

- Gdy tylko zakończymy tę historię z nadaniem tytułu i sprzedamy wszystkie towary, wrócimy do High Weald i tam w spokoju obmyślimy plan ratowania Doriana - rzekł Hal.

- Będę tu czekał na twój powrót - powiedział Tom.

Wyskoczył z powozu i stanął przy tylnym kole. Do środka wsiadł William, zajmując miejsce obok ojca. Stangret zaciął konie i karoca wytoczyła się za bramę.

Tom odwrócił się do Abolego.

- To fatalnie, że Czarny Billy wozi go w tym trzęsącym pudle - rzekł. - Nie pozwolę, żeby zrobił to samo podczas powrotu do High Weald. Dłuższa jazda po tych wyboistych drogach może zabić ojca. Musimy zawieźć go do Plymouth statkiem. Podróż morska będzie znacznie spokojniejsza i obaj będziemy mogli się nim opiekować.

- Tylko że nie masz statku, Klebe - uświadomił mu Aboli. - Seraph i Minotaur są własnością Kompanii.

- Musimy wobec tego wynająć jakiś żaglowiec.

399

- W kanale grasują francuscy korsarze...

- Znajdziemy coś niewielkiego i zwrotnego, statek, który nie zwróci na siebie uwagi Francuzów i w razie czego będzie mógł im umknąć.

- Chyba znam właściciela takiego stateczku - rzekł Murzyn w zamyśleniu. - Jeśli się coś nie pozmieniało, kiedy nas tutaj nie było.

Aukcja towarów w okazałej siedzibie Kompanii przy Leaden-hall Street ciągnęła się przez cztery dni. Tom towarzyszył panu Walshowi przez cały czas sprzedaży, starannie notując ceny za licytowane dobra.

Sala aukcyjna miała kształt kokpitu, z rzędami ławek, wznoszącymi się amfiteatralnie wokół centralnego podium licytatora. Panował taki ścisk, że nie dla wszystkich kupców oraz towarzyszących im sekretarzy i księgowych starczyło miejsc siedzących. Część zmuszona była stać pod ścianami, lecz wszyscy angażowali się w licytację, przerzucając się stawkami i wymachując katalogami dla przyciągnięcia uwagi prowadzącego.

Słuchając cen, windowanych przez uczestników w jakimś szaleńczym zatraceniu, Tom myślał o skrzyniach ze złotem i klejnotami złożonych w sejfach piętro niżej. Przetransportowano je do budynku Kompanii jeszcze tej samej nocy, gdy flotylla zacumowała w londyńskim porcie. Powozy z cennym ładunkiem sunęły powoli ciemnymi, brukowanymi ulicami, eskortowane przez pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby, spieszonych marynarzy.

Na sali panował taki amok, że wkrótce stało się oczywiste, iż uzyskane kwoty znacznie przewyższają przewidywania lorda Childsa. Wartość udziału Toma w zyskach wzrastała z każdym dniem.

- Dobry Boże! - zadziwił się czwartego dnia aukcji, podsumowując na tabliczce swoje obliczenia. - Jeśli fortuna dopisze, zarobię ponad tysiąc funtów!

Tyle mógł zarobić górnik w kopalni albo parobek w High Weald przez całe życie. Perspektywa bogactwa oszołomiła młodego kapitana, dopóki nie obliczył udziału w łupach, jaki miał przyspaść ojcu.

- To prawie sto tysięcy! - Uświadomił sobie ze zdumieniem. - A do tego wysadzany klejnotami pas barona. - Jego

400

usta zwięziły się w gniewną kreskę. - I wszystko to wpadnie w chciwe łapska Czarnego Billy'ego. Tego samego Czarnego Billy'ego, który wymiotuje własnymi flakami, ilekroć poczuje pod sobą pokład statku!

Wciąż jeszcze rozmyślał nad tą niesprawiedliwością, gdy prowadzący zgłosił gromkim głosem do licytacji kolejny przedmiot.

- Mości lordowie, damy i dżentelmeni, mamy przyjemność i przywilej zaoferować, gwoli waszej uciechy, rzadki i wspaniały okaz, który zadowoli gusta nawet najbardziej wybrednych i bywałych w świecie. - Rozpromieniony zdjął materiał okrywający wielki słoń z grubego szkła, stojący przed nim na stole. - Ni mniej, ni więcej, tylko zamarynowana głowa sławetnego i krwiożerczego bandyty, korsarza Jangiriego, zwanego al-Aufem, czyli Złym! - zawołał.

Wzdłuż ław poniósł się szum i gwar i wszyscy wyciągnęli szyje, w upiornym pragnieniu przyjrzenia się uciętej głowie, pływającej w alkoholowej zaprawie. Ciemne włosy unosiły się na powierzchni płynu niczym wodorosty. Jedno otwarte oko zdawało się spoglądać wprost na Toma w łagodnym zdumieniu. Usta al-Aufa wykrzywione były w grymasie bólu, jak gdyby wciąż jeszcze czuł zimny pocałunek klingi oddzielającej jego głowę od tułowia.

- Licytujcie, panowie! - zachęcał prowadzący. - To rzecz o wielkiej wartości. Niejeden z mieszkańców naszego kraju zapłaciłby chętnie miedziaka, żeby choć rzucić okiem na ten dziw. Czy usłyszałem pięć funtów?

Toma powoli ogarniał gniew. Przywiózł głowę pirata, by ją pokazać dyrektorom Kompanii, jako dowód skuteczności wyprawy, a nie po to, żeby ją wystawiano jak w objazdowym cyrku. Instynkt i wychowanie podpowiadały mu zawsze, że należy okazywać współczucie i choć trochę szacunku pokonanemu wrogowi. To, że al-Auf pojmał i sprzedał w niewolę Doriana, nie miało już teraz znaczenia.

- Dziesięć funtów! - zakrzyknął, nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi. Nie dysponował właściwie taką sumą, ale miał przecież otrzymać część łupu. Głowy obecnych odwróciły się ku niemu. Usłyszał komentarze:

- To chłopak Hala Courtneya. To on uciął głowę korsarzowi!

401

- To ten, co ścinał al-Aufa!

- Jak on się zwie?

- Tom Courtney. To syn sir Hala.

Licytator skłonił się teatralnie w kierunku Toma.

- Nasz dzielny szermierz i wykonawca wyroku w jednej osobie postawił dziesięć funtów - oznajmił. - Czy ktoś daje więcej?

Jakiś człowiek w pierwszym rzędzie zaczął klaskać, inni dołączyli do niego i w końcu cała sala drżała od oklasków i tupania. Aplauz był ogłuszający.

Tom chciał zawołać, żeby przestali. Chciał im powiedzieć, że nie zabił tego człowieka po to, by zyskać ich aprobatę. Nie wiedział jednak, jak wyrazić słowami uczucia, które przeżywał, gdy pozbawiał Jangiriego głowy, i doznawane obecnie, gdy widział ją pływającą w słoju, wystawioną dla rozrywki gawiedzi.

- Dziesięć funtów po raz pierwszy! Po raz drugi! Sprzedana paniczowi Tomowi Courtneyowi za sumę dziesięciu funtów!

- Proszę zapłacić z moich udziałów - rzucił do pana Walsh'a i wstał raptownie. Chciał wyjść na świeże powietrze, znaleźć się z dala od wybałuszonych oczu i roześmianych gęb tej zgrai obcych ludzi. Przepchnął się przez ciżbę i zbiegł wielkimi schodami na dół.

Kiedy znalazł się na Leadenhall Street, padał deszcz. Nim wyszedł spod osłony portyku, poprawił na ramionach pelerynę, nałożył na głowę szerokoskrzydły kapelusz z piórem i podciągnął pas ze szpada. Nagle ktoś dotknął jego ramienia. To był Aboli, którego przedtem, pogrążony w rozmyślaniach, nie zauważył wśród zgromadzonych przed wejściem gapiów.

- Znalazłem odpowiedniego człowieka, Klebe - rzekł Murzyn, wypychając przed siebie wysokiego mężczyznę w marynarskiej kurtce i nasuniętej głęboko na oczy czapce. Przez chwilę chłopak nie był pewien, o co chodzi przyjacielowi. - To on zawiezie twego ojca do Plymouth... morzem zamiast karocą - przypomniał mu Aboli. - Porozmawiajmy o tym przy kuflu dobrego piwa Ale - zasugerował Tom.

Przebiegli w deszczu do pobliskiego pubu na rogu Cornhill Street. Usiedli w dusznej sali od frontu, pełnej prawników i urzędników Korony, wypełnionej dymem tytoniowym i kwas-

402

na wonią drożdży z beczek z piwem. Tom przyjrzał się twarzy człowieka, którego znalazł Aboli.

- To kapitan Lukę Jervis - powiedział Murzyn. - Pływał z Halem i ze mną na starym Pegasusie.

Tom z miejsca polubił kapitana. Miał inteligentny błysk w oku i wygląd twardego wilka morskiego, o twarzy ogorzalej od słońca i słonego powietrza.

- Lukę ma szybki kuter, a kanał zna jak własną kieszeń, łącznie z francuskim wybrzeżem. - Aboli uśmiechnął się znacząco. - Wie, jak prześliznąć się pod bokiem zarówno naszych poborców akcyzy, jak i żabojadów. - Tom nie od razu pojął, o czym mowa, lecz Murzyn zaraz mu wyjaśnił. - Jeżeli chcesz sprowadzić sobie ładunek dobrego koniaku marki Limousin, to Lukę jest człowiekiem, którego szukasz.

Młodzieniec uśmiechnął się, uzmysłowivszy sobie, że Jervis jest po prostu przemytnikiem. A skoro tak, to był istotnie najważniejszą osobą, która mogła ich szybko przerzucić w dół kanału. Dysponował na pewno szybkim jak łasica statkiem i potrafił nawigować w bezksiężycową noc przy sztormie.

Uściskał dłoń żeglarza.

- Aboli powiedział ci już, o co chodzi. Ile zażadasz za swoje usługi, kapitanie?

- zapytał.

- Winien jestem sir Henry'emu życie i jeszcze więcej - odparł zdecydowanym tonem Jervis, dotykając długiej bladej szramy na policzku. - Nie wezmę od was złamanego pensa. Możliwość usłużenia Halowi Courtneyowi to dla mnie zaszczyt. Tom nie zapytał go o bliźnę, tylko skinął w podzięce głową.

- Aboli da ci znać, gdy mój ojciec będzie gotowy opuścić Londyn - powiedział. Kiedy nowo mianowany lord Courtney powrócił z Izby Lordów, Tom zauważył od razu, jak poważnie odbiła się na Jego kondycji jazda przez miasto i udział w długiej ceremonii. Wziął go delikatnie na ręce i zaniósł po schodach do sypialni w Bombay House. Chory zasnął prawie natychmiast, a Tom siedział przy nim aż do wieczora, kiedy służący przyniósł tacę z kolacją.

403

- Gdzie jest William? - zapytał słabym głosem Hal, połykając zupę podawaną mu łyżką przez syna.

- Jest w banku z panem Samuelsem. Lord Childs przekazał mu poświadczenie udziału w zyskach i William poszedł zdeponować wszystko u Samuela - odparł Tom. Nie wspomniał jednak, jak szybko zmalowało zainteresowanie starszego syna zdrowiem ojca, gdy tylko godność para została przypieczętowana, a sukcesja Williama potwierdzona. Główną troską Czarnego Billy'ego było teraz bezpieczne ulokowanie złota u bankierów ze Strandu, gdzie miałyby nad nim pełną kontrolę. - Powinieneś teraz odpocząć, ojczu. Musisz nabrać sił przed powrotem do domu. W Londynie prawie wszystko już załatwiliśmy. Im szybciej się znajdziesz w High Weald, tym szybciej będziesz mógł wrócić do pełnego zdrowia.

- Masz rację, Tom - ożywił się nagle Hal. - Chcę już jechać do domu. Czy wiesz, że William i Alice obdarzyli mnie wnukiem? Ochrzcili go Francis, po twoim dziadku.

- Wiem, ojczu. William mi powiedział. - Starszy brat nie omieszkął go poinformować, że ma potomka, dzięki czemu szansa na dziedziczenie majątku i tytułu została Tomowi odebrana raz na zawsze. - Wynająłem szybki statek, którym popłyniemy do Plymouth. Kapitan nazywa się Lukę Jervis, pamiętasz go? Mówi, że mu uratował życie.

- Lukę? - uśmiechnął się Hal. - Dobry z niego chłop; lubiłem go. Rad jestem, że się dorobił własnego statku.

- To mały kuter, ale bardzo szybki.

- Płynmy natychmiast, Tom. - Hal ścisnął syna za ramię; na jego twarzy pojawił się wyraz ekscytacji.

- Lepiej poczekajmy, aż się wypowiedzą medycy - uśmierzył jego niecierpliwość Tom.

Dopiero po tygodniu lekarze zgodzili się, acz niechętnie, żeby ich podopieczny odbył podróż na Ravenie, kutrze Luke'a Jervisa. Odbili od kei Kompanii późnym popołudniem, żeby najbardziej niebezpieczny odcinek drogi pokonać pod osłoną nocy.

Williama z nimi nie było. Gdy dopilnował już zdeponowania gotówki w banku Samuela na Strandzie, spieszo mu było wrócić do High Weald i zająć się prowadzeniem majątku.

404

- Każda godzina mojej nieobecności to stracone pieniądze - oznajmił przez wyjazd. - Nie mam zaufania do tych rzezimieszków i durni, którym musiałem powierzyć interesy na czas wyjazdu. Muszę natychmiast wracać rozstawnymi końmi do Plymouth. Powitam cię w porcie, gdy przybędziesz, ojczu.

Raven okazał się tak szybki, jak mówił jego kapitan. Żeglowali w ciemności na południe, a Tom stał z Jervisem przy sterze. Lukę ciekaw był najdrobniejszych szczegółów ich afrykańskiej wyprawy i wypytywał młodego Courtneya z wielkim ożywieniem.

- Jezusie, że też nic nie wiedziałem - powiedział. - Zaciągnąłbym się do kapitana Hala bez mrugnięcia okiem.

- A co z twoimi dziećmi i żoną? - roześmiał się Aboli, błyskając w mroku białą zębów.

- Nie sędzę, żebym zbyt tęsknił za piskami bachorów i zrzędzeniem baby. - Lukę pociągnął fajkę i żar oświetlił jego ogorzałą twarz. Wyjawszy cybuch z ust, wskazał nim ku wschodowi. - Widzicie te światła? To Calais. Byłem tam zeszłej nocy po brandy i tytoń. Na drogach do portów gęsto tam od towarów, jak od pcheł

na psie. - Wyszczrzył się w wilczym uśmiechu. - Gdyby tak człowiek miał list kaperski, popłynąłby dla zarobku choćby i do Indii.

- Czy cię nie gryzie sumienie, że handlujesz z Francuzami? - zapytał Tom nieco zdziwiony. - Wszak prowadzimy z nimi wojnę.

- Ktoś to musi robić - odrzekł Jervis. - Inaczej nasi dzielni wojacy nie mieliby czego się napić i co zapalić. Ja tam jestem patriotą, jako żywo.

Powiedział to całkiem poważnie i Tom nie drażył już tej kwestii. Zaczai natomiast rozmyślać o słowach Lukę'a na temat ilości ładunku we francuskich portach.

Gdy Raven zacumował do nabrzeża w Plymouth, okazało się, że William dotrzymał słowa. W porcie czekał na Hala dobrze resorowany powóz oraz służący, którzy mieli znieść chorego ze statku. Spokojnym tempem wyjechali na gościniec do High Weald, mijając na całej trasie grupki mężczyzn i kobiet - parobków, górników i dzierżawców pól Courtneyów, którzy wylegli tłumnie powitać swego pana. Hal uparł się, żeby

405

siedzieć przy oknie, i kiedy tylko rozpoznał czyjaś twarz, kazał stangretowi zatrzymać karocę, by uścisnąć swojemu człowiekowi dłoń.

Powóz minął bramę posiadłości i z chrzęstem kół po żwirze zajechał przed ganek dworu. Na schody wyszła cała służba. Lokaje wnieśli Hala do domu na krzesło. Niektóre z kobiet płakały rzewnymi łzami, widząc, w jakim stanie powraca ich dobrodziej. Mężczyźni mruczeili niezgrabne słowa powitania.

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece, panie dziedzicu. Nasze serca radują się, widząc cię znów w domu.

U szczytu schodów stała Alice, żona Williama. Na rękach trzymała niemowlę, maleńką istotę o czerwonej, pomarszczonej twarzyczce. Kiedy podała je Halowi, zakwiliło nerwowo. On jednak uśmiechnął się z dumą i pocałował dziecko w czubek głowy pokrytej grubym czepkiem ciemnych włosów.

Przypomina małpkę, pomyślał Tom. Przyjrzał się twarzy Alice. Choć przed wyjazdem zabrakło czasu, żeby mógł bliżej poznać szwagierkę, już od pierwszego spotkania instynktownie polubił ładną i wesołą dziewczynę. Teraz jednak rozpoznał ją z trudem. Roztaczała wokół siebie aurę smutku, w jej oczach czaiła się melancholia, a chociaż cerę miała gładką jak brzoskwinia, wyglądała na zaniedbaną. Kiedy Hala poniesiono dalej w głąb domu, specjalnie ociągała się z wejściem, żeby przywitać się z Tomem.

- Witaj w domu, bracie - cmoknęła go w policzek i wykonała wdzięczny dyg.

- Masz pięknego dzidziusia. - Tom musnął niezdarnie buzię dziecka i natychmiast cofnął dłoń, gdy zakwiliło. - Równie pięknego jak jego mama - dodał speszony.

- Dziękuję, Tom - odparła z uśmiechem Alice i zaraz ściszyła głos, żeby nie usłyszeli jej służący. - Muszę się z tobą rozmówić - szepnęła. - Nie tutaj... kiedy będziemy sami. - Odwróciwszy się czym prędzej, podała dziecko niańce. Tom pośpieszył za ojcem w głąb budynku.

Gdy tylko się nadarzyła pierwsza sposobność, wymknął się korytarzem na kuchenne schody. Po drodze jednak musiał przejść obok sypialni Doriana. Otworzył drzwi i stanął w progu. Na widok pokoiku brata przeszył go skurcz żalu i tęsknoty. Było tu tak, jak gdyby chłopiec przed chwilą wyszedł. Na parapecie stały w karnych szeregach oddziały pięknie pomalo-

406

wanych ołowianych żołnierzy, a nad łóżkiem wisiał zrobiony przez Toma latawiec. Wspomnienie było zbyt bolesne. Zamknął cicho drzwi i wyszedł na schody.

Przemknął przez kuchnię i minawszy stajnię, pobiegł na wzgórze, do kaplicy. W krypcie panował półmrok i chłód, tylko przez otwór w kopule sączył się nikły promyczek słońca. Pod ścianą, obok sarkofagu czekającego na ciało dziadka Francisa, spostrzegł z ulgą skrzynię z jego szczątkami. Przebyła więc bezpiecznie całą drogę od Przylądka Dobrej Nadziei przez Bombaj aż tutaj.

Podszedł do trumny i położywszy dłoń na jej wieku, wyszeptał:

- Witaj w domu, dziadku. Będzie ci tutaj wygodniej niż w jaskini, w tych dalekich i dzikich stronach.

Następnie przeszedł wzdłuż rzędu nagrobków do środkowego z nich. Stanawszy przed kamienną trumną, odczytał na głos inskrypcję: "Elizabeth Courtney, żona

Henry'ego i matka Doriana. Zabrało ją morze, nim rozkwitła w pełni. Niech odpoczywa w pokoju".

- Doriana nie ma z nami - szepnął Tom. - Ale niedługo wróci. Przysięgam. Podszedł teraz do grobu własnej matki i pochylił się, by pocałować zimne marmurowe usta jej podobizny.

- Wróciłem cały i zdrowy, mamó - szepnął, klękając. - Guy też ma się dobrze. Ożenił się. Na pewno polubiłabyś Caroline, jego żonę. Jest bardzo ładna i pięknie śpiewa.

Przemawiał jak do żyjącej osoby. Klęczał przy sarkofagu, dopóki pojedynczy promień słońca nie przeszedł całej swej drogi i nie zgasł w końcu, pogrążając kryptę niemal w ciemnościach. Wówczas Tom wstał i wybiegł na górę. Na dworze zapadł już zmierzch.

Stał, przyglądając się ciemnemu krajobrazowi, jakże znajomemu i jakże teraz dziwnie obcemu. Daleko za wzgórzami dojrzał morze. Zdawało się przyzywać go do siebie spoza migotliwych światełek portu. Miał wrażenie, że powrócił do domu po całym życiu nieobecności. Nie czuł jednak spokoju, lecz przemożną potrzebę wyruszenia znów w dalekie strony. Gdzieś, hen, leżała Afryka i jego serce wyrwało się do niej rozpaczliwie.

- Ciekawe - szepnął do siebie, zbiegając ze wzgórza - czy kiedykolwiek będę jeszcze szczęśliwy, mieszkając dłużej w jednym miejscu.

407

Kiedy znalazł się na dole, dwór był już tylko ciemna bryła, majacząca w zasnuwającej trawniki wieczornej mgle. Nagle zatrzymał się przed niskim płotem z fosą. Pod rozłożystym dębem na środku dziedzińca zobaczył zjawę. Była to kobieca postać, cała w bieli, nieziemska i widmowa. Poczul dreszcz zabobonnego przerażenia. Znał wiele legend o duchach nawiedzających High Weald; opowieściami o nich karmiła chłopców w dzieciństwie niańka.

- Nie przestrasz mnie jakiś tam upiór - mruknął i zebrał się na odwagę, ruszył ku białej kobiecie.

Była nieświadoma jego obecności, dopóki nie podszedł całkiem blisko. Wówczas odwróciła się zaskoczona, z pobladłą i wystraszoną twarzą. Tom ujrzał przed sobą szwagierkę Alice. Poznawszy go, uniosła rąbek sukni i szybkim krokiem skierowała się ku domowi.

- Alice! - zawołał.

Nie odwróciła się, lecz przyspieszyła jeszcze kroku. Dogonił ją na żwirowej ścieżce tuż pod ścianą budynku i chwycił za przegub, zmuszając do zatrzymania się.

- Alice, to ja, Tom - szepnął. - Nie bój się.

- Puść mnie. - W jej głosie pobrzmiwał lęk. Spojrzała w górę, ku oknom, migoczącym wesoło poświatą świateł.

- Chciałaś ze mną porozmawiać - przypomniał dziewczynie. - Co takiego zamierzałaś mi powiedzieć?

- Nie tutaj, Tom. On może nas zobaczyć.

- Czarny Billy? - zdziwił się chłopak. - No i co nam zrobi?

- Nie rozumiesz. Puść mnie, proszę.

- Ja się nie boję Czarnego Billy'ego - rzucił z młodzieńczą zadziornością.

- A powinieneś - odparła Alice i wyrwawszy rękę z jego chwytu, wbiegła po stopniach do budynku.

Tom patrzył za nią, wzięwszy się pod boki. Zamierzał już się odwrócić, gdy coś kazało mu podnieść wzrok.

W oknie na piętrze stał William; jego ciemna zgrabna sylwetka odcinała się wyraźnie na tle poświaty z wnętrza. Żaden z nich się nie poruszył, aż wreszcie Tom, machnąwszy pogardliwie ręką, wbiegł do domu za Alice.

Był w swoim pokoju, kiedy usłyszał słaby odgłos, nietypowy nawet w tym starym domu, gdzie wiatr świstał po strychu i trzeszczały stare belki. Stał przez chwilę w rozpiętej koszuli,

408

nasłuchując. Po chwili dźwięk się powtórzył. Jękliwy i pełen przerażenia, przypominał pisk złapanego w sidła królika. Tom podszedł do okna. Gdy rozchylił okiennice, do pokoju wpadł powiew nocnej bryzy, a krzyki przybrały na sile.

Rozpoznał teraz wysoki głos płaczącej kobiety, przerywany niższymi, męskimi tonami.

Wychyliwszy się z okna, zorientował się, że dźwięki dobiegają / położonej piętro niżej sypialni. Nagle ucichły i chciał już zamknąć okiennice, gdy rozległ się odgłos uderzenia. Cios musiał być mocny, gdyż słychać go było wyraźnie. Kobieta znów zakwiliła. Serce podeszło Tomowi do gardła, bo krzyk bólu był teraz tak głośny i wyraźny, że nie miał już wątpliwości, czyj to głos.

- To świnią - mruknął i skoczył ku drzwiom. W samej koszuli przemknął korytarzem i zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Mijając pokój ojca, zawahał się. Podwójne drzwi stały otworem, a zasłony łoża z baldachimem były odsunięte; widział więc postać leżącą w bogato haftowanej pościeli. Hal, wsparty na poduszkach, zawołał go nagłym tonem:

- Nie, Tom! Chodź do mnie!

Chłopak zignorował polecenie i podbiegł do drzwi apartamentu Williama w głębi korytarza. Nacisnął klamkę, lecz nie ustąpiła. Załomotał więc w deski pięściami.

- Otwieraj, Billy, niech cię piekło pochłonie! - ryknął.

W środku przez dłuższą chwilę panowała cisza i Tom już zbierał się do następnego okrzyku, kiedy połówka drzwi się uchyliła i stanął w nich William, zasłaniając ciałem widok pomieszczenia.

- Czego chcesz? - warknął. - Jak śmiesz tak wrzeszczeć pod drzwiami mojego prywatnego mieszkania? - Był także w samej koszuli, lecz twarz miał nabiegłą krwią, z gniewu lub wysiłku, a jego oczy płonęły dziko. - Wynos się stąd, bezczelny szczeniaku - dorzucił.

- Chcę się rozmówić z Alice - nie zamierzał ustąpić Tom.

- Już z nią dziś rozmawiałeś. Alice jest zajęta. Nie ma dla ciebie teraz czasu.

- Słyszałem krzyki.

- Na pewno nie stąd. To pewnie mewy albo wiatr pod okapem.

- Masz na koszuli krew. - Tom wskazał na czerwone plamki na rękawie białej koszuli brata.

409

1

William podążył za jego spojrzeniem, maskując wściekłość zimnym uśmiechem, po czym wyciągnął zza pleców rękę i posadził ranę na opuchniętym kłykciu.

- Przyciąłem sobie dłoń drzwiami od garderoby.

- Chcę widzieć Alice. - Młodszy z braci próbował przepchnąć się do środka siłą, ale w tym momencie dobiegło go wołanie szwagierki:

- Tom, odejdz, proszę. Nie mogę się teraz z tobą zobaczyć. - Głos miała zdławiony od płaczu i cierpienia. - Błagam, Tom, usłuchaj mego męża. Nie możesz teraz wejść.

- Teraz mi wierzysz? - rzucił szyderczo William. - Alice nie chce z tobą gadać - cofnął się z wejścia i zatrzasnął drzwi.

Tom stał przed nimi, niepewny, co robić. Jego dłoń powędrowała do klamki, lecz powstrzymał go głos ojca. Hal wzywał go znów do siebie.

- Tom, przyjdź tu zaraz. Jesteś mi potrzebny. Chłopak wszedł do sypialni i stanął przed wielkim łożem.

- Ojczy, słyszałem... - zaczął.

- Nie słyszałem niczego - przerwał mu Hal. - Niczego, rozumiesz?

- Przecież słyszałem! - Głos Toma drżał z oburzenia.

- Zamknij drzwi, chłopczy. Muszę ci coś wyjaśnić. - Gdy chłopak wykonał polecenie, Hal zaczął mówić: - Jedną rzecz musisz zapamiętać na całe życie, synu. Nigdy nie stawaj między mężem i żoną. Alice należy do Williama; może z nią zrobić, co zechce. A jeśli będziesz się wtrącał, ma pełne prawo cię zabić. Nie słyszałeś niczego, rozumiesz?

Kiedy nadeszła pora kolacji, Tom w dalszym ciągu kipiał z gniewu. Na długim stole stały trzy nakrycia. William zajął już miejsce u jego szczytu.

- Spóźniłeś się, Thomasie - powiedział z uśmiechem, rozluźniony i elegancki. Na szyi miał złoty łańcuch, a na jego piersi pyszniła się rubinowa brosza. -

Siadamy do kolacji o ósmej. Proszę, byś się stosował do zwyczajów tego domu, dopóki jesteś gościem w High Weald.

- High Weald to także mój dom - zachnął się chłopak. - Nie jestem tutaj gościem.

- To kwestia do dyskusji. Ja jestem odmiennego zdania.

- Gdzie jest Alice? - Tom spojrział znacząco na puste krzesło po lewicy brata.
410

- Moja żona jest nieco niedysponowana - odparł tamten bez mrugnięcia okiem. - Nie będzie nam dziś towarzyszyć. Zajmij miejsce, proszę.

- Może to dziwne, ale nagle straciłem apetyt - oznajmił Tom. - Coś jest w tym miejscu takiego, że odbiera mi chęć do jedzenia. Nie będę jadł z tobą kolacji, bracie.

- Jak sobie chcesz - wzruszył ramionami William i skoncentrował całą uwagę na pucharze napełnianym właśnie przez lokaja czerwonym winem.

W swoim obecnym stanie ducha Tom wolał nie spędzać nocy pod tym samym dachem z przyrodnim bratem. Narzucił kurtkę i zbiegł do stajni. Zawołał na stajennych, którzy spali na stryszku, żeby osiodłali mu konia. Ruszył galopem. Pierwszą milę przebył, stojąc w strzemionach i popędzając wierzchowca. Kiedy chłodne powietrze nocy uśmierzyło trochę jego furię, zlitował się nad koniem i resztę drogi do Plymouth przejechał kłusem.

Aboli z Luke'em Jervisem siedzieli w głównej sali Royal Oak, portowej tawerny. Powitali go z nieudawaną wylewnością i zamówili mu kufel piwa, które Tom wypił duszkiem.

W pewnym momencie pijackiego wieczoru poszedł do pokoju na pięterku z ładną roześmianą dziewczyną, która po drodze pomogła mu utrzymać równowagę, gdy niemal spadł ze schodów.

Jej nagie ciało w świetle lampy było bardzo białe. Zatonął w ciepłych objęciach, a ona przyciskała się do niego, śmiejąc mu się do ucha. Leżąc na niej, czuł, jak uchodzi zeń cała złość. Później ze śmiechem odtrąciła jego rękę z pieniędzmi.

- To ja powinnam zapłacić tobie, paniczku Tomie. - Znała go od dzieciństwa, jak niemal wszyscy w Plymouth. - Ależ wyrosłeś na pięknego chłopaka. Już od dobrych paru miesięcy nikt nie zamieszkał w moim garnku tak dobrze jak ty!

Późną nocą Aboli powstrzymał go od przyjęcia wyzwania na pojedynek, które mu rzucił jakiś równie podochocony marynarz. Murzyn wyciągnął Toma z tawerny, posadził na koniu i jadąc przodem, poprowadził do High Weald, a chłopak chwiał się w siodle i całą drogę śpiewał sprośne piosenki.

JNajazutrz wczesnym rankiem Tom pojechał na wrzosowiska, z wypchaną sakwą, przytroczoną do siodła. Na rozstajach

411

czekał na niego Aboli, ciemna egzotyczna postać mającząca w gęstej mgle.

- Coś mi się widzi, że zacni mieszczanie z Plymouth woleliby doświadczyć najazdu Francuzów niż twojej wizyty zeszłej nocy - spojrział z ukosa na chłopaka. - Czy cię nie dręczą skutki wczorajszych ekscesów, Klebe?

- Spałem jak niewinne dziecko, którym przecież jestem, Aboli. Czemuż to miałbym cierpieć? - Tom próbował się uśmiechać, lecz oczy miał przekrwione.

- Oto uciechy młodości - pokręcił głową Murzyn z udawanym zdziwieniem.

Tom odpowiedział szerokim uśmiechem i spiąwszy konia ostrogami, przeskoczył przez żywopłot. Przyjaciel popędził za nim. Pogalopowali skrajem wzgórza do niewielkiego zagajnika w płytkiej dolince. Tom osadził konia i przywiązał go do gałęzi. Podeszedł do skupiska gałęzi rozrzuconych wśród drzew. Były omszałe ze starości. Legenda głosiła, że to groby ludzi pochowanych tu w pradawnych czasach.

Tom zaczął szukać odpowiedniego kawałka wolnego miejsca pomiędzy nimi, pracując raczej stopami niż głową, aż wreszcie wbił obcas w wilgotną darń.

- Tutaj - oświadczył.

Aboli skinął głową i zbliżył się z łopata w ręce. Zagłębił szpadel w miękkiej ziemi i zabrał się do kopania. Tom zmienił go po pewnym czasie i skończył pracę, kiedy dół sięgał mu do pasa. Z torby przy siodle wyciągnął owinięty w tkaninę przedmiot i postawił go przy krawędzi dziury. Odwinął materiał i ze szklanego słoja lypnęła na nich szyderczo jednym okiem głowa Jangiriego.

- Odmówisz modlitwę za zmarłych? - zwrócił się do Abołego. - Twój arabski jest lepszy niż mój.

Murzyn wyrecytował modlitwę swoim głębokim basem, który dudnił wśród drzew niesamowitym pogłosem. Kiedy umilkł, Tom zakrył słoje ze straszliwą zawartością i złożył go w przygotowanym grobie.

- Byłeś odważnym człowiekiem, al-Aufie. Oby Allah, twój Bóg, wybaczył ci grzechy, gdyż masz ich na sumieniu mnóstwo... i to strasznych. Przykryli zasypyany wykop warstwą darni i dosiedli wierzchowców. Aboli po raz ostatni obejrzał się z siodła na pole głązów.

412

i

- Zabiłeś przeciwnika w uczciwej walce jeden na jednego - rzekł cicho - i honorowo obszedłeś się z jego szczątkami. Zaiste jesteś już prawdziwym wojownikiem, Klebe.

Zawrócili konie i ruszyli przez wrzosowiska ku morzu.

Zdawało się, że Hal Courtney czuje, iż w klepsydrze jego życia przesypują się ostatnie ziarenka piasku. Myśli kapitana krążyły najczęściej wokół śmierci i związanych z nią ceremonii. Kazał wezwać do swego łoża kamieniarza z miasta, by mu pokazać rysunek grobowca, który zaprojektował dla samego siebie.

- Rozumiem doskonale, czego ode mnie oczekujesz, panie. Siwowłosy rzemieślnik miał skórę poszarzałą od kamiennego pyłu, który wżarł się we wszystkie odsłonięte miejsca.

- Oczywiście, John - pokiwał głową Hal.

Wiedział, że ma przed sobą mistrza dłuta i kielni. To on wykonał wcześniej sarkofagi jego ojca i wszystkich żon. Było jak najbardziej na miejscu, żeby uczynił to samo dla obecnego pana High Weald.

Następnie Hal zamówił u biskupa z Plymouth przeprowadzenie ceremonii pogrzebowej sir Francisa, by wreszcie szczątki ojca mogły spocząć w trumnie przygotowanej dlań przed niemal dwudziestu laty.

Kaplicę zapełnili tłumnie członkowie rodziny i wszyscy, którzy znali Francisa Courtneya za życia. W ostatnich rzędach ławek tłoczyła się służba ze dworu w swych najlepszych ubraniach i inni poddani Hala, którzy częściowo musieli stać poza kaplicą.

Lord Courtney zasiadł w centrum nawy, na specjalnym krześle, skonstruowanym dla niego przez stolarzy. Miało wysokie boki, aby zapewnić utrzymanie równowagi siedzącemu, i uchwyty na zewnątrz jak lektyka, dzięki czemu mogło je nosić czterech postawnych lokajów.

Reszta rodziny Courtneyów zajęła pierwszą ławkę. Przybyli liczni kuzyni, ciotki i wujowie oraz oczywiście najbliżsi przyjaciele Hala. William siedział tuż przy jego krześle, z Alice u boku. Od pamiętnej nocy, kiedy to Tom próbował sforsować drzwi do ich mieszkania, szwagierka po raz pierwszy pokazała się publicznie.

Ubrana była w żałobną czerń, z czarną woalką przesłaniającą

413

twarz. Gdy jednak ją uniosła, by się podrapać pod okiem, Tomowi udało się dostrzec opuchniętą twarz, głębokie rozcięcie na wardze, pokryte czarnym strupem, i zielonofioletowy siniak na policzku. Alice poczuła na sobie jego spojrzenie i pośpiesznie opuściła woalkę.

W rzędzie po drugiej stronie nawy siedzieli honorowi goście, czterech rycerzy Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala. Nicolas Childs i Oswald Hyde przybyli z Londynu. Natomiast John Gremdle, lord Exeter i ojciec Alice, przyjechał konno wraz z młodszym bratem Arthurem ze swej rozległej posiadłości graniczącej z dobrami Courtneyów.

Po uroczystości całe towarzystwo udało się do dworu na stypę. Rodzina z gośćmi zasiadła do uczyty w wielkiej jadalni, a na podwórku ustawiono stoły na kozłach dla plebsu, uginające się od jadła i napitku.

Hal ugościł żałobników tak szczerze, szafując obficie zasobami z piwnic High Weald, że dwóch kuzynów trzeba było odprowadzić na spoczynek jeszcze przed końcem biesiady. Biskupa również zmogły trudy sprawowanej posługi, w połączeniu ze znakomitym bordo - udało mu się wejść po schodach dopiero przy pomocy dwóch lokajów, przystając na półpiętrze, by pobłogosławić zgromadzonych na dole gości, którzy przyglądali się z ciekawością jego wspinańce.

Biesiadnicy na dworze, uraczywszy się do woli dzbanami musującego jabłecznika, wykorzystali do podobnych, a także mniej zbożnych, celów okoliczne żywopłoty i stogi siana. Pochrapywanie zmożonych trunkiem żałobników niosło się w powietrzu, wraz z podejrzanym szelestem siana, chichotem i radosnym pokrzykiwaniem par zajętych zupełnie czym innym.

O zmierzchu czterej rycerze zakonu wychynęli ze swych pokoi, każdy w innym stadium odzyskiwania sił po żałobnym bankiecie. Wsiedli do czekających powozów i w kawalkadzie prowadzonej przez karocę wiozącą Hala z Tomem udali się do kaplicy na wzgórze.

Ceremonia przyjęcia w szeregi rycerzy odbywała się zwyczajowo w podziemiach. Mozaika na posadzce krypty układała się w pięcioramienną gwiazdę, na której stały trzy mosiężne kotły, zawierające pradawne żywioły: ogień, wodę i ziemię. Tańczące płomienie rzucały niesamowite cienie na ścianach i w kątach pomieszczenia poza rzędem kamiennych sarkofagów.

414

Przy drzwiach kaplicy przeniesiono Hala na jego krzesło. Czterej bracia zakonu znieśli go po schodach do krypty i postawili w centrum pentagramu, w otoczeniu kotłów z żywiołami.

Tom, odziany w białą szatę akolity, czekał samotnie w pustej nawie świątyni. Modlił się przed ołtarzem w blasku pochodni osadzonych wysoko na ścianach. Z podziemia docierał doń pomruk głosów rycerzy, odprawiających rytuał otwarcia łoża pierwszego stopnia. Potem usłyszał na schodach kroki. Do kaplicy wszedł lord Exeter, wprowadzający Toma, i wezwał go na dół.

Czterej pozostali rycerze czekali z obnażonymi szpadami w świętym kręgu. Mieli na sobie złote łańcuchy i pierścienie, insygnia nawigatorów zakonu. Tom klęknął na granicy pentagramu i zaczął ich prosić o przyjęcie w poczet braci.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

- Kto pragnie wejść do łoża Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala?

- zapytał go Hal głosem zdławionym jak u człowieka uratowanego właśnie od utonięcia.

- Nowicjusz, który przybył, aby poznać tajemnice Świątyni.

- Wejdziesz więc, lecz wstępując tu, narażasz na niebezpieczeństwo swoje życie wieczne - ostrzegł go ojciec.

Jego łagodny głos sprawił, że ostrzeżenie zabrzmiało szczególnie przejmująco.

Tom wstał i przekroczył linię marmurowej mozaiki, znaczącą granicę mistycznego kręgu. Nie oczekiwał żadnych szczególnych odczuć, ale nagle wzdrygnął się cały, jak gdyby nieprzyjaciel naznaczył jego grób sztychem szpady.

- Kto wprowadza nowicjusza? - zapytał ojciec tym samym słabym głosem.

- Ja - oświadczył zdecydowanym tonem lord Grenville.

Hal spojrzał na syna i jego myśl powędrowała ku wierzchołkowi góry w dalekim barbarzyńskim kraju pod równikiem, gdzie... jakże dawno temu... sam składał podobne śluby. Popatrzył poza krąg ku kamiennej trumnie, w której spoczęło wreszcie ciało ojca. Uśmiechnął się niemal z rozrzewnieniem, uzmysłowivszy sobie ciągłość zaklętego łańcucha sukcesji, łączącego ze sobą kolejne pokolenia. Czuł także, jak z mrocznej otchłani skrada się ku niemu, niczym ludożerca bestia, jego własna śmierć.

Łatwiej będzie wyjść naprzeciw ciemności, gdy złożę już

415

troskę o przyszłość w ręce synów, pomyślał. Owa przyszłość mieszała się w jego umyśle z przeszłością, przewijającą się przed oczyma wyobraźni. Zobaczył zjawiskowe postacie znajomych niegdyś osób. Nieprzyjaciół, z którymi przyszło mu walczyć, kobiety i mężczyzn, których kochał, a którzy dawno już nie żyli, i tłum innych, tych, co nie rozplynęli się jeszcze we mgłę przyszłych dni.

Lord Exeter położył mu delikatnie dłoń na przygarbionym ramieniu, przywołując do teraźniejszości. Hal otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał znów na Toma.

- Kim jesteś? - rozpoczął długie odpytywanie z katechizmu.

- Thomas Courtney, syn Henry'ego i Margaret.

Na dźwięk imienia kobiety, którą kochał tak mocno, do oczu Hala nabiegły łzy. W jego duszy zagnieździła się na dobre melancholia. Czuł się wewnętrznie wypalony i pragnął odpoczynku; wiedział jednak, że nie ma do niego prawa, dopóki nie zakończy stojących przed nim zadań. Kolejny raz otrząsnął się z zadumy i podał Tomowi szpadę z Neptunem, którą sam odziedziczył po ojcu. Odblask pochodni zatańczył na złotej inkrustacji klingi i przeniknął w głąb szafiru na rękojęści.

- Wzywam cię, byś przysiągł na tę klingę zasady swojej wiary. Tom dotknął szpady i rozpoczął recytację:

- Oto dogmaty, w które wierzę i których będę bronił do ostatniej kropli krwi. Wierzę w jednego Boga, w Trójcy jedynego; w wiecznego Ojca, wiecznego Syna i wiecznego Ducha Świętego.

- Amen! - zawołali pospołu rycerze.

Pytania i odpowiedzi ciągnęły się długo; pochodnie topniały. Każde z pytań stanowiło element rytuału Świątyni, przejętego niemal dokładnie z obrządku Zakonu Templariuszy.

Katechizm opowiadał o ich historii. Przypominał, jak w roku 1312 ubodzy Rycerze Chrystusowi i Świątynia Salomona zostali zaatakowani i unicestwieni przez króla Francji Filipa Pięknego, działającego ręką w rękę z marionetkowym papieżem Klemensem V z Bordeaux. Korona francuska skonfiskowała wówczas olbrzymi majątek zakonu w gotówce i rozległych dobrach, a mistrza łoży poddano torturom i spalono na stosie. Jednakże części templariuszy, ostrzeżonych przez sprzymierzeńców, udało się podnieść kotwicę na statkach zakonu i przeprowić się do

416

Anglii, pod opiekę króla Edwarda. Od tego czasu założyli nowe loże w Szkocji i Anglii. I choć nadano im nowe nazwy, zasady zakonu pozostały niezmiennie.

Wreszcie wszystkie pytania i odpowiedzi zostały wyczerpane. Tom klęknął, a rycerze uformowali wokół niego krąg. Jedną dłoń położyli na pochylonej głowie nowicjusza, drugą zaś na głowicy szpady.

- Thomasie Courtney, witamy cię wśród nas i przyjmujemy do Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala.

Podnieśli go z klęczek i po kolei uściskali. Wszystko to było częścią pradawnego obrządku, lecz kiedy Tom nachylił się, by pocałować ojca, Hal odstąpił nieco od uświęconej tradycji. Włożył rękojęść szpady z Neptunem w dłoń syna i zacisnął na niej jego palce.

- Teraz jest twoja - oświadczył. - Władaj nią z męstwem i honorem.

Tom wiedział doskonale, że pięknej roboty broń należała do najcenniejszych rzeczy ojca. Nie potrafił znaleźć słów, które oddałyby jego wdzięczność, patrzył więc tylko głęboko w oczy Hala. I ujrzał w nich potwierdzenie, że to bezsłowne przesłanie miłości i poczucia odpowiedzialności zostało zrozumiane i przyjęte. Po wyjeździe żałobników i czterech rycerzy zakonu w High Weald zrobiło się cicho i pusto. Alice spędzała większość czasu w swoim pokoju. Tom zobaczył ją kiedyś jeżdżącą samotnie po wrzosowiskach, lecz pomny na rezultat ich ostatniego krótkiego spotkania, nie próbował się do niej zbliżyć.

William pochłonięto zarządzanie majątkiem. Spędzał całe dni w biurze kopalni, naradzając się z pomocnikami. Objeżdżał też rodowe dobra w ramach niezapowiedzianych inspekcji, mających na celu wyłapanie obiboków i partaczy wśród pracowników. Wykroczenia takie karano natychmiast chłostą i wydalaniem poza teren posiadłości. Wracał do domu dopiero wieczorem i po spędzeniu godziny z ojcem punktualnie o ósmej zasiadał do kolacji. Jadł sam. Alice nie dotrzymywała mu towarzystwa, Tom zaś wolał spożywać posiłki w swoim pokoju albo w którejś z portowych tawern, gdzie znajdował dużo sympatyczniejsze towarzystwo w osobach Abolego, Luke'a Jervisa, Neda Tylera i Alfa Wilsona.

417

1

Mijały tygodnie. Toma ogarniał coraz większy niepokój i zniecierpliwienie. Pod nieobecność Williama spędzał codziennie wiele czasu z ojcem. Przenosił wówczas Hala do biblioteki, sadzał na krześle u szczytu długiego dębowego stołu, po czym zdejmował z półek mapy i książki. Rozkładali je na stole i dyskutowali z zapalem o szczegółach wyprawy, w której, jak chłopak doskonale wiedział, ojciec miał nigdy nie wziąć udziału.

Pan Walsh, w zsuniętych na czubek nosa nowych okularach, siedział u drugiego krańca stołu i zapisywał uwagi dyktowane mu przez Hala. Sporządzili szczegółowy inwentarz niezbędnych zapasów i wyposażenia oraz listy załogowe statków mających pozebrać się z powrotem na Ocean Indyjski.

- Potrzebne będą dwa żaglowce - uznał Hal. - Nie tak wielkie jak Seraph czy Minotaur, lecz szybkie, zwrotne i doskonale uzbrojone, gdyż z pewnością nie unikniemy walki z poganami. I nie powinny mieć zbyt głębokiego zanurzenia, bo trzeba będzie wchodzić do zatok i wpływać w ujścia rzek na kontynencie.

- Poślę Neda Tylera i Alfa Wilsona, żeby się rozejrzeli za odpowiednimi statkami
- podchwycił z zapalem Tom. - Niech się przejadą wzdłuż wybrzeża, zaglądając do
wszystkich portów między Plymouth i Margate. Zważywszy jednak na to, że mamy
wojnę na kontynencie, trudno będzie chyba znaleźć coś dobrego.
- Jeżeli tylko dysponujesz złotem, zdziwiony będziesz, jak szybko i łatwo
trafisz na to, czego szukasz - nie zgodził się Hal. - Gdybym nawet miał wydać na
odzyskanie Doriana całe pieniądze z łupów, będzie to dobra inwestycja.
- Może wywiesimy afisze z ogłoszeniem? - zasugerował pan Walsh.
- Dobry pomysł - skinął głową Hal.
- A może poprosimy Childsa o któryś z statków Kompanii? - zapytał Tom,
podnosząc głowę znad mapy.
- Nie, nie. Jeżeli Childs się dowie, że zamierzamy wyruszyć na teren działania
Kompanii Wschodnioindyjskiej, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nas
powstrzymać. Kompania jest wielce przeciwna prowadzeniu handlu czy nawet tylko
żeglugi na jej terytorium przez, jak to określa, "nielegalnych".
Dyskusje i ustalenia ciągnęły się przez wiele dni. Po dwóch

418

tygodniach wrócili Ned i Alf. Znaleźli statek idealnie odpowiadający potrzebom
wyprawy. Właściciel jednak żądał za niego złodziejskiej ceny siedmiu tysięcy
funtów. Marynarze przywieźli Halowi umowę do podpisu wraz z prośbą właściciela,
żeby zapłatę uiszczono wekslem bankierskim.

Hal wypytał ich dokładnie o kondycję i charakterystykę statku, po czym nagle
zamknął oczy i siedział w milczeniu, aż w końcu Toma zaniepokoiło to na dobre.

- Ojcie! - przyskoczył do niego. Dotknął jego policzka i odkrył, że dosłownie
pali od gorączki. - Lord Courtney nie czuje się dobrze - rzucił do marynarzy. -
Pomóżcie mi, chłopcy. Musimy zanieść go do łóżka.

Nawet pan Walsh złapał za jeden z uchwytów lektyki i w czwórkę czym prędzej
zanieśli Hala do sypialni.

Kiedy już położono go do łóżka, Tom posłał do Plymouth po doktora Reynoldsa, a
Nedowi Tylerowi i innym kazał czekać na dole. Zamknął za nimi drzwi sypialni i
został z ojcem sam na sam. Odsunął kołdrę i drżącymi dłońmi zaczął odwijać
bandaże z kikutów.

Hal tymczasem poczerwieniał cały od nagłej gorączki i bredził coś w malignie.
Gdy Tom obnażył jego rany, okazało się, że blizny znów się otworzyły i cieknie z
nich żółta wydzielina. Pokój wypełnił znajomy ciężki odór. Tom zrozumiał, że
zgnilizna zaatakowała ponownie, tym razem jeszcze bardziej jadowicie niż
poprzednio. Cały kikut poznaczony był szkarłatnymi pręgami, jakby go wychłostano
batem. Doktor Reynolds przestrzegał go przed tym objawem. Chłopak drżącymi
palcami dotknął jąder chorego; gruczoły były nabrzmięte, twarde i gruzłowate
niczym skorupa orzecha. Hal, choć nieprzytomny, jęknął z bólu.

- To zgorzel gazowa - potwierdził medyk, zjawiwszy się w High Weald. - Tym razem
już go nie uratuję.

- Jak to? Nie można tego wyciąć? - rzucił się na niego Tom. - Nie można jakoś
odsączyć tej ropy, tak jak przedtem?

- Zakażenie poszło już za wysoko - odparł Reynolds, przesuwając opuszkami palców
po czerwonych pręgach, które dosłownie na ich oczach pojawiły się na podbrzuszu
Hala.

- Ale przecież musi być jakiś sposób! - błagał Tom.

Zgorzel przepala ciało jak pożar suchy las. Twój ojciec me dożyje poranka. -
Odpowiedź Reynoldsa była prosta

419

starszego brata,

i jednoznaczna. - Poślij lepiej po sw chłopcze, żeby mógł się pożegnać z ojcem.

Tom kazał Abolemu odszukać Williama. Okazało się jednak, że znajdował się on
akurat pod ziemią, w sztolniach kopalni w East Rushwold. Murzyn czekał na niego
do wieczora. Dowiedziawszy się o stanie ojca, młody Courtney pogalopował
natychmiast do domu. Wpadł do sypialni Hala, okazując swe zatroskanie z taką
egzaltacją, że Tom pomyślał sobie, iż łatwo można je wziąć za radosne ożywienie.

- I co z nim? - zapytał gorączkowo Reynoldsa.

- Mówię to z prawdziwym żalem, ale lord Courtney oddala się od nas bardzo
szybko.

Ignorując Tonię, William klęknął po drugiej stronie łoża.

- Ojczy, to ja, William. Słyszysz mnie? - Hal poruszył się na te słowa, lecz nie otworzył oczu. - Przemów do mnie - domagał się syn. Oddech chorego był szybki i płytki. - On odchodzi - rzekł William.

Tom spojrział nań ostro, gdyż wydawało mu się, że wyczuwa w głosie brata cień satysfakcji.

- Już niedługo skończy się twoje czekanie, Billy - potwierdził beznamiętnym tonem. - Rano będziesz lordem Courtneyem.

- Ty obrzydliwy mały gadzie - warknął William. - Zapłacisz mi słono za te szyderstwa.

Nie odzywali się potem przez dobrą godzinę. Nagle William zerwał się z klęczek.

- Dochodzi ósma, jestem wygłodniały jak wilk. Nie jadłem niczego od rana.

Zejdziesz na kolację? - zwrócił się do młodszego brata.

- Zostanę tutaj - pokręcił głową Tom, nie patrząc na niego. - Może się obudzić i nas wzywać.

- Reynolds nas zawiadomi. Wrócimy z jadalni w mgnieniu oka.

- To idź, Billy. Zawołam cię w razie czego - obiecał Tom. William skierował się sztywnym krokiem do drzwi. Wrócił po półgodzinie, ocierając usta serwetką.

- I jak tam? - zapytał z lekką niepewnością w głosie.

- Nie tęsknił za tobą - odparł Tom. - Nie martw się, Billy, nie wydziedziczy cię za to, że sobie podjadłeś.

Usadowili się po obu stronach łoża. Reynolds legł w ubraniu na ławie w ubieralni i pochrapywał cicho.

420

Wydawało się, że cały wielki dom wstrzymał oddech. Noc była tak cicha, że można było usłyszeć zegar na wieży kaplicy, wybijający godziny. O pierwszej w nocy Tom spojrział na Williama; starszy brat oparł głowę na skraju łoża i oddychał głęboko.

Chłopak położył dłoń na czole ojca. Trochę chłodniejsze, pomyślał. Może jednak gorączka ustępuje. Było tak przecież poprzednio. Po raz pierwszy poczuł odrobinę nadziei.

Hal poruszył się pod jego dotknięciem i nagle otworzył oczy.

- Jesteś tu, Tom?

- Tak, jestem, ojczy - młodszy syn próbował nadać swemu głosowi radosny ton. - Wydobrzejesz niedługo. Pożeglujemy razem, tak jak planowaliśmy.

- Nie pożegluję z tobą, chłopczy. - Hal po raz pierwszy głośno przyznał to, o czym Tom wiedział już od dawna. - Tę wyprawę będziesz musiał odbyć na własną rękę.

- Szkoda, że... - zaczął Tom, lecz ojciec po omacku odnalazł jego dłoń.

- Nie marnuj czasu na dyskusję - szepnął. - Nie mamy wiele czasu. Przrzeknij mi, że odnajdziesz Dorianą za mnie.

- Daję ci na to swoje słowo, tak samo jak je dałem Dorry'emu.

Hal z westchnieniem zamknął na chwilę oczy. Tom w przypływie paniki pomyślał już o najgorszym, ale powieki ojca znów się rozchyliły.

- William. Gdzie jest William? - zapytał.

Na dźwięk własnego imienia starszy syn się obudził.

- Tu jestem, ojczy - odparł, podnosząc głowę.

- Daj mi prawicę, Williamie - zażądał Hal. - I ty, Tom, daj mi swoją. - Podali mu ręce, a on mówił dalej: - Wiadomo ci, Williamie, jak straszny los spotkał twojego najmłodszego brata Dorianą, prawda?

- Tak, ojczy.

- Powierzyłem Tomowi obowiązek odnalezienia go i wydobycia z rąk Arabów. Podjął się tego zadania. Teraz i tobie je powierzam. Czy słuchasz mnie, synu?

- Tak, ojczy.

- Chcę usłyszeć od ciebie solenne przrzeczenie, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by dopomóc bratu w uratowaniu Dorianą. Zapewnisz wynajęcie odpowiednich statków, zapłacisz załozde, zakupisz prowiant i niezbędne wyposażenie. Nie

421

poskapisz mu grosza, lecz zaopatrzysz we wszystko, co wylicza manifest, któryśmy wspólnie z Tomem sporządzili.

- Rozumiem twoje życzenie, ojczu - skinał głową William.
- Wobec tego przysięgnij, że je spełnisz. - Głos Hala nabrał siły. - Mamy mało czasu.

- Przysięgam - powiedział William cichym, szczerym tonem.

- Dzięki ci za to, Panie - mruknął Hal. Przez chwilę leżał nieruchomo, jakby zbierając siły do ostatniego wysiłku. Wciąż jednak trzymał ich dłonie zadziwiająco mocno. Wreszcie przemówił ponownie. - Jesteście braćmi. Bracia nie powinni być wrogami. Macie zapomnieć o dawnych swarach, które oddaliły was od siebie, i przez wzgląd na mnie stać się na powrót braćmi w pełnym tego słowa znaczeniu. - Obaj młodzi Courtneyowie milczeli, nie patrząc na ojca ani na siebie nawzajem. - Wypowiadam to życzenie na łożu śmierci. Błagam, byście je spełnili - powiedział Hal.

Tom odezwał się pierwszy.

- Jestem gotowy zapomnieć o przeszłości. W przyszłości zaś obiecuję okazywać Williamowi szacunek i uczucia, na jakie będzie zasługiwał.

- Trudno prosić o więcej - sapnął Hal. - Teraz ty, Williamie. Przrzeknij mi to samo.

- Jeżeli Tom dotrzyma swojej obietnicy, odpłacę mu takim samym szacunkiem i uczuciem - rzekł starszy z braci, nie patrząc na młodszego.

- Dziękuję. Dziękuję wam obu - szepnął Hal. - Posiedźcie teraz ze mną przez te ostatnie krótkie chwile, które nam pozostały.

Noc trwała długo. Kilkakrotnie Tomowi wydawało się, że ojciec już umarł, potem jednak słyszał cichy poświst jego oddechu. Wreszcie przysnął na pewien czas. Zbudziło go pianie kogutów na podwórzu stajni. Otrząsnął się i z poczuciem winy spojrzął na Williama. Brat spał, połową ciała leżąc na łóżku i pochrapując cicho. Lampa dawno się wypaliła, lecz przez zasłony sączyła się słaba poświata brzasku.

Tom dotknął twarzy ojca i poczuł w sercu ukłucie straszliwego żalu. Skóra Hala była chłodna. Przesunął palce niżej, szukając pulsu tętnicy szyjnej. Nie poczuł najmniejszej oznaki życia.

- Nie powinienem był zasypiać. W ostatniej godzinie za-
422

wiodłem go - szepnął do siebie i pochyliwszy się, pocałował ojca w usta. Czuł, jak po policzkach spływają mu łzy, kapiąc na twarz zmarłego. Otarł je rękawem prześcieradła i złożył jeszcze jeden pocałunek.

Odczekał około pół godziny, aż światło w sypialni pojaśniało. W wiszącym na ścianie lustrze przyjrzał się swojej twarzy, by się upewnić, że już panuje nad rozpaczą. Nie chciał, by Czarny Billy widział go tak zniewieściałym. Potem potrząsnął starszego brata za ramię.

- Obudź się, Billy. Ojciec nas opuścił. William podniósł głowę i spojrzął nań półprzytomnym wzrokiem. Potem popatrzył na twarz Hala.

- No, to nareszcie się skończyło - powiedział. Wstał i przeciągnął się. - Jezusie słodki, ale się stary hultaj guzdrał. Myślałem, że już nigdy nie zrobi mi miejsca.

- Nasz ojciec nie żyje! - krzyknął Tom. Miał wrażenie, że brat nie zrozumiał, co się stało. Przecież nawet Czarny Billy nie mógł być aż tak pozbawiony uczuć.

- Lepiej wezwijmy czym prędzej Reynoldsa, żeby to potwierdził, a potem zamknijmy starego w tej jego nowej frymuś-nej trumnie, żeby się jeszcze nie rozmyślił.

William roześmiał się z własnego ponurego dowcipu i ryknął na medyka. Reynolds wytoczył się z ubieralni, jeszcze na wpół śpiący. Szybko zbadał Hala, sprawdzając oddech i puls. Wreszcie pokręcił głową i spojrzął na Williama.

- Twój ojciec istotnie odszedł z tego świata, milordzie - oznajmił.

Tom był zaskoczony szybkością, z jaką rozgrywały się wypadki. Czarny Billy został baronem Dartmoor.

- Czy mam się zająć ubraniem nieboszczyka do trumny i przygotowaniami do pogrzebu, sir? - zapytał medyk.

- Jak najbardziej - odparł William. - Ja będę bardzo zaJ?ty. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Muszę jak najszybciej pojechać do Londynu. - Mówił teraz bardziej do siebie niż do obecnych. - Muszę objąć należne mi miejsce w Izbie Lordów, potem spotkać się z Samuelsem w banku... - przerwał i spojrzął na Toma.

- Ty się zajmij przygotowaniem całej ceremonii. Czas, żebyś zaczął zarabiać na swoje utrzymanie.
- To będzie dla mnie zaszczyt - próbował go zawstydzić Tom; starszy brat jednak mówił dalej bez skrępowania.

423

- Zrobimy cichy pogrzeb. Tylko najbliższa rodzina. Uporajmy się z tym jak najszybciej. Można poprosić biskupa, żeby odprawił, co trzeba, jeśli się przedtem nie upije. Od dziś za tydzień - oznajmił stanowczo. - Szczegóły zostawiam tobie. - Przeciągnął się ponownie. - Boże, ależ jestem głodny. Jakbyście czegoś potrzebowali, znajdziecie mnie przy śniadaniu. Nie było czasu, żeby ściągnąć na pogrzeb wszystkich współbraci Hala, członków zakonu. Tylko lord Exeter i jego brat mieszkali na tyle blisko, że mogli wziąć w nim udział. Ze wszystkich zakątków hrabstwa i z portów na wybrzeżu przybyli jednak na ceremonię oficerowie i marynarze, którzy żeglowali z Halem za jego życia. Niektórzy przeszli w tym celu na piechotę nawet pięćdziesiąt mil. Ned Tyler, Alf Wilson i Lukę Jervis znaleźli miejsca w ławach przed ołtarzem, a zwykli marynarze tłoczyli się z tyłu, wraz ze służbą dworską. Część ludzi musiała stać na zewnątrz.

- Nie mam zamiaru wydawać swoich ciężko zarobionych pieniędzy na picie i jedzenie dla wszystkich obwiesiów i opojów z całej Anglii - oświadczył już wcześniej William i podjął na swój koszt tylko zaproszonych przez siebie gości. Marynarzom, którzy przybyli oddać ostatnie honory swemu kapitanowi, Tom zapewnił poczęstunek za własne pieniądze.

Na drugi dzień po złożeniu Hala do kamiennego sarkofagu w krypcie rodowej kaplicy William wsiadł do karocy i udał się do Londynu. Nie było go prawie trzy tygodnie. Przed wyjazdem odesłał Alice wraz z dzieckiem do jej ojca. Tom był przekonany, że chodziło o to, by nie mógł porozmawiać ze szwagierką.

Pusty dom wydał mu się tak odpychający, że postanowił wziąć pokój w Royal Oak. Spędzał tam całe dnie z Nedem, Alfem i panem Walshem, omawiając szczegóły wyprawy po Doriana.

Opierając się na sporządzonym wspólnie z Halem manifeście, przygotował zestawienie wydatków, żeby przedłożyć je Williamowi. Czas pracował na niekorzyść Toma, gdyż jesień zbliżała się wielkimi krokami. Zostały mu ledwie trzy miesiące, by wyposażyć i obsadzić statki, przekroczyć Zatokę Biskajską i dopłynąć do łaskawszych, południowych wód, zanim zimowe wichury odetną mu drogę.

424

_ Jeżeli złapie nas tu zima, będziemy znów musieli czekać cały rok - niepokoił się.

W końcu zaczął zamawiać niezbędne rzeczy u kupców, zaręczając słowem honoru spłatę należności po powrocie brata. Kredyt u lorda Williama był dla nich wszystkich równie pewny jak lokata w banku. Tom wynajął wielki magazyn w dokach, składając tam całe wyposażenie. Nedowi i Abolemu kazał skompletować odpowiednie załogi. Po triumfalnym powrocie z ostatniej ekspedycji nietrudno było zwerbować najlepszych marynarzy. Wszyscy, którzy się zaciągnęli do Toma, pływali przedtem z jego ojcem. Większość wydała już pieniądze z łupów i chętna była wypłynąć w kolejny rejs.

Ned Tyler z Alfem Wilsonem znaleźli także drugi statek i utargowali zań najlepszą możliwą cenę. Właściciel jednak nie zgodził się udostępnić żaglowca, dopóki nie otrzyma całej kwoty. Tom musiał więc uzbroić się w cierpliwość. Pod koniec września William wrócił wreszcie z Londynu do High Weald. Przybył w poczuciu triumfu. Objął wymarzone miejsce w Izbie Lordów i zaprezentowano go u dworu. Przez cały pobyt był gościem lorda Childsa w Bombay House. Childs osobiście wprowadził go w kręgi londyńskiej śmietanki towarzyskiej, przedstawił w przybytkach władzy i namówił do objęcia stanowiska w Radzie Dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej. Odziedziczony po Hалу zysk z ostatniej wyprawy pozwolił młodemu Courtneyowi podwyższyć udziały w kompanii do siedmiu procent. Znalazł się dzięki temu w gronie pięciu najważniejszych udziałowców, nie licząc Korony.

Do miasta dotarła także wieść, że Alice wróciła do High Weald i spodziewa się kolejnego potomka.

Dowiedziawszy się o powrocie brata, Tom natychmiast pogalopował do rodzinnej posiadłości, pragnąc jak najszybciej omówić z nim plan wyprawy. W sakwie u siodła wiózł dwa blaszane pudła, zawierające dokumenty, jakie zgromadził w ciągu minionych tygodni. Były tam rachunki za zakup obu żaglowców i weksle wystawione przez kupców, u których zaopatrzyli się w żywność i niezbędne wyposażenie, a także towary na sprzedaż w Afryce.

Przybywszy do High Weald wczesnym przedpołudniem, dowiedział się, że lord William jest zajęty w bibliotece, gdzie odbywa naradę z rządcami majątku. Tom z zaskoczeniem ujrzał, że na audiencję u nowego pana High Weald czeka

425

w przedsiönku prawdziwy tłum. Naliczył szesnaście osób, z których większość znał. Był tu rodzinny prawnik, był szeryf hrabstwa John Anstey, nadzorcy i inżynierowie z kopalni, a także burmistrz i starsi rajcowie z miasta. Części nie znał, lecz przywitał wszystkich uprzejmie, a potem pogawędził z Ans-teyem, czekając, aż William zawoła go do siebie.

Kiedy minęło południe, doszedł do wniosku, że brat nie wie chyba o jego przybyciu. Kazał więc zawiadomić go o tym majordomusowi Evanowi. Ten wrócił po chwili z zakłopotaną miną.

- Jego lordowska mość powiedział, że wezwie panicza, gdy przyjdzie czas. Na razie trzeba czekać - oznajmił.

Popołudnie ciągnęło się długo. Co jakiś czas Evan wzywał do biblioteki kolejną osobę. W końcu nadszedł wieczór i został już tylko Tom.

- Lord William przyjmie cię teraz, paniczu Thomasie - powiedział przeprasza­jaco majordomus.

Tom wkroczył do biblioteki, trzymając pod każdą pachą jedno pudło i usiłując ukryć irytację z powodu tak lekceważącego traktowania go przez brata. William stał plecami do kominka, z rękami założonymi do tyłu; unosił skraj kaftana, by ogrzać się w ciepłe płomieni.

- Dobry wieczór, Williamie. Mam nadzieję, że podróż do Londynu się udała.

Słyszałem, że przedstawiono cię u dworu. Przyjmij moje gratulacje. - Postawił oba pudła na stole.

- Jakże to uprzejmie z twojej strony, bracie. - W głosie Williama czuło się dystans.

W tej chwili wrócił Evan, niosąc na tacy dwa srebrne puchary. Pierwszy podał starszemu z braci, a kiedy Tom wziął swój, majordomus zapytał:

- Czy zostaniesz u nas na kolacji, paniczu?

Nim chłopak zdążył odpowiedzieć, odezwał się William.

- Nie sądzę - rzekł. - Panicz Thomas nie zabawi długo. Z pewnością jest umówiony na kolację ze swymi prostackimi kamratami w mieście. - Tom z Evanem spojrzeli nań z jednakowym zdumieniem, lecz on niezrażony ciągnął: - To na razie wszystko; dziękuję, Evan. Kolacja o ósmej, jak zwykle. I proszę mi do tego czasu nie przeszkadzać.

Pociągnął łyczek koniaku i spojrzawszy na dwa pomalowane na czarno cynowe pudła, uniósł brew.

426

- Z pewnością zjawileś się tu nie tylko po to, żeby mi pogratulować - zwrócił się do Toma.

- Przywiozłem ci do zatwierdzenia manifest wyprawy. Poza tym rachunki wydatków, które dotychczas poczyniłem.

- Jakiej wyprawy? - udał zdziwienie William. - Nie przypominam sobie, żebym ci zlecał zaciąganie jakichkolwiek zobowiązań w moim imieniu. Może się przesłyszałem?

- To twoje zobowiązanie wobec ojca. - Tom starał się nie okazać po sobie, jak bardzo poruszyła go ta odpowiedź. - Przygotowania są już prawie zakończone. -

Otworzył pudła i rozłożył dokumenty w równych stosach wzdłuż blatu. - To są gąże załogi. Znalazłem stu pięćdziesięciu doskonałych żeglarzy; tylu, ilu mi trzeba. Wszyscy pływali kiedyś z ojcem; znam ich i ręczę za nich głową.

William nie ruszył się ze swego miejsca przed kominkiem. Na jego wargach igrał zagadkowy uśmiezek, a oczy lśniły zimnym blaskiem.

- Tutaj są rachunki za dwa statki. Oba obejrzałem osobiście. Są idealne do naszych celów. Udało mi się zbić cenę proponowaną przez właścicieli o prawie cztery tysiące funtów. - Tom spojrział na brata, ten jednak milczał. Po chwili daremnie oczekiwania chłopak ciągnął wytrwale: - Tu mam kompletny manifest zapasów i niezbędnego ekwipunku. Kupiłem już prawie wszystko i złożyłem w magazynie Patchleya w porcie. Niestety, zmuszony byłem czasami przepłacać. Admiralicja wykupuje, co się da, na wyposażenie marynarki królewskiej. Są trudności z zakupem prochu i kul, a także lin i żagli. Od rozpoczęcia wojny ceny się niemal podwoiły. - Poczekawszy znów daremnie chwilę na odpowiedź brata, dodał jeszcze: - Płatności zaręczyłem własnym słowem. Pieniądzy dla właścicieli statków będę potrzebował natychmiast. Reszta może trochę poczekać. William westchnął tylko i usiadł na jednym z wyściełanych skórą krzeseł. Tom otworzył usta, by mówić dalej, ale powstrzymał go ryk brata, który przywoływał jedną ze służebnych:

- Susan!

Czekała najwyraźniej na wezwanie tuż za drzwiami, bo Pojawiła się natychmiast. Tom znał dziewczynę. Kiedy wyruszał z ojcem w rejs, była jeszcze dzieckiem, lecz w tym czasie Wyrosła na ładną pannę. Spod jej czepka wymykały się czarne

427

kędziory, w niebieskich oczach igrał filuterny błysk. Dygnęła przed nim i pośpieszyła usłużyć swemu panu.

William podniósł jedną nogę. Dziewczyna wzięła jego wysoki but między własne nogi i odwrócona tyłem, chwyciła go za obcas i czubek. Ściskając but kolanami, zaczęła go ściągać. Gdy to zrobiła, William pokręcił odzianą w pończochę stopą i podał jej drugą nogę. Cała operacja została powtórzona, a kiedy but już się zsunął, jego lordowska mość wepchnął nagle stopę od tyłu pod spódnicę dziewczyny. Susan pisnęła rozbawiona i spłoniła się.

- Ależ milordzie! - zawołała, lecz zamiast się odsunąć, wypięła się jeszcze trochę, by jego stopa mogła dotrzeć tam, gdzie zamierzał.

Po chwili William parsknął śmiechem.

- Zmykaj, ty mała szelmo.

Wyciągnął stopę spod jej spódnic i kopnął służącą żartobliwie w pośladek, popychając w kierunku drzwi. Umknęła z chichotem, po drodze rzucając mu przez ramię kokieteryjne spojrzenie.

- Skoro skończyłeś już egzekwowanie swych uprawnień jako pan na High Weald, może wrócilibyśmy do kwestii wyprawy? - zapytał Tom.

- Proszę, Thomasie, kontynuuj - zachęcił go William lekceważącym gestem ręki.

- Chcę cię zapoznać z listą wydatków.

- Czort z tym, Thomasie. Przestań mnie dręczyć swoimi listami. Postawże sprawę jasno i powiedz, jaką kwotę chcesz wyżebrać.

- Proszę jedynie o to, co obiecałem ojcu. Ty obiecałeś to także. - Tom już z trudnością powściągał gniew. - Główną pozycję stanowią żaglowce...

- Gadajże wreszcie! - zachnął się William. - Niech wyjdzie sztydło z worka! Ile to ma być razem?

- W sumie nieco powyżej dziewiętnastu tysięcy funtów - powiedział Tom. - Wliczam w to także zakup towarów na sprzedaż. Będę skupował w Afryce kość słoniową i złoto, a także miedź i gumożywicę. Spodziewam się całkiem godziwych zysków... Musiał znów przerwać, gdyż William zaczął się śmiać. Najpierw chichotał, a potem ryknął donośnym śmiechem z głębi trzewi. Tom stał, patrząc na niego i zmagając się z własnym

428

zniecierpliwieniem. Brat krztusił się niemal; w końcu jednak przestał, gdyż musiał złapać oddech.

- Może jestem zbyt tępy - przestał ukrywać swoją irytację Tom - ale nie bardzo rozumiem, co cię tak rozbawiło,

Billy.

- Istotnie, Thomasie, jesteś tępy. Jeszcze nie dotarło do twojej zakutej pały, że teraz ja jestem panem na High Weald i musisz zwrócić wszystko, co do pensa, właśnie mnie, a nie duchowi naszego ojca.

- Potrzebuję tego nie dla siebie, lecz dla Doriana - odparł ponuro Tom. - Przysięgłeś to ojcu. Dałeś mu swoje słowo i jesteś związany tą przysięgą.

- Nie sędzę, Thomasie. - Śmiech Williama urwał się nagle. - Ojciec przed śmiercią majaczył w gorączce. Mówiłem różne rzeczy tylko po to, żeby go uspokoić. Nie traktowałem tego poważnie. Byłoby idiotyzmem trwonić własne dziedzictwo na fanaberie umierającego człowieka. Dziewiętnaście tysięcy funtów! Chyba musiałeś postradać zmysły, przypuszczając choć przez chwilę, że ci powierzę taką kwotę, byś mógł ją sobie przepuścić gdzieś na końcu świata. Nie, drogi braciszku. Wybij to sobie z głowy!

Tom wpatrywał się w brata bez słowa, gdyż głos uwiązł mu w gardle.

- Zamierzasz nie dotrzymać przysięgi złożonej umierającemu? - wykrztusił wreszcie. - Nie wybieram się na ten koniec świata dla siebie, Billy. Mówimy tu o uratowaniu naszego brata z rąk niewiernych!

- Nigdy więcej nie nazywaj mnie Billym. - William uniósł puchar i wysączył zeń resztkę koniaku.

- Zgadza się, są rzeczywiście lepsze imiona dla kogoś takiego jak ty. Oszust? Przeniewierca? Jak jeszcze nazwałbyś człowieka, który okłamuje brata i łamie przyrzeczenie dane ojcu?

- Nie pozwalam ci mówić do mnie tym bezczelnym tonem! - William cisnął kielich do ognia. Metal zadzwonił o kamień, a starszy brat wstał i postąpił groźnie ku młodszemu. - Nauczysz się, gdzie twoje miejsce, albo ci to wbiję do łba ręcznie - wycedził z pociemniałą z gniewu twarzą.

Tom nawet nie drgnął.

- Tak jak to wbijasza Alice? - zapytał z goryczą. - Bardzo jesteś silny, bracie, jeżeli trzeba pognać służbę albo uderzyć

429

kobietę. W dodatku jesteś księciem kłamców, kiedy przychodzi do dotrzymania danego słowa i wypełnienia zobowiązań wobec innych.

- Ty mała gnido! - Twarz Williama pociemniała jeszcze bardziej i wydawała się obrzmiewać. Nagle wyparowała gdzieś cała jego wykwintność i jowialność. - Nie masz prawa tak mówić o mojej żonie!

Tom wiedział, że trafił go w czuły punkt.

- Pilnuj się lepiej, Billy. Alice może ci kiedyś oddać. Nie sprostasz jej w uczciwej walce. A wówczas pozostanie ci już tylko bicie dziecka. Zresztą na pewno zrobisz to z przyjemnością. Będziesz mógł patrzeć, jak buzia małego Francisa robi się sina i pokrwawiona od uderzeń twojej szpicruty... - Tom widział, jak jego adwersarz wspina się na palce, jak zaciska pięści; obserwował uważnie jego oczy, żeby wyczytać z nich zamiar przeciwnika, gotów do odparcia nieuchronnego ataku.

- Tom, proszę, nie. - Ku zaskoczeniu młodszego Court-neya, twarz brata zapadła się nagle. Cały gniew się zeń ulotnił; William wyglądał na przybitego. - Nie mów tak, proszę! - Przygarbił się, wyciągając błagalnym gestem ręce ku niemu. - Masz rację, jestem to winien pamięci ojca. Obiecaliśmy mu przecież, że przestaniemy się wadzić. - Postąpił krok ku Tomowi, z wyciągniętą dłonią. - Masz moją rękę, bracie. Na zgodę.

Ta nagła zmiana w zachowaniu Williama zupełnie zbiła Toma z tropu. Zawahał się, czując, jak opuszcza go złość i agresja. Starszy brat uśmiechał się doń życzliwie, a to, co mówił, było przecież prawdą. Obiecali ojcu zgodę. Wysiłkiem woli rozluźnił ciało i z niepewnym uśmiechem wyciągnął do brata rękę. William ujął ją mocnym uściskiem i odwzajemnił uśmiech, patrząc mu prosto w oczy. A potem nagle z całej siły pociągnął chłopaka ku sobie. Jednocześnie opuścił brodę i uderzył go z byka w twarz, trafiając w nos.

W oczach Toma eksplodowało jaskrawe światło i poczuł, jak pęka mu przegroda nosowa. Z obu nozdrzy trysnęła krew. Szarpnął się do tyłu, lecz William trzymał jego prawą dłoń i znów pociągnął go do siebie. Starszy z braci był mańkutem, lewą rękę miał silniejszą. Tomowi przesłaniały obraz świetlne kule, był zamroczony. Nie spostrzegł więc zbliżającej się pięści i nadział się wprost na nią. Cios trafił go w bok głowy i chłopak

430

dpoleciał na zasłany papierami stół. Dokumenty rozsypały się niczym liście na wietrze, a on runął jak długi na podłogę po drugiej stronie stołu. Choć w półprzytomny, usiłował jednak pozbierać się z ziemi i stanąć do walki.

William tymczasem wyszarpnął z pochwy u biodra sztylet i kiedy Tom już był na klęczkach, rzucił się na niego ponad blatem. Chłopak wciąż jeszcze widział słabo, spostrzegłszy jednak błysk stalowej klingi, zdołał sparować cios przedramieniem. Zamiast trafić go w pierś, jak zamierzał, William zadrasnął brata tylko w ramię, rozrywając materiał kamizelki. Tom ledwie zdążył poczuć ukłucie stali, gdy przeciwnik zwałił się nań całym ciężarem. Padli obaj na ziemię w morderczym uścisku. Starszy próbował teraz ugodzić młodszego w oko, ten jednak chwycił go za nadgarstek i potoczyli się razem po podłodze.

- Wypruję ci zaraz flaki - wydyszał William, zmieniając kąt pchnięcia. * Tom musiał zebrać całą swoją nadwątłą odwagę i siłę, żeby go powstrzymać. Ostrze sztyletu zawisło cał od jego twarzy. Choć przez ostatnie trzy lata starszy z Courtneyów wiódł spokojny żywot ziemianina, jego zręczność w zapasach i siła mięśni jakby w ogóle na tym nie ucierpiały. Tom blokował jego cios ostatkiem sił.

Potoczyli się pod regał z książkami w kącie pokoju. W tym momencie na wierzchu był Tom, który wykorzystał tę chwilową przewagę, żeby rąbnąć ręką brata o kant dębowego mebla. William stęknął i jego uścisk na rękojęści noża zelżał. Tom z całą pozostałą mu siłą powtórzył cios. Na grzbiecie dłoni przeciwnika pojawiły się krople krwi, lecz nie wypuścił sztyletu. Tom uderzył tak samo po raz trzeci. Tym razem William jęknął z bólu i wreszcie musiał rozewrzeć palce; sztylet wyśliznął mu się z ręki i potoczył po ziemi.

Żaden z nich nie mógł go dosięgnąć, nie rozluźniwszy przedtem uchwytu, w którym trzymał przeciwnika. Przez moment trwali w zwarciu, a potem Tom podkurczył nogi i podniósł się, pociągając Williama za sobą. Stali tak, twarzą w twarz i piersią w pierś, trzymając się nawzajem za nadgarstki. William spróbował przewrócić Toma, ten jednak stał solidnie na rozstawionych nogach. Gdy brat powtórzył atak, Tom dał mu się pociągnąć i wykorzystał energię przeciwnika, żeby go rzucić na przeszkłony regał z książkami. Wypełnione ciężkimi

431

tomami półki sięgały niemal sufitu. William runął na nie z takim impetem, że górna część regału zaczęła się przewracać. Na walczących posypała się lawina oprawnych w skórę książek. Dębowa nadstawa nabierała rozpędu i każdy, kto znalazłby się pod masywnymi półkami, musiał zostać zgnieciony pod ich ciężarem. Obaj walczący uzmysłowili to sobie natychmiast i odskoczyli na boki, a mebel grzmotnął o podłogę, wzbijając fontannę drzazg i szkła.

Stanęli zdyszani naprzeciw siebie ponad rumowiskiem. Młodszemu kapała z nosa krew, płamiąc przód koszuli. Wróciła mu jednak zdolność widzenia i siła, a wraz z nimi wściekłość.

- Jak zwykle oszukałeś, Billy. Uderzyłeś mnie z byka przez zaskoczenie - wydyszał, rzucając się ku przeciwnikowi.

William niespodziewanie obrócił się na pięcie i podbiegł do przeciwległej ściany, obwieszanej różnorodną bronią. Stalowe tarcze otoczone były ułożonymi w dekoracyjne wzory dziesiątkami kling i ostrzy, zbieranych od wieków przez ród Courtneyów na polach wszystkich bitew, w których walczyli. William pochwycił ciężki rapier, używany przez oficera kawalerii w czasach króla Karola.

- Skończymy teraz z tą sprawą raz na zawsze - rzucił ponuro. Wykonał ciężką bronią kilka sztychów i cięć w powietrzu, żeby wyczuć jej wyważenie i zasięg. Tom cofał się przed nim powoli. Nie mógł się zbliżyć do ściany, żeby też wybrać sobie oręż, i nie mógł zrejterować przez podwójne drzwi, nie dając jednocześnie przeciwnikowi szansy ataku. Pomyślał o sztylecie, ten jednak leżał zagrzebany pod stertą książek. Otarł więc rękawem krew z twarzy i wycofywał się dalej.

- Ha! Ha! - zakrzyknął William, przyskakując ku niemu seria szybkich wypadów. Tom musiał uskakiwać i uchylać się, zapędzany coraz dalej od wyjścia, w najdalszy róg pokoju.

Zdawał sobie sprawę z zagrożenia; gdy jednak próbował się wymknąć, William blokował mu drogę cięciami od lewej i prawej na głowę. Tom próbował oszacować jego biegłość w fechtunku. Spostrzegł, że nie rozwinęła się od czasu, kiedy przyglądał się, jak brat ćwiczy z Abolim. William był dużo lepszym zapaśnikiem niż szermierzem. Oczy zdradzały jego intencje i chociaż ciosy lewą ręką wykonywał z szybkością

432

zmii, miał słaby atak prawą i zbyt wolno wycofywał się z wypadu.

Teraz zaszarżował nagle, nie doceniając nieuzbrojonego przeciwnika. Tom ustąpił mu pola, cofając się krótkimi kroczkami i obserwując jego oczy. W końcu uderzył plecami w jeden ze stojących jeszcze regałów. W oczach starszego brata zobaczył błysk triumfu.

- Proszę bardzo, sir! - zawołał William, wykonując sztych po linii ramienia. Tom pozwolił mu wejść w wypad i dopiero wtedy usunął się na bok. Pchnięcie przeszło pod jego pachą i ostrze rapie-ru ugrzęzło w grzbiecie jednej z ksiąg. Tom jednak nie popełnił błędu i nie próbował wyrwać przeciwnikowi oręża, ryzykując pokaleczenie dłoni. Podczas gdy brat starał się uwolnić broń, pochylił się i błyskawicznie podniósł z podłogi ciężkie tomiszczce. Cisnął je w głowę atakującego, trafiając go w czoło. Ten zatoczył się w tył, równocześnie wyrывая rapier z pułapki.

Tom przemknął po jego prawej i William znów zaatakował. Tę stronę miał jednak słabszą i nie odzyskał jeszcze całkiem równowagi. Czubek broni musnął bok Toma, była to jednak powierzchowna rana. Chłopak był wolny. Rzucił się ku przeciwległej ścianie, chcąc zdobyć broń dla siebie. Usłyszał jednak tuż za sobą cichy tupot odzianych tylko w pończochy stóp brata. Instykt podpowiedział mu, że dopadnie go, nim zdąży ściągnąć ze ściany jakąś szpadę, i że niechybnie otrzyma morderczy sztych w nieosłonięte plecy. Rzucił się więc raptownie w bok. William zaklął szpetnie, pośliznąwszy się na gładkich deskach.

Tom przyskoczył do stołu i porwał zeń masywny srebrny lichtarz, którym zasłonił się przed kolejnym atakiem. William wziął zamach z góry, chcąc rozplatać mu głowę. Było to nieudolne cięcie, które skończyłoby się dlań fatalnie, gdyby przeciwnik trzymał w ręce szpadę. Ostrze brzęknęło o metal lichtarza; Tom wiedział, że blokada uraziła dłoń brata. William stęknął i skrzywił się, ale wznosił klingę do kolejnego uderzenia.

Młodszy z braci okazał się szybszy. Trzasnął Williama w żebra srebrnym świecznikiem jak toporem. Usłyszał trzask pękającej kości; William krzyknął z bólu, ale nie zdołał już powstrzymać rozpoczętego ciosu. Klinga świsnęła Tomowi

433

koło ucha i rąbnęła w blat stołu, rozłupując słojuwany pięknie orzech.

Tom zaatakował ponownie lichtarzem; tym razem jednak brat zrobił unik i cios pozbawił go tylko równowagi. Potknął się o górę książek, lecz wymachując szaleńczo prawym ramieniem, zdołał utrzymać się na nogach. Tom skoczył ku drzwiom, a William rzucił się za nim. Jego sztychy z lewa i z prawa niemal dosięgały pleców chłopaka.

Znalazłszy się w holu, Tom spostrzegł swój pas ze szpadą, powieszony przez służącego w przedsionku. Wielki szafir w rękojeści błysnął ku niemu niczym latarnia morska, obiecująca steranemu sztormem żaglowcowi schronienie w porcie. Wybiegając z biblioteki, pchnął z całej siły skrzydło drzwi do tyłu. William zatrzymał je ramieniem tuż przed swoją twarzą, a Tom zyskał dzięki temu czas, żeby przebiec przez hol i zerwać pas z wieszaka. Odwrócił się błyskawicznie i zablokował kolejne cięcie przeciwnika grawerowaną i lakierowaną pochwą. Potem odskoczył do tyłu i przed następną szarżą brata zdążył obnażyć błękitną szpadę z Neptunem.

Klinga wysunęła się z cichym poświstem i załśniła mu w dłoni jak pojedynczy promień słońca. Na ścianie i suficie zadrżał refleks światła. Wreszcie mógł stawić Williamowi czoło na równych warunkach. Starszy z braci zatrzymał się nagle, widząc inkrustowane ostrze, chwiejące się przed nim jak tańcząca kobra i rzucające mu w oczy złociste błyski.

- To prawda, bracie. Teraz zakończymy tę sprawę raz na zawsze - Tom przypomniał mu jego wcześniejszą groźbę. Ruszył ku niemu seria drobnych lekkich kroczków, a William zaczął ustępować mu pola. Chłopak zobaczył w jego oczach strach, potwierdzający to, czego już wcześniej podświadomie się domyślał. Starszy brat był tchórzem.

Właściwie nic w tym dziwnego, pomyślał. Tyrani zwykle są tchórzami. Na próbę zaatakował en fleche, tak zwaną strzałą, polegającą na całej serii raptownych sztychów. Uskakując przed śmigającą ku niemu klingą, William prawie się przewrócił.

- Szybki jesteś jak spłoszony królik, bracie - zaśmiał mu się w twarz Tom, nie pozwalając sobie jednak na rozluźnienie.

Obserwował czujnie przeciwnika, wiedząc, że ranny drapieżnik jest zawsze najgroźniejszy. Poza tym z leworękiem szer-

434

rmerzem walczyło się trudniej. Wszystkie ruchy należało wykonywać odwrotnie i łatwiej było o niezamierzone odsłonięcie się od lewej, silniejszej strony atakującego. Na szczęście Aboli wielokrotnie ćwiczył z Tomem taką sytuację, a jako oburęczny często przerzucał szpadę w trakcie pojedynku i zmieniał symetrię starcia, próbując wybić go z uderzenia. Początkowo mu się to udawało, lecz jego podopieczny był pojętnym uczniem.

William potknął się nagle i musiał przyklęknąć na jedno kolano; wyglądało to naturalnie, ale Tom wyczytał z jego oczu i z ustawienia klingi, że szykuje się do niskiego cięcia od lewej. Gdyby go trafił, uszkodziłby mu ścięgna Achillesa w obu nogach i okulał na długo. Nie dając się wciągnąć w pułapkę, chłopak odskoczył i przesunął się ku słabszej stronie przeciwnika.

- Marnujesz swój talent, bracie - rzucił, uśmiechając się mimo zakrzepłej na wargach krwi z nosa. - Mógłbyś zrobić wspaniałą karierę, występując w teatrze. Zaatakował go od prawej. William musiał wstać, a Tom serią wściekłych cięć i wypadów zapędził go pod główne schody na piętro. Wciąż zmieniając kąt i linię natarcia, zmuszał go do ciężkiego wysiłku przy blokowaniu każdego kolejnego uderzenia. Oddech starszego z braci stał się nierówny, w jego oczach pojawiło się przerażenie, a na czoło przezroczyście kroplami wystąpił obficie pot.

- Nie bój się, Billy - zaśmiał się Tom ponad tańczącą klingą - ta szpada jest ostra jak brzytwa. Niczego nie poczujesz. - Kolejnym cięciem otworzył koszulę brata, nie drasnąwszy gładkiej jak kość słoniowa skóry na jego piersi. - O, właśnie tak - rzucił. - Nawet nie zabol.

Znalazłszy się u stóp schodów, William okręcił się na pięcie i zaczął uciekać na górę. Długimi, elastycznymi susami pokonywał po trzy stopnie naraz, ale Tom był tuż za nim, zbliżając się z każdym krokiem. Na półpiętrze starszy musiał się odwrócić, by odeprzeć kolejny atak młodszego. Instynktownie poszukał u pasa sztyletu, lecz pochwa była pusta.

- Nie ma go, Billy - powiedział Tom. - Koniec twoich wrednych sztuczek. Musisz walczyć tym, co masz.

Na razie William miał przewagę, gdyż stał wyżej na schodach. Spróbował cięcia z góry - dla szermierza takiego jak Tom nie był to groźny cios. Zablockował go i trzymając klingę przeciw-

435

nika w zwarciu, wspiał się za nim na podest półpiętra. Stanęli naprzeciw siebie, mając przed oczami skrzyżowane szpady.

- Kiedy już umrzesz, Billy, tytuł przejdzie na małego Francisa. - Tom starał się, żeby jego głos nie drżał z powodu wysiłku, lecz było to trudne. William miał potężne bary i klingi dygotały im obu w rękach, których mięśnie naprężone były do granic wytrzymałości. - Alice zostanie kuratorem majątku. Ona nie łamie obietnic. - Pchnięciem ramion odrzucił Williama, jednocześnie cofając się o krok i opuszczając czubek szpady na wysokość jego krtani. - Jak więc widzisz, Williamie, muszę cię zabić, choćby tylko przez wzgląd na Dorianą. - Wykonał morderczy sztych w gardło brata, lecz ten gwałtownie rzucił się w tył, padając plecami na drewnianą balustradę schodów, która pękła z trzaskiem pod jego ciężarem.

William z rozpostartymi szeroko ramionami poleciał trzy metry w dół i runął na podłogę holu. Broń wypadła mu z ręki. Przez chwilę nie mógł złapać tchu i leżał nieruchomo na plecach, ogłuszony i bezradny.

Tom przeskoczył strzaskaną balustradę. Z iście kocią gracją wylądował na ziemi, amortyzując impet upadku ugięciem kolan i przyklękając na jedno, by wybić się znów do pionu. Kopniakiem odrzucił oręż brata pod najdalszą ścianę. Stał nad leżącym na szeroko rozstawionych nogach.

Przystawił czubek szpady do jego piersi tuż nad mostkiem, zanurzając klingę w gęstwie czarnych kędziorów wyzierających z rozcięcia koszuli.

- Jak powiedziałaś, Billy, raz na zawsze. Między nami wszystko skończone - rzekł ponuro, rozpoczynając śmiertelny sztych. I nagle poczuł, jakby jego rękę

unieruchomiła stalowa obręcz. Nakłuł miękką skórę na szyi leżącego przeciwnika, lecz nie był w stanie zagłębić ostrza w ciele. Wytężał się z całych sił, ale jakaś potężna zewnętrzna moc powstrzymywała ostateczny cios.

Stał tak nad Williamem, straszna postać zbryzgana krwią, ze szpadą w drżącej dłoni i twarzą wykrzywioną w okropną maskę gniewu i frustracji.

Zrób to! - usłyszał w głowie własny stanowczy głos i znów spróbował pchnąć ostrze w dół. Ręka jednak nie chciała go słuchać.

436

Zrób to! Zabij go! Jeżeli nie dla siebie, to dla Dorry'ego!

Wtem zagłuszyło tę morderczą myśl echo słów ojca:

"Jesteście braćmi. Bracia nie powinni być wrogami. Macie zapomnieć o dawnych swarach, które oddaliły was od siebie, i przez wzgląd na mnie stać się na powrót braćmi w pełnym tego słowa znaczeniu".

Tom niemal krzyknął: "Ale ja muszę to zrobić!".

William wciąż leżał, przyszpilony do ziemi szpadą. Jego oczy napełniły się łzami przerażenia. Otworzył usta, chcąc błagać brata o życie, lecz nie był zdolny wykrztusić słowa i wydał z siebie tylko skrzeczenie, podobne do krakania kruka. Tom czuł, jak mięśnie i ścięgna jego prawego ramienia naprężają się mocniej z wysiłku, z jakim je zmuszał do posłuszeństwa. Czubek szpady obniżył się znów trochę i przebił skórę. Z płytkiego rozcięcia pociekła krew.

- Błagam, Tom. Dam ci te pieniądze - wychrypiał William, skręcając się z bólu. - Przysięgam, naprawdę je dostaniesz.

- Nie zaufam ci nigdy. Już raz złamałeś świętą przysięgę i postawiłeś się poza nawiasem ludzi honorowych. - Obrzydzenie dla tchórzostwa i perfidii brata wzmocniło w Tomie wolę dokonania straszliwego uczynku. Tym razem ręka go posłucha...

- Tom!

Nagle po pustym domu poniósł się pełen przerażenia okrzyk. Wydawało mu się przez moment, że słyszy głos matki wołającej go z za grobu. Podniósł głowę.

U szczytu schodów stała widmowa postać. Przeszył go zabobonny lęk. A potem ujrzał, że to Alice, z dzieckiem w ramionach.

- Nie, Tom! Nie możesz tego zrobić! Chłopak zawahał się.

- Ty nie rozumiesz - powiedział. - On jest wcielonym złem. Sama mówiłaś, że jest jak diabeł.

- Jest moim mężem i ojcem Francisa. Nie rób tego, Tom. Przez wzgląd na mnie.

- Jeżeli on umrze, obojgu wam będzie lepiej. - Tom spojrział znów na nikczemną, skamlącą postać u swoich stóp.

- To morderstwo, Tom. Będą cię za to ścigać wszędzie i w końcu trafisz na szubienicę!

- Mam to gdzieś - odparł i rzeczywiście tak myślał.

- Jeżeli ciebie zabraknie, kto uratuje Doriana? Jeśli nie dla

437

mnie, to chociaż przez wzgląd na niego błagam cię, nie rób tej strasznej rzeczy! Prawda słów Alice uderzyła go niczym cios pięścią między oczy. Wzdrygnął się i odsunął od leżącego przeciwnika.

- Odejdź! - zawołał. William zaczął gramolić się na nogi. Nie było w nim nawet cienia buty. - Zejdź z moich oczu. - Głos Toma aż ochrypł z obrzydzenia. - A jeśli jeszcze raz podniesiesz rękę na swoją żonę, pamiętaj, że to ona uratowała dzisiaj twoje nikczemne życie.

William wycofał się tyłem po schodach, a kiedy był już w bezpiecznej odległości, odwrócił się i wbiegł na górę. Po chwili zniknął w długim korytarzu.

- Dziękuję, Tom. - Alice spojrzała na niego wzrokiem pełnym bólu.

- Będziemy tego oboje żałować do końca naszych dni - powiedział.

- Wszystko w rękach Boga - odparła.

- Ja muszę płynąć do Afryki; nie mogę zostać, żeby cię chronić.

- Wiem - szepnęła z rezygnacją.

- Nigdy już nie wrócę do High Weald - dodał zawziętym tonem.

- To także wiem - zgodziła się Alice. - Jedź z Bogiem, Tom. Jesteś dobrym człowiekiem, takim jak twój ojciec. - Odwróciła się i zniknęła w ślad za mężem za rogiem długiej galerii.

Tom stał przez moment nieruchomo, rozważając straszliwą prawdę, którą właśnie wypowiedział. Nigdy już nie powróci do High Weald. A kiedy umrze, nie pochowają go w krypcie rodzinnej kaplicy na wzgórzu. Być może pozostanie na zawsze w jakiejś odległej, dzikiej krainie. Przeszył go dreszcz, lecz po chwili pochylił się, by podnieść pas z pochwą, leżący na podłodze. Schował szpadę z Neptunem i spojrzął przez otwarte drzwi do wnętrza biblioteki. Wszędzie leżały porozrzucane dokumenty i rachunki. Wszedł do środka, zamierzając je pozbierać, zaraz jednak uzmysłowił sobie ponuro, że już ich nie potrzebuje. Powoli objął spojrzeniem całe pomieszczenie. Wiązało się z nim tyle cudownych wspomnień o ojcu, a teraz i tę więź z dzieciństwem i minionymi latami miał utracić. Wtem jego wzrok padł na rząd dzienników Hala, na półce przy drzwiach. Zawierały wierne relacje z wszystkich jego wypraw.

438

Każda z zapisanych ojcowską dłonią stronic pełna była wskazówek dotyczących nawigacji i żeglowania oraz innych informacji, cenniejszych od wszystkiego, co mógłby zabrać z domu, który miał zaraz opuścić na zawsze.

- Wezmę chociaż tyle - mruknął pod nosem. Ściągnął oprawne w skórę tomy z półki i wrócił do holu.

Czekał tam na niego Evan, majordomus, z dwoma lokajami. Zarządca trzymał w każdej ręce pistolet z odwiedzionym kurkiem.

- Lord William Courtney posłał po szeryfa - oznajmił. - Mam rozkaz zatrzymać panicza, dopóki się nie zjawi.

- I cóż wobec tego zamierzasz uczynić, Evan? - Tom ujął dłonią rękojeść szpady.

- Pański koń czeka na dworze, paniczu - odparł służący, opuszczając broń. -

Wszystkim nam w High Weald będzie ciebie brakowało. Mamy nadzieję, że znajdziesz panicza Do-riana. Wróć do nas kiedyś...

- Żegnaj, Evan - rzekł Tom ochryple. - Dziękuję.

Zszedł schodami na podjazd, schował dzienniki do sakwy przy siodle i dosiadł wierzchowca. Skierował jego głowę ku morzu i ruszył zwirowaną drogą. Mijając bramę, zdołał powstrzymać impuls, by się ostatni raz obejrzeć na dom. To już skończone, pomyślał; wszystko skończone. Spiał konia ostrogami i pogalopował przed siebie w noc.

Tom nie zamierzał czekać, aż przyjdą po niego ludzie szeryfa, żeby go aresztować z oskarżenia Williama. Gdy wkroczył do głównej sali w Royal Oak, jego towarzysze zdumieli się na widok pochlapanej krwią koszuli i złamanego nosa swego kapitana.

- Musimy natychmiast odpłynąć - powiedział do Neda, Alfa i Abolego, po czym spojrzął na Luke'a Jervisa, siedzącego po drugiej stronie kominka. Luke był właścicielem Ravena i nie musiał słuchać rozkazów Toma, lecz bez wahania skinął głową na znak zgody.

Kiedy już mieli zdjąć cumy, od strony miasta nadjechał galopem jakiś samotny jeździec. Zatrzymał konia tak raptownie, że niemal przeleciał przez jego łeb na ziemię.

- Zaczekaj na mnie, paniczu Tomie! - Chłopak uśmiechnął się, poznając głos pana Walsha. - Nie zostawisz mnie chyba!

439

Kiedy Raven wypłynął z portu na otwarte morze, grupka starych druhów zebrała się na pokładzie.

- Jaki kurs, sir? - zapytał Luke.

Tom spojrzął tęsknie ku południowi. Gdzieś tam daleko był Przylądek Dobrej Nadziei, a za nim wrota do Orientu. Ileż bym dał za własny statek zamiast tej łupiny, pomyślał. Odsunął od siebie myśl o Afryce i powiedział:

- Do Londynu, Luke. Zapłacę ci za ten rejs. - Głos miał niewyraźny z powodu złamanego nosa, który spuchł już dość mocno. - Mam jeszcze w banku u Samuela większość pieniędzy z łupów.

- Porozmawiamy o tym później - mruknął Jervis i wydał swej trzyosobowej załodze rozkaz ustawienia małego kutra na południowym kursie.

Raven prześliznął się Tamizą i zacumował w porcie. Wśród mnogości innych jednostek nie wzbudzał niczyjzego zainteresowania. Zeszli na brzeg z niewielkim bagażem w pobliżu Tower Bridge. Aboli znalazł tanią kwaterę w obskurnej uliczce równoległej do rzeki.

- Jeśli fortuna dopisze, będziemy musieli zostać tu kilka dni - rzekł Tom, rozglądając się po marnym drewnianym domku.

- Jeśli fortuna dopisze, nie zjedzą nas tu szczury i karaluchy - zauważył Alf. Tom przebrał się w lepsze ubranie, które udało mu się zabrać z High Weald. Czyste bryczesy i granatowy kubrak, choć niezbyt wyszukane, nadawały mu wygląd solidnego człowieka interesu.

- Pójdę z tobą, Klebe - zaofiarował się Aboli. - Łatwo tutaj zabłądzić. Deszczowy i chłodny dzień zapowiadał zbliżającą się jesień. Musieli długo kluczyć w labiryncie wąskich uliczek, Aboli jednak poruszał się tak pewnie, jakby się znajdowali w jego ojczystej dżungli. Wyszli na Leadenhall Street od strony Corn-hill i stanęli pod okazałą fasadą budynku Kompanii.

- Zaczekam w tawernie na rogu - powiedział Aboli. Kiedy Tom wszedł do foyer, jeden z sekretarzy poznał go od razu i powitał uprzejmie.

- Zaraz się dowiem, czy lord Childs pana przyjmie, panie Courtney - rzekł. - Tymczasem zechce pan posiedzieć w poczekalni.

440

Lokaj w liberii wziął płaszcz Toma i poczęstował go szklaneczką madery. Siedząc w klubowym fotelu przed kominkiem, młody Courtney przepowiadał sobie w myśli apel, z jakim zamierzał zwrócić się do prezesa Kompanii.

Mógł być prawie pewien, że do Childsa nie dotarły jeszcze wieści od Williama. Jeżeli tylko ten ostatni nie był jasnowidzem, z pewnością nie przyszło mu do głowy, że Tom uda się prosto do prezesa. Nie ostrzegł go więc, żeby nie pomagał młodszemu bratu.

Z drugiej strony Tom wiedział, że nie ma sensu prosić Childsa o statek Kompanii. Pierwszeństwo mieli tu kapitanowie o długim stażu i rozległym doświadczeniu, on zaś, formalnie biorąc, jeszcze samodzielnie nie dowodził. Nie miał więc co liczyć na oddanie w jego ręce jednego ze wschodnioindyj-czyków... co najwyżej może zostać młodszym oficerem na którymś z nich. A nie chciał przecież płynąć do Indii, lecz do Afryki, gdzie był Donan.

Wpatrując się w ogień i sącząc wino, po raz kolejny prze-myślał nad sytuacją. Childs wiedział o uprowadzeniu Do-riana, gdyż Hal mu o tym opowiedział, goszcząc w Bombay House. Toteż prośba o statek od razu uzmysłowiłaby prezesowi, że chodzi o ratowanie dzieciaka, nie zaś o zarabianie pieniędzy dla Kompanii. Gdyby Tom dysponował własnym statkiem, Childs zrobiłby wszystko, żeby nie pozwolić mu popłynąć poza Przylądek Dobrej Nadziei. Kompania zdecydowanie zwalczała "nielegalnych" na swoich zamorskich terytoriach.

Najlepiej będzie udawać całkowity brak zainteresowania tą częścią świata; muszę go podejść z zupełnie innej strony, uznał w końcu Tom.

Czekał na audiencję niecałą godzinę, co wypadło uznać za zaszczyt. Childs był bowiem jednym z najbardziej zapracowanych ludzi w Londynie, a chłopak przybył doń bez zaproszenia i bez zapowiedzi. Z drugiej strony, pomyślał, jestem przecież jednym z rycerzy zakonu, a moja rodzina ma siedem procent udziałów w firmie. On przecież nie wie, że dopiero co omal nie poderżnąłem gardła Billy'emu.

Sekretarz wprowadził go schodami na górę i do gabinetu prezesa. Wystrój wnętrza Bombay House świadczył dobitnie o bogactwie i znaczeniu Kompanii. Podłogę wyścielały połyskliwe jedwabne dywany, a na wyłożonych boazerią ścianach

441

wisiały olbrzymie malowidła, przedstawiające statki firmy pod pełnymi żaglami na tle egzotycznych krajobrazów wybrzeża Indii.

Tom minął przedpokój, pochylając głowę pod kandelabrem wyglądającym jak odwrócona góra lodowa. Otworzył rzeźbione, pozłacane drzwi i wszedł do biura Childsa. Ten wstał i wyszedł zza biurka, by go powitać. Wątpliwości młodego Courtney'a, co do tego czy zostanie należycie przyjęty, rozwiały się ostatecznie.

- Mój drogi młody Thomasie - Childs klasnął w dłonie i złączył kciuk z palcem wskazującym, co było znakiem rozpoznawczym rycerzy zakonu - cóż to za miła niespodzianka.

Tom odwzajemnił gest.

- Milordzie, wdzięczny jestem za twoją łaskawość i tak szybkie przyjęcie mnie - odpowiedział.

- To nic takiego - machnął lekceważąco ręką prezes. - Przykro mi tylko, że musiałeś czekać tak długo. Ten ambasador Holandii... - wzruszył ramionami - myślę, że mnie rozumiesz. - Childs był w peruce, a na wyszywanych złotem wyłogach jego surduta pyszniła się gwiazda Orderu Podwiązki. - Jakże się miewa twój brat William? - zapytał.

- Cieszy się dobrym zdrowiem, sir, i przesyła panu wyrazy najgłębszego szacunku. - Żałowałem bardzo, że nie mogę uczestniczyć w pogrzebie waszego ojca. Plymouth jest tak daleko od Londynu... - Child poprowadził Toma do okna, przez które ponad dachami domów widać było Tamizę i statki. - Sir Henry to był wspaniały człowiek. Wszystkim nam będzie go bardzo brakowało. Jeszcze przez kilka minut wymieniali uprzejmości, po czym Childs odchylił się do tyłu i sięgnawszy do kieszonki pod swym wydatnym brzuszyskiem, wyjął zegarek z dewizką.

- A niech to licha, już po dziesiątej - powiedział. - Oczekują mnie niebawem w Saint James. Z pewnością nie zjawiłeś się tutaj jedynie dla zabicia czasu, chłopcze?

- Jeśli mi wolno przejść do rzeczy, milordzie, poszukuję dla siebie jakiejś pracy.

- Trafiłeś jak najbardziej we właściwe miejsce. - Prezes pokiwał głową z takim zapalem, że jego obwisłe policzki zatrzęsły się jak indycza grdyka. - Za dziesięć dni wypływa do

442

Indii Seraph pod Edwardem Andersenem. Znasz oczywiście i statek, i jego kapitana. Akurat szuka trzeciego oficera; miejsce jest już twoje.

- Jeżeli można; myślałem o czymś bardziej związanym z wojaczką...

- To znakomicie. Pan Pepys, sekretarz Admiralicji, to mój osobisty przyjaciel; znał także twego ojca. Bez wątpienia znajdzie ci koję na którymś z naszych okrętów wojennych. Fregata bojowa byłaby chyba najodpowiedniejsza dla młodzieńca o twoim temperamencie, nieprawdaż?

- Proszę wybaczyć moje zuchwalstwo, milordzie - powiedział przepraszającym tonem Tom - lecz dysponuję niewielkim kutrem. To szybki i zwinny stateczek, idealny do napadów na francuskie statki handlowe na wodach kanału. - Childs spojrział nań zdumiony. Chłopak mówił szybko dalej, żeby nie zdążył mu odmówić. - Mam też załogę zaprawionych w boju marynarzy, wybraną spośród tych, którzy pływali u ojca na Seraphie. Żebym mógł atakować Francuzów, brakuje mi jedynie listu kaperskiego.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni, co? - Childs zaśmiał się tak serdecznie, że olbrzymi brzuch podskoczył mu na podołku jak gumowa piłka. - Wolisz przewodzić, niż słuchać rozkazów... zupełnie jak twój ojciec. Twoje wojenne dokonania są oczywiście powszechnie znane. Pewnego pięknego dnia, kiedy dochrapiesz się szlachectwa, powinieneś umieścić na tarczy herbowej głowę al-Aufa!

Nagle przestał się śmiać i pod łagodnym spojrzeniem jego błękitnych oczu Tom dostrzegł bystro kalkulujący umysł. Childs wstał, podszedł do okna i stał tam dłuższą chwilę, wyglądając na rzekę. Tom zaczął się w końcu wiercić niespokojnie na krześle, lecz zaraz uświadomił sobie, że ta przerwa jest celowa.

- Milordzie - powiedział - chciałym bardzo, żeby zgodził się pan przyjąć, jako wyraz mej wdzięczności, pięcioprocentowy udział we wszystkich łupach, które zdobędę na mocy tego pełnomocnictwa.

- Dziesięcioprocentowy byłby chyba odpowiedniejszy - odparł Childs, nie odwracając głowy.

- Dziesięcioprocentowy, w rzeczy samej - rzekł Tom. - No i rozumie się, że im szybciej wypłynę, tym szybciej będę mógł zacząć gromadzić dla pana te trofea, sir.

443

Childs odwrócił się wreszcie, zacierając żwawo dłonie, z twarzą znów dobrotliwa i przyjazna.

- Jeszcze dziś mam rozmawiać z pewnymi dżentelmenami na dworze. W ich gestii leży wydawanie pełnomocnictw. Zgłoś się do mnie za trzy dni, czyli w czwartek, o dziesiątej. Będę miał pewnie jakieś wieści dla ciebie.

Trzy dni wlokły się powoli jak kondukt pogrzebowy, pełne obaw i złych przeczuć. Jeśliby William poinformował o wydarzeniach w High Weald znane sobie wpływowe

osobistości w mieście, wszystkie drzwi zamknęłyby się przed Tomem natychmiast. Od jego wyjazdu z domu upłynęło już dość czasu, żeby posłaniec brata zdążył pojawić się w Londynie i zniweczyć wszelkie jego plany. Jeżeli nawet otrzyma od Childsa list kaperski, nie dysponował właściwie ani statkiem, ani załogą. Nie mógł bowiem niczego z nikim uzgadniać, dopóki nie miał królewskiego pełnomocnictwa w kieszeni. Lukę Jervis pożeglował tymczasem na kolejne przemytnicze spotkanie ze swym francuskim współnikiem gdzieś na środku kanału. Mógł przecież wpaść tym razem w łapy celników i nigdy nie wrócić. Wątpliwości krążyły po głowie Toma niczym żerujące sępy, nie dając mu spokoju i na jawie, i we śnie.

Jeżeli Lukę jednak wróci, czy zechce ryzykować utratę swego Ravena w tak niebezpiecznej eskapadzie? Pieniądzy mu nie brakowało, Aboli zaś wspominał, że ma żonę i dzieci.

Towarzysze Toma codziennie przyglądali mu się wyczekująco, a on wciąż nie miał niczego do powiedzenia. Nie chciał im nawet mówić o obietnicy Childsa, żeby nie rozbudzać niepotrzebnie ich nadziei. Wreszcie w czwartek rano wymknął się z kwatery jak złodziej, nie mówiąc, dokąd się udaje, nawet Abolemu.

Kiedy na wieży małego kościółka przy Leadenhall Street wybiła dziesiąta, sekretarz Childsa wezwał Toma do jego biura.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na rozpromienioną twarz prezesa, żeby odegnać wszystkie koszmary. Ledwie zdążyli się przywitać i usiąść po obu stronach biurka, Childs wziął do ręki leżący przed nim pergamin. Tom poznał wielką czerwoną pieczęć kanclerza Anglii, przybitą u dołu stronicy. Dokument wyglądał identycznie jak list kaperski ojca, gdy żeglowali na Seraphie. Gospodarz odczytał namaszczonej tonem pierwszą linijkę tekstu. , , ,

444

- Niech będzie wiadome wszem wobec, że nasz lojalny i ukochany poddany Thomas Courtney... - nie czytał dalej, lecz spojrzał na młodzieńca z uśmiechem.

- Na Boga, milordzie, a więc uzyskał je pan! - wykrzyknął Tom podekscytowany.

- Chyba żaden jeszcze kapitan nie uzyskał listu kaperskiego w tak krótkim czasie

- pokiwał głową Childs. - Dobrze to wróży naszemu przedsięwzięciu, Thomasie. -

Używszy celowo liczby mnogiej, odłożył list i wziął do ręki inny dokument. -

Tutaj mam osobną umowę, dotyczącą naszej współpracy - rzekł. - Zostawiłem miejsce na nazwę statku; teraz ją wpiszmy. - Zaostrzywszy gęsie pióro, umoczył je w kałamarzu i spojrzał pytająco na swego rozmówcę. Tom wziął głęboki wdech i podjął nieodwołalną decyzję.

- Raven - powiedział.

- Raven\ Łupieżca! - zawołał Childs i wpisał nazwę kutra zamaszystymi literami.

- Teraz musisz to jeszcze podpisać, Thomasie.

Tom ledwie rzucił okiem na umowę i złożył podpis u dołu strony. Childs podpisał się pod spodem i osuszył atrament piaskiem. Wciąż sympatycznie uśmiechnięty, podszedł do małego stolika pod ścianą, na którym stały kryształowe puchary.

Napełnił dwa po brzegi winem i wręczywszy jeden Tomowi, wznosił toast:

- Na pohybel Ludwikowi Czternastemu i niech syfilis zeżre Francuzów!

Aboli wynajął przewoźnika, który zawiózł ich płaskodenną łodzią do miejsca, gdzie zwykle stawał na kotwicy Raven, u brzegów wyspy o dziwacznej nazwie Eel Pie, "ciastko z węgorza". Znalazłszy się kabel od wysepki, zobaczyli, że kuter powrócił z kolejnego wypadu i stoi przy drewnianym molu. Gdy podpłynęli bliżej, z domku wśród wierzb na brzegu wyszedł sam Lukę i ciągnąc za sobą smugę błękitnego dymu z fajki, pośpieszył na keję, żeby ich powitać. Tom wysiadł pierwszy, Aboli zaś zapłacił przewoźnikowi.

- Opłaciło się, mistrzu Lukę? - zapytał Tom. Marynarz wzruszył ramionami.

- Akcyźnicy pogonili nas pod Sheerness - odparł, - Musiałem wyrzucić za burtę trzy beczki brandy, żeby im się

445

wymknąć. Cały półroczny zarobek diabli wzięli. - Potarł szramę na policzku i spojrzał przed siebie ponuro. - Chyba się robię za stary do tej zabawy, panie Courtney.

- Może cię zainteresuje coś mniej szarpiącego nerwy, Lukę? - powiedział Tom. Szyper od razu się ożywił.

- Czułem, że masz tam coś w zanadrzu, paniczu Tomie. Jesteś wykapany ojciec, on też potrafił się zakręcić wokół dobrego interesu.

W drzwiach domku pojawiła się kobieta w zabrudzonym od kuchennego pieca fartuchu. Na biodrze trzymała nagie niemowlę z brudną pupą. Dzieciak obiema rękami uczeplił się miękkiej białej piersi, wiszącej w rozcięciu koszuli niewiasty jak ucho spaniela.

- Luke'u Jervisie, upominam cię! - zawołała skrzekliwym głosem. - Nie próbuj tylko znowu gdzieś się wypuszczać na hulanki z tymi swoimi obwiesiami i zostawiać mnie tutaj z szóstką głodnych bachorów, którym nie ma co do gęby włożyć! - Mizerne, proste włosy wysunęły się jej spod czepka i opadły na twarz. Lukę puścił oko do Toma.

- Mój aniołeczek. Stan małżeński to rzecz świetna i szlachetna. Tak sobie czasem myślę, że dla mnie może aż nadto świetna.

- Czas już, byś się rozejrzył za uczciwą robotą - pisnęła znów kobieta - zamiast się włóczyć gdzieś po nocach i zmyślać historyjki o celnikach, kiedy ja doskonale wiem, że przehulałeś pieniądze na jakąś cipkę z syfem w Zatoce Dziwek!

- Czy ma pan dla mnie jakąś uczciwą robotę, panie Court-zapytał Lukę. - Jakąkolwiek, byle dalej od tego wrzasku mojej kochanej ropuszki?

- W tej sprawie właśnie do ciebie przychodzę - odparł Tom, uśmiechając się z ulgą.

Trzy noce później Raven skradał się na wiosłach ku francuskiemu brzegowi. Na dziobie stał marynarz z sondą.

- Pięć sążni - podał półgłosem głębokość, po czym wyciągnął nasmarowany tłuszczem ołowiany ciężarek, żeby zobaczyć, co się do niego przyczepiło z dna. - Piasek i muszle - zameldował niemal szeptem.

446

ney? -

- Brzegi Huitre - pokiwał w ciemności głową Lukę. - Na sterburcie mamy Calais, za przylądkiem Honfleur. - Wymawiał trudne obce nazwy bez zająknięcia. Tom wiedział od Abolego, że Jervis mówi po francusku jak rodowity Francuz.

- Brzeg jest tu bardzo łagodny - wyjaśnił szyper. - Przy tym wschodnim wietrze przedostaniemy się na plażę w bród bez najmniejszego problemu. Bądź gotów wyskoczyć, gdy dam znak.

Tom zdecydował, że tylko on i Lukę wyprawia się do Calais, na zwiad do tamtejszego portu. Jervis, dzięki znajomości terenu i języka, mógł ich wybawić z każdej opresji. Aboli przydałby im się także, lecz jego czarna twarz mogła łatwo wzbudzić podejrzenie francuskich patroli.

- Dwa sążnie! - padło od dziobu.

- Już czas - mruknął Lukę i przekazawszy ster pomocnikowi, przeszedł z Tomem na dziób.

Obaj nieśli skórzane sakwy. Ubrani byli w znoszone stroje rybaków: skórzane peleryny i ciężkie chodaki. Na głowach mieli wełniane czapki. W tym momencie poczuli, jak kil Ravena uderza miętko o piasek dna.

- Stanać w dryf- poleciał Lukę marynarzom przy wiosłach i pierwszy zsunął się za burtę. Woda sięgała mu do ramion. Tom podał mu swoją sakwę i też opuścił się do wody. Była tak zimna, że aż odebrało mu dech.

- Wycofać! - zawołał cicho sternik do wiosłarzy i kuter zsunął się na głębię.

Lukę celowo wybrał czas przypływu, żeby uchronić swój stateczek przed ugrzęźnięciem na mieliźnie. Wystarczyło kilkanaście uderzeń wiosłami, by zniknął w mroku nocy. Tom wzdrygnął się nie tylko z powodu zimna, lecz także niesamowitego uczucia samotności na wrogim brzegu, gdy nie wiadomo było, co ich za chwilę spotka.

Wyszli dość szybko na twardy, mokry piasek plaży i przyczaili się tam, nasłuchując. Wokół rozlegał się tylko plusk i poszum niskiego przyboju. Zerwali się na nogi i wbiegli na wydmy. Znowu odpoczęli kilka minut, uspokajając oddechy, po czym wśród niewysokich zarośli poszli szybkim krokiem ku przylądkowi. Po przejściu pół mili niemal wpadli na pozostałości starego wraku, zagrzebane w piasku ponad linią przypływu.

447

- To stary Bonheur - wyjaśnił Lukę. - Dobry znak orientacyjny, jak będziemy wracać. - Uklęknął i pod białymi jak żebra wręgami wraku wygrzebał jamę w piasku. Schował w niej jedną z sakw i przysypał. - Znajdziemy ją w razie czego. Poszli dalej i wkrótce wdrapali się na przylądek. Na jego grzbiecie zwolnili i pochyleni wśród niskich krzewów szukali miejsca na kryjówkę. Znaleźli ją w ruinach kamiennego budynku; jak powiedział Lukę, była to część fortyfikacji armii francuskiej z czasów wojny z Holandią. Rozciągał się stać widok na podejście do portu i główne kotwiczowisko. Zanir weszli do środka, okrzykli ruinę, by się upewnić, że są bez-1 pieczni. Lukę wyjął z sakwy po parze pistoletów dla każdego! załadowali je świeżym prochem i trzymając pod ręką, czekał świtu. Wreszcie horyzont na wschodzie rozjaśnił się żółcią i różem, rzucając ciepły poblask na całą okolicę.

Nawet o tak wczesnej porze flota francuskich okrętów wojennych stojących w porcie kipiała życiem. Tom naliczył? przez lunetę piętnaście trójpokładowców, uzbrojonych w osiemdziesiąt dział każdy, i liczne mniejsze jednostki. Na wielu z nich zakładano dopiero takielunek i na pokładach roiło się od marynarzy. Również na brzegu panował ożywiony ruch. Gdy słońce wyłoniło się z morskiej mgły, dojrzeli oddziały wchodzące do miasta gościńcem od Paryża. Muszkiety na ramionach żołnierzy połyskiwały w słońcu, a pióra i wstążki ich trójgraniastych kapeluszy kołysały się i powiewały na wietrze przy każdym kroku. Za nimi ciągnął tabor konnych wozów, kolebiących się na nierównościach drogi.

Nieco później wyruszył z miasta oddział kawalerii w kurtkach obszywanych złotym sutaszem i niebieskich pelerynach oraz lśniących czarnych butach z cholewami. Tomowi na moment zamarło serce w piersi, gdyż wydawało mu się, że zmierzają prosto w kierunku ich kryjówki. Zaraz jednak odetchnął z ulgą, gdy na rozstajach skierowali się ku południowi, drogą wysadzaną rzędami wysokich topoli. Chmura pyłu za nimi przemieszczała się w kierunku Honfleur.

Kiedy słońce podeszło wyżej, rozpraszając niskie chmury, Tom mógł się skupić na obserwacji portu. Pomiędzy okrętami stało tam lub pływało kilkanaście mniejszych jednostek. Część z nich stanowiły galary i barki, przewożące zaopatrzenie i załogi.

448

Do jednego z żaglowców podpływała właśnie łódź z wywieszoną ostrzegawczą banderą, wyładowana wysoko baryłkami z prochem.

Część statków zacumowana była przy nabrzeżu, część zaś kotwiczyla, jak popadnie, w zatoce. Wiele ożaglowanych było skośnie, na pojedynczym maszcie i bukszprycie. To nowe ustawienie żagli zdobywało sobie coraz większą popularność w nowoczesnej marynarce wojennej. Szczególnie małe statki zyskiwały dzięki temu na szybkości i zwrotności, i wymagały mniej ludzi do obsługi. Były to często stateczki zwiadowcze i pomocnicze dla głównych jednostek floty. Nieprzerwany strumień takich i innych jednostek kursował teraz w tę i z powrotem po zatoce. Trzymały się blisko wybrzeża, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi Royal Navy. Angielska flota blokowała główne porty po francuskiej stronie kanału, czyhając tylko na jakąś akcję Francuzów, niezależnie od jej siły. Daleko na wodach kanału Tomowi mignął czasem angielski żagiel. Gdzieś tam był także Raven. Czekał na zapadnięcie nocy, żeby ich zabrać z powrotem.

Tom porzucił obserwację ruchu w zatoce i zaczął dokładne oględziny stojących na kotwicy mniejszych statków. Wiele z nich było większych od Ravena i dysponowało pewną liczbą małych dział. Naliczył kilkanaście takich, które nadałyby się do jego celów, lecz potem kolejno je eliminował z powodu różnych niedostatków. Część była zbyt stara i podniszczona, niektóre miały kiepskie uzbrojenie lub nadawały się tylko do żeglugi przybrzeżnej, a inne znów nie pomieściłyby ładunku i załogi, jakie planował zabrać.

Około południa, leżąc na brzuchach w ciepłym piasku, zjedli posiłek składający się z chleba, szynki i jajek na twardo, dzieląc między siebie bukłak z piwem. Tom starał się nie popaść w przygnębienie, ale wyglądało na to, że nie znajdzie tego, czego szukał.

Kiedy słońce zaczęło opadać ku widnokręgowi, miał do wyboru dwa z obejrzanych statków. Nagle na jednym z nich rozwinięto grot i pozezglował na morze. Pozostała im tylko jedna możliwość. Był nią nieokreślonego wyglądu i nie pierwszej młodości kuter, który widywał już zapewne lepsze czasy.

- Musi nam wystarczyć - zdecydował zgnębiony.

Zaczęli się pakować, by zejść na plażę zaraz po zapadnięciu

449

zmroku. Wtem chłopak chwycił Luke'a za ramię i pokazał na północ.

- Mam! - zawołał podniecony. - Ten się nada!

Zza przylądka wyłoniła się właśnie zgrabna i szybka jak chart korweta. Wykonała zwinny zwrot i pomknęła farwaterem ku portowi.

- Popatrz tylko, paniczu Thomasie. Jest mocno wyładowana, to widać po zanurzeniu, a mimo to potrafi sunąć dziesięcioma węzłami choćby na bździnie dziewicy!

Luke'a od razu zachwyciło piękno statku. Pokład korwety był płaski, bez nadbudówek na rufie czy dziobie. Jej elegancko nachylony pojedynczy maszt miał odpowiednią proporcję do długości kadłuba, którą Tom oszacował na prawie pięćdziesiąt stóp.

- Dziesięć dział - policzył przez lunetę. - Wystarczy, żeby pogonić kota każdemu z arabskich dhow.

Statek miał skośny grotzagieli, umocowany do bomu, na rei rozwinął duży topsel, a na bukszprycie dwa kliwry. W świetle zmierzchu wyglądał widmowo i eterycznie, niczym istota z wiatru i morskiej piany.

- Już ją uwielbiam, choć nawet nie wiem, jak się nazywa - powiedział Luke.

- Nadamy jej nowe imię - rzekł z mocą Tom.

Korweta wyostrzyła do wiatru i spuściwszy żagle, zniknęła w porcie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Musieli wyteńczyć wzrok, by dostrzec, gdzie rzuciła kotwicę. Tom naliczył dziewięciu ludzi, wiedział jednak, że po przebudowaniu pomieszczeń pod pokładem zdolna będzie zabrać w długi rejs trzydziestu biegłych w walce marynarzy.

- Zakarbuju ją sobie w pamięci, Luke - rzekł, nie odrywając lunety od oka. -

Będziemy musieli odnaleźć ją w nocy.

- Tego statku już nigdy nie zapomnę - odparł stary wilk morski.

W ostatnich blaskach zachodu zobaczyli, jak z korwety schodzi sześciu marynarzy. Skierowali się nabrzeżem ku tawernom, w których oknach właśnie pojawiły się pierwsze światła.

- Aż tutaj czuć, jak ich suszy. Nie wrócą przed świtem - szepnął Tom. - Na pokładzie zostało tylko trzech! Kiedy w końcu zapadł zmrok, pobiegli grzbietem wydmy do

450

plaży. Luke wygrzebał spod wraku drugą sakwę i wyjawszy z niej latarnię, zapalił ją za pomocą hubki i krzesiwa. Zwracając się z nią ku morzu, trzykrotnie uniósł jej osłonę, nadając umówiony sygnał. Odczekał minutę i zamrugał lampą ponownie. Za czwartym razem odpowiedziały mu z ciemnego morza trzy błyski.

Weszli do wody tak głęboko, że fala zaczęła zalewać im twarze. Gdy usłyszeli skrzyp wiosła, Luke zagwizdał. Wkrótce wyłonił się przed nimi kadłub kutra i wciągnęli się na jego pokład.

Jervis, ociekając jeszcze wodą, przejął ster i gdy wiosłarze odciągnęli Ravena na głębie, kazał postawić grot i kliwer. Tom rozebrał się do naga i powycierał szorstką szmatą, którą mu podał Aboli, a potem włożył suche ubranie. Kabel od brzegu Luke postawił stateczek w dryf i usiedli wszyscy na otwartym pokładzie wokół przyciemnionej latarni.

- Znaleźliśmy statek - oznajmił Tom. Oczywiście marynarzy błysnęły łapczywie. - Ale sprzątnięcie go Francuzom sprzed nosa to nie będzie bułka z masłem - dodał. Nie chciał, żeby nabrali zbytnej pewności siebie. - Poczekamy do środkowej wachty, kiedy się już pokładą na kojach. Mistrz Luke wprowadzi Ravena do portu i stanjemy obok korwety. Jeśli nas ktoś zaczepi, on będzie rozmawiał; reszta gęby na kłódkę. - Tom zmarszczył groźnie brwi, żeby podkreślić wagę tego polecenia, i ciągnął: - Jak już stanjemy, wydam rozkaz i poprowadzę atak. Aboli z Alfem Wilsonem pomogą mi oczyścić pokład z żabojadów. Większość załogi zeszła na brzeg i nie wróci na pewno przed świtem. Będziemy mieli przeciwko sobie tylko trzech ludzi. Żadnej strzelaniny, tylko pięści i pałki. Noży dobywajcie jedynie w ostateczności. Zależy nam na zachowaniu ciszy, a człowiek ze stalą w brzuchu kwiczy jak rodząca maciora. Fred, ty pozdejmujesz cumy dziobowe; Reggie to samo na rufie. Miejcie noże na podorędziu, chłopcy. Odcinamy i zmykamy.

Następnie Tom porozmawiał jeszcze z każdym oddzielnie, żeby się upewnić, że dobrze pamiętają rozkazy. Razem z Lu-ke'em i jego trzema marynarzami było ich piętnastu zaprawionych w bojach wilków morskich. Siedmiu majtków z Se-rapha Alf z Abolim znaleźli w ostatniej chwili w tawernach Plymouth.

- Mamy wschodni wiatr, a Lukę mówi, że przed północą

451

powieje silniej. Nie widziałem, żeby zakładali krawaty na grocie, więc powinien pójść w górę za pociągnięciem szota. - Tom spojrział na pobrużdżoną twarz Neda Tylera, mającą w półmroku. - Panie Tyler, łap się od razu za ster korwety, nie bierz udziału w walce. Lukę będzie nas pilotował na Ravenie; wywiesi na rufie przysłoniętą latarnię.

Kiedy już wszyscy wiedzieli, co do nich należy, młody kapitan sprawdził jeszcze ich uzbrojenie, upewniając się, że każdy ma przynajmniej pałkę i nóż. On sam jako jedyny miał dysponować długą bronią i zapiał teraz pas z błękitną szpadą w pochwie.

Nim wypłynęli, dopatrzył jeszcze, żeby ubrali się w jak najciemniejsze odzienie, i podał każdemu po kolei lampę, by sobie pomazali twarze i dłonie sadzą. Jak zwykle pożartowali chwilę z Abolego, który nie musiał zmieniać swej naturalnej karnacji, po czym usiedli rzędem pod okrężnicą. Owinięci w peleryny spożyli posiłek złożony z chleba i zimnego mięsiwa, a potem próbowali przespać się na siedząco choć kilka godzin.

Przy końcu pierwszej wachty Lukę skierował Ravena bliżej brzegu. Wschodni wiatr niósł z sobą odgłosy z głębi ładu. Usłyszeli zegar na kościelnej wieży w mieście, bijący północ tak wyraźnie, że mogli policzyć każde uderzenie. Tom wydał rozkaz obudzenia śpiących. Było ich tylko kilku, większość bowiem czekała w nerwowym napięciu na początek akcji.

Do portu musieli wejść z przeciwnym wiatrem, Tom jednak chętnie zapłacił tę cenę za możliwość szybkiego odwrotu. Sunęli wśród francuskich statków, mijając jeden z trójpokładców tak blisko, że słycać było pogawędkę wachty na jego forkasz-telu. Nikt ich nie zaczepił. Raven płynął cichutko ku kamiennej kei, gdzie ostatnio widzieli korwetę. Tom przykucnął na dziobie, wypatrując francuskiego statku. Było niewykluczone, że przeniósł się gdzieś indziej albo wyszedł z powrotem w morze. Modlił się w duchu, żeby kapitan wciąż czekał z rozładowaniem korwety na nadejście dnia, a większość załogi w dalszym ciągu raczyła się piwem w tawernie.

Raven wypłynął pomiędzy dwóch większych żaglowców. Od ciemnego nabrzeża dzieliła go już odległość połowy strzału z pistoletu. Tom wytężał wzrok, złożonymi dłońmi osłaniając oczy przed światłem z okien domów na brzegu. Z tawern dobiegał śmiech i śpiewy, na statkach jednak panowała cisza i świeciły się tylko postojowe latarnie na masztach.

452

- Nie ma go! - poczuł ucisk w sercu, gdyż doszli blisko miejsca, gdzie ostatnio widzieli korwetę i wciąż nie było jej w zasięgu wzroku. Skarcił się w duchu za to, że nie wybrał na wszelki wypadek dwóch statków i miał już kazać Luke'owi zawracać, gdy nagle serce podskoczyło mu w piersi. Na tle poświaty z miasta ujrzał kontury pojedynczego masztu korwety. Zrozumiał, że wraz z odpływem kadłub statku znalazł się poniżej poziomu kei i dlatego stał się prawie niewidoczny.

- Jest nasze maleństwo, czeka na nas! - zawołał półgłosem, ucieszony.

Obejrzał się, sprawdzając, czy ludzie są gotowi. Skuleni, podobnie jak on, za okrężnicą, z poczernionymi twarzami, przypominali worki z towarem, rzucone nieporządnie wzdłuż pokładu. Tylko Lukę stał wyprostowany przy sterze.

Zablokował go, a mat trzymający fał, nie czekając nawet na rozkaz, zwolnił linę. Grotżagiel kutra z cichym szelestem zsunął się w dół masztu. Raven wyraźnie zwolnił i po chwili jego burta zetknęła się ze stojącym na kotwicy Francuzem. Pokład korwety znajdował się o sześć stóp wyżej niż pokład kutra. Tom zaczął szykować się do skoku.

Gdy dwa kadłuby stuknęły lekko o siebie, z korwety rozległ się zaspany okrzyk:

- Nom de Dieu!

- Mam sprawę do Marcela - oznajmił Lukę płynną francuszczyzną.

- Żadnego Marcela tu nie ma - zdenerwował się wartownik. - Zdzierasz mi farbę z kadłuba tą swoją śmierdzącą krypa!

- Mam mu oddać pięćdziesiąt franków od Jacques'a - nie ustępował Luke. - Mój marynarz zaraz ci je przyniesie. Wzmianka o tak okazałej sumie uciszyła protesty Francuza.

- Tres bien! - w jego tonie pojawiła się przebiegła nuta. - Ja już dopilnuję, żeby dotarli bezpiecznie do Marcela.

Tom wskoczył na okrężnicę Ravena i wciągnął się stąd zwinnie na pokład korwety. Francuski marynarz stał oparty o reling; na głowie miał wełnianą czapkę, a w zębach trzymał fajeczkę z gliny. Wyprostował się i wyjął fajkę z ust.

- Daj te pieniądze. - Podszedł do Toma z wyciągniętą ręką.

Chłopak dostrzegł w półmroku jego sumiaste podkręcone wasy.

453

- A jakże - powiedział i wymierzonym ruchem trzasnął mężczyznę pałką w lewą skroń.

Ten bezgłośnie osunął się na deski. W tejże chwili na korwetę przeskoczył jak pantera Aboli, lądując cicho bosymi stopami na pokładzie. Tom spostrzegł na dziobie otwarty luk zejściowy, z którego dobywało się słabe światło. Zbiegł cicho na dół i w świetle lampy ujrzał pod ścianą kajuty trzy hamaki. Zrozumiał, że Francuzów jest na pokładzie więcej, niż sądził. Jeden z nich właśnie się obudził i usiadł na koi wyprężony jak struna.

- Qui est Id? - zapytał niespokojnie.

Zamiast odpowiedzi otrzymał potężny cios w głowę i padł z powrotem na posłanie. W tym momencie jednak obudził się z krzykiem następny. Aboli przekręcił jego hamak do góry nogami i Francuz wypadł na ziemię, gdzie dosięgła go pałka Toma. Trzeci marynarz zerwał się z koi i próbował uciec po trapie. Chłopak chwycił go za gołą kostkę i ściągnął z powrotem, a Aboli uderzeniem wielkiej pięści w głowę powalił na deski.

- Wszyscy? - rozejrzał się szybko Tom.

- Ten był ostatni.

Murzyn wbiegł zejściówką na pokład, a Tom za nim. Fred i Reggie poprzecinali już cumy i korweta dryfowała, odsuwając się powoli od nabrzeża. Stłumione krzyki Francuzów w kabinie najwyraźniej nikogo nie zaalarmowały; port był jak przedtem senny i cichy.

- Ned? - szepnął Tom.

- Tak jest, kapitanie - padła natychmiast odpowiedź od steru.

Nawet w gorączce akcji słowo "kapitan" robiło wciąż na młodym Courtneyu wrażenie. Znowu miał statek i był dowódcą.

- Świetna robota. Gdzie Ravenl

- Przed nami. Już postawił żagiel.

Majtkowie przy maszcie korwety spóźniali się z postawieniem grotu. W ciemności na nieznanym statku niełatwo było się zorientować w olinowaniu. W dodatku francuski układ takie-lunku różnił się od angielskiego. Tom podbiegł do nich i razem próbowali odnaleźć właściwą linę.

Korweta jednak dryfowała coraz szybciej, rufa w stronę jednego z zakotwiczonych żaglowców. Było jasne, że jeśli uderzy weń, to może zostać poważnie uszkodzona. Z pokładu statku ktoś krzyknął po francusku:

454

- Uważajcie, głupie niedołęgi, bo nas staranujecie!

- Przygotować odbijacze! - zawołał mimowolnie po angielsku któryś z majtków Tonia. Na żaglowcu natychmiast podniósł się krzyk.

- Merde! II sont Anglais!

Tom odszukał wreszcie fał wśród płataniny lin.

- Ciągnąć! - zawołał. - Szybko!

Grot błyskawicznie popłynął w górę i po chwili dryf statku został wyhamowany. Korweta złapała wiatr w żagiel i zaczęła płynąć, lecz siłą bezwładu uderzyła mimo wszystko w bok francuskiego żaglowca, przesuwając się wzdłuż niego z chrobotem drewna.

Już kilku ludzi krzyczało teraz:

- Anglicy! Zaatakowali nas Anglicy!

Wartownik na nabrzeżu, wyrwany gwałtownie ze snu, strzelił na oślep z muszkietu. Natychmiast na całym kotwicowisku podniósł się harmider. Ned już zapanował nad

statkiem, który znakomicie nabierał szybkości. Tom ujrzał przed dziobem Ravena, z latarnią na rufie, sunącego torem wodnym ku otwartemu morzu.

- Kliwry staw! - zawołał i popędził na czele grupki bosonogich marynarzy na dziób.

Tym razem poszło im lepiej i kliwry powędrowały w górę niemal od razu. Korweta pochyliła się bojowo i skoczyła do przodu. Tnąc ostro fale, zaczęła doganiać Ravena. Flota francuska jednak budziła się szybko ze snu; ze statku na statek niosły się okrzyki, a na maszty wciągano latarnie bojowe.

Poruszony tym zamieszaniem, Tom przyskoczył do jednego z dział korwety. W porównaniu do wielkich kolubryn na okrętach wojennych była to zabawka. Miał tylko nadzieję, że załadowana.

- Pomóż mi! - krzyknął do Abolego.

Otworzyli furtę i wytoczyli działo na pozycję. Przepływali w odległości połowy strzału z pistoletu od wielkiego siedem-dziesięcioczerodziałowego żaglowca. Przesłaniał pół nieba nad nimi. Chłopak nie musiał nawet celować. Szarpnął sznur i zobaczył iskrę, lecz nim proch się zajął, upłynęła dobra chwila. A potem armatka huknęła i szarpnęła się w tył na popręgach.

Usłyszał, jak kula uderza z trzaskiem w grube poszycie

455

kadłuba okrętu. Poniosły się za nim gniewne okrzyki, ale płynęli dalej. Nisko zanurzoną korwetę niełatwo było dojrzeć w mroku nocy.

Z zakotwiczonych statków znów padł strzał, lecz smuga ognia świadczyła o tym, że był oddany zupełnie na oślep. Nie wiedział nawet, gdzie padła kula. Potem krzyki się wzmogły i odgłosy wystrzałów spotężniały w ogłuszającą kanonadę. Wszystkie największe okręty strzelały już do wyimaginowanych angielskich napastników. Uciekające statki spowiła gęsta chmura dymu, tak że niemal straciły ze sobą kontakt wzrokowy. Tom musiał dobrze wyteżać wzrok, żeby dostrzec latarnię na rufie Ravena.

Zamieszanie i huk wystrzałów szybko jednak pozostały daleko za nimi, a dym ustąpił czystemu powietrzu nocy. Morska bryza przyniosła im teraz radosne okrzyki po angielsku; to maleńka załoga Ravena wiwatowała na ich cześć. Marynarze korwety przerwali na chwilę pracę i odwzajemnili pozdrowienie. Tom nie uciszał ich, choć hałas mógł stanowić wskazówkę dla francuskiego pościgu. W ciemności ujrzał błysk zębów Abolego i odpowiedział mu uśmiechem.

- Gdzie Francuzi? - zapytał nagle. Spod pokładu wyciągnięto trzy zmarnowane postacie i ustawiono na rufie obok ich kapitana.

- Na dziobie widziałem łódkę - rzekł Tom. - Staniemy w dryf i odeślemy ich do domu, z naszymi najlepszymi pozdrowieniami dla wszystkich żabojadów.

Spuścili szalupę na wodę i kazali do niej wsiąść Francuzom. Ich kapitan, gdy zorientował się w końcu w sytuacji, stanął na rufie łodzi, z nastroszonymi gniewnie wąsami, i wygrażając pięściami, pożegnał korwetę gradem obelg.

- Wasze matki były świniami i wyleźńcie z nich złą dziurą, kupy rzadkiego łajna! Szczam do mleka waszych matek i skaczę po jajach waszym ojcom!

- Mów po angielsku! - odkrzyknął Lukę. - Szkoda, żeby się marnowała taka piękna poezja!

Gniewne okrzyki szybko umilkły w ciemnościach nocy.

Aboli pomógł Tomowi trymować statek i wkrótce jego żagle napięły się sztywno na wietrze.

- Jest teraz twój, Klebe - powiedział. - Jak chcesz go nazwać?

- Zobaczymy, jak się nazywał u Francuzów. - Alf Wilson

456

wychylił się daleko za burtę i odczytał nazwę w świetle rufowej latarni: - Hirondelle. Co to znaczy?

- Swallow. Jaskółka - przetłumaczył Lukę.

- Dobra nazwa - zgodzili się wszyscy.

- Jako żywo, frunie niczym ptak - powiedział Tom. - Tylko nie w tym przeklętym przez Boga języku, lecz w pięknej ojczyźnie angielszczyźnie. Swallow! Jak już zakotwiczymy na Tamizie, musimy wypić za pomyślność korwety.

Krzyknęli na wiwat.

O wschodzie słońca znaleźli się na wysokości Sheerness. Raven, chociaż postawił wszystkie żagle, nie potrafił dotrzymać kroku korwecie. Swallow szedł ostrym baksztagiem, tnąc oło-wianoszare fale białą rozbryzgów.

- Uwielbia iść pełnym kursem - zachwyił się Ned, a jego twarz rozpromieniła się tysiącem drobnych zmarszczek. - Trzeba będzie chyba wywiesić dryfkotwę za rufą, żeby go powściągnąć.

W świetle poranka korweta wyglądała pięknie jak panna młoda w ślubnej sukni. Jej całkiem nowe żagle miały jasny połysk macicy perłowej. Była świeżo malowana i Tom czuł jeszcze zapach terpentyny, a pokład miała wyszorowany piaskowcem do białości.

Młody kapitan przypomniał sobie o ładunku wiezionym przez Swallowa i kazał Abolemu go obejrzeć. Podniesiono pokrywę luków. Aboli z Alfem zeszli na dół z latarniami. Po półgodzinie wrócili z zachwyconymi minami.

- Wyładowany płótnem aż po szczyt ładowni - oznajmił Alf. - Przedniej jakości. Starczyłoby na żagle dla połowy floty.

Twarz Toma rozjaśniła się z zadowolenia. Wiedział, jaką cenę można osiągnąć za ten towar w salach aukcyjnych Kompanii.

- Muskuły wojny - rzekł. - Warte nie mniej niż złoto.

Wyładowali płótno na kei Kompanii. Tom posłał wiadomość Childsowi, a potem poprowadził Swallowa w górę rzeki, żeby go zacumować przy nabrzeżu Luke'a na Eel Pie Island.

Tom został przez parę dni ze swymi ludźmi, bo chciał ich zaprzac do pracy przy przebudowie wnętrza korwety, która musiała teraz pomieścić większą załogę. Pod pokładem wy-

457

dzielono niewielkie kajuty dla dowódcy i trzech oficerów. Były tak małe, że mieściła się w nich tylko koja i skrzynia, której płaskie wieko mogło służyć jako stół do rozłożenia map i pisania. Przestrzeń między pokładami była bardzo niska, dlatego wchodząc do kajuty, trzeba się było zgiać niemal wpół.

Na dziobie Tom postanowił zbudować forkasztel, zdolny pomieścić dwudziestu marynarzy. Zredukował planowaną pierwotnie wielkość załogi do tej liczby, bo oprócz obsługi żagli i ewentualnej walki musiał też myśleć o miejscu na zapasy na trzyletni rejs i na towary, które by zapewniły wszystkim godziwy zarobek. Przy większej załodze warunki w kwaterach marynarskich byłyby trudne także przy dobrej aurze, kiedy się śpi na otwartym pokładzie. W razie deszczu czy zimna zrobiłoby się tam zbyt ciasno i niewygodnie nawet dla zwerbowanych przez Alfa i Abolego twardych wilków morskich.

Gdy zaprojektowano już nowe pomieszczenia i cieśle zabrali się do roboty, Tom z Abolim popłynęli wynajętą łodzią w dół rzeki. Kiedy przybyli do Bombay House, sekretarz poinformował ich, że Childs udał się do Izby Lordów i spędzi tam cały dzień. Otrzymał jednak wiadomość od Toma i oczekiwał jego wizyty. Sekretarz wręczył mu liścik od prezesa.

Mój drogi Thomasie,

Nie spodziewałem się, że tak szybko dotrze do mnie wieść o twoich sukcesach.

Twój zdobywczy towar został już sprzedany Admiralicji; uzyskaliśmy za niego godziwą cenę. Musimy to wszystko omówić. Zechciej odwiedzić mnie w Izbie, lokaj ma zawiadomić mnie, gdy przybędziesz.

Twój sluga, N.C.

Tom z Abolim przeszli więc brzegiem Tamizy do pałacu wetsminsterskiego, olbrzymiego rządowego gmachu nad rzeką.

Lokaj przy wejściu dla gości wziął od Toma bilecik do prezesa. Childs pojawił się nieoczekiwanie szybko. Zbiegł, sapiąc, po schodach, wyraźnie podekscytowany i wzburzony, i chwycił młodzieńca za ramię.

- Twój brat William jest w Izbie - wybuchnął bez żadnych wstępów. - Opuściłem go ledwie dziesięć minut temu. Powinieneś być mnie poinformować, jak sprawy się mają między

458

wami. - Krzyknął, żeby przyprowadzono jego karocę. - Powinienem cię przestrzec, że William dyszy żądzą zemsty za rany, jakie mu zadałeś.

- To on jest winien temu wszystkiemu - zaczął wzburzoną głosem Tom, lecz Childs powstrzymał go, łapiąc za ramię i wpychając do powozu, który właśnie podjechał przed wejście.

- Do Bombay House! - rzucił stangretowi. - Najszybciej jak się da! - Opadł na siedzenie obok Toma. - Twój bosman może jechać na koźle - powiedział i Tom krzyknął do Abolego, żeby usiadł koło stangreta.

Karoca szarpnęła, ruszając, a Childs podniósł perukę i przetarł dłonią spoconą czołochę.

- Twój brat jest jednym z głównych udziałowców Kompanii - powiedział. - To nie jest człowiek, którego można lekceważyć. Nie powinien zobaczyć nas razem. Powiedziałem mu zresztą, dla dobra sprawy, że nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

- Nic mi nie robi - odparł Tom, z większą pewnością, niż w istocie czuł. Musiał się trzymać skórzanych uchwytów podskakującej karocy i przekrzykiwać stukot kopyt i turkot żelaznych obręczy kół na bruku.

- Sądzę, że nie doceniasz siły niechęci swojego starszego brata, Courtney - rzekł Childs, przykrywając na powrót swą łysą głowę peruką. - Nieważne, po czyjej stronie jest słuszność w tej sytuacji. Jeżeli nawet ktoś o mojej pozycji, odważy się powiedzieć, człowiek wpływowy, woli nie wchodzić Williamowi w drogę, o ileż bardziej ty, pozbawiony dziedzictwa brat lorda, powinieneś wystrzegać się jego zemsty! - Prezes milczał przez długą chwilę, a potem dodał refleksyjnym tonem: - Rzadko się zdarza widzieć w ludzkiej istocie tyle złej woli, tyle jadu, co w twoim bracie.

Przez resztę drogi nie rozmawiali. Kiedy wjechali na dziedziniec Bombay House, Childs wychylił się jednak przez okno i zawołał do woźnicy:

- Jedź do stajni, nie przed główne wejście. Z podwórza stajni prezes wprowadził Toma do budynku tylnym wejściem.

- Wiem, że twój brat rozesał szpiegów, by cię szukali - oznajmił. - Lepiej, żeby się nie dowiedział o naszym spotkaniu.

459

Chłopak poszedł za nim niekończącym się labiryntem korytarzy i schodów, aż w końcu znaleźli się w niewielkim gabinecie z gobelinami na ścianach. Na środku stał duży sekretarzyk z okuciami ze złoczonego brązu. Childs pokazał mu krzesło, a sam usiadł na drugim i ze stosu papierów na blacie wyłuskał jakiś dokument.

- Oto rachunek od Admiralicji za sprzedaż ładunku płótna z francuskiej korwety Hirondelle. - Podał go Tomowi. - Jak widzisz, odjąłem już od całej sumy zwyczajową opłatę manipulacyjną.

- Dwadzieścia procent! - Nie posiadał się ze zdumienia Tom.

- To zwyczajowa opłata - rzekł żwawo prezes. - Jeśli przeczytasz dokładnie naszą umowę, znajdziesz szczegóły w paragrafie piętnastym.

Tom z rezygnacją wzruszył ramionami.

- A co z korwetą? - zapytał. - Czy będzie pan również żądał dwudziestu procent jej wartości?

Zaczęli się targować. Tom szybko odkrył, dlaczego Nicolas Childs zajmuje tak wysoką pozycję w świecie handlu i interesów. Czuł się tak, jakby się zmierzył z szermierzem znacznie przewyższającym go umiejętnościami.

W pewnym momencie Childs przeprosił go na chwilę i zostawił samego na tak długo, że chłopak w końcu wstał z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Prezes tymczasem w pokoju obok napisał na zwoju pergaminu długą wiadomość.

Suszając ją i pieczętując, polecił sekretarzowi:

- Przyślij mi tu Barneya.

Kiedy stangret się stawił, Childs podał mu dokument.

- Barney, zawieź ten list do Izby i przekaz do rąk własnych lorda Williama Courtneya - rozkazał. - To kwestia życia i śmierci.

- Rozumiem, milordzie.

- Kiedy wrócisz, chcę, żebyś zawiózł mojego gościa wraz ze służącym na nabrzeże Tamizy przy Tower of London. Nie jedź tam jednak bezpośrednio. Powiem ci, co masz zrobić... - Childs wydał stangretowi dokładne instrukcje, a kiedy skończył, zapytał go: - Czy zrozumiałeś, Barney?

- Każde słowo, milordzie.

Prezes pośpieszył do gabinetu i czekającego nań niecierpliwie Toma.

- Wybacz mi, Courtney - przeprosił - ale musiałem załatwić kilka spraw niecierpiących zwłoki. - Poklepał młodzieńca po ramieniu. - Wracajmy do naszych interesów.

W połowie popołudnia Tom miał nareszcie w ręce tytuł własności Hironnelle, lecz w zamian musiał oddać prezesowi cały zysk ze sprzedaży zdobycznego płótna. W dodatku Childs zażyczył sobie dwudziestu pięciu procent od wszystkich przyszłych zysków młodego kapitana, zdobytych dzięki królewskiemu pełnomocnictwu. Tom wiedział, że znaczy przy nim tyle, co płotka przy rekinie, starał się jednak nie ustępować pola.

Pomocą był mu fakt, że prezes nie widział Swallowa osobiście. Można mu było opisać korwetę w sposób nieoddający jej atrakcyjności, powściągając nieco jego pazerność. Poza tym Childs nie znalazłby zajęcia dla tak małej jednostki i chłopak czuł, że chętnie się jej pozbędzie. Negocjował więc twardo i w końcu przeciwnik ograniczył swój niebotyczny apetyt, zgadzając się, by tytuł prawny do korwety przeszedł w całości na jej kapitana, bez żadnych dalszych zobowiązań. W zamian zatrzymał cały zysk z łupów.

Childs wyglądał na zadowolonego z tej ugody i miał ku temu powody, jak ponuro skonstatował młodzieniec. Zastanawiał się już, jak wytłumaczy swoim marynarzom, że za wysiłek włożony w walkę o zdobycie korwety nie dostaną ani złamanego grosza.

- Byłoby rozsądnie z twojej strony, Courtney, opuścić Anglię, jak tylko będziesz mógł wyjść w morze, i trzymać się krańców oceanu, dopóki będzie trwała pamięć brata o tobie - stwierdził wielkodusznie Childs. - Mogę ci dopomóc w wybrnięciu z tej trudnej dla ciebie sytuacji.

Po tej kwestii rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju wszedł sekretarz.

- Wszystko zostało załatwione należycie, milordzie - oznajmił. - Barney już wrócił i jest gotowy przetransportować pańskich gości.

- Doskonale - rzekł prezes. Wstał i uśmiechnął się do Toma. - Sądzę, że naszą sprawę możemy uznać za zakończoną, Courtney. Zamierzasz, jak miemam, wynająć łódź pod Tower?

Z przyjaznym wyrazem twarzy odprowadził Toma przed

461

główne wyjście z budynku, gdzie czekał już Barney z karocą. Gdy uścisnęli sobie dłonie, zapytał od niechcienia:

- Gdzie się wybierzesz swoim nowym statkiem, mój młody kapitanie? I kiedy zamierzasz pożeglować?

Tom wyczuł, że pytanie jest podchwytliwe, i zręcznie uchylił się od odpowiedzi wprost.

- Dopiero co zostałem właścicielem tej łupiny - odparł ze śmiechem. - Jeszcze się wcale nad tym nie zastanawiałem. - Childs spoglądał mu prosto w oczy, wypatrując najmniejszych oznak kręactwa, i Tom zmuszony był ciągnąć: - Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli wypuszczę się do portów południowej Francji nad Morzem Śródziemnym. Ewentualnie na terytoria francuskie w Luizjanie nad Zatoką Meksykańską. Chyba uda mi się przeprowadzić Swallowa, bo tak się teraz nazywa mój statek, przez Atlantyk.

Childs chrząknął, nie całkiem chyba przekonany.

- Mam szczerą nadzieję, Courtney - powiedział - że nie przyszła ci przypadkiem do głowy myśl o opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei i szukaniu brata po Oceanie Indyjskim?

- Skądże znowu, sir! - parsknął śmiechem Tom. - Słodki Jezu, nie jestem przecież tak głupi, żeby wypuszczać się na Przylądek Burz w takiej łódeczce!

- Wszystkie terytoria na wschód od Przylądka Dobrej Nadziei przyznane zostały dekretem królewskim naszej czcigodnej Kompanii. Nielegalni są karani z całą surowością prawa.

Zimny blask niebieskich oczu prezesa mówił jasno, że kara za takie wykroczenie nie zamknie się w granicach przepisów kodeksu. "Za linią prawo nie istnieje", głosiło stare marynarskie porzekadło. Na dalekich krańcach oceanu cywilizowane zasady nie zawsze miały zastosowanie.

Childs ścisnął mocno ramię młodego kapitana, żeby nie pozostawić co do tego żadnych wątpliwości.

- W rzeczy samej, mądrze uczynisz, Courtney, obawiając się mnie nawet bardziej niż Williama, jeśliby przyszło ci do głowy wejść mi w drogę.

- Zapewniam cię, milordzie, że myślę o tobie jako o dobrym przyjacielu i nie uczynię niczego, co mogłoby tę przyjaźń zepsuć - oświadczył skwapliwie Tom.

- Wobec tego rozumiemy się nawzajem doskonale. - Prezes zamaskował swą bezwzględność uśmiechem, tak samo

462

szczerem jak zapewnienie młodzieńca. Uścisnęli sobie ponownie dłonie.

I tak to wszystko jest bez znaczenia, pomyślał zadowolony z siebie Childs. Los tego chłopca leży teraz w rękach jego starszego brata.

Głośno powiedział:

- Idź z Bogiem, Courtney. - W duchu zaś dodał: Albo z diabłem, i odprawił Toma skinieniem pulchnej dłoni.

Tom wskoczył lekko do karocy i gestem zaprosił Abolego, by usiadł obok. Prezes cofnął się o krok i skinął głową na stangreta. Ten odpowiedział mu znaczącym spojrzeniem i dotknął batem brzegu kapelusza. Zaciał konie i powóz wytoczył się za bramę.

Obaj pasażerowie karocy pogrążeni byli tak głęboko w rozmowie, że nie zwracali większej uwagi na to, którędy są wiezieni. Wąskie uliczki północnego Londynu były zresztą do siebie bardzo podobne i miały niewiele charakterystycznych miejsc, toteż i tak nie zorientowałyby się, gdzie są. Powóz toczył się więc przed siebie, a Tom relacjonował przyjacielowi swoje negocjacje z Childsem. Gdy skończył, Aboli pokręcił głową.

- To nie jest taki zły układ, jak ci się wydaje, Klebe - pocieszył go. - Masz statek i masz załogę, a to już bardzo wiele.

- Muszę teraz zapłacić z własnej kieszeni Lukę'owi Jer-visowi i ludziom, którzy byli z nami w Calais - sprzeciwił się Tom. - Spodziewają się przecież udziału w łupach.

- Zaproponuj im koję i udziały w następnym rejsie. Na pewno chętnie na to przystaną.

- Ale z pieniędzy zarobionych na Seraphie zostało mi ledwie sześćset funtów. Jak mam za to przygotować i zaopatrzyć Swallowal

- Masz tysiąc dwieście - rzekł Murzyn.

- A cóż to za głupie gadanie, Aboli? - Tom spojrzał na niego zdumiony.

- Mam zaoszczędzone pieniądze, które zarobiłem, pływając z twoim ojcem przez te wszystkie lata. Dołożę się. I tak bym nie miał z nimi co zrobić.

- Wobec tego uczynię cię moim współnikiem; sporządzimy odpowiedni dokument - nie posiadał się z zachwytu Tom.

463

- Jeślibym nie mógł ci zaufać - Murzyn pokręcił z uśmiechem głową - to co by mi przyszło ze świstka papieru? W końcu to tylko pieniądze, Klebe.

- Za tysiąc dwieście funtów damy chyba radę oporządzić i zaopatrzyć Swallowa i kupić towar na handel. Nie pożałujesz tego, stary druhu, masz na to moje słowo.

- Niewielu rzeczy żałowałem w życiu - odparł beznamietnie Aboli - a jeśli uratujemy Doriana, w ogóle niczego już nie będzie mi brakowało. A teraz, jeżeli skończyłeś już z tą paplaniną, chciałbym się trochę zdrzemnąć.

Oparł się wygodnie i zamknął oczy. Tom przyjrzał się jego twarzy, rozmyślając nad prostą filozofią i wewnętrzną siłą tego człowieka, dzięki którym był zawsze w zgodzie z sobą i z życiem.

Zupełnie brak w nim zła, pomyślał. Nie kieruje nim żądza rozkazywania ani gromadzenia bogactwa, ma wspaniałe poczucie lojalności i honoru, jest stoikiem o głębokiej naturalnej mądrości, zdolnym się cieszyć wszelkimi talentami danymi mu przez jego dziwnych bogów z dżungli, i potrafi bez skargi przetrwać wszelkie przeciwności i trudy, jakie przynosi mu los.

Spojrzał na lśniącą czaszkę, pozbawioną choćby jednego włosa, czy to czarnego, czy siwego, mogącego zdradzić wiek Murzyna. Na twarzy porytej bliznami tatuaży także trudno się było doszukać oznak mijającego czasu.

Ciekawe, ile on może mieć lat.

Aboli wydawał się pozbawiony wieku, niczym czarna ob-sydianowa skała. I choć z pewnością był o wiele starszy od Hala, upływ lat w niczym nie osłabił jego siły ani umiejętności.

Już tylko on mi teraz pozostał.

Tom sam był zdziwiony głębią swego wielkiego szacunku i miłości do tego olbrzymiego czarnego mężczyzny.

Jest moim ojcem i doradcą. A przede wszystkim przyjacielem.

Aboli przemówił nagle, nie otwierając oczu i wytrącając Toma z zadumy.

- To nie jest droga do rzeki.

- Skąd wiesz?

Chłopak wyjrzał przez okno, ale zobaczył tylko ciemne domy, wyglądające na zaniebane w wieczornym świetle. Na wąskich uliczkach niemal nie było żywej duszy poza kilkoma

464

zabłąkanymi postaciami w nieokreślonym odzieniu, śpieszącymi nie wiadomo dokąd lub stojącymi złowieszczo i nieruchomo w ciemnych bramach. Po skrytych w cieniu twarzach trudno było poznać, czy to kobiety czy mężczyźni.

- Skąd wiesz? - powtórzył.

- Już dawno powinniśmy byli dojechać do nabrzeża przy Tower of London, jeśli to tam nas ten człowiek wiezie. Oddaliśmy się od rzeki.

Tom nie podawał wątpliwość słów przyjaciela. Jego wycucie czasu i kierunku było niezawodne. Wychylił się przez okno i zawołał do stangreta:

- Dokąd to nas wieziesz, człowieku?

- Tam gdzie mi kazał lord Childs. Na Targ Spitalfields.

- Nie, durniu! - krzyknął młodzieniec. - Chcemy jechać pod Tower!

- Chyba musiałem się przesłyszeć. Byłem pewien, że jego lordowska mość kazał mi...

- Do diabła z nim! Wieź nas tam, gdzie powiedziałem. Musimy wynająć przewoźnika. Gderając coś pod nosem, woźnica zawrócił powóz, cofając kilkakrotnie w wąskiej ulicy i szarpiąc wodze prowadzącego konia, żeby go zmusić do posłuszeństwa.

- Nie zajadziemy tam przed szóstą - ostrzegł Toma. - O tej godzinie już nie dostaniecie łodzi.

- To się okaże - warknął chłopak. - Rób, co powiedziałem.

Stangret popędził nagle konie galopem i karoca pomknęła z powrotem, podskakując i kołysząc się na wybojach. Powoli otulał ich gęsty opar zwiastujący nadejście zmroku. Mijane budynki spowijały smugi szarości; pod grubym kocem mgły cichł nawet turkot kół i stuk kopyt o bruk. Zrobiło się chłodniej. Tom zadrżał i otulił się szczelniej peleryną.

- Czy możesz łatwo dobrać szpady, Klebe? - zapytał nagle Aboli.

- Dlaczego pytasz? - Młodzieniec spojrział nań z niepokojem, lecz prawą dłoń położył na rękojeści z szafirem, a pochwę trzymał mocno kolanami.

- Może ci będzie potrzebna - mruknął Aboli. - Wietrzę pułapkę. Ten stary thiścioch nie bez powodu posłał nas okrężną drogą.

- To tylko stangret się pomylił - rzekł Tom.

465

Murzyn się roześmiał.

- Nikt się nie pomylił, Klebe. - Oczy miał szeroko otwarte. Wysunął własną szpadę na cal z pochwy, sprawdzając, czy luźno wychodzi. Po chwili milczenia przemówił znowu. - Zbliżamy się do rzeki. Czuję wilgoć w powietrzu i zapach wody - dodał, uprzedzając pytanie Toma.

Ledwie to rzekł, wyjechali z kolejnej ulicy i stangret zatrzymał powóz na kamiennym nabrzeżu. Tom wyjrzał przez okno. Nad rzeką wisiała mgła tak gęsta, że nie widział przeciwległego brzegu. Zmierzchało się bardzo szybko. Wraz z ciemnością opadało nań lodowate poczucie bliskości zła.

- To nie jest to miejsce! - zawołał do woźnicy.

- Idźcie ścieżką w tamtą stronę - pokazał batem mężczyzna. - Stąd to nie dalej jak dwieście kroków.

- Skoro to tak blisko, to nas tam zawieź. - Tom coraz bardziej nabierał podejrzeń.

- Powóz się nie zmieści na ścieżce, a drogą trzeba będzie jechać naokoło. Pieszko zajdziecie za minutkę - upierał się stangret.

Aboli dotknął ręki Toma.

- Zróbmy tak, jak on mówi - szepnął. - Jeżeli to pułapka, łatwiej nam będzie bronić się na dworze.

Wysiedli na ubłocony brzeg. Człowiek na koźle spojrział na nich z przyklejonym do ust uśmiechem.

- Prawdziwy dżentelmen nie pożałowałby woźnicy miedziaka za ciężką pracę - powiedział.

- Ja nie jestem dżentelmenem, a twoja praca nie jest ciężka - odparł Tom. - Następnym razem słuchaj dobrze rozkazów i wieź nas, gdzie należy.

Stangret zaciął gniewnie konie i karoca odjechała. Patrzyli, jak jej latarnie znikają za rogiem, a potem Tom odetchnął głęboko. Woń rzeki była mocna; wilgotna i lepka, gęsta od smrodu ścieków spływających z rynsztoków wprost do wody. Mgła podnosiła się i opadała jak kurtyna, płatając oczom figle. Przed sobą jednak widzieli ścieżkę. Po lewej do powierzchni rzeki było ze dwa sążnie, z prawej wznosił się ceglany mur.

- Ty idź po mojej prawej, trzymaj się środka ścieżki - mruknął Aboli. - Ja pójdę od strony brzegu.

Tom spostrzegł, że przyjaciel przesunął sobie pochwę ze szpada na lewe biodro. Aboli był oburęczny. Ustawił ich więc tak, żeby nie przeszkadzali sobie wzajemnie podczas walki.

466

Ruszyli ramię przy ramieniu wąską drogą, służącą zapewne do przeciągania łodzi. Okutani po szyję pelerynami, w każdej chwili jednak gotowi byli odsłonić trzymającą oręż rękę. Opadła ich cisza i gęstniejący mrok. Przed nimi we mgle zabłysło jakieś słabe światelko, wydobywając z ciemności krawędź nabrzeża. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to pojedyncza latarnia.

Po chwili w jej świetle zobaczyli kamienne schodki, prowadzące na pomost cumowniczy.

- To tutaj - szepnął Tom. - Zobacz, tam stoi łódź i przewoźnik też czeka.

U krańca krótkiego mola stała wysoka ciemna postać. Jej twarz ocieniał szerokoskrzydły kapelusz i skrywał wysoki kołnierz płaszcza. Łódź przywiązana była do żelaznego pierścienia, wmurowanego w nabrzeże. Latarnia, stojąca na najwyższym stopniu, rzucała na pomost długie cienie. Tom się zatrzymał.

- Nie podoba mi się to - rzekł niepewnie. - Za bardzo mi przypomina teatr, a ten aktor zaraz pewnie coś powie. - Mówił po arabsku, żeby nikt poza Abolim go nie zrozumiał. - Skoro ten człowiek tu czeka, to ktoś go musiał uprzedzić o naszym przybyciu...

- Spokojnie, Klebe - zmytygował go Murzyn. - Nie zwracaj uwagi na przewoźnika. To nie on jest niebezpieczny. Zjawią się inni.

Szli równym krokiem ku nieruchomej postaci, usiłując przebić wzrokiem ciemność naokoło. Wtem wychynął z niej kolejny człowiek, stając poza zasięgiem ich szpad. Odrzucił kaptur, odsłaniając gęste kręcone włosy, opadające złotą kaskadą na ramiona.

- Miłego wieczoru i wesołej zabawy, szlachetni panowie - przemówiła kobieta. Głos miała matowy i uwodzicielski, Tom jednak dostrzegł na jej policzkach ordynarne plamy różu, a szerokie usta pokryte grubą warstwą pomadki przypominały w słabym świetle sine wargi trupa. - Jeżeli dacie szylinga, pokażę wam prawdziwe wrota raj.

Zmusiła ich do zatrzymania się na przewężeniu ścieżki i kołysząc biodrami, strzeliła okiem do Toma, w okropnej parodii lubieżnej miny.

- Za tobą! - rzucił po arabsku Aboli. Tom usłyszał za plecami skradające się kroki, lecz zanim zdążył się odwrócić,

467

Murzyn dodał: - Ja się nim zajmę, ty pilnuj dziwki. Sądząc z jej głosu, ma pod spódnicą porządną parę jaj.

- Mogę ci dać miedziaka, ślicznotko - rzekł Tom, robiąc krok do przodu, żeby ją mieć w zasięgu broni.

Usłyszał, że Aboli się odwraca, ale nie oderwał wzroku od kobiety. Murzyn wykonał gładko sztych ku pierwszemu z dwóch mężczyzn, którzy ich zaszli od tyłu. Tamten nie zdążył nawet podnieść szpada, by się zasłonić. Klinga przebiła go pod żebrami i wyszła z tyłu na wysokości nerek. Wrzasnął przeraźliwie, Aboli zaś użył zatopionej w jego ciele szpada, żeby go rzucić, niczym nadzianą na oszczep rybę, na drugiego mężczyznę. Klinga wyśliznęła się z brzucha ofiary i obaj napastnicy wczepieni w siebie zatoczyli się do tyłu. Ranny wciąż wrzeszczał,

blokując mimowolnie rękę swego kamrata. Aboli pchnął ponownie ponad jego ramieniem, trafiając drugiego bandytę prosto w usta.

Mężczyzna rzucił broń, obiema dłońmi zasłaniając twarz. Spomiędzy jego palców trysnęła krew, gęsta i ciemna jak oliwa. Zachwiał się i straciwszy równowagę, wpadł do wody. Rozległ się plusk i nieszczęśnik po chwili zniknął w ciemnych odmętach.

Jego towarzysz, trzymając się za brzuch, padł na kolana, a potem na twarz. Aboli się odwrócił, by pomóc Tomowi, lecz było już za późno.

Rzekoma prostytutka wyszarpnęła spod płaszcza szpadę i skoczyła ku chłopakowi. Z głowy spadła jej przy tym peruka, odsłaniając krótkie ryżawe włosy. Tom czekał w gotowości i wykonał szybki wypad, uprzedzając atak. Napastnik, kompletnie zaskoczony tak błyskawiczną reakcją, nie zdążył nawet podnieść gardy.

Tom pchnął od góry po naturalnej linii ramienia, chcąc zabić go jednym cięciem u nasady szyi, gdzie szpada nie mogła omsknąć się po kości. Klinga przebiła krtań i arterie szyjne, ale utkwiała w kręgosłupie. Wycofał się szybko i pchnął ponownie o cal niżej. Tym razem trafił między kręgi i przebił napastnika na wylot.

- Uczysz się, Klebe - syknął Aboli. "Kobieta" legła nieruchomo u ich stóp; spod podwiniętych spódnic wynurzyły się owłosione nogi. - To jeszcze nie koniec. Będą następni.

Wyłonili się z cienia i zza załomów muru, niczym bezpańskie

468

psy, które zwietrzyły padlinę. Tom nie próbował ich nawet liczyć.

- Plecami do siebie - rzucił Aboli, przekładając szpadę do prawej, silniejszej ręki.

Zwężenie ścieżki, które miało stanowić pułapkę, okazało się teraz ich twierdzą. Flank broniła z jednej strony rzeka, z drugiej zaś ślepa ściana jakiegoś magazynu.

Tom oszacował, że napastników jest mniej więcej ośmiu. Podchodzili z obu stron, lecz atakować mogli tylko pojedynczo. Kolejny natarł na Toma pałką, okutą z jednego końca żelazem. Kiedy zamachnął się nią, celując w głowę, chłopak zorientował się natychmiast, że ma przed sobą mistrza tej strasznej broni. Dziękował teraz w duchu Abolemu za godziny spędzone na żmudnych z nią ćwiczeniach w High Weald.

Uchylił się przed ciosem długiego, ciężkiego kija, nie chcąc narażać delikatnego ostrza szpady z Neptunem na kontakt z brutalną siłą. Wiedział jednak, że zaraz nastąpi poprawka, tym razem uderzenie w głowę. Nie mógł się cofnąć, bo miał za sobą szerokie plecy Murzyna. Sześciostopowej długości pałka nie pozwalała dosięgnąć napastnika szpada, dopóki nie wyprowadził ciosu. Ostry żelazny szpic wystrzelił ku twarzy Toma jak wypuszczona z kuszy strzała. W ostatniej chwili zdołał odsunąć głowę i pałka o włos minęła jego policzek. Błyskawicznie chwycił dębowe drzewce lewą ręką i pociągnął zbira ku sobie. Gdy już go miał w zasięgu szpady, zaatakował. Błękitna klinga świsnęła w powietrzu, migocząc jak letnia błyskawica. Czystym jak cięcie brzytwy ciosem otworzyła gardło przeciwnika tuż pod brodą. Powietrze uciekło z rozciętej krtańi z piskiem przypominającym kwik prosiaka oderwanego od cycka matki.

Następny bandyta wytrzeszczył oczy na swego kamrata, zataczającego się w kółko w straszliwej agonii. Tak go pochłonał ten widok, że zbyt późno zareagował na kolejny atak Toma. Ten zaś ciał znowu w krtań; w ostatniej chwili jednak jego ofiara szarpnęła się w bok i ostrze przebiło jej bark. Mężczyzna wypuścił z ręki broń i złapał się za ranne ramię, krzycząc:

- O Boże przenajświętszy, zabili mnie!

Odwrócił się i wpadł na oślep pomiędzy towarzyszy. Utworzyli skłębioną masę ludzkich ciał, w której Tomowi trudno było wybrać konkretny cel. Trzykrotnie dźgnął ich z całej siły,

469

jak popadło, za każdym razem słysząc inny okrzyk bólu. Jeden z atakujących poleciał w tył i chwilę balansował na skraju nabrzeża, wymachując rozpaczliwie rękami, a potem zniknął w ciemności. Po chwili rozległ się głośny plusk.

Pozostali cofali się bezładnie, z poszarzałymi ze strachu twarzami, przyciskając dłonie do broczących krwią ran.

Tom słyszał za plecami odgłosy walki. Ktoś jęczał przeraźliwie; ktoś inny łkał w udręce, a jeden z bandytów tarzał się po ziemi w agonii, wierzgając jak koń ze złamaną nogą. Chłopak nie odważył się spuścić z oka zbirów, których wciąż miał przed sobą, lecz musiał się upewnić, że Aboli w dalszym ciągu chroni jego tyły.

- Aboli, trafili cię? - zapytał i tuż za sobą usłyszał tubalny, pełen pogardy głos:

- To mały, nie wojownicy. Ich krew plugawi moją szpadę.

- Nie bądź taki wybredny, błagam cię, stary druhu. Ilu ich jeszcze zostało?

- Sporo, ale coś mi się widzi, że przestał im smakować nasz poczęstunek.

Przed Murzynem też tłoczyła się grupka napastników; starali się trzymać poza zasięgiem jego szpady. Patrzył na nich przez chwilę, jak się niepewnie cofają, a potem nagle odrzucił do tyłu głowę i wydobył z siebie krzyk tak straszliwy, że Tom aż podskoczył i mimo woli odwrócił głowę.

Usta Abolego rozwarły się w ogromną czerwoną jamę. Poryta tatuażami twarz wykrzywiła się w okropną maskę wścieklej bestii. Jego okrzyk naśladował ryk olbrzymiego goryla, porażając słuch i przejmując dreszczem całe ciało. Bandyci rzucili się do ucieczki, a echo nad wodą zwielokrotniło krzyk. Panika ogarnęła również przeciwników Tonię; odwrócili się i umknęli w ciemność. Dwóch utykało i słańiało się na nogach z powodu ran, lecz nawet oni pobiegli boczną uliczką; odgłos ich kroków oddalał się w gęstniejącej mgłę.

- Na pewno zaalarmowałeś strażę. - Tom pochylił się i wytarł szpadę o spódnicę martwej " prostytutki ". - Zaraz się tutaj zjawia.

- No to zmykajmy - zgodził się Aboli. Po straszliwym krzyku jego głos brzmiał teraz łagodnie i kojąco.

Przeskoczyli leżące ciała i popędzili ku schodom. Aboli zbiegł od razu w dół do łodzi, Tom jednak skręcił w stronę jej właściciela.

470

- Płacę złotą gwineę za przewóz! - zawołał w biegu.

Miał do przewoźnika jeszcze dziesięć kroków, kiedy ten odrzucił nagle połę płaszcza, wyciągając spod niej rękę z pistoletem. Tom zobaczył podwójną lufę, której otwory ziały czernią jak oczodoły trupa.

Gdy tak spoglądał w puste oczy śmierci, czas jakby zatrzymał się w miejscu.

Wszystko stało się nagle podobne do snu. Choć widział teraz wyraźniej i wszystkie zmysły mu się wyostrzyły, ruchy miał spowolnione, jakby przedzierał się przez kleiste błoto.

Spostrzegł, że oba kurki pistoletu są odwiedzione. Spod szerokiego ronda kapelusza łypnęło ku niemu ciemne oko przewoźnika, którego biały palec zaciskał się nieubłaganie na spuście.

Zobaczył, jak opada kurek lewej lufy, a z uderzonej iglicą spłonki tryskają iskry i obłoczek dymu. Chciał uskoczyć w bok, lecz jego członki reagowały ospale i niechętnie. Pistolet wystrzelił z potwornym hukiem, a trzymająca go dłoń podskoczyła na wysokość głowy mężczyzny. Powietrze między nimi wypełnił błękitny dym. Jednocześnie Tom poczuł mocne uderzenie, które rzuciło go do tyłu.

Przewrócił się bezwładnie i padł plecami na kamienie.

Dostałem, pomyślał zaskoczony, rozciągając się jak długi na górnym stopniu schodów. W piersi czuł drętwy ciężar. Wiedział, co to oznacza. Chyba mnie zabił - ta druga myśl wzbudziła w nim nagłą złość. Spojrzał na człowieka, który do niego strzelił.

W prawej ręce wciąż ścisnął szpadę z Neptunem. Pistolet obniżał się, kierując ku niemu swe straszne puste oko morderczego bazyliuszka.

Jeśli nie żyję, to nie poruszę ręką ze szpada, przemknęło mu przez głowę.

Skoncentrował się, usiłując przelać w prawą rękę całą siłę i determinację, jakie mu jeszcze pozostały.

Ku własnemu zdziwieniu władał ramieniem równie sprawnie jak przedtem. Śmignęło w przód, ciskając szpadą jak oszczepem. Tom obserwował jej lot, pewny i prosty, czubkiem do przodu. Inkrustowana klinga rzucała w świetle latarni złote błyski. Pierś przewoźnika była odsłonięta; pod płaszczem miał tylko czarną jedwabną koszulę, wiążaną pod szyją. Nim zdążył strzelić z drugiej lufy, stalowe ostrze przebiło cienki materiał pod

471

uniesioną ręką i jak za sprawą czarodziejskiej sztuczki zniknęło w jego ciele.

Mężczyzna stał przez chwilę jak skamieniały w przedśmiertnym spazmie, z sercem przeszytym szpadą. Potem się zachwiał i ugięły się pod nim nogi w wysokich butach z czarnej lśniącej skóry. Padł na wznak i przez moment skręcał się w agonii, lecz szybko znieruchomiał.

Tom uniósł się na łokciu. Po schodkach pędził ku niemu Aboli.

- Klebe! Gdzie dostałeś?

- Nie wiem. Nic nie czuję.

Murzyn rozchylił jego płaszcz, rozerwał koszulę na piersi i zaczął obmacywać twarde młode ciało. Tom krzyknął z bólu.

- Na Boga, nie tak mocno! Jeżeli jeszcze nie umarłem, to chyba ty mnie zaraz dobijesz!

Aboli chwycił lampę stojącą u szczytu schodów i odsunawszy przesłone, skierował światło na nagą pierś chłopaka. Była zakrwawiona.

- Z prawej strony, ale nisko - mruknął. - Nie w serce; może w płuca... -

Poświecił rannemu w oczy i z ulgą ujrzał zwięzające się źrenice. - Świetnie!

Teraz odkaszluj.

Tom posłuchał go i otarł usta wierzchem dłoni.

- Nie ma krwi - ucieszył się, widząc czystą rękę.

- Dziękujemy bogom, twoim i moim, Klebe - mruknął Aboli, podtrzymując lewą ręką jego plecy. - Będzie bolało - ostrzegł - ale muszę sprawdzić, którędy poszła kula.

Znalazł jej wlot i zanim Tom zdążył się przygotować, wsunął do otworu cały palec. Chłopak wygiął się w łuk i krzyknął przeraźliwie niczym gwałcona dziewczica.

- Trafiała w żebro i odbiła się. - Murzyn wyciągnął zakrwawiony palec. - Dzięki temu nie weszła głębiej w pierś. - Śliską od krwi dłonią obmacał bok rannego i odszukał wypukłość pod łopatką, gdzie utkwiała kula. - Przeszła między skórą a kością. Wyciągniemy ją później.

Nagle uniósł wielką wytatuowaną głowę. Od wylotu ciemnej uliczki prowadzącej do nabrzeża usłyszał krzyki pobrzmiwające srogim, władczym tonem.

- Stać! Poddać się, złoczyńcy! W imię króla!

- Straże - stwierdził rzeczowo. - Lepiej, żeby nas nie złapali przy tych wszystkich trupach. - Pomógł Tomowi wstać. - Chodź, Klebe, musimy wsiąść do łodzi.

472

- Puść mnie - syknął młody Courtney - muszę znaleźć szpadę.

Zgięty wpół dla zmniejszenia bólu, pokuśtykał ku leżącemu na ziemi przewoźnikowi i przycisnąwszy jego pierś stopą, uwolnił klingę. Zamierzał już się odwrócić i zejść po schodach, kiedy jakiś impuls kazał mu czubkiem szpady zrzucić szeroko-skrzydły kapelusz z głowy zabitego.

Zobaczył śniadą twarz, okoloną grzywą czarnych włosów. Usta zabitego zwiotczały i straciły swój okrutny wyraz, a spojrzenie niewidzących oczu utkwione było nieruchomo w nocnym niebie.

- Billy! - wyszeptał Tom, patrząc z przerażeniem na twarz martwego brata i po raz pierwszy w życiu poczuł, jak uginają się pod nim z wrazenia nogi. - Billy, zamordowałem cię!

- To nie było morderstwo - poczuł na ramieniu wielką czarną dłoń Abolego. - Lecz jeśli strażę nas tutaj złapia, to tak jakby było.

Murzyn pociągnął Toma w dół schodów, niemal zwalając go z nóg. Wepchnął go na łódź i wskoczył za nim. Jednym cięciem szpady przeciął cumę, przewleczoną przez żelazne kółko na kei, i chwycił za wiosła. Płaskodenny skip śmignął naprzód.

- Stać! Poddajcie się! - dobiegł ich okrzyk z brzegu; we mgłę rozległy się kroki biegnących i głosy wielu ludzi.

- Na rozkaz straży królewskiej, stój, bo strzelam!

Aboli naparł na wiosła z całych sił, stękając z wysiłku. Po chwili ciemny kontur kamiennego mola zniknął w oparach mgły, która opadła ich ze wszystkich stron.

Huknął potężny strzał z rusznicy i usłyszeli świst ołowianych siekańców, padających niczym grad w wodę. Kilka utkwilo w drewnianym poszyciu łodzi. Tom skulił się na dnie, przyciskając dłoń do rany. Aboli pracował ciężko, kierując się bliżej środka rzeki. Kiedy krzyki strażników stopniowo cichły w oddali,

odłożył wiosła.

- Tylko nie sikaj na mnie, Aboli, błagam! Niech ten twój czarny pyton zostanie w spodniach! - zawołał Tom, przypominając sobie ze zgrozą lekarstwo przyjaciela uniwersalne na wszelkie rany.

Murzyn wyszczerzył zęby i oderwał pas płótna z dom swojej koszuli.

- Nie zasłużyłeś na tę przyjemność - odparł. - Jak można

473

być tak głupim, żeby wrogowi proponować zapłatę. - Zmienionym głosem zaczął parodiować Toma: - Płacę złotą gwineę za przewóz! - Zachichotał i dodał już poważniej: - Sporo dostałeś za te pieniądze, Tom.

Zwinąwszy tkaninę na kształt tamponu, przyłożył ją do rany.

- Przyciśnij - polecił. - Staraj się zatamować krwawienie. - Chwycił z powrotem za wiosła. - Przyływ nam sprzyja, przed północą powinniśmy dopłynąć do Eel Pie. Przez następną godzinę płynęli w milczeniu. Aboli utrzymywał właściwy kierunek we mgle i ciemności, jakby to było w środku dnia.

- To był mój brat, Aboli - przemówił w końcu Tom.

- A także twój śmiertelny wróg.

- Przysięgłem ojcu na łożu śmierci...

- Już raz mu darowałaś życie. Sam unieważnił tę przysięgę, Klebe.

- Odpowiem za śmierć Billy'ego na sądzie ostatecznym.

- To jeszcze nie tak zaraz - mruknął Aboli w rytm pracujących wiosel. - Niech sprawa zaczeka do tego czasu, a ja się wstawię za tobą przed twoim Bogiem, jeśli wysłucha świadectwa poganina. Jak tam rana?

- Przestała krwawić, ale boli jak diabli.

- No i dobrze. Gdy rana nie boli, to jesteś trupem.

Zamilkli ponownie aż do chwili, kiedy Tom usłyszał, jak zegar na kościelnej wieży wybija ósmą. Wyprostował się, krzywiąc twarz z bólu.

- To Childs dał znać Williamowi, gdzie ma nas szukać - powiedział w zamyśleniu.

- W środku naszego spotkania nagle wyszedł i długo nie wracał. Dość długo, żeby zdażyć napisać list.

- To jasne - zgodził się Aboli. - Potem kazał woźnicy jechać okrężną drogą, by dać twemu bratu czas na urządzenie powitalnego przyjęcia na przystani.

- Childs wskaże nas jako winnych morderstwa. Rada miejska poleci szeryfowi nas ścigać. Świadców mu nie zabraknie, strażnicy na pewno widzieli nasze twarze, nie mówiąc już o zbirach Williama. Jeśli wpadniemy w łapy prawa, skończymy na szubienicy.

Była to prawda tak oczywista, że nie musiał dalej rozwijać tego wątku.

- Childsowi chodziło o Swallowa; chciał mieć i statek,

474

i ładunek. Dlatego nasłał na nas Billy'ego. A ja myślałem, że ta świnia naprawdę się zgodziła na nasz układ!

- Jest tłusty i pazerny - potwierdził Aboli.

- Najgorzej, że wie, gdzie nas szukać. Powiedziałem mu, że Swallow stoi przy Eel Pie.

- To nie twoja wina. Skąd mogłeś wiedzieć, że on coś knuje? Tom poruszył się niespokojnie, próbując zmniejszyć ból piekającej rany.

- Billy był parem Anglii, ważną figurą - mówił dalej. - Ma potężnych przyjaciół. Będą nas tropić jak gończe psy. Nie dadzą nam uciec. - Aboli mruknął

potwierdzająco, lecz nie przerywał wiosłowania. - Musimy wypłynąć jeszcze tej nocy - powiedział zdecydowanym tonem Tom. - Nie możemy z tym czekać do rana.

- Wreszcie doszedłeś do tego oczywistego wniosku - skomentował kwaśno Murzyn.

Tom opadł na ławeczkę, opierając się o burtę łodzi. Teraz, kiedy powziął postanowienie, uspokoił się nieco. Zapadał co jakiś czas w drzemkę, lecz ból go budził.

Godzinę przed północą zbudziła go zmiana w rytmie wiosel. Otworzywszy oczy, zobaczył wyłaniającą się z mgły przed łodzią smukłą i zgrabną sylwetkę Swallowa. Na maszcie paliła się latarnia. Nad okrężnicą statku ukazała się ciemna postać marynarza na wachcie.

- Kto tam płynie? - zawołał ostrym tonem.

- Swallow! - odpowiedział Tom tradycyjnym zawołaniem powracającego kapitana.

Na pokładzie korwety natychmiast zaczął się ruch. Gdy podpłynęli do burty, wyciągnęło się wiele rąk, gotowych pomóc im wejść.

- Trzeba wezwać medyka - stwierdził Ned Tyler, zobaczywszy krew i dowiedziawszy się o przyczynie i charakterze rany swego kapitana.
- Nie, nie! Straż królewska nas ściga - zaprotestował Tom. - Musimy wypłynąć w ciągu godziny, żeby skorzystać z odpływu.
- Pod pokładem jeszcze nie wszystko gotowe - ostrzegł go Ned.
- Wiem. Znajdziemy jakiś bezpieczny port na południu, żeby dokończyć prace. Tylko nie Plymouth; to za blisko domu. Tam będą nas szukać przede wszystkim. W Cowes na wyspie

475

Wight mieszka doktor Reynolds; sądzę, że tam się ludzie szeryfa tak szybko nie zapuszczą. Roześlemy wici do chłopaków, którzy chcieli z nami płynąć, skończymy przebudowę statku i wyruszymy, najszybciej jak się da. Wstał z wysiłkiem i zapytał:

- Gdzie jest Lukę Jervis?

- Na brzegu, z żoną i dziećmi - odparł Ned.

- Poślijcie po niego.

Lukę zjawił się na wpół śpiący. Tom opowiedział mu szybko, co się wydarzyło, jak stracił cały łup na rzecz Childsa i w jakich się znalazł tarapatkach.

- Muszę wyruszyć zaraz w dół rzeki - wyjaśnił szyprowi. - Wiem, że należy ci się udział za Swallowa i płótno, ale nie mogę ci teraz zapłacić, choć obiecałem.

Wystawię ci weksel na ten dług. Jeżeli nawet nigdy nie będę mógł wrócić do Anglii, znajdę sposób, żeby ci przysłać te pieniądze, jak tylko je zarobię.

- O nie! - W trakcie pośpiesznej relacji młodzieńca Lukę rozbudził się w pełni.

- Nie mogę ci zaufać, panie Courtney. To zbyt wielka suma! - zawołał obcesowo.

Tomowi aż odebrało ze zdumienia mowę. Nagle twarz wilka morskiego rozjaśnił szelmowski uśmiech. - Muszę popłynąć z tobą, pilnować moich pieniędzy -

dokończył.

- Nie rozumiesz, Lukę - rzekł szorstko Tom. - Ja płynę do Afryki.

- Zawsze chciałem spróbować smaku orzechów kokosowych - odparł Jervis. -

Minutkę, kapitanie, tylko spakuję mój marynarski kuferek. Nie rzucaj cumy, póki

nie wrócę.

Tom nie chciał na razie mieszkać w niedokończonych kajucie i Aboli rozłożył mu posłanie na otwartym pokładzie, rozpinając nad siennikiem płócienną płachtę dla ochrony przed wilgocią. Po dziesięciu minutach zjawił się tam Ned.

- Statek sklarowany, gotów do wyjścia w morze, kapitanie - zameldował.

- Czy Lukę Jervis już wrócił? - zaniepokoił się Tom.

- Powinien zaraz... - zaczął Ned, lecz przerwał, gdyż nocną ciszę rozdarł nagle

rozpaczliwy krzyk kobiety.

Marynarze chwycili za broń, rozglądając się z niepokojem. Drewnianym pomostem

biegły w stronę korwety dwie ciemne postacie.

476

- To Lukę - skonstatował z ulgą Alf Wilson. - A za mm jego pani. Lepiej

odbijajmy; ona nam wszystkim gotowa narobić bigosu.

- Rzucajcie cumy! - wrzasnął Lukę w biegu. - Goni mnie córka szatana!

Zwolnili pędem ostatnie jardy, mając tuż za sobą żonę, piszczącą wściekle i

usiłującą go dosięgnąć długim kijem. Skoczył z nabrzeża i chwycił się burty.

- Luke'u Jervisie, wracaj natychmiast! Nie zostawisz mnie samej z bachorami,

któreś mi zrobił w brzuchu, bez żarcia, bez odzienia i bez grosza przy duszy! -

krzyczała pani Jervisowa. - Nie uciekniesz mi do tego Afryku, żeby tam latać za

czarnymi dziewczynkami!

- Żegnaj, moja koścista gołąbeczko. - Lukę stanął na pokładzie, nabierając

śmiałości, w miarę jak dzielił go od żony coraz szerszy pas wody. Posłał jej

całusa. - Zobaczymy się za trzy lata albo cztery, a może jeszcze więcej.

- I co teraz będzie ze mną i tymi niewinnymi dziećmi? - Jej ton się

zmienił i zaczęła płakać. - Czy nie masz ani krzty litości? - Szlochała

żałośliwie.

- Sprzedaj Ravena - odkrzyknął Lukę. - Dostaniesz za niego dość dla siebie i

bachorów na następne dwadzieścia lat!

- Nie mam zamiaru czekać, aż wrócisz, Luke'u Jendsie. - Nastrój kobiety znów się

zmienił. - Niejeden dobry człowiek z ochotą zajmie miejsce w moim łóżku.

- Zaiste będą to odważni ludzie. - Lukę pomachał czapką nad głową. - Z pewnością zasługują na więcej niż ja, mój kwiatuszku.

Rzucili kotwicę na rzece Medina, pół mili od Cowes. Tom kazał Nedowi zamalować francuską nazwę korwety, lecz nie umieszczać jeszcze nowej. Statek nie wyróżniał się więc spośród innych niedużych jednostek na kotwiczowisku. Załogę zobowiązano do zachowania milczenia na temat pochodzenia korwety, jej zajęcia i celu podróży.

Doktor Reynolds zjawił się na statku zaraz po otrzymaniu wieści od Toma. Położył go na łóżku w malutkiej kajucie kapitańskiej i zabrał się do wyjmowania kuli z rany. Aboli trzymał przyjaciela za ramiona, a Alf Wilson za nogi. Medyk

477

dogrzebał się do kuli przy pierwszej próbie i wyłuskał ją z opuchniętej, zaognionej rany niczym pestkę ze śliwki. Na pocisku widniała jaśniejsza smuga w miejscu, które otarło się o żebro.

Następnie chirurg zagłębił ponownie szczypce w kanale wyżłobionym przez kulę w ciele rannego. Tom związał się przy tym z bólu i pocił obficie.

- Aha, mam! - zawołał Reynolds triumfalnie. - Przybitka i kawałek koszuli. - Podniósł z dumą cuchnące trofea, pokazując je Tomowi, który leżał bez ruchu na posłaniu, zlany potem, zagryzając między zębami drewniany klin. - Powinno się dobrze goić - oznajmił, wachając wydzielinę z rany. - Słodka jak dewoński cydr; zgnilizna nie zdążyła przedostać się do krwi. Zostawię jednak sączonek w ranie, żeby lepiej zaschła. Za trzy dni go usuniemy.

Wróciwszy po trzech dniach i wyciągnawszy sączonek, Reynolds podsumował efekt swych zabiegów mianem arcydzieła sztuki medycznej. Następnie wychylił kwartę mocnego cydru, którą go poczęstował Tom. Pod subtelnym wpływem jabłecznika bez słowa sprzeciwu przystał na propozycję objęcia na Swallowie stanowiska lekarza okrętowego.

- Przez ten ostatni rok omal nie umarłem z nudów. Ani jednego porządnego postrzału, ani jednej ciętej rany od szpady. Tylko zakatarzone nosy i ciekące tyłki - wyznał przy drugiej kwarcie trunku, siedząc wraz z młodym kapitanem pod masztem na otwartym pokładzie. - Często wspominałem te nasze szalone dni u afrykańskich wybrzeży.

Spod pokładu pr/ez cały czas dobiegał intensywny stukot młotków. W pewnym momencie z luku zejściowego wynurzyła się głowa głównego cieśli.

- Robota skończona, kapitanie - zameldował. - Może pan płynąć, kiedy wola.

Tom wynajął do zakończenia przebudowy Swallowa trzech miejscowych cieśli. Pracowali usilnie całymi dniami, a także nocą przy świetle latarni, żeby zdążyć na wyznaczony przezeń termin. Zapłacił im za znakomitą robotę i opuścili statek. Alf Wilson i Ned Tyler udali się tymczasem na drugą stronę kanału Solent, dzielącego wyspę Wight od brzegów Anglii, żeby w portach i rybackich wioskach między Ply-mouth i Portsmouth odszukać czekających na wezwanie marynarzy. > •

- \

478

Tom z panem Walshem towarzyszyli im do Southampton. Tam odwiedzili liczne składy i magazyny, kupując prowiant na długi rejs oraz towary do sprzedania w Afryce. Dzięki doświadczeniu zdobytemu podczas wyprawy z ojcem młody kapitan doskonale wiedział, co cieszy się największym wzięciem pośród tamtejszych plemion.

Zamówił więc, płacąc z góry, blisko dwie tony perkalowego płótna, dwa tysiące ostrzy do toporków, pięć ton miedzianego drutu, tonę paciorków z weneckiego szkła, dwadzieścia funtów igieł, sto tanich muszkietów z rożkami na proch i mieszkami na kule i wreszcie tonę różnego rodzaju świecidełek i ozdób. W ciągu tygodnia cały towar udało mu się przetransportować bezpiecznie przez Solent na Swallowa.

Pan Walsh został jeszcze w mieście, aby zrobić ostatnie sprawunki, Tom zaś powrócił na statek. Miał przed sobą kilka dni nerwowego napięcia w oczekiwaniu na członków załogi, zjawiających się na pokładzie pojedynczo i grupkami, z przerzuconymi przez ramię marynarskimi workami. Witął każdego po imieniu, podsuwając listę załogową, na której stawiali swoje znaczki. Ned z Alfem wybrali najlepszych spośród tych, którzy żeglowali na Seraphie i towarzyszących mu statkach. Tom nie posiadał się z zachwytem, że ma ich na pokładzie. Wypłacił

każdemu szylinga zwyczajowego zadatku i posłał do kwater, żeby zajęli sobie miejsca i rozwiesili hamaki.

Pan Walsh powrócił wreszcie z resztą zapasów i towarów na handel, które przywiózł na wynajętym barkasie. Kiedy je umieszczono w ładowni Swallowa, zapełniła się aż po sufit, a statek osiadł głęboko na wodzie. Musieli jednak czekać na Neda Tylera i Alfa Wilsona. Tom niemal co godzina wyglądał na kanał, czy nie wracają, z niepokojem myśląc o groźbie, jaką stanowili szukający go stróże prawa.

Był przekonany, że ludzie szeryfa przetrzasnęli już porty na południowym wybrzeżu Anglii. Zaczęli zapewne od Ply-mouth, zapuszczając się coraz dalej w poszukiwaniu korwety. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy dotrą do Wight i zaczną rozpytywać ludzi, aż trafią w końcu do miejsca postoju Swallowa.

Martwiło go także co innego. Jesień była już w pełni i wkrótce morskie szlaki spowije sieć zimowych sztormów. Wówczas znaleźliby się w potrzasku. Jednakże przedłużające się oczeki-

479

wanie pomogło mu w pełni wrócić do zdrowia; mógł wyruszyć w drogę z riowym zapasem sił.

Nocami w malutkiej kajucie nawiedzały go myśli o zamordowaniu brata i nękało poczucie winy. Wciąż na nowo czytał ustęp z Biblii o Kainie i Ablu, nie znajdując w tym żadnego ukojenia. Po dwóch tygodniach zjawili się nareszcie Ned z Alfem, zaskoczeni ciepłym i radosnym powitaniem ze strony swego kapitana.

- Jeremy Compton się rozmyślił - usprawiedliwiał się Ned - a Willa Barnes a i Johna Birdhama nie znaleźliśmy.

- To nic nie szkodzi, Ned - zapewnił Tom.

Usiedli razem nad listą załogową, wyznaczając każdemu z majtków odpowiednie zajęcie. Ned został pierwszym oficerem, pozostałymi zaś Alf, Lukę i Aboli.

Załogę stanowiło ostatecznie dwudziestu siedmiu zahartowanych w bojach wilków morskich.

- Zaczekamy tylko do rana - poinformował oficerów kapitan Swallowa. - Spodziewam się przybycia ostatniej partii towaru; to dwieście funtów czerwonych i zielonych paciorków z weneckiego szkła. Wyruszymy po ich załadowaniu z najbliższym odpływem.

Szykowali się do ostatniej nocy spędzonej na lądzie. Kiedy za grubą kurtyną siwych chmur zniknęło słońce, przed Tomem zjawiała się deputacja marynarzy, prowadzona przez Luke'a Jervisa. Młody kapitan siedział na dziobie, wpatrzony w światła wioski na brzegu i pogrążony w rozmyśleniach. Oswajał się powoli z myślą o opuszczeniu Anglii na zawsze, z jednej strony zdjęty smutkiem z powodu czekającego go wygnania, z drugiej jednak ciesząc się perspektywą odnalezienia Dorian a i powrotu na tajemniczy kontynent, przyzywający go z dalekich południowych mórz.

- Część ludzi chciałaby wychylić ostatni kufel piwa w tawernie i pocałować jakąś chrześcijańską ślicznotkę, nim wyjdziemy w morze, kapitanie - powiedział Lukę. - Czy da pan chłopcom pozwolenie zejścia na godzinkę na ląd?

Tom zastanawiał się przez chwilę. Puszczanie ludzi na brzeg nie było rzeczą rozsądną, bo pod działaniem trunku nawet najlepsi marynarze stawali się często zupełnie nieobliczalni.

- Nie posmakują angielskiego piwa przez trzy najbliższe lata - ponaglił go delikatnie Jervis.

480

Ma rację, pomyślał Tom; nie powinienem być aż tak surowy. Oświetlone okna tawerny miał w zasięgu wzroku. Będą tak blisko, że wystarczy zawołać; nic złego nie może się stać, uznał w końcu.

- Pójdiesz z nimi, panie Jervis, i dopilnujesz, żeby to była godzinka, nie więcej? - zapytał.

- A może, za pozwoleniem, i pan zechciałby nam towarzyszyć, kapitanie? Pod pańskim okiem z pewnością będą się pilnować i wrócą na statek trzeźwi i o czasie.

- To nawet lepsze niż siedzieć tu i zadręczać się czymś, co może nigdy się nie zdarzyć, Klebe - wtrącił się Aboli. - Chłopakom się spodoba, jeśli postawisz im po kufelku i wypijesz za powodzenie wyprawy.

Tom przekazał dowództwo Nedowi, zostawiając z nim tych marynarzy, którzy woleli koję od kufla. Reszta udała się na brzeg wiosłową łodzią.

W głównej sali tawerny panował tłok i gwar. Pełno tu było poławiaczy krabów, rybaków i marynarzy królewskiej marynarki. W powietrzu wisiał gęsty tytoniowy dym. Tom zamówił dla wszystkich po kuflu piwa i wraz z Abolim i Alfem zajął miejsce w rogu, skąd mógł mieć na oku salę i wejście. W drugim kącie Jim Smiley i dwaj jego kompani rozpoczęli ożywioną konwersację z trzema damulkami i po paru minutach wymknęli się z nimi na dwór, choć zaczęło lekko padać.

- Nie odejdą daleko - uspokoił Toma Aboli. - Kazałem im trzymać się w zasięgu głosu.

Z kufla Toma nie ubyło jeszcze piwa na cal, gdy do tawerny weszło dwóch dziwnych mężczyzn. Stanęli w progu, strzepując krople deszczu z płaszczy i trójgraniastych kapeluszy.

- Nie podoba mi się ich wygląd - zaniepokoił się Tom i odstawił piwo. Obaj byli barczyści, o posępnych, zaciętych twarzach. - Z pewnością nie przyszli pohulać.

- Siedź tu - Aboli wstał od stołu - a ja się dowiem, co ich sprowadza.

Przepchnął się niby bez celu przez tłum pijących, przesuając się za przybyszami w stronę karczmarki, która z pomocą dwóch służących napełniała kufle piwem z dwudziestogalonowej beczki.

- Dzień dobry, paniusiu - powitał kobietę starszy z mężczyzn. - Chciałbym zamienić z tobą słówko.

481

- Słówka nic nie kosztują - odparła, odgarniając włosy z czoła. - Zapłać pół pensa za kufelek i możesz gadać do woli.

Przybysz położył na kontuarze monetę, Aboli zaś przysunął się bliżej, żeby dyskretnie podsłuchać, co powie.

- Szukam statku - powiedział mężczyzna.

- No to trafiłeś, gdzie trzeba. Statków ci u nas dostatek. Na redzie Spitehead stoi cała cholerna flota. Brać, wybierać.

- Ten, którego szukam, to nieduża korweta. - Mężczyzna uśmiechnął się zachęcająco, ale oczy miał zimne i twarde. - Zgrabny stateczek, nazywa się Hironnelle - wymówił nazwę koślawą francuszczyzną. - Albo Swallow.

Aboli nie czekał, by usłyszeć odpowiedź, lecz odwrócił się i ruszył ku rozbawionym marynarzom Swallowa, stojącym w sporej grupie z kuflami w dłoniach. Tom obserwował go przez opary dymu, a kiedy Murzyn zrobił znaczący ruch głową, wstał i ruszył przez salę. Przemieszczał się spokojnie, żeby nie zwracać niczyjej uwagi i wynajdywał wśród tłumu swoich ludzi. Klepał każdego w ramię i rzucał mu słówko do ucha. Aboli robił to samo. Wreszcie wyprowadzili wszystkich na siąpiący deszcz.

- Co się dzieje? - niecierpliwiał się Lukę.

- Ludzie szeryfa są na naszym tropie - wyjaśnił Aboli. - Gdzie jest John Smiley i jego chutliwi kamraci?

- Jak nic wyładowują swój towar w jakimś pojemnym różowym magazynie - zaśmiał się Lukę.

- Gwizdnij na nich - rzucił Tom. - Nie czekamy do rana.

Jervis podniósł do ust gwizdawkę z kości wieloryba, zawieszoną na jego szyi, i dwukrotnie mocno świsnął. Niemal natychmiast z cienia na tyłach tawerny wypadł biegiem John Smiley, a za nim dwaj pozostali, podciągając bryczesy i obciągając koszule.

- Do łodzi, chłopcy - rozkazał Tom - albo zostaniecie.

Do mola, przy którym cumowała korweta, mieli niecałe sto kroków, lecz gdy znaleźli się w połowie drogi, usłyszeli za plecami basowy okrzyk:

- Thomasie Courtney! Zatrzymaj się w imię prawa! - Obejrzawszy się przez ramię, Tom ujrzał dwóch obcych, wybiegających z tawerny i puszczających się w pogoń za nimi. - Mam nakaz aresztowania, podpisany przez prezesa

482

sądu! Jesteś oskarżony o zamordowanie lorda Williama Courtneya! Te słowa podziałały na młodzieńca jak ostroga.

- Biegnijcie szybciej, chłopcy! - zawołał do marynarzy.

Dotarli do szczytu kamiennych schodów, lecz wąskie stopnie spowolniły ich ucieczkę i ścigający coraz bardziej się zbliżali. Obaj wyszarpnęli spod płaszcza szpady, a ich ciężkie buciory stukwały głośno o bruk.

- Stać! W imieniu prawa!

- Ja ich zatrzymam - rzucił Aboli, odwracając się. - Ty biegnij do łodzi! - Tom jednak także się zatrzymał i stali teraz ramię przy ramieniu w zejściu na keję.

- Twoja rana! Nie możesz jeszcze stawać do walki - warknął Murzyn. - Czy ty mnie kiedyś chociaż raz usłuchasz?

- Jeżeli będziesz mówił z sensem. - Wyciągnawszy szpadę z Neptunem, Tom poczuł ukłucie w boku i przełożył broń do lewej ręki. - Zabiję was, jeżeli będę musiał!

- krzyknął do zbliżających się mężczyzn tonem, który osadził ich w miejscu. Stanęli niezdecydowani tuż za zasięgiem jego klingi.

- Jesteśmy stróżami prawa. Jeśli nas tkniesz, to już po tobie - powiedział starszy.

Widać było, że czują się niepewnie w konfrontacji z niesamowitą parą - młodzieńcem o bladym licu i krzywym nosie oraz czarnym olbrzymem o pooranej tatuażami twarzy.

- Ja jestem mordercą. Mam na rękach krew. Jeszcze jedno zabójstwo nic dla mnie nie znaczy - zaśmiał się upiornie Tom. - A ten czarny dzikus zjada ludzi na surowo. Najbardziej lubi głowy i wysysanie szpiku z kości.

Aboli ściągnął z łysej głowy kapelusz i zawył, wykrzywiając twarz w groteskową maskę. Tamci cofnęli się instynktownie. Tom słyszał za plecami, jak jego ludzie wskakują na barkas i chwytają za wiosła.

- Chodź na łódź, kapitanie! - zawołał Lukę Jervis.

- Odbijać! - rozkazał mu Tom i przyskoczył do wysłanników szeryfa z ostrzegawczym okrzykiem: - Brońcie się!

Wykonał wypad ku mężczyźnie po swojej stronie. Szpada śmignęła tuż przed jego oczami i tamten się cofnął. Tom napierał, tnąc czubkiem klingi jego odzienie, lecz uważając, żeby go nie zranić.

Napastnicy nie zdążyli jeszcze podnieść broni, gdy się zorien-

483

towali, że przeciwnik przewyższa ich znacznie umiejętnościami, i wycofali się. Lukę znów krzyknął. Tom obejrzał się szybko przez ramię. Łódź kołysała się na wodzie niedaleko nabrzeża, wiosłarze czekali w pogotowiu.

- Czas zmykać! - zawołał po arabsku do Abolego, dwoma raptownymi sztychami zmuszając stróżów prawa do panicznego odwrotu. Obaj marynarze podbiegli do krawędzi mola i skoczyli daleko w wodę, a płaszcze wydeły się za nimi jak balony.

Barkas natychmiast zbliżył się, by ich wyłowić. Tom trzymał w prawej ręce szpadę z Neptunem i odgarniał wodę lewą. Majtkowie wciągnęli ich na pokład i natychmiast skierowali barkas w stronę Swallowa. Gdy tylko wszyscy znaleźli się na statku, w mgnieniu oka wciągnęli i umocowali na pokładzie dziobowym łódź, podczas gdy inni chwycili za kabestan, żeby podnieść z mulistego dna kotwicę.

Ludzie szeryfa także zdobyli łódkę i byli już w połowie drogi do Swallowa, gdy podniesiono na nim grot i statek ruszył z nocną bryzą. Kiedy nawracał, by wyjść z wąskiego basenu na otwarte wody kanału, mijał łódkę z bliska. Jeden ze ścigających wzniesioną szpadą pokazał na Toma stojącego przy sterze korwety.

- Nigdy nie uciekniesz! - zawołał przez dzielącą ich wodę. - Masz krew na rękach i wytropimy cię, gdziekolwiek byś się ukrył na tym świecie!

Młody kapitan nie odpowiedział, wpatrzony w przestrzeń. Łódka została za mmi, podskakując na fali kilwateru.

Wiatr potraktował korwetę jak kochankę. Nadbiegł z północy, jako zwiastun zimy, chłodny i porywisty, lecz nie tak silny, żeby musieli refować główny żagiel. Po dwóch tygodniach osiągnęli Ushant. Potem wraz z wiatrem przemknęli przez Biskaje, ciesząc się złą sławą wód niespokojnych i sztormowych, i sunąc na południe, minęli Wyspy Kanaryjskie, by wpłynąć w strefę ciszy.

Oczekiwali, że utkną tutaj, posuwając się chaotycznymi zrywami, lecz wiatr był stały i pewny. Wreszcie któregoś dnia po południowych namiarach Tom oznaczył pozycję Swallowa na równiku, tysiąc mil morskich od brzegów Afryki.

484

- Nowy kurs, panie Tyler; południe ku wschodowi - powiedział do Neda, oznaczając kierunek na róży wiatrów. - Oстрым bejdewindem.

- Jest ostrym bejdewindem, kapitanie - dotknął czapki Ned.

Tom przyjrzał się grotowi korwety, białemu i wydętemu jak brzuch w ósmym miesiącu ciąży. Potem popatrzył za rufę, na prosty i równy kilwater, przecinający pędzone wiatrem atlantyckie fale.

- Jeżeli w dalszym ciągu będzie tak wiało, osiągniemy Przylądek Dobrej Nadziei w niecałe sześćdziesiąt dni, a po kolejnych trzydziestu rzucimy kotwicę na redzie Zanzibaru - powiedział.

Wszystkie swe obawy i wątpliwości pozostawił daleko za północnym horyzontem.

Czuł się silny i niezwykcieżony.

Dhow księcia Abd Muhammada al-Malika przedstawiał opłakany widok. Zerwany bom, który omal nie zabił władcy, leżał na pokładzie przywalonym masą ciężkiego wełnianego żagla. Łódź ze splątanym i porwanym takielunkiem dryfowała bezradnie dziobem do wiatru. Targane porywami monsunu luźne bloki i liny obijały się o maszt i kadłub, grożąc dalszym spustoszeniem.

Żeby powstrzymać dzieło zniszczenia, należało teraz przede wszystkim znaleźć i pochwycić fał grotżagla. Koniec ciężkiej liny przewleczonej przez oko głównego bloku grotmasztu dyndał wysoko i nie sposób go było dosięgnąć z pokładu.

Przywrócić statkowi żeglowność mogło zaś tylko postawienie wielkiego łacińskiego żagla. Ktoś musiał wspiąć się na maszt.

Inaczej niż na statku rejowym, masztu na dhow nie utrzymywały w pionie wanty, po których można by się łatwo wspiąć na top. Łódź kołysała się bezradnie na wielkich falach, dryfując rufą do tyłu. Kapitan usiłował utrzymać ją dziobem do wiatru za pomocą rumpla, ale wzburzone wody co rusz atakowały burtę, niemal przewracając stateczek. Maszt, niczym gigantyczne wahadło, pogłębiał jeszcze gwałtowność przechyłów. Dhow był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Kapitan nie mógł porzucić steru. Ze swego miejsca wykrzykiwał rozkazy do marynarzy, ci jednak kryli się przed jego wzrokiem w najdalszych zakamarkach pokładu. Wiedzieli

485

doskonale, co trzeba zrobić, lecz żaden nie miał ochoty na wspinaczkę.

Dorian obserwował ten rozgardiasz zafascynowany. Na pokładzie Serapha nigdy nie działało się nic podobnie ekscytującego; nikt tak nie wrzeszczał i nie gestykulował.

- Ahmed, ty synu maciory! - Fouad, kapitan, wypatrzył kolejną ofiarę i pokazał drżącą dłonią na czubek masztu. - Jeśli mnie nie posłuchasz, wyrzucę cię za burtę owiniętego w świńską skórę! - Mężczyzna odwrócił głowę i wbił wzrok w morze jak porażony nagłą głuchotą.

Dorian otaksował dystans wprawnym okiem, nie rozumiejąc, czego się tak wszyscy boją. Na Seraphie potrafili tańczyć z Tomem "Skoczne dudy" na rei grotmasztu, z jedną ręką na biodrze a drugą na głowie, przy szalejącym południowo--wschodnim szkwale. Maszt dhow był trzykrotnie niższy. Niemal usłyszał prowokujący okrzyk brata: "No dalej, Dorry! Pokaż im, co potrafisz. Liczę na ciebie!".

Teraz nikt nie patrzył; w tej rozpaczliwej sytuacji wszyscy o nim zapomnieli.

Nawet książę stracił co nieco ze swej zimnej krwi i uczepony sztagu na pokładzie dziobowym wpatrywał się niespokojnie w rozkołysany maszt.

Dorian zrzucił z siebie długą szatę, żeby nie krępowała mu nóg, i rzucił ją na pokład. Nagi, jak go Pan Bóg stworzył, podbiegł do masztu i zaczął się wspinać niczym małpa ścigana przez lamparta. Książę natychmiast odzyskał rezon i krzyknął:

- Łapcie to dziecko! Zaraz się zabije!

Chłopiec był już jednak poza zasięgiem rąk marynarzy, usiłujących gorączkowo wypełnić polecenie władcy. Biorąc pod uwagę jego zręczność i brak lęku przed wysokością, czego nauczył się na wantach Serapha, była to łatwa wspinaczka.

Obejmując maszt kolanami i rękami, posuwał się w górę, wykorzystując przechyły statku i ruchy samego słupa. Dotarłszy do topu, spojrział w dół. Zobaczył wpatrzone weń przestraszone twarze i nie mógł się oprzeć pokusie przerażenia ich jeszcze bardziej. Owinał się nogami o sztag, puścił maszt jedną ręką i rozczapierzonymi palcami zagrał Arabom na nosie. Choć nigdy przedtem nie widzieli tego obraźliwego gestu, jego znaczenie było oczywiste. Nagie ciało

chłopca jaśniało w słońcu, białe jak muszla ostrygi. Dla wzmocnienia efektu wypiął na marynarzy swój krągły, różowy tyłek.

486

dArabowie jęknęli chórem, patrząc na jego wyczyny. Wiedzieli, że jeśli temu dziecku stanie się krzywda, straszliwy gniew księcia spadnie na głowy ich wszystkich. Dorian podciągnął się wyżej i sięgnął wolną ręką po dyndający fał, co widzowie w dole powitali kolejnym okrzykiem zgrozy.

- Asekurować mnie! - zawołał w marynarskiej angielszczyźnie.

Kapitan, choć nie zrozumiał słów, pojął ich znaczenie i przekazał je po arabsku załodze. Trzech mężczyzn uchwyciło mocno wiszącą przy maszcie część fału.

Kiedy już byli gotowi powstrzymać jego upadek, chłopiec opasał się rozplecionym końcem liny i przewlókł go sobie między nogami.

- Opuszczaj powoli! - zawołał.

Zaczekał na odpowiedni przechył masztu i puściwszy drzewce, skoczył w dół. Fał zaczął się przesuwac przez skrzypiący blok, a marynarze przepuszczali go przez swoje stwardniałe dłonie, spowalniając zjazd chłopca. Przy każdym przechyle statku Dorian piszczał z uciechy, huśtając się aż za burtę ponad wzburzone fale. Asekurowujący ocenili tempo jego zjazdu z marynarską wprawą i opuścili go na pokład w odpowiednim momencie tak lekko, że bosa stopy chłopca nawet nie piasnęły o deski. Podbiegli zaraz do niego, by się upewnić, że jest bezpieczny i żeby zamocować luźny koniec fału.

Natychmiast przewleczono przez blok nową linę i podniesiono bom. Dhow ustawił się rufą do wiatru. Napięty łaćniński żagiel przemienił go w jednej chwili z bezradnie miotanej wiatrem skorupy w szybki i zwinny statek morski.

Książę położył Dorianowi rękę na ramieniu i spojrział po twarzach swojej świty.

- Dzięki bystrości umysłu i szybkości działania to dziecko ocaliło mi życie i uratowało statek - oświadczył. - Czy ktoś z was jeszcze wątpi, że to jest właśnie czerwonowłosy chłopiec--sierota z przepowiedni? - Poglądził Doriana po lśniących lokach, patrząc kolejno w oczy każdemu ze swych dworzan. Żaden nie wytrzymał jego spojrzenia.

Pierwszy odezwał się mułła.

- To cud świętego Taimtaima! - zakrzyknął. - Zaręczam moim słowem; to dziecko z proroctwa!

487

- Proroctwo się spełniło! - zawołał chór głosów. - Chwalcie imię Boga!

Trzymając dłoń na głowie Doriana, al-Malik powiedział głośno i wyraźnie:

- Niechaj wiadome będzie wszem wobec, że uznaję tego oto chłopca za mego przybranego syna. Od tej chwili jego imię brzmi al-Amhara Abd Muhhamad al-Malik, Czerwonowłosy, syn al-Malika.

Mułła uśmiechnął się chytrze pod wąsem, widząc przebiegłość swego pana.

Usynawiając dziecko, zręcznie uwiarygodnił spełnienie się przepowiedni. Zanim jednak doczeka się korzyści, obiecanych przez świętego, będą musiały zostać spełnione jeszcze inne warunki. W odpowiednim czasie na pewno tak się stanie.

- To wola boska! - zawołał mułła, a inni podchwycili jego okrzyk. - Allah jest wielki!

Nawet bez książęcej rekomendacji w ciągu tygodni spędzonych w morzu Dorian zdołał podbić serca niemal całej załogi dhow. Dla wszystkich było oczywiste, że jest zwiastunem dobrych wieści, i każdy marzył w skrytości ducha, by i na niego spłynęła część błogosławieństwa z przepowiedni. Kiedy widzieli chłopca na pokładzie, nawet najtwardsi i najnikczemniejsi z nich nie mogli powstrzymać się od uśmiechu albo muśnięcia jego rudych włosów na szczęście.

Kucharz załogi przyrządzał mu wyborne posiłki i inne specjały. Reszta konkurowała o jego względy, obdarowując drobnymi prezentami. Któryś zdjął nawet z szyi amulet na rzemieniu i powiesił go na szyi chłopca.

- Niechaj cię chroni - powiedział z gestem odpędzającym zło.

- Małpeczka o lwim sercu - nazywał go pieszczotliwie Fouad, kapitan statku.

Po wieczornych modłach zapraszał Doriana, by siadał z nim przy sterze. Pokazywał mu gwiazdy pomocne w nawigacji. W miarę jak przesuwaly się po nieboskłonie, wymieniał nazwy konstelacji i opowiadał związane z nimi legendy.

Arabowie byli ludźmi pustyni i oceanu; całe życie spędzali pod baldachimem nieba, z gwiazdami nad głową. Studiowali ich bieg od wieków, a teraz kapitan

dzielił się tą wiedzą z białym dzieckiem. Był to dla chłopca cenny podarunek, słuchał więc

488

zafascynowany, z uniesioną ku niebu twarzą. Potem w podzięcie recytował Fouadowi angielskie nazwy, których uczyli go Ned Tyler i Duży Daniel.

Inni marynarze zbierali się wokół nich, żeby posłuchać opowieści o Siedmiu Siostrach czy o myśliwym Orionie i Skorpionie, snutych przez Doriana słodkim, dziecięcym głosem. Kochali gwiazdy i ciekawe historie.

Odkąd mógł się swobodnie poruszać po całym statku, czas chłopca był tak wypełniony, że nawet nie miał kiedy czuć się samotny i nieszczęśliwy. Przez pół poranka wisiał wychylony za burtę dhow, obserwując stadka długonosych delfinów, baraszkuje w fali dziobowej. Nurkowały w tę i z powrotem pod statkiem, trzepiąc szerokimi ogonami i spoglądając nań rozumnie. Czasami któreś ze stworzeń wyskakiwało wysoko ponad wodę i z bliska szczyrzyło się do chłopca w szerokim uśmiechu. Dorian machał mu, wybuchając perlistym śmiechem zachwytu. Pracujący w pobliżu Arabowie prostowali grzbiety i uśmiechali się z sympatią. Kiedy się zbyt zaangażował w rozmowy z szeregowymi marynarzami, Fouad zaborczo przywoływał go do siebie.

- Chodź tu, małpeczko o lwim sercu, posteruj trochę za mnie - mówił.

Dorian przejmował rumpel z błyszczącymi oczyma, utrzymując śmigły dhow na wietrze i czując, jak drży pod jego ręką niczym zbierający się do skoku rasowy koń.

Księżę, siedzący zwykle po turecku na jedwabnym dywanie pod baldachimem, przerywał czasem dyskusję ze swymi dworzanami, by z igrającym na wargach uśmiechem przyglądać się chłopcu.

Dorian nie był obrzezany i z tego powodu wciąż uważano go za dziecko, a Tahī w jego obecności chodziła bez czadoru. Była osobą najniższego stanu, kobietą porzuconą przez męża. Jej mąż pracował u księcia jako stajenny. Ponieważ nie mogła dać mu syna, wyrzucił ją. Tylko dzięki współczuciu i dobroci al-Malika nie skończyła jako żebraczka na ulicach i bazarach Łamu.

Tahī była dużą pulchną kobietą, cała w krągłościach. Skórę miała brazową i mocno natłuszczoną. Kochała jeść, miała wesoły śmiech i przyjazne usposobienie. Sensem jej życia była lojalność wobec księcia i wiernopoddańcze oddanie się służbie dla niego. A teraz nagle Dorian został jego synem.

489

Zachwycały ją, jak wszystkich, jego piękne miedzianozłote włosy, dziwnie przejrzyste zielone oczy i mlecznobiała skóra. Kiedy objawiał pełną siłę swego promiennego uśmiechu i czarującego usposobienia, nie mogła mu się oprzeć. Sama bezdietna, swe macierzyńskie instynkty przelała w pełni na chłopca, zupełnie tracąc dla niego serce.

Kiedy księżę wyznaczył ją formalnie na opiekunkę chłopca, rozplakała się z wdzięczności. Dorian dość szybko odkrył, że jej łagodne, niemal krowie rysy kryją bystry, inteligentny umysł i znakomity zmysł polityczny. Orientowała się w aktualnym stanie wpływów na dworze księcia i poruszała wśród nich z wielką zręcznością. Objaśniała chłopcu znaczenie i zasięg władzy ludzi z otoczenia al-Malika, znała ich mocne strony i słabostki, wiedziała, jak podejść każdego z nich. Zaczęła uczyć go skomplikowanej etykiety dworskiej, tłumacząc, co wypada, a czego nie wypada czynić w obecności księcia i jego zauszników.

Tylko nocami czuł się źle. W ciemności nachodziły go wspomnienia o ojcu i Tomie, przepełniając serce bólem. Którejś nocy Tahī obudził szloch dobiegający z posłania chłopca w kącie ich wspólnej maleńkiej kajuty. Sama pozbawiona domu, rozumiała instynktownie tęsknotę i osamotnienie dziecka oderwanego od rodziny i wszystkiego, co było mu drogie, i rzuconego zrzadzeniem okrutnego losu między ludźmi innej rasy, religii i sposobu życia.

Wstała cicho, podeszła do niego i położyła się obok, obejmując ciepłym i miękkim matczynym uściskiem. Dorian najpierw próbował się opierać, odpychając ją, wkrótce jednak rozluźnił się i leżał spokojnie w jej ramionach. Szeptala nad jego głową słowa miłości i ukojenia; wszystkie czułości ukryte dotąd głęboko w sercu dla syna, którego nie chciało zrodzić jej jałowe łono. Po pewnym czasie Dorian przysunął się bliżej, wtulił głowę między jej wielkie piersi i zasnął.

Następnej nocy sam zjawił się przy jej posłaniu, a ona utuliła go w swych pulchnych ramionach.

- Mój dzieciaczek - szeptała, zdumiona głębią swego uczucia. - Moje własne, śliczne dziecko.

Dorian nie zaznał w życiu kojącego ciepła matczynych objęć, lecz ich pragnienie tkwiło w nim głęboko. Tahī zaczęła zapełniać tę pustkę w jego sercu.

Dhow zbliżał się do macierzystego portu. Książę Abd Mu-

490

hammad al-Malik, rezydujący w cieniu swego baldachimu, nie angażował się w rozmowy o sprawach państwa i stanie interesów aż tak bardzo, by nie znajdować jednocześnie czasu na rozmyślania o prorocत्वie i nie obserwować chłopca z dobrze ukrytym, lecz szczerym zainteresowaniem.

- Al-Allamo - zwrócił się do mułły jego rodzowym nazwiskiem. - Jakież to objawienia, dotyczące tego dziecka, możesz mi przedstawić?

Duchowny przyknał oczy, starając się ukryć swe prawdziwe myśli przed przenikliwym wzrokiem władcy.

- Jest ujmujący, panie - rzekł. - Ludzie lgną do niego niczym pszczoły do miodu.

- To widzę i bez ciebie - w głosie księcia zabrzmiało zniecierpliwienie. - Nie o takie rzeczy cię pytam.

- Wydaje się, że ma wszystkie właściwości opisane przez świętego Taimtaima - ciągnął ostrożnie mułła - lecz wiele lat upłynie, zanim będziemy mieć co do tego całkowitą pewność.

- A tymczasem powinniśmy go dobrze strzec, wzmacniając w nim te rysy charakteru, które są niezbędne do wypełnienia się przepowiedni - dopowiedział al-Malik.

- Zrobię w tym celu wszystko, co w mojej mocy, potężny książę.

- Twoim obowiązkiem będzie poprowadzenie go drogą prawości i objawienie mu mądrości Proroka, żeby po pewnym czasie łagodnie przekonał się do naszej wiary i podporządkował islamowi.

- To jednak jeszcze dziecko - odparł mułła. - Nie da się umieścić na tak młodych barkach głowy dojrzałego mężczyzny, książę.

- W każdą podróż wyrusza się, stawiając pierwszy krok - sprzeciwił się al-Malik.

- Chłopiec już włada językiem świętej wiary lepiej niż moje własne dzieci i widać, że ma pewne wiadomości w kwestiach religijnych. Kształcono go w tych sprawach, a już do ciebie należy pielęgnowanie i powiększanie jego wiedzy, żeby stopniowo nawrócił się na islam. Tylko wówczas prorocत्वo wypełni się do końca.

- Jak sobie życzysz, panie. - Al-Allama na znak podporządkowania się woli księcia dotknął palcami ust i serca. - Jeszcze dziś postawię razem z nim pierwszy krok na tej długiej drodze - obiecał.

Al-Malik pokiwał z uznaniem głową.

491

- Oby ucieszyło to Allaha.

Po południowych modłach, gdy książę udał się do swej kabiny na rufie, by spędzić tam jakiś czas z nałożnicami, mułła posłał po chłopca. Dorian akurat pograżony był w dyskusji z Fouadem. Kapitan tłumaczył mu tajniki nawigacji wśród wysp.

Pokazywał trasy morskich ptaków i wędrujące kępy wodorostów - drogowskazy wśród prądów i pływów, które nazywał rzekami morza. Objasniał, w jaki sposób wpływa na ich potężny nurt ukształtowanie wysp i wybrzeża, jak wiją się i zmieniają bieg, podczas gdy ich barwa przechodzi w liczne odcienie zieleni i błękitu.

Już wtedy kiedy instruował go Ned Tyler, chłopca fascynowały sekrety i szczegóły sztuki nawigacji. Lubił pracę z kwadrantem... pod okiem Toma, lubił brać namiary na jakiś detal łądu i nanosić położenie statku na mapie albo zapisywać je w dzienniku, przekomarzając się przy tym i żartując z bratem.

A teraz Fouad przekazywał mu zręby wiedzy o tym rejonie oceanu, uczył nazw i zwyczajów ptactwa i morskich stworzeń. Właśnie za rufą unosiło się stadko biało upierzonych, niedużych ptaków, nurkujących w śladzie statku.

- Nie zobaczysz ich dalej niż dziesięć kabli od łądu - powiedział Fouad. - Obserwuj, dokąd lecą, a zaprowadzą cię niechybnie do brzegu.

A potem zawołał go do relingu, pokazując coś w wodzie.

- Spójrz, małpeczko! To jeden z morskich potworów, ale łagodny jak baranek.

Przepływali tak blisko ryby, że chłopiec musiał się wychylić za burtę, żeby się dobrze przyjrzeć jej nakrapianemu grzbietowi. Nie był to żaden z wielorybów,

których setki widywał z pokładu Serapha na południowych krańcach Atlantyku. Stworzenie przypominało raczej rekina, lecz niemal dorównywało długością dhow. W przeciwieństwie do rekina tygrysięgo czy rekina młota poruszało się raczej leniwie, nie okazując lęku. Przed wielką paszczą ryby śmigła w przejrzystej wodzie ławica drobnych rybek.

- Nie boją się, że je zeżre?! - zakrzyknął chłopiec zdziwiony.

- Ten potwór żywi się najmniejszymi z istot. Jego pokarm to śluzowate, pełzające stworzonka, nie większe od ziarnka ryżu. - Kapitanowi udzielił się entuzjazm ucznia. - Kiedy się

492

spotyka te wielkie ryby, to znak, że monsun wkrótce zmieni kierunek. Z kaskazi stanie się kusi, z północno-wschodniego przejdzie w południcwo-zachodni.

Al-Allama przerwał im w tym momencie i Dorian, choć niechętnie, poszedł za nim do miejsca, gdzie mogli porozmawiać na osobności.

- Kiedyś na moje pytanie wypowiedziałeś te słowa - przypomniał mu mułła: - "Ja jestem tylko człowiekiem śmiertelnym, podobnym do was. Zostało mi tylko objawione, że Bóg wasz jest Bogiem Jedynym. Przeto kto się spodziewa spotkać swego Pana, niech pełni pobożne dzieła...".

- Zgadza się, świątobliwy panie. - Dorian nieszczególnie interesował ten temat. Najchętniej zaraz by powrócił do przerwanej rozmowy z Fouadem.

Tahi jednak przestrzegła go, że mułła to człowiek o wielkiej władzy, że może go chronić lub karać wedle woli.

- To sługa boży i głos Proroka. Traktuj go, proszę, z wielkim szacunkiem, przez wzgląd na nas wszystkich - tłumaczyła mu. Starał się więc słuchać słów al-Allamy z uwagą.

- Kto cię nauczył takich rzeczy? - zapytał mułła.

- Mój nauczyciel arabskiego. Kiedy pływałem z ojcem... - Chłopcu zaczęło nagle zbierać się na płacz. - Miał na imię Alf.

- I to on właśnie nauczył cię Koranu, świętej księgi Proroka?

- Tylko niektórych wersetów, jako ćwiczenia w pisaniu i mówieniu. Tego wersetu z sury osiemnastej także.

- Czy wierzysz w Boga, al-Amharo? - dopytywał się duchowny.

- Oczywiście - padła natychmiastowa odpowiedź. - Wierzę w wiecznego Boga, wiecznego Syna i wiecznego Ducha Świętego. - Wyznanie wiary zakonu, które słyszał tyle razy z ust Toma, samo popłynęło z jego ust.

Al-Allama starał się nie okazywać po sobie niepokoju i odrazy, jakie budziły w nim te bluźniercze słowa.

- Jest jeden Bóg - powiedział surowym tonem - a Mahomet jest jego prorokiem.

Doriana zupełnie nie poruszyło to stwierdzenie; lubił jednak toczyć spory, szczególnie z osobami darzonymi autorytetem.

- A skąd to wiesz, święty mułło? - zapytał prowokacyjnie. - Skąd wiesz właściwie, że ja się mylę, a ty masz rację?

493

Al-Allama wstał, słysząc to wyzwanie. Dorian zaś założył ręce pod głowę i pozwoleńszy strumieniowi jego religijnej retoryki przepływać mimo uszu, oddał się marzeniom o całkiem innych rzeczach.

Od jakiegoś już czasu chłopiec marzył, żeby mieć swoje miejsce na topie masztu, tak jak na Seraphie. Miejsce, gdzie mógłby siadywać samotnie, wysoko nad powierzchnią morza. Na skośnie ożaglowanym dhow nie było to jednak możliwe.

Kiedy na horyzoncie ukazywała się ciemna linia lądu, musiał obserwować zbliżający się tajemniczy kontynent z pokładu, jak wszyscy. W powietrzu pojawiła się w pewnym momencie zwierzęca woń tej dzikiej ziemi, pachnącej pyłem, przyprawami i mangrowym bagiennym lasem. Dorian zmarszczył nos. Woń była dziwna i obca, lecz po tygodniach spędzonych w przeżartym solą morską powietrzu, wyostrowała zmysł węchu, wydawała się jednocześnie kusząca i tajemnicza.

Stojąc u boku Fouada przy sterze, po raz pierwszy ujrzał wyspę Łamu. Kapitan wskazywał mu jej cechy charakterystyczne i opowiadał pokrótce o historii tego klejnotu wśród terytoriów kalifatu omańskiego.

- Mój lud prowadził tutaj handel od czasów samego Proroka i jeszcze wcześniej, kiedy i my byliśmy niewiernymi, nieznanymi prawdy o Bogu - wyjaśnił z dumą. -

Łamu było już ważnym portem, gdy w miejscu Zanzibaru grasowały jeszcze po bagnach krokodyle.

Dhow halsował pracowicie kanałem między wyspą a stałym lądem. Fouad wskazał zielone wzgórza ponad białymi plażami.

- Książę spędza porę suchą w swoim pałacu na lądzie, lecz podczas deszczowej przenosi się na wyspę - wyjaśnił, pokazując białe budynki, wyglądające z tej odległości jak załamujący się na rafach przybój. - Łamu jest bogatsze od Zanzibaru. Ma piękniejsze i okazalsze domy. Sułtan Zanzibaru jest wasalem naszego księcia i musi płacić mu daninę.

Port był pełen statków, a jeszcze większa ich liczba wpływała bądź wypływała. Były wśród nich łodzie rybackie, mocno wyposażone dhow handlowe oraz szybsze i lżejsze statki niewolnicze. Ożywiony ruch potwierdzał znaczenie tego kwitnącego i zasobnego miasta.

494

Mijane statki rozpoznawały książęcy dhow po zielonych banderach na maszcie i po imponującej postaci samego al--Malika, siedzącego pod baldachimem w otoczeniu dworzan. Na znak szacunku i lojalności wywieszały odpowiednie flagi sygnałowe, a z ich pokładu wykrzykiwano ponad wodą pozdrowienia i błogosławieństwa.

- Oby przez wszystkie dni towarzyszyła ci miłość Allaha i uśmiech Proroka!

Na żaglowcach stojących w porcie strzelano na wiwat z armat i bito w bębny bojowe. Huk dział poniósł się przez całe miasto i kiedy książęca łódź zbliżyła się do brzegu, plażę i kamienne nabrzeże wypełniał już tłum gapiów.

Tahi przebrała Dorianą w nową szatę, a jego włosy schowała pod zawojem. Obuła go w sandały i wzięwszy za rękę, wyszła z nim na pokład.

Fouad wprowadził dhow na plażę. Odpływ cofał się szybko, gdyż różnica poziomów wody wynosiła tu tylko dwadzieścia stóp. Statek dotknął dnem piasku, a kiedy woda opadła niżej, przechylił się na bok. Natychmiast wbiegła na niego wataha niewolników, którzy mieli znieść księcia i innych dostojników na ląd.

Al-Malika wzięła na plecy potężnej postury Murzyn, odziany tylko w przepaskę biodrową. Tłum gapiów padł na kolana, wykrzykując powitalne hołdy. Niewielka orkiestra grała jakąś zawodzącą melodię, której wysokie tony drażniły słuch Dorianą. Flety i fujarki łkały przeraźliwie, bębny dudniły bezładnie.

Tahi zamierzała przenieść chłopca, on jednak wyrwał się z jej objęć i rozbryzgując radośnie wodę, brnął do brzegu, zanurzony po pachy. Na plaży odprawiono krótką ceremonię powitalną, po czym Abd Muhammad al-Malik dosiadł czarnego ogiera. Z siodła rozejrzał się po tłumie i spostrzegł Tahi trzymającą za rękę młodego Anglika. Wezwał ich gestem, a gdy podeszli, przemówił władcym tonem:

- Zabierz al-Amharę do pomieszczeń kobiecych. Kusz przygotowuje dla was kwaterę. Dorianą za bardzo interesował rumak księcia, żeby miał zwracać uwagę na słowa decydujące o jego losie. Uwielbiał konie tak samo jak statki i morze. Tom nauczył go jeździć, gdy ledwie zaczął chodzić. Wierzchowiec al-Malika był wspaniałym zwierzęciem, zupełnie innym od tych, które znał w High Weald.

495

Mniejszy od nich, lecz wdzięczniejszy, miał duże przejrzyste oczy i szerokie chrapy, długi grzbiet i silne, choć delikatne nogi. Dorian pogłaskał go po pysku, a ogier obwachał jego palce i podrzucił głową.

- Jaki piękny - roześmiał się chłopiec.

Książę spojrzał nań z lekkim uśmiechem, który złagodził nieco jego srogie, jastrzębie rysy. Dziecko będące urodzonym żeglarzem i kochające w dodatku konie mogło liczyć na jego akceptację bez żadnych zastrzeżeń.

- Dobrze się nim opiekujcie. Pilnujcie, żeby nie uciekał - rozkazał opiekunce i eunuchowi Kuszowi, który się przed nim stawił. Potem szarpnięciem cugli poderwał głowę konia i odjechał portową uliczką, wyłożoną z okazji jego powrotu palmowymi liśćmi. Grajkowie i reszta tłumu ruszyli za nim. Cały ten pochód, śpiewając i klaszcząc w ręce, podążył ku wysokim murom twierdzy.

Kusz zebrał koło siebie wszystkie kobiety z otoczenia księcia, kiedy tylko zeszły z dhow. Znajdowały się wśród nich dwie najmłodsze nałożnice. Chociaż od stóp do głów okryte były czarnymi sukniami i kwefami, ich smukłość i gracja przebijały nawet spod warstw materiału. Miały pięknie uformowane dłonie i stopy, a na palcach rąk i nóg nosiły cenne pierścienie z szafirami i szmaragdami.

Chichotały ciągle, co bardzo drażniło Doriana. Lecz jeszcze gorsze były ich służki, hałaśliwe jak stado szczygłów. Ucieszył się więc, gdy Kusz wpakował je do pierwszego z zaprzężonych w woły wozów.

Tahi z Dorianem wsiedli do drugiego. Woły miały śnieżnobiałą sierść, szeroko rozstawione potężne rogi i wielkie garby na grzbietach, jak wielbłądy na ilustracjach w książkach podróźniczych, które oglądał w bibliotece ojca. Miał ochotę pobiec obok zaprzęgu, ale Kusz powstrzymał go, kładąc mu na ramieniu tłustą dłoń. Wysadzane klejnotami złote pierścienie na palcach eunucha iskrzyły się w tropikalnym słońcu.

- Siadaj koło mnie, mały - powiedział wysokim kobiecym głosem, a Tahi, widząc, że chłopiec zamierza protestować, uciszyła go bolesnym uszczypnięciem w ramię. Był to dla niego znak, że Kusz jest mężczyzną, czy raczej istotą, o pewnym znaczeniu i lepiej go nie drażnić.

496

Karawana wozów wyjechała poza przedmieścia portu i posuwała się wąską pylistą drogą w głąb zielonego interioru. Mijali rozkołysane palmy kokosowe i lasy dzikich figowców. Gałęzie drzew obsiadły stada barwnych papug i zielonkawych dzikich gołębi, żarłocznie dziobiących dojrzałe owoce. Dorian nigdy jeszcze nie widział tak bogato upierzonych ptaków i obserwował ich loty, zachwycając się głośno.

Kusz przyglądał mu się badawczo; jego błyszczące czarne oczy niemal ginęły wśród fałd tłuszczu.

- Kto ciebie, Franka, nauczył mówić językiem Proroka? - zapytał nagle.

Dorian z ciężkim westchnieniem wyrecytował odpowiedź, nudną już od ciągłego powtarzania.

- Czy wyznajesz islam? Czy też to prawda, że jesteś niewiernym? - dopytywał się eunuch.

- Jestem chrześcijaninem - odparł z dumą chłopiec. Nalana twarz Kusza skrzywiła się, jakby ugryzł cierpki owoc.

- Jak to możliwe w takim razie, że twoje włosy mają tę samą barwę, co włosy Proroka? A może to nieprawda? Jaki właściwie mają kolor? Dlaczego je zakrywasz? - pytał natarczywie.

Dorian poprawił zawój na głowie. Drażniło go już ciągle gładzenie Arabów na ten sam temat. Wokoło było tyle interesujących rzeczy i chciał, by grubas zostawił go w spokoju, żeby się mógł nacieszyć nowymi wrażeniami.

- Pokaż je - nie ustępował Kusz, sięgając do jego zawoju.

Dorian chciał się uchylić, lecz Tahi napomniała go ostrym okrzykiem i tłuscioch ściągnął mu chustę z głowy. Na widok gęstych i lśniących płomieniste loków do ramion oczy eunucha rozszerzyły się ze zdumienia. Inni pasażerowie wozu zaczęli pokrzykiwać i wzywać Allaha na świadka tego cudu; nawet poganiacz wołów odwrócił się i idąc przy wysokim kole, gapił się na chłopca. Dorian pośpiesznie zakrył głowę.

Po przejechaniu mili trakt wyprowadził ich z lasu i zobaczyli przed sobą wysoki, pozbawiony okien mur zenana. Zbudowany z koralowych bloków, jaśniał oślepiającą bielą palonego wapna, którym go pomalowano. Jedynym otworem w tej ścianie były wrota z lękowego drewna, rzeźbione w zawiły wzór pnączy i liści, zgodnie z nakazem islamu, zabraniającym przedstawiania ludzi i innych stworzeń.

Gdy karawana wozów podjechała bliżej, wrota zostały ot-

497

warte i po chwili przekroczyli próg zamkniętego, zakazanego świata zenana. Był to świat kobiet i ich potomstwa oraz strzegących ich eunuchów. Żaden dorosły mężczyzna poza księciem nie miał tu wstępu, chyba że ryzykując życie.

Zaraz za bramą powitało przybyłych zgromadzenie kobiet i dzieci. Większość z nich nigdy nie była poza obrębem tych klasztornych murów i każdą odmianę przyjmowała z radością. Wszyscy trajkotali i pokrzykiwali z ekscytacji, otaczając ciasno wozy, żeby się przyjrzeć ich pasażerom i wypatrzeć wśród nich obcą twarz.

- Tutaj jest!

- To Frank! Naprawdę!

- Czy ma czerwoną głowę? Nie może być!

W zamknięciu haremu kobietom wolno było chodzić bez czadorów. Księżę mógł wybierać do woli wśród dziewcząt królestwa, toteż w większości były bardzo młode i urodziwe. Ich karnacja obejmowała wszelkie odcienie, od czerni i brązów, poprzez złote i burszynowe, aż do łagodnej, maślanej żółci. Wokół nich skakały rozbawione i podniecone dzieci. Najmłodsze popłakiwały w objęciach mamek, wystraszone gwarem.

Kobiety, paplając bez ustanku, przepychały się jak najbliżej Doriana, a gdy zeskoczył z wozu, podażyły za nim. Kusz poprowadził chłopca i Tahę labiryntem dziedzińców i wewnętrznych ogrodów. Szli po dekoracyjnych mozaikach i pod bogato zdobionymi arkadami. Wciśnięte w tynk morskie muszle tworzyły na ścianach skomplikowane wzory. Sadzawki porastały trzciny i kwitnące lotosy. Pod wodą śmigwały barwne jak klejnoty ryby, a nad powierzchnią uwijały się ważki i jaskrawo upierzone zimorodki.

Niektóre ze starszych dzieci tańczyły wokół Doriana, zaczepiając go i przezywając.

- Niewierny białasek!

- Zielone oczy, diabła oczy!

Kusz udawał, że je odpędza długą trzcinową laską, lecz robił to z uśmiechem i bez większego przekonania. Szybko opuścili bogatą część zenana i znaleźli się w bardziej zaniedbanej, za głównym kompleksem budynków. Ogrody były tu zapuszczone, ściany w zaciekach i dawno niemalowane. Minęli kilka ruin, porośniętych tropikalną roślinnością, i zatrzymali się przed

498

podniszczoną kwaterą mieszkalną. Kusz otworzył nieduże, lecz solidne drzwi i wpuścił ich do środka. Znaleźli się w sporym pokoju, dość ciemnym i niezbyt czystym. Miał okopcone ściany, a podłogę pokrytą pyłem i odchodami gekonów i szczurów.

Eunuch zamknął za nimi drzwi, przekręcając w zamku masywny klucz. Tahę krzyknęła do niego przez zakratowany otwór:

- Dlaczego nas zamykasz? Nie jesteśmy przestępcami, czemu traktujesz nas jak więźniów?

- Potężny książę Abd Muhammad al-Malik kazał mi pilnować, żeby dzieciak nie uciekł.

- Nie ucieknij! Dokąd miałyby się udać?

Kusz, ignorując jej protest, oddalił się, a wraz z nim tłum gapiów. Kilkoro dzieci jeszcze drażniło się z nimi przez kratę, ale szybko się znużyły i pobiegły za resztą.

Kiedy gwar ucichł, Tahę z Dorianem zaczęli oglądziny swego mieszkania. Poza głównym pokojem były tu jeszcze sypialnie i niewielka kuchnia z otwartym paleniskiem. Obok znajdowała się łaźnia z pochyłym odpływem w wyłożonej kafelkami podłodze, a za nią latryna, w której stały wiadra z pokrywami.

Umeblowanie było skąpe: trzcinowe maty do spania i dywany z szorstkiej wełny. W kuchni znaleźli trochę garnków i dzbanów na wodę; jeść mieli i tak palcami, na modłę arabską. W kącie stał duży ceramiczny zbiornik na deszczówkę, pełen świeżej wody.

Dorian przyjrzał się otworowi w suficie kuchni, służącemu do odprowadzania dymu.

- Mógłbym tamtędy wyjść bez trudu - rzekł z przechwałką w głosie.

- Kusz stłukłby cię swoim kijem - przestrzegła go Tahę. - Więc ani się waż. Chodź, pomożesz mi posprzątać ten chlew.

Wzięli się do roboty. Zamietli gliniane podłogi trzcinowymi miotłami, a potem wypolerowali je połówkami kokosów. Tahę zaczęła objaśniać chłopcu reguły życia w zenana.

To był jej cały świat. Odkąd została porzucona przez męża, spędzała życie w obrębie murów i znakomicie się orientowała w sprawach tej zamkniętej społeczności. W ciągu następnych dni dzieliła się swą wiedzą z młodym Anglikiem. Księżę al-Malik miał nieco ponad trzydziestkę. Jego starszy

499

brat, kalif, ze względu na sukcesję nie pozwalał mu się ożenić aż do dwudziestego roku życia, toteż najstarszy syn księcia był tylko trochę starszy

od Doriana. Na imię miał Zajn al-Din i również nie osiągnął jeszcze dojrzałości. Mieszkał wciąż z matką w zenana.

- Zapamiętaj to imię - mówiła Tahī. - Najstarszy syn to bardzo ważna osoba. Zaczęła następnie wymieniać innych męskich potomków księcia, urodzonych przez jego liczne żony i konkubiny, lecz było ich tak wielu, że chłopiec nie próbował nawet zapamiętywać imion. O dziewczętach opiekunka w ogóle nie wspomniała; one bowiem nic nie znaczyły.

Przez następne tygodnie wydawało się, że księżę zapomniał o swoim młodym rudowłosym niewolniku. Zza murów zenana nie docierały do nich żadne wieści. Codziennie, pod bacznym spojrzeniem paciorkowatych oczu Kusza, niewolnice przynosiły im posiłki złożone z ryżu, mięsa i ryb, a zabierały odpadki i pełne kubły z latryny. Poza tym jednak byli zdani na własne towarzystwo.

Największy pokój miał okratowane okna, wychodzące na fragment ogrodu.

Rozpraszali więc nudę, obserwując przechodzących tamtędy innych mieszkańców haremu.

Pewnego razu Tahī pokazała Dorianowi Zajna al-Dina. Był to duży, otyły chłopiec, wyższy od swego rodzeństwa. Miał karmelową karnację i wydęte, jakby z irytacji, usta, a pociemniała skóra wokół jego oczu wyglądała jak sińce.

- Zajn jest strasznym łasuchem - wyjaśniła Tahī.

Wewnętrzzną stronę łokci i kolan księżęcego potomka pokrywały całe połacie potówek, chodził zaś na szeroko rozstawionych nogach, gdyż piekła go skóra ocierających się o siebie tłustych ud.

Otaczał go zawsze rój młodszego rodzeństwa. Pewnego ranka Dorian zobaczył, jak cała czereda goni po ogrodzie małego chłopca, zapędzając go w narożnik muru.

Dzieci zaciągnęły go przed Zajna, który sam nie brał udziału w pościgu, lecz dogonił je swym kaczym chodem, kiedy było po wszystkim. Tahī też to widziała; wyjaśniła Dorianowi, że dzieciak jest synem jednej z ostatnich nałożnic księcia, a tym samym łatwym celem ataków najstarszego syna pierwszej żony.

Dorian doskonale pamiętał z High Weald, co znaczy prawo pierwotnego w wydaniu Williama, i od razu opowiedział się sercem po

500

stronie słabszego. Zajn właśnie wykręcał mu uszy, zmuszając do klęknienia.

Chłopiec płakał ze strachu.

- Za karę zostaniesz moim koniem - powiedział Zajn, popychając go, by chodził na czworakach, i dosiadając na oklep jak wierzchowca. W ręce miał bacik z palmowej gałązki. - Biegnij, koniu! - zawołał, przeciągając sprężystą witką po pośladkach ofiary. Maluch zawył z bólu i pomaszerował na rękach i kolanach z grubasem na grzbiecie.

Reszta dzieci ruszyła za nimi, podskakując i naigrawając się z nieszczęsnego rumaka. Kiedy przystawał, przyłączały się do bicia, odłamując w tym celu gałązki z najbliższych krzewów. Któryś podkasał koszulę chłopca, obnażając jego pośladki, pokryte ciemnymi pręgami. Objechali tak trawnik dwukrotnie.

Dzieciak płakał rzewnymi łzami. W końcu załamał się pod ciężarem oprawcy i legł ze szlochem w trawie. Kolana miał otarte do krwi. Zajn wymierzył mu na pożegnanie kopniaka i odszedł, a inni za nim. Chłopiec podniósł się w końcu i pokuśtykał w drugą stronę.

- To świnią - powiedział Dorian z gniewem. - Tchórz, który znęca się nad słabszymi. - Nie znalazł arabskiego odpowiednika i mówił po angielsku. Tahī wzruszyła ramionami. - W Koranie napisano, że silniejsi powinni opiekować się słabszymi - wrócił do jej języka.

- Nie mów tego Zajnowi al-Dinowi - przestrzegła go. - Nie spodoba mu się to.

- Już ja bym się na nim przejechał! Przekonałby się, jak to przyjemnie. Tahī zrobiła gest, mający chronić od nieszczęścia.

- Nawet tak nie myśl - powiedziała. - Obchodź Zajna z daleka. - To mściwy chłopak. Na pewno i tak cię znienawidzi za to, że cieszysz się względami księcia. Może nam bardzo zaszkodzić. Nawet Kusz się go boi; to Zajn przecież pewnego dnia będzie księciem.

Przez kilka następnych dni wyjaśniała chłopcu hierarchię obowiązującą w haremie. Księżciu wolno było, zgodnie z dekretem Proroka, mieć cztery żony. Mógł jednakże rozwodzić się i żenić do woli, a liczba nałożnic, z którymi mógł sobie używać,

była nieograniczona. Żony, z którymi się już rozwiódł, lecz które dały mu potomka, pozostawały w zenana.

W obrębie murów mieszkało więc niemal pięćdziesiąt kobiet.

501

Pięćdziesiąt pięknych, nudzących się i sfrustrowanych niewiast, które nie miały nic do roboty poza knuciem podszytych zazdrością intryg i prowadzeniem swarów. Była to zamknięta społeczność, podzielona subtelnie na liczne odłamy i obozy. Wszystkimi rządził Kusz i to od jego łaski bądź niełaski zależało szczęście i pomyślność każdego z domowników. Następane w hierarchii były cztery obecne żony księcia, a po nich aktualna jego faworyta, z reguły bardzo młoda dziewczyna, dziecko niemal, której gwiazda najczęściej szybko gasła. Pozostałe kobiety - nałożnice i byłe żony - toczyły nieustanne spory i walki podjazdowe, by zająć w tym porządku jak najkorzystniejszą pozycję.

- To bardzo ważne, żebyś się orientował w tych sprawach, al-Amharo - tłumaczyła Tahi. - Ważne dla nas obojga. Ja się tu w ogóle nie liczę, jestem zaledwie ubogą niańką i sługą. Nie mam jak cię chronić, a kiedy zniknę, nikt nie będzie za mną tęsknił.

- A dokąd się wybierasz? - zaniepokoił się Dorian. Polubił bardzo swoją opiekunkę i bał się, że może zostać z nią rozdzielony. - Ja będę tęsknił za tobą na pewno.

- Nigdzie się nie wybieram, maleńki - zapewniła go. - Lecz tu, w zenana, ludzie łatwo umierają. Szczególnie ci nic nie znaczący, jeżeli zdarzy im się wejść w drogę stojącym wyżej od nich.

- Nie martw się, ja cię obronię - powiedział chłopiec stanowczo i przytulił ją.

- Już się czuję bezpieczniejsza - ukryła przed nim uśmiech rozbawienia. - Ale nie wiemy jeszcze, jaką w istocie zajmujesz pozycję. Wygląda na to, że książę darzy cię pewnymi względami, a jednak niczego nie możemy być pewni. Czemu pozwolił, żeby Kusz nas zamknął i traktował jak zwierzęta w klatce? Dlaczego cię nie wzywa do siebie? Czyżby zapomniał o tobie? - Z ciężkim westchnieniem odwzajemniła uścisk.

- A może książę nie wie, że Kusz tak się z nami obszedł? - zastanawiał się Dorian.

- Kto wie - zgodziła się. - Musimy więc czekać. Tymczasem bądź ostrożny, al-Amharo, bardzo ostrożny.

Mijały dni. Podniecenie wywołane ich przyjazdem stopniowo wygasło. Nikt nie zaglądał już przez kratę w drzwiach, a dzie-

502

ciaki pod wodzą Zajna al-Dina znudziły się wykrzykiwaniem wyzwisk pod oknami i znalazły sobie inne zajęcie. Dorian coraz bardziej cierpiał z powodu zamknięcia. Gdy tylko słyszał krzyki i piski dzieci bawiących się w ogrodzie i goniących się ze śmiechem po podwórzu ich zapuszczonej kwatery, podbiegał do okna, żeby się im przyglądać. Jedynie to rozpraszało nieco jego samotność i poczucie izolacji. Czuł się nie lepiej niż w więzieniu al-Aufa na Flor de la Mar, kiedy zakuto go w kajdany.

Któregoś ranka, kiedy perłowe światło nowego dnia zaczęło sączyć się przez wysokie okna, leżał nagi na swojej macie, odrywając zębami zewnętrzne twarde włókna z kawałka trzciny cukrowej. Nagle przestał, słysząc czyjś śpiew w ogrodzie. Głosik był słodki, dziewczęcy, choć piosenka głupia - jakaś dziecięca rymowanka o słodkich daktylach i głodnej małpie. Leżał leniwie i słuchał jej jednym uchem, ssąc słodki sok i wypluwając włókna.

Wtem rozległ się przenikliwy, charakterystyczny jazgot małpy. Śpiewaczka przerwała w pół słowa i zaniosła się perlistym śmiechem. Zaintrygowany tymi odgłosami, Dorian wstał i wyjrzał na dwór. Zobaczył małą dziewczynkę siedzącą samotnie na obrzeżu lotosowej sadzawki pod oknem.

Siedziała tyłem do niego, z opadającymi na plecy długimi włosami. Były niemal kruczoczarne, lecz wśród grubych splotów przewijało się srebrne pasmo. Chłopiec nie widział nigdy czegoś takiego i patrzył zafascynowany.

Dziewczynka ubrana była w zieloną haftowaną bluzeczkę bez rękawów i workowate białe szarawary. Nogi podwinęła pod siebie i widział podeszwy jej stóp, pomalowane henną na jasnoimbirowy kolor. W ręce trzymała słodzonego daktyla a przed nią na trawie tańczyła na tylnych łapach małpka, koczokodan. Kiedy

dziewczynka dawała jej znak ręką, mała popiskiwała głośniej, tańcząc w kółko, a mała treserka zanosila się od śmiechu.

W końcu podała zwierzęciu słodycz, wołając:

- Chodź tu, Dżinni!

Mała wskoczyła jej na ramię i wyjęła daktyl z dłoni. Wetknawszy go sobie do pyska, zaczęła iskać włosy swej pani chudymi czarnymi palcami, jakby szukała pcheł. Dziewczynka pogłaskała ją po białym puchatym brzuszku i wróciła do przerwanej piosenki.

503

Nagle mała spojrzała w górę i zobaczyła w oknie głowę Doriana. Zeskoczyła z piskiem z ramienia dziewczynki i wspięła się na ścianę. Wisząc na parapecie, wsunęła łapkę przez kratę, wnętrzem do góry jak żebrak, chcąc wyłudzić od chłopca słodką trzcinę.

Dorian roześmiał się, a zwierzę wyszczerzyło doń zęby i pochyliwszy głowę, próbowało ukraść trzcinę, robiąc przy tym miny i szwargocąc po swojemu.

Dziewczynka ujrawszy ich, zawołała:

- Każ jej zrobić sztuczkę. Nie dawaj, dopóki nie zrobi! - Ona też miała śmieszna, nieco małpią twarzyczkę i oczy o barwie dewońskiego miodu z kwitnących wrzosów. - Pokaż jej tak ręką - zademonstrowała mu gest, a mała na ten widok wykonała zwinnie salto do tyłu. - Niech skoczy trzy razy - zaklaskała w dłonie. - Dżinni musi skoczyć trzy razy!

Po trzecim skoku Dorian dał zwierzakowi swój kawałek trzciny. Koczkodan popędził z nim przez trawnik, na czworakach i z wysoko uniesionym ogonem, i wspiął się na najwyższą gałąź tamaryszkowego drzewka. Usiadł, żując słodycz, a sok kapał mu po brodzie.

- Wiem, kto ty jesteś - powiedziała rezolutnie dziewczynka, wpatrując się w chłopca wielkimi brązowymi oczami.

- No kto?

- Al-Amhara, niewierny.

Dorianowi nie przeszkadzało dotąd, że tak go nazywają, lecz teraz nagle go to zezłościło.

- Naprawdę nazywam się Dorian, ale możesz mi mówić Dorry. Tak mówią na mnie bracia.

- Doui - powtórzyła, nie umiejąc wymówić "r". - Dziwne imię, ale mogę cię tak nazywać, jak chcesz. Doui.

- A ty jak masz na imię? - zapytał.

- Jasmini. To znaczy "kwiat jaśminu". - Zerwała się z miejsca i podeszła bliżej, przyglądając mu się z powagą i przejęciem. - Naprawdę masz czerwone włosy. Myślałam, że oni mnie nabierają. - Przechyliła główkę. - Są bardzo ładne. Mogłabym ich dotknąć?

- Nie - skwitował krótko Dorian, ale ona wcale się nie obraziła.

- Bardzo mi ciebie szkoda - oznajmiła.

- Dlaczegoż to? - zdziwił się.

504

- Bo Zajn powiedział, że jesteś niewierny, nie byłeś obrzezany i nigdy nie wpuszczą cię do Ogrodów Raju.

- My mamy swoje własne niebo, nie potrzebujemy waszego - odparł hardo. Wzmianka o dolnych rejonach jego ciała nieco go zaniepokoiła.

- A gdzie to jest? - dopytywała się Jasmini. Pograżyli się w dyskusji na temat zalet obu rajów.

- Nasz się nazywa džannat. Allah powiedział: Dla moich prawych sług przygotowałem miejsce, jakiego oko nie widziało, o którym ucho nie słyszało, a umysł ludzki pojąć nie zdoła.

Dorian zamilkł, nie mogąc wymyślić odpowiedniej riposty. Wspaniałości džannat trudno mu było coś przeciwstawić, zmienił więc temat na taki, w którym czuł się pewniejszy.

- Mój ojciec ma w Anglii pięćdziesiąt koni. A twój ile ma?

Jasmini przychodziła odtąd każdego ranka. Siadała z małpką na ramieniu pod oknem Doriana i słuchała jego opowieści z błyszczącymi miodowymi oczami. Chłopiec próbował jej wyjaśnić, co to jest lód, jak wygląda śnieg padający z nieba i dlaczego Anglik może mieć tylko jedną żonę. Mówił o włosach kobiet w swoim

kraju, barwy złotych bransoletek na kostkach dziewczynki, albo czerwonej jak jego własne; o tym, że zwijają je w loki gorącym żelazem, a mężczyźni gola brody i głowy i noszą peruki. Opowiadał o kolorach sukni angielskich kobiet i o tym, że nie noszą one spodni jak Arabki, lecz są pod spodem gołe.

- To straszne prostactwo - rzekła Jasmini, sznurując usta. - A czy to prawda, co mówi Zajn, że jecie nawet mięso świni?

- Ma taką chrupiącą skórkę, kiedy jest dobrze przypieczone - chciał ją jeszcze bardziej zaszokować Dorian. - Aż trzeszczy w zębach.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i udawała, że wymiotuje.

- To obrzydliwe. Nic dziwnego, że nie będziecie wpuszczeni z nami do rajy.

- I nie myjemy się pięć razy dziennie, tak jak wy. Czasami nawet nie myjemy się przez całą zimę. Jest wtedy za zimno - poinformował ją Dorian z upodobaniem.

- Wobec tego musicie śmierdzieć jak te śwynie, które zjadacie.

505

Jasmini nie miała pojęcia o sprawach tego świata, lecz w kwestiach życia w zenana okazała się prawdziwym ekspertem. Jej matka była jedną z byłych żon księcia, a ponieważ urodziła prócz niej jeszcze dwóch synów, w dalszym ciągu cieszyli się łaskami al-Malika.

- Gdyby miała tylko mnie, to byłoby zupełnie inaczej, ponieważ ja jestem tylko dziewczynką, a mój ojciec nie lubi córek - oznajmiła rzeczowym tonem, bez cienia żalu nad sobą. - Ale moja matka pochodzi z królewskiej rodziny. Jest siostrzenicą Wielkiego Mogoła, to znaczy, że cesarz jest jakby moim dziadkiem - rzekła z dumą.

- Jesteś więc księżniczką?

- Tak, ale niezbyt ważną - jej szczerość była rozbijająca. - Widziałeś to srebrne pasemko w moich włosach? - Zakręciła się w piruecie, żeby je zaprezentować. - Moja matka też ma takie, i dziadek także. To oznaka królewskiej krwi.

Kiedy mu tłumaczyła relacje pomiędzy dziećmi, chłonał jej słowa z większą uwagą niż wyjaśnienia Tahi.

- Zajn al-Din to mój przyrodni brat, ale go nie lubię. Jest tłusty i okrutny - mówiła Jasmini, przyglądając się chłopcu w zamyśleniu. - Czy to prawda, że mój ojciec cię usynowił?

- Prawda.

- W takim razie ty też jesteś moim bratem. Chyba cię lubię bardziej niż Zajna, chociaż jesz świńskie mięso. A ty mnie lubisz, al-Amharo? Zajn mówi, że jestem podobna do Dżinnie-go - pogłaskała małąkę na swoim ramieniu. - Czy też uważasz, że wyglądam jak mała?

- Jesteś bardzo ładna - zapewnił ją kurtuazyjnie, a ona uśmiechnęła się, szczerze ucieszona.

- Matka powiedziała mi, że ksiązę wyjechał spotkać się z wujem, kalifem Maskatu - poinformowała go.

- A kiedy wróci? - zapytał szybko Dorian. To był najpewniej powód, dla którego zostali z Tahi potraktowani tak podle. Ksiązę nie chronił ich, bo go nie było. - Czy na długo wyjechał?

- Matka mówiła, że może nawet na rok albo i dłużej. - Jasmini przyglądała mu się uważnie, przechylając na bok głowę. - Skoro naprawdę jesteś moim bratem, ojciec pewnie zabierze cię kiedyś na przejażdżkę i polowanie z sokołem. Szkoda, że nie jestem chłopcem, pojechałabym z tobą. - Ze-

506

skoczyła z ogrodzenia sadzawki. - Muszę już iść, żeby mnie Kusz nie złapał. Zabronił nam rozmawiać z tobą. Jeśli się dowie, może mnie zbić.

- Przyjdź znowu jutro - powiedział Dorian, starając się, żeby nie brzmiało to jak prośba.

- Zobaczę. - Jasmini pobiegła przez trawnik z płaczącą się pod jej nogami małąką. Po drodze obejrzała się raz przez ramię.

Kiedy zniknęła, Dorian stał jeszcze w oknie, patrząc na kołujące w górze mowy, nasłuchując odległego szumu przyboju bijącego o brzeg i myśląc desperacko o ucieczce. Roił, jak wspina się przez otwór w suficie kuchni, jak się wdrapuje na zewnętrzny mur i znajduje na plaży jakąś łódkę. No i dokąd bym popłynął? -

zapytał sam siebie w myśli i marzenie przysło. Muszę poczekać na Toma - raz jeszcze ustąpił przed nieubłaganym losem.

Pewnego dnia rano Kusz zjawił się, pobrzękując pękiem kluczy, i zawołał swoim piskliwym głosem:

- Tahī, masz przygotować chłopca do odwiedzin u świątobliwego mułły. - Rzucił na ziemię naręcze czystych ubrań. - Przyjdę po niego po południowych modłach. Ma być gotowy albo każę cię wybatożyć do krwi.

Dorian wsiadł do wozu, czekającego przed bramą zenana, podekscytowany i uradowany, że wreszcie ma okazję wyjścia z ponurego zamknięcia. Tahī musiała zostać, lecz także jej pozwolono posiedzieć na słońcu w ogrodzie podczas jego nieobecności.

Kusz jechał obok chłopca na przednim siedzeniu, uśmiechając się ujmująco i dotykając go pieszczotliwie.

- Jak ładnie wyglądasz w tej szacie - powiedział. - Jest w najlepszym gatunku, z najprawdziwszego jedwabiu! Widziałeś hafty na kołnierzu? Książę al-Malik ma dokładnie taką samą. Wybrałem ją specjalnie dla ciebie. Widzisz, jak ci dogadzam?

Im bliżej byli pałacu, tym bardziej robił się niespokojny i tym przymilniejszy stawał się jego ton.

- Zjedz sobie kilka tych ciasteczek. Cynamonowe, moje ulubione. Będą ci smakowały. Chcę ci sprawić przyjemność, al-Amharo.

507

Mś.yB

Kiedy ujrzeli biały masyw fortu, Kusz w bardziej bezpośrednich słowach ujawnił, o co mu chodzi.

- Gdy al-Allama, błogosławione niech będzie jego święte imię, zapyta, jak cię traktowałem, masz mu powiedzieć, że byłem ci jak ojciec, rozumiesz? Że przynosiłem ci najlepsze jedzenie, świeżutkie ryby i najdorzodniejsze owoce.

- I że trzymałeś mnie w dusznym, śmierdzącym zamknięciu jak przestępcę? - zapytał Dorian niewinnym głosem.

- To nieprawda. Być może trochę za bardzo przejmowałem się twoim bezpieczeństwem, nic ponadto. - Choć się uśmiechał, oczy eunucha były zimne jak u węża. - Nie przysparzaj mi kłopotów, dzieciaku niewiernych - ostrzegł. - Lepiej mieć we mnie przyjaciela niż wroga; ta tłusta maciora Tahī powie ci to samo.

Wysiedli z wozu na zewnętrznym dziedzińcu fortu. Kusz wziął Doriana za rękę i poprowadził labiryntem korytarzy. Kilkakrotnie wchodzili po schodach i wreszcie znaleźli się na tarasie górującym nad portem. Widać stąd było kanał, a za nim Afrykę.

Chłopiec rozejrzał się podniecony. Z rozkoszą patrzył znów na morze i czuł na twarzy świeży, słonawy powiew monsunu, wywiewający mu z głowy stęchłe powietrze zenana. Od razu spostrzegł mułłę i pokłonił mu się z szacunkiem, dotykając ust i serca.

- Niechaj cię Allah obdarza radością, dziecińo - uśmiechnął się duchowny.

Obok niego siedział po turecku jeszcze ktoś, skryty przed słońcem pod bambusowym parasolem. Mężczyzna popijał mocną czarną kawę z filiżanki, a tuż pod ręką miał wysokie szklane nargile.

- Salam alejkum, ojczu - powitał go Dorian uprzejmie.

Gość mułły podniósł głowę i spojrzał na niego. Serce chłopca podskoczyło z radości, a twarz rozjaśnił uśmiech. Podbiegł do mężczyzny i uściskał go serdecznie.

- Ben Abram! - zakrzyknął. - Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę! Że zostałeś na wyspie z al-Aufem!

Stary doktor łagodnie uwolnił się z jego objęć i przyglądał zmierzwioną brodę. Wolał, żeby obcy nie orientowali się, jak bliska zażyłość łączy go z chłopcem.

- Pokaż no mi się - odsunął Doriana na długość ramienia, a kiedy przyjrzał się jego twarzy, zrobił surową minę. - Wy-

508

glądasz blado. Co to się z tobą działo, mój chłopcze? - Ben Abram odwrócił się i spojrzał na Kusza, czekającego niespokojnie na skraju tarasu. - To ty się zajmowałeś tym dzieckiem, czyż nie? - zapytał. - Coś ty z nim zrobił, eunu-chu?

- Poza zenana Kusz był jedynie niewolnikiem, w dodatku wykastrowanym. Doktor nie próbował nawet ukrywać swej pogardy dla niego.

- Niech Allah i wszyscy święci będą mi świadkami! - zakrzyknął Kusz. Trzęsła mu się broda, a na czoło wystąpił pot. - Dbałem o niego jak o samego siebie. Karmiłem go należycie i rozpieszczałem, jakby był prawowitym synem naszego władcy.

Ben Abram spojrział pytająco na Doriana, wiedząc, że jedynie od niego usłyszy prawdę.

- Zamknął mnie pod kluczem w obskurnym pokoju, gdy tylko przybyliśmy - powiedział chłopiec. - Dawał nam świńskie pomyje do jedzenia i nie pozwalał mi przez cały ten czas rozmawiać z nikim poza moją opiekunką.

Ben Abram spojrział zimno na Kusza. Eunuch padł na kolana.

- Wypełniałem wyłącznie polecenie księcia, czcigodny. Kazał mi pilnować, żeby dzieciak nie uciekł.

- Księżę zapłacił lakh rupii w złocie za tego chłopca i oficjalnie ogłosił go swym przybranym synem - odrzekł starzec łagodnym głosem, w którym pobrzmiwała ukryta groźba. - Kiedy Jego Księżęca Wysokość powróci z Maska-tu, nie omieszkam go poinformować, jak traktowałeś jego syna.

- Wypełniałem tylko mój obowiązek, łaskawy panie - bełkotał Kusz.

- Dobrze wiem, jak wypełniasz ten obowiązek wobec niektórych dzieci i kobiet oddanych ci pod opiekę, eunu-chu... - Ben Abram zawiesił znacząco głos.

- Czasami do moich obowiązków należy także karanie za nieposłuszeństwo wobec rozkazów naszego pana - odparł nadzorca.

- Pamiętam pewną dziewczynę imieniem Fatima - mruknął starzec.

- To była dziwka i nierządnicą - tłumaczył się Kusz.

- Miała szesnaście lat i była zakochana.

- Spotykała się z rozpustnym wieprzem, który przekradał się do niej przez mur zenana]

509

g&iiiiiy^^^^^^^l

- Ten młodzieniec był żołnierzem, oficerem gwardii królewskiej - poprawił go doktor.

- To był mój obowiązek, panie. Nie chciałem jej zabić, tylko dać nauczkę i przestrzec innych.

Ben Abram uciszył gestem dalsze zapewnienia Kusza o jego niewinności.

- Posłuchaj mnie, eunuchu, i zapamiętaj dobrze - powiedział. - Jeżeli tego chłopca spotka w przyszłości jeszcze jakaś krzywda... Nie! Jeśli nie będziesz go traktował z największym staraniem, dopilnuję, byś wrzeszczał głośniejsze niż nieszczęsna Fatima.

Al-Allama słuchał tego wszystkiego uważnie. Teraz przemówił:

- Popieram każde słowo Ben Abrama. Dziecko i jego niańka mają otrzymać przyzwoite mieszkanie i najlepsze jedzenie. Nie wolno ci go zamykać i bez potrzeby zabraniać mu czegokolwiek. Ma mieć pełną swobodę, jak każdy syn księcia. Co drugi dzień będzie przychodził do mnie po nauki i wtedy wypytam go dokładnie, jak jest traktowany. A teraz zejdz mi z oczu - machnięciem ręki odprawił Kusza - i czekaj na al-Amharę na dole.

Cofając się w pokłonach, eunuch rzucił Dorianowi spojrzenie przepełnione jadem.

Ben Abram znowu przemówił do chłopca.

- Mam ci wiele do opowiedzenia, mój Lewku. Czy wiesz o bitwie, jaka się rozegrała na wyspie po twoim wyjeździe?

- Nie, nie! Nic nie słyszałem! Opowiedz mi wszystko, ojcze, proszę.

- Nie są to same dobre wieści - przestrzegł go doktor i zaczął cichą opowieść.

Dorian słuchał go w napięciu, wydając okrzyki triumfu i ekscytacji, gdy się dowiedział o zdobyciu twierdzy i o zabiciu Jangiriego przez Toma.

- Al-Auf był potworem. Jestem dumny z mojego brata! - zawołał. - Jaka szkoda, że tego nie widziałem. - Rozplakał się jednak, usłyszawszy o ranach ojca i utracie przezeń obu nóg. - Czy on nie żyje? Powiedz mi, Ben Abramie, powiedz, że nie umarł!

- Prawdę mówiąc, maleńki, nie wiem tego. Kiedy twój brat pozwolił mi opuścić wyspę, wasz ojciec żył. Zdaje się, że brat zamierzał zawieźć go do domu, do Anglii.

- Do Anglii? - przeraził się Dorian. - To tak daleko! Może już nigdy tu nie wrócić. Czy Tom mnie porzucił? - Oczy wezbrały mu łzami, które potoczyły się niepowstrzymanym strumieniem po policzkach.

Ben Abram ujął chłopca za ręce i stwierdził, że wstrząsają nim dreszcze jak w gorączce.

- Twój brat to przyzwoity człowiek, prawy i honorowy. Okazał mi wiele dobroci - powiedział.

- Ale jeżeli popłynął do Angli... - chłopiec przerwał, przełykając łzy - to zapomni o mnie! Nigdy już nie zobaczę mojej rodziny!

- Stanie się według woli Boga. Na razie jesteś synem księcia i musisz się stosować do jego życzeń. - Stary lekarz pochylił się ku niemu i rzekł z naciskiem: - Masz słuchać świątobliwego al-Allamy. Wrócił właśnie z Maskatu i na polecenie Jego Wysokości ma ci udzielić nauk i wskazówek.

Ben Abram, wychylając niezliczone filiżanki kawy i pociągając nargile, przysłuchiwał się potem pouczeniom religijnym, przekazywanym chłopcu przez mułkę w tej najgorętszej porze dnia. Raz czy dwa wtracił komentarz lub pytanie, lecz poza tym słuchał w milczeniu. Jego obecność dodawała Dorianowi otuchy.

Wreszcie, gdy cienie palm na plaży w dole wydłużyły się znacznie, Ben Abram poprosił mułkę o pobłogosławienie chłopca i odprowadził go do wozu, w którym Kusz czekał od kilku godzin, by zawieźć go do zenana.

Stary doktor zatrzymał się poza zasięgiem słuchu eunucha i powiedział półgłosem:

- Będę się starał widywać cię tak często, jak się da; zawsze gdy przyjdiesz na nauki do mułki. Twój brat okazał mi wielką dobroć - zniżył głos do szeptu. - Gdyby nie on, zostałbym sprzedany jako niewolnik razem z innymi. Dlatego obiecałem mu, że ci przekażę wiadomość. Nie mogłem jej powtórzyć w obecności mułki. Jest przeznaczona wyłącznie dla twoich uszu.

- Co to za wiadomość? Mów, stary ojczu, proszę!

- Mam ci przekazać, że twój brat nigdy nie sprzeniewierzy się świętej przysiędze, którą ci złożył. Czy ją pamiętasz?

- Obiecał, że po mnie wróci - szepnął Dorian. - To była przysięga na śmierć i życie.

511

- Tak, mój Lewku. Potwierdził ją przy mnie. Wróci po ciebie. Nie powinienem ci tego mówić, gdyż działał w ten sposób przeciwko interesom mego władcy. Nie chcę cię jednak pozbawiać pociechy, jaką dać mogą słowa brata.

- Teraz wiem, że Tom nigdy o mnie nie zapomni. - Dorian położył dłoń na rękawie starca. - Dzięki ci, Ben Abramie, że mi to powiedziałeś.

Groźby doktora i al-Allamy wywarły na Kuzsu piorunujące wrażenie. Nazajutrz Dorian i Tahi zostali przeniesieni do większego mieszkania w lepszej części zenana. Mieli teraz własny mały dziedziniec z fontanną, a Tahi przydzielono niewolnicę do pomocy w gotowaniu i cięższych pracach, takich jak wynoszenie kubłów z nieczystościami. Dorian otrzymał komplet nowej garderoby. Jego opiekunce pozwolono także wychodzić co dzień na spotkanie wozów wracających z miasta z zaopatrzeniem, by wybrać sobie najświeższe ryby, owoce i mięso.

Co ważniejsze, Dorian mógł teraz w ciągu dnia poruszać się swobodnie po całej zenana. Natomiast, mimo jego ciągłych utyskiwań, Kusz nie pozwalał mu wychodzić poza obręb murów, z wyjątkiem odwiedzin u mułki w forcie.

A jednak i to się zmieniło, kiedy poskarżył się Ben Abramowi. Od tej pory mógł buszować po porcie i całej wyspie, chociaż na polecenie Kusza towarzyszył mu wszędzie strażnik. Zakres swobody był tak wielki, że chłopca znów zaczęły nawiedzać myśli o ucieczce.

Plany, które snuł, były jednakże bardziej grą wyobraźni niż poważnym zamiarem. Próbował zaprzyjaźnić się z rybakami, odwiedzając plażę, do której przybijali. Przekonał się jednak, że Kusz uprzedził jego zamiary. Eunuch musiał przestrzec wszystkich mieszkańców wyspy, żeby nie rozmawiali z niewiernym. Z depreczającym mu po piętach strażnikiem chłopiec nie miał najmniejszej szansy na kradzież łodzi czy zwrócenie się o pomoc do któregoś z ludzi morza. W końcu zrozumiał daremność swych rojeń o ucieczce i zaczął więcej czasu spędzać w forcie. Starał się teraz nawiązywać znajomości wśród żołnierzy, stajennych z książęcych stajni i sokolników.

Jasmini przyjęła jego uwolnienie z zamknięcia z autentyczną radością, a kiedy tylko odkryła, że Kusz się temu nie sprzeciwia,
512

stała się istnym cieniem Doriana. Nie wolno jej było oczywiście wytknąć nosa poza zenana, lecz towarzyszyła chłopcu w ogrodach i była stałym gościem w jego i Tahī mieszkaniu.

Jej głosik i śmiech, zmieszane z paplaniną Dżinniego, wydawały się rozjaśniać ciemne pomieszczenia. Tahī uczyła ją gotować na dymiącym palenisku. Dla dziewczynki była to zupełna nowość, toteż zachwycało ją wszystko, co robi, a potem prezentowała swoje dzieła Dorianowi.

- Ugotowałam to specjalnie dla ciebie, Doui - piszczała. - Smakuje ci, prawda? - śledziła wzrokiem każdy kęs, który podnosił do ust. - Dobrze? Powiedz, że dobrze! Kiedy chłopiec opuszczał zenana, by pójść do portu, na plażę albo do twierdzy, usychała z tęsknoty. Wisiała u spódnicy Tahī, czekając na jego powrót, a kiedy stawał w drzwiach, jej małpia twarzyczka promieniała radością.

Z czasem to ślepe uwielbienie zaczęło ciążyć Dorianowi i wymykał się z zenana tylko po to, żeby od niej odpocząć. Często przebywał w stajniach, godzinami karmiąc, pojąc i oporządzając wspaniałe rumaki z książęcej stadniny. Potem mógł się za to przejechać na którymś z nich. Przypomniały mu się wszystkie nauki, otrzymane od ojca i starszych braci w High Weald. Stajenni wieczorami, kiedy się ochłodziło, grywali w pulu. Słowo to oznaczało w perskim piłkę. Gra była pasją królewskiego rodu Mogołów i od nich została przejęta przez Omańczyków. Piłeczkę wykonaną z obrobionego korzenia bambusa uderzano specjalnym bambusowym młoteczką na długim trzonku. Kiedy już główny koniuszy księcia przekonał się do Dorian, pozwolił mu dołączyć do młodszych chłopców, uprawiających się w grze na polu ćwiczebnym. Chłopiec uwielbiał ścisnąć nogami spocony grzbiet konia i galopować, pokrzykując w szalonej szarży przez pole, albo przepychać się w kotłowaniu jeźdźców podczas brutalnej walki o piłkę. Jego odwaga i zręczność zaczęły wkrótce budzić podziw starych wyjadaczy.

- Jeżeli Allah pozwoli, będzie z niego świetny jeździec - kiwali z uznaniem głowami.

Innym ulubionym miejscem Doriana była książęca ptaszarnia, gdzie trzymano w klatkach sokoły. Tu zachowywał się cicho i uważnie. Sokolnicy dostrzegli jego szczere zamiłowanie do pięknych ptaków i stopniowo zaczęli mu przekazywać swe doświadczenie i wiedzę. Nauczył się ich barwnego żargonu

513

i terminologii, a oni zabierali go czasami na północny kraniec wyspy, gdzie trenowali sokoły na skraju mangrowych mokradeł.

Czasem udawało mu się wymknąć spod kontroli strażnika i wyprawić na samotną włóczęgę po wybrzeżu. Znajdował jakąś otwartą grotę lub pustą plażę, gdzie mógł rozebrać się do naga i płynąć przez lagunę aż do raf. Gdy wracał, bliski wyczerpania, kładł się na białym piasku i patrząc ku południowi, wyobrażał sobie, jak zza widnokregu wyłaniają się białe żagle statku Toma.

Wracając do zenana, pamiętał, że czeka tam na niego Jasmini, i zawsze starał się przynieść jej jakiś drobny upominek, by uspokoić wyrzuty sumienia. Czasami było to pióro sokoła, kiedy indziej bransoletka upleciona z włosów z końskiego ogona lub naszyjnik z zebranych na rafach muszli.

- Jaka to szkoda, że nie mogę pójść z tobą - mówiła ze smutkiem. - Strasznie bym chciała popływać w morzu albo popatrzeć, jak jeździsz na koniu.

- Ale nie możesz i nic na to nie poradzimy - odpowiadał Dorian szorstko, żeby nie rozbudzać w niej niepotrzebnych nadziei.

Zaczął już uzmysławiać sobie, jak będzie wyglądało przyszłe życie dziewczynki. Poza nim samym nie pozna już prawdopodobnie bliżej nikogo przeciwnej płci, z wyjątkiem członków rodziny. Niedługo i ta znajomość się skończy, bo oboje byli już na progu dojrzałości. Kiedy Jasmini stanie się kobietą, wydadzą ją za męża. Wiedział od Tahī, że męża wybrano jej, gdy miała zaledwie cztery lata.

- Ma poślubić jednego z kuzynów z kraju Wielkiego Mo-goła za morzem, dla wzmocnienia więzi obu królewskich domów - powiedziała opiekunka, obserwując, jak na twarzy chłopca odbijają się emocje na myśl o tym, że jego mała towarzysza znajdzie się w obcym kraju, w domu zupełnie jej nieznanego człowieka.

- Ona jest moją siostrą. Nie chcę, żeby wyjeżdżała - wykrzyknął impulsywnie, sam zadziwiony swoją głęboką troską o los dziewczynki.

- Dla ciebie to i tak będzie bez znaczenia - odparła Tahī brutalnie, maskując tym ostrym tonem własne współczucie. - W ciągu najbliższego roku sam zmienisz się w mężczyznę. Kusz nie przegapia nigdy tego momentu. Wtedy opuścisz zenana na 514

zawsze. Nawet gdyby Jasmini nie wyjechała, od tego dnia nigdy już byś nie ujrzał jej twarzy. Najlepiej, będzie dla was obojga, gdy wasza przyjaźń skończy się raz a dobrze. Jak cięcie noża, które uczyni z ciebie mężczyznę.

Wzmianka o nożu zafrasowała Doriana. Słyszał rozmowy innych chłopców o rytuale obrzezania i ich prostackie żarty na ten temat. Nigdy jednak nie myślał w tym kontekście o sobie. A teraz Tahī uświadomiła mu bez ogródek całą prawdę.

- Nie jestem muzułmaninem - zaprotestował - i nie mogą mi tego zrobić!

- Jeśli się nie pozbędiesz tego kawałeczka skóry, nigdy nie znajdziesz żony - ostrzegła go.

- Nie potrzebuję żadnej żony i nie chcę, żeby mi cokolwiek obcinali! - Strach przed operacją pogłębiły dodatkowo wyrzuty sumienia z powodu konieczności pozostawienia Jasmini na łasce losu. - Jak ona sobie beze mnie poradzi? - martwił się. - Przecież to jeszcze dziecko.

Któregoś dnia wrócił z włóczędzy po wyspie dopiero po południu, kiedy skończyły się modły. Włosy miał mokre i sztywne od słonej wody. Tahī siedziała w kucki przy ogniu, a kiedy wszedł, spojrzała na niego bacznie. Z cierpiennym wyrazem twarzy zaczął odpowiadać na jej pytania, gdzie był i co robił, ujawniając tylko te szczegóły, które musiał. Potem rozejrzał się od niechcienia po kuchni.

- A gdzie Jasmini? - zapytał takim tonem, jakby nie zależało mu na odpowiedzi.

- Była tu aż do modłów, a potem poszła do Battuty, która ma nowe zwierzątko, chyba siwą papugę - odparła opiekunka.

Dorian sięgnął jej przez ramię i porwał z paleniska gorący praśny placek.

- To jest na obiad! - trzepnęła go po ręce. - Oddaj natychmiast!

- Oby Prorok otworzył przed tobą wrota miłosierdzia, Tahī.

Dorian ze śmiechem uciekł do ogrodu, łamiąc placek i na-pychając sobie usta. Miał dla Jasmini podarunek, dużą spiralną muszlę o opalizującym różowym wnętrzu. Wiedział, gdzie szukać dziewczynki. We wschodniej części ogrodów znajdował się zrujnowany grobowiec, wzniesiony przed niemal dwustu laty ku czci jednego z islamskich świętych. W środku

515

czytać: "Abd Allah Muhammad Ali zmarł w 120 roku Proroka".

Grobowiec wieńczyła wysoka kopuła z blaszonym półksiężycem, zielonym od śniedzi. Poniżej znajdował się taras do modlitwy, otwarty w stronę świątyni Kaaba w Mekce. Stał na nim duży murowany zbiornik na deszczówkę, w którym wierni odprawiali niegdyś wudu, rytualne ablucje przed rozpoczęciem modłów. Nieużywany, przyciągał popołudniami stada dzikiego ptactwa.

Jasmini lubiła się tutaj bawić ze swymi najlepszymi przyjaciółkami z grona przyrodniczych sióstr. Plotkowały i sprzeczały się, ubierały swoje zwierzątka w dziecinne ubranka i bawiły w dom, udając, że gotują dla całej rodziny i opiekują się dziećmi.

Dorian dotarł do schodów na taras, lecz zamarł w pół kroku na pierwszym stopniu, słysząc dobiegający z góry krzyk. Rozpoznał głos Jasmini, przeniknięty jednak mrozącym serce cierpieniem. Wbiegł po schodach przy akompaniamencie kolejnych krzyków. Każdy był przeraźliwszy i straszniejszy od poprzedniego.

Małpka siedziała na szczycie kopuły grobowca. Kiedy miała dość karmienia i przebierania w dziecinne ubranka, uciekała do swojej ulubionej kryjówki, gdzie dziewczynka nie mogła jej dosięgnąć. Drapała się teraz leniwie pod pachą, a błękitnawe powieki opadały jej, zakrywając wielkie piwne oczy. Co kilka minut chwiała się sennie, omal nie spadając ze swej grzędy, a potem otrząsała się i przytomniała, rozglądając się po ogrodzie w dole.

Nagle poczuła woń, która natychmiast rozbudziła ją w pełni. Zapach cynamonowych ciasteczek. Niczego na świecie kocz-kodan nie uwielbiał bardziej od nich.

Wyprostował się na całą wysokość, balansując ogonem, żeby nie spaść z pochyłości, i rozejrzał się bystrym okiem.

Ścieżką wśród zarośli zbliżali się dwaj chłopcy. Nawet z tej odległości małpa dostrzegła, że ich szczęki się poruszają, a większy niesie srebrne naczynie z pokrywką. Dżinni doskonale wiedział, co jest w środku. Pisnął chciwie i zeskoczywszy z kopuły, wspiał się na rozłożyste drzewo figowe, rosnące obok tarasu.

Ze swej kryjówki małpa obserwowała chłopców, którzy

516

Ze swej kryjówki małpa obserwowała chłopców, którzy usadowili się w zarośniętym kącie ogrodu i postawili naczynie na ziemi. Zajn al-Din podniósł pokrywkę. Na widok góry żółtawych ciasteczek koczkodan postawił ogon na sztorc i wywrócił oczami.

Targało nim łakomstwo, ale i strach. Dobrze znał Zajna al-Dina. Nad okiem małpy widniała zagojona już blizna w miejscu, gdzie dostała od chłopaka kamieniem. Zajn był mistrzem procy. Z drugiej strony ciastka były jeszcze ciepłe, prosto z pieca, i parowały drażniącym nozdrza aromatem.

Koczkodan zsunął się po pniu, zasłonięty przed wzrokiem chłopców. Wyjrzał ostrożnie zza drzewa. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, popędził przez trawnik do kępy krzaków i wyjrzał znowu. Wydał policzki, prychnął i zmarszczył nos. Zapach cynamonu był tu silniejszy. Zajn podniósł jedno ciasteczko do ust i wgryzł się w żółtą puszystą słodycz.

Jego towarzysz nazywał się Abd Muhammad al-Malik Abu-baker. Był jednym z licznych przyrodnych braci pierworodnego. Wstał teraz i podszedł do drzewa przy zewnętrznym murze.

- Tam jest gniazdo jastrzębia - powiedział do Zajna, pokazując miejsce między gałęziami.

Tłuszcioch wstał i podszedł, żeby popatrzeć. Stali obaj plecami do srebrnego naczynia, z zadartymi do góry głowami, i rozmawiali na temat krzaczastego gniazda.

- Może to sokół wędrowny - powiedział z nadzieją w głosie Zajn. - Moglibyśmy mu wykraść młode, jak się już opierzą.

Koczkodan zebrał się na odwagę. Wyprysnął spod krzaka i przemknął jak siwa smuga przez otwarty teren. Dopadł naczynia i obiema garściami nabrał ciastek. Wepchnął je do pyszczka, aż policzki wyduły mu się jak balony. W misie wciąż jeszcze były ciastka i starał się zgarnąć je wszystkie. Nie mieściły mu się jednak w łapkach, rzucił więc część na ziemię, chcąc pomóc sobie również nogami.

- Małpa! - rozległ się nagle przeraźliwy krzyk Zajna.

Dżinni zrozumiał, że go zauważono. Rzucił się do ucieczki, przewracając naczynie i sypiąc po trawniku okruchami ciasteczek. Znalazłszy schronienie na jednym z wyższych konarów figowca, wyjrzał spomiędzy liści. Prześladowcy zbliżali się, krzycząc z oburzenia i złości.

- Diabeł! Szatańska małpa! Świńska małpa!

517

Koczkodan dotarł do szczytu drzewa i przycupnął w rozwidleniu gałęzi. Tu poczuł się całkiem bezpieczny i zaczął zajadać resztki ciastek, które przetrwały ucieczkę.

Tymczasem Zajn wyciągnął z sakiewki u pasa procę. Odwinał rzemienie i rozciągnął je, a potem znalazł w sakiewce idealnie okrągły, gładki kamyk i umieścił go w kieszonce procy. Obszedł drzewo, szukając dobrego miejsca do strzału. Małpa spojrzała na niego i przekrzywiła głowę, robiąc okropny grymas, jakby go chciała przestraszyć.

- Już ja cię oduczę kraść moje ciasteczka - syknął Zajn, przymierzając się do rzutu.

Rozkręcił rzemienie nad głową, aż furczały, a kiedy kamień nabrał odpowiedniej szybkości, wypuścił go. Dżinni nie zdążył się nawet uchylić przez świszczącą białą smugą. Dostał w lewą łapkę pod łokciem. Kość złamała się jak suchy patyk. Małpa wrzasnęła i wyskoczyła wysoko w powietrze. Spadając, chciała się chwycić gałęzi, ale bezwładne ramię odmówiło jej posłuszeństwa i zanim zdążyła się złapać drugą łapą, zleciała niżej. Chłopcy krzyczeli i podskakiwali z radości.

- Trafiłeś go, Zajn! - cieszył się Abubaker.

- Zabiję cię, diabelski złodzieju! - Zajn zakładał już do procy nowy kamień.

Dżinni wdrapywał się z powrotem na górę, popiskując z bólu. Dotarł do długiego konaru, wiszącego nad tarasem.

Zajn wystrzelił drugi kamień i trafił w gałąź tuż pod piersią małpy. Koczkodan pisnął i z dyndającą bezwładnie łapką umknął na koniec gałęzi. Wiedział, gdzie szukać ochrony. Jasmini usłyszała już jego krzyki i choć nie знаła jeszcze ich przyczyny, nawoływała małpkę z niepokojem.

- Dżinni! Co się stało, malutki? Chodź do mamusi! Koczkodan odbił się z gałęzi i wylądował na ramieniu dziewczynki, kwiląc i skrzecząc z bólu i przerażenia.

- Poszukaj jakiegoś kija! - zawołał Zajn do młodszego brata. - Skończymy z tym małpiszczonem!

U stóp schodów ogrodnicy zostawili wiązkę bambusowych palików. Chłopcy chwycili po jednym i wbiegli na stopnie. Zajn, zasapany i roześmiany, wpadł na taras pierwszy. Zobaczywszy Jasmini ze zwierzątkiem w objęciach, stanął jak wryty.

- Nie zbliżaj się do mnie! - krzyknęła dziewczynka. - Zostaw nas w spokoju, Zajnie al-Dinie!

518

Jej zdecydowanie na chwilę zbiło chłopaka z tropu, lecz zaraz zjawił się przy nim Abubaker, wołając:

- To przecież tylko mała Jasmini. Dziecka się boisz? Ja ją przytrzymam; ty bierz małpę!

Jasmini cofała się, przyciskając do piersi wystraszone zwierzę, a chłopcy postępowali za nią, potrząsając kijami i podbechtując się nawzajem.

- Ten diabeł zeżarł moje ciastka. Zabiję go za to - groził Zajn.

- Prędeż ja ciebie zabiję! - krzyknęła dziewczynka.

Jednakże jej odwaga zaczęła już topnieć, a oczy nabiegły łzami. Dotarła do obrzeża niskiego zbiornika na deszczówkę i nie miała się już gdzie cofać. Jej towarzyszki rozpięchły się, gdy tylko zobaczyły, na co się zanoszą. Została sama.

Choć drżały jej usta, próbowała przemówić do Zajna stanowczym tonem.

- Zostaw nas w spokoju, bo powiem al-Amharze. Spuści ci lanie za to, co zrobiłeś z moją małpką!

- Powiesz al-Amharze? - wyśmiał ją tłuścioch. - Niewiernemu, który je świńskie mięso? Ale się boję!

Osaczali ją coraz bardziej. Abubaker przyskoczył nagle do niej i chwycił za kark.

- Dawaj małpę! - zawołał, a Zajn złapał Dżinniego za nogę.

Cała trójka zaczęła się szamotać i przepychać, walcząc o piszczące ze strachu zwierzę. Jasmini trzymała małpkę z całych sił, krzycząc wniebogłosy. Abubaker odginał po kolei jej palce, aż w końcu puściła Dżinniego i porwał go Zajn.

- Oddaj go - prosiła przez łyżę. - Proszę, nie rób mu nic złego. Zajn trzymał małpę za skórę na karku.

- Chodź tu i zabierz mi ją, zanim zatłukę to śmierdzące bydlę na śmierć - rzucił drwiąco.

Koczkodan raptem wykręcił głowę i zatopił ostre zębki w nadgarstku chłopaka. Ten zawył z bólu i zaskoczenia i cisnął zwierzęciem do basenu. Na chwilę zniknęło pod powierzchnią, lecz zaraz wynurzyło się i popłynęło do krawędzi. Zajn wpatrywał się w krwawiący przegub. Jego ziemista twarz pociemniała z gniewu.

- Ugryzł mnie! - wrzasnął. - Krew mi leci! - Przyskoczył do zbiornika i bambusowym kijem wepchnął głowę małpki pod wodę. Gdy tylko wynurzyła się z powrotem, dźgnął ją

519

znowu, rechocząc z sadystycznej uciechy. - Zobaczymy, jak umie pływać, diabelskie nasienie!

Jasmini wyrwała się z uścisku Abubakera i skoczyła Zajnowi na plecy, okładając go z krzykiem pięściami po głowie i ramionach. Chłopak śmiał się szyderczo, nie zważając na razy i piski dziewczynki. Topił Dżinniego, spychając go pod wodę, gdy tylko się wynurzał.

Małpa słabła szybko; parskała wodą, a mokre futerko oblepiało jej czaszkę. Brakowało jej już sił i powietrza do krzyku, lecz Jasmini wrzeszczała coraz przeraźliwiej:

- Zostaw ją! Nienawidzę cię! Zostaw moje dzieciątko!

Dorian pokonał ostatnie stopnie i stanął u szczytu schodów. Zorientowanie się w sytuacji zajęło mu kilka chwil. Bał się, że znajdzie Jasmini ranną lub nawet umierającą, ale gdy zobaczył, co wyprawiają z jej małpą dwaj duzi chłopcy, miejsce lęku zajął zimny gniew. Rzucił się ku nim.

Abubaker dostrzegł go i zamachnął się kijem, lecz Dorian zrobił unik i grzmotnął przeciwnika barkiem w środek piersi. Ten poleciał do tyłu i wpadł na boczną ścianę tarasu, wypuszczając z ręki kij. Potem odwrócił się i rzucił do ucieczki po schodach.

Dorian chciał przede wszystkim dopaść Zajna i uratować Jasmini. Przyskoczył do niego, a tłuścioch odwrócił się i podniósł bambusowy drąg. Ruchy krępowała mu jednak uczepiona jego grzbietu dziewczynka i cios był niezdarny. Dorian zablokował go, chwytając kij obiema rękami. Zaczęli się szamotać i wrywać sobie bambus.

- Bierz Dżinniego! - zakrzyknął Dorian do przyjaciółki, a ona posłusznie zeskoczyła z pleców Zajna i podbiegła do zbiornika. Wyciągnęła słabnącą małpkę i przycisnęła ją do piersi. Mokre zwierzę kaszlało i prychało wodą; dziewczynka skuliła się wraz z nim pod obrzeżem zbiornika, jak najdalej od walczących, którzy przepychali się po całym tarasie.

Zajn był cięższy od Dorigana i o dwa cale wyższy. Zaczai zyskiwać przewagę w tej próbie sił.

- Zaraz cię utopię tak jak tę małpę, diablooki niewierny - wydyszał, napierając całym ciężarem na bambusowy drąg.

Dorian w przyływie wściekłości zapomniał wszystkie nauki Toma, ale ta zniewaga ostudziła go nieco. Pozwolił, by tamten

520

przyciągnął go do siebie. Potem puścił kij i zacisnął prawą dłoń w pięść, przesuwając jednocześnie stopy dla lepszej stabilizacji.

"Weź dobry zamach i uderzaj z półobrotu - instruował go Tom. - Celuj w nos".

Dorian wyprowadził sierpowego. Dłonie miał twarde od jazdy konnej, mięśnie ramion wzmocnione dzięki pływaniu. Zaprawił Zajna prosto w nos, miażdżąc go jak przejrzałą śliwkę w zalewie szkarłatnej posoki. Grubas puścił kij i złapał się obiema dłońmi za zraniony organ. Do oczu nabiegły mu łzy bólu, spomiędzy palców spływała krew, plamiąc białe kanzu.

Dorian ustawił się do następnego ciosu. Tom pokazał mu, jak znaleźć właściwy punkt na szczęce, każąc zacisnąć zęby i wymacać go pod własnym uchem. Chłopiec włożył w uderzenie cały ciężar ciała.

Zajn nie słyszał nigdy o takim sposobie walki. Zrobienie młotka z własnej ręki i walenie nim przeciwnika w twarz zupełnie nie mieściło się w jego pojęciu o pojedynku. Uczono go zapasów, lecz walczył z przyjemnością jedynie ze słabszymi od siebie.

Pierwszy cios oszołomił go, a zaskoczenie było nawet dotkliwsze niż ból. Na kolejny zupełnie nie był przygotowany. Pięść Dorigana grzmotnęła go w policzek niczym kula armatnia i niemal odebrała przytomność. Młody Anglik nie był jeszcze dość silny, żeby go całkiem ogłuszyć, ale trafił precyzyjnie w punkt i Zajn zatoczył się do tyłu. Z załzawionymi oczami, nie widząc niczego, nie był w stanie się bronić. Poczul, jak uginają się pod nim nogi.

Ku jego kompletnemu zaskoczeniu, dostał po raz trzeci, tym razem w usta.

Uderzenie złamało mu przedni ząb i pierwszy raz w życiu poczul w ustach metaliczny smak własnej krwi. Zakrywając oburącz twarz, człapał chwiejnie ku szczytowi schodów.

Dorian podniósł bambusowy drąg i przeciągnął nim nieszczęśnikowi po plecach. Mimo bolących ust i stłuczonego nosa tłuścioch skoczył przed siebie i znalazł się na pierwszym stopniu. Dorian zamachnął się ponownie i Zajn, krzycząc jak ukąszony przez skorpiona, stracił równowagę. Stoczył się ze schodów w płataninie rąk i nóg. Próbował odczołgać się jak najdalej, głośno łkając. Usłyszał jednak, że prze-

521

śladowca zbiega za nim i obejrzał się przez ramię, próbując dojrzeć coś przez łyzy.

Twarc niewiernego wykrzywiła się w purpurową maskę, jego jasnozielone oczy gorzały furia. Bambus trzymał wysoko nad głową. Zajn dzwignął się na nogi i

wypluł złamany ząb w fontannie krwi. Próbował biec, lecz miał zwichniętą prawą kostkę. Kulejąc i podskakując na jednej nodze, uciekł w końcu przez ogród w ślad za młodszym bratem.

Dorian odrzucił kij, nie próbując ich ścigać. Dla uspokojenia odetchnął głęboko kilka razy i przypomniawszy sobie o dziewczynce, wrócił biegiem na taras.

Jasmini wciąż kuliła się pod parapetem basenu. Drżąc na całym ciele i popłakując, tuliła do piersi ociekająca wodą małąkę.

- Czy jesteś ranna, Jasmini? Czy oni cię bili? - zapytał Dorian.

Pokręciła głową i bez słów podała mu Dżinniego. Z mokrym, przylegającym do skóry futrem wydawał się dwukrotnie mniejszy niż przedtem.

- Ma złamaną łapkę - szepnęła dziewczynka.

Dorian delikatnie ujął bezwładną kończynę w palce. Dżinni zapiszczał, ale się nie opierał, patrząc na niego z ufnością w wielkich oczach. Chłopiec usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego się dowiedział o złamaniach, gdy patrzył, jak doktor Reynolds zajmuje się marynarzem, który spadł z rei Serapha, i drugim, któremu ręka wkręciła się w tryby kabestanu. Powoli wyprostował łapkę, usztywnił ją kawałkiem bambusa i zawiązał paskiem materiału, oderwanym od keffija.

- Muszę go zabrać do Ben Abrama - powiedział do Jasmini i wziął od niej małąkę.

- Tak bym chciała pójść z tobą - rzekła cicho.

Wiedziała jednak dobrze, że to niemożliwe i Dorian nawet nie odpowiedział.

Ułożył Dżinniego w fałdzie szaty, a Jasmini odprowadziła go aż do wrót zenana.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął na drodze biegnącej wśród palmowych gajów do miasta.

Po pół mili marszu spotkał jednego ze stajennych księcia. Mężczyzna prowadził kilka powiązanych rzędem luzaków.

- Mustafa! - zawołał. - Podwieź mnie do portu! Stajenny posadził go za sobą na koniu i popędził galopem przez wąskie uliczki aż nad morze.

522

Ben Abram pracował w swoim szpitalu w pobliżu portu. Wyszedł z pokoju na zapleczu, ścierając krew z dłoni i zaskoczony powitał przybyłych.

- Mam dla ciebie pacjenta, ojczulku - powiedział chłopiec. - Bardzo potrzebuje pomocy twoich zręcznych rąk.

- Czy mnie nie ugryzie? - Ben Abram spojrzał na małąkę podejrzliwie.

- Nie obawiaj się. On wie, że może ci zaufać.

- Nastawianie kości to bardzo stara sztuka - mruknął stary doktor, badając złamanie. - Chyba jednak żaden z moich poprzedników nie miał takiego pacjenta jak ten! - Umieścił łapkę Dżinniego w łubkach i mocno zabandażował. Potem dał małpie porcję laudanum i spała przez całą drogę do zenana.

Jasmini czekała na niego za bramą. Wzięła uspięone zwierzę w objęcia i poniosła ostrożnie do mieszkania. Zastali Tahi lamentującą z rozpaczy.

- Coś ty narobił, głupi chłopaku! - napadła na Dorian, gdy tylko wsunął głowę przez drzwi. - Cała zenana aż huczy! Kusz tu był. Jest taki wściekły, że prawie mówić nie może! Czy to prawda, że ta mała ugryzła Zajna, a ty wybiłeś mu ząb i rozbiłeś nos i że ma złamaną stopę? Kusz mówi, że może nigdy nie będzie mógł chodzić, a przynajmniej zostanie kaleką do końca życia!

- Złamał sobie nogę przez własne niezgulstwo - odparł Dorian hardo, nie okazując skruchy.

Tahi przytuliła go do swej obfitej piersi i zanosła się głośnym płaczem.

- Nie masz pojęcia, jakie niebezpieczeństwo ściągnąłeś sobie na głowę - szlochała. - Od teraz musisz stale mieć się na baczności. Nigdy nie pij i nie jedz niczego, zanim ja nie spróbuję przed tobą. I trzeba założyć zasuwę na drzwiach do twojej sypialni. - Wyliczała środki ostrożności, jakie muszą przedsięwziąć, by chronić się przed zemstą Kusza i Zajna al-Dina. - Allah jedyny wie, co uczyni książę, kiedy się o tym dowie po powrocie z Maskatu - zakończyła swą tyradę tonem niezdrowej satysfakcji.

Jasmini z Dorianem zostawili ją z jej koszmarami, pochlipującą nad garnkami i zanieśli Zajnego do pokoju chłopca. Położyli małąkę na macie do spania i usiedli przy niej.

Milczeli oboje. Po chwili dziewczynka opadła z sił jak zwiędły

523

kwiat i zasnęła z głową na ramieniu Doriana. Objął ją, a dużo później Tahi, wszedłszy do pokoju, ujrzała, że śpią przytuleni do siebie. Uklękła przy dzieciach, przyglądając się ich twarzom.

- Tacy są piękni razem - szepnęła. - Tacy młodzi i niewinni. Jaka to szkoda, że nic z tego nie będzie. Mogliby mieć czerwonowłose dzieci. - Wyjęła dziewczynkę z opiekuńczych ramion Doriana i zniosła do wspaniałego mieszkania jej matki, tuż obok głównej bramy, gdzie przekazała ją jednej z nianiek.

Kusz zjawił się nazajutrz wczesnym rankiem, pełen buty i sypiąc pogróżkami. Widać było, że nie odważy się zlekceważyć ostrzeżeń al-Allamy i Ben Abrama i wyrządzić Dorianowi krzywdy. Aura złej woli biła jednak z całej jego postaci. Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach i spojrzął na chłopca z nienawiścią, wypisaną na nalanej twarzy.

- Nadejdzie wkrótce taki dzień, jeżeli Allah okaże się łaskawy, że znikniesz stąd i pozbędę się kłopotu na zawsze - syknął.

Atmosfera w obrębie murów naładowana była wrogością wobec Doriana, jak letnia burza błyskawicami. Wszystkie dzieci poza Jasmini obchodziły go z daleka. Na jego widok przerywały swe hałaśliwe zabawy i umykały z chichotem. Kobiety zakrywały twarze i rozpościerały szerzej suknie, jakby sam kontakt z nim mógł je uczynić nieczystymi.

Zajna spotkał trzy dni później, wracając z nauk u al-Allamy. Syn księcia siedział z Abubakerem i trzema innymi ze swych przypochebców. Obżerali się słodyczami. Ujrawszy swego wroga, umilkli i patrzyli niepewnie, jak zbliża się krążankiem.

Zajn miał jeszcze spuchnięty nos i czarny strup na górnej wardze, a oczy bardziej podkrążone niż zwykle. Prawą stopę spowijały mu bandaże. Może to prawda, że będzie kulał do końca życia, pomyślał Dorian, lecz szedł dalej pewnie, patrząc wprost na grubasa. Ten nie wytrzymał spojrzenia zimnych zielonych oczu i odwrócił wzrok. Powiedział coś do Abubakera i obaj zaśmiali się nerwowo. Kiedy Dorian ich minął, poczuli się pewniej.

- Skóra biała jak ropa z wrzodów - rzucił Zajn, poświstując przez wybity ząb.

524

- Oczy zielone jak świńskie szczyny - przyłączył się Abubaker.

- Znasz się na świńskich szczynach, bo je pijesz? - odpalił chłopiec i poszedł dalej, nie odwracając głowy.

Mijały tygodnie. Atmosfera wrogości stopniowo zelżała.. Choć młody Anglik w dalszym ciągu był wyrzutkiem w społeczności zenana, inni już tylko go ignorowali. Nawet Zajn ze swoją świtą nie reagował na jego obecność, lecz traktował go z przesadnym lekceważeniem. Grubas wciąż utykał i wyglądało na to, że jego noga istotnie mogła doznać trwałego uszczerbku.

Tahi jednakże nie dowierzała temu podszytemu wrogością rozejmowi. Wciąż pouczała Doriana na temat groźby otrucia i innych makabrycznych sposobów zadawania śmierci na odległość.

- Zawsze wytrząsaj dobrze szatę, nim ją włożysz - przestrzegała. - I odwracaj sandały. Jad zielonego skorpionia zabija tak szybko, że ofiara nie zdąży nawet krzyknąć po ukąszeniu. Kusz doskonale zna się na skorpionach i innych złych rzeczach.

Wszystkie te groźby nie były w stanie osłabić temperamentu Doriana, lecz spędzał teraz coraz więcej czasu poza murami. Kiedy nie wychodził, Jasmini wciąż była jego wierną towarzyszką.

Dżinni szybko powrócił do zdrowia, stanowiąc żywy dowód umiejętności Ben Abrama. Chociaż oszczędzał jeszcze kontuzjowaną łapkę, biegał jak dawniej po szczycie muru i wspinał się na najwyższe gałęzie figowców.

Przez cały długi miesiąc trwał ramadan, aż wreszcie wraz z nowiem księżyca post się skończył. Wkrótce potem Zajn al-Din zniknął z zenana. Dorósł do wieku męskiego i odszedł do świata poza murami, wciąż kulejąc po bójce z Dorianem. Chłopiec i jego towarzyszką przyjęli to z radością. Sądzili, że pierwszy syn księcia al-Malika został wysłany do Maskatu, żeby dołączyć do dworu swego wuja, kalifa.

Tahi jednak, kiedy jej o tym powiedzieli, parsknęła tylko śmiechem.

- Pojechał tam istotnie, ale jako zakładnik, który w ten sposób ugruntowuje lojalność księcia wobec kalifa - powiedziała.
Dorian nie pierwszy raz dowiadywał się o licznych intrygach w rodzinie władców Omanu.

525

- Kalif kazał stracić sześciu swoich braci za zdradę, a tym, których oszczędził, także nie ufa - Tahī zniżyła głos do szeptu. - Kalif to człowiek zły i okrutny. Niech Allah broni, żeby się kiedykolwiek dowiedział, że jesteś dzieckiem z przepowiedni - zadrżała na samą myśl o tym.

Jakiś czas po nagłym wyjeździe Zajna Jasmini zjawiła się w pokoju Dorian, gdy jeszcze spał, i obudziła go, szarpiąc za ramię.

- Dżinni nie przyszedł wczoraj po jedzenie i nie spał w moim łóżku - powiedziała ze ściągniętą ze zmartwienia twarzą.

Dorian zerwał się z posłania i narzucił na siebie kanzu.

- Chyba coś złego się przydarzyło mojemu Dżinniemu - lamentowała dziewczynka.

- Znajdziemy go - obiecał. - Chodź.

Zaczęli od ulubionych kryjówek koczokodana. Najważniejszą z nich był grobowiec świętego Abd Allaha Muhammada Alego. Przeszukali każdy zakamarek starożytnej budowli, nawołując małpę i kusząc ją ciasteczkami z cynamonem. Wiedzieli, że ich zapach z pewnością wywabiłby Dżinniego z każdej kryjówki. Nie osiągnawszy rezultatu, przetrzasnęli dokładnie ogród, lecz także bez efektu. Jasmini odchodziła z rozpaczy od zmysłów.

- Raz go uratowałeś, Doui. Ale teraz szatan po niego wrócił. Może chce mi go zabrać za karę - szlochała.

- Nie bądź dzieciuchem, Jassi - nieświadomie zwrócił się do niej tak, jak niegdyś Tom mówił do niego. - Szatan nie zajmuje się małpkami i małymi dziewczynkami.

- To co teraz zrobimy? - Jasmini spojrzała na niego swymi miodowymi, zalęknionymi oczami z absolutną ufnością.

- Sprawdzimy jeszcze raz grobowiec. On musi tam gdzieś być.

Wejście do niewielkiego mauzoleum zamurowano przed laty cegłami i otynkowano. Chłopiec nie znalazł w ścianie dziury na tyle dużej, żeby się przez nią przecisnęła nawet mała małpka. Przeszli na taras. Choć przeszukali go ponownie i ochrypli oboje od wołania, nigdzie nie było śladu Dżinniego.

Usiedli w końcu na obrzeżu zbiornika z deszczówką, nie patrząc na siebie, utrudzeni i zniechęceni. Gdyby nie ich

526

milczenie, nie usłyszeli by nigdy cichutkiego popiskiwania. Jasmini chwyciła Dorian za rękę, wpijając mu się ostrymi paznokietkami w skórę.

- To Dżinni! - zawołała.

Zeskoczyli z murka, rozglądając się w podnieceniu dookoła i zapominając o całym zmęczeniu. Dźwięk rozbrzmiewał w powietrzu, wydając się nie mieć konkretnego źródła.

- Skąd to słychać, Doui? - zapytała Jasmini.

Uciszył ją machnięciem ręki i nasłuchiwał uważnie, obchodząc taras wkoło.

Zatrzymywał się co parę kroków i gwizdał, a Dżinni natychmiast mu odpowiadał.

Dotarli w ten sposób do przeciwległego krańca tarasu. Dorian zaczął na klęczkach badać posadzkę przy ścianie podtrzymującej kopułę. Głos małpki był teraz wyraźniejszy. Zmurszała podłoga porastały chwasty i pnącza, wśród których najwyraźniej ktoś się niedawno przeciskał. Chłopiec rozsuwał zarośla i unosił pnącza, badając podstawę kopuły, aż dotarł do miejsca, gdzie między spękany koralowymi płytami zobaczył szczelinę, na tyle szeroką, że Dżinni mógłby się przez nią przedostać. Przyłożył ucho do otworu i jego domysły się potwierdziły. Krzyki małpki rozlegały się teraz jak przez wzmacniającą tubę.

- Jest na dole - powiedział do Jasmini.

- Wyciągniesz go, Doui? - zawołała, klaszcząc radośnie w ręce. Zbliżyła usta do otworu i krzyknęła: - Dżinni, mój kochany, słyszysz mnie? - Odpowiedziały jej z dołu podekscytowane piski.

- Odsuń się - powiedział Dorian i zaczął gołymi rękami powiększać otwór.

Zmurszałe i niepowiązane zaprawą płyty dawały się łatwo łamać. Kazał Jasmini przynieść bambusowy kij spod schodów i podważał nim co twardsze fragmenty*

Po półgodzinie otwór był już na tyle duży, że chłopiec mógłby się przezeń precyzyjnie. Gdy jednak zajrzał do wnętrza, zobaczył tylko wirujący koralowy pył i ciemność.

- Zaczekaj tutaj, Jassi - polecił.

Opuścił nogi do szczeliny. Choć macał nimi naokoło, nie znalazł oparcia dla stóp. Zaczął więc cal po calu opuszczać się na rękach. Wtem płyta, której się trzymał, pękła. Dorian krzyknął przerażony i poleciał w ciemność. Myślał, że spadnie głęboko i się zabije, lecz jego nogi zetknęły się z ziemią niemal

527

natychności i z zaskoczenia ugięły się pod nim kolana. Podniósł się i usłyszał z góry krzyk Jasmini.

- Nic ci się nie stało, Doui?

- Nie!

- Mogę też zejść?

- Nie! Zostań tam. I odsuń głowę, bo zasłaniasz światło.

Odczekał, aż opadnie kurz, a oczy przyzwyczajają się do mroku, po czym się rozejrzał. Z otworu w górze docierało tu słabe światło słoneczne. Znajdował się w wąskim korytarzyku, wybudowanym wewnątrz masywnej ściany mauzoleum. Ledwie się w nim mieścił, stojąc prosto. Głową prawie dotykał sklepienia.

Piski Dżinniego dobiegały gdzieś z bliska. Ruszył w stronę, z której dochodziły, i po chwili znalazł się przed drewnianymi drzwiami na końcu korytarza. Wypaczone ze starości i zbutwiałe, spadły z przegniłych rzemiennych zawiasów i uwięziły małą w szparze między deskami. Musiała je potrącić, przechodząc pod spodem. Dżinni połamał sobie pazurki, drapiąc deski, żeby wydostać się z pułapki.

Futerko miał obsypane pyłem i okruchami drewna. Dorian napał na ciężkie drzwi i przechylił je na tyle, że mała mogła się uwolnić. Była cała i zdrowa.

Wskoczyła mu natychmiast na ramię, obejmując obiema łapkami za szyję i trąkając radośnie.

- Ty głupie zwierzątko - zbeształ ją po angielsku, głaszcząc uspokajająco po główce. - To cię powinno oduczyć włożenia tam, gdzie nie trzeba, durny małpizzone.

Zaniósł ją pod otwór i podał Jasmini, która zwieszała się w dół, wyciągając ręce. Potem wrócił do drzwi. Przeciągnął je pod szczelinę i oparł skośnie o ścianę, wykorzystując jako drabinę do wejścia na górę.

Był brudny, obsypany pyłem i okruchami gruzu. Podczas gdy dziewczynka tuliła i pocieszała małą, obmył się w deszczówce.

Jasmini zeszła już z tarasu. Dorian jednak, nim podążył za nią, pod wpływem nagłego impulsu zamaskował starannie dziurę w posadzce kwitnącymi pnączami i chwastami.

Kilka dni później wrócił w to miejsce, żeby dokładnie zbadać tajemne przejście. Niepotrzebnie zwierzył się ze swych planów

528

Jasmini i musiał ulec jej prośbom, aby mu mogła towarzyszyć razem z Dżinnim. Bez wiedzy Tahi zabrał ze sobą oliwną lampkę i krzesiwo z hubką.

Podjęli wszelkie możliwe środki ostrożności, aby nie nakrył ich Kusz lub któryś z jego pomagierów. Każde dotarło do miejsca spotkania oddzielnie.

- Nikt cię nie śledził? - upewnił się Dorian, kiedy dziewczynka wbiegła po schodkach na taras.

- Nikt - potwierdziła stanowczo, aż podskakując z ek-sytacji. - Jak myślisz, co tam znajdziemy, Doui? Może skarb, złoto i klejnoty?

- Ukrytą salę pełną czaszek i kościotrupów - postraszył ją.

- Ale ty zejdziesz pierwszy? - zapytała drżącym głosem, biorąc go za rękę.

Prześliznęli się przez zarośla, maskując ścieżkę za sobą. Dorian odgarnął pnącza i zajrzał do otworu.

- Wszystko w porządku - stwierdził. - Nikogo tu nie było. - Przykucnął i skrzeszał iskrę na hubkę. Gdy lampa paliła się już równym płomieniem, powiedział:

- Podasz mi ją, jak będę na dole - i wsunął się do otworu. - Daj lampkę - polecił po chwili. Postawił ją na podłodze i zawołał: - Możesz schodzić!

Pomógł jej zsunąć się po starych drzwiach, podtrzymując za nogi.

- Już blisko, skacz - polecił.

Dziewczynka zeskoczyła i rozejrzała się ciekawie. Małpka zbiegła za nią. Było za nisko, by nieść ją na ramieniu, toteż Jasmini posadziła ją sobie na biodrze.

- Jakie to podniecające! - nie posiadała się z zachwytu. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłam.

- Nie hałasuj tak. - Dorian podniósł lampę. - Idź blisko za mną, ale nie płacz się pod nogami.

Ostrożnie dotarł korytarzykiem do otworu drzwi, lecz zatrzymał się rozczarowany. Zaraz za nimi przejście zostało zamurowane, czego nie widział przedtem w ciemności. Korytarz był ślepy.

- Co jest tam dalej? - dopytywała się szeptem Jasmini.

- To chyba prowadziło do grobowca, ale ktoś zamurował przejście. Nie wiem tylko, po co je w ogóle zbudowali.

- Żeby anioł Gabriel mógł tędy przyjść i zabrać duszę świętego do raju - stwierdziła autorytatywnie jego towa-

529

rzyszka. - Gabriel zawsze zabiera dusze prawych ludzi do raju.

Dorian już chciał ją wyśmiać, ale ujrawszy w świetle lampy jej wielkie wilgotne oczy, zrezygnował.

- Może i masz rację - powiedział. - Ciekawe w takim razie, co jest na drugim końcu.

Zawrócili i minawszy otwór w sklepieniu, weszli ostrożnie do drugiej części korytarza. Pachniało tu grzybami i stęchlizną. W słabym świetle lampy ujrzeni, że podłoga biegnie w dół, a gdy ruszyli dalej, co kilka kroków musieli schodzić stopień niżej. Dorian prawie dotykał głową sufitu.

- Boję się - szepnęła Jasmini. - A jeśli anioł się na nas rozzłości, że chodzimy po jego korytarzu? - Przytuliła Dżinniego mocniej do piersi, drugą ręką chwytając się szaty Dorianą.

Szli dalej w milczeniu. Korytarzyk opadał coraz niżej i Dorian uznał w pewnym momencie, że muszą być już dość głęboko pod ziemią. Nagle podłoga wróciła do poziomu. Chłopiec przez cały czas liczył kroki.

- Co będzie, jak się sufit zawali? - zapytała znów Jasmini.

- Skoro się nie zawalił przez czterysta lat, to i teraz wytrzyma - odparł spokojnie i zaczął liczyć na głos. - Trzysta dwadzieścia dwa... Spójrz, tam są schody! - zawołał po chwili.

Wspięli się na nie powolutku. Dorian przystawał co dwa, trzy stopnie, podnosząc wysoko lampę, by zbadać drogę przed sobą. Raptem znów stanął.

- Nie ma przejścia - powiedział rozczarowany.

Kilka kroków przed nimi sklepienie i jedna ściana zawaliły się, blokując drogę. Stali niepewnie, wpatrzeni w zwały kamienia.

Wtem Dżinni zeskoczył na ziemię. Zanim Dorian zdążył go złapać, wspiał się po gruzach i zniknął w szparze między sufitem a rumowiskiem.

- Dżinni! - zawołała Jasmini. Przepchnęła się przed Dorianą i wsunęła rękę do otworu. - Znowu nie będzie mógł wyjść! Ratuń go, Doui!

- Co za głupia małpa! - Dorian zaczął odgarniać gruz rękami.

Co kilka chwil słyszeli okrzyki Dżinniego, lecz małpa najwyraźniej nie zamierzała wracać. Chłopiec pracował zawzięcie,

530

odrzucając kawałki pokruszonych bloków. Nagle przerwał i wspiał się na gruzowisko.

- Widzę światło! - zawołał uradowany.

Zeskoczył i podwoił wysiłki, by poszerzyć otwór. Godzinę później otarł rąbkiem szaty twarz, umazaną błotem z pyłu i potu.

- Chyba już się zmieszczę - oznajmił zdyszany. Wpełzł do otworu i na oczach zaleknionej Jasmini najpierw jego głowa, potem tułów i na końcu nogi zniknęły po drugiej stronie. Po chwili zawołał: - Jassi, wszystko w porządku, chodź!

Była od niego dużo mniejsza, więc przedostała się przez dziurę na czworakach. Kawałek dalej w tunelu zrobiło się jaśniej i ujrzała Dorianą siedzącego przy wyjściu. Przesłaniała je gęsta kurtyna zarośli; na dworze jednak świeciło jasno słońce.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, kucając obok niego.

- Nie wiem. - Ostrożnie rozgarnął listowie. Znajdowali się w spodkowanym zagłębieniu terenu, otoczonym zrujnowanymi ścianami z koralowych cegieł, skruszonych przez wiatr i czas. - Zostań tu - polecił i wypełził na zewnątrz. Wspiął się na szczyt ruiny i rozejrzał. Zobaczył palmy i zielony las mangrowy, a dalej biel plaży i ostry błękit morza. Poznał tereny swoich wędrówek. - Wyszliśmy z zenana - powiedział głośno, zdumiony. - Korytarz prowadzi pod murami!

- Nigdy w życiu nie byłam na zewnątrz! - Jasmini wspięła się za nim. - Zobacz, morze! Możemy zejść na plażę, Doui? Możemy?

Usłyszeli głosy i schowali się. Pod ich kryjówką przeszła grupa kobiet, nie patrząc w górę. Były to murzyńskie niewolnice z plemienia Suahili, bez czadorów. Na głowach niosły wielkie wiązki drewna na opał. Po chwili ich głosy ścichły w oddali.

- Możemy zejść na plażę, Doui? - błagała dziewczynka. - Chociaż na chwileczkę, tylko ten jeden raz.

- Nie! Nie bądźże głupia - odparł surowym tonem Do-rian. - Jak cię rybacy zobaczą, powiedzą Kuszowi i będzie po tobie. Na cmentarzu przybędzie jeszcze jeden grób. Wiesz, co on robi z nieposłusznymi dziewczynkami. Wracamy. - Wsunął się z powrotem do tunelu.

531

- Chyba taka jest wola Boga, żebym nigdy nie popływała z tobą w morzu - rzekła z żalem Jasmini, wciąż wpatrzona w dal.

- Chodź, Jassi. Trzeba wracać.

Jej słowa nie dawały mu spokoju. Za każdym razem kiedy pływał samotnie w lagunie, nękało go poczucie winy i chociaż przyjaciółka nigdy już nie wróciła do tego tematu, jej prośba wciąż tkwiła w jego pamięci jak zadra.

W ciągu następnych tygodni dyskretnie badał tereny poza wschodnim murem zenana i odkrył, że jest tam więcej zrujnowanych budowli. W większości były zarośnięte lub ukryte pod wydmami, które usypywał monsun. Po kilku dniach odnalazł właściwą kępę krzaków, porastającą kolisty koralowy murek, otaczający wylot tunelu.

Upewnił się, że nikt go nie widzi, i wskoczył do środka zrujnowanej rotundy.

Jakiś czas spędził na oczyszczeniu okolicy wyjścia, żeby uczynić je łatwiej dostępnym. Następnie zamaskował wszystko liśćmi palmowymi i suchymi gałęziami, aby uchronić wejście przed przypadkowym odkryciem przez niewolnice zbierające drewno.

Od Mustafy, chłopca stajennego, wyprosił stare, wielokrotnie łatanie kanzu i brudny zawój na głowę, których ten już nie używał. Schował odzienie przy wylocie tunelu. Odczekał do pełni księżyca i pewnego wieczoru zapytał Jasmini:

- Czy w dalszym ciągu tak bardzo pragniesz popływać w morzu?

Spojrzała nań zdumiona.

- Nie drażnij się ze mną, Doui - odparła ze ściągniętą smutkiem twarzą.

- Dziś wieczór zjedz u nas na kolację - zaczął ją instruować. - Po wieczornych modłach podziękuj Tahi za posiłek i powiedz, że wracasz do matki. Potem przyjdź tutaj i schowaj się za zbiornikiem. - Twarz Jasmini pojaśniała, jej oczy skrzyły się radośnie. - Matka będzie sądziła, że jesteś u Tahi, a Tahi będzie pewna, że jesteś w domu. Ja zaraz potem do ciebie dołączę.

- Dobrze, Doui - pokiwała z ożywieniem głową.

- Nie będziesz się bała sama tu przyjść w nocy?

- Nie, Doui - pokręciła głową tak gwałtownie, jakby ją chciała oderwać od tułowia.

532

- Tylko nie zabieraj Dżinniego; musisz mi to przyrzec.

- Przyrzekam z całego serca, Doui.

Podczas kolacji Jasmini paplała z takim ożywieniem, że Tahi aż przyjrzała się jej bystro.

- Co cię ugryzło, dzieciaku? Trajkoczesz jak stado papug i wiercisz się, jakby ci ktoś gorących węgli nasypał do szarawarów. Czy znów biegałaś na słońcu z odkrytą głową?

Dziewczynka przełknęła resztkę posiłku, zgarniając jedzenie z miseczki palcami prawej dłoni i zerwała się na równe nogi.

- Muszę już iść, Tahi - oznajmiła. - Matka kazała mi wrócić wcześniej do domu.

- Tak mało zjadłaś! To przecież placki kokosowe z szafranem, twoje ulubione.
- Nie jestem głodna. Muszę iść. Przyjdę znów jutro.

- Najpierw modlitwa - upomniała ją Tahi.

- Chwała i dzięki Allahowi Wszechmocnemu za to jadło i napitek i za to, że uczynił nas muzułmanami - wymamrotała Jasmini i wybiegła z mieszkania, nim opiekunka zdołała ją ponownie zatrzymać.

Dorian odczekał trochę, a potem także wstał, przeciągając się od niechcenia.

- Idę się przejść po ogrodzie - oznajmił. Czujność Tahi natychmiast wzrosła.

- Pamiętaj, bądź bardzo, bardzo ostrożny, al-Amharo - napomniała go z troską w głosie. - Nie sądź, że Kusz o tobie zapomniał.

Umknął szybko na dwór, żeby nie słyszeć dalszego ciągu jej rad.

Jassi? - zawołał cicho, zakradłszy się na taras. Głos mu się łamał, akurat w tej emocjonującej chwili płatając figle i zmieniając się z cienkiego w grubo i odwrotnie. - Jassi? - tym razem wyszło grubo.

- Tutaj jestem, Doui.

Wysunęła się z za basenu i podbiegła do chłopca. Nad murami wstawał właśnie księżyc. W jego świetle przeniknęli do wejścia prowadzącego do Drogi Anioła, jak nazwali tajemny tunel.

533

Dorian zszedł pierwszy i znalazł lampę z krzesiwem tam, gdzie je zostawił. Kiedy się rozpałała, zawołał Jasmini. Dziewczynka ześliznęła się po starych drzwiach, a on pochwycił jej małe ciało. Szła tuż za nim, trzymając fałdę jego szaty. Gdy dotarli do rumowiska, przykręcił knot i zgasił lampę.

- Mogłaby nas zdradzić - wyjaśnił.

Ostatnie metry przeszli po omacku i wreszcie ujrzeli srebrzystą poświatę księżycą, sączącą się przez pnącza u wylotu tunelu. Dorian odnalazł tobołek z ubraniem, schowany w załoj mię ściany.

- Włóż to - polecił.

- Ale te rzeczy śmierdzą! - zaprotestowała.

- Chcesz iść ze mną czy nie?

Bez dalszych protestów Jasmini zrzuciła z siebie własne odzienie i włożyła przez głowę stare kanzu.

- Jestem gotowa - oznajmiła ochoczo.

Wyszli na zewnątrz. Suknia jednak była na nią za duża i plątała się wkoło nóg.

Dorian przyklęknął i skrócił szatę, odrywając pas tkaniny. Potem pomógł dziewczynce ukryć długie włosy pod keffija.

- No, może być - stwierdził, przyglądając się jej krytycznie. Wyglądała teraz jak jeden z obdartych uliczników, biegających po uliczkach portu i bawiących się na plaży; być może syn rybaka albo zbieracza kory mangrowej. - Chodź!

Zsunęli się z ruin między drzewa i z przesadną nawet ostrożnością przekradli przez palmowe gaje ku plaży. Dorian znał ten odcinek wybrzeża jak własną kieszeń. Wybrał miejsce, gdzie niewysokie urwisko z piaskowca osłaniało małą zatoczkę.

Woda wyźłobiła w ścianie klifu płytką jaskinię, w której mogli się ukryć.

Usiedli na twardym, wilgotnym piasku, patrząc na skąpany w srebrnym świetle brzeg. Był odpływ. Koralowy piasek plaży jaśniał śnieżną bielą, na której rysowały się ostro błękitne księżycowe cienie poszarpanych skał. Lekki przybój przy rafach fosforyzował, rzucając migotliwy poblask na ich twarze.

- Jak pięknie - szepnęła Jasmini. - Nie uwierzyłabym, że może być aż tak pięknie.

- Idę popływać - oznajmił Dorian, wstając. Ściągnął kanzu i zrzucił z nóg sandały. - Idziesz też?

534

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł na plażę. Przy brzegu zatoczki zatrzymał się i obejrzał.

Jasmini wyłoniła się z grotu. Poruszała się jak idąca do wodopoju łania; jej nogi robiły wrażenie zbyt długich przy dziecięcym jeszcze ciele. Zrzuciła poszarpaną szatę i była naga, tak jak on. Dorian widywał nagie niewolnice wystawione na sprzedaż, żadna z nich jednak nie miała wdzięku nimfy. Włosy dziewczynki opadały jej na plecy, sięgając małych krągłych pośladków; królewski znak srebrzył się na tle kruczej czerni.

Kiedy podeszła do niego, wyciągnęła niewinnym gestem rękę i ujęła jego dłoń. Kremowe pączki jej piersi dopiero się zawiązywały, lekko uwypuklone, lecz sutki sterczały dumnie, podrażnione chłodnym powiewem monsunu. Dorian wpatrywał się w nie, czując dziwne, nieznanne mu dotąd napięcie w dole brzucha.

Weszli do wody, trzymając się za ręce. Była cieplejsza od powietrza, tak ciepła jak ich ciała. Jasmini zanurzyła się po szyję; jej włosy pływały wokół głowy jak liście lotosu. Śmiała się radośnie.

Księżyc był już w połowie drogi do zenitu, gdy chłopiec wreszcie oznajmił:

- Robi się późno. Musimy wracać.

- Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa - powiedziała jego mała przyjaciółka.

- Nigdy w życiu. Szkoda, że tak nie może zostać na zawsze.

Wynurzyła się jednak posłusznie, a jej smukłe ciało zalśniło, powleczone srebrzystą warstewką wody. Wrócili do grotty, zostawiając na piasku, niczym sznury paciorków, dwa rzędy śladów.

Pod sklepieniem jaskini odwróciła się do niego.

- Dziękuję, Doui - powiedziała, oplatając go niespodzianie ramionami i przytulając. - Tak bardzo cię kocham, mój braciszku.

Dorian stał bez ruchu, nieco niezgrabnie poddając się jej uściskowi. Czuł jej drobne ciało przyciśnięte do swojego i ciepło jej skóry pod chłodem kropel wody. W jego podbrzuszu znowu pojawił się dziwny ucisk.

Odsunęła się nagle ze śmiechem.

- Jestem cała mokra. - Chwyciła pęk włosów i wykręciła je; woda pociekła na piasek.

535

Dorian podniósł z ziemi swoje kanzu.

- Odwróć się - powiedział, a ona posłusznie zaprezentowała mu łagodne krzywizny swych pleców. Osuszył je z grubsza, wycierając własną szatą. - Teraz przód. - Odwróciła się twarzą do niego. Przesunął tkaninę po drobnych wypukłościach jej piersi i po brzuchu.

- To łaskocze! - zachichotała.

Brzuch miała gładki i wklęsły; jedyną skazę na nim stanowiło zagłębienie pępka i pionowa fałdka bezwłosej skóry pomiędzy udami.

- Włóż kanzu - polecił.

Odwróciła się, by podnieść z ziemi szatę. Ujrzał jej małe, doskonale krągłe pośladki. Poczul dławiący ucisk w piersi i nagle trudno mu było oddychać.

Jasmini wyprostowała się i wciągnęła przez głowę brudną szatę. Dorian wciąż stał bez ruchu, wpatrując się w nią jak urzeczony. Posłała mu filuterny uśmiech.

Zwijając włosy w grubą kitę i chowając je pod keffija, przyglądała mu się otwarcie, bez cienia wstydu czy poczucia grzeszności.

- Ale masz białą skórę... gdzie cię słońce nie opaliło. I popatrz, masz też włosy tam - pokazała zdziwiona. - Takiego samego koloru jak na głowie. Błyszczą się w świetle księżycy jak jedwab; jakie ładne! - zachwycała się.

Nie pamiętał o miękkim zaroście, który w zaskakującym tempie wykiełkował mu przez ostatnie tygodnie. Po raz pierwszy poczuł zawstydzenie, stojąc tak przed nią obnażony. Czym prędzej narzucił na siebie mokrą szatę.

- Musimy wracać! - rzucił i ruszył z powrotem tak szybko, że dziewczynka musiała za nim biec. W tunelu zdjęła niechlujne kanzu i przebrała się w swoje rzeczy. - Gotowa? - zapytał Dorian.

- Tak jest, Doui. - Nim zdążył ruszyć w głąb korytarza, złapała go za rękę. -

Dzięki, mój bracie - szepnęła. - Nigdy nie zapomnę, co dla mnie dzisiaj zrobiłeś. Nigdy, przenigdy!

Próbował wyrwać rękę z jej uścisku, skonsternowany przypiływem nieznanych emocji, niemal zły na nią, że stała się ich przyczyną.

- Przyjdziemy znowu, Doui? - zapytała błagalnie.

- Nie wiem. - Uwolnił wreszcie rękę. - Zobaczymy.

- Proszę, przyjdźmy. To było takie przyjemne.

536

- Powiedziałem, że zobaczymy.

- Będzie świetnie, przekonasz się. Zrobię wszystko, co każesz. Nie będę cię denerwować. Tylko powiedz tak, proszę, Doui!

- No dobrze. Tak, Jassi, przyjdziemy znowu.

Niedługo po wyprawie Droga Anioła, nim Dorian zdążył spełnić obietnicę, zjawił się w ich mieszkaniu Kusz. Przyszedł o świcie, jeszcze przed wschodem słońca, wraz z dwoma innymi eunuchami. Tahi stanęła w progu, usiłując nie wpuścić ich do środka.

- Czego chcesz od al-Amhary? - chciała wiedzieć.

- Zejdź mi z drogi, stara krowo - warknął Kusz. - Chłopak już nie jest pod twoją opieką.

- Przyszliście zabrać go ode mnie! - zawołała drżącym głosem, chwytając go za poję haftowanej kamizelki, gdy się przeciskał obok niej.

- Odsuń się, powiedziałem! - Kusz dźgnął ją w brzuch główką laski, aż zgięła się wzdłuż z bólu. - Przyprowadźcie niewiernego - rozkazał niewolnikom.

Weszli do pokoju Doriana, który siedział już na macie, przecierając oczy, wyrwany ze snu przenikliwymi wrzaskami nadzorcy. Pomagierzy chwycili go pod ręce i zaciągnęli przed oblicze eunucha.

- Zdejmijcie to - polecił, wskazując na przepaskę biodrową chłopca. Ściągnęli ją, a Kusz zaśmiał się lubieżnie. - Wiedziałem! Ładny ogródek sobie wyhodowałeś - dźgnął laską kępę rudozłotych włosów, porastających łono chłopca. Dorian próbował zgiąć się wzdłuż i zasłonić, lecz niewolnicy trzymali go mocno. - Czas się już tego pozbyć - pokazał eunuch upierścienionym, tłustym palcem. - Uwolnimy cię od tego cuchnącego kawałka skóry.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknął Dorian chrapliwie. Policzki pałały mu rumieńcem gniewu i upokorzenia. - Zabierz ode mnie swoje tłuste łapska, ty stworze bez jaj!

Uśmiezek Kusza spełził i eunuch cofnął rękę.

- Pożegnaj się z tą starą krową - spojrzał na Tahi - bo jej nigdy więcej nie zobaczysz. Moi ludzie zaczekają, aż się spakujesz. Już nie wrócisz do zenana. Czeka cię nóż, a potem nowe życie.

537

Przy drzwiach Tahi przytuliła Doriana z całych sił.

- Jesteś mi synem, którego nigdy nie miałam - szepnęła. - Będę cię kochała do końca życia.

- Ja też cię będę kochał, Tahi. Nie pamiętam mojej matki, ale na pewno była taka jak ty.

- Stań się mężczyzną i wojownikiem, al-Amharo. Chcę być z ciebie dumna.

- A ty powiedz Jasmini... - przerwał, nie wiedząc, jakie przesłanie zostawić małej przyjaciółce. Kiedy się nad tym zastanawiał, niewolnicy już wyprowadzali go na dwór. Zdesperowany obejrzał się, wołając do Tahi: - ...Powiedz Jasmini, że jej nigdy nie zapomnę. Że zawsze będzie moją siostrą!

Eunuchowie zaprowadzili go na frontowy dziedziniec, gdzie czekał zaprzęg wołów. Odjazdowi Czerwonowłosego przyglądała się grupka dzieci i służących. Jasmini wśród nich nie było, choć wypatrywał jej pilnie, gdy wóz się wytaczał za bramę. Im chłopiec starszy, tym trudniejsza i bardziej niebezpieczna jest operacja. - Ben Abram kręcił głową niezadowolony. - Należało to przeprowadzić wcześniej, a nie w wieku piętnastu lat, gdy stoi już na progu męskości.

- Al-Amhara przybył do nas ze świata niewiernych i będzie uważany za nieczystego, dopóki nie przejdzie całego rytuału. Musimy to uczynić przed powrotem księcia z Maskatu - odparł mułła. - Jeżeli jest w istocie dzieckiem z przepowiedni, Allah go ochroni.

Rozmawiali na tarasie książęcego pałacu. Dorian stał przed nimi nagi. Poza lekarzem i świątobliwym al-Allamą była z nim jeszcze czarna niewolnica, poganka, której nie mogło pohańbić asystowanie Ben Abramowi przy operacji. Starzec rozłożył na niskim stoliku swoje narzędzia i spojrzał chłopcu prosto w oczy.

- Ból jest dla mężczyzny niczym. Honor jest wszystkim. Pamiętaj o tym do końca życia, mój synu.

- Nie sprawię ci zawodu, ojczulku - odrzekł Dorian. Rozmawiali na ten temat już wielokrotnie.

- Bismill-hi Allahu akbar! - rzekł cicho lekarz. - Zaczynam, w imię Boga Najwyższego. Allah jest wielki!

538

Równocześnie mułła zaczął nosowym głosem odmawiać powoli surę z Koranu.

- Rozpoczynamy w imię Allaha, który jest dobry i miłosierny. O Allahu, obdarz go pełnią wiary, trwałym bezpieczeństwem, obfitością dóbr wszelakich, dojrzałością umysłu, dobroczynną wiedzą; prowadź do prawych uczynków, szlachetności charakteru, honoru i pełni zdrowia.

Ben Abram skinął na niewolnicę, która uklękła przed Dorianem i ujęła w dłoń jego penisa. Zaczęła poruszać ręką jak przy dojeniu krowy. Członek wkrótce nabrzmiał i zesztyniał, a dziewczyna skromnie odwróciła wzrok, lecz pracowała dalej, aż doprowadziła go do pełnej erekcji. Wówczas Ben Abram wziął z tacy mały, ostry jak brzytwa nożyk.

- Wystarczy - rzekł do niej cicho i odsunęła się. - W imię Allaha - powiedział starzec i wyćwiczonym ruchem dokonał pierwszego, szybkiego cięcia.

Dorian zesztyniał, przeszyty bólem, zagryzł jednak wargi i powstrzymał okrzyk. Nastąpiły kolejne cięcia, jemu jednak wciąż się udawało nie wydać głosu. Czuł, jak po udach spływa mu ciepła krew.

Wreszcie Ben Abram odłożył nóż i oznajmił:

- W imię Boga, zrobione! - Po czym zabandażował ranę.

Pod Dorianem uginały się nogi, ale stał dzielnie, utrzymując kamienny wyraz twarzy i nie zamykając oczu. Nawet al-Allama musiał go pochwalić.

- Teraz jesteś mężczyzną - pobłogosławił chłopca, dotykając jego czoła. - I zachowałeś się w rzeczy samej jak na mężczyznę przystało.

Ben Abram wziął Doriana pod ramię i zaprowadził do pokoju w głębi pałacu, gdzie przygotowano dlań miejsce do spania.

- Wrócę rano, żeby opatrzyć ranę na nowo - obiecał lekarz.

Nazajutrz Dorian miał wypieki od gorączki, a rana zaogniła się i piekła. Stary doktor posmarował ją maścią i zmienił opatrunek. Kazał też chłopcu zażywać gorzki lek na obniżenie temperatury. Po paru dniach istotnie ustąpiła, a rana zaczęła się goić. Przed początkiem ramadanu strupy poschodziły i Ben Abram pozwolił swemu podopiecznemu chodzić na plażę i pływać w ciepłych, przejrzystych wodach. Potem mógł także odwiedzać książęce stajnie. Pomagał stajennym ćwiczyć konie,

539

galopując po białych piaskach plaży i przyłączał się do dzikich harców podczas gry w pulu.

Wkrótce po ramadanie na wodach kanału pojawił się żagiel, a wartownicy na murach twierdzy rozpoznali na maszcie statku książęcą banderę. Cała ludność wyspy wyległa tłumnie na plażę, żeby powitać powrót swego władcy, księcia Abd Muhammada al-Malika, z Maskatu, stolicy Omanu.

Książę zstąpił na brzeg przy akompaniamencie armatnich salutów z fortyfikacji, radosnego wycia kobiet i hołdowniczych okrzyków mężczyzn. Strzelano w powietrze z muszkietów, grzmiały bębny i zawodziły flety.

Dorian był w gronie stajennych, którzy stali przy koniach u szczytu plaży.

Pomagał odświeżyć uprzęż i polerować turkusy zdobiące siodło i uzdę książęcego rumaka. Główny koniuszy pozwolił mu, jako przybranemu synowi, na zaszczyt prowadzenia ogiera i trzymania go, gdy władca będzie dosiadał wierzchowca.

Książę już nadchodził. Tłum rozstępował się przed nim, poddani klękali i próbowali ucałować rąbek jego szaty. Dorian nie widział go niemal dwa lata, toteż iście królewska prezencja władcy zatarła się już w jego pamięci. Al-Malik był wysoki, odziany w białą szatę; u pasa miał wielki sztylet, którego wysadzana klejnotami rękojeść wystawała z pochwy z polerowanego rogu nosorożca, lśniącej miękkim bursztynowym połyskiem. Opaska przytrzymująca zawój zrobiona była ze skręconych złotych drucików. Zbliżał się do miejsca, gdzie czekał nań wierzchowiec. Uśmiechał się i odwzajemniał wiwaty tłumu, dotykając serca i warg w wytwornym geście błogosławieństwa.

- Salam alejkum, wielki panie! - Dorian skłonił się głęboko.

Choć jego głos utonął w ogólnym harmidrze, książę go zauważył. Błysk zadowolenia w ciemnych oczach władcy powiedział chłopcu, że go poznaje. Al-Malik skłonił lekko głowę i wskoczywszy na siodło z gracją wytrawnego jeźdźcy, odjechał ku pałacowi.

Abd Muhammad al-Malik siedział na tarasie swego pałacu w otoczeniu najbliższych doradców i dworzan. Popijał kawę i słuchał raportów na temat zarządzania kolonią i wyspą podczas jego nieobecności. , < -

- Do Zanzibaru zawiąza wiele frankijskich statków - poinformował go wezyr, sprawujący rządy w imieniu księcia. - Gdy wieje kusi, tak jak teraz, jest ich więcej z każdym miesiącem. Wszyscy chcą kupować niewolników i kość słoniową. Sułtanat Zanzibaru był terytorium podległym księciu i część zysków z tamtejszego handlu trafiała do jego skarbcza. Wiedział, że sułtan prowincji oskubie bezbożnych kupców co do rupii.

- Ali Muhammad powinien przestrzec niewiernych, że nie będę tolerował ich obecności na północ od Zanzibaru. Zakazuję tego surowo.

Al-Malik chętnie widział u siebie złoto i towary frankijskich kapitanów, lecz świadom był ich skąpstwa i bezwzględności. Pozakładali już faktorie handlowe i bazy wypadowe w imperium Wielkiego Mogoła. A kiedy postawili gdzieś stopę, taki przyczółek był nie do ruszenia. Nie zamierzał ich dopuszczać do Łamu.

- Ali Muhammad zna doskonale twoje rozkazy, panie. Jeżeli tylko jakiś statek niewiernych zepuści się na te wody, natychmiast zamelduje o tym Waszej Wysokości, wysyłając szybki dhow.

Al-Malik skinął głową.

- Skoro tak wielki jest popyt na kość słoniową - zapytał - to jak wyglądają nasze źródła w głębi ładu?

- Kości jest z każdym rokiem coraz mniej, a zapotrzebowanie niewiernych wciąż rośnie - odparł wezyr.

Rynki Zanzibaru i Łamu opierały się głównie na dostawach od pogańskich plemion z interioru, które nie dysponowały bronią palną. Ich metoda polowania na wielkie zwierzęta polegała na kopaniu wielkich dołów - pułapek z zaostrzonymi dragami na dnie - i naganianiu do nich słoni. Zdarzali się wśród tubylców nieustraszeni myśliwi, którzy potrafili ubić słonia z łuku, lecz ich zdobycze stanowiły margines.

- Być może powinniśmy sprzedać czarnym wodzom trochę muszkietów, żeby zapewnić im obfitsze łowy? - zasugerował ostrożnie jeden z doradców.

Książę jednak pokręcił gwałtownie głową.

- To nazbyt niebezpieczne - rzekł. - Mogłoby przyjść im do głowy wzniesienie rebelii przeciwko naszej władzy. Lepiej nie wypuszczać lwa z klatki.

541

Omówili dogłębnie całe zagadnienie, a potem przeszli do tematu handlu niewolnikami.

- Staramy się chwytać ich jak najbliżej wybrzeża - wyjaśniał wezyr. - Lecz to sprawia, że poganie przenoszą się coraz dalej w głąb ładu i, podobnie jak słonie, stają się coraz bardziej dzicy i płochliwi. Z każdym rokiem łapiemy ich mniej.

I w tym wpadku Arabowie posługiwali się wojowniczymi plemionami z głębi ładu, które napadały na swych tradycyjnych wrogów i dostarczały złapanych jeńców do punktów zbornych nad brzegami wielkich jezior.

- Poślijmy do dżungli naszych żołnierzy - zaproponował jeden z nich. - Na pewno pochwyć więcej niewolników. Książę pogłodził z namysłem brodę.

- Musielibyśmy posłać najodważniejszych i najlepszych. Nie wiemy, co ich spotka w dzikich ostępach poza tym, że będzie to niebezpieczna i trudna praca. - Przerwał, rozważając dalsze aspekty pomysłu. - Decyzję w tej kwestii podejmę później. Na razie przygotuj listę pięćdziesięciu ludzi, którzy nadawaliby się do takiej wyprawy.

Załatwiwszy sprawy związane z finansami państwa, al-Malik odprawił pomniejszych członków rady, by przejść do poważniejszych kwestii. Rezultaty jego pobytu w Maskacie miało poznać jedynie pięciu najbardziej zaufanych doradców.

Był to grząski grunt, pachnący z daleka konspiracją i zdradą. Kalif Al-Uzar Ibn Ja'ub był starszy od księcia o czterdzieści lat; urodził się, gdy ich ojciec był jeszcze młodzieńcem. Al-Malik był natomiast owocem późnego związku starca, zaślepionego miłością do młodej faworyty. Jak jednak wiedział każdy znawca koni, "stary ogier i młoda klacz płodzą najlepsze źrebięta".

Niedużemu imperium Omanu zagrażało potężne cesarstwo otomańskie, ze stolicami w Stambule i Bagdadzie, obejmujące większą część świata arabskiego. Oparły mu się jak dotąd jedynie małe państewka na północy, niegodne zainteresowania tureckich kalifów, oraz te, którym udało się obronić przed łupieżczymi napaściami Turków.

Przed atakiem z morza chroniła Oman jego silna flota. Na lądzie natomiast agresor z północy napotykał przeszkodę w postaci okrutnych piasków pustyni Arab al-Chali i niewielkiej armii pustynnych wojowników, dla których była ona domem.

542

Oman opierał się więc najeźdźcom od ponad stu lat i mógł przetrwać kolejne sto, gdyby nim rządził człowiek silny i przedsiębiorczy.

Ibn Ja'ub nie był tego rodzaju osobą. Miał już powyżej sześćdziesiątki i wolał poświęcać się politycznym intrygom i knowaniom zamiast trudom wojaczki.

Troszczył się bardziej o utrzymanie władzy niż o jedność i bezpieczeństwo państwa. W miarę upływu lat utracił poważanie, jakim się kiedyś cieszył u licznych plemion, rządzonych przez samodzielnych szejków. A z takich małych narodów składała się ludność Omanu. Nie czując nad sobą silnej ręki, ci twardzi ludzie pustyni tracili poczucie celu i kierunku. Zaczynali walczyć pomiędzy sobą, odgrzebując stare plemienne waśnie i lekceważąc władzę okrutnego, lecz chwiejnego starca z Maskatu.

Władza ta oddziaływała jeszcze z pewną mocą w bliskości królewskiej twierdzy; im dalej jednak w głąb rozprażonej pustyni albo bezkresnych wód Oceanu Indyjskiego, tym stawała się słabsza i mniej skuteczna. Pustynni szejkowie i dowódcy wielkich dhow przyjmowali rozkazy jedynie od tych, których poważali.

Niektórzy z nich już posyłał tajnych emisariuszy do al-Malika, którego znali jako silnego władcę i niezrównanego żołnierza. Wiedzieli doskonale, że kalif kazał mu objąć Łamu, placówkę na obrzeżach imperium, z obawy przed wpływami i popularnością księcia. Wysłannicy pustynnych watażków zapewniali al-Malika, że gdyby przybył do Omanu i poprowadził rewoltę przeciwko staremu kalifowi, przyłączyliby się doń jak jeden mąż. Z księciem al-Malikiem u steru państwa zjednoczyliby się ponownie przeciwko Turkom.

- To twój obowiązek i prawo, dane ci od Boga - przekonywali go. - Jeśli przybędziesz, mułkowie ogłoszą dżihad, świętą wojnę, i wspólnie obalimy tyrana - obiecywali.

Były to kwestie drażliwe i związane ze straszliwym ryzykiem. W wypadku porażki żaden z sześciu siedzących na tarasie mężczyzn nie miał wątpliwości co do konsekwencji dla własnej osoby. Rozmawiali długo, rozważając szansę zwycięstwa i zastanawiając się nad słusznością swej sprawy.

Kiedy narada się zaczynała, łodzie na plaży u stóp fortu uwięzione zostały przez odpływ. Tkwiły na piasku z suchym dnem, przechylone na bok, a długie szeregi niewolników

543

wyładowywały z nich towary. Mężczyźni na tarasie dyskutowali jeszcze, gdy rozpoczął się przypływ, stopniowo podnosząc statki i przywracając im swobodę ruchów. Wreszcie postawiły żagle i wyszły na kanał. Z kontynentu przybyły kolejne dhow, wyładowane po brzegi dobrami, i rzuciły kotwice. Przypływ znowu osiągnął swój najwyższy poziom i zaczął się następny odpływ, a sześciu dostojników wciąż toczyło swoją debatę.

Księżę al-Malik mówił mało, pozwalając swobodnie powiedzieć swym zausznikom, co im leży na sercu, i starannie odsiewając z potoku ich słów perełki mądrości i pomysłowości.

Przyjrzeni się bojowej wartości tych wojsk, którymi już mogli dysponować, i sporządzili listę szejków obojętnych lub niechętnych ich sprawie. Następnie porównali swe siły z armią Ibn Ja'uba. Księżę wysłuchał wszystkiego do końca i dopiero wówczas podjął decyzję.

- Wszystko zależeć będzie od ludów z głębi pustyni, Sa-arów, Dahmów i Karabów. To najwięksi wojownicy w całym Omanie i bez nich nasz zamiar się me powiedzie - rzekł. - Jednakże nie mieliśmy jeszcze od nich wieści i nie wiemy, w którą stronę zwróca swe bojowe lance.

Doradcy przyjęli jego słowa pomrukiem zgody i księżę dodał cicho:

- Muszę więc udać się do nich.

Milczeli przez dłuższą chwilę, dumając nad jego śmiałym postanowieniem. Wreszcie odezwał się al-Allama.

- Twój brat kalif nie pozwoli na to, panie. Jeśli zaś będziesz nalegał, zwietry niebezpieczeństwo.

- Wyruszę na hadżdż, świętą pielgrzymkę do Mekki. Pojadę do Świętego Miasta starym pustynnym szlakiem, który wiedzie przez terytoria tamtejszych ludów. Kalif nie może sprzeciwić się pielgrzymce, gdyż skazałby sam siebie na wieczne potępienie.

- To wielkie ryzyko - upierał się al-Allama.

- Wielkie osiągnięcia wymagają wielkiego ryzyka - odparł książę. - A Bóg jest wielki.

- Allahu akbar! - zawołali. - Zaiste Bóg jest wielki.

Al-Malik odprawił ich łaskawym gestem. Podchodzili doń kolejno, obejmując i całując w dłoń, a potem opuszczali taras. Ostatni był al-Allama.

- Zostań jeszcze - powiedział al-Malik do mułły. - Nadeszła godzina wieczornych modłów. Pomodlimy się razem.

544

Niewolnice wniosły dzbany ze słodką studzienną wodą i obaj mężczyźni odprawili rytuał oczyszczenia. Obmyli dłonie polewane przez służące wodą ze srebrnych naczyń, trzykrotnie zwilżyli usta i wciągnęli wodę do nosa z zagłębienia prawej dłoni, po czym wydmuchali ją, posługując się lewą. Na koniec obmyli twarz, ramiona i stopy.

Niewolnice wyszły. Al-Allama wstał i odwrócił się twarzą w kierunku świątyni Kaaba w Mekce, leżącej tysiąc mil na północ. Założywszy dłonie za uszy, zaintonował donośnym głosem wezwanie do modlitwy.

- Bóg jest wielki! Zaświadczam, że Mahomet jest posłańcem Boga. Zbierzcie się na modlitwę! Módlcie się dla pożytku swego!

Na dziedzińcu w dole i pod palmami wzdłuż plaży gromadziły się w ciszy setki mężczyzn w burnusach. Stawali w pełnej szacunku pozie, twarzami w tę samą stronę.

- Modlitwa się rozpoczęła! - zaśpiewał al-Allama. Po modłach książę zaprosił mułłę gestem, żeby usiadł na poduszkach po jego prawicy.

- Widziałem chłopca, al-Amharę, gdy przybyliśmy z Mas-katu - rzekł. - Powiedz mi, jakie poczynił postępy, gdy mnie nie było.

- Rośnie jak drzewo tamaryszkowe, jest wysoki i silny. Już świetnie jeździ konno. Ma bystry umysł i cięty język, czasem nawet zbyt cięty. Często zapomina o okazywaniu szacunku starszym i wyżej stojącym od siebie. Niechętnie przyjmuje słowa krytyki czy napomnienia. W gniewie zaś, lub doznawszy niepowodzenia, dysponuje takim zasobem przekleństw, że starym wilkom morskim wędną uszy. Al-Malik przysłonił uśmiech rozbawienia brzegiem filiżanki z kawą. Słyszac tę charakterystykę, polubił swego przybranego syna jeszcze bardziej. Będzie przewodził ludziom, pomyślał.

- Dorósł już do męskości - ciągnął al-Allama - i został należycie obrzezany przez Ben Abrama. Kiedy nadejdzie czas, by przyjął islam, będzie odpowiednio przygotowany.

- To dobrze - rzekł książę. - Czy twe nauki w tej dziedzinie zrodziły jakieś owoce, świątobliwy ojcze?

- Posługuje się naszą mową, jakby się tutaj urodził, i recytuje z pamięci całe fragmenty Koranu. - Al-Allama unikał spojrzenia swego rozmówcy.

- Czy poczynił postępy w poddaniu się woli jedynego Boga? - nalegał al-Malik. - Bez tego prorocstwo się nie wypełni.

545

- Sam Prorok powiada, że nikogo nie należy nawracać na islam siłą. Musi sam do tego dojrzeć, po swojemu i w odpowiednim czasie.

- A więc odpowiedź brzmi nie?

- Chłopak lubuje się w toczeniu sporów. Czasami mam wrażenie, że uczy się na pamięć Koranu tylko po to, żeby lepiej ze mną polemizować. Wychwala własną religię i twierdzi, że pewnego dnia zostanie wprowadzony, jak przed nim jego dziadek i ojciec, do zakonu chrześcijan, który nazywa Zakonem Świętego Jerzego i Świętego Graala.

- Nie naszą jest rzeczą wnikać w zamiary Allaha - rzekł al-Malik.

- Bóg jest wielki! - poparł go al-Allama. - Mam jednak więcej wieści na temat chłopca. Dopytywał się o niego angielski konsul z Zanzibaru.

Al-Malik pochylił się ku niemu z uwagą.

- Myślałem, że konsul został zamordowany jakieś pięć lat temu?

- Tamten nazywał się Grey. Anglicy przysłali na jego miejsce nowego.
- Rozumiem. W jakiej formie zwrócił się do nas ten człowiek?
- Opisał chłopca akuratnie, określił jego wiek i powierzchowność. Wiedział, że al-Amhara został pochwycony przez Jangiriego i że ty, panie, kupiłeś go jako niewolnika. Znał nawet imię, jakie mu nadaliśmy: al-Amhara.
- Skąd mógł się tego wszystkiego dowiedzieć? - czoło księcia zmarszczyło się chmurnie.
- Nie wiem, lecz Ben Abram opowiedział mi wiele o pochodzeniu chłopca. Rozmawiał z jego starszym bratem, kiedy Anglicy zdobyli gniazdo al-Aufa na wyspie.
- Co ci powiedział stary doktor?
- Chłopiec pochodzi z wysokiego rodu, blisko związanego z dworem króla Anglii. Brat al-Amhary pomimo młodego wieku jest znamienitym żeglarzem, biegłym w walce. Złożył chłopcu przysięgę, że go odnajdzie i uratuje. Możliwe, że konsul z Zanzibaru zwrócił się do nas z jego inspiracji. Nie wiemy tego, lecz rozsądnie będzie nie lekceważyć jego pytań.
Al-Malik zastanawiał się przez chwilę.
- Anglicy sami handlują niewolnikami - powiedział. - Dlaczego więc sprzeciwiają się, kiedy robi to ktoś inny? Czy

546

moga nas zmusić siłą do podporządkowania się ich woli? Ich kraj leży daleko, na końcu świata; nie przyślą przecież tutaj swoich wojsk.

- Ben Abram powiada, że Frankowie prowadzą wojnę w perfidny sposób. Ich władcy wydają firman, pełnomocnictwo, kapitanom uzbrojonych statków handlowych, zezwalając im napadać na wrogów swego państwa. Ci ludzie są jak rekiny albo barakudy. Polują jedynie na łupy.

- Czy król Anglików może wypowiedzieć nam wojnę z powodu jednego dziecka?

- Ben Abram obawia się, że tak. Nie tylko przez wzgląd na chłopca, lecz by mieć pretekst do przysłania tu swoich statków, podbicia Omanu i zrabowania jego bogactw.

- Muszę przemyśleć to wszystko, co usłyszałem od ciebie - rzekł książę, odprawiając mułłę gestem. - Jutro po porannej modlitwie Zuhr przyprowadź do mnie chłopca i doktora.

Dorian udawał się na audiencję u księcia, drżąc jednocześnie z obawy i podniecenia. Przy pierwszym spotkaniu z al-Ma-likiem nie odczuwał takich niepokojów. Książę był wówczas dla niego jednym z muzułmanów, nieprzyjacielskim dowódcą i poganinem.

Od tego czasu jednak wiele się o nim dowiedział od mułły i Ben Abrama.

Powiedzieli mu o prawie księcia do królewskiego tytułu, sięgającym przeszłości równie zamierzchłej jak początki tronu Anglii. Usłyszał o jego dokonaniach żeglarskich i wyczynach wojennych. Przekonał się, jakim szacunkiem darzą go poddani.

W dodatku upływ czasu i odległość dzieląca chłopca od Anglii i jego religii sprawiały, że coraz bardziej słabła duchowa pępowina, łącząca go z ojczyzną. Od długiego czasu nie miał sposobności rozmawiania po angielsku. Myślał już po arabsku i z trudem przypominał sobie nawet dość proste słowa w ojczystym języku. Nawet pamięć o rodzinie zaczynała w nim blednąć. O Tomie myślał tylko sporadycznie. Porzuciwszy wszelkie pomysły związane z ucieczką, przestał traktować swój pobyt w Łamu jako więzienie. Świat arabski, arabski sposób życia i myślenia stopniowo go pochłaniały i teraz, gdy stawał ponownie przed księciem, przepełniał go szacunek zmieszany z lękiem. ;

547

Klęknął przed nim na koralowej posadzce tarasu, prosząc o błogosławieństwo, a gdy usłyszał słowa władcy, jego serce zabiło szybciej z zaskoczenia i satysfakcji.

- Chodź tu i usiądź przy mnie, mój synu - rzekł al-Ma-lik. - Mamy wiele do omówienia.

Potężny książę potwierdził oto przy tak wielu świadkach, że go usynowił. Dorian poczuł przypływ dumy i zaraz po tym ostre ukłucie winy. Przemknął mu przed oczami wizerunek prawdziwego ojca, rozmazany jednak i niewyraźny. Zawsze ci będę wierny, ojcze, obiecał sobie stanowczo w myśli, lecz z zaproszenia księcia skorzystał skwapliwie i z radością.

- Zmieniłeś się w mężczyznę, kiedy mnie nie było. - Al--Malik przyglądał mu się uważnie.

- Tak, panie - odparł Dorian, powstrzymując się w ostatniej chwili przed dodaniem: - Z łaski Allaha.

- W rzeczy samej - książę dostrzegł pod kanzu chłopca zarys młodych, silnych mięśni i szerokie barki. - Stosownym będzie więc, żebyś porzucił dziecięce imię i otrzymał nowe, godne mężczyzny. Od dziś nazywany będziesz al-Salil.

- Taka jest wola Allaha - zawołali chórem mułła i stary doktor, dumni i ucieszeni, że książę tak docenił ich protegowanego. Imię, które mu nadał, honorowało także ich wysiłki i zwiastowało pomyślność; znaczyło bowiem Obnażony Miecz.

- Twoja łaskawość jest jak słońce rozpraszające nocny mrok - odpowiedział Dorian.

Al-Allama pokiwał z aprobatą głową, słysząc dobór słów i ich intonację.

- Wypada również, żebyś miał własnego nosiciela lancy.

Al-Malik klasnął w dłonie i na taras wszedł młody mężczyzna, stawiając długie, zamaszyste kroki. Starszy od Doriana o jakieś dziesięć lat, z ubioru i postawy wyglądał na wojownika. U pasa nosił zakrzywiony bułat, a na ramieniu tarczę z brązu.

- To jest Batula - rzekł książę. - Złoży ci teraz przysięgę posłuszeństwa.

Batula podszedł do chłopca i klęknął przed nim.

- Od dzisiaj jesteś moim panem, a ja twym sługą - powiedział mocnym, dźwięcznym głosem. - Twoi wrogowie będą moimi wrogami. Dokądkolwiek się udasz, będę niósł lancę i tarczę za tobą, po twojej prawicy.

548

Dorian położył prawą dłoń na ramieniu Batuli, przyjmując jego przysięgę. Młody mężczyzna wstał. Chłopcu od razu się spodobał. Nie był zbyt urodziwy, lecz miał szeroką, szczerą twarz, z dużym orlim nosem. W uśmiechu obnażał równe białe zęby. Jego ciemne grube włosy, natłuszczone klarowanym masłem, zaplecione były w warkocz, przerzucony przez szeroki bark.

- Batula biegle włada lancą - wyjaśnił al-Malik. - Jest wojownikiem zaprawionym w bojach i wiele cię może nauczyć, al-Salilu.

Lanca była bronią najlepszych arabskich jeźdźców. Dorian przyglądał się wiele razy nowicjuszom ćwiczącym na placu. Z dreszczem emocji słuchał tętentu kopyt i patrzył jak urzeczony na lśniące ostrza, gdy w pełnym galopie nadziewali na szpic swej broni zawieszony w powietrzu pierścionek.

- Będę więc pilnym uczniem - obiecał księciu, który odprawił młodzieńca gestem dłoni. Kiedy wyszedł, al-Malik mówił dalej.

- Niedługo zamierzam znów wyruszyć na długą wyprawę na północ. Pojadę na pielgrzymkę do Mekki przez dzikie okolice i piaski pustyni. Chcę, byś mi towarzyszył, synu.

- To, że mnie wybrałeś, panie, napełnia moje serce radością.

Książę dał znak, że audiencja skończona, i Dorian opuścił taras. Władca zwrócił się znów do mułły i starego doktora.

- Poślemy wiadomość do angielskiego konsula w Zanziba-rze - oznajmił. - Przekażemy mu za pośrednictwem sułtana, że książę al-Malik istotnie zakupił niewolnika al-Amharę. - Przerwał na chwilę, zbierając myśli. - Uczynił to, by uchronić chłopca przed al-Aufem i wziąć go pod swoją opiekę. Powiedzcie konsulowi, że mimo wszelkich starań księcia chłopiec zachorował podczas zarazy i zmarł przed dwoma laty. Pochowany został tutaj, na wyspie Łamu. Przekażcie, że al-Malik potwierdza to własnym słowem.

- Będzie tak, jak powiedziałaś, Wasza Wysokość - skłonił się al-Allama, zachwycony genialną prostotą takiego rozwiązania.

- Al-Amhara nie żyje - rzekł książę. - Postawcie na cmentarzu kamień z jego imieniem. Al-Amhara umarł. Narodził się al-Salil.

- Z woli Boga - potwierdził przyjęcie rozkazu mułła.

549

- Zabiorę chłopca ze sobą na pustynię i ukryję go u Saarów. Pośród piasków nauczy się wojennego rzemiosła, a Frankowie tymczasem zdążą zapomnieć o jego istnieniu.

- To mądre postanowienie.

- Al-Salil znaczy dla mnie więcej niż syn; jest niczym żywy talizman. Nigdy nie oddam go Anglikom - dodał cichym, lecz stanowczym głosem książę.

Swallow pokonał kanał i wpłynął na redę Zanzibaru. Stało tu na kotwicy dziesięć rejowych żaglowców w otoczeniu mnóstwa arabskich dhow. Tom Courtney przyjrzał się im uważnie. Dostrzegł bandery żeglarskich i handlowych potęg europejskich, w większości portugalskie i hiszpańskie.

- Nie widać żabojadów, panie Tyler - oznajmił z ulgą. Wolał uniknąć komplikacji związanych z postojem w neutralnym porcie obok statków nieprzyjaciela.

- Ano nie - potwierdził Ned. - Ale jest jeden wschod-nioindyjczyk - wskazał wielki żaglowiec, który wyglądał jak prawdziwy król mórz i był żywym dowodem potęgi Kompanii. - Ci powitaliby nas jeszcze chłodniej od Francuzów.

- Mam ich w nosie - zaśmiał się zuchowato Tom. - Z dala od angielskich sądów nic nam nie mogą zrobić, a tam się jeszcze przez jakiś czas nie wybieram. Musieliby mnie zaciągnąć w łańcuchach - dorzucił półgłosem. Spojrzał na maszt Swallowa. Nie było na nim bandery, gdyż wolał nie ujawniać swej narodowości. - Jak tylko rzucimy kotwicę, zamierzam złożyć wizytę nowemu konsulowi - poinformował Neda. Podczas przerwy w rejsie dowiedział się na Przyładku Dobrej Nadziei od angielskiego kapitana, wracającego do kraju, że na miejsce Greya mianowano kogoś nowego.

- To jakiś młody człowiek, przysłany z Bombaju po śmierci Greya - powiedział mu tamten - żeby reprezentować w Zan-zibarze Koronę, a co ważniejsze, pilnować interesów Kompanii na tych obszarach.

- Jak się nazywa? - zapytał Tom.

- Nie pamiętam. Nawet go nie spotkałem, lecz z tego, co mi opowiadano, jest to osobnik gburowaty i nieprzyjemny w obejściu, przejęty poczuciem własnej ważności.

550

Zostawszy sam, Tom przyjrzał się wachlarzowi obracającemu się powoli pod sufitem. Wprawiał go w ruch system lin i bloków przechodzących przez otwór w ścianie i napędzanych siłą mięśni niewolnika na dziedzińcu.

Następnie podszedł do stojącego na środku pokoju biurka. Zobaczył pliki akt związanych czerwoną wstążką i ułożonych rzędem z wojskową precyzją. Obok ustawiono stojak na gęsie pióra i kałamarz. Odszedł od biurka i przebiegł wzrokiem szeregi książek na półkach, licząc, że może ich zawartość powie mu coś o charakterze człowieka, którego miał za chwilę spotkać. Stały tu jednak tylko ciężkie tomiska rejestrów i raportów Kompanii z jej emblematem na grzbiecie. Żaden z przedmiotów w tym pomieszczeniu nie miał osobistego charakteru i wydawało się ono pozbawione duszy.

Wyrwał go z zamyślenia odgłos kroków na płytach wewnętrznego dziedzińca. Gdy się odwrócił, ujrzał w drzwiach wysoką sylwetkę, ciemną na tle słonecznego blasku dochodzącego z zewnątrz. Konsul przystanął, przyzwyczajając oczy do półmroku. Odziany był w surowy surdut z czarnej serży, z białym koronkowym kołnierzem. Po chwili wszedł do środka i zdjął z głowy kapelusz z szerokim rondem. Tom ujrzał wreszcie jego twarz. Zdumienie na dłuższą chwilę odebrało mu mowę. Stał jak skamieniały. W końcu wybuchnął śmiechem.

- Guy! To naprawdę ty? - zawołał, otwierając pod wpływem impulsu ramiona, by wziąć bliźniaka w objęcia.

Guy Courtney wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego. Na jego twarzy odmalowała się cała masa sprzecznych emocji; zaraz jednak rysy mu stwardniały, a w oczach pojawił się chłód. Cofnął się o krok, by uniknąć uścisku brata.

- Thomasie - powiedział - nie miałem pojęcia, że to ty. Podpisałeś się na bileciku zmyślonym nazwiskiem.

- Ja też nie miałem pojęcia, że to ty - odparł Tom, opuszczając ręce i udając, że nie słyszy oskarżenia.

Uznał, że lepiej będzie nie posługiwać się prawdziwym nazwiskiem, na wypadek gdyby jakimś cudem nakaz aresztowania go za morderstwo dotarł do Zanzibaru szybciej niż Swallow. Próbował wyczytać z twarzy brata, czy się istotnie tak nie stało. Nie sądził, żeby Guy w takim wypadku chciał go chronić przed wymiarem sprawiedliwości.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu, przez chwilę, która

552

Tomowi wydawała się wiecznością. Wreszcie Guy wyciągnął prawą dłoń i Tom uściskał ją z ulgą.

Uścisk dłoni konsula był miękki, a skóra zimna jak jego spojrzenie.

- Zechciej usiąść, Thomasie - rzekł, stając przy biurku. Nie patrząc wprost na brata, wskazał mu krzesło z wysokim oparciem. - Ufam, że nie wróciłeś na te wody, by się zajmować pokątnym handlem? Fakt, że zataiłeś swe nazwisko, każe mi przypuszczać, iż może tak być w istocie. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął: - Muszę cię przestrzec, że stawiam na pierwszym miejscu lojalność wobec Kompanii - ostatnie słowo wymówił z taką czcią, jakby przyzywał imię Boga - i będę musiał posłać odpowiedni raport do Londynu.

Tom patrzył nań szeroko otwartymi oczami, czując wzbierający gniew.

- Na niebiosia, Guy, naprawdę to jest dla ciebie najważniejsze? Czyż nie jesteśmy już braćmi? Czemu nie pytasz o ojca i Doriana?

- Poinformowano mnie już o śmierci ojca. Statek Kompanii, który widziałeś w porcie, przywiózł mi wczoraj listy od lorda Childsa i od naszego brata Williama. Tom odetchnął z ulgą. Brat jeszcze nic nie wiedział o śmierci Czarnego Billy'ego.

Guy poprawił pióro w stojaku i mówił dalej:

- Odejście ojca opłakałem już na swój własny sposób i nie mamy sobie w tej kwestii niczego więcej do powiedzenia. - Ściągnął usta. - On zawsze faworyzował ciebie. Ja niewiele dla niego znaczyłem.

- To nieprawda, Guy - wybuchnął Tom. - Ojciec kochał nas na równi.

- To ty tak twierdzisz. - Guy wzruszył ramionami. - Jeśli zaś chodzi o Doriana, słyszałem, że wpadł do morza i się utopił.

- Nic podobnego - zachnął się Tom, usiłując nie krzyczeć. - Pojmali go muzułmanie i sprzedali jako niewolnika.

- Ty zawsze lubiłeś zmyślane historie - zaśmiał się sarkastycznie Guy. - Zapewniam cię, że jako konsul Jego Królewskiej Mości na tych terytoriach mam dostęp do najpewniejszych źródeł informacji.

W tych słowach Tom dostrzegł jednak cień niepewności i fałszu.

553

- Niechże cię diabli, Guy! - nie wytrzymał. - Ja tam byłem i widziałem to na własne oczy!

Guy usadowił się za biurkiem i zaczął bawić gęsim piórem, głaszcząc się nim po policzku.

- Widziałeś, jak sprzedawano twego brata, i nie zrobiłeś niczego, żeby temu zapobiec? No, no!

- Nie, ty nadęty bufonie! Widziałem, jak go złapali piraci, i wiem, że jest w ich rękach. Nie utopił się, tylko został sprzedany!

- Jakie masz dowody... - zaczął Guy, lecz Tom nie pozwolił mu skończyć. Podszedł do biurka i trzasnął pięścią w blat, aż atrament chlusnął z kałamarza na rozłożone akta.

- Zeznania Arabów, których pojmaliśmy na Flor de la Mar, oraz świadectwo moich własnych oczu i zmysłów - powiedział, cedząc słowa. - Dorian żyje, a twoim obowiązkiem, jako jego brata i Anglika, jest pomóc mi go odszukać!

Guy zerwał się na równe nogi, z pobladłą twarzą i pałającymi gniewem oczami.

- Jak śmiesz przychodzić do mojego domu i w tym swoim nieodmiennie aroganckim, bezczelnym stylu mówić mi, co mam robić?! - wrzasnął na brata, pryskając śliną z kącików ust.

- Jezu Chryste, Guy, nie prowokuj mnie dłużej! Jeżeli nie uczynisz, co do ciebie należy, aby ratować naszego brata, wygarbuję ci skórę do żywego mięsa, ty tchórze!

- Te czasy dawno już minęły, Thomasie Courtneyu. - Młodszy z bliźniaków aż dygotał z wściekłości. - Tutaj ja jestem panem. Reprezentantem Jego Królewskiej Mości oraz Kompanii Wschodnioindyjskiej. Jeśli ośmielisz się podnieść na mnie rękę, znajdziesz się w więzieniu, a twój statek zostanie skonfiskowany, mój panie! Jak w ogóle śmiesz mnie pouczać, po tym co sam zrobiłeś Caroline! - Wypowiadając to imię, krzyknął tak głośno, że Tom cofnął się o krok, jakby trafiony w pierś kulą z muszkietu.

Guy też się cofnął, wyraźnie zatrwożony słowami, które w gniewie wymknęły mu się z ust. Dobrze mierzone oskarżenie zbiło jednak z tropu także starszego z braci.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu i nagle obaj się odwrócili, usłyszawszy cichy odgłos przy wejściu z ogrodu.

W drzwiach stała kobieta. Ubrana była w zieloną jedwabną suknię z rozcinanymi rękawami i stójką. Długa do kostek,

554

odsłaniała tylko czubki pantofli. Kobieta wpatrywała się w To-ma, jakby był duchem. Jedną dłonią trzymała się za gardło, drugą ścisnęła rączkę dziecka, uczeponego jej kolan.

- Co ty tu robisz, Caroline! - ryknął Guy. - Wiesz dobrze, że ci nie wolno wchodzić, kiedy przyjmuję gości!

- Usłyszałam krzyki - odparła niepewnym głosem. Ciemne kędziory wysoko upiętych włosów opadały jej na twarz, zasłaniając policzki; Tom dostrzegł jednak, że ma ziemistą cerę, jakby niedawno chorowała. - Usłyszałam swoje imię - dodała, wciąż wpatrzona w Toma.

Dziecko odziane było w fartuszek wiązany wstążkami, miało złociste loki i różowe usteczka. Tom uznał, że wygląda jak aniołek.

- Kto to jest? - zapytało, pokazując go palcem i śmiejąc się.

- Zabierz stąd Christophera! - krzyknął znów Guy. - W tej chwili!

Caroline jakby go nie słyszała.

- Tom? - zapytała, zaskoczona i uradowana jednocześnie. - Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. - Christop-her, uczepony jej ręki, próbował zrobić niepewny krok w stronę nieznanego, lecz matka przyciągnęła go łagodnie ku sobie. - Jakże się miewasz, Tom?

- Zdrowie mi dopisuje - odparł niezręcznie. - Mam nadzieję, że tobie także?

- Chorowałam - odpowiedziała półgłosem, nie odrywając od niego oczu. Zwilżyła językiem usta. - Od urodzenia naszego... - przerwała zmieszana i spłoniła się. - Od urodzenia Christophera.

- Przykro mi to słyszeć. - Przez twarz Toma przesunął się cień autentycznego współczucia. - A twoja rodzina? Rodzice i siostrzyczki - z trudem przypomniał sobie ich imiona - Agnes i Sarah?

- Ojciec został mianowany gubernatorem Bombaju. Postarał się dla Guya o stanowisko konsula. - Rzuciła nerwowe spojrzenie na męża, który wbijał w nią wściekłe spojrzenie. - Matka dwa lata temu umarła na cholere.

- Tak mi przykro - rzekł Tom. - Była wspaniałą niewiastą.

- Dziękuję. - Caroline skłoniła smutno głowę. - Moja siostra Agnes wyszła za mąż w Bombaju - dodała. *

555

- Przecież to jeszcze dziecko! - zdziwił się, pamiętając nieznośne zachowanie sióstr na Seraphie.

- Już nie jest dzieckiem, Tom. Ma siedemnaście lat, prawie osiemnaście - uzmysłowiła mu Caroline.

Zamilkli, a Guy opadł na krzesło za biurkiem, nie próbując już egzekwować swej władzy nad żoną.

Spojrzenie Toma powędrowało mimowolnie ku dziecku uczeponemu matczynej sukni.

- Śliczny chłopczyk - powiedział, patrząc znów w twarz Caroline. Skinęła głową, jakby odpowiadała na niezadane pytanie.

- To prawda - rzekła. - Podobny do ojca.

Tom poczuł przemożne pragnienie, by podejść do roześmianego brzdąca i wziąć go na ręce. Postąpił krok do tyłu, żeby się przed tym powstrzymać.

- Caroline! - wtrącił się znowu Guy, spokojniejszym, lecz nie mniej stanowczym tonem. - Mam sprawę do załatwienia. Proszę, byś wyszła i zabrała dziecko!

Jego żona zdawała się omdlewać. Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie Tomowi i powiedziała:

- Dobrze było móc znowu cię zobaczyć. Może przyjdiesz do nas z wizytą, skoro już jesteś w Zanzibarze? Mógłbyś któregoś wieczora zjeść z nami kolację, tu, w konsulacie... - W jej głosie brzmiała tęsknota i smutek.

- Nie sądzę, żeby Thomas znalazł czas na towarzyskie wizyty. - Guy wstał, marszcząc brwi, jak gdyby chciał ją uciszyć.

- To wielka szkoda - rzekła Caroline. - Wobec tego pożegnaj się z tobą już teraz. - Podniosła dziecko. - Do widzenia, Tom.

- Żegnaj, Caroline.

Ruszyła do drzwi z szelestem jedwabiu, a chłopiec na jej rękach odwrócił się i z powagą popatrzył na Toma.

Po ich odejściu bracia milczeli przez długą chwilę, aż w końcu chłodnym, opanowanym głosem przemówił Guy.

- Masz się trzymać z daleka od mojej rodziny. Absolutnie nie będę tolerował żadnych rozmów z moją żoną. Już raz wyzwiałem cię na pojedynek i zrobię to znowu, jeżeli mnie sprowokujesz.

- Nigdy nie byłeś dobrym szermierzem, Guy. Zabicie ciebie sprawiłoby mi niewiele przyjemności - rzekł Tom i przypo-

556

mniał sobie śmierć Williama. Poczucie winy w dalszym ciągu gniotło go w trzewiach. - Nie zamierzam się wtrącać w twoje życie. Od tej chwili będziemy mówili tylko o konkretnych sprawach do załatwienia. Zgadzasz się?

- Choć kontakt z tobą napawa mnie obrzydzeniem w każdej sytuacji, przystaję na to - odparł. - A najważniejszą z tych spraw jest dla mnie twoja odpowiedź na pytanie, które już raz zadałem. Czy zamierzasz prowadzić handel na tych terenach? Doniesiono mi z portu, że twój żaglowiec jest mocno wyładowany. Czy wiesz towary na sprzedaż? Czy masz na to zezwolenie Kompanii Wschodnioindyjskiej?

- Jesteśmy osiem tysięcy mil od Londynu, Guy. Jesteśmy za linią, sir, i twoja władza ani angielskie prawo nie mają tutaj żadnej mocy. Nie możesz ani mi przeszkodzić, ani zmusić mnie do wyjawienia moich intencji. - Tom powściągał wzburzenie, choć przychodziło mu to z pewnym wysiłkiem. - Dla mnie najważniejszy jest w tej chwili Dorian. Czy jako konsul próbowałaś się czegoś o nim dowiedzieć od sułtana?

- Nie ma żadnego powodu, żebym niepokoił sułtana tego rodzaju pytaniami i tobie także zabraniam to czynić - zaczął się znowu denerwować Guy. - Udało mi się nawiązać serdeczne stosunki z sułtanem Zanzibaru, który obecnie jest nastawiony bardzo przychylnie do naszej Kompanii, jak również naszego kraju. Nie pozwolę nikomu zakłócać tego stanu rzeczy pochopnymi oskarżeniami pod adresem księcia, który jest suwe-renem sułtana.

- Skąd wiesz, że to al-Malik kupił Dorianą? - Wyraz twarzy Toma gwałtownie się zmienił. - Przecież ja nawet nie wspomniałem jego nazwiska!

Guy był wyraźnie zmieszany. Przez kilka sekund milczał, szukając odpowiedzi.

- Al-Malik jest władcą tego regionu, naturalnym więc wydało mi się przypuszczenie...

- Na Boga, Guy! - przerwał mu Tom. - Żadne tam naturalne przypuszczenie! Powiedz, co wiesz na temat naszego brata, albo sam pójde zapytać o to sułtana. - Ani się waż! - młodszy bliźniak zerwał się z krzesła. - Nie pozwalam ci niszczyć moich dokonań!

- A jak chcesz mnie powstrzymać?

- Posłuchaj tylko - ton Guya złagodniał. - Dobrze więc,

557

powiem ci prawdę. Słyszałem te pogłoski o rudowłosym chłopcu pojmanym przez Arabów. Skojarzyłem to oczywiście z Doria-nem i przekazałem sułtanowi notę z odpowiednim zapytaniem. Czekam obecnie na odpowiedź księcia.

- Dlaczego mnie okłamywałaś? Nie mogłeś tego powiedzieć od razu? - złościł się Tom. - Dlaczego musiałem to z ciebie wydusić siłą?

- Ponieważ znam cię aż za dobrze. Bałem się twoich nierozważnych działań, które mogłyby rozgniewać sułtana. Stosunki dyplomatyczne to materia bardzo delikatna.

- Kiedy wysłałeś tę notę? - dopytywał się Tom.

- Nie wtrącaj się do tego - uchylił się od odpowiedzi Guy. - Sam doprowadzę sprawę do końca.

- Kiedy? - nie ustępował Tom.

- Jakiś czas temu. - Jego brat wbił spojrzenie w blat biurka. - Załatwienie czegokolwiek z Arabami wymaga czasu.

- Kiedy?! - Tom podszedł bliżej i przysunął twarz do jego twarzy.

- Od razu po przyjeździe do Zanzibaru - przyznał wreszcie konsul. - Rok temu.

- Rok temu? - zawołał Tom. - To niebywałe! O nie, mój drogi, ja nie zamierzam czekać tak długo. Jeszcze dziś udam się do sułtana i zażadam odpowiedzi!

- Zabraniam ci! - krzyknął Guy. - Ja tutaj jestem konsulem!

- Zabraniaj sobie, ile chcesz, bracie - rzekł ponuro Tom. - Idę do fortu.
- Prześlę dokładny raport na temat twojego zachowania lordowi Childsowi - zagroził desperacko młodszy z bliźniaków. - Statek Kompanii za kilka dni wyrusza do Anglii. Childs i Kompania nie puszcza ci tego płazem!
- Te żałosne groźby nie powstrzymają mnie od poszukiwań brata. Posyłaj sobie swoje raporty, Guy. Odpowiedź dostaniesz za dwa lata. Ja w tym czasie będę tysiące mil stąd, a Dorian razem ze mną.
- Proszę natychmiast opuścić ten dom, mój panie! - wrzasnął Guy. - I nie waż się ponownie przestąpić mego progu!
- To zaproszenie współbrzmi zaiste z moimi zamiarami, sir. - Tom wcisnął na głowę kapelusz. - Życzę udanego dnia. - Ruszył zdecydowanym krokiem do wyjścia, uśmiechając się pod wąsem, podczas gdy brat wołał za nim:

558

- Zabraniam ci zbliżać się do pałacu sułtana! W tej chwili posyłam mu wiadomość, że przybyłeś tu nielegalnie i nie podlegasz pieczy Jego Królewskiej Mości, Kompanii ani mojego urzędu!

Tom szedł piaszczystą drogą do portu krokiem tak szybkim, że Aboli musiał dobrze wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Nie odpowiedział na żadne z pytań przyjaciela i Murzyn w końcu też zamilkł.

Młody Anglik aż kipiał z gniewu. Miał ochotę wtargnąć do fortu, chwycić sułtana za gardło i wycisnąć z tej pogańskiej świni wszystkie odpowiedzi. Był jednak świadom, że nie panuje nad emocjami i znów jest bliski popełnienia jakiegoś gwałtownego czynu, który może obrócić wniwecz całe przedsięwzięcie. Muszę wrócić na statek, tłumaczył sobie w myśli; tam już nie zrobię żadnego głupstwa. Naradzę się z Abolim i z Nedem i wtedy dopiero zadziałam. Jego dłoń jednak wędrowała wciąż odruchowo do rękojęści szpady, a wściekłość szukała ujścia w szalonych pomysłach. Na Boga, jeżeli będzie trzeba, to dla uratowania Dorigana nie zawaham się wyruszyć moim małym Swallowem przeciwko całej muzułmańskiej flocie, zaklinał się w duchu.

Nagle z tyłu dobiegło go wołanie, zrazu tak słabe, że tłumiała je jego wściekłość. Po chwili dogonił go tętent kopyt i krzyki rozległy się bliżej.

- Tom, zaczekaj! Tom! Muszę z tobą pomówić!

Odwrócił się i spojrzał na gościniec. Jeździec zbliżał się galopem, pochylony nad końskim karkiem. Kopyta konia wzbijały tumany białego piasku.

- Tom!

Zdał sobie sprawę, że głos jest niewieści, a potem spostrzegł za jeźdźcem wydeptane wiatrem suknie i rozwiane włosy. Gniew opuścił go w jednej chwili. Przyglądał się kobiecie ze zdumieniem.

Jechała na oklep, bez siodła, ściskając boki wierzchowca białymi nogami, obnażonymi powyżej kolan przez podwijające się spódnice. Pomachała do niego ręką.

- Tom, stój! - Chociaż wołała go po imieniu, wciąż jej nie poznawał. Osadziła gniadą kobyłę w miejscu tuż przed nim i zeskoczyła na ziemię z poszumem sukni. - Potrzyмай ją,

559

proszę, Aboli - podała wodze Murzynowi. Olbrzym otrząsnął się z osłupienia i chwycił lejce.

- Tom! Och Tom! - Nieznajoma przyskoczyła do młodego Courtney'a i objęła go za szyję. - Myślałam, że cię już nigdy w życiu nie zobaczę! - Uściskała go serdecznie, po czym cofnęła się o krok, ujmując go za obie dłonie. - Niech no ci się przyjrzę. - Patrzyła na jego twarz, a on gapił się na nią szeroko otwartymi oczyma.

Miała długie, lekko pofalowane brązowe włosy i niezbyt urodziwą buzię. Jej szczeka była zbyt wydatna, usta zaś za szerokie, szczególnie gdy się uśmiechała, jak w tej chwili. Spod długich rzęs strzelało ku niemu spojrzenie jasnoniebieskich, typowo angielskich oczu. Od razu stwierdził, że skóra dziewczyny jest jej największą ozdobą. Była bez skazy, a tropikalne słońce powlokło ją, niezgodnie z obowiązującą modą, złotawym brązem. Nieznajoma niemal dorównywała Tomowi wzrostem. Patrzyła mu śmiało w oczy, swobodna i pewna w postawie, po chłopięcemu wysuwając biodra i odchylając ramiona.

- Nie poznajesz mnie, Tom? - roześmiała się.

Młodzieniec pokręcił głową z wyrazem otępienia na twarzy. Nie mógł oderwać wzroku od jej tryskającego życiem oblicza i pełnych rozbawienia, inteligentnych oczu.

- Wybacz mi, pani - wy bąkał - ale jestem w kropce.

- Pani, a to ci dopiero! - ofuknęła go. - Jestem Sarah! - Potrząsnęła jego dłońmi. - Sarah Beatty, młodsza siostra Caroline. Nazywałeś mnie bakiem. Dlaczego mi ciągle bręczysz koło ucha jak bąk, Sarah? - przedrzeźniała go. - Teraz poznajesz?

- Na niebiosa, ale się zmieniłaś! - wykrzyknął zdumiony, zerkając mimowolnie na kształtne wypukłości jej piersi przeżących się pod staniczkiem.

- Ty także, Tom. Co się stało z twoim nosem?

- Był złamany - dotknął zakłopotany koniuszka.

- Biedny Tom - zrobiła litościwą minę. - Ale całkiem ci z nim do twarzy. Och, jak to dobrze znów cię zobaczyć. - Wzięła go pod ramię i poszli gościńcem ku portowi. Aboli prowadził konia, trzymając się kilka kroków za nimi. -

Usłyszałam, jak krzyczysz na Guya. Nie mogłam uwierzyć, że to ty, chociaż głos poznałam od razu. - Rzuciła mu kosę, łobuzerskie spojrzenie. - Podśluchiwałam pod drzwiami. Guy by mnie stłukł, gdyby się dowiedział.

1

560

- Bije cię? - zjeżył się Tom. - Już ja się tym zajmę.

- Cii, nie bądź głuptasem. Potrafię zadbać o siebie. Nie traćmy czasu na gadanie o tym bufonie. Muszę szybko wracać, bo zauważa, że mnie nie ma, i zaraz pošła za mną lokaja.

- Musimy porozmawiać o mnóstwie spraw, Sarah! - Na myśl o rozstaniu z nią przeniknął Toma dziwny smutek. Jej ramię było silne i ciepłe. Otaczająca ją lekka woń pachnidła poruszała jakąś strunę w głębi jego duszy.

- Wiem, słyszałam waszą rozmowę o małym Dorianie. Wszyscy go lubiliśmy. Chcę ci jakoś pomóc. - Namyslała się przez moment. - Na południowym krańcu wyspy jest zrujnowany klasztor jezuitów. Spotkajmy się tam jutro, po drugim dzwonie południowej wachty. - Roześmiała się. - Widzisz, pamiętam wszystko, co mi mówiłeś o żeglowaniu. Przyjdiesz?

- Przyjdę na pewno.

Puściła ramię Toma i odwróciła się do Abolego, żeby go również uściskać.

- Pamiętasz, jak się bawiliśmy w konia, Aboli? Jak mnie nosiłeś na barana? Szeroki uśmiech całkowicie odmienił groźną twarz Murzyna.

- Panienko Sarah, wyrosłaś na istną piękność! - zawołał.

- Podsadzisz mnie? - Wzięła od niego cugle. Aboli podsunął jej swoją wielką dłoń i kiedy postawiła na niej stopę, dzwignął dziewczynę bez wysiłku na koński grzbiet. Posłała ostatni uśmiech Tomowi. - Nie zapomnij! - rzuciła i uderzając piętami boki klaczy, pobudziła ją do biegu.

Tom patrzył, jak oddala się galopem.

- O, nie - rzekł cicho. - Na pewno nie zapomnę.

Wybacz, efendi, lecz pan mój, sułtan, jest niedysponowany. Nie przyjmuje nikogo, nawet tak ważnych gości jak twoja czcigodna osoba.

Wezyr wyszczerzył się do Toma w fałszywym uśmiechu. Port pełen był frankijskich statków. Wszyscy kapitanowie starali się o audiencję u władcy Zanzibaru, zabiegając o jego względy i licencje na handel, prosząc, by im zezwolił popłynąć do zakazanych regionów na północy.

- Kiedy więc będzie mógł mnie przyjąć? - nie ustępował Tom.

561

Wezyr, słysząc tak rażąco niestosowne pytanie, wydał z dezaprobatą usta.

Wiedział, że ten młody niewierny dowodzi niedużym statkiem, który pomieścić mógł niewiele towarów na sprzedaż, i że raczej nie śmierdzi od niego groszem. Toteż nie zamierzał poświęcać mu wiele uwagi, choć zadziwiło go, że młody Anglik poprawnie włada arabskim i załatwia interesy zgodnie z subtelnościami etykiety nakazującej torować sobie drogę do sułtana odpowiednimi podarunkami.

- Wszystko w rękach Allaha - wzruszył ramionami urzędnik. - Może za tydzień; może za miesiąc. Któż to wie...

- Wrócę tu jutro. I będę przychodził dzień po dniu, dopóki sułtan nie zgodzi się mnie wysłuchać - oświadczył Tom.

- A ja każdego dnia będę oczekiwał twego powrotu, jak spieczona słońcem ziemia oczekuje deszczu - odrzekł wezyr bez zmużenia powiek.

Aboli czekał przy bramie fortu. Tom w odpowiedzi na jego milczące pytanie pokręcił tylko głową; był nadto rozdrażniony, żeby mówić. Wrócili na statek tą samą drogą, którą przyszedli - przez targ korzenny, przesycony zapachem goździków i pieprzu, obok pręgierza na targu niewolników, z przykutą doń kobietą wychłostaną za jakieś przewinienie tak mocno, że skóra zwisała z jej pleców krwawymi płatami, i wreszcie uliczką złotników, prowadzącą wprost do kamiennego nabrzeża, przy którym czekała szalupa.

Usiadłszy na rufie, Tom sprawdził położenie słońca na niebie, a potem wyjął z kieszonki srebrny zegarek z dewizką i otworzył wieczko.

- Płyńcie na południowy kraniec wyspy - rozkazał wioślarzom. Poprzedniej nocy przestudiował mapę; ruiny klasztoru zostały na niej zaznaczone i wiedział, że w pobliżu jest mała zatoczka, w której mogli zakotwiczyć.

Sunęli kanałem wzdłuż raf koralowych, szczerząc zęby w pianach przyboju. Tom czuł, jak wesoły słoneczny blask i perspektywa spotkania z Sarah sprawiają, że powoli opuszcza go zły humor.

Daleko przed dziobem widział wysokie fale otwartego morza, bijące o nieosłonięty, południowy brzeg wyspy. Na jej wybrzeżu dostrzegał zielen roślinności, bujniejszej wzdłuż biegu strumienia, który uchodził do laguny. W miejscu, gdzie nurt słodkiej

562

wody łączył się z morską, rafa nie przyrastała i tworzył się tam przesmyk. Gdy dopłynęli na tę wysokość, Tom posterował środkiem nurtu, gdzie woda była najciemniejsza. Na pustej plaży nie dostrzegł śladów innych łodzi. Zeskoczył z dziobu na twardy piasek, nie mocząc butów.

- Czekajcie na mnie - polecił Abolemu. - Wrócę za jakąś godzinę.

Odnalazł przy strumieniu zarośniętą ścieżkę i przedarł się nią w głąb ładu do palmowego gaju, za którym majaczyły ruiny klasztoru. Przyśpieszył kroku, a kiedy znalazł się pod niszczącą budowlą, zawołał donośnie:

- Sarah! Jesteś tu?

Z górnych konarów drzewa bo, wczepionego korzeniami w zmurszały mur, sfrunęło, skrzecząc, stado długoogoniastych papug. Poza tym panowała cisza.

Zaczął obchodzić ruiny dookoła. Nagle usłyszał gdzieś w pobliżu parsknięcie konia. Puścił się biegiem, nie mogąc opanować ekscytacji. Przy zwałonej bramie zobaczył przywiązaną klacz. Siodło stało oparte o mur, lecz jeźdźca nie było w zasięgu wzroku.

Już miał zawołać ponownie, po namyśle wszedł jednak cicho do środka budowli.

Pozbawiona dachu, zarośnięta była gęsto chwastami i młodymi palemkami, kiełkującymi z opadłych na ziemię orzechów. Pomiędzy kamieniami przemykały jaszczurki o niebieskich głowach, a wokół uwijały się wielobarwne motyle. Stał na środku starego dziedzińca, podparłszy się pod boki. Pamiętał, jak Sarah lubiła się z nim droczyć jako dziecko. Widocznie jej to zostało, pomyślał, i chowa się przede mną jak za dawnych czasów.

- Liczę do dziesięciu! - zawołał, jak zwykł czynić wówczas - i zaraz tam po ciebie przyjdę! - Kiedyś ta groźba sprawiała, że obie siostry kryły się z piskiem w zakamarkach statku.

- Raz! - krzyknął i natychmiast usłyszał gdzieś nad głową jej głos.

- Guy mówi, że gwałcisz młode dziewice, Tom. - Odwrócił się i zobaczył Sarah usadowioną wysoko na arkadzie bramy. Nogi zwiesiła w dół; była boso, a spod spódnic wystawały jej nagie łydki. Przeszedł dokładnie pod nią. - On twierdzi, że żadna przyzwoita chrześcijańska dziewczyna nie jest bezpieczna,

563

kiedy wyruszasz na łowy - przechyliła kokieteryjnie głowę. - Czy to prawda, Tom?

- Guy to bałwan - odparł ze śmiechem.

- Niezbyt cię lubi, co? Żadnych braterskich uczuć. - Dziewczyna zaczęła majtać w powietrzu nogami. Tom wpatrywał się w nie jak urzeczony. Były kształtne i gładkie. - Czy to prawda, że Christopher jest twój?

Uśmiech Toma szczeł nagle; młodzieniec niemal się zachwiał pod wrażeniem tych słów.

- Kto ci to powiedział? - Usiłował zapanować nad sobą.

- Caroline - odparła Sarah. - Odkąd cię wczoraj zobaczyła, ciągle płacze. Tom wpatrywał się w nią z zadartą głową, zupełnie skonsternowany tymi kilkoma zdaniem, które przed chwilą usłyszał. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Jeżeli stąd zejdziesz, obiecasz mi, że się na mnie nie rzucisz i nie zrobisz mi także dzidziusia? - zapytała figlarnie, wstając.

- Uważaj, bo spadniesz! - Odzyskał wreszcie głos i z drżeniem obserwował, jak balansuje na zwiertzałej koronie muru.

Sarah, jakby go nie słysząc, pobiegła po wąskim szczycie ruiny, ze zwinnością akrobaty zeskakując z kondygnacji na kondygnację i w końcu na ziemię.

- Przyniosłam koszyk z jedzeniem - oznajmiła, prowadząc go w głąb ruin. Poszedł za nią do jednej z dawnych mnisich cel. Pomieszczenie, choć bez sklepienia, dawało osłonę przed popołudniowym słońcem. Dziewczyna wyciągnęła koszyk, ukryty pod kupką palmowych liści. Usiadła, podwijając pod siebie nogi, w owej typowo kobiecej pozycji, która zawsze robiła na nim wrażenie. Naturalnym gestem poprawiła spódnicę, pozwalając mu znów przez zapierającą dech chwilę napawać się widokiem kształtnych łydek.

- Czy widziałeś się już z sułtanem? - zapytała, otwierając koszyk i wykładając na trawę zawartość.

- Nie chciałem mnie przyjąć - odparł Tom, siadając naprzeciwko niej po turecku, oparty o kamienny blok.

- No pewnie! Guy już zdażył przesłać mu słówko na twój temat. Poczęstowałam się butelką wina z jego piwniczki. - Potrafiła zaskakująco raptownie zmieniać temat. Podniosła butelkę jak piracki łup. - Francuskie. Przyplłynęło ostatnim

564

statkiem. Corton Charlemagne - odczytała nalepkę. - Czy to dobre wino?

- Nie wiem - przyznał Tom. - Ale nazwę ma imponującą.

- Guy twierdzi, że jest wyśmienite. Mój szwagier uważa się za wielkiego konesera i jest z tego okropnie dumny. Dostałby szau, gdyby się dowiedział; mnie daje tylko pół szklaneczki przy kolacji. Otworzysz? - Podała mu butelkę i zaczęła rozstawiać półmiski z zimnym mięsiwem i ciastami. - Bardzo mnie przygnębiła śmierć twojego ojca - powiedziała z posmutniałą nagle twarzą. - Był taki dla nas dobry podczas tej podróży do Przylądka Dobrej Nadziei.

- Dziękuję - odparł Tom, wyciągając korek z butelki i pochylając lekko głowę, by ukryć cień na obliczu.

Wyczuła jednak jego smutek i uśmiechnęła się, by go rozweselić.

- To mój ojciec załatwił Guyowi tę posadę konsula, inaczej wciąż siedziałby w Bombaju jako zwykły urzędnik. Nie jest z niego wcale taki wielki pan, jak sobie wyobraża. - Zrobiła nadętą minę, tak wybornie parodiując młodszego z bliźniaków, że humor Toma od razu się poprawił. - Jestem najmłodszym z konsulów w służbie Jego Królewskiej Mości. Uzyskam tytuł lordowski jeszcze przed trzydziestką - naśladowała wiernie pompatyczny ton i akcent Guya. - Tom pękał ze śmiechu. Czuł się w jej towarzystwie znakomicie.

Nagle Sarah znowu spoważniała.

- Och, Tom, co teraz zrobimy w sprawie Doriana? - zapytała. - Guya to nic nie obchodzi. Jego interesuje tylko handel z Arabami i co powie lord Childs w Londynie. Nie robi niczego, co mogłoby rozgniewać sułtana albo księcia al-Malika.

Tom także sposepniał.

- Ani mój brat, ani Omańczycy nie odwiódą mnie od moich zamiarów. Mam śmigły statek, dobrze uzbrojony, i jeśli mnie do tego zmuszą, posłużę się nim.

- Doskonale rozumiem twoje cierpienie, Tom. Czuję się tak, jakby Dorian był moim własnym bratem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Ale bądź rozważny, proszę. Guy mówił, że książę surowo zakazał chrześcijańskim statkom zapuszczać się na wody na północ od Zanzibaru. Ci, którzy się nie podporządkują, zostaną aresztowani i sprzedani jako niewolnicy. Tak powiedział.

565

Pochyliła się ku niemu i położyła mu dłoń na przedramieniu. Miała długie, wąskie palce; poczuł na skórze ich chłód.

- To strasznie niebezpieczne, Tom. Nie zniosłabym, gdyby cokolwiek ci się stało.

- Potrafię zadbać o mój statek i załogę - odparł, skoncentrowany jednak na jej dotyku.

- Wiem, że potrafisz. - Cofnęła dłoń i roześmiała się. - Naley no tego wina od pana konsula - podsunęła mu dwa cynowe kubki. - Zobaczmy, czy takie dobre, jak się przechwała. Mmm! - mruknęła, upiwszy łyk. - Lepiej trzymaj butelkę przy sobie. Caroline mówi, że gwałciciele, zanim dobiórą się do swych niewinnych ofiar, upijają je mocnymi trunkami. - Otworzyła szeroko oczy. - A ja nie chcę mieć dziecka, jak ona. W każdym razie nie teraz.

Jej zachowanie co chwila wytrącało go z równowagi. Teraz zsunęła się jej bluzka, odsłaniając nagie ramię. Dziewczyna wydawała się tego nie zauważać.

- Agnes też już ma dzidziusia - oznajmiła. - Wyszła za niejakiego kapitana Hicksa z wojsk Kompanii w Bombaju. Te moje siostry to jakieś kłaczki rozplodowe. To może być rodzinne, więc muszę bardzo uważać. A ty, czy jesteś żonaty, Tom? - Nie - odpowiedział chrapliwie.

Skóra na jej ramieniu była gładka i ozłocona słońcem, a rękę porastał delikatny jedwabisty puszek.

- To dobrze. No więc, co robimy z Dorianem? Jak chcesz, mogę szpiegować Guya i dowiedzieć się wszystkiego, co on wie. Bo tobie raczej nic więcej nie powie.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny za taką pomoc.

- Mogę nawet przeglądać jego korespondencję i podsłuchiwać, o czym rozmawia z gośćmi. W ścianie jest dziura, tam gdzie przechodzi sznur od wachlarza punka. Słyszać lepiej niż w konfesjonale. - Wyglądała na wielce zadowoloną ze swoich pomysłów. - Oczywiście będziemy musieli regularnie się spotykać, żebym ci mogła składać raporty.

Tomowi taka perspektywa nie wydawała się bynajmniej niemiła.

- Pamiętasz nasze wieczorne koncerty na pokładzie Sera-phal - zapytała, intonując spontanicznie pierwsze takty "Hiszpańskich dziewczyn". Głos miała dźwięczny i naturalny. Jej śpiew poruszył Toma do głębi, chociaż należał do tych, którzy

566

mają dębowe ucho. Poczul, jak jeża mu się włoski na karku, i było mu szkoda, że przerwała. - A co się stało z panem Walshem, naszym nauczycielem? -

zainteresowała się. - Bardzo zabawny był z niego człowieczek.

- Jest ze mną na Swallowie.

Opowiedział jej o wszystkich marynarzach, których pamiętała z Serapha. Kiedy doszedł do śmierci Dużego Daniela, rozplakała się. Miał chęć wziąć ją w ramiona i pocieszyć; zamiast tego zmienił jednak temat, relacjonując zdobycie Swallowa i rejs do Afryki.

Słuchała jak urzeczona, ocierając łzy z twarzy i nagradzając oklaskami przykłady jego odwagi i pomysłowości. Wkrótce znowu trajkotała z ożywieniem, przeskakując z tematu na temat i zadając niezliczone pytania, jak gdyby przygotowywała je sobie przez lata ich rozłąki. Intrygowała Toma coraz bardziej.

Im dłużej przyglądał się jej twarzy, tym bardziej dochodził do wniosku, że jego pierwsza ocena była błędna. Detale jej rysów może istotnie nie były szczególnie ładne, nos i usta miała zbyt duże, a szczękę zbyt szeroką. Gdy jednak żywy duch dziewczyny rozświetlał to oblicze od wewnątrz, wydawało się Tomowi niemal piękne. Podobało mu się, jak mruży oczy, kiedy się śmieje, i jak zadziera lekko podbródek, zadając pytanie.

Rozmawiali i rozmawiali, aż w końcu na klasztornym dziedzińcu zaczęły się kłaść cienie. Sarah przerwała nagle w połowie zdania zabawny opis perypetii jej rodziny po wylądowaniu w Bombaju i zerwała się na równe nogi.

- Och, Tom, jak późno się zrobiło! - zawołała. - Czas upłynął tak szybko. Zbyt długo byłam poza domem. - Zebrała pośpiesznie puste naczynia. - Muszę iść.

Jeżeli Guy się czegokolwiek domyśli, wpadnie w szal.

- Guy nie może tobą rządzić - zmarszczył brwi Tom.

- Ale jest jednak panem domu. Ojciec po śmierci mamy pozostawił mnie pod jego opieką. Choćby ze względu na Caroline wolę go nie rozdrażniać. Potem wylądowuje swoje humory na niej.

- Czy jesteś szczęśliwa, mieszkając ze swoją siostrą i szwagrem, Sarah? - Uznał, że przez ten krótki czas, jaki spędzili razem, poznali się na tyle, iż może już poruszyć tę delikatną kwestię.

567

- Potrafię sobie wyobrazić życie, które odpowiadałoby mi o wiele bardziej - odparła cicho, nie podnosząc głowy znad koszyka. Włożyła pantofle, chwytając się jego ramienia, jakby dla złapania równowagi, choć nie tak dawno widział, jak biega po murach ruiny.

- Kiedy się znów spotkamy? - zapytał, pomagając jej umieścić kosz na końskim grzbiecie. - Żebyś mi mogła odpowiedzieć, co robi mój brat?

- Jutro nie, bo obiecałam Caroline pomóc przy dziecku, ale pojutrze o tej samej porze, dobrze?

Chwytał ją w talii i podsadził na siodło. Miał nadzieję, że doceni jego siłę, nie była bowiem wcale lekka jak piórko. Dosiadała dziś swojej klaczy na sposób amazonek.

Zahaczyła jedną nogę o łęk siodła. Tom pomógł jej obciągnąć długie spódnice. Stał przy strzemieniu. Sarah spojrzała na niego z końskiego grzbietu i powiedziała impulsywnie:

- Och, Tom, jakie to było przyjemne. Życie na tej wyspie jest takie nudne i pełne ograniczeń. Guy nie pozwala mi nawet samej chodzić do miasta. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio tak świetnie się bawiłam.

Nagle, jakby poczuła się zażenowana własnym brakiem powściągliwości, nie czekając na odpowiedź, spięła konia i odjechała piaszczystą dróżką wśród palm. Trzymała się w siodle prosto i po królewsku.

Tom dotarł pod bramę twierdzy drogą prowadzącą z portu. Przechodząc pod kratownicą wrót, spostrzegł dwóch zbliżających się z przeciwka mężczyzn, pogrążonych w głębokiej konwersacji. Gdy go mijali, zdołał pochwycić kilka słów, które go upewniły, że to Anglicy. Odwrócił się i zawołał za nimi:

- Bóg z wami, szanowni dżentelmeni. Jak dobrze słyszeć chrześcijańską mowę w tym pogańskim kraju. Pozwólcie, że się przedstawię: Robert Davenport. - Posługiwał się zmyślonym nazwiskiem ze względu na list gończy, jaki z pewnością za nim wysłano. Anglicy odwrócili się ku niemu. Na ich twarzach malował się wyraz ostrożności. Dopiero teraz zorientował się, że to kapitan i oficer ze stojącego w porcie wschodnioindyjczyka. Widział ich przedtem z pokładu, kiedy płynęli szalupą na brzeg. - Mam nadzieję, że mieliście jak dotąd dobrą

568
podróż? - zapytał, ujmując ich dłonie, kiedy przedstawiali mu się z ociąganiem, nieufni i sztywni. - Wracacie, jak miemam, z audiencji u sułtana?

- W istocie - skłonił się lekko kapitan. Nie kwapił się z obszerniejszą odpowiedzią i Tom zmuszony był nagabywać go dalej.

- Powiedzcie, co to jest za człowiek? To moje pierwsze z nim spotkanie; czy mówi po angielsku?

- Mówi jedynie w swoim przeklętym przez Boga języku - odparł mężczyzna. - Życzę powodzenia przy układaniu się z nim. Jest przebiegły jak sam diabeł i trzeba wiele szczęścia, żeby cokolwiek od niego wydębić. A teraz zechciej nam wybaczyć, sir - ukłonił się - ale czas nam w drogę.

Tom wszedł do fortu, czując, jak wzbiera w nim gniew. Miał teraz dowód, że Sarah mówiła prawdę. Guy, jego własny brat, nakłonił wezyra, żeby bezczelnie wodził go za nos.

Służący próbował zatrzymać go w przedpokoju; młodzieniec minął go jednak bez słowa. Znał dobrze drogę do gabinetu wezyra. Rozsunął jedwabne draperie w drzwiach i wtargnął do komnaty.

Arabski dostojnik zasiadał na niskim podeście pod jedną ze ścian. W pomieszczeniu unosiła się woń kadzideł i haszyszu. Przed wezyrem stał stolik do pisania, przy którym siedział sekretarz, podsuwając swemu panu dokumenty do podpisu. Obaj podnieśli głowy, zdumieni nagłym wtargnięciem młodego Anglika.

- Przed chwilą rozmawiałem z angielskim kapitanem, który powracał właśnie z audiencji u Jego Ekscelencji - oświadczył Tom. - Ucieszyła mnie wiadomość, iż niedyspozycja sułtana uleczona została tak szybko - ciągnął po arabsku - oznacza to bowiem, że może mnie teraz przyjąć i odpowiedzieć na moją petycję.

Wezyr zerwał się na równe nogi, próbując zagrozić mu drogę. Tom jednak odpechnął go i ruszył ku drzwiom prowadzącym w głąb pałacu.

- Nie wolno ci tam wchodzić! - wrzasnął przerażony urzędnik, ale został zignorowany. - Straże! Zatrzymać tego człowieka!

W drzwiach stanął barczysty Arab w półzbroi, blokując wejście. Dłoń trzymał na rękojeści bułata wiszącego w pochwie

569

u jego pasa. Tom postąpił ku niemu, chwytając go za nadgarstek. Strażnik usiłował wyciągnąć broń, lecz młody Anglik ścisnął jego dłoń z taką siłą, że mężczyzna aż się skrzywił. Zajrzał ponad jego ramieniem do komnaty.

- Witani cię, potężny władco! - zawołał do spoczywającego na stosie poduszek sułtana. - Zechciej przyjąć moje pokorne zapewnienia o wielkim szacunku, jakim cię obdarzam. Oby spłynęły na ciebie wszelkie błogosławieństwa Allaha! Błagam o posłuchanie w kwestii wymagającej jedynie twego miłosierdzia. Dziecko i wdowa zasługują na nasze współczucie - to słowa samego Proroka!

Sułtan zamrugał ze zdumieniem oczami i usiadł prosto. Ubrany był w sztywny kaftan z brokatu i szkarłatne szarawary, związane pasem ze złotego filigranu. Turban miał w kolorze spodni. Skubał nerwowo gęstą, krzaczastą brodę. Nie spodziewał się, że ten niewierny dzikus zaskoczy go cytatem ze świętej księgi. Wezyr przepchnął się obok Toma i odgrodził go od władcy.

- Wybacz mi, panie! - zawołał. - Próbowałem go zatrzymać, to właśnie ten nikczemnik frankijski, o którym ci wspominałem. Każę strażom wyrzucić go z pałacu.

- Niech zostanie - pokręcił głową sułtan. - Chcę posłuchać, co ma do powiedzenia. Tom puścił rękę strażnika i odepchnął go na bok.

- Nikczemnik frankijski dziękuje potężnemu sułtanowi Ali Muhammadowi i skłania się przed nim w pokorze - powiedział, przyklękając.

Słowa kontrastowały tak bardzo z zachowaniem młodego Anglika, że sułtan nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Mów zatem o tej sprawie związanej ze współczuciem - zachęcił go.

- Poszukuję chłopca, mojego brata. Zaginał prawie pięć lat temu. Mam podstawy, by sądzić, że przetrzymywany jest w niewoli na terytoriach Omanu. - Na twarzy sułtana pojawił się wyraz czujności. - Mój brat jest poddanym Jego Królewskiej Mości Wilhelma Trzeciego. Wasz kalif i nasz król zawarli porozumienie zabraniające brania do niewoli poddanych obu państw.

- Wiem, kim jesteś - uciszył go gestem ręki sułtan. - Słyszałem o tobie od angielskiego konsula. On także dopytywał się o to dziecko. Sprawa jest dokładnie badana. Nie mogę ci

570

powiedzieć nic więcej, dopóki nie nadejdzie odpowiedź z pałacu miłościwie nam panującego kalifa Maskatu.

- Ale minęło już niemal pięć lat, odkąd... - zaczął gniewnym tonem Tom, lecz sułtan znów mu przerwał.

- Pewien jestem, że zdajesz sobie sprawę, jak niemądrze jest ściągać na siebie niezadowolone kalifa z powodu kwestii tak błahej...

- To nie jest błaża kwestia - teraz Tom nie dał skończyć Arabowi. - Należę do wysokiego rodu, mającego potężne wpływy na dworze królewskim!

- Dla kalifa to i tak błahostka. Niemniej jednak współczucie Jego Wysokości jest niezmiernie. Możesz więc być spokojny, że jeśli będzie wiedział cokolwiek o twoim bracie, ujawni to. Przemówi wtedy, kiedy będzie miał coś do powiedzenia. Tymczasem musimy oczekiwać jego łaski.

- Jak długo jeszcze? - nie ustępował Tom. - Jak długo trzeba czekać?

- Tak długo, jak długo to będzie konieczne. - Sułtan machnął dłonią na znak, że posłuchanie skończone. - W przyszłości zaś, jeżeli znowu wtargniesz do mego domu jak nieprzyjaciel, uznam cię za takowego, Angliku - przestrzegł młodzieńca lodowatym tonem.

Po wyjściu Toma wezwał do siebie wezyra. Urzędnik padł przed nim na kolana.

- Wybacz mi, potężny panie. Jestem pyłem u twych stóp. Próbowałem powstrzymać tego szalonego Franka... Sułtan uciszył go gestem ręki.

- Przekaż wiadomość angielskiemu konsulowi - rzekł. - Chcę się natychmiast z nim rozmówić.

Guy pojechał wczoraj do fortu. Sułtan go wezwał - oznajmiła Sarah. - Kiedy wrócił, wyglądał jak gradowa chmura. Zbił jednego ze stajennych do nieprzytomności i wydzierał się na Caroline i na mnie.

- Ale cię nie uderzył? - chciał wiedzieć Tom. - Jeśli podniesie na ciebie rękę, to Bóg mi świadkiem, że zrobię z niego miazgę!

- Spróbował tego tylko raz - zaśmiała się, potrząsając włosami, które zatańczyły w powiewie monsunu. - Wątpię, żeby się odważył ponownie. Rozbiłam mu na głowie jedną

571

z tych jego drogocennych chińskich waz. Krwi za wiele nie było, choć wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć. Ale dość o tym, miałam ci złożyć raport.

- Przygotować się do zwrotu! - przerwał jej nagle Tom.

Dziewczyna przyskoczyła do fału bezana niedużej feluki; uczyła się komend szybko i był już z niej całkiem sprawny majtek. Tom wynajął łódź w Zanzibarze za kilka rupii. Ustawili ją teraz na kursie ku południowym brzegom wyspy i Sarah usiadła z powrotem przy nim.

- A więc, zamieniwszy dom w istne piekło, Guy spędził resztę popołudnia w swoim gabinecie. Przy kolacji w ogóle się nie odzywał, lecz wypił dwie butelki porto i jedną madery. Dwóch służących musiało nam pomóc zanieść go do łóżka.

- Czyżby mój bliźniak został opojem? - zdziwił się Tom.

- Nie, to zupełnie do niego niepodobne. Pierwszy raz widziałam, żeby się aż tak upił. Dziwnie oddziałujesz na ludzi, Tomie Courtneyu. - Wypowiedziała to

dwuznaczne zdanie z taką swobodą, że Tom nie był pewien, jak ma je interpretować. - Kiedy go zawlokliśmy na górę i Caroline też się położyła, zakradłam się do jego gabinetu. Na biurku leżały listy; napisał ich cały stos. Niektóre skopiowałam. - Wyciągnęła złożone stronicę z obszernej kieszeni spódnicy. - Ten jest do lorda Childsa, a ten do waszego brata Williama - podała mu trzepoczące na wietrze kartki.

- Trzymaj ster - przekazał jej rumpel, a Sarah przycupnęła na ławeczce, podciągając do kolan spódnice i wystawiając bosc nogi do słońca i wiatru.

Tom z pewnym wysiłkiem oderwał wzrok od jej kształtnych kończyn i skupił się na czytaniu. Po zapoznaniu się z treścią pierwszego listu zmarszczył brwi, a w miarę jak czytał dalej, mars na jego czole się pogłębiał.

- Zdrajca i sukinsyn! - zakrzyknął i natychmiast dodał ze skruczą: - Wybacz, nie powinienem używać takiego plugawego języka przy damie.

Parsknęła śmiechem, mrużąc oczy.

- Skoro Guy jest sukinsynem, to ty także. Poszukajmy lepszego określenia. Może glista? Albo wypierdek?

Tom prawie się zaczerwienił; nie spodziewał się, że dziewczyna może mu dorównać w ciskaniu wyzwisk. Pośpiesznie wrócił do listu przeznaczonego dla Williama.

Dziwnie się czuł, czytając słowa skierowane do człowieka, którego zabił.

572

Skończywszy czytać, podarł oba listy na strzępy i rzucił je na wiatr. Patrzyli, jak odfruwają niczym malutkie białe mewy.

- Opowiedz mi teraz o swojej audiencji u sułtana, ze wszystkimi szczegółami - zażądała Sarah.

Zanim jej odpowiedział, podszedł do masztu i opuścił skośny żagiel. Zachowanie łodzi od razu uległo zmianie; przestała nurkować dziobem w fale i walczyć z wiatrem. Poddając mu się niczym kochanka, łagodnie wspinała się na fale i spływała w dół. Tom usiadł przy Sarah, lecz jej nie dotykał.

- Musiałem wdrzeć się siłą do komnaty sułtana - zaczął. - Uzbroiłem się przedtem w cytaty z Koranu.

Zrelacjonował jej słowo po słowie całą rozmowę, dziewczyna zaś słuchała uważnie, nie przerywając mu, co -jak się zdażył zorientować z krótkiej z nią znajomości - było rzeczą u niej niezwykłą.

Raz czy drugi podczas swej przemowy Tom zgubił wątek i zaczynał od nowa. Sarah wpatrywała się weń szeroko otwartymi oczami, o białkach tak białych, że wydawały się powleczone błękitną poświatą, jak u zdrowego niemowlęcia. Ich twarze zbliżyły się do siebie tak bardzo, że czuł subtelny woń jej oddechu. Kiedy opowiadanie dobiegło końca, oboje długo milczeli, żadne jednak nie próbowało się odsunąć.

Pierwsza przerwała ciszę dziewczyna.

- Czy zamierzasz mnie kiedyś pocałować, Tom? - zapytała, odgarniając z twarzy niesforny kosmyk włosów. - Bo jeśli tak, to teraz jest dobra okazja po temu; nikt nas tu nie zobaczy.

Przysunął twarz jeszcze bliżej, zatrzymując usta ledwie cal od jej warg, przeniknięty niemal religijnym poczuciem świętokradztwa.

- Nie chciałbym zrobić niczego, co uwłaczałoby twojej czci - wychrypiał.

- Nie bądź głuptasem, Thomasie Courtneyu. - Pomimo kpiących słów jej głos był matowy, a oczy skryły się powoli pod gęstymi ciemnymi rzęsami. Przesunęła różowym koniuszkiem języka po wargach, które rozchyliły się w oczekiwaniu. Ogarnęło go przemożne pragnienie pochwylenia jej w objęcia i przytulenia całym ciałem do siebie. Zamiast tego jednak dotknął wargami jej warg tak delikatnie, jakby to motyl przysiadł na płatkach kwiatu. Ich wilgoć miała lekko słodkawy smak. Tom poczuł duszący ucisk w piersi i po chwili odsunął się od dziewczyny.

573

Natychmiast otworzyła oczy, niebieskie jak samo niebo.

- A niech cię, Tomie Courtneyu - szepnęła. - Czekałam na to pięć lat i to wszystko, na co cię stać?

- Jesteś taka piękna i delikatna - wymamrotał speszony. - Nie chcę cię skrzywdzić; nie chcę, żebyś mnie znieubiła.

- Skoro nie chcesz, żebym cię znieubiła, musisz się lepiej postarać. - Zamknęła z powrotem oczy i przysunęła się do niego.

Wahał się jeszcze przez mgnienie oka, a potem porwał ją w ramiona, zamknął w objęciach i zmiądzzył jej usta swoimi.

Jęknęła cicho i zeszywniała nieco, zaskoczona siłą jego uścisku, a po chwili przyłgnęła doń całym ciałem, odpowiadając na pocałunek z takim zapamiętaniem, że ich wargi rozwarły się szeroko, zęby zetknęły, miękka wilgoć ust mieszała ze sobą, a języki splątały.

Dryfująca feluka podskoczyła na większej fali i zsunęli się oboje z wąskiej ławeczki sternika. Nie oderwali się jednak od siebie, lecz padli na deski pokładu, nieczuli na woń zęb i walających się wokół zeschniętych rybich łusek.

- Tom! Tom! - Próbowała mówić, nie przerywając pocałunku. - O tak. Tak długo... Nigdy nie myślałam... Och, jakiś ty silny! Nie przestawaj!

Miał chęć ją przeniknąć, pochłonać całą. Wnętrze jej ust było śliskie, a język trzepotał, podniecając go do szaleństwa. Rzeczywistość rozplynęła się, wszechświat zamknął nad nim, istniało jedynie to ciepłe, pachnące ciało w jego ramionach.

W końcu musieli przerwać dla złapania oddechu, tylko na krótką chwilę, wystarczającą, żeby zdażyła wydyszeć:

- Tom, och Tom, kochałam cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam! I przez wszystkie te lata myślałam, że już nigdy nie będziesz mój.

Przypadli znów do siebie. Jęczeli i wczepiali się jedno w drugie. Jej ramiona zamknęły się na jego szyi. Miażdżyli sobie wargi zębami. Tom sięgnął po omacku do jej piersi. Poczawszy ich kształt i sprężysty ciężar, krzyknął, niemal jak z bólu. Zaczął manipulować przy zapięciu jej stanika, palce miał jednak niewprawne. Odepchnęła niecierpliwie jego dłoń i sama odplątała wstażki, a potem wyłuskała jedną pierś i wcisnęła mu w dłoń, zamykając ją na jędrnej krągłości.

- Masz - wyszeptała w jego usta. - Jest twoja. Wszystko jest twoje.

574

Ścisnął pierś, miętosząc ją jak ciasto. Dziewczyna jęknęła, lecz jednocześnie rozkoszowała się bólem.

- Och, zabolalo cię - odsunął dłoń. - Wybacz, to się już nie powtórzy.

- Nie, nie! - Chwyliła jego rękę i położyła z powrotem na biuście. - Rób to. Rób wszystko, co chcesz.

Spojrzał na pierś. Była biała, jakby wytoczona z kości słoniowej, a jego place pozostawiły na niej różowe pręgi. Wypełniała mu całą dłoń. Sutek był ciemny i twardy, nabrzmiały od krwi.

- Jaka piękna - zachwycił się. - Najpiękniejsza na świecie.

Pochylił głowę i przyłgnął wargami do sutka. Sarah wygięła się w łuk, prężąc ku niemu ciało. Obiema rękami objęła go za szyję, wplątując palce w gęste kędziory

na jego karku i nie pozwalając odsunąć ust od piersi. Gdy uniósł w końcu głowę i spojrzął jej w twarz, znów wpiła się wargami w jego usta.

Był teraz na niej i nagle zdała sobie sprawę, czym jest ta twardość wgniatająca się jej w uda i łono. Nie знаła tego jeszcze, lecz wiele razy rozmawiała o tym z Caroline, wyciągając ze starszej siostry najdrobniejsze szczegóły. Kiedy dotarła do niej prawda, Sarah zesztyniała i z wrazenia wstrzymała oddech.

- Nie chciałem cię przestraszyć - stęknął Tom, próbując kolejny raz się od niej oderwać. - Musimy przestać.

Ta perspektywa przeraziła ją na dobre. Myśl o tym, że mogłaby teraz utracić i jego, i tę twardość, przejmowała ją rozpacz. Przyciągnęła go ku sobie.

- Proszę, Tom, nie zostawiaj mnie - szepnęła błagalnie.

Objął ją znowu, niemal bojaźliwie, unikając kontaktu z dolną partią jej ciała. Ona jednak chciała czuć na sobie tę twardą, zadziwiającą męskość. Sięgnęła za plecy Toma i zacisnęła dłonie na jego pośladkach, przyciągając jego biodra i wysuwając ku nim swoje.

- O, tak! - zawołała w uniesieniu, gdy go odnalazła.

Emocje kłębiły się w niej i kołowały niczym gałązka w wodnym wirze. Poczula, jak chłopak szarpie jej odzienie, sięgając między oba ciała. W jednej chwili pojęła, co chce zrobić.

Uniosła się na barkach i piętach, odrywając pośladki od desek. Żeby mu pomóc, zebrała spódnice i podciągnęła je wysoko, odsłaniając się aż po pępek. Poczula na nagim brzuchu

575

chłodny powiew monsunu, a Tom już klęczał nad nią, gmerając gorączkowo przy wiązaniu bryczesów. Uniosła się na łokciach, chcąc widzieć wszystko. Caroline opisała jej to bardzo obrazowo, lecz teraz chciała się przekonać na własne oczy. Tom tak się guzdrał; nie mogła już dłużej czekać. Wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc.

W tym momencie jednym ruchem opuścił bryczesy do kolan. Sarah wciągnęła głośno powietrze. Opowieści siostry nie przygotowały jej na coś takiego. Wpatrzona w jego męskość, opadła plecami na twarde deski, jej kolana rozchyliły się bezwiednie, jakby w ogóle do niej nie należały.

Długi czas potem Tom pozostawał na niej, ciężki i niezdolny uczynić ruchu. Dyszał jak właśnie odratowany topielec, a krople jego potu padały na jej skórę niczym deszcz, moczając twarz i obnażone piersi. Oplotła go nogami, żeby się nie odsunął. W bujającej się na falach feluce byli jak dzieci w kołysce.

Tom wzdrygnął się nagle i chciał wstać, lecz Sarah objęła go silniej ramionami i nogami, przytrzymując przy sobie. Z urywanym westchnieniem przywarł do niej z powrotem. Przeniknęło ją nieznanne dotąd poczucie triumfu i własności, jak gdyby dokonała czegoś o niemal mistycznym znaczeniu, czegoś przekraczającego zwykłą cielesność. Nie znajdowała słów na opisanie tego uczucia nawet samej sobie. Głaskała więc kochanka po głowie, mruczając mu do ucha słodkie, choć niezbyt zrozumiałe czułości.

Kiedy poczuła, że zmniejsza się w jej wnętrzu, ogarnęło ją bolesne uczucie straty i żalu. Choć miejsce, w którym się w nią wbił, było obolałe, napięła mięśnie, żeby go zatrzymać. Wyśliznął się jednak i po chwili usiadł.

- Zniosło nas dobry kabel na pełne morze - powiedział zdumiony.

Sarah usiadła koło niego, wygładzając spódnice. Ujrzała, że wyspa zmieniła się w niebieską kreskę na horyzoncie. Spojrzała na Toma, który podniósł się na kolana, żeby zawiązać bryczesy. Poczula przypływ macierzyńskiej opiekuńczości, jakby się nagle zmieniła w dojrzałą kobietę, pozostawiając za sobą lata dziewczęce. Teraz to ona była silna, on zaś, jak dziecko, wymagał troski i pielęgnacji.

Podszedł chwiejnym krokiem do fału, wciągnął żagiel i ustawił łódź na wiatr.

Sarah poprawiła odzienie i zawiązała wstążki

576

stanika, a potem wstała i usiadła obok niego przy sterze. Otoczył ją ramieniem i przytuliła się do niego. Połowę drogi do wyspy przebyli w milczeniu. Pierwszy odezwał się Tom.

- Kocham cię, Sarah Beatty - powiedział. Przytuliła się mocniej do niego, przepełniona radością.

- Już ci to mówiłam, Thomasie Courtneyu. Kocham cię od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałam. Choć byłam wtedy dzieckiem, marzyłam, że pewnego dnia zostanę twoją kobietą.

- Ten dzień właśnie nastąpił - rzekł, zamykając jej usta pocałunkiem. Spotykali się, gdy tylko Sarah udawało się wymknąć spod czujnego oka Guya i Caroline. Czasami nie widzieli się przez dwa lub nawet trzy dni, lecz to wzmagało jeszcze ich namiętność.

Schadzki odbywały się zawsze popołudniami, rano bowiem dziewczyna miała liczne obowiązki, pomagając Caroline w prowadzeniu domu i opiece nad małym Christopherem. Tom także nie mógł zaniedbywać Swallowa i jego załogi. Po opuszczeniu Przylądka Dobrej Nadziei statek ucierpiał znacznie w potężnym sztormie. Jego kadłub i takielunek wymagały licznych napraw, jeżeli miał odzyskać swą poprzednią dzielność.

Większość poranków młody kapitan spędzał w forcie, wyczekując rozpaczliwie wieści z Maskatu na temat Doriana, a także dopominając się o firman, licencję sułtana na prowadzenie handlu. Choć starał się ułagodzić wezyra bakszyszem i pochlebstwami, wciąż był u niego w niełasce. Sułtański urzędnik brał odwet za jego poprzednie zachowanie, zwodzając go kwiecistymi wymówkami i przeprosinami za zwłokę w załatwieniu sprawy. Bez pozwolenia sułtana nie mogli zaś rozpocząć handlu na rynkach Zanzibaru.

Cenne dla obojga godziny, które spędzali razem, upływały Tomowi i Sarah zbyt szybko. Czasem leżeli przez całe popołudnie przytuleni, nie tykając nawet smakołyków przyniesionych przez dziewczynę. Kochali się, jakby robili to po raz pierwszy, a w przerwach rozmawiali bez końca, ponaglani głęboką potrzebą wypowiedzenia wszystkiego, co do siebie czują. Snuli fantastyczne plany na przyszłość, kiedy opuszczą wyspę i razem z uratowanym Dorianem poześlą w świat na Swallowie.

Kiedy indziej płynęli feluką do zewnętrznych raf i rzucali

577

1!

tam kotwicę, by łowić ryby na linkę. Przy wtórze śmiechu i okrzyków podniecenia wyciągali piękne tropikalne stworzenia na pokład, a ryby rzucały się i trzepotały na końcu linki, iskrząc się w słońcu jak wielobarwne klejnoty. Któregoś popołudnia Sarah przyniosła parę pistoletów, które dostała od ojca przy pożegnaniu w Bombaju, dla obrony przed dzikimi zwierzętami i jeszcze dzikszyimi mężczyznami tych barbarzyńskich krain.

- Papa obiecywał, że mnie nauczy strzelać, ale nigdy nie znalazł na to czasu - powiedziała. - Nauczysz mnie teraz, Tom?

Była to wspaniała broń, przeznaczona głównie do pojedynków, o kolbie z polerowanego włoskiego orzecha i metalowych częściach inkrustowanych złotem i srebrem. Wyciory do pistoletów były z rogu, rożki na proch ze srebra, a przybitki z nasączonej oliwą cienkiej skórki. Futerał mieścił poza tym cynowy pojemnik z zakręcanym wiekiem, zawierający pięćdziesiąt ołowianych kul, starannie wybranych, doskonale okrągłych i symetrycznych.

Tom załadował tylko pół porcji prochu, dla zmniejszenia odrzutu. Pokazał dziewczynie, jak ustawić stopy i wymierzyć do celu, odwracając się bokiem, z wyprostowaną prawą ręką. Lewą pięść należało oprzeć na biodrze, unieść broń prawą, zestroić muszkę ze szczerbinką i strzelić w momencie najechania na cel, nie celując zbyt długo, gdyż groziło to zmęczeniem i drżeniem ramienia.

Ustawił na niskim murze orzech kokosowy i odmierzył dystans piętnastu kroków.

- Strać go! - polecił. - Za nisko - skomentował pierwsze pudło.

Przeładowywał i podawał jej pistolety na zmianę, aż za czwartym razem orzech poleciał w powietrze, bryzgając mlekiem. Sarah pisnęła radośnie. Wkrótce zaczęła trafiać częściej, niż pudłować.

- Żądam nagrody za każde trafienie - oznajmiła.

- A co byś chciała dostać?

- Na razie wystarczy pocałunek.

Dzięki tej zachęcie trafiła pięć razy z rzędu.

- Zdolna dziewczyna - rzekł Tom. - Należy ci się główna wygrana. - Wziął ją w ramiona i poniosł, protestując słabo i na niby, do ich sekretnego gniazda wśród ruin.

Kilka dni później przyniósł ze sobą jeden ze swych najlepszych londyńskich muszkietów, żeby nauczyć Sarah ładować i strzelać. Przed wypłynięciem z Anglii kupił cztery egzemplarze tej niezwyklej broni. Na więcej nie pozwoliła mu cena. Tanie wojskowe muszkiety miały lufę od wewnątrz gładką, a nabój nie przylegał ściśle do jej ścianek. Niestabilizowane kule miały duży rozrzut i często nie trafiały w cel.

Natomiast celność nowych muszkietów była zadziwiająca. Tom z odległości stu pięćdziesięciu kroków trafiał z nich w kokos bezbłędnie. Wzrost i siła dziewczyny pozwalały jej bez większego wysiłku trzymać długą broń na wysokości ramienia i znów się okazało, że szybkość ręki i celność oka czyniły z niej urodzonego strzelca. Po godzinie ćwiczeń mogła już żądać od ukochanego nagrody niemal po każdym strzale.

- Teraz chyba kolej, żebym nauczył cię jeszcze szermierki - stwierdził Tom, kiedy leżeli później na plecionej macie, w którą wyposażyli swoją klasztorną celę bez dachu.

- Z tym radzisz sobie świetnie już od pewnego czasu - parsknęła śmiechem, sięgając między jego nogi. - Oto mój wierny miecz, o panie. Wiem doskonale, jak się nim posługiwać.

Potem, już w poważniejszym nastroju, rozmawiali kolejny raz o swoich planach, gdy Tomowi uda się wreszcie uwolnić Doriana.

- Wrócę po ciebie - obiecał jej. - Zabiorę cię stąd, daleko od Guya i Zanzibaru.

- O tak - skinęła głową, jakby to było dla niej oczywiste od dawna. - I popłyniemy razem do Anglii, prawda, Tom? - zamilkła nagle, widząc raptowną zmianę na jego twarzy. - Co się stało, kochany? - zapytała z niepokojem.

- Nie mogę wrócić do Anglii. Już nigdy - powiedział cicho. Sarah usiadła na piętach, wpatrując się w niego z przerażeniem.

- Jak to, nigdy nie wrócisz do domu?

- Posłuchaj, ukochana. - Tom także usiadł, ujmując jej dłonie. - Nim opuściłem Anglię, wydarzyło się coś strasznego, coś czego zupełnie się nie spodziewałem.

- Opowiedz - poprosiła. - Wszystko, co ciebie dotyczy, dotyczy także i mnie.

Opowiedział jej więc o Williamie, zaczynając od samego początku, od swego dzieciństwa. Opisał, w jaki sposób starszy

brat tyranizował ich trójkę. Przywołał na pamięć wiele przykładów bezdusznego okrucieństwa Czarnego Billy'ego.

- Byliśmy szczęśliwi tylko wtedy, kiedy wyjeżdżał z domu, a najbardziej, gdy studiował na uniwersytecie. Sarah patrzyła na niego ze współczuciem.

- Nie lubiłam go od pierwszej chwili, gdy przyjechaliśmy do High Weald - powiedziała. - Kojarzył mi się z wężem, zimnym i jadowitym.

Tom pokiwał głową.

- Potem, podczas rejsu na Seraphie, zdołałem niemal zapomnieć o jego podłości - ciągnął. - Ale kiedy przywiozłem ojca do domu po bitwie na Flor de la Mar, Billy natychmiast mi o tym przypomniał, i to z nawiązką.

Opowiedział jej, jak William traktował konającego ojca i jak po śmierci Hala sprzeniewierzył się danej mu obietnicy, że pomoże w poszukiwaniach Doriana.

- Zaczęliśmy się bić - powiedział. - Oczywiście tłukliśmy się nieraz przedtem, ale nigdy aż tak. - Przerwał, a ból związany z tym wspomnieniem odmalował się na jego twarzy tak wyraźnie, że Sarah chciała go przytulić, żeby nie mówił już dalej.

- Nie, kochana, muszę wyznać ci wszystko - zaprotestował. - Wysłuchaj mnie, bo tylko wtedy zrozumiesz, co się wydarzyło. - Chwilami się zacinając, a kiedy indziej wybuchając potokiem słów, zrelacjonował przebieg bójki z bratem w swoją ostatnią noc w High Weald. - Pytałaś, kto mi to zrobił, i wtedy nie mogłem ci powiedzieć - pomacał garbek na grzbiecie nosa. - Zrobił to Billy. - Opisywał ich pojedynki w słowach tak prostych i sugestywnych, że Sarah aż pobladła i mimo woli wczepiła się w jego ramię, wbijając w skórę paznokcie. - No i na końcu okazało się, że nie potrafię go zabić, chociaż zasłużył na to tysiąc razy. Kiedy Alice z dzieckiem na ręku zaczęła mnie błagać, żebym darował mu życie, wiedziałem już, że nie potrafię. Schowałem szpadę i odjechałem. Myślałem, że to koniec. Ale powinienem był znać mego brata trochę lepiej.

- Na tym się nie skończyło? - zapytała Sarah zaleknionym głosem. - Chyba już więcej nie zniosę tych okropności!

- Muszę ci opowiedzieć wszystko, a ty musisz mnie wysłuchać. Inaczej nie zrozumiesz.

Doszedł wreszcie do fatalnego spotkania na przystani przy Tower of London. Opisał starcie z bandą wynajętych zbirów.

580

W miarę jak zbliżał się do finału, mówił coraz bardziej zgaszonym głosem, szukając odpowiednich słów na odtworzenie kulminacyjnej sceny.

- Było ciemno. Do końca nie wiedziałem, że to Billy. Kapeluszu zasłaniał mu prawie całą twarz. Myślałem, że to przewoźnik. Podbiegłem do niego i zawołałem, żeby nas zabrał. Kiedy wyciągnął pistolety, to było jak grom z jasnego nieba. Strzelił i trafił mnie, o tutaj.

Podciągnął koszulę i pokazał dziewczynie długą różową bliznę biegnącą wzdłuż żeber pod pachą. Sarah wyciągnęła dłoń i przesunęła palcami po wypukłej, gruzłowatej szramie. Zauważyła ją już wcześniej, lecz gdy pytała, Tom wykręcał się od odpowiedzi. Teraz zrozumiała dlaczego.

- Mógł cię zabić - szepnęła trwożnie.

- Nawet myślałem, że zabił - skinał głową. - Ale na szczęście kula odbiła się od żebra. Rzuciło mnie na ziemię, a Billy stanął nade mną, celując z drugiej lufy. Tym strzałem by mnie wykończył. W ręce wciąż trzymałem szpadę. Rzuciłem nią z całej siły i trafiłem go prosto w serce.

- O Boże miłosierny! - Sarah wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. - Zabiłeś własnego brata!

- Nie wiedziałem, że to on, nawet jeszcze wtedy. Dopiero potem zdjąłem mu kapeluszu i zobaczyłem twarz.

Milczeli oboje przez długą chwilę. Sarah skurczyła się w sobie, przerażona tym, czego się dowiedziała. Zaraz jednak otrząsnęła się z szoku.

- On chciał cię zamordować - rzekła stanowczo. - Musiałeś się przecież bronić, Tom. Inaczej byś zginął. - Ujrzawszy w jego oczach wyraz nieutulonego żalu, przygarnęła głowę Toma do piersi i pogładziła go po twarzy. - Nie musisz się o nic obwiniać. Musiałeś się bronić.

- Sam to sobie powtarzałem tysiące razy - odparł stłumionym głosem. - Ale to był mój brat.

- Bóg jest sprawiedliwy, mój ukochany. Wiem, że ci przebaczył. Musisz już przestać o tym myśleć.

Spojrzał jej w twarz i zrozumiała, że żadne słowa nie zdołają ukoić jego bólu. Że to wspomnienie będzie go prześladować, choćby żył sto lat. Pocałowała go.

- Tak czy inaczej, niczego to między nami nie zmienia, Tom - oświadczyła. - Jestem twoja na zawsze. Skoro nie możemy wrócić do Anglii, to trudno, niech i tak będzie. Pojadę

581

za tobą nawet na koniec świata. Liczymy się tylko my i nasza miłość.

Pociągnęła go za sobą na matę, ofiarowując pocieszenie i zapomnienie w swych ramionach.

Swallow wciąż stał beczynnie w porcie. Dawno już zakończyli wszelkie naprawy, przywracając mu dawną śmigłość i urodę. Choć kadłub lśnił świeżą farbą, żagle pozostawały zwinięte, a statek szamotał się niespokojnie na kotwicy, niczym sokół na uwięzi.

Wśród marynarzy narastało zniecierpliwienie. Wybuchło między nimi kilka poważnych bójek, gdyż nerwy mieli z braku zajęcia napięte do granic wytrzymałości. Młody kapitan wiedział, że nie utrzyma ich już długo w beczynności, uwięzionych na własnym statku. Coraz częściej kusiło go, żeby zlekceważyć dekret sułtana i pożeglować dalej na północ, na zakazane wody, gdzie musiał być Dorian. Albo przybić do brzegów kontynentu i zapuścić się do ukrytych w głębi interioru miejsc, w których tubylcy gromadzili zapasy złota, kości słoniowej i gumożywicy.

Aboli z Nedom Tylerem doradzali mu cierpliwość, Tom jednak fukał na nich gniewnie:

- Cierpliwość jest dobra dla starców. Los nigdy nie uśmiecha się do cierpliwych.

Monsun ucichł i nastał martwy czas bezwietrznej ciszy. Potem wiatr powrócił z przeciwnego kierunku. Zrazu, ledwie słyszalnie szepcząc od północnego wschodu, łagodnymi podmuchami zwiastował zmianę pory roku i nadejście ulewnego kaskazi. Monsun stopniowo nabrał siły. Ciężko wyładowane statki podniosły kotwice, rozwinęły żagle i opuściły Zanzibar, kierując się na południe, by okrążyć Przylądek Dobrej Nadziei.

Swallow pozostał w niemal pustym porcie. Nagle, podczas którejś z regularnych wizyt Toma w pałacu sułtana, wezyr przyjął go tak, jakby młody Anglik dopiero co przybył do Zanzibaru. Posadził go na brokatowej poduszce i poczęstował filiżanką gęstej słodkiej kawy.

- Moje nieustające wysiłki w twojej sprawie, panie, przyniosły wreszcie owoce - oświadczył. - Jego Ekscelencja sułtan spojrzał przychylnym okiem na twą petycję w kwestii

582

handlu. - Wezyr z rozbrajającym uśmiechem wyciągnął dokument z szerokiego rękawa szaty. - Oto twój firman.

Tom sięgnął żwawo po papier, ale urzędnik schował go z powrotem.

- Firman obejmuje wyłącznie Zanzibar - oznajmił. - Nie upoważnia cię do podróży dalej na północ ani do zawijania do portów na stałym lądzie. Jeżeli nie posłuchasz, twój statek zostanie skonfiskowany, a załoga uwięziona.

- Rozumiem - próbował ukryć irytację Tom - i jestem wdzięczny sułtanowi za jego hojność.

- Wszystkie towary, jakie nabędziesz na tutejszych rynkach, zostaną obłożone podatkiem od kupna, który należy uiścić przed załadowaniem czegokolwiek na statek. Podatek wynosi jedną piątą wartości każdego towaru.

Tom przełknął ślinę, oburzony tym zdzierstwem, lecz wciąż uśmiechał się uprzejmie.

- Jego Ekscelencja zaiste jest wyjątkowo szczodry - powiedział.

Wezyr wyciągnął ku niemu dłoń z dokumentem; gdy jednak Tom ponownie sięgnął po papier, urzędnik znowu cofnął rękę, udając zniecierpliwienie własnym roztargnieniem.

- Ach, wybacz mi, efendil Zapomniałem o drobnej kwestii opłaty za licencję. Tysiąc rupii w złocie. I oczywiście pięćset dla mnie, za wstawiennictwo u sułtana.

Z królewskim firmanem w ręce Tom mógł nareszcie zacząć odwiedzać targowiska. Co dzień o świcie schodził na brzeg wraz z panem Walshem i Abolim. Wracali na statek dopiero w godzinie Zuhr, popołudniowej modlitwy. Handlarze zamykali wówczas stragany, by podążyć za wołaniem muezina, wzywającego ich do oddania czci Allahowi.

Przez pierwsze kilka dni nie robił zakupów, przesiadując jedynie godzinami z tym lub owym kupcem przy kawie. Wymieniając zwyczajowe uprzejmości, oglądał oferowane przez nich towary, starając się nie okazywać żadnego zainteresowania i nie finalizując transakcji, lecz porównując jedynie gatunki i ceny. Początkowo wydawało mu się, że skoro większość europejskich statków opuściła już Zanzibar, będzie mógł ostro się targować, przebierając w towarze do woli.

Okazało się jednak wkrótce, że jest inaczej. Jego poprzednicy przetrzebili rynki i wykupili najlepsze produkty. Oferowana mu kość słoniowa w większości była niewyrośnięta; niemal nie

583

trafiał na okazy dłuższe od swego ramienia, a wiele z nich szpeciły odbarwienia i ubytki. Żaden nawet w przybliżeniu nie dorównywał wspaniałej parze kłów, które Hal nabył podczas ich poprzedniego rejsu od konsula Greya. Kupcy natomiast, wzbogaceni znacznie na handlu z innymi kapitanami, nie chcieli opuszczać cen mimo kiepskiej jakości swej oferty. Słyszając protesty młodego Anglika, wzruszali tylko obojętnie ramionami.

- Efendi - tłumaczył jeden z nich - dobrych myśliwych jest niewiele. To niebezpieczne zajęcie, a z każdym rokiem muszą się zapuszczać głębiej w dzicz, żeby wytropić stada. Sezon już prawie dobiegł końca i większość naszych zapasów wykupili inni handlarze. Mogę ci jednak zaproponować - kupiec uniósł palec - naprawę pięknych niewolników.

Tom, z całą uprzejmością, na jaką potrafił się zdobyć, odmówił obejrzenia tego żywego towaru. Aboli, który został wzięty do niewoli jeszcze jako dziecko, wciąż miał w pamięci okropności, jakich wtedy doświadczył. Tom słuchał jego opowieści o tym haniebnym procederze na długo przedtem, nim po raz pierwszy wyruszył w morze. Hal także podczas swych licznych wypraw zdobył z pierwszej ręki wiedzę o handlu żywym towarem i zaszczepił synowi odrazę do tego nieludzkiego zajęcia. Tom miał regularne kontakty z handlarzami niewolników i ich ofiarami, odkąd po raz pierwszy opłynął Przylądek Dobrej Nadziei. Podczas długiego postoju na redzie Zanzibaru często kotwiczyły koło Swallowa statki niewolnicze, z których dolatywał na pokład smród nieszczęśników oraz ich jęki ściskające serce. Codziennie przechodził z Abolim przez targ niewolników. Z coraz większym trudem udawało mu się nie dostrzegać ich udręki. Płaczu dzieci oderwanych siłą od matek i łkania ich rodzicielek; niemego cierpienia w ciemnych oczach młodych mężczyzn i kobiet odartych ze swobody swej dzikiej egzystencji, uwiązywanych na łańcuchach jak zwierzęta, rozciąganych na kozłach do chłosty i smaganych ostrym kiboko, batem ze skóry hipopotama, aż w ich głębokich ranach połyskiwała biel żeber. Na samą myśl o czerpaniu profitów z cierpień tych nieszczęśników podchodziła mu do gardła gorzka żółć. Po powrocie na Swallowa omawiał wszystko z oficerami.

584

Chociaż głównym celem wyprawy pozostawało w dalszym ciągu uwolnienie Doriana i Tom nie zapominał o tym nawet na moment, miał jednak także zobowiązania wobec marynarzy, których skusiła do rejsu perspektywa zarobku. Na razie o tym nie było mowy i szansa na godziwy zysk z handlu coraz bardziej się oddalała.

- Możliwości korzystnych zakupów jest tu już bardzo niewiele - potwierdził posępnym głosem pan Walsh. Otworzywszy notatnik, poprawił na nosie okulary w złotych oprawkach i odczytał im ceny kości słoniowej i żywicy, obowiązujące w Anglii, kiedy ją opuszczali. - Trochę korzystniej przedstawia się cena przypraw, lecz także one dadzą mierny zysk, biorąc pod uwagę trudy i koszty rejsu. Na goździki i pieprz popyt jest zawsze. Nieco mniejszy na cynamon, no i oczywiście korę chinowca, szczególnie poszukiwaną w Ameryce i wokół Morza Śródziemnego, nawiedzanych często przez malarię.

- Chinowca będziemy potrzebowali także dla siebie, jakieś kilkaset funtów - rzekł Tom. - Zaczęła się pora deszczowa i ludzie z pewnością będą zapadali na zarazę.

Wywar z kory był gorzki jak piołun, lecz prawie sto lat temu jezuicki mnisi odkryli, że jest on doskonałym remedium na malaryczną gorączkę. To oni właśnie po raz pierwszy przywieźli sadzonki drzew chinowych na wyspę. Teraz rosły tu w obfitości.

- To prawda - rzekł cicho Aboli. - Chinowiec będzie nam potrzebny, zwłaszcza podczas wyprawy w głąb ładu, po kość słoniową.

Tom zgromił go wzrokiem.

- Co też strzeliło ci do łba, Aboli? Czy sądzisz, że jestem takim bęcwałem, żeby sprzeciwiać się zakazom sułtana i naszej Kompanii? Sam przecież mocno mi to odradzałeś!

- Przyglądałem ci się, jak siedziałeś co wieczór na dziobie, wgapiając się w stały ład. Myślałeś tak głośno, że prawie ogłuchłem.

- To byłoby strasznie niebezpieczne... - Zamiast zaprzeczyć, Tom zwrócił odruchowo głowę ku zachodowi. Spojrzał ku mglistym zarysom wielkiego kontynentu, majaczącym po drugiej stronie kanału w wieczornym półmroku.

- Niebezpieczeństwa nigdy dotąd cię nie zrażały - przypomniał mu Murzyn.

585

- Nie wiedziałbym nawet, skąd zacząć. To terra incognita, ziemia nieznaną - posłużył się określeniem ojca, które poznał, studiując sporządzone przez niego mapy. - Nawet ty nie znasz tych terenów. Zapuszczać się tam bez przewodnika byłoby szaleństwem.

- Istotnie, nie znam tych północnych ziem - zgodził się Aboli. - Urodziłem się na południu, nad wielką rzeką Zambezi. I dawno już tam nie byłem - zamilkł na chwilę. - Ale wiem, gdzie szukać człowieka, który nas może poprowadzić w głąb ładu.

- Gdzie? - nie potrafił ukryć podniecenia Tom. - Skąd go znasz?

- Jeszcze nie znam; ani z twarzy, ani z imienia. Ale rozpoznam go od razu, kiedy tylko zobaczę.

Gdy następnego ranka udali się na brzeg, z baraków wyprowadzano właśnie na targ pierwszych niewolników, skutych łańcuchami w długie szeregi.

Podobnie jak innych towarów, było ich o tej porze roku znacznie mniej. Na sprzedaż wystawiono może ze dwie setki, a kiedy Swallow wpływał do Zanzibaru, było ich powyżej tysiąca. Przeważali wśród nich ludzie starsi i słabi, wychudzeni chorobą lub poznaczeni bliznami po biciu kiboko. Kupujący niechętnie nabywali niewolników ze śladami bata na grzbiecie, uważano ich bowiem za krnąbrnych i niechętnych szkoleniu.

Przechodząc przez targ, Tom zwykle odwracał wzrok, nie chcąc oglądać nieszczęśników z bliska, gdyż wstręt i litość nie dawały mu potem spokoju. Tym razem jednak ustawili się z Abolim przy głównej bramie i kiedy pędzono przez nią kolejne szeregi, przyglądali się każdemu z zakutych w łańcuchy mężczyzn.

Tom spostrzegł dwóch czy trzech, którzy wydawali mu się odpowiedni; byli wysocy i silni, o dumnym mimo kajdan spojrzeniu. Gdy jednak trącał Abolego w ramię, patrząc nań pytająco, ten niecierpliwie kręcił głową.

- Naprawdę nic? - zapytał, kiedy ostatni niewolnicy mijali bramę, a Murzyn w dalszym ciągu nie wykazywał zainteresowania.

- Widziałem naszego człowieka - zaprzeczył Aboli - ale nie mogłem ci go pokazać, bo handlarze nas obserwowali.

586

Niewolników rozstawiono na placu, każdego przykuwając osobno do słupa. Ich właściciele rozsiedli się w cieniu. Bogato odziani i zadowoleni z siebie, obsługiwani byli przez służących, którzy podawali im kawę i zapalali nargile. Spod wpółprzymkniętych powiek śledzili chytrze dwóch cudzoziemców okrążających targowisko.

Zatrzymali się przy pierwszym stanowisku, by przyjrzeć się barczystemu niewolnikowi o wyglądzie wojownika. Właściciel otworzył mu usta i pokazał zęby, jak u konia. Potem poklepał go po mięśniach.

- Najwyżej dwudziestoletni, efendi - zachwalał Arab. - Spójrzcie tylko na te ręce. Silny jak wół, popracuje jeszcze ze trzydzieści lat!

Aboli przemówił do mężczyzny w jednym z narzeczy dżungli, lecz tamten spoglądał nań jak otępiałe zwierze. Murzyn pokręcił głową i poszli dalej. Przy następnym straganie historia się powtórzyła.

Tom uzmysłowił sobie, że w ten sposób zbliżają się powoli do człowieka, którego przyjaciel upatrzył sobie od początku. Rozglądał się, próbując zgadnąć, o którego chodzi, i nagle coś podpowiedziało mu, że już wie.

Niewolnik był nagi, z wyjątkiem wąskiej przepaski na biodrach, niewysoki, o szczupłym żylastym ciele, pozbawionym grama tłuszczu. Wełnista czupryna, gęsta i zmierzwiona, nadawała mu wygląd leśnego zwierzęcia; spojrzenie miał bystre i przenikliwe.

Kiedy dochodzili już do właściwego straganu, Tom starał się udawać brak zainteresowania. Obejrzeli jakiegoś młodzieńca, a potem dziewczynę i, ku rozczarowaniu właściciela, kręcąc głowami, zaczęli się oddalać. Nagle Aboli, jakby się jeszcze zastanawiał, wrócił do straganu.

- Pokaż mi jego ręce - zwrócił się do handlarza, wskazując niskiego mężczyznę.

Arab z pomocnikiem chwycili niewolnika za nadgarstki i pobrzękując łańcuchami, zmusili go do wyciągnięcia przed siebie dłoni. - Teraz odwróćcie. - Kiedy to uczynili, Aboli starannie zamaskował zadowolenie. Dwa pierwsze palce obu dłoni niewolnika były tak zrogowaciałe, iż wyglądały niemal na zdeformowane. - To nasz człowiek - zwrócił się Murzyn po angielsku do Toma, nadając jednak głosowi ton rozczarowania.

Ten pokiwał głową, jakby potwierdzał niekorzystną opinię.

587

Odwrócili się i poszli dalej. Handlarz spoglądał za nimi zasępiony.

- O co chodzi z tymi jego rękami? - zapytał Tom, nie odwracając głowy. -

Dlaczego mają taki dziwny wygląd?

- Od cięciwy - padła zwięzła odpowiedź.

- Obydwie? - Tom przystanął zaskoczony.

- To łowca słońi. Nie zatrzymuj się, wszystko ci wyjaśnię. Łuk na słońie jest tak twardy i sztywny, że nie ma człowieka, który potrafiłby go napiąć jedną ręką. Myśliwy podkrada się do słońia bardzo blisko, o tak - wskazał na mur znajdujący się dziesięć kroków od nich. - Kładzie się na plecach i stawia stopy na uchwycie łuku. Grot strzały wsuwa między duże palce u nóg i napina broń obiema rękami. Po latach polowań palce łowcy twardnieją, tak jak u tego człowieka.

Tom z trudnością potrafił sobie wyobrazić siłę takiego łuku.

- To musi być potężna broń? - zapytał.

- Można z niej przestrzelić na wylot bok wołu i zabić jeszcze człowieka stojącego po drugiej stronie - pokiwał głową Murzyn. - Ten niewolnik należy do nielicznego bractwa nieustraszonych myśliwych, którzy utrzymują się z polowań na słońie.

Obeszli niespiesznym krokiem cały targ i niby przypadkiem zatrzymali się znowu przy łowcy słońi.

- Ma podwójne kajdany, na nogach i na rękach - powiedział Aboli. - I spójrz na jego plecy. - Na ciemnej skórze grzbietu niewolnika przecinały się na wpół zagojone szramy. - Bili go srodze, chcąc złamać w nim opór, lecz z jego oczu można wyczytać, że im się nie powiodło.

Aboli okrążył powoli małego mężczyznę, oglądając jego muskularną sylwetkę z każdej strony. Powiedział do niego kilka słów w jakimś narzeczu. Niewolnik nie zareagował. Aboli powtórzył pytanie w innym z dialektów dżungli. Myśliwy wciąż nie dawał znaku, że cokolwiek rozumie.

Tom wiedział, że prócz języka swego plemienia, którego uczył w dzieciństwie także i młodych Courtneyów, Murzyn włada jeszcze kilkoma innymi narzeczami z głębokiego interioru. Teraz przemówił w kolejnym. Tym razem mały człowiek drgnął nerwowo i mimowolnie odwrócił głowę, patrząc na Abolego ze zdumieniem i konsternacją.

- Fundi - odpowiedział jednym słowem.

588

- To jego imię - wyjaśnił przyjacielowi Murzyn po angielsku. - Jest z Lozi, dzikiego szczepu wojowników. To imię znaczy Zręczny - uśmiechnął się - i on najpewniej na nie zasługuje.

Tom przyjął zaproszenie handlarza na filiżankę kawy, nieodłączny element każdej poważnej transakcji. Szybko się zorientował, że właściciel pozbędzie się swego niedużego, lecz za-dziornego niewolnika z prawdziwą ulgą, toteż targował się nieustępliwie. Po godzinie Arab wyrzucił w górę ręce, wołając z desperacją:

- Moje dzieci poumierają z głodu! Twoje nieprzejednanie zupełnie mnie zrujnuje, zostanę żebrakiem! Ale bierz go! Bierz go, a razem z nim moją krew i kości! Kiedy znaleźli się z Fundim na pokładzie Swallowa, kapitan wezwał okrętowego kowala i kazał mu rozkuć niewolnika. Mały myśliwy zaczął rozcierać sobie ślady po kajdanach, patrząc z niedowierzaniem na swoich nowych właścicieli. A potem jego spojrzenie powędrowało ku zachodowi, gdzie majaczyła linia ziemi, z której go tak okrutnie porwano.

- Tak, tak - Aboli czytał w jego myślach - możesz próbować uciec i wrócić do swoich. Ale czy tam dopłyniesz? - Pokazał na bezmiar błękitnej wody, niezbyt zachęcający do tego rodzaju wyczynów. - Przywitają cię rekiny, większe od największych krokodyli w rzekach, o zębach ostrzejszych niż grot twoich strzał. Jeżeli cię nie pożrą, to wtedy ja cię złapię i zbiję tak, że cięgi, jakie zbierałeś od Arabów, wydadzą ci się pieszczotą młodej dziewczycy! A potem znów zakuję cię w łańcuchy jak zwierzę. - W oczach Fundiego zaiskrzył się wyraz buntu, lecz olbrzym mówił dalej. - Możesz jednak wykazać się mądrością i opowiedzieć nam o ziemi, z której pochodzisz, i poprowadzić nas tam bez łańcuchów. Znów będziesz wojownikiem i pogromcą słońi, wolnym i dumnym. Ciemne oczy myśliwego rozszerzyły się ze zdumienia. Zasypał Abolego gradem pytań.

- Skąd wiesz, że jestem łowcą słońi? Skąd znasz mowę Lozi? Dlaczego chcesz mi zwrócić wolność? Po co chcesz dotrzeć do kraju moich ojców?

- Wszystko ci potem wytłumaczę - obiecał Murzyn. - Na razie niech ci wystarczy, że nie jesteśmy twoimi wrogami. Masz tu jedzenie.

589

Fundi był zagłodzony, toteż dosłownie rzucił się na miskę gulaszu z ryżem, która przed nim postawiono. Pełny żołądek i łagodny głos Abolego uśmierzyły jego zadziorne nastawienie i zaczął odpowiadać na pytania, nie przerywając jedzenia.

- Nie wie, jak stąd daleko do jego krainy - tłumaczył Aboli na angielski. - Oni nie mierzą odległości tak jak my. Ale znajduje się ona w głębi ładu, kilka miesięcy drogi. Mówi, że mieszka nad wielką rzeką.

W ciągu następnych dni Fundi stopniowo dodawał do swej opowieści nowe szczegóły, zadziwiając ich opisami jezior, rozległych równin i gór przykrytych lśniąca bielą, jak głowy starców.

- Ośnieżone góry? - pokręcił głową Tom. - To chyba niemożliwe w tym tropikalnym klimacie?

Myśliwy mówił im o wielkich stadach dziwnych stworzeń, większych od garbatych zebu, które hodowali Arabowie. Monstra te miały sierpowate kły i potrafiły jednym ich uderzeniem rozplątać brzuch czarnogrzywego lwa.

- Słonie? - zapytał Tom. - Kość słoniowa? Oczywiście Fundiego, gdy mówił o potężnych bestiach, płonęły dziwnym blaskiem.

- To moje kozy - chełpił się, prezentując z dumą zgrubienia na dłoniach. - Mówią o mnie: Fundi, pogromca słoni. - Rozpostarł palce obu dłoni, a potem dziesięć razy zamykał je w pięść i otwierał. - Tyle słoni ustrzelił już mój łuk. Moje strzały przebiły ich serca, a każdy miał kły dłuższe niż ja sam. - Stanał na palcach, wyciągając do góry rękę.

- Czy wciąż jest ich tam tak wiele? - zapytał Tom. - Czy też wielki łowca słoni pozabijał już wszystkie? Aboli przetłumaczył pytanie, a Fundi parsknął śmiechem.

- Czy ktoś potrafi zliczyć źdźbła trawy na bezkresnej równinie? - zawołał z szelmowską miną. - Albo ryby we wszystkich jeziorach? Ile jest kaczek, zakrywających niebo, gdy odlatują w porze deszczów, tyle słoni znajdziecie w krainie Lozi.

Te fascynujące opowieści wzmagały ekscytację Toma. Nocami, leżąc na wąskiej koi, roił o dzikich ziemiach, opisywanych tak obrazowo przez małego myśliwego. Kusiła go nie tylko obietnica bogactwa: pragnął ujrzeć te wszystkie cuda na własne oczy, chciał ścigać wielkie słonie, patrzeć na ośnieżone szczyty i przemierzać słodkie wody rozległych jezior.

590

Szalone harce jego imaginacji powstrzymywała jednak myśl o Dorianie i Sarah i o złożonych obojgu obietnicach.

Sarah już sama mi przyrzekła, że pójdzie ze mną choćby na koniec świata, rozmyślał. Nie jest taka, jak inne dziewczęta; jest podobna do mnie i ma przygodę we krwi. Ale co z Dorianem?

Odkąd ich los rozdzielił, Tom jeszcze nigdy nie myślał o młodszym bracie tak wiele jak teraz. Oczywiście duszy widział go do tej pory niezmiennie jako dziecko. Bezradne dziecko, wychylające się ku niemu z okna celi na Flor de la Mar.

Przecież on musiał się bardzo zmienić, docierało doń powoli. Ile ma teraz lat? Zaledwie o pięć mniej niż ja - liczył ze zdumieniem. Jest teraz starszy niż ja byłem, kiedy objąłem dowództwo nad Seraphem... Mój Boże, toż to już prawie mężczyzna!

Jego umysł z pewnym wysiłkiem wycofywał się z kolein, którymi podążał od tak dawna.

Jaki on teraz może być? Na pewno stwardniał po tych ciężkich przeżyciach. Czy wciąż jest moim małym braciszkiem, czy raczej kimś zupełnie innym niż chłopiec, którego znałem?

Myśl, że jego Dorian mógł się zamienić w całkiem obcego człowieka, nie dawała Tomowi spokoju.

Ale jednego jestem pewien, powtarzał sobie. Jeśli się zmienił, to na pewno nie tak jak Guy. Na pewno wciąż w nim płonie dawny ogień. Na pewno chciałby podążyć ze mną na spotkanie nowej przygody. Nie, nasza więź nigdy nie osłabnie, wiem to! Wydarzenia potoczyły się tak, jakby tymi myślami rzucił wyzwanie bogini losu. Odpowiedź na jego wątpliwości pojawiła się bowiem szybciej, niż oczekiwał. Już następnego ranka podpłynęła do Swallowa nieduża brudna łódź. Z odległości połowy strzału z pistoletu jej jedyny pasażer wołał do nich, stojąc na ławeczce i wymachując jakimś papierem:

- Efendi, mam do ciebie pismo od angielskiego konsula!

- Możesz przybijać - zezwolił mu Ned Tyler.

Tom usłyszał okrzyki ze swej kajuty i przeniknęło go nagłe przeczucie czegoś złowrogiego. Wybiegł na pokład w samej koszuli, by osobiście odebrać dokument z rąk posłańca.

Adres na złożonej we czworo kartce wypisany był ręką Guya, któremu charakter pisma nie zmienił się od czasów lekcji kaligrafii z panem Walshem. Adresatem przesyłki był

591

"Kapitan Thomas Courtney, na pokładzie Swallowa, port w Zanzibarze".

Tom niecierpliwie rozerwał pieczęć. Wiadomość była zwięzła: Zostaliśmy obaj wezwani na audiencję u sułtana. Dzisiaj

w południe. Czekam na ciebie u bram fortu dziesięć minut przed wyznaczoną godziną. G.C. Guy, jak łatwo było przewidzieć, zjawił się punktualnie.

Nadjechał w towarzystwie swego stajennego i powitał Toma chłodnym skinieniem głowy. Oddawszy służącemu wodze, zwrócił się do brata, nie patrząc mu w oczy.

- Nie fatygowałbym cię, sir - rzekł oschłym tonem - lecz Jego Ekscelencja nalegał, żebyśmy byli obecni obaj. - Wyciągnął z kieszonki zegarek z dewizką i sprawdzivszy godzinę, ruszył do bramy, nie oglądając się na Toma.

Wezyr przywitał ich słowami pełnymi szacunku, przymilnie uśmiechnięty. Cofał się, cały w ukłonach, aż doprowadził ich przed oblicze sułtana, przed którym padł plackiem na ziemię.

Guy także się skłonił, lecz niezbyt nisko, świadom powagi swego urzędu. Powitał sułtana zwyczajowymi uprzejmościami, a Tom poszedł za przykładem brata, po czym jego wzrok spoczął na mężczyźnie siedzącym po prawicy dostojnika. Był dobrze odżywiony, odziany w szaty najprzedniejszego gatunku. U pasa miał sztylet z rękojeścią z rogu nosorożca ze złotymi zdobieniami. Musiał być osobistością wysokiej rangi, gdyż nawet sułtan odnosił się do niego z respektem. Gość przyglądał się Tomowi z wyraźnym zainteresowaniem, jak gdyby słyszał o nim i wiedział, kim jest.

- Błogosławieństwo Allaha niechaj spłynie na was - rzekł sułtan, zapraszając braci gestem do zajęcia miejsc na poduszkach.

Guy usiadł niezgrabnie, nie radząc sobie ze szpadą u boku. Tom, który miał za sobą długie godziny spędzone z kupcami na targowiskach, przyzwyczał się już do tej pozycji i położył sobie szpadę z Neptunem w poprzek ud.

- Mam zaszczyt gościć na mym dworze świętobliwego mułłę z meczetu księcia Abd Muhammada al-Malika, brata kalifa Omanu - rzekł sułtan, skłaniając głowę ku przybyszowi.

Na dźwięk imienia księcia, człowieka, który kupił Doriana od piratów, Tom zeszytniał, a jego serce zabiło żywiej. Spojrzał na duchownego, a sułtan mówił dalej.

- To świętobliwy al-Allama. Przysyła go sam książę.

592

Obaj Anglicy spojrzeli na mułłę, który powitał ich łaskawym gestem. Miał drobne, gładkie dłonie, jak u kobiety.

- Oby łaska Boga i jego Proroka towarzyszyła wam zawsze - powiedział al-Allama, a bliźniacy skłonili się uprzejmie.

- Ufam, że miałeś dobrą podróż, panie, a dom twój, gdy go opuszczałeś, cieszył się dobrobytem i spokojem - odpowiedział Tom.

- Dziękuję za twe dobre słowa - odparł mułła. - Kaskazi był dla nas łaskawy, a uśmiech Allaha towarzyszył naszej wyprawie - rozpromienił się. - Muszę ci pogratulować doskonałej znajomości świętej mowy Proroka. Mówisz tak, jakbyś wzrastał w niej od urodzenia.

Wymiana uprzejmości trwała bardzo długo. Tom z trudem ukrywał zniecierpliwienie. Był pewien, że ten człowiek ma dla nich wiadomości o Dorianie; to musiał być jedyny powód jego wizyty. Próbował wyczytać coś z zachowania mułły; z grymasu jego ust, z tonu głosu lub wyrazu oczu. Gość jednak zachowywał kamienną twarz i dworne maniere.

- Czy handel na rynkach Zanzibaru przyniósł ci godziwy zysk? - zapytał al-Allama. - Prorok pochwalał uczciwych kupców.

- Nie handel był powodem, dla którego wybrałem się w długą podróż do królestwa twojego kalifa - odparł Tom ucieszony, że ma nareszcie możliwość przedstawienia swej sprawy. - Przybywam z misją miłosierdzia. Szukam zaginionej osoby, drogiej sercu całej mojej rodziny.

- Mój pan książę al-Malik słyszał o twych poszukiwaniach i otrzymał petycję, jaką do niego wystosowałeś - odrzekł al-Allama. Jego głos nie zdradzał niczego, twarz miał nieprzeniknioną.

- Wiem, że twój pan to potężny władca, pełen jednakże współczucia dla słabszych. Wiem, że prawo i sprawiedliwość wiele dla niego znaczą...

- Książę al-Malik jest taki w istocie. Dlatego właśnie zamiast posłać ci jedynie wiadomość, która nie oddawałaby w pełni jego uczuć wobec twojej straty, polecił mi zająć się sprawą osobiście.

Mimo panującego w komnacie gorąca przesyconego zapachem kadzidła Tom poczuł wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz. Mułła nieprzypadkowo użył takich słów, a nie innych. Guy poruszył się nerwowo, lecz Tom nawet nań nie spojrział. Czekał
593

z obawą na dalszy ciąg wypowiedzi mułły. Al-Allama jednak upił tylko mały łyk kawy i opuścił wzrok. Wreszcie Tom nie wytrzymał.

- Czekałem prawie pięć lat, żeby dowiedzieć się czegoś o bracie - powiedział. - Błagam cię panie, nie przedłużaj mojej udręki.

Duchowny odstawił filiżankę i wytarł usta serwetką podsunietą mu przez służącego.

- Oto przesłanie - rzekł - które mój pan kazał mi przekazać. - Przerwał, jak gdyby zbierając myśli. - "Prawdą jest, że przed kilku laty nabyłem frankijskiego chłopca. Nazwano go al-Amhara z uwagi na włosy w pięknym odcieniu czerwieni".

Tom wydał długie głośnie westchnienie ulgi. A więc przyznali się. Nie będzie zaprzeczania ani żadnych wykrętów. Dorian był w rękach muzułmańskiego władcy.

- Twoje słowa zdjęły z mej duszy ogromny ciężar; głaz, który mógł zdruzgotać moje życie - rzekł zduszonym głosem. Zdawało mu się, że za chwilę nie zdoła się opanować i wybuchnie płaczem. Okazanie takiej słabości oznaczałoby utratę twarzy i pogardę ze strony Arabów. Odetchnął głęboko, podniósł głowę i spojrział al-Allamie prosto w oczy. - Spełnienia jakich warunków żąda twój pan, żeby nasz brat mógł wrócić na łono rodziny? - zapytał.

Mułła nie odpowiedział od razu, lecz zaczął wygładzać brodę, wyrównując opadające mu na pierś wyperfumowane sploty.

- Oto słowa mojego pana - powtórzył wreszcie. - "Ja, Abd Muhammad al-Malik, przyjąłem chłopca al-Amharę pod moją pieczę. Zapłaciłem za niego królewski okup, żeby go chronić przed tymi, którzy go pojмали, i oszczędzić mu dalszych cierpień".

- Książę to wielki i miłosierny władca - wtrącił Tom, choć miał ochotę krzyknąć: "Gdzie on jest? Gdzie jest mój brat? Ile chcecie za jego uwolnienie?".

- Mój pan przekonał się, że chłopiec jest urodziwy i miłego usposobienia. Al-Amhara przypadł mu do serca tak bardzo, iż dla uchronienia go przed wszelkim złem postanowił go usynowić.

Tom niemal zerwał się z poduszki; na jego twarzy wyraźnie malował się niepokój.
594

- Usynowić? - zawołał, rozumiejąc, jak bardzo może to pokrzyżować jego szyki.

- Tak, uczynił go swoim synem. Chłopiec był traktowany jak książętko. Mnie polecono zadbać o jego edukację i ja także szybko go pokochałem. - Al-Allama opuścił wzrok, po raz pierwszy okazując cię emocji.

- Wielce mnie cieszy, że mój braciszek dostąpił takich zaszczytów - rzekł Tom. - Ale to mój rodzony brat; prawo krwi jest ważniejsze. Sam Prorok mówił, że więzy krwi są niczym stal i nie należy ich rozrywać.

- Twoja znajomość świętych słów islamu dobrze o tobie świadczy - powiedział mułła. - Mój pan uznaje twoje prawo krwi i ofiarowuje ci rekompensatę za twe cierpienia.

Al-Allama skinął na służącego, który podszedł do nich ze szkatułą z hebanu, inkrustowanego kością słoniową i macicą perłową. Ulęknięwszy przed braćmi, postawił skrzynkę na podłodze i otworzył wieko.

Tom nawet nie drgnął; nie interesowała go zawartość szkatuły. Guy jednak pochylił się, patrząc wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami na złote monety, wypełniające ją po brzegi.

- Pięćdziesiąt tysięcy rupii - oznajmił al-Allama. - Tysiąc angielskich funtów. Ta suma odzwierciedla przynależność al-Amhary do królewskiego domu Omanu. Tom odzyskał wreszcie głos i władzę w członkach. Uniósł się z miejsca, a jego dłoń spoczęła na rękojeści szpady.

- Całego złota Arabii me wystarczy, ażeby mnie przekupić! - ryknął. - Przybyłem tutaj, by odzyskać brata, i nie opuszczę tego miejsca, dopóki mi go nie oddacie.

- To jest niestety niemożliwe - odparł al-Allama łagodnym, przepojonym smutkiem głosem. - Twój brat nie żyje. Zabrała go przed rokiem zaraza, malaria. Żadna siła nie mogła temu zaradzić, choć Allah wie, jak bardzo my wszyscy, którzyśmy go kochali, walczyliśmy o uratowanie chłopca. Al-Amhara umarł.

Tom opadł z powrotem na poduszki. Twarz miał białą jak kreda. Wbił w mułkę spojrzenie, w którym czaiło się szaleństwo. W komnacie zrobiło się zupełnie cicho, tylko pod sufitem krążyła, bzycząc, tłusta błękitna mucha.

- Nie wierzę ci - wychrypiał wreszcie, lecz bez nadziei w głosie i oczach.
595

- Przysięgam na moją miłość do Allaha: widziałem grób al-Amhary na królewskim cmentarzu w Łamu. Modlę się o jego zbawienie - rzekł al-Allama cicho. W głosie pobrzmiwał tak bezbrzeżny smutek, że Tom nie mógł już dłużej wątpić w jego słowa.

- Mój Dorian - szepnął. - Był taki młody, tak pełen życia...

- Allah jest dobrocią. Jesteśmy pewni, że przyjmie go do siebie. Mój pan przekazuje ci wyrazy współczucia i pocieszenia i dzieli z tobą poczucie straty - dodał mułła.

Tom wstał, choć wykonanie tej prostej czynności kosztowało go nieskończenie wiele wysiłku.

- Dziękuję ci, świątobliwy ojczy - zwrócił się do mułły. - Zechciej mi wybaczyć, lecz muszę cię natychmiast opuścić, by w samotności opłakiwać brata. - Ruszył do drzwi.

Guy także wstał i skłonił się Arabom.

- Podziękuj księciu od nas za jego współczucie - powiedział. - Przyjmujemy ofiarowane przezeń zadośćuczynienie. - Pochylił się i podniósł szkatułkę, zamykając ją. - Nasza rodzina nie ma już żadnych roszczeń.

Podążył za Tomem do wyjścia, uginając się pod ciężarem skrzynki.

Sarah siedziała na swoim zwykłym miejscu, wysoko na murze starego klasztoru.

Dostrzegła ukochanego, gdy tylko się pojawił na ścieżce od plaży.

- Tom! - zawołała i pomachała doń radośnie. Zbiegła szybko na dół, rozpościerając szeroko ramiona dla utrzymania równowagi. - Spóźniłeś się! Czekam tak długo; już miałam sobie pójść! - Zeskoczyła na ziemię i puściła się biegiem na bosaka piaszczystą dróżką. Kiedy znalazła się dziesięć stóp od niego, stanęła jak wryta. - Co się stało? - wyszeptwała, ujrawszy z bliska jego twarz. Była zapadnięta i ściągnięta bólem, oczy chłopaka patrzyły z bezbrzeżnym smutkiem. - Tom, co ci jest?

Postąpił ku niej niepewnie, wyciągając ręce jak tonący. Podbiegła i wzięła go w objęcia.

- Tom, co się stało? Powiedz. - Tuliła go z całej siły. - Powiedz, kochany. Chcę ci pomóc.

Zaczął się trząść w jej ramionach, z oczu płynęły mu łzy.

596

d- Musisz mi powiedzieć, słyszysz! - prosiła. Nie przypuszczała, że kiedyś zobaczy go w takim stanie. Sądziła zawsze, że jest silny i niepokonany. Ale stał oto w jej objęciach, załamany i niepokieszony. - Tom, proszę, powiedz coś!

- Dorian nie żyje.

Sarah zeszywniała; przeszył ją zimny dreszcz.

- To niemożliwe - wyszeptwała. - Po prostu nie. Jesteś pewien? Może to jakaś pomyłka?

- Przyniósł mi tę wiadomość mułła, święty człowiek. Przysięgał na swą wiarę - odparł Tom. - Nie ma mowy o pomyłce.

W dalszym ciągu objęci, osunęli się na kolana. Sarah też płakała.

- Był mi jak własny brat - chlipnęła, przyciskając policzek do twarzy Toma. Ich łzy mieszały się ze sobą. Po chwili pociągnęła nosem i otarła twarz rękawem. - Jak to się stało? - zapytała.

Pokręcił głową, niezdolny wymówić słowa.

- Opowiedz mi, Tom - nie ustępowała, wiedząc instynktownie, że powinna zmusić go do mówienia.

Niczym chirurg, musi przeciąć wrzód i wypuścić zatruwającą organizm ropę. I w końcu zaczął z trudem wydobywać z siebie słowa, które zdawały się ranić mu gardło. Trwało to długo, lecz opowiedział jej wszystko i zrozumiała, że musi to być prawda.

- I co teraz zrobimy? - zapytała, wstając. Trzymała Toma mocno za ręce i także musiał wstać. Chciała go wyrwać z ciemnych odmetów smutku, w których się pograżał.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Wiem tylko jedno: Dorian nie żyje. Nie zdołałem go uratować. To moja wina. Gdybym się wybrał po niego od razu...

- Nie ma w tym żadnej twojej winy! - zawołała gniewnie. - Nie pozwalam ci nawet tak myśleć. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy, i nikt inny nie zdołałby uczynić więcej.

- Już nic mnie nie obchodzi - szepnął.

- A właśnie, że tak. Przez wzgląd na nas i na pamięć Doriana. Byłeś dla niego wzorem, podziwiał twoją siłę. Na pewno nie chciałby widzieć cię w takim stanie.

- Nie złość się na mnie, Sarah, proszę. Nie czuję niczego poza rozpaczą i nie mam siły na nic.

- Nie pozwolę ci się poddać. Musimy zaplanować, co robić dalej - nie ustępowała dziewczyna.

597

- Nie wiem, co robić - rzekł, prostując się jednak i ocierając łzy wierzchem dłoni.

- Dokąd popłyniemy? Nie możemy tu zostać i nie możemy wrócić do Anglii. Dokąd się udamy, Tom?

- Do Afryki. Aboli znalazł przewodnika, który nas poprowadzi w głąb lądu.

- Kiedy wyruszamy? - zapytała, nie dopominając się nawet o szczegóły.

- Niedługo. Za kilka dni. - Na moment wyrwał się ze szponów obezwładniającego żalu. - Musimy uzupełnić zapasy wody, kupić żywność na wyprawę i poczynić inne przygotowania.

- Będę gotowa.

- To trudna podróż. Niebezpieczna wyprawa, która nie wiadomo jak się skończy - przestrzegł ją Tom. - Czy jesteś pewna, że chcesz tego? Musisz być ze mną szczerą.

- Nie bądź matołkiem, Thomasie Courtneyu - odparła. - Oczywiście, że z tobą jadę.

Opuściwszy stary klasztor, Sarah pojechała do konsulatu okreśną drogą. Wybrała odkryty niedawno trakt przez jedną z nadbrzeżnych osad od strony pełnego morza. Przejechała zaledwie pół mili, gdy owładnęło ją nieodparte przecucie, że ktoś ją śledzi. Wydawało jej się, że słyszy za sobą odgłos końskich kopyt. Ściągnęła wodze i obejrzała się.

Droga biegła tu wśród gęstych zarośli, krzewów o poskręcanych pniach i lśniących liściach oraz kęp wielobarwnej lantany. Sarah widziała tylko najbliższy zakręt, kilkanaście kroków za sobą.

- Tom? - zawołała. - Czy to ty?

Nie było odpowiedzi. Uznała, że to tylko zwidy.

Matołek z ciebie - upomniała się w myśli i pojechała dalej.

W wiosce kupiła od starej wieśniaczki kosz warzyw, jako usprawiedliwienie swej długiej nieobecności. Potem dotarła drogą niemal aż do portu, żeby powrócić do konsulatu głównym traktem.

Miała nad czym rozmyślać. Jej nastrój się zmieniał... od euforii z powodu czekającej ją przygody, po głęboki smutek na myśl o rozstaniu z Caroline i Christopherem. Kochała oboje bardzo. Była oparciem dla siostry w ciężkich chwilach jej

598

małżeństwa, a siostrzeńca traktowała niemal jak własne dziecko. Martwiła się, jak sobie bez niej poradzą.

A może byśmy ich też zabrali, przyszło jej do głowy. I zaraz zgromiła się za nedorzeczny pomysł. Muszę ich zostawić, postanowiła nieodwołalnie. Kocham oboje, ale Tom to mój mężczyzna i jest mi drogi ponad życie. Muszę być z nim. Te rozmyślenia tak ją pochłonięły, że wjechawszy na podwórze stajni, nawet nie zauważyła Guya siedzącego w cieniu długiej werandy.

- Gdzieś ty była, Sarah? - zapytał zniecierpliwionym ostrym tonem. Spojrzała na niego zmieszana.

- Ale mnie przestraszyłeś, Guy.

- A co, wyrzuty sumienia? - rzucił oskarżycielsko.

- Kupowałam warzywa - pokazała przytroczone do siodła koszyk. - Mój kochanek to ogórek! - zażartowała ze śmiechem.

Guy nawet się nie uśmiechnął.

- Chodź do mojego gabinetu - rozkazał.

We wrotach stajni dostrzegła stajennego; krył się w cieniu. Chłopak był totumfackim szwagra. Miał na imię Assam, był krępy, ospowaty i przebiegły. Sarah nigdy za nim nie przepadała, a teraz, widząc jego domyślny i złośliwy uśmiech, zniechęciła go jeszcze bardziej. Z ciężkim sercem, choć poniewczasie, uzmysłowiła sobie, że nie dość sprytnie zacierała ślady swych wypraw na schadzki z Tomem i że powinna była poważniej potraktować przeczcucia nękające ją tego popołudnia w drodze powrotnej.

- Chciałabym wziąć kąpiel i przebrać się do obiadu - usiłowała odwlec przeznaczenie.

Guy jednak parsknął gniewnie i trzepnął szpicrutą o cholewę buta.

- To nie potrwa długo - powiedział. - Jako twój opiekun nalegam, żebyś była mi posłuszna. Assam odprowadzi konia.

Zrezygnowana powlokła się za nim. Z nagrzanego werandy weszli w chłodny półmrok ponurego biura konsula. Guy zamknął drzwi i zasiadł za biurkiem. Sarah stała na środku pokoju.

- Spotykasz się z nim w starym klasztorze - oznajmił sucho.

- Z kim? Co ty, na Boga, wygadujesz, Guy?

599

- Nie trudź się zaprzeczaniem - odparł. - Assam cię śledził na moje polecenie.

- Szpiegowałeś mnie! - zawołała. - Jak śmiesz! - Nadrabiała miną, udając oburzenie, lecz nie wypadło to zbyt przekonująco.

- Rad jestem, że nie obrażasz mojej inteligencji i nie próbujesz kłamać.

- Dlaczego miałabym kłaniać? Ja go kocham! - rzuciła wszystko na jedną szalę, teraz już autentycznie rozgniewana.

- Zostałaś więc marynarską kurwą - rzekł Guy. - Jak już nasyci się tym, co masz między nogami, zaśmieje ci się w twarz i odpłynie w siną dal, tak jak to zrobił z twoją siostrą.

- Kiedy odpłynie, ja popłynę z nim.

- Nie ukończyłaś jeszcze osiemnastu lat, a pan Beatty ustanowił mnie twoim opiekunem. Bez mojej zgody nigdzie nie pojedziesz - powiedział twardo Guy.

- Odejdę z Tomem - oznajmiła Sarah dobitnie. - I twoje słowa mnie nie powstrzymają.

- To się jeszcze okaże. - Guy wstał. - Od dziś nie wolno ci opuszczać pokoju. Pozostaniesz w zamknięciu, dopóki Swal-low nie wyjdzie z Zanzibaru!

- Nie masz prawa mnie więzić! - zawołała przerażona.

- Mam. Przy twoich drzwiach postawię strażnika, przy bramie także. Już otrzymali odpowiednie rozkazy. A teraz marsz do pokoju. Kolację ci pr/yniosą.

Tom był tak zajęty przygotowaniem do wyprawy, że nie zwrócił większej uwagi na rejoy zagłowiec, który wszedł do portu po zachodzie słońca. Nawet w słabym świetle zmierzchu widać było, że statek ucierpiał podczas sztormów. Była to pora potężnych cyklonów, szalejących na Oceanie Indyjskim i musiał napotkać jeden z nich. Na pawęży zagłowca widniała nazwa: Apostle, a na jego maszcie powiewała postrzępiona flaga Kompanii Wschodnioindyjskiej. Kiedy rzucił kotwicę, Tom posłał szalupę z Luke'em Jendsem, żeby zapytał się o nowe wieści.

Lukę wrócił po godzinie i stawił się przed Tomem, który uzupełniał właśnie w swej kajucie dziennik okrętowy.

- Płynię z Bombaju, z ładunkiem tkanin i herbaty -

600

oznajmił. - Na północ od Maskarenów złapał go sztorm. Zostanie w Zanzibarze aż do ukończenia napraw.

- Jakie wieści?

- Większość nieświeżych. Apostle jest w rejsie od wielu miesięcy. Ale Francuzi uznali wreszcie króla Wilhelma jako władcę Anglii. Stłukł ich na kwaśne jabłko; dobry wojak z tego naszego Willy'ego. Wojna skończona.

- To znakomicie! - Tom aż podskoczył. - Powiedz załodze i każ im wydać po kwaterce. Niech się napiją za zdrowie Jego Królewskiej Mości.

Tom nie mógł oczywiście wiedzieć, że oprócz wieści o zwycięstwie statek Kompanii przywiózł pocztę od gubernatora Bombaju do konsula Jego Królewskiej Mości w Zanzibarze. Nazajutrz kapitan kazał dostarczyć przesyłkę z listami i dokumentami, zalakowaną w płóciennym worku, do domu Guya Courtneya. Guy otworzył ją po lunchu, siedząc przy długim stole na werandzie. Caroline siedziała naprzeciwko niego, lecz Sarah w dalszym ciągu nie wypuszczano z jej pokoju.

- Jest list od twojego ojca - powiedział, wyłuskując go spośród gazet i innych papierów.

- Zaadresowany do mnie! - zaprotestowała, gdy rozerwał pieczęć i zaczął czytać.

- Przecież jestem twoim mężem - odparł, kontent ze zręcznej odpowiedzi. Nagle twarz mu się zmieniła, a list zadrżał w dłoni. - Wielkie nieba! To przechodzi ludzkie pojęcie! - krzyknął.

- Co się stało? - Caroline odłożyła łyżkę.

Wiadomość, która wywarła takie wrażenie na jej mężu, musiała istotnie być doniosła. Guy przechwalał się zawsze, że zachowuje zimną krew nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach. Wpatrywał się teraz w papier, a wyraz konsternacji na jego twarzy ustępował z wolna satysfakcji.

- No, wreszcie go mam! - zawołał.

- Kogo? O co chodzi, Guy?

- Kogo? Twojego Toma! Jest mordercą. Na Boga, zapłaci za to na stryczku. Zabił naszego ukochanego brata Williama. Posłano za nim list gończy. Zamierzam wypełnić moją powinność jako konsul. Z najwyższą przyjemnością pokażę mu wreszcie, gdzie jego miejsce. - Guy zerwał się na

601

równe nogi, strącając ze stołu filiżankę z herbatą. Ledwie na nią spojrział.

- Dokąd idziesz? - Caroline też wstała. Patrzyła nań z pobladłą twarzą.

- Do sułtana - odparł. - Każcie Assamowi osiodłać siwka, i to szybko! - zawołał do służących. Spojrział na Caroline, uderzając pięścią w otwartą dłoń. -

Nareszcie! Czekałem na to tak długo. Poproszę sułtana o ludzi z jego straży. Po tych wszystkich szykanach, jakich od niego doświadczył, z pewnością mi nie odmówi. Panicza Thomasa się przymknie, a statek zarekwiruje. Sprzedam go za co najmniej dwa tysiące funtów. Należy mi się chyba jakaś nagroda za doprowadzenie groźnego przestępcy przed oblicze sprawiedliwości. - Roześmiał się z triumfem. - A panicz Tom dostanie darmową koję na Apostle, zakuty w kajdany.

- Guy, przecież to twój brat. Nie możesz tego zrobić! - zawołała ze zgrozą Caroline.

- Billy też był naszym bratem, a jednak ta świnia zaszlach-towała go z zimną krwią. Zapłaci teraz srodze za swoje zuchwalstwo!

- Nie, Guy, nie wolno ci tego robić! - Chwyciła go za rękaw koszuli.

- A więc to tak? - natarł na nią z twarzą wykrzywioną gniewem. - Jeszcze go bronisz! Wciąż go kochasz, co? Jesteś gotowa w każdej chwili zadrzeć spódnicę i rozłożyć nogi na sam jego widok, jak brudna dziwka, którą zawsze byłaś!

- To nieprawda.

- Pewnie byś chciała, żeby ci zrobił następnego bachora! - Guy już nie panował nad sobą. Uderzył ją na odlew w twarz, aż poleciała na ścianę werandy. - No to się dowiedz, że twój kochaś już nigdy w życiu nie spłodzi żadnego bękarta! - Zbiegł na podwórze, rycząc na stajennego, by przyprowadził konia.

Caroline stała nieruchomo, oparta o ścianę, przyciskając dłoń do czerwonej pręgi na policzku, dopóki nie usłyszała tętentu kopyt. Guy wypadł przez bramę i pogalopował gościńcem do portu. Dopiero wtedy otrząsnęła się z szoku i zaczęła się zastanawiać, co począć.

Kiedy po raz pierwszy usłyszała od męża o sekretnym związku młodszej siostry z Tomem, rozdzierała ją zgrzyzota i zazdrość. Ubiegłej nocy udała się do pokoju Sarah; rozmawiały

602

dwie godziny. Zrozumiała, jak wielka jest głębia uczucia dziewczyny. Sama od dawna była świadoma, że jej miłość do kochanka nie ma szans na urzeczywistnienie i ukryła ją głęboko na dnie serca. Choć poświęcenie się dla siostry przejmowało ją bólem, ucałowała Sarah i obiecała pomóc jej w ucieczce z Tomem.

- Muszę ich ostrzec - szepnęła do siebie. - Tylko czy zdążę?

Wzięła ze stołu tacę z jedzeniem i zanosła na koniec werandy. Minęła drzwi do pokoju dziecinnego, gdzie spał Christopher, i stanęła przed ostatnimi. Strażnik przysypiał w lepkim popołudniowym skwarze, lecz gdy podeszła, zerwał się na równe nogi.

- Salom alejkum, pani - skłonił się. - Pan wydał rozkaz, żeby nikt nie przekraczał tych drzwi. Nie wolno wchodzić ani wychodzić.

- Przyniosłam posiłek dla mojej siostry, durniu - ofuknęła go. - Odsuń się. Wartownik zawahał się. Jego rozkazy nie obejmowały takiej ewentualności. Wreszcie skłonił się ponownie.

- Jestem pyłem u twych stóp - powiedział i wyciągnawszy spomiędzy fałd burnusa wielki żelazny klucz, przekręcił go w zamku.

Caroline prześliznęła się obok niego i ledwie zamknął za nią drzwi, odstawiła tacę na stół i podbiegła do łóżka siostry.

- Sarah, to ja! - zawołała.

Dziewczyna leżała na posłaniu pod wielką moskitierą. Przykryta lekkim pledem, zdawała się spać. Usłyszawszy głos Caroline, zerwała się jednak z łóżka i zeskoczyła na ziemię, kompletnie ubrana, w butach do konnej jazdy na nogach.

- Jak to dobrze, że przyszłaś - powiedziała. - Bałam się, że będę musiała wyjechać, nie pożegnawszy się z tobą.

Caroline patrzyła na nią zdumiona. Sarah podbiegła i objęła ją.

- Wyjeżdżam z Tomem - oznajmiła. - Miał na mnie czekać na plaży przy starym klasztorze. Już jestem spóźniona!

- Jak chcesz stąd uciec? Guy porozstawiał wszędzie strażników. Sarah sięgnęła między spódnice i pokazała jej pistolety.

- Zastrzelę każdego, kto by próbował mnie zatrzymać.

- Posłuchaj, kochanie. Przyszedł dziś list od ojca z Bom-

603

baju. Tom jest oskarżony o zamordowanie własnego brata; wyznaczyli nagrodę za jego głowę.

- Wiem, powiedział mi o wszystkim. - Sarah odepchnęła siostrę. - Nie powstrzymasz mnie, Caroline! Dla mnie to nie ma znaczenia. Wiem, że jest niewinny, i wyjeżdżam z nim bez względu na cokolwiek.

- Nie rozumiesz - chwyciła ją za rękę siostra. - Przecież przyrzekłam, że wam pomogę. Nie cofam raz danego słowa. Przyszłam cię ostrzec. Guy pojechał do sułtana. Chce przy pomocy jego ludzi aresztować Toma i odesłać go w kajdanach do Anglii. A tam go skazą na śmierć!

- Boże, nie! - Sarah wpatrywała się w nią trwożnie.

- Musisz natychmiast ostrzec Toma, ale nie uda ci się stąd uciec bez mojej pomocy. - Caroline namyślała się przez chwilę. - Zrobimy tak - zaczęła, szeptać szybko do ucha Sarah, obmyślając na poczekaniu plan ucieczki. - Rozumiesz?

- Jestem gotowa - skinęła głową dziewczyna. - Wszystko mam spakowane, ale pośpiesz się, Caroline. Tom gotów jeszcze pomyśleć, że nie przyjdę, i odpłynąć beze mnie!

Caroline zawołała przez drzwi do strażnika, żeby je otworzył. Gdy wyszła, zamknął je ponownie na klucz. Pobiegła prosto do stajni i krzyknęła do Assama:

- Osiodłaj moją klacz!

Stajenny się zawahał, zdumiony tą nagłą decyzją.

- Natychmiast rób, co powiedziałam - tupnęła nogą - albo każę cię wychłostać! Śpieszy mi się; mam się spotkać z panem w forcie.

Assam błyskawicznie wyprowadził konia i podał jej cugle.

- Biegnij do bramy i każ otwierać - rozkazała mu. - Wyjeżdżam za chwilę.

Stajenny, porządnie już wystraszony, popędził wypełnić jej polecenie.

Caroline, starając się nie okazywać ekscytacji, podjechała spokojnie do krańca werandy. Strażnik skłonił się przed nią, a ona podała mu zapieczętowany list, wybrany ze stosu papierów na biurku Guya.

- Oddaj to zaraz mojej siostrze - powiedziała. Wartownik przewiesił sobie muszkiet przez ramię i wzięwszy od niej list, zastukał do drzwi. Ze środka rozległ się głos Sarah.

- O co chodzi? - ,

604

- List do ciebie, pani.

- Daj.

Arab otworzył drzwi. Dziewczyna stała tuż za nimi. Postąpiła krok ku niemu i wyceLOWAŁA w jego twarz oba pistolety. Ich kurki były odwiedzione, a palce Sarah spoczywały na spustach.

- Kładź się na ziemię - rozkazała.

Mężczyzna zamiast jej posłuchać zerwał z ramienia muszkiet, próbując go odbezpieczyć. Sarah bez zmużenia oka opuściła lufę pistoletu trzymanego w prawej ręce i strzeliła mu z bliska w kolano. Mężczyzna wrzasnął dziko i padł na posadzkę werandy z podwiniętą pod siebie strzaskaną nogą. Dziewczyna kopnięciem odrzuciła jego broń.

- Dureń - rzuciła szorstko. - Trzeba było mnie słuchać. Następną kulkę dostaniesz w swój zakuty łeb.

Przystawiła mu do głowy lufę drugiego pistoletu. Arab zasłonił głowę rękami i skulił się u jej stóp. Sarah wsunęła pusty pistolet za pas i cofnęła się do pokoju. Wyciągnęła na werandę skórzaną sakwę, do której spakowała najniezbędniejsze rzeczy.

Caroline pomogła jej przytroczyć wór do siodła, a potem uściskały się na pożegnanie, szybko, lecz z głębokim uczuciem.

- Jedź z Bogiem, kochana Sarah. Życzę wam z Tomem wiele szczęścia i radości.

- Wiem, że i ty go kochasz, Caroline.

- To prawda, lecz teraz jest twój. Bądź dobra dla niego.

- Ucałuj ode mnie Christophera.

- Będziemy tęsknić za tobą, ale już jedź! Pośpiesz się! - Caroline zrobiła z dłoni siodełko i pomogła jej dosiąść konia. - Do widzenia, siostrzyczko! - zawołała jeszcze, gdy Sarah, zawróciwszy klacz, pogalopowała przez trawnik do bramy.

Assam zobaczył, jak nadjeżdża, i krzyknął do wartowników, żeby zamknęli bramę. Było już jednak za późno. Dziewczyna przemknęła obok niego i musiał uskoczyć, żeby nie zostać stratowanym. Wypadła za bramę i skierowała wierzchowca na drogę biegnącą przez palmowy gaj do ruin klasztoru.

- Błagam, zaczekaj na mnie, Tom - szeptała, popędzając klacz. Wiatr porrywał jej słowa i rozwiewał długie włosy niczym bojową banderę. - Zaczekaj na mnie, ukochany, już jadę.

Zmusiła konia do najwyższego wysiłku. Pnie drzew śmigały

605

obok, zlewając się w niewyraźną smugę. Przy klasztornej bramie osadziła konia ostro w miejscu z pełnego galopu. Klacz wierzgnęła i podrzuciła głową, nienawykła do takiego traktowania.

- Tom! - krzyknęła Sarah.

Odpowiedziało jej tylko echo, odbite od starych murów.

- Poszedł sobie - szepnęła.

Nie schodząc z konia, który stapał w miejscu i wiercił się nerwowo, pochyliła się w siodle i przyjrzała ziemi. Spostrzegła ślady butów Toma, biegnące od plaży, i zdeptany kawałek gruntu pod bramą, gdzie chodził w tę i z powrotem, czekając na nią. Drugi trop prowadził z powrotem ku wybrzeżu.

- Tom! - zawołała z rozpaczą., kierując konia wąską ścieżką wśród zarośli.

Pędziła wzdłuż strumienia, nie zważając na smagające ją po nogach gałązki, aż wreszcie wypadła na plażę i ujrzała przed sobą przejrzyste wody laguny.

Na piasku dostrzegła ślad kilku feluki, a spojrzawszy ku morzu, zobaczyła malejącą w oddali łódź. Była już blisko przesmyku w rafach, jakieś pół mili od brzegu. Tom stał na rufie, odpychając felukę od mielizny długim bambusowym drągiem.

- Tom! - zawołała co sił w płucach, wymachując rękami. - Tom!
Wiatr igrający wśród palm i przybój na skałach stłumiły jednak jej okrzyki. Feluka oddalała się uparcie, a Tom nie patrzył w stronę plaży. Sarah skierowała konia do wody. Klacz początkowo się wzbraniała. Była jednak zwierzęciem dziarskim i odważnym, i w końcu zaczęła brnąć przez fale, przeskakując zagłębienia dna, aż woda sięgnęła jej do kłębów. Buty i suknie dziewczyny zamokły. Zrozumiała, że nie dogoni sunącej szybko feluki.
- Tom! - krzyknęła w udręce, a potem wyrwała z pasa pistolet i wystrzeliła w powietrze. Huk wystrzału na tle bezmiar morza i wiatru zabrzmiał jak ciche pyknięcie. - Nie słyszysz! - zawołała z rozpaczą.
Po trwającej wieczność sekundzie daleka postać w łodzi poruszyła się jednak. Tom spojrzał w stronę brzegu.

- Dzięki ci Boże - niemal rozplakała się z ulgi. Młodzieniec wprawnym ruchem drąga odwrócił felukę i pchnął ją ku plaży.

- Gdzieś ty była? Co się stało? - zawołał, znalazłszy się w zasięgu głosu.

606

- Guy się dowiedział o tobie i Williamie! - odkrzyknęła. - Pojechał do sułtana po posiłki. Chce cię aresztować i zabrać statek!

Twarz mu stężała. W milczeniu doprowadził łódź do boku klaczy. Odłożył drąg, chwycił dziewczynę w talii, zdjął ją z siodła i postawił na pokładzie.

- Moja sakwa! - zreflektowała się.

Tom wyrwał nóż z pochwy u pasa i przeciąwszy troki worka, wciągnął go do feluki. Klepnął klacz po zadzie i zawróciła do plaży. Wziął do ręki drąg i skierował dziób łodzi z powrotem ku przesmykowi.

- Jak dawno temu Guy pojechał do fortu? - zapytał. - Ile czasu nam zostało?

- Niewiele. Wyjechał z konsulatu jakieś dwie godziny temu.

- Trzymaj fał - polecił jej zasępiony. - Musimy zaryzykować przejście między rafami na żaglu.

Łaciński żagiel trzepotał chwilę w podmuchach monsunu, a potem wydał się mocno. Feluka szarpnęła do przodu, sunąc ku przerwie między koralowymi zębiskami.

Przemknęła chyżo przesmykiem i kiedy tylko woda pod jej kilem zblękitniała, Tom skierował ją ku wejściu do portu, gdzie stał na kotwicy Swallow.

- Opowiedz mi wszystko - poprosił. Sarah stanęła przy nim, obejmując go w pasie.

- Skąd się Guy dowiedział?

- Statek przywiózł listy...

- Apostle. Powinienem być się tego domyślić - powiedział, wysłuchawszy jednak z uwagą jej szczegółowej relacji. Kiedy skończyła, mruknął: - Łaska boska, że zdążyliśmy. - Spojrzał w stronę portu, który wyłaniał się już przed nimi zza koralowych skał. Swallow spokojnie stał na swoim miejscu. - Dzięki ci, Panie. Jeszcze go nie dopadli! - zawołał rozgorączkowany. Wtem ujrzał flotyllę kilku barkasów, które oderwały się właśnie od kamiennego nabrzeża u stóp fortu, sunąc jeden za drugim w kierunku korwety. Tom osłonił oczy i przyjrzał się prowadzącej łodzi, odległej od nich o jakąś milę. Na dziobie stała znajoma, wysoka szczupła postać w kapeluszu z piórami. - Zawzięty jak pies myśliwski na tropie lisa jest ten mój braciszek - mruknął.

Barkas zanurzył się mocno pod ciężarem stłoczonych na nim zbrojnych mężczyzn. Pozostałe łodzie wyglądały tak samo.

607

- Ma ze sobą co najmniej setkę zbirów sułtana - obliczył Tom. - Woli nie ryzykować.

Spojrzał na żagiel feluki, szacując siłę i kierunek wiatru. Żeglował małą łodzią już dość długo, by poznać wszystkie jej atuty i słabości; wiedział, jak wycisnąć z niej pełną moc.

- Wyostrz trochę - rzucił do Sarah. Dziewczyna przyskoczyła do boku. Feluka reagowała przyjaźnie na jej dotyk i teraz też wierzgnęła do przodu.

- Zdążymy, ale ledwie, ledwie - ocenił Tom, porównując szybkość i kurs łodzi Guya i swojej.

Uciekinierom sprzyjał wiatr, szli baksztagiem, ścigający zaś ostrym bejdewindem, niemal na wiatr, z zanurzonym ponad miarę kadłubem. Tom nie sądził, by przeciążony barkas zdołał dotrzeć do Swallowa pojedynczym halssem. Z drugiej strony feluka musiała przejść przed dziobem wrogiej łodzi.

- Przejdziemy w odległości strzału z muszkietu - powiedział do dziewczyny, mrużąc oczy, by oszacować krzyżujące się kursy. - Poukładaj te sieci i skrzynki przy sterburcie i połącz się za nimi - polecił.

- A ty? - spytała z niepokojem.

- Nie mówiłem ci? Mnie się kule nie imają - zaśmiał się krótko. - Poza tym Arabowie to kiepscy strzelcy.

Gdyby tak bardzo go nie kochała, być może ta demonstracja pogardy dla niebezpieczeństwa zrobiłaby na niej większe wrażenie.

- Moje miejsce jest u twego boku - oznajmiła stanowczo, starając się także wykazać odwagę.

- Twoje miejsce jest tam, gdzie ci mówię. - Rysy mu stwardniały, oko błysnęło groźnie. - Kładź się, kobieto.

Nie widziała go takim nigdy przedtem i zupełnie ją to zbiło z tropu. Zanim się obejrzała, już posłusznie wypełniła polecenie, kładąc się płasko na dnie łodzi, za stosem sieci i cuchnących rybami skrzynek. Dopiero wtedy zaczęła zbierać myśli i odyskiwać ducha niezależności.

Nie pozwolę, żeby jego tak łatwo było na wierzchu, przyrzekła sobie. Nagle jej dywagacje przerwał daleki odgłos wystrzału. Gwardziści sułtana na pierwszym barkasie zauważyli wreszcie maleńką felukę, sunącą przeciwnym kursem. Arabska łódź przechyliła się niebezpiecznie, gdyż jej pasażerowie zaczęli przepychać się do burty, by lepiej widzieć. Pokrzykiwali i ges-

608

tykulowali podnieceni, potrząsając muszkietami i odwodząc ich kurki.

- Zatrzymać się! - Głos Guya niósł się słabo pod wiatr, lecz podpłynęli już na tyle blisko, że widać było jego wykrzywioną wściekłością twarz. - Stój natychmiast, Tomie Courtneyu, albo rozkażę moim ludziom strzelać!

Tom przyjął jego słowa śmiechem. Pomachał mu ręką i zawołał:

- Wysikaj się pod wiatr, drogi braciszku, i niech ci pryśnie w gębę!

Dzieliło ich niecałe sto jardów, odległość strzału z pistoletu. Guy krzyknął coś do Arabów i wskazał im felukę obnażoną szpadą. Wszyscy wycelowali. Mimo właściwej sobie brawury, spoglądając w równą linię wymierzonych w siebie luf, Tom poczuł skurcz lęku.

- Ognia! - dał rozkaz Guy, opuszczając szpadę.

Rozległ się huk. Gęsty obłok białego dymu przesłonił na chwilę wroga łódź.

Powietrze wokół Toma wypełniło się świstem pocisków. Kule wzbijały fontanny wody wokół feluki i uderzały w jej poszycie, odłupując białe drzazgi.

Poczuł, że coś szarpnęło go za rękaw. Zobaczył rozerwany materiał koszuli i cienką strużkę krwi z płytkiej rany na bicepsie.

- Nic ci nie jest, Tom? - zawołała niespokojnie Sarah ze swej kryjówki na dnie. Roześmiał się beztrąsko i odwrócił nieco, żeby nie spostrzegła zakrwawionej ręki.

- Mówiłem ci, że to niedołęgi. - Zdjął z głowy kapelusz i pomachał nim Guyowi w kpiącym salucie. Przy tym ruchu jednak kilka kropel krwi przysnęło na pokład.

Ujrzawszy je, Sarah pobladła jak kreda. Zerwała się na równe nogi i przyskoczyła do niego. - Wracaj na miejsce! - krzyknęła. - To są prawdziwe kule. Chcesz zginąć?!

Dziewczyna zignorowała go. Stała wyprostowana dokładnie na linii strzału z barkasu, zasłaniając ukochanego własnym ciałem. Ściągnęła z głowy chustę i jej długie włosy rozwinęły się na wietrze niczym bandera.

- Strzelaj! - wrzasnęła ku arabskiej łodzi. - Zastrzel mnie, jeżeli się odważysz, Guyu Courtneyu!

Z tej odległości widać było wyraźnie malującą się na jego twarzy konsternację i złość.

609

- Odsuń się, Sarah! - ryknął. - Bo sama będziesz sobie winna!

Tom próbował ją odepchnąć, lecz objęła go obiema rękami za szyję, nie pozwalając na to. Z pałającą twarzą wpatrywała się w barkas.

- Jeżeli chcesz go zabić, musisz wpierw zabić mnie! - krzyknęła z furia.

Gniew na twarzy Guya ustąpił w końcu miejsca niepewności. Obejrzał się na swoich ludzi. Arabscy muszkietierzy przeładowywali gorączkowo broń. Tom widział, jak ich wyciory poruszają się w górę i w dół w długich lufach. Nawet dobry strzelec

potrzebował na przeładowanie dwóch minut. Zanim przygotowali się do kolejnej salwy, feluka znalazła się naprzeciw dziobu ich łodzi, w najbliższej możliwej odległości.

Najwprawniejsi z Arabów skończyli ładowanie. Czterech odbezpieczyło broń i uniosło do ramienia, celując z długich luf w parę stojącą na rufie feluki. Guy wciąż się wahał, po chwili jednak zacięty wyraz jego twarzy złagodniał nieco. Szybkim ruchem szpady pchnął w dół muszkiet najbliższego Araba.

- Nie strzelać! - ryknął. - Bo zabijecie kobietę!

Jeden ze strzelców zlekceważył rozkaz i nacisnął cyngiel. Jego muszkiet bluznął językiem ognia. Kula utkwiała w rumplu feluki, tuż obok dłoni Toma.

- Stać! - ryknął Guy z furją, tnąc krnąbrnego strzelca szpadą przez przegub. Trysnęła krew; mężczyzna chwycił się za nadgarstek i zatoczył do tyłu, porzucając broń.

- Stać! - krzyknął Guy ponownie. Jego ludzie, ociągając się jeszcze, jeden po drugim opuszczali lufy muszkietów. Feluka zrobiła zwrot i oddalała się od barkasu w kierunku Swallowa. - Jeszcze nie twoje na wierzchu, Tomie Courtneyu! - zawołał Guy. - Od dziś wszyscy będą cię ścigać jak wściekłego psa! Pewnego dnia zapłacisz mi za wszystko! Przysięgam to przed Bogiem!

Tom nie odpowiedział na gniewne okrzyki brata. Patrzył przed siebie. Swallow stał na kotwicy ledwie kabel przed nimi. Strzelanina zaalarmowała już załogę. Majtkowie wyroili się na pokład i wspinali na reje. Ned Tyler, nie czekając na rozkaz, przygotowywał statek do odpłynięcia.

Sarah objęła Toma w pasie, patrząc na stado zostających w tyle arabskich łodzi.

>"

610

- Ależ to było podniecające - oznajmiła z roziskrzonymi oczami.

- Ani mi się waż być taka zadowolona z siebie, ty małe ładaco - przytulił ją czule. - Nie wykonałaś mojego wyraźnego rozkazu.

- Lepiej przywyknij do tego, mój panie - zachichotała. - Któregoś dnia może się to powtórzyć. - Spowaźniawszy, odcięła nożem rozerwany rękaw jego koszuli i obwiązała nim ramię, by powstrzymać krwawienie. Dopłynęli niemal pod burtę Swallowa.

- Zostaw to i przygotuj się. Będziesz musiała przeskoczyć - polecił.

Na pokładzie dziobowym korwety terkotał już kabestan. Ned Tyler podnosił kotwicę. Gdy jej pazury wydobyły się z mulistego dna, statek zaczął ustawiać się rufą do wiatru. Sarah podkasała spódnicę, wtykając je sobie za pas. Z obnażonymi nogami przykucnęła przy relingu feluki.

Tom ujrzał Abolego, który wychylił się przez burtę korwety. Gdy oba kadłuby się zetknęły, Murzyn zeskoczył do łodzi niczym ogromna pantera, zaczajona na swą ofiarę na gałęzi drzewa. Wylądował obok Sarah i pochwyił ją w ramiona. Wydała pisk sprzeciwu, lecz olbrzym, nie zatrzymując się ani na moment, złapał sznurową drabinkę i wniósł po niej dziewczynę na pokład.

Tom złapał skórzaną sakwę Sarah i przeskoczywszy wąski pas wody, dzielący oba kadłuby, wspiał się na górę za Murzynem. Kiedy przekładał nogę przez reling, od steru zasalutował mu Ned Tyler.

- Witamy na pokładzie, kapitanie.

- Dziękuję, panie Tyler. Nie widzę powodu, byśmy mitrężyli tu choćby chwilę dłużej. Bejdewindem, jeśli łaska.

Położył sakwę na pokładzie i przeszedł na rufę. Swallow wykonał zwrot. Barkas Guya płynął dwieście jardów za nimi, lecz korweta oddalała się tak szybko, że wydawał się stać w miejscu.

Młodszy z bliźniaków stał bez ruchu, opuściwszy wzdłuż boku obnażoną szpadę, przygarbiony, z twarzą wykrzywioną rozpaczą i nienawiścią. Jego ludzie, ujrawszy Toma na rufie korwety, nie mogli się powstrzymać i otworzyli wściekły ogień z muszkietów. Guy nawet nie zwrócił na nich uwagi, wpatrując się nieruchomo w brata.

611

U boku Toma stanęła Sarah. Trzymając się za ręce, spoglądali na malejącą sylwetkę na dziobie barkasu. W końcu zniknęła im z oczu. Swallow wyszedł z zatoki i wkrótce Zanzibar został daleko za nimi.

Donan Courtney skończył się modlić do Boga swoich przodków i wstał z klęczek. Podszedł do skraju urwiska i podniósł z ziemi kamyk, który przyciągnął jego uwagę. Zwilżył go językiem i przyjrzał mu się w słońcu. Był to różowy agat poznaczony błękitnymi żyłkami i ozdobiony diamentowej czystości kryształkami, wyjątkowo piękny.

Wychylił się nad przepaścią i wypuścił kamyk z dłoni, patrząc, jak spada pięćset stóp w dół stromego klifu. Zmalał i zniknął mu z oczu, nim jeszcze zdążył wpaść do morza. Utonął, nie pozostawiając nawet zmarszczki na powierzchni wody, żadnego znaku, że coś tak pięknego kiedykolwiek istniało. Nagle, po raz pierwszy od z górą siedmiu lat, Dorian pomyślał o małej Jasmini, która zniknęła z jego życia w taki sam sposób.

Wiatr targał jego długą szatą, lecz młodzieniec stał na rozstawionych pewnie nogach, nie czując lęku przed otwierającą się w dole otchłania. Po jego prawej posępna czerwona skała górująca nad oceanem przecinała głęboka dolina.

Rosły w niej palmy, uczezione niepewnie piaszczystego brzegu, między którymi bieleły dachy i kopuły wioski Szahr. Ludzie Doriana obozowali wśród kolczastych akacji w głębi wąwozu. Dymy z ich ognisk wznosiły się spiralnie aż do wierzchołka klifu, gdzie porywał je wiatr, unosząc ku niegościnnym wzgórzom i wydmom pustyni.

Dorian osłonił dłonią oczy i spojrział ku morzu. Statki się przybliżały. Cztery majestatyczne dhow o wysokich rufach i potężnych żaglach; flotylla księcia Abd Muhammada al--Malika. Pojawiły się już o świcie, lecz zmuszone były zмагаć się z przeciwnym wiatrem, halsując w nieskończoność. Dorian przymrużył oczy, szacując dystans, i stwierdził, że wpłyną do zatoki i zakotwiczą w płytkich wodach dopiero za kilka godzin.

Czekał na to z niecierpliwością i niepokojem. Bardzo dawno już nie widział księcia, swego przybranego ojca. Odwrócił się i ruszył z powrotem ścieżką prowadzącą do starego grobowca.

612

Budowla wznosiła się na grzbiecie skalistego urwiska; jej kopuła wyblakła od pustynnego słońca, padającego na nią od stu lat.

Al-Allama modlił się jeszcze, razem z szejkami Saarów. Modlitewne dywany rozłożyli w cieniu grobowca, zwróceni ku świętemu miastu, leżącemu setki mil na północ za tą spieczoną gorącym ziemią. Dorian zwolnił kroku, nie chcąc się zjawić przed końcem modłów.

Saarowie nie wiedzieli, że nie wyznaje islamu. Zgodnie z poleceniem księcia nie wyjawiał im tego przez cały czas swego wśród nich pobytu. Wiedział, że nie przyjęliby go z taką ochotą, gdyby poznali prawdę. Sądził, że wiąże go przysięga nakazująca modły w samotności zamiast z całą wspólnotą wiernych. W porze modlitwy opuszczał ich i wychodził poza wioskę.

Istotnie modlił się sam, do Boga swych rodaków. Klęczał w pustynnej głuszy i coraz trudniej przychodziło mu wypowiedanie słów modlitwy, coraz słabsze stawało się jego oddanie. Opanowywało go powoli dziwne przeświadczenie, że jego Bóg go opuścił. W głowie miał zamęt, a w sercu duchową pustkę.

Przystanął na wzniesieniu i przyjrzał się mężczyznom bijącym pokłony w cieniu meczetu. Nie po raz pierwszy pozazdrościł im niewzruszonej wiary.

Odczekał, aż modły dobiegną końca i Saarowie się rozejdą. Większość dosiadła wierzchowców i odjechała stromą ścieżką do wioski. Przy grobowcu zostało tylko dwóch.

W spląchetku cienia rzucanego przez dwa wielbłądy siedział Batula, giermek Doriana, jak zawsze nieporuszony i cierpliwy. U siodła wielbłąda młodego Anglika wisiała tarcza z brązu, a ze skózanego pokrowca sterczała pionowo jego lanca, ze lśniącym w słońcu ostrzem i powiewającym na wietrze zielonym proporcem. Długi muskiet spoczywał w podobnym pokrowcu. Był to kompletny ekwipunek pustynnego wojownika.

Al-Allama także na niego czekał, siedząc w miejscu osłoniętym od wiatru. Dorian ruszył w jego stronę. W brodzie duchownego pokazały się już pierwsze pasemka siwizny; twarz jednak wciąż miał gładką. Mimo miesięcy spędzonych w siodle i skromnego odżywiania się jego sylwetka wciąż była korpulentna. Mułła przechylił na bok głowę i obserwował spod oka zbliżającego się al-Salila, Nagi Miecz.

Al-Salil był młodzieńcem wysokim, o szczupłym twardym ciele, wysmaganym wiatrami pustym. Szedł długim, kołyszącym

613

się krokiem, podobnym do chodu wielbłąda. Otaczała go aura władczości i autorytetu. Przejawiała się w ustawieniu ramion i sposobie, w jaki trzymał głowę.

- Pasuje do niego to imię - mruknął do siebie al-Allama.

Młodzieniec stanął przed nim i mułła zaprosił go gestem, by usiadł. Dorian zajął miejsce obok niego na nagiej skale, podwijając pod siebie nogi, we właściwej Saarom swobodnej pozie, kładąc w poprzek kolan zakrzywioną broń w skórzanej, okutej srebrem pochwie. Widoczne były tylko jego oczy; resztę twarzy skrywała keffija, której końce związał tak, by osłaniały od pyłu nos i usta. Oczy, zielone i bystre, patrzyły przenikliwie. Pomimo pustynnego pyłu i jaskrawego światła nie nabiegły krwią. Dorian rozwiązał chustę i zwrócił się z uśmiechem do mułły.

- Dobrze, że już wróciłeś, święty ojczy. Kiedy się nie mam z kim spierać, robi mi się nudno.

- Nudno? - Al-Allama powstrzymał uśmiech. - Dowiedziałem się od szejków czegoś zupełnie innego. Na twojej lancy skończyło żywot szesnastu wrogów!

Dorian pogładził brodę. Kędzierzawa i lśniąca jak kuta miedź, zaszeleściła pod jego dotykiem w suchym pustynnym powietrzu.

- Turcy to łatwy łup - próbował umniejszyć swe zasługi, wciąż uśmiechnięty. Jest tak samo ujmujący jak wówczas, gdy pierwszy raz spotkałem go na Dar al-Szajtan, jeszcze jako dziecko, pomyślał al-Allama. Studiując twarz Dorian, widział wysokie czoło myśliciela, z którym kontrastowała twarda linia ust i szczęki, znamionująca wojownika i przywódcę.

- Dlaczego przyprowadziłeś mnie właśnie tutaj, świątobliwy ojczy? - zapytał młodzieniec, patrząc w twarz mułły. - Wiem, że nie robisz niczego bez powodu. Al-Allama uśmiechnął się łagodnie i odpowiedział pytaniem:

- Czy wiesz, czyj to grobowiec?

Dorian spojrzał na spłowiałą kopułę i nadgryzione zębem czasu mury.

- Jakiegoś świętego - odparł, wzruszając ramionami. Widział już wiele takich grobów. Niektóre strzegły rozrzuconych po interiorze oaz, inne stały na urwistych wybrzeżach południowej Arabii.

- Tak - skinął głową mułła. - Zaiste, świętego.

- Nie mogę odczytać jego imienia - powiedział Dorian.

614

Większość inskrypcji starły ze ścian budowli wiatry siekące piaskiem. Było ich wiele, częściowo rozpoznawał cytaty z Koranu, część była mu nieznaną. Być może były to słowa samego zmarłego.

Al-Allama wstał i zaczął okrażać grobowiec, zatrzymując się przy tych napisach, które jeszcze dawały się odczytać. Dorian po chwili podniósł się także i dołączył do niego.

- Są tutaj słowa człowieka, który spoczywa w tym grobie - rzekł mułła, wskazując wysoko na ścianę. - Może cię one zainteresują.

Dorian z trudnością odczytywał kolejne wyrazy:

- Sierota, który wyjdzie z morza... - przeczytał na głos, mułła zaś pokiwał zachęcająco głową. - W Koronie Proroka i z jego językiem w ustach... - przerwał.

- Dalej nie widzę, napis jest zbyt wytarty.

- W Koronie Proroka i z jego językiem w ustach, lecz z mrokiem w sercu - pomógł mu al-Allama. Dorian przysunął się do ściany, wyęzając wzrok.

- A kiedy światło spłynie do serca niewiernego, złączy on rozdzielone piaski pustyni, a jego ojciec, mąż sprawiedliwy i bogobojny, dosiadzie grzbietu słonia. Młodzieniec cofnął się o krok i spojrzał na mułłę.

- Co to? - zapytał. - To nie z Koranu. Brzmi bardzo poetycko, ale nie rozumiem sensu. Co to znaczy Korona i język Proroka? Jak może sierota mieć ojca? I co to za "grzbiet słonia"?

- Koronę Proroka stanowiły jego czerwone włosy, a jego język to oczywiście święta mowa arabska - wyjaśnił al-Allama. - W pałacu kalifa w Maskacie stoi tron Omanu, wyrzeźbiony z potężnych kłów słoniowych. Resztę proroctwa powinienś już

sam zrozumieć. Nawet tak tępy uczeń jak al-Salil, jeżeli się przyłoży, może rozwiązać zagadkę świętego Taim-taima.

- Taimtaima! - zakrzyknął Dorian. - A więc to jego grób? - Utkwił spojrzenie w zatartym napisie i nagle imię świętego wyłoniło się z tekstu niczym niewyraźna postać z ciemnej mgły. - Więc to jest ta przepowiednia! Słowa, które ukształtowały moje życie...

Przejął go zabobonny niemal lęk, zmieszany jednak z gniewem i niechęcią. Tak wiele mu odebrano, tyle musiał przecierpieć z powodu tych paru mistycznych słów, wypisanych tu tak dawno temu i ledwie dziś czytelnych. Miał ochotę

s

l

615

sprzeciwić się im, zaprotestować i odrzucić nieubłagane przeznaczenie, lecz był już sam. Al-Allama schodził ścieżką do wioski. Zostawił go na tym pustkowiu, żeby stanął twarzą w twarz z wyrokiem losu.

Dorian pozostał przy grobowcu przez wiele godzin. Czasem okrażał go zagniewany, próbując odczytać inne napisy i dowiedzieć się czegoś więcej. Czytał je na głos, wsłuchany raczej w brzmienie niż sens, usiłując wydobyć ukryte w treści znaczenia. Czasem przykucał, studiując jakieś zdanie lub pojedynczy wyraz, po czym znów zrywał się na nogi i wracał do słów Taimtaima.

- Jeżeli to istotnie ja jestem tym sierotą z twojej przepowiedni, to pomyliłeś się, czcigodny starcze - mruknął do siebie. - Twoje proroctwo się nie spełni. Jestem chrześcijaninem i nigdy, przenigdy nie nawrócę się na islam - rzucił wyzwanie świętemu.

- Panie! - przerwał w końcu jego rozmyślania okrzyk Batuli. Giermek pokazywał na morze. - Statki wpływają do zatoki!

Batula prowadził już wielbłądy ku wylotowi ścieżki. Dorian puścił się biegiem i dogonił go bez trudu.

- Ibrisam! Jedwabny Wiatr! - zawołał do swego wierzchowca, zrównawszy się z nim. Na dźwięk jego głosu zwierzę odwróciło głowę. Spojrzało nań wielkimi, ciemnymi oczami, okolonymi podwójną frędzlą gęstych rzęs i parsknęło cicho, witając go miłośnie. Była to szlachetna, wysoka klacz rasy Szerari. Młodzieniec bez wysiłku, jednym rzutem ciała wskoczył na siodło, zawieszane siedem stóp nad ziemią. Końcem długiej szpicruty klepnął lekko zwierzę po szyi i poprawił się w siodle. Wyściełane najdelikatniejszą skórą, ozdobione było bogatym rzędem z różnokolorowymi chwościami i pasami. W siatki do przewożenia bagażu wplecione były srebrne gwiazdki.

Ibrisam zareagowała posłusznie na jego dotyk, ruszając eleganckim, nieuciążliwym dla jeźdźca klusem. Potrafiła tak nieść ukochanego pana, przemierzając dziesięć mil w ciągu godziny, przez osiemnaście godzin bez odpoczynku - od jeziora Wadi Taub, poprzez budzący grozę płaskowyż Mudhail, upstrzony kośćmi zaginionych karawan, aż do słonawych wód oazy Ma Szadid.

Wielbłądzica kochała Doriana jak wierny pies. Po cało-

616

dniowej podróży przez pustynię nie zasypiała, dopóki nie położył się przy niej. Nawet bardzo głodna czy spragniona potrafiła przerwać popas, by podejść do swego pana i trącając go pyskiem, dopominać się o pieśczoły i czułe słówka.

Kiedy znaleźli się w dolinie, w całym obozowisku panowało zamieszanie i zgiełk. Ryki wielbłądów mieszały się ze strzałami i okrzykami wiwatujących mężczyzn.

Wszyscy pędzili przez palmowy las w stronę plaży. Ibrisam zniosła Doriana na czoło tej zwariowanej procesji i przez złocistą plażę nad samo morze.

Dorian powitał księcia al-Malika jako pierwszy. Z odsłoniętą twarzą przypadł do kolan władcy i ucałował skraj jego szaty.

- Oby twój każdy dzień opromieniała chwała, panie. Nazbyt już długo moje oczy tęskniły za widokiem twego oblicza. Książę podniósł go z klęczek i przyjrzał mu się uważnie.

- Al-Salil! Nie poznałbym cię wcale, synu, gdyby nie kolor twych włosów! - Przygarnął młodzieńca do piersi. - Zaiste doniesienia, jakie otrzymywałem na twój temat, były prawdziwe. Naprawdę stałeś się mężczyzną.

Następnie al-Malik powitał tłoczących się wokół niego szejków ludu Saarów, obejmując każdego z osobna. Potem w triumfalnym orszaku ruszył w głąb doliny.

Pustynni wojownicy rozpościerali przed nim na ziemi palmowe liście, błogosławili go, całowali skraj szaty i strzelali na wiwat z muszkietów.

W cieniu drzew, w pobliżu obozowej studni, stał wielki skórzany namiot, zdolny pomieścić stu ludzi. Jego boki podniesiono, by wpuścić świeżą wieczorną bryzę, a ziemię wewnątrz pokryto dywanami i poduszkami.

Książę zajął miejsce pośrodku, szejkwowie natomiast zasiedli wokół niego. Niewolnicy przynieśli im dzbany świeżej wody do umycia dłoni. Po ablucjach wniesiono brązowe tace z jedzeniem. Piętrzyły się na nich góry żółtego ryżu, ociekającego stopionym wielbłądzim masłem, i pachnących przyprawami baranich szaszłyków.

Al-Malik nabierał trochę z każdego dania, smakując część samemu, a reszta częstując otaczających go mężczyzn. Czynił te honory jako oznakę swej łaski, zaprawieni zaś w walce wojownicy, którzy nie potrafili zliczyć bitewnych blizn na twarzach i ciałach, traktowali go z respektem i miłością, jak dzieci drogiego sercu ojca.

Kiedy się już najedli, książę kazał zanieść wciąż pełne półmiski

617

z namiotu do szeregowych żołnierzy, żeby i oni wzięli udział w uczcie.

Czerwone słońce skryło się za wzgórzami i na ciemniejącym pustynnym niebie zapaliły się gwiazdy. Mężczyźni znów obmyli ręce, a niewolnicy zapalili dla nich nargile.

Ściany namiotu opuszczono. Szejkwowie przysiedli się bliżej księcia. Podawali sobie kolejno kościane ustniki fajek, wydmuchując kłęby dymu z tureckiego tytoniu, wirujące w żółtym świetle lamp oliwnych. Potem zaczęli rozmowę.

- Porta Otomańska wysłała do Maskatu piętnastotysięczną armię - rzekł pierwszy z mówców. - Kalif Jaąub otworzył przed nią bramy miasta.

Wysoka Porta stanowiła najwyższą władzę imperium osmańskiego z siedzibą w dalekim Stambule. Starszy brat al-Malika, Al-Uzar Ibn Jaąub, słaby i rozwiązły kalif Omanu, skapitulował przed Turkami bez walki. Sam Allah tylko wiedział, jakimi łapówkami i obietnicami skłonili go do tego, lecz wpuścił armię okupanta do stolicy, na skutek czego zagrożona została wolność i niepodległość wszystkich plemion pustyni.

- To zdrajca, Allah świadkiem! Sprzedał nas w niewolę - oświadczył inny z szejków.

Pozostali potwierdzili jego słowa groźnymi pomrukami, niczym stado lwów.

Spojrzelili wyczekująco na księcia.

- Jest moim bratem i kalifem - rzekł al-Malik. - Jestem związany z nim przysięgą.

- Na Boga, Jaąub już nie jest władcą Omanu! - zawołał jeden z Saarów. - Stał się marionetką w rękach Porty.

- Uczynił pederastów z setek chłopców, a teraz sam jest turecką kurwą - przyklasnął mu inny. - Jego zdradzieckie postęпки zwolniły nas i ciebie, książę, z przysięgi lojalności.

- Poprowadź nas, potężny książę - dorzucił następny. - Poprowadź nas do wrót Maskatu, a pomożemy ci wypędzić Turków i osadzimy cię na Słoniowym Tronie Omanu. Przemawiali kolejno, a każdy powtarzał podobne słowa.

- Poprosiliśmy, byś do nas przybył, teraz błagamy, żebyś nas poprowadził.

- My, Saarowie, przysięgamy ci wierność i posłuszeństwo. Możemy zebrać tysiąc lanc u twego boku.

- A co z innymi plemionami? - zapytał książę, nie chcąc

618

pochopnie podejmować ryzykownej decyzji. - Z Awamirami i Bait Imani? Z Bait Kathirami i Harasisami?

- My Saarowie nie możemy przemawiać w ich imieniu - odrzekli. - Jest między nimi i nami wiele krwawych waśni. Jednakże szejkwowie innych plemion oczekują cię w głębi piasków pustyni. Udaj się do nich, a z pomocą Boga wzniosą swe lance i ruszą z nami na Maskat.

- Podejmij decyzję, panie. Powiedz nam, co postanowiłeś, złożymy ci przysięgę lojalności.

- Poprowadzę was - rzekł książę po prostu, spokojnym, lecz zdecydowanym tonem.

Brunatne twarze rozjaśniła radość. Jeden po drugim szejkowie klękali przed nim i przypadali do jego stóp. Al-Malik wyciągnął z pochwy zakrzywiony sztylet, a oni całowali nagą stal. Potem ujęli go za ręce i poprowadzili do czekających w świetle ognisk wojowników.

- Oto nowy kalif Omanu - oznajmili swoim ludziom.

Wszyscy wznieśli okrzyk, przysięgając księciu posłuszeństwo i potwierdzając to strzałami z muszkietów. Odezwały się wojenne bębny; ich niesamowity odgłos odbijał się echem od skalistych ścian wąwozu.

Wśród radosnego zgiełku Dorian przypadł do swego przybranego ojca i uściskał go.

- Ja i moi ludzie jesteśmy gotowi eskortować cię do oazy Muhaid, gdzie oczekują szejkowie Awamirów - rzekł.

- A więc jedźmy, mój synu - odparł książę. Dorian puścił go i poszedł przez obozowisko, wołając:

- Siodłać wielbłądy! Wyruszamy!

Arabowie pobiegli do swych zwierząt, wykrzykując ich imiona. Wkrótce w całej dolinie znów zapanował zgiełk. Na porykujące wielbłądy ładowano w pośpiechu skórzane bukłaki z wodą, zwijano i pakowano namioty.

Nim wszedł księżyc, kolumna jeźdźców siedzących z osłoniętymi twarzami na wysokich wierzchowcach stanęła w nocnym chłodzie gotowa do drogi. Książę dosiadał kremowożółtej klaczy. Kiedy się usadowił w siodle, Dorian kazał jej wstać. Zwierzę stęknęło i dźwignęło się z klęczek. Al-Malik siedział na wielbłądzie swobodnie; był dzieckiem pustyni i wojownikiem niemal od urodzenia. W pierwszych promieniach wschodzącego księżyca prezentował się godnie i szlachetnie.

619

1

Dorian wysłał dwudziestu ludzi jako straż przednią; tyłuż zostało za kolumną, żeby strzec tyłów. Sam jechał obok księcia. Kolumna ruszyła doliną w stronę pustyni.

Jechali szybko; ręce wielbłądy prócz bukłaków z wodą nie niosły wielu ciężarów. Wznoszącym się wąwozem dotarli do skraju pustyni. Leżała przed nimi, nieruchoma i niezmierną, z rozciągającymi się na północy ciemnopurpurowymi wzgórzami i srebrzącymi się wydmi.

Ponad wijącym się węzem ludzi i wierzchowców wisiało rozgwieżdżone niebo, niczym pole dzikich stokrotek po deszczu. Odgłosy szerokich wielbłądzich kopyt tłumiły miękkie piaski. Słysząc było jedynie skrzyp uprzęży i czasem wzdłuż kolumny niósł się od czoła pomruk:

- Uwaga, rozpadlina.

Dorian jechał rozluźniony, ukołysany rytmem kroków Ib-risam. Pod nim przesuwiał się mila za milą ponury pustynny trakt, a ciemne wzgórza wokół układały się w niesamowite kształty, tajemnicze i pełne cieni. Drogę oświetlały im gwiazdy i półksiężyc, znak islamu.

Patrzył w gwiazdziste niebo nie tylko dla odnajdywania kierunku w ciemnej głuszy. Przyciągały go, niczym magnes, odwieczne świetliste wzory i ich niepowstrzymany marsz przez niebo.

Dziwne, lecz w takich chwilach najmocniej przypominał sobie przeszłość, czasami niemal czując przy sobie obecność Toma. Ileż to nocy spędzili jako chłopcy na pokładzie Serapha, wpatrując się w firmament ze swojej grędy wysoko na maszcie. Aboli, Ned Tyler i Duży Daniel uczyli ich nazw konstelacji, niezbędnych do prowadzenia żeglugi. Powtarzał je teraz szeptem, pamiętając także o ich arabskich imionach: Al-Nilam, Al-Nitak, Mintaka, Saif...

Jadąc u boku człowieka, który stał się dlań drugim ojcem, w towarzystwie dowodzonych przez siebie, bezwzględnych jak jastrzębie żołnierzy, rozmyślał również nad prorocstwem, które odczytał tego dnia na ścianach starego grobowca świętego Taimtaima. Stopniowo przenikało go religijne niemal poczucie nieodwracalnego przeznaczenia, oczekującego nań pod tym pustynnym nieboskłonem. Zatrzymali się po północy, gdy wielki Skorpion zszedł nad skaliste wzgórze. Jeden z szejków podjechał do księcia. Chciał się pożegnać i jeszcze raz potwierdzić swoje śluby.

620

- Jadę dokonać zaciągu wśród moich ludzi - oznajmił. - Nim księżyc stanie w pełni, spotkam się z tobą, panie, przy studniach Ma Szadid. Przyprawdzą ze sobą pięćset lanc.

Odprowadzali go wzrokiem, aż zniknął wśród purpurowych cieni na wschodzie, po czym ruszyli przed siebie. Jeszcze dwukrotnie tej nocy kolejni szejkwowie odłączali od karawany i pobłogosławieni przez księcia, oddalali się galopem poprzez piaski, pozostawiając przyrzeczenie spotkania w Ma Szadid przy pełni księżyca.

Jechali dalej, aż natrafili na pole bujnej zahry, w miejscu gdzie klika miesięcy wcześniej lokalna burza nawodniła spła-chetek pustyni. Puścili wielbłądy na popas, a sami wzięli się do wycinania ziela, którego nazwa znaczyła "kwiat". Było najlepszą karmą dla ich zwierząt, wysoko cenioną przez wszystkie ludy pustyni. Załadowawszy pęki świeżej paszy na wierzchowce, ruszyli w dalszą drogę, nie zatrzymując się, dopóki świt nie zaróżowił wschodniego horyzontu.

Rozbiwszy obóz, oporzadzili wielbłądy i nakarmili je zapasem ziela. Potem na dymiących ogniskach z suszonego łąjna przyrządzili kawę i upiekli podpłomyki. Po posiłku ułożyli się do snu, zawinięci w fałdziste szaty, by przespać czas upału, który zamieniał skały w tańczące miraże. Dorian położył się w cieniu Ibrisam. Znajomy odgłos jej beknięć i mlaskania, gdy przeżuwała pokarm, działał nań niczym kołysanka. Spał spokojnie i obudził się dopiero przed wieczorem, gdy skwar zelżał.

Kiedy kolumna przebudziła się i przygotowała do dalszego marszu, Dorian posłał na zwiady niewielki patrol pod dowództwem Batuli, żeby przepatrzył drogę przed nimi. Sam dosiadł Ibrisam i pojechał zbadać spory odcinek już przebitego szlaku, chcąc się upewnić, że nikt ich nie śledził.

W tej surowej, niegościnniej krainie były to zwyczajowe środki ostrożności. Tutejsze plemiona ciągle ze sobą walczyły, najazdy w celu zdobycia kobiet i wielbłądów stanowiły codzienność, a nieustanna czujność stanowiła po prostu rdzeń egzystencji.

Droga za nimi była pusta. Zawrócił i puściwszy wielbłąda rozkołysanym klusem, wkrótce dogonił główną kolumnę. Po północy dotarli do gorzkich studni w Ghail Ya Yamin. Obozował już tutaj niewielki oddział Saarów, którzy wybiegli z namiotów i otoczywszy księcia al-Malika, wiwatowali na jego cześć, strzelając z radości w powietrze.

Rozłożyli się obozem w Ghail Ya Yamin na dwa dni. Tutejsza

621

woda miała mocno słonawy smak i ludzie mogli ją pić jedynie wymieszaną z wielbłądzim mlekiem. Wodę do picia dla wielbłądów wydobywali z głębokich rozpadlin, opuszczając się do nich ze skórzanymi bukłakami. Po długim marszu przez pustynię zwierzęta piły łapczywie. Ibrisam w ciągu kilku godzin pochłonęła dwadzieścia pięć galonów i jej garb wyraźnie się podniósł.

Od karawany odłączyli się ostatni szejkwowie, rozjeżdżając się po pustyni, żeby odszukać swoich ludzi. Książę al-Malik został jedynie z małym oddziałem Doriana, który miał go eskortować aż do Muhaidu, na spotkanie z Awamirami.

Dotarcie przez słoną równinę do wzgórz Szija zabrało im trzy dni. Płaska jak stół równina bielała, niczym pokryta śniegiem, nawet w nocy. Kopyta wielbłądów zostawiały na jej lśniącej powierzchni ciemny ślad. Trzeciego dnia rano ujrzeli w oddali błękitną linię wzgórz, sterczących ostro na tle wieczornego nieba. Przeczekali dzień w płytkim wadi, korycie wyschniętego strumienia, gdzie cień rosnących z rzadka ciernistych drzew chronił ich nieco przed spiekotą. Przed zaśnięciem Dorian wspiał się na krawędź wadi i przyjrzał się wzgórzom na horyzoncie, skąpanym w pomarańczowym świetle świtu.

Skaliste wzgórz Szija stanowiły granicę między terytoriami Saarów i Awamirów. Dorian odszukał szczyt jednego z nich, przypominający kształtem zamkową wieżę. Saarowie nazywali go Wieżą Czarownic. Pod szczytem biegła przełęcz, która niebawem mieli się przedostać do kraju Awamirów. Uśmiechnął się z satysfakcją. Udało mu się wyprowadzić karawanę dokładnie naprzeciw przełęcz, choć poruszali się po pustkowiu pozbawionym jakichkolwiek znaków orientacyjnych. Zszedł na dół i ułożył się do snu.

Wieczorem, kiedy kolumna szykowała się do marszu, jak zwykle wrócił kawałek jej szlakiem. Dwie mile za obozowiskiem zauważył na piasku trop obcego wielbłąda.

Znał już tajniki pustyni do tego stopnia, że mógł od razu stwierdzić, iż nie należą do żadnego z wierzchowców kolumny. Nieznany jeździec przybył od zachodu i zsiadł w tym miejscu, żeby dokładnie zbadać trop. Potem przejechał równolegle do niego prawie dwie mile i w końcu zбочzył, docierając do niewielkiego wzniesienia, wystającego ponad słońa równinę jak grzbiet słońa. Pod jego osłona szpieg zostawił wielbłąda i podczołgał

622

się do krawędzi pagórka. Wężowy ślad na piasku nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

Gdy Dorian wyrzwał za wzniesienia, zobaczył w dole miejsce, w którym karawana spędziła dzień. Obcy musiał obserwować ich stąd przez jakiś czas, a potem wrócił do swego wierzchowca i objechawszy obóz szerokim łukiem, pogalopował wprost ku wzgórzom Szija i Wieży Czarownic. Jako że miał nad nimi co najmniej osiem godzin przewagi, zapewne dotarł już do przełęczy.

Wnioski z tego odkrycia wróżyły bardzo źle. Wieść o wyprawie al-Malika na pustynię i jego spotkaniach z wodzami tutejszych plemion musiała już dotrzeć do kalifa i jego osmańskich sprzymierzeńców. Było wysoce prawdopodobne, że z Mas-katu wysłano wojsko, które miało zatrzymać ich marsz. Przełęcz pod Wieżą Czarownic była zaś miejscem wymarzonym na zasadzkę.

Podjęcie decyzji zabrało Dorianowi tylko kilka chwil. Wskoczył na siodło i spiał Ibrisa do biegu. Wkrótce zobaczył przed sobą kolumnę sunącą jak czarny wąż przez lśniącą biel równiny. Kiedy podjechał bliżej, tylna straż kazała mu się zatrzymać i podać hasło. Po chwili został rozpoznany.

- Na Boga, przecież to al-Salil! - zawołał któryś z Arabów.

- Gdzie jest Batuła? - krzyknął Dorian, pędząc wzdłuż kolumny.

Giermek już galopował ku niemu. Zrównawszy się z nim, odrzucił z twarzy zasłonę i zapytał z niepokojem:

- Wróciłeś w wielkim pośpiechu, panie. Czy coś nam grozi?

- Podąża za nami jakiś obcy - odparł Dorian. - Obserwował nasz obóz, a potem pojechał w kierunku przełęczy, najpewniej ostrzec innych, którzy się tam zaczęli.

Opowiedział Batuli, co odkrył, i następnie posłał go z dwoma ludźmi tropem szpiega. Kiedy się oddalili, podjechał do księcia.

Al-Malik w napięciu wysłuchał jego relacji.

- Wrogów nam nie brakuje - rzekł. - Z pewnością to jacyś słudzy kalifa albo Turków. Allah tylko wie, jak wielu ludzi chciałoby przeszkodzić moim kontaktom z plemionami pustyni. Co zamýślasz uczynić, mój synu?

Dorian wskazał na wzgórze Szija, wznoszące się pięćset stóp ponad słońa równiną i przegradzające ją jak nieprzebyta bariera.

623

- Nie wiemy, ilu wrogów tam się czai, panie. Mam trzydziestu ludzi, z którymi mogę pokonać dwu- lub trzykrotnie większą liczbę nieprzyjaciół. Jeżeli jednak Turcy zwiędzieli się o twej wyprawie, kto wie, czy nie wysłali przeciwko nam całej armii.

- W istocie to niewykluczone.

- Przez przełęcz pod Wieżą Czarownic prowadzi najkrótsza droga na drugą stronę. Jest jeszcze inne przejście, dalej na zachód. - Dorian wyciągnął rękę ponad srebrzącą się połacią. - Zwa je przełęczą Bystrej Gazeli. Żeby tam dotrzeć, musielibyśmy nadłożyć sporo drogi, nie mogę jednak ryzykować jazdy pod Wieżą Czarownic. Jeśli Turcy czekają tam na nas w wielkiej sile, zostaniemy niechybnie rozbici.

Al-Malik skinął głową.

- Czy zdołamy dotrzeć do drugiej przełęczy przed świtem? - zapytał.

- Nie - odparł Dorian. - Nawet zmuszając wielbłądy do najwyższego wysiłku, możemy się tam znaleźć dopiero koło południa.

- Jedźmy więc, nie zwlekając - rzekł książę.

Dorian popędził do czoła kolumny, rozkazując szpiczy zmienić kierunek marszu na zachodni. Zacieśnili szyk. Książę jechał w środku, a wszyscy rozglądali się czujnie na wypadek pojawienia się nieprzyjaciela. Poderwali wielbłądy do galopu. Zwierzęta, wciąż jeszcze wypoczęte, pobiegły chyżo, wzbijając kopytami chmurę solnego pyłu, skrzącego się w nieruchomym powietrzu nocy.

Po północy zrobili krótki postój, pozwalając wierzchowcom odetchnąć. Ludzie napili się po kubku zmieszanej z mlekiem wody, po czym kolumna ruszyła dalej. Z nastaniem najciemniejszych godzin nocy, tuż przed pierwszym brzaskiem, zaalarmowały Doriana okrzyki tylnej straży. Zawrócił wielbłąda i podjechał do nich.

- Co się dzieje? - Ledwie zadał to pytanie, sam spostrzegł doganiających ich jeźdźców. Było ich tylko kilku, lecz mogli stanowić grupę zwiadowczą. - Zewrzeć szyki! - rozkazał, wysuwając lancę ze skórzanego pokrowca.

Oddział uformował błyskawicznie szyk obronny, otaczając księcia ciasnym pierścieniem. Dorian pogalopował ku nadjeżdżającym i wezwał ich okrzykiem do ujawnienia się.

624

- Al-Salil! - padła natychmiastowa odpowiedź. Rozpoznał głos swego giermka.

- Batula! - Zrównał się z nim w galopie i zawrócił wielbłąda. Rozmawiali, nie przerywając jazdy.

- Jakie wieści?

- Pod Wieżą Czarownic obozował oddział wojska. Mnóstwo ich.

- Ilu?

- Pięciuset, może więcej.

- Kto?

- Turcy i Masakarowie. - Ci ostatni zamieszkiwali tereny na wybrzeżu w okolicy Maskatu i Suru. Dorian nie miał wątpliwości, że są wierni kalifowi.

- Są tam jeszcze?

- Nie, wyruszyli w pościg za nami.

- Skąd wiedzieli, że zmieniliśmy kierunek marszu?

- Chyba donieśli im zwiadowcy. Poza tym wzbijacie taką chmurę pyłu, że widzieliśmy ją z odległości wielu mil; świeci jak latarnia morska.

Dorian uniósł głowę. Obłok srebrnego kurzu przesłaniał pół nieba.

- Jak daleko jadą za wami?

Batula odrzucił chustę z twarzy i spojrzał w niebo.

- Za dnia zobaczyłbyś już pył za nimi, panie. Przygotuj lancę, al-Salilu, bo jeszcze nim słońce wstanie, czeka cię walka.

Galopowali całą noc, dopóki brzask nie rozjaśnił nieba na wschodzie.

- Nie zatrzymujcie się! - zawołał Dorian do księcia i zawrócił Ibrislam.

Skierował się ku skalistemu wzgórkowi, wznoszącemu się pięćdziesiąt stóp ponad równiną po ich lewej. Zeskoczył z siodła i wspiał się po kamieniach na wierzchołek.

Przed nim gorzał świt. Robiło się coraz jaśniej; pustynny dzień zrodził się niemal w kilka chwil, jak za sprawą magii. Dzikie wzgórza Szija stały w oddali zwartym szeregiem, bajecznie kolorowe jak pióra rajskiego ptaka: jasnożółciste i czerwone, z ciemniejszymi smugami szkarłatu i purpury. Widział wyraźnie przełęcz Bystrej Gazeli, niebieską rozpadlinę przecinającą strome ściany aż do podstawy. Podnóże gór przysypane było białymi wydmiami, z których wiatr ułożył na tle barwnych skał fantastyczne kształty.

625

Dorian odwrócił się i spojrzał w przeciwnym kierunku. Nad połyskliwą równiną zobaczył wysoki obłok kurzu wzbijanego przez turecki pościg. Przez wycięcie w zębiastych skałach przedarł się w tym momencie pierwszy promień słońca. Sam pozostając jeszcze w cieniu, ujrzał migotliwy blask na lancach jeźdźców.

- Batula się pomylił - mruknął do siebie. - Jest ich o wiele więcej, niż naliczył. Może tysiąc.

Jechali szerokim frontem, podzieleni na oddziały. Te z tyłu przesłaniał pył spod kopyt pierwszych szeregów.

- Musi być wśród nas zdrajca - szepnął. - Skoro wyruszyli w takiej sile, muszą mieć pewność, że księżę jedzie z nami.

Najbliższy z oddziałów pędził w środku szyku, pozostawiwszy resztę z tyłu. Był już tak blisko, że na tle kurtyny pyłu można było odróżnić pojedyncze wielbłądy i ich jeźdźców. Dorian uznał, że grupa liczy około dwóch setek ludzi, a ze stylu ich jazdy domyślił się, że są to zaprawieni w walce wojownicy.

Przymrużył oczy, próbując oszacować ich tempo w porównaniu do szybkości uciekających. Wielbłądy tamtych przebyły krótszą drogę i były bardziej

wypoczęte, podczas gdy jego oddział jechał całą noc, a wierzchowce nie piły od wyruszenia z Ghail Ya Yamin. Nieprzyjaciel wyraźnie ich doganiał. Mogło się okazać, że nie zdołają przed nim umknąć na przełęcz.

Wrócił biegiem do wielbłąda i wskoczył na siodło. Ibrisa popędziła za oddalającą się kolumną. Kiedy wyjechał z pagórka na otwarty teren, ścigający spostrzegli go. Do jego uszu dotarły ich wojownicze okrzyki, a gdy się obejrzał, zobaczył obłoczki dymu z muszkietów.

Byli za daleko i nie usłyszał nawet wizgu kuł. Ibrisa galopowała dalej niedraśnięta. Dogonili oddział u podnóża usypanych pod skalnymi ścianami wydmy. Zaczęli się wspinać po śliskiej pochyłości. Krystaliczny piasek osuwał się pod ciężarem jeźdźców, spływając spod wielbłądzich kopyt niczym strumyki wody.

Kolumna parła pod górę, lecz w zwolnionym tempie. Wielbłądy porykiwały bojaźliwie, czując pod sobą niepewny grunt. Jeden z prowadzących wierzchowców przysiadł na zadzie i szarpał się szaleńczo w piasku, próbując wstać. W końcu przetoczył się na grzbiet, miażdżąc pod sobą jeźdźca. Dorian usłyszał krzyk i trzask łamanych kości nóg. Ciężkie zwierzę

626

ześliznęło się aż do podnóża wydmy, zostawiając na zboczu części ekwipunku i uprząży i ciągnąc za sobą zaplątanego w postronki jeźdźca.

Dorian zawrócił i za pomocą sztyletu błyskawicznie uwolnił nieszczęśnika. Batula natychmiast pośpieszył mu na pomoc. Jego wielbłąd zjechał w dół po zboczu, sypiąc spod kopyt fontannami piasku. Giermek zeskoczył na ziemię i pomógł swemu panu dźwignąć rannego, którego nogi dyndały bezwładnie, na grzbiet Ibrisy. Koniec kolumny był już w połowie wydmy. Jej początek z księciem na czele dotarł do skał i zniknął w ciemnej gardzieli przełęczy.

Dorian chwycił uzdę Ibrisy i ruszył pod górę na piechotę, ciągnąc zwierzę za sobą. Obejrzał się. Pościg był bardzo blisko. Tureckie wielbłądy wyciągały się w pełnym galopie, wzbijając kopytami tumany pyłu. Jeźdźcy potrzęsali orężem, wydając bojowe okrzyki. Ich burnusy i brody powiewały na wietrze. Chcieli dopaść Arabów, dopóki ci zmagali się jeszcze ze zdrażliwą pochyłością.

Nagle ze skał w górze rozległ się huk wystrzałów. To książę zebrał przy sobie znużony ucieczką oddział, zagrzewając go do walki. Suchy trzask salwy odbił się echem od urwistych skał. Dorian ujrzał, jak przynajmniej trzech ścigających zostało strąconych z siodła. Jeden z wielbłądów, trafiony chyba prosto w mózg, przewracając się na grzbiet, wierzgnął tak gwałtownie, że wyrzucił jeźdźca wysoko w powietrze. Nieprzyjacielska szarża straciła impet. Podczas gdy Dorian z Batulą wspinali się po zboczu, z góry huknęła następna salwa.

Odpowiedział jej ogień od podnóża wydmy. Pierwsi ze ścigających zeskakiwali już z siodeł i celowali do dwóch mężczyzn, widocznych wyraźnie na pustyni zboczu. Ołowiane pociski wzbijały wokół stóp Doriana fontanny piasku, nie czyniąc mu jednak szkody, jakby był otoczony ochronnym czarem.

Ciężko dysząc z wysiłku, doprowadzili wreszcie wielbłądy do skalnej półki u wylotu przełęczy. Dorian, łapiąc oddech szeroko otwartymi ustami, rozejrzał się za swoimi ludźmi.

Saarowie uwiązali już wielbłądy w bezpiecznym miejscu za zakrętem skalnego przesmyku i zajęli dogodnie do strzału pozycje wśród głazów.

Spojrzał w dół. Oddziały tureckie zajmowały wielką połąć

627

siwobiałej równiny, wszystkie zwrócone w jego kierunku. Oszacował w myśli ich liczbę.

- Tysiąc, jeśli nie więcej - stwierdził, ocierając gryzący pot z oczu i czoła. Następnie szybko obejrzał Ibrisa, szukając ewentualnych zranień. Przejechał dłońmi po jej bokach i zadzie, lecz nie zobaczył na nich krwi. Zwierzęciu nic się nie stało. Podał wodze Batuli. - Odprowadź wielbłądy - rozkazał. - I niech ktoś opatrzy rannego.

Batula zniknął z wierzchowcami za załomem skały. Dorian odszukał księcia. Al-Malik, z muszkietem w ręku, opanowany i nawet nie draśnięty, rozstawiał strzelców na stanowiskach.

Dorian przysiadł obok niego na piętach.

- Panie, to nie jest praca dla ciebie. Ja powinienem się tym zająć - rzekł.

- Radziłeś sobie dotąd doskonale - uśmiechnął się książę. - Tego niezgrabiasza trzeba było pozostawić własnemu losowi. Twoje życie jest warte tysiąca takich jak on.

Dorian nie odpowiedział ani na przyganę, ani na pochwałę, stwierdzając zamiast tego:

- Mogę powstrzymać tu nieprzyjaciół przez wiele dni, nawet z połową naszych ludzi. Dopóki starczy nam wody. Batula z drugą połową oddziału przeprowadzi cię, panie, przez góry i do oazy Muhaid.

Książę spojrział mu w oczy. Twarz miał poważną. Byłoby ich dwudziestu przeciwko tysiącowi. Chociaż pozycja na skalnym szańcu była prawie nie do zdobycia, wróg dysponował wielką siłą i determinacją. Al-Malik zdawał sobie doskonale sprawę, na jakie poświęcenie chce się dlań zdobyć al-Salil.

- Zostaw tutaj Batulę - rzekł. - A ty jedź ze mną do Muhaid. - Nie było to jednak polecenie, lecz raczej propozycja.

- Nie, panie - nie zgodził się Dorian. - Nie mogę tak postąpić. Moje miejsce jest tutaj, z moimi ludźmi.

- Masz rację - rzekł książę, wstając. - Nie mogę cię zmuszać, żebyś zaniedbywał swoje obowiązki. Mogę ci jednak zabronić narażać się na śmierć.

- Śmierć nie wybiera. - Dorian wzruszył ramionami. - Nasz sprzeciw nic dla niej nie znaczy.

- Powstrzymuj Turków przez dzisiejszy dzień i przez całą noc - pokręcił głową al-Malik. - W tym czasie zdążę dotrzeć do Muhaid i zebrać Awamirów. A potem wrócę po ciebie z całą armią.

628

- Jak sobie życzysz, mój panie - odparł młodzieniec. Książę jednak dostrzegł już w jego oczach bitewny zapał. Niepokoiło go to.

- Al-Salilu - powiedział stanowczym tonem, ujmując przybranego syna za ramiona.

- Nie wiem, jak prędko zdołam tu powrócić z posiłkami. Wytrwaj tylko do jutra rana, nie dłużej. Potem masz się wycofać i dołączyć do mnie tak szybko, jak tylko Ibrislam zdoła cię ponieść. Jesteś moim talizmanem i za nic nie chcę cię utracić.

- Panie, musisz już ruszać w drogę. Każda chwila jest cenna - odpowiedział wymijająco Dorian.

Wrócili do wielbłądów. Al-Salil wydał szybko rozkazy, dzieląc swój oddział na dwie grupy. Tej, która miała towarzyszyć księciu, przydzielił jedną czwartą zapasów jedzenia i wody. Reszta przypadła obrońcom.

- Zostawimy wam nasze muszkiety, woreczki z kulami i pięć baryłek prochu - powiedział książę.

- Zrobimy z nich należyty użytek - obiecał Dorian.

W ciągu kilku minut wszystko było gotowe. Książę i Batula dosiedli wielbłądów i stanęli na czele swego oddziału. Al-Malik spojrział na Doriana.

- Niech Allah będzie ci tarczą, mój synu - rzekł.

- Jedź z Bogiem, ojciec - odpowiedział młody Anglik.

- Po raz pierwszy nazwałeś mnie ojcem.

- Po raz pierwszy poczułem, że to prawda.

- To dla mnie zaszczyt - odrzekł książę uroczystym tonem i dotknął szpicrutą szyi swego wierzchowca.

Dorian patrzył, jak oddział al-Malika odjeżdża wąskim skalnym korytarzem i znika za zakrętem. Potem przestał myśleć o czymkolwiek prócz czekającej go bitwy.

Wrócił do wylotu przełęczy. Wprawnym okiem wojownika zlustrował skały i równinę. Przyjrzał się słońcu. Ledwie minęło południe. Czekał ich długi dzień i jeszcze dłuższa noc.

Wyszukał w położeniu obrońców słabe punkty, które mógł wykorzystać wróg. Starął się zaplanować odpowiedź na każdą jego akcję. Uznał, że Turcy najpierw spróbują zaatakować bezpośrednio, posuwając się w górę wydmy. Już się zbierali do ataku na skraju równiny. Przeszedł wśród swoich wojowników, dodając im otuchy żartami i docinkami, wskazując najdogodniejsze pozycje strzeleckie wśród skał i upewniając się, że żadnemu nie brakuje kul ani prochu.

629

Nie skończył jeszcze tych przygotowań, gdy z dołu dał się słyszeć odgłos rogu, do którego dołączyło zaraz bicie w bębny i narastający bojowy okrzyk tysiąca gardeł. Pierwszy szereg atakujących ruszył w górę piaszczystego zbocza.

- Czekajcie! - krzyknął Dorian do swych ludzi. - Nie strzelać jeszcze, bracia wojownicy! - Klepnął w ramię młodego Saara, którego ciemne długie loki opadały aż na plecy. Uśmiechnęli się do siebie szeroko. - Pierwszy strzał jest najśłodszy, nie spudłuj, Ahmed - rzucił.

Zwrócił się do swoich ludzi.

- Chcę zobaczyć, jak twoja pierwsza kula kładzie wroga trupem, Mustafa.

- Zaczekaj, aż podejda ci pod lufę, Hassan.

- Przypuść ich tak blisko, Salim, żeby nawet tobie udało się trafić.

Żartując i przekomarzając się z nimi, jednocześnie uważnie obserwował wspinających się Turków. Byli mocniej zbudowani i ciężsi od żyłastych Arabów z pustyni. Wszyscy wąsaci, na głowach mieli brązowe hełmy z osłoną na nos, a na wełnianych sukniach kolczugi. Zbyt ciężko ubrani jak na pustynię, stwierdził, patrząc, jak brną pod górę w sypkim piasku. Ich zapał już wyraźnie osłabł i wspinali się z wysiłkiem.

Dorian stanął na krawędzi skalnej półki, podparłszy się pod boki, jak gdyby czekał, żeby ich powitać. Chciał tym gestem nie tylko zagrozić do boju własnych żołnierzy, lecz także nie dopuścić do przedwczesnego rozpoczęcia ognia.

Jeden z Turków w dole zatrzymał się i przyłożył muszkiet do ramienia. Twarz miał mokra od potu. Ze zmęczenia drżały mu ręce. Dorian zamarł w bezruchu. Turek wystrzelił. Kula świsnęła koło głowy młodzieńca tak blisko, że podmuch rzucił mu na twarz kosmyk rudych włosów.

- To wszystko, co potraficie, gwałciciele kóz? - zaśmiał się drwiąco. -

Podejdźcie tutaj. Posmakujecie gościnności Saarów.

Jego obelgi dodały atakującym animuszu i ostatnie jarady pochyłości pokonywali niemal biegiem. Dorian cofnął się do swoich.

- Gotujcie się, bracia - rzucił półgłosem, odwołując kurek muszkietu.

Turcy ramię przy ramieniu zbliżali się tyralierą do krawędzi skalnej półki.

Twarze poczerwieniały im z wysiłku i ociekały

630

potem; większość podczas wspinaczki porzuciła muszkiety. Ze wzniesionymi nad głowę bułatami rzucili się, wrzeszcząc dziko, na wycelowane w nich lufy obrońców.

- Teraz! - krzyknął Dorian i wszyscy Saarowie wystrzelili jednocześnie.

Dwadzieścia strzelb buchnęło dymem i ołowianymi kulami, siekąc nieprzyjacielski szereg. Dorian zobaczył, jak jego pocisk wybija dziurę w żółtawych zębach wąsatego Turka. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, z rozbitej czaszki trysnęła krew i tkanka mózgu. Wypuścił z ręki broń i padł na żołnierza idącego z tyłu. Tamten stracił równowagę i potoczyli się obaj w dół zbocza, przewracając jeszcze po drodze kolejnych trzech.

- Do mieczy i na nich! - zakrzyknął Dorian.

Obrońcy wyskoczyli spomiędzy skał i rzucili się hurmem na ciżbę Turków, kłębiących się na krawędzi przełęczy. Ta mordercza szarża zepchnęła ich z półki; zrejterowali, potykając się o własnych zabitych. Oczyszczeni przedpole, Saarowie ruszyli na kolejny szereg, wspinający się jeszcze po zboczu. Mieli przewagę, atakując z góry, a nieprzyjaciół wyczerpała wspinaczka.

Walka trwała krótko. Turcy zostali rozgromieni, wielu poległo lub odniosło rany. Ci, którzy ocaleli, zsuwali się w dół wydmy, lekceważąc rozkazy dowódców i porywając ich ze sobą w bezładnej rejteradzie.

Saarowie tańczyli na brzegu skalnej półki z rozwianymi brodami i burnusami, obrzucając nieprzyjaciół obelżywymi wyzwiskami. Dorianowi wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, iż żaden z jego ludzi nie został nawet draśnięty, natomiast w sypkim zboczu poniżej widział ciała co najmniej kilkunastu Turków.

- To dopiero pierwsze danie w tej uczcie - z trudem opanował wybuch radości. W żywiołowej szarży uczestniczyła nie więcej niż setka Turków. - Teraz spróbuj czegoś innego.

Podszedł do swoich ludzi, rozkazując im przede wszystkim przeładować muszkiety. Potrwało jednak chwilę, nim zdołał w pełni nad nimi zapanować.

- Dziesięciu niech się wdrapie na skały - rozkazał, wybierając ich po imieniu.

Zaczęli się wspinać na wierzchołek skalnego grzebienia, skąd mogli obserwować całe podnóże gór pod przełęczą i kontrolować poruszenia wroga. Przypuszczał, że tureccy dowódcy każą

631

teraz żołnierzom wejść na skały po obu stronach przełęczy, poza zasięgiem strzału, żeby zaatakować z obu flank. Jeśli do tego dojdzie kolejny atak frontalny, Saarom trudno będzie się bronić.

Wiedział, że w końcu zmuszeni będą się wycofać do gardzieli przełęczy. Ten wąski przesmyk między skałami miał być ostatnim szansem ich oporu. Pewien, że czujki na skałach uprzedzą go o kolejnym szturmie, poszedł z pięcioma ludźmi w głąb przełęczy, wybrać najlepsze miejsce do obrony.

Przejeżdżał tędy ostatnio przed trzema laty. Zapamiętał miejsce, w którym ściany wąwozu zbliżały się do siebie, pozostawiając przejście tak wąskie, że mógł się nim z ledwością przecisnąć juczny wielbłąd. Dalej przesmyk rozszerzał się w usypisko głazów. Na jego rozkaz wojownicy odłożyli broń i zbudowali w poprzek wąwozu sangar, barykadę z wielkich kamieni, za którą mogli schronić się obrońcy. Wielbłądy już wcześniej odprowadzono dalej w głąb przełęczy. Dorian poszedł sprawdzić, czy wszystkie są osiodłane i gotowe do szybkiej ucieczki, gdyby Turkom się udało zdobyć sangar. Ibrisa, ujrawszy go, parsknęła miłośnie. Poglaskał ją po pysku i wrócił do wylotu wąwozu.

Ludzie, których posłał na wierzchołek, zajęli już pozycje, a reszta rozlokowała się wśród skał. Ładowali dodatkowe muszkiety, pozostawione im przez księcia al-Malika, zyskując dzięki temu możliwość podwójnego strzału.

Dorian przykucnął na krawędzi półki i przyjrzał się nieprzyjacielowi. Choć słońce stało już wysoko i skwar stawał się nie do zniesienia, na białej słonej równinie panowało wielkie ożywienie. Do tureckiej armii wciąż dołączały kolejne oddziały jeźdźców. Dowódcy jeździli w tę i z powrotem wzdłuż podnóża gór, studiując ukształtowanie terenu. Ich hełmy i broń błyszcząły w słońcu. Za każdym ciągnęła się migotliwa zasłona pyłu.

Nagle wśród wojska w dole zapanowało jeszcze większe poruszenie. Rozległa się odegrana na rogu fanfara. Do czoła nieprzyjacielskich szeregów zbliżał się niewielki oddział, flankowany przez jeźdźców z zielono-szkarłatnymi proporcami Wielkiej Porty. Bez wątpienia byli to dowódcy wrogiej armii. Dorian przyglądał się im z ciekawością. Szczególnie zainteresowali go dwaj mężczyźni w środku grupy, sądząc po ich wspaniałych strojach i bogatym rzędzie wielbłądów, bardzo wysocy rangą. Jeden miał tarczę z brązu i charakterystyczny hełm

632

z osłoną na nos. Otomański generał, uznał Dorian i przypatrzył się drugiemu z nich, Arabowi. Nawet z tej odległości rozpoznawał w nim jakiś znajomy rys. Nie dawało mu to spokoju. Jeździec odziany był w obszerną szatę z delikatnej wełny, lecz widać było, że jest potężnej postury. Opaskę keffija miał ze złotego filigranu, rzeźbiona rękojeść jego sztyletu tkwiła w okutej złotem pochwie. Nawet sandały na jego stopach lśniły złotem. Ten człowiek to jakiś strojniś, pomyślał Dorian, ale niech mnie kule biją, jeżeli go skądś nie znam. Był o tym coraz bardziej przekonany i grzebał w pamięci, usiłując dopasować imię do osoby. Dowódcy zatrzymali się u podnóża wydm, poza zasięgiem strzału Saarów. Turecki generał przyłożył do oka lunetę i obserwował wylot wąwozu. Przejechał nią także po skalnych ścianach, a potem opuścił przyrząd i powiedział coś do otaczających go oficerów, czekających na rozkazy. Mężczyźni natychmiast się rozjechali i zaczęli wydawać polecenia oddziałom.

Wśród wojska znowu zapanowało poruszenie. Nieprzyjaciel zachował się zgodnie z przewidywaniami Dorian. Wkrótce setki uzbrojonych po zęby ludzi wspinało się po wydmach poza zasięgiem strzału obrońców. Wiedział, że kiedy dotrą do granicy skał, będą starali się przekraść w pobliże wylotu przełęczy i zaatakować ich z flanki.

- Al-Salil! Tureckie gównojady znów na nas idą! - usłyszał wołanie czujki ze szczytu skalnego grzebienia. Z wysoka jego ludzie widzieli więcej niż on i podnieśli alarm, gdy tylko tureccy żołnierze dotarli do skalnego uskoku i zaczęli się przesuwać w poprzek półki.

- Strzelajcie do każdego, który się znajdzie w zasięgu waszych luf! - odkrzyknął Dorian.

Z góry natychmiast rozległa się kanonada muszkietów. Saarowie strzelali do Turków, a ci odpowiadali im ogniem. Co chwila rozlegał się wrzask któregoś z trafionych nieprzyjaciół. Jednak okrzyki czujek informowały Dorian, że atakujący stopniowo przesuwają się do miejsca, z którego będą mogli przypuścić szturm na przełęcz.

Choć cała akcja absorbowała mocno jego uwagę, nie przestawał obserwować obwieszonego złotem Araba. Właśnie dotarła doń karawana jucznych wielbłądów, z których zdjęto malowany skórzany namiot. Dwudziestu ludzi rozwinęło go na

633
ziemi i rozbiło, rozkładając w cieniu dywany i poduszki. Turecki generał zeskoczył z wielbłąda i rozsiadł się pod baldachimem. Jego towarzysz, arabski fircyk, także zsunął się niezgrabnie z siodła i podążył za nim. Pod jego szatą rysowały się wyraźnie szerokie ramiona i wydatny brzuch. Gdy przeszedł kilka kroków, Dorian spostrzegł, że Arab kuleje na prawą nogę. To wystarczyło, by odświeżyć jego pamięć. Przypomniał sobie walkę na schodach starego grobowca w zenana w Łamu, upadek przeciwnika i jego złamaną stopę.

- Zajn! - wyszeptał. - Zajn al-Din.

Tak, to był jego stary wróg z dzieciństwa, wystrojony teraz jak księżę Omanu i stojący na czele nieprzyjacielskiej armii.

Dawna niechęć wróciła z pełną mocą. Zajn był znowu jego przeciwnikiem. Ale co on tu robi, polując na własnego ojca? - zastanawiał się Dorian. Ciekawe, czy wie, że ja też tu jestem.

Próbował dopatrzeć się jakiejś logiki w tym niesamowitym zbiegu okoliczności. Zajn przebywał na dworze w Maskacie dostatecznie długo, żeby go zdażył wciągnąć wir tamtejszych intryg. Najpewniej był pod bezpośrednim wpływem swego wuja, kalifa. Jeżeli jego charakter nie zmienił się od czasów chłopięcych, bez wątpienia uczestniczył z ochotą w knowaniach Jaąuba. Zapewne przyłożył wraz z nim rękę do kapitulacji Omanu przed Turkami i, tak jak kalif, był teraz zakładnikiem Wielkiej Porty.

- Ty zdrajco. Ty świnió - wyszeptał Dorian, przyglądając mu się z pogardą. - Sprzedałeś swój kraj i jego lud, sprzedałeś nawet własnego ojca! Ile ci zapłacili? Jaką nagrodę obiecała ci Porta? Może nawet miejsce na tronie, jako ich marionetka?

Zajn al-Din rozsiadł się pod dachem namiotu u boku tureckiego generała. Służący podał mu kubek szербetu. Zajn pociągnął łyk napoju i podniósł głowę, spoglądając dokładnie w kierunku Dorian. Podbródek porastał mu rzadki zarost, lecz twarz miał pulchną i gładką. Dorian zerwał z głowy chustę i potrząsnął długą grzywą rudozłotych kędziorów. Arab poznał go i kubek wypadł mu z ręki.

Dorian parsknął śmiechem i pomachał wesoło ręką. Zajn nie zareagował; opuścił tylko ramiona i przygarbił się. Wyglądał teraz z daleka jak wielka, opasła ropucha. Nagle na skałach po prawej wybuchła znów strzelanina. Dorian pobiegł w tę stronę, by wesprzeć obrońców.

634

- Uważaj, al-Salil! - ostrzegł go okrzyk z wierzchołka. - Są już blisko!

- Ilu? - odkrzyknął, przykucając za głazem obok Ahmeda.

- Wielu! - padła odpowiedź. - Zbyt wielu.

Z tej strony przełęczu skały uformowały zębata przyporę, która zasłaniała widok na dalszą część półki. Obrońcy nie widzieli więc nadchodzących nieprzyjaciół. Słyszeli jednak ich głosy i kroki za załomem ściany; słyszeli brzęk objajających się o skałę brązowych tarcz i skrzyp rzemieni, podtrzymujących napierśniki.

- Spokojnie! - napomniał Dorian swoich ludzi. - Czekaście jeszcze. Niech podejda jak najbliżej.

Nagle zza skalnej przegrody wypadła wprost na nich czereda Turków. Na półce mieściło się ich w jednym szeregu tylko trzech, lecz za pierwszymi cisnęli się kolejni, depcząc im niemal po piętach.

- Allahu akbar! - wrzeszczeli. - Bóg jest wielki!

W pierwszym szeregu biegł wysoki, ospowaty żołnierz w stalowym saraceńskim hełmie i kolczudze. Nad głową wznosił oburącz dwustronny topór bojowy. Wskoczył przed towarzyszy i utkwwszy wzrok w Dorianie, szarżował wprost na niego. Chłopak wystrzelił dopiero, kiedy tamten znalazł się naprzeciwko jego lufy, niemal na wyciągnięcie ręki. Kula trafiła Turka w krtań. Opadł na kolana i

wypuściwszy topór, chwycił się obiema rękami za gardło. Krew z rozerwanej arterii trysnęła mu przez palce gęstym strumieniem i przewrócił się na twarz. Dorian odrzucił pusty muszkiet, chwycił drugi, naładowany, i odwiódł kurek. Nad zabitym Turkiem przeskoczył następny żołnierz. Został trafiony w środek piersi i legł na ziemi, skręcając się w konwulsjach.

Dorian wyciągnął teraz miecz i wyskoczył na skalną półkę. Po prawej miał Ahmeda, po lewej Salima. Dotykali się niemal ramionami. Nieprzyjaciel nacierał hurmą; miejsce tych, którzy padli, zajmowali natychmiast następni. Oręż w dłoni młodzieńca był podarunkiem pożegnalnym od księcia; dostał go, opuszczając Laniu. Wykonany z damasceńskiej stali, był giętki jak wierzbowy witka i ostry niczym kieł jadowitego węża. Pierwszego z nacierających zabił czystym pchnięciem pod brzeg hełmu, prosto w oko. Nadział je na klingę niczym kebab na rożen, przebijając się aż do mózgu. Odskoczył błyskawicznie, pozwalając ofierze upaść. Już atakowali go zwartą ciżbą na-

635

stępni, skryci za brązowymi tarczami. Nie było tu miejsca na szermiercze popisy. Obie strony walczyły niemal w zwarciu. Saarowie i Turcy, siekąc, kłując i krzycząc, przepychali się w przód, w tył i na boki po wąskiej skalnej półce. Szczęk stali, wrzaski i tupot walczących niemal zagłuszyły ostrzegawczy okrzyk czujki:

- Atakują z lewej i od frontu!

Dorian usłyszał go jednak i wycofał się z pierwszej linii, wpuszczając na swoje miejsce Mustafę.

Rozejrzał się szybko. Podczas gdy on odpierał atak z prawej, Turcy przypuścili błyskawiczny szturm również w innych miejscach. Pięciu Saarów walczyło desperacko o utrzymanie pozycji na lewej flance, gdzie wróg nacierał wzdłuż uskoku. Równocześnie dwie setki Turków wspinały się po piaszczystym zboczu od frontu.

W ciągu kilku chwil, których potrzebował na oszacowanie sytuacji, zabito mu dwóch ludzi. Salimowi bojowy topór odrąbał połowę głowy, a Mustafa klęczał z przebitą pierśią, wymiotując krwią.

Dorian wiedział, że nie może sobie pozwolić na dalsze straty. Turcy podchodzący od dołu byli już niemal pod krawędzią półki. Wojownicy z czujek na skałach, nie czekając na rozkaz, zeskakiwali w dół, by się przyłączyć do walki. Był im wdzięczny, gdy się zebrali wreszcie wokół niego. Oba skrzydła obrony niemal już nie wytrzymały naporu wroga, a nad uskokiem od frontu lada moment mogła się wyłonić falanga Turków.

- Plecami do siebie! - krzyknął Dorian. - Osłaniajcie się nawzajem. Wycofujemy się do wąwozu!

Uformowali ciasny klin obronny i osaczeni z trzech stron przez Turków, zaczęli się przesuwac w głąb przełęczy.

Śmigające ostrza i strzelające z bliska muszkiety powaliły jeszcze kilku napastników. Dorian wydał kolejny rozkaz:

- Biegiem za barykadę!

Odwrociwszy się plecami do atakujących, popędzili skalnym korytarzem, wlokąc ze sobą rannych. Turcy zaklinowali się na chwilę u wylotu przełęczy, gdyż zbyt wielka ich liczba rzuciła się naraz w pogoń.

Dorian biegł pierwszy i kiedy znalazł się za zakrętem, krzyknął do sześciu Saarów strzegących barykady:

- Swój, nie strzelać!

636

Ciasno zaklinowane głązy, którymi przegrodzili wąwóz, tworzyły ścianę sięgającą im do piersi. Wdrapywali się na nią kolejno, a obsada barykady pomagała im przeciągnąć na drugą stronę rannych.

Ostatni z Saarów zeskoczył dokładnie w chwili, kiedy zza zakrętu wypadli z dzikim wyciem Turcy. Sześciu wojowników, którzy do tej pory nie brali udziału w walce, aż się do niej paliło. Wszystkie muszkiety, jakie mieli do dyspozycji, czekały na turecki szturm załadowane i oparte rzędem o ścianę obok wbitych w ziemię lanc.

Pierwsza salwa w nieprzyjacielski szereg osadziła napastników w miejscu. Zapanowało wśród nich zamieszanie i konsternacja. Ci z pierwszej linii

wycofywali się w panice, odpychając napierających z tyłu. Kolejna porcja kul z sześciu muszkietów przeważyła szalę. Turcy podali tyły i wkrótce zniknęli za załomem skały, pozostawiając na ziemi zabitych.

Chociaż nie było ich widać, Dorian doskonale słyszał krzyki, odbite echem od skał. Przeklinali Saarów i zagrzewali się nawzajem do następnego ataku.

Wiedział, że przerwa w walce będzie krótka.

- Wody! - rozkazał. - Podajcie bukłak.

W przesmyku było gorąco jak w piecu, a dym z muszkietów potęgował duchotę.

Obrońcy pili po kolei wodę z gorzkich studni Ghail Ya Yamin, jakby to był najsmaczniejszy szербet.

- Gdzie Rachid? - zapytał po chwili, przeliczywszy głowy.

- Widziałem, jak padł - odparł któryś z wojowników. - Sam niosłem Zajida i nie mogłem mu pomóc.

Ta strata przejęła Dorianą głębokim żalem, gdyż Rachid był jednym z jego ulubieńców. Miał już tylko dwunastu zdolnych do walki ludzi. Pięciu rannych udało im się zabrać ze sobą; reszta jednak została na łasce Turków. Gdy zaciągnęli rannych w pobliże wielbłądów, podzielił oddział na cztery grupki. Za ścianą sangar mogło stać obok siebie tylko trzech ludzi. Po każdej salwie kolejna trójka miała zastępować poprzednią, wycofującą się, by przeładować broń. W ten sposób mieli szansę prowadzenia ciągłego ognia. Miał nadzieję, że uda mu się powstrzymać Turków przynajmniej do zapadnięcia zmroku, wątpił jednak w możliwość prowadzenia obrony przez całą noc.

Dysponował zaledwie garstką Saarów, a Turcy znani byli ze swej nieustępliwości i okrucieństwa w walce. Był przekonany,

637

że wpadną na jakiś koncept, który pozwoli im przełamać nawet najprzemysłniej zaplanowaną obronę. Liczył właściwie tylko na to, że dzięki oporowi da więcej czasu na ucieczkę księciu. Zdawał sobie sprawę, że na końcu będą musieli wyrąbać sobie drogę odwrotu za pomocą lanc i mieczy.

Saarowie zajęli pozycje za barykadą, zbierając siły do odparcia szturm.

Powietrze było rozgrzane, lecz panowała dziwna cisza.

- Oddałbym teraz miejsce w raju za kilka pyknięć z fajki nabitej kheefem - zaśmiał się Misaha, obwiązując kawałkiem brudnej szmaty ranę na ramieniu. Dym z tego ziela uśmierzał strach i zwiększał odporność na ból.

- Nabiję ci ją i zapalę własnymi rękami, gdy zasiądziemy już w komnatach kalifa - obiecał Dorian. Nagle zamilkł, słysząc, że ktoś woła jego imię.

- Al-Salil, bracie! - Wołanie niosło się mocno wśród skalnych ścian. - Moje serce raduje się na twój widok! - Głos był piskliwy, niemal dziewczęcy. Choć jego brzmienie nieco się zmieniło, poznał go natychmiast.

- Jak tam twoja stopa, Zajnie al-Dinie? - odkrzyknął. - Chodź tu, to ci złamię drugą, żebyś mógł równieź człapać! Zajn, ukryty za załomem skały, parsknął śmiechem.

- Przyjdziemy, mój bracie, możesz być tego pewien. Będę miał wielką uciechę, patrząc, jak moi tureccy sprzymierzeńcy zarzucają ci szatę na głowę i przekładają przez siodło własnego wielbłąda.

- Z pewnością lubisz takie rzeczy bardziej niż ja, Zajn! - Dorian zwrócił się do niego jak do kobiety i Arab na pewien czas zamilkł.

- Słuchaj no, al-Salilu! - odezwał się znowu. - Mam tu twojego brata krwi, Rachida. Zostawiłeś go bez pomocy, gdyś zmykał jak tchórzliwy szakal. Wciąż jeszcze żyje.

Dorian poczuł wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz przerażenia.

- To dzielny żołnierz, Zajnie. Daj mu umrzeć z godnością - zawołał.

Przyjaźnił się z Rachidem od dnia, gdy po raz pierwszy zawitał do Saarów. Miał on dwie młode żony i czterech synów; najstarszy był pięcioletkiem.

Wąwozem poniósł się naraz straszliwy krzyk. Krzyk śmiertelnej udręki i furii, przechodzący w łkanie.

- Oto podarek od twego przyjaciela.

638

Zza załomu skały wyrzucono jakiś przedmiot, nieduży, miękki i zakrwawiony.

Wylądował na piaszczystym gruncie przed barykadą.

- Na pewno ci się przyda dodatkowa para jaj, mój drogi bracie! - zarechotał Zajn al-Din. - Weź sobie, Rachid już ich nie będzie potrzebował tam, gdzie go wyślemy!

Wśród Saarów podniósł się wściekły pomruk. Bluznęli przekleństwami. Dorian poczuł pod powiekami szczypiące łzy.

- Przysięgam w imię boskie - zawołał zdławionym głosem - że pewnego dnia uczynię z tobą to samo!

- Och, bracie - odpowiedział Zajn - skoro ten pomiot Saarów tak wiele dla ciebie znaczy, oddam ci go. Lecz przedtem chcę się jeszcze przyjrzeć jego wątrobie.

Rozległ się znowu straszny wrzask. Po chwili zza zakrętu wypchnięty został Rachid, który ruszył na chwiejnych nogach ku barykadzie. Był nagi, a między jego nogami ziała ciemna, ociekająca krwią dziura. Turcy rozplatali mu brzuch.

Wnętrznosci zwisały mu aż do kolan, śliskie i czerwone. Zatoczył się w stronę Doriana z otwartymi szeroko ustami. Z jego gardła wydobył się dziwny, zwierzęcy skrzek. Usta miał także zalane krwią; Zajn musiał mu wyciąć język.

Ranny nie zdołał dotrzeć do barykady, lecz padł na ziemię, zwijając się w przedśmiertnych męczarniach. Dorian przyskoczył do niego z muszkietem w ręce, przystawił lufę do głowy Rachida i strzelił. Czaszka umierającego wojownika rozprysnęła się jak zgniły melon. Na odgłos strzału zza zakrętu wypadli Turcy, zalewając nagle wąwóz niczym sztormowa fala. Dorian skrył się za barykadą.

- Ognia! - rozkazał.

Muszkiety plunęły w atakujących pierwszą salwą.

Przez resztę dnia walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. W wąskim skalnym korytarzu zalegało coraz więcej trupów. Piętrzyły się już niemal na wysokość barykady. Wszystko przesłaniał dym z muszkietów. Strzelający Saarowie musieli walczyć o każdy oddech. Woń prochu mieszała się z metalicznym odorem krwi i gazów z rozerwanymi wnętrznosci. Obrońcy ociekali potem, słone strumyki ciekły im spod zawojów i gryzły w oczy.

Turkom trzykrotnie udało się wdrzeć na barykadę po stopniach ułożonych z własnych zabitych. Trzy razy Dorian ze swymi Saarami zdołał odeprzeć atak.

639

U schyłku dnia zaledwie siedmiu jego ludzi było jeszcze zdolnych do walki, ale każdy odniósł już jakieś obrażenia. W przerwach między atakami odciągali rannych i zabitych do miejsca, gdzie stały wielbłądy. Rannymi nie miał się kto zająć; postawiono więc tylko przy nich bukłak z wodą, żeby napili się ci, którzy jeszcze mieli siłę to zrobić.

Jaubowi, zwanemu Kotem, bojowy topór strzaskał prawy bark. Dorian nie był w stanie zatamować obfitego krwawienia z tętnicy.

- Czas na mnie, żebym cię opuścił, al-Salilu - wyszeptał ranny, dźwigając się na klęczki. - Potrzyj dla mnie miecz.

Dorian nie mógł odmówić ostatniej prośbie umierającego. Zostawił na łasce losu towarzysza jakże wielu potyczek z Turkami. Ze ściśniętym sercem wbił więc ręką w ziemię, a czubek przystawił do piersi wojownika tuż pod mostkiem.

- Błogosławieństwo Allaha i jego Proroka niech zawsze będzie z tobą, przyjacielu - wychrypiał Jaub i opadł na klingę.

Ostrze przebiło go na wylot; umazane krwią wynurzyło się między łopatkami.

Dorian wstał i przyskoczył do barykady akurat w chwili, kiedy kolejna wataha Turków ruszyła do szturm. I tym razem zdołali ich odeprzeć, lecz dwóch następnych Saarów padło w walce.

Miałem nadzieję powstrzymać ich dłużej, pomyślał, opierając się ciężko o zbryzganą krwią barykadę. Liczyłem na to, że dam ojcu więcej czasu na dotarcie do Awamirów. Ale zostało nas zbyt niewiele i to już chyba koniec.

W skalnym korytarzu robiło się coraz ciemniej. Wiedział, że wkrótce Turcy będą mogli podkraść się niezauważeni pod samą barykadę.

- Bin Szibam - wychrypiał do najbliższego z obrońców. Gardło miał zaschnięte z pragnienia i obrzmiałe od krzyku. - Przynieś ostatni bukłak z wodą i wiązki drewna z juków. Napijemy się i rozpalamy ostatnie ognisko.

Skaczące płomienie rzucały na ściany wąwozu migotliwe czerwone światło. Co jakiś czas Saarowie przerzucali płonące polano na drugą stronę barykady, rozpraszając sprzyjającą nieprzyjacielowi ciemność.

Przerwa w walce się przeciągała. Słyszeli głosy Turków za zakrętem i okropne jęki umierających, lecz kolejny atak nie następował. Samotna garstka obrońców siedziała pod ścianą

640

sangar, dopijając ostatnie łyki wody i pomagając sobie wzajemnie opatrzyć rany. Ranni byli już wszyscy. Dorian jednak, chociaż przez cały dzień przebywał w ogniu walki, miał najmniej groźne obrażenia: głębokie rozcięcie z tyłu lewego ramienia i kłutą ranę w lewym barku.

- Ale w prawej wciąż mogę trzymać broń - powiedział do wojownika, który zakładał mu temblak z kawałka sznura. - Słuchajcie, zrobiliśmy tu chyba wszystko, co było w naszej mocy. Jeżeli któryś z was chce teraz odjechać, niech bierze wielbłąda i rusza w drogę, z moim błogosławieństwem i wdzięcznością.

- To dobre miejsce na śmierć - mruknął któryś z Saarów.

- Hurysy w raju byłyby rozczarowane, że nie przyjęliśmy ich zaproszenia - odrzucił propozycję drugi.

Nagle wszyscy jak na komendę podnieśli głowy, nasłuchując z niepokojem. Z góry spadał z łoskotem kamień, skacząc po załamach skały i krzesząc małe iskierki.

- Weszli na górę! - Dorian zerwał się na równe nogi. - Są nad nami, zgaście ogień! - W blasku płomieni byli na pewno doskonale widoczni ze szczytu.

Ostrzeżenie przyszło jednak za późno.

Powietrze wypełniło się nagle potężnym hukiem, jakby wielkiego wodospadu, i runęła na nich lawina kamieni. Niektóre głowy miały rozmiary baryłek z prochem, inne zaledwie ludzkiej głowy, lecz w wąskim przejściu nie było gdzie się schronić przed tą morderczą ulewą.

Trzech Saarów zostało zmiażdżonych pod samą barykadą, dwóch następnych padło podczas ucieczki. Jedyne Dorianowi udało się dotrzeć do wielbłądów. Wskoczył na Ibrisam i klepnął ją w szyję.

- Wstań! - rozkazał, ale kiedy zwierzę się podnosiło, huk kamiennej lawiny nagle ucichł. Turcy przeskoczyli barykadę za jego plecami i dobiwszy w biegu rannych Arabów, popędzili dalej, chcąc go otoczyć.

Dorian uderzył najbliższego w pierś lanca, wbijając ją głęboko w oporna, sprężystą tkankę. Drzewce pękło. Częścią, która pozostała mu w ręce, grzmotnął w twarz kolejnego Turka. Wyciągnął miecz i tnąc przez głowy napastników, usiłujących go ściągnąć z siodła, spał wielbłąda do biegu. Ibrisam wierzgnęła na Turków, którzy zagradzali jej drogę. Potężnymi żółtymi zębami odgryzła jednemu dłoń, drugiemu zmiażdżyła żebra

641

kopnięciem przedniej nogi i skoczyła naprzód, roztrącając pozostałych.

Dorian trzymał się łąku siodła zdrową ręką. Ibrisam pędziła na złamanie karku, pokonując zakręty i załomy przełęczy. Wściekłe krzyki Turków powoli cichły w oddali.

Wąwóz tworzyło wyschnięte koryto strumienia, przez tysiąclecia drażącego kolejne warstwy miękkiej skały. Ciągnął się pośród gór przez prawie milę. Kiedy zostawili wroga za sobą, Ibrisam zmieniła krok na ów lekki kłus, którym pokonywała dystans niemal bez wstrząsów i któremu zawdzięczała swe imię, Jedwabny Wiatr.

Pragnienie, wyczerpanie i wzmagający się ból sprawiły, że Dorian jechał jak w transie. Ściany wąwozu wydawały się ciągnąć w nieskończoność, co jeszcze bardziej go otępiało. Raz niemal zsunął się na ziemię, lecz wielbłądzica poczuła, że jeździec spada, i zatrzymała się raptownie. To trochę go otrzeźwiło i gdy ruszyła dalej, starał się trzymać mocniej w siodle.

Dopiero wtedy poczuł, że krok Ibrisam staje się nierówny. Był jednak zbyt oszołomiony, sam balansując na krawędzi utraty przytomności, żeby się zdobyć na wysiłek zejścia z wierzchowca i zbadania jego kondycji.

Znów zapadł w półsen, a kiedy się z niego otrząsnął, znajdowali się już na otwartym terenie po drugiej stronie przełęczy, w kraju Awamirów. Z położenia księżyca i gwiazd na niebie zorientował się, że jest już dobrze po północy. Panował dotkliwy ziąb, kontrastujący z palącym skwarem dnia. Mokra od krwi i potu szata chłodziła go dodatkowo; drżał cały z zimna i kręciło mu się w głowie. Ibrisam pod nim poruszała się jakoś dziwnie. Skróciła krok i wygięła grzbiet. Zebrawszy resztki sił, zatrzymał ją, zsiadł i kazał jej się położyć.

Pomacał skórzany bukłak u siodła. Był w nim jeszcze niecały galon cuchnącej wody z Ghail Ya Yamin. Wyciągnął z juków wełniany szal i zarzucił na ramiona. Wciąż trzęsąc się z zimna, przystąpił do badania Ibrisa, by dojść przyczyny jej wyczerpania.

Od razu zauważył mokry, lśniący w świetle księżycy zad. Ibrisa miała obfita biegunkę. Płynne odchody zwierzęcia zabarwione były krwią. Dorian poczuł skurcz lęku. Natychmiast

642

zapomniawszy o własnych ranach i bólu, zaczął obmacywać gładkie boki wielbłądzicy. Kiedy dotknął jej brzucha tuż za tylnymi nogami, jęknęła cicho. Dłoń, gdy ją cofnął, miał mokrą od krwi.

Turecka lanca przebiła brzuch Ibrisa, naruszając jej wnętrzości. Była śmiertelnie ranna. To, że doniosła go aż tak daleko, zawdzięczał tylko cudowi miłości i determinacji. Osłabiony i zrozpaczony czuł, że za chwilę wybuchnie płaczem. Odwiązał skórzane wiadro i napełnił je resztką wody z bukłaka. Wypił parę łyków obrzydliwego płynu i klęknął przy głowie wierzchowca.

- Moja kochana, taka dzielna - szepnął, podsuwając jej wiadro. Wychłęptała wszystko chciwie, a gdy skończyła, obwąchała dno. - Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić - powiedział, głaszcząc ją za uszami; uwielbiała tę pieśczoć. - Rano będziesz już martwa, a ja wraz z tobą, chyba że mnie poniesiesz jeszcze odrobinę. Turcy na pewno nas gonią. Poniesiesz mnie ostatni raz? - zapytał. Wstał i zawołał cicho: - Hut! Hut!

Odwrociła głowę i spojrzała na niego. W jej wielkich czarnych oczach czaiła się udręka.

- Hut! Hut! - powtórzył.

Zwierzę stęknęło, zaryczało przeciągle i dźwignęło się na nogi. Dorian wgramolił się na siodło.

Ibrisa ruszyła nierównym krokiem, skurczona z bólu. Jechali śladem pozostawionym przez oddział księcia pośród poszarpanych wzgórz i głębokich wadi, wyschniętych łożysk strumieni. Dorian znów niemal spadł na ziemię. Zebrał siły i przywiązał się do siodła siecią, którą wyjął z juków. Zapadał w drzemkę, budził się i znów zasypiał, powoli tracąc poczucie czasu i kierunku. Jechali tak, umierające zwierzę i ledwie żywy człowiek, aż nastał świt.

Godzinę później, kiedy okrutne słońce zaczęło ich znów smagać biczem spiekoty, Ibrisa padła. Umarła na stojąco, walcząc, by przejść kolejne parę kroków.

Wydała z siebie ostatni basowy jęk i przewróciła się na bok, zrzucając Dodana z siodła.

Stanął na czworakach i podpełzł do cienia rzucanego przez truchło wielbłądzicy. Zmusił się, by nie myśleć teraz o śmierci ukochanego zwierzęcia ani o stracie tyłu wspaniałych wojowników. Musiał skoncentrować ostatek sił i przytomności na przetrwaniu do czasu, kiedy Awamirowie przybędą mu na pomoc.

643

W sypkim gruncie przed sobą widział trop pozostawiony przez liczne wielbłądy. Ibrisa nawet w agonii niosła go wiernie śladem karawany księcia al-Malika, ku oazie Muhaid. Być może ocaliła mu w ten sposób życie, gdyż książę z Batulą musieli wracać tą samą drogą.

Żelazna, zasada przetrwania na pustyni mówiła, że nie należy się oddalać od miejsca, gdzie jest się względnie bezpiecznym, i zapuszczać w głąb pustkowia. Dorian jednak był pewien, że ścigają go Turcy. Zajn al-Din nie pozwoliłby mu umknąć tak łatwo. Wróg musiał być już niedaleko, a jeśli go dopadł przed spotkaniem z odsieczą, mógł oczekiwać równie okrutnego losu, jak ranni Saarowie, pochyceni przez Zajna na przełęczy Bystrej Gazeli.

Musiał więc iść dalej, starając się oddalać od pościgu i zbliżać do Batuli, dopóki starczy sił. Wstał i przyjrzał się jukom, by wybrać rzeczy przydatne w drodze. Zdjął bukłak i podniósł go wysoko obiema rękami, przykładając wylot do ust. Na język spłynęło mu kilka gorzkich kropel. Przełknął boleśnie, gardło miało bowiem mocno opuchnięte, a potem rzucił bukłak na ziemię.

Teraz dokonał przeglądu broni. Miał muszkiet w skórzanym pokrowcu, rożek na proch i woreczek z nabojami. Kolba strzelby wyłożona była macicą perłową i kością słoniową, zamek okuty srebrem. Muszkiet ważył ponad siedem funtów. Zbyt ciężki, uznał. Nie bierę go.

Złamaną lancę pozostawił na przełęczy. Miecz także sporo ważył; wiedział, że z każdą przebytą milą będzie mu ciążył coraz bardziej. Ze smutkiem odpiął pas i upuścił go na ziemię. Zatrzymał tylko sztylet, którego mógł potrzebować, kiedy przyjdzie koniec. Był ostry jak brzytwa. Ostrzył go sam, aż w końcu mógł nim golić rude włoski na przedramieniu. Kiedy osacza go Turcy, padnie na klingę jak Jaub, wybierając szybką śmierć zamiast tortur, kastrowania i patroszenia. Spojrzał na padła wielbłądzicę i powiedział:

- Poproszę cię jeszcze tylko o jedno, moja kochana.

Przyklękł i otworzył jej brzuch sztyletem. Nabrał w dłoń zawartość żołądka, wycisnął z niej płyn i wypił. Był gorzki od żółci i Dorian z trudem powstrzymał wymioty. Wiedział jednak, że to jedyny sposób, by odzyskać nieco sił przed marszem w piekielnym upale.

Opatrzył sobie na nowo rany. Odkrył, że krwawienie ustało

644

i uformowały się czarne strupy. Potem zaciągnął paski sandałów i owinał sobie głowę dla osłony przed słońcem. Nie oglądając się na Ibrisa, ruszył po śladzie księcia i Batuli, ku horyzontowi drżącemu w mirażu niebieskiej mgiełki.

Mniej więcej po godzinie przewrócił się po raz pierwszy. Nagle ugięły się pod nim nogi i padł na twarz. Usta wypełniła mu sucha, kredowa ziemia i niemal się zadławił, usiłując ją wypluć. Nie miał zupełnie śliny i przy każdym oddechu wciągał do płuc pył.

Udało mu się usiąść. Zaniósł się kaszlem i tylko dzięki temu wysiłkowi nie popadł w omdlenie. Wytarł twarz końcem keffija; wargi miał suche i ani śladu potu na twarzy. Wysiłkiem woli zmusił się do wstania. Choć się zataczał i omal znów nie upadł, poczuł się odrobinę mocniejszy.

Powlókł się dalej. Słońce raziło go w oczy, zdając się wnikać do wnętrza czaszki i doprowadzać mózg do wrzenia. Kiedy przełykał, skóra warg rozdzierała mu się jak pergamin, wypełniając usta metalicznym smakiem krwi.

Ból i pragnienie zaczęły powoli ustępować. Ogarniał go podobny do snu stan, w którym nie czuło się już niczego. Słyszał muzykę, melodyjną i słodką. Stanął i rozejrzał się błędnym wzrokiem. Zobaczył Toma i Jasmini, stojących razem na grzbiecie wzgórza. Oboje śmiali się i machali do niego.

- Nie bądź dzieciuchem, Dorry! - zawołał Tom.

- Chodź do nas, Doui. - Jasmini tańczyła jak delikatny elf; jej suknie wirowały. Zapomniał już, jaka jest ładna. - Chodź tu, Doui, zabiorę cię na Drogę Anioła. Pobiegł chwiejnie, powłócząc nogami, a para na wzgórzu pomachała mu jeszcze raz i zniknęła za wierzchołkiem. Miał wrażenie, że przy każdym kroku zapada się głęboko w piasek. Potykał się o kamienie i wymachiwał ramionami, żeby nie upaść, lecz w końcu dotarł na górę i spojrzał w dolinę przed sobą.

Zaskoczony, zobaczył zielone drzewa obwieszane dojrzałymi czerwonymi owocami i trawiaste łąki, zbiegające do skrzacej się tafli jeziora. Toma nie było, ale nad wodą stała Jasmini. Była naga. Miała gładkie, smukłe ciało i skórę o ślicznym złocistym odcieniu. Przetykane srebrem włosy opadały jej aż do pasa. Poprzez ich lśniąca kurtynę wyzierały wstydliwie piersi o kształcie drobnych jabłek.

- Doui! - zawołała głosem słodkim jak poranny śpiew pustynnego drozda. - Doui, tak długo na ciebie czekałam!

645

1

Chciał do niej bieć, nogi jednak ugięły się pod nim i upadł. Nie miał siły nawet podnieść głowy.

- Pozwól mi pospać, Jasmini - poprosił, lecz z obrzmiałego gardła nie wydobył się dźwięk, a język wypełniał mu całe usta, przyschnięty do podniebienia.

Zmusił się z trudem do otwarcia oczu i ogarnęło go przejmujące poczucie straty. Jasmini i jeziora nie było. Przed sobą miał tylko dzikie odludzie, kamienie, piasek i cierniste krzewy. Przekręcił się na plecy i spojrzał za siebie.

Zobaczył oddział tureckiej kawalerii, pięćdziesięciu jeźdźców na szybkich wielbłądach. Mieli do niego jeszcze ze dwie mile, ale zbliżali się szybko. Wiedział, że tym razem to nie fatamorgana.

Przeczołgał się kawałek na czworakach i udało mu się wstać. Choć kolana się pod nim ugięły, zwalczył słabość i zaczął schodzić ze zbocza. Pochyłość pomogła mu przebierać nogami.

Znowu rozległa się muzyka; tym razem jednak płynęła jakby z niebios. Usłyszał śpiew setek głosów, a kiedy podniósł oczy, ujrzał anielskie chóry, otaczające słońce. Były tak promieniste, że raziły go w oczy, niczym refleksy gigantycznego diamentu.

- Przybądź do Boga! - śpiewały anioły. - Poddaj się Jego woli!

- Tak - zdołał wymamrotać. Własny głos dobiegał doń z bardzo daleka. - Tak, jestem gotowy.

I kiedy to powiedział, wydarzył się cud. Bóg pojawił się przed nim. Wysoki, w śnieżnobiałej szacie, ze złotą aureolą słońca wokół głowy. Miał piękne oblicze; szlachetne, urodziwe i promieniujące wielkim współczuciem. Bóg uniósł prawą dłoń w geście błogosławieństwa, a jego oczy spoglądały na Doriana z miłością. Poczuł, jak boska siła wypełnia jego ciało i przenika duszę poczuciem nieskończonej świętości i czci. Padł na kolana i z nową mocą zakrzyknął:

- Zaświadczam, że nie ma Boga ponad Jednego Boga, a Mahomet jest jego Prorokiem! Piękne boskie oblicze jaśniało dobrotliwie. Wysoka postać postąpiła ku Dorianowi, podniosła go z klęczek i przytuliła do piersi, całując w poczerwiałe i krwawiące wargi.

- Mój synu! - przemówił Bóg głosem księcia al-Malika. - Przyjąłeś nareszcie wiarę, jedyną i prawdziwą! W moje serce wstąpiła radość. Teraz prorocтво wypełniło się do końca. Dziękuję Allahowi, że znaleźliśmy cię w porę.

646

Dorian osunął się w objęcia al-Malika, a książę zawołał do swoich ludzi:

- Wody! Batula, daj mu wody!

Batula wycisnął z gąbki świeżą słodką wodę do ust swego pana. Potem umieścili go w lektyce przygotowanej w przewidywaniu tej chwili. Kilku wojowników umocowało ją na grzbiecie jucznego wielbłąda.

Póллеżąc w kołyszącej się lektyce, Dorian odwrócił głowę na bok i spod obrzmiałych powiek spojrział przekrwionymi oczami na słońce przez równinę szeregi Awamirów.

Wtem na grzbiecie wzgórza pojawił się nieprzyjacielski patrol. Turcy wstrzymali wielbłądy i stojąc w obłoku pyłu, patrzyli ze zdumieniem i nagłym przestraszaniem na armię w dole.

Z arabskich gardeł wzbił się w niebo potężny okrzyk:

- Allahu akbar!

Opuściwszy lance, ruszyli do ataku. Turcy rzucili się do ucieczki.

Dorian opadł na posłanie. Zamknął powieki i pozwolił, by ogarnęła go ciemność. Oddziały Awamirów, wylewające się z przełęczy Bystrej Gazeli na słoną równinę, liczyły niemal sześć tysięcy wojowników. Turków nie było w zasięgu wzroku - ich zwiadowcy donieśli o przewadze liczebnej Arabów i otomańska armia wycofała się na północ, do Maskatu.

U podnóża przełęczy al-Malik zarządził postój, chcąc sprawić godny pochówek wojownikom Saarów, którzy zginęli podczas jej obrony. Dorian był jeszcze zbyt słaby, żeby się podnieść z posłania, lecz kilku żołnierzy zaniósło go w poblizkie mogiły. Po raz pierwszy w życiu modlił się jak muzułmanin, odmawiając razem ze wszystkimi modlitwę za zmarłych.

Następnie armia ruszyła dalej, docierając przez słone pustkowia do gorzkich źródeł Ghail Ya Yamin. Oczekiwali tam już Saarowie, którzy wzmocnili książęce siły trzema tysiącami lanc.

Wieczorem do namiotu Doriana przybyli szejkwowie Saarów, pragnący usłyszeć szczegółową relację z bitwy na Bystrej Gazeli. Gdy opowiadał, jak umierali kolejni wojownicy, słuchacze przyrywali mu okrzykami podziwu. Ojcowie i bracia poległych bohaterów ronili łzy dumy.

647

- Na Allaha, zginąć w takiej walce to dla Rachida wielkie szczęście!

- Bóg mi świadkiem, Salim to dzielny człowiek!

- Allah na pewno przygotował miejsce w rajku dla mego syna Mustafy!

Pałali żądzą walki i odwetu, krew bowiem mogła zostać zmyta tylko krwią.

Spluwając w piasek, przysięgali zemstę Zajnowi al-Dinowi i Turkom, a Dorian w głębi serca powtarzał przysięgę razem z nimi.

Odwiedzali go potem co wieczór, chcąc słuchać opowieści wciąż od nowa.

Poprawiali go, jeśli opuścił choćby jeden szczegół, błagali, by wydobywał z

pamięci każdy strzał i cios, żeby powtarzał słowo w słowo wszystko, co każdy z Saarów mówił przed śmiercią.

Po kilku dniach odpoczynku w Ghail Ya Yamin armia ruszyła dalej na północ, pokonując kolejny etap drogi do Maskatu. W każdej oazie i za każdą górską przełęczą przyłączały się do nich następne plemiona: Balhafowie i Afarowie; Bait Kathirowie i Harasisowie. Kiedy dotarli do Muqaibary, książe al-Malik miał już pod swym dowództwem piętnaście tysięcy wojowników. Kolumny maszerujących po pustyni oddziałów rozciągały się na przestrzeni dziesięciu mil.

Batula opowiedział w sekrecie jednemu ze swych towarzyszy historię cudownego nawrócenia Dorian na islam. Żaden Arab nie potrafił zachować tajemnicy, szczególnie o tak doniosłym znaczeniu, i wkrótce opowieść powtarzano przy każdym obozowym ognisku. Żołnierze recytowali słowa proroctwa świętego Taimtaima, gdyż wielu widziało je na własne oczy na ścianie jego grobowca. Rozprawiali o nim w nieskończoność, klnąc się na Boga, że al-Salil istotnie jest sierotą z przepowiedni, że jego obecność gwarantuje im zwycięstwo nad Turkami i kalifem, że jeszcze przed nadejściem ramadanu osadzą emira Abd Muhammada al-Malika na Słoniowym Tronie w Maskacie.

Podczas tygodni marszu z Ghail Ya Yamin do Muqaibary obrażenia Dorian się zagoiły. Sprzyjało temu suche powietrze pustyni, wolne od zgniłych miazmatów wywołujących gangrenę. Kiedy już wydobrzeł, książe wezwał go do siebie. Jechał przez obozowisko, a wojownicy wiwatowali na jego cześć. Wokół otwartego namiotu al-Malika zgromadziła się wielka ich liczba.

648

- Daj mi swoje błogosławieństwo, ojcze - poprosił Dorian, klękając przed al-Malikiem.

- Masz je, a także moją wdzięczność i jeszcze o wiele więcej - odrzekł książe i klasnął w dłonie.

Po chwili Batula wprowadził cztery piękne, starannie wybrane wielbłądy. Każdego z nich zdołał bogaty rząd i przytroczone do grzbietu muszkiet, lanca i miecz w skórzanych pochwach.

- To mój podarek dla ciebie - rzekł książe. - Chcę ci odplacić choć w niewielkim stopniu stratę, jaką poniosłeś, broniąc Bystrej Gazeli.

- Doceniam twoją szczodrość, ojcze, lecz nie oczekiwałem nagrody za coś, co było moim świętym obowiązkiem.

Al-Malik klasnął ponownie. Dwie stare kobiety z plemienia Saarów, z zasłoniętymi szczelnie twarzami, złożyły u stóp młodzieńca zwój jedwabiu.

- To matki Rachida i Salima, wojowników, którzy zginęli na przełęczu - wyjaśnił książe. - Błagały mnie o zaszczyt uszycia i ozdobienia haftem twojego bojowego proporca.

Kobiety rozwinęły jedwab na ziemi przed namiotem. Proporzec miał sześć stóp długości. Na lazurowym tle widniało wyhaftowane srebrną nicią proroctwo świętego Taimtaima. Jego foremne litery biegły zgrabnymi zawijasami po jedwabiu, jak prądy i wiry tworzące się na powierzchni bystrego, błękitnego strumienia.

- Ojcze, przecież to jest proporzec szejka - zaprotestował Dorian.

- Od dziś nim jesteś - uśmiechnął się z upodobaniem książe. - Nadaję ci tę godność i wiem, że będziesz nosił ją z honorem.

Dorian wstał, wznosił proporzec wysoko nad głowę i wybiegł z nim na słońce. Tłum wojowników rozstępował się przed nim, wznosząc okrzyki i strzelając na wiwat, a flaga sunęła przez powietrze jak wijący się błękitny wąż. Okrążywszy namiot, Dorian wrócił pod baldachim i skłonił się przed księciem.

- To wielki dla mnie zaszczyt, panie.

- Szejku al-Salilu - odparł władca - chcę, żebyś w nadchodzącej bitwie dowodził lewą flanką. Poprowadzisz pod swym proporcem cztery tysiące lanc.

Dorian wyprostował się i spojrzał księciu poważnie w oczy.

- Ojcze, czy mogę z tobą pomówić na osobności? - zapytał.

649

Al-Malik skinął głową. Kazał opuścić boki namiotu, a al--Allamie z resztą świty wyjść na zewnątrz. Zostali sami.

- O co mnie chcesz poprosić, synu? - Książe nachylił się ku niemu. - Dostaniesz wszystko, czego sobie zażyczysz.

Dorian w odpowiedzi rozpostarł lazuruwą chorągiew i przesunął palcem po haftowanych słowach przepowiedni.

- Złączy na powrót rozdzielone piaski pustyni - przeczytał na głos.

- Mów dalej - zmarszczył brwi książe. - Na razie nie pojmuję, do czego zmierzasz.

- Jak sędzę, święty Taimtaim nałożył na mnie pewien obowiązek. Kiedy mówi o piaskach pustyni, ma zapewne na myśli tutejsze plemiona, wciąż podzielone i wojujące ze sobą.

- Tak może być w istocie. - Al-Malik pokiwał głową. - Choć większość szejków przyłączyła się do nas, Masakarowie, Harthowie i Bani Bu Hasanowie dążą w dalszym ciągu w surmy wojenne dla kalifa Jaauba i Wielkiej Porty.

- Pozwól mi więc się do nich udać, pod tym proporcem - poprosił Dorian. - Niech ujrzą barwę moich włosów i także przypomną sobie prorocstwo. Jeżeli Allah będzie łaskawy, dziesięć tysięcy lanc przejdzie na naszą stronę.

- Nie! - zatrwożył się książe. - Masakarowie to podstępne plemię. Wypatroszą cię i przywiążą do słupa w upale. Nie mogę się zgodzić na takie ryzyko.

- Walczyłem przeciwko nim - rzekł cicho Dorian. - Muszą mi oddać szacunek jako honorowemu wrogowi. Jeżeli udam się do nich sam i oddam w ich władanie jako podróżny, nie odważą się sprzeniewierzyć nakazowi Proroka. Będą musieli mnie wysłuchać.

Książę z nieszczęśliwą miną gładził nerwowo brodę. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Dorian ma rację. Prorok nałożył na wiernych obowiązek okazywania gościnności. Prawo to nakazywało chronić każdego, kto zjawił się pośród nich jako gość.

- Mimo wszystko nie mogę pozwolić, żebyś się tak narażał - powiedział w końcu.

- Warto zaryzykować jedno życie - nie ustępował młody szejek - gdy stawka jest dziesięć tysięcy wojowników więcej po naszej stronie. Nie odmawiaj mi, ojczu, tej sposobności wypełnienia słów przepowiedni.

Al-Malik westchnął ciężko.

- Jakżeby Masakarowie mogli się oprzeć twojej elokwen-

650

cji - rzekł - skoro ja nie potrafię. Jedź zatem do nich, al-Salilu, jako mój emisariusz. Przysięgam jednak na ruda brodę Proroka, że jeśli cię tkną choćby palcem, posypie się tyle głów, że sępy całej Arabii nie będą mogły z obżarstwa wznieść się w powietrze.

O zachodzie następnego dnia książe siedział samotnie na skalistym wierzchołku niewysokiego wzgórza ponad oazą. Z obozowiska wyruszyły cztery wielbłądy i minawszy go, skierowały się na północ, w purpurowy zmierzch. Pierwszego z wierzchowców dosiadał Dorian, prowadząc za sobą luzaka. Batula jechał za nim, także prowadząc wielbłąda na zmianę.

Obaj mieli zasłonięte twarze. Dorian spojrział ku wierzchołkowi i zasalutował księciu wzniesioną lancą. Al-Malik uniósł dłoń w geście błogosławieństwa, a potem patrzył długo, jak odjeżdżają w pustynną głuszę. Na jego twarzy malowały się smutek i troska. Gdy wreszcie wstał, nad głową miał przepysznie rozgwieżdżone niebo. Zaczął powoli schodzić w dół, ku setkom obozowych ognisk, rozświetlających całą rozległą dolinę Mu-aaibara.

Z nastaniem chłódów, kiedy wiatr zaczął wiać od morza w miesiącu poprzedzającym ramadan, armia księcia Abd Mu-hammada al-Malika stanęła u wrót Maskatu. Wojska tureckie i plemion lojalnych wobec kalifa ustawiały się naprzeciw niej w bitewnym szyku.

Al-Malik siedział ze swym sztabem pod skórzanym baldachimem na wzniesieniu ponad równiną. Przyłożywszy do oka mosiężną lunetę, patrzył, jak nieprzyjacielskie oddziały wychodzą na pozycje. Środek zajmowali Turcy; na przedzie kawaleria konna, za nią jeźdźcy na wielbłądach.

- Ilu ich jest? - zapytał swoich generałów. Zaczęli dyskutować, jakby liczyli kozy na targu.

- Samych Turków dwanaście tysięcy - orzekli w końcu.

Środek nieprzyjacielskiej armii lśnił stalą i brązem; zielone chorągwie Wielkiej Porty trzepotały w morskiej bryzie. Kawaleria podjechała do linii ataku i zastygła w zwartej masie, gotowa ruszyć z kopyta.

- A Masakarowie? - zapytał książe. - Ilu ich? Stali na lewej flance; ciżba wielbłądów i ludzi, niespokojna i ruchliwa jak chmara ptactwa.

- Sześć, siedem tysięcy - powiedział szejek Harasisów.

- Jeśli nie więcej - dorzucił inny.

Al-Malik przeniósł spojrzenie na prawą flankę. Zobaczył czarne zawoje i chusty na twarzach, charakterystyczny strój Bani Bu Hasanów i Harthów. Ich wojowników, prawdziwych wilków pustyni, było nie mniej niż Masakarów.

Al-Malik przełknął kolejny raz podchodzącą mu do gardła gorycz rozczarowania i zniechęcenia. Wróg przewyższał ich liczbą niemal dwukrotnie. Al-Salilowi nie powiodła się próba przeciągnięcia północnych plemion na stronę Omanu. Odkąd przed dwoma księżycami opuścił obóz w Muqaiarze, nie było od niego wieści. Książę od początku czuł w głębi serca, że się przeliczyli, że nie powinien był nigdy posyłać przybranego syna do nieprzyjaciół. Codziennie oczekiwał z drżeniem przerażającego podarunku od Masakarów, skórzanej sakwy z odciętą rudowłosa głową w środku. Choć tego straszliwego trofeum jak dotąd nie otrzymał, świadectwo porażki miał przed sobą. Niemal piętnaście tysięcy arabskich lanc po stronie wroga.

Raptem w tureckich szeregach zaczęło się jakieś poruszenie. Wzdłuż pierwszej linii przegalopowali posłańcy z rozkazami otomańskiego dowództwa, po czym głos rogu dał sygnał do rozpoczęcia szarży. Turecka kawaleria ruszyła naprzód; szereg za szeregiem lśniących w słońcu kolczug i końskich rzędów. Formacje Arabów pozostały jednak w miejscu, tworząc wyrwy w linii ataku. Było to tak niezwykle i zaskakujące, że książę z nowym zainteresowaniem podniósł do oka lunetę.

Posłańcy pędzili teraz od tureckiego dowództwa ku Arabom. Wymachiwali rękami i ponaglali ich, żeby ruszyli wreszcie do ataku i zapełnili niebezpieczną lukę w szeregach.

Arabskie flanki drgnęły wreszcie, lecz zamiast jechać przed siebie, zawróciły w lewo i w prawo, kierując się w stronę Turków, zdeorientowanych nieoczekiwanym rozwojem wypadków.

- Boże miłosierny! - szepnął al-Malik, patrząc na to z zapartym tchem i bijącym mocno sercem.

Na środku pierwszej linii Masakarów zaczęła się rozwijać chorągiew trzymana przez wysokiego jeźdźca na wielbłądzie miodowej maści. Proporzec był niebieski, pokryty srebrzystym haftem. Wojownik pochylił lancę w stronę tureckich wojsk i odrzucił z głowy keffija, odsłaniając długą grzywę złotorudych włosów.

- Allahu akbar! Chwalcie Boga! - zakrzyknął al-Malik. - Al-Salilowi się powiodło! Zbuntowane plemiona poparły naszą sprawę!

Patrzył zdumiony, jak arabskie formacje zamykają Turków z obu stron niczym w stalowych kleszczach. Po chwili otrząsnął się i wydał rozkaz:

- Naprzód! Na wroga!

Rozległo się bicie bojowych bębnow, do których dołączył przenikliwy, naglający dźwięk rogów. Armia południa, z Awa-mirami i Saarami w centrum, ruszyła do ataku. W niebo wzbiła się potężna chmura pyłu i przesłoniła słońce.

Dorian pędził pośrodku pierwszej linii, z sercem przepełnionym radością. Aż do tej chwili nie był do końca pewien, czy szejkowie Masakarów dotrzymają słowa i zwrócą się przeciwko Turkom.

Jego rączy wierzchowiec wysforował się przed innymi jeźdźców, dotrzymywał mu kroku tylko Batula, galopujący o długość lancy z tyłu.

Wśród tureckiego wojska wznagało się zamieszanie i niepewność. Większość żołnierzy patrzyła w głąb doliny, skąd nadciągała armia al-Malika. Jedynie ci najbliżsi prawego skrzydła dostrzegli niebezpieczeństwo i odwracali się, żeby stawić czoło atakowi.

Masakarowie runęli na Turków w pełnym galopie, zderzając się z nimi tarcza w tarczę i ciało w ciało. Dorian upatrzył sobie jednego z wrogów, ogromnego Turka w łańcuszkowej kolczudze. Mężczyzna z wściekłą i przerażoną twarzą usiłował zapanować nad znarowionym koniem. Młody szejek opuścił ostrze lancy i pochylił się nisko w siodle. Pod okiem Batuli nauczył się przebijać w pełnym galopie rzucony w powietrze melon. Celował teraz w miejsce nieosłonięte kolczuga, pod lewą pachę Turka.

Drzewce szarpnęło się w rękach Doriana i grot przeszył precyzyjnie pierś tamtego, zatrzymując się dopiero na kolczudze po drugiej stronie. Impet

uderzenia wyrwał Turka z siodła. Zawisł na chwilę bezwładnie w powietrzu, wierzgając nogami.

Lanca opadła pod ciężarem, mężczyzna zsunął się z niej i potoczył po ziemi. Dorian poderwał oręż i poszukał następnej ofiary. Tym razem siła uderzenia niemal wyrwała mu broń z ręki, lecz stalowy grot utkwiał mocno w gardle tureckiego

653

żołnierza. Ten chwycił drzewce obiema rękami, usiłując je wyrwać z ciała; umarł jednak, nim zdołał to uczynić. Zsunął się z siodła, a jego oszalały ze strachu koń powlókł go po ziemi.

Batula rzucił Dorianowi zapasową broń. Ten złapał ją zgrabnie i, przedłużony ruch, wbił kolejnemu przeciwnikowi w brzuch.

W pierwszych minutach dzikiej arabskiej szarży szeregi Turków zostały rozerwane z dwóch stron. Nie zdążyli się jeszcze pozbierać po tym ataku, kiedy od frontu runęło na nich wojsko al-Malika.

Obydwie armie zwały się ze sobą, tworząc potężny ludzki wir siekających i kłujących, wrzeszczących i umierających mężczyzn. Zgiełk był ogłuszający. Walka nie trwała jednak długo, przewaga Arabów była bowiem miażdżąca, a ich bitewna furia zupełnie dzika. Atakowani od skrzydeł i od frontu, Turcy zaczęli oddawać pole, Arabowie zaś, wietrząc zwycięstwo, osaczali ich niczym stado wilków rannego wielbłąda. Szarpali z wyciem nieprzyjacielskie szeregi, aż w końcu rozbili je w puch i bitwa zmieniła się w krwawą jatkę.

Szaleńcza szarża Dorianą poniosła go w głąb wrogiej formacji. Przez pewien czas byli z Batula w rozpaczliwym położeniu, odcięci od swoich i otoczeni Turkami ze wszystkich stron. Druga lanca pękła młodemu szejkowi w rękach i dobywszy miecza, siekł z furją, aż całe ramię miał unurzane w tureckiej krwi.

Raptem bojowy duch we wrogich szeregach wyraźnie osłabł, jeźdźcy zaczęli zwracać wierzchowce i wycofywać się. Niektórzy, widząc szarżujących Arabów, porzucali broń i puszczali się galopem w panicznej ucieczce.

- Za nimi! - ryknął Dorian. - Nie dajcie im uciec! Dobić ich!

Dwie armie, wymieszane jak woda z oliwą, płynęły razem przez równinę. Arabowie z dzikim wyciem wymachiwali bronią, zamieniając bitwę w druzgoczące zwycięstwo, Turcy zaś niemal się już nie bronili. Niektórzy zeskoczywszy z koni, klękali w pył, błagając o litość. Arabscy wojownicy przebijali ich w pędzie lancami, a potem zwracali, by ogołocić trupy z wszystkiego, co wartościowe.

Dorian wysunął się na czoło pogoni. Ujrzał, że również turecki sztab, porzuciwszy wszelką myśl o oporze, uczestniczy w tym rozpaczliwym odwróceniu.

Generał i wszyscy jego oficerowie-

654

wie popędzali co sił swoje wierzchowce, uciekając w kierunku miasta. Al-Salil jednak chciał w tej masie nieprzyjaciół dopaść już tylko jednego człowieka.

- Gdzie jest Zajn? - zawołał do Batuli. Widział go wcześniej, kiedy turecka armia wylewała się poza bramy Maskatu. Zajn al-Din był wśród tureckich dowódców; jechał tuż za generałem. W półzbroi i z opuszczoną lanca wyglądał, jakby już za chwilę zamierzał ruszyć do ataku. Towarzyszył mu Abubaker, jego wierny zausznik z czasów pobytu w zenana w Łamu. Abubaker wyrósł na wysokiego, szczupłego mężczyznę z sumiastym wąsem i także miał na sobie pełny rynsztunek wojownika. Chociaż obaj jechali niedaleko Dorianą, żaden nie rozpoznał go wśród Masakarów, gdyż dosiadał nieznanego im wielbłąda, a twarz i włosy miał zasłonięte. -

Widziałeś go? - krzyknął Dorian ponownie. Wskoczył nogami na siodło i stanął na nim wyprostowany, balansując bez trudu na galopującym wierzchowcu. Z tej wysokości powiódł wzrokiem po równinie, zalanej masą uciekających Turków oraz luźnych koni i wielbłądów, których właściciele zginęli pod ciosami atakujących. - Tam jest! - Dorian osunął się na siodło i ponaglił wielbłąda do galopu.

Zajn al-Din jechał pół mili przed nim, na tym samym gniadym ogierze, co rano.

Opasły korpus trudno było pomylić z innym, podobnie jak złoty sznur podtrzymujący błękitną keffija.

Dorian zmuszał wielbłąda do najwyższego wysiłku, doganiając i przeganiając kolejnych Turków, wśród nich wysokich rangą oficerów. Nie zwracał jednak na nich uwagi i niczym gepard goniący upatrzoną gazelę zbliżał się szybko do Zajna al-Dina.

- Bracie! - zawołał, znalazłszy się o długość konia za nim. - Zatrzymaj się na moment! Mam coś dla ciebie!

Zajn obejrzał się przez ramię. Pęd powietrza strącił mu chustę z głowy; jego długie ciemne włosy i broda powiewały na wietrze. Przerazenie powlokło jego twarz barwą zjełczałego masła z wielbłądziego mleka. Dorian był tuż za nim. Galopował z mieczem w dłoni, a jego twarz, zbryzgana krwią zabitych wrogów, wykrzywił bezlitosny barbarzyński uśmiech.

Zajn al-Din, sparaliżowany strachem, trzymał się kurczowo łąku siodła, nie spuszczać oczu z przyrodniego brata. Dorian zrównał się z nim i wznosił broń wysoko nad głowę. Zajn, krzyknawszy przeraźliwie, puścił swój uchwyt i zleciał z siodła.

655

Grzmotnął o twardą ziemię i potoczywszy się jak spuszczone ze zbocza kamień, legł nieruchomo, niczym kłęb zakurzonych szmat.

Dorian powściągnął wielbłąda i stanął przy leżącym. Zajn dzwignął się na kolana. Twarz miał poszarzałą od pyłu, policzek obtarty do krwi. Podniósł wzrok na młodego szejka.

- Oszczędź mnie, al-Salilu - wybełkotał. - Dam ci, co, zechcesz.

- Rzuć mi swoją lancę! - zawołał Dorian do Batuli, nie odrywając spojrzenia od nikczemnego oblicza przeciwnika.

Giermek cisnął mu oręż, a Dorian przystawił grot do piersi Zajna. Ten zaczął płakać; łzy zostawiały ciemniejsze smugi na pokrytych kurzem policzkach.

- Mam lakh rupii, bracie. Jeżeli darujesz mi życie, to wszystko będzie twoje, klnę się na Allaha. - Jego tłuste wargi drżały, z kącików ust ciekła ślina.

- Pamiętasz, co zrobiłeś z Rachidem na przełęczy Bystrej Gazeli? - zapytał ponuro Dorian, wychylając się z siodła i patrząc mu z bliska w oczy.

- Niechaj mi Bóg wybaczy - załkał Zajn. - To było w gorączce bitwy. Nie wiedziałem, co czynię. Przebac mi, bracie!

- Żałuję tylko, że się ciebie brzydzę, inaczej wyciąłbym ci jaja, tak jak uczyniłeś to z moim przyjacielem. Wolałbym jednak dotknąć jadowego węża. -

Dorian splunął z obrzydzeniem. - Nie zasłużyłeś, by umrzeć od lancy, jak wojownik, lecz w moim współczuciu pozwolę ci na taką śmierć. - Pchnął lekko długie drzewce i szpic lancy przebił skórę na tłustej piersi Zajna al-Dina. W tym momencie pierworodny syn księcia odnalazł jedyne słowa, które mogły powstrzymać nieubłagany gniew przyrodniego brata i ocalić mu życie.

- W imię człowieka, który jest moim i twoim ojcem - zawołał - w imię miłości do księcia al-Malika, okaż mi miłosierdzie!

Wyraz twarzy Doriana nagle się zmienił. Cofnął czubek lancy o cal.

- Domagasz się osądzenia przez ojca, którego niecnie zdradziłeś. Dobrze więc. Obaj wiemy, że rezultatem tego sądu musi być pętla na szyi. Skoro wybierasz taki koniec, zamiast godnej śmierci, jaką ci proponuję, to zgoda. Niech i tak będzie.

656

Podniósł lancę i wsunawszy ją do skórzanej pochwy przy siodle, zawołał Batulę.

- Zwiąż temu świniojadowi ręce za plecami - rozkazał, gdy giermek doń podjechał - a pętlę załóż mu na szyję.

Batula zeskoczyła na ziemię i szybko skrępować ręce Zajna, przekładając pętlę na końcu sznura przez jego głowę. Drugi koniec podał Dorianowi, który uwiązał go do łąku siodła.

- Wstawaj! - rozkazał, szarpiąc linę. - Zabieram cię przed oblicze księcia.

Zajn zerwał się na nogi i powłókł, potykając się co chwila, za wierzchowcem młodego szejka. W pewnej chwili stracił równowagę i przewrócił się, lecz jego poskromiciel nawet się nie obejrzał ani nie zwolnił. Kiedy nieszczęsnemu tłuściochowi udało się wstać, szatę miał w strzępach, a kolana poobcierane do żywego mięsa. Zanim przebyli milę skąpanej we krwi równiny, pokrytej tureckimi trupami jak plaża po sztormie wodorostami, złote sandały Zajna rozleciały się i musiał iść boso. Sznur wrzynał mu się w szyję. Dusząc się i krztusząc, z obrzmiała i pociemniała z braku tchu twarzą, nie miał już nawet siły błagać o litość.

Kiedy księżę Abd Muhammad al-Malik dotarł na czele swych oddziałów do bram Maskatu, mieszkańcy miasta i członkowie dworu kalifa Jaąuba otworzyli je przed nim i wylegli mu na spotkanie. Rwali na sobie odzienie i posypywali głowy

popiołem i ziemią na znak skruchy, klękając przed jego koniem i błagając o zmiłowanie, przysięgając mu lojalność aż po grób i witając z pokorą jako nowego kalifa Omanu.

Al-Malik siedział na koniu z kamienną twarzą, w szlachetnej i władczej pozie. Gdy jednak wystąpił z tłumu wezyr starego kalifa, trzymając przerzucony przez ramię skórzany, zaplamiony krwią wór, twarz księcia posmutniała. Wiedział, co znajduje się w środku.

Wezyr wytrząsnął zawartość wora w połowie drogi. Pod kopyta księżęcego rumaka potoczyła się głowa kalifa Jaquba. Zmatowiałe oczy patrzyły w przestrzeń, broda była zmierzwiona i brudna jak u ulicznego nędzarza, a pokrwawione wargi obsiadł natychmiast rój much.

Książe przez chwilę wpatrywał się posępnie w obciętą głowę, potem podniósł spojrzenie na wezyra.

657

- Chciałeś sobie zaskarbić mą przychylność, mordując mojego brata i przynosząc mi to żałosne trofeum? - rzekł groźnie.

- O wielki panie, uczyniłem tylko to, co, jak sądziłem, cię ucieszy - wyjąkał wezyr, poblądły i drżący. Al-Malik skinął na szejka Awamirów, który stał u jego boku.

- Zabij go - rozkazał.

Mężczyzna wychylił się z siodła i jednym cięciem miecza rozplątał głowę wezyra aż po podbródek.

- Potraktujcie szczątki mojego brata z należytym respektem i przygotujcie je do pogrzebu o zachodzie słońca - rzekł książe do swej świty. - Sam poprowadzę modlitwy o zbawienie jego duszy.

Następnie powiódł wzrokiem po tłoczących się wokół obywatelach Maskatu.

- Wasze miasto jest od dziś moim miastem - obwieścił. - Jego lud jest moim ludem. Na mocy mego dekretu, jako nowego kalifa, Maskat nie będzie splądrowany. Jego kobiety są mocą mego słowa chronione przed gwałtem, a jego bogactwa przed grabieżą. - Podniósł dłoń w geście błogosławieństwa i dodał: - Kiedy złożycie mi hołd poddaństwa, wszystkie wykroczenia i przestępstwa przeciwko mojej osobie zostaną wam darowane i zapomniane.

Po tej przemowie wjechał do miasta i wkroczywszy do sali tronowej pałacu kalifa, zajął miejsce na Słoniowym Tronie Omanu, wyrzeźbionym w całości z olbrzymich kłów.

Stu dostojników usiłowało uzyskać posłuchanie u nowego kalifa, sto spraw najwyższej wagi państwowej oczekiwało na jego decyzje. Lecz najpierw kazał posłać po szejka al-Salila. Kiedy Dorian skłonił się przed tronem z kości słoniowej, al-Malik zszedł ze stopni, podniósł go i wziął w objęcia.

- Myślałem, że nie żyjesz, mój synu - rzekł - a gdy zobaczyłem twój porządek nad szeregami Masakarów, moje serce oszalało z radości. Zawdzięczam ci tak wiele, że trudno to ogarnąć myślą. Gdybyś nie przeciągnął plemion północy na naszą stronę, nie wiem, jak potoczyłyby się losy bitwy. Możliwe, że nie siedziałbym dziś wcale na tym Słoniowym Tronie.

- Ojczyzna, pojąłem podczas bitwy jeńca z otomańskiej armii - powiedział Dorian. Skinął na Batulę, który stał w głębi sali tronowej wraz

658

z innymi dostojnikami. Giermek zbliżył się do nich, prowadząc na sznurze Zajna al-Dina.

Odzienie księżęcego syna było poszarpane, zabrudzone ziemią i zaschniętą krwią, włosy i brodę miał ubielone pyłem, a bosa stopy, niczym u pielgrzyma, poobcierane do krwi, toteż al-Malik zrazu go nie poznał. Zajn postąpił chwiejnie w jego stronę i padł mu do stóp, szlochając i drżąc na całym ciele niczym obity bezpieczki pies.

- Przebacz mi, ojczyzna - załkał piskliwie. - Przebacz moją straszliwą głupotę. Jestem winien zdrady i nieuszanowania twej osoby. Jestem winien zachłanności. Zwiedli mnie na manowce źli ludzie.

- Jakże to? - zapytał książe lodowato.

- Wysoka Porta obiecała mi Słoniowy Tron, jeżeli zwrócę się przeciwko tobie. Byłem słaby i głupi. Żałuję tego z całego serca i jeśli każesz mnie stracić,

będę wynosił pod niebiosa moją miłość do ciebie, gdy życie będzie ulatywać z mego ciała.

- W pełni zasługujesz na taką śmierć - powiedział książę. - Przez całe życie doświadczałeś jedynie mej miłości i dobroci, a odpłaciłeś za to zdradą i pohańbieniem rodziny.

- Błagam, daj mi jeszcze jedną szansę, żebym mógł dowieść mojej miłości i oddania dla ciebie, ojczu. - Zajn, cały zaśliniony i usmarkany, przypadł, szlochając, do sandałów księcia.

- Radość dzisiejszego dnia została już zmacona śmiercią mojego brata Jaauba. Popłynęło aż nadto krwi - rzekł al-Malik w zadumie. - Wstań, Zajnie al-Dinie. Daruję ci życie, lecz jako zadośćuczynienie musisz odbyć pielgrzymkę do Mekki i także tam błagać o wybaczenie. Nie pokazuj mi się na oczy, dopóki nie powrócisz oczyszczony z grzechów.

Zajn podniósł się ciężko.

- Niechaj cię Allah błogosławi, panie, za twe współczucie i łaskawość.

Przekonał się, że moja miłość jest jak potężna rzeka płynąca po wsze czasy. - Płaszcząc się, kłaniając i zapewniając bełkotliwie o swojej lojalności i posłuszeństwie, Zajn cofał się aż do wyjścia z komnaty, a potem odwrócił i przepchnąwszy przez tłum, zniknął za rzeźbionymi drzwiami z kości słoniowej. Dziesiątego dnia po triumfalnym wkroczeniu do Maskatu i tydzień przed początkiem ramadanu książę Abd Muhammad al-Malik został uroczystie koronowany na kalifa.

Ceremonia

659

odbyła się w pałacu, a na ulicach miasta wiwatowały na cześć nowego władcy tłumy mieszkańców. Większość plemion pustyni rozjechała się już, gdyż wojownicy źle się czuli w zamkniętych murach i spieszo im było powrócić do osad przy oazach, rozsiadanych po całym Omanie. Złożywszy księciu przysięgę lojalności, wyruszyli kolejno, prowadząc ze sobą wielbłądy objuczone łupami, które zdobyli na rozgromionej armii tureckiej.

Ci, którzy pozostali, przyłączyli się do hucznej zabawy na ulicach. Na każdym placu i suku płonęły ogniska, na których pieczono całe tusze wielbłądzie i baranie. Dęto w rogi i walono w bębny, mężczyźni tańczyli, a kobiety w czadorach przyglądały im się z górnych pięter ciasno stłoczonych domów.

Nowy kalif przemaszerował ulicami w uroczystej procesji, zatrzymując się co kilka kroków, by wziąć w objęcia kogoś z wojowników walczących po jego stronie. Tłum wznosił okrzyki, strzelał na wiwat i bił przed nim pokłony. Kalif powrócił do pałacu dopiero po północy. Był z nim szejk al-Salil, towarzyszący mu przez cały ten dzień.

- Zostań przy mnie jeszcze trochę - polecił mu książę, kiedy stanęli pod drzwiami jego sypialni.

Wziął Doriana pod ramię i poprowadził na balkon, z którego roztaczał się widok na morze i miasto. Docierały do nich odległe odgłosy zabawy, płomienie ognisk wydobywały z mroku mury i sylwetki tańczących.

- Winien ci jestem wyjaśnienie, dlaczego okazałem łaskę Zajnowi - powiedział wreszcie kalif.

- Niczego mi nie jesteś winien, panie - zaprotestował młody szejk. - To ja zawdzięczam wszystko tobie.

- Wiem, że Zajn al-Din zasłużył na surowszą karę. To zdrajca. Widziałem też, jak obszedł się z twoimi towarzyszami na przełęczy.

- Moje zmartwienia nic nie znaczą - odparł Dorian. - Mój gniew budzi jedynie to, jak potraktował ciebie, i pewność, że kogoś dnia spróbuje tego znowu.

- Uważasz więc, że jego skrucha była fałszywa?

- On pragnie Słoniowego Tronu. Byłbym szczęśliwszy, wiedząc, że przytuliłeś do swej piersi skorpioną, a w łóżku masz jadowitą kobrę.

- Zajn to mój najstarszy syn - westchnął smutno kalif. - Nie mogłem rozpocząć rządów od zgładzenia go. Lecz wiem, że

660

ściągnąłem przez to nad twoją głowę wielkie zagrożenie, nienawidzi cię bowiem z całego serca.

- Potrafię się obronić, ojczu.

- Dowiodłeś tego nieraz - uśmiechnął się łagodnie al--Malik. - Przejdźmy teraz do innych kwestii. Mam dla ciebie kolejne zadanie. Tak jak poprzednie, jest trudne i niebezpieczne.
- Wystarczy, że wydasz rozkaz, Wasza Wysokość.
- Wiesz zapewne, jak wielkie znaczenie dla dobrobytu naszego ludu ma handel z plemionami z głębi Afryki. Dzięki niemu z ubogich nomadów staliśmy się narodem żeglarzy i kupców.
- Wiem, ojcze.
- Dziś otrzymałem wiadomość od sułtana Zanzibaru. Nad handlem z Afryką zawisło poważne niebezpieczeństwo. Zagrożona jest dalsza egzystencja naszych głównych portów, Zanzibaru i Łamu.
- Z jakiej przyczyny?
- Po szlakach handlowych między Wielkimi Jeziorami i Wybrzeżem Malarycznym grasuje banda rzezimieszków. Plądrują nasze najlepsze tereny.
- Zapewne są to zbuntowane czarne plemiona? - zapytał Dorian.
- Być może. Wiemy, że są wśród nich czarni; możliwe jednak, że rabusiami dowodzą niewierni Frankowie.
- Z jakiego kraju? Kalif wzruszył ramionami.
- Tego nie wiemy. Pewne jest tylko jedno: zaciekle atakują nasze karawany niewolnicze. Straciliśmy już niemal cały roczny dochód ze sprzedaży niewolników, nie licząc olbrzymich ilości złota i kości słoniowej z interioru.
- Czego ode mnie oczekujesz, ojcze?
- Zaopatrzę cię w firman z moją pieczęcią i otrzymasz insygnia generała moich wojsk. Dostaniesz tylu ludzi, ilu będziesz potrzebował; tysiąc, dwa tysiące? Popłyniesz na południe, do Łamu, a potem wyprawisz się w głąb kontynentu, żeby położyć kres tym rozbojom.
- Kiedy mam wyruszyć?
- Chcę, żebyś pożegłował, gdy księżyc stanie w nowiu pod koniec ramadanu.

661

Flotylla szejka al-Salila, Nagiego Miecza, rzuciła kotwicę u brzegów Łamu przy pełni księżyca w miesiącu ramadanu. W jej skład wchodziło siedem wielkich morskich dhow, które przewiozły tysiąc dwustu żołnierzy kalifa. O świcie Dorian udał się na brzeg, by przedstawić swój firman ksiąźęcemu komendantowi miasta i uzgodnić z nim warunki pobytu i zaopatrzenia swego wojska. Potrzebował dla ludzi kwater na lądzie, żeby dobrze odpoczęli po morskiej podróży, a także świeżej żywności, koni i jucznych wielbłądów. Pustynne wielbłądy nie wytrzymałyby długo w wilgotnym i malarycznym klimacie wybrzeża, podobnie jak przywiezione z północy arabskie konie. Musiał zapewnić swym wojownikom zahartowane wierzchowce, wyhodowane na wybrzeżu i odporne na afrykańskie choroby. Trzy dni zabrał mu transport żołnierzy i całego ekwipunku na brzeg. Całe dni spędzał na nabrzeżu lub w nowo zbudowanym obozie ponad plażą. Trzeciego dnia wieczorem wracał z obozu do miasta w towarzystwie dwóch swoich kapitanów i Batuli. Kiedy mijali bramy fortu, ktoś go zawołał imieniem z dzieciństwa: - Al-Amhara! Rozejrzał się, rozpoznał bowiem głos, chociaż nie słyszał go od wielu lat. Zobaczył starą kobietę w czadorze, przycupniętą w bramie meczetu po drugiej stronie uliczki. - Tahi? - zapytał. - To ty, stara matko? - Chwała Allahowi! Bałam się, że mnie sobie nie przypomnisz! Dorian najchętniej podbiegłby do niej i uściskał serdecznie, byłoby to jednak poważnym naruszeniem uświęconych zwyczajów. Nie wypadało mu robić tego publicznie. - Czekaj tu - powiedział. - Ktoś po ciebie przyjdzie. Kiedy znalazł się w swojej kwaterze, w skrzydle fortu oddanym mu do dyspozycji przez komendanta, posłał Batulę, by przeprowadził starą służącą przez bramę. Tahi, przekroczywszy próg, natychmiast zrzuciła zasłonę z twarzy i podbiegła do niego. - Mój chłopczyk, moja dziecina - szlochała z radości. - Jak ty wyrosłeś! Masz brodę i oczy sokoła, ale poznałabym cię nawet na końcu świata. Jesteś już mężczyzną i w dodatku szejkiem!

Dorian przytulił ją mocno do piersi.

662

- A cóż to za srebrne nitki tu widzę, mateczko? - Poglądził ją ze śmiechem po włosach. - Lecz i tak wciąż jesteś piękna.

- Stara już jestem. Ale twój uścisk przywraca mi młodość.

- Usiądźmy. - Poprowadził ją na wyłożony dywanami taras i posłał służącego po szербet i misę daktyli w miodzie.

- O tyle rzeczy chciałabym cię zapytać. - Tahī pogładziła go po policzku. - Mój piękny chłopiec, który wyrósł na pięknego mężczyznę! Musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co się z tobą działo od wyjazdu z Łamu.

- Musiałbym gadać przez całą noc - zaprotestował Do-rian, patrząc na staruszkę z uśmiechem.

- Mam czas na słuchanie do końca życia - odparła. Odpowiadał więc po kolei na wszystkie jej pytania, z trudem powstrzymując te, które jemu cisnęły się na usta. Jego opowieść dobiegła jednak wreszcie końca.

- No i, jak widzisz, kalif kazał mi teraz przyjechać do Łamu, za co dziękuję Allahowi, gdyż dzięki temu znów mogłem ujrzeć twoją kochaną twarz. - Oblicze starej opiekunki pobruździły głęboko liczne troski i trudy życia, a włosy miała całkiem siwe, lecz jego miłość do niej wcale nie zmalała. - Powiedz mi teraz, jak ci się wiodło przez ten cały czas - poprosił.

Opowiedziała mu o swoim życiu w zenana, gdzie główny eunuch Kusz kierował ją do najcięższych posług.

- Ale przynajmniej miałam dach nad głową i jedzenie, za co dziękuję Bogu - zakończyła.

- Musisz teraz zamieszkać ze mną - powiedział Do-rian. - Będę mógł wreszcie się odwdziaczyć za całą twoją miłość i dobroć. - Tahī łkała ze szczęścia, on zaś, niby od niechcenia, zadał wreszcie pytanie, na które odpowiedzi tak bardzo się obawiał: - A jak tam mała Jasmini? Chyba wyrosła już na kobietę i dawno wyjechała do Indii, żeby zostać żoną tego książątka?

- Gdzie tam. Zmarł na cholerę, zanim była gotowa do wyjazdu - odrzekła Tahī, obserwując go uważnie spod oka.

Dorian pociągnął łyk szербetu, usiłując ukryć przed nią swe prawdziwe uczucia.

- Pewnie znaleźli jej już innego szlachetnie urodzonego kandydata na męża? - zapytał cichym głosem.

- Tak - przyznała Tahī. - To emir Al Bil Khai z Abu Dabi. Bogaty starzec, który ma pięćdziesiąt konkubin, lecz

663

tylko trzy żony. Najstarsza zmarła przed trzema laty. --Dostrzegła w jego zielonych oczach smutek i rezygnację.

- Kiedy za niego wyszła?

- Jasmini jest zaręczona, ale jeszcze nie poślubiona. - Tahī zrobiło się żal młodzieńca. - Ma popłynąć do narzeczonego, kiedy wiatr zmieni kierunek i znów powieje kusi. Na razie mieszka jeszcze w zenana, tutaj w Łamu. Jest bardzo smutna.

- Jasmini jest w Łamu? - Spojrzał na nią zdumiony. - Nic o tym nie wiedziałem.

- Zaledwie dziś rano spotkałam ją przy fontannie w ogrodzie. Wie, że przypłynęłaś. Wszyscy w zenana to wiedzą. Szkoda, że nie widziałeś oczu Jasmini, kiedy mówiła o tobie. Błyszczały jak gwiazdy w Wielkim Krzyżu. Kocham al-Amhare, powiedziała, jak brata i jeszcze bardziej. Muszę zobaczyć go ten ostatni raz, zanim zostanę żoną starca i na zawsze zniknę świata z oczu.

Dorian zerwał się z dywanu i przeszedł na koniec tarasu. Stał bez ruchu, patrząc na zatokę i swoje dhow na kotwicy. Czuł przypływ dziwnego uniesienia, jak gdyby koło jego losu obróciło się po raz kolejny. Przez lata pustynnego życia pamięć o Jasmini przygasła, odrzucał jednak konsekwentnie propozycje Saarów pragnących znaleźć mu żonę wśród córek szejków. Aż do dziś dnia nie wiedział, na co czy na kogo czeka. A czekał na wspomnienie dziewczynki o twarzy małpki i figlarnym uśmiechu.

Po chwili uświadomił sobie, jak wiele stoi mu na drodze, i poczuł konsternację. Jasmini była zamknięta w murach zenana i zaręczona z innym mężczyzną. Przed Allahem była jego siostrą; wiedział, że karą za kazirodztwo jest okrutna śmierć. Jeśli pohańbi dziewicę z królewskiego rodu i sprofanuje święte prawa zenana,

nawet kalif nie będzie mógł go ocalić przed śmiercią przez ukamienowanie lub ścięcie. Na myśl o tym, co mogliby zrobić z Jasmini, przeszył go dreszcz. Pamiętał bowiem opowieści o tym, jak Kusz traktuje swoje podopieczne, którym zdarzyło się złamać reguły. Mówiono o tym w tajemnicy. Podobno jedna z dziewcząt umierała cztery dni, a jej krzyki przez cały ten czas nie pozwalały nikomu zasnąć.

- Nie mogę jej narażać - powiedział głośno do siebie, obejmując się za ramiona, targany sprzecznymi uczuciami. - A z drugiej strony nie potrafię się oprzeć porywowi serca. Co ja mam zrobić?

664

Uderzył pięścią w ścianę z nieociosanego koralu. Ból sprawił mu dziwną przyjemność.

Wrócił do Tahī, siedzącej cierpliwie na dywanie.

- Zaniesiesz jej wiadomość ode mnie? - zapytał.

- Wiesz, że tak. Co mam jej powiedzieć, mój synu?

- Powiedz, że dziś o wschodzie księżyca będę czekał na końcu Drogi Anioła.

Po zapadnięciu zmroku, nie biorąc ze sobą nawet Batuli, osiodłał konia i odziany w obszerny burnus, z zasłoniętą twarzą, pogalopował na północ. Pamiętał każdą ścieżkę i strumyk, każdy zagajnik i mokradło.

Zatoczywszy krąg przez palmowe gaje, ujrzał przed sobą mury zenana, wysokie, masywne i ciemne. Odnalazł zrujnowaną rotundę i uwiązał konia w pobliskiej kępie krzewów. Nie spodziewał się, żeby ktokolwiek przechodził o tej porze drogą drwali, ludzie bowiem byli przesadni i bali się dzina, leśnego ducha.

Wdrapał się po zwalonym murze, przedarł przez gęste krzaki i znalazł w spodkowanym wnętrzu ruiny. Wyjście z tunelu zarosło przez lata i widać było, że nikt go nie używał.

Usiadł na koralowym bloku, skąd mógł mieć oko zarówno na tunel, jak i na ewentualnych intruzów z zewnątrz. Nie musiał czekać długo. Niebo na wschodzie pojaśniało, a potem księżyc wspiął się ponad wierzchołki palm i zalał ruinę srebrzystą poświatą.

Usłyszał ciche kroki i od wylotu tunelu doleciał go szept:

- Doui, jesteś tam? - Jej głos miał teraz matową barwę. Dorian poczuł na przedramionach gęsią skórkę; zjeżyły mu się włoski na karku.

- Tutaj, Jassie.

Gałęzie się rozchyliły i w świetle księżyca ukazała się dziewczyna. Miała na sobie prostą białą tunikę i zawój z czadorem na głowie. Od razu spostrzegł, jaka jest wysoka, smukła i giętka niczym winorośl. Chód miała drobny i niespokojny, niczym spłoszona gazela. Zobaczyła go i stanęła jak wryta, a potem podniosła powoli rękę i ściągnęła z twarzy zasłonę.

Dorian otworzył usta ze zdumienia. Jasmini już nie była dzieckiem. W świetle księżyca wyglądała pięknie i kobieco. Miała delikatną twarz elfa, o wysokich kościach policzkowych

665

i wielkich ciemnych oczach. Jej pełne wargi rozchylały się w uśmiechu, ukazując równe białe zęby. Wstał i także odsłonił twarz.

- Ależ jesteś wysoki - szepnęła zaskoczona. - I ta broda... - przerwała zmieszana.

- A ty wyrosłaś na piękną kobietę.

- Tak za tobą tęskniłam. Codziennie... - nagle podbiegła do niego, a Dorian wziął ją w objęcia. Drżała na całym ciele, łkając cicho.

- Nie płacz, Jassie. Proszę, nie płacz już.

- Jestem taka szczęśliwa - chlipnęła. - Jak jeszcze nigdy w życiu.

Usiadł na koralowym głazie i pociągnął ją za sobą. Przestała płakać i odsunęła się od niego na długość ramienia.

- Wieści o tobie docierały nawet do zenana - powiedziała. - O tym jak stałeś się wielkim wojownikiem, jak wspaniale walczyłeś w górach i jak wraz z naszym ojcem zwyciężyłeś w straszliwej bitwie pod Maskatem.

- Nie sam przecież - uśmiechnął się, przesuwając delikatnie palcem po jej wargach. Zaczęli rozmawiać z wielkim ożywieniem, przerywając sobie wzajemnie i przeskakując z tematu na temat. - Co się stało z twoją małpką Dżinni? - zapytał w pewnej chwili.

W oczach dziewczyny błysnęły łzy.

- Dżinni nie żyje - szepnęła. - Kusz złapał go w swoim drogocennym ogrodzie i zatłukł na śmierć łopata. Przysłał mi ciało w podarunku...

Dorian zmienił temat, zaprzatając jej uwagę przyjemniejszymi wspomnieniami i wkrótce znowu śmiała się perliście. W końcu oboje zamilkli nagle, a Jasmini opuściła wzrok. Nie patrząc na niego, zapytała nieśmiało:

- Pamiętasz, jak zabrałeś mnie nad morze i jak się kapaliśmy? Wtedy jedyny raz w życiu opuściłam zenana.

- Pewnie, że pamiętam - odparł chrapliwie.

- Zabierzesz mnie dzisiaj jeszcze raz? - spojrzała mu w oczy. - Proszę, Doui, zrób to.

Poszli ku morzu, trzymając się za ręce. Pusta plaża połyskiwała w świetle księżyca. Palmy rzucały na piasek ciemno-fioletowe cienie, a woda lśniła oleiście niczym czarna macica perłowa.

Od ich ostatniego tutaj pobytu płytką jaskinię pogłębiły

666

potężne fale przypływu. Przystanęli przy wejściu i spojrzeli na siebie.

- Czy to, co my robimy, to jest grzech? - zapytała Jasmini.

- Jeżeli nawet, to nie dbam o to - odparł. - Wiem tylko, że cię Kocham i dla mnie bycie z tobą nie jest grzechem.

- Ja też cię Kocham - powiedziała. - Choćbym żyła sto lat, nie potrafiłabym kochać nikogo bardziej.

Odwiązała wstążkę na karku i jej tunika opadła na piasek. Została tylko w jedwabnych pantalonach.

Dorianowi zaparło dech. Jasmini miała pełne piersi o ciemnych, sterczących sutkach, a skórę gładką i połyskliwą jak wnętrze muszli.

- Kiedyś się ze mnie naśmiewałeś, że jestem podobna do małpki - szepnęła głosem na wpół wyzywającym, na wpół zalęknionym, jakby się obawiała, że ją odepchnie.

- Już nie będę - odzyskał wreszcie mowę. - Nie widziałem nigdy czegoś równie pięknego.

- Tak się bałam, że ci się nie spodobam, Doui. Chcę ci się podobać. Powiedz, że mnie lubisz!

- Kocham cię - odpowiedział. - Chciałbym, żebyś była moją kobietą i żoną.

Roześmiała się radośnie i ujawszy jego dłonie, położyła je sobie na piersiach. Były ciepłe i prężne. Sutki, gdy wziął je delikatnie w palce, stwardniały jeszcze bardziej.

- Jestem twoja. Zawsze byłam - rzekła Jasmini. - Nie wiem, jak to się robi, ale dziś w nocy chcę być twoją żoną.

- Jesteś tego pewna, ukochana? Jeżeli inni się dowiedzą, okryjesz się hańbą i czeka cię straszna śmierć.

- Życie bez ciebie to śmierć jeszcze gorsza od tego, co może wymyślić Kusz.

Wiem, że to nie będzie na zawsze, ale daj mi chociaż tę jedną noc. Pokaż mi jak, Doui; proszę, pokaż, jak mam to robić.

Rozpostarł więc na piasku swoją szatę i położył na niej dziewczynę. Powoli, pieszcząc się delikatnie, szepcząc słowa miłości i zachwytu, wydając ciche okrzyki zaskoczenia, dotarli do pojedynczego, długiego spazmu; najpierw bólu, a potem wszechogarniającej radości, która uczyniła ich kochankami.

W ciągu następnych dni Doriana pochłonęły całkowicie przygotowania do wyprawy w głąb kontynentu Afryki. Nabył

667

większość dostępnych w Łamu jucznych wielbłądów i koni pod wierzch i posłał trzy dhow do Zanzibaru w celu uzupełnienia zakupów. Zadbał także o zapasy ziarna i zaopatrzył się w towary na wymianę.

Każdego dnia spędzał wiele godzin na rozmowach z przewodnikami karawan i kupcami, którzy doświadczyli napaści i grabieży. Chciał się dowiedzieć jak najczęściej o tożsamości bandytów, ich liczbie, uzbrojeniu i stosowanych metodach ataku. Po podliczeniu strat poniesionych do tej pory przez handlarzy przeżył szok. Skradziono im ogółem ponad trzy laki rupii w złotym piasku, dwadzieścia siedem ton słoniowych kłów i niemal piętnaście tysięcy dopiero co pojmanych niewolników. Kalif miał wszelkie powody do niepokojów.

Relacje na temat samych bandytów otrzymywał skąpe i sprzeczne. Niektórzy twierdzili, że to biali, wspierani tylko przez czarnych wojowników z łukami i dzidami. Inni utrzymywali, że to wyłącznie dzicy, którzy napadają nocami na karawany rozłożone obozem. Jeden z kupców opowiedział mu, że jego wyprawa została schwytana w zasadzce za dnia. Napastnicy zabrali wszystkich niewolników, a arabską eskortę wymordowali. Uratował się tylko on sam. Kolejny twierdził, że rozbójnicy ogołocili karawanę ze wszystkiego co wartościowe, lecz ludzi puścili wolno.

Dorian uzmysłowił sobie, że nie pozna jasnego obrazu sytuacji ani sposobu działania bandy. Pewne było wyłącznie jedno: napastnicy wyłaniali się niespodziewanie z dżiczy wokół szlaków karawan i znikali w niej ponownie bez śladu, niczym leśne dżiny.

- Co w takim razie robią z niewolnikami? - dopytywał się młody szejka. Arabowie wrzuszali tylko ramionami. - Muszą ich przecież gdzieś sprzedawać? - nie ustępował. - Żeby przetransportować tak wielką liczbę ludzi, musieliby dysponować całą flotą!

Na całym Wybrzeżu Malarycznym nikt nie widział podobnej floty, odpowiadali kupcy.

Cała sprawa intrygowała go coraz bardziej, lecz brakowało mu informacji, na których mógłby oprzeć skuteczny plan działania. Tymczasem mógł się skupić co najwyżej na zapewnieniu karawanom ochrony, żeby zapobiec całkowitemu upadkowi handlu. W obliczu tak poważnych strat żaden z Arabów

668

handlujących w Łamu i Zanzibarze nie chciał finansować dalszych wypraw.

Dorian zamierzał wypowiedzieć rozbójnikom regularną wojnę. Tropić ich niczym dzikie zwierzęta, za jakie tych bandytów uważał, odnaleźć kryjówki w dżungli i wytrzebić do cna. Musiał do tego celu zaangażować wszystkich zwiadowców i przewodników snujących się po mieście z braku zajęcia.

Z rozpoczęciem kampanii trzeba było poczekać do zmiany pogody, bo pora deszczów jeszcze się nie skończyła. Nadmorskie niziny mokły w nieustających ulewach i Wybrzeże Mala-ryczne w pełni zasługiwało na swą złowrogą reputację. Chciał jednak być gotowy, gdy tylko aura się odmieni i znów powieje kusi.

Myśl o powrocie kusi wywoływała zawsze obraz Jasmini. Z nadejściem tego wiatru także i ona miała odpłynąć - na północ, na swoje zaślubiny. Kiedy to sobie uświadamiał, bezsilny gniew i oburzenie pęczniały mu w trzewiach. Przemysliwał nad napisaniem do kalifa z prośbą o zwolnienie córki z danego słowa. Zastanawiał się nawet, czy nie wyznać al-Malikowi swej miłości do niej i nie poprosić o dyspensę na ich małżeństwo.

Spotykali się co wieczór. Kiedy przedstawił jej ten pomysł, dziewczyna wpadła w przerażenie.

- Nie myślę o sobie, Doui - rzekła drżącym głosem - lecz jeśli nasz ojciec się domyśli, że kochamy się jak mężczyzna z kobietą, to mimo całej jego miłości do ciebie honor każe mu przedstawić sprawę mułkom. Zostaniesz osadzony wedle praw szarijatu. Wyrok może być tylko jeden, dla nas obojga. Nie, Doui, tym sposobem nic nie zdziałasz. Nasz los jest w rękach Boga, a on nie zawsze okazuje miłosierdzie.

- Wobec tego zabiorę cię stąd - oświadczył Dorian. - Weźmiemy najlepszy dhow i najlepszych z moich ludzi i osiadziemy gdzieś daleko, gdzie będziemy mogli żyć razem.

- Nie ma takiego miejsca na ziemi - odparła smutno Jasmini. - Oboje należymy do wyznawców islamu i w całym muzułmańskim świecie nie byłoby dla nas miejsca. Jesteś teraz człowiekiem wysoko postawionym, niedługo może staniesz jeszcze wyżej. Kocha cię ojciec, kochają cię twoi ludzie. Nie zgodzę się, żebyś to wszystko odrzucił tylko z mojego powodu.

Większość cennego czasu, jaki im jeszcze pozostał, trawili na podobnych rozmowach o swym tragicznym położeniu. Leżeli

669

objęci i szeptali w nieskończoność, a potem, nie widząc drogi wyjścia z sytuacji ani możliwości ucieczki, kochali się z niemalże dziką namiętnością, jak gdyby chcąc w ten sposób odpędzić wiszące nad głowami przeznaczenie.

Przed świtem Dorian odprowadzał dziewczynę do wyjścia z tunelu. Jasmini całowała go tak, jakby robiła to po raz ostatni i Droga Anioła wracała do zenana. Przez cały dzień była potem senna i blada. Zaczęło to w końcu niepokoić jej przyjaciół i służbę; wszyscy bowiem lubili ją i znali jako osobę wesołą i towarzyską. Nic, co się działo w tym zamkniętym świątku, nie mogło także oczywiście ujść uwagi Kusza.

Ta skażona rozpaczą idylla miłości ciągnęła się tygodniami. Nieubłaganie zbliżał się czas, w którym monsun miał zmienić kierunek. Przygotowania do ekspedycji na kontynent były niemal na ukończeniu; przygotowania do ślubu Jasmini także. Wiano panny młodej przesłano już z Maskatu do Abu Dabi. Jej ślubna wyprawa została spakowana i oczekiwała załadunku na dhow, który miał powieźć dziewczynę wiele mil od domu, do innego haremu, gdzie pozostać miała już do końca życia.

- Nie pozwolę na to! - wściekał się Dorian. - Wyrwę cię z tego, choćbym miał stracić wszystko inne.

- Nie, Doui, nie zgadzam się. Będziesz miał w przyszłości wiele żon, zdobędziesz chwałę i szczęście. Ja tu nic nie znaczę.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zależy mi tylko na tobie.

- Wobec tego już nigdy nie przyjdę do ciebie Droga Anioła. Jeśli mi nie przyrzekniesz, że zapomnisz o tych szalonych pomysłach, nigdy się już nie zobaczymy. Musisz mi to przysiąc, Doui.

- Nie mogę.

- W takim razie już się nie spotkamy. - Widział w jej oczach zdecydowanie.

- Proszę, Jassie, nie możesz przecież być dla nas tak okrutna!

- Pokochaj się ze mną ten ostatni raz.

- Nie, ja nie mogę żyć bez ciebie!

- Jesteś silny. Poradzisz sobie. Kochaj się ze mną. Daj mi coś, co będę mogła wspominać, co mi pomoże przetrwać.

Rozstali się potem jak zwykle u wejścia do tunelu. Jasmini pobiegła wąskim korytarzykiem, nic niemal nie widząc przez łzy. Kiedy wygramoliła się z otworu w posadzce grobowca, na

670

jej ramieniu zacisnęła się jakaś silna dłoń. Dziewczyna wrywała się i kopała, lecz Kusz trzymał ją bez trudu, śmiejąc się jej w twarz.

- Czekałem na to od wielu lat, ty mała ladacznico - powiedział z satysfakcją. - Wiedziałem, że pewnego dnia wpadniesz w moje ręce. Zawsze byłaś bezczelna i krnąbrna.

- Zostaw mnie! - krzyknęła. - Puszczaj!

- O nie - zaśmiał się Kusz. - Teraz już jesteś moja. Już nigdy w życiu nie sprzeciwisz się moim rozkazom. Reszta kobiet usłyszy twoje wrzaski; będą się kurczyć ze strachu w swoich łóżkach i zapamiętają raz na zawsze, jaka jest cena grzechu!

- Mój ojciec i mój przyszły mąż ukarzą cię, jeśli mi zrobisz krzywdę!

- Twój ojciec ledwie już pamięta, kim jesteś. Ma wiele córek i żadna z nich nie jest kurwą. A twój narzeczony nigdy nie wpuści do swojej zenana nadgryzionego i nadpsutego owocu. Nie, moja mała, teraz należysz już tylko do Kusza.

Eunuch zaniósł Jasmini do niewielkiego domku przy cmentarzu, na tyłach ogrodów, oddzielonego od reszty zenana kolczastym żywopłotem.

Czekało tam już dwóch jego pomocników. Byli jak on eunuchami, wielkimi i tłustymi, lecz silnymi. Znali doskonale procedurę wymierzania kary i przygotowali wszystko zawczasu.

Kusz położył dziewczynę na twardym drewnianym stole i zaczął ją rozbierać.

Wszyscy trzej uśmiechali się wyczekująco; odziani tylko w przepaski biodrowe, pocili się obficie w małej dusznej celi. Obmacywali ciało Jasmini, głaszcząc jej smukłe kończyny, obwąchując włosy i szczypiąc gładkie piersi, a kiedy już była naga, przywiązali ją za kostki nóg i przeguby do deski blatu. Leżała rozciągnięta, nie mogąc się ruszyć. Kusz stanął pomiędzy jej nogami, uśmiechając się niemal dobrotliwie.

- Zostałaś przyłapana na nierządzie - rzekł. - Wiemy, kim jest mężczyzna, lecz tak się składa, że ma on zbyt silną pozycję, żebyśmy mogli wymierzyć sprawiedliwość także jemu. Kara dla niego będzie wiadomość o twoim losie. Dla

reszty świata za murami umrzesz na malarię. O tej porze roku to zwykła rzecz. Postaram się jednakże, żeby twojemu kochankowi
671

szeptnięto do ucha, jaka jest prawda. Do końca życia będzie go prześladowała świadomość, że skazał cię na tak szczególny rodzaj śmierci.

Wciąż uśmiechnięty, pochylił się i położył swoją tłustą dłoń na jej intymnym miejscu, głaszcząc miękką kępę ciemnych włosów między udami.

- Z pewnością już słyszałaś, co dzieje się z występnyimi dziewczętami, które się znajdują w tym pomieszczeniu - stwierdził. - Lecz na wypadek, gdybyś nie wiedziała, wyjaśnię ci wszystko w trakcie pracy.

Skinął na jednego z eunuchów, który podszedł do niego z drewnianą tacą. Leżały na niej dwie małe paczuszki, długości palca, zawinięte w skręcony na obu końcach delikatny papier ryżowy, o kształcie ryby. Lśniły w świetle oliwnej lampy, papier został bowiem mocno natłuszczony baraním łojem.

- Każda zawiera pięć uncji proszku chili - oznajmił Kusz. - Sam ją wyhodowałem w moim ogródku. To najostrzejszy gatunek; sok z moich owoców wypali dziurę nawet w ustach mieszkańca Indii, przez całe życie karmionego najmocniejszym curry. Mieląc wysuszone owoce na proszek, musiałem chronić dłonie w rękawiczkach z koziej skóry.

Nagle wepchnął w nią głęboko swój pulchny palec wskazujący.

- Jedna paczuszka do tej słodko pachnącej dziurki z przodu - zachichotał.

Jasmini krzyknęła z bólu i upokorzenia. Kusz wyciągnął palec i wsunął go w drugi otwór. - A druga do tej ciemniejszej jamki z tyłu - powiedział. Wycofał rękę i obwąchawszy palec, skrzywił się, spoglądając na pomocników. Tamci zarechotali z uciechy.

Eunuch wziął jedną paczuszkę do ręki. Jasmini patrzyła na niego przerażona, szarpiać więzy.

- Trzymajcie ją za nogi - mruknął do pomagierów. Jeden z nich rozchylił szeroko kolana dziewczyny. Kusz rozgarnął jej jedwabiste włoski i rozdzielił miękkie wargi pod spodem. - No proszę, al-Amhara już przetarł mi drogę i ułatwił pracę - szepnęła. Z nabytą przez lata praktyki wprawą wsunął natłuszczony pakiecik do jej wnętrza. - Z przodu zrobione - rzekł, wycierając palce o przepaskę biodrową. - Teraz tył.

Wziął z tacy drugą paczuszkę. Pomocnik wsunął dłonie pod ciało Jasmini i chwyciwszy mocno jej pośladki, brutalnie je rozchylił. • . •"

672

Dziewczyna gryzła wargi i zęby miała już czerwone od krwi. Wykręcała swe gibkie złociste ciało, na ile pozwalały na to rzemienie. Łzy ściekały jej we włosy.

Kusz wolną ręką pomacał ją między pośladkami.

- Otwórz szerzej - rozkazał. - Tak, teraz lepiej. Słodka i ciasna. Płacz Jasmini przeszedł w ostry przeraźliwy pisk.

- O, tak - cieszył się Kusz. - Aż do końca. Dokąd tylko zdołam dosięgnąć. -

Odsunął się o krok. - No, sprawa załatwiona. Teraz zwiążcie mocno jej kolana i kostki, żeby nie mogła wypchnąć moich cukiereczków.

Pomocnicy szybko dokończyli pracę i stanęli, przyglądając się z satysfakcją rezultatowi.

- Skończcie kopać grób dla tej małej wywłoki - polecił.

Mężczyźni wyszli. Po chwili z cmentarza zaczęły dobiegać odgłosy kopania w piaszczystej ziemi i rubaszne żarty, którymi urozmaicali sobie pracę.

Kusz stanął przy Jasmini.

- Twoje mary już przygotowane - oznajmił. - A także całun, w który cię owiniemy, zanim złożymy w ziemi. Zrobiłem też tablicę z twoim imieniem na grób;

wyrzeźbiłem ją z miłością własnymi dłońmi. - Podniósł deskę do oczu dziewczyny.

- Widzisz, świat pozna datę twojej śmierci i dowie się, że zmarłaś na malarię.

Jasmini leżała cicho i nieruchomo. Szeroko otwarte, błyszczące od łez oczy utkwiała w twarzy eunucha.

- Widzisz, to chili jest tak ostre - mówił dalej - że w końcu przepali papier, w czym mu pomogą soki twojego ciała, osłabiające pakiecik od zewnątrz. No, a jak się rozpadnie, proszek wypełni twoje tajemne zakątki.

Czułym, kobiecym gestem odgarnął jej włosy z czoła i kciukiem otarł łzy z powiek.

- Najpierw poczujesz lekkie swędzenie, które się szybko zamieni w ogień. Palący ogień, który sprawi, że będziesz tęskniła za piekłem. Widziałem, jak umierało na tym drewnianym łożu wiele nierządnic, ale sam nie znajduję słów, które by mogły opisać ich cierpienia. Ten proszek zżerać będzie twoje łono i wnętrzności jak setka szczurów o najostrożniejszych zębach. Twoje krzyki usłyszy każda z kobiet w zenana. I kiedy będzie je kusiło do grzechu, przypomną sobie o twoim losie. Kusz oddychał ciężko, na jego twarzy malował się wyraz

673

uniesienia. Wizja cierpienia, jaką roztoczył przed swą ofiarą, głęboko go poruszała.

- Kiedy się zacznie? - spytał retorycznie. - Nie można mieć pewności. Może za godzinę, może za trzy; tego nigdy nie wiadomo. Jak długo potrwa? Też ci nie powiem. Słabe umierały jeszcze w tym samym dniu, silne - nawet po czterech, do końca krzycząc i walcząc. Sądzę, że ty należysz do tych silnych, ale zobaczymy. Podeszedł do drzwi i krzyknął do pomocników:

- Gotowe? Nie popatrzycie sobie, dopóki nie skończycie kopać.

- Już niedługo! - odkrzyknął jeden z nich, opierając się na łopacie. Z głębokiego wykopu wystawał tylko czubek jego ogolonej głowy. - Zdażymy, zanim wysypie się pierwsza porcja.

Kusz wrócił do celi tortur i usadowił się wygodnie na ławce pod ścianą.

- Czekanie też jest ciekawe - rzekł do Jasmini. - Niektóre błagają o litość, ale ty z pewnością jesteś na to zbyt dumna. Zdarza się, że te odważniejsze próbują ukryć przede mną moment rozerwania się papieru. Chcą mnie pozbawić tej radości, ale to trwa krótko - zachichotał. - Naprawdę bardzo krótko.

Wieść, że Kusz znowu zabrał jedną z dziewcząt do chatki za cmentarzem, szybko rozeszła się po zenana. Kiedy dotarła do Tahī, stara piastunka od razu się domyśliła, kim jest kolejna ofiara eunucha. Wiedziała też dokładnie, co musi zrobić. Nie wahając się ani chwili, zarzuciła na siebie szal i czador, wzięła koszyk, z którym chodziła po sprawunki do miasta, kiedy wysłała ją tam któraś z księżących żon lub konkubin. Jako wdowa w podeszłym wieku, mogła wychodzić poza mury bez pozwolenia, a codzienna wizyta na targu należała do jej obowiązków. Opuściwszy swój obskurny pokój na zapleczu kuchni, pośpieszyła krążgankami do bramy, modląc się w duchu, żeby jej nie zatrzymał żaden eunuch.

Nad zenana zawisła niczym całun nienaturalna cisza. Ogrody i krążganki wyludniły się. Nie było słyhać śmiechu dzieci ani śpiewu kobiet. Paleniska w kuchni wygasły i ostygły. Wszystkie mieszkanke tego niewieściego świata pozamykały się

ra/em

674

z potomstwem w swoich kwaterach. Było tak cicho, że Tahī słyszała tylko

pulsowanie krwi we własnych uszach.

Bramy strzegł eunuch, który dobrze ją znał. Atmosfera milczącego dramatu tak go pochłoneła, że ledwie spojrział na staruszkę, gdy odsunęła czador. Machnął upierścienioną pulchną dłonią, każąc jej przejść.

Znalazłszy się za bramą, Tahī cisnęła koszyk w krzaki i puściła się biegiem. Po przebiegnięciu mili serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe i ledwie mogła złapać oddech. Przysiadła na skraju drogi, nie będąc w stanie uczynić ani kroku. Z bocznej dróżki wyszedł młody niewolnik. Prowadził dwa osły objuczone korą mangrowca, służącego do barwienia skór. Tahī dźwignęła się na nogi i wydobyła z fałd sukni sakiewkę.

- Moja córka umiera! - zawołała do chłopaka. - Muszę wezwać do niej lekarza - pokazała mu srebrną rupię. - Zabierz mnie do fortu, a dostaniesz na miejscu jeszcze jedną.

Niewolnik łypnął pożądliwie na pieniążek i pokiwał skwapliwie głową. Zdjął z jednego osła ładunek i złożył go pod drzewem. Podesadził Tahī na grzbiet zwierzęcia i smagnął je batem. Osioł ruszył kłusem. Chłopak biegł za nim, śmiejąc się i wołając:

- Trzymaj się mocno, stara mateczko. Rabat jest szybki jak strzała. Znajdziesz się w mieście, nim zdażysz mrugnąć dwa razy.

Dorian siedział na tarasie z Ben Abramem. Popijali smoliście czarną kawę z filiżanek, zajęci sporządzaniem listy medykamentów niezbędnych podczas wyprawy w głąb interioru. Odnowili z radością swoją starą zażyłość, gdy tylko Dorian

zszedł na łód w Łamtu. Starzec codziennie towarzyszył młodemu szejkowi w czasie porannych modłów, a potem z przyjemnością oddawali się niespiesznej rozmowie starych przyjaciół.

- Jestem już za stary na takie eskapady - zaprotestował doktor, gdy Dorian zaczął go namawiać do udziału w wyprawie w roli głównego medyka.

- Obydwa wiemy dobrze, że jesteś równie silny i żwawy jak pierwszego dnia, gdy cię poznałem, drogi przyjacielu - przekonywał młodzieniec. - Chcesz dopuścić, bym umarł w tej głuszy na jakąś straszliwą zarazę? Potrzebuję cię, Ben Abramie. 675

Zamilkli obaj, słysząc dziwne poruszenie na drugim końcu tarasu. Dorian wstał i krzyknął do straży:

- Co to za hałasy? Wydałem przecież rozkaz, żeby mi nikt nie przeszkadzał!

- Jestem pyłem u twoich stóp, moźny szejku - usłyszał w odpowiedzi. - Awanturuje się tu jakaś stara baba. Kopie i drapie jak wścickły kot!

Dorian prychnął gniewnie i miał już kazać ją wychłostać i wyrzucić za drzwi, kiedy dobiegło go skrzekliwe wołanie:

- Al-Amharo! To ja, Tahi! Na Allaha, muszę z tobą pomówić o kimś, kogo oboje kochamy!

Młodzieniec zeszywniał z trwogi. Tahi nigdy nie posunęłaby się do takiej otwartości, gdyby coś poważnego nie zagrażało Jasmini.

- Wpuśćcie ją! - zawołał do strażników i podbiegł do niej, kiedy pojawiła się na tarasie z twarzą wykrzywioną wysiłkiem i zgryzotą.

Przypadła do jego kolan.

- Kusz się dowiedział o niej i o tobie! - wychrypiała. - Złapał ją, kiedy wróciła do zenana i zabrał do celi tortur za cmentarzem!

Dorian pamiętał to miejsce z czasów, kiedy sam mieszkał za murami. Chłopczy, choć było to surowo zabronione, prowokowali się wzajemnie do wypraw do małego domku za żywopłotem. Niektórzy dotykali nawet budzącej grozę deski, potem straszili się nawzajem opowieściami o tym, co robi tam z kobietami Kusz. Dorian do końca życia miał pamiętać straszliwe krzyki dziewczyny imieniem Salima, którą eunuch zabrał do celi tortur, gdy odkrył jej romans z oficerem gwardii. Konała cztery dni i trzy noce. Krzyki powoli słabły, a cisza, jaka w końcu zapadła nad zenana, była straszniejsza niż najprzeraźliwsze z nich.

Słowa Tahi odebrały mu na moment zdolność działania. Zmiękły mu nogi i nie mógł się poruszyć, w głowie czuł pustkę, jak gdyby rozum bronił się przed straszliwą prawdą. Po chwili otrząsnął się jednak i obejrzał na Ben Abrama. Stary doktor wstał. Na jego twarzy malowały się niepokój i współczucie.

- Nie powinienem był nawet słyszeć tych słów, mój synu - powiedział. - Musiało ci rozum odebrać, żeby popełnić takie szaleństwo! Ale sercem jestem z tobą. 676

- Pomóż mi, stary przyjacielu - błagał Dorian. - To prawda, byłem głupi i zgrzeszyłem, ale to grzech miłości. Wiesz przecież, co Kusz z nią zrobi!

- Widziałem już owoce jego potwornego okrucieństwa - pokiwał głową doktor. - Musisz mi pomóc, Ben Abramie. - Dorian wpatrywał się w niego w takim napięciu, jakby samym spojrzeniem chciał wymusić zgodę.

- Nie wolno mi wchodzić do zenana - odparł starzec.

- Jeśli przyniosę ją do ciebie, pomożesz?

- Tak, mój synu. Jeżeli uda ci się ją wydostać, spróbuje pomóc, choć może już być za późno. - Ben Abram spojrział na Tahi. - Kiedy ją tam zabrali?

- Nie wiem, może ze dwie godziny temu - odrzekła zapłakana.

- W takim razie nie pozostało nam wiele czasu. Mam tu wszystkie narzędzia; możemy iść natychmiast.

- Nie dasz rady nadażyć za mną, stary ojczu - powiedział Dorian, zapinając pas z bronią. - Jedź moim śladem. Pod murem po wschodniej stronie jest tajemne przejście - opisał szybko, jak znaleźć wylot tunelu.

- Przejeżdżałem tamtędy nieraz; pamiętam te ruiny - mruknął doktor.

- Czekaj tam na mnie! - rzucił Dorian, zbiegając już po schodach na dziedziniec. Na dole spostrzegł, że jeden z chłopców stajennych wyprowadza właśnie na dwór jego czarnego ogiera, by go wy-szczotkować zgrzeblem. Koń miał w pysku uzdę. Był jednym z najszybszych w stadzie arabów, podarowanych synowi na pożegnanie przez kalifa.

Wyrwawszy wodze z ręki wystraszonego chłopaka, młody szejek wskoczył na oklep na konia i spał go do biegu, uderzając piętami w boki. Zanim dotarli do bramy fortu, byli już w pełnym galopie.

Pędzili wąskimi uliczkami, strasząc psy, kury i przechodniów, aż wreszcie wypadli na otwartą przestrzeń. Dorian przylgnął płasko do szyi rumaka i popędzał go do jak najszybszego cwału.

- Biegnij! - szeptał, a ogier strzygł uszami, jakby nasłuchiwał. - Biegnij po życie mojej ukochanej!

Znał skrót przez moczary. Zjechał z drogi i brnęli jakieś sto

677

jardów przez bagna wśród mangrowców, aż wyjechali znów na ubity trakt, zyskując w ten sposób dobre pół mili.

Między palmami prześwitywały białe mury zenana. Dorian zboczył ku plaży, żeby nie zobaczono go spod bramy, a potem zawrócił, galopując wzdłuż murów. Gdy ujrzał przed sobą ruiny, objął jedną ręką szyję konia i zeskoczył jeszcze w biegu, wskakując z rozpędu na zmurszałe głazy i do wnętrza rotundy.

Odsunął zwisające gałęzie i wbiegł do ciemnego korytarza. W środku było o wiele ciśniej niż niegdyś i tak ciemno, że na pierwszym schodku omal się nie przewrócił. Wreszcie dostrzegł przed sobą poświatę wyjścia i pobiegł szybciej. Jednym skokiem znalazł się na górze, na skąpanym w słońcu tarasie, gdzie tak dawno temu Jasmini i jej przyjaciółki bawiły się lalkami. Dziś taras był pusty. Dorian kilkoma susami dopadł schodów, na których kiedyś złamał sobie nogę Zajn al-Din, i zbiegł do ogrodu.

Stanął na moment, żeby się rozejrzeć. Wszystko wokół spowijał całun ciszy. Nie było niewolnic pielęgnujących rabaty i czyszczących fontanny; nie było w ogóle nikogo. Nie słyszał śpiewu ptaków i nawet wiatr zamarł, jak gdyby cała natura wstrzymała oddech. Na szczytach palm nie poruszał się najmniejszy liść.

Dorian wyciągnął broń z pochwy. Był gotów bez wahania zabić każdego, kto stanie mu na drodze. Ruszył biegiem, pochylony, ku północnemu krańcowi zabudowań, gdzie znajdował się meczet i cmentarz.

Przemknął wąską alejką między murem zewnętrznym i ścianą meczetu i znalazł się przed ciernistym żywopłotem, otaczającym cmentarz. Przykucnął przy zapamiętanej z dzieciństwa przerwie w ogrodzeniu i wyjrzał na drugą stronę. Zobaczył groby oznakowane tablicami z imionami zmarłych; na nowszych z nich wisiały jeszcze wyblakłe wstążki i chorągiewki żałobne.

Domek znajdował się na drugim krańcu cmentarza. Ponad żywopłot wystawał tylko jego dach. Drzwi były otwarte. Dorian wstrzymał oddech i wyteżył słuch w oczekiwaniu odgłosów tortur. Panowała jednak cisza. Dusząca i złowroga cisza, jakby naładowana złem.

Wtem rozległy się głosy, piskliwy jazgot wykastrowanych mężczyzn. Ukrył broń w fałdach szaty i prześliznął się ostrożnie między kłującymi krzakami. Usłyszał wybuch śmiechu i spostrzegł jednego z eunuchów, który siedział nad świeżo wykopa-

678

nym grobem, zwieszając do środka nogi. Tłusty brzuch kładł się mężczyźnie na uda. Dorian podkradł się do niego od tyłu. Eunuch pochylił się, żeby powiedzieć coś do swego towarzysza w dole i pod tłuszczem zarysował się jego kręgosłup.

Młody szejek wbił czubek zakrzywionego ostrza bułatu dokładnie między dwa kręgi, przerywając rdzeń z precyzją chirurga. Eunuch umarł bezgłośnie i runął do jamy, padając na plecy swego kamrata niczym wór świńskiego sadła.

Drugi z mężczyzn szamotał się wściekle pod ciężarem, próbując go zrzucić.

- Co ty wyprawiasz, Szarif? Oszalałeś? Złaż ze mnie! - pisał rozszłoszczony.

Wydostał się wreszcie i wstał. Głową ledwie sięgał brzegu wykopu. Patrzył w dół, na leżące u jego stóp zwłoki.

- Wstawaj, Szarif- powiedział niepewnie. - Przestań się wygłupiać.

Szczyt jego ogolonej czaszki przypominał jajo ostrzygi. Dorian wznosił bułat i jednym ciosem rozpołowił głowę Araba aż po szczękę. Przekręcił ostrze, by je uwolnić, i pobiegł pod domek.

Był już o krok od drzwi, kiedy stanął w nich Kusz, blokując wejście masywnym cielskiem. Przez sekundę wpatrywali się w siebie, lecz eunuch poznał go od razu,

był bowiem w tłumie witającym młodego szejka na plaży, kiedy przyplął z Maskatu.

Z szybkością zadziwiającą u tak opasłego człowieka Kusz cofnął się do wnętrza i chwycił opartą o ścianę łopatę. Następnie błyskawicznym ruchem przesunął stół z leżącą Jasmini, odgradzając się nim od Dodana.

- Ani kroku! - zawołał, wznosząc płasko łopatę nad rozciągniętą na desce dziewczyną. - Wystarczy jedno uderzenie, żeby uwolnić truciznę w jej brzuchu! Jasmini leżała naga, z nogami związanymi mocno w kostkach i kolanach. Ręce miała wyciągnięte za głowę, co zniekształcało jej piersi. Spojrzała na ukochanego. Wielkie, głębokie oczy dziewczyny nie potrafiły oddać bezmiaru jej cierpienia. Dorian skoczył przez celę dokładnie w chwili, kiedy Kusz zaczął opuszczać łopatę, wkładając w zamach całą swoją siłę. Młodzieniec pochylił się nad dziewczyną i zasłonił ją własnym ciałem przed ciosem mierzonym w miękka przeponę. Otrzymał cios w plecy. Poczuł, jak pękają mu żebra, przeszywając pierś bólem.

679

Wysiłkiem woli zignorował ból i zsunął się z deski, uważając, by nie nacisnąć brzucha dziewczyny. Kusz zamachnął się ponownie łopatą, tym razem celując w jego głowę. Nalana twarz wykrzywiła wściekłość, znad przepaski biodrowej wylewał się wielki brzuch. Dorian klęczał teraz na jednym kolanie, ze zdrętwiałym od uderzenia lewym bokiem. Nie mógł wstać, żeby odparować cios, lecz w ręce wciąż trzymał broń.

Zamachnął się i przeciął brzuch Kusza w poprzek na poziomie pępka, niczym kucharz otwierający brzuch ryby przed patroszeniem. Eunuch puścił łopatę i oparł się o ścianę, obiema rękami ściskając brzegi długiej rany. Spoglądał na nią zdumiony, a trzewia wylewały mu się między palcami w śliskich zwojach. Małe pomieszczenie wypełnił odór gazów z przeciętych jelit.

Dorian wstał z wysiłkiem. Lewe ramię zwisało mu bezwładnie, zupełnie martwe. Pochylił się nad Jasmini.

- Modliłam się, żebyś przyszedł - wyszeptała. - Ale nie wierzyłam, że to możliwe, a teraz jest za późno. Kusz włożył mi do środka straszną rzecz.

- Wiem, co zrobił - powiedział Dorian. - Nic nie mów. Leż spokojnie.

Eunuch wrzasnął przeraźliwie i padł na twarz, wierzgając i zwijając się z bólu na własnych wnętrznościach.

Dorian wsunął bułat pod więzy na kostkach dziewczyny i przeciął je, potem te na kolanach.

- Nie siadaj, skurcz może rozerwać torebki - ostrzegł ją.

Uwolnił jej nadgarstki, później spróbował rozmasować sobie drętwe ramię. Poczuł mrowienie i z ulgą stwierdził, że wraca mu władza w całej ręce, aż po koniuszki palców.

Wsunął ostrożnie ramię pod plecy Jasmini i powoli postawił ją na nogi obok stołu tortur.

- Kucnij - polecił. - Tylko powoli, bez nagłych ruchów - Pomógł jej przyjąć

odpowiednią pozycję. - Teraz rozewrzyj kolana i przyj, jakbyś siedziała w latrynie. - Klęknął przy niej i objął za ramiona. - Najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej.

Wzięła głęboki oddech i natężyła się. Skrzywiła się z wysiłku, twarz nabiegła jej krwią. Nagle rozległ się miękki płask. Jeden z pakiecików wyskoczył z jej ciała i uderzył w podłogę z taką siłą, że się rozerwał. Chili rozsypało się po ziemi, wzbijając

680

dobłoczek czerwonego pyłu. Uderzyła ich w nozdrza gryząca woń przyprawy, zmieszana z odorem z trzewi Kusza.

Dorian podniósł dziewczynę i przeniósł kilka kroków dalej.

- Brawo, Jassie! - zawołał uradowany. - Spróbuj teraz z tym drugim.

- Spróbuję - szepnęła i nabrawszy powietrza, napała znowu. Po niecałej minucie wypuściła jednak głośno powietrze i pokręciła głową. - Nie rusza się. Nie dam rady.

- Przy wyjściu z Drogi Anioła czeka Ben Abram - powiedział Dorian. - Zaniosę cię do niego. On wie, jak ci pomóc. Podniósł ją delikatnie.

- Nie możesz iść sama - powiedział. - Każdy ruch zwiększa niebezpieczeństwo. Ostrożnie obejmij mnie za szyję. Trzymaj się.

Prawą ręką chwycił ją pod kolana i dźwignął bez trudu. Ruszył do drzwi. Kusz jęczał i bełkotał ledwie zrozumiale:

- Pomóż mi, umieram. Nie zostawiaj mnie tak!

Dorian nawet się nie obejrzał. Minał świeżo wykopany grób z leżącymi na dnie zwłokami pomocników Kusza. Szedł szybko, obawiając się spotkania z innymi eunuchami. Swój bułat zostawił bowiem na podłodze domku tortur, a lewą ręką nie władał jeszcze w pełni. Bardziej jednak bał się wstrząsów, które mogły zaszkodzić Jasmini. Starał się nie tracić szybkości marszu z powodu ostrożności i przez cały czas przemawiał do niej uspokajająco.

- Wszystko będzie dobrze, maleńka. Ben Abram wyciągnie to świństwo z ciebie. Już niedługo.

Przeszedł miękkiem krokiem przez trawnik, amortyzując cenny ciężar, i wspiał się ostrożnie, po jednym stopniu, na schody tarasu starego grobowca. Opuścił dziewczynę do tunelu i zeskoczył sam. Spojrzał niespokojnie w jej twarz, obawiając się wyczytać z niej oznaki niewypowiedzianego cierpienia, wywołanego wstrząsami w delikatnym kobiecym wnętrzu.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Skinęła głową, próbując zdobyć się na uśmiech.

- Już niedaleko. Ben Abram na pewno tam jest - powiedział, biorąc ją znów na rękę. Pochylił się pod niskim sklepieniem korytarza i pobiegł przed siebie.

Kiedy zobaczył światło, mimo woli przyśpieszył kroku. Pośliznął się na odłamku i prawie upadł, zderzając dziewczynę ze ścianą.

681

- Och! - krzyknęła Jasmini, sztywniejąc cała.

- Co ci jest, kochana? - zawołał. Serce podeszło mu do gardła.

- Piecze w środku - szepnęła. - O Allahu, jak pali! Pokonał ostatnie metry i wybiegł na oświetlony słońcem krąg ruiny.

- Ben Abramie! - krzyknął - Gdzie jesteś, na Boga?

- Tutaj, mój synu. - Stary doktor wynurzył się z cienia, śpiesząc ku nim z torbą w rękę.

- Zaczęło się, ojczulku. Śpiesz się!

Położyli Jasmini na trawie. Dorian, dysząc ciężko, opowiedział starcowi pośpiesznie, jak wydusiła z siebie jeden pakiecik.

- Ale ten drugi nie chciał wyjść; już się rozrywa! - zawołał z rozpaczą.

- Trzymaj ją za kolana, o tak - pokazał mu Ben Abram. - To będzie bolało - zwrócił się do dziewczyny. - Tymi narzędziami posługuję się przy porodzie. Instrumenty błysnęły w słońcu; Jasmini skinęła głową i zamknęła oczy.

- Poddaję się woli Boga - szepnęła, wpijając się paznokciami w rękę Dorian. Stary lekarz zabrał się do pracy. Piękna twarz dziewczyny wykrzywił grymas cierpienia; zacisnęła usta i zagryzła wargi. Raz zakwiliła z bólu.

- Kocham cię, kwiecie mego serca - szepnął bezradnie Dorian.

- Ja też cię kocham, Doui -jęknęła w odpowiedzi. - Ale to tak strasznie pali!

- Teraz muszę cię naciąć - mruknął Ben Abram.

Jasmini krzyknęła przejmująco. Dorian zobaczył w okrwawionej dłoni doktora srebrny przyrząd o kształcie podwójnej łyżki.

Po dłuższej chwili Ben Abram odsunął się i przysiadł na piętach. Między łyżkami trzymał ociekający krwią, na wpół rozdarty pakiecik.

- Wyciągnąłem - powiedział. - Ale trochę dostało się do jej wnętrza. Szybko, musimy zanieść ją do wody!

Dorian porwał Jasmini w ramiona, zapominając o osłabionej ręce i obolałych żebrach. Popędził w stronę morza z nagim ciałem w objęciach, a Ben Abram podreptał za nim przez palmowy gaj, powoli zostając w tyle.

682

Dotarłszy do plaży, chłopak natychmiast wbiegł do wody i zanurzył w niej Jasmini. Po kilku minutach dogonił ich stary doktor. W rękę trzymał już wielką blaszaną strzykawkę do lewatywy. Dorian zanurzył dziewczynę w morzu, lekarz zaś wtryskiwał do jej wnętrza wodę, opróżniając raz za razem całą strzykawkę. Trwało to dobre kilkanaście minut. Wreszcie doktor uznał, że już wystarczy, i kazał zanieść Jasmini między drzewa.

Trzęsła się cała z bólu i szoku. Dorian położył ją w cieniu i powycierał własnym wełnianym szalem. Lekarz wyciągnął z torby wielki słój maści i posmarował nią rany. Dziewczyna wkrótce przestała drżeć i szepnęła:

- Już tak nie boli. Jeszcze piecze, ale już nie tak strasznie.

- Udało mi się wydobyć większość trucizny - rzekł doktor - resztę wypłukaliśmy, nim poczyniła poważniejsze szkody. Musiałem cię przeciąć, żeby osiągnąć do pakieciku, ale to czysta rana i zaraz ją zaszyję. Dzięki maści szybko się zagoi.

- Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy, i wyjął z torby igłę z nicią. - Miałaś szczęście. Możesz podziękować za swoje ocalenie Tahi i al-Salilowi.

- I co teraz zrobimy, Doui? - Jasmini wyciągnęła do niego dłoń, a on uścisnął ją mocno. - Nie mogę już wrócić do zenana. - Znow wyglądała jak mała dziewczynka o małej twarzy, blada i skulona pod fałdami szala. Mokre splecione włosy lepiły się jej do szyi i ramion, pod oczami miała czerwone cienie.

- Nigdy tam nie wrócisz, masz na to moje święte słowo. - Dorian pochylił się i pocałował jej opuchnięte, posiniaczone wargi. Potem nagle sposepniał i podniósł się z klęczek. - Zostawię cię teraz z Ben Abramem, żeby mógł dokończyć swoją pracę - powiedział. - Ja też mam coś do załatwienia. Ale niedługo wrócę, jeszcze nim doktor skończy. Bądź dzielna, maleńka.

Wrócił przez lasek do rotundy i tunelem przedostał się na teren za murami.

Wysunął ostrożnie głowę ponad posadzkę tarasu, rozglądając się i nasłuchując.

Wciąż panowała tu martwa cisza. Zszedł do ogrodu i przemknął pod żywopłot. Znow się zatrzymał i stwierdził z zadowoleniem, że nikt nie odkrył jeszcze ciał eunuchów i nie wszczął alarmu. Podkradł się pod drzwi domku. Przystanął na chwilę w wejściu, żeby przyzwyczaić oczy do półmroku. Kusz leżał na podłodze, zwinięty jak

683

nienarodzony embrion w łonie. Okrwawionymi dłońmi wciąż ścisnął rozcięty brzuch, powieki miał zaciśnięte. Dorian już sądził, że nie żyje, ale gdy stanął nad nim, eunuch otworzył oczy.

- Pomóż Kuszowi, błagam - szepnął. - Ty jesteś dobry, al-Amharo. Nie pozwolisz mi umrzeć, prawda?

Młodzieniec podniósł z podłogi swój bułat. Twarz Kusza zmieniła wyraz.

- Nie, nie zabijaj mnie! W imię Allaha, błagam o zmiłowanie! - Dorian wsunął broń do pochwy i eunuch zakwilił z ulgą. - Wiedziałem, że jesteś dobry. Pomóż mi, połóż mnie na noszach. - Próbował podpełznąć do mar, które przygotował dla Jasmini, lecz przy tym ruchu jego rana się otworzyła i trysnęła z niej krew. Skulił się znowu, ściskając ją rękami. - Pomóż mi, al-Amharo! Zawołaj innych, niech mnie zanoszą do medyka!

Dorian z obojętnym wyrazem twarzy pochylił się, chwycił go za kostki nóg i zaczął ciągnąć po podłodze w stronę drzwi.

- Nie rób tego! Rana się otwiera! - wrzasnął Kusz, ale jego protest został zignorowany.

Za otyłym ciałem eunucha ciągnęła się po kamieniach śliska smuga krwi i soków trawiennych. Dorian wytaszczył go na dwór, lecz Kusz w ostatniej chwili uchwycił się klamki drzwi. Dorian puścił jego nogi. Błyskawicznym, niemal nieuchwytnym dla oka ruchem wyszarpnął z pochwy bułat i odrąbał trzy palce dłoni zaciśniętej wokół klamki z siłą tonącego.

Kusz zawył i przycisnął krwawiącą dłoń do piersi.

- Okaleczyłeś mnie! - wybełkotał, patrząc na nią z trwożnym zdumieniem.

Młody szejka schował broń i powłókł bezwładne teraz cielsko w pobliże otwartego grobu. W połowie dystansu Kusz zorientował się, co się święci. Zaczął się wyrwać i wykręcać, wydając przeraźliwe, kobiece piski. Jego wylewające się wnętrzności dyndały po obu stronach brzucha, szorując po piasku.

- Kobiety pomyślą, że to twoje ohydne paczuszki rozerwały się w brzuchu Jasmini

- warknął Dorian. - Kwicz dalej, ty beko świńskiego łożu. I tak ci nikt nie pomoże, dopiero diabeł w piekle.

Opuścił nogi ofiary do wykopu i pchnął ją obiema rękami. Kusz spadł na ciała swoich pomocników, a Dorian stanął nad dołem. Podparł się pod boki, uspokajając oddech po wysiłku

684

i czekając, aż zelżeje ból pękniętych żeber. W jego zielonych oczach eunuch wyczytał wyrok śmierci.

- Litości! - Usiłował się podnieść, ale ból okaleczonego brzucha nie pozwolił mu na to. Skulił się, z kolanami przyciśniętymi do piersi, pod ścianą wykopu. Dorian wziął do ręki łopatę. Kiedy wrzucił do dołu pierwszą porcję ziemi, Kusz wrzasnął:

- Nie, tylko nie to! Nie możesz mi tego zrobić!

- Mogę - odparł beznamiętnie Dorian. - Tak samo jak ty mogłeś skazywać na niewypowiedziane męki bezbronne kobiety, oddane pod twoją pieczę.

Kusz krzyczał i skamlał, dopóki jego wrzasków nie stłumiła ziemia. Dorian pracował dalej zapamiętale, aż zasypał dół. Potem udeptał górkę i ukształtował łopatą niski kurhan.

Na koniec przyniósł z domku tortur deskę z wrytym imieniem Jasmini i oznaczył nią grób. Udekorował tablicę wstążką z wyhaftowaną modlitwą za umarłych, odniósł na miejsce łopaty i pozbierał z podłogi kawałki rzemieni, którymi była związana dziewczyna. Z kołka na ścianie zdjął szatę Kusza, zwinął ją w tobołek i związał rzemykiem.

Przed wyjściem z celi tortur ogarnął ją jeszcze spojrzeniem, by się upewnić, że zostawił porządek. Na jego ustach pojawił się ponury uśmiech.

- Poeci przez następne sto lat będą pisać pieśni o tajemniczym zniknięciu trzech eunuchów, którzy zamordowali i pogrzebali piękną księżniczkę Jasmini - mruknął do siebie. - Kto wie, może odprowadził ich do piekła osobiście sam szatan.

Piękna legenda, dziadkowie będą ją opowiadać wnukom!

Kiedy dotarł do plaży, Ben Abram kończył właśnie opatrywać zaszytą ranę bawełnianym tamponem.

- Zrobione jak należy, al-Salilu - powiedział. - Za siedem dni zdejmę szwy, a po miesiącu dziewczyna całkiem wydobrzeje, jak gdyby to się nigdy nie zdarzyło.

Dorian owinał Jasmini w miękką szatę Kusza z najlepszej wełny i wsiadł na konia, trzymając ukochaną w ramionach. Usadził ją w poprzek swoich ud, uważając, żeby nie urazić rany, i spokojnym kłusem skierował się do fortu.

Fałdy obszernej szaty spowijały dziewczynę tak dokładnie, że nikt ciekawski po drodze nie rozpoznałby, że to kobieta.

685

- Nikt cię tu nigdy nie widział - powiedział Dorian. - Nikt nie pomyśli, że możesz być księżniczką Jasmini, skoro pochowano ją w oznakowanym grobie na cmentarzu.

- Naprawdę jestem wolna, Doui? - szepnęła, krzywiąc się, bo mimo jego delikatności zaszytą ranę szarpał rwący ból.

- Nie, mój głupiutki tobołku - zaśmiał się młodzieniec. - Jesteś teraz chłopcem, niewolnikiem należącym do wielkiego szejka al-Salila. Nigdy cię nie uwolnię.

- Nigdy? - spytała radośnie. - Obiecuj, że będę twoim niewolnikiem do końca życia. Że już mnie nie wypuścisz!

- Przysięgam.

- No to wszystko będzie dobrze - odparła, skłaniając głowę na jego ramię.

P^W ,

Przez wiele następnych tygodni na wszystkich bazarach Łamu opowiadano niesamowite historie o dziwnym zniknięciu Kusza, eunucha z haremu. Znano go dobrze na wyspie, a bali się go i nienawidzili nawet ludzie za murami. Niektórzy utrzymywali, że porwał go nocą na drodze leśny dżin. Inna wersja tej samej historii głosiła, że porywaczem był sam szatan. Co praktyczniejsi uważali jednak, że Kusz po prostu okradł swego pana, kalifa al-Malika, a potem w obawie przed karą przepłynął kanał wynajętym dhow i uciekł w głąb Afryki.

Dla uwiarygodnienia tej ostatniej wersji książę al-Salil ogłosił list gończy, wyznaczając nagrodę tysiąca rupii za pochwylenie eunucha. Potem przez miesiąc albo dłużej nie pojawiały się w tej sprawie nowe wieści i temat Kusza przestał być interesujący.

Uwagę wszystkich przykuwała teraz zmiana pogody. Kaskazi ustał i zaczął wiać kusi. Rozpoczął się nowy sezon handlowy. Zbliżał się także termin wyruszenia na kontynent wojskowej ekspedycji szejka al-Salila. Nikt nie zaprzętał sobie głowy zbiegłym eunuchem.

Nikt też nie zwrócił uwagi na nowego niewolnika, chłopca imieniem Jassi, który dołączył do licznej świty szejka. Choć był to młodzieniec wielkiej urody i kształtnej budowy, widocznej nawet pod obszernym burnusem, wyglądał na osłabionego chorobą i nieśmiałego. Zajęła się nim Tahi, piastunka szejka z dzieciństwa, która także dołączyła do służby. Jassi zamieszkał

686

z nią, a jego uroda i przyjemne obejście podbiły wkrótce serca całej czeladzi. Chłopiec miał przejmująco piękny głos i grał na sistrum z wyjątkową biegłością. Nikomu więc nie wydawało się dziwne, że szejek co wieczór przyzywa go do swej sypialni, aby śpiewem i graniem kołysał go do snu po trudach dnia. Wkrótce młody niewolnik stał się faworytem al-Salila i został mianowany jego osobistym służącym. Szejek kazał mu rozłożyć matę do spania w małej alkwie przy swej sypialni, aby mógł również nocą stawiać się szybko na każde wezwanie. Pierwszej nocy po wprowadzeniu tej zmiany al-Salil wrócił bardzo późno z wojennej narady z kapitanami dhow.

Czekając na niego, Jassi zapadł w drzemkę, lecz kiedy szejek wkroczył do komnaty w asyście Batuli, zerwał się na równe nogi. Na piecu miał już przygotowane dzbany z ciepłą wodą. Batula pomógł szejkowi rozebrać się do przepaski biodrowej i Jassi zaczął go polewać, by mógł się umyć. Adiutant tymczasem odwiesił broń swego pana na kołki nad łóżkiem, wyostrzywszy przedtem bułat i sztylet i doprowadzwszy do połysku tarczę. Potem przysiadł na piętach, czekając na polecenia.

- Możesz już iść, Batulo, ale obudź mnie godzinę przed świtem. Mamy jeszcze mnóstwo roboty przed wypłynięciem. - Mówiąc to, szejek wycierał się płóciennym ręcznikiem, podanym mu przez Jassiego. - Śpij dobrze, mój wierny druho, i niechaj cię Bóg strzeże.

Kiedy tylko za Batula zasunęła się zasłona przy wyjściu, Dorian i Jasmini spojrzeli na siebie roześmiani. Wyciągnął do niej rękę.

- Tak długo na to czekałem! - zawołał, ona jednak odsunęła się tanecznym ruchem.

- Muszę dopatrzeć moich obowiązków, szlachetny panie - powiedziała. - Powinienem teraz ułożyć ci włosy i namaścić ciało.

Dorian usiadł na dywanie, a ona wytarła mu włosy niemal do sucha, a potem rozczesała je i zaplotła w pojedynczy warkocz opadający na nagie plecy. Wydawała przy tym pomruki podziwu, zachwycając się:

- Jakie grube i gęste! Błyszczą jak prawdziwe złoto! Potem rozmasowała mu ramiona perfumowanym olejkiem kokosowym.

- Gdzie to się stało? - zapytała, dotykając blizny nad łokciem.

687

I

- W miejscu zwanym przełęczą Bystrej Gazeli.

Dorian poddawał się zręcznemu dotykowi jej dłoni, przymykając z rozkoszy oczy, nauczono ją bowiem dobrze sztuki sprawiania przyjemności przysłuszanemu mężowi.

Kiedy już niemal zasypiał, schyliła się i szepnęła:

- Wciąż masz tutaj łaskotki, Doui?

Wepchnęła mu język do ucha, a on aż podskoczył, protestując głośno. Na muskularnych ramionach wystąpiła mu gęsia skórka. Odwrócił się i chwycił dziewczynę w talię.

- Trzeba nauczyć cię szacunku, niewolniku - powiedział.

Zaniósł ją do łóżka i położył na nim, wyciągając jej ręce nad głowę. Przez chwilę jeszcze śmiali się do siebie, a potem nagle śmiech ucichł. Dorian przykrył jej usta swoimi. Ciepłe i wilgotne wargi się rozchyliły, by go przyjąć.

- Nie wiedziałam, że w moim sercu może się zmieścić aż tyle miłości - szepnęła w jego usta.

- Masz na sobie za dużo ubrań - mruknął z czułością w głosie. Jasmini wygięła grzbiet, pomagając mu ściągnąć szatę. - Jesteś tak piękna, że nie da się tego wypowiedzieć słowami - rzekł, patrząc na jej złote, jedwabiste ciało. - Czy już w pełni wyzdrowiałaś?

- W pełni, mój panie. Ale nie możesz wierzyć mi na słowo. Sprawdź to, dla własnej przyjemności. I mojej także.

Kiedy kusi się wzmocnił, wiejąc mocno i nieustannie, a niebo oczyściło się z burzowych chmur i zajaśniało błękitem, flotylla szejka al-Salila wypłynęła z Łamu i po trzech dniach żeglugi przybiła do brzegów Afryki.

Jeźdźcy i juczne zwierzęta uformowali na lądzie długą kawalkadę i pod błękitnym proporcem szejka pomaszerowali Droga Niewolników w głąb kontynentu.

Szejk jechał w szpicie pochodu, a tuż za nim młody niewolnik Jassi. Niektórzy z wojowników, widząc uwielbienie i podziw, z jakim chłopak spogląda na swego pana, uśmiechali się z pobłażaniem.

Po ucieczce z Zanzibaru Tom Courtney przez długie miesiące eksplorował wybrzeże kontynentu afrykańskiego. Starał się trzymać z dala od arabskich szlaków handlowych i unikać

688

spotkania z mieszkańcami Omanu, zarówno na wodzie, jak i na lądzie. Szukał ujścia rzeki, którą Fundi, łowca słoni, nazywał Lunga.

Bez pomocy tego małego człowieka nigdy by nie trafili na właściwe miejsce, kanał bowiem wił się i zwracał tak, że od strony morza można było przeoczyć jego ujście.

Kiedy już Swallow bezpiecznie wpłynął do kanału, Tom posłał przodem dwa barkasy z Luke'em Jervisem i Alfem Wilsonem, by prowadziły statek, odnajdując właściwą drogę. Łatwo tu było zabłądzić, wśród licznych rozgałęzień i ślepych odnóg, zarośniętych papirusem. Posuwali się do przodu bardzo powoli. Wielokrotnie musieli zawracać i znalezienie właściwego koryta rzeki zajmowało im nieraz wiele godzin. Tom był wdzięczny losowi za płytkie zanurzenie korwety; gdyby nie to, nie zdołaliby pokonać licznych mielizn i płycizn. W końcu przebyli rozlewiska i znaleźli się w głównym nurcie Lungi.

Papirusowe zarośla zamieszkiwały groźnie wyglądające krokodyle i porykujące basowo hipopotamy, zwane przez tubylców rzeczynymi koźmi. Unosiły się nad nimi chmary owadów, a z trzcin, gdy przepływali obok, wlatywały z krzykiem stada ptactwa.

Zarośla ustąpiły w końcu miejsca nadwodnym łąkom zalewowym i połaciom rzadkiego lasu. Pasące się tu stada dziwnych zwierząt podnosiły głowy i przyglądały się stateczkowi, a potem, parszcząc niespokojnie, pędziły pod osłonę drzew. Były tak liczne i różnorodne, że marynarze tłoczyli się przy relingu, obserwując je godzinami i komentując w zadziwieniu ich wygląd.

Widzieli pełne wdzięku antylopy, niektóre rozmiarów angielskiego czerwonego jelenia. Widzieli inne stworzenia, o wiele większe, z dziwacznymi rogami o kształcie zakrzywionego miecza lub korkociągu i bez rozgałęzień jak u rodzimych zwierząt.

Codziennie się wyprawiali na brzeg, żeby na nie polować. Zwierzyna była ufna. Nigdy zapewne nie widziała człowieka z bronią palną, toteż łatwo im było podejść na odległość strzału i ubić dowolną liczbę sztuk. Mięsa więc mieli pod dostatkiem, a czego nie zdołali zjeść, suszyli i peklowali.

Po oprawieniu upolowanej zdobyczy, wypatroszeniu i poćwiartowaniu tusz, wyrzucali resztki na brzeg, by obserwować jeszcze dziwniejsze zwierzęta, przychodzące na żer.

689

Najpierw zjawiały się, niczym przedsiębiorcy pogrzebowi, ptaki padlinożerne wielu odmian, kołujące po niebie ciemną chmurą, a potem nurkujące na łup. W locie majestatyczne i pełne wdzięku, na ziemi wyglądały groteskowo i makabrycznie.

Następne były cętkowane stworzenia podobne do psów, wyjące i zawodzące niczym duch banshee, oraz małe czerwone lisy o czarnych grzbietach i srebrnych bokach.

Wreszcie ujrzeli pierwsze lwy. Aboli nie musiał opowiadać Tomowi o tych wielkich, grzywiastych kotach. Kapitan Swal-łowa znalazł je bowiem z ilustracji w książkach z ojcowskiej biblioteki, a także z herbowych tarcz królów i możnowładców Anglii. W nocy potworne ryki tych bestii zdejmowały trwogą śpiących marynarzy, a Sarah przytulała się mocniej do Toma na wąskiej koi w maleńkiej kapitańskiej kajucie.

W lasach i na polanach wypatrywali słoni, właściwego celu wyprawy. Zdobyte kły miały im wynagrodzić wszystkie trudy i wyrzeczenia. Fundi z Abolim pokazywali Tomowi wielkie ślady odcisnięte mocno w twardej, spieczonej słońcem ziemi.

- Zrobiły je podczas poprzedniej pory deszczowej - wyjaśniali.

W lasach zaczęli widywać powalone jakby huraganem drzewa, ogołoczone z wierzchołków i kory. Pnie były już wyschnięte, a okaleczone gałęzie obumarłe.

- Sprzed roku - wyjaśnił Fundi. - Stado przeszło tędy, ale może nie wrócić przez wiele sezonów.

Okolica stała się pagórkowata. Lunga wiła się wśród dolin, płynąc teraz szybciej i tworząc bystrzyny. Swallow poruszał się powoli i z trudem, koryto rzeki przegradzały bowiem liczne głazy i ostre czarne skały. Każda przebyta mila narażała korwetę na coraz większe niebezpieczeństwo.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie Lunga zataczała łuk wokół niewysokiego, zalesionego wzgórza. Tom z Sarah zeszli na brzeg i wspięli się na wierzchołek. Usiedli na skalnym nawisie i młody kapitan przyjrzał się przez lunetę okolicy.

- To naturalna twierdza - oznajmił w końcu. - Z trzech stron otoczona rzeką.

Wystarczy od strony lądu zamknąć ją ostrokołem i nie zagrazi nam już żadne zwierzę ani człowiek. - Odwrócił się i pokazał małą zatokę o gładkich skalistych brzegach. - A to znakomita przystań dla Swallowa.

690

- I co zamierzasz tutaj robić? - spytała Sarah. - Bo słoni przecież nie ma.

- Założymy tu naszą bazę wypadową - wyjaśnił. - Będziemy mogli wyprawiać się stąd do interioru, łodziami albo pieszo, aż w końcu trafimy może na te wielkie stada, które obiecywał nam Fundi.

Cięciwę łuku rzeki przegrodzili więc palisadą z zaostrzonych pni. Wyładowali na brzeg armaty ze statku i ustawili je na ziemnych umocnieniach przed ostrokołem, żeby broniły wejścia na zbocze. Potem zbudowali chaty z bali, oblepiając ich ściany gliną i kryjąc strzechą z rzecznych trzcin.

W jednym z domków doktor Reynolds założył mały szpitalik i zamieszkał w nim razem ze swymi narzędziami i miksturami. Dbał o to, żeby codziennie każdy członek załogi połykał łyżkę gorzkiej chininy, zakupionej w Zanzibarze. Chociaż krzywili się, puszczając niemal dym uszami i przeklinając go, w obozowisku nie było przypadków malarii. Sarah została chętnie asystentką doktora i po niedługim czasie potrafiła już puścić krew albo zszyć ranę z równą biegłością jak jej nauczyciel.

Wybrała na mieszkanie dla siebie i Toma chatę stojącą w dyskretnej odległości od innych, z pięknym widokiem na dolinę rzeki i błękitne góry w oddali. Z resztek płótna, nie-sprzedanego na targu w Zanzibarze, uszyła zasłony do okien i prześcieradła. Naszkicowała też projekty mebli i kazała je wykonać cieślom.

Ned Tyler odkrył w sobie żyłkę ogrodnika. Dla urozmaicenia diety złożonej z dziczyzny i sucharów zaczął hodować warzywa z nasion zabranych z Anglii.

Nawadniał swoje poletko wodą z rzeki, doprowadzaną całym systemem rowów melioracyjnych. Musiał też toczyć nieustanne wojny z małpami, które dobierały się do zielonych kiełków, gdy tylko wyrastały z gruntu.

W ciągu miesiąca obóz był gotowy. Sarah nadała mu nazwę: Fort Providence. Fort Opatrzności. Tom kazał załadować na barkasy towary na wymianę, proch, muszkiety i kule. Z Fundim jako przewodnikiem zamierzał udać się na pierwszą myśliwską i badawczą wyprawę w górę rzeki; poszukać słoni oraz tubylców, z którymi można by pohandlować.

Ned Tyler miał z pięcioma ludźmi zostać na straży fortu. Sarah również musiała zostać, ponieważ Tom nie zgodził się na jej udział w ryzykownej ekspedycji na nieznanne tereny. Miała

691

zastąpić w obowiązkach doktora Reynoldsa i zamierzała dalej ulepszać ich mieszkanie.

Stała na pomoście i machała Tomowi na pożegnanie, dopóki barkasy nie zniknęły za zakrętem rzeki.

Trzeciego dnia po opuszczeniu obozu łodzie zacumowały na noc przy ujściu do rzeki jednego z jej dopływów. Podczas gdy marynarze zbierali drewno na opał i budowali zasieki z kolczastych krzewów dla obrony przed drapieżnikami, Fundi z Abolim przepatrywali brzegi strumienia. Nie upłynęło wiele czasu, gdy mały myśliwy biegiem powrócił do obozowiska.

Oczy błyszcząły mu z podniecenia. Wyrzucił z siebie nieskładne opowiadanie, z którego Tom zrozumiał ledwie kilka słów. Żeby usłyszeć pełniejszą relację, musiał zaczekać na Abolego.

- Świeży trop - oznajmił Murzyn. - Chyba wczorajszy. Duże stado, koło setki zwierząt, wśród nich kilka olbrzymów.

- Musimy natychmiast ruszyć ich śladem! - Tom był podekscytowany nie mniej od Fundiego.

Aboli jednak pokręcił głową, wskazując na słońce. Stało tuż nad wierzchołkami drzew.

- Zanim zdążymy przejść milę, zrobi się ciemno - rzekł. - Wyruszymy o pierwszym brzasku. Takie stado nietrudno jest wytropić. Idzie bardzo powoli, pożywiając się po drodze, i zostawia za sobą szeroki trakt przez las.

Przed zapadnięciem zmroku Tom zdążył już zaplanować całą ekspedycję. Do zaatakowania wielkich stworzeń wyznaczył czterech muszkieterów: siebie, Abolego, Alfa Wilsona i Luke'a Jerasa. Każdemu przydzielił dwóch ludzi do niesienia zapasowych muszkietów i przeładowywania natychmiast po strzale. Broń sprawdził osobiście; były to nowoczesne muszkiety kupione w Londynie. Pamiętał o zabrananiu dodatkowych krzemieni, napełnieniu rożków z prochem i uzupełnieniu zapasu kuł w woreczkach. Wzmocnione antymonem ołowiane naboje miały kaliber dziesięć, co oznaczało, że dziesięć kuł waży łącznie jeden funt. Aboli zajął się napełnieniem bukłaków wodą i zgromadzeniem zapasu sucharów i suszonego mięsa na trzy dni marszu.

Chociaż płynęli cały dzień, często zmuszeni przeciągać łodzie przez płycizny, wieczorem nikt nie mógł zasnąć. Podekscytowani, siedzieli długo przy ogniskach, wsłuchując się w niesamowite odgłosy afrykańskiej nocy - gwizdy i pohukiwania

692 ptaków, idiotyczny chichot hien i basowy ryk lwów, polujących gdzieś daleko wśród wzgórz.

W ciągu swej krótkiej znajomości z Fundim Tom zdążył już sporo się od niego nasłuchać o polowaniach na szare kolosy, teraz jednak poprosił o powtórzenie wszystkiego jeszcze raz. Aboli służył jak zwykle za tłumacza, choć Anglik opanował już język Lozi na tyle, że wiele rozumiał sam.

Fundi wyjaśnił im, że słonie mają bardzo kiepski wzrok, natomiast zmysł węchu ostrzega ich przed myśliwym już z odległości mili pod wiatr.

- Potrafią wyssać woń łowcy z powietrza i zatrzymać ją w jamach czaszki, przejść wielką odległość, a potem wdmuchnąć zapach trąbą do pyska swego pobratymca - opowiadał.

- Do pyska? - zdziwił się Tom. - Nie do nozdrzy?

- Nzou chwytają zapachy górną wargą - wyjaśnił Fundi. Miano, jakim określał słonia, nie oznaczało wcale zwierzęcia, lecz "starego mędrca". Wymawiał je z szacunkiem i uczuciem, jakim darzy swoją zdobycz prawdziwy łowca. - W pysku mają takie różowe pączki jak kwiaty drzewa kigilia i nimi smakuje powietrze.

Mały myśliwy narysował patykiem na ziemi kontur zwierzęcia. Pochylili się nad szkicem, a on tłumaczył, gdzie trzeba trafić strzałą, żeby na pewno powalić słonia.

- Tutaj - pokazał miejsce za łopatką. - Trzeba uważać, żeby nie trafić w nogę; jest gruba jak pień drzewa. Głęboko! Żelazo musi wejść głęboko, bo serce i płuca są osłonięte taką grubą skórą - uniósł jako miarę swój kciuk. - No i mięśniami, i żebrami. Żeby zabić Nzou, starego szarego mędrca, trzeba się w niego wbić tak głęboko - dodał, rozpościerając ramiona.

Gdy Fundi w końcu zamilkł, Tom zaczął go namawiać, żeby opowiedział im więcej. Mały człowiek wstał jednak z godnością i rzekł:

- Jutro czeka nas długa i męcząca droga, czas więc udać się na spoczynek. Będę was uczył, kiedy pójdziemy tropem.

Tom leżał z otwartymi oczami, dopóki księżyc nie zakończył swej wędrówki po niebie. Krew gotowała się w nim z ekscytacji, a w wyobraźni widział obrazy wielkich bestii. Nie miał jeszcze okazji zobaczyć żywego słonia, widywał jednak stosy ich kłów na rynkach Afryki. W pamięci miał także wspaniałą parę kłów kupionych przez Hala od Greya, konsula Zanzibaru. Stały teraz w bibliotece w High Weald.

693

Muszę upolować takiego samego słońca - obiecał sobie w myśli. Godzinę przed świtem zasnął wreszcie i spał tak głęboko, że Aboli musiał go budzić, szarpiąc za ramię.

Dwóch ludzi pozostało na straży przy łodziach, a reszta w chłodzie pierwszego brzasku ruszyła śladem wydeptanym przez stado wzdłuż brzegu rzeki.

Trop, jak przewidział to Aboli, istotnie był wyraźny. Gdy pojaśniało, mogli przyspieszyć kroku. Mijali połamane, obdarte z kory drzewa. Ziemię znaczyły górki żółtych odchodów, przy których uwijały się mały i podobne do przepiórek ptaki, wydłubujące nieprzetrawione nasiona i części owoców.

- Patrzcie - Aboli pokazał na jeden z placków łajna - to zrobił bardzo stary osobnik. Może mieć wielkie kły, bo one rosną nieprzerwanie, aż do śmierci słońca.

- Jak odróżniasz łajno starego zwierzęcia od młodego? - chciał wiedzieć Tom.

- Stare nie trawia już tak dobrze. - Aboli kopnął górkę. - Widzisz, są tutaj całe gałązki i liście. O, a to orzech z palmy słoniowej, ma jeszcze miąższ.

Tom zamyślił się głęboko nad rzuconym mu skrawkiem tajemnej wiedzy o sztuce polowania na słońce. Jeszcze przed południem dotarli do miejsca, gdzie stado odeszło od strumienia, kierując się ku wzgórzom. Znaleźli się na terenie pokrytym drobnym, pylistym talkiem. Odciski słoniowych stóp były tu wyjątkowo wyraźne, widać było każdą zmarszczkę i szczelinę na ich podeszwach.

- Spójrz, Tom - powiedział Aboli, wskazując jeden z tropów. - To jakiś wielki samiec. Zwróć uwagę na kształt i rozmiary tych odcisków. Przednie są okrągłe, a tylne bardziej owalne. - Przyłożył do śladu przedramię, posługując się nim jako miarą. - Od palca aż po łokieć... to musi być potężny osobnik. I widzisz, jakie ma wytarte poduszki? Jest bardzo stary. Jeżeli tylko jego kły nie są złamane ani uszkodzone, naprawdę warto na takiego zapolować.

Minęli pierwszą linię wzgórz. W bujnej dolinie za nimi Fundi z Abolim wyczytali ze śladów, że stado pożywiało się tutaj i odpoczywało ubiegłej nocy.

- Zaczynamy je doganiać - ucieszył się łowca. - Są już niedaleko.

Tom miał się jednak nauczyć tego dnia, że mały myśliwy posługuje się zupełnie inną skalą odległości niż on. O zmroku

694

wciąż podążali tropem słońca, a Fundi ich zapewniał, że są już blisko.

Większość białych uczestników wyprawy była na krawędzi wyczerpania; żeglarze bowiem nie nawykli do przemierzania takich odległości piechotą. Ledwie znaleźli siłę, żeby przełknąć kawałek suchara i płat suszonego mięsa i popić kilkoma łykami wody, po czym natychmiast zasnęli na twardej ziemi.

Następnego ranka ruszyli za stadem jeszcze przed brzaskiem. Wkrótce stało się jasne, że utracili wiele z przewagi, jaką zyskali poprzedniego dnia, gdyż słońce nie ustawały w marszu na zachód także podczas księżycowej nocy.

Dla większości marynarzy marsz zamieniał się powoli w torturę. Mieli bąble na stopach, bolały ich mięśnie i czuli ciągłe pragnienie. Tom jednak był młody i silny, a podniecenie pomagało mu lekceważyć trudy wędrówki. Szedł zaraz za tropicielami z ciężkim muszkietem na ramieniu.

- To już naprawdę bardzo blisko! - szczerzył się w sardonicznym uśmiechu Fundi. Pokonywali w udręce kolejne mile. Bukłaki z wodą były prawie puste i Tom musiał nieustannie pilnować, żeby ludzie nie pili bez pozwolenia. Wokół ich głów uwijały się roje czarnych muszek włączających do oczu, nosa i uszu. Za nogi szarpały ich płożące się ciernie, rozrywając odzienie i zostawiając na skórze krwawe pręgi.

Wreszcie dotarli do połaci gęstego lasu, gdzie słońce zatrzymały się na dłużej. Przez wiele godzin odpoczywały, tarzały się w pyłe i łamały gałęzie, pozwalając myśliwym poważnie nadrobić stracony dystans.

Aboli znów zwrócił uwagę Toma na odchody zwierząt, które nawet nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Kiedy wetknęło się w nie palec, czuć było resztki ciepła. Nad łajnem krążyły stada kolorowych motyli, spijając z niego wilgoć. Maszerujący złapali drugi oddech, przyspieszyli kroku i pokonali kolejny łańcuch wzniesień. Na skalistych zboczach rosły tu dziwne drzewa o spuchniętych pniach i koronach z bezlistnych gałęzi, sięgających pięćdziesięciu stóp nad ziemię. Pod jednym z drzew leżały duże włochate strąki. Aboli przeciął jeden z nich. Wewnątrz znajdowały się czarne nasiona otulone soczystym, żółtym miąższem.

- Ssijcie to - polecił piechurom. Kwaskowaty miąższ ulżył ich palącemu pragnieniu i mogli znów przełykać ślinę.

Rząd myśliwych, przygiętych pod ciężarem strzelb i ekwipunku, wspinał się na kolejne wzniesienie. Tuż przed jego grzbietem wszyscy podnieśli głowy. W rozgrzanym powietrzu poniósł się straszny odgłos, daleki jeszcze, lecz przejmujący dreszczem, niczym granie bojowej surmy. Tom, choć usłyszał go po raz pierwszy w życiu, wiedział instynktownie, co to jest.

Kazał zatrzymać się kolumnie przed wierzchołkiem wzgórza. Większość mężczyzn osunęła się na ziemię w cieniu drzew, wdzięczna losowi za ten nieplanowany odpoczynek. Tom zaś, z Abolim i Fundim, podczołgał się do krawędzi wzniesienia. Ukryci za pnem drzewa wyjrżeli ostrożnie w dolinę. Serce Toma zatrzepotało w piersi jak ptak w klatce.

Przez całą dolinę ciągnęły się lśniące oczka zielonych jezior, otoczonych sitowiem i rozłożystymi drzewami. Stado słońi rozproszyło się wokół zbiorników wody. Niektóre kryły się w cieniu i wachlowały uszami, zdawałoby się tak wielkimi jak żagle Swallowa. Inne stały na piaszczystych brzegach i zanurzając trąby, wsysały ogromne ilości wody, którą następnie wlewały sobie do pysków z siłą okrętowej pompy. Młodsze zwierzęta bawiły się w jeziorach jak dzieci, brykając i chlapiąc, burząc zieloną powierzchnię trąbami, podrzucając głowami i trzepiąc uszami. Ich mokre korpusy lśniły czernią. Inne znów kładły się na dnie i przetaczały na boki, znikając pod wodą i wystawiając tylko trąby wijące się jak morskie węże.

Tom przyklęknął na jednym kolanie i podniósł do oka lunetę. Pierwsze spotkanie z legendarnymi stworzeniami przerosło jego najśmielsze wyobrażenia. Patrzył, zatopiony w zachwycie, rozkoszując się każdym szczegółem. Jedno z młodych słońiątek, niewiele większe od dużej świni, lecz złośliwe i agresywne, wyszło z wody. Wywijając trąbą i porykując groźnie, popędziło ku stadku czapli stojących na skraju jeziora. Ptaki wzleciały białą chmurą w powietrze, a słońik zawrócił do wody i pośliznąwszy się w mule, ugrzązł w pułapce pod na wpół zatopioną kłodą.

Na odgłos jego panicznych kwików rzuciło mu się z pomocą kilka samic, przekonanych być może, że złapał go krokodyl. Maluch został uwolniony z pułapki. Skruszony, z opuszczoną nisko głową, pobiegł się schronić między nogami matki, na pocieszenie przysysając się do jej wielkich wymion. Tom roze-

696

śmiał się głośno. Aboli dotknął jego ramienia i wskazał na grupę trzech olbrzymów trzymających się z dala od harmidru czynionego przez samice i ich potomstwo.

Stały w kępie krzaków po drugiej stronie wody, jeden przy drugim. Wachlowały się leniwie uszami, co jakiś czas nabierając trąbą piasku, żeby sobie nim posypać głowę i grzbiet. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że śpią na stojąco.

Tom przyjrzał im się uważnie przez lunetę. Cała trójka przewyższała znacznie posturą resztę zwierząt w stadzie. Skupił się na ich wielkich kłach. Choć wszystkie były wyjątkowo masywne, słoń w środku miał największe. Sterczały niemal na długość wiosła, a ich obwód dorównywał smukłej talii Sarah. Zagrała w nim krew myśliwego, pulsując w uszach w rytm uderzeń serca. To był słoń, o jakim marzył. Miał ochotę chwycić oparty o drzewo muszkiet i zbiec na dół, by zmierzyć się z olbrzymem. Aboli wyczuł jego emocje i położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- To bardzo mądre i ostrożne zwierzęta - ostrzegł. - Takiego samca niełatwo jest podejść. Jego samice otoczą go i będą osłaniać. Żeby przechytrzyć słońia, trzeba naprawdę wielkiego sprytu i cierpliwości.

- Powiedz mi, co mam robić - poprosił Tom. Obaj Murzyni wyciągnęli się na brzuchach obok niego i zaczęli planować łowy.

- Najważniejszy jest wiatr - rzekł Aboli. - Trzymaj się zawsze po zawietrznej.

- Ale wiatru nie ma - odparł Tom, wskazując na liście drzew, zwisające bez ruchu w skwarze poradnia.

- Wiatr jest zawsze. - Aboli przepuścił przez palce garść pyłu. Złociste drobiny zawirowały w słońcu i powoli odplynęły w dal. Murzyn miękkiem gestem dłoni pokazał ich ruch w dół zbocza. - Zaalarmowane, biegną zawsze pod wiatr, a potem

zawracają, żeby pochwycić zapach. - Zobrazował wyjaśnienie kolejnym gestem. - Ustawimy Alfa i Luke'a tam i tam - pokazał ich stanowiska. - Jak się już zaczają, my trzej zejdziemy na dół - wskazał, którędy się podkradną. - Podejdziemy jak najbliżej. Kiedy strzelimy, samce popędzą na nich. Tom pomachał ręką do Alfa i Luke'a, każąc im podejść. Kiedy już ochłonęli z zadziwienia widokiem swych pierwszych w życiu słoni, wydał im rozkazy. Mieli ze swymi ludźmi okrążyć wzgórze i wejść w dolinę milę dalej, pozostając niewidzialni i niewyczuwalni dla stada.

697

Nie minęła godzina, gdy dojrzał przez lunetę dwa oddziały myśliwych. Przecinały dolinę, żeby zająć wyznaczone im stanowiska. Dobrze było mieć pod komendą ludzi, którzy go rozumieli i ściśle wykonywali polecenia.

Aboli prowadził. Zsunęli się powoli z grzbietu wzniesienia, kryjąc się za drzewami i w krzakach. Wzrok wielkich zwierząt nie był aż tak przytępiony, by nie zauważyły dziwnych poruszeń wśród sawanny. Skradali się ostrożnie i mozolnie, aby nie natknąć się na którąś z samic rozproszonych po całym terenie. Tom nie posiadał się ze zdumienia, jak te olbrzymy potrafią dosłownie zniknąć człowiekowi z oczu: ich szare cielska wtapiały się w tło krzewów, a nogi przypominały pnie drzew. Krok za krokiem przybliżali się do trójki samców. Chociaż ich jeszcze nie widzieli, prowadziły ich basowe pomruki zwierząt. - Czy to odgłosy z ich żołądków? - zapytał szeptem Tom. Aboli pokręcił głową. - Nie, starcy ze sobą rozmawiają.

Co jakiś czas, gdy któryś ze słoni posypywał się ziemią, widzieli nad zaroślami obłok pyłu. To im ułatwiało orientację. Skradali się dalej, a w pewnym momencie musieli się wycofać, żeby okrążyć samicę z młodym, stojącą dokładnie na ich drodze.

W końcu Fundi uniósł dłoń na znak, że mają się zatrzymać. Pokazał przed siebie. Tom przyklęknął. Wyglądając spod gałęzi i pnaczy, dostrzegł masywne szare nogi najbliższego z samców. Pot ekscytacji spływał mu do oczu, szczypiąc jak morska woda. Otarł go zawiązaną na szyi chustą. Sprawdził zamek i krzemień muszkietu. Aboli skinął głową. Tom odwiódł kurek do połowy. Zaczęli podczołgiwać się bliżej.

Powoli wyłaniało się przed nimi potężne cielsko: zarys brzucha, wisząca wokół kolan workowata szara skóra, krzywizna jednego z żółtawych kłów. Podpełzli jeszcze trochę. Tom zauważył, że kły słonia są poplamione sokiem drzew, z których zdierał korę. Dostrzegał już zmarszczki i rozpadliny grubej skóry, i pojedyncze włosy krępego ogona. Spojrzał na Abolego, naśladując gestem pociąganie za spust, lecz Murzyn pokręcił głową. Należało podczołgać się jeszcze bliżej.

Samiec kołysał się lekko na nogach. Wtem spomiędzy jego tylnych kończyn wysunęło się coś dziwnego. Grubsze od

698

męskiego uda, wydawało się wyciągać bez końca, aż zawisło tuż nad ziemią. Tom musiał się siłą powstrzymać od parsknięcia śmiechem. Starzec, senny i najedzony, oddał obficie mocz spęczniałym członkiem.

Tom znów spojrzał pytająco na Abolego, ten jednak nie pozwalał mu strzelać. Wtem samiec się cofnął, żeby dosięgnąć trąbą kępy liści nad głową. Tym ruchem odsłonił drugiego ze słoni, który stał za nim.

Ujrawszy starego patriarchę, jeszcze większego niż jego towarzysza, Tom wstrzymał oddech. Samiec stał, zwiesiwszy leniwie olbrzymią głowę. Poruszał lekko uszami, poszarpanymi i wytartymi jak żagle statku po ciężkim sztormie. Jego małe oczka były przymknięte i przysłonięte gęstymi, siwymi rzęsami. Spod powieki słonia sączył się śluz, zostawiając na policzku moką smugę.

Olbrzym opierał kły o ziemię. Ich długość i obwód zachwyciły Toma. Były tak grube, że niemal się nie zwężyły od pyska aż po tępy szpic. W miejscu, gdzie zagłębiały się na ćwierć długości w czaszkę, widział zgrubienie pod skórą. Noszenie takiego ciężaru przed sobą przez całe życie musiało być uciążliwe nawet dla tak silnego stworzenia.

Był już tak blisko, że widział wyraźnie błękitną muchę, która usiadła na rzęsach słonia. Samiec mrugnął, żeby ją odpędzić. Jednocześnie na ramieniu Toma spoczęła dłoń Abolego. Odwrócił powoli głowę. Murzyn potwierdził skinieniem, że już czas.

Tom skoncentrował spojrzenie na zarysie kości pod pomarszczoną i wytartą skórą za łopatką zwierzęcia. Odnalazł miejsce, o którym mówił Fundi, dwie trzecie drogi od grzbietu do brzucha, tuż za nogą. Podniósł muszkiet i odwiódł do końca kurek, tłumiąc jego trzask dłonią. Spojrzawszy wzdłuż lufy, przekonał się, że jej wylot niemal dotyka boku słonia. Nie musiał nawet zestrzajać muszki ze szczerbinką. Delikatnie zwolnił spust. Kurek opadł i z panewki trysnęły białobłękitne iskry. Następnym ułamkiem sekundy zdawał się ciągnąć w nieskończoność, jak zwykle w takich momentach. Lecz ciężka strzelba zaraz wystrzeliła z hukiem, odrzucając go mocno do tyłu i przesłaniając całe pole widzenia gęstym obłokiem dymu. Aboli strzelił natychmiast po nim. Spokojną dotąd dolinę ogarnęła panika. Olbrzymy ruszyły przez zarośla, tratując krzaki i łamiąc drzewa. Stado trąbiło i kwiczało wniebogłosy.

699

Tom odrzucił pusty muszkiet i pomocnik podał mu drugi, naładowany. Wstał i skoczył w dym. Wyłonił się z niego po drugiej stronie akurat w chwili, gdy w krzakach zniknął potężny zad starego słonia.

- Za nim! - wrzasnął Aboli.

Popędzili za uciekającym samcem, słysząc wszędzie wokół trzask łamanych gałęzi, ciężki tupot samic i pokwikiwanie młodych. Smagały ich kolczaste krzaki, ale nie zwracali uwagi na zadrapania i biegli ścieżką, wydeptaną przez olbrzymia wśród zarośli.

Wyskoczyli na otwartą przestrzeń i zobaczyli słonia pięćdziesiąt stóp przed sobą, na brzegu jeziorka. Z rozpostartymi uszami pędził naprzód, a jego wielkie żółte kły kołysały się, widoczne to z jednej, to z drugiej strony torbiastego zadu. Zwierzę zadarło wysoko zakończony kitką ogon i pod skórą na jego zadzie rysował się wyraźnie kręgosłup.

Tom poderwał muszkiet i strzelił w wystające kręgi. Samiec opadł na tylne nogi i ześliznął się z brzegu do wody. Kula najwidoczniej zadrasnęła tylko jego kręgosłup, był bowiem sparaliżowany ledwie przez parę sekund. Zatrzymawszy się w mule, wstał i rozchlapując wodę, popędził ku przeciwległemu brzegowi.

Aboli wypalił do niego ponad wodą. Obaj ujrzeni, jak z głowy słonia wzlataje obłoczek zaschniętego błota. Olbrzym potrząsnął tylko łbem i trzepiąc uszami, zniknął w gęstych zaroślach po drugiej stronie stawu. Tom złapał trzeci muszkiet od sapiącego z wysiłku marynarza i rzucił się brzegiem w pogoń za zwierzęciem. Aboli biegł przy nim. Drogę ucieczki słonia znaczyły trzęsące się korony drzew i wierzchołki wysokich krzaków. Zarośla falowały jak powierzchnia morza, kiedy przewala się tuż pod nią wieloryb.

Nagle po ich prawej wybuchła ogłuszająca kanonada.

- Stado wybiegło na Alfa i Luke'a - rzucił Aboli.

Okrzyki jeziorko i dali nura w busz. Gęste zarośla zamykały się za uciekającym słoniem; przedzierali się przez nie z trudem, rwąc ubranie i skórę na cierniach.

- Już go nie dogonimy - wydyszał Tom. - Już nam zwiął.

Po chwili jednak wypadli na polanę i wydali chóralny okrzyk radości. Stary olbrzym wyprzedzał ich ledwie na odległość strzału z pistoletu. Trafienia okazały się poważne. Słoń nie

700

biegł już, lecz się zataczał. Opuścił głowę; jego kły wzbijały fontanny ziemi, a z trąby płynął strumień różowej piany.

- Za pierwszym strzałem trafiłeś w płuco! - krzyknął Aboli.

Pobiegli dalej z nowym wigorem, doganiając szybko ranne zwierzę. Dziesięć kroków przed nim Tom opadł na jedno kolano. Dyszał ciężko, serce waliło mu w piersi jak młotem i trzęsły się ręce. Złożył się jednak do strzału, celując ponownie w kręgosłup.

Tym razem kula śmignęła z gwintowanej lufy wprost do celu. W ułamku sekundy, zanim widok zasłonił mu dym, ujrzał, jak pocisk wbija się w skórę zwierzęcia tuż nad ogonem. Samiec znów przysiadł ciężko na zadzie, a Tom zerwał się z ziemi i wybiegł poza obłok dymu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Słoń siedział na wprost niego, potrząsając wściekle głową w agonii. Ogromne kły uniósł wysoko, z trąby tryskał mu strumień karminowej krwi. Jego przedśmiertne ryki były tak przenikliwe, że zdawały się rozrywać bębenki w uszach myśliwych.

Aboli strzelił mu w głowę. Chociaż widzieli obaj, że kula trafiła w kopulaste czoło, nie zdołała przebić potężnego czerepu, pod którym krył się mózg. Ranne stworzenie usiłowało dzwignąć się na nogi i ruszyć na swych prześladowców. Obaj odbiegli poza zasięg jego kłów i trąby, drżącymi rękami ładując na nowo muszkiety. Podpełzli do zwierzęcia z boku, starając się znaleźć jak najbliżej, i wystrzelili między jego żebra.

Odbiegali tak i wracali po wielekroć, przeładowując i strzelając na przemian. Siły olbrzymia powoli zaczęły się wyczerpywać; życie uchodziło zeń przez ponad dwadzieścia krwawiących ran. W końcu z głośnym sieknięciem słoń legł na boku, wyciągnął przed siebie swe fantastyczne kły i znieruchomiał.

Tom zbliżył się doń ostrożnie i końcem lufy dotknął małego oka, obrzeżonego wyblakłymi rzesami, na których połyskiwały niemal ludzkie łzy. Powieka ani drgnęła. Samiec był martwy. Myśliwy już miał zamiar wydać ryk triumfu, gdy poczuł, jak ogarnia go dziwne, niemal religijne poczucie melancholii. Kiedy podszedł do niego Aboli, spojrzeli sobie w oczy i Murzyn pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Tak - rzekł cicho. - Nauczyłeś się właśnie, co to znaczy być prawdziwym myśliwym. Pojąłeś całe piękno i cały tragizm tego, co robimy.

701

Luke'owi z Alfem udało się ustrzelić drugiego z wielkich samców. Trzeci jednak wymknął się z okrażenia i niedraśnięty nawet popędził w las z resztą stada. Tom chciał go gonić, lecz obaj Murzyni wyśmiali jego zapędy.

- Nie zobaczysz go już nigdy - powiedział Aboli. - Będzie teraz biegł jak szalony przez dwadzieścia mil, a potem przejdzie jeszcze pięćdziesiąt z szybkością biegnącego człowieka.

Wieczorem objedli się po królewsku żylastym i tłustym mięsem z policzków zwierzęcia, upieczonym na różnie z zielonych gałęzi. Popili wodą z jeziora, która, choć mętna i zaprawiona słoniowym moczem, smakowała im jak najwyborniejsze reńskie. Potem posnęli wokół ogniska i spali do rana jak zabici.

Wyciągnięcie kłów zajęło im dwa następne dni. Wyrabowali je z czaszek ostrożnie i powoli, żeby nie zadraskać drogocennej kości.

Fundi pokazał im, jak się usuwa stożkowaty nerw, wychodzący z jamy u nasady każdego kła, a później wypełnia otwór trawą. Potem sznurami z łyka przywiązali kły do długich drągów. Kiedy ruszyli w powrotną drogę do łodzi, każdy drąg musiało nieść czterech mężczyzn.

Po dotarciu do rzeki zakopali kły w głębokich dołach pod drzewami, żeby nie wygrzebały ich hieny, które potrafiły rozłupać wielką kość na drzazgi, po czym poszli dalej w górę rzeki.

Codziennie znajdowali coraz obfitsze ślady słońi i szli ich tropem na piechotę. Czasami udawało im się ustrzelić zdobycz już po kilku milach, czasem jednak musieli maszerować za stadem parę dni.

Po miesiącu obie łodzie były wyładowane kłami po brzegi, a wszyscy marynarze wyczerpani do cna. Nie było na nich ani grama tłuszczu; ich zarośnięte twarze zmizerniały, ciała wychudły. Trudy polowania nie robiły żadnego wrażenia jedynie na Abolim i Fundim. Gdy Toni obwieścił powrót do Fortu Providence, biali nie posiadali się z radości.

Tej nocy, kiedy kapitan Swallowa siedział samotnie przy dogasającym ognisku, myśląc o niedługim spotkaniu z Sarah, podeszli doń obaj Murzyni. Przykucnęli po obu jego stronach, a on, zanim przemówił, przyjrzał się badawczo ich ciemnym twarzom.

- Jakaś poważna sprawa, co? - zapytał z przekonaniem. -

702

Coś mi się widzi, że zaraz popsujecie mi dobry nastrój przed powrotem do domu. No, co tam znowu? - westchnął z rezygnacją.

- Fundi powiada, że znaleźliśmy się bardzo blisko terenów jego plemienia Lozi.

- To znaczy jak daleko? - zapytał podejrzliwie Tom w języku małego myśliwego.

Wiedział już, co znaczy dla Fundiego "blisko".

- Dziesięć dni marszu - odparł pewnie łowca, lecz pod badawczym spojrzeniem Toma opuścił wzrok. - No, może trochę dalej - przyznał.

- I Fundi pewnie chce powrócić do swoich?

- A ja chcę mu towarzyszyć - rzekł cicho Aboli.

Tom poczuł skurcz niepokoju. Wstał i odprowadziwszy przyjaciela poza krąg ognia, spojrzał mu niemal z gniewem w oczy.

- Co to za historia? - zapytał. - Czyżbyś chciał mnie opuścić i zostać w Afryce? Aboli pokręcił z uśmiechem głową.

- Odejdę tylko na trochę - odparł. - Ty i ja jesteśmy jak splątane pnacza tej samej winorośli. Nie da się nas rozdzielić.

- Dlaczego w takim razie chcesz iść beze mnie?

- Łowcy niewolników polują na Lozi już od tak wielu lat, że na sam widok twojej białej twarzy... - przeciągnął wymownie kantem dłoni po gardle. - Lepiej, żebym poszedł sam. Weźmiemy tyle towarów na wymianę, ile zdołamy unieść. Fundi twierdzi, że jego lud ma zapas kłów słoniowych, zdobytych na zwierzętach, które chwytają w doły-pułapki, i zdjętych z samców padłych w dżungli. Mając przy sobie ziomka Lozi, który uśmierzy ich obawy, będę mógł im pokazać próbki naszych towarów i może uda się nawiązać z nimi handel.

- A jak się odnajdziemy?

- Czekaj na mnie w Forcie Providence. Fundi powiedział, że będę mógł kupić od jego ludzi dłubanę. Zobacysz, wrócę łodzią wyładowaną skarbami. - Aboli położył uspokajająco dłoń na ramieniu przyjaciela. - Udowodniłeś już, że znakomity z siebie łowca słoni, a teraz powinienes trochę odpocząć. Wracaj do kobiety, która tęskni za tobą, i uczynj ją szczęśliwą. Zobaczymy się znowu, nim monsun zmieni kierunek, przynosząc następną porę deszczów.

Nazajutrz Aboli z Fundim wyruszyli w drogę ku zachodowi.

703

Wielkie toboły / paciorkami i perkalem umieścili sobie na głowach, bez trudu utrzymując je w równowadze, dzięki czemu w rękach mogli nieść broń. Tom odprowadził przyjaciela kawałek brzegiem rzeki, potem stał, patrząc za nim, dopóki nie zniknął pomiędzy drzewami. Wreszcie odwrócił się ze smutkiem w oczach i powlókł do łodzi. Czekały gotowe do drogi.

- Odbijać - rzucił, siadając przy sterze pierwszego barkasu. - Płyniemy do Fortu Providence.

Marynarze wzniesli radosny okrzyk i przyłożyli się do wiosła. Łodzie ruszyły z prądem na wschód.

Wartownicy na wzgórzu ponad obozem spostrzegli łodzie, gdy tylko wyłoniły się zza ostatniego zakrętu rzeki. Gdy przybili do brzegu, Sarah czekała już na plaży, podskakując z ekscytacji. Tom wysiadł i wziął ją w ramiona, lecz po pierwszym krótkim uścisku odsunęła się i przyjrzała jego twarzy, zatrzwożona widokiem.

- Ależ ty wychudłeś! - zawołała. - Wyglądasz jak strach na wróble w tych szmatach! - Zamarszczyła nos. - Kiedy ostatni raz się myłeś?

Poprowadziła go do obozu, nie dała jednak wejść do ich małego domku.

- Uświłbyś wszystko, nad czym tak się napracowałam - oświadczyła.

Napełniła gorącą wodą ocynkowaną beczkę, stojącą pod figowcem za chatą.

Rozebrała Toma i odłożyła stare łąchy do wyprania i połatania. Potem posadziła go w beczce jak małego chłopca i zmyła z niego gąbką cały brud i kurz, nawarstwiony przez tygodnie ciężkiej myśliwskiej wyprawy. Uczesała jego gęste czarne włosy i zaplotła w żeglarski warkoczek. Nożyczkami przystrzygła rozłożystą zmierzwioną brodę w zgrabny szpic, wprowadzony w modę przez króla Wilhelma. Rany i zadrapania na jego rękach i nogach posmarowała maścią z zapasów doktora Reynoldsa. Tom z rozkoszą poddawał się jej zabiegom.

Na koniec pomogła mu włożyć świeżą, pięknie odprasowaną koszulę i bryczesy, i dopiero wtedy wzięła go za rękę i zaprowadziła do chaty. Pokazała mu z dumą wszystko, czego dokonała podczas jego nieobecności: fotel na biegunach, który kazała cieślom zrobić specjalnie dla niego, podwójne łóżko

704

dw sypialni i materace, które uszyła sama i wypchała wysuszonym kapokiem z rosnących nad rzeką drzew puchowców. Tom spojrzał na łóżko z szelmowskim uśmiechem.

- Wygląda na solidną robotę - rzekł - lecz zanim wydam ostateczną opinię, muszę je wyróbować.

Dziewczyna zaczęła przed nim uciekać naokoło łóżka. Okrążyli je dwukrotnie, zanim wreszcie pozwoliła się złapać i położyć na haftowanych prześcieradłach.

Leżeli potem i rozmawiali aż do zachodu słońca i długo w noc. Tom opowiedział jej o wszystkim, co widział i czego dokonał. Opisał jej polowania na słonie i nieznane ziemie, które spenetrowali. Lasy, błękitne góry na horyzoncie i cudowne zwierzęta i ptaki, jakie napotkali.

- Ta ziemia jest taka wielka - powiedział, przytulając Sarah. - Bezkresna, dzika i piękna. Przez cały ten czas nie widzieliśmy choćby śladu człowieka. To wszystko jest nasze, Sarah. Tylko brać.

- Zabierzesz mnie ze sobą następnym razem? - spytała, zazdrosna o jego zainteresowanie, pragnąc dzielić z nim te wszystkie cuda. W głębi duszy czuła dziwną pewność, że następnym razem się wydarzy. Widziała, że jej mężczyzna zakochał się w tej ziemi tak samo mocno, jak zakochał się w niej. Wiedziała, że oboje są już częścią Afryki.

- Dobrze - obiecał. - Następnym razem zobaczymy to wszystko razem. Tak wiele mieli sobie do opowiedzenia, tyle spraw musieli omówić, że nie starczyło na to jednej nocy. Następne tygodnie upłynęły wszystkim na lenistwie. Myśliwi odpoczywali, dochodząc do sił po trudach ekspedycji, a Sarah z Tomem spędzali całe dni tylko we dwoje. Przeczytał jej zapiski z dziennika, który prowadził podczas wyprawy, żeby niczego nie zapomnieć. Potem zaczęli snuć plany na przyszłość.

- Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy Lungę, lub raczej że nam pokazał tę rzekę Fundi - powiedział Tom. - Portugalscy podróżnicy najwyraźniej na nią nie natrafili; Arabowie także. Fundi powiedział, że arabski szlak handlowy, zwany Droga Niewolników, biegnie daleko stąd na północy. - Uśmiechnął się na wspomnienie małego myśliwego. - Jeżeli Fundi mówi "daleko", można być pewnym, że to co najmniej sto mil. Przy odrobinie szczęścia ani Omańcy, ani Kompania Wschodnio-indyjska nigdy nas tutaj nie znajdą. Fort Providence to znako-

705
mita baza wypadowa w głąb interioru. Na te ogromne stada słoni prawie nikt nigdy tu nie polował. Jeżeli jeszcze Abolemu uda się nawiązać przyjazny kontakt z Lozi i innymi plemionami, będziemy mogli z nimi handlować i niczego nam nie zabraknie.

- A gdzie zamierzasz sprzedać kość? - spytała Sarah. - Nie możesz tego zrobić w Zanzibarze ani w innych arabskich portach, a także tam, gdzie znajdują się faktorie Kompanii. Jeżeli twój brat usłyszy, że cię gdzieś widziano, na pewno nie zostawi nas w spokoju. Do Anglii też nie możemy wrócić. - Starła się, żeby zabrzmiało to lekko, bez odcienia smutku w głosie. - Gdzie sprzedamy nasze towary? Gdzie kupimy niezbędne rzeczy; proch i kule, lekarstwa i mąkę, świece, olej, liny, płótno, pak?

- Jest takie miejsce, całkiem niedaleko - zapewnił ją. - Jak tylko monsun zmieni kierunek i zacznie się pora deszczowa, opuścimy fort i popłyniemy do Przyładka Dobrej Nadziei. Holendrzy bez wątpienia z wielką ochotą kupią naszą kość słoniową, a z jeszcze większą sprzedadzą nam wszystko, czego nam potrzeba. A co ważniejsze, nie dadzą złamanego guldena ani kawałka starego sera za list gończy za mną, który wystawił lord kanclerz Anglii.

W oczekiwaniu na Abolego nikomu w forcie nie brakowało pracy. Musieli oczyścić i wazyć wszystkie kły, a potem owinać je w suchą trawę, żeby nie uszkodziły się podczas transportu.

Następnie wyciągnęli na plażę Swallowa. Trzeba było usunąć z jego dna wodorosty i pozalewać wrzącą smołą otwory, wygryzione przez świdraki. Kiedy korweta wróciła na wodę, odmalowali ją na nowo i załatali rozdarcia w żaglach. Przerobili też trochę takielunek, żeby trudniej było rozpoznać w niej statek, na którym przypłynęli z Anglii.

Żeglarski przesąd głosił, że zmiana nazwy statku może sprowadzić nieszczęście; nie było na to jednak rady. Zdrapali starą i wymalowali na pawęży dziobowej nową nazwę.

Kiedy już statek był gotowy, Sarah rozbiła o jego dziób butelkę brandy z kuchennych magazynów.

- Nadaję ci imię Centaurus - ogłosiła uroczyście. - Płyn po morzach i oceanach świata. Niech Bóg pobłogosławi ten statek i jego załogę.

Następnie ułożyli w ładowni Centaurusa kość słoniową, przekładając kły suchą trawą. Napełnili jeszcze beczki słodką wodą i korweta była gotowa do rejsu na południe.

706

Popołudniami na północnym horyzoncie zaczęły się już formować burzowe chmury, wielkie jak sięgające nieba górskie masywy. Zachodzące słońce barwiło je purpurą i posępnym szkarłatem, w ich trzewiach zapalały się błyskawice, a daleki odgłos gromu zwiastował rychłe nadejście deszczów.

Pierwsza ulewa spadła na ziemię jak siwy całun schodzący z gór. Pioruny bombardowały ich przez trzy dni i noce; lało się na nich tyle wody, jakby mieszkali pod potężnym wodospadem. Kiedy sztormowe chmury się rozstąpiły, na wezbranej rzece ujrzeli kilkanaście długich łodzi, wydłubanych z pni drzew. W pierwszej stał Aboli, wysoki, z wytatuowaną twarzą. Tom z okrzykiem radości popędził na plażę, żeby go powitać.

W ostatniej łodzi płynął Fundi. Pozostali wioślarze także pochodzili z plemienia Lozi. Na dnie każdego kanoe piętrzył się stos słoniowych kłów. Nie tak wspaniałych, jak te zdobyte podczas wyprawy Toma, lecz również sporej wartości. Współplemieńcy Fundiego, mimo jego zapewnień, że nic im nie grozi, wyraźnie obawiali się białych ludzi z Fortu Providence. Spodziewali się, że zostaną pochyceni jako niewolnicy i odesłani w łańcuchach na wybrzeże, jak to zdarzyło się wielu ich ziomkom, po których zaginął wszelki ślad.

W większości byli to starsi mężczyźni, siwi i przygarbieni, a także kilku niedorostków. Zbili się w ciasną gromadkę i nie zdołały ich oswoić uspokajające przemowy Toma w łamanym lozi.

- Popłynęli z nami tylko dlatego, że kazał im Bongola, ich kacyk - wyjaśnił Aboli. - Kiedy zobaczył nasze towary, chciwość przeważyła w nim nad lękiem przed łowcami niewolników. Sam też się bał nam towarzyszyć i wolał dać za wioślarzy co mniej przydatnych członków plemienia.

Wyładowali całą kość słoniową na brzeg i zważyli ją, a potem Tom wynegocjował z Fundim uczciwą cenę.

- Nie chcę zanadto ich rozpuścić, przepłacając - wyjaśnił Sarah. - Ale nie chciałbym też, żeby poczuli się oszukani i przestali z nami handlować, gdy jeszcze tak naprawdę nie zaczęli.

W końcu załadowano do murzyńskich łodzi odpowiednią ilość weneckich paciorków, bel bawełny, skrzynek z lusterkami i ostrzami do toporków i zwojów miedzianego drutu. Lozi | chwycili za wiosła i popłynęli w górę rzeki. Zniknęli za zakrętem,

707

wiosłując pod prąd z siłą demonów i wyśpiewując swym bogom historyczne podziękowania za uratowanie z rąk białych.

- Wróca z początkiem nowej pory deszczów - stwierdził Aboli. - Bongola już o to zadba.

Fundi wraz z trzema najodważniejszymi z Lozi zgodził się zostać w Forcie Providence do powrotu Anglików, by chronić zabudowania i uprawy przed atakami złej pogody i dzikich zwierząt.

Marynarze załadowali na Centaurusa resztę kości słoniowej. Kiedy ulewa rozszalała się na dobre, wezbrane wody Lungi i porywy monsunu poniosły małą korwetę w dół rzeki, do Oceanu Indyjskiego.

- Kurs na Madagaskar i Przylądek Dobrej Nadziei; połu-dniowo-wschodni ku południowemu, panie Tyler - wydał rozkaz Tom. - Proszę zaznaczyć na róży wiatrów, jeśli łaska.

- Jest południowy wschód ku południowi, sir.

- Oстрым bejdewindem.

Kapitan Centaurusa wziął Sarah za rękę i poprowadził na dziób. Stali tam, przyglądając się latającym rybom, które wyskakiwały ponad powierzchnię Kanału Mozambickiego, śmigając w srebrnych ślizgach, niczym świeżo wybite monety ciskane w błękitną toń.

- Jeżeli znajdę księdza na przylądku, czy wyjdiesz za mnie, Sarah Beatty? - zapytał.

- Pewnie, że tak, Thomasie Courtneyu - przytuliła się do niego ze śmiechem. - Pewnie, że tak.

Centaurus rzucił kotwicę w Zatoce Stołowej pewnego słonecznego poranka, gdy południowo-wschodni wiatr zrywał ze szczytów drobnych fal bryzgi bieli. Zeszli na brzeg u stóp potężnej góry, przesłoniętej jak zwykle słynnym Obrusem - stale wiszącym nad jej wierzchołkiem zwałem białych obłoków. Od ich ostatniej tu bytności osada znacznie się rozrosła. Przepisy Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, równie drakońskie jak u jej angielskiego odpowiednika, zabraniały cudzoziemcom kupowania ziemi i zamieszkiwania na jej terenach. Przekonali się jednak wkrótce, że kilka złotych monet wsuniętych w dłoń odpowiedniego urzędnika znakomicie pomaga ominąć te regulacje. Gdy

pospłacali już wszystkie tego

708
rodzaju należności, obywatele miasta przyjęli ich bardziej niż serdecznie - szczególnie że Centaurus był porządnie obciążony i holenderscy kupcy spodziewali się sporo zarobić.

Anglicy zamierzali przeczekać na przyładku porę deszczową. Ponieważ kwatery na małym statku były ciasne, a kołysanie zakotwiczonej korwety męczące, Tom wynajął dla siebie i Sarah mieszkanie w jednym z domków dla gości przy ogrodach Kompanii. Zarządzała nimi wyzwolona Malajka, znakomita kucharka i gospodyni. Przez pierwszy tydzień Tom odwiedzał liczne składy przy nabrzeżu, rozmawiając z kupcami. Z zadowoleniem stwierdził, że popyt na kość słoniową jest znaczny. Udało mu się zawrzeć kilka niezwykle korzystnych transakcji i wreszcie mógł wypłacić załodze gaże, po raz pierwszy od wypłynięcia z Londynu. Marynarze otrzymali też odpowiedni udział w zyskach.

Większość wydała wszystko w ciągu następnego kilku miesięcy w tawernach i burdelach miasta. Ned Tyler jednak, a także doktor Reynolds pokupowali sobie niewielkie działki w dolinie Konstancji po drugiej stronie Góry Stołowej. Natomiast Tom z Abolim prawie cały swój zysk wydali na zakup rzeczy niezbędnych do przetrwania kolejnego roku w Forcie Providence oraz solidnego zapasu towarów na wymianę z plemionami z interioru.

Tom przeznaczył dla Sarah pięćdziesiąt funtów z zysku. Za te pieniądze skompletowała swoją wyprawę, w skład której wszedł mały klawikord i drewniana kołyska. Tę ostatnią pomalowała sama w kwiaty i aniołki.

Na ceremonię ich zaślubin w małym kościółku stawiała się cała załoga. Po ślubie marynarze w rozśpiewanym korowodzie ponieśli młodą parę na ramionach do jej mieszkania, obrzucając nowożeńców przez całą drogę płatkami róż.

Aboli poznał w jednej z portowych tawern pewnego Holendra, ogorzałego mężczyznę nazwiskiem Andries van Houten. Sprowadziła go z Amsterdamu jego rodzima kompania jako poszukiwacza złota.

- Przepatrzyłem całe góry aż do Stellenbosch - wyjawiał Murzynowi van Houten po przełknięciu trzeciego kufła. Pod spieczoną słońcem skórą jego szyi podskakiwało przy każdym potężnym łyku wydatne jabłko Adama. - W tej przeklętej kolonii nie ma ani grama złota. Ale czuję je na północy -

709

pociągnął nosem. - Gdybym mógł znaleźć statek, który zawiezie mnie w górę wybrzeża... - spojrzał z nadzieją na Abolego. - Niestety, nie mam przy duszy złamanego guldena, żeby zapłacić za podróż.

Aboli zaprowadził go do Toma, a ten rozmawiał z Holendrem co wieczór przez cały tydzień. W końcu zgodził się zakupić dlań ekwipunek potrzebny poszukiwaczowi złota i zabrać go do Fortu Providence na pokładzie korwety.

Beztroski czas na przyładku przeminął im zbyt szybko. Nadeszła kolejna pora roku. Gdy z dębów opadły pierwsze liście, załadowali statek, ze szczególnym uważaniem traktując klawikord Sarah. Podniósłszy kotwicę, opłynęli południowy kraniec Afryki i znaleźli się znów na Kanale Mozambickim.

Wpłynęli do ujścia Lungu i ruszyli w górę rzeki. Ślady wysokiej wody na brzegach i śmieci na gałęziach drzew powiedziały im wiele o rozmiarach powodzi, kiedy zaś dotarli do wzgórz, lasy pyszniły się świeżą soczystą zielenią nowej roślinności. Fundi nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Powitał ich na przystani, a potem z dumą oprowadził Toma po forcie, pokazując, jak dobrze dbał o wszystko podczas ich nieobecności. Później zabrali się do odnowienia poszycia dachów i wzmocnienia palisady. Sarah ustawiła klawikord we frontowym pokoju chaty i

wieczorami po kolacji grywała na nim Tomowi, śpiewając pieśni, które pamiętał jeszcze z czasów Serapha.

Malowaną kołyskę postawiła przy łożu w sypialni.

- Przyjmuję to jako wyzwanie, pani Courtney - powiedział Tom pierwszego wieczoru, siadając na łóżku, żeby ściągnąć buty. - Zobaczmy zatem, co się da zrobić w tej sprawie.

Na przyłożenie się do tego zadania nie pozostało im zbyt wiele czasu, bo po kilku tygodniach odpoczynku Tom był już gotów wyruszyć na pierwszą myśliwską wyprawę tego sezonu.

W pierwszej łodzi płynął van Houten, siedząc na swojej skrzynce z ekwipunkiem i chemikaliami. Patelnie do płukania trzymał pod ręką, badając po drodze każdą żwirową zatoczkę i piaszczystą plażę. Kiedy zatrzymywali się na polowanie, nie towarzyszył myśliwym, lecz z dwoma Lozi jako pomocnikami wędrował po wzgórzach i strumieniach w poszukiwaniu śladów cennego kruszcu.

Łowy okazały się obfite. Po miesiącu wrócili do Fortu Providence z łodziami wyładowanymi kością po brzegi.

710

Podczas drugiej ekspedycji towarzyszyła Tomowi Sarah. Zabrała ze sobą pudło z farbami, kupione na przylądku, i zapełniała stronicę swego szkicownika obrazkami z podróży.

Dotarli tak daleko w górę rzeki, jak jeszcze nigdy przedtem, i znaleźli się w końcu w krainie Lozi. Mieszkańcy pierwszej napotkanej wioski uciekli do dżungli i dopiero po kilku dniach zaczęli ostrożnie wychylać się z gąszczu, nawoływani przez Fundiego i Abolego. Po przełamaniu ich nieufności Anglikom udało się wreszcie nawiązać z nimi całkiem przyjacielskie stosunki.

Odkryli, że Lozi to lud pokojowy i wesoły. Chociaż niewielkiej postury, mieli zgrabne ciała i przyjemną aparycję. Niektóre z kobiet były wręcz piękne, o rysach twarzy właściwych plemionom znad Nilu. Chodziły z obnażonymi piersiami, nosząc się dumnie i z wdziękiem.

Aboli odbył ze starszymi plemienia kilka poważnych dyskusji, w których efekcie za parę zwojów miedzianego drutu i woreczek szklanych paciorków udało mu się pojąć za żony dwie najładniejsze i najpulchniejsze dziewczęta z wioski. Ich imiona brzmiały Falla i Zete. Nie wiadomo było właściwie, komu bardziej przypadła do gustu cała transakcja: panu młodemu czy jego młodziutkim małżonkom, które paradowały w nowych fata-łaszkach otrzymanych od męża w wianie, wpatrzone weń jak w obraz.

Doktorowi Reynoldsowi udało się z pomocą Sarah wyleczyć wielu chorych członków plemienia, co przypieczętowało obopólną przyjaźń. Gdy ekspedycja ruszyła w górę rzeki, do głównego kraalu * Lozi, wioskowe bębny poniosły wieść o przybyciu dobrych białych aż do stolicy. Kiedy przybili do brzegu, wyszedł im na powitanie sam kacyk Bongola i zaprowadził do nowych chat, wzniesionych specjalnie dla wygody gości.

Wieś Bongoli składała się z kilkuset krytych strzechą chat, rozrzuconych nad rzeką i na zboczach wzgórz. Każdą otaczał gaj drzew mangowych i bananów oraz poletka manioku. Karłowate bydło i kozy tubylcy trzymali w zagrodach z bali, chroniąc je przed nocnymi napaściami lampartów i hien.

Tom władał już niemal płynnie ich językiem i wraz z Abolim prowadził codziennie długie indaba ** z Bongola.

* Kraal (afrikaans): wieś lub zagroda południowoafrykańska. ** Indaba (zulu): negocjacje między plemionami w Afryce Południowej

711

Kacyk był wyjątkowo rozmownym człowieczkiem. Opowiedział im dokładnie niedawną historię plemienia. Lozi mieli niegdyś bogate ziemie na północy, nad brzegami wielkiego słodkiego jeziora. Potem jednak dotarli tam łowcy niewolników i zaczęli napadać na nich jak gepardy na stado spokojnie pasących się gazeli. Ci, którym udało się przetrwać, umknęli na południe. Mieszkali tutaj już od dwudziestu lat, szczęśliwie unikając dalszych napaści. Przez cały ten czas towarzyszył im strach przed prześladowcami, wiedzieli bowiem dobrze, że powoli zapuszczają się oni coraz dalej w głąb interioru.

- Wiemy, że przyjdzie taki dzień, kiedy będziemy znów zmuszeni do ucieczki - powiedział Bongola. - Dlatego właśnie tak nas przeraziły pierwsze wieści o was.

Tom pamiętał opowiadania Abolego o tym, jak on sam został złapany i sprzedany w dzieciństwie. Pamiętał też nieszczęśników z targu w Zanzibarze. Któryś już raz z kolei poczuł obrzydzenie do tego procederu i jednocześnie bezsilną złość, że nic sam nie może zrobić dla ulżenia ciężkiemu losowi tubylców.

Handel z Bongola okazał się ze wszech miar korzystny; za swoje towary pozyskali wiele wspaniałych kłów słoniowych. Któregoś dnia van Houten wrócił z jednego ze swych wypadów rozpromieniony i z dumą zaprezentował Tomowi pięć kolców jeżozwiera, zaczopowanych z jednego końca. Kiedy je odkorkował i wysypał zawartość na szalkę wagi, kapitan ujrzał górkę metalicznych płatków i ziarenek, połyskującą złotawo w słońcu.

- Złoty piasek? - zapytał. - Słyszałem o istnieniu "złota głupców"; czy jesteś pewien, że to nie takie złoto?

Van Houten zachnął się z powodu posadzenia go o niekompetencję, a następnie pokazał Tomowi, jak się sprawdza szlachetność kruszcu za pomocą kwasu, który miał w swym podręcznym laboratorium.

- W kwasie rozpuści się każdy pospolity metal, ale nie złoto - wyjaśnił.

Kiedy posypał płyn płatkami, kwas zabulgotał i wzburzył się, lecz gdy Holender wyłowił metal sitkiem, był jasny i nienaruszony.

Zaprowadził Toma do doliny, w której odsiewał złoty piasek. Pokazał mu ciąg zwirowych zakoli i piaszczystych łąch wzdłuż biegu strumienia. Na prośbę Toma Bongola przydzielił mu do

712

pracy pięćdziesiąt kobiet, mężczyźni bowiem nie kalali się tak podrzędnymi zajęciami jak uprawa roli lub grzebanie w łożysku strumienia.

Kobiety Lozi dostały patelnie i Holender objaśnił im, jak mają płukać piasek; zanurzać, nabierać i kręcić nim w płaskim naczyniu, aż niepotrzebne odpadki wypadną przez krawędź i pozostanie tylko błyszcząca reszta. Murzynki szybko opanowały nową umiejętność. Tom obiecał im po miarce szklanych paciorków za każdą napełnioną złotem igłę jeżozwiera.

Aluwialne złoża van Houtena okazało się tak bogate, że pracująca wytrwale kobieta mogła napełnić jedną igłę w niecały dzień. Wkrótce płukanie złota stało się najwyżej cenionym zajęciem plemienia Lozi. Niektórzy z mężczyzn, skuszeni perspektywą zysku, próbowali także się do niego zabierać, kobiety jednak przepędziły ich z oburzeniem.

Z nadejściem pierwszych deszczów oba barkasy siedziały nisko w wodzie pod ciężarem ładunku kości, a Tom miał w specjalnej skrytce niemal sto uncji złotego piasku.

Kiedy Aboli oznajmił żonom, że je opuszcza aż do następnej pory suchej, Falla i Zete wybuchnęły rozpaczliwym szlochem. Sarah połajała go surowo za takie traktowanie biednych dziewcząt.

- Jak możesz być tak okrutny! Najpierw je w sobie roz-kochałeś, a teraz łamiesz im serduszka!

- Nie mogę ich zabrać w taki długi rejs. Umarłyby ze strachu albo od choroby morskiej. Jeśli by nawet przeżyły, to i tak płakałyby codziennie za rodzinami. Ich życie stałoby się jedną wielką udręką, a moje przy okazji także. Lepiej niech zostaną w domu i czekają na mnie, jak przystało na dobre żony.

Rozpacz obu dziewcząt została w cudowny sposób uśmierzona pożegnalnym podarunkiem od Abolego, złożonym z paciorków, perkalu i lusterek. Stały się dzięki temu najbogatszymi żonami w wiosce. Kiedy wysoka sylwetka ich męża, siedzącego u steru pierwszej łodzi, oddalała się w dół rzeki, zegnały go ze śmiechem, machając radośnie rękami.

Wrócili do kraju Lozi z początkiem pory suchej. Okazało się, że obie żony Abolego są ciężarne. Ich lśniące czarne brzuchy sterczały ponad przepaskami biodrowymi; piersi miały wielkie

713

jak dojrzałe melony. Urodziły niemal w tym samym czasie. Sarah pełniła rolę akuszerki, pomagając przyjść na świat dwóm chłopcom.

- Na Boga - rzekł Tom, obejrzawszy niemowlęta. - Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to twoje dzieło, Aboli. Tym małym diablatkom brakuje tylko tatuaży, żeby ci dorównały szpetota!

Aboli był zupełnie odmieniony. Gdy sadzał sobie pucołowatych, zaślinionych synków na kolanach, znikła gdzieś jego pełna godności rezerwa i królewska poza. Poryte tatuażami oblicze, zdolne przerazić hordę nieprzyjaciół, łagodniało i stawało się niemal piękne.

- Ten ma na imię Zama - powiedział Courtneyom. - Będzie zeń wielki wojownik. A to jest Tula, przyszły mędrzec i poeta.

Tej nocy, gdy leżeli w ciemności w swojej chacie w murzyńskiej wiosce, Sarah przytuliła policzek do twarzy Toma i szepnęła mu do ucha:

- Ja też chcę syna; proszę, Tom. Daj mi dziecko, najmilszy, żebym je mogła przytulać i kochać.

- Postaram się - obiecał. - Będę się starał ze wszystkich sił.

Mijały jednak lata, spędzane częściowo w Forcie Providence i na wyprawach do kraju Lozi, po części zaś na Przylądku Dobrej Nadziei, a Sarah wciąż pozostawała szczupła i zgrabna. Brzuch miała płaski i nic nie wypełniało jej łona ani nie wypychało kształtnych piersi.

Zama i Tula wyrosli szybko na silnych chłopców, dziedzicząc po ojcu mocną budowę ciała i naturalną zdolność do przewodzenia rówieśnikom, których przerastali o głowę. Spędzali całe dni w lesie albo na trawiastej nadrzecznej równinie, doglądając plemiennego bydła, ucząc się władać łukiem i dzidą i poznając zwyczaje dzikich stworzeń.

Wieczorami siadali z Abolim przy ognisku i z szeroko otwartymi oczami słuchali jego opowieści o dalekich podróżach, bitwach i przygodach w obcych krajach.

- Zabierz nas z sobą, ojczy - prosił zwykle Zama, zgodnie z przewidywaniem Abolego wyższy i silniejszy z braci.

- Prosimy, czcigodny ojczy - przyłączał się cienkim głosem Tula. - Chcemy zobaczyć te wszystkie cuda.

- Na razie musicie być przy waszych matkach i wypełniać sumiennie wszystkie obowiązki. Ale któregoś dnia zostaniecie

714

obrzezani i staniecie się mężczyznami. Wtedy pan Klebe i ja zabierzemy was z sobą i zobaczycie świat, który jest poza krajem Lozi - obiecywał im Aboli. Coroczne polowania na słonie w interiorze przynosiły im wciąż obfitą zdobycz. Van Houten odkrył kolejne złotonośne pole, trzy dni marszu na północ od pierwszego, z którego wciąż jeszcze płynął do Fortu Providence strumyczek złotego piasku. Zarówno tubylcy, jak i Anglicy żyli w dobrobycie. Z nastaniem deszczów Centaurus regularnie wyprawiał się z pełnymi ładowniami na Przylądek Dobrej Nadziei.

W Kapsztadzie otworzył swoją filię renomowany amster-damski bank i Tom złożył już w nim depozyt ponad dwóch tysięcy funtów. Po ostatnim sezonie myśliwskim zdołał podwoić tę sumę. Nareszcie był bogaty.

W tej sielance zdarzały się jednak także gorzkie rozczarowania. Gdy nadszedł czas powrotu do Fortu Providence, Ned Tyler oznajmił mu, że jest już za stary na kolejny rejs. Włosy na jego głowie bieliły się istotnie jak pole bawełny, plecy miał wypukłe jak beczka, a oczy, niegdyś bystre, zasnuwane mgłą i kaprawe.

- Pozwól mi zostać na mojej małej farmie w dolinie Konstancji - prosił. - Chcę doglądać moich kurek i hodować warzywa.

- Ja też zostaję - oświadczył doktor Reynolds. - Przygód wystarczy mi do końca życia.

Przyjrawszy się uważnie jego przekrwionej twarzy, Tom uzmysłowił sobie po raz pierwszy, jak bardzo doktor się postarzał.

- Przez tyle lat opatrywałem i zszywałem twoich hunc-wotów, kapitanie - rzekł medyk. - Teraz chcę sadzić winorośl i może uda mi się przed śmiercią wyprodukować beczkę własnego wina.

- Ale kto będzie nas leczył, doktorze? - zaprotestował Tom. - Chyba nie chcesz, żebyśmy pomarli na malarię w tej dziczy?

- Jest wśród was przecież znakomity lekarz - odparł Reynolds. - Wyuczyłem panią Sarah wszystkiego, co sam umiem w dziedzinie nastawiania kończyn i przyrządzania medykamentów. Zostawiam całą gromadę naprawdę w dobrych rękach. Będzie to dla was z korzyścią, bo Bóg mi świadkiem, że i piękniejsza jest ode mnie, i serce ma czulsze.

715

Pierwszym oficerem Centaurusa został Alf Wilson; to on z początkiem kolejnego sezonu łowieckiego wprowadził statek do ujścia Lungi. Coroczny powrót do Fortu Providence stanowił dla wszystkich wielką atrakcją. Niecierpliwili się, by zobaczyć, jak sobie radził Fundi podczas ich nieobecności, dowiedzieć się, czy wciąż jest wiele słoni wśród wzgórz kraju Lozi i zważyć złoty piasek, wypłukany w tym czasie przez kobiety.

Aboli usiłował bez powodzenia ukryć ekscytację z powodu bliskiego spotkania z rodziną. Falla i Zete powiększyły znacznie ich trzódkę, która liczyła już sześciu synów i dwie małe córeczki. Ten rok był bardzo ważny szczególnie dla Zamy i Tulu. Mieli przejść trening przed inicjacją, mieszkając przez wiele miesięcy w dżungli i zgłębiając tajniki dorosłości pod okiem plemiennych mędrców. Przed nową porą deszczów oczekiwało ich obrzezanie, a potem status mężczyzny i wojownika. Aboli obiecał obu, że tego dnia będzie z nimi.

Fundi jak zwykle powitał ich na przystani. W forcie wszystko układało się jak należy, wystarczyło naprawić niewielkie szkody wyrządzone przez deszcz. Sarah ściągnęła z klawikordu płócienny pokrowiec i uderzyła o struny. Ku jej zadowoleniu akord zabrzmiał czysto. Z uśmiechem odśpiewała "Hiszpańskie dziewczyny".

Aboli wypytywał Fundiego o wieści na temat Lozi i swojej rodziny, lecz żadnych nie usłyszał. Wyjątkowo ulewne deszcze tego roku uczyniły rzekę nieżeglowną i z wioski Bongoli nie dotarła do fortu ani jedna łódź. Murzyn był podenerwowany przez cały czas, który musieli poświęcić na rozładowanie statku i dokonanie niezbędnych napraw w obozie. Gdy ukończono przygotowania do ekspedycji w górę rzeki, opuścili Fort Providence. Aboli sterował prowadzącą łodzią.

Zrozumieli, że coś jest nie w porządku, już w pierwszej z mniejszych wiosek w dżungli. Była wyludniona; następne także. Choć przeszukali całą okolicę, nie odnaleźli żywej duszy ani też wskazówki, co stało się z ich mieszkańcami.

Ze ściśniętymi obawą sercami popłynęli co sił do wsi Bongoli. Wiosłowali niezmordowanie i przeciągali łodzie przez płycizny, dopóki starczało światła dziennego i dało się omijać wystające z nurtu skały.

Dotarli do wielkiej wsi wczesnym popołudniem. Nad wzgórzami wisiała złowroga cisza; nie było słyhać bębnow ani

716

rogów i nikt nie wyszedł im na spotkanie. Spostrzegli od razu, że ogrody nad wodą są zaniedbane i zachwaszczone. Minęli pierwszą nadrzeczną chatę. Jej słomiany dach spłonął; zostały tylko nagie ściany, z których ulewy zmyły gliniany tynk.

Nikt w łodziach nie powiedział słowa. Twarz Abolego, napierającego z całą mocą na wiosło, zmieniła się w maskę rozpacz. Patrzyli niemo na ruiny wioski: spalone chaty, zniszczone uprawy, puste zagrody dla bydła.

Wierzchołki drzew obsiadły sępy, ponure ptaszyska o przygarbionych grzbietach i zakrzywionych dziobach. W powietrzu czuło się słodkawą woń śmierci i rozkładu. Na piaszczystym brzegu przystani leżało kanoe z przedziurawionym dnem. Ktoś przewracał stojaki do suszenia ryb, wszędzie walały się splątane i porwane sieci. Aboli wyskoczył z łodzi i brnąc po pas w wodzie, wydostał się na brzeg. Zarośniętą ścieżką pobiegł ku chatom Falli i Ze te.

Tom ruszył za nim, ale dogonił go dopiero przy ogrodzeniu z kolczastych gałęzi. Murzyn stał w wejściu do zagrody, wpatrując się w milczeniu w spalone zabudowania, w których mieszkała kiedyś jego rodzina. Tom stanął przy nim bez słowa. Aboli podszedł do pogorzelniska i wygrzebał z błękitnych popiołów malutką ludzką czaszkę. Trzymał ją w dłoniach jak świętą relikwię, patrząc ze łzami w oczach w puste oczodoły. Czubek maleńkiej głowy roztrzaskano jednym silnym ciosem.

Przemówił wreszcie do Toma głosem spokojnym mimo łez:

- Łowcy niewolników zawsze zabijają niemowlęta. Są za słabe, żeby przetrwać podróż na wybrzeże, a ich ciężar spowalnia marsz matek. - Dotknął głębokiej szczeliny w czerepie. - Widzisz, chwycili moją małą córeczkę za nóżki i rozbili jej główkę o słup w wejściu do chaty. To była moja piękna dziecinka... Kassa. - Podniósł czaszkę do ust i pocałował okropną ranę.

Tom nie mógł patrzeć na jego rozpacz. Rozejrzał się po pozbawionej dachu chacie i zauważył arabski napis, nagryzmołony zwęglonym patykiem na ścianie: "Bóg jest

wielki. Jest tylko Jeden Bóg". Tożsamość sprawców tej rzezi była oczywista. Wpatrywał się w koślawe litery, usiłując jakoś dojść do siebie. Gdy się odezwał, czuł w krtani ucisk trwogi.

- Kiedy to się mogło stać? - zapytał.

- Jakiś miesiąc temu, może trochę wcześniej - odparł Aboli.

717

- Karawana z niewolnikami zapewne porusza się bardzo j powoli, prawda? Z powodu kajdan, kobiet i dzieci?

- Tak - skinął głową Aboli. - Idą bardzo wolno, a do j wybrzeża jest daleka i męcząca droga.

- W takim razie możemy ich dogonić. - Głos Toma j nabrał pewności. - Jeżeli zaraz wyruszymy i pójdziemy for-1 sownym marszem.

- To prawda - zgodził się Murzyn. - Dogonimy ich. Najpierw jednak muszę pogrzebać moich zmarłych. Przygotuj wszystko do pościgu, Klebe. Niedługo będę gotów.

Wśród ruin swego gospodarstwa Aboli znalazł jeszcze dwa małe kościołki. Były doszczętnie objedzone przez padlinożerców, lecz rozpoznał je po bransoletkach z paciorków, które sam sprezentował dwóm najmłodszym synkom. Nie mieli nawet trzech lat. Zebrał ich szczątki i zawinał w kawał wyprawionej skóry.

Wykopał dla nich grób na zgliszczach chaty, w której zostali poczęci. Złożywszy w nim zwłoki, otworzył sobie żyłę na przegubie i spryskał miejsce pochówku własną krwią. Potem pomodlił się do duchów przodków, żeby przyjęli do swego grona duszyczki dzieci i okazali im miłosierdzie.

Kiedy zszedł na przystań, Tom zakończył już przygotowania do wymarszu. Nie musiał zresztą wydawać specjalnych rozkazów, bo po latach spędzonych na myśliwskich wyprawach wszyscy doskonale wiedzieli, co do nich należy. Podzielili się na trzy pięcioosobowe oddziały, pod dowództwem Toma, Alfa i Luke'a. Trzech marynarzy miało zostać w wiosce i pilnować łodzi.

Każdy z mężczyzn niósł broń, proch i kule, a także bukłak z wodą, koc i żywność na tydzień marszu. Cały ładunek ważył dobre sześćdziesiąt funtów. Po wyczerpaniu się prowiantu mieli jeść to, co zdołają upolować.

- Ty musisz zostać przy łodziach - powiedział Tom do Sarah, wyjmując swoją szpadę z natłuszczonego płótna, w które ją zawijał dla ochrony przed wilgocią. Podczas polowań na słonie nie nosił jej, ponieważ przeszkadzała w podchodzeniu zwierząt. Teraz jednak miał znów potrzebować długiej broni. - Będzie naprawdę niebezpiecznie, z pewnością czeka nas walka.

- Tym bardziej musicie mnie zabrać z sobą - odparła. - Kto wam opatrzy rany? Nie zostaną tutaj, nie ma mowy.

718

Ściągnięte rysy jej twarzy wyrażały determinację, w oczach lśnił zimny błysk. Zdażyła już spakować swoją lekarską skrzynkę i koc. Wiedział z doświadczenia, że jakakolwiek dyskusja jest w tej sytuacji bezcelowa.

- Trzymaj się blisko mnie - poddał się wreszcie. Zapiał pas ze szpadą. - W razie niebezpieczeństwa rób, co ci powiem, kobieto, i chociaż raz mi się nie sprzeciwiąj.

Z Abolim i Fundim na przedzie ruszyli gęsiego przez wypalone pozostałości wioski. Po drodze mijali ludzkie szkielety - szczątki starców i dzieci, uznanych przez oprawców za niezdolnych do marszu na wybrzeże. Opuściwszy tę koszmarną scenerię, poczuli ulgę. Skierowali się ku wzgórzom na północy, podążając szerokim szlakiem, wydeptanym przez szeregi niewolników.

Obaj Murzyni narzucili mordercze tempo. Fundi niósł na ramieniu swój wielki łuk na słonie, a na plecach kołczan pełen zatrutych strzał. On także stracił rodzinę w rzezi.

Noc była bezksiężycowa, lecz Tom zarządził postój dopiero wtedy, gdy ciemność nie pozwalała dojrzeć gruntu pod stopami. Według jego szacunków pokonali w pierwszym etapie wędrówki około dziesięciu mil.

Położył się pod kocem, przytulony do Sarah, ale sen miał płytki. Tuż po północy obudził go jakiś upiorny krzyk dobiegający z wierzchołka najbliższego wzgórza. Był to głos człowieka wołającego w języku Lozi.

- Coście za jedni? - usłyszeli.

- Jestem Klebe, twój przyjaciel! - odkrzyknął Tom.

- A ja Aboli, mąż Falli i Zete. - Murzyn dorzucił dREW do ogniska i zrobiło się jaśniej.

- Ja jestem Fundi, łowca słońi. Przyjdźcie tu do nas, ludzie Lozi!

W mroku między drzewami poruszyły się cienie, które po chwili przybrały ludzkie kształty. Okazało się, że napaść przetrwała niecała setka członków plemienia, w tym wiele kobiet, lecz także ponad pięćdziesięciu wojowników. Większość zachowała swoją broń - długie oszczepy i ciężkie łuki na słońie, z zatrutymi strzałami.

Usiedli ciasnym kręgiem wokół ognia. Najstarsi zaczęli opowiadać o ataku, który całkowicie zaskoczył wioskę, o masakrze i uprowadzeniu niewolników.

- Niektórym z nas udało się uciec - wyjaśnili. - Ocaleli

719

też ci, którzy byli na polowaniu albo zbierali w lesie korzenie i dziki miód.

- Co z moją rodziną? - dypytywał się Aboli.

- Zabrali Fallę i Zete, i twoich synów, Zamę i Tulę. Szpiegowaliśmy karawanę z daleka i widzieliśmy ich zakutych w łańcuchy.

Rozmawiali do świtu, recytując długą listę zaginionych i pojmanyh w niewolę. Gdy nadszedł moment podjęcia pościgu na nowo, Tom odesłał kobiety i starszych mężczyzn do zrujnowanej wioski. Kazał im pogrzebać zmarłych i obsiać na nowo pola, żeby złagodzić głód, który musiał nastąpić po takim spustoszeniu.

- Zostawiłem tam trzech moich ludzi - powiedział. - Będą dla was polować, żebyście mieli co jeść, dopóki nie dojrzeją nowe zbiory.

Odeszli posłusznie, a młody Anglik zebrał wokół siebie wojowników. Większość z nich znał z imienia, niektórzy towarzyszyli mu w polowaniach.

- Chcemy dogonić karawanę i uwolnić pojmanyh - oznajmił. - Czy przyłączycie się do nas?

- My też chcieliśmy ich odbić. Lecz Arabowie mają ogniste kije. Baliśmy się zaatakować - wyjaśnili. - Ale wy także macie straszliwe ogniste kije i dlatego pójdziemy z wami.

Fundi wybrał kilku najodważniejszych i bystryh myśliwych i posłał ich przodem na zwiady. Mieli sprawdzić, czy wróg nie urządził na ich drodze jakiejś zasadzki. Reszta Lozi została z główną grupą. Ruszyli wydeptanym niewolniczym szlakiem dalej na północ.

Maszerowali ostrym tempem od brzasku aż do zapadnięcia ciemności. Ślady niewolniczej karawany były już tak stare i zatarte, że nawet Fundi z Abolim nie potrafili ich precyzyjnie odczytać. Mijali jednak byle jak skleczone szałasy i wygasłe ogniska w miejscach postoju karawany. W ciągu dnia marszu naliczyli sześć takich biwaków. Znaczyło to, że w jeden dzień pokonują sześciokrotnie dłuższą drogę niż sunąca w żółwym tempie kawalkada zakutych w łańcuchy ludzi. Nazajutrz znów zerwali się o świcie i koło południa natrafili na szczątki pierwszych ofiar. Obok ścieżki leżało tylko kilka kości i zakrwawione strzepy przepasek biodrowych, Arabowie bowiem zdjęli ze zwłok łańcuchy, a ciała rozszarpały leśne drapieżniki.

720

- Ci byli najślabsi - rzekł ponuro Fundi. - Zmarli z wycieńczenia i rozpaczY. Nim dogonimy karawanę, znajdziemy jeszcze wielu takich.

Z każdym dniem ślady stawały się wyraźniejsze i łatwiejsze do odczytania. Drogę przez cały czas znaczyły pozostałości nocnych obozowisk i szczątki więźniów, którzy nie przetrzymali trudów wędrówki.

Dziesiątego dnia dotarli do skrzyżowania dróg. Kolumna niewolników z kraju Lozi połączyła się tutaj z jeszcze liczniejszą niewolniczą karawaną, która nadeszła od zachodu, z terenów wokół wielkich jezior. Fundi z Abolim zbadali dokładnie miejsce, gdzie obie karawany obozowały pierwszej nocy po spotkaniu.

- Cała kolumna liczy już teraz ponad dwa tysiące ludzi - poinformował Toma Aboli. - Policzyłem miejsca do spania. - Pokazał mu plac wygniecionej trawy, na której odpoczywali niewolnicy. - Większość dźwiga jakiś ciężki ładunek.

Częściowo jest to żywność; ziarno i suszone mięso.

- Skąd wiesz? - zapytał Tom.

- Zostawiają bardzo głębokie ślady; to znaczy, że są mocno obciążeni. Poza tym przy ogniskach znaleźliśmy puste kosze i worki, a w nich okruchy mięsa i ziaren

- wyjaśnił Murzyn. - Arabowie zmuszają ich także do niesienia kości słońiowej.

- Kości? - zainteresował się Tom. - A skąd ją wzięli?
 - Obrabowali wioski, a poza tym Omańczycy to też myśliwi, podobnie jak my - włączył się do rozmowy Fundi.
 - Ale skąd wiecie, że to akurat kość słoniowa?
- Aboli zaprowadził go na skraj obozowiska i pokazał ślady.
- Tutaj złożyli kły, kiedy udali się na spoczynek - rzekł. Półkolisty wgłębienia w pylistej ziemi łatwo było zinterpretować nawet Tomowi.
 - Strażników i handlarzy jest stu sześćdziesięciu - stwierdził Aboli. Teraz z kolei pokazał mu szałas z kolczastych gałęzi, które służyły za schronienie Arabom, a w nich posłania ze świeżo ściętej trawy. - Policzyłem je, a także ślady.
 - A jak odróżniasz ślad nadzorca od śladu niewolnika?
 - Arabowie noszą sandały. Niektórzy prowadzą na smyczy duże psy, o, tu widać ślady łap. Pomagają im pilnować więźniów i służą do pościgu za zbiegami.
 - Zmitrężyliśmy tutaj już ponad godzinę - powiedział

721

wreszcie Tom. - Wiemy, z iloma przeciwnikami przyjdzie nam się zmierzyć; ruszajmy więc za nimi.

Ogromna masa ciężko obciążonych mężczyzn i kobiet przemieszczała się teraz jeszcze wolniej niż przedtem. Niewielki oddział pościgowy, złożony z doborowych wojowników i myśliwych zaprawionych w tropieniu słoni, doganiał karawanę w szybkim tempie.

O poranku siedemnastego dnia od wyruszenia z wioski Bongoli do czoła kolumny pościgowej powrócili dwaj zwiadowcy. Popędzili do Toma i idącej obok niego Sarah, która dzięki swym długim nogom bez większego trudu dotrzymywała mężowi kroku.

- Widzieliśmy dym z ich ognisk! - wołali już z daleka.

- Zostań z Luke'em i Alfem - rzucił Tom do dziewczyny i skinął na Abolego.

Pobiegli obaj rytmicznym truchtem, jakim poruszali się zwykle w końcowej fazie polowania na słonie, gdy doganiali stado. Zwiadowcy powiedli ich na wierzchołek granitowego wzgórza, skąd rozciągał się rozległy widok na okolicę.

Kilka mil dalej na bezchmurnym niebie splatały się ze sobą smużki dymu z setek małych ognisk, przy których zapewne warzono strawę.

- Mamy ich - powiedział Tom podekscytowany i zbiegł ze zbocza tym samym szybkim truchtem.

Po godzinie dotarli do opuszczonego obozowiska. Ogniska jeszcze się tliły.

Między drzewami wiła się szeroka ścieżka, wydeptana przez setki bosych stóp.

Ruszyli nią, lecz zatrzymali się w pół kroku, słysząc dobiegający z oddali dźwięk. Była to żałobna pieśń, śpiewana przez setki głosów. W bezlitosnym upale brzmiała łagodnie i niezwykle pięknie. Niewolnicy opłakiwali utracony kraj, domy i bliskich, których mieli już nigdy nie ujrzeć.

- Obejdziemy ich z prawej - powiedział Tom, przyjrawszy się terenowi. - Musimy ich wyprzedzić i podejrzeć z ukrycia, żeby mieć pewność co do ich liczebności i szyku, w jakim się poruszają.

Wyszli na skraj lasu i zobaczyli przed sobą otwartą sawannę. Bladożółta trawiasta równina rozciągała się aż po horyzont, drżąc w rozgrzanym powietrzu. Tę rozległą przestrzeń znaczyły

722

wysepki pojedynczych kopce i kępy akacji o płaskich wierzchołkach. Pasły się na niej stada zwierząt: zebry, gnu i gazyli. Przy akacjach wyciągały do góry swe długie szyje żyrafy, sięgając do najwyższych liści. Gdzieś tam na tle jasnej trawy masywny korpus nosorożca.

W odległości dwóch lub trzech mil po ich lewej wisiał rzadki obłok pyłu, znaczący pozycję niewolniczej karawany. Tom i Aboli uzgodnili szybko swój następny ruch. Jeden ze stożkowatych granitowych wzgórek stał dokładnie na szlaku maszerujących. Jego wierzchołek stanowił doskonały punkt obserwacyjny, musieliby jednak tam dotrzeć w bardzo krótkim czasie. Zostawiwszy zwiadowców Lozi pod osłoną drzew, puścili się biegiem przez trawiaste pole.

Kiedy dotarli do podnóża pagórka, z przeciwnego kierunku niż maszerująca kolumna, płuca pękały im od wysiłku. Padli na ziemię, chwytając łapczywie

oddech. Gdy tylko doszli do siebie na tyle, że mogli usiąść, wypili po kilka łyków wody z bukłaka. Potem dźwignęli się na nogi i wdrapali na skaliste zbocze. Przed samym wierzchołkiem znowu położyli się płasko na ziemi, po czym ostrożnie wyjrzel na równinę. Czoło pochodu znajdowało się o milę od nich i wkrótce cała karawana musiała przemaszerować niedaleko wzgórza.

Setki maleńkich postaci sunęły rozciągnięta na trzy mile kolumna, której koniec znajdował się jeszcze w lesie. Wyglądała dokładnie tak, jak Tom ją sobie wyobrażał, gdy mu Aboli objaśniał ślady. Na czele jechał majestatycznej postury mężczyzna na arabskim ogierze. Ubrany w długą zieloną szatę, głowę i twarz miał zasłoniętą turbanem i chustą tej samej barwy. Obok jego wierzchowca dreptały dwie zupełnie nagie czarne niewolnice, trzymając nad jeźdźcem ozdobiony frędzlami parasol, chroniący go od słońca.

Reszta Arabów pilnowała obu stron kolumny. Tom naliczył przez lunetę stu pięćdziesięciu czterech strażników: stu trzydziestu sześciu piechurów i osiemnastu jeźdźców. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby, a konni kłusowali w tę i z powrotem wzdłuż szeregów maszerujących, popędzając ich bezlitośnie. Tak wielkiej masy niewolników nie dało się policzyć dokładnie, Tom uznał jednak, że Aboli trafnie oszacował ich liczbę na blisko dwa tysiące. Większość szła nago; nieliczni tylko mieli wokół bioder wystrzępione przepaski ze skóry lub materiału.

723

Wszyscy byli skuci łańcuchami, dzieci zaś związane po pięcioro lub sześcioro sznurami z łyka, z pętlami na szyjach.

Więźniów pokrywał od stóp do głów szary pył, a spływające po ich ciałach strużki potu nadawały im niesamowity wygląd. Każdy coś niósł; nawet dzieci dźwigały na głowach kosze z ziarnem i tykwy z wodą. Kobiety taszczyły toboły z rzeczami swych nadzorców, mężczyźni natomiast dźwigali kość słoniową. Kłów były setki, niektóre z nich tak wielkie, że ugięto się pod ich ciężarem czterech ludzi. Kolumna zbliżała się powoli do wzgórza; słyszeli już żałobne pienia i mogli ją obserwować gołym okiem. Jedna z kobiet blisko czoła pochodu puściła niesiony na głowie kosz i osunęła się na ziemię, pociągając za sobą trzy inne, skute razem z nią. Towarzyszki próbowały ją podnieść, ale nie była w stanie utrzymać się na nogach.

Zamieszanie zwróciło uwagę nadzorców i do leżącej podbiegło czterech z nich. Tom usłyszał ich gniewne krzyki, gdy usiłowali zmusić ją do wstania. Potem jeden z Arabów zaczął okładać ją batem kiboko ze skóry hipopotama, najpierw celując w nogi, a kiedy to nie pomogło, smagając ofiarę po plecach i pośladkach. Ostry świst bata niósł się wyraźnie w upalnym powietrzu.

W końcu strażnicy musieli się pogodzić ze stratą kolejnej sztuki towaru. Jeden z nich klęknął przy kobiecie i zdjął jej z przegubów kajdany, a następnie, chwyciwszy za kostki nóg, odciągnął z drogi na bok. Jego kamraci pogonili kolumnę do dalszego marszu. Nagie ciało dziewczyny zostało na ziemi.

Karawana była już tak blisko, że mogli rozróżnić poszczególne twarze. Aboli zeszytniał nagle i ścisnął przyjaciela za ramię. Pokazał na środek pochodu i Tom dopiero po dłuższej chwili zorientował się, co go tak poruszyło. Szła tam kolejna grupa dzieci, chłopców i dziewczynek połączonych długą liną, którą zawiązano każdemu w pasie. Wszystkie niosły na głowach tobołki i kosze, dobrane wielkością i wagą do ich wieku i sił. Na czele grupy szedł najwyższy z chłopców. Większość dzieci wlokła się niemrawo, przygnieciona znużeniem i rozpaczą; on jednak szedł dumnie i sprężysto.

- To Zama - szepnął Aboli. - Mój najstarszy syn. A za nim Tula. - Głos miał spokojny, lecz w jego oczach płonął gniew. - Widzę też Zete i Fallę, w tej grupie za dziećmi.

Obie kobiety były nagie i skute łańcuchem za szyje; ich

724

ciężkie, pełne piersi nabrzmiały od mleka, którego nie wyssały zamordowane niemowlęta.

Tom nie znajdował słów, którymi mógłby pocieszyć starego druha. Przygladali się żałobnej procesji w milczeniu. Tempo jej marszu było tak wolne, że przesuwała się w pobliżu wzgórza przez niemal dwie godziny, chociaż nadzorczy popędzali więźniów krzykami i biciem.

W ślad za kolumną podążało stado hien i szakali. Pożerały ekskrementy pozostawione przez nękanych czerwona niewolników, oraz wszelkie inne odpadki. Tom sądził, że porzucona w stepie niewolnica już nie żyje, ale się mylił. Gdy okrążyły ją hieny, skamłac i wyjac z podniecenia, dzwignęła się na łokciu i próbowała wstać. Było to jednak ponad jej siły. Upadła znowu i zwinęła się w kłębek, przyciągając kolana do piersi i osłaniając głowę nagimi rękoma. Stado odstąpiło od niej, żeby po chwili zbliżyć się ponownie. Jedna z hien obwąchała stopę leżącej. Kobieta rzuciła w nią kamieniem. Zwierzę uciekło, lecz zaraz przyskoczyło do niej od tyłu inne i zatopiło kły w ramieniu. Dziewczyna rzucała się i kopała, wzbijając pył, hiena jednak wgryzała się coraz głębiej, podrzucając łbem, aż oderwała kawał mięsa. Odeszła przeżuając, a nieszczęsna niewolnica zwinęła się na ziemi, wyjac z bólu. Zapach świeżej krwi podniecił resztę hien. Kolejna chwyciła ją za stopę i puściła się biegiem, wlokąc bezwładną ofiarę za nogę. Tom zerwał się, chcąc biec kobiecie na ratunek, Aboli jednak przytrzymał go za ramię.

- Arabowie są jeszcze blisko - pokazał tył kolumny znajdującej się pół mili od wzgórza. - Zobaczyliby cię. Nic dla niej nie możemy zrobić.

Tom wiedział, że przyjaciel ma rację. Osunął się na ziemię i patrzył, jak następna hiena wgryza się w brzuch dziewczyny i zapiera łapami, chcąc odebrać zdobycz tej pierwszej. Zaczęły ją ciągnąć każda w swoją stronę. Krzyki ofiary słyhać było wyraźnie aż na wzgórzu. Do uczt dołączyły kolejne bestie, rozszarpując dziewczynę i miażdżąc jej kości potężnymi szczękami. W końcu przestała krzyczeć, hieny zaś zżerały chciwie jej zwłoki, aż pozostała po nich tylko mokra, ciemna plama. Stado ruszyło dalej za odchodzącą kolumną.

Tom i Aboli opuścili swój punkt obserwacyjny i także podążyli za niewolniczym pochodem, śledząc go, dopóki słońce nie zeszło nad horyzont. Kiedy nadzorcy zarządzili postój

725

i karawana rozbiła się obozem na noc, podkradli się bliżej. Kryjąc się w akacjowym zagajniku, przyjrżeli się dokładnie rozplanowaniu obozowiska, zapamiętując szczególnie położenie arabskich szałasów i miejsc, gdzie uwiązano konie.

Po zmierzchu pobiegli z powrotem i godzinę później spotkali cały oddział. Zbudowali specjalnie osłonięte palenisko, żeby przygotować wieczerzę, a w trakcie pośpiesznego posiłku Tom poprowadził naradę wojenną. Każdy z dowódców otrzymał odpowiednie rozkazy i po posiłku wszyscy wiedzieli już, co mają robić podczas nocnego ataku.

Łunę z arabskich ognisk zobaczyli dwie mile przed obozowiskiem. Gdy podeszli bliżej, Tom porozmieszczał łuczników Lozi na stanowiskach i kazał im powtórzyć obowiązujące ich rozkazy, aby się upewnić, że wszystko dobrze zrozumieli. Potem jego marynarze także zaczęli się w ukryciu i rozpoczęło się długie oczekiwanie. Zamierzali zaatakować w najczarniejszej godzinie, między północą a brzaskiem, gdy czujność Arabów będzie uszpięta, a ich bojowy duch najslabszy.

Ogniska karawany powoli przygasły, zmieniając się w kręgi żaru. Wielki gwiazdozbiór Skorpiona, z wysoko uniesionym ogonem, przesunął się po niebie i opadł nad horyzont. Gwar rozmów i odgłos pieśni niewolników umilkł. Nad obozowiskiem zaległa głęboka nocna cisza.

- Już czas - powiedział wreszcie Tom, wstając.

Podpełzli z Abolim bliżej, by przyjrzeć się obozowi po raz ostatni i upewnić, że spokojnie śpi. Paliło się tylko jedno ognisko w pobliżu koni uwiązanych w akacjowym zagajniku niedaleko ich kryjówek.

Na tle płomieni ujrzeli trzech Arabów. Strażnicy popijali kawę i rozmawiali cicho. Cała trójka wpatrywała się w ogień.

Będą oślepieni, pomyślał Tom z ponurą satysfakcją.

- Bierz tego pierwszego - szepnął do Abolego. Podkradli się na skraj kręgu światła. Obnażone szpady schowali za plecami, żeby ich odblask nie zaalarmował straży.

- Na nich! - rzucił Tom i z uniesioną szpadą przebiegł błyskawicznie kilkanaście kroków, które dzieliły go od pleców siedzących Arabów.

Pierwszego zabił na miejscu pchnięciem w kark. Aboli z drugiej strony ogniska uśmiercił następnego, który padł twarzą w płomień. Jego turban i zmierzwione włosy zajęły się jak pochodnia.

726

Trzeci strażnik zdążył krzyknąć z przerażenia i chciał rzucić się do ucieczki. Tom przeszył jego krtań gładkim pchnięciem i kolejny okrzyk Araba utonął w gulgocie krwi.

Przykucnęli przy ciałach swych ofiar, nasłuchując, czy ktoś nie podniesie alarmu. Konie uwiązane były jednak w pewnym oddaleniu od głównego obozu, a umierający Arab krzyknął nie głośniejszy niż przez sen. Wokół panowała cisza. Podeszli do koni. Spomiędzy drzew wychynęła ciemna postać i Tom zagwizdał cicho dwa razy, naśladując wołanie kozodoja. Postać gwizdnęła w odzwie i stanął przed nim Luke Jervis.

- Załatwione - szepnął.

Pozostali Arabowie pilnujący koni także zostali uciszeni na zawsze. Tom podbiegł do szpaleru wierzchowców i odszukał gniadego ogiera arabskiego dowódcy.

Umiejscowienie konia zapamiętał sobie wcześniej. Odwiązał go i przemówił doń czule, głaszcząc po chrapach, uspokajając dotykiem i głosem. Po chwili siedział już na rumaku na oklep. Aboli dosiadł innego. Tom gwizdnął cicho na Luke'a.

Marynarz dołączył biegiem do swoich ludzi, czekających przy jednym z arabskich szałasów. Niemal natychmiast na obrzeżach obozowiska wybuchła ogłuszająca kanonada muszkietów. Anglicy strzelali do śpiących Arabów z bliska. Rozbłyśki ognia z ich luf rozdzierały nocny mrok. Obóz zaczął się budzić, początkowo z niskim pomrukiem, który szybko przeszedł w ogólny wrzask i harmider. Nadzorcy niewolników wyskakiwali na wpół rozbudzeni z szałasów, w panice gotując broń. Witały ich kolejne salwy Anglików i chmary świszczących strzał wojowników Lozi. Niewolnicy nie mogli się ruszyć, byli bowiem przykuci do wbitych w twardy grunt żelaznych kołków. Leżeli na ziemi, skowycząc ze strachu i potęgując jeszcze ogólny rozgardiasz.

Niektórzy z Arabów zaczęli w końcu strzelać i stawiać twardy opór. Tom podjechał galopem do szałasów, w którym, jak zapamiętał, schronił się o zmierzchu przywódca Arabów. Rzucił na suche, kolczaste gałęzie płonące polano z ogniska. Poszycie chatki zajęło się błyskawicznie; płomień strzelił w górę, syjąc iskrami i oświetlając cały teren wokół. Po chwili wybiegł z niej arabski herszt z muszkietem w rękach. Był bez turbanu; lśniąca od oliwy siwe włosy opadały mu aż na plecy, brodę miał zmierzwioną. Tom zawrócił konia i ruszył wprost na niego. Arab stanął i złożył się do strzału. Tom przylgnął do

727

końskiej szyi, szarżując prosto na wylot lufy długiego muszkietu.

Arab wystrzelił. Podniósł się obłok dymu i Tom usłyszał koło ucha świst kuli. Spodziewał się, że przeciwnik po niecelnym strzale rzuci się do ucieczki, tak się jednak nie stało. Starzec, chociaż bezbronny, stał z dumnie podniesioną głową i z gorejącym nienawiścią spojrzeniem. Odważnie czekał na śmierć. Tom j poczuł ukłucie podziwu i szacunku dla jego postawy, lecz zaraz, pochyliwszy się nisko, wbił lśniąca błękitną klingę w jego serce z taką siłą, że aż poderwał starca z ziemi. Nim go opuścił, tamten już nie żył. Tom spojrzął na leżącego wroga, któremu nocna bryza wygładziła na piersi srebrzystą brodę. Byłby go nawet pożałował, pamiętał jednak o dzieciach Abolego i murzyńskiej dziewczynie poźartej żywcem przez hieny. Uczucie litości umarło w nim w zarodku.

Spojrzał wzdłuż linii szałasów. Dwie grupki nadzorców niewolników znalazły osłonę wśród drzew i stawiały zacięty opór. Zawołał Abolego.

- Musimy ich rozbić - rzucił. - Jedź ze mną.

Rzucili się na Arabów z obnażonymi szpadami i wrzeszcząc w bitewnej ekstazie, wycięli większość z nich w pień. Nieliczni, którym udało się ocaleć, pozostawili broń i umknęli w ciemność nocy.

- Zostawcie ich! - powstrzymał Tom marynarzy, rzucających się w pogoń. - Po ciemku nie zajdą daleko. Jak tylko się rozwidni, wyślę za nimi Fundiego z łucznikami.

Ochłonawszy trochę, rozejrzał się za Abolim. W ostatniej fazie walki rozdzielili się, a teraz, jadąc wzdłuż szpalerów niewolników, nigdzie go nie widział. Bitwa była skończona, lecz w obozowisku panował rozgardiasz. Wielu niewolnikom udało

się wyrwać z ziemi kołki i szarpali się szaleńczo we wszystkie strony, wrzeszcząc i wyjąc. Hałas był tak ogłuszający, że prawie nie słyszał własnych rozkazów. Kiedy próbował przywołać niektórych do rozsądku płazem szpady, z przerażenia wrzeszczeli jeszcze głośniejsze. Darował więc sobie próżny wysiłek uciszenia ich i ruszył dalej w poszukiwaniu przyjaciela.

Zobaczył jego konia, ale bez jeźdźcy. Poczł ukłucie lęku na myśl, że Aboli mógł zostać trafiony kulą i spaść z siodła. Zaraz jednak dojrzał go w ciżbie niewolników; szedł, niosąc w ramionach dwóch chłopców i przytulając do piersi ich szare od pyłu ciała.

728

- Są cali i zdrowi, Klebe! - zawołał.

Tom pomachał mu i zaczął szukać Sarah. Wiedział, że musi gdzieś być pośród tego morza czarnych ciał, pomagając chorym i rannym. Niepokoiło go to, gdyż atmosfera wśród niewolników była napięta i w każdej chwili groziła wybuchem. Dziewczynę mógł stratować ogarnięty paniką tłum lub mogła się natknąć na któregoś z uciekających, uzbrojonych Arabów.

Nagle zobaczył jej złocistą głowę, jaśniejącą w blasku ognia niczym latarnia morska. Spiał konia i przepchał się do niej przez ludzkie kłębowisko. Chwytał Sarah w talii i posadził na końskim grzbiecie przed sobą.

Pocałował ją, a ona uściskała go tak mocno, że aż zabołało.

- Udało się, najdroższy! Uwolniłeś ich! - zawołała.

- I zdobyliśmy całą górę kości słoniowej - roześmiał się.

- Ty przyziemny prostaku! - odwzajemniła jego uśmiech. - Tylko o tym potrafisz myśleć w tak podniosłej chwili?

- Ojciec mnie zawsze uczył: pomagaj ludziom, jak możesz, ale nie wzbraniaj się przed nagrodą.

Resztę nocy zajęło im zaprowadzenie jakiegoś takiego porządku wśród rzeszy niewolników. Większość wciąż jeszcze była w kajdanach i gdy się tylko rozwidniło, zaczęli ich uwalniać. U pasa zabitego herszta Arabów Tom znalazł wielki pęk kluczy. W miarę jak ich rozkuwali, kazał grupować tubylców plemionami i wioskami, a potem oddał każdą grupę pod opiekę jej wodza czy kacyka.

Sarah zajęła się najpierw rodziną Abolego. Zete i Falla były wręcz nieprzytomne z przerażenia, lecz po stanowczej przemowie męża uspokoiły się nieco. Widząc, że już nie potrzebują jej pomocy, dziewczyna wzięła się za chore i ranne dzieci.

Dotkniętym czerwonką podawała miksturę, a rany i obtarcia od łańcuchów i sznurów smarowała maścią. Pracowała do upadłego przez całą noc i poranek. Dysponowała jednak ograniczonym zapasem medykamentów i nie wszystkim mogła udzielić pomocy.

O pierwszym brzasku Tom wysłał Fundiego i jego łuczników w pościg za arabskimi zbiegami. W nocnych ciemnościach nie uciekli daleko, a większość była bez broni. Łozi dopadli ich szybko i uśmiercili zatrutymi strzałami o grotach podgiętych

729

L

tak złośliwie, że nie dało się ich wyciągnąć z ciała. Trucizna barwiła wlot rany na czerwono i rozprzestrzeniała się wraz z krwią jak płynny ogień. Nie była to lekka śmierć, lecz kiedy łowcy powrócili, niosąc jako dowód udanego pościgu obcięte głowy Arabów, Toma nie bardzo to poruszyło. Zbyt świeżo miał w pamięci uczynki tych ludzi i jego gniew jeszcze nie ostygł.

Anglicy przeszukali całe obozowisko i złożyli znalezione trofea w jednym miejscu. Wszystko zostało policzone i zapisane w dzienniku Toma. Prócz słoniowych kłów w zgliszczach szałasów dowódcy karawany znaleźli żelazną szkatułkę. Nie ucierpiała w ogniu i gdy podważyli jej wieko, okazało się, że zawiera niemal trzysta funtów w złotych dinarach.

- W sumie to całkiem godziwy zysk za dzień spełniania dobrych uczynków - rzekł z satysfakcją Tom do Sarah.

Osobno zgromadzili kosze z żywnością, muszkiety i baryłki z prochem, ołowiane sztabki do odlewania kul, bele perkalu i woreczki z paciorkami oraz mnóstwo innych dóbr.

- Jak ty chcesz to wszystko przetransportować do Fortu Providence? - zapytała z powątpiewaniem Sarah. - Chyba będziemy musieli większość zostawić?

- Coś wymyślimy.

Tom nie zamierzał rezygnować z łupów. Kazał Fundiemu i Abolemu przyprowadzić do siebie wszystkich wodzów i oznajmił im, że cała żywność zostanie sprawiedliwie rozdzielona pomiędzy poszczególne plemiona, a kobiety z dziećmi mogą od razu wracać do swoich wiosek.

Jednakże w zamian za wolność wszyscy mężczyźni mieli pozostać i służyć jako tragarze. Po dostarczeniu łupów do kraju Lozich obiecał ich zwolnić i każdy miał otrzymać za swą pracę wynagrodzenie w towarze. Kacykom takie rozwiązanie bardzo się spodobało, gdyż większość zapłaty musiała i tak trafić w ich ręce. Dopiero teraz umyślili sobie w pełni, że są naprawdę wolni; sądzili bowiem do tej pory, że jednych nadzorców zastąpili po prostu inni.

Rozdzielenie jedzenia i zorganizowanie wymarszu zajęło im jeszcze trzy dni. Potem odesłali do domów kobiety. Odeszły, śpiewając dziękczynne pieśni o białych ludziach, którzy przynieśli im wolność. W końcu ruszyła na południe karawana ciężko obciążonych mężczyzn. Prowadzili ją Tom i Sarah, jadąc na odebranych Arabom wierzchowcach.

730

Fundiego wraz z dwudziestką jego najzręczniejszych łowców zostawili na Drodze Niewolników. Mieli ją patrolować do końca suchej pory i w razie pojawienia się następnej łupieżczej ekspedycji Arabów natychmiast posłać biegaczy z wiadomością do Fortu Providence.

Kiedy wrócili do fortu, Tom zorientował się, że mają więcej kości słoniowej, niż może pomieścić ładownia małego Cen-aurusa.

- W tym sezonie nie musimy już polować - powiedział do Sarah. - Będziemy mogli poświęcić wszystkie siły na uwalnianie nieszczęsnych niewolników z łap niegodziwych muzułmanów.

Mówił z poważnym, świątobliwym wyrazem twarzy, ona jednak dostrzegła błysk w jego oku i nie dała się nabrać.

- Chciałabym wierzyć w szczerość twojej troski, Thomasie Courtneyu - rzekła - ale za dobrze cię znam. Chodzi ci przede wszystkim o kość słoniową i przyjemność, jaką czerpiesz z walki.

- Zbyt surowo mnie osądzasz, moja ty śliczna - zaprotestował ze śmiechem. - Tak czy inaczej, nie narzekasz chyba. Tobie zależy na tych biedakach, więc ci ich dostarczam, żebyś się miała kim opiekować. W ten sposób pragnienia nas obojga są w pełni zaspokojone.

- Ale tym razem nie pójdzie ci tak łatwo - ostrzegła. - Arabscy kupcy na pewno będą ostrożniejsi.

- No cóż, ja też mam w zanadrzu kilka nowych pomysłów na taką ewentualność - odparł.

Zdobyli niemal dwieście długich arabskich muszkietów wraz z odpowiednim zapasem prochu i kuł. Zamiast wyprawiać się na słońce, marynarze Toma zaczęli teraz ćwiczyć wojowników Lozi w posługiwaniu się bronią palną. Wybrali najbystrzejszych, lecz nawet im przychodziło z trudnością opanowanie sztuki tak obcej ich zwyczajom. Nie potrafili do końca pozbyć się lęku, jaki wzbudzał w nich "ognisty kij", i naciskając spust, odruchowo zamykali oczy. Tom uświadomił sobie szybko, że strzelców z nich nie zrobi. Pogodziwszy się z tym, ograniczył szkolenie do strzelania salwami z bliskiego dystansu, przy czym muszkiety ładowano wówczas specjalnie odlewany grubym śrutem, rozpryskującym się po strzale.

731

• Po kilku tygodniach zjawił się w Fortcie Providence jeden z biegaczy Fundiego z wiadomością o kolejnej niewolniczej karawanie, nadciągającej z krainy jezior.

- Czas się przekonać, jak działa moja nowa strategia - rzekł Tom do Sarah. - Nie sądzę oczywiście, bym cię potrafił namówić do pozostania w fortcie, z dala od niebezpieczeństwa?

W odpowiedzi obdarzyła go promiennym uśmiechem i poszła pakować swoje medykamenty.

Kiedy dotarli w pobliże karawany, przekonali się, że jest jeszcze większa od poprzedniej, lecz zarazem ściślej strzeżona przez arabską piechotę i kawalerię. Nieprzyjaciel przewyższał ich liczbą dwukrotnie. Tom z Abolim śledzili kolumnę przez wiele dni, by wypracować najlepszy plan ataku.

Zorientowali się szybko, że łowcy niewolników musieli się dowiedzieć o losie pierwszej karawany, być może od zbiegłych arabskich niedobitków, zachowywali bowiem niezwykłą ostrożność. Podczas marszu posyłali przodem oddział zwiadowców i gdy cokolwiek wzbudziło ich podejrzenia, formowali szyk obronny w stylu wojskowym. Nocą budowali zasieki z kolczastych krzewów, a całe obozowisko otaczał kordon czujnych straży.

Dwaj marynarze wyprzedzili czoło pochodu i natrafili na szeroką rzekę, którą karawana mogła przejść w bród tylko w jednym miejscu. Sprowadzili swój oddział i rozlokowali go w gęstym lesie na drugim brzegu.

Niewolnicza kolumna dotarła do brodu i rozpoczęła przeprawę. Tom pozwolił, by czoło karawany przeszło na drugą stronę nie niepokozone. Kiedy połowa niewolników i ich eskorty przekroczyła już rzekę, odciął ją od reszty i zaatakował.

Ukryci w zaroślach muszkietery Lozi zasypali Arabów gradem rozpryskowych pocisków. Z tak niewielkiego dystansu nawet im trudno było chybić celu i skutek ich ognia okazał się morderczy. Arabska przednia straż przez chwilę wściekle się broniła, ale pierwsze salwy zredukowały ją do nielicznej garstki wojowników, którym nie mogli przybyć na odsiecz towarzysze z drugiego brzegu rzeki. Każdy, kto chciał pokonać bród, musiał się zmagać z bystrym nurtem po pierś w wodzie i natychmiast dostawał się pod precyzyjny ogień marynarzy Toma.

Przed zmierzchem walka na jednym brzegu dobiegła kresu. W angielskich rękach znalazła się połowa niewolników,

732

a wszyscy strażnicy polegli. Zrzadzeniem losu po tej stronie rzeki znalazł się także cały zapas prochu Arabów. Angielski oddział miał teraz nie tylko przewagę liczebną, lecz w dodatku nieprzyjacielowi na drugim brzegu musiała szybko wyczerpać się amunicja.

Tom przeprowadził się ze swoimi ludźmi przez bród i przeprowadził serię nękających ataków na arabskie pozycje. Handlarze żywym towarem zostali w ten sposób zmuszeni do pozbycia się całego zapasu kuł. Kiedy już nie mieli z czego strzelać, frontalnym szturmem przełamał ich obronę. Zostali rozniesieni w pył w zażartej walce wręcz, a krótkie dzidy wojowników Lozi siały wśród nich prawdziwe spustoszenie. Niedobitki Arabów zepchnięto do wody, gdzie zapach świeżej krwi natychmiast zwabił krokodyle.

W wyniku bitwy Tomowi udało się uwolnić trzy tysiące niewolników. Do Fortu Providence pomaszerowała długa kolumna tragarzy dźwigających bogaty łup. Chociaż zwiadowcy Fundiego patrolowali Drogę Niewolników do końca pory suchej, rozbita karawana okazała się ostatnią, która próbowała dotrzeć do wybrzeża przed deszczami.

- Trzeba się modlić, żeby w przyszłym roku jeszcze bardziej się nam poszczęściło

- powiedział Tom do Sarah, gdy stali na pokładzie Centaurusa zmierzającego do ujścia rzeki i dalej ku przylądkowi.

- Jeżeli tak się stanie, to chyba w końcu ten statek pójdzie na dno - odparła ze śmiechem. - Nie mogę nawet korzystać z własnej kabiny, bo jest wypakowana po sufit cuchnącymi kłami.

- To te twoje brzdące tak nas obciążają - odparł atak Tom.

Sarah nie mogła oprzeć się pokusie wzięcia pod swoją osobistą opiekę czterech sierot z niewolniczej karawany, dzieci, które najbardziej przypadły jej do serca. Przeląła na nie wszystkie swoje macierzyńskie instynkty, odziała we własnoręcznie uszyte ubranka i teraz z palcami w buziach nieustannie wisiały u jej sukni.

- Thomasie Courtneyu, oświadczam, że jesteś zazdrosny o kilkoro niewinnych dzieci - odrzekła.

- Gdy dopłyniemy do przylądka, kupię ci za to nowy czepek, żebyś mnie zawsze kochała - obiecał.

733

Miała już odpowiedzieć, że woli, by dał jej syna, lecz był to dla obojga temat zbyt bolesny i poprzestała na uśmiechu.

- A do tego jakąś ładną suknię - zażądała. - Od miesięcy chodzę w starych łańkach. - Przytuliła się mocniej do niego. - Och Tom, jak to dobrze wrócić znowu do cywilizacji. Chociaż na tak krótko.

Kalif Omanu Abd Muhammad al-Malik umierał w swoim pałacu w Maskacie. Nawet najmądrzejsi z jego medyków nie potrafili odkryć przyczyn tajemniczej choroby, która go zabijała. Oczyszczali go tak intensywnie, że aż z odbytu krwawił. Przekłuwali mu żyły i upuszczali krew tak często, że twarz miał ziemiste blada, a pod oczami fioletowe cienie. Przypiekali mu pierś i plecy gorącym żelazem, żeby wypalić chorobę. Wszystko bez skutku.

Dolegliwości kalifa wystąpiły po raz pierwszy wkrótce po powrocie jego syna Zajna al-Dina z pielgrzymki do Mekki, którą odbył jako pokutę za swą zdradę. Zajn znów ukorzył się przed ojcem, błagając o wybaczenie. Darł na sobie pokutne szaty i ciał ostrym nożem twarz i pierś, posypywał głowę popiołem i pełzał u stóp ojca, ze szlochaniem obiecując poprawę.

Kalif wstał z tronu z kości słoniowej, podniósł swego pierworodnego z klęczek i ręką własnej szaty otarł jego twarz z łez i krwi. Następnie ucałował go w usta i powiedział:

- Jesteś moim synem i chociaż kiedyś cię straciłem, teraz wróciłeś do mnie.

Wykąp się i zmień odzienie. Włóż błękitną królewską szatę i zajmij miejsce na poduszce po mojej prawicy.

Wkrótce potem kalifa zaczęły nawiedzać straszne bóle głowy, osłabiając go i otępiając. Stopniowo pojawiły się ataki konwulsji i wymiotów. Bolał go brzuch, stolec miał czarny i smolisty, a mocz zabarwiony krwią.

Medycy leczyli go, jak umieli najlepiej, lecz miast poprawy następowało pogorszenie. Paznokcie mu posiniały. Włosy z głowy i brody zaczęły wychodzić garściami. Coraz częściej tracił przytomność i tak wychudł, że ze swą łysą głową przypominał kościotrupa.

W przewidywaniu bliskiego końca, wokół umierającego al-Malika, w zaciemnionej i długo niewietrzonej komnacie zebrało się trzydziestu jego synów. Najbliżej łoża usiadł Zajn

734

i jako najstarszy poprowadził modły do Allaha, błagając go o ulżenie cierpieniom ojca.

W pewnej chwili, podczas przerwy w modlitwie, Zajn al-Din podniósł załzawione oczy, posyłając pełne smutku spojrzenie siedzącemu naprzeciwko Abubakerowi. Przyrodni brat był synem jednej z pomniejszych konkubin kalifa i zaufanym druhem Zajna od czasów ich dzieciństwa w zenana w Łamu. Ze względu na swój pośledni status nie miał wielkich widoków na znaczącą pozycję w pałacu. Jak jednak mówi pustynne przysłowie, żeby przedostać się przez piaski, trzeba mieć wielbłąda. Takim wielbłądem był dla Abubakera Zajn. Ambitny młodzieniec miał nadzieję dotrzeć kiedyś na grzbiecie starszego brata do szczytów władzy.

Wiedział poza tym, że Zajn go także potrzebuje, był bowiem jego lojalnym sługą. Byстрыm, zaradnym i całkowicie oddanym. Podczas bitwy pod Maskatem także trwał wiernie u boku brata, starając się go ochraniać, lecz został uderzony lancą w pierś i zrzucony z konia.

Po bitwie, kiedy wylizał się z ran, także jego ułaskawił kalif, al-Malik bowiem był człowiekiem wielkiej szczodrości i dobroci. Zamiast wdzięczności Abubaker nosił jednak w sercu głęboką nienawiść do ojca. Podobnie jak Zajn, był człowiekiem ambitnym i przebiegłym, żądnym władzy, urodzonym konspiratorem. Wiedział doskonale, że mimo słów wybaczenia, jakie usłyszał od ojca, kalif nie zapomni o jego zdradzie do końca życia.

Oby zgon nastąpił jak najszybciej, pomyślał teraz, patrząc poprzez zasnutą kadzidlany dymem komnatę w oczy Zajna al-Dina. Starszy brat ledwie dostrzegalnie skinął głową, Abubaker zaś opuścił wzrok i pogładził was na znak, że zrozumiał.

To właśnie Abubaker postarał się o biały proszek, który pomagał im dokonać dzieła. Jeden z czuwających nad kalifem lekarzy był jego zaufanym człowiekiem. Trucizna, podawana w mikroskopijnych dawkach, odkładała się w organizmie ofiary, toteż objawy choroby wciąż się nasilały. Teraz obaj spiskowcy porozumieli się milcząco, wiedząc, że nadeszła pora podania konającemu ostatecznej, śmiertelnej porcji proszku.

Abubaker zakrył twarz czarną keffija, jak gdyby chciał ukryć swój smutek, i uśmiechnął się pod wąsem. Nazajutrz o tej porze jego brat Zajn al-Din zasiadzie

na Słoniowym Tronie, a on, Ibn al-Malik Abubaker, zostanie głównodowodzącym wojsk i floty

735

Omanu. Zajn obiecał mu to stanowisko, a także tytuł imama i dwa lachie rupii z królewskiej szkatuły. Abubaker zawsze uważał się za wojownika i teraz był już pewien, że jego gwiazda zaczyna świecić pełnym blaskiem.

- Niech będą dzięki memu świętemu bratu Zajnowi al--Dinowi - wyszeptał. - Niech Allah ześle nań tysięczne błogosławieństwa.

O zmierzchu lekarze podali kalifowi środek nasenny, który miał jednocześnie chronić go przed atakami nocnych demonów. Chociaż al-Malik krztusił się i odwracał głowę, usiłując wypluć lekarstwo, medycy przytrzymali go delikatnie, dbając, by połknął wszystko do ostatniej kropli.

Leżał potem tak nieruchomo i taki był blady, że dwukrotnie w ciągu nocy podnosili mu powieki i świecili lampą w oczy, sprawdzając reakcję źrenic.

- Dzięki miłości i dobroci Allaha nasz kalif jeszcze żyje - obwieszczali za każdym razem.

Wreszcie, gdy pierwszy czerwony promień brzasku padł do komnaty przez wycinane ozdobnie okiennice, al-Malik zadrżał nagle i wykrzyknął donośnie:

- Bóg jest wielki!

Opadł na przesiąknięte potem posłanie, a z jego nozdrzy pociekła powoli strużka krwi, spływając po policzku.

Lekarze pośpieszyli do jego łoża i otoczyli je szczelnym kręgiem. Chociaż synowie kalifa wyciągali szyje, niewiele mogli zobaczyć, póki kordon medyków się nie rozstał. Naczelnym lekarz rozmawiał przez chwile z zasępioną miną z wezyrem, po czym ten ostatni zwrócił się do patrzących wyczekująco książąt i książątek i obwieścił donośnym, acz ponurym tonem:

- Abd Muhammad al-Malik, kalif Omanu, nie żyje. Oby Allah przyjął do siebie jego duszę!

- Wola Boga! - odpowiedzieli chórem poważnych głosów. Na twarzach wielu z nich malował się głęboki żal.

- Zgodnie z wolą swego ojca na Słoniowym Tronie Omanu zasiądzie teraz jego najstarszy syn Zajn al-Din. Oby dzięki błogosławieństwu Allaha panował długo i szczęśliwie.

- Wola Boga! - zawołali powtórnie, lecz twarze mieli ponure. Wiedzieli, że nastaly dni ciemności.

736

Niedaleko od murów miasta wrzynał się w morze skalisty przylądek. Jego wysoki urwisty brzeg opadał stromo do wody, która w tym miejscu była tak przejrzysta, że każdy detal koralowej rafy rysował się w niej z precyzją marmurowej mozaiki. Na samej krawędzi skalistego cypla nowy kalif kazał zbudować z bloków różowego granitu pawilon, który nazwał Pałacem Odkupienia. Ze swego miejsca pod dającą cień kolumnadą mógł obserwować wodę u stóp skały i długie, ciemne sylwetki rekinów buszujących pośród zębów rafy. Bezpośrednio po wzniesieniu budowli nie było ich wcale, lecz teraz roily się pod powierzchnią całymi stadami, a wszystkie były doskonale odżywione.

Przed jego oblicze przyprowadzono właśnie kolejnego z urzędników ojca. Zakutego w kajdany, w zgrzebnej szacie i z ogoloną na znak potępienia głową. Zajn al-Din zajadał akurat soczysty owoc granatu.

- Byłeś dla mnie niedobry, bin-Nabulo - oświadczył z pełnymi ustami. - Wtedy gdy znajdowałem się w niełasce u mego ojca, niech Allah błogosławi jego światobliwą duszę. - Zajn splunął pestką granatu prosto w twarz mężczyzny. Ten nawet się nie skrzywił, spoglądając hardo w oczy swego prześladowcy. Bin-Nabulo, głównodowodzący wojsk al-Malika, był wojownikiem dumnym i pełnym godności. - Nazywałeś mnie tłustym szczeniakiem - pokiwał smutno głową Zajn. - To było bardzo okrutne.

- To miano pasowało do ciebie doskonale - odparł więzień. - Od tamtej pory zrobiłeś się jeszcze tłustiejszy i bardziej odpychający... z wyglądu i zachowania. Dziękuję Allahowi, że twój szlachetny ojciec nie może zobaczyć, jaką straszliwą plagę zesłał na swój lud.

- Zawsze byłeś zanadto gadatliwy, starcze. Lecz na tę dolegliwość mam doskonałe panaceum. - Kalif skinął na nowego dowódcę armii. - Moi przyjaciele tam w dole się niecierpliwiają. Nie pozwól, żeby cierpieli głód - powiedział do niego. Abubaker pochylił się w pokłonie. Ubrany był w lśniącą półzbroję i spiczasty hełm z wyszywaną jedwabną osłoną karku. Wyprostował się z uśmiechem. Jego wąska twarz i sterczące jak u barakudy zęby nadawały mu przerażający wygląd, lecz bin-Nabula nawet nie mrugnął.

737

- Tę drogę przebyło przede mną wielu przyzwoitych i dzielnych ludzi - rzekł dobitnie. - Wolę ich towarzystwo od waszego.

Egzekucje rozpoczęły się przed kilkoma miesiącami, zaraz po objęciu tronu przez nowego kalifa, i odbywały się codziennie. Ze skały strącono już na pożarcie drapieżnym rekinom setki znaczących niegdyś i wpływowych osobistości z otoczenia al-Malika. Zajn al-Din był pamiętliwy i nie wybaczał najmniejszej urazy, obaj zaś z generałem Abubakerem nigdy nie nudzili się tym zajęciem.

- Zdjąć mu kajdany - rozkazał Abubaker swoim pomocnikom. Nie chciał, by jego ofiara zatonała zbyt szybko.

Bin-Nabuli zdjęto łańcuch z szyi i doprowadzono go do drewnianego kloca.

- Obie stopy - padł kolejny rozkaz.

Nogi więźnia ułożono na katowskim bloku. Abubaker udoskonalił karę: ofiara mogła się utrzymać na powierzchni, lecz nie była w stanie płynąć do brzegu, a świeża krew wzmagająca wściekły apetyt drapieżników.

Wyciągnął miecz i machnął nim ze świstem nad stopami bin-Nabuli, szczerząc doń swoje nierówne zęby. Stary generał patrzył na niego z pogardą, nie okazując cienia strachu.

Abubaker mógł oczywiście powierzyć to zadanie któremuś ze swoich ludzi, ale wolał wykonać rozkaz brata sam, dla czystej przyjemności. Przyłożył ostrze klingi do kostki ofiary, przymierzając się do celu.

- To ma być jedno czyste cięcie - podjudzał go Zajn al-Din. - Bo ci na drugi raz nie pozwolę bawić się w kata, mój bracie.

Abubaker podniósł miecz, trzymał go chwilę nad głową, a potem zamachnął się z całej siły. Stal świsnęła w powietrzu, przecięła mięśnie i kości i z głuchym odgłosem uderzyła w drewniany blok. Brązowa stopa z broczącymi krwią błękitnymi żyłami spadła na granitową posadzkę. Zajn zaklaskał w dłonie.

- Zaiste, świetna robota! Lecz czy potrafisz to powtórzyć?

Jego brat wytarł klingę w kawałek jedwabiu podany mu przez niewolnika, po czym przymierzył się do następnego cięcia. Ostrze świsnęło i brzęknęło; stal znowu wbiła się w drewniany blok. Zajn zarechotał z uciechy.

Gwardziści zawlekli bin-Nabulę na skraj urwiska, zostawiając

738

na różowym granicie mokre czerwone smugi. Zajn al-Din poderwał się z poduszek i pokuśtykał do niskiej balustrady. Wychylił się i spojrział w dół.

- Moje rybki już na ciebie czekają, starcze - rzucił kpiąco. - Idź z Bogiem.

Żołnierze zrzucili generała ze skały. Poleciał do morza z wydętą jak balon szatą, ale nie wydał żadnego dźwięku. Niektórzy wrzeszczeli przez całą drogę w dół i Zajnowi bardzo się to podobało. Bin-Nabula uderzył w wodę. Impet upadku wciągnął go głęboko w morską toń. Po chwili kipiel się uspokoiła i zobaczyli go na powierzchni. Usiłował utrzymać głowę nad wodą, lecz morze wokół niego już zabarwiło się czerwienią.

- Tam są! - krzyknął Zajn al-Din, pokazując rekiny drżącą z ekscytacji dłonią. - Patrzcie na moje śliczne rybeczki!

Ciemne sylwetki poruszały się nerwowo i nagle pomknęły błyskawicznie ku powierzchni, okrążając miotającą się w wodzie ofiarę.

- Chodźcie, chodźcie, moje maleństwa!

Pierwszy rekin zaatakował i bin-Nabula zniknął pod wodą. Toń była jednak tak przejrzysta, że Zajn mógł wciąż napawać oczy widokiem urządzonej przez siebie ucztę.

Kiedy zabawa się skończyła i nie było już czego oglądać, wrócił pod jedwabny baldachim i opadł na poduszki. Kazał sobie podać zimny sorbet i przywołał gestem Abubakera.

- Doskonale się spisałeś, mój bracie. Choć bardziej mi się podoba, gdy krzyczą. Ten stary szatan milczał chyba tylko po to, żeby mi zrobić na złość.

- Z bin-Nabuli zawsze był stary uparciuch - zgodził się tamten. - Na sporządzonej przez ciebie liście było sześćset dwanaście nazwisk - dodał. - Przykro mi to mówić, lecz stary kozioł miał numer sześćsetny. Niedługo skończymy.

- O nie, mój drogi bracie. Jeszcze daleko do końca. Nie zajęliśmy się jeszcze największym z naszych wrogów.

- Powiedz mi imię tego łotra. - Dziki grymas na twarzy Abubakera nie przypominał w niczym uśmiechu. - Powiedz mi, gdzie go szukać, a znajdę go i przyprowadzę do ciebie w łańcuchach.

- Znasz go, mój bracie, aż za dobrze. I też masz z nim swoje porachunki. - Zajn pochylił się i odsunawszy skraj szaty, pomasował swoją zdeformowaną kostkę. - Chociaż minęło tyle lat, ta stopa wciąż mnie boli, gdy się zanosi

739

na deszcz. - W ciemnych oczach Abubakera pojawił się błysk zrozumienia, a Zajn dorzucił cicho: - Wcale mi się nie podobało, kiedy mnie wlekli na sznurze po ulicach Maskatu.

- Al-Salil - pokiwał głową jego zausznik. - Ten diabeł o czerwonej głowie i zielonych oczach. Wiem, gdzie go szukać. Nasz czcigodny ojciec, niech Allah ma go w swej opiece, wysłał go do Afryki, żeby zabezpieczył nasze szlaki handlowe przed napadami rozbójników.

- Weź tyle statków, ile potrzebujesz, Abubakerze. Płyn do Afryki. Znajdź go i przyprowadź do mnie. Możesz go upodlić, jeśli chcesz, lecz nie zabijaj. Czy zrozumiałeś?

- Upodlony, ale nie martwy. Zrozumiałem doskonale, Wasza Wysokość.

Jasmini brodziła w płytkiej wodzie. Wciągnęła z zimna brzuch, i tak już płaski, i uniosła ręce nad głowę. Dorian przyglądał się jej, leżąc na białym piasku plaży. Chociaż kochali się zaledwie przed kilkoma minutami, nigdy go nie nużyło patrzenie na jej ciało koloru kości słoniowej i jedwabiście gładkie. Po opuszczeniu zamkniętego kręgu zenona dziewczyna rozkwitła w pełni. Ciekawość świata aż w niej kipiała, kiedy zaś byli tylko we dwoje, ujmowało go jej poczucie humoru i zamiłowanie do psot.

Zanurzona po pas, nabrała w dłonie słodkiej wody i podniosła do ust. Gdy piła, kilka kropel spadło jej na pierś. Zabłyśły w słońcu niczym diamentowy naszyjnik, a sutki dziewczyny stwardniały od zetknięcia z chłodem i sterczały dumnie. Odwróciła się i pomachała mu, potem, otrząsając się w proteście przeciwko zimnu, zanurzyła się powoli aż po szyję. Jej przetykane srebrnym pasmem włosy rozpostarły się na powierzchni ciemną chmurą.

- Odwagi, mój panie! Chodź do wody! - zawołała.

Dorian jednak w odpowiedzi machnął leniwie ręką. Rozkosznie było tak leżeć bez ruchu po miesiącach ostrego marszu w głąb ładu.

- Czyżby potężny szejk, wielki zwycięzca spod Maskatu, bał się odrobiny zimnej wody? - prowokowała go. Pokręcił z uśmiechem głową.

740

- Nie boję się wody, lecz wyczerpałaś do cna moje siły, bezwstydna niewiasto!

- Ó to mi właśnie chodziło! - zaśmiała się perliście. Nagle wstała i chlusnęła na niego wodą.

- Podstępna kobieto! - zerwał się na nogi. - Moją cierpliwość też wyczerpałaś! Wbiegł do jeziora, rozbryzgując wodę, i chociaż Jasmini próbowała mu uciec, złapał ją i zanurkowali, trzymając się w objęciach, żeby po chwili wynurzyć się ze śmiechem i prychaniem. Nagle dziewczyna zrobiła poważną minę.

- Obawiam się, że mnie okłamałeś, mój panie - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Zdaje się, że trzymam w dłoni dowód, iż twoje siły dalekie są od wyczerpania.

- Pokornie proszę o wybaczenie mi tego małego oszustwa.

- O nie, to nie wystarczy. - Objęła go obiema rękami za szyję. - Za ten występki spotka cię kara, jaką wymierzają swoim partnerom ryby i krokodyle. - Podskoczyła i pod powierzchnią uwięziła jego biodra w uścisku ud.

Niedługo potem pobrnęli z powrotem na brzeg, wciąż wczepieni w siebie, śmiejąc się, niemal bez tchu. Padli na piasek tuż przy brzegu i Dorian spojrział na słońce.

- Wkrótce południe - mruknął z żalem. - Musimy wracać, Jassie.
- Jeszcze chwilkę - poprosiła. - Naprawdę mam czasem dosyć tego ciągłego udawania chłopca.

- Idziemy - odparł stanowczo, podnosząc ją z ziemi.

Wrócili do miejsca, gdzie zostawili rzeczy, i szybko się ubrali. Podeszli do wyciągniętego na piasek małego dhow, lecz nim zepchnęli go na wodę, Jasmini obrzuciła spojrzeniem plażę, żegnając się z cudownym miejscem, w którym przez godzinę zażywali swobody i szczęścia.

Na wierzchołku najwyższego z drzew wysepki siedziała para białogłowych rybołówów o czarnych lśniących piórach upstrzonych brązem. Jeden wyciągnął szyję i z jego gardła wydobył się okrzyk podobny do psiego skowytu.

- Nigdy nie zapomnę tego dźwięku - rzekła Jasmini. - To głos z samego serca tej dzikiej krainy.

Daleko na brzegu majaczyła niebieska linia wzgórz jaśniejszych niż tafla jeziora. Nad wodę poderwało się stado różowych flamingów. Wzbiło się gęsiego w górę na fali ciepłego powietrza i opadło z powrotem nad powierzchnię. Każdy ptak wznosił się

741

i zniżał lot dokładnie w tym samym miejscu, co poprzedni. Efekt był niezwykły; wyglądało to jak długi różowy wąż unoszący się ponad lazurem jeziora.

- I nigdy nie zapomnę tego piękna - szepnęła dziewczyna. - Chciałabym zostać tu z tobą na zawsze.

- To kraj Boga, człowiek nie liczy się tu wcale - odparł. - Chodź, nie możemy sobie teraz pozwolić na marzenia. Obowiązki trzymają mnie w żelaznym uścisku. Jutro musimy stąd odejść i ruszyć z powrotem w kierunku wybrzeża.

- Jeszcze tylko momencik, mój panie - poprosiła błagalnie, wskazując dziwną ciemną chmurę podnoszącą się z wody w odległości mili i wzbijającą pionowo pięćset stóp w niezmacony afrykański błękit. - Co to jest? - zapytała. - Wygląda, jakby woda się paliła i dymiała.

- Malutkie owady - wyjaśnił Dorian. - Całe ich roje żerują na dnie jeziora, a potem wynurzają się i rozpinają, niczym żagiel, cieniotką pajęczynę. Ten żagiel unosi je w powietrze i porywa w dal.

- Jakie cudowne są dzieła Allaha - szepnęła z roziskrzonymi oczami.

- Chodź - ponaglił ją Dorian. - I nie zapomnij, że znów jesteś Jassie, młody niewolnik, który powinien mi okazywać posłuszeństwo i szacunek.

- Tak, mój panie.

Skłoniła się przed nim nisko, dotykając złożonymi dłońmi ust, i nagle cała jej postać uległa przemianie. Była urodzoną aktorką. Gdy się wyprostowała, jej postawa nie przypominała już księżniczki, lecz pokornego sługę, a kiedy spychała łódź na wodę i wskakiwała na dziób, poruszała się zupełnie jak chłopak.

Łódź okrążyła wyspę. W odległości kabla ujrzeli wioskę rozciągniętą wzdłuż brzegu jeziora. Siedzieli na przeciwległych krańcach dhow, gdyż nawet z takiego dystansu niechybnie obserwowało ich wiele oczu.

Choć te rozległe wody przypominały niemal morze, leżały jednak kilka miesięcy drogi od Wybrzeża Malarycznego, a klimat na kontynentalnym płaskowyżu był suchszy i o wiele zdrowszy. Wieś Ghandu była wielka; jej zabudowania ciągnęły się przez kilka mil wzdłuż brzegu. Stanowiła bowiem główny ośrodek handlu kalifatu Omanu z interiorom i właśnie tutaj formowano długie niewolnicze karawany przed marszem ku wybrzeżu.

1

1

742

Widzieli przed sobą kilkanaście łodzi wiosłowych i dhow sunących w stronę portu w Ghandu. Niektóre z nich pokonywały setki mil wzdłuż brzegów jeziora, zwoząc z odległych dzikich terenów ładunek suszonych ryb, kości słoniowej, skór, przypraw i niewolników.

Kiedy Dorian z Jasmini podpłynęli bliżej wsi, dziewczyna zmarszczyła z obrzydzeniem nos. W słodkim powietrzu unosił się odór rybich odpadków i smród niewolniczych baraków.

S/ejk al-Salil zszedł na brzeg, gdzie czekał już na niego głównodowodzący jego oddziałów, Baszir al-Sind, wraz z resztą członków sztabu. Niewolnik Jassie

skromnie usunął się w cień, a jego pana porwał natychmiast wir obowiązków. Obowiązków, od których udało mu się po raz pierwszy uciec na kilka cudownych godzin spędzonych na wyspie z Jasmini.

- Przybyły już kobiety, panie - oznajmił Baszir. - Kupcy czekają na twe rozkazy, gotowi do wymarszu.

Dorian ruszył szybkim krokiem przez wieś. Szedł między barakami, w których kipiała ludzka masa, wśród nędzy i nieszczęścia, tak przejmująco kontrastujących z urodą i spokojem, jakich dopiero co doświadczali na wysepce.

Na głównym suku czekało na nich pięciu handlarzy niewolników. Siedzieli na wyściełanych stołkach, pod paradnymi baldachimami z jedwabiu, każdy w otoczeniu swojej służby i uzbrojonych po zęby strażników. Tych pięciu ludzi kontrolowało cały handel przechodzący przez Ghandu. Byli to mężowie bogobojni i wykształceni, wymowę mieli gładką i obsypywali swego rozmówcę kwiecistymi komplementami. Zachowywali się z godnością arystokratów, a każdy był bogaty ponad wszelką miarę. A jednak Dorian już po krótkim czasie swego pobytu w Ghandu zdażył ich serdecznie znieubić, widząc całe barbarzyństwo zajęcia, które zapewniało im krociowe dochody.

Sam niegdyś był niewolnikiem, chociaż al-Malik nigdy nie traktował go w ten sposób. Niewolnicy stanowili część jego otoczenia przez całe dorosłe życie, lecz do tej pory nie zastanawiał się nad ich losem. Ci, których znał, byli w większości załamani i zrezygnowani, często urodzeni już w niewoli. Ich właściciele traktowali ich łagodnie, jako wartościową część swego ruchomego majątku. W handlowej stolicy interioru ujrzał jednak na własne oczy całe okrucieństwo i brutalną rzeczywistość tego procederu. Chcąc nie chcąc, był świadkiem do-

743

prowadzania do miejsca wymarszu wciąż nowych grup dopiero co pojmanyh tubylców i wcale nie czuł się z tym dobrze.

Duszę miał rozdarta między własne człowieczeństwo a, z drugiej strony, miłość i poczucie obowiązku wobec przybranego ojca, kalifa. Zdawał sobie sprawę, że od rozwoju tego handlu zależy cały dobrobyt jego kraju. Nie zamierzał się więc uchylać przed zadaniem ochraniaania karawan, lecz nie odczuwał z tego powodu najmniejszej satysfakcji.

Zbliżała się pora południowych modłów, dokonali więc zwyczajowych ablucji.

Dorian umył się w wodzie podanej mu przez Jassiego, a potem uklęknął razem z kupcami na jedwabnym dywaniku, twarzą zwrócony ku północy. Kiedy zasiedli na powrót na poduszkach pod baldachimem, poczuł przemożną chęć pominięcia całego rytuału wstępnych przemówień i wyszukanych komplementów i przejścia od razu do rzeczy. Był jednak już na wskroś człowiekiem Orientu i nigdy nie pozwoliłby sobie na podobny wybryk. Toteż słońce dawno już minęło zenit, gdy jeden z kupców wspomniał wreszcie, niemal mimochodem, że przygotowali dla dostojnego szejka al-Salila dwieście niewolnic, tak jak sobie życzył.

- Przeprowadźcie je do mnie - rozkazał.

Kiedy zaczęła się prezentacja, od razu zauważył, że próbują mu dać najstarsze i najsłabsze kobiety. Większość z tych nieszczęsnych istot nie przetrwałaby nawet części morderczego marszu do wybrzeża. Narastał w nim gniew. Przybył do tych ludzi z misją uratowania ich od ruiny. Miał firman kalifa, zalecający im ścisłe wypełnianie jego życzeń. A mimo to próbowali go przechytrzyć i piętrzyli trudności.

Opanował się jednak. Kondycja tych niewiast nie była aż tak ważna dla powodzenia jego planu. Chciał je dołączyć do karawany wyłącznie dla uspienia czujności rozbójników. Kolumna złożona z samych mężczyzn wzbudziłaby z pewnością ich podejrzenia.

Pięćdziesiąt kobiet, głównie starych i w zaawansowanej ciąży, odrzucił z miejsca. Stare padłyby z wyczerpania po kilku milach, ciężarne zaś zaczęłyby przedwcześnie rodzić, a nie zamierzał brać na swoje sumienie nieuniknionej śmierci nowo narodzonych. Z tej samej przyczyny nie przyjął proponowanych mu przez kupców dzieci.

- Gdy wyruszymy, te nieszczęśnice mają mieć najłżejsze kajdany - ostrzegł na koniec handlarzy i wstał na znak, że spotkanie się skończyło. t

744

Z ulgą opuścił przeklętą wioskę i wrócił do swoich ludzi rozłożonych obozem na zboczach pobliskiego wzgórza. Powietrze było tu chłodniejsze i świeższe, a widok na jezioro przepyszny. Wiedział już z doświadczenia, że wojownicy byli o wiele zdrowsi, kiedy trzymali się z dala od ludnych osad, a także, gdy latryny budowano jak najdalej od źródła wody pitnej i przestrzegano ściśle tradycyjnych reguł przyrządzania posiłków. Zastanawiał się, czy zdrowego wojska nie zawdzięcza po części rytuałowi obmywania się przed modlitwami. Choroby w każdym razie nękały jego ludzi o wiele rzadziej niż marynarzy ojca na zatłoczonych angielskich statkach.

Było już późne popołudnie, lecz jego praca bynajmniej się nie skończyła. Nazajutrz mieli wyruszyć na pierwszy etap wędrówki i musiał dopilnować organizacji karawany. Przynętę stanowiło pięciuset wojowników idących razem z niewolnicami. Swoich ludzi dobierał, kierując się kolorem skóry murzyńskich kobiet, niemal fioletowoczarnym. Nawet najciemniejsi z Arabów nie mieli oczywiście aż tak ciemnej karnacji, toteż musieli sobie zabarwić skórę wyciągiem z kory, którego rybacy używali do nasączania sieci. Choć nie nabrali do końca typowo afrykańskiego odcienia, Dorian miał nadzieję, że pył drogi i trudy marszu pogłębią skuteczność tej maskarady.

Musiał rozwiązać i inne problemy. Żaden z jego wojowników nie obnażyłby się publicznie, gdyż zabraniała im tego religia. Zgodził się więc, by nałożyli przepaski biodrowe, nakazał jednak, żeby były poszarpane i brudne. Wzbranił się także przed ogoleniem głów, lecz niewolnicy nie nosili przecież długich włosów i w tej kwestii nie mógł ustąpić. Wszyscy mieli być w kajdanach, ale jak najłżejszych i nie zapiętych, żeby je można było w każdej chwili zrzucić. Pięciu kupców z Ghandu, chociaż z kwaśnymi minami, dołożyło do tej przynęty sto sztuk słoniowych kłów. Wybrano nieduże i na tyle lekkie, aby wraz z nimi żołnierze mogli dźwigać broń ukrytą w obszernych fałdach tłumoków niesionych na głowach. Dorian postanowił jechać na czele kolumny, w pełnym rynsztunku, z zasłoniętą twarzą, tak jak się tego spodziewali napastnicy. Jasmini miała mu towarzyszyć. Nauczyła się już jeździć po męsku.

Straż karawany stanowił niewielki oddział Arabów uzbrojonych na tyle silnie, by nie wzbudzić podejrzeń, lecz nie po zęby, żeby z kolei nie odstręczyć bandytów od ataku.

745

Główne siły, liczące ponad tysiąc ludzi, prowadził Baszir al-Sind. Jego oddziały miały maszerować kilka mil za pierwszą kolumną, aby zwiadowcy rozbójników nie spostrzegli chmury pyłu. Sygnał, że Dorian został zaatakowany, stanowiła czerwona chińska raca. Ujrzawszy ją, Baszir miał jak najszybciej otoczyć nieprzyjaciół, podczas gdy rzekomi niewolnicy będą ich wiązać walką.

- To prosty plan - skonstatował Dorian, gdy któryś raz z kolei omówili z Baszirem wszystkie szczegóły. - Lecz oczywiście wielu rzeczy nie da się przewidzieć. To jest ryzyko wojny. Będziemy reagować w miarę rozwoju wypadków. Może też stać się tak, że fisi wcale się nie zjawia. - Fisi oznaczało w suahili hienę, a Arabowie tak nazywali rozbójników z dzungli.

- Przyjdą na pewno, al-Salilu - zawyrokował Baszir. - Zasmakowała im omańska krew i teraz już nie mogą bez niej żyć.

- Módlmy się do Allaha, żeby to była prawda - odparł Dorian i udał się do swego namiotu, gdzie czekał nań posiłek przyrządzony przez niewolnika Jassiego.

1

Coś mi w tym wszystkim nie daje spokoju - powiedział Aboli, obserwując odległą jeszcze karawanę przez lunetę.

- Podziel się ze mną swoimi troskami, przyjacielu - zachęcił go Tom z ledwie skrywanym sarkazmem. Aboli wrzucił ramionami.

- Mężczyźni są drobnej budowy. Idą zbyt lekkim i swobodnym, niemal kocim krokiem. Pierwszy raz widzę niewolników, którzy maszerują z taką gracją. Arabska kolumna schodziła właśnie ze wzgórz odległych od ich punktu obserwacyjnego o jakieś trzy mile, wijąc się krętym szlakiem niczym wąż.

- Przecież wyruszyli z krainy jezior zaledwie trzy tygodnie temu. - Tom przekonywał bardziej siebie niż Abolego. - Do tego czasu nie opadli z sił. Nie chciał przyjąć do wiadomości żadnego faktu, który mógłby go odwieść od planowanego ataku. Podczas tej pory suchej nie natrafili jeszcze na żadną

niewolniczą karawanę; ta była pierwsza. Zaczęli się już obawiać, czy źródło ich bogactwa nie zaczęło wysychać. Był więc zdecydowany pozyskać łup za wszelką cenę.

746

- Mężczyźni są młodzi i silni, to prawda - zgodził się Murzyn. - Ale popatrz na te kobiety.

Tom wziął od niego lunetę. Kiedy się przyjrzał maszerującym niewolnicom, poczuł w dole brzucha ukłucie niepewności. Różniły się od mężczyzn nie tylko odcieniem skóry, lecz były także dużo od nich starsze i bardziej grubo-kościste.

- Na pewno są z innego plemienia - zawyrokował, choć pewność, z jaką to mówił, nie odpowiadała jego prawdziwym odczuciom.

- I nie ma ani jednego dziecka - nie ustępował Aboli. - Gdzie są dzieci?

- Boże święty, Aboli. Czasami, jakby ciebie słuchać, to można by pomyśleć, że nawet róże pachną bździnami! - zirytował się Tom.

Przez jakiś czas żaden się nie odzywał. Tom przeniósł oko lunety na czoło kolumny. Dowódca Arabów dosiadał jabłko-witej klaczy. Znakomicie trzymał się w siodle i było widać na pierwszy rzut oka, że jest wytrawnym jeźdźcem, najpewniej młodym i silnym. Przez plecy miał przewieszony długi muszkiet, na ramieniu zaś tarczę. Po jego prawicy jechał giermek z lanca, a z lewej młody chłopak, prawdopodobnie osobisty służący lub męski kochanek. Arab miał na głowie błękitny turban królewskiego rodu kalifów Omanu. Końcem zawoju osłonił twarz i widać było tylko jego oczy.

- Chętnie bym z nim skrzyżował szpadę. - Tom zmuszał się do lekceważenia nękających go obaw. - Bóg mi świadkiem, że wygląda na godnego przeciwnika.

- Kły niosą bez wysiłku, takie są małe i lekkie - powiedział cicho Aboli.

- A ty znów swoje! - natarł na niego młodzieniec. - Przeszedłem setki mil, żeby je zdobyć, małe czy duże, lekkie czy ciężkie. I nie zamierzam się wycofywać. Nie zrezygnuję z ataku tylko dlatego, że miałeś zły sen, Aboli!

- Nie powinienem był ci opowiadać tego snu - rzekł z rezygnacją Murzyn. - Posłuchaj, Klebe. Towarzyszyłem ci we wszystkich najbardziej szalonych i ryzykownych przedsięwzięciach. Może to tylko głupi kaprys starca, ale umrzeć też bym chciał, walcząc u twego boku. Skoro się więc upierasz, ruszajmy na nich po ten bogaty i łatwy łup.

Tom zatrzasnął lunetę i uśmiechnął się doń szeroko.

747

- Nie mówmy o umieraniu w tak pięknym dniu, stary druhu - powiedział, wstając. - Najpierw zbadamy szlak, którym nadeszli, a potem ich wyprzedzimy i znajdziemy jakieś dobre miejsce na zasadzkę.

Ruszyli obaj w dół, gdzie u stóp wzgórza czekał Fundi z końmi.

Batula podjechał do czoła długiej kolumny, wijącej się przez rzadki las.

- Fisi węższą na naszym szlaku - zameldował szejkowi, salutując.

Dorian opuścił syk i jego koń spłoszył się nieco, podrzucając głową.

- Kiedy się pojawili?

- Wczoraj, gdy rozbiliśmy się na noc. Przyszli z południa; dwóch jeźdźców i dwóch pieszych.

- Co jeszcze zauważyłeś?

- Jeźdźcy zsiadli z koni; byli obuci w skórę. Chociaż są z nimi dzicy, to na pewno Frankowie. Obeszli wszystko, wsiedli na konie i odjechali. Oglądali nasz biwak ze wzgórza, a później wrócili na południe.

- Czy spostrzegli, że idzie za nami Baszir al-Sind?

- Nie, panie. Chyba nie wiedzą o tym.

- Allahowi niech będą dzięki; zaczęło się - rzekł z satysfakcją Dorian. -

Ułóżcie znak, żeby powiadomić Baszira, że fisy są blisko. Niech już podejdzie. Trzy naturalnie wyglądające kopczyki kamieni, ułożone w odpowiednim porządku, nie mogły zwrócić niczyjej uwagi poza al-Sindem. Batula pogalopował na koniec kolumny.

- Zrobione, jak kazałeś, panie - oznajmił, powróciwszy.

- Weź teraz trzech ludzi i jedźcie naprzód - rozkazał szejk. - Musicie znaleźć miejsce, w którym wróg najpewniej urządzi zasadzkę. Jedźcie, nie kryjąc się, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Po południu patrol powrócił.

- Panie, natrafiliśmy na miejsce, które rozbójnicy z pewnością wybiorą, by przeprowadzić swój plan - zameldował Batula.

Dorian skinął głową, żeby mówił dalej.

- Czoło kolumny dotrze tam za jakąś godzinę - kon-
748

tynuował giermek. - Droga biegnie w tym miejscu w dół, wijąc się w skalnym rumowisku. Za głazami mogą się łatwo ukryć łucznicy. Dalej jest jeszcze stromiej i szlak zbiega po naturalnych skalnych stopniach. W tym punkcie mogą próbować rozdzielić naszą karawanę. Dorian skinął głową.

- Pamiętam to miejsce z marszu w tamtą stronę - powiedział. - W dolinie poniżej płynie rzeka, nad którą obozowaliśmy cztery dni.

- Tak, to właśnie tam - potwierdził Batula.

- Masz rację, muszą nas tam zaatakować. Za rzeką teren jest płaski i nie nadaje się do ich celów.

Ponad naturalnymi skalnymi schodami wznosił się wysoki na sto stóp nawis, czerwony od porostów i zwietrzały, poryty głębokimi pionowymi szczelinami. Tom siedział na jego krawędzi i zwiesiwszy nogi w dół, przyglądał się wąskiemu przesmykowi. Odkrył to miejsce trzy lata temu, po pierwszej udanej akcji uwolnienia niewolników, i odnotował je sobie w pamięci.

- Zmieści się najwyżej pięć koni obok siebie - ocenił. - I nie da się jechać; będą musieli zsiąść i je prowadzić.

Ta okoliczność była dla nich korzystna, bo wojownicy Lozi byli bezradni wobec kawalerii, natomiast bili się znakomicie w starciach wręcz. Za skalnym korytarzem przez setki mil ciągnęła się płaska równina i stanowił on najlepsze miejsce na zasadzkę.

Po nierównym gruncie przesuwano się z mozołem dziesięciu ludzi kierowanych przez Luke'a Jervisa. Każdy z nich dźwigał na grzbiecie pięćdziesięciofuntową baryłkę z prochem. Tom wstał i pokazał im gardziel głębokiej pionowej rozpadliny.

Zwalili beczki przy jej krawędzi i usiedli na ziemi, by złapać dech.

Aboli szybko sporządził prymitywną ławeczkę bosmańską z uwiązanej na linach grubej gałęzi. Trzej ludzie opuścili na dno rozpadliny najpierw jego, a potem baryłki z prochem. Tom wiedział, że przyjaciel poradzi sobie z tą robotą najlepiej z nich, zostawił go więc w szczelinie skalnej, sam natomiast jeszcze raz obszedł dookoła cały teren. Sprawdził, czy wykonano wszystkie jego polecenia, i upewnił się, że jest przygotowana droga odwrotu. Sarah miała na nich czekać z końmi w zarośniętym

749

krzewami wawozie, z dala od miejsca bitwy, lecz na tyle blisko, żeby w razie niepowodzenia ataku zdążyli się tam wycofać.

Kiedy powrócił z tego obchodu, marynarze właśnie wyciągali Abolego z rozpadliny.

- Założyłem trzy osobne lonty - oznajmił, pokazując zwisające ze skały białe sznury - w razie gdyby któryś zawiódł.

- Pięćset funtów prochu - zaśmiał się sarkastycznie Tom. - Chyba im zęby powypadają.

Przedostali się przez skalne rumowisko do swego punktu obserwacyjnego, z którego mogli widzieć nadciągających nieprzyjaciół. Chmurę pyłu ujrzeli na długo przedtem, nim między drzewami rzadkiego lasu wyłoniło się czoło kolumny. Tom spojrział przez lunetę, lecz nie zauważył żadnych zmian w szyku i tempie marszu karawany. Niewolnicy szli trójkami i czwórkami, zakuci w łańcuchy. Z boków jechali arabscy strażnicy, a na przedzie dowódca w błękitnym turbanie.

- Nie śpiewają - zauważył Aboli. Rzeczywiście, uświadomił sobie Tom. Poprzednio niewolnicy zawsze intonowali w marszu jakąś tęskną pieśń.

- Widocznie nie są w nastroju - odparł.

- Poganiacze ani razu nie oćwiczyli nikogo batem - ciągnął Murzyn. - Wymyśl i na to jakieś sprytne wytłumaczenie.

- Natrafiliśmy na jedynych dobrych muzułmanów - odparł Tom, pocierając palcem grzbiet złamanego nosa. - Strzepisz sobie język na próżno, przyjacielu. Są moi i będę ich miał.

Aboli wzruszył ramionami.

- To nie twoja wina, Klebe. Twój ojciec był tak samo uparty i dziadek także. Masz to we krwi.

- Jak sądzisz, czy rozłożą się na noc u wejścia do przesmyku, czy będą chcieli jeszcze dziś przejść na drugą stronę? Aboli spojrział na słońce.
- Jeśliby się zdecydowali przejść, to nie zdażą wszyscy przed zmrokiem.
- Ciemności będą nam sprzyjać.
- Odłóż już to szpiegowskie szkieleko, Klebe. Zwierzyna coraz bliżej. Słońce pada z tamtej strony i może ją spłoszyć odblask okularu.
Dorian ściągnął wodze i stanawszy w strzemionach, przyjrzał się wylotowi przełęczy. W miarę jak teren opadał, ściany korytarza

750

stawały się coraz wyższe i bardziej urwiste. Pamiętał doskonale wszystkie niebezpieczeństwa przejścia i wiedział, że to idealne miejsce na urządzenie zasadzki. Poczł mrowienie u nasady karku. Przeczucie zagrożenia, które go jeszcze nigdy nie zawiodło.

- Batula, weź dwóch ludzi i jedźcie zbadać ten przesmyk - rozkazał jak przystało na roztropnego dowódcę karawany. - Niech będzie widać, że szukacie śladów, lecz gdy znajdziecie jakieś, nie dajcie tego poznać po sobie. Zanim wrócicie, zawołajcie głośno do mnie, że przejście jest bezpieczne.

Batula pochylił lancę i wkrótce zniknął za pierwszym zakrętem skalnego korytarza. Dorian zsiadł z konia. Cała kolumna także się zatrzymała. Niewolnicy złożyli ciężary na ziemi i usiedli sami. Służący lassie rozstawił baldachim dla szejka i zdjął umocowany za siodłem miedziany kociołek z żarzącymi się węglami. Rozdmuchał je i gdy buchnęły płomienie, postawił na ogniu dzbanek z kawą. Potem nalał gorącego napoju do małej filiżanki i klęknął, by podać ją swemu panu.

- Kiedy rozpocznie się walka, trzymaj się blisko mnie - powiedział Dorian półgłosem. - Pod żadnym pozorem nie bierz do ręki broni i nie rób żadnych wojowniczych gestów. Jeżeli wróg cię dopadnie, rzuć się na ziemię i błagaj o litość. Jeśli zostaniesz pojmana, nie zdradź się, że jesteś kobieta, żeby cię nie wykorzystali.

- Zrobię, jak każesz, panie. Lecz u twego boku nie boję się niczego.

- Pamiętaj, że cię kocham, maleńka, i zawsze będę kochać.

- Tak jak ja kocham ciebie. Przerwał im okrzyk od strony przełęczy:

- Droga wolna i bezpieczna!

Batula machał z daleka wzniesioną lancą z uwiązany na końcu błękitnym proporcem.

Dorian dosiadł wierzchowca i stojąc w strzemionach, wydał komendę wymarszu. To wystarczyło, gdyż jego ludzie znali dobrze swoje obowiązki. Długa kolumna ruszyła ociężale ku ciemnej gardzieli wąwozu.

Wyrosły nad nimi urwiste ściany. Był to stary szlak słoni; przez lata gruboskórne zwierzęta wygładziły nogami kamienny chodnik. Dorian owinał szczelniej twarz i, nie pochylając się, żeby nie wzbudzić podejrzeń, badał ziemię w poszukiwaniu ewentualnego tropu rozbójników. Nie zauważył go na gładkiej

751

skale, lecz wiedział, że to o niczym nie świadczy. Mieli do czynienia z naprawdę groźnym wrogiem, który z pewnością zadbał o zatarcie śladów.

Wóz ciągle się zwęzał, aż w końcu niewolnicy i ich poganiacze musieli maszerować w ciasnym szyku, stykając się ramionami. Nie było słyhać rozmów i nikt nie śpiewał, gdyż Arabowie nie potrafili naśladować rytmicznej inkantacji dzikich afrykańskich plemion.

Dorian spostrzegł wysoko na skałach jakiś ruch, smugę szarości. Serce skoczyło mu do gardła. Po chwili zorientował się jednak, że to górską kozica. Stała na jednym z głazów, cudem utrzymując równowagę. Jej różki i uszy sterczały sztywno; przyglądała się ludziom w dole wielkimi wystraszonymi oczami.

W połowie przesmyku zejście zaczęło stromo opadać. Korytarz, zamknięty wysokimi skalnymi ścianami, zerodowanymi i skruszałymi, biegł w dół po naturalnych kamiennych stopniach. Dorian zeskoczył z siodła i trzymając siwka za uzdę, poprowadził go zdradliwą ścieżką. Z dna wąwozu spojrział w górę, na schodzącą ku niemu kawalkadę. Jego żołnierski instynkt sprawił, że cierpła na nim skóra, gdy widział swoich ludzi w tak niebezpiecznym położeniu: w ciasnocie kamiennych ścian, bez drogi odwrotu. Korytarz okazał się tak wąski, że niemal nie było jak się zamachnąć bronią lub złożyć do strzału z muszkietu.

Stanął wraz z siwką pod skalną ścianą, żeby przepuścić długą, wąską kolumnę niewolników i żołnierzy. Przyjrzał się przeciwnej stronie urwiska, wypatrując odbłasku światła na metalu lub poruszenia ludzkiej głowy na tle nieba. Niczego jednak nie dostrzegł. Połowa karawany schodziła już po skalnych stopniach. Druga jej część przeciskała się przez kamienny portal.

Jeśli to ma nastąpić, to właśnie teraz, uznał. Właściwie już znajdowali się w pułapce. Obejrzał się na Jassie. Dziewczyna trzymała się blisko niego. Wcisnęła się wraz z koniem w załom ściany, żeby przepuścić maszerujących.

Dorian popatrzył w niebo. Nad ich głowami, rozłożywszy szeroko skrzydła, kołował na tle błękitu pojedynczy sęp. Żalobnie czarny, z czerwoną łysą głową i haczykowatym dziobem, obserwował idących w dole ludzi.

Cierpliwości, wstrętne ptaszysko, pomyślał ponuro Dorian.

752

Dziś urządzimy ci taką ucztę, że nawet twój krwiożerczy apetyt zostanie zaspokojony w nadmiarze.

Nim jeszcze zdążył dokończyć tę myśl, powietrze uderzyło go w bębenki uszu z taką siłą, że aż zatoczył się do tyłu. Miał wrażenie, że na piersi zacisnęło mu się potężne imadło, a lita skała pod jego stopami podskoczyła i zatrzęsała się. W niebo wystrzelił słup dymu, pyłu i odłamków skały, niemal dosięgając krążącego w górze sępa. Skalna skarpa otworzyła się i rozpołowiła. Urwisty nawis zaczął się przechylać. Opadał tak powoli, że Dorian miał jeszcze czas pomyśleć: proch strzelniczy! Powinienem być to przewidzieć. Wyszadzili skalę!

Nawis opadał teraz szybciej, skała pękała i kruszyła się z łoskotem. Krzyki ludzi w dole brzmiały cicho i słabo. Ich bezowocne wołania do Boga stłumiło szybko skalne rumowisko. Wawóz został zablokowany, a długa karawana rozerwana w połowie, niczym cielsko pytona przepołowione jednym cięciem miecza.

Dorian stał jeszcze bez ruchu, wtulony w szyję konia i oszołomiony, czując w uszach donośne dzwonięcie, kiedy na jego ludzi posypały się jak szarańcza pierwsze roje strzał. Równocześnie huknęły ze skalnych ścian salwy wystrzałów. Tumany dymu zasnuły gorące powietrze. Usłyszał twardy płask kul padających niczym grad na kamienie i ludzkie ciała.

Ponad setka jego ludzi zginęła, od razu zmiądzona pod kamienną lawiną.

Pięćdziesięciu udało się umknąć z okrytego pyłem rumowiska. Reszta oddziału została odcięta w górnej części przełęczy. Zorientował się w jednej chwili, że atakujący mają znaczną przewagę i z pewnością zaraz runą na nich, żeby dokończyć krwawego dzieła, które z takim powodzeniem rozpoczęli.

Wskoczył na siodło i wyciągnął z pochwy bułat. Zostali rozdzieleni z Batulą, lecz nie miało to większego znaczenia, gdyż w tej ciasnej przestrzeni i tak nie mógłby walczyć lancą. Przeciwno/m miał więc jedynie swój bułat i sztylet. Niewolnicy rzucili się na ziemię, udając przerażenie, tak jak ich wcześniej poinstruował. Pełzając i kuląc się, zrzucali jednocześnie łańcuchy z rąk i nóg i wyciągali ukradkiem broń z tobołów na głowach.

Z końskiego grzbietu ujrzał, że rozbójnicy wyskakują z ukrycia i zaczynają opuszczać się po skałach w dół. Byli to czarni, w wojennych przybraniach z barwnych piór, uzbrojeni w krótkie

753

dzidy, ciężkie bojowe pałki i tarcze z niewyprawionej skóry. Zeskakiwali zwinnie po skałach, wrzeszcząc dziko. Wtem spostrzegł wśród nich białego, a potem następnych.

- Bóg jest wielki! - ryknął.

Skuleni na ziemi półnaczy Arabowie zerwali się na nogi, by stawić czoło napastnikom. Z wzniesionymi w górę bułatami odpowiedzieli na okrzyk swego dowódcy:

- Allahu akbar! Bóg jest wielki!

Dorian podjechał do przodu, żeby zająć odpowiednią pozycję do dowodzenia bitwą, lecz w tym momencie jego siwka trafiła w łopatkę ciężka kula z muszkietu. Koń padł na ziemię, wierzgając kopytami. Dorianowi udało się w porę zeskoczyć. Wokół niego panował straszliwy zgiełk, ale rozróżnił w nim pojedynczy, donośny głos:

- Na nich, chłopcy! Posiekać te pogańskie tyłki na miazgę!

Angielski głos pobrzmiwał mocno gardłowym dewońskim akcentem. Zaszokowało to Dorianą jeszcze bardziej niż sama eksplozja.

- Anglicy! - krzyknął mimo woli.

Nie słyszał tego języka od bardzo dawna, lecz w jednej chwili wszystkie te lata przestały się liczyć. To byli jego rodacy! Ogarnął go wir sprzecznych emocji. Próbował gorączkowo wymyślić jakiś sposób na przerwanie bitwy i zachowanie życia obu grup bliskich mu ludzi.

Jednakże strzała została wypuszczona i było za późno, żeby zatrzymać jej lot. Poszukał wzrokiem Jassie. Siedziała skulona w ukryciu pod wielkim głazem. Nagle pokazała coś za nim, krzycząc ostrzegawczo:

- Uważaj, panie! Z tyłu!

Dorian odwrócił się błyskawicznie. Atakował go wysoki barczysty rozbójnik z krzywym nosem i gęstą czarną brodą. Twarz miał ogorzałą od słońca i wiatru, lecz w jego zielonych oczach było coś niezwykłego, jakaś iskra, która poruszyła głęboko ukrytą strunę w duszy młodego szejka. Nie miał jednak nawet ułamka sekundy, żeby się nad tym zastanowić, tamten bowiem natarł na niego z szybkością i zwinnością niespodziewaną u człowieka tak potężnej postury.

Zablokował pierwsze cięcie; cios był jednak tak silny, że zatrzęsł jego ręką aż po bark. Odpowiedział ripostą, płynnie i z wdziękiem, Anglik zaś pochwycił jego klingę w górze

754

i zamknął ją w klasycznym przedłużonym zwarcium. Oba ostrza wirowały razem, stal dźwięczała śpiewnie.

W ciągu tych kilku sekund Dorian uświadomił sobie trzy rzeczy. Po pierwsze, Anglik był najprzedniejszym szermierzem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Po drugie, jeśli spróbuje wycofać się ze zwarcia, będzie martwy. Po trzecie, szpada, która uwięziła jego bułat, była mu znajoma. Widział ją po raz ostatni u boku ojca stojącego na pokładzie starego Serapha. Blask błękitnej stali ze złotą inkrustacją aż kłuł w oczy. Szpady z Neptunem nie sposób było pomylić z inną. W tejsze chwili jego przeciwnik odezwał się głosem stłumionym z wysiłku, jaki wkładał w kontrolowanie klingi Dorian.

- No, chodź, Abdulla, niechże ci utnę jeszcze kawałek skórki z tego łysego kutasa!

Powiedział to po arabsku, lecz Dorian natychmiast poznał jego głos. Chciał krzyknąć: Tom! Szok jednak był tak wielki, że zacisnął mu gardło i z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Napięcie mięśni w jego prawej ręce nagle osłabło i opuścił gardę.

Nie było na świecie człowieka, który by mógł bezkarnie opuścić gardę, gdy w przedłużonym zwarcium trzymał go Tom Courtney. Mordercze cięcie spadło na Dorian z błękitnego nieba niczym uderzenie gromu. W ostatniej chwili zdołał się odchylić i klinga brata chybiła celu o długość kciuka. Poczucił ukłucie stali na prawej piersi, wysoko, pod obojczykiem. Bułat wysunął mu się z bezwładnej dłoni. Padł na kolana ze stalowym ostrzem zagłęzionym w ciele.

Tom! - usiłował znów zawołać, lecz nie wydobył z siebie głosu. Napastnik cofnął się, wyciągając szpadę z ssącym dźwiękiem, jak gdyby niemowlę wypuszczało z ust sutek matki. Dorian przewrócił się na twarz. Tom przekroczył leżącego i spojrział nań wzdłuż klingi, zamierzając dobić. Nim jednak zdołał zadać ostatni cios, wpadło między nich jakieś małe ciało, zasłaniając jego ofiarę przed uderzeniem.

- Niech cię szlag! - krzyknął, ale zatrzymał rękę. - Wynos się stąd!

Żywą tarczą okazał się chłopiec, dziecko jeszcze. Ten akt poświęcenia poruszył serce Toma nawet w bitewnym szale. Mógłby jednym silnym sztychem przebić na wylot ich obu, a jednak nie był w stanie tego uczynić. Próbował kopniakiem zrzucić chłopca ze skulonego ciała herszta Arabów, lecz chłopiec

755

przywarł do swego pana niczym ostrzyga do skały, piszcząc żałośnie po arabsku:

- Litości! W imię Allaha, zlituj się, panie! Jednocześnie rozległ się ostrzegawczy okrzyk Abolego:

- Uważaj z tyłu, Klebe!

Tom odwrócił się, by przyjąć atak dwóch nagich napastników. Przez moment wydawało mu się, że to niewolnicy uwolnieni jakimś cudem z kajdan i atakujący go zdobytymi nie wiadomo jak bułatami. Zaraz się jednak zorientował, że nie mają rysów negroidalnych, ale arabskie. Na Boga, to muzułmańscy wojownicy! - zdążył jeszcze pomyśleć, nim zaczął się bronić.

Skontrolował na lewo i prawo i natarł na nich wściekle. Po chwili jeden leżał martwy, drugi zaś zataczał się z rozciętym barkiem.

- To pułapka, Klebe! - ryknął Aboli.

Tom rozejrzał się błyskawicznie. Rzekomi niewolnicy zrzucili już łańcuchy i każdy z nich dzierżył w dłoni bułat. Ich kontratak był szybki i przemyślany. Szeregi prymitywnie uzbrojonych Lozi załamały się pod naporem Arabów i wielu już wspinało się na skały w panicznej ucieczce.

Z nieprzyjacielskiej kolumny strzeliła nagle w niebo czerwona raca, ciągnąc za sobą ogon białego dymu. Było oczywiste, że to sygnał dla posiłków, które wkrótce niechybnie na nich runą.

Na rumowisku blokującym przełęcz pojawili się kolejni muzułmanie; część z nich ubrana, inni tylko w przepaskach biodrowych. Wojownicy wroga z odciętej części karawany przedarli się przez przegrodę i zbiegali po głazach, żeby przyłączyć się do bitwy. Arabowie przewyższali liczebnie angielski oddziałek, a z nowymi siłami mogli go niebawem zamknąć w okrążeniu i wybić do nogi.

- Odwrót, Klebe! - ryczał Aboli. - Przegraliśmy! Daj rozkaz do odwrotu!

- Do mnie! - zawołał Tom. - Centaurus, wycofać się!

Alf Wilson i Lukę Jervis przedarli się przez nieprzyjacielski szereg i dołączyli do niego. Razem z Abolim i pozostałymi marynarzami ustawili się w kręgu z wyciągniętymi przed siebie klingami i wycofali w wypróbowanym po wielekroć szyku. Muzułmanie, widząc, że ich dowódca jest ranny i niezdolny do walki, zawahali się i nagle ich bojowy zapał znacznie osłabł.

756

Nas/pikowany ostrą stalą krąg dotarł do podnóża skały i Tom zakrzyknął:

- Na górę, chłopcy! Ratuj się, kto może!

Wspinali się mozolnie, pocąc się, dysząc i przeklinając. Zanim dobrnęli do szczytu urwiska, Arabowie zdołali przełamać swą bierność i posłali za nimi salwę z muszkietów. Kule rykoszetowały z brzękiem o skałę, syjąc im na głowy deszcz kamiennych odłamków. Jeden z Anglików został trafiony w plecy. Wygiął się w łuk, puścił uchwyt i poleciał w dół. Tom spojrzał za nim. Arabowie natychmiast przypadli do niego i posiekali w mgnieniu oka na strzępy.

- Do góry! - rzucił do reszty ludzi. - Davie już przepadł, nie ma na to rady.

Obaj z Abolim wydostali się na krawędź urwiska jako pierwsi. Osłonięci przed ogniem z dołu, zatrzymali się, by złapać oddech i popędzić pozostałych.

Poryta tatuażami twarz Abolego ociekała potem. Spojrzawszy na Toma, pokręcił tylko łysą głową i wyraziło to jego uczucia dobitniej niż jakiekolwiek słowa.

- Nic nie mów, Aboli - wydyszał Anglik. - Kolejny raz udowodniłeś, że jesteś mądry jak sam Bóg, chociaż kapkę od niego starszy i brzydki jak szatan. -

Zaśmiał się chrapliwie i zawołał do marynarzy, którzy wyłaniali się jeden po drugim nad brzegiem urwiska: - Dalej, chłopcy. Biegiem do koni!

Sarah czekała z końmi w bocznym wozie, ukryta wśród gęstych zarośli.

Wystarczył jej jeden rzut oka na ich twarze, gdy się tam przedostali, wlokąc ze sobą dwóch rannych. Nie musiała o nic pytać. Niemal każdy krwawił z płytszej lub głębszej rany, włosy mieli zlepione potem, twarze wykrzywione z wysiłku. Było za mało koni, więc Tom posadził Sarah za sobą. Lukę z Alfem wzięli na swoje wierzchowce rannych, a część marynarzy musiała wlec się piechotą, trzymając się strzemion jeźdźców. Ruszyli na południe. Oddział Lozi dawno już zniknął w buszu.

- Ściągnęliśmy sobie na głowę burzę z piorunami - powiedział Aboli. - Teraz będzie nas tropić cała muzułmańska armia.

- Nasze dni w Forcie Proydence dobiegły kresu - zgodził się ponuro Tom, jadący obok niego. - Dziękować Bogu, że chociaż Centaurus nie jest załadowany. Będzie mógł popłynąć przy niskiej wodzie. Wyjdziemy w morze, zanim nas dogonia.

757

Dorian leżał tam, gdzie padł w gardzieli przesmyku. Ben Abram nie pozwolił go przenieść w inne miejsce, dopóki nie opatrzył rany i nie nałożył kompresu, który zawiązał ciasno, żeby zatamować krwawienie.

- Serce i płuca są nienaruszone - oznajmił. - Lecz życie al-Salila wisi mimo to na włosku.

Z drzewc lanc i kawałka skórzanego namiotu zrobili nosze i ośmiu ludzi poniosło go przez pobojowisko pełne jęczących i błagających o wodę ludzi. Jasmini szła obok, kryjąc twarz w fałdach keffija, by stłumić szloch i ukryć łzy.

Kiedy dotarli do wysokiego lasu w dolinie nad rzeką, służący szejka zdążyli już odszukać jego namiot wśród rozrzuconego bezładnie bagażu i rozstawić go. Ułożyli al-Salila na macie do spania i podparli poduszkami. Ben Abram dał mu do wypicia wywaru z maku i ranny zapadł w niespokojną drzemkę.

- Czy on nie umrze? - zapytała starego doktora ze łzami w oczach Jasmini. - Powiedz mi, że al-Salil będzie żył!

- Jest młody i silny. Z bożą pomocą przeżyje, ale sporo czasu upłynie, nim całkiem wydobrzeje i będzie mógł znowu władać prawą ręką.

- Będę się nim opiekowała i nie spoczne, dopóki nie wyzdrowieje.

- Wiem, moje dziecko, wiem.

Godzinę później przed wejściem do namiotu rozległy się donośne głosy. Niewolnik Jassie wybiegł na zewnątrz, żeby zatrzymać intruzów. Dorian jednak, choć oszołomiony narkotykiem, rozpoznał Batulę i Baszira al-Sinda.

- Niech wejdą - zawołał słabym głosem i młody niewolnik odsunął się z wejścia. Baszir skłonił się przed leżącym i rzekł:

- Można szejku, modłę się do Allaha o twoje wyzdrowienie.

- A co z nieprzyjacielem? - zapytał al-Salil.

- Wyruszyliśmy natychmiast, gdy ujrzeliśmy race, lecz było już za późno. Fisi umknęli.

- Ilu zabiliście?

- Wielu czarnych kaffir i trzech Franków - odparł al-Sind.

- Czy był wśród nich wielki mężczyzna z czarną brodą?

- Nie, panie - pokręcił głową al-Sind. - Dwóch jest niskich, a trzeci wysoki, lecz z siwą brodą.

Dorian odetchnął z ulgą. Tomowi udało się uciec. Nagle odezwał się Batula, niepytany, podniesionym z ekscytacji głosem.

758

- Panie, poszedłem tropem flsi, którzy umknęli z pola walki. Mieli ukryte konie i uciekają szybko na południe. Wydadź tylko rozkaz, a pochwycimy ich bez trudu.

- Al-Salilu - dodał nie mniej podniecony Baszir al-Sind - mam tysiąc jeźdźców gotowych wt każdej chwili do pościgu. Daj rozkaz, a klnę się na Allaha, że żaden z bandytów nie pozostanie żywy.

- Nie! - zakrzyknął Dorian z taką mocą, że aż zakłuło go w piersi.

Al-Sind zamrugał gwałtownie oczami, zaskoczony tak zdecydowaną odmową.

- Wybacz impertynencję, wielki panie, ale nie rozumiem cię. Pogoń zafisi aż do końca stanowiła istotną część naszego planu!

- Nie wolno wam ich ścigać. Zabraniam tego! - Dorian wyteżył resztkę sił, by nadać swemu rozkazowi stanowcze brzmienie.

- Jeżeli zaraz nie wyruszymy, nie złapiemy ich nigdy! - Al-Sind ujrzał oczyma duszy, jak oddala się odeń wizja zdobycia laurów pogromcy rozbójników. Spojrzał pytająco na Ben Abra-ma. - Może to osłabienie z powodu strasznej rany zaciemniło nieco twój osąd, potężny szejku? - spróbował jeszcze.

Dorian z wysiłkiem uniósł się na łokciu.

- W imię Allaha! - zawołał chrapliwie. - Przysięgam, że jeżeli się sprzeciwisz temu rozkazowi, nadzieję twoją głowę na szpic mej lancy, a potem każę cię pochować w worku ze świńskiej skóry!

Na długą chwilę zapadło milczenie. W końcu Baszir al-Sind zapytał cichym głosem:

- Czy wielki szejka al-Salil zechce powtórzyć swe rozkazy w obecności wszystkich wyższych dowódców, tak żeby mogli świadczyć, iż nie z tchórzostwa stałem z bronią u nogi, pozwalając wymknąć się wrogowi?

Czterej oficerowie zostali wezwani do namiotu. Dorian powtórzył rozkaz w ich obecności i kazał odejść. Baszir al-Sind także wstał i skierował się do wyjścia, lecz młody szejka powstrzymał go gestem.

- Wybacz al-Sindzie, jeśli uważasz, że ci ubliżyłem - powiedział. - To sprawa tak zawiła, że teraz nie mogę cię w nią wtajemniczyć. Chcę jednak, żebyś wiedział, iż cieszysz się w pełni moimi względami.

Al-Sind pokłonił się przed nim, dotykając serca i ust, ale

759

twarz miał ściągniętą, a w oczach chłód. Po chwili z zewnątrz dobiegły jego gniewne okrzyki, gdy rozkazywał swoim ludziom odłożyć broń i rozbić obóz.

Dorian leżał nieruchomo, jak pogrążony w głębokim śnie. W namiocie zaległa ciężka cisza. Jasmini co kilka minut ocierała pot z jego twarzy. Wreszcie ranny wzdrygnął się i otworzył oczy. Spojrzał wpierw na dziewczynę, a potem na Ben Abrama.

- Czy jesteście sami? - zapytał szeptem, a oni przytaknęli. - Zbliź się, czcigodny starcze. Jest coś, o czym musisz się dowiedzieć.

Jasmini chciała wstać i wyjść z namiotu, lecz przytrzymał ją za rękę. Pochylili się ku niemu oboje.

- Człowiek, z którym walczyłem, to mój brat - powiedział cicho. - Dlatego nie pozwoliłem go ścigać.

- Czy to możliwe, Doui? - Dziewczyna wpatrywała się weń zdumiona.

- Tak - odpowiedział zamiast niego Ben Abram. - Znam jego brata. To jest możliwe.

- Wytłumacz jej to, stary ojcze. Ja nie mam siły tyle mówić - poprosił Dorian. Ben Abram przez minutę zbierał myśli, w końcu zaczął mówić półgłosem, żeby nie słyszał go nikt na zewnątrz. Przypomniał Jasmini o pochwyceniu angielskiego chłopca przez piratów, o tym jak został sprzedany w niewolę, a potem usynowiony przez al-Malika.

- Aż bratem al-Salila spotkałem się osobiście. Poznałem go bardzo dobrze na Flor de la Mar, gdy rozbił gniazdo korsarzy. Ma na imię Tom. Ja także byłem jego jeńcem, lecz mnie uwolnił, przekazując wiadomość dla Doriana. Poprzysiągł, że nigdy nie przestanie poszukiwać brata, aż go pewnego dnia odnajdzie i uratuje z rąk muzułmanów.

Jasmini spojrzała na Doriana. Potwierdził skinieniem głowy.

- Dlaczego w takim razie nie dotrzymał swojej obietnicy, skoro jest taki szlachetny? - zapytała.

- Nie mam na to odpowiedzi - przyznał al-Salil skonfundowany. - Mój brat uważał tę przysięgę za świętą. Być może po tylu latach po prostu zapomniał o mnie.

- Nie - wtrącił się Ben Abram. - Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz i czego nie mogłem ci wcześniej wyjawić. Twój brat Tom wrócił do Zanzibaru, żeby cię odszukać. Ale książę nie zamierzał cię oddawać. Posłał do Toma z wiadomością al-760

-Allamę. Mułła powiedział mu, że al-Amhara, Czerwonowłosy, zmarł na malarię, a na cmentarzu w Łamu stoi nagrobek z jego imieniem.

- To musiało być wtedy, gdy ojciec zmienił mi imię na al-Salil! - Dorian podnosił głos, w miarę jak docierała doń cała prawda. - Chodziło o ukrycie faktów przed Tomem. Nic dziwnego, że zaniechał poszukiwań!

Zamknął oczy i leżał w milczeniu. Jasmini wydawało się, że stracił przytomność; po chwili jednak ujrzała łzę, która stoczyła się po jego policzku. Ogarnęło ją głębokie współczucie.

- Co teraz zrobisz, ukochany? - spytała, gładząc go po ognistych włosach.

- Nie wiem - przyznał otwarcie. - To wszystko jest tak okrutne. Czuję, jakby mi miecz rozplątał serce na pół.

- Stałeś się muzułmaninem - rzekł łagodnie Ben Abram. - Czy sądzisz, że byłbyś jeszcze zdolny wrócić do wiary z dzieciństwa?

- A twój brat, czy uwierzyłby, że żyjesz, skoro przez tyle lat miał cię za zmarłego? - dorzuciła Jasmini.

- Jest teraz zaprzysiężonym wrogiem twego ojca, kalifa al-Malika, wrogiem twojego Boga i twojego ludu - Ben Abram dźgał go słowami w otwartą ranę w sercu.

- Naprawdę mógłbyś wziąć go w ramiona i uściskać?

Dorian nie potrafił dać na to wszystko odpowiedzi. Odwrócił się do skórzanej ściany namiotu, uciekając w fizyczną słabość. Na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, torturowany zarówno bólem ran, jak i potężnymi emocjami, które rozdierały mu duszę na dwoje. Jasmini nieprzerwanie czuwała u jego pośłania. Armia szejka al-Salila zaległa na wiele dni w obozowisku, podczas gdy jej dowódca leżał samotnie w namiocie.

Pod komendą Baszira al-Sinda zajęli się pochówkiem zabitych, zostawiając w spokoju tych, których już pogrzebała kamienna lawina. Naprawili zniszczony ekwipunek, wyczyścili muszkiety i naostrzyli białą broń. Czekali na dalsze rozkazy; tych jednak nie było. Baszir chodził gniewnie po obozowisku, besztając każdego, kto wszedł mu w drogę. Wojownicy rozumieli i podzielali jego irytację.

Płonęli żądzą odwetu za towarzyszy, którzy polegli w gardzieli przełęczu, lecz nic nie mogli uczynić bez polecenia al-Salila.

761

Wśród wojska zaczęły krążyć niebezpieczne pogłoski. Mówiono, że Baszir zamierza się zbuntować i przejąć dowództwo od niedomagającego szejka. Że al-Salil już umarł. Że wyzdrowiał i uciekł pod osłoną nocy, pozostawiając ich swemu losowi. Na koniec zaczęto powtarzać coś jeszcze dziwniejszego. Maszerowała ponoć ku nim druga wielka ekspedycja, dowodzona przez księcia z królewskiego domu Omanu. Ich połączone siły miały wreszcie pozwolić na wytropienie wroga w jego mateczniku i zniszczenie go. Mówiono o tym zaledwie od kilku godzin, gdy do ich uszu dobiegło z oddali bicie bojowych bębnów, tak ciche na początku, iż wzięli je za uderzenia własnych serc. Żołnierze tłoczyli się na okolicznych pagórkach, wypatrując oczy. Coraz bliższe granie rogów przejmowało ich dreszczem. W końcu ujrzeli nadciągającą rzeszę wojska, z oficerami na czele kolumny.

Patrzyli w zadziwieniu, jak cały sztab wjeżdża do obozowiska. Najwyższy ranga, generał, odziany był w półzbroję, a na głowie miał hełm w stylu tureckim, zwieńczony szpicem i z wyściełaną materiałem osłoną karku. Przemówił do nich z siodła donośnym władczym głosem.

- Jestem księżę Ibn al-Malik Abubaker. Omańscy, wierni i lojalni żołnierze, przynoszę wam smutne wieści. Abd Muham-mad al-Malik, mój ojciec i wasz kalif, nie żyje. Zmarł w swym pałacu w Maskacie, powalony w kwiecie wieku mieczem czarnego anioła.

W szeregach wojowników podniósł się jęk. Większość z nich walczyła pod Maskatem, żeby osadzić na Słoniowym Tronie władcę, którego szczerze kochali. Padali teraz na kolana, wołając:

- Oby się Bóg zlitował nad jego duszą! Abubaker pozwolił, żeby dali upust swej rozpaczce, a potem uciszył ich gestem dłoni.

- Żołnierze kalifa, przynoszę wam pozdrowienie od nowego władcy Zajna al-Dina, ukochanego pierworodnego syna księcia al-Malika. On teraz jest kalifem Omanu. W jego imieniu wzywam was, byście mu przysięgli lojalność i posłuszeństwo.

Uklękli wszyscy, z Basziirem al-Sindem na czele, przyzywając Boga na świadka przysięgi. Gdy ceremonia dobiegła końca, słońce chyliło się już ku zachodowi. Abubaker kazał im się rozejść i wezwał do siebie Baszira.

762

- Gdzie jest ten tchórz i zdrajca al-Salil? - zapytał z błyskiem nienawiści w oku. - Mam do niego pilną sprawę zleconą mi przez kalifa.

Dorian usłyszał, jak Abubaker obwieszcza śmierć jego przybranego ojca; donośny głos tamtego docierał doń wyraźnie przez skórzaną ścianę. Młody szejka czuł, że cały fundament jego życia kawałek po kawałku się rozpada. Nie znajdował już w sobie dość siły, żeby udźwignąć wszystkie te udręki i okropności.

Nagle usłyszał imię Zajna al-Dina i obwieszczenie o jego sukcesji na Słoniowym Tronie. Był więc w jeszcze gorszym położeniu, niż sądził. Odegnął z wysiłkiem smutek po śmierci księcia i pokonując fizyczne cierpienie, chwycił za rękę Jasmini, przyciągając ją ku sobie. Dziewczyną również wstrząsnęła śmierć ojca, jednakże nie tak głęboko jak Dorianem, gdyż prawie wcale nie stykała się z nim za życia. Szybko więc otrząsnęła się z żalu i pochyliła ku ukochanemu.

- Jassie, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo - powiedział. - Jesteśmy teraz oboje na łasce Zajna. Nie muszę ci chyba mówić, co to oznacza. W porównaniu z Zajnem, Kusz był święty.

- Jakże mu uciekniemy, Doui? Przecież nie jesteś w stanie nawet się poruszyć! Co mam zrobić?

Wytłumaczył jej, jak ma postąpić. Mówił cichym, lecz stanowczym głosem, każąc jej powtarzać każdy szczegół.

- Dałbym ci list, ale nie jestem w stanie go napisać. Będziesz musiała przekazać moje słowa ustnie. Naucz się ich dokładnie, bo inaczej nikt ci nie uwierzy.

Jasmini miała bystry umysł i nawet w tym zamieszaniu zapamiętała cały tekst za pierwszym razem, choć wymawianie niektórych słów przychodziło jej z trudem. Nie mieli jednak czasu na szlifowanie wymowy.

- To wystarczy. Powinien zrozumieć. Idź już - polecił jej Dorian.

- Panie mój, nie mogę cię tak zostawić - niemal płakała.

- Jeśli nie znikniesz, Abubaker pozna cię od razu. Jak się dostaniesz w jego szpony, nie pomożesz nam w niczym.
Pocałowała go czule i zamierzała już wstać i wyjść, gdy nagle na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki. Jasmini skuliła się w kącie namiotu. Klapa u wejścia się uchyliła i do środka wszedł
763

al-Sind. Ben Abram próbował interweniować, zagrządzając mu drogę do posłania Dorianiana.

- Al-Salil jest ciężko ranny! Nie wolno go niepokoić! - zawołał.

Al-Sind odepchnął go jednak z pogardą.

- Nadchodzi generał Abubaker, emisariusz kalifa Omanu! - rzucił w stronę Dorianiana z zimnym, jadowitym uśmiechem.

Młody szejka zrozumiał, że nie ma już przed sobą przyjaciela i sprzymierzeńca, lecz lojalnego sługę Zajna al-Dina.

Abubaker wkroczył do namiotu i stanął na środku, ujmując się pod boki.

- Ach, więc zdrajca żyje jeszcze. To znakomicie. Al-Salilu, którego znałem kiedyś pod imieniem al-Amhara, gdyśmy się razem bawili w Łamu - zaśmiał się sarkastycznie. - Przybyłem zabrać cię przed oblicze kalifa. Będziesz sądzony za zdradę stanu. Jutro o świcie wyruszamy w drogę powrotną.

- Szlachetny książę - pośpieszył z protestem Ben Abram - Al-Salil jest ciężko ranny. Nie można go ruszać. Jego życie jest w niebezpieczeństwie.

Abubaker zbliżył się do posłania Dorianiana i spojrzał nań z góry.

- Ranny, powiadasz? Muszę sprawdzić, czy nie udaje.

Pochylił się nagle i brutalnym gestem zerwał gruby opatrunek z piersi szejka. Świeżo utworzone strupy przyschły już do bandaży i gdy się odrywały, Dorianian zeszytniał z bólu, wciągając ze świstem powietrze. Krew z otwartej na nowo rany zalała mu pierś. Jasmini w kącie namiotu nie zdołała powstrzymać pisku przerażenia, ale nikt na szczęście nie zwrócił na nią uwagi.

- To tylko skaleczenie - zawyrokował Abubaker, udając, że bada uważnie ranę. - Za mało, żeby zdrajca uniknął sprawiedliwości. - Chwycił Dorianiana za włosy i ściągnął go z posłania. - Stawaj na nogi, zdradziecka świni! - zawołał, podrywając rannego do góry. - Widzisz, medyku? Twój pacjent ma dość siły. Symulował tylko. Nic mu nie dolega.

- Szlachetny panie, zapewniam cię, że nie przetrzyma takiego traktowania ani długiego marszu do wybrzeża!

- Ben Abramie, jesteś zrzędzącym starym kozłem. Jeżeli zdrajca umrze, nim dotrzemy do morza, każę cię skrócić o głowę. Urządzimy zawody, co? - wyszczerzył w uśmiechu krzywe zęby - Ty staraj się, jak najlepiej potrafisz, utrzymać go przy życiu, a ja ze swej strony będę się starał, jak umiem, po
764

trochu go zabijać. Zobaczymy, kto wygra. - Rzucił Dorianiana z powrotem na matę i ruszył do wyjścia, a al-Sind za nim.

Jasmini wyskoczyła z kąta i przypadła do ukochanego. Choć twarz wykrzywiło mu cierpienie, wyszeptał do niej gorączkowo:

- Idźże, kobieto. Nie marnuj ani chwili. Znajdź Batulę i ruszaj w drogę.

Po trzech dniach ostrego marszu oddział Toma dotarł do Fortu Providence.

Natychmiast rozpoczęto przygotowania do opuszczenia obozu na zawsze. Aboli posłał Fundiego z trzema ludźmi w górę rzeki, żeby sprowadzili jego rodzinę.

- Nie popłynę bez nich - oznajmił Tomowi otwarcie.

- Nie wymagam tego - odparł kapitan. - Niechaj jednak się pośpieszą. Muzułmanie z pewnością ścigają nas zawzięcie.

Na wszystkich szlakach wiodących do fortu wystawili czujki, żeby z wyprzedzeniem alarmowały o zbliżaniu się Arabów. Potem w pośpiechu zaczęli ładować Centaurusa do rejsu w dół Lungi. Ściągnęli lekkie dziewięciofuntowe działa z umocnień w palisadzie i zamontowali je na powrót na lawetach górnego pokładu. Kości słoniowej tym razem nie mieli, lecz wzięli niewykorzystane towary na wymianę, przywiezione z Przylądka Dobrej Nadziei z początkiem sezonu. Sarah kazała załadować swoje skarby; pościel, obrusy, sztucce i zastawa, książki i medykamenty zapełniły maleńką kajutę aż po sufit. Tom próbował się z nią spierać o klawikord.

- Kupię ci nowy - obiecał, ale ujrawszy znajomą zaciętą minę, uznał, że szkoda strzępić język po próżnicy, i kazał dwóm marynarzom umieścić instrument w ładowni.

Dziwiło go, że wciąż nie zjawia się pościg. Posłał więc Abolego na inspekcję wysuniętych czujek, na północ od fortu, chcąc się upewnić, że są na stanowiskach. Ten spokój był nienaturalny. W każdej chwili spodziewał się arabskiego odwetu.

Minęło znów kilka dni i wreszcie wrócił Fundi, przywożąc ze sobą w dwóch dłubankach żony Abolego, Zete i Fallę, jego synów, Zamę i Tulę, oraz młodsze dzieci. Sarah od razu wzięła ich pod swoje skrzydła. Tom wysłał do Abolego gońca z rozkazem zwinięcia czujek i jak najszybszego powrotu do obozu. Byli już gotowi do drogi.

Dwa dni później usłyszeli okrzyk z górującej nad fortem wieży strażniczej:
765

- Jeźdźcy od północy!

Tom wspiął się na wieżę z lunetą w dłoni.

- Gdzie dokładnie? - zapytał i zwrócił okular w kierunku wskazanym przez wartownika. Sarah także wdrapała się na górę.

- Kto to? - spytała zaniepokojona.

- Aboli ze zwiadowcami - uspokoił ją z westchnieniem ulgi. - I ani śladu pościgu. Dziwna historia, ale wygląda na to, że odpłyniemy bez walki. Nie przypuszczałem, że to się może udać. Naprawdę nie pojmuję, dlaczego muzułmanie odpuścili nam tak łatwo. Zbieraj tych swoich czarnych brzdąców i na pokład - polecił jej. - Ruszamy w dół rzeki, jak tylko Aboliwejdzie na statek. Zaczęła schodzić po drabinie, lecz zatrzymała się, gdy Tom gwizdnął ze zdumieniem.

- Aboli prowadzi jakichś obcych. Na Boga, to Arabowie. Jeńcy, bo są porządnie skrupowani. Jak nic, musiał złapać w swoje wnyki zwiadowców nieprzyjaciela. Pociągniemy ich za język i dowiemy się, gdzie jest reszta Arabów.

Wkrótce Aboli wprowadził swoich więźniów na pokład Centaurusa, przed oblicze Toma i Sarah.

- Cóż to za rybki się zaplatały w twoją sieć, przyjacielu? - zapytał kapitan, przyglądając się im badawczo.

Byli to bez wątpienia Arabowie. Jeden o posturze wojownika budził respekt swym groźnym wyglądem. Drugim był młody chłopak, urodziwy, o wielkich ciemnych oczach, i wyraźnie zalękniony.

- Cóż to za dziwna parka - zdumiał się Tom. Jego lekki ton ośmielił chłopaka.

- Znasz moją mowę, efendf! - zapytał cichym, melodyjnym głosem.

- A tak, chłopcze. Mówię po arabsku.

- I masz na imię Tom, panie?

- A niech cię czort, ty małe ladaco! - Tom zmarszczył brwi i postąpił groźnie ku niemu, z dłonią na rękojeści szpady. - Skąd to wiesz?

- Tom, zaczekaj - powstrzymała go Sarah. - Przecież to dziewczyna.

Przyjrzał się uważnie twarzy chłopca i naraz wybuchnął śmiechem. Zerwał jej z głowy zawój i długie czarne włosy opadły Jasmini aż na plecy.

766

- W rzeczy samej, i to ładniutka - stwierdził. - Ktoś ty?

- Jestem księżniczka Jasmini. Przynoszę ci wiadomość od Douiego.

- Od kogo?

- Od Douiego - wpatrywała się weń z rozpaczą. - Doui! Doui! - powtarzała, zmieniając intonację, lecz Tom wciąż kręcił głową, nie rozumiejąc.

- Ona chce chyba powiedzieć "Dorry" - wtrąciła się Sarah. Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz ulgi.

- Tak, właśnie! - zawołała. - Doui! Twój brat! Oblicze Toma sposepniało i nabiegło krwią.

- Przyszłaś się ze mnie naigrawać? - ryknął. - Mój brat Dorian nie żyje od kilku lat! Co to za sztuczki, ty nikczemna suko? Jakaś pułapka?

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami, zebrała się jednak w sobie i zaczęła śpiewać. Z początku głos jej drżał, ale kiedy nad nim zapanowała, poniósł się czysto i słodko. W jej śpiewie pobrzmiwały orientalne melizmaty, obce

europejskim uszom, toteż melodię trudno było rozpoznać. W dodatku słowa stanowiły parodię angielszczyzny. Wszyscy patrzyli na nią w niemym zdumieniu. Nagle Sarah wciągnęła głośno powietrze.

- Tom, to "Hiszpańskie dziewczyny"! -zawołała. - Ona próbuje zaśpiewać "Hiszpańskie dziewczyny"! - Podbiegła do Jasmini i wzięła ją w ramiona. - To musi być prawda, Dorian żyje! A ta piosenka to znak od niego!

- Chyba masz rację. O Boże, Dorian! Gdzie on jest? - Chwycił Arabkę za rękę i mocno nią potrząsnął. - Gdzie jest mój brat?

Z jej ust popłynęła bezładna odpowiedź. Jasmini zaczynała kolejne zdanie, nie kończąc poprzedniego i język plątał się jej z pośpiechu, gdy gorączkowo usiłowała wyjaśnić im wszystko naraz. Co chwila o czymś sobie przypominała i zaczynała od początku.

- Dorry potrzebuje mojej pomocy - podsumował wreszcie Tom sens jej bezładnej relacji. Spojrzał na Abolego. - Dorian żyje, jest w poważnych opałach i przysłał tych ludzi, żeby nas do niego zaprowadzili.

- Konie jeszcze osiodłane - skinął spokojnie głową Murzyn. - Możemy zaraz ruszać.

767

Tom zwrócił się do Jasmini, która wciąż paplała jak najęta do Sarah, kontynuując swoją opowieść.

- Dość już, dziewczyno! Opowiesz nam resztę po drodze. Wiesz, jak znaleźć Dorianą?

- Tak - pokiwała skwapliwie głową. - Batula nas poprowadzi.

Tom pochylił się w siodle, by pocałować Sarah na pożegnanie. Tym razem wyjątkowo nie nalegała na udział w wyprawie. Powinien był się domyślić z jej zachowania, jak się rzeczy mają, ostatnio bowiem wyglądała na bardzo z siebie zadowolona, a zarazem zrobiła się małowólna. W gorączce chwili nie miał jednak głowy do takich drobiazgów.

- Niechaj Alf Wilson nie pozwala nikomu bez potrzeby szwendać się poza statkiem - rzucił jeszcze. - Wszystko ma być gotowe do drogi. Wrócimy zapewne w wielkim pośpiechu, z całą hordą Arabów na karku. - Ściągnął cugle, zadzierając głowę swego wierzchowca, i obejrzał się na pozostałych.

Jasmini z Batula już galopowali pod górę. Aboli z Luke'em Jerysem czekali nieco bliżej, aż ich dogoni. Wszyscy odziani byli w arabskie stroje i prowadzili luzaki na zmianę. Tom spiał konia do biegu obcasami i pomachał do Sarah, ruszając z kopyta.

- Wracaj szybko i zdrowo! - odmachnęła mu, przykładając drugą dłoń do brzucha.

Dopędzenie arabskiej karawany zabrało im cztery dni ostrej jazdy. Zmieniali konie co godzina, galopując od wczesnego świtu do krótkiego afrykańskiego zmierzchu.

Tom jechał przez cały czas przy Jasmini. Rozmawiali, przekrzykując świst wiatru i tętent kopyt, aż od gorąca i pyłu zasychało im w gardłach. Opowiadała mu o wszystkim, co działo się z Donanem, od dnia kiedy go pierwszy raz spotkała w zenana, aż do aresztowania przez Abubakera zaledwie przed kilkoma dniami. Teraz jej relacja była już składna i rzeczowa, zabarwiona humorem na przemian z patosem. Tom to zaśmiewał się donośnie, to znów zbierało mu się na płacz. Uzmysłowiła mu, jakiego pokroju człowiekiem jest teraz jego brat, i był z niego dumny. Opowiedziała o ich

768

wielkiej miłości, zdobywając sobie stopniowo jego uznanie i sympatię. Oczarowała go jej radosna natura i roziskrzone spojrzenie pięknych oczu.

- A więc jesteś teraz moją siostrzyczką - stwierdził z uśmiechem.

- Podoba mi się to, efendi - odwzajemniła jego uśmiech. - Cieszę się niezmiernie.

- Skoro mam ci być bratem, musisz nazywać mnie Tom.

Na koniec przypomniała mu bitwę w skalnym wąwozie, wyjaśniając, jak omal nie zabił Dorianą i jej także. Tom był wstrząśnięty.

- Nie odsłonił nawet twarzy; skąd mogłem wiedzieć, że to on!

- Doui to rozumie. I wciąż cię kocha.

- Mogłem zabić was oboje. Coś jednak powstrzymało moją dłoń.

- Niezbadane są drogi Boga. Ludzki rozum ich nie zgłębi - odrzekła poważnie.

Wtajemniczyła go w zawilóści omańskiej polityki, tłumacząc, jak zostali w nią wplątani oboje z Dorianem i jakie konsekwencje może mieć dla młodego szejka objęcie tronu przez Zajna al-Dina.

- No i teraz Abubaker wiezie go do Maskatu, gdzie czeka go zemsta Zajna!

-zakończyła, a po policzkach pociekły jej łzy.

Tom wychylił się z siodła i poklepał ją braterskim gestem po ramieniu.

- Zajmiemy się tym, Jasmini. Tylko proszę, nie płacz.

Natrafili wreszcie na szeroki leśny trakt, wydeptany przez maszerującą armię Arabów. Kiedy zbliżyli się do kolumny na tyle, że widać już było obłok pyłu ponad nią i lasem, Tom posłał Batulę na zwiady. Jechali teraz powoli, czekając na jego powrót. Giermek mógł wmieszać się niepostrzeżenie w szeregi odzianych podobnie jeźdźców, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Wrócił tuż przed zachodem słońca.

- Chwalić Boga, al-Salil żyje! - zawołał już z daleka. Arabskie imię Doriana wciąż brzmiało obco w uszach Toma. - Widziałem go tylko z daleka i wolałem się nie zbliżać. Wiozą go na noszach ciągniętych przez konia.

- Jak oceniasz jego stan? - chciał przede wszystkim wiedzieć Tom.

769

- Trochę już chodzi - odparł Batula. - Ben Abram pomógł mu wstać z noszy i przejść do namiotu. Prawą rękę ma na temblaku. Porusza się powoli, jak starzec, ale głowę trzyma wysoko. Chyba jest silniejszy, niż kiedyśmy odjeżdżali.

- Chwalcie imię Boga - szepnęła Jasmini.

- Zaprowadzisz nas pod jego namiot, Batulo? - zapytał Tom.

- Tak, efendi. Ale jest silnie strzeżony.

- Czy zakuli go w łańcuchy?

- Nie, chyba sądzą, że rana wystarczy, by go powstrzymać.

- Wydostaniemy go jeszcze tej nocy - zdecydował Tom. - Zrobimy tak...

Podjechali w pobliżu obozu z wiatrem, żeby ich konie nie zwietrzyły arabskich i nie zaczęły parskać. Zostawili wierzchowce pod opieką Jasmini i podkradli się na skraj lasu. Nad obozowiskiem unosił się pomruk głosów, podobny do brzęczenia roju pszczoł. Wszystko zasnuwał gęsty, błękitny dym z setek kuchennych ognisk. Panował tu ożywiony ruch; niewolnicy chodzili doglądać koni, wojownicy wychodzili w krzaki za potrzebą i wracali na swoje posłania, kucharze roznosili garnki z parującym ryżem, wydzielając skąpy wieczorny posiłek. Wartowników dostrzegli niewielu i widać było ogólne rozprężenie.

- Żaden żołnierz z tego Abubakera - szepnął Batula z pogardą. - Al-Salil nigdy by nie pozwolił na taki brak dyscypliny.

Tom kazał jemu pierwszemu wejść do obozu. Potem ruszali za nim pojedynczo, z twarzami zasłoniętymi chustami i z ukrytą w fałdach burnusów bronią. Szli niedbałym krokiem w pewnej odległości za Batula. On zaś kierował się ku pustej przestrzeni w środku obozowiska, gdzie w oddaleniu od pozostałych rozstawiono skórzany namiot. Tom zauważył, że krzaki wokół nie zostały wycięte, lecz pilnowało tego miejsca co najmniej trzech strażników. Siedzieli na ziemi, z bronią na podółku.

Batula przykucnął pod drzewem o poskręcanych gałęziach, jakieś sto jardów od więziennego namiotu. Tom, Aboli i Lukę przysiedli się do niego, rozpościerając szeroko poły szat. Siedzieli tak ciasnym kręgiem aż do zmierzchu, wyglądając jak wszystkie inne grupki omańskich żołnierzy, gawędzących półgłosem, popijających kawę i dzielących się nargile.

770

dNagle zapanowało ogólne poruszenie. W ich stronę zmierzało trzech wspaniale odzianych Arabów w otoczeniu przybocznej straży. Tom poczuł przypływ paniki, pewien, że odkryto jakimś cudem ich obecność w obozie. Mężczyźni jednak przeszli mimo i skierowali się do namiotu,

- Ten w błękitnym zawoju ze złotą opaską to właśnie generał Abubaker - szepnął Batula. - A tamci dwaj to Baszir al-Sind i Bin Tati, waleczni wojownicy i jego zaufani sprzymierzeńcy.

Trzej Arabowie weszli do namiotu, w którym trzymano Doriana. Przez skórzane ściany dobiegł ich pomruk głosów, a potem odgłos uderzenia i okrzyk bólu. Tom prawie zerwał się na nogi, lecz Aboli pociągnął go w dół. Usłyszeli dalsze

głosy, po chwili zasłona przy wejściu się uchyliła i stanął pod nią Abubaker. Odwrócił się do wnętrza i powiedział:

- Kuruj go dobrze, Ben Abramie, żeby mógł umrzeć bardziej żwawo! - zaśmiał się z własnego kalamburu. Wracając, przeszedł tak blisko Toma, że ten mógł dotknąć jego szaty.

- Salam alejkum, moźny panie - mruknął, ale Abubaker nawet nań nie spojrział, kierując się do własnego namiotu.

Powoli nad obozowiskiem zaległa cisza. Głosy umilkły, ludzie zaczęli układać się do snu, owinięci szalami. Ogniska przygasły, dając już tylko nikły poblask żaru. Tom wraz ze swymi ludźmi także się położyli, nakrywając głowy. Żaden jednak nie spał. W końcu żar ognisk wypalił się i zapadła ciemność. Tom obserwował gwiazdy, kontrolując upływ czasu. Godziny wlokły się w nieskończoność. Wreszcie dotknął pleców Abolego.

- Ruszamy - szepnął.

Wstał i powoli zaczął się przemieszczać w stronę namiotu Dorianana. Widział pod jego tylną ścianą jednego z wartowników. Głowa Araba opadała mu wciąż na piersi; podrywał ją co jakiś czas, lecz zaraz znów przysypiał.

Tom zaszedł go po cichutku od tyłu. Pochylił się i rąbnął w skroń kolbą pistoletu. Poczuł, jak cienka kość pęka; Arab osunął się bezgłośnie na ziemię. Tom przykucnął na jego miejscu, przyjmując taką samą pozycję, z muszkietem w poprzek ud. Odczekał chwilę, upewniając się, że nikt nie wszczął alarmu, a potem, wciąż przykucnięty, przesunął się ostrożnie aż pod ścianę namiotu. Nie miał pojęcia, czy wewnątrz również nie wystawiono straży. Zwilżył językiem wargi, wziął głębszy oddech i cicho zagwizdał pierwsze takty "Hiszpańskich dziewczyn".

771

W namiocie ktoś się poruszył i rozległ się nieznany mu głos. Nie głosik chłopca, którego zostawił w okienku twierdzy al-Aufa wiele lat temu, ale głos mężczyzny.

- Tom?

- A jakże, chłopie. Jest tam ktoś w środku?

- Tylko ja i Ben Abram.

Tom wyciągnął zza pasa składany nóż i rozciął skórzaną ścianę. Z otworu wynurzyła się ku niemu ręka, blade w świetle gwiazd. Dorian wciągnął go do środka i padli sobie w ramiona, klęcząc na ziemi.

Tom usiłował przemówić, lecz głos uwiązł mu w gardle. Uściskał brata delikatnie, by nie urazić jego rany, i odetchnął głęboko.

- Niech cię Bóg błogosławi, Dorianie Courtneyu. Nie wiem, co mam powiedzieć - wykrztusił tylko.

- Tom! - Dorian chwycił zdrową ręką garść gęstych, zeszywniałych od pyłu włosów i odsunął od siebie jego głowę. - Jak dobrze znów cię zobaczyć! - Angielskie słowa brzmiały obco w jego ustach. Wtem zaniósł się szlochem, z bólu i z przepełniającej go radości.

- Przestań, Dorry, bo nas wkopiesz - próbował go uspokoić Tom. Otarł mu oczy wierzchem dłoni. - Musimy cię stąd wydostać, chłopie. Jak twoja rana? Dasz radę iść z pomocą moją i Abolego?

- Aboli jest z tobą? - Głos Dorianana drżał.

- Jestem tu, Bomvu - mruknął basowo Murzyn. - Potem się przywitamy.

Wciągnął martwego strażnika przez rozcięcie do namiotu. Ułożyli go na posłaniu Dorianana i przykryli jego wełnianym kocem. Tymczasem Ben Abram pomagał rannemu odziać się w długą szatę i schować rude loki pod turbanem.

- Idź z Bogiem, al-Salilu - szepnął, po czym zwrócił się do Toma: - Jestem Ben Abram, pamiętasz mnie?

- Pamiętam cię doskonale i nigdy nie zapomnę, ile dobroci okazałeś memu bratu - Tom ścisnął przelotnie jego ramię. - Niechaj cię Bóg błogosławi.

- Dotrzymałeś w końcu swojej przysięgi - rzekł cicho starzec. - Teraz musicie mnie związać i zakneblować, inaczej Abubaker ukarze mnie okrutnie, kiedy odkryje zniknięcie al-Salila.

Zostawili go na ziemi, skrępowanego i z kneblem w ustach,

772

i wynieśli ostrożnie Dorianana na zewnątrz. Potem postawili go na nogach i prowadząc pod ramiona, poszli powoli przez śpiący obóz. Batula z Luke'em szli

przodem, mając w mroku jak duchy. Kiedy mijali jedno z ognisk, któryś z Arabów poruszył się i usiadł. Patrzył na nich przez chwilę i legł na ziemi, nakrywając głowę.

- Trzymaj się, Dorry - szepnął Tom bratu do ucha. - Prawie wyszliśmy. Dotarli do skraju lasu. Kiedy znaleźli się wśród drzew, z ust Toma niemal już się wyrwało westchnienie ulgi, gdy wtem tuż przy nich rozległ się arabski głos. - Coście za jedni? W imię Boga, stać i wytłumaczyć się! Tom sięgnął do szpady pod suknią, lecz Dorian przytrzymał jego rękę i odpowiedział wartownikowi zduszonym głosem:

- Allah niech będzie z tobą, przyjacielu. Jestem Mustafa z Muhaidu. Dokucz mi czerwona i przyjaciele prowadzą mnie w krzaki za potrzebą.

- Nie tylko ciebie nęka ta choroba, Mustafo - rzekł współczująco strażnik. - W obozie cierpi na nią wielu. Niech Allah ześle ci pokój i twoim trzewiom także. Ruszyli powoli dalej. Nagle zjawił się przed nimi Batula.

- Tutaj, efendi - szepnął. - Konie już blisko.

Usłyszeli stuknięcie kopyta i po sekundzie wyłoniła się z ciemności drobna postać Jasmini. Podbiegła do Doriana i przyłgnęli do siebie na długą chwilę, szepcząc czułe słówka. W końcu Tom rozdzielił ich delikatnie i poprowadził brata do najsilniejszego z wierzchowców.

Razem z Abolim podsadzili go na siodło. Chwiał się niepewnie i Tom związał mu nogi rzemieniem przeciągniętym pod końskim brzuchem. Potem posadził za nim Jasmini.

- Trzymaj go w pionie, siostrzyczko - polecił. - Nie daj mu się ześliznąć. Z cugłami ich konia w ręce dosiadł swojego ogiera.

- Prowadź z powrotem, Aboli - powiedział. - Mamy najwyżej kilka godzin przewagi. Rano rzuca się w pościg całym stadem.

Forsowali konie okrutnie. Zwierzęta przebyły już galopem trasę z Fortu Providence, z krótkimi tylko nocnymi odpoczynkami, podczas których nie zdążyły się nawet napaść do syta. W drodze

773

powrotnej było tak samo. W dzień pokonywały w słonecznym skwarze długie odcinki między wodopojami. Zeschnięta twarda ziemia i ostre kamienie wbijały się im w kopyta.

Pierwszego wierzchowca stracili przed przejechaniem dwudziestu mil. Był to koń niosący Dorianą z Jasmini. Okulał na wszystkie cztery nogi i ledwie kuśtykał. Tom puścił go wolno, świadom, że lwy i hieny dopadną dzielne stworzenie jeszcze tej nocy. Posadzili Dorianą na jednym z luzaków i dalej pędzili bez wytchnienia. Na trzeci dzień nie mieli już ani jednego konia na zmianę. Kiedy dosiadali tych, które im pozostały, po krótkim postoju nad bagnistym stawkiem Aboli rzekł cicho: - Muszkiety i tak nam nie pomogą przeciwko całej armii, a ich ciężar dobija wierzchowce.

Pozbyli się więc strzelb, rożków z prochem i amunicji, a także całego bagażu poza białą bronią i bukłakami z wodą. Tom odwrócił się jednak do wszystkich plecami, by nie widzieli, co robi, i schował za pazuchę jeden z naładowanych pistoletów.

Była to broń dwulufowa. Jasmini wyjaśniła mu obrazowo, jaki los czeka ją i Dorianą, jeśli zostaną pochyceni przez Arabów. Pistolet schował dla nich, po kuli dla obojga.

Boże, daj mi siłę to zrobić, jeżeli będzie trzeba, pomodlił się w duchu.

Pomimo tak drastycznego zredukowania ciężaru padły im tego dnia jeszcze dwa konie. Tom, Lukę i Aboli musieli biec na zmianę obok jeźdźców, trzymając się uprzęży dla ulżenia choć trochę morderczemu wysiłkowi.

Tego wieczora po raz pierwszy dostrzegli arabski pościg. Przekraczając kolejne pasmo wzgórz, którymi usiana była ta dzika kraina, w odległości trzech mil za sobą ujrzeli wysoką chmurę pyłu.

W nocy odpoczywali tylko przez godzinę, a potem uciekali dalej, kierując się światłem wielkiego krzyża w gwiazdozbiornie Centaura. Ten nocny marsz, a także fakt, że Arabowie zapewne zajeżdżali swoje wierzchowce nie mniej od nich, nic im nie pomógł. W świetle wschodzącego słońca ujrzeli, iż obłok pyłu wciąż utrzymuje się na horyzoncie trzy mile za nimi.

W ciągu tej nocy nawet Aboli stracił poczucie przebytego dystansu i nie potrafił określić ich pozycji w tym dzikim, lesistym i pagórkowatym terenie. Wieczorem pokonali następne pasmo wzgórz, mając nadzieję zobaczyć z ich grzbietu lśniąca wody Lungi. Te nadzieje spełzły jednak na niczym. Leżała przed nimi

774

jeszcze jedna linia zielonych wzniesień. Zaczęli przedzierać się przez kolejną dolinę. Konie były już bliskie padnięcia, a ludzie szli ostatkiem sił. Nawet Aboli odczuwał trudy morderczej wędrówki, choć starał się ukryć, że utyka z powodu naciągniętego więzadła w kolanie. Twarz miał szarą od pyłu i zupełnie suchą, wyciął już bowiem z siebie całą wilgoć. Dorian był bardzo słaby; wyglądał jak kościotrup, a spod brudnego opatrunku sączyła mu się krew. Jasmini resztką sił utrzymywała go w siodle. Ich koń potykał się co chwila.

Padł w końcu tuż przed grzbietem kolejnego wzniesienia. Legł na ziemi, jakby trafiono go z muszkietu w mózg. Tom przeciął rzemienie na nogach Doriana i wyciągnął go spod końskiego boku.

- Stąd to już rzut beretem, chłopie. Dasz radę iść? - zapytał.

Dorian próbował zdobyć się na uśmiech.

- Dam radę tak samo długo jak ty, Tom - odparł. Lecz kiedy brat próbował go podnieść, kolana ugięły się pod nim i osunął się na kamienie.

Czerwona chmura pyłu sunęła już przez dolinę, którą właśnie przebyli. Ułamali grubą gałąź i Tom z Abolim złapali ją za końce, sadzając Doriana między sobą. Ruszyli w dół zbocza. Nieśli go tak przez całą noc, zatrzymując się często na kilkuminutowe odpoczynki. Podnosili się z ziemi, szli jakiś czas i znów stawali, nie będąc w stanie uczynić dalej kroku. W tym tempie w ciągu nocy zdołali zaledwie dotrzeć na drugi kraniec doliny. Mogli jedynie mieć nadzieję, że Arabowie przerwali na pewien czas pościg, nie widząc w ciemności ich śladów. Świt zastał ich po drugiej stronie doliny, wspinających się mozolnie na kolejne wzniesienie. Pościg był już tak blisko, że w porannym słońcu widać było wesołe błyski promieni na szpicach ich lanc.

- Zmniejszyli dystans o połowę - stęknął Tom, gdy posadzili Doriana na ziemi, by znów odpocząć chwilę. - Przy naszym tempie dopadną nas w ciągu godziny.

- Zostawcie mnie tutaj, Tom - szepnął ranny. - Ratujcie siebie.

- Czyś oszalał! - zakrzyknął starszy z braci. - Jak cię ostatnio zostawiłem, zniknąłeś z mojego życia na całe lata. Drugi raz tego nie zaryzykuję.

Dźwignęli go i powlekli się dalej. Jasmini szła kilka kroków

775

w przodzie. Rozzerwane sandały niemal spadały jej ze stóp, na piętach krwawiły popękane bąble. Przed samym grzbietem upadła i chociaż próbowała wstać, czepiając się pnia drzewa, nie była w stanie utrzymać się na nogach.

- Lukę, zamień się ze mną; Batula, pomóż mu. - Przejęli od niego koniec draga, a Tom podbiegł do skulonej pod drzewem dziewczyny.

- Jestem głupią, słabą kobietą - szepnęła przez łyzy, gdy się nad nią pochylił.

- To prawda - zgodził się. - A jednak zbyt urodziwą, żeby cię tu zostawić.

Podniósł ją, lecz chociaż była drobna i lekka, wymagało to najwyższego wysiłku mięśni i ścięgien w jego obolałych ramionach i plecach. Przycisnął ją do piersi i zebrał się w sobie do dalszej wspinaczki.

Usłyszał z tyłu krzyk i obejrzał się. Czoło arabskiej kolumny dotarło już do stóp wzgórza. Jeden z jeźdźców podniósł muszkiet i długa lufa plunęła obłoczkiem dymu, a sekundę później usłyszeli kłaśnięcie wystrzału. Dystans był na szczęście zbyt duży i kula nie doleciała nawet w ich pobliże.

- Zaraz będziemy na górze - zawołał Tom, usiłując nadać głosowi różne brzmienie.

- To jeszcze parę kroków, chłopcy.

Gdy stanął na wierzchołku, oczy zalewał mu pot. Wiedział, że dalej już nie pójdzie. Posadził Jasmini na ziemi i przetarł oczy dłonią. Wciąż jednak widział niewyraźnie i przed oczami migotały mu gwiazdy. Ledwie się trzymał na nogach.

Obejrzał się na przyjaciół. Też byli zupełnie wycieńczeni. Wyczerpały się nawet niezmożone siły Abolego. Murzyn z trudem pokonał ostatnie kilka kroków do wierzchołka i usiadł na ziemi.

No to przyjdzie nam tutaj umrzeć, pomyślał Tom z rezygnacją. Mam jeszcze szpadę z Neptunem i zginę przynajmniej w walce. A dla Doriana i dziewczyny mam pistolet - pomacał przez koszulę kolbę broni.

Nagle znalazł się przy nim Aboli. Nie mogąc wykrztusić słowa, szarpał go tylko za ramię, pokazując coś w dolinie przed nimi. Tomowi wydawało się przez chwilę, że to fatamorgana, lecz zaraz zrozumiał, że blask, który razi go w oczy, to światło słoneczne odbite od szerokiej wstęgi rzeki Lungi. Na środku nurtu stał na kotwicy mały Centaurus. Był

776

tak blisko, że mogli odróżnić pojedyncze postacie na pokładzie.

Tom poczuł nagły przypływ sił. Wyszarpnął zza pazuchy pistolet i wypalił z obu luf w powietrze. Na statku dostrzegł wyraźne ożywienie. Błysnął okular lunety, wycelowanej na wzgórze. Tom zaczął wymachiwać rękami, a wysoka postać Alfa Wilsona odmachala mu w odpowiedzi.

Spojrzał za siebie. Pierwsi Arabowie zbliżali się błyskawicznie. Byli już w połowie zbocza. Bez zbędnych słów podniósł z ziemi Jasmini i puścił się biegiem w dolinę, ku rzece i statkowi. Siła ciężenia omal nie podcinała pod nim nóg. Każdy krok był dla jego kręgosłupa wstrząsem. Słyszał za sobą Abolego i pozostałych, ale nie mógł się nawet obejrzeć, skupiony jedynie na tym, by uniknąć upadku. Jasmini, uczepiona mocno jego szyi, zamknęła ze strachu oczy. Nagle za ich plecami rozległy się krzyki i huknęła salwa z muszkietów. Pościg dotarł do grzbietu wzniesienia. Kula strzaskała pień drzewa obok Toma, sypiąc wokół korą i mokrymi drzazgami. Stracił rytm biegu, lecz z Jasmini na rękach nie był w stanie się zatrzymać. Noga mu się omsknęła, a kolano zgięło jakby w drugą stronę. Upadł i razem z dziewczyną potoczył się po zboczach. Zatrzymali się dopiero na jakimś gładzie i legli nieruchomo, oszołomieni.

Minał ich Aboli z Dorianem na plecach. Za nim pędzili Lukę i Batula. Murzynowi siła rozpędu też nie pozwoliła stanąć. Lukę jednak chwycił Toma za rękę i poderwał go do góry. Batula tymczasem uniósł w ramiona Jasmini i zbiegał ku rzece chwiejnym krokiem.

Usłyszeli dudnienie kopyt. Arabowie opuścili już lance i rozpoczęli szarżę w dół. Widział uśmiechy triumfu na ich twarzach. Nagle usłyszał głos Sarah.

- Tom! Jedziemy do was!

Odwrócił się i ujrzał, że pędzi pod górę galopem, siedząc na oklep na gniadoszu i ciągnąc za sobą dwa luzaki. Tuż za nią jechał na czarnej klaczy Alf Wilson, także prowadząc dwa dodatkowe konie. Sarah osadziła wierzchowca tuż przy nich. Tom, porwawszy Jasmini z ramion Batuli, niemal wrzucił ją na koński grzbiet, a jego żona natychmiast pochwyciła dziewczynę w objęcia, by nie zsunęła się z siodła.

- Jedź! - sapnął Tom. - Uciekaj!

Sarah, nie tracąc czasu na odpowiedź, rzuciła mu cugle

777

luzaków i popędziła ku statkowi. Jasmini podskakiwała przed nią niczym bezwładny worek. Tom wskoczył na konia, drugiego oddając Luke'owi i Batuli. Dogonił w mgnieniu oka Abolego i ściągnął z jego pleców krwawiącego i ledwie żywego Doriana.

- Bierz konia od Alfa! - krzyknął i puścił się galopem za Sarah.

Tuż za plecami słyszał wycie Arabów i tumult pościgu. Spodziewał się w każdej chwili ciosu lancą w plecy. Nie mógł się nawet obejrzeć, całą energię wkładając w utrzymanie Doriana. Poczuł zrozpaczony, że bezwładne ciało brata wyslizguje mu się z rąk i za moment runie na ziemię. Nagle znalazł się obok niego Aboli. W pełnym galopie przechylił się na koniu w ich stronę i pchnął mocno Doriana, dzięki czemu Tom mógł poprawić chwyt.

Wypadli na płaski brzeg rzeki. Tom z Abolim jechali ramię przy ramieniu, wyprzedzani przez Sarah z Jasmini w objęciach. Alf, Batula i Luke pędzili z tyłu. Arabska kawaleria już ich doganiała, potrząsając groźnie lancami. Dotarłszy do skraju plaży, Sarah bez najmniejszego wahania spięła wierzchowca i skoczyła z wysokiej skarpy do wody, znikając na chwilę pod powierzchnią. Tom i Aboli poszli za jej przykładem, nawet nie zwalniając. Pozostali także skoczyli, niemalże im na głowy. Po chwili wszyscy, trzymając się wierzchowców, płynęli ku Centaurusowi.

Za nimi na brzegu kotłowała się zwarta masa arabskich jeźdźców. Ich konie wierzgały i cofały się od skraju wysokiego brzegu. Arabowie usiłowali wyciągnąć z pokrowców muszkiety, lecz pierwsza salwa kartaczy z dział statku powaliła

połowę z nich na ziemię w krwawym kłębowisku ludzi i zwierząt. Pozostali cofali się w panice pod osłonę drzew na zboczu.

Uciekający dopłynęli tymczasem do burty Centaurusa i marynarze wciągnęli ich na pokład. Tom natychmiast podbiegł do Sarah. Przywarli do siebie, ociekając wodą z ubrań i włosów.

- Niech mnie kule biją, ślicznotko, jeśli nie jesteś warta dziesięciu chłopów! - zawołał i zaraz odsunął ją od siebie. - Dorian jest ciężko ranny. Zajmij się nim jak najlepiej. Jasmini też ledwie żyje. Weź się za nich. Ja idę do steru. Stanąwszy za kołem sterowym, zlustrował jednym spojrzeniem statek. Takielunek był sklarowany, wszystko gotowe do odpłynięcia.

778

- Podnieść kotwicę, jeśli łaska, panie Wilson - rozkazał. - I w dół rzeki. Rozejrzał się za Abolim.

- Będziemy potrzebować koni do przeciągnięcia statku przez płycizny. Zabierz je na drugi brzeg - polecił mu. - Muzułmanie ich tam nie dosięgną. Trzymaj się równo z nami.

Aboli wezwał do siebie synów, Zamę i Tulę.

- Mam dla was męską robotę - rzekł. - Chodźcie.

Chłopcy opuścili się za nim za burtę, żeby połapać zwierzęta wciąż pływające w pobliżu statku.

Tom poczuł, jak pokład pod jego stopami ożywa. Ruszyli z prądem rzeki. Brzegi po obu stronach zaczęły się przesuwać. Na południowym zobaczył Abolego z synami. Prowadzili pięć koni powiązanych razem w zwartym stadku.

Spojrzał teraz ku północy. Na grzbiecie wzniesienia pojawiła się awangarda głównych sił arabskich, sunąc w dół zbocza szerokim strumieniem lśniących napierśników, lanc i muszkietów. Wziął od Alfa lunetę i przyjrzał się czołu kolumny. Spostrzegł turecki hełm Abubakera, a obok żółty turban al-Sinda.

- Zdaje się, że będzie nam towarzyszyć przez całą drogę gwardia honorowa - rzekł kwaśno do Alfa. - Ale przed płyciznami niewiele nam mogą zrobić.

Po drodze do ujścia rzeki musieli przejść szerokim, płytkim rozlewiskiem, gdzie Lunga zwalniała bieg. Pełno tam było piaszczystych łąk, stale zmieniających swe położenie i głębokość. Przy obecnym stanie wody Centaurusa czekały tutaj poważne trudności. Abubaker z al-Sindem z pewnością zamierzali podążać za nimi aż do tego miejsca i zaatakować, gdy statek będzie w opałach.

Tom kazał marynarzom poczynić odpowiednie przygotowania do przeciągnięcia żaglowca przez mielizny oraz do odparcia niechybnego arabskiego ataku.

Wykorzystał krótką chwilę spokoju, żeby zajrzeć do kabiny, gdzie Sarah umieściła Dorian i Jasmini. Ujrawszy brata leżącego spokojnie na koi, odetchnął z ulgą. Sarah opatrzyła mu na nowo ranę. Skinęła głową na znak, że wszystko w porządku. Jasmini doszła już do siebie i pomagała jej, karmiąc rannego zupą z cynowej miski. Tom zabawił w kabinie tylko minutę i pośpieszył z powrotem na pokład. Ledwie wynurzył się z luku, zobaczył długą kolumnę omań-skiej kawalerii, sunącą północnym brzegiem w tempie statku.

779

- Pięciuset albo i więcej - ocenił.

Alf Wilson potwierdził skinieniem głowy.

- Dość, żeby nam dać łupnia w bezpośrednim starciu, kapitanie.

- Postarajmy się więc do niego nie dopuścić. - Chociaż w sercu czuł niepokój, uśmiechnął się zuchowato. - Ile jeszcze do płycizn, panie Wilson?

- W tym tempie dwie godziny.

- Dobrze więc. Trzeba odciążyć statek. Wyrzucić za burtę wszystko, co nie jest niezbędne do żeglugi - rozkazał, a potem dodał, zniżając głos, żeby nie usłyszała go spod pokładu Sarah: - Możecie zacząć od klawikordu.

Wzbijając wokół Centaurusa fontanny wody, uwalniali go od zbędnego balastu. Po klawikordzie przyszła kolej na skrzynie i bele z towarami na handel. Za burtę poszła większość baryłek z prochem i wszystkie kule armatnie. Tom kazał zostawić tylko kartacze i tyle prochu, żeby starczyło na godzinę ciągłego ostrzału. Zbliżali się coraz szybciej do rozlewiska i piaszczystych łąk.

- Wylać połowę wody z beczek. Niech pozostanie w takiej ilości, żeby starczyło do przyładka, przy skąpych racjach - rozkazał. Wiedział, że ciężko będzie to

znieść zwłaszcza kobietom i dzieciom. Ale w arabskiej niewoli byłoby im stokroć gorzej, pocieszał się.

Marynarze pracowali z zapalem, a on tymczasem przyjrzał się uważnie pościgowi. Centaurus wyprzedził kawalerię, gdyż w przewężeniach rzeki nurt niósł go bystro. Lecz kiedy koło południa Lunga wyraźnie zwolniła swój bieg, a wiatr ucichł i żagle sflaczały, Arabowie nadrobili stracony dystans.

Tom załadował jedno z dział kilkoma garściami kartaczy i podsypał podwójną porcję prochu. Gdy czoło kolumny pościgowej się zbliżyło, wystrzelił. Z tej odległości nie poczynił większych szkód, lecz konie nieprzyjaciela się wystraszyły i jeźdźcy nabrali respektu.

Aboli i jego chłopcy na południowym brzegu radzili sobie bez trudu. Wierzchowce mieli wypoczęte, w przeciwieństwie do arabskich, znużonych długim pościgiem. Przepłynęli ostatni odcinek szybszego nurtu, sterując ostrożnie między zdradliwymi, czarnymi skałami. Nagle rzeka straciła całą swą szybkość i siłę, rozlewając się szeroko wśród niebezpiecznych piaszczystych garbów, niemal przegradzających ją w poprzek.

780

- Kobiety z dziećmi niech przejdą do łodzi - rozkazał Tom. - Teraz będzie się liczyć każdy funt naszej wagi.

Dorian był zbyt osłabiony, żeby go ruszać. Jasmini została przy nim, a Sarah stanęła za sterem Centaurusa, zwalniając dodatkowego człowieka do holowania. Resztę pasażerów przewieziono na południowy brzeg, przekazując pod opiekę Abolego. Potem łódź wróciła, gotowa w każdej chwili brać udział w ściąganiu statku z mielizny.

Tom stanął obok Sarah przy sterze. Na żaglowcu zapadła niespokojna, pełna wyczekiwania cisza. Wpłynęli w pierwsze zakole biegnącego meandrami nurtu. Przejrzysta zielona woda pozwalała tu dostrzec ukształtowanie dna. Arabowie wyczuli już chyba okazję do ataku, dopędzali ich bowiem szybko, jadąc tuż przy brzegu. Tom zerknął na nich z ukosa. Choć znajdowali się w zasięgu strzału, nie miał czasu zajmować się obsługą działa, więc zbliżali się nie niepokojeni. Centaurus wszedł lekko w zakręt i jego kapitan wydał westchnienie ulgi. Przedwcześnie jednak, gdyż statek zaraz zadrzał i wierzgnął pod ich stopami, zawadziwszy o dno. Po chwili uwolnił się i sunął dalej zielonym nurtem.

- O włos - szepnął Tom. - Trzymaj go na środku - rzucił do Sarah.

Zbliżał się kolejny zakręt. Statek płynął teraz bardzo wolno. Arabowie jechali w odległości połowy strzału z muszkietu za nimi, cwałując w bojowym szyku po piaszczystym brzegu. Ich lance lśniły, a keffija powiewały w pędzie.

Centaurus zahaczył znów kilem o mieliznę i zatrzymał się tak raptownie, że niemal zwałił ich z nóg. Tom chwycił się szafki kompasowej. Wiedział, że ugrzęźli na dobre.

- Do łodzi! - ryknął. Marynarze błyskawicznie wykonali rozkaz. - Ster prosto! - poleciał Sarah i sam też skoczył za burtę.

Sternicy na łodziach wybrali przygotowane liny holownicze i umocowali je na rufie. Marynarze naparli mocno na wiosła i obie łodzie skoczyły naprzód, przed dziób korwety. Liny się naprężyły. Wioślarze wyczerzyli wszystkie siły, usiłując wyrwać statek z grząskiej pływizny.

Aboli wjechał do wody i chwycił koniec długiej liny, rzuconej przez Sarah.

Wrócił z nią na brzeg i doczepił do cugli pozostałych wierzchowców.

- Haa! Haa! Naprzód! - zaciął je batem.

781

Zwierzęta ruszyły posłusznie, naprężając hol całym swym ciężarem.

Centaurus przesunął się trochę, szorując brzuchem o piasek, po czym utkwiał znowu. Arabowie na brzegu rozwinęli szyk i kiedy zrównali się z uwięzionym statkiem, pierwszy ich szereg runął do rzeki. Z pochylonymi nisko lancami szarżowali w rozbryzgach wody przez pływiznę, wprost na łodzie.

Woda sięgnęła ich koniom do brzuchów, potem do kłębów, aż w końcu musiały płynąć. Jeźdźcy jednak dzierżyli lance pewnie, otaczając pierwszą łódź niczym stado rekinów martwego wieloryba.

Majtkowie ostrzelali ich z pistoletów, następnie wstali, by odeprzeć atak długimi wiosłami. Łódź jednak chybotąca się niebezpiecznie i w każdej chwili mogła się wywrócić.

Na północnym brzegu szykował się do szarży następny oddział kawalerii. Arabowie ustawiali się w zwartym szyku przed szeroką, piaszczystą łachą. Na środku jechał Abubaker w lśniącym pancerzu i spiczastym hełmie. Wzniósł nad głowę broń i poprowadził swoich ludzi do ataku, najpierw kłusem, a potem dzikim galopem. Sarah nie mogła odejść od steru i stała tam bezradnie. Widziała przed dziobem statku oba barkasy, otoczone mrowiem pływających jeźdźców. Tom stał na rufie swojej łodzi, wywijając szpadą z Neptunem i siekąc przez łeb każdego, kto doń dopłynął. Niektórzy z nieprzyjaciół starali się przeciąć hol, inni napierali na łódź całym ciężarem, żeby ją rozkołysać. Nabierała już wody przez burtę i niebawem musiała zatonać.

Oddział Abubakera dotarł do linii wody. Sarah zrozumiała, że to tylko kwestia czasu i wpadną w ręce Arabów. Nie spostrzegła Doriana, który wyłonił się spod pokładu, wsparty na Jasmini. Otoczywszy jej szyję ramieniem, pokuśtykał, krzywiąc się z bólu, do najbliższego działa. Napierając bosakiem, naprowadził krępa lufę na cel i chwyciwszy z wiadra z piaskiem wolno tłący lont, przytknął go do otworu zapłonowego.

Armata odskoczyła w tył na lawecie. Na brnących już przez wodę żołnierzy posypał się grad kartaczy. Jasmini, przytrzymując się relingu, spojrzała na rzekę. Zobaczyła, jak dwuuncjowy ołowiany siekaniec trafia Abubakera prosto w szczękę i wylatuje z tyłu czaszki, wyrzucając wysoko w powietrze jego hełm.

Arabscy jeźdźcy spadali z siodeł lub zawracali z powrotem na brzeg. Dorian pokuśtykał do następnego działa i naprowadził je

782

na cel. Arabowie spostrzegli wycelowany w siebie wylot lufy i w panice spięli konie do biegu. Chmara kartaczy dogoniła ich z furkotem i znów przetrzebiła oddział. Przed chwilą widzieli, jak zginał generał Abubaker, a teraz padł także al-Sind, pod którym zabito konia. Zupełnie odechciało im się walki i pogalopowali plażą, by umknąć przed kolejnym morderczym strzałem. Dorian ruszył do trzeciej armaty. Po drodze zatoczył się i omal nie upadł; Jasmini musiała wyteńczyć wszystkie siły, żeby go podtrzymać. Kiedy wystrzelił, Centaurus przechylił się nieco przy odrzucie i z ociąganiem zaczął się zsuwać z mielizny. Arabowie wokół barkasów zorientowali się, że ich towarzysze zrejterowali na brzeg, zostawiając ich bez wsparcia. W panice zawracali konie, by płynęły ku zbawczej plaży.

- Do wiosła, chłopcy! - ryknął Tom. - Ciągnąć co sił!

Naparli na wiosła. Centaurus przesunął się kawałek i znów stanął. Dorian odpalił czwarte działo. Statek się zakołysał. Aboli na południowym brzegu wyciskał z koni ostatnie poty. Korweta, chociaż powoli i niechętnie, zsunęła się wreszcie z mielizny na głębszą wodę.

- Wracać na pokład! - w głosie Toma brzmiał triumf. - Zabierzcie kobiety i dzieci!

Jedna łódź przepłynęła na południowy brzeg i Aboli umieścił na niej natychmiast swoje żony wraz z potomstwem. Potem przeciął postronki koni i klepnał każdego w zad. Puściły się galopem między drzewa. Murzyn z rozbiegu przeskoczył burtę łodzi, która już kierowała dziób ku korwecie. Statek sunął coraz szybciej z nurtem i musieli się dobrze przyłożyć do wiosła, by go dogonić.

- Stąd do ujścia droga już czysta - stwierdził Aboli, stając obok Toma przy sterze.

Spojrzeli ku północnemu brzegowi. Rozbici Arabowie nie próbowali się nawet przegrupować i wyglądało na to, że zrezygnowali z pościgu.

- Ludzie mogą teraz odpocząć, panie Wilson - powiedział Tom. - I proszę im wydać podwójne porcje rumu za tę ciężką robotę.

Alf dotknął daszka czapki.

- Za przeproszeniem, kapitanie, ale kazał pan wyrzucić baryłki z rumem za burtę. Czy życzy pan sobie zawrócić statek, żeby je wyłowić? - Mówił poważnym tonem, lecz usta mu drżały.

783

- Sądzę, że w tej sytuacji będziemy się musieli wstrzymać, aż dopłyniemy do Przylądka Dobrej Nadziei - odparł Tom, też z trudem zachowując powagę.

Tom stał przy rufowym relingu. Centaurus wychodził na morze i ciemny masyw Afryki wtapiał się powoli w gęstniejący mrok. Usłyszał lekki stukot obcasów po

pokładzie. Sarah stanęła przed nim, opierając się plecami o jego pierś. Przycisnął ją mocno do siebie i pochylił się, żeby pocałować żonę w ucho. Zamruczała rozkosznie, kiedy jego broda połaskotała ją w kark.

- Dorry o ciebie pytał - powiedziała.

- Zaraz tam pójde - odparł, ale nie ruszył się z miejsca. Milczeli długo.

Wreszcie zapytała:

- Co będzie dalej, Tom?

- Nie wiem, dziewczyno. Najpierw przyładek, a potem co los zdarzy.

- Jedno jest w każdym razie pewne. Jak już tam dopłyniemy, będę dla ciebie miała małą niespodziankę.

- Oo? - zainteresował się. - A cóż takiego?

- Jeśli ci wyjawię, nie będzie niespodzianki.

Sięgnęła w tył po jego ręce i położyła je sobie na brzuchu. Zrozumiał dopiero po chwili i zachwycony wybuchnął śmiechem.

- Niechże cię Bóg błogosławi, Sarah Courtney! Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć!

Wiedziała, że te słowa stanowią w jego ustach wyraz najwyższej radości.

- To się uspokój, matolku - szepnęła z czułością. - I zamiast gadać, pocałuj mnie.

m

l >

S"

-X

cł&if

-/{f " t

" -/o d

h, <J> c/<f *•• *. <sie~0l -vv